

353193

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

1858.

T-2

NOWA SERVA.

KWIECIEŃ. ZESZYT XVI.

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ
przy ulicy Daniłowiczowskiej N^o 619.

1858.

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT CCVIII.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

Wydawnictwo

NAUKOM, SZYTKOM I PRZEMYSŁOWI

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

SOWA ŻEBIA.

Tom drugi.

WARSZAWA:

W KSIĘGARNI WILKÓW, DZIEDZIĘCZAKA

PRZY ULICY DZIEDZIĘCZAKA W WARSZAWIE, NO. 11.

1851.

353/P
II



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

WARSZAWSKA

WARSZAWSKA

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 17/3 marca 1858 r.

Cenzor, RADCA DWORU
Stanisławski.

WARSZAWSKA

WARSZAWSKA

WARSZAWA

WARSZAWSKA

1858

WYBÓR POEZYJ HORACYUSZA

W PRZEKŁADZIE POLSKIM

PRZEZ TŁUMACZA

Fausta, Gelego.

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

I.

Horacyusza imię znane jest u nas ogółowi czytającej publiczności; utwory jego mało kogo interesują, tak jak i cała starożytna literatura. Kto szkolną edukacją przechodził, nie mógł naturalnie w pewnym jej przeciągu uniknąć rozbioru i tłumaczenia tej lub owej Horacyusza ody (nie zawsze szczęśliwie wybranej), narzekając przytém zapewne na zawilość poetyckich peryodów, na wyrzutnie i trudne do zrozumienia alluzye. Tu się też kończy, dla dziewięciu dziesiątych części przynajmniej, znajomość tego poety, na której pamiątkę przytaczają się niekiedy w mowie i piśmie maxymy, jak: *beatus ille qui procul negotiis*, lub coś podobnego. Wszyscy inni pisarze starożytni nie większej u nas używają wziętości.

Upokarzająca to prawda dla każdego kto wielką przywiązuje wagę do literackiego ukształcenia narodu; kto w tém ukształceniu upatruje jedną z głównych cech europejskiej (t. j. prawdziwej) kultury, a w literaturze starożytnej elementary i potężny tej kultury czynnik

i środek edukacyjny zarazem. Do tego przyjdzie, że nas niegdyś wychowawców łaciny, wyprzedzą może w jej znajomości i tam nawet, dokąd łacina o wiele wieków później niż do nas wstęp znalazła, gdzie mała jej są obowiązani, a mniej jeszcze potrzebować się zdają. Jakie przyczyny tego zaniedbania gruntownej edukacji literackiej, bardzo pięknie niegdyś humaniorami nazywanej? cośmy zrobili z tradycją nauki, jaką nas obdarzył wraz z światłem religii, stary nasz ojciec Rzym i pierworodni jego w europejskiej rodzinie synowie, starsi nasi bracia? czyśmy umieli kiedy to szacowne nasienie dobrze rozkrzewić? gdzie są jego kwiaty i owoce? gdzie są humaniora nasze? Na te gorzkie pytania historia krajowa odpowiedzieć powinna, jeżeli zdoła wprzód odpowiedzieć szersze na ważniejsze i pilniejsze, a bardziej jeszcze gorzkie.

Jak zaś cierpi od nieznajomości starożytnych literatur dzisiejsze nasze piśmiennictwo, którego pracownicy po większej części nie od początku, ale od końca edukacją swoją literacką zaczynają; jak niziutka jest skala wymagań gustu publicznego pod względem nie tylko już twórczości i dążeń, ale języka, stylu i kompozycji, jakiego też zwłaszcza doznaje obojętność ów język Skargi i Mickiewicza: o tem wszystkiem obszerną bardzo i pełną utyskiwań rozprawę napisaćby można. Byłoby to wszakże przedsięwzięcie niewczesne dzisiaj, gdy ogromna większość piszących i czytających zdaje się być zupełnie zadowolnioną z obecnego stanu i kierunku ojczyźnej literatury; nie przystałoby też ono u nas człowiekowi niezastępowanemu i nieznanemu, a który nadto chociaż się domyśla i rozumie po części co byto i jak umieć należało, nie czuje się atoli wyższym nad średnie krajowe ukształcenie.

Wolę więc na ten raz, zanim zasłużeni i głośni odezwą się w tym duchu, pójść za przykładem Biblioteki Warszawskiej, która się ośmieliła tłumaczenia greckich tragedji drukować; a chociaż nie zwróciły one tyle uwagi ileby należało, ośmielę się i ja też podać w przykładzie wybór poezji jednego z najznakomitszych liryków starożytności. Nie jestto praca filologa: do podrzę-

dniej raczej belletrystyki należy. Intencją moją było zainteresowanie ogółu czytelników najdostępniejszym środkiem, a zwłaszcza też zainteresowanie tej części uczącej się młodzieży, która z własnych już wewnętrznych popędów ukształcenia literackiego pragnie, wysokie jego zadania przeczuwa, a dla rozbudzonej imaginacji, dla wyrobienia gustu, potrzebowałaby nasamprzód utworów odznaczających się obok piękności, mianowicie prostotą treści i formy. Ze zaś płody nowożytnego ducha, z nierównie większem bogactwem przedmiotu, z dążeniami daleko szczytniejszemi, z poglądem daleko głębszym i wszechstronniejszym na ludzką naturę, z pałającą żywością interesu, z blaskiem i niewymownym powabem form urozmaiconych, z całą jednem słowem wyższością swoją nad pomnikami starożytnego geniuszu,—dopiero co wskazanym warunkom prostoty i elementarnej, że tak powiem, nadobności kształtów odpowiadać nie mogą:—prawda to już oddawna uznana. Nie Dante też i Szekspir, nie Raszyn i Kornel, tém mniej Gete lub Bajron pierwsze i mocne szczeble porządnego ukształcenia literackiego podają. Wyznać atoli potrzeba, że nabycie starożytnych języków do tego stopnia, aby bez wielkich przynajmniej przeszkód przekazanemi w nich pięknościami umysł swój cieszyć, bywa owocem wytrwałej tylko pracy i rzetelnego zamiłowania przy dobrych naukowych metodach, przy umiejętnem i ożywczem przewodnictwie, przy obfitęj w filologiczne dzieła literaturze. A przecież obok tego wszystkiego widoczny jeszcze przynoszą pożytek swobodne przekłady, gdy znużonemu mozolnëm komentarzy i słowników wertowaniem młodzieńcowi szlachetną dają rozrywkę i zachętę; reprodukując po artystowsku utwory wieków odległych, wartość ich odrazu odsłaniając, są one dla uczącego się powabną rękojnią płodności jego usiłowań, a dla uczącego dzielnym pobudzającym środkiem. W massie wreszcie czytających prace takowe rozpowszechniają wielkie wzory, umacniają przekonanie o potrzebie klassycznej edukacji, utrzymują szacowny związek umysłowych dziejów, wątek tradycyi wskazującej nam nasze duchowe pochodzenie, a jako surowe i trudne ćwiczenie mowy ojczyściej, podnoszą skalę wy-

magań w materji języka i stylu, a przeto zbawiennie na całą literaturę bieżącą wpływać muszą.

Myśmy się wprawdzie zamiłowaniem pracy umysłowej (i wszelkiej innej podobno), oraz wytrwałością w niej nieszczególnie dotychczas odznaczali, a filologicznej literatury albo nie mieliśmy nigdy, albo jej dziś przynajmniej nie posiadamy. Pomimo to jednak, a może właśnie dlatego samego, tłumaczenia poetów starożytnych mogą narodowemu ukształceniu prawdziwą wyświadczyć usługę, jeśli tylko zdołają zajęcie obudzić, co w znacznej części od nauczycieli i od pism peryodycznych zależy. Ażebym zaś tłumaczenia te stały się publicznej uwagi godnymi, powinny dwie kwalifikacye posiadać: piękne być muszą i w dobrém znaczeniu tego wyrazu efektowe; powtóre, niech sam tylko wybór obejmują. Przez efektywność rozumiem tu własność wywarcia poetycznych wrażeń; żywość i wdzięk mogące do pewnego stopnia ze współczesną poezją rywalizować. Żadną więc sztywnością i staroświeczyzną razić nie powinny, ani odstręczać czytelników wielością imion własnych, szczegółów i alluzji mniej ważnych i mniej popularnych, pociągających za sobą konieczność robienia częstych przypisków, zawsze wrazenie psujących, choćby też najkrótsze były. Ztąd nie idzie, aby wolno było tłumaczowi starożytnego poety w drugą wpadać ostateczność, to jest dla wydobycia żywszych efektów posługiwać się świeżemi dzisiejszej poezji wymysłami; uciekać się do romantycznych, że tak powiem, terminów i wyrażeń, których znaczenie nieokreślone i użycie dowolne; obrazów i porównań półcieniem i subtelnością wabiących, nowoczesnej tylko imaginacyi właściwych; tak jak z drugiej strony daremną byłoby rzeczą kusić się o usunięcie nazwisk i metafor mitologicznych, napomknień na tradycyę, wypadki i miejscowości, gdy takowe bądź do ogólnej i stałej charakterystyki starożytnego pojmowania rzeczy, bądź do szczególnej danego utworu są niezbędniemi: całkowicie też uniknąć przypisków nie ma sposobu. Na tém właśnie kunszt tłumacza zależy, ażeby w miarę utrafić.

Co zaś do drugiego z dwóch wspomnianych warunków, to jest wyboru, ten jest niemniej, owszem bardziej

jeszcze od pierwszego potrzebny i niemałą też trudność, w innym znowu kierunku, przedstawia. Sama zasada wyboru zdaje mi się niewątpliwą: wydawanie tłumaczeń kompletnych nie tylko starożytnych, ale nawet współczesnych obcych autorów jest dobrowolnym narażaniem się na obojętność publiczną. Mianowicie też co do liryków twierdzenie to żadnym nie może być osłabione wyjątkiem, bo ich natchnienie bezpośredniejsze i żywsze, a tym samym do współczesnych im i bliższych rzeczy wyłącznie zwrócone, z natury już swojej mniej interesujących dla potomności tworów produkować jest zdolne. Dodajmy jeszcze, że u żadnego natchnienie to na jednostajnej nie bywa wysokości, ani jednostajnie w wyborze przedmiotu i jego obrobieniu szczęśliwe. Sądzę, że materia ta w ogóle obejdzie się bez dalszych wywodów, a czas mi przystąpić do jej szczegółowego traktowania, to jest do wytłumaczenia się, dlaczego te, a nie inne z Horacyuszowych poezyj w przekładzie polskim ogłaszam, i za godne powszechniejszego u nas interesu poczytuję, co właśnie głównem jest niniejszej przedmowy zadaniem.

Dwojakie musi być uważanie wartości pisarzy starożytnych. Jako źródło do poznania i zrozumienia dawnej kultury, której najlepsze elementa chrześcijańska cywilizacja w siebie przyjęła, dzieła ich będą dla tejże cywilizacji wiecznie interesującymi, a zwłaszcza też z powodu szczupłej tych dzieł liczby, żadne w zapomnienie pójść nie może. W specjalniejszym znowu zakresie edukacji literackiej, niektórzy Grecyi i Rzymu pisarze dla zalet języka, stylu i kompozycyi są i pozostaną na zawsze niezbędnym środkiem porządnego kształcenia się umysłów, a przeto z rąk uczącej się młodzieży i jej światłych przewodników nigdy nie wyjdą. To jest tedy, jak się już o tym i wyżej nieco mówiło, starożytnych autorów ważność i wartość niezaprzeczoną, i im, można powiedzieć, wyłącznie właściwą. Ale w całkowitości ją uznając, godzi się i należy tym niemniej poetów, mianowicie greckich i rzymskich, inną jeszcze miarą, skoro się ich czytającej pywszechności zaleca. Należy przekonać się, czy i o ile znajduje się w nich to, bez czego nie mogliby mieć powodzenia i interesu poza murami

szkół i uniwersytetów, poza kółkiem filologów i literatów: przymiot kapitalny, którego w dziełach imaginacyi wszystkie inne razem nie zastąpią,—to jest twórczość; bo ona tylko jest powszechnie uznanym i nie zatartym tytułem do bezwzględnej sympaty i uwielbienia pokoleń i narodów. Związek umysłowych dziejów, wątek cywilizacyjnych tradycyj od Hellady i Lacyum przez wieków tyle aż do nas ciągnący się, massy nawet tu i owdzie czasami poczuwają, ale pośrednio, jednostronnie i bez przeświadczenia: dla dobrze tylko wykształconych widoczny on jest i wszechstronnie rozumiały; zalety zaś języka, stylu i układu, staranniejszej również edukacyi i delikatniejszego gustu wymagają, ażeby mogły być niezależnie od twórczości ocenione.

Kiedy się więc ogółowi czytających, jak powiadam, starożytnego (lub obcego) poetę zaleca, trzeba koniecznie pokazać, w czymto on i przez co mianowicie jest poeta, wieszczem głoszącym, tak jak zwyczajny człowiek nie potrafi, prawdy niezmienne, malującym uczucia wiecznie prawdziwe, poruszającym wielkie namiętności i wielkie interesa indywidualów i narodów w tej mowie natchnionej i kunsztownej, którą starożytni słusznie po swojemu językiem bogów nazywali. W tém się właśnie twórczość zawiera: nieśmiertelne dźwięki w zakresie cywilizacyi naszej zawsze pojęte i urocze, byleby je dobrze wyróżnić i w całej czystości usłyszeć. Każdy prawdziwy poeta ma jedną przynajmniej taką strunę indywidualną, na której jest mistrzem; jaśniej mówiąc, jedną przynajmniej ideę, silne uczucie, dążność, dla której najszcześniejsze znajduje natchnienia i formy, której staje się uprzywilejowanym niejako wieszczem. Bywa to czasem z wiedzą, częściej bez wiedzy, i pewno że częściej, bo inaczej mniejby poeci wierszy w interesie własnej swojej sławy pisali.

Przechodząc, bezpośrednio już do Horacyusza, i uczyniwszy sobie w duchu uwag powyższych zapytanie, jaka jest charakterystyczna i najwznioślejsza strona jego liryki, dająca mu prawo do powszechnego uznania, znajdziemy ją niezawodnie w patryotyzmie. Patryotyzm zastępujący poniekąd religią, pojęcie ojezyny jako istoty

moralnej, nieporównanie wyższej, potężniejszej i zacniejszej od każdego indywiduum, ba! nawet od wszystkich razem indywiduów narodu, przez którą i dla której naród cały eksystuje, walczy, cierpi i poświęca się; zaszczytem jej imienia się szczyli, wielkością chępli; jej symbola, jej hasła, jej znamiona idealne jak świętości uwielbia i wyżej od rzeczywistych i dotykalnych dóbr szacuje; przeciwników jej zawzięcie aż do niesprawiedliwości i okrucieństwa nienawidzi, a dla jej zdrajców nietylko słabości i pobłażania, ale miłosierdzia nawet nie zna — taki patryotyzm rzymskiej jest społeczności własnym produktem, a oczyszczony przez chrześcijańską naukę z tego co w nim zbyt jednostronne i nieludzkie, stanowi dziś jedną z najdroższych tradycyj starego świata, najszlachetniejszy może czynnik życia nowoczesnej Europy. Polityczna to idea w essencyi swojej, wielka w objawach, wszelkiemu personalizmowi przeciwna, wcale więc różna od pewnego naturalnego i pospolitego uczucia, przybierającego często toż samo imię, a niższego od niej o całą odległość interesu miejscowego od rzeczy publicznej, nąłogu od mocnych wierzeń i przekonań, powszedniości od ideału. Miłuje koczownik swoje stepy, góral swoje góry, wieśniak swoją okolicę; mieszkaniec miasta do murów jego i przyległości, do ulic niemal przywiązuje się; wrażenia dziecinne, wieku chłopięcego i młodzieńczego rozrywki i marzenia, szkolne i domowe nauki, związki rodzinne i serdeczne, stosunki sąsiedzkie, wspomnienia i pamiątki, urok krajobrazu urokiem własności podwyższony: wszystkie te żywioły z których wyrabia się i którymi podsyca się miłość kąta rodzinnego, albo ziemi rodzinnej, dajmy na to, ważne są niezmiernie i szacowne, boć one do samej treści eksystencyi ludzkiej należą; piękne jest więc i szacowne uczucie z nich wynikłe. Dalekim jestem od lekceważenia go i ponizania, zwłaszcza że ono przy pewnych warunkach zdolne jest nawet do wydania fenomenów prawdziwego patryotyzmu. Idzie mi atoli, dla materyi którą traktuję, o dobitniejsze określenie owego uczucia i odsunięcie na właściwe mu w życiu narodowym miejsce: dostateczne jedynie do przechowania pewnych stron indywidualności narodowej, nie

ma ono w sobie żadnego właściwie czynnego pierwiastku w ogólniejszym tego wyrazu sensie: nie przed się patrzy i działa, ale poza siebie ogląda się i tęskni. Wszakże takie w codziennój swojskości rozmiłowanie się, ta nasza rodzinność, że tak powiem, wiejsko-szlachecka ze swojemi prowincjonalnemi i powiatowemi predylekcyami, od lat już wielu prawie wyłącznie w literaturze naszej panuje, a po większej części w niepowrotnej przeszłości, materyałów i farb szukając do dziś dnia jednostajny swój urok na publiczność wywiera i wielkie ztąd literackie reputacye powstały. Wedle powszechnej u nas zgody, ma to być właściwie i osobliwie narodowy kierunek piśmiennictwa. Przedmiot mój głównie mając na celu, sędzę że dostatecznie dał do zrozumienia o ile, według mniemania mego odmienną jest w mowie będąca rodzinność od owego, patriotyzmu, wyrobionego w życiu politycznym starożytnego Rzymu.

Rzecz tedy naturalna, że wśród społeczności, która wydała taką ideę, znalazło się dla niej wyrażenie w literaturze; że się znaleźli poeci umiejący patryotyczne natchnienia w apostrofach pełnych siły i wzniosłości, w obrazach wspaniałych, w zdaniach szczytnych a zwyciężnością imponujących, unieśmiertelnić. Takim był właśnie Horacyusz. Świadek i współuczestnik wielkiej wojny domowej, która zniweczyła ostatecznie polityczną władzę senatu, a w ciągu swoim okropne tak w Italii, jak i w państwie całym sprawiła zniszczenie; świadek przywróconego następnie pod Augustem pokoju i pomyślności, jaką się znękane tylu klęskami imperyumu cieszyło, doznawał on boleści i obawy, gniewu i oburzenia na widok grożącego rzymskiej potędze upadku, na widok politycznego i obyczajowego rozprzężenia, przewrotom społecznym zwykle towarzyszącego; doznawał następnie głębokiego zadowolenia i radości, gdy niebezpieczeństwa minęły, i z bezprzykładną patryotyczną dumą zachwycał się jakby odrodzoną Rzymu ukochanego wielkością, wywołując najszczytniejsze starego heroizmu wzory. W peryodzie wojny domowej nader mało pisał, i okropne wrażenia jakie mu ona przyniosła widzimy raczej przebijające się w utworach jego późniejszych;

wspomnienia te, jakby cienie strasznych zjawisk, nigdy go wśród najdumniejszych nawet uniesień wielkości ściągają nie przestawały. Te wszakże uniesienia w kilkunastu krótkich, skąpo nawet, rzecz można, kto wie czy nie z umysłu, odmierzonych odach wypowiedziane, należą niewątpliwie do najpiękniejszych jakie kiedykolwiek obywatela i patrioty sercem oswładnęły; a nie mówiąc o wielkich natchnieniach religijnych, z których potęgą i wzniosłością nie ziemskiego równać się nie może, cóż jest, pytam się, szczytniejszego na świecie, co czystsze i piękniejszego nad uczucie świetnego położenia ojezyny, jej mocy, jej tryumfów, jej pomyślności? Którażto ziemska miłość dorówna tej w bezinteresowności swych pobudek, w wysokości swego ideału? Boskie tylko objawienie mogło człowiekowi wyższe prawdy pokazać i jeszcze idealniejszą natchnąć go miłością.

Smiem z tego powodu utrzymywać, że jeżeli w historii powszechnej literatury napotykamy nie jednego poetę z głębszym i rzewniejszym uczuciem, z imaginacją barwniejszą i gorętszą i z twórczością mianowicie większych wymiarów, to żaden zapewne nie przewyższa Horacyusza (mówię o jego odach patriotycznych) pod względem podniosłości natchnienia i górności polotu lirycznego. Zwróciwszy już uwagę czytelnika na ideę, z jakiej to natchnienie płynie, przypomniawszy jej pochodzenie i czynną obecność w społeczeństwach dzisiejszych, sądzę, że przygotowanego tym sposobem mocniej uderzy to, co i mnie uderzyło; że go przejmie ów, iż go tak nazwę, dreszcz patetyczny, jaki sprawiają wielkie uczucia i wielkie myśli wyrażone w strofach energicznych i surowych, albo uroczystych i wdzięcznych, a zawsze nacechowanych dobrze obmyślaną prostotą, która jest najrzadszym podobno, choć nie najkonieczniejszym poetyckiego stylu przymiotem. Z tej strony Horacyusz do pierwszorzędnych mistrzów należy. Jeżeli tedy czytelnicy dopatrzą bez trudności i uznają w podanych tu przekładach rzymskiego poety tę właśnie jego stronę, którą powyżej wyświecić i zcharakteryzować starałem się, to tym samym i wybór mój usprawiedliwionym będzie w ich oczach, a zarazem

prawo Horacyusza do sympatyi współczesnej, gdyż okaże się, że to jest rzeczywisty wieszcz wielkiej i do dziś dnia żyjącej idei.

II.

Tu będzie wszakże miejsce do przydłuższego zastanowienia się nad formą od patryotycznych w pierwszym oddziale niniejszego wyboru zawartych. Są one po największej części adresowane do Augusta i w każdej niemal władca ten z uwielbieniem jest wspominany. Z tej okoliczności powstała i do dziś dnia utrzymuje się bardzo niekorzystna dla osobistego charakteru Horacyusza opinia, mieszcząca go w rzędzie dworaków pochlebców i pochlebstwo tylko w najwznioślejszych jego utworach upatrująca. Zważając nader światowy, że tak powiem, nader lekki charakter przeważnie większej części lirycznych i innych poezyj Horacyusza, którejto lekkości sam poeta nie tylko nie wypiera się, ale owszém wyraźnie, jako jedyny właściwy sobie rodzaj uznaje i ogłasza; zważając ścisły i serdeczny, można powiedzieć, stosunek Horacyusza do Mecenasa, najpierwszego i najwierniejszego sługi Augusta, a osobliwie niesympatyczną, nieświetną osobistość i konduite tego ostatniego, duszę zimną, umysł bez wyższego polotu, obłudę i okrucieństwa jakimi się splamił, a dalej jeszcze, że wielbiciel poeta był niegdyś otwartym i zbrojnym tryumwira przeciwnikiem, że więc przy szczerzej nawet zmianie uczuć i opinii, przyzwoitość polityczna, godność własna powinna go była wstrzymać od tych entuzjastycznych wierszy na cześć zwycięzcy i to jeszcze niszczyciela patrycyuszowskich rządów, czyli tak zwanąj wówczas wolności;—zważywszy, mówię, to wszystko, niepodobna nie przyznać, że zarzuty Horacyuszowi czynione mają za sobą pozór uzasadnienia. A przecież uzasadnionemi nie są. Rekapitulowane dopiero co względy mają tylko konjekturalny i tendencyjny charakter i wcale wystarczałyby nie powinny do poniżania w oczach potomności uprzywilejowanych zwłaszcza natur.

Biografia Horacyusza mało jest znana. Syn dość majątnych rodziców choć niskiego pochodzenia, w ciągu starannie odbywanych nauk wszedł w stosunki z arystokratyczną młodzieżą. Tęto stosunki łącznie z wpływem liberalnej edukacji i panujących w niej tradycyj filozoficzno-moralnych, politycznych i towarzyskich, łatwo bardzo wytłumaczają nam przyłgnięcie młodzieńca z poetyczną wyobraźnią do partyi, z którą zkaładniad nie powinien był mieć nic wspólnego, pomimo jej historyczną zasługę i powagę, piękne hasła i znakomite na jej czele osobistości. Niepomysłny wypadek walki, strata majątku (zapewne przez tryumwirów skonfiskowanego, albo zrujnowanego przez nadzwyczajne w tak krytycznych czasach wydatki), brak wojskowego i politycznego powołania, a nadto i najbardziej może, dojrzałe zastanowienie się, musiały zmienić jego opinie, musiały go przekonać, iż piękne hasła, poważne tradycye, świetne osobistości jeszcze dobrej sprawy politycznej nie stanowią; że zacność rodu, wytworne obyczaje, ton arystokratyczny, a nawet polor umysłowy nie są dostateczną kwalifikacją do panowania i rządu. Roztropność Oktawiana, zbliżenie się z Mecenasem prawą jego ręką, i w ogóle pochlebne uznanie nowego talentu przez władzę i otaczające go osoby pogodziły Horacyusza do reszty z nowym porządkiem rzeczy, ba, nawet zrobiły go szczerym i entuzjastycznym onegoż zwolennikiem.

Wszystko to bardzo jest proste i bez uprzedzenia nie w tém ubliżającego charakterowi poety nie wykrywa się. Bez uprzedzenia niepodobna nie widzieć, że nie tryumwiraty i uzurpacye władzę i powagę senatu obaliły, ale dopiero skutkiem jej rzeczywistego upadku powstały; ten zaś upadek pochodził z bardzo wiadomych i po wszystkie czasy jednostajnych przyczyn upadku wszelkich innych władz i powag, to jest z wygaśnięcia enót prywatnych i publicznych, ze znikczemnienia i niedoświetła klasy uprzywilejowanej i rządzącej. Pretensye partyi senatu, czyli tak nazwanych optimatów, do kontynuowania dawnego trybu rzeczy już przez to samo fałszywemi okazywały się, że były w sprzeczności z postępowaniem tejże partyi w jej ostatnich walkach z re-

wolucyjnym stronnictwem. Dla powściągnięcia groźnych naczelników tego ostatniego, opierających się na wojsku, na gminnych i prowincjonalnych sympatyach, cóż głównie optimaci przedsiębrali? Oto wystawiali przeciwko nim inne potężne, wojskowe też i popularne znakomitości, abdykując na ich rzecz, jeżeli nie formalnie, to istotnie, całą swoją kollegialną władzę i powagę, i na ich dyskrecyją tym sposobem się oddając; wszystko to niedobrowolnie, ma się rozumieć, ale z musu, z uczucia własnej niemocy. Nic nie ma zbyt śmiałego w tej hipotezie, że odmienny bojów farsalskich lub filipijskich wypadek, alhoby nastąpione rozwiązanie tylko odwłókł, albo też dalby Rzymowi innych dyktatorów.

W takim stanie rzeczy polityczny program (po dzisiejszemu mówiąc) zwyciężkiej Cezarów władzy, zapewniający pokój, całość i bezpieczeństwo imperium, z zachowaniem pierwszeństwa Włoch; porządek materyalny z nieodłączną od niego pewną miarą dobrego bytu ludności; lepsze obchodzenie się z prowincjami; rozszerzenie tak ważnej jeszcze i istotnej w tej epoce prerogatywy obywatelstwa rzymskiego poza granice ówczesnej Italii i w ogóle poza granice dawniejszych wyłączości; nie mówiąc o innych pożytecznych reformach:— taki program jakkolwiek nieświatny, ale przecież wykonywany, więcej zawsze był wart od gospodarowania optimatów w ostatnim wieku rzeczypospolitej, a zwłaszcza też od wojny domowej.

Jeżeli zwolennicy dawnego porządku rzeczy bądź przez własny interes, bądź przez brak politycznego zmysłu uznać tego nie chcieli i nie mogli, to ztąd nie idzie, ażeby znaczna większość obywateli nie miała wówczas rozumieć i oceniać jak należy korzystnej w państwie odmiany, skoro ją dziś historia widzi. Kto nie mógł mieć udziału w interesujących i świetnych, choć ku końcowi bezpłodnych, krwawych i kosztem dobra ogółu odbywających się zapasach życia publicznego; komu wielkie imię, majątek lub patronat potężny nie otwierały drogi do wyższych godności cywilnych i wojskowych, do wszechwładnego rządzenia prowincjami wielkimi jak królestwa,— dla kogo to wszystko niedo-

stępniem było lub powabu nie miało (a w tém położeniu znajdowały się naturalnie całe massy tyłu narodów), ten musiał całym sercem aprobować władzę, która przez samo *factum* swojego utwierdzenia się położyła przynajmniej koniec rzeziom, pożarom i rabunkom, proskrypcyom, konfiskatom i kontrybucyom. Takie dobrodziejstwa, jakkolwiek bierne, musiały zjednywać i ludzi światłych z klass wyższych, ludzi nieobojętnych na publiczne swobody republikanizmu, ale widzących tém niemniej, że republikanizm się przeżył, i z melancholijném go tylko wspominających westchnieniem.

Lecz, powie ktoś, że daleko to jeszcze od tak trzeźwego i wymuszonego samą oczywistością ocenienia dokonanej pod Augustem rewolucyi, do owych niezmiernych uwielbień Horacyusza, u którego August w rządzie bogów, a rządy jego i stan państwa, jakby raj ziemski: przesada podwójnie rażąca w byłym oficerze republikańskiej armii. Słusznybyto był zarzut w głównej swój myśli, gdyby człowiek współczesny mógł oprócz wypadków i sytuacji na które patrzy, przewidzieć także dalsze i ostateczne ich następstwa; gdyby zamiast ulegać żywym wrażeniom bezpośrednim, cierpieć lub radości doznawać z tego, co się przed jego oczyma dzieje i w czém bardzo jest interesowany, mógł sobie spokojnie i bezinteresownie rozważać, obliczać i kombinować, jak to późniejsza czyni historia. W rozległych jój perspektywach osoby, wydarzenia, epoki całe snadniej się obejmują i sprowadzają do rzetelnych swych kształtów i proporcji; barwa ich jednak i szczegóły zacierają się częstokroć: to właśnie co współczesnych najbardziej zbliżka uderza. Łatwo to nam wiedzieć po kilkunastu wiekach, że era Cezarów nie spełniła pięknych nadziei, jakie sobie przy jój początku rokowano; datują nawet od niej przesilenie i chylenie się ku upadkowi rzymskiej potęgi, i w rzeczy samej państwo upadło—po pięciuset latach. Ale w chwili objęcia rządów przez Oktawiana, kiedy błogi spokój po tyłu wstrząśnieniach następował: bezpieczeństwo powszechne, odzyskanie rolnictwa, przemysłu i kunsztów, zakwitnienie handlu na Śródziemnym morzu, prawodawcze i administracyjne ulepszenia w różnych

kierunkach, wszystko to z poszanowaniem dla dawnych form republikańskich, nikomu podobno nie przychodziło do głowy, że taktowna i umiarkowana władza nowego dyktatora może się stać bardzo nietaktowną i nieumiarkowaną w innym ręku; tém mniej, że rozpoczynająca się era pomyślności wewnętrznej i niezrównanej potęgi uniwersalnej ma w sobie nosić zarody rozpadania się i śmierci. Takie jasnowidzenia nigdy udziałem człowieka nie będą i tém lepiej dla niego. Nadzieja z natury swojej różowego jest koloru, a położenia polityczne państw i ludów, rządów i dynastyj mają swoje miodowe miesiące, tak jak i małżeństwa, i nie można powiedzieć, żeby te miodowe miesiące były w swoim czasie fałszem dlatego, że po nich wcale co innego nastąpiło. Owszem, przynoszą one swoją miarę dobrego i cieszą się z nich miliony. Przebiegając całą historią powszechną, jakążto znajdziemy kwitnącą epokę w exystencji jakiego narodu, gdzieby nie można odszukać i wykazać pierwszych przyczyn klęsk nastąpić mających? Nigdyby więc społeczności i indywiduala spokojnie odetchnąć, głosu zadowolenia i radości wydać nie mogły! Szczęściem dla rodu ludzkiego, a z łaski Opatrzności, dosyć ma dzień na utrapieniu swoim: cierpi człowiek od obecnej niedoli, za to też i cieszy się szczerze obecną pomyślnością; co więcej, chętnie temu wierzy, że ona trwałą i coraz większą będzie i z pełni uczucia sam sobie w najlepszej wierze piękność danego momentu przesadza i uludne stwarza widoki.

Tak było zawsze w spokojniejszych, szczęśliwszych epokach życia narodów, tak było też i w wieku Augusta. Horacyusz nie jest wcale odosobniony w swoim patryotycznym optymizmie: Wirgiliusz, którego nikt, zdaje mi się, o służalstwo i interesowne schlebienie nie posądzał, wcale mu w tém nie ustępuje, i obaj poeci, ze wszystkiego co historia wie o owym czasie śmiało to powiedzieć można, wiernymi byli tłumaczami uczucia ogólnego: Nie od rzeczy tu będzie powołać się na zdanie wielkiego pisarza, wcale nie podejrzanego o stronność, ba, nawet o ścisłą względem Cezarów sprawiedliwość; zdanie mające tutaj, jak mniemam, wagę społecznego świadectwa.

Oto jest obraz ogólny stanu państwa i rządów imperium w poławie panowania Oktawianowego następcy, Tyberjusza, skreślony przez Tacyta w jego nieśmiertelnych rocznikach.

(Wykazawszy rozlokowanie sił lądowych i morskich na rozległych granicach, po prowincjach i w Italii i w ogóle wojskowe zasoby Rzymu, historyk tak mówi dalej).

„Nie zdaje mi się od rzeczy przydać tu jeszcze jako się miały za Tyberjusza inne rządu politycznego części, aż do tego roku, którego z odmianą pana wszystko się na gorsze odmieniło. Najprzód wszystkie sprawy publiczne i z prywatnych głównejsze w senacie roztrząsano. Każdy z radnych mógł śmieć mówić co rozumiał, a wpadających w pochlebstwo sam Tyberysz gromił. W rozdawaniu urzędów taki miał wzgląd na zacność przodków, rycerskie dzieła, biegłość w prawie i dziełach ojczystych, że mu każdy nieskażoną przyznawał sprawiedliwość. Konsulowie z pretorami mieli przynajmniej pozór władzy, a niższe magistraty zupełny jeszcze onę szafunek. Sądy szły zwyczajnym trybem gdzie tylko nie zachodziło prawo obrazonego majestatu. Zbożowe pieniądze z ceł, tudzież inne dochody rzeczypospolitej chodziły po arendach towarzystw rycerskiego stanu. Dobra swoje Cezar poruczał ludziom doświadczonej cnoty, często sobie nieznanym, lecz powszechną zaletą znakomitym; nie odmieniał też raz postawionych, tak dalece, że wielu z nich na tychże urzędach zestarzało się. Bywał czasem w mieście niedostatek żywności, lecz to nie pochodziło z jego winy, ponieważ wszelkiej pilności dokładał i żadnych kosztów nie żałował, zastępując straty od nieużytecznej ziemi i morskich szturmów poczynione. Przestrzegał także żeby się prowincje nowemi podatkami nie obarczały, a nałożone dawniej bez okrucieństwa i zdzierstwa urzędników łącznie znosiły. Nie smagano nikogo ani z dóbr łupiono. Rzadkie posiadał Cezar we Włoszech dobra, skromną chował czeladź i nie wielu wyzwolenców; jeśli miał z kim zatargi w sądzie się rozprawował; co lubo z niesmakiem, a częściej jeszcze

z gniewem i groźbami czynił, znosił jednak.” (Ann. ks. IV. 6. 7. tłum. Naruszewicza).

Jeżeli tak się wydała owa epoka Tacytowi patrzącemu na nią przez ciemną i krwawą perspektywę wydarzeń, które go od niej dzieliły; jeżeli jej tyle sprawiedliwości musiał odmierzyć ten nieubłagany sędzia bezprawia, fałszu i nikczemności, niewygasła w głębi duszy cześć i sympatya dla dawnego republikanizmu żywiący, — jakżeż powinna była wydawać się też sama epoka tym, dla których nastąpiła po strasznym politycznym kataklyzmie, jakby pogoda po burzy? tym, którzy nie smutne odmiany jej zachodu, ale poranek dobroczynny i nadziejami promieniejący oglądali? Cóż naturalniejszego w takich chwilach nad optymizm, nad zapal i uwielbienie dla tego w kim słusznie widziano uosobienie nowej ery; dla rozumnego, zręcznego i szczęśliwego Augusta, a zarazem Augusta tak łagodnego i skromnego po zwycięztwie. Miał ten władzca w braku geniuszu wielki rozsądek, rzadkie znawstwo siebie samego i doskonale oceniał swoje nadzwyczajne położenie. A nadto otaczał go od pierwszego już wystąpienia urok rzadkiej popularności, bo był dziedzicem imienia i polityki męża rzeczywiście wielkiego, jednego z największych w dziejach powszechnych, którego postać kłosalna wydaje się jak gdyby summa wszystkich własności rzymskiego geniuszu, jak gdyby wcieleniem jego zdobywczej i cywilizacyjnej misyi; a przez wieków tyle niezmiennie świetną jaśniejąc aureolą, natchnęła innemu geniuszowi najszczytniejsze dzieło dramatycznej literatury.

To Oktawiana po Cezarze dziedzictwo, główne jego szczęście, jest ważną nader okolicznością, a dziś ze świeżego przykładu lepiej niż kiedykolwiek zrozumiała; więc też nie ma wątpliwości, że ażeby spadek taki dźwignąć, niepospolitych na to sił umysłu i charakteru potrzeba. August je posiadał: jeżeli do jego przymiotów, aż nadto wystarczających do zaimponowania światu z miejsca tak wysokiego, dodamy jeszcze kompletne owoczesne wykształcenie, gust do literatury i kunsztów, prostotę i uprzejmość pożycia; to, mając zawsze na uwadze wszystko wyżej już powiedziane, nie znajdziemy zapewne nic

niezrozumiałego w tym blasku wielkości i wspaniałości, jakim przybrany syn Cezara olśnił swoją epokę.

Nie powinien nas téż, przy niejakiem zwłaszcza obeznaniu się ze starożytnemi wyobrażeniami religijnemi, szczególnie zdumiewać i gorszyć ów tytuł „boga” Augustowi przez opinią i przez wyroki senatu nadawany. Daleko było podówczas temu wyrazowi do najwyższego znaczenia, jakie ma dla chrześcian: policzenie w rządzie bogów było tylko rodzajem pogańskiej kanonizacyi. Przyznaje kościół świętość i pewną cześć ludziom, którzy w życiu swoim okazali wielkie wzory cnót chrześciańskich i ozdabia ich tytułami świętych i błogosławionych; czémś podobnym do takich bulli kanonizacyjnych przez najwyższą władzę kościelną wydawanych były dekreta senatu rzymskiego, także najwyższej władzy religijnej w państwie, przyznające „bóstwo”, stawianie posągów po świątyniach i inne honory wielowładnyin Cezarom, za ich cnoty i zasługi publiczne; polityczna bowiem Rzymian religia innych nie znała. Na tych formalnych względach kończy się, naturalnie, cała analogia: niedorzecznością byłoby szukanie dalszej; bo jeżeli Cezar i Oktawian za wielkie dzieła w pokoju i wojnie, za rzeczywiste przymioty polityczne mogli zasługiwać na beatyfikacją w pogańskim sensie, to cóż powiedzieć o tych zbrodniarzach i szaleńcach, którym niktzemny i drżący z przestachu senat, na wieczną rodzaju ludzkiego hańbę, bóstwo z pośpiechem dekretował. Nadużycia wszakże, a zwłaszcza późniejsze, nie przeszkadzają do zrozumienia zasady samej w sobie; przytoczone więc dopiero co uwagi wystarczają do oczyszczenia Horacyusza z zarzutu gorszącego serwilizmu w tém przynajmniej, czego on weale nie wymyślił i co miał wspólnego z wyobrażeniami i uznaniem swego społeczeństwa i epoki (1).

Co zaś do uczucia godności i przyzwoitości politycznej, nakazującej mu, jako byłemu Brutusa żołnierzowi, nie produkować się, publicznie przynajmniej, ze swoim

(1) Wszakże i surowy Tacyt pisze nieraz: „boski August” w różnych przypadkach.

nawróceniem, to w tej arcydelikatnej po wszystkie czasy i różnemu traktowaniu podlegającej materji to tylko w tym razie niewątpliwem mi się wydaje, że do Horacyusza niebędącego nigdy polityczną figurą, tem mniej przewodniczącą, lub chociażby tylko szczególnie odznaczoną w partyi optimatów, nie wypada stosować wymagań, od których opinia, ani może własne sumienie, pomimo zupełną bezinteresowność w zaszczytnej zmianie, nie uwalnia częstokroć ludzi pierwszorzędnych i stanowczo skompromitowanych. Do takich nigdy, w samym nawet zapale walki, nie należał Horacyusz, tak energicznie ubolewający nad wznowieniem wojny domowej w którym miał udział (patrz pierwszą Odę niniejszego wyboru). Nigdy też i nigdzie nie wypiera się on dawniej chorągwi: otwarcie owszem mówi o swoim pod nią służeniu; nigdzie nie złorzeczy dawnym wodzom, ani ich lekceważy: owszem z poważaniem ich wspomina; a tylekroć w poezjach swoich klęski minione rozpamiętywając, przemawia zawsze jak patriota w ogólności: boleść jego i oburzenie, mimo całą siłę, żadnej barwy zwyciężkiego stronnictwa nie nosi. I to wreszcie zanotować należy, że między kilkunastą patryotycznymi Odami trzy tylko pochwałę Augusta za wyłączny mają przedmiot; w innych osoba imperatora apostrofowana jest na wstępie lub przy zakończeniu: w niektórych zaledwie wymieniona.

Do napisania tak obszernego ustępu w materji, która niejednemu czytelnikowi uboczną wydać się może, dwie okoliczności tłumacza spowodowały. Pierwszą z nich jest to wzmiankowana już wyżej reputacya epikureizmu i lekkości, do której, wyznać potrzeba, sam Horacyusz aż nadto się przyczynił. Prawdopodobnie że był istotnym w życiu epikurejczykiem, lubo niewątpliwie w pierwiastkowym tylko, umiarkowanym duchu nauki. Nie brakło mu bardzo wysokiego o swoim talencie rozumienia, ale się w tém pomylił, że swobodny i wesół pogląd na życie, spokój duszy niczém nie zamięcony, lubowanie się w dźwiękach, kształtach, przyjemnych wrażeniach, umysłowy dyletantyzm, kombinacya i produkowanie wdzięcznych form, wydawały mu się właściwą tego talentu sferą, w której się z affektacyą zamykał, niby

w przybytku jakimś niezemijskim. Nie przeczuwał widać, że wszystkie te wykwinności, cały ten arystokratyzm literacki wraz z poetyzowaniem rzeczy powszednich i niemniej powszednią moralnością, nie stanowią prawdziwego wieszca, i że ów „pomnik trwalszy niż spiżowe” z innego musi być materiału. Nie jedyny to przykład i z literatury, i z życia w ogólności człowieka nieumiejącego się poznać na własnych zdolnościach i szukającego chluby wcale nie z tego, co rzetelną zasługę i sławę mu przynosi.

Drugą zaś okoliczność, dla której nad obroną Horacyusza i epoką Augusta rozwiódłem się, upatruję w stonkowanej nowości przedmiotu w naszej literaturze. Historia powszechna, a osobliwie starożytna bardzo jest u nas zanedbana; przy przeważném rzeczami krajowemi zajęciu, rzadko się na nią uwaga ogółu zwraca. Ztąd wynika, zdaje mi się, konieczność pobieżnego przynajmniej historycznych widoków przeglądu dla przypomnienia czytającym ważniejszych okoliczności politycznych, potrzebnych często do ocenienia objawów literatury i mianowicie pisarza, dla którego chcemy zajęcie obudzić.

III.

Wracając do formy lirycznych poezyj Horacyusza, to jeszcze zauważać się daje, że wzorowy z języka i stylu, grzeszy on w nich często nieharmonijnością i dziwactwem układu. Wstępy głównemu przedmiotowi nieodpowiednie i wyraźnie od niego, że tak powiem, odstające; zakończenia czasami niezręczne; w niektórych zaś odach nagle zwroty niczem nie dające się wytłumaczyć, gdzie związek między strofami po sobie idącemi z namysłem nieraz odszukiwać trzeba: oto są według mnie główne wady Horacyusza pod względem kompozycji. Można jeszcze do nich dodać przesadną krótkość. Trudno jest wszakże wady te nieudolności przypisywać, skoro np. w *hymnie stuletnim* i w innych utworach doskonale i pod tym względem widzimy wykończenie; mniemałbym, że należy je raczej odnieść do jakiejś

manierę współczesnej, z naśladownictwa może Greków wynikłej. Afektacja dytyrambicznych rzutów, niedbałe a raptowne skoki musiały za oryginalność uchodzić; toż samo i zaczynanie od czego innego niż to, o czem się ma mówić. Jeżeli zresztą wiersze śpiewane były i z akompaniamentem muzyki, to zapewne, że wady takie znikają prawie dla słuchaczy.

Możnaby było dodać dwie lub trzy jeszcze ody do pierwszego oddziału; opuściłem je dla ich niejasności, dla niekompletnego wrażenia, jakie czynią. Wolę zresztą, aby mi zarzucano, że coś godnego uwagi opuściłem, niż że wiersze bez wartości tłumaczyłem.

Drugi oddział mego wyboru składa się z trzech kompozycji jedynych w swoim rodzaju między Horacyuszowemi. Rodzaj zaś nie łatwy jest do zdeterminowania, a rzeczywiście oryginalny i piękny. Możnaby w nim upatrzeć daleką jakąś analogią z nowożytnemi legendami albo balladami, ale to dosyć daleką. Osobliwsza wyrazistość kształtów i plastyczna jakoby ich gracia przywodzą na myśl doskonale owe starożytne płaskorzeźby lub kamee, na wagę złota cenione. W tych, że je tak nazwę na razie, mitologiczno-heroicznych legendach nie powieść lub akcja jest przed nami, ale raczej sytuacja z rzeźbiarską oddaną wypukłością i zachwycającą prostotą. Pierwsza z nich: „Wieszczba Nereusza”, mniej uderzająca od dwóch następnych, zdała mi się wszakże godną przekładu, choć być może, że mogłaby być opuszczoną, gdyby było więcej takich jak do Merkurego i Galatei. I tu znowu szczerze żałować przychodzi, że Horacyusz zaniedbał rodzaj poezyi, w którym takie okazał mistrzostwo; kilkanaście, kilkadziesiąt nawet legend podobnych byłyby zbiorem większej poetycznej wartości niż *Metamorfozy* Owidyusza, a w każdym razie godniejsze zainteresowania, niż tyle innych ulotnych i okolicznościowych wierszy.

Wybrawszy z tych ostatnich to co mi się charakterystyczniejszemu, piękniejszemu i dostępniejszemu wydało, złożyłem trzeci oddział wyboru. Prawdziwej poezyi mniej tu daleko, ale też same zawsze przymioty stylu: moc, prostota, wdzięk. W odzie do Kaliopy uroczysto-

ścią tonu, ale obok tego brakiem kompozycji i niezrozumiałymi przejściami odznaczającą się, obwołuje Horacyusz swoje wyłączne poetyckie powołanie, opiekę Muz nad swoją osobą, a następnie jako rodzaj kontrastu, próżność nierozumnego w siłę materyalną ufania mitologicznymi przykładami uwydatnia, wskazując jak potężne bogi karzą zuchwalstwa przeciw nim popełnione i dając przez to do zrozumienia, że umiarkowanie najlepszą jest w życiu drogą. Takiego pogańskiego moralizowania dosyć u niego napotkać można; o ile ze szczerzej religijności pochodzi, decydować nie śmiem. W odach do Deliusza i Grosfa znajdzie czytelnik próbki licznej bardzo kategorii wierszy z jakiejś okazji małej wagi, albo i bez okazji do różnych rzymskich panów adresowanych; światowe to i puste w ogólności rzeczy, morały najtańszego gatunku; wytwornym jednak językiem w artystowskich ułożone strofach bardzo podobać się mogły; gdzieś niegdzie trafia się i myśl poważna, zwięzłe i pięknie powiedziana. Nie masz poety, któryby przy obszernych towarzyskich stosunkach nie był zmuszony wierszy podobnych pisać, to na imieniny, to na urodziny, to w imionnikach i albumach przyjacielskich; Horacyusz pisał ich dużo i zapewne z upodobaniem odpowiedniemu upodobaniu, jakie miano w czytaniu tych wdzięcznych i lekkich płodów jego muzy. Możliwość tu zaiste ważny zrobić zarzut: czy przystało takiemu poecie propagować niejako swoim talentem próżniacze tylko rozkoszy życia używanie, gnuśny spokój? inaczéj mówiąc, egoistyczną obojętność na sprawy publiczne, tytułując to wszystko skromnym przedstawianiem na darach losu i bezinteresownością filozoficzną? Czy wieszcz, który tak wspaniale majestat i pomyślność Rzymu podziwiał, który z nieporównaną malował energią nieludzki Regula patryotyzm, czy wielbiciel heroizmu Pawła Emiliusza nie powinien był raczéj podniecać możliwych swych przyjaciół do życia czynnego i użytecznego państwu, do pogardy powszednich przyjemności dla celów wyższych? Zapewne. Trzebaby tylko wiedzieć o ileby taka rola stosowna była do czasowych okoliczności i usposobień publicznych. Nie wiele jest historycznych źródeł z téj epoki;

ogólne muszą nam wystarczyć skazówki. Otóż zdaje mi się, że kto wiedział, a po części widział co kosztowała Italia i świat cały ówczesny rozigrana ambicya panów; kto się przekonał o ich nieudolności, jako klasy do kierowania wielkimi interesami, ten mógł myśleć, że z dwojga złego lepiej, żeby sobie dostatków swoich spokojnie używali, niż żeby mieli wyższe jakieś pretensye, mogące być zupełnie nieodpowiedniemi nowemu porządkowi rzeczy i ustalającej się dopiero władzy. Nie trzeba tego zapominać, że brakowało wówczas bardzo wielu otwartych dziś dla człowieka możnego zawodów działalności dla publicznego dobra, poza właściwą sferę polityki; zawodów w których widzimy jak pięknie i dobroczynnie bogactw swych użyć, jak szlachetnie zdolności swe i gorliwość okazać można. Ekonomia materialna społeczeństw, moralne i umysłowe podźwignienie mass nie mogły być w ówczesnym stanie pojęć i kultury ważnym przedmiotem uwagi publicznej; filantropia z Chrystyanizmu dopiero wynikła. Ogólny obraz stanu umysłów pod Augustem jaki znajdujemy na początku Tacytowych roczników przedstawia nam dosyć analogii z tém, co widzimy dokładnie w historii nowoczesnych przewrotów politycznych: przywrócony po wielkich wstrząśnieniach, po peryodach bezprawia, gwałtu, przestachu, pokój i bezpieczeństwo, prowadzą za sobą reakcyą bardzo spokojnych usposobień, wielkie upodobanie w używaniu tego właśnie dawno nieznanego bezpieczeństwa li dla siebie aż do zapomnienia się, albo umysłnej nawet obojętności na sprawy publiczne, owszem z afektacyą nieograniczonego w zbawczój władzy zaufania. W wielu poezyach Horacyusza można odbicie się i wyrażenie takiego stanu umysłów upatrywać; to jednakże wiemy z pewnością, że umiał ten poeta przemawiać stosownie do osób, które wierszami swemi obdarzał. Poważnych mężów nie zachęcał do picia i leżenia przy strumyku, ani też częstował ich ogólnikami o złotej mierności, o znikomości życia i niechybnej śmierci. Dowodem tego piękna i wzniosła oda do Azyniusza Polliona, albo wiersz do przyjaciół: „Angustam amici”,... pełen mężkich, prawdziwie rzymskich myśli, choć wcale

nie zalecający się układem. Nie bez przyjemności odczytaną będzie, jak mniemam, oda do Pompejusza Wara: jest w niej pewna serdeczność przyjacielska, mogąca przypomnieć nie jednemu własne jego osobiste stosunki i okoliczności. Odę do Mecenasa niczem nie odznaczającą się, dlatego jedynie przetłumaczyłem, że to najpospolitsze, zdaje mi się, na szkolnych ławkach ćwiczenie; niechże więc stara ta wszystkich uczących się znajomość znajdzie i tutaj swe miejsce. Do Mecenasa dużo wierszy Horacyusz napisał, ale, rzecz szczególna, że żaden wyższą myślą nie jest nacechowany; żaden w moich oczach na szczególną uwagę potomności nie zasługuje. Kto wie czy nie sama bliskość i poufałość stosunku były tego przyczyną.

Ostatni wiersz, do Melpomeny, w bardzo szczęśliwym i proroczym istotnie uniesieniu pisany, należy, jak sądzę, do najdoskonalszych w całym wyborze, tak co do formy, jako też wysokości tonu i prawdziwego zapału lirycznego. Podziwiać trzeba talent, któremu uczucie własnej wartości i nadzieja sławy nieśmiertelnej tak szczytne potrafiły natchnąć wyrażenie; zwięzłości tylko zbytecznej, braku rozwinięcia żałować w nim trzeba.

Z erotycznych płodów Horacyusza, których dosyć wydał, nie nie przetłumaczyłem, nie widząc w nich najmniejszej wewnętrznej wartości dla dzisiejszego czytelnika.

Liryczne poezye w czterech księgach (nie licząc Hymnu stuletniego) zawarte, mniejszą tylko połowę dzieł Horacyusza stanowią. Napisał prócz nich dużo satyr i listów, a także słynną w dziejach literatury, a mianowicie krytyki literackiej, rozprawę wierszem „o kunszcie poetyckim”. Satyry te i listy jakkolwiek pięknie pisane, trafnych i dowcipnych pełne myśli i spostrzeżeń, oraz szczegółów życia współczesnej epoki, a przeto nader szacowne z historycznej strony, nie mogą przecież jako utwory imaginacyi wysokiego zajmować miejsca, a tém mniej publiczność tegoczesną interesować. Są więc po za zakresem niniejszej mojej pracy, chociaż nie wątpię, iż przy większym u nas zajęciu się starożytnością, znalazłby się zdolny i uczony literat, któryby i tę ważną część pism

rzymskiego poety z potrzebnem ożywieniem obrobić i ze strony najbardziej pociągającej wystawić potrafił.

Co do różnych rodzajów wiersza, jakich w przekładach moich używałem, to mam tylko do powiedzenia, że nie widząc żadnej prawie między polskimi i łacińskimi wierszami analogii, starałem się w ogólności o reprodukowanie za pomocą polskiego języka i wersyfikacji tego samego wrażenia, jakie na innie oryginal uczynił.



I.

1.

DO LUDU RZYMSKIEGO (1).

Quo, quo scelesti ruitis....

Dokąd przebóg! Więc znowu, niezbożny narodzie
 Broń chwytasz dłonią zuchwałą!
 Toż nie dosyć po łądach, nie dosyć po wodzie
 Krwi się łacińskiej rozlało?

Czy może nienawistną Kartagę pokona
 Ten oręż w rzymskiej prawicy?
 Czy niezbitego dotąd sprowadzi Bretona
 W więzach po świętej ulicy?

O nie! Zniszczenia pragną ojczyzno grodu
 Dla pociechy wroga Parta!
 Od lwów gorsi i wilków; boć własnego rodu
 I bestya szcedzi zażarta!

Porwaniście wściekłością, czy nadludzka siłą?
 Mówcie: co wam wależyć każe?
 Milezą: Zdrętwienie szalu umysły przeszło,
 Błądźcą zbielały twarze!

Tak jest: to nas porywa losu kolój mściwa!
 Bratobójstwa cięży brzemień!
 To o pomstę fatalna krew Remusa wzywa
 Na wieki wsiąkła w tę ziemię!

(1) Z okoliczności wojny domowej między triumwirami i republikańską partją.

2.
DO RZYMIAN.

Rzymianinie! za przodków twoich winy
Będiesz cierpieć, póki świątyn twych z ruiny,
Gmachów bóstwa nie dźwigniesz zniszczonych
I posągów dymem oszpeconych.

Ześ w pokorze czcisz bogi, rządysz światem;

Wzrost twój cały i potęga stoją na tem;

Zaniedbani bogowie ciężkimi

Odpłacili klęskami twęj ziemi.

Dwakroć nasze ukarał wróg napady

Przedsięwzięte bez augurów wieszczęj rady (1);

Teraz dumny do lichych swych strojów,

Łupy dodał ze zwyciężkich bojów.

Ledwie grodu w zamieszek strasznej chwili

Etiopy i Dakowie nie zniszczyli (2);

Tamci groźni z niezliczonej floty

A ci celne puszczający grotę.

Wiek obfity w wymysły bezceństwa

Wprzód potargał węzły rodu i małżeństwa;

Z tego źródła zarazy obfite

Każą naród i rzeczpospolite.

Dzisiaj panna, zaledwie że dojrzała,

Greckich tańców już się uczy, łamań ciała,

I nie jedna od lat młodocianych

O miłostkach marzy zakazanych.

Więc też potem i mąż jej nie przeszkodzi

Szukać coraz świeżych uciech pośród młodzi;

Pan ucztuje, a w zakęcie domu

Pani pieści gacha pokryjomu.

Inna z wiedzą małżonka rzuca łożę,

Gdy posyła po nią handlarz jaki może,

Czy też patron z hiszpańskiego statku,

Hojny płatnik brzydkiego wydatku (3).

(1) Mowa tu o dwóch niepomysłnych wyprawach przeciwko Partom: tryumwira Krassa i Antoniuszowego legata Didiusa Szazy; pierwsza miała miejsce w 59 r. przed Chr. (za pierwszego tryumwiratu), druga we 20 lat później.

(2) W wielkiej wyprawie Antoniusza i Kleopatry przeciwko Oktawianowi miały udział kontyngensa afrykańskie, azyatyckie i wschodniej Europy, i zresztą Etiopów można tu brać poprostu za Egipcyan główną siłę morską Antoniusza stanowiących.

(3) Te dwie strofy, jedyne w niniejszym wyborze niestosowne dla szkolnej młodzieży, mogą być bez wielkiego uszczerbku całości opuszczone w oddzielnym wydaniu, jeżeli się takowego praca moja kiedy doczeka.

O! nie takie żołnierzów nam rodziły,
 Co przemogli Annibala groźne siły,
 I zboczyli punicką krwią morze,
 Na Azyatów wcisnęli obroże!
 Tamto było rolników bitne plemię,
 Jędrna młodzież nauczona orać ziemię,
 I nieść łoży z ukorzoną głową,
 By zdać liczbę przed matką surową (1),
 Skoro słońce ku ziemi nachylone,
 Odrzuciwszy cienie gór na drugą stronę,
 Miłą porę wczasu zapowiada,
 I z znużonych wołów jarzmo spada.

Niszczącego czasu smutne ślady!
 Mniej już warci są ojcowie niżli dziady,
 A my, naszych nie warci rodziców,
 Gorszych jeszcze zostawim dziedziców.

(1) Uprzedzam czytelników, którzy pracę niniejszą pilniej z oryginałem porównywać raczą, iż po dobrym namyśle odważyłem się odstąpić w tym miejscu od przyjętego powszechnie rozumienia. Byłoby to ład w gospodarstwie, gdyby wracający z pola po całodzienniej pracy ludzie, mieli dopiero znosić drwa na ogień, przy którym ich wieszczą gotować się miała? Byłoby podobieństwo wstania nazajutrz o świcie do nowej pracy? Powtóre, gdyby tu szło o noszenie drzew na ogień, wyrażenie *ad arbitrium severae matris* byłoby zupełnie zbyt czułym; Horacyusz, jak wiadomo, obfitością wyrażań nie grzeszy, owszem w przeciwną wpada ostateczność.

Lubo więc za zuchwalstwo prawie możnaby dziś uważać wszelką pretensją (u nas zwłaszcza) do wynajdowania czegoś nowego w poezjach Horacyusza, będących od wieków tyłu przedmiotem najpracowitszych badań najuczestniejszych filologów; gdy przecież własne przekonanie najdroższą tu jest dla człowieka rzeczą, wybaczą mi znawcy, żem wołał uciec się do hipotezy, niż powtarzać to, czego z rozsądkiem moim pogodzić nie umiałem. Wołałem przypuścić, że wyrażenie: *recisos portare fustes ad arbitrium severae matris* wskazuje na jakiś patryarchalny staro-latyński obyczaj: synowie w domu i czeladź z pola wracająca zdawali formalnie sprawę z całodziennych zatrudnień i innych okoliczności; przyczem składali pęk łoż, czy też kijów, boć to jest pospolite znaczenie wyrazu *fustis*, na znak gotowości wycierpienia kary, gdyby takowa z osądzenia i rozkazu surowej matki wypadła.

3.

DO PRZYJACIOŁ (1).

Nunc est bibendum....

No, przyjaciele, pijmy teraz śmiało!
 I w taniec stopy lekkimi!
 I bogom uczłą dziękujmy wspaniałą
 Że wrócił pokój na ziemi.
 Bo nie czas było stare ciągnąć wino,
 Co je sklep naddziadów chowa,
 Gdy państwu zgonem, grodowi ruina
 Dumna groziła królowa—
 Z tłumem rzerzańców nikczemnych, swywolna
 Od nadmiaru powodzenia,
 A w żądz przesycie pragnąć już nie zdolna
 Niczego, oprócz zniszczenia.
 Ale szal minął, gdy w jedynéj nawie
 Ledwie uszła z pośród kłęski;
 Głowę od winnych parów zaszą prawie
 Wytrzeźwił Cezar zwycięzki,—
 Tuż za nią pędząc od Epiru brzegów,
 Jak jastrząb gołębie drzące,
 Lub rączy strzelec wśród Tessalii śniegów
 Trwożliwe ściga zające.
 Chciał z niéj ozdoby tryumfowi swemu,
 Lecz mężka duszy jéj siła:
 Miecza nie zlekła się po niewieściemu,
 Tułackim życiem wzgardziła,
 I na własnego pałacu zwaliska
 Pogodném patrząc się okiem,
 Srogiego węża do piersi przyciska,
 Zjadliwym ją poi sokiem!
 Więc po ulicach zwycięzkiego miasta
 Nie poszła w łańcuch okuta,
 Wyborem zgonu hartowna niewiasta,
 Z państwa nie z dumy wyzuta!

(1) Z okazji zwycięstwa Oktawiana pod Actium nad Antoniuszem i Kleopatram odniesionego, a którego następstwem była śmierć tych obojga i jedynowładztwo Oktawiana.

4.

DO AUGUSTA CEZARA.

Jam satira.....

Dosyć już gradu i śnieżnych zamieci
 Od wszechwładnego znieśliśmy rodzica;
 Dosyć już świątyn na postrach złych dzieci
 Zbrojna piorunem zniszczyła prawica!
 Że przełęknione drżały już narody,
 By nie powrócił wiek Pirry (1), obfity
 W dziwy okropne: gdy swe morskie trzody
 Zganiał Proteusz na gór stromych szczyty,
 A ponad ptaków wysokie siedziby,
 Po zaburzonym do dna oceanie,
 Ponad drzew wierzchy, przepływały ryby,
 I wśród nich trwożne miotaly się łanie.
 Wszak widzieliśmy wody Tybru płowe
 Jak wstecz od morza rzuciły się wzdęte,
 Pomniki Rzymu rozwalić gotowe,
 Ołtarze Westy powywracać święte.
 Do zemsty skory, na swęj Rei żale (2)
 Małżonek-Tyber dzikim szumiął gniewem;
 Whrew Jowiszowi, rozhukane fale,
 Brzeg lewy (3) strasznym niszczyły wylewem.
 Nieliczni, z winy swych ojców, synowie (4)
 Słyszą o walkach, gdzie obywateli

(1) Te wyrazy jako i następny opis odnoszą się do potopu znanego w bajecznych podaniach pod nazwą potopu Deukaliona i Pirry; Proteusz morski bożek, syn Neptuna, był pasterzem morskich cieląt (fok) swojego ojca.

(2) Ród Juliuszów, do którego Kajus Cezar dyktator należał, wywodził się od Eneasza, następnie przez szereg królów Alby, od Westalki Rei Sylwii i jej synów Romulusa i Remusa. Według niektórych podań była ta Rea małżonką Tybru; otóż poeta wyobraża tu sobie że wylew Tybru był skutkiem mściwych iustygacyi i żalów jakie rozwodziła owa prababka rodu Juliuszów z powodu zamordowania dyktatora. Nie chwali tego powolnemu małżonkowi Horacyusz; owszem utrzymuje, że sam Jowisz, jakkolwiek karcący, takby się nad Rzymem nie pastwił; dlatego wtrącone wyrażenie *wbrew Jowiszowi*.

(3) Na którym stoi Rzym.

(4) To nieco ciemne wyrażenie tak wypada rozumieć: że gdy mnóstwo obywateli w domowych wojnach wyginęło, nie zostawili więc tyle potomstwa, ileby zostawić byli powinni, gdyby wiek swój przeżyli.

Miecz wzajem tępił, zamiast co Persowie
 Od jego ciosów wyginąćby mieli!
 Jakiż bóg, ludu wzruszony klęskami
 Upadające miał państwo podnosić?
 Jakież miały Westalki modłami
 Swoję niechętną boginię uprosić?
 Dla kogóż Jowisz zapomni o winie?
 Kto go przebłaga? Aż oto natchniona
 Twoja zstępuje postać, Apollinie,
 Białe obłokiem okrywszy ramiona!
 Alboś ty może, Wenero, zstąpiła,
 Której śmiech towarzyszy i Kupido,
 Lub ciebie, ojczy Kwirytów, ruszyła
 Żalność nad twoich potomków ohydą?
 Boś zbyt już długiem igrzyskiem uczczony,
 Wojenną wrzawa, zbrojami lśnącemi
 I Maura srogim wzrokiem, gdy schylony (1)
 Rannego wroga dobija na ziemi.
 Albo nareszcie ty, skrzydlaty boże
 Synu cnej Mai, w tę młodzieńcza postać
 Zszedłszy na ziemię, wcieliłeś się może,
 Dla nas Cezara mścicielem chcąc zostać (2).
 Ktokolwiek jesteś, dobroczyńco ludu,
 O! nie chciej prędko do nieba powracać,
 Dla złości naszych, dla ciężkiego trudu,
 Twego pobytu między nami skracać!
 Pozostań ojcem i władzcą Kwirytów,
 I ziemskiej chwały zamiluj ołtarze,
 A już nie ujdą harce dzikich Scytów
 Bezkarnie, pod twą przewagą Cezarze!

5.

Coelo tenantem credidimus Jovem...

**Jowisz grotami straszny ognistemi
 Jedynie dotąd czczony był za pana;**

(1) Ta wzmianka o Maurach szczególnie Marsowi przyjemnych, pokazywać się zdaje, iż Afrykanie w wojskach rzymskich służący szczególną zaciętością i okrucieństwem w boju odznaczać się musieli.

(2) Cały ten ustęp zaczawszy od wyrazów: *aż oto natchniona...* jest pysznem kadzidłem dla Augusta. Poeta nie przypuszcza żeby taki dobroczyńca państwa był pospolicym śmiertelnikiem; domyśla się tedy, że to musi być chyba który z bogów; pyta się więc czy to Apollo, czy Mars, ojciec Romulusa i Remusa, czy Wenus matka Eneasza, czy Merkury.

Dziś boski August jest panem na ziemi,
 Gdy mu Brytania i Persya poddana.
 A dawnoż jeszcze, jak Krassa żołnierza
 (O obyczajel o rodzinne progi!)
 Dla obcych dziewczek przynieśli w ofierze
 Zaszczyt rzymskiego puklerza i togi (1)!
 O wieczna hańbo! syn włoskiej ojczyzny,
 Nad rolą teścia Azyaty schylony,
 W poddaństwie Medów doczekał siwizny,
 Gdy Jowisz bogiem, gdy Rzym niewzruszony!
 Takiejto właśnie lękał się szkarady,
 Bo ta i przyszłym wiekom się udziela,
 Ów mężny Regul, gdy radził układy
 Zerwać podane przez nieprzyjaciela,
 I nie żałować, chociaż marnie zginie
 Tysiące jeńców, pośród obcej ziemi.
 „Widziałem, rzecze, puniokie świątynie
 Przyozdobione sztandary naszymi!
 Widziałem miecze, z żywych rąk wydarte,
 Potem też same ręce skrępowane,
 A bramy wroga na roścież otwarte
 I pola jego wokoło uprawiane!
 Czy może jeńcom tym przybędzie cnoty,
 Kiedy ich wolność złotem odzyskacie?
 Przybędą tylko koszta do sromoty!
 Farba splamionéj nie pomaga szacie,
 Ani też ujmę na naszym honorze
 Spodlony żołnierz powetować zdoła.
 Przedzój do walki łania stanąć może,
 Gdy ją myśliwce obsaczą dokoła,
 Niż się w odwagę nikczemnik uzbroi,
 Co się zląkł śmierci, broń haniebnie cisnął,
 Niż w nowéj bitwie przed wrogiem ustoi
 Komu raz powróz na karku zawisnął,
 Dla kogo życie radością jedyną,
 Że go aż szukał, tchórz, na Marsa polu!...
 O! jakżeś wielka dzisiaj, Kartagino!
 Wielka, niestety, z hańby Kapitolu!”

(1) Znowu wzmianka o nieszczęśliwej wyprawie Krassa przeciwko Partom; większa część wojska jego poddawszy się nieprzyjacielowi osiedlona była, jak ztąd się pokazuje w jego krajach, i tam sobie, ku sromocie rzymskiego imienia nowe znalazła familie i nową niby ojczyznę. Party, Persy, Medy za jedno u poety się biorą, jako ludy sąsiedzkie i wapólnemu ulegające panowaniu, które od jednego z nich do drugiego przechodząc, zawsze się atoli nad wszystkiemi rozciągało.

To powiedziawszy, szlachetném obliczem
 Przypadł do ziemi, niby pozbawiony
 Praw Rzymianina w stanie niewolniczym;
 Nie chciał uścisków dzieci, ani żony,
 Póki senatu chwiejącej się rady
 Na swoje wreszcie nie przechylił zdanie—
 Jedynie w dziejach! poczem, wśród gromady
 Smutnych przyjaciół, głuchy na ich łkanie,
 Na rozpacz ludu, co mu zaszedł drogę,
 Wracał bohater niezachwianym krokiem,
 By się w niewolę oddać, gdzie go srogie
 Czekały męki, i spokojném okiem
 Żegnał pokrewnych, klientów i sługi.
 Rzekłbyś, że miejskie załatwiwszy sprawy,
 Wyjeżdża sobie, chcąc miesiąc i drugi
 Na wsi wypocząć od stołecznej wrzawy!

6.

Justum ac tenacem propositi virum....

Prawego męża postanowień mocnych,
 Ani szłał ziomków do złego wiodący,
 Ani tyrana wzrok gniewem płonący,
 Ani gwałtowny pęd wiatrów północnych,

Ani pioruny które Jowisz ciska,—
 Nie zdolne wyprzeć z gruntu tęgiej duszy;
 Świat niech się cały na niego obruszy,
 W nieulekłego uderzą zwałiska!

Takąto cnotą Pollux wiecznie żyje.
 I tułacz Alcyd górne zdobył progi;
 Z nimi tam August, siadłszy między bogi,
 Purpurowemi usty nektar pije.

Takto i Bacchus, dobroczyńca ziemi,
 Do jarzma zaprzągl tygrysów okrutnych,
 Tak też od brzegów Acheronu smutnych
 Uszedł Kwirynus końmi Marsowemi.

I już bez gniewu mówiła Junona
 Na radzie bogów: „Płochych ludzi dwoje
 W perzynę wreszcie obrócili Troje:
 Niebaczny sędzia i niewierna żona.

Odkąd umowę zawartą z bogami
 Laomedona pogwałciła zdrada (1),
 Gród ten wyklełam i ja i Pallada
 Z jego przewrotnym ludem i królami.

Lecz dziś, spartańskiej gość cudzołożnicy,
 Oddawna Parys nie świłci chelpliwy,
 I ród Priama wyginął zdrażliwy,
 I nie masz groźnej Hektora prawicy.

Ów bój wszak nasze żywiły niesnaski!
 Dziś już nie widzę do gniewów powodu;
 Więc choć potomka niemilego rodu,
 Przyjmę kapłanki syna do mej łaski (2).

Marsowi gwoli niech się skończy sprawa:
 W dziedzinie światła niech Romul zasiędzie,
 I policzony w nieśmiertelnych rzędzie,
 Niech się wraz z nami nektarem napawa.

A ci, co wówczas uszli od zagłady (3),
 Gdzie chcą niech władną, nie przeszkadzam wcale;
 Byle dzieliły Oceanu fale
 Od Ilionu wygnaćże osady.

Byle Parysa grób deptały stada,
 I zwierz się gnieździł pośród zwalisk Troi,
 Niech w blasku chwały Kapitolium stoi,
 Niechaj Rzym jarzmo na Azyatów wkłada.

Niech imię jego wszędy strach rozsiewa
 Do krańców w ziemi: gdzie morska ciałina
 Od Europy Afrykę odcina,
 Gdzie Nil szeroko równiny zalewa.

I niech mu będzie łatwiej gardzić złotem
 (Oby zostało w ziemi bez użytku!),
 Niżli przerabiać dla wymysłów zbytku
 Kruszec nabyty ludzką krwią i potem.

Niechaj bitnemi poskramia szeregi
 Każdego wroga, w każdej świata stronie,—
 Czy która wiecznym ogniem Feba płonie,
 Czy ją mgły kryją i deszcze i śniegi.

(1) Laomedon ojciec Priama nie wynagrodził, wbrew zawartej umowie, Neptuna i Apollina za wzniesienie murów Troi.

(2) To jest Romulusa, syna Westalki Rei Sylwii.

(3) Eneasza i jego towarzysze praojcowie ludu rzymskiego. Cała ta mowa Junony miana jakoby z okazji deifikacji Kwiryna czyli Romulusa, zawiera przepowiednię rzymskiej wielkości.

Taki los wróże Kwirytom walecznym;
 Biada im wszakże, jeśli uniesieni
 Zbytnią czią wspomnień, szczęściem zaślepieni,
 Zasiąsąby clicieli w swém gnieździe odwieczném.

Bo Troja w chwili fatalnej dźwigniona,
 Znów musi zginąć w powtórnym pożarze,
 Gdy ją zwyciężkim szykom obledz każe
 Pierwszego z bogów ja, siostra i żona!

Choć mur spiżowy za Feba przyczyną
 Trzykroć się wzniesie, to jój nie ocali:
 Trzykroć go dzielność Achiwów obali;
 Po mężach, synach, lzy branek popłyną”.

Lecz dość już Muzo, bo nam nie przystało
 Z żartowną lirą tak górnje się nosić!
 Przestań więc płocha, mowy bogów głośić,
 Rytmem za lekkim psuć treść okazała.

7.

POCHWAŁA AUGUSTA.

Phoebus volentem proelia me loqui...

Kiedym chciał niegdys krwawe opisywać
 Bitwy i szturmy, zgromiony zostałem
 Przez Apollina, bym po morzu pływać
 Ani się ważył w mojem czólnie małem.

Cezar sprowadza dawne urodzaje

Na nasze pola długo nieorane,

A Jowiszowi napowrót oddaje

Orły legionów zuchwałym wyrwane

Partom, co niemi zdobyli swe bramy.

Cezar świątynię zamknął Janusową,

Luźnej swywoli popokładał tamy,

I dobre rządy wprowadził na nowo.

Złe się wytępia, dawne cnoty kwitną,

Które mi innię lacińskie i siły

Wzrosły i sławę zyskały zaszczytną,

I panowanie nad światem zdobyły.

Znów się nad całą ziemią rozpościera

Majestat Rzymu podniesiony godnie

Od owych krańców, gdzie łoże Hespera,

Aż po dalekie gdzieś krainy wschodnie.

Gdy Cezar rządzi, już wojen domowych

Gwałty nie wydra cichej nam swobody,

Ani poddmuchy namiętności owych
 Co ostrzą miecze, zakłócają grody.
 Edykta jego czezą ludy pokorne
 I z głębokiego co piją Dunaju.
 I dzikie Giety i Persy niesforne
 I koczownicy naddońskiego kraju.
 My téż, czy święty, czy zwykły dzień świeci,
 Gdy nam śle Bachus wesoly swe dary,
 Przy boku matron, pośród grona dzieci,
 Uczciwszy bogi, jak zwyczaj chce stary,
 Śpiewajmy wodzów naszych boje śmiałe;
 Przy wtórze sletu, niechaj nasze usta
 Głoszą cześć Troi, Eneasza chwałę,
 I dobrodziejstwa boskiego Augusta!

8.

DO AUGUSTA.

Dicis orte bonis....

Potomku naszych bogów! Rzymskiego narodu
 Stróżu najlepszy! Kiedyż koniec twój podróży?
 Przrzekłeś radzie ojców, że rychło do Grodu
 Powrócisz:—nie zwlekaj dłużej!
 Dobry wodzu! Tyś ciąglą ojczyzny potrzebą!
 Jako ożyweza wiosna jest twoje spojrzenie:
 Gdy zabłyśnie ludowi, wnet jaśniejsze niebo,
 Ciepłejsze słońca promienie.
 Ach! cierpi serce matki za synem tęskniące,
 Co po morzach wędruje, wiatrami miotany;
 Dnie płyną i tygodnie i długie miesiące:
 Nie powraca ukochany.
 Biedna składa ofiary, modli się gorliwie
 I na kręty brzeg morza ustawnie spogląda!...
 Niemniej tęskni ojczyzna: równie niecierpliwie
 Swojego Cezara żąda.
 Z nim pokój i pomyślność: w pełnych kłosach zboże;
 Spokojnie po pastwiskach liczne chodzą stada;
 Śmiało puszcza się żeglarz na bezpieczne morze;
 Pokazać boi się Zdrada.
 Czystości naszych domów rozpusta nie plami,
 Przemogła obyczajów i ustaw potęga;
 Dobre matki dobrymi darzą nas synami,
 Zbrodnię wnet kara dosięga.
 Przy Czarze Partowie nie są nam straszniemi,
 I Scyty i Giermany daremnie się srożą;

Nawet krwawe rozruchy w iberyjskiej ziemi
 Bynajmniej nas nie zatrwożą.
 Każdy dziś w swym zakącie cichy żywot wie dzie,
 Winnicami wzgórzyste zasada obszary,
 I tobie, w liczbie bogów, przy każdym obiedzie
 Ofiaruje z pełnej czary.
 W tobie Rzym cześć już przywykł swe bóstwo domowe,
 Składa pobożne wota i modły zasyla:
 Tak właśnie Grecya sławne Dioskury owe (1)
 I Alecyda ubóstwila.
 Oby cię dla nas długo zachowały nieba!
 Tak mówię na cześć z raną ujrzawszy świtanie;
 Toż z pełną głową pod noc, gdy już gwiazda Feba
 Zanurzy się w oceanie!

9.

POCHWALY DRUZA (2).

Qualem ministram fulminis alitem.....

Pięknym był orzeł, giermek niebios Pana,
 Co królem za to nad ptakami został,
 Że Ganimeda, ślicznego młodziana,
 Swojemu władcy, wierny sługa dostał,—

Pięknym był w dniu tym, gdy młodzieńcze sily,
 W dziedzicznie dzielnej zbudzone naturze,
 Poraz go pierwszy z gniazda wyruszyły,
 Nieznającego co walki i burze!

Wiosenne wiatry niosły go powolne
 Po oczyszczoneń od chmur zimnych niebie,
 By mu rozbujając skrzydła nieudolne,
 Wprawic do lotów trudniejszych w potrzebie.

I oto pełen ochoty walecznej,
 Spuszcza się pędem między owiec stada;
 Albo też cheiwy walki niebezpiecznej,
 Na brzydkie węże i płazy napada.

(1) Kastor i Pollux.

(2) Druzus Klaudyusz Nero młodszy syn Tyb. Klaudyusza Nerona i Liwii, którą po rozwodzie z tym ostatnim August poślubił. Zyskał był sobie świetną reputacyą wojskową i miłość legionów w kilkakrotnych przeciwko ludom germańskim wyprawach; zawczesna śmierć przecięła jego zawód.

Pięknym jest młody lewek, odpędzony
 Od piersi matki, gdy mu się udało
 Schwytać raz pierwszy, wśród łąki zielonej,
 Na żąb nowiutki sarneczkę struchlałą!

Takim był właśnie nasz Drzuzs,—lecz krwawsze
 U Alp Retyjskich boje staczający
 Z Windelikami, z których każdy zawsze
 Musi mieć topor u boku wiszący.

Zkąd ten ich zwyczaj? nie wiem już, wyznaję;
 Nie wszystko dla nas łatwo docieczone;
 Ale zwycięzkie od tak dawna zgraje,
 Umiejętnością młodzieńca zwalczone.

Poznały wówczas, coto geniusz może
 Chowany w domu szczęsnym a wysokim,
 Na coto wyszły na Augusta dworze
 Dzieci Nerona, pod troskliwem okiem!

Z dzielnych, z pocziwych, dzielne i pocziwe;
 W ciolkach, w źrebiętach zawsze się zachodzą
 Zalety ojców; gołbie trwożliwe
 Nigdy się z orłów drapieżnych nie rodzą.

A wychowanie wrodzone przymioty
 Na jaw wywodzi, wzmacnia naukami;
 Lecz skoro znikną obyczaje, enoty,
 To i krew zacna zdrożnością się splami.

Coś winien, Rzymie, Kludyuszów rodowi.
 Zapytaj o to Metauru rzeki:
 Ta ci o klęsce Hazdrubala powie (1).
 W dniu dla Latynów pamiętnym na wieki,

Który był jako prześliczne świtanie
 Po ciemnej nocy: gdy po naszych grodach
 Długo broili srodzy Afrykanie,
 Jak pożar w gumnie, jak burza na wodach.

(1) Hazdrubal idący na pomoc z znacznym wojskiem bratu Hannibalowi w południowej Italii znajdującemu się, pobity został na głowę przez konsula Kludyusza Nerona w Umbryi nad rzeką Metaurus. Było to pierwsze ale stanowcze w Italii zwycięstwo Rzymian w drugiej wojnie punickiej, bo od tej chwili Hannibal pozbawiony posiłków, obronie już tylko trzymać się musiał. Drzuzs pasierb i przybrany syn Augusta pochodził od owego zwycięzcy.

Odtąd jak w pracach wciąż pomysłnych prawie,
 Młódź rzymska rosła dla zwycięstw i chwały,
 A spustoszone w najeźdniczej wrzawie
 Świątynie, prawych bogów odzyskały.

I rzekł podówczas Hannibal przebiegły:
 ..Darmo jeleniom za wilkami gonic!
 Wielkito tryumf jeśli nie uległy,
 Jeśli potrafią przed nimi się schronić.

Próżna tu walka! Niepożyte plemie!
 Z pożaru Troi, przez morza burzliwe
 Wyniosło mężnie na Auzuńską ziemię
 Bogi swo, dzieci i starce sędziwe.

Co mu zaszkodzą rzezie i pożary!
 Z ognia i z miecza nowych sił nabiera,
 Jako wiąz twardy, co gęstsze konary
 Z poobcinanych sęków rozpościera.

Nie więcej życia w owęj hydrze tkwilo
 Odrastającej po ciosach Alcyda,
 Ani upartszą był obdarzon siłą
 Smok, co go niegdyś chowała Kolchida.

Pehnij ich do głębi: silniejsi wypłyną:
 Walcz, to cię zgubią razem z twoją chwałą,
 Choćbys zwyciężył;—a sami zasłyną
 W nowych znów bojach sławą wiecznie-trwałą.

Już od téj chwili pewnie do Kartagi
 Chlubni odemnie nie polecą gońce;
 Przepadła naszój nadzieja przewagi!
 Hazdruhal zginął! Zgasło nasze słońce!

Czegóż Klaudyuszów dzielność nie dokaże!
 Jowisz potężny widocznie im sprzyja,
 A bystry umysł z roztropnością w parze,
 Niebezpieczeństwa zwalcza, lub wymija.

10.

DO AUGUSTA.

Quae cura patrum quaeve Quiritium....

Auguście! jakaż uchwała senatu,
 Tytuł, czy pomnik, czy księga uświęci

Godnie twe imię, by przekazać światu
Twoje zasługi dla wiecznej pamięci!

Równego tobie mocarza nie było
Odtąd, jak słońce nad tą ziemią świeci.
Wszak oto twoją pokonani siłą
Windelikowie, stron północnych dzieci,

Łacińskich karbów dotąd nieświadome;
Wszakto od twoich legionów pochodu
Drżały tylekroć grzbiety Alpów strome;
Na nich warownie dzikiego narodu

Od szturmów Druza kolejno padały,
A wkrótce potem srogich Retów tłuszcze
Starszy z Neronów w boju pełnym chwały
Zgromił i zagnał w ich dalekie puszcze (1).

Piękny był widok tego bohatera
Na rozognionym od walki rumaku,
Jak się co chwila ze śmiercią rozpiera,
Nie powstrzymany w zabójczym ataku,

Gęsty szyk wrogów łamie i roztrąca,
Pędząc przez miecze i pocisków grad;
Rzekłbyś, że burza po falach wiehżąca,
Gdy z za chmur słabo migają Plejady.

A jak Aufidus potężnie wezbrany
Wielką z gór wodą, szeroko zalewa
Ziemie Apulii, niszcząc żyzne łany,
Zkąd wielkich zbiorów rolnik się spodziewa,—

Tak właśnie Klaudyusz, gdy mu August daje
Swe wojska, rady, stałe szczęście swoje,—
W straszliwym pędzie barbarzyńskie zgraje
Znosi, bez szwanku krwawe zwiódłszy boje,—

A trupy wrogów, jako zżęte kłosa
Zaległy pole szereg po szeregu!
I tak się stało, że fortune losy,
W ciągle pomysłnym twych dzieł wielkich biegu,
Sławy twój wieniec zwiększają bogaty
Nowym znów laurem, w samą dnia rocznicę,

(1) Tyberyusz Klaudyusz Nero pasierb Augusta i cesarz po nim. Mowa ta o kilkakrotnych jego i jego młodszego brata Druza wyprawach między 19 i 15 rokiem przed Chr.

W którym, zwycięzca, przed piętnastą laty
Zająłeś korną Egiptu stolicę.

O czujny stróżu wszechwładnego Grodu!

Italii całej tarczo niepożyta!

Wielbią cię ludy Wschodu i Zachodu,

Twardy Kantaber i koczownik Scyta.

Tobie hołduje Nil u źródeł skryty,

Ister i Tygrys burzliwie płynący;

Tobie Atlantyk w potwory obliły,

Koło dalekich Bretonów luczający.

Twa wola w Galii, co z odwagi słylnie.

Twa wola w górach iberyjskich włada;

Sykamber walki pragnący jedynie,

U stóp twych bronią swą z uwielbieniem składa!

11.

DO AUGUSTA.

Quem virum..

Klio, jakiegoż bohatera głosić

Pragnie twa lira lub flet przenikliwy?

Czy boga, imię którego roznosić

Zwykł echa pęd hałaśliwy

Po Helikonu wierzchołkach cienistych,

Na szczyty Hemu, śniegiem ubielone,

Gdzie Orfeusza pieśni uroczystych

Śluchały lasy wzruszone?

Ten wieszcz, natchniony boskiej matki duchem

Wstrzymywał rzeki i wichry ukrócał;

Dąb, na śpiew jego, nagłym zdjęty słuchem

Odwieczne miejsce swe rzucał.

Lecz najprzód Ojca uwielbić wypada,

Co rządzi bogów i ludzi sprawami,

Co w każdej chwili jako zechce włada

I morzami i lądami,—

Gdzie nie się nadeń większego nie rodzi,

Ani dorównać nie mu nie zdołało;

Po nim wszelako, Mimerwę się godzi

Najpierwszą ucześć pochwałą.

Cześć téż i tobie o Liberze śmiały (1),

(1) Liber to samo co Bachus.

Tobie, zawzięta na zwierza dziewico;
 Tobie Apollo, co śmiertelne strzały
 Niechybną puszczaś prawicą!
 Cześć Alcydowi i dwom synom Ledy.
 Co jeden z bójek, drugi sławny z jazdy (1):
 Trwożnym żeglarzom skoro błysną kiedy
 Wśród burzy piękne ich gwiazdy,—
 Przysta je morze miotać się o skały,
 Wiatr się ucisza, pierzcha chmur gromada,
 I groźna fala, gdy bóstwa spojrzwały,
 W ocean cicho upada.
 A dalej, mamżo Romulusa chwałę,
 Czy Numy śpiewać władzę dobroczynną,
 Czy Tarkwinusza rządy okazałe,
 Czyli śmierć Kurcyusza słynną?
 I Regulusa Muza nie pominie,
 I Fabrycyusza i Pawła, co bojnje
 Wielką dał duszę na Kannów równinie,
 Pieśń ma uwielbi dostojnie.
 Dziadowska rola, skromna niegdys chata,
 Rzym obdarzała dzielnymi wodzami:
 Dała Kamilla, dała nam Dentata
 Z nietrefionemi włosami.
 Sławy Marcella wzrosł cichy a stały (2)
 Jako wzrost drzewa; błyszczy nad wszystkimi
 Gwiazda Juliuszów, jak księżyc wspaniały,
 Między światłami nocnymi.
 Ojczyźnie śmiertelnych, twemu to czuwaniu
 Losy Cezara poruciły przecie!
 Niechże pod tobą Cezara władaniu
 Ulega wszystko na świecie.
 On, czyto Partów Itali groźących
 Dzielnie poskramia zwycięstw słusznemi,
 Czy na dalekim Wschodzie mieszkających
 Indów z Scytami dzikiemi,—
 Niech ziemią rządzi z twojego ramienia;
 Ty trzęś Olympem wóz twój tocząc złoty,
 Ty, dla bezbożnych trwogi i skarcenia
 Piorunowe ciskaj grotty!

(1) Synowie Jowisza i Ledy, Kastor ukróciiciel dzikich koni i Pol-lux niezwykłej szermierz, przeniesieni na niebo, stanowią konstellacyą Dioskurów czyli Bliźniąt uważaną za opiekuńczą przez marynarzy.

(2) Ma się to odnosić do sławnego w drugiej wojnie Punickiej konsula Klaudyusza Marcella zdobywcy Syrakuz, a może też, jak komentatorowie uważają, zręcznym być komplementem dla Marcella, ulubionego siostrzeńca Augustowego, młodzieńca pełnego nadziei, którego był imperator początkowo następcą swym mieć chciał, ale go przedwczesna śmierć zabrała.

12.

HYMN STULETNI.

Febie, Diano, królowo lasów!
 Niebios ozdoby zawsze wielbione!
 Pod waszój łaski pewną obronę
 Rzym się uceika od dawnych czasów,

Chwaląc pieśniami bogów świętami
 Co nasze siedem wzgórz polubili,
 Młodzieńców, dziewic głosy zgodnemi,
 Według przepisów wieszczój Sybili.

Ty, co dzień toczysz, słońce promienne,
 Na wozie twoim błyszczące chwałą,
 Obyś wciąż nowe, choć wciąż niezmienne,
 Nad Rzym większego nic nie widziało!

Strzeż zdrowia matek, wdzięczna Diano,
 Rodzących w porę za twoją sprawą!
 Wszak Rodzicielki służy ci miano,
 Wszak cię Świetlaną zwiemy łaskawą (1).

Racz nas obdarzać dziećmi miłemi;
 Niech ojców ludu, małżeńskie prawa (2)
 Opieka twoja czyni płodnemi,
 Niech nam potomków dzielnych przydawa.

A gdy wiek znówu setną koleja
 Lata oznaczy cicho płynące,
 Niech nam te święta znów zajaśnieją
 Przez trzy dni i trzy nocy trwające.

O Parki, wieszczym duchem wslawione!
 Oby z niechybną doszły pewnością
 Szczęśliwe losy przez was wrózone:
 Połączcie przeszłość z wielką przeszłością!

Niech ziemia żyzna, obfita w trzody,
 Cererę wieńcem z kłosów obdarza:

(1) Diana jako opiekunka położnic nosiła przezwisko *Genitalis*, rodzicielki; rodzące się dziecię pod jej więc opieką pierwszy raz światło dnia oglądało: ztąd drugie przezwisko *Lucina* Świetlana.

(2) Wydane były przez senat (nazywany w Rzymie ojcami) ustawy mające na celu upowszechnienie, że tak powiem, małżoństwa, gdy z powodu zepsucia obyczajów w klasie wyższej bezżenność przemagała,

Niechaj z powietrza, ze zdrowej wody,
Ziemią się płodom życia przysparza.

Złóż Apollinie, groźny łuk Boga,
Młodzieńcom jasne ukaz oblicze!
Racz gwiazd królowo, Luno dwuroga,
Wysłuchać korne modły dziewicze!

Wam, bogi, winien Rzym swe początki:
Wszak wyście do tych zanieśli brzegów
Ginącej Troi szlachetne szczątki;
Z waszejto woli Ilionu zbiegów

Wywiódł Eneasza z gruzów rodzinnych,—
Dzieńcie ojczyzny w zgonu jej chwili,—
By im w Latyna progach gościnnych
Z lichwą nagrodzić to co stracili.

Dajcież młodzieży stateczną skromność,
Starości dajcie spokój łaskawy,
Plemieniu Rzymian liczną potomność,
Mnogość dostatków i zacnej sławy.

Ten co wam woły poświęca białe,
Prawnuk Anchiza z bogini Iona (1),
Niechaj poskramia wrogi zuchwale,
Łaskawy z tymi których pokona.

Już drżą Medowie przed bronią sławną
Co mórz i łądów równie dosięga,
Już i Scytowie, dumni niedawno,
Czują jak groźna Rzymu potęga.

Wracają do nas Pokój i Wiara,
Cześć i uczciwość przodkom tak droga,
I zarzucona cnota ich stara,
I z pełnym rogiem obfitość błoga.

Febie, ozdobny łukiem błyszczącym!
Wieszczu, dziewięciu Kamenom miły,

(1) August przez przysposobienie należał do rodu Juliuszów wywodzącego się od Eneasza; ten zaś protoplasta rzymskiego narodu był, jak wiadomo synem Anchizosa i bogini Wenery. Apollinowi i Dianie jako bóstwom światła (bo pierwszy słońca był symbolem a druga księżycą) zabijano na ofiarę białej maści bydło jako najjaśniejszj.

Co wzmacniasz kunsztem zdrowie niosącym (1),
Naszego ciała zwątlone siły,—

Na Palatyńskie rzuć okiem wzgórze,
Na Rzym, na Lacyum spojrzysz przychylnie:
Niech nam twa łaska wieku przedłuży
I w dalszém życiu strzeże niemylnie.

Ty, co królujesz na Awentynie (2),
Przyjmij Dianę, modły kapłanów,
Przyjmij pobożne śluby młodzianów
Napełniających twoje świątynie!

A tak zgodnemi wielbiąc głosami
Starym zwyczajem Dianę, Febę,
Miejmy nadzieję, że zawsze z nami
Jowisz i wszyscy mieszkańcy nieba.

II.

13.

WIESZCZBA NEREUSZA.

Pastor cum traheret....

Gdy z Grecyi, przez morze, Parys zdradliwy
Uchodził z Heleną w idyjskiej nawie,
Złe losy mu wróżył Nereusz siwy.
Wprzód wiatr zatrzymawszy dmący łaskawie.

„Sprowadzasz w dom ojców zadatek zguby!
Sprzysięże się naród Hellenów bitny.
By twoje potargać nieprawie śluby.
I zniszczyć Priama gród starożytny.

Ach ciężki trud czeka męża i konie,
A plemię Dardana straszliwe kłeski!
Bo oto Pallada gniewem już płonie
I zbrojna wstępuje na wóz zwycięzki!

Daremnie w Wenery dufać obronę,
Włos trefić jak panna, albo przygrywać

(1) Apollo jako ojciec Eskulapa uważał się też za opiekuna sztuki medycznej.

(2) Na wzgórze Awentynskiem w Rzymie najwspanialsza była świątynia Diany, a na Palatyńskiem Apollina.

Na cytrze, śpiewając wiersze pieszczone!
Daremnie się w słodkiem łożu ukrywać

Przed włóczęgą, przed ostrzem kreteńskiej strzały,
Przed trudną z Ajaxem zwinnym rozprawą!
Niestety! twe loki będą musiały
Oszpecić się wreszcie bitwy kurzawą!

Patrz, oto już idą! biada ci, biada!
To Grecy skrzywdzonej waleczne syny:
Ulisses, twojego rodu zagłada,
I Nestor i Teucer co z Salaminy,

I Meryon i Stenel, który się nie da
Nikomu przewyższyć w kunszcie woźnicy;
Wciąż ścigać cię będzie gniew Diomeda,
I musisz od jego ciężkiej prawicy

Uchodzić, jak jelen, kiedy zdaleka
Chciwego w dolinie wilka obaczy,
I trawkę rzuciwszy co tchu ucieka,—
Choć dziś przed kochanką mówisz inaczej.

Dzień płaczu dla Frygii nieszczęsnych matek
Odwlecze Achilles, gdy rozdąsany
W namiotach się skryje; lecz naostatek
Zjé ogień achajski Pergamu ściany!"

14.

DO MERKUREGO.

Mercuri nam te....

Merkury, tyś mistrzem był Amfiona,
Co umiał swym śpiewem wzruszać kamienie;
Twym kunsztem z skorupy żółwiwej stworzona
Cytara odbija strun siedmiu brzmienie;
Co niegdyś bez wdzięku i nieme było,
Dzisiaj uczyły ożywia, zdobi obrzędy;
O naucz mię pieśni, którejbyś siłą
Mógł Lidii nieczulój pozyskać względy!

.....
Wszak pieśń ułagadza dzikie zwierzęta,
Na łasy, na wody moc swą wywiera;
Wszak tonów dobranych słodka ponęta

Srogiego zmięczyła kiedyś Cerbera,—
 Poczwarę strzegącą piekiel krainy,—
 Choć pyskiem zarazę brzydką wyziewa,
 Choć na łbie straszliwym syczą gadziny,
 I ózór potrójny jadem się zlewa.
 I złych potępieńców ponure czoła
 Wdzięk pieśni rozjaśnił chwilą pogody;
 Uśmiechnął się Ixjon ze swego koła (1),
 I urna Danaid ociekła z wody.

A grzeczy, niech Lidia usłyszy przecie
 O tych Danaidach i o ich winie,
 Za którą tak cierpią w podziemnym świecie.
 Wciąż wodę w bezdenne lejąc naczynie (2).
 O tak, aż w Tartarze wyroki mściwe
 Siegają występnych! A czyż być może
 Straszniejsza już zbrodnia! Wszak niegodziwe
 Krwią mężów swych ślubne zbroczyły łoże!

I tylko jedyna wśród tyłu, godna
 Małżonki imienia, zdrającę rodzica
 Zawiodła cnotliwie, córka odrodna,
 Przechacna po wszystkie wieki dziewica!
 „Ach wstań!—do młodego męża powiada,
 Ach wstań, byś zadługo nie zasnął we śnie!
 Bo nie wiesz zkąd czyha na ciebie zdrada:
 Od teścia, od siostyr mych uchodź zawczasie!
 Jak lwice rwą cielków wprzód upatrzonych,
 Tak one swym mężom śmiertelne męki
 Zadają! Jam czulsza od mych rodzonych,
 Zabójczej na ciebie nie wzniosę ręki.
 Niech więzi mię za to ojciec okrutny
 Że krwią się małżonka mego nie krwawię;
 Niech na brzeg dalej Numidy smutny
 Swą córkę na szybkość gdzieś wysła nawie!
 Ty uchodź, by drogie nie uszły chwile;
 Niech sprzyja ci Wenus i nocne cienie.
 Bądź szczęśny! Gdy umrę, to na mogile
 Żalodne méj dołu wyryj wspomnienie!”

(1) Ixjon król Lapitów w Tessalii, za pożądlivo targnięcie się na Junonę wpleciony w koło i na wieczne w nióm obracanie się skazany.

(2) Danaus zwyciężony przez brata swego Egiptusa z którym o panowanie nad Egiptem rozpierał się, uciekł ze swemi 50ciu córkami do Grecyi i osiadł w Argos. Egiptus posłał tam za nim w pogoń swoich 50ciu synów, którym, nie czując się zapewne dość silnym do odporu, zaproponował Danaus córki swoje za żony, na co synowie Egiptusa chętnie przystali. Ale przewrotny Danaus nakazał swym córkom aby pierwszej nocy małżonków swych pomordowały, co też one uczyniły wyjąwszy jedną, Hypermnestry, która ocaliła męża swego Linceusza.

15.

DO GALATEI.

Impios parrac recinentis omen...

O niechaj bezbożnych nabawia trwogi
 Krzyk czajek złowieszczych w każdej podróży;
 Niech liszka im szczenna napoprzek drogi
 Lub bura wilczyca nieszczęście wróży;
 Niech wąż gdzie z nienacka, z przydrożnej trawy
 Nastraszy im konie sunąc jak strzała!
 Lecz tyś nie z ich liczby, jedź bez obawy;
 Nie będzie cię groźna wróżba ścigała.
 Nim ptak, co zwiastuje deszcze ulewne,
 Bagniste jeziora swoje odszuka,
 Ja baczny wróżbita, wprzód ci napewne
 Wieszczego od Wschodu wymodłę kruka.

Więc jedź, Galeleo, szczęśna, wesół!
 I o mnie ci pamięć niech towarzyszy,
 Nie ujrzysz po lewój ręce dzięcioła,
 A ucho twe błędnych wron nie usłyszysz.
 Lecz groźnie drga Oryon chyląc się w morze!
 Patrz: burza nastąpił o niezawodnie!
 Wszak znam Adryatyk: wiem co w tój porze
 Psot robi to świeże wianie zachodnie.
 To chyba niech wrogów żony i dzieci
 Na łonie swém ciemném ocean ciska;
 Niech drżą kiedy Auster nawalę wznieci
 I głębia nadbrzeżne wstrząsa urwiska.

Tak raz Europa ciałem pieśczoneń
 Na grzbiecie zdradnego byka gdy siadła (1).
 Przed mnóstwem potworów nieprzeliczonóm,
 Co kryły je złudne fali zwierciadła,
 Struchlała niebaczna; jeszcze w godzinie
 Porannej splatała wianki barwiste
 Na łąkach, a teraz widzi jedynie
 Wód przestwór i nocne niebo gwiazdziste!
 A gdy do stu-miastój przybyła Kreta,
 Toż ojciec jój w myśli staje kochany,
 I cześć dłań powinna i wstyd, niestety,
 Ślepego popędu siłą zdeptany!

(1) Przybrawszy postać młodego byka Jowisz, osobliwszym urokiem uwiódł Europę córkę Agenora króla Fenicyi i przeniósł ją na sobię do Kreta, gdzie następnie stała się małżonką tamecznego władcy.

„Gdzież jestem?—zawoła—z kąd w obcym domu?

O mało mi śmierci za winę moją!

Ach! czyż w rzeczy samej własnego sromu

Na jawie się wstydzę? Czy mi się roją

Po głowie niewinnej straszdyła płonne,

Z ciemnego snów państwa na chwilę zbiegłe?...

Nie lepiej rwać było kwiateczki wonne

Nizeli przebywać morza rozległe!

By wpadł mi w moc moję cielec szkaradny,

Łamałabym rogi i po kawale

Szarpałabym hakiem potwór ten zdradny,

Któremu się w zgubnym oddałam szale!

Bezecna, rzuciłam ojcowskie progi,

A teraz śmierć jeszcze zwlekam nikczemnie!

O nie! Wysłuchajcie prosby mój bogi!

Niech lwy dzikie mają żer świeży ze mnie!

Niech naga rozerwą tygrysy chciwe,

Dopóki nie zwiędły policzki hoże,

Gdy ciało me młode i urodziwe

Ponegną i sytną pastwą być może!

Tam ojciec gniewnemi oczyma błyska,

A ja, nikczemnica, ja jeszcze żyję!

Czyż trudno przepaszę, co kibić ściska,

Zarzucić na gałąź i zdławić szyję?

Lub rzucić się oto z téj stromej skały.

By rychły zgon w morskiej znaleźć topieli?...

Więc prędjiej! jeżeli nie chcesz wiek cały

Przając w tłumie służebnic cudzej kądzieli;

Mieć, córko królewska! nad sobą panie

O męża zazdrosną”....

Tak gdy dziewczyna

Rozpacza, wtém Wenus don niespodzianie

Przystąpi, psotnego prowadząc syna.

Więc zrazu żartuje sobie z niebogi.

Aż wreszcie jój mówi: „Przestań złorzeczyć.

Wszak sam ci z ochotą złoży swe rogi

Ow cielec, którego pragniesz zniweczyć,

Toć pojął cię Jowisz niezwyciężony!

Dość płacz! Wypadła-c dola wspaniała:

Ziemięskiego okręgu przedniejszej strony

Od twego imienia nazwa powstała”.

III.

16.

DO AZYNIUSZA POLLIONA.

Motum ex Metello....

Jak za Metella konsulatu wszczęte (1)
 Wciąż nas domowe trapiły niezgody,
 Jaki ich obrót i wojen powody,
 Możnych sojusze i walki zawzięte,
 Kłeski i zbrodnie, tyle krwi wylanéj,
 Że ofiar mało, by przebłagać bogi,—
 Wszystko to kresłisz, Pollionie drogi,
 Nici wypadków dochodząc zwikłanéj.
 Praca szczególnie trudna i drażliwa!
 Ileż talentu z roztropnością w parze
 Mieć trzeba, aby stąpać po tym żarze
 Co się pod zradnym popiołem ukrywa!
 Tuszę, że strata ztąd tylko czasowa
 Dla sceny: skoro ojezyste już sprawy
 Spiszysz,—na polu dawnéj znowu sławy
 W koturnach stanie twa muza surowa.
 A jakąż ci się sława nie należy!
 Senatu chlubo, obrońco skrzywdzonych,
 Wodzu szczęśliwy, coś ze zwyciężonych
 Właśnie Dalmatów odniósł tryumf świeży!
 Gdy bój twa powieść opisuje żywa
 To w uszach odgłos trąby się rozlega,
 To polysk broni w oczach mi przebiega;
 Konie się straszą, jeźdźców dreszcz przeszywa.
 Głos nie jednego słyszę bohatera,
 Co go zaszczytna zbrudziła kurzawa;
 Widzę jak nowe świat uznaje prawa,
 Tylko się Kato niezłomny opiera.
 Za szczęście Rzymian żal chowając stary,
 Teraz rozlewem ich krwi ucieszona,
 Z niéj Afrykanom przyjazna Junona (2)
 Cieniom Jugurty zasyla ofiary!

(1) Quintus Coecilius Metellus Celer był konsulem w r. 60 p. Chr. kiedy się zawiązał pierwszy tryumwirat (Cezara, Krassa i Pompejusza).

(2) Juno była odwieczną nieprzyjaciółką Troi, urażona sądem Priamowego syna Parysa, który nie jej lecz Wenlerce przyznał pierwszeństwo w piękności, gdy się obie boginie (i trzecia Minerwa) do jego gustu odwołały. Dlatego téż była potem prześladowczynią Eneasza i jego towarzyszy, gdy ci po zburzeniu Troi nowych siedlisk w Italii szukali (zwłaszcza że Eneasza był synem rywalki), a ztąd naturalnie protektorką nieprzyjaciół

Świadkami liczne wszystkich pól mogiły
 Walki bezbożnej, gdzie brat szedł na brata,
 Ruiny, której aż do krańców świata
 Odgłos się rozległ uszom Partów miły!
 W jakież bój srogi nie wkroczył ustronie!
 Jakie krwią naszą nie zlane bezdroże!
 Która to rzeka, albo które morze
 Trupów italskich nie kryje w swém łonie!

Lecz na cóż, muzo, humor zasepiony?
 Po co tak smutne obudzasz wspomnienia?
 Pójdź, swywolnico; wśród miłego cienia
 Niech znów wesole odezwą się tony.

17.

DO PRZYJACIÓŁ.

Angustam, amici....

Gdy zdrow i silny chłopiec, więc za młodu
 Oddać do wojska: niech się pozna z biędą;
 Na siodle głodu zażyje i chłodu,
 A dzikim Partom dokuczy swą dziądą.
 Niech hartu w ciężkich zapasach nabywa;
 Niech go z za murów barbarzyńca żona,
 Albo kochanka widząc niecierpliwa.
 Westchnie o swego miłego strwożona:
 „Żeby choć tego nie spotkał mój drogi
 Do bitw niewprawny! o biadaż mu, biada!
 Gdy go pazurem swym lew draśnie srogi,
 Co się wśród walki na krew tak rozjada!”
 Słodko jest, pięknie, za ojczyznę ginąć!
 A śmierć i zbiega dosięże w pogoni;
 Zwinnemi nogi nie da się wyminąć,
 Ani się grzbietem tchórz od niej zastoni!
 Cnota podstępem nie zdobywa względów:
 Ma blask swój własny i niepokalany;
 Dla łaski ludu nie bierze urzędów;

ich i ich potomków Rzymian. Odrzucenie przez Encasza ręki Didony królowej kartagińskiej, przekleństwa i zgon tragiczny zawiedzionej kochanki, bardziej jeszcze Junonę na rzymskie plemię oburzyły; uchodziła więc w podaniach za nieprzyjazną państwu i za sprzyjającą Kartaginie i Afrykanom, z których numidyjski Jugurta jak wiadomo, wiele dał Rzymianom do czynienia nim go pokonali.

Władcy nie składa dla ludu nagany;
 Otwiera niebo tym, których na ziemi
 Od śmierci zbawia, i szczytnym ich lotem
 W górny kraj niesie szlakami trudnemi,
 Gardząc i tłumem i tęp ziemskim błotem.
 Niech milczeć unie by uniknął sromu;
 Kto się z Cerery tajemnic wygada,
 Niech ze mną w jednym nie przebywa domu
 Do jednej łodzi niech ze mną nie siada!
 Bo gniewny Jowisz—często się to zdarza,
 Wraz z złymi prawych gubi swym wyrokiem;
 Lecz rzadko kara nie dojdzie zbrodniarza,
 Chociaż się za nim wolnym wlecze krokiem.

18.

DO POMPEJUSZA WARA.

O saepe necum....

Któż wraca cię do kraju rodzinnego,
 Pod niebo Włoch, pod pieczę bóstw domowych!
 Pompeju mój, młodzieńczych lat kolego,
 Coś tylekroć w szeregach Brutusowych
 Wraz ze mną siedł, by śmierci zajrzeć w oczy;
 A często téż, gdy szczęk umilkł broni,
 Przechodził czas w biesiadzie nam ochoczéj
 Wśród pełnych czar i wśród syryjskich woni!
 I razem, ach, w dniu filipijskiej klęski
 Umknęliśmy, rzuciwszy zbroi brzemie!
 Nie pięknie to... lecz ostygł zapal męzki!
 Nie jeden zuch zaorał brodą ziemię!
 Merkury mię od grożącego ciosu
 Łaskawie skrył, unosząc w gęstej chmurze;
 A ciebie znów porwała fala losu
 I pędem swym w wojenną niosła burzę.
 Więc Bogom dziś ofiary złóż powinne;
 Wypocząć czas z długiego utrudzenia!
 Niech wino to pokrzepi cię gościnne
 I miły chłód od laurów moich cienia.
 Szlachetny płyn w błyszczące lój kryształy!
 Niech przeszłych trosk wspomnienie w nim utonie!
 A wianki nam nie wieleby przydały!
 Obejdą się bez mirtu nasze skronie!
 Koleję precz! i to sobie wymawiam:
 Dla dwóch jest dość: użyjmy więc wesela!
 Jak istny Trak dziś spieć się postanawiam
 Ku większej czci starego przyjaciela!

19.

DO KALLIOPY.

Descende coelo...

O Kalliopo, zstąp z nieba, królowo,
 I zechciej fletu dotknąć się twojego,
 Lub niech po lutni palce twe pobiegą,
 Aby nas pieśnią udarować nową!
 Czyli słyszycie?... Czy też mi się zdaje
 W słodkim zachwycie, że słyszę jój śpiewy:
 Żem nagle w święte przeniesiony gaje,
 Gdzie jasne wody, gdzie wonne powiewy!

Toć będąc jeszcze pacholeciem małym,
 W pobliżu granic Apulii rodzonój,
 Gdy raz po górach Wulturskich biegałem
 I wreszciem zasnął igraszką znużony,—
 Zniosły gołębie, niebiescy posłańce,
 Świeżych sennemu gałązek na czoło;
 Więc się też wielce lud dziwował wkóło,—
 I Acheroncy wyniosłój mieszkańce,
 I z Bantynskiego wąwozu górale,
 I co na żyznej Forentu nizinie
 Siedzą wieśniacy,—że się też chłopczynie
 W tak dzikim miejscu nic nie stało wcale:
 Że i od żmii pozostał nietknięty
 I od niedźwiedzi; żem spał pod ochroną
 Lauru i mirtu z woli bogów świętej
 Nieulekłemu dziecięciu zdarzoną.

Wasz jestem, muzy, wasz, gdziekolwiek kroki
 Moje obróć: czym w Sabińskich górach,
 Czyli w Tyburze, czy w Prenesty murach,
 Czy też u Bajów rozkosznej zatoki!
 Żródeł i chórów waszych zwolennika
 Szczędzi w pogromie Mars pod Filippami
 Drzewo go nagle zwalone nie tyka (1),
 Burza groźnemi nie chwyla falami (2).

(1) Był Horacyusz w niebezpieczeństwie życia od drzewa, którego obalenie tylko co go nie zabiło; z powodu tego przypadku napisał odę *in arborem*; za ocalenie życia składał bogom ofiary i w ogóle musiało to na nim mocne zrobić wrażenie, bo nie jednokrotnie o tem wspomina.

(2) Płynąc z Macedonii do Włoch zaskoczony był poeta przez burzę około przylądka Palimurus u brzegów Lukanii. W bitwie pod Filippi znajdował się Horacyusz w armii Brutusa i Kassjusza w randze trybuna, co po dzisiejszemu znaczyłoby szefa batalionu, lub nawet pułkownika. (Patrz odę do Pompejusza).

Byleście ze mną, waszój pewien łaski
 Żeglarz—Bosforu szalonego prądów
 Bać się nie będę; wędrowiec wśród lądów—
 Pójdę przez Syrii rozpalone piaski,
 I śmiało między niehumanne Bretony,
 Między Konkany krew pijące końską
 I kołczaniaste udam się Gialony,
 Bez szwanku zwiedzę równinę nad-dońską.

W waszój, bogowie, grocie rad przebywa
 I wielki Cezar, gdy w krwawych pochodach
 Znużone legie rozmieści po grodach
 I sam po pracy spoczynku zażywa.
 Wyście z pomysłów dobroczynnych rade
 Przez was natchnionych.—Słyszeliśmy o tém,
 Jako bezbożnych tytanów gromadę
 Raził, ciskając z nieba grot za grotem,
 Ten, co bezwładną ziemię i burzliwe
 Morza sprawuje, co nad posępniemi
 Piekłami, nad bogi i nad śmiertelnemi
 Tłumami rządy trzyma sprawiedliwe.
 Choć straszne było dla Jowisza tronu
 Srogie a ufne w moc swych barków plemię,
 Chociaż dźwignęło ogrom Pelionu,
 By na wierzch Ossy zwalić jego brzemie;—
 Lecz próżno Mimas groźny ze swój mocy,
 Próżno Porfiryon olbrzym dokazywał,
 I Encelades z korzeniami wyrywał
 Odwieczne drzewa i miotał jak z procy;
 Nic rozjuszona tłuszczka nie wskórała,
 Gdy przy Jowiszu walczyła Pallada,
 I zwinny Wulkan i luno wspaniała,
 I który nigdy łuku z plec nie składa,
 Boski opiekun Delos i Patary,
 Apollo, w źródle kastalskiem myjący
 Piękne swe włosy i przyszłość głoszący
 W licyjskim gaju i z Delfów pieczary.

Próżna rozmysłu pod własnym się łamie
 Siła ciężarem; władza bogów wspiera
 Siłę stateczną, lecz kruszy ich ramie
 Siłę, co w niecznych myślach się wywiera.
 Niechaj tę prawdę zaświadczy dowodnie
 Sturęki Gyas tylu wiekom znany,
 I Orjon, czystój napastnik Diany,
 Dziewiczą strzałą skarany za zbrodnie.

Strąconych w ciemne przepaście Tartaru,
 Potwornych synów bolejąc przywała
 Matka ich ziemia, i Etny ciężaru
 Z ich paszcz zionący ogień nie przepala;

I wciąż w Tytyusa wnętrzościach dziób krwawić (1)
 Sęp nie przestaje, kat niecnoty wieczny,
 I Pirytons próżnoby wszeteczny
 Chciał się z swych więzów potrójnych wybawić.

20.

DO GROSFY.

Otium divos....

O spokój modły zasyła usilne
 Żeglarz wśród burzy, gdy mu czarne chmury
 Księżyc zasłonią, i gwiazdy niemyłne
 Nie świecą z góry.
 Spokoju pragnie i Trak nawet srogi,
 Spokój przynęca i łuczniaka Meda;
 Za żadną w świecie cenę skarb ten drogi
 Kupić się nie da!
 Zaburzeń ducha złoto nie ukoi,
 Ani powaga stłumi konsularna;
 I śmiało troska do pańskich podwoi
 Wdziera się czarna.
 A błogo temu, kto w szczupłej zagrodzie
 Solniczkę ojców na skromny stół stawia:
 Trwoga i chciwość serca mu nie bodzie,
 Snu nie pozbawia.
 Co tu w żywocie naszym krótkotrwałym
 Wiele zakładać! po obczyźnie gonić!
 Któż się potrafił gdzie, na świecie całym,
 Od siebie schronić?
 W okręcie z nami płynie troska-jędza,
 Nie rzuca rączych jeźdźców wśród pochodu,
 Szybsza niż jeleń, niżli wiatr co spędza
 Chmury od Wschodu.
 Ciesząc się chwilą, niech się nie zacieka
 Umysł po za nią; niech w życiu codziennym
 Śmiech łzę osusza! Nie było człowieka
 Z szczęściem niezmiennym.

(1) Tytyus i Pirytons dopuścili się podobnego co i Orion występku: pierwszy z nich Latonie, drugi Prozerpinie gwałt zadać usiłował. Gyas, Encelades, Porfirion, Mimas, imiona straszniejszych olbrzymów przeciwko bogom zbuntowanych.

(1) Śmierć Achillesa dni przecięła młode;
Tithona dręczył zgrzybiałych lat zbytek (1);
Może toż samo z czego ty masz szkodę,
Mnie da pożytek.

Wśród pól twych trzody ryczą niezliczone,
I pięknych koni rozlega się rzenie,
I afrykańską purpurą barwione
Nosisz odzienie.

Ja darów losu skromniejszych używam:
Mały mam folwark, w wdzięcznie lekkim łonie
Greckiej Kameny pieśni swoje śpiewam;
Od gminu stronię.

21.

DO GAŚSIORA.

O nata necum...

Mój równiekniku, gąsiorze stary
Z roku konsula Manliusza!
Czy się przez ciebie w radość bez miary
Czy w smutek pograży dusza;
Czy żądze zbudzisz, czy gniewy dawne,
Mniejsza już czyjś tam daty
Zawarte w tobie wino wytrawne;
Pójdź tu, poczciwce pękaty!
Nie wzgardzi tobą ten mąż uczoney
Choć Sokratesem się poi:
Wszak nieraz wina Kato wielbiony
Dolewał do cnoty swojej.
Szturmem łagodnym wino uderza,
Serce najtwardsze zdobywa;
Mędrców poważnych troski uśmierza,
Żartem myśl tajną wykrywa;
Siłę, otuchę w umysł znękanie
I mężstwo wlewa w nędzarza.
Że go już władzcy wzrok zagniewany
Ani błysk mieczów nie zraża.

Niech nam tej nocy Bachus nie szczędzi,
Wenus i Gracye swych darów!
Święć się gąsiorze, aż gwiazdy spędzi
Blask Feba z górnych obszarów.

(1) Tithon syn Laomedona i brat Priama wyjednał był sobie za protekę bogini Aurory nieśmiertelność u Jowisza, ale protektorka zapomniała wyje dnać przytém i zdrowie.

22.

DO DELIUSZA.

Aequamemento....

To jest, Deliuszu, cecha męskiej woli,
 By spokój duszy w zły zachować doli,
 W szczęsnej radości miarkować zbyteczne,
 Pomnąc iż życie nie służy ci wieczne;
 Skończysz je kiedyś, czy będzie zatrute
 Ciągłemi troski, czyli też osnute
 Z samych chwil błogich: jak kiedy czas mi
 W święto, na trawie, pomiędzy drzewami.
 Z czarą falernu człek się niby zdrzymie,
 Białe topole i sosny olbrzymie
 Namiot u góry tworzą gałęzisty,
 A w krętych brzegach mruczy strumień czysty.
 Więc gdy dostatek, zdrowie i ochota,
 Dopóki Parki snują nie żywota,
 Nie żałuj wina i kropli pachnących,
 I róż tak wdzięcznych, choć krótko trwających!
 Boć twoje wille i twoje ogrody,
 Co je zwilżają płowe Tybru wody,
 I wszystko mienie, ile go tam będzie,
 Jak tylko umrzesz, dziedzic twój posiedzie.
 Na jedno wyjdzie, czyś królewskim synem
 W zbytku wiek pędził, albo między gminem
 Liche pchał życie w pocie twego czoła:
 Zawsze cię Orkus fatalny powoła.
 Pójdziem tam wszyscy: każdego człowieka,
 W urnie przeznaczeń złożony los czeka,
 Bilet, co prędzej czy później wychodzi,
 Na ciemny przewóz w Charonowej łodzi!

23.

DO MECENASA.

Maecenas, atavis....

Mecenasie, potomku królewskiego rodu,
 Opieko i zaszczycie mojego zawodu!
 Nie pragnę ja bynajmniej dla zyskania sławy
 Wzbijać na olimpijskich wycigach kurzawy;

Niech objechanie mety kołami wartkiemi,
 Pod niebiosa wynosi możnych panów ziemi;
 Niech inni w tłumnej walce ludowych wyborów,
 Dostępują najwyższych w ojczyźnie honorów;
 Niech zabiegli gromadzą do spichrzów rolnicy
 Z swoich pól urodzajnych obfitość pszenicy,
 Z pracy nad ojczystemi zagony kontenci:
 Ani tych, ani tamtych los inny nie znęci.
 Żaden ci z nich nie zechce po morzu żeglować,
 Choćbyś mu chciał dziedzictwo Attala darować.
 Zaś kupiec nastraszony przez falę hurzliwą,
 Choć rad wychwala spokój i wioskę szczęśliwą,
 Lecz nie dla niego życie ciche i ubogie,
 Więc statek naprawiwszy, znów puszcza się w drogę.
 Masz i takich co większą część swojego życia
 Trawią na przyjemnościach jedzenia i picia;
 Na leżeniu beczynnym pod zielonym cieniem,
 Wśród miękkiej gdzieś murawy, nad czystym strumieniem;
 Wielu obóz przywabia, odgłos trąb chrapliwych,
 I sama wojna, zgroza matek nieszczęśliwych.
 Po całych dniach myśliwiec nieraz zapalony
 Biega i marznie młodej zapomniawszy żony,
 Skoro mu sarnę pieski gdzie wytropią rączę
 Albo pomiędzy sieci dzik mu się zaplącze.

Mnie zaś wieniec, nauki i kunsztu nagroda
 Podnosi między bogi; mnie lasów swoboda
 Cienistych, nimf i faunów płasy pełne wdzięku
 Oddzielają od gminu; i póki w tem rękę
 Słodki flet Euterpy jeszcze pozostaje,
 I lira Polyhymnii nastrajać się daje,
 I ty w mych tworach wieszczę uznajesz natchnienia:
 Do gwiazdzistego czołem dosięgam sklepienia!

24.

DO MELPOMENY.

Ezeği monumentum...

Wzniosłem pomnik trwalszy niż spizowe,
 Nad piramid syczyty wywyższony;
 Nie uszkodzą go słoty zimowe,
 Ani wichrów pęd nieukrócony,
 Ani szereg lat nieprzeliczony!

Nie, nie umrę cały! Losy strąca
 Tylko część moje w ciemne obszary!

Póki kapłan z Westalką milczącą
W Kapitolu nieść będą ofiary,
Póty będę żył sławą wciąż młody.

Gdzie Aufidus szumne torczy wody,
I gdzie zwolna szczyplę Daunus płynie,
Niegdyś król w swój rolniczej krainie (1),
Rzekną o mnie, żem z rodu człek drobny,
Stał się wielkim na italskiej ziemi,
Żem eolskich tok wierszy nadobny (2)
Oddał pierwszy rytмами swojskimi.

Muzo, słuszną rzetelne zalety
Rodzą dumę: czyż twego poety
Nie uwieńczysz laury delickiemii?

(1) Mało jest znaczniejszych i mniej znacznych dat geograficznych w starożytności, któreby w podaniach mitologicznych nie były uosobione; tak i tu rzeka Daunus nosi imię bajecznego króla Apulii, czyli raczej na odwrót z imienia rzeki wyprowadzono legendę o królu. Musiałem w tém miejscu dla koniecznej jasności rozplątać trochę w przekładzie kalemburową węzłowatość oryginalnego wyrażenia.

(2) To jest, że pierwszy z Rzymian zaczął pisać liryczne poezycę kształt greckich. Liryczne poezycy u Greków w eolskim szczególnie dialekcie powstały i wykształciły się początkowo: Terpander, Perikleitas, Arion, Alkeus, Sapho pochodzili z wyspy Lesbos, gdzie eolskim mówiono dialektem. Ztąd u Horacyusza i innych łacinników eolski to samo co liryczny.

KILKA UWAG

HISTORYCZNO-STATYSTYCZNYCH O GUBERNII AUGUSTOWSKIEJ

SKRZEŚLIE

B. Tykcl.

(Ciąg dalszy) (*).

O rybach w gubernii augustowskiej poławiających się
pod nazwą:

SIEJE, SIELAWY I STYNKI.

W samym środku gubernii augustowskiej, a mianowicie w północnej stronie powiatu augustowskiego, tudzież w powiatach sejneńskim i kalwaryjskim, to jest w okolicach pomiędzy miastami Rajgród i Kalwaryą położonych, łowią się ryby sieja, sielawa i stynka, wszystkie trzy z rodziny łososiowatych. Ryby te w innych stronach Królestwa Polskiego albo są rzadkie, albo się wcale nie znajdują; a ponieważ, nawet i co do gubernii augustowskiej są w jednej tylko jej części; ztąd więc pod względem przemysłowo-handlowym i statystycznym tej gubernii, na szczególną zasługują uwagę.

Sieja, przez naszych krajowych zoologów, nie wiedzących o polskiem jej mianie, *wielką sielawą* zwana (1),

(*) Zobacz Bibl. Warsz. T. IV, 1857 r.

(1) Zob. na końcu przypis A.

znajduje się w jedném tylko jeziorze *Wigierskiem*, które leży w powiecie augustowskim, napół drogi pomiędzy miastami Suwałki i Sejny, i niegdyś do klasztoru kamedulskiego w Wigrach należało, a teraz jest własnością rządu, do ekonomii rządowej Wigry przyłączone.

Jezioro to należy do większych, i ma mieć rozległości morgów 7,958, przętów 117 nowej miary polskiej, a 150 stóp głębokości.

Sieje trzymać się zwykły po samych głębinach tego jeziora i tylko niekiedy, a mianowicie w czasie tarła, to jest w miesiącu listopadzie, poławiają się na zwierzchnich częściach wody przy brzegach. Dlatego też powszechném jest mniemaniem, że w tym czasie najłatwiej i najobficiej łowić je można.

Ponieważ atoli, zwłaszcza nadmiarowe łowienie w czasie tarła, szkodliwe na rozmnażanie tych ryb spowodować może skutki, dla tej tedy przyczyny połów ich w czasie tarła, podobnie jak wszelkich innych ryb w ogólności, przepisami rybolóstwa w dobrach rządowych ograniczającemi, jest wzbronionym.

Ze zaś, co nie ulega wątpliwości, ryby te w porze gdy jezioro pokryte jest lodami, wypływają ze swych głębokich kryjówek, i utrzymują się tuż pod lodem, w tej zatem porze (która najczęściej w miesiącach styczniu, lutym i marcu przypada), pospolicie odbywają się głównejsze ich połowy, a to przez wyrąbywanie otworów w lodach i zapuszczanie niemi sieci pod lody. Połowy w tej porze skuteczniejsze, ten jeszcze przynoszą pożytek, że się otrzymuje ryby w ich jesiennj tuszy a zarazem w czasie kiedy z powodu bliskości wielkiego postu najpokupniejszą jest ryba. Wprawdzie dają się niekiedy poławiać sieje i letnią porą, ale to tylko w pomniejszych ilościach i przypadkowo. Nigdy zaś sieje nie poławiają się jak inne ryby, gromadnie czyli zbiorami, lecz zawsze pojedynczo lub po kilka tylko sztuk razem.

Przed dziesięcią jeszcze laty z każdej toni czyli za każdym wyciągnięciem wielkiego niewodu z jeziora *Wigierskiego*, dostawało się na raz, jak to rybacy poświadczają, od trzech do pięciu sztuk, i to w każdej porze roku. Obecnie zaledwie się jedna do trzech sztuk w jednej toni

znajdzie. To też spowodowało uderzające podrożenie tej ryby; gdy przed dziesięcią laty funt jej sprzedawał się na miejscu po kop. sr. 15, teraz po kop. sr. 37 $\frac{1}{2}$ do 45 za funt się płaci. Sieja od 2ch do 4ch funtów ważąca, sprzedawaną przedtém bywała za 30 do 75 kop. sr.; dzisiaj zaś sieja średniej wielkości, to jest nie więcej nad trzy funty ważąca, stoi na miejscu w cenie rubla srebrem i więcej (1).

Powodem tego umniejszenia się produktu nie co innego być może, tylko nieogłędne i z obrazą przepisów rządowych postępowanie dzierżawcy rybołostwa na pomienioném jeziorze, czemu jednak przez przedsięwzięte zaradcze kroki, zapobieżonóm zostanie.

Ryba ta ma smak nader delikatny, zwłaszcza gdy jest w stanie swój świeżości ugotowaną lub na ruszcie upieczoną, z przydaniem ostrej przyprawy. Świeżej jednak nie można w odleglejsze strony przewozić, bo zaledwie z wody wydobyta, w téjże samej chwili krwią zalewa się i żyć przestaje, a to skutkiem nagłego pęknięcia nader cienkich naczyń w jej skrzelach. Dlatego też świeża jedynie dla okolic miejscowych służyć może, a w strony odleglejsze tylko w czasie trwających mrozów wysyłać się daje zamrożona. Na handel, szczególnie do Warszawy, wysyła się zazwyczaj wędzona.

Dawniejszemi czasy, jak niesie miejscowe podanie, łowiono sieje wyłącznie tylko na stół królewski, i dlatego rybę tę nazywano królewską. Opowiadają jeszcze starzy sposób, jakim ją dostarczano na stół Stanisława Augusta; wśród połowu rozkładano ogień nad brzegiem jeziora, i złowioną rybę, skoro z wody wyjęto, na miejscu przypiekano na ruszcie. Zabezpieczoną w ten sposób od nagłego zepsucia, wysyłano jak najspieszniej do Warszawy, gdzie dopieczona i po przydaniu stosownych przypraw, uważaną była za osobliwszą lakoć, szczególnie na ołych słynnych obiadach czwartkowych.

Dlaczego sieje dostały się wyłącznie gubernii augustowskiej i to do jedynego jeziora Wigierskiego, na to

(1) Większe od cztero-funtowych sieje, nie często polawiają się; ale natrafiano czasami i na takie, które przeszło 7 funtów ważyły, jak mieliśmy przykład tego w r. 1854.

z pewnością odpowiedzieć nie można. Wnosić tylko wypada, że nie kto inny, jak sama natura, obdarzyła to jezioro pomienionym ryb gatunkiem, a to w podobny zupełnie sposób, jak uczyniła względem jezior Marchii i Pomeranii.

Ale niektórzy z okolicznych mieszkańców, uderzeni wyłącznością siedliska tej ryby, przypuszczają jakoby jeziora w których się ona znajduje, miały podziemną komunikacją z morzem, i że w ten sposób zasilają się wodami morskimi do utrzymania się potrzebnymi. Drudzy znowu twierdzą, że dawniejsi zakonnicy zamożnego klasztoru Kamedułów w Wigrach, założonego w skutek ślubów króla Jana Kazimierza (1), sprowadziwszy z dalekich stron pierwszy zarybek siej, zapuścili go wyłącznie dla swęj wygody do jeziora klasztornego, i że od tej epoki sieje utrzymują się w pomienioném jeziorze.

Jeżeli sieje, jak niektórzy utrzymują, znajdują się i w głębinach morza Północnego przy brzegach Norwegii, toby znowu podpierano poniekąd mniemanie: że jezioro Wigierskie, podobnie jak nadmorskie Pomorze, mieści zażytek przedwiekowego zalewu wodami morskimi. Twierdzenie wszakże jakoby jezioro Wigierskie zarybione być miało pierwotnie siejami z dalekich stron, a jakby się dorozumiewać należało, z jezior pomorskich i brandeburskich sprowadzonymi, bynajmniej nie jest przypuszczalnem, bo najprzód ryby te, jak powiedzieliśmy, w stanie żywym, z miejsca na miejsce w żaden sposób przeprowadzić się nie dadzą, nie mogłyby więc rozmnożyć się sprowadzeniem zarybku; a powtóre, sztuka rozmnażania ryb przez przenoszenie ikry, dawnymi laty wcale nie była znaną i należy do rzędu tegoczesnych wynalazków.

Uderzającą jest także okolicznością, że w jeziorze jak np. Wigierskie, w którym się utrzymują sieje, znajdują się niewątpliwie sielawy i stynki; tam zaś gdzie są sielawy, są także i stynki: ale nie idzie zatém, aby w jeziorach obfitujących w sielawy miały się znajdować i sieje, co wykazemy jeszcze mówiąc o sielawach. Namienić wre-

(1) Klasztor ten, dziś suprymowany, o 10 wiorst odległy jest od Suwałk.

szcie wypadła o błędnem twierdzeniu, jakoby sieje znajdować się miały nietylko w jeziorze Wigierskiem, ale i w inném jeszcze, w powiecie augustowskim, gminie Motule nad granicą pruską położoném, a Rozspuda zowiącém się, mającém rozległości przeszło 1,300 morgów i na stóp 56 głębokiém. Być może iż w długim lat przeciągu i tam natrafiono kiedy na sieję, ale dzisiaj nie poławiają tej ryby w pomienioném jeziorze. Jeżeli była w niem dawniej, mógł nadzwyczajny jaki wypadek lub też nadmiarowy i nieogledny połów ze szczętem ją wygubić.

Ilość siej w jeziorze Wigierskiem, corocznie teraz poławianych, z pewnością i ściśłością nie da się oznaczyć: łatwo wnieść jak nie byłoby dokładnem to wyrachowanie, zasadzone jedynie na kontrolowaniu dzierzawiącego rybołówstwo tego jeziora. Sądząc atoli z czerpanych od biegłych rybaków wiadomości w tej mierze, powiemy: że chociaż te ryby nie tak obficie jak dawniej poławiają się, wszelako na każdą ton z pewnością jedną sztukę corocznie rachować można, a podług tego ogólny każdoroczny połów średniej wielkości siej na 200 do 300 sztuk dałby się ustanowić. Spodziewać się jednak należy, że po dzisiejszém rozciągnięciu najściślejzego nad połowaniami nadzoru, i po przestrzeganiu nadewszystko tego, aby drobne rybki w miarę ich połowu napowrót do jeziora wpuszczane były, użyteczny i ciekawy ten gatunek nietylko nie wyginie, ale i znacznie rozmnoży się na przyszłość.

Co do pospolitej *sielawy* (1) ta znajduje się w mnogich jeziorach gubernii augustowskiej, a mianowicie:

W powiecie augustowskim w jeziorach rządowych: *Wigry*, *Surpitty*, *Szelment*, *Białe*, *Sajno* i *Serwy*, tudzież w prywatnych *Rajgrodzkiem* i *Dreśtwieńskim* do dóbr Podliszewa należących.

W powiecie sejneńskim w jeziorach rządowych *Dzi-mitrowo* i *Długie*, tudzież prywatnych: *Owirys* w dobrach Lejpuny, i *Duś* w dobrach Metełe.

(1) Zob. na końcu przypis B.

W powiecie kalwaryjskim w jeziorze *Wisztyniec* w części do miasta *Wisztyniec*, a w części do Prus należącym, tudzież w jeziorach *Simno* i *Zuwinta*, które należą do dóbr prywatnych *Simno*.

Najcelniejsze, to jest największe sielawy, poławiać się zwykły w jeziorach *Białe*, *Sajno* i *Serwy*. Za temi idą poławiane w jeziorach *Wigierskiem* i *Rajgrodzkiem*, *Dręstwieńskim* i *Dzimitrowo*. Poławiają się i w innych jeziorach tychże powiatów równie piękne, ale nie w tej obfitości co w tamtych. W niektórych, mimo zapewnienia okolicznych mieszkańców, sielawy dziś nie znajdują się wcale, a przynajmniej istnienie ich tam jest wątpliwe.

Jaka jest obfitość rocznego połowu sielaw, a tem samem jakie ztąd pod względem gospodarczym odnosi korzyści gubernia augustowska, nie podobna ściśle oznaczyć, a to z tychże samych przyczyn, o których namieniliśmy mówiąc wyżej o siejach. To jednak pewna, że rok rocznie nabycie ich staje się trudniejszém. Albo więc przychówek ryb pomienionych umniejszył się, albowi też podniosła się ich konsumpcya.

Zdaje się, że tu i jedno i drugie rzeczywiście zachodzi; nie ulega bowiem wątpliwości, że bezwzględne postępowanie dzierżawiących rybołówstwo i nadmiarowe ubieganie się ich za zyskami, a przez to obracanie na sprzedaż wszelkich, chociażby najdrobniejszych sielawek; z drugiej zaś strony szkodliwe działania włościan, którzy poddzierżawiają od głównych dzierżawców dotyczące do ich osad brzegi jezior, i którzy bez względu na czas, na rodzaj ryby i narzędzia, przez cały rok sieci zaciągają: wszystko to musi koniecznie najszkodliwszy wywierać wpływ na rozmnażanie się sielaw.

Nie można w tém miejscu przemilczeć, że od niedawnego czasu jak sielawy głośniejszemi się stały i odtąd wywóz ich, szczególnież do Warszawy, znakomicie się zwiększył; okoliczność ta zachęciła trudniących się połowem tych ryb, do wydobywania ich z wody w największych o ile tylko można ilościach.

Bądź co bądź, cena targowa sielaw na miejscu tak dalece w ciągu 10ciu lat ostatnich podniosła się, że co dawniej kosztowało tutaj 3 do 5 kop. sr., teraz kosztuje

dwakroć tyle, a sielawy celne, w jeziorach: *Serwy, Białe, i Sajno* poławiane, na miejscu po kop. sr. 20 za sztukę płacić trzeba. Utrzymują nawet świadomi rzeczy, że takich wyborowych sielaw najwięcej do 10 kóp na rok złowić można, gdy przed laty poławiano ich nierównie więcej. Jakkolwiek zatem podrożenie wszelkich w ogólności przedmiotów wpływać mogło poniekąd i na podrożenie sielaw, czy wszakże te dzisiejsze ich ceny, łącznie z przywiedzionymi powyżej okolicznościami, nie świadczą i o unniejszeniu się obfitości ryb samych? W każdym razie, już to ażeby ten gatunek ryb utrzymać na przyszłość, już ażeby stanąć w możności zadosyćczynienia tym którzy ich żądają, zachodzi potrzeba zaprowadzenia należytego okolo nich gospodarstwa, a do czego odpowiednie środki są już przedsięwzięte.

Sielawa w naczyniu wodą napelnioném daje się przewozić żywa, nawet do miejsc znacznie oddalonych. Jest ona równie smaczna jak sieja, ale mniej delikatna niż ta ostatnia: najsmaczniejsza świeża, gotowana lub smażona, lecz i marynowana lub wędzona za wyśmienitą uchodzi potrawę. Najpowszechniej też używaną bywa wędzona, i taką, handlową drogą, wysyła się z gubernii augustowskiej w odleglejsze strony, a w szczególności do Warszawy.

Stynki (1) poławiają się we wszystkich tych jeziorach, w których się znajdują sielawy. Lecz są prócz tego stynki i w innych jeziorach, jakoto: w jeziorach powiatu augustowskiego: Kamienne, Rozspuda, Przystajne, Krzywulka, Krasienek, Okrągłe, Bolesty, Garbaś, Szumowo, Okmin, Necko, i w jeziorach powiatu sejneńskiego: Podwejsieje, Pasernik i Wielkis.

Najobficiej i najpiękniejsze poławiają się stynki w jeziorach: Rozspuda, Przystajne, Krzywulka, Garbaś, Szumowo, Wigry, Okmin, Necko, Serwy, Pasernik i Wielkis.

Jakkolwiek zaś stynki, podobnie jak sieje i sielawy, znakomicie ostatniemi czasy podrożały, (bo kiedy w r. 1837 placono za kwartę pół kop. sr. lub jedne kop. sr.

(1) Zob. na końcu przypis C.

za wyborową, dzisiejszemi czasy za kwartę zwyczajnych płacić trzeba po pięć kop. sr.); wszelako nie daje się z tego wyprowadzić wniosek, jakoby obfitość ich umniejszyć się miała. Wiadomo bowiem jak nadzwyczajnie mnożą się te ryby: wszelkie łowienie ich nie może być osądzone za zbytne, zagrażające ich zniszczeniem, nawet zmniejszeniem. Podrożenie ich zatem raczej przypisać należy podniesionój ich konsumcyi, w skutek powiększenia się zwłaszcza ubogiej klasy ludności, i powszechnej drożyznie.

Ryby te służą głównie za pokarm dla uboższej ludności, osobliwie też dla biednego żydostwa po miastach zamieszkałego. Wyborowe wszakże, idą nawet na wykwińnięte stoły: smażone na maśle zwłaszcza zaraz po nałowieniu, stanowią delikatną potrawę. Pospolity lud zwykł gotować na zupę te rybki tak drobne i delikatne, że w całości, z ościami oraz z głową i bez żadnego sprawiania jeść się dają.

Mówiąc o rzadkich ryb gatunkach, nadmienimy nakoniec, że w gubernii augustowskiej poławiają się także pstrągi, ale nie pstrągi pospolite krajom górzystym właściwe, lecz raczej te, które lososio-pstrągami nazywano (1). Pstrągi bowiem pospolite mają mięso białe, i waga ich nie przenosi nigdy trzech funtów, gdy przeciwnie augustowskie pstrągi mają mięso czerwone i wazą od 6 do 8 funtów.

Poławiają się one w rzece Hańczy, w okolicy Suwałk; domniemywaćby się zaś należało, że znajdować się także powinny w jeziorach, przez które rzeki, a mianowicie Hańcza przechodzi, a do rzędu których i jezioro Wigierskie należy.

(1) Zob. na końcu przypis pod D.

PRZYPISY

DO POPRZEDZAJĄCEGO ARTYKUŁU.

PRZEZ

Antoniego Wage.

A. To skupienie czyli oddział ryb łososiowatych, do którego dwie nasze, sieja i sielawa należą, zawiera gatunki u naturalistów zwane ogólnie *Coregoni* albo *Velchones*, a które mogłyby nawet osobny rodzaj stanowić. Gatunki te nie całej Europie są wspólne: jedne utrzymują się w północnych, drugie w południowych krajach tej części świata, ale mimo to są częstokroć bardzo między sobą podobne i nieraz brane były jeden za drugi. Z pomiędzy południowych już dawnym znany naturalistom lawaret (*lavaretus*), a którego nasz Jundzill zowie łososiem konstancyeńskim, mieszka w jeziorach sabaudzkich i szwajcarskich, jakoto w konstancyeńskim, w jeziorze Bourget i t. d., a i w Renie blisko jego źródeł. Chociaż lawareta znali dawni, przecież dopiero Wartmann dokładną podał o nim wiadomość w *Berlin. Beschaeftigungen* w III tomie roku 1777 wydany, od str. 184, pod nazwiskiem *Blaufelchen*, i odtąd gatunek ten systematycy nazywają *Salmo Wartmanni*, lubo słuszniej należałoby mu nazwisko *Salmo lavaretus*, które nadano sidze albo siędze, innemu gatunkowi mieszkającemu w morzu Bałtyckim, Północnem, w rzekach Norwegii i t. d. Dlatego niektórzy to nazwisko *Salmo lavaretus* przenoszą do lawareta, zwłaszcza, że Cuvier odjął je sidze nazwawszy tę ostatnią *Salmo sicus*. Sieja jest trzecim gatunkiem, do tamtych podobnym, ale żyjącym wyłącznie w jeziorach europejskich za 53° szer. geogr., jakoto w Trockiem i innych w Litwie, w Wigierskiem u nas; w Madnem jeziorze (*Madui-See*) między miastami: Szczecinem a Starym grodem w Pomeranii, tudzież w jeziorach pogranicznej Marchii czyli brandeburskich. Sławny ichtyolog Bloch najpierwszy opisał sieję i wizerunek jej podał w *Berl. Beschaeftigungen* w IV tomie roku 1779 wydany, od str. 64, pod na-

zwiskami: systematyczném *Salmo maraena*, niemieckiem *Madui-Maraene* dlatego, że wówczas miał ją jedynie z pomienionego wyżej Madnego jeziora w Pomeranii, a przez które przechodzi rzeczka Płona, zupełnie tak jak przez Wigierskie Hańcza.

Powiedziałem, że te gatunki dla wielkiego między niemi podobieństwa, nieraz jeden za drugi wzięto, i tak: sięję poczytano za sięgę od dawnych zapewne czasów, bo nie wątpię, że i te nazwiska ludowe *sig*a i *sięja* są pokrewne: są tylko przekręceniem jeden drugiego, chociaż *sig*a niższa jest smakiem od *sięja*, a co do wejrzenia ma ciało, jak mówi Cuvier, szczuplejsze, brunatniejsze. Nasi naturalisci nie wiedzieli o tém ludu naszego nazwisku *sięja*, i dlatego, jak np. Jundziłł nazywają rybę wielką sielawą, a Gorski (*Zool. Kuml. i Gorsk. III, str 771*) miesza ją nawet z lawaretem, bo mówi, że: «mieszka w szwajcarskich i włoskich jeziorach» i, co mylniejsza, w przypisku niewiadomo mi z kąd wyczerpniętym, twierdzi, że *sięja* z rozkazu Fryderyka Wielkiego do jezior pomorskich, a mianowicie do Madnego, przeniesioną została ze szwajcarskiego jeziora Bourget!

Nie od rzeczy tu będzie przytoczyć niektóre szczegóły o tej rybie z jej monografii napisanej przez Blocha, chociaż ogłoszonej (*l. c.*) już blisko temu lat ośmdziesiąt. „W rzeczy samej, mówi Bloch, jestto rzecz nader szczególna, że ten gatunek ryby o ile dotąd wiadomo, w żadnej jeszcze innej wodzie nie był znaleziony. Nie utrzymuję wszakże bynajmniej, że ona w jednem tylko Madnem jeziorze mieszka, zwłaszcza wiedząc z uczynionych doświadczeń, że się i do innych wód przenosić daje. To, że ta ryba tak rzadko się łowi, pochodzi zapewne ztąd, że się stale na samém dnie utrzymuje. Oprócz na wiosnę i w czasie tarła, rzadko się ku powierzchni wód zbliża. Nawet w porze tarcia się nie wypływa dalej nad trzy do czterech sążni od powierzchni wody, a w odległości 150 do 200 kroków od ładu. Dlatego też wyjąwszy trzy na łowienie jej pory, to jest wiosnę, czas tarcia się, i czas w którym się pod lodem łowi, ledwie jedną i to tylko niekiedy udaje się schwytać. Na wiosnę ryba ta przybliża się naokoło ku brzegom, szukając pożywienia, którem jest plód ślimaków i małżów. Wtedy ośmiu ludzi, rozłożeni na dwóch łódkach i trzeciej do zabierania ryb przeznaczonej, wyciągają ją siecią na ośm sążni głęboką. W tenże sam sposób bierze się ją podczas tarła, które się zaczyna na ośm dni przed ś. Marcinem i trwa od dwóch

do trzech tygodni. Gdy wtedy burzliwy czas wypadnie, ryba nagle znika. Jeżeli niespokojny stan powietrza i na inne ryb gatunki podobny wpływ wywiera, nie trudno sobie wytłumaczyć dlaczego one jednych lat obficie, drugich skąpiej się łowią. Na Madnem jeziorze są dwa tylko miejsca, w których ta ryba dla zniesienia ikry ku powierzchni wody się zbliża, to jest z jednej strony koło Wierzbna, z drugiej koło Kunowa, lecz w tem ostatniem miejscu nie zjawia się tak licznie jak w pierwszym. Rybacy zatem przy Kunowie nie zapuszczają sieci więcej nad siedm razy; resztę czasu tarła spędzają przy Wierzbnie, bo tu połów jest wydajniejszy. Ale nie mam tyle wiadomości i doświadczenia, ażebym mógł przyczynę tego wytłumaczyć.

Przez porę tarła łowi się około 15 do 20 kóp siei. Najmniej łowi się przez czas wiosny, najwięcej w zimie pod lodem. Dopóki Madne jezioro jest zamarżłe, dopóty odbywa się na niem staranny połow siei, zajmujący ośmiu ludzi opatrzonych siecią na 18 sążni w głąb' zapuszczaną. Stosownie do tego, jaka jest zima, poławiają wiele albo mało. Biorąc w przecięciu, połow siei na Madnem jeziorze do 3000 sztuk przynieść może. Ażeby ich nie zabrakło w przyszłości, rybacy wielką dają baczość na zachowanie przypłodka. W tym celu używają przy połowie siei nie innej sieci jak z wielkimi okami, ażeby drobne rybki pounciekać mogły nim z wody wydobyte zostaną; ryba ta bowiem natychmiast śnie w powietrzu, a rybacy wyrachowali już, że lepiej wychodzą na mniejszej ilości większych, niżeli na większej mniejszych. Wielkość ryby która może się łowić, jest zazwyczaj dwie stopy długości, a siedm do ośmiu funtów wagi. Ryba taka sprzedaje się na miejscu za ośm do dziesięciu groszy (4—5 złp.). Malo bywa na trzy do czterech stóp długich, ważących wtedy czternaście do dwudziestu funtów, a jakie się po 16 groszy aż do talara placą.

Sieje najsmaczniejsze są na wiosnę, bo wtedy są najtłuszciejšie; im większe tem tłuszciejšie i delikatniejšie są te ryby. Z powodu tej delikatności mięsa, które i po uwędzeniu jest smacznem, sieja równie świeża jak i wędzona w różne i dalekie rozsyła się strony. W skrzyni w śnieg upakowana, przez kilka miesięcy należycie się zachowuje. Powie kto, że ponieważ ta ryba jest tak poszukiwaną, należałoby doświadczenia czynić

z przesadzaniem jej do innych jezior. Doświadczeniom takim przeszkadzało zapewne to uprzedzenie, że sieja prócz Madnego jeziora, w żadnej innej wodzie żyć nie może: aż nakoniec w r. 1776 p. Marewicz z Czernikowa uczynił to, na co dotąd nikt dosyć odwagi nie miał. Kiedy w pomienionym roku na Madnym jeziorze ryby pod lodem łowiono, wzorowy ten gospodarz kupił 220 sztuk siej i kazał je w wielkich fasach zawieźć do dóbr swoich o cztery mile od Madnego jeziora odległych. Z tych 80 sztuk na drodze posnęło: pozostałe sztuk 140 kazał powpuszczać. Przez cały rok żadnej ryby nie znaleziono nieżywej. Następującej zimy gdy lody ścinać się zaczynały, p. Marewicz kazał sieć zapuścić dla dowiedzenia się czy są i będą się utrzymywały sieje. Za pierwszym zaraz pociągiem siedm sztuk się złowiło. Ostatniego lata w małym połowie, w którym się używają sieci nie bardzo głęboko zachodzące, wyciągnięto znowu jedną sieję; a że dotychczas nie znaleziono żadnej nieżywej, nie ma wątpliwości, że się ten gatunek ryby daje do innej wody przenosić. Może z czasem i inni gospodarze wiejscy pójdą za tym przykładem. Ażeby zaś nie ponosili daremnego trudu i kosztu, nie zawadzi podać im do zachowania następujące pravidła:

1. Nie trzeba siej długo trzymać w powietrzu, bo sną prędko. Zanurzają się więc obszerne fasy pod wodę i do tych sieje się wrzucają.

2. W tém jeziorze albo w tym stawie, do którego sieje przesadzać się mają, woda powinna być tak głęboką, ażeby i w najgorętsze lato nie mogła się ocieplić aż do dna. Doświadczenie bowiem nauczyło, że ryby te od ciepła wody dostają wzdęcia i na to zdychają. Zdarza się niekiedy, że sieja podczas lata zapędzi się zbyt blisko powierzchni wody, szukając może pożywienia, albo też uciekając przed szczupakiem który ją goni. Wtedy grubieje jakby wiatrem nadęta i zdycha. Rybacy wprawdzie utrzymują, że ta choroba wtedy napada sieję, gdy ona podczas pory wietrznej wznieśie się tak blisko powierzchni, że wiatr ją ogarnie. Wszakże, gdyby tak istotnie było, choroba ta musiałaby najczęściej w jesieni się objawiać; bo sieja podczas tarcia się nie tylko wypływa jak najbliżej powierzchni wody, co już powiedzieliśmy, ale nawet i wyskakuje ponad nią niekiedy. Ze wszystkich doświadczeń jakie czyniono wypływa, że obrzękłe sieje nie znajdują się w tej porze roku,

lecz tylko latem. A jeżeli i w jesieni znajdują się nieżywe, są to tylko te, które od szczupaka pokaleczone były.

3. Woda, do której sieje przesadzają się, powinna mieć grunt piaszczysty albo marglisty.

4. W jeziorach i stawach, w których je utrzymać chcemy, znajdować się muszą stynki albo koluszczyki (kaciki). Nie źle prócz tego, gdy w nich małże i mech będą się mnożyły.

5. Wiele zależy na ostrożności z łowieniem tych siej, które na wpuszczenie są przeznaczone. Ryba ta jest bardzo miękka: wystrzegać się potrzeba uderzenia jój lub nagniecenia.

6. W przewozie trzeba, żeby dużo wody nad sobą miały, chroniącej je od mrozu. Samo przez się rozumie się, że powinny być sadzane ostrożnie i zwolna wiezione.

B. Sielawa (*Salmo maraenula*) tę z poprzedzającymi własność dzieli, że się trzyma wielkich głębi, i tylko podczas tarła (w listopadzie) na płytsze miejsca wypływa. Znajduje się ona nietylko w krajach północnej Europy, osobliwie w jeziorach niedalekich od morza Bałtyckiego, ale i w południowych stronach téj części świata, w jeziorach szwajcarskich. Wszędzie gdzie jest, żyje gromadnie. Po wyjęciu z wody prędko śnie: ma mięso białe i smaczne: solona i wędzona posyła się w handel. Z tego użytku sielawy znane były już w średnich wiekach pod nazwiskiem *vadipiscis*, których w Szwajcaryi w jeziorze konstancyeńskim, osobliwie przy samej Konstancyi po sto tysięcy sztuk łowiono, solono je i wędzono, i takimi rozległy prowadzono handel. W r. 1290 klasztor szwajcarski Salmannsweil odbierał czynsz sielawami, po 15,000 sztuk corocznie. W roku 1534 miano za jednym sieci zacięciem 46,000 złowić. W jeziorze zurychskim, pod nazwiskiem albela (*albula*), łowi się nader obficie podczas tarła w listopadzie i grudniu; w tych miesiącach wszędzie na placach targowych znaleźć można nieżywą. Poławia się także w jeziorze lucerneńskim w bliskości Stanz, z kąd od r. 1182 klasztor Benedyktynów w Ingelberdze pewną ilość tych ryb w podarunku odbiera, ponieważ w tym roku opat Berthold przeżegnał sielawy gdy naprzeciwko przepływającego się tamtędy w niezliczonych mnogościach wyszły, ażeby go powitać. Sielawa podług Rzączyńskiego (*Auct. XXXII, pag. 214*) ma jeszcze dwa inne nazwiska polskie: sułwica i marrenka. Olaw Rudbeck w swojej rozprawie pod tyt.: *Ichthyologiae biblicae pars prima, de ave Selav etc.* na str. 30 przytacza

kilkadziesiąt wyrazów gotyckich, runickich, finlandzkich, polskich (*sledz*, *zółw* (pisze *solw*) i t. d. podobnych brzmieniem do hebrajskiego *selav*, a to dla okazania, iż te wyrazy znaczą zawsze i wszędzie albo rybę, albo jaką czynność około ryb i t. p., i dowiedzenia przez to, że pomieniony hebrajski wyraz nie ptaka znaczy, lecz «wszelkie małe rybki pospolite, z łuskami, pletwami i skrzydełkami». Dziwną jest wszakże rzeczą, że Rudbeck między tylu temi wyrazami opuścił najważniejszy dla swoich badań, polski *sielawa!* Ten wyraz *sielawa* (w Wielkopolsce *subwica*) znajduje się już w Kromerze, w Falimierzu, Spiczyńskim, Sienniku i t. d.

C. Stynka iune stanowi skupienie pomiędzy łososiowatemi rybami, nazwane *Osmeri* (*Osmerus eperlanus*); nie większa od koluszczyki rybka, delikatna, prawie przezroczysta, na bokach jakby posrebrzana, tęczowemi barwami mieniąca, lecz o ile powabna kolorem, o tyle odrażająca zapachem, od czego też i nazwisko pierwiastkowo u niemieckich rybaków otrzymała. Znajduje się ona także w jeziorach Europy północnej, trzymając się największych głębi i dlatego mało poławiana, wyjąwszy podczas tarła po zejściu lodów, kiedy niezliczonymi tłumami do rzek ciągnie. Wtedy jej taką mnogość poławiają, że prócz rozesłania beczkami całemi na wszystkie targi, reszta na kupy zsypywana zostać się musi nad brzegami jezior, gdzie zagniwszy odrażający zapach po okolicy całej rozpościera. Wiadomo, o ile używaną jest do jedzenia, nawet od wszelkich klass ludności. Stynka wyjęta z wody podobnież śnie prędko. Sadzają ją w jeziora na pożywienie sędaczom. Jest morska jej odmiana, a może i gatunek (*Salmo eperlano-marinus*) daleko większa tak, że czasem $\frac{1}{2}$ funta waży i nie ma odrażającej woni. Taka znajduje się w morzu Bałtyckim i Północnym, zkad na wiosnę w ujścia rzek tam wpadających, a osobliwie do Elby wielkimi tłumami wpływa dla tarła. Wtedy ją obficie łowią, suszą w powietrzu i solą w faskach, w których i do nas osobliwie z Hamburga, przychodzi, na lepszych nawet używana stołach. Ojczyzna stynki nie zachodzi dalej na południe, jak po pasmo gór Turyngii. To jej nazwisko *eperlanus* wywodzą od perłowego blasku, choć ono raczej jest przerobieniem gminnego w niektórych okolicach Niemiec nazwiska stynki: *Spierring*.

D. Łososiopstrąg (*Salmo trutta*, fr. La truite saumonée) ten sam zapewne, który znamy jako mieszkańca rzek W. Bry-

tanii, tudzież północnej Francyi i Niemiec północnych, gdzie corocznie jak losoś do przyległego morza wędruje. Wędrowkę tę odprawia w maju, a wraca na końcu lata lub w jesieni, i odbywszy tarło w listopadzie lub grudniu, zimuje w rzekach, a po roztaianiu lodów znowu do morza powraca. Wpływa nietylko w rzeki bezpośrednio do morza uchodzące, ale i w najmniejsze ich boczne. Gdzie się tej ryby wiele poławia, jak np. w Szkocyi, solą ją, wędzą lub marynują, i rozsyłają. W Elbie koło Hamburga i w Odrze łowią ją już w maju, najwięcej jednak w czasie od ś. Michała do Bożego Narodzenia.

DUMY, PIĘŚNI I SKAZKI LUDU UKRAIŃSKIEGO.

PRZEZ

Erazma Izopolskiego (*).

„Piękna jest róża gdy świeżo zakwita,
Nadzieja słodka co z bojaźni wschodzi:
Piękniejsza róża ranną rosą zmyta
I miłość czulsza, gdy jej łza przewodzi”.

Słowa tej piosnki sprawdzają się na miłości Ukraińca do swojej ziemi: kocha on w niej nie krainę miodem i mlekiem płynącą, ale jej nieszczęścia, jej troski i boleści, jej obszary zdeptane końskimi kopyty, zasiane trupami obrońców i wrogów, oblane łzami jej dziewczę do niewoli pochwyconych tatarskiej, a nasiąkłe krwią tatarską, lacką i kozacką; kocha pamięć jej przesławnych woźdźdź, których imion po większej części nie pamięta, a z zapamiętanych są albo ci, których dzieje najmniej są

(*). Autor niniejszej rozprawy zbierał oddawna pieśni ludu swej ziemi. Zbiór dum ukraińskich drukował w Athenaeum J. Kraszewskiego w tekście oryginalnym wraz z przekładem. Praca ta zwróciła uwagę wszystkich miłośników pamiętek ojczyźnych. P. E. Izopolski, zbiór swój dum historycznych powiększył i zbogacił go nadto pieśniami i skazkami ukraińskimi, których treścią nie same tylko zdarzenia dziejowe. Upomniął on nas do ogłoszenia tego zbioru: zanim przeto w oddzielnym dziele pracę jego wydamy, przywzrosty nateraz *wstęp* jaki napisał do swego zbioru,

K. Wł. W.

znane historyi, albo ci, k'woli których krew strumieniami płynęła: a kocha tém więcej, że ta miłość jego była jakby tajemnicą przed resztą świata. Dopiero z polskich pisarzy Zaleski Bohdan wionął w świat Boży duchem poetycznym Ukrainy, obok niego stanęli Goszczyński i Malczeski, za niemi, a bodaj przed niemi Kotlarewski w Eneidzie przemówił językiem ruskim na Ukrainie powszechnym, dalej Czarnocki pod imieniem Zoryana Chodakowskiego rzucił pierwsze światło na nieprzebrane skarby poezyi w dumiach, pieśniach i skazkach ludu ukraińskiego nagromadzone; a po tych dopiero oraczach, którzy nietkniętą dotąd niwę ukraińskiej poezyi zaozrali, poszli inni pracownicy, z których znakomitsi są w literaturze polskiej: pp. Michał Grabowski, Alexander Groza, Tomasz Padura, ks. Komarnicki, autor Mohorta, Zenon Fisz, Marcinkowski, Rulikowski i kilku innych; a w literaturze rosyjskiej: genialny Gogol, Maxymowicz wydawca zbioru Chodakowskiego, Sreżniewski, Metliński, Skalkowski i najpóźniejszy p. Kulicz. Wszyscy ci pisarze znakomicie się zasłużyli przeszłości Ukrainy i słuszna się im wdzięczność należy za wydarcie zapomnieniu wspomnień ludowych i rozjaśnienie choć w części dziejów szczególnego w swoim rodzaju zjawiska, a wielce poetycznego bytu kozaczyzny. Tymto pracownikom należy wszystka zasługa, że zostały zbyt prędko bez znaczenia słowa Bohdana Zaleskiego, który w przypisku do dumy o Mazepie powiedział: „Wiadomość rzeczy ukraińskich w literaturze polskiej tak jest szczupłą, iż nie można prawie po polsku żadnej zrobić wzmianki o wypadkach i miejscowości tej ziemi bez szczególnych do tego objaśnień”; jakoż istotnie dziś rzeczy zmieniły się do tyła, że każdy mniej więcej oswojony z literaturą bądź polską, bądź rosyjską, wie o Ukrainie choćby trochę więcej, niżeli o ziemiach Państwa Niebieskiego.

Mówiąc o pierwszych pracownikach na ukraińskim zagonie, nie mogę przemiąć jednej uwagi, téj mianowicie, że przesliczne poezye Bohdana Zaleskiego owiane duchem Ukrainy, mają wielką w literaturze polskiej zasługę, ale tylko jako pierwszy powiew, pierwszy odbłysek ducha poetycznego Ukrainy, rozbudzający dla niego za-

miłowanie w innych; lecz pod tym względem zabrał Za-leski zasługę tak całą, że z niej trudno oddzielić choćby okruszynę, nawet dla autora ballady pod nazwą *czaty*, nie dopieroż dla kogobądź więcej, zaczawszy od pieśniarzy i bazarzy na pokrój ukraińsko-Bohdanowski, aż do ostatniego na ten temat wiadomego mi utworu, podobno o księciu Ostrogskim. Wszystkie te dumki czy pieśni, czy jak ich tam nazwać, mają niekiedy swą wartość z tytułu obrobienia, składu i ładu coś naksztalt ukraińskiego; ale za to oprócz obrobienia, i oprócz wziętego czasem za godło poezyjki którego ze znajomych w dziejach Ukrainy imion, więcej ani krzty rzeczy nie ma, a fałszu co niemiara.

Jeszcze w 1839 roku zbiór niniejszy pieśni dum i skazek ukraińskiego ludu był przygotowany do druku i nawet przeszedł cenzurę, ale okoliczności odemnie nie zależne wydać go osobno nie dozwoliły; przesłałem go więc p. Kraszewskiemu, który w wydawanym przez siebie Athenaeum pomieścił wszystkie, z wykluczeniem wstępu.

Narzecze języka słowiańskiego, mowa ruska jest mową ludów osiedlających oba brzegi Dniepru od Kijowa do ujść jego, Podole, część Galicyi i Wołynia z małemi odmianami. Ruscy pisarze jak Kotlarewski w parodii Enejdy i inni, wowę tę wyrobili piśmiennie, używając jej do oddania śmiesznej strony obyczajów i zwyczajów ukraińskiego ludu; przyjęty atoli przez nich alfabet wielko-rossyjski, pomimo rozmaitych obmyślanych mu odcieni przez nakreskowania, oraz znaki twarde i miękkie wcale jest niedogodnym, gdyż nie oddając dokładnie gminnych sposobów mówienia, utrudza bardzo czytanie. Galicyjscy pisarze, Ruteni, przyjąwszy alfabet polski, rozwinęli ten język grammatycznie, i zasłużyli się pod tym względem bardzo wiele, gdyż przyjętym przez nich sposobem pisania, nietylko oddaje się każdy odcień wyrażenia Rusina, ale nadto wcale łatwo jest czytać bez zmiany dźwięków właściwych temu narzeczu.

Przejdźmy do rzeczy bardziej interesownych, do poznania ogólnego zarysu ludu, który zaległ wyżej wymienione okolice, a bardziej jego pierwowotworu, jakim była kozaczyzna, gdzie duch rycerski i wyłączny charakter

odznaczył dzieje Ukrainy, stworzył śpiewy, zbiór niniejszy ubogacające, wydał bajecznych prawie bohaterów, aż wsiąkł i zniknął w dominujących mu narodach.

Przyjąwszy przekonanie wielu uczonych, że początek kozaczyzny odnosi się do czasu najścia Mogołów na Ruś, to kozaczyzna do chwili nadań króla polskiego Stefana i ustanowienia kozakom hetmanem ks. Bohdana Rożyńskiego, przebyła trzywiekowy okres swojej kreacji; odtąd zaś przeszła w systemat obmyślony, wykończony i politycznie czyli legalnie uznany. Wszakże dziwna to, że naród tak długo w zawiązku swym opierający się naciskom wrogów i burzom wojennym, ciskającym pioruny na jego zagładę, za rozwinięciem się przyszedłszy w stan dojrzały, żył krócej na scenie politycznego bytu, niż się za nią formował; i dziwnato rzecz tém więcej, zważając do jakiej potęgi i siły lud ten wojowniczy, życie za nie wazący, doszedłszy, potem tak rychło zatracił w sobie nietylko duch rycerski i zamiłowanie sławy, ale nawet i samą myśl, że można żyć inaczej niż w zależności od pana i ekonoma, którym nie koniecznie sprzyja, ale bez nich obejść się mu trudno, gdyż natychmiast przechodzi w stan rozprzężenia. Byt całkowity kozactwa rozdzielić się daje na pięć okresów. 1) Okres kreacji, zajmujący czas od najścia Mogołów na państwa ruskie, do hetmaństwa ks. Rożyńskiego. 2) Okres systematu politycznego rządowego Polski od ks. Rożyńskiego do buntu Naliwajki. 3) Od Naliwajki do Chmielnickiego. 4) Od Chmielnickiego do Mazepy 5) nakoniec od bitwy połtawskiej do zburzenia Sycy zaporozkiej.

Pierwszy z tych okresów jest niepewny, domysłem i erudycyi pole otwierający; drugi okresem wojowniczej sławy kozaków; trzeci okresem okropności wojny fanatycznej domowej; czwarty okresem nadziei usamoistnienia się kozaczyzny; piąty okresem rozprzężenia i upadku. Z takiego podziału wypływa: że okres drugi otulony jeszcze niedość rozwianą mgłą tajemnicy pierwszego okresu, nasiąkły rycerskim duchem bohaterów walczących całe wieki, by mordem i pozągą pomścić się na wrogach, którzy ich z dawnych siedzib wycisnęli i zmusili kryć się za porożami, jako naturalnem przeciw napaści obwa-

rowaniem: okres ten mówię najbardziej jest poetyczny z całego kozackiego bytu. Jakoż istotnie wywarł on największy wpływ na ludową poezję Ukrainy, gdyż z tego właśnie okresu bohaterowie najświetniej są opiewani w dumach. Dumy zaś o późniejszych bohaterach im bliżej ci stali tamtego okresu, tém śpiewy o nich więcej noszą barw jego. Bo i zaprawdę któryż wojownik bardziej jest poetyczny, czy ten, który trzykroć stotysięczny tłum prowadzi na pokonanie szczupłych sił trawionego nierządem narodu, i w walkach z nim zbyt często pole boju utracą; czy ten, który z zarośli i sitowia nieliczny, lecz dzielny wyprowadziwszy hufiec, uderza na potężne siły państwa Mahometa, będącego jeszcze naówczas postrachem chrześcijańskiej Europy, i dość często w krwawym je pokonywa boju. Tento drugi okres wydał Daszkiewiczów, Bohdanków, Świrkoskich, Skalozubów, których dzielne męstwo w zadumienie wprawia. Któż słuchając dum o nich, dum, jakich prawdę dziejową badania historyków wspierają, nie uczuje i nie uzna całej ich poetycznej wartości?

Niewątpliwą jest rzeczą, że nadania króla Stefana kozakom, przy jawnym celu połączenia ich wieczystym węzłem jedności z Polską, miały cel tajemny polityki króla: postawić dobrze uorganizowaną siłę zbrojną kozaków, przeciw rozbujalęj już w wolnościach szlachcie polskiej i litewskiej, w czem śmierć wielkiego tego monarchy plan ten zniweczyła. / / Wszakże plan połączenia kozaków z Polską był w celu polityki następców jego, ale już nie myślano go dokonywać w sposób zwyczajnego łączenia się równego z równym, a chciano oddać wojsko zaporozkie pod dyspozycyę koronnych hetmanów, a Ukrainę zamienić w prowincyą rządzoną samowolnością szlachty i rozwołnionemi instytucyami rzeczypospolitej. Za węzeł takiego związku uznano najdogodniejszym węzeł jedności religijnej, i w tym celu wprowadzono raz jeszcze na świat Boży unią kościołów wschodniego z zachodnim. Tę unią, którą od IXgo do XVgo wieku rzymscy papieże, że nie była po ich myśli, po kilkakroć zrywali, a potem w wieku XV wykształ-

towaną podług ich zasady i chęci, gdy korzystając z groźnych kłopotów monarchii wschodniej, już byli bliżej postawić na nogi w pełni życia: głos męża, któremu najzaciętsi nieprzyjaciele nie zarzucić nie potrafili, głos Marka Efezkiego rozbił ją do nicości. Dziwneto było przeznaczenie téj unii kościołów. Zabiegi o wprowadzenie jój w monarchią bizantyńską, osadziły na jój gruzach Koran Mahometa; usiłowania zrobienia jój węzłem jedności kozaków i Polski, zalały ich ziemie krwi potokami, i zadały śmiertelny cios obum.

Jakoż unia, cel polityki rzymskiej i jój zwolennika Zygmunta IIIgo, unia, zapelniając cały 3 i 4 okresy kozaczyzny, zniweczyła wszystko co w drugim okresie mądremi postanowieniami króla Stefana Batorego było zasnuć. Rozrywały się chwila po chwili węzły jakie kozaków z Polską łączyły, wzmagala się wzajemna nienawiść, a wojownicy, których dłonie zboczyły się teraz krwią bratnią, zapomnieli dawniej wspólności losów, gdy szło o walkę z bisurmanem. Z miłością zniknęły razem siła i zamożność kraju: tak Polsce zagroziły nie już napady tatarskie, na odparcie których prawie zawsze dostatecznemi były dzielne hufce kozackie, ale i sami kozacy, którzy przestawszy uważać Polskę za orędowniczkę ich swobód, na szkodę jój łączyli się z jój wrogami.

Wreszcie po długim królowaniu umarł Zygmunt. Następca po nim syn jego Władysław, zamysłał zdaje się cofnąć wstecz wypadki, i jeśli nie posunąć je korzystnie, to przynajmniej wrócić do stanowiska na jakim je Zygmunt zastał; lecz znowu rychła śmierć staje na zawadzie, zbez władniając rękę chcącą wstrzymać ciężar przeznaczeń, pogrążając się w przepaść Polski. Władysław IV umarł, na tron Polski wstąpił Jan Kazimierz; z brewiarzem w ręku uchodzi z życiem za granicę swego królestwa w miejsce tego, aby z mieczem w dłoni odparł za nie najeźdców; a tymczasem ciężar groźnych przeznaczeń Polski pędził tém gwałtowniej, im bliżej był kresu. Ukraina zadnieprska przeszła pod panowanie Rosyi, rozpoczynając czwarty okres bytu kozaczyzny, za-

kończony upadkiem Mazepy; po Mazepie piąty okres kończy się rzezią humańską i zburzeniem sieczy zaporozkiej.

W drugim okresie każdy bohater dumy czy pieśni, bez względu był-li który z nich hetmanem lub tylko kurennym, jest wojownikiem pierwszorzędnym, przy którym opiewane w pieśni grupują się wypadki; gdy tymczasem w trzech ostatnich okresach po Konaszewiczu Sahajdacznym, zaledwo dwa są imiona główne: Chmielnicki i Mazepa, jako przedstawiciele epoki, a inni mniejwięcej stoją na dalszym planie. Same nawet o nich pieśni często są ekliwe, bez treści, lub przepelnione czemsiś tak niemilém, że zbieracz notując je nieraz się zawaha, czy dobrać je z zapomnienia, czy dać zginąć, jak bez wątpienia wiele innych pewno w mgłę wieków zginąć musiało.

Jeżeli kiedyś poznamy się bliżej z dziejami Ukrainy, znajdziem w nich mnóstwo błędów wynikłych z pedantycznej, jak ją nazwał P. M. Gr. arystokracji rządu kozackiego; lecz niestety! odsłonią się razem daleko liczniejsze i te, jakich się dopuścił rząd polski, a jakich wytłumaczyć nie można, tém bardziej, że Polska pod tę porę więcej była zbliżoną do systematu oświeconych państw Europy niż Rossya, która przecież mądrém swém postępowaniem potrafiła bez nadzwyczajnych wysiłen złamać instytucye kozackie, i kozaków nagiąć do instytucyj swoich, chociaż między nimi leżała przestrzeń różnicy tak ogromna, jak ogromne było podobieństwo instytucyj kozackich z polskimi, pod których wpływem się rozwinęły.

Zasługuje na uwagę, że gdy do poddania się Chmielnickiego władztwu Rossyi, kozactwo znaném było pod ogólném jedném nazwiskiem Kozaków zaporozkich; po Chmielnickim, gdy Ukraina podzieliła się na Ukrainę polską i rossyjską, przybierającą tytuł hetmanszczyzny, a potem Małorossyi, właściwi Zaporozcy z swym koszem zachowali niezależność prawie samobytną pod swojemi koszowemi atamanami, jakowa acz tolerowana, będąc atoli czas od czasu źródłem sporów między koszem i hetmanami małorossyjskimi, naciskana nieraz przewagą potęgi rossyjskiej i nigdy przez nią legalnie nie uznana, zamieniła się powoli w sytuacyą więcej bunto-

wniczą, i istniejącą więcej za obrębem prawa, niż w porządnie i prawnie uorganizowaną: przez co i charakter działań kosza zaporozkiego, szczególnie w ostatnim peryodzie bytu jego nosi na sobie wszystkie cechy jakiejś bandy hajdamackiej i niesfornej, a ztąd będącej w obrzydzeniu szczególnie u Polaków, chociaż wielu magnatów i znakomitości rossyjskich, a nawet i niektórych polskich schlebiających tamtym, liczyli się na Zaporozu jako rejestrowi kozacy, którzy ponieważ, albo nigdy albo bardzo rzadko byli obecnymi w koszu, więc kosz w rejestrach swoich miał tę ich nieobecność notować w taki naprzykład sposób: „N. N. kozak kurenia N. N. posłan w Moskowszczyznę na generała”.

* * *

O sposobach i trudnościach zbierania pieśni i podań ludowych wiele już pisano; mówić więc o nich jeszcze byłoby zbyt zbytecznym, byłoby to niby zakrojem na wymaganie wdzięczności czyjjej, za zasługę w pokonaniu tych trudności. Dość więc tu powiedzieć tylko, że droga na której zbierają się kwiaty poezyi ludowej, nie nader jest bezpieczną, albo niejeden doszedł nią do przepaści i upadł. Dowodu na to niech nikt odemnie nie żąda, dość sam fakt zanotować: bo dowody na to, to imiona, a imiona rzecz święta, na którą targnąć się ośmieli tylko nikkzemnik i oszczerca.

Co do zbioru dum, pieśni i skazek przezemnie zebranych, winienem niektóre objaśnienia wstępne, i tak:

1. Niektóre pieśni znajdują się tu nie całkowicie spisane, zwłaszcza takie, które są mniej historyczne; winą to jest moją i mojej niecierpliwości; zasłyszawszy bowiem pieśń treści jakiej pospolitej, którą chcąc spisać, potrzeba było wprzód się całej wyuczyć napamięć, zamiast zrobić tak, notowałem kilka, kilkanaście pochwyconych zwrotek, odkładając uzupełnienie napotem, a to potem albo się zapomniało, albo nie nastęrczyło się już więcej.

2. Pieśni te zbierałem w bardzo młodym wieku i wtenczas, kiedy jeszcze mniej znałem potrzebę ścisłości w podobnej robocie. Często zaś zdarzało się, że nie mogąc

pojąć lub spamiętać jakiego wyrazu, jakiego albow nie rozumiał, albo mi się zdało, iż jest niewłaściwie użyty; opuszczałem go lub zastępowałem innym podług mnie zrozumialszym czy stosowniejszym, przez co niektóre pieśni mogły przybrać barwę mniej dawnych zabytków języka: błąd ten prędko wprawdzie poznałem i gdzieś mógł tamem go sprostować.

3. Przy niektórych pieśniach nie położyłem wiadomości gdzie i od kogo je przejąłem, a to z powodu, że podobnej wiadomości nie znalazł w moich notatkach, a przypomnieć sobie nie mogłem.

4. Nakoniec w opowieści skazek i podań użyłem często wyrażen ludowych, nie mogąc ich zastąpić polskimi bez straty pierwotnej ich jedrności. Te i tym podobne błędy dadzą się znaleźć: przytoczone powody niech je wytłumaczają.

Nadmieniwszy o skazkach i podaniach, nie sądzę zbytecznym zrobić tu uwagę, że skazka i podanie w opowieści Ukraińca tak mało się różnią, że odcień jednych lub drugich zależy prawie zawsze od widzimi się badacza; opowiadacz bowiem ukraiński zwykle z podania robi skazkę, a w skazkę najpuściejszej treści, jak np. o *kozie bydratej*, albo o *Iwasyku Telesyku*, doda w opowiadaniu jedną, drugą przypowieść, przysłowie i podanie o tym lub o owym wypadku. Oto dla wzoru obie te skazki notowane wedle opowieści czumaka *Jucka Szulaka* z Monasteryszcz.

SKAZKA O KOZIE BYDRATEJ.

„*Buw sobi odyń aređar żyd, a wiadomo żyd bez kozy, jak tiło bez duszi etc. etc.*”. Był sobie jeden aređarz żyd, a wiadomo, że żyd bez kozy jak ciało bez duszy, jak chłop bez świni, Lach bez konia, diak bez psalterki (1), a gospodarstwo bez kota na zapiecku: otóż i ten aređarz żyd całe stado miał kóz, a między niemi była jedna bydrata tak nazwana dlatego, że ją wilk na-

(1) Psalterz, książka do nabożeństwa

znaczył i pół boku oberwał; ale jakoś się wykręciła od śmierci, bo gdy ją wilk złapał, ona tak głośno mu zabeczała nad uchem: „nemene”, że dumny wilk i pomyślał, że nie ją doprawdy złapał, a nim się upamiętał, koza z oberwanym bokiem już była daleko. Ale już to wodzi się na świecie, że czyto kozę, czy chudobinę, a choćby nawet i człowieka, kiedy Pan Bóg naznaczy to nie darmo; z takich zawsze lada czego coś się uda: ot i ta koza hydrata naznaczona z Bożej woli przez wilka, była chytrą, przebieglą, jak to zaraz rozpowiem. Żyd arędarz, aby kóz jego wilk nie płoszył, przyjął do nich jakiegoś dziadowoda na pastucha, płacił mu siedm dni na tydzień i jedną noc w dobę, karmił go dziurkami z obwarzanków i juską z jaj (1), a zadziwiał to jak panicza; ze stariej kahlanki (2) kazał mu poszyć nową koszulę i z rękawów rzuconego na śmieci łasperdaka, poszył mu szarawary. Otóż ten pastuch i służył jak mu płacono: bywało zapędzi kozy gdzie w ciasny kąć, aby się nie rozbiegły, a sam siądzie pod drzewem i albo gra w supilkę, albo śpi, albo zajada ogórki, to dynie, co nakradnie po ludzkich basztanaeh; w wieczór zaś pędzi kozy głodne i niepojone do domu. Ot raz żyd arędarz wyszedł do swoich kóz i mówi:

„Kozońky moi kozońky!
De wy buwały?
Szezo wy czuwały?
Czy jily wy, czy pily”?

(Kozy moje kozy! gdzieście wy były, coście słyszały, czy jadłyście czy piły)? Ot kozy uradowane, że gospodarz wysłucha ich i ulitowawszy się nad nimi uwolni od dozoru tak niedobrego pastucha, mówią:

„Bihłyśmo czeroz lisoczok
Schopyły klynowy lystoczok,
Bihłyśmo czerez hrabelku
Schwatyły wody krapelku”

(Biegłyśmy przez las, schwyciłyśmy klonowy liść, biegłyśmy przez groblę, schwyciłyśmy kropelkę wody). Otóż tym kozom było tak jak bywa biednemu chłopu:

(1) Juszka z jaj, odwar, w którym jaja gotowano.

(2) Kahlanka, stary gałgan do zatykania komina.

pędzą go na pańszczyznę od niedzieli do niedzieli, że nie ma dla siebie i jednej godziny kiedy co zrobić, i chyba ukradkiem się czém pożywi. Żyd arędarz rozgniewany na pastucha chciał go już wypędzić, ale ten jak zaczął się bożyć, to palce składać, to ziemię gryźć, że wszystkiemu co kozy nagadały nieprawda; żyd mu i zaczął wierzyć. Chytry pastuch aby go jeszcze lepiej przekonać, obraca się do kóz i mówi:

„Kozo, kozo bydrata!
Piw boka obrata,
Skaży hde wy buwały:
Czy jily wy, czy pyły?”

(Kozo kozo bydrata! pół boku obdarta, powiedz gdzieście były, czy jadłyście czy piły)?

Na to bydrata koza:

„Oj ja koza bydrata
Piw boka obrata,
Tupu, tupu, nohami,
Skolu toho rohamy,
Kto brechatymyl stane,
Szezośmo ne jily, ne pyły,
A hołodom mhlily”

(Oj ja koza bydrata, pół boku obdarta, tupu, tupu nogami, skole tego rogami, kto będzie kłamać, żeśmy nie jadły nie piły, a głodem mgłały). Alboż to nie tak i między ludźmi? wmiesza się do gromady jedna nieczysta owca i wszystkie ucierpią. Wszyscy ludzie całą gromadą przed panem jak przed Bogiem jedną gębą mówią „panie, ekonom taki a taki,” ot pan zaczyna wierzyć, aż tu znajdzie się podlizujący się pies *pidlestyucyi sobaka*, który wszystkim przed panem zaprzeczy co gromada powiedziała, a przyświadczy za ekonomem: ot potem jeszcze większa bięda na gromadę. Także było i z kozami, pastuch zły na nich że go chciały przed gospodarzem oskarżyć, nie dawał im ani jeść ani pić ani wypoczynku, tylko pędzał po piaskach, to wydmach, gdzie ani żdźbła trawki, ani kropli wody nie było; tak kozy jedna po drugiej i wyzdychały: jedna tylko koza bydrata że zawsze była syta i tłusta bo miała więcej woli, jako faworyta pastucha, została. Ale żyd arędarz jak już wszystkie kozy wyginęły, bojąc się aby i ta ostatnia nie zdechła, co prędkiej ją zarznął.

Tak to dzieje się i na świecie z ludźmi, jeśli ekonom albo possessor, albo i sam pan, coto nie pan a podpanek, liczykrupa, to licholał, coto o nim mówią ludzie: „Nie daj Boże z Iwana pana” obedrze już i zuboży biednych swoich chłopów, że już nie ma z nich co brać, wówczas dostaje się i sipakom (1), coto nie z gromadą, a za panem trzymali; ale przyjdzie pora i na takiego podpanka, boto niedarmo mówi się:

„Dere koza łozu,
 Wowk dere kozu;
 Wowka dere muzyk,
 Mużyka pan,
 A pana czort.”

(Koza obdziera łożę, wilk rozdziera kożę, z wilka skórę zdziera chłop, z chłopca pan, a z pana djabeł).

SKAZKA O IWASYKU TELESYKU.

Iwasyk Telesyk, młody i przystojny parobek, unikając prześladowania lackiego panka, który chciał go obić za to że kochał dworkę (dziewczynę wziętą na usługę do dworu), którą i sam pan upodobał i tylko czekał jakby ją uchodzić, aby pani nie znała; uciekł ze wsi i krył się w oczeretach, to w ługach między cudzemi ludźmi, gdzie w smutku i tęsknocie schodziły mu dzień po dniu, nie mogąc nawet od nikogo się dopytać: czy nie widział, czy nie słyszał co tam na rodzinie biedna jego Oxanka porabia? Raz tylko zdało się mu jakoś że niby wiatr szeleszcząc po oczeretach, ta komyszach wyszeptał, że jest nasiąkły westchnieniami i żalami Oxanki, która po ucieczce Iwasyka także uciekła ze dworu, ale nie wiedząc gdzie miły jej Iwasyk obraca się, tuła się także po cudzych ludziach. Ot biednemu Iwasykowi i ciężko było żyć na świecie, aż raz słucha, ktoś woła: „*Iwasyku Telesyku! wyłyny no na czasynku*” (wyjdźno na chwilę). Iwasyk wychodzi, aż oto stado dzikich gęsi przynosi mu pokłon od Oxanki. Wtenczas Iwasyk nuż ich prosić, aby go wzięły na skrzydła

(1) Sipaka, siepacz, posługacz.

i zanosły do jego miłej, na co gąsior przewodnik odpowiada.

„Nie możemy wziąć cię na skrzydła i zanieść cię do twojej miłej, bo droga do niej przez całą Ukrainę, której pola krwią oblane, kopytami zdeptane, ludzkiemi trupami zasiane, mogą wyżywić tylko wilków i kruków.” To powiedziawszy gęsi odleciały. W kilka dni Iwasyk znowu tak samo został wywołany, i było to stado bocianów, przynoszące mu pokłon od Oxanki. Iwasyk i ich prosi aby go na skrzydłach zanosły do miłej, ale i bociany odpowiadają: „nie możemy cię Iwasyku zanieść na skrzydłach do miłej twojej, bo droga idzie przez całą Ukrainę, a tam teraz nigdzie ani chaty, ani stodoły gdzieby przysiąść, wypocząć, na świat Boży popatrzeć, ta gniazdo ułożyć; wszystko ogniem i mieczem zniszczył Tatarzyn, ta Lach:” to powiedziawszy odleciały. Znowu w kilka dni wywołano Iwasyka, a było tam stado dzikich koni, przynoszące pokłon od Oxanki. Iwasyk prosił i ich aby go wzięły i zawiozły do jego miłej. „Nie możemy cię Iwasyku zawieźć do twojej miłej, odpowiedział ogier stadnik, bo droga do niej przez Ukrainę, gdzie nie ma już sławnych Kozaków, a tylko są Lachy podpanki, ta dworskie sipaki (posługacze), na których nie ma ni gromu, ni tuczy (burzy):” i to powiedziawszy pobiegły w stepy. Znowu Iwasykowi w smutku i tęsknocie mijały dnie i tygodnie, aż raz słyszy ktoś go wyzywa; wychodzi, patrzy, jakiś stary dziad siwy jak gołąb pozdrawia go od Oxanki. „Oj! dziadu siwy mój gołąbku! bądź mi ojcem, bądź zbawcą, mówi Iwasyk, zaprowadź mię do Oxanki.” Dziad stary zapłakał, taj mówi:

„Synu mój Iwasyku, nie mogę tobie usłużyć, radaby dusza do nieba, ta grzechy nie puszczaają, jak mówią ludzie; radbym i ja ciebie do Oxany zaprowadzić, ta nie mogę, bo droga idzie przez Ukrainę, gdzie Lachy co się ani Boga nie boją, ani króla czują na ziemi, sameinu Jezusowi Chrystusowi krzywdę robią (pakostiat), zapredawszy żydom lud chrześcijański, pieczętują cerkwie Boże, oddają je łacinnikom, ta unijatom albo i gorzej, bo żydom na arędę, a ci klucze od cerkwi domu Bożego w nieczystych ta niechrzeczonych rękach trzymają; gdzie w arędach (w karczmach) żydzi przedają gorzałkę, w której pierwszej pokapią

się sami, pomyją swoje bachury, te parchy, potem dla mocy namoczą bakunu i dopiero szynkują, gdzie ekonomczuki, pisarczuki i palestranci *wsiakii palistranty* (tak lud z pogardą nazywa próżnującą po domach młodzież szlachecką) uwodzą dziewczęta i psują pożycie małżonkom." To powiedziawszy zniknął, bo to był święty Piotr; ale Iwasyk nie domyślał się tego że to był sam św. Piotr; ta już nie wiedząc co dalej robić, począł z hora (z biedy) kłać, ta wyklinać swojej złej doli, taj mówi. „Czy już w mojej biedzie nawet sam djabeł nie pomoże”, aż tu szust mu coś z poza pleców i odzywa się:

„*A szczo chłopcze oś i ja (a co chłopcze otom jest)*” Iwasyk patrzy aż stoi przed nim niemczyk, *u chraki z chwostykom do kuraczyk niżok, z rızkamy szczo jomu z kapelucha bez dna wyhladajut* (we fraku z ogonem do kurzych nóg, z różkami wyglądającymi z kapelusza bez dna): zwyczajnie djabeł. Iwasyk nastraszył się i już chciał przezegnać się, ale *neczysty* wziął i zatrzymał mu rękę taj mówi: „Iwasyhu Telesyku! nie żegnaj się, bo ja tego nie lubię, ja tureckoj (1) wiary, a zrobię ci to czego tobie św. Piotr nie mógł zrobić; oto zaprowadzę cię cało i zdrowo do Oxanki za samo dziękuję tylko: bądź mi szczerym przyjacielem.” Jak niemczyk przemówił w ten sposób do Iwasyka, to jemu i w głowie się zakręciło i w sercu (tiochnuło) zatętniało, i mówi: „jakże ty mnie zaprowadzisz do mojej Oxanki, kiedy droga idzie przez Ukrainę, gdzie Lachy, ta Jezuici (Wyzuwity) tyle wytwarzają, że aż św. Piotr bał się iść pomiędzy nich.” Na to djabeł: „Nie bój się przyjacielu Iwasyku! Lachy i Jezuici dla mnie nie straszni, oni moje królestwo na Ukrainę wprowadzają (carstwo w Ukrainu wodiat).” Ot jak to niemczyk powiedział, tak zaraz Iwasyk Telesyk wstał, podpisał się i wybrał się w drogę (wstaw, pidperczawsia, tay zowsim zabrawsia).

Tu następuje podróż Iwasyka z djabełem, urozmaicona przygodami, jakie fantazyi opowiadacza podoba się tworzyć, czy przypomnieć, i kończy się skazka tém, że Iwasyk ożenił się z Oxanką, a zmówiwszy się z nią na

(1) Właściwie lud ukraiński powiada czyli powtarza słowa diabła: „*Ja nimeckoj wiry*”.

djabła, chłopską i babską chytrością zaparli go w suchej wierzbie święconym kolkiem na wieczną niewolą „sami zaś żyli, Boga chwalili, dzieci hodowali, co ich potem nieprzyjaciele w rekruty zabrali.”

Dwie te skazki przywiódłem jako przykład i wzór opowiadania skazkomówców. Rzecz łatwa do zrozumienia, że treść ich na głównym tle jest mieniącą się i rozmaitą według tego, jak opowiadacz mniej lub więcej ma fantazyi, zasobów wspomnień i chęci opowiadania. Pochwycić zaś taką skazkę w całej pełni jest daleko trudniej niżeli spisać nawet historyczną dumę, ta bowiem leży w pamięci pierwszej jakby dłutem w kamieniu wykuta, i byle kamień ten zbliżyć a zrobić dostępnym dla oka, litery jego będą się czytać bez zmiany, dopóki się nie zatrą i nie znikną; gdy ze skazką rzecz się ma inaczej: jeden i ten sam opowiadacz, w jednakowym usposobieniu do gawędy i rozmowności, lecz pod wpływem tylko różnego momentu działań a fantazyi w opowiadaniu wieczorném skazki opowiadanej rano, tak ją przetworzy, tak przyberze w to i w owo, w miejsce szczegółów opuszczonych, że zaledwo poznać ją można po głównym temacie. Prócz tego skazek tych darmo pytać u ludzi starych, u lirników i pastieczników, którzy są składem dum, legend, podań i przypowieści, treściwie i zwięźle zaledwo w kilku wyrazach złożone; są one raczej belletrystyką wieczornic i doświitek, zabawą długich zimowych wieczorów, albo krótkich letnich nocy dla nocleżan, to jest pasących robocze bydło przez noc; są one bogactwem myśli ludzi młodych, szczególnie tak nazywanych burłaków i czumaków, to jest przejdziświatów, *proydyświt*. Trudność w spisaniu takich skazek jest tém większą, że gdy piewca rozbrojony ze swej nieufności i zniewolony śpiewać pieśń swoją, często nawet jeśliby chciał treść jej zmienić, nie potrafi, a opuściwszy z niej cokolwiek, wnet się splącze i do końca nie dojdzie. Opowiadacz byle w nim pozostała odrobina nieufności albo chęci nie powiedzenia wszystkiego, opowiadanie swe tak zagmatwa, że ani go uprosić, ani zganiwać się nań nie można. Jakoż niemal zawsze stosując się w swych opowiadaniach do słuchaczy, przed swojemi tylko nie daruje nikomu, kogo uzna niewartym swej życzliwości.

Skazki ukraińskiego ludu jakkolwiek rozmaite są treścią i opowiadaniem, nie wiele bardzo mają imion, około których opowiadane rzeczy grupują się. Tak oprócz powyższych dwóch skazek inne możnaby ponazywać ogólną nazwą: skazki o siłaczach, o czarownikach, o zaklętych królewnach, o hajdamakach, jako też o upiorach i djabłach. Skazki te opowiadane przez zręcznego skazkomówcę są nieporównane i naśladować takie opowiadanie w opisie niepodobna; są one jak dzisiejsza powieść wsiąkające w siebie wszystko, co tylko opowiadacz chce wypowiedzieć; są składem pełnego ognia i życia dowcipu, całej filozofii, całej moralności i religijnych pojęć ludowych, objawiających się bądź w zastosowaniach, bądź w przypowieściach, bądź w prostém podaniu z dawnych czasów, których sama pozorna czasem niezgodność, jedną i tę samą prawdę w sobie ukrywa, tuląc ją pod powłokę bujnej a rozlicznej fantazy skazkomowców. Z opowieści tych, dziwny czasem wybija połysk na rzeczy, gdzieindziej niejasne i zagmatwane: np. na Ukrainie pełno jest najrozmaitszych podań o *Wernychorze*. Egzystencya tajemniczej tej postaci zwracała już nieraz uwagę poważnych badaczy, domyślano się nawet albo raczej dobadano się niby, że to był chłop ze wsi Makedon z okolic Kaniowa i oznaczono datę, lata jego urodzenia i śmierci; tymczasem z treści niektórych skazek o Wernychorze daje się dostrzegać, że nazwisko Wernychory było jednym z tych, jakimi na Zaporozżu kozacy zwali swych towarzyszy, a tworzyły się z przypadku, bądź z zastosowania do czegoś takiego, co przezwanego nim charakteryzowało, np. Sirko, Biłyj i t. d.; owoż i Wernychorą miał być nazwany któryś z gorliwych stronników Mazepy jak Orlik, albo może i sam Mazepa, za to, że zamysłał niby górę przewrócić, odtrącić władztwo Rosyi nad ukraińskim kozactwem. Podobnie Mazepa żyjący wedle podania aż do upadku sieczy, także Mazepczuk, Orlik i Orliczenko mają jednoznaczność nazwisk, z powodu zasady jakiej byli stronnikami w swoim czasie; to jest, że stronników Mazepy zwano albo samem jego imieniem, albo pochodnem od niego Mazepczukiem, Mazepcukiem, jak to i dotąd często

się na Ukrainie trafia. Do takiego wniosku mam w moim zbiorze następne dane:

1. Sydor Toropiak zaporozki kozak; spotkałem go na Chaszczowatskim promie przez Boh przewożącym w roku 1827 dnia 13 września, wracając z polowania z Edwardem Pomarnackim, Antonim Frejentem i Franciszkiem Hłuszaninem. P. Frejent zapytywał go czy nie wie co o Wernyhorze? na co Sydor odpowiedział, iż Wernyhorę dobrze pamięta, jeszcze jak jego nazywali tylko Smykiem, ta Mazepenkiem, a ta już go potem przezwali Wernyhorą tak sobie dla śmiechu, kiedy był już tylko prostym kozakiem korsuńskiego kurenia, bo co pierwój to Smyk długo był korsuńskim pułkownikiem. Sydor Toropiak liczył sobie lata od wielkiój ziny, mówiąc, iż miał już wtenczas lata parobackie, tojest, że już był parobkiem.

2. W roku 1828 dnia 17 lipca pasiecznik Jaków w słobodzie Pawłowa pod Terespołem opowiadał mnie i p. Gurów kapitanowi inżynierów o Wernyhorze, nazywając go Bondarem Orłyckeniem, powiadał zaś: „*Wernyhorozu prozwały joho za te szczo bitisz chotiw niż syła*”. Nazwali go Wernyhorą za to, że więćej chciał jak mógł.

3. W roku 1829 dnia 25 marca w Lipowcu poznałem stuletniego starca. On sam siebie nazywał Piotrem Kmetą, jak go zwano w Zaporozu, „chociaż teraz nazywają mię, mówił, Kmita, tak jak w konfederacyi przezwali.” Kiedym zapytał starego czy nie pamięta którego ze swych wodzów, wymienił Mazepę. Zapominasz dziaduniu, powiedziałem, nie mogłeś żyć jeszcze, kiedy Mazepa już umarł. „Ot szczo wy znajete”, odpowiedział z mocą jakby istotnie głęboko był przekonany o prawdzie tego, co mówił: „Mazepa nie umarł, aż po zrujnowaniu siczcy, bo przez niego to i sicz zrujnowali, ale on sam w siczcy nie mieszkał, a żył futorem na korsuńskich stepach, nazywał się Bondar i uczył toburów grać, to śpiewać, a potem ich rozsyłał po świecie, aby o Mazepie śpiewali, to na Moskałów buntowali. Ja go widziałem, bo on mnie do konfederatów wyprawiał”.

W roku 1843 w sierpniu, odwiedziłem siostrę moję p. Ochrymowicz mieszkającą natenczas w Potoku, po-

wiecie kaniowskim; zastałem ją zakłopotaną tém, że jej pasiekę z kilkudziesięciu pni składającą się i stojącą w ogrodzie przy domu, napadły cudze pszczoły taką masą, że pasieka zagrożoną została zniszczeniem. Kiedy poszedł do pasieki i co wiedziałem, radziłem bez skutku; przywieziono tymczasem ze wsi niedalekiej Mikołajówki człowieka, wieku lat około 70, dość czerstwo wyglądającego: brodę miał czarną, włosy siwe, wzrost wysoki. Do pasieki na dwadzieścia kroków nie było przystępu, chmura pszczoł wisiała nad nią. Człowiek ten jak tylko zbliżył się i obaczył co się dzieje, przeżegnał się i począł coś mruczyć pod nosem; w pół minuty wszystkie bujające i złośliwe dotąd pszczoły osiadły na ogrodzeniu pasieki w takiej massie, że ogrodzenie to z obu stron znikło pod nimi i stało się podobnem do muru ruszającego się jak kupa mrówek. Wtenczas mnie i siostrę moję wprowadził do pasieki, obejrzał szkodę, która była dość znaczną i powiedziawszy, że niech pszczoły rozbójnicze nocują na ogrodzeniu, a on z nimi jutro rano sprawę zrobi, prosił o posiłek. Zdumienie moje nie miało granic; ztąd zbyt czynnem sędzę nadmieniać, że starzec ten po imieniu Demyd stał się wyłącznym przedmiotem mojego zajęcia się przez cały wieczór do późna w noc. Wyczerpałem wszystkie sposoby, niestety! nadaremno, aby wydobyć z niego tajemnicę samowładnego rządzenia pszczołami, jakiego sam byłem naocznym świadkiem; jednym z tych sposobów była moja powolność w słuchaniu nie ciągle zajmujących opowiadań starca o dawnych i terażniejszych dziedzicach Mikołajówki i o różnych ekonomicznych niesprawiedliwościach. Jedno wszakże opowiadanie było nagrodą tej mojej cierpliwości: oto jego treść:

„Niedaleko kopaczewskiego traktu na stepie blisko terażniejszej kozackiej karczemki, był mały futorek z chatą, gdzie mieszkał stary bardzo dziad, co go tu wszyscy nazywali: „Bondar”. Sam on nie był ani ślepy, ani żebrak, ale umiał grać na lirze i na bandurce, ta i na kobzie, a do tego takie śpiewał pieśni nabożne, ta o bywałem, że go było nie przesłuchać. Ot i schodzili się do niego łobury z kraj świata, uczyć się jego pieśni, a on ich i uczył, a jak nauczył, tak i rozsyła ich to za

Dniepr, to do Polscezy, to na Wołoszczyznę, aby *wety. czaty* (śpiewali) Mazepę i naród na Moskwę buntowali. U Bondara nie było więcej nikogo tylko jedna dziewczyna, co go nazywała *diduniem* (dziaduniem), a zkąd się on tu wziął i zkąd przyszedł nikt nie wiedział; bo stary nikomu o tém nie mówił, a dziewczyna kiedy u niego zjawiła się, to miała może lat ze dwa. Stara Chepora co u starego najmyczką służyła, to może co i wiedziała, ale była niema, więc i rozpowiedzieć nic nie mogła. Priśka, tak było dziewczynie na imię, wyrosła taka hoża, że choć wody się z niej napić, a ładna choć malować: ta była i bogata, bo staremu Bondarowi łobury, nad któremi on był starszym, znosili ta znosili pieniądze, a widać, że stary miał i dawne, bo Priškę ubierał jak jaki cudowny obraz; szyja u niej bywała cała w dukaczach, w koralach jak orzechy, i w białym namyście, coto jak rybie oko, tylko większe daleko, a kulczyki i pierścienie co miała ich na wszystkich palcach po dwa i po trzy, to same srebrne, ta złote, a palą się i świecą jak ogień. Ale cóż z tego? Stary bał się ją puszcząć między ludzi, a nawet i u siebie komu pokazać, bo tu niedaleko, ot w szandrze żył banita, Lach *łasy* (pożądliwy) na ładne dziewczęta. Ot bondar nie chcąc, aby banita dowiedział się o Priške, a dowiedziawszy się nie znalazł; wykopał głęboki loch, zrobił w nim okno nad głęboką kruczą (jarem), wejście do tego lochu tak ukrył za zapiekiem, że go nie wiedzącemu i znaleźć nie można było i tamto stary chował swoje bogactwo i osadził Priškę. Ale ładną dziewczynę schowaj choć i pod ziemię, to wszystko jedno jak ogień pod słomę. Tak i Priśka choć była niby na kilka sążni pod ziemią, ale ludzie zaczęli tak gadać, że u Bondara jest wnuka bardzo ładna dziewczyna, że widział ją to ten, to ów wyglądającą z otworu nad jarem, że biedna tęskni tam i śpiewa przesliczne pieśni, a takim głosem, jak skowronek albo słowik. Ot i banit dowiedział się o tém, a jak się dowiedział, zaraz śledzić i czatować; ale ze starym nie zrobić nie można było, bo się go wszyscy bali dlatego, że był jeszcze znachorem, a mówili, że i czarownikiem. Sam banit, choć banit co ni Boga ni ludzi się nie bał, bał się zaczepić Bondara; jednak co robi:

zasiada się bywało po drugiej stronie jaru naprzeciwko otworu będącego oknem w lochu Priški i czatuje aż się dziewczyna pokaże. Tym sposobem widując dziewczynę, rozkochał się w niej, że sobie rady dać nie mógł, a tu do Bondara ani przystępu, i słuchać nie chce. „Poczekajże djabli synu! pomyślał sobie raz banit, nie chcesz mi oddać Priški, nie będziesz i ty jej miał!” Jakoż raz Priška gdy nic nie wiedząc siedziała w swoim oknie i coś śpiewała, banit z drugiej strony jaru strzelił i zabił dziewczynę. Tak marnie zginęła Bondarówna; ludzie to znają i pieśni o niej śpiewają, ale i banitowi odtąd poszło na pohybel (na biędę), porzucił swoje państwo i powiadają, że został czercem (mnichem), aby duszę swą zbawić. Stary zaś Bondar od śmierci dziewczyny nie wiadomo gdzie się podział i co się z nim stało.”

Winienem jeszcze krótkie tłumaczenie, dlaczego wszystkie powyższe szczegóły nie spisałem w rozdziale mego zbioru o Wernyhorze. Stało się tak: w roku 1839 porządkując moje notatki, cały ich zwitek obejmujący lata od 1827 do 1839 był się mi zawieruszył, i dopiero w roku 1844 został znaleziony między papierami po moim bracie pozostałymi; dlatego nie pamiętając dat, miejsc i nazwisk, nie odważyłem się gołosłownie rzucić moje uwagi o szczegółach, jakie w tamtym czasie były powszechnie inaczej znane i rozumiane. Zresztą gawędy Sydora Toropiaka, pasiecznika Jakowa i Piotra Kmety, uważałem za myłki pamięci ich, i dopiero przywiedziona opowieść Dynyda Mikołajewskiego podała mi myśl, związania i postosowania tych gawęd.

Zresztą wiem, iż zbiór przygotowany przezemnie dum, pieśni, przypowieści i skazek ludu ukraińskiego, ani wyczerpuje przedmiotu do dna, ani nawet uiszcza w zupełności oczekiwania pragnących odkrycia skarbnicy ukraińsko kozackich pamiątek. Ale jeśli trud ten powoła innych badaczy do dalszych odkryć i posłuży im jaką taką skazówką, powiem sobie w duszy: nie darmo pracowałem.

MOST.

(Z WIKTORA HUGO).

Ciemnia przedemną! pomrok nieskończony
Przepaści czarnej rozwarł się wśród cieni;
A ja tam stałem drżący i strwożony
Czując się niczém w ogromie przestrzeni!
A w głębiach strasznych rozwartych przedemną
Ujrzałem Boga niby blask daleki
I zawołałem: by tę przepaść ciemną
Przebyć, któż świętej użyczy opieki?
Któż zdola w czarném bezmierności łonie
Niewidne krańce spleść potężnie w siebie
Mostem olbrzymim, na łuków milionie,
Któryby z Stwórcą połączył mnie w niebie?
I jam zapłakał krwawą łzą wygnańca,
Bom sądził wiecznie zawisnąć u krańca.

A kiedym w otchłań wzrok wgrążył boleśnie
Rosła przedemną niby czysta łezka
Postać śnieżysta, dziewicza, niebieska,
Jak obraz złudy młodocianej we śnie.
I wnet dziecięca jej dłonie się zwarły,
I z dłoń wybiegły jasne blaski słońca.
I ukazała mi przepaść bez końca
Wśród której echa na wieki zamarły.
„Chcesz, rzekła do mnie, przebyć te otchłanie,
Chcesz dojść gdzie świeci blask szczęścia daleki:
Na me skinięcie most olbrzymi stanie,
Który cię z Stwórcą połączy na wieki.“
— Kim jesteś? pytam, o nadziemskie dziecię?
„Modlitwą!” rzekła, i znikła w błękicie.

Ludwik Nimmojowski.

RYS HISTORYCZNY OPERY POLSKIEJ

Z KOŃCA EPOKI PANOWANIA STANISŁAWA AUGUSTA
AŻ DO DNI NASZYCH.

PRZEZ

Maurycego Karasowskiego ()*.

I.

Jan Stefani urodził się w Pradze Czeskiej 1746 roku. Przeznaczony pierwotnie do stanu duchownego, odebrał dosyć staranne wychowanie, lecz z powodu zniesienia wielu klasztorów z rozkazu ówczesnego cesarza Józefa II, Jan Stefani porzucił zamiar noszenia kiedykolwiek sukni zakonnej, a obrał sobie zawód muzyczny. Kształcony początkowo w tej sztuce przez OO. Benedyktynów, młody Jan okazywał nadzwyczajnie wiele zdolności; wysłany następnie do Włoch dla dokończenia studyów muzycznych, po kilkoletnim tamże pobycie wzbogaciwszy wrodzony talent nauką, udał się do Wiednia, i zaraz przyjęty został na kapelmistrza orkiestry hr. Kińskiego. Przeszedł później jako skrzypek do grona cesarskiej kapeli, ztamtąd zaś przez Stanisława Augusta zamówiony został na dyrektora nadwornej muzyki Jego królewskiej Mości.

Otrzymał Stefani z wielkim trudem od cesarza Józefa II pozwolenie udania się do Warszawy z ośmiu jeszcze innymi artystami, przybył do niej w roku 1771.

(1) Niniejszy *Rys historyczny* uważać należy jako dalszy ciąg *Studyów* nad muzyką dramatyczną, drukowanych w roku zeszłym.

Jako kapelmistrz dworu, miał sposobność wielokrotnie okazać dowody swego talentu, przewodnicząc umiejętnie z wybornych artystów dobranej orkiestrze na koncertach zamkowych, lub w kościołach podczas większego nabożeństwa, gdy się na takowem monarcha znajdował. W kilku swoich kościelnych kompozycjach, tudzież rozmaitych ustępach muzycznych, jakoto kantatach i t. p., Stefani okazywał wiele twórczych zdolności, a jego polonezy na orkiestrę układane tak były piękne pod względem melodyi, z taką umiejętnością i smakiem instrumentowane i tyle w nich było charakteru narodowego, że nietylko w całym kraju pokochano je i ubiegano się o posiadanie polonezów Stefaniego, lecz nawet za granicą cenić je z tego względu umiano. To nawet głównie spowodowało Bogusławskiego, że mu najmiłą i najdroższą swą pracę powierzył, jako jedynemu z ówczesnych kompozytorów, w którego utworach najwidoczniej przebijała się cecha narodowego żywiołu. Stefani przyjmując ją, czuł całą ważność swego zadania. Obyczaje ludu krakowskiego, jego pieśni i muzyka zbyt dobrze były znane publiczności, ażeby kompozytorowi przebaczone najmniejsze uchybienie względem oddania ducha tego ludu w całej naturze i prostocie. Stefani znał Kraków i jego okolice; jadąc do Polski, dla wytechnienia po trudach i niebezpieczeństwach zimowej przez Karpaty podróży, zatrzymał się tamże parę tygodni, a przez ten czas przypatrywał się uważnie obyczajom tego dzielnego ludu, przysłuchiwał się jego muzyce. Nieraz wymknąwszy się na wieś, natrafił na obrzęd weselny, a lud serdecznie i gościnnie go podejmował, ile że jako Czech z urodzenia, łatwo mógł się z mieszkańcami okolic Piastowego grodu rozmówić. Tamto Stefani podziwiał i zachwycał się jędrnym i dosadnym rytmem *Krakowiaka*, tkliwą a nadobną pieśnią weselną, dzielnością melodyi marszów używanych w podobnych obrządkach. Więc, by muzyką oddać wiernie treść tego rodzaju jaką mu Bogusławski przedstawił, kompozytor powinien żywcem uchwycić stronę duchową muzyki; rytm i tok melodyjny oddać nieskazonym natłokiem tkanin różnorodnych instrumentów, zastosowanych do potrzeb teatralnych i albo zyskać za to w razie jeżeli tak trudne i niebezpieczne

przedsięwzięcie pomyślnie mu się powiedzie sławę i popularność, albo przeciwnie, upaść pod wyrokiem surowego i kompetentnego trybunału opinii publicznej. Z bijącym sercem i pewną trwogą przystąpił do téj pracy Stefani; niedowierzając jednakże swéj pamięci i zdolności, w wolnych chwilach od codziennych obowiązków życia wychodził za miasto, szukał i przysłuchiwał się melodyom ludu wiejskiego, podniecał grajków sielskich, by mu jak największą liczbę krakowiaków wygrywali; poił ducha swego w tém czystym źródle melodyj ludowych, a wróciwszy do domu zasiadał do pracy, puszczał wodze natchnieniu, które bujnie z serca jego jak złoto-kłosa pszenica z łona urodzajnej krakowskiej niwy, w bogaty plon wzrastało, aż gdy przyszło do zupełnej dojrzałości, drżący i pełen obawy, pracę swoją złożył w ofierze narodowi, który go zdawna gościnnie do łona pobratymczego przytulił.

Pierwsze przedstawienie *Krakowiaków i Górali* dane 1 marca 1794 roku, stanowi epokę w dziejach narodowej muzyki dramatycznej. Publiczność z nadzwyczajnym zapalem tę operę przyjęła, i chociaż z powodów politycznych trzy razy tylko z rzędu na scenie ją widziała, jednakże powodzenie jej na przyszłość nie mogło ulegać najmniejszej wątpliwości. I rzeczywiście, żadne dzieło na naszej scenie nie doznało nigdy takiej sympatyj co *Krakowiaki i Górale*; przy każdej stosownej okoliczności wznawiane, z małemi bardzo zmianami dotrwało aż do naszych czasów, a publiczność która przyklaskiwała téj operze w roku 1846 czyli ostatniemu jej wznowieniu, temi samemi co przed półwiekiem przejętą była uczuciami dla twórcy tego istotnie narodowego dzieła.

Instrumenta wchodzące do składu partytury Stefaniego w sposób następujący są ułożone:

| | |
|------------------------|---------------------|
| Waltornie 2. | Fagoty 2. |
| Flety 2. | Altówka. |
| Oboje 2. | Trąby 2. |
| Klarynety 2. | Kotły. |
| } 1mo skrzypce. | Bas i wiolonczela. |
| | |

Jak widzimy, śmielsza to już i większa orkiestra od téj, jaką się Kamiński w pierwszej polskiej operze:

Nędza uszczęśliwiona posługiwał, (choć klarynety nie są jeszcze w początku użyte, a dopiero później wchodzi; za to fagoty, trąbki i kotły biorą stanowczy i wyraźny udział w operze).

Uwertura *Krakowiaków i Górali* zwawa, pogodna i wesola jak oblicze kmiotka naszego wybierającego się na weselisko, zbyt dobrze jest znaną publiczności, również jako i kilka innych ustępów tej opery, zastosowanych do baletu *Wesele w Ojcowie*, który już z górą 400 razy na naszej scenie był przedstawiony; więc to mię uwalnia od ściślejszego ję analizowania. Zresztą niewielka ona rozmiarem, raczej za przegrywkę uważać ją należy, a zwawe tempo $\frac{2}{4}$ tonacyi D. *dur* w pierwszych siedmiu taktach *unisono* się zaczynające, tak silną narodowości cechą jest napiętnowane i tak w tym charakterze do końca uwertury jest zachowane, że słysząc ją, cały obraz sielskiej natury, wraz z gwarem włości naszych, żywo na oczach nam staje.

Po niej następuje zaraz nr. 1. Duet *Andante con moto* na dwa tenory G. *dur* $\frac{2}{4}$, śpiewany przez Stacha i Jonka; w nimto pierwszy zapytuje drugiego: „czy nie widzi czasem idących górali, bo (śpiewa):

„O nieszczęście też to moje,
Jakże ja się tego boję”.

Jonek go uspokaja i napomina, ażeby się nie bał:

„Ta górale nie są carci,
A jeśli będą uparci,
Tak ich tu gracko wyćwiecin,
Ze się muszą wrócić z nican”

STACH.

„Ale jak mi porwą Basię”? i t. p.

Cały ten ustęp swobodnie i naturalnie jest w muzyce dyalogowany; w chwili zaś gdy spostrzegają przyplływających górali, takt $\frac{2}{4}$ zmienia się z fermatą na cały, przybierając A. *moll* tonacyą. Wybornie jest oddana chwila namysłu *Krakowiaków* (wielonczella ją wyraża), nareszcie Stach namyśliwszy się, śpiewa:

„Oto do ojca pójdziemy,
I nim górale przyplyną,

Padnę mu do nóg z dziewczyną,
I opowiem moje chęci”.

Kończy ten duet *Piu moto* $\frac{6}{8}$ G. dur:

„Idźmy, wszak on nie ze skały,
Wzruszy się na me zapaly” i t. p.

stanowczym i pewnym, jak przystoi na zupełną determinacją, rytmem określone. W ogólności prowadzenie głosów wokalnych i instrumentalnych tak w tym duecie jako i w innych następujących numerach, trafnie i stosownie bardzo jest prowadzone; nie ma tu tych wybryków i skoków gimnastycznych, jakich Kamiński nie szczędził dla swoich śpiewaków w *Nędzy uszczęśliwionej*; Stefani umiejętniej się z nimi obchodził, ztąd też wszystko jest płynniejsze i gustowniejsze.

Po duecie następuje piosenka Basi:

Mo-spa-nie ka-wa-le-rze nie żęń się pro-szę ze mną, Bo
ja po-wia-dam szczerze że nie bę-dę wza-jemną. i t. d.

Jakąż to piękna melodya! W swoim czasie była ona nadzwyczajnie upowszechnioną; dziś prostota jej niepodobna się naszym paniom śpiewającym: większa z nich część szuka i pragnie tylko włoskich aryj. Prawda, że w nich dowoli nakrzyczeć się mogą, lecz niestety! nie uwierzą temu, że w takiej miłej choć króciutkiej śpiewce, głosy ich nieuczzone nawet, stokroć miłej i przyjemniej wydadzą się wszystkim, niż gdyby najwprawniej zawodziły trelle i rullady, wiecznie podobnych do siebie kawatin i aryj włoskich.

W nr. 3 znajdujemy poloneza podług przyjętych z dawna reguł napisanego:

„Rzadko to widać na świecie,
By się małżeństwo kochało.”

Polonez ten w tonie C. dur na sopran dla Doroty ułożony, wymaga głosu wprawniejszego do wokalizacyi;

nie znajdują się w nim żadne nadzwyczajne passáže ani też kadencye, lecz szyk melodyjny chociaż tylko przez tercye postępuje ciągle, niełatwy jest jak się zdaje do śpiewania: trudniejsze jeszcze pod tym względem tryo, w tonie *As. dur*.

Stefani w każdym prawie numerze odmienia w partyturze porządek instrumentów, i tak naprzykład: raz waltornie są na początku, a bass na końcu; to znów w miejsce waltorni klarynety albo oboje, a w miejsce bassu fagoty dają się widzieć. Nie ma to zapewne żadnego wpływu na wartość muzyki, lecz dowodzi, że albo kompozytor później już niektóre instrumenta dodawał, albo braku stanowczej w nim zasady do wyrażania pomysłów swoich. Oto naprzykład w nr. 4 czyli krakowiaku: skrzypki przodują wszystkiemu instrumentom; ależ to najważniejszy i najmiłszy dla naszych włościan instrument: bez niego za nic bassy, cymbały i inne dęte narzędzia. Ze skrzypcami i krakowiakiem można cały nasz kraj wszerz i wzdłuż przewędrować, a wszędzie cię serdecznie i po bratersku przyjmą, nakarmią, napoją, uściskają i pokochają. Dlatego też skrzypce stały się u nas narodowym instrumentem; nie ma wioski gdzieby ich nie było, a cóż dopiero mówić o weselu.... Z tego powodu może Stefani umieścił na czele krakowiaka skrzypce; żwawo one i dzielnie państwu-młodym przewodniczą, a Jonek w imieniu całej drużby jako najwymowniejsza z całej wioski persona, ma rzecz w te słowa:

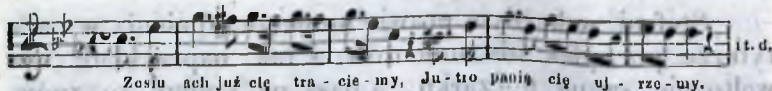


Jakie to życie i ruch w tej melodii, jaka dosadność w rytmie i charakter krakowiaka jak dzielnie schwycony! W nim, jak w zwierciadle odbija się ohochoce tańczących par oblicze, w nim także dostrzedz można groźbę rzuconą z ukosa na górali, że poważają się aż tutaj zachodzić i z przed nosa miejscowych chłopaków myślą zerwać najpiękniejszy kwiat z całego sioła. Dzięki baletowi *Wesele w Ojcowie*, znanym on jest dobrze dzisiejszej publi-

czności, więc zdaje mi się, że snadnie wszyscy na mój sąd o nim się zgodzą.

Albo pieśń następna, którą kobiety same śpiewają:

Larghetto.



Cóż to za piękna i tkliwa nuta: słysząc ją, zdaje się nam widzieć owę gromadkę poczciwych dziewcząt i kumoszek szlochających nad dziewuchą, która zamieniając wianek na czepiec, wstępuje w nowe dla siebie życie: więc też przepowiadają jej ciężki kłopot i zgryzoty; a mężczyźni jak gdyby dla przekomarzania się, po każdej przez kobiety śpiewanej strofie, wesoło krakowiakiem odpowiadają:

„Nie uważaj miła Zosiu, lepszy chłopiec świeży,
Niżli kwiatek w pustém polu co odlegiem leży.”

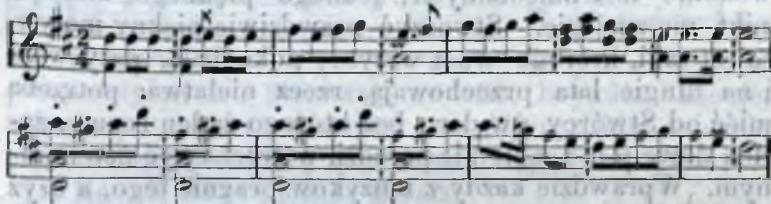
Przez długi czas zdawało mi się, że niektóre szczęśliwsze motywa a mianowicie krakowiaki, Stefani przejął wprost od ludu i do swęj opery zastosował. Pragnąc się o tēm przekonać, przejrzałem znaczny zbiór pieśni ludowych ogłoszony przez Oskara Kolberga w latach ubiegłych i roku bieżącego; nie otrzymawszy atoli pożądanego rezultatu, postanowiłem udać się jeszcze osobiście do szanownego zbieracza melodyj narodowych, dla przejrzenia materyałów od lat wielu przez niego nagromadzonych, ażali tam jeszcze ciekawości mojęj nie zaspokoję. Kolberg, z uprzejmością artysty i miłośnika sztuki muzycznej, okazał mi 400 przeszło samych krakowiaków, a porównywając wspólnie takowe z partyturą Stefaniego, przekonaliśmy się, iż twórca *Krakowiaków i Góralki*, wysnuł je z własnego natchnienia, starając się tylko o naśladowanie treścią i formą muzyki ludowej, lecz że główny tok i skład melodyi jest jego niezaprzeczoną własnością. Oczywiście, są ustępy mające niejaki do siebie podobieństwo; ażeby czytelnik mógł sam o tēm sądzić, na próbę przytoczę marsza znajdującego się

w zbiorze pieśni Kolberga wydanym 1857 r. str. 412,
i marsza weselnego z téjże opery:

Marsz od Grójca.



Marsz Stefaniego.



Otóż tego rodzaju podobieństwo istnieje także pomiędzy krakowiakami Stefaniego a innymi pieśniami ludowymi; z charakteru są one do siebie podobne, co czyni kompozytorowi największy zaszczyt i stanowi niezaprzeczoną jego zasługę, lecz przecie są jego oryginalnymi pomysłami. Mógłbym wiele podobnych przykładów na oczy czytelnika przedstawić, ale zabrałoby mi to wiele miejsca.

Z dziwnym jednakże talentem umiał Stefani przejąć się cechą ludowej muzyki; na przykład w marszu weselnym powyżej porównanym a kończącym 5 nr. opery, w takcie drugim i czwartym drugiej części, zwiększona kwarta *Gis* jakże jest charakterystyczną, jak doskonale maluje naturę i ducha skali od ludu naszego najpowszechniej używanej! Marsza tego kompozytor ułożył tylko na dwoje skrzypców i bass, przez co zwiększył jego prostotę, a słysząc jak jest w ten sposób wykonany, przysiągłbyś, iż to nie kto inny, tylko grajkowie wiejscy przewodnicząc państwu-młodym do kościoła, rzną od ucha marsza weselnego.

Nr. 6 czyli kawatina śpiewana przez studenta:

„Świat srogi, świat przewrotny,
Wszystko na opak idzie:

Kto nie wart pan stokratuy;
A człek poczciwy w biedzie."

jest najpiękniejszą z pieśni, jaką nam kompozytorowie z owych czasów zostawili. Nuta jej znaną jest wszystkim, bo któż jej nie śpiewał, komu ona nie była ulgą i balsamem gojącym stroskaną zawodami tego życia duszę? Więc to mię uwalnia od przytaczania jej nutami. Taka piosnka więcej warta, niż niejedna jaskrawa opera, w której oprócz zręcznych a nawet dowcipnych kombinacyj wokalnie-instrumentalnych, jednego pięknego motywu nikt nie znajdzie. Stworzyć prawdziwie piękny motyw, to jest taki, którego wnet wszyscy pokochają, przyswoją i na długie lata przechowają, rzecz niełatwa; potrzeba mieć od Stwórcy ów dar, bez którego żaden rozum, żaden dowcip nie sobie nie poradzi: potrzeba być natchnionym. Wprawdzie każdy z muzyków pragnie tego, a czyż natchnienie przychodzi na zawołanie? Więc są to chwile niesłychanie rzadkie; od jednej takiej zależy nieraz sława i powodzenie kompozytora.

W nr. 6 widoczna jest także troskliwość Stefaniego o jak najzupełniejsze wykończenie; oprócz trąb i kotłów, wszystkie inne instrumenta (co się nie w każdym numerze spotyka) biorą udział. Klarynet rozpoczyna przegrywkę, po czterech taktach ustępuje miejsca fletowi i fagotowi; później łączą się wzajemnie, aż nareszcie skrzypce zaokrągłają cały ten wstęp przed śpiewem. Zaś podczas śpiewu, pełnemi wdzięku arabeskami ozdabiają jego deseń, tworząc nadzwyczaj udatną całość. Jest to bez zaprzeczenia najpiękniej opracowany ustęp z całej opery.

Humorystyczny duet z tonu B *dur* $\frac{3}{4}$ *andante sostenuto*:

"Raz na pniu między dębami,
Siedzieli w parze turkawki."

Śpiewany przez Basię i Stacha, wypełnia nr. 7. Jest on toku gminnego i w tém leży najgłówniejsza jego wartość.

Pominę chór górali:

"My mieszkańcy Tatrów górnych
Idziem do was Krakowiaków"

jako nieprzedstawiający w sobie nic nadzwyczajnego, a przejdę do nr. 9, czyli arii Bryndasa.

Melodya jej wielokrotnie się obija o uszy słuchaczy uczęszczających do naszego Teatru Rozmaitości; należy ona do jego remanentowych własności, wraz z wielą innymi dawnymi pieśniami naszych kompozytorów, jak to później w swoim miejscu wykażę, a zatem przytoczę z niej tylko pierwsze cztery takty, pewny będąc, że ją każdy zaraz pozna:



Nie jedna młoda - dziewczyna zemładny chłopa - pak i rosły.

po prześpiewaniu pierwszej zwrotki, Bryndas tańczy, i trzeba przyznać że charakter muzyki góralskiej, wiernie przez kompozytora w przegrywkach został schwycony.

Nr. 10, także piosnka góralska:

„Próżno Kaska od nas stroni,
Bo ją góral zawsze zgoui”

niczem się tak dalece nie odznacza, więc przejdę do mazura śpiewanego przez Jonka:



Kiej się ko - hietu u - sadzi choć-by był chłopak ze skały.

Nuta tej pieśni żywcem przypomina znaną powszechnie melodyą „*Uciekła mi przepióreczka w proso*”, tylko nasuwa się wątpliwość co do starszeństwa. Zdaje się jednakże, iż druga jest dawniejszą, bo i deszeń jej melodyjny nierównie jest kształtniejszy, a tem samem piękniejszy.

Finał C. *dur* $\frac{4}{4}$ w którym Basia, Dorota, Stach, Jonk, Student, Górale i Krakowiaki naprzemian występują grożąc sobie wzajemnie, składnie i z ogniem jest ułożony. Już to w tym ustępie i następnym kończącym akt pierwszy, to jest chórze Krakowiaków B *dur* $\frac{4}{4}$:

„Nuż chłopcy, dziewczki, żony,
Idźmy wszyscy, idźmy śmiało.”

widać nadzwyczajną łatwość, jaką posiadał Stefani w rozporządzaniu większymi massami śpiewaków; układ także i prowadzenie instrumentów orkiestrowych dowodzi

wprawnego i oswojonego z większemi nawet trudnościami kompozytora. Zalety te widoczniejsze są jeszcze w akcie drugim. Wprawdzie melodye nie są tak ładne ani upowszechnione, lecz w pierwszym zaraz numerze czyli tercecie górali: „*Wszystko łąbsko się udało*” i t. p.; następnie w chórze idącym po kawatynie Studenta, a nakoniec w duecie pomiędzy Bryndasem i Jonkiem, znajduje się wiele rzeczy godnych najbiegłego pióra, i dziś jeszcze z przyjemnością słuchanemi być mogą.

Do ładniejszych i więcej znanych numerów należy śpiew tenorowy Stacha:



Nie tajność to jest ni - ko - mu jak mężowie żo - ny zwodzą.

W oryginalnej partyturze aż dwie melodye do tych samych słów Stefani dorobił, lecz druga jako wcale nieznana, rzadko a może nigdy nawet śpiewaną nie była, więc jej nie przytaczam; tém więcej że akompaniament drugiej kwartetowi tylko rzniętemu jest powierzony. Wymienié tu jeszcze wypada arya Basi *G dur 2/4 andante con moto*: „*Jestem dobra jak baranek*”, chociaż w niej nie osobliwego pod względem muzycznym nie znajduję. Za to nr. 6 arya Studenta do słów:

„Nie ci nam świadczą, którzy są bogaci,

Nie ci co przymus lub interes mają:

Bo pierwsi dają co zdarli z swych braci,

Drudzy do łaski wzgardę przyłączają.”

Ustęp ten chociaż nie zaleca się melodyą, w instrumentacją jest bogaty. Stefani dla nadania większej rozmaitości pracy swojej, w numerze tym umieścił skrzypce *solo*; gustu w nim niebrak, lecz dzisiaj zbyt jesteśmy wymagającemi, ażeby było w stanie wszelkie nasze życzenia w tego rodzaju kompozycyi zaspokoić.

Pominę także słabo napisaną arya Doroty: *Allegro B dur 2/4*, by zatrzymać się nieco nad przedostatnim nr. opery:

Andante con Moto.



Kiej dzleweczyno w mło-dyn wie - ku swawolną się ezu - jesz.

Piękna ta melodya znana powszechnie w kraju, otrzymała następnie słowa: „*Leży Wanda w naszej ziemi*” i przez wszystkich dotąd jest śpiewaną. Mało w zbiorze pieśni narodowych znajduje się równiej piękności i wdzięku. Tok jej naśladowany szczęśliwie podług formy od wieków przez naród wyrobionej, odrazu do serca każdemu przypadł. Z nią także kilka innych z téj opery poprzednio przezemnie wykazanych, jak prąd elektryczny z miasta do dworzków szlacheckich, ztamtąd pod strzechy siedzib wieśniaczych, w krótkim czasie wszystkie warstwy społeczeństwa naszego obiegły, głęboko w sercach narodu utkwily i odtąd stały się jego własnością. Lud nasz ma pewne, właściwe sobie poczucie piękna; nie każdą on piosnkę chociażby dla niego umyślnie stworzoną, przyjmie i przyswoi; a jako pszczołka porzuca niepożyteczny dla niej, chociaż barwny krasą kwiat, a chętniej siada na niepozornym, ale obfitującym w słodycz; tak i on tę tylko muzykę ukocha i przyswoi sobie, która posiada zalety zgodne istotnie z warunkami potrzeb jego duchowych. Opera Stefaniego ma dla nas niezmiernie wielką cenę, bo jest niejako zwierciadłem odwzorowującym w sposób nieskażony całego ducha naszych melodyj narodowych, bo stanowi epokę w dziejach naszej muzyki dramatycznej, jako pierwsza opera prawdziwie narodowa, bo ona zarazem będzie na długo, a może na zawsze, jedynym wzorem i typem dla wszystkich kompozytorów, którzy kiedykolwiek tego rodzaju opery komponować zechcą.

Dzisiaj gdy zarys zbiorowych w operach ustępów, doprowadzonym został do najwyższego rozmiaru, oczywiście muzyka Stefaniego wieleby straciła, jeżeliby ją kto chciał koniecznie porównywać z muzyką terażniejszych dramatycznych kompozytorów; pod względem formy mianowicie, ubogo się wyda. Lecz zważać należy na czas, w którym twórca *Krakowiaków i Górali* dzieło swoje układał. Inne były warunki i zasady muzyki dramatycznej; każdy z mistrzów myślał tylko, ażeby w jego utworze melodyj jak najwięcej było; nie pojmowano potrzeby używania huczających mas instrumentalnych dla

odmalowania ważniejszych w sceniczne efekta sytuacji, ani ubiegano się także za olbrzymim rozwojem chórów, tak jak to później Rossyini, a następnie Meyerbeer i wielu innych czyniło. To prawda, że opery Mozarta, mianowicie *Porwanie z seraju*, *Don Juan*, opanowały już wszystkie ważniejsze w Niemczech teatra, thumy zaś kompozytorów naśladowały formę i styl muzyki tego genialnego artysty; już nawet Salieri pisząc w Wiedniu swego *Ajura*, dał mu szeroki i potężny rozmiar, jak na wielką operę przystoi, lecz we Włoszech Mejer, Fiorawanti, Farinelli, a nadewszystko Cimarosa, szukali tylko w muzyce melodyi odpowiedniej wyrażanemu przez siebie uczuciom, a o szeroki rozmiar ustępów zbiorowych nie chodziło im wcale. Stefani przesiąkły tradycją muzyki włoskiej, przekładał jej pogodne i skromne wejście nad wspaniałe a imponujące oblicze nowo okazującej się muzyki niemieckiej, której Mozart był prawdziwym twórcą w *Porwaniu z seraju*, i oto przyczyna dla jakiej nie siłił się na pompatyczne i wielkie w swjej operze ustępy. Zresztą, pisał on muzykę do treści narodowej, gdzie prostota uczuć jest na pierwszym planie; jako człowiek rozumu i talentu wiedział dobrze, iż muzykę jego powinna cechować również odpowiednia uczuć prostota. Nakoniec, nie dla uczonej lub wyćwiczonej w rozwiązywaniu trudnych zawikłań kontrapunktowych albo harmonijnych, ale dla rządzącej się uchem i sercem publiczności ją pisał; więc nie wymagajmy od twórcy *Krakowiaków i Górali* więcej nad to, co nam od piszącego operę polską w końcu XVIII wieku żądać wolno, to jest: prawdy pod względem żywiołu narodowego, jasności w przyborach technicznych, piękności w melodyi, wierności w oddaniu prawd uczuciowych; i oto właśnie wszystko znajduje się w niniejszym Stefaniego utworze. W tem leży jego względem sztuki naszej muzyczno-dramatycznej zasługa.

Zdaje się, że Stefani całą swoją artystyczną zdolność, całe kompozytorskie natchnienie zawarł w *Krakowiakach i Góralach*; obdarzył on kraj dziełem prawdziwie narodowym, lecz było ono dla niego ostatnią pieśnią labędzia. Kilka jego prac późniejszych poświęconych scenie ojczy-

stę, jak naprzykład opery: *Wdzięczni poddani* (1796 r.), *Drzewo zaczarowane* (1797), *Prozyna* (1806), *Rotmistrz Górecki* (1807), *Stary myśliwy* (1808), pomimo pewnych tu i owdzie zalet i chwilowego powodzenia, nie byłyto utwory mogące długo utrzymać się na naszej scenie, a ostatnia jego opera *Papirius*, przedstawiona 1808 roku, najniżej miała powodzenia (1).

Jak już wyżej powiedziałem, z powodu ówczesnych politycznych wypadków, trzy razy tylko z rządu *Krakowiaki* i *Górale* mogły być dane na scenie. Straszliwe chmury grożące wielką nawałnością, zawisły nad krajem. Wiele rzeczy w Warszawie się zmieniło. Publiczność oczywiście przestała bywać w teatrze, aż nareszcie nadszedł dzień 17 kwietnia, a wielu artystów dramatycznych opuściwszy cichy muz przybytek, pobiegło przytulić się pod skrzydła Bellony. Przez sześć miesięcy teatr w stolicy był zamknięty; naród odgrywał wielki dramat, który krwawemi zgłoskami wypiętnowany jest na karcie dziejów ojczystych. Jednakże z woli Najwyższej Rady Narodowej, wyznaczono dla aktorów znaczne od rządu wsparcie i dnia 11 października teatr otworzono. Na żądanie publiczności, 29 tegoż miesiąca dano benefis dla artysty Rutkowskiego, za okazane męstwo w czasie oblężenia Warszawy.

Po zdobyciu Pragi dnia 4 listopada, artyści dramatyczni rozbiegli się na wszystkie strony. Bogusławski z większą połową udał się do Lwowa i tamże przez lat pięć z różnem powodzeniem dawał widowiska. W Warszawie zaś pozostał tylko balet, i do końca roku zdolano zaledwie dać jeszcze pięć scenicznych przedstawień, łącznie z kilku pozostałemi w stolicy aktorami. Wszystkie możniejsze rodziny opuściły Warszawę, stroniąc od zgiełku wrzawy wojennej; gwarne i ludne przedtóm miasto, osamotnione zostało; do Lwowa, jako najodleglejszego

(1) Jan Stefani dzieląc losy kraju naszego, po abdykacyi Stanisława Augusta wszedł jako jeden z pierwszych skrzypków do orkiestry teatralnej, gdzie pełnił swe skromne obowiązki aż do 1818 roku. W jedenaście lat później, to jest: 1829 zmarł w Warszawie 14 marca; pochowany na cmentarzu Powązkowskiu

punktu od placu boju, wszyscy dążyli i większa część znaczniejszych mieszkańców dawniej Rzeczypospolitej tamże się schroniła. Skoro tylko w połowie stycznia 1795 r. Bogusławski zjawił się ze swoją trupą artystów we Lwowie, połączył się zaraz z Morawskim, który przed jego przybyciem zarządzał w tém mieście małą kompanią aktorów, a na usilne żądanie ztęsknionej do widowisk scenicznych publiczności, rozpoczął przedstawienia operą *Fraskatanka*. Przyjęty z zapalem, kilka innych później wystawił, a gdy po wielu staraniach otrzymał w 1796 r. od rządu austriackiego pozwolenie przedstawiania *Krakowiaków i Górali* (bo z całego repertoaru ta jedna tylko sztuka zabronioną była do grania artystom polskim), obszerna sala przez siebie wybudowanego teatru zaledwie była w stanie pomieścić cisnących się widzów. Zapalu publiczności z niczém porównać niepodobna. Takto natenczas współczucie dla wszystkiego co własne, rodzime, rozwinęło się w narodzie; lecz niestety! byłoby już wszystko zapóźno. Świetne we Lwowie powodzenie artystów, pomimo rywalizacyi niemieckiego teatru, przez rząd bardzo protegowanego, zachęcało wielu innych do zaciągnięcia się pod sztandary Bogusławskiego, tego niezmordowanego pracownika na polu sztuki ojczyściej. Nawet Owskiński (który w początkach tegoż samego roku talentem swoim wspierał scenę warszawską, że obok francuzkiej familii Volange, dającej z powodzeniem widowiska, artyści nasi mogli choć kiedyniekiedy wystąpić na scenie, a nawet przedstawić *Axura*), opuścił Warszawę udając się do Lwowa. Za jego przykładem poszło wielu innych lepszych aktorów, jak: Hempiński, Drozdowski, Desznerowa i t. p. Ze znaczniejszych śpiewaków: Szezurowski, Sierpińska i Iwańska, urządzali sobie nieraz muzyczne wieczory, a nawet pod przewodnictwem Toniolo wykonali publicznie wielkie *oratorium* Paisiello. Tenże sam Tonioli uformował małą operę włoską, w której sam występował, pierwszą zaś śpiewaczką była pani Sierpińska; lecz to trwało zaledwie kilka wieczorów. Smutnym roku tego dziejom teatru polskiego po Owskińskim przewodniczył Tuczemski, ku końcowi zaś państwo Truskolawscy utworzyli nową antreprzyę, dając przed-

stawienia w pałacu Radziwiłłowskim. W r. 1797, sprawy naszego teatru nietylko się nie polepszyły, ale owszem pogorszać się zdawały. O ile teatr w Warszawie coraz smutniejszego doznawał losu, o tyle na prowincyi lepiej mu się wiodło. Potworzyły się małe kompanie aktorów, przebiegające kraj w różnych kierunkach, i tak: Nowicki trzymał się miast wielkopolskich; w Krakowie Kluszewski starosta brzegowski, który obowiązany był niemiecki teatr koniecznie utrzymywać, przecież o scenie polskiej wielkie miał staranie; w Wilnie Morawskiemu, a w Mińsku Każyńskiemu powodziło się nader pomyślnie; ten ostatni jeździł nawet do Moskwy i Petersburga, gdzie dając reprezentacye polskie, a mianowicie operę: *Krakowiaki* i *Górale*, odniósł wielkie korzyści. W maju teatr w Warszawie został zamknięty, niepodobna bowiem było aktorom dla niezmiernie szczupłych dochodów utrzymać się dalej, więc udano się do Poznania, a następnie do Gdańska, w którento mieście po raz pierwszy dopiero widziano polski teatr.

Chociaż scena nasza nie miała dla siebie żadnej pomyślniej przyszłości, jednakże z każdym rokiem wzbogacała się nowo przybywającemi wielkiego talentu aktorami. W końcu jeszcze 1797 r. Szymanowski znakomity później aktor i śpiewak, pierwszy raz wystąpił w operze Stefaniego: *Wdzięczni poddani Panu swemu*; w roku zaś następnym, Alojzy Żółkowski ozdoba i chluba sceny polskiej, także w tej samej operze ukazał się na deskach teatralnych.

Nareszcie w roku 1799, los okazał się nieco przychylniejszym sztuce krajowej; w miarę jak scena warszawska bogaciła się artystami prawdziwie zdolnemi, zajęcie i współzucie dla niej mieszkańców zwiększać się także poczęło. Nawet aktorowie niemieccy przez rząd ówczesny silnie protegowani, widzieli się przymuszonymi opuścić Warszawę, gdyż dłuższy ich w tém mieście pobyt, zagrażał im ostatnią zgubą; biedacy, nie mieli o czém wyjechać, lecz artyści polscy urządzili dla nich reprezentacyą, a zebranemi z niej pieniędzmi, opędzili koszta potrzebne na wyjazd tych biedaków. Przybył także do Warszawy Bogusławski ze swojemi aktorami po pięcio-

letniej nieobecności ze Lwowa, gdzie z powodu wielu zmian zaszłych skutkiem politycznych wypadków, nie mógł już dłużej bawić z licznym swoim towarzystwem. Pani Truskolawska, która po śmierci męża sama zarządzała teatrem, odstąpiła praw swoich Bogusławskiemu. Ten zaś umiejący sobie we wszystkiem dać radę, z energią wziął się do pracy i zaraz 31 sierpnia, wystawił nową operę Martiniego *Drzewo Dyanny*. Publiczność warszawska stęskniona oddawna do sztuk tego rodzaju, z upodobaniem przysłuchiwała się pięknej muzyce znakomitego w owe czasy włoskiego kompozytora, pięknym głosem naszych śpiewaków i wcale nie zły orkiestrze, uporządkowanej staraniem Józefa Elsnera. Imię tego człowieka pierwszy raz tu dopiero wymienione, odtąd silnie jest splecione z dziejami muzyki naszej narodowej. Bogusławskiemu jedna jeszcze więcej zasługa przybywa, że znakomitego kompozytora zjednał scenie i narodowi naszemu.

II.

Józef Xawery Elsner urodził się w szląskim miasteczku Grotkowie, 29 czerwca 1769 roku. Od dzieciństwa zaraz począł się uczyć muzyki, gdyż zwyczajem zdawna w tamtych stronach przyjętym, młodzież do szkół uczęszczająca, obowiązana była śpiewać w kościołach pieśni nabożne. Zamilowania do muzyki nabrał Elsner od rodziców, którzy w wolnych chwilach swego życia lubili się nią zajmować. Poduczywszy się grać cokolwiek na skrzypcach, obudził się w nim zaraz instynkt do kompozycyi; układał on sobie tańce, małeńkie piosneczki i t. p. Ojciec Józefa pragnąc syna przeznaczyć zawodowi duchownemu, oddał go na wychowanie do klasztoru Dominikanów w Wrocławiu; tamto śpiewając często dyszkantem na chórze, przy innych naukach pobieranych w exjezuickim uniwersytecie, miał sposobność doskonalenia się na skrzypcach, tudzież poznania pierwszych zasad kompozycyi. W trzynastym roku życia swego napisał *Motel* na dwa dyszkantowe głosy: *Ave Maria gratia plena*.

Rektor chóru Schön, usłyszawszy ten utwór wykonany w czasie nabożeństwa, zwrócił szczególną uwagę na młodego kompozytora, a widząc w nim niepospolity talent, sam począł mu wykładać naukę wyższej muzyki. Staraniem rektora, u którego Józef pomieszczony był na stancyi, ówczesny organista Dominikańskiego kościoła Janisch, wykładał mu zasady generalbassu, a jeden z członków tamtejszej orkiestry Dreirittner, największą był mu w nauce muzyki pomocą. Ów Dreirittner wiele mszy i nieszpórów napisał, znajdujących się dotąd w rozmaitych naszych kościołach, a mianowicie w Częstochowie.

Nabrawszy wprawy do komponowania, Elsner wszystkie wolne chwile od szkolnych zatrudnień poświęcał muzyce i znaczną liczbę kościelnych utworów skomponował, które mu jednały uznanie i szacunek nawet pomiędzy przełożonemi. Atoli w dziwny sposób brał on się do tego. Wiadomo każdemu, iż kompozytor chcący układać na kilka głosów lub orkiestrę muzykę, spisuje ją w partyturę; otóż Elsner zupełnie przeciwnie postępował: każdy głos pojedynczo z głowy notował, a o partyturze wyobrażenia nawet nie miał. Dopiero ówczasowy dyrektor teatralnej wrocławskiej orkiestry Maar, pierwszy wskazał mu jak na jednej karcie wszystkie na raz działające głosy wypisywać można. Zachęcony namowami swoich przyjaciół, niektóre religijnej muzyki ustępy wydał Elsner na świat pod pseudonimem Lilietti. Probował on także później napisać symfonię; jedna wykonana podczas rocznicy urodzin żony dyrektora tamtejszego teatru, oprócz wielu nieudanych pochwał, otworzyła mu wolny wstęp na wszystkie teatralne widowiska. Korzystając z tego, przyszły twórca *Króla Łokietka*, zasiadał nieraz ze skrzypcami w orkiestrze, zastępując któregoś z artystów, i tym sposobem zapoznawał się z wielu utworami dramatycznymi, nauczał się oceniać należycie naturę używanych do usług teatralnej muzyki instrumentów. Tak tedy uprawiając muzykę którą kochał, a jako przyszły duchowny teologią, do której nie miał wielkiego zamiłowania, w skutek śmierci swego ojca, Elsner zmuszonym był porzucić na niejaki czas szkolne zajęcia, a niemając dostatecznych funduszy na utrzymanie życia, za-

ciągnął się jako pierwszy skrzypek do kapeli Dominikańskiego kościoła. Osiadłszy więc na swoim chlebie w Wrocławiu, łatwo na niego mógł zapracować, bo uważany za zdolnego skrzypka, chętnie był brany na nauczyciela do muzyki. Z namowy jednego ze swoich przyjaciół, w dziewiętnastym roku życia, Elsner postanowił raz nazawsze wziąć rozbrat z teologią a poświęcić się głównie medycynie. Sławny naówczas nauczyciel fakultetu lekarskiego Morgenbesser, przyjął go do grona swych uczniów; zaledwie o tem nowém Elsnera przedsięwzięciu doszła wiadomość do Grotkowa, to rodzinne miasto jego uradowane że z grona spółobywateli swoich mieć będzie z czasem własnego lekarza, wyznaczyło mu zaraz stypendium, aby ułatwić możność doskonalenia się w tej nauce. Wkrótce atoli Morgenbesser zmarł, a Elsner utraciwszy w nim jedyne go swego dobroczyńcę i opiekuna, udał się do Wiednia dla dalszego w medycynie kształcenia. Los mu jednakże w stolicy państwa austriackiego nie sprzyjał; zaraz po swoim tamże przybyciu ciężko zachorował; szczupły fundusz mający wystarczyć mu na roczne tamże utrzymanie życia, przez miesiąc trwającej prawie choroby zupełnie wyczerpanym został, więc o kontynuowaniu studyów lekarskich myśleć nawet nie można było. Osłabiony na ciele, z czarną troską niepewności o jutro, głęboko w duszy jego utkwionej, przechadzał się po gwarnych ulicach Wiednia nie wiedząc co z sobą zrobić; złowroga rozpacz poczęła osiadać i rozpościerać się na czystem i spokojnem niegdys jego obliczu. Lecz w dwudziestym roku życia, z silną i energiczną wolą a wiarą i ufnością w siebie, niełatwo ulega się pod brzemieniem cisnącego smutku i wątpienia. Rozpacz, chociaż na chwilę przemknie się po gładkiem czole młodziana, zmarszczy jego powierzchnię, duszy jednakże nie dotknie, owszem, wszelkiego rodzaju przeciwności wzmacniają, krzepią i do wielkich czynów ją nieraz hartują. Zresztą, Opatrzność lubi się zawsze opiekować młodością; tak właśnie było z Elsnerem. W czasie jednej bez celu po mieście i okolicach jego wycieczki, spotyka niespodzianie przyjaciela i kolegę ze szkół wrocławskich, który dowiedziawszy się o poło-

zeniu jego, ofiaruje mu przytułek i wszelkie u siebie życia wygody. Wypadek ten stanowczy wpływ wywarł na całą przyszłość Elsnera, bo uległszy zdrowym radom przyjaciela, muzyce odtąd postanowił oddać się zupełnie. Otrzymaawszy w Brünn miejsce skrzypka w orkiestrze tamtejszego teatru, udzielając zarazem lekcye muzyki na fortepianie, cieszył się Elsner nareszcie skromnemi lecz wystarczającemi na jego codzienne potrzeby dochodami; kompozycyi nie zaniedbywał także, kilka muzycznemi utworami, a mianowicie tańcami zyskał sobie chlubną w tém mieście dobrego artysty wziętość. Na początku 1792 roku, przedsiębiorca niemieckiego teatru we Lwowie p. Bulla, miał zamiar wysłać połowę artystów swoich do Warszawy; potrzebując tedy drugiego do oper dyrektora, nie wahał się wezwać na takową posadę Elsnera, albowiem od wielu przyjeżdżających z Brünn uwiadomionym już był o wysokich tego młodego artysty zdolnościach. Skoro tylko przybył Elsner do Lwowa, wezwał go zaraz Bulla do dyrygowania orkiestrą, chcąc się przekonać o ile oddawane mu pochwały sprawiedliwemi były. Właśnie dnia tego dawano widowisko na dochód zniszczonych kłeskami wojny, więc wielu znakomitych urzędników i innéj publiczności zeszło się do teatru. Zaczęto od wykonania symfonii, którą Elsner w Wroclawiu jeszcze skomponował, i ta słuchaczom tak się ogólnie podobała, że ówczesny gubernator Galicyi, znawca i miłośnik muzyki, hrabia Brigido, polecił zatrzymać Elsnera we Lwowie, a innego dyrektora wysłać do Warszawy.

Przez lat siedem pracował Elsner dla teatru i publiczności lwowskiej, komponując antrakty, balety, kantaty, kwartety, i t. p. W roku zaś 1794, pierwszą swą niemiecką operę napisał, do której sam także treść układał pod tytułem: *Osobliwi bracia*. Niezłe jej powodzenie zachęciło go do skomponowania drugiej: *Przebrany Sultan*, do tekstu ułożonego przez cesarskiego bibliotekarza p. Bretschneidera. W końcu właśnie tego samego roku, teatr polski pod przewodnictwem Bogusławskiego przybył do Lwowa, następnie w skutek połączenia obydwóch teatrów w jedną antreprzyżę, Elsner począł się zaj-

mować wystawianiem i dyrygowaniem polskich oper, i odtąd, a mianowicie od roku 1796, należy go już uważać za jednego z najczynniejszych artystów, którzy talent swój narodowej scenie poświęcili. Jakiś instynkt tajemny zniewalał go ciągle do bliższego łączenia się z Polakami, jak gdyby przeczuwał, że wpośród nich czeka go sława i szacunek za wszystko, co później miał dla ich dobra i narodowej sztuki muzycznej uczynić.

Widząc niepoślednie zdolności artystów naszych i nadzwyczajną dla nich sympatją publiczności lwowskiej, pragnął koniecznie napisać operę polską; lecz nieznamość języka najlepsze jego chęci w niwecz obracała. Postanowił więc uczyć się po polsku, i w kilka miesięcy tak dalece postąpił, że odważył się do naszych wierszy układać muzykę. Nieśmiejąc atoli odrazu rzucać się na tak niebezpieczne i trudne dla siebie przedsięwzięcie, nad każdym słowem polskiem pisał niemieckie, a tak nieznaśnie poznał bliżej naturę i ducha naszej mowy, że później mało kto mógł mu wyrównać w podkładzie słów polskich pod muzykę. Najpierwszem dziełem Elsnera do którego muzykę skomponował, był melodramat Bogusławskiego pod tytułem: *Iskahar król Guazary*. Sztuka ta z zapalem od publiczności lwowskiej przyjęta, jest niejako zakładem przymierza pomiędzy Elsnerem i polskim narodem; piękna tego melodramatu muzyka tak się ogólnie wszystkim podobała, że każdy ją chciał umieć, śpiewać i cieszyć się nią, szczególnież pieśń do słońca „*O ty! co równie znędzniałym*” śpiewano po całej Galicyi. Niezadługo potem opera *Amazonki* (treść także Bogusławskiego) jeszcze większy rozgłos twórcy swemu uczyniła, i odtąd Elsner zawdzięczając tak świetne uznanie swego talentu i pocziwą chęć artystów naszych w jak najlepszem pracy jego przedstawieniu, postanowił nazawsze dzielić losy sceny polskiej.

W końcu roku 1799, jakem to już wyżej powiedział, Bogusławski z całym towarzystwem artystów dramatycznych przybył napowrót do Warszawy, zabrawszy z sobą Elsnera. Operą *Drzewo Dyanny* rozpoczął Elsner dyrektorski swój zawód w stolicy dawnego królestwa, śmierć atoli najlepszej śpiewaczki Jasińskiej i ciężka a nieuleczona choroba tenorzysty Kaczkowskiego, doprowa-

dziło operę narodową do bardzo krytycznego położenia. Potrzeba było zająć się kształceniem młodych śpiewaków; podjął się tej pracy Elsner: tymczasem jak mógł, wystawił nową swoją operę ze słowami Głińskiego, pod tytułem *Sultan Wampun*.

W roku 1802, sprowadzono do Warszawy włoską operę, która od 2 stycznia poczęła dawać widowiska, będąc silnie przez wyższe towarzystwo protegowaną. Dnia 29 tegoż miesiąca, artyści nasi z wielką okazałością wystawili operę Mozarta tłumaczoną przez Bogusławskiego: *Flet czarnoksiężki*. W niejto panna Karolina Stefani uczennica Elsnera, jako też i Dmuszewski tenorzysta, który już od roku 1800 wszedł do składu artystów dramatycznych, pierwszy raz zaszczytnie dla siebie w operze wystąpili. Pomimo obecności Włochów, śpiewacy nasi wielkie w tej sztuce mieli powodzenie; wzmogło się ono więcj jeszcze nierównie, skoro gorliwy w swej pracy Elsner wystawił 5 listopada pierwszy raz *Przerwaną ofiarę*, Wintera. Opera ta tak się nadzwyczajnie podobała, że nawet była przyczyną zupełnego upadku Włochów, którzy chociaż przyjazdem do Warszawy De Santisa pierwszego tenora znacznie zasileni (1), nie mogli się jednakże utrzymać; w następnym zaś roku opuścili nasze miasto, nie bez czynnej atoli, jak to już nieraz bywało, pomocy polskich artystów, gdyż ażeby mieli o czém wyjechać, dano na ich dochód widowisko. Największą ozdobą *Przerwanej ofiary* były dwie młode artystki: wspomniana już wyżej panna Stefani, i Pietrasch, także uczennica Elsnera. Publiczność zachwycona ich pięknymi talentami, zebrała pomiędzy sobą na podarunki około dwieście czerwonych złotych i takowe nadobnym artystkom wręczyła. Następujące wiersze ułożone przez jakiegoś poetę, a przez wszystkich wówczas powtarzane, najlepšíj o talencie ich dadzą wyobrażenie:

„Pietrasch głosem wyniosłym i łatwym zapala,
Stefani przyjemnością i wdziękiem zniewala;
W znających się na sztuce, pierwsza podziw budzi,
A druga ma za sobą serca wszystkich ludzi.”

(1) Ten sam De Santis osiadł od tego czasu stale w Warszawie był jednym z najlepszych późnij nauczycieli śpiewu.

Wkrótce jednakże Karolina Stefani żyć przestała, a miejsce jej zajęła panna Pięknowska.

Pracując niezamordowanie Elsner sam jeden jako dyrektor opery dla naszej sceny do r. 1810, oprócz znakomitych dzieł obcych kompozytorów, jakoto: Hofmeistra, Cherubiniego, Mehula, Dalayraca, Boieldiego i t. p. wystawił jeszcze własne utwory w porządku następującym:

Rok 1804. *Mieszkańcy Kamkatal* (słowa Dmuszewskiego); *Siedm razy jeden* (tegoż autora).

R. 1805. *Stary trzpiot* (tłumaczenie Matuszewskiego).

R. 1806. *Wieszczka Urzella* (tłum. Boduin'a).

R. 1807. *Andromeda* (słowa Osńskiego).

R. 1808. *Szewe i krawcówna* (słowa Drozdowskiego); *Urojenie i rzeczywistość* tłum. Adamczewskiego; *Echo* (słowa Pękalskiego); *Śniadanie trzpiotów* (tłum. Uison'a); *Zona po drodze* (sł. Drozdowskiego).

Pięć oper w jednym roku! Wprawdzie rozmiar ich nie był wielki, zwykle prozą na sposób francuzkich komicznych oper przeplatane; lecz zawsze jest to najwymowniejszém świadectwem niezamordowanej i niezrażającej się niczém czynności: bowiem dwie pierwsze w 1808 roku przedstawiane, przy pierwszej reprezentacji upadły, inne zaś, a mianowicie *Śniadanie trzpiotów*, dosyć miały powodzenia.

W roku 1809 jedną tylko operę Elsnera do słów Dmuszewskiego spotykam, tojest: *Leszek Biały*, należąca do rzędu lepszych utworów tego kompozytora. Trzy operotki następujące: *Benefis* (słowa Pękalskiego), *Wąwozj Sierra Morena* (sł. Dmuszewskiego), i *Kabalista* (sł. Wężyka), przedstawiane w 1810, 1811 i 1812, upadły. Młodszy od Elsnera kompozytor chociaż nie lepszy, ale którego talent stosowniejszym był do muzyki dramatycznej, Kurpiński, począł dzieła swoje z wielkiem powodzeniem wystawiać, więc też Elsner postanowił zdolności swoje przenieść na inne pole działania, zostawiwszy teatr młodemu swemu współzawodnikowi. Wprzód jednakże napisał jeszcze dwa dzieła, tojest: *Król Łokietek* (słowa Dmuszewskiego) w 1818 i *Jagielło w Tenczynie* (sł. Chodkiewicza) w 1820 roku, a które uświetniły zejście jego z horyzontu muzyki teatralno-dramatycznej.

Chcąc teraz dać sumienny o ile być może obraz charakteru i wartości muzycznej tylu różnorodnych prac Elsnera, poświęconych scenie jeden tylko widzę do tego środka, a tym jest, zaprosić czytelników moich do przejrzania której z lepszych partytur tego kompozytora, i analizując takową chociaż pobieżnie, przekonać się o zaletach pomysłów jego muzycznych, tudzież o wpływie, jaki one wywierały na smak lub upodobanie ówczesnej publiczności. Każdy bowiem, najmniejszy nawet utwór, jeżeli jest z talentem prawdziwie napisany, przetrwa mniej więcej długie czasy; a przechodząc tradycyjnie z jednej do drugiej generacji, nabywa w dziedzinie muzyki narodowej praw obywatelstwa, praw nierzwyczajnie rzadkich i trudnych do osiągnięcia, które mu już nigdy zaginąć nie dozwolą. Według mego przekonania, opera: *Król Łokietek czyli Wiśliczanka*, należy do rzędu takichto utworów. Słyszeć jej dzisiaj nie możemy, godzi się więc choć tym sposobem poznać ją bliżej, tém więcej, że napisana w najdojrzałszej epoce zawodu kompozytorsko-dramatycznego Elsnera, w najwydatniejszym świetle talent jego nam wykaże.

Król Łokietek dzieli się na dwa akta: pierwszy oprócz uwertury składa się z siedmiu numerów.

Instrumenta wchodzące do partytury są prawie te same, co w poprzednio przeglądanej Stefaniego; tylko, że Elsner użył jeszcze trombonu, przez co brzmienie orkiestry znacznie jest spotęgowane. Układ instrumentów zmieniony, bo na czele znajdują się skrzypce, a dopiero pod niemi idzie familia dętych narzędzi. Każdy z kompozytorów ma sobie właściwy sposób układania partytury, najczęściej jednak (szczególniej w dzisiejszych utworach) flety umieszczane bywają na górze, a na dole przed śpiewem kwartet rżnięty.

Uwerturę rozpoczyna *Adagio D. moll* $\frac{3}{4}$, tylko 27 taktów szerokie, powtarzające się później w drugim akcie opery. Jestto krótki niemający wielkiego znaczenia frazes, ciągnionemi nutami dętych instrumentów trzechkrotnie się powtarzający, i służy tylko za wstęp czyli przygotowanie do *Allegra D. dur*, w charakterze

krakowiaka napisanego. Motyw ten, stanowiący całą uwerturę w dwóch taktach prawie zawarty, splata się niekiedy z innym, a chociaż pięknością się nie zaleca, jednakże opracowanie czyli rozmaite przemiany instrumentów rozchwytujących w sposobie imitacji tę małą melodię, wielce jest zajmujące i dowodzi biegłości w umiejętnym i stosownym traktowaniu wszystkich działających instrumentów. Pod względem dramatycznym, nie się nie znajduje w uwerturze, co by dać mogło wyobrażenie o przedmiocie lub treści, której ma być przepowiednią. Kompozytorowie zazwyczaj starają się w niej streszczać cały obraz dramatu, jaki następnie słuchaczom stopniowo w ciągu dzieła rozwijają; starają się oblec ją kolorytem stanowiącym główne tło obrazu; i tak naprzykład: w operze poważnej czyli *seryo*, uwertura składająca się zazwyczaj z głównych motywów opery, będzie poważną, będzie streszczeniem mniej więcej w szerokich zarysach ducha całego utworu: tak jest w *Don Juanie*, we *Freyshycu*, *Normie*, *Żydówce* albo nawet *Robercie Diabla* (choć twórca tej opery nie uwerturę, lecz raczej wstęp tylko obrazowy napisać zamierzył); i przeciwnie, w operach lżejszych, komicznych, ta sama lekkość, żywość głównych motywów dzieła, naprzykład w *Zampie*, *Pradziwołu*, *Wieszczce róż*, *Marcie* i t. p., jak w zwierciadle odbija się w uwerturze. Z tego powodu, uwertura do *Króla Łokietka* nie wiele ma wartości, bo nie zawiera w sobie wyż wymienionych warunków; a kto by chciał szukać w niej najnniejszego epizodu znanego z wielu nieszczęść w dziejach historii króla i bohatera sztuki, ten się ogromnie zawiedzie. Wprawdzie w tej operze kmiotkowie najwięcej działają, więc muzyka lekka i charakterystyczna jest i być powinna; ależ są tam sceny poważne, dramatyczne, a przecie w uwerturze śladu nawet tego wszystkiego nie ma. Można powiedzieć, iż jestto praca zdolnego, bardzo zdolnego artysty, który z danego sobie tematu małej muzykalnej wartości, wysnuł szereg uczonych kombinacyj dobrze świadczących o biegłości technicznej w sztuce piszącego; lecz za uwerturę w ścisłym znaczeniu tego słowa przyjąć jej nie można.

N. 1 rozpoczyna ośm taktów *andante* A. *moll* $\frac{6}{8}$, w którym jeden jeszcze więcej instrument się zjawia, to jest: *piccolina*, i prowadzi do krakowiaka A. *dur*, śpiewanego przez chór tańczących wieśniaków:

„Zosiu luba ta niedziela
Lube dla cię gody,
Masz w twym Janku przyjaciela,
Co wart twej urody”.

Nuta tego ślicznego w pięciu częściach krakowiaka, którego pierwszy motyw następnie w minorowym trybie się powtarza, znana jest wszystkim; zdaje mi się nawet, iż bywał w ostatnich czasach brany do *Wesela w Ojcowie*: kilka taktów początkowych najlepiej o tém przekona:

Allegro.



W N. 2 znajduję duet na dwa soprany (Zosia i Salsusia) *alla Polacca* F. *dur*:

„Wesołość córka swobody,
Obraz czystego sumienia”.

Udatny to jest ustęp, lecz zawierający niemało trudności dla pierwszej sopranistki pod względem wokalizacyjnym.

Marsz Czechów C. *dur*, napisany na rżnięte instrumenta, trąby, waltornie i kotły, nie zaleca się wcale pięknnością; zupełny w nim brak melodyi, więc i charakteru żadnego w nim nie ma, a tak samo może być czeskim jako i szwabskim.

N. 4 za to najpiękniejszym jest ustępem z całej może opery.

Wchodzą do niego dwa soprany, te same co poprzednio, tenor (król Łokietek) i chór. Łokietek ścigany od nieprzyjaciół, w pielgrzymim odzieniu szuka pomiędzy wiernym sobie ludem schronienia. Wieśniacy poznają swego monarchę, a litując się nad jego nieszczę-

śliwém położeniem, starają się go ukryć przed pogońią wojska czeskiego.

Flety i fagoty rozpoczynają pieśń tak ulubioną od ludu naszego:

Andante.

Zaraz potem przy towarzyszeniu smyczkowych instrumentów następuje *recitativo* „Dziatki, Pan Bóg z wami” i znów pierwszy motyw wraz z głosem się powtarza, lecz już skrzypcom powierzony. Trudno jest opisać z jakim wdziękiem Elsner piękną tę melodyą rozprowadza, wzięwszy ją za główne tło do całego tej sceny obrazu; ułożona pierwiastkowo do słów: „U drzwi twoich stoję Panie” modlitwa ta rozlega się dzisiaj zarówno pomiędzy ścianami drobnej wiejskiej chatki, jako i pod wzniosłemi sklepieniami świątyń naszych, a rolnik idący z kornem czolem w dniu świąt uroczystych za processyą, tę samą modlitwę wznosi do Pana nad Pany; wtórują mu wody, lasy, gaje, ptaki i wszystkie Boskie stworzenia, gdyż od lat wielu tyle milionów ludzi ją śpiewa, że nawet nuta tej pieśni dźwięczy, rozlana w atmosferze kraju naszego, i każdy człowiek z sercem i wiarą w duszy, zewsząd ją słyszy niezawodnie.

Elsner, od ludu ją wziął gotową i do opery swęj zastosował; zmniejsza to oczywiście znacznie jego zasługę,

lecz gdy kto tak piękny użytek robi z klejnotu należącego do skarbcza muzyki całego narodu, temu niezawodnie wdzięczność ogółu się należy.

Teraz zwracam uwagę czytelnika na drugą melodyą, należącą do nr. 6 téjże opery, a którą śpiewają Zosia i Salusia:

Parob - ca - ki od Pa - lań - ca a wi - śli - ckie dziewczki, Nie masz równych
 im do tan - ca ich naj - mi - l - sze śpiewki.

Kto tak piękną piosnkę jest w stanie skomponować, tego pamięć w rządzie narodowych kompozytorów zaginąć nie może, bo przetrwa tak długo, jak i pieśń ta trwać będzie

Nr. 7 czyli finał pierwszego aktu zaczynający się modlitwą chórem śpiewaną i kończący się *Allegrem Es. dur*, nie zawiera w sobie żadnych cech charakterystycznych, ani też rozmiarem jest imponującym.

Akt drugi, poprzedzony znanym już marszem Czechów, lecz staranniej instrumentowanym, zaczyna się sceną najdramatyczniejszą i cały prawie akt wypełniającą, gdyż dwóch małych ustępów, to jest: dunki sopranowej i krakowiaka śpiewanego tercyami przez Zosię i Salusię, jako niczem się tak dalece nie odznaczających, wspominać nawet niewarto. W scenie zaś o której mowa, po kilkunasto-taktowym recitatiwie Hinkona wodza Czechów, sama orkiestra najważniejszą gra rolę. Jest to raczej symfonia pełna dramatycznych efektów, przedstawiająca w muzyce to wszystko, co uszpionej na scenie osobie w gorączkowym śnie się ukazuje. Kompozytor w ogromnym tym ustępie, stosownie do przesuwających się grupp i obrazów z żywych osób, chciał całą historią narodu polskiego przedstawić; jak tego dopiął? trudno opowiedzieć. Wymieniać zaś wszystkie zmiany tonacyj i zmiany ruchów, uważam za zbyteczne; to tylko powiem, że w nim oprócz niektórych frazesów znajdujących się w uwerturze i pierwszym akcie, jest tam jeszcze parę

dawnych polonezów, znanych ogólnie wszystkim; krakowiaków, mazurek legionów, nawet ulubiony marsz księcia Józefa Poniatowskiego. Wszystko to jest związane pracowicie, starannie w potężną całość i z pewnym wyższym natchnieniem obmyślane; lecz tego rodzaju utwory słyszeć koniecznie potrzeba, a wtedy dopiero należycie ocenionemi być mogą.

Oto są główne zarysy tej opery Elsnera; kończy ją chór Wiśliczan oswobadzających z murów więzienia Łokietka, podczas którego orkiestra stara się bitwę wyrazić.

Z niniejszego opisu jakkolwiek niedokładnego, czytelnik zdaje mi się poważnie wyobrażenie o planie dzieła, a z przytoczonych niektórych melodyj, oceni talent twórczy kompozytora. Inne dzieła Elsnera mniej więcej pisane są w tym samym duchu. Jeżeli więc brakło mu na melodyjnych zdolnościach do kreślenia wyższej wartości utworów dramatycznych, to niezawodnie nauką przewyższał wszystkich naszych kompozytorów, niewyluczając nawet Kurpińskiego. Więc też teatr nie był dla niego właściwem polem, na jakim tak zaszczytnie i z chlubą dla siebie mógł użyć swoich zdolności, jak naprzykład dowiódł tego w sferze muzyki kościelnej. Niektóre opery Elsnera dobre miały powodzenie, z tych jednakże *Leszek Biały* i *Król Łokietek*, najwięcej były ulubione. Melodramatów znaczną także liczbę napisał, jakoto: *Iskaha*, *Nurzachad*, *Sąd Salomona*, *Trybunał niewidzialny*, *Mieczysław ślepy*, *Karol Wielki*, *Rzym oswobodzony*, *Wąwozy Sierra Morena*. Największe atoli powodzenie miała *Ojura Abrahama*, przedstawiona po raz pierwszy 1821 roku, a będąca ostatniem dramatyczno-muzycznem dziełem, jakie teatrowi zostawił (1).

(1) Najlepszym i najwspanialszym utworem Elsnera jest *Oratorium* czyli *Męka Zbawiciela*, wykonana trzykrotnie w różnych epokach w kościele Ewangelickim przez wielkie masy artystów i amatorów. Sędziwy ten kompozytor doczekawszy 85 lat życia, zmarł 1854 roku, 18 kwietnia, w Elsnerówce, pochowany na Powązkach.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Obiory akademickie. — *La Jeunesse*, komedia w pięciu aktach wierszem przez Emila Augier. — Nowe wydanie podróży hrabiny Belgiojoso. — Podróż malownicza nad brzegami Renu, przez Edmunda Texier. — Wiadomości literackie.

W tych burzliwych i gwarnych czasach, kiedy huk bomb pod cesarskim powozem rozpękłych, zmieszany z huczną muzyką karnawału, dziwny w głowach tutejszych mieszkańców zamęt czyni, cichy i myślący świat literacki prawie wyłącznie panem Augier się zajmuje. Najprzód świetne przyjęcie znakomitego dramaturga w poczet akademików i mowa jego, były przedmiotem rozmów i artykułów; teraz pięcio-aktowa komedia przedstawiona w *Odeonie*, dostarcza treści feletonistom i zaciekawia Paryżanów. Nowa sztuka udatnym napisana wierszem liczy się do najlepszych tegoczesnych utworów dramatycznych; mowa, do znakomitszych akademickich przemów. Idąc porządkiem, zaczynamy od mowy, tém bardziej, że w niej znajdujemy dość ciekawe ocenienie stanowiska jakie Instytut zajmuje, a raczéj jakie zajmować powinien we Francyi. Odsłaniając przed oczyma zgromadzenia intencye genialnego fundatora, pan Augier zrzęcznie przypomniał czterdziestu nieśmiertelnym, jakie są warunki ich nieśmiertelności.

Pierwsza połowa mowy Augiego, wedle przyjętego zwyczaju, była panegirykiem poprzednika. Ponieważ

chwalić trzeba było koniecznie, młody członek wymieniał zasługi polityczne Salvandego, sławił go jako męża stanu; o jedyniej poważnej jego pracy literackiej, *Historii króla Jana Sobieskiego*, która mu otworzyła drzwi pałacu Mazarzyua, wspominał tylko nawiasem. Polityczne znaczenie Salvandego zarazem ministra i członka Akademii, posłużyło mówcy do wskazania ścisłego węzła jaki wiąże we Francyi naukę z polityką, oraz politycznego wpływu Akademii, który głównie miał na celu jej założyciel.

Powiedziawszy że Instytut jest dziś jedynem przeciwstawieniem bursy, jedynym przybytkiem ważnej pracy ducha, jedynem laboratoryum sporządzającym antidotum przeciw złotej gorączce, która trawi społeczność zachodnią „uderzoną róższką Circei,” pan Augier temi słowy skreślił charakter Akademii francuzkiej:

....„Historya wasza, panowie, jest historyą arystokracji umysłowej. Arystokracya ta, która nie może zagać, bo nie jest dziedziczna, poczyna się we Francyi od założenia tej Akademii. Zakładając ją kardynał Richelieu, nie miał myśli założenia literackiego biura, ani związania grona pedantów szperających w słownikach; chciał on stworzyć i stworzył czwarty zakon w państwie, zakon spoczywający na dwóch najpotężniejszych zasadach: równości i obieralności.

„Jeżeli pierwsi akademicy nie zrozumieli całej wagi swój instytucyi, to zrozumieli ją dobrze ówczesni politycy, a mianowicie téż parlament, który przez blisko trzy lata nie chciał uznać Akademii. Czyż byłby się tak opierał gdyby chodziło o szkołę grammatyki? Pewno nie. Ale stróże ci starej społeczności przeczuwali instynktem zachowawczym, tak jak wasz fundator przeczuł to swym geniuszem, do jak zupełnego tryumfu dojdą kiedyś nowe zasady, złożone w ręce ludzi najzdolniejszych do ich propagowania.

„Skutki nowej instytucyi okazały się niedługo. Zaledwie została założoną Akademia, aliści wnet rozpierzchły zastęp literatów zmuszony szukać protekcyi wielkich panów, skupił się w jedno ciało i utworzył naukową rzeczpospolitą; wkrótce dawni protektorowie literatów przysli prosić o zaszczyt wpisania się w ich złotą

księgę; sam król podał się na członka zgromadzenia, którego szybki rozwój budził mnóstwo niechęci, i sam król wdaniem swoim nadał mu owę trwałość i niezachwiane dostojęństwo, którego dotąd używa.

„Fakta najlepiej dowodzą codzien wzrastającego wpływu literatów we Francyi. Już w początku tego stulecia dzierżyli oni tak wielką władzę moralną, że władza oficjalna naturalnym porządkiem rzeczy dostała im się w ręce. Od roku 1830 kilku zaledwie mieliśmy ministrów, którzyby poprzednio nie zasiadali w tém gronie. Ostatnia ta faza waszjej historyi, panowie, jest ostatecznym tryumfem i uprawnieniem arystokracji umysłowej. Polityka zespoliła się nierozdzielnie z nauką, poprzednik mój był świetnym reprezentantem tego zespolenia.

„Literat i polityk zarazem, Salvandy nie powiedział nam kto jest wyższy w związku tych dwóch potęg. Mamże ja to uczynić, nieznany literat, w obec tylu ludzi stanu, którzy do tego grona należą? Będzie to może zbyt śmiało, ale właśnie dlatego, że ci ludzie stanu których tu widzę, są zarazem członkami Akademii, wypowiem myśl moję:—co im ujmę jedną, to oddam drugą ręką. Otóż panowie, zdaniem mojem, literat wyższy jest od ministra dlatego, że dzieła męża stanu nie są jego własnością; rozwijane przez następców, ciągle przerabiane i przekształcane z laty, coraz więcej tracą pierwotny charakter; w końcu zaś zupełnie rozłączone od imienia swego twórcy, krążą w pamięci ludu jak rzeki w morzu, nie znając swego początku. Zapewne nie mało dobrodziejstw odziedziczyliśmy po Likurgu i Solonie, ale któż dziś powie co im zawdzięczamy?

„Dzieło literata przeciwnie, jest całkowitą jego własnością: dobre czy złe, nie będzie ani prowadzone dalej, ani poprawiane; jeżeli godne trwania, będzie trwało wieki wraz z imieniem swego twórcy—wszyscy wiemy cośmy winni Platonowi. Prócz tego dobra książka wyda zawsze owoce, kiedy tymczasem niejedna dobra instytucya poroni swoje. Od ateńskich aż do naszych czasów nader trudno było być dobroczyńcą zbyt mądrych narodów; leżąca w ich naturze potrzeba konspiracyi, chętka przeczenia i tłumaczenia wszystkiego na złe, jest siłą

odporną, wiecznie działającą przeciw dobremu, gdyż dobre robić tylko można z pomocą wszystkich. Nie szukając daleko przykładów, czyż nie widzieliśmy najlepszego rządu, jaki miała Francya, będącego przez ośmnaście lat celem potwarzy i najjadowitszych napaści? Ani doskonała zręczność sprawiedliwego króla, ani zacność synów jego wychowanych razem z niani i wypróbowanych na usługach ojczyzny, ani prawość, ani patriotyzm, nie nie przebłagało krytycznego rozumu Francuzów, nie niewdzięczności naszej nie rozbroiło!

„W obec takich przykładów, panowie, jakże sztuka rządzenia ludźmi wydaje się próżną! Jakże rozczarowani być muszą literaci, którzy na chwilę przenieśli ją nad swoją trwałą sławę i niezawodną pracę. Z jakąż rozkoszą musieli powrócić do nauk, z jakim ukojeniem umysłu musieli się schronić do tego portu, w którym nie dosięgają burze, do téj pogodnej Akademii, której poważna czynność nie ma nie wspólnego z namiętnościami i interesami przelotnej chwili!

„Tajemnicą waszój trwałości w téj Francyi, w której nie trwa, jestto odosobnienie od spraw przechodnich: Akademia nie upadnie, bo się nie wiąże z niczém co upaść może. Tylko upadek cywilizacyi mógłby pociągnąć jój ruinę, bo cywilizacya jest jedyném dziełem, nad którym wy pracujecie. Szczęśliwe są instytucye, którym nie prócz barbarzyńców nie grozi. Północ już nie wysła na nas wylęglej w swém łonie dzieczy: niestety, nie z północy ona teraz przychodzi, ale jak mrowisko zpod nóg naszych wyrasta. Dziesięć lat zaledwie upłynęło, a już Paryż zapomniał jadowitój zgrai, co jak gniazdo szerszeni w upał czerwcowy wyroiła się w jego murach. Mniemaliśmy, iż ta szarańcza na zawsze schowała się pod ziemię, kiedy oto nagle przypomniała nam się znowu przez potworny zamach na spokój świata w jego najsilniejszym uosobieniu. Jeżeli ci złoczyńcy, ci niwellatorowie w gorączce, urzeczywistnią kiedykolwiek swe idee, wtedy arystokracya umysłowa będzie hekatombą ich tryumfu, wtedy panowie, skończy się wasza historia, a historia świata musiałaby się zacząć na nowo. Aleć Bóg tego nie dopuści!”

Zakończenie to, którem wbrew zasadzie akademickiej nieśmiertelności nowy członek dotknął „interesów przelotnej chwili”, zjednało mu głośnie oznaki zadowolenia urzędowej części publiczności, jak ministrów, marszałków, generalów, a mianowicie rodziny Bonapartych, którą reprezentowali książęta: Hieronim, Napoleon, Murat i księżna Matylda.

Idąc dalej za panem Augier, z pałacu Mazarin prowadzimy czytelników naszych do *Odeonu*.

Ze wszystkich teatrów paryzkich *Odeon* jest najwłaściwszym do przedstawiania sztuk zalecających się więcej myślą i formą, niż efektem i intrygą. Młody i światły jego parter rozumie jeszcze poezją, czuje każde nowsze wyrażenie, każdą trafną przenośnię; tu i owdzie wśród rzeczywistości kwilący liryzm, nie niecierpliwi dwudziestoletnich słuchaczy, owszem budzi echo w ich sercu, a każdy rym dźwięczny wpada im w ucho jak piękny akord fortepianu. Świeżo przyjęta nauka jeszcze nie zatarta szorstkim pomexem praktycznego życia, czyni ów młody areopag czulszym, niż zwyczajni słuchacze, na wszystkie piękności dzieła, sposobniejszym do ocenienia jego literackiej wartości. Dla *łacińskiej* publiczności *Odeonu* styl nie stał się jeszcze jak dla Paryżanów bulwarowych niepotrzebnym zbytkiem.

Pan Augier wie o tem bardzo dobrze, i dlatego chociaż teatr francuzki komedyi jego na rozeież podwoje swe otworzył, wołał ją przedstawić w *Odeonie*, na którego sympatyą liczył nienapróżno. *Młodzież* (taki jest tytuł nowej sztuki) została zrozumianą od młodzieży; wszystko co wzniosłe, co piękne i szlachetne, było zauważane i nietylko nie przepadło, ale oddagerotypowało się na czystem zwierciadle młodych wyobraźni.

Intryga sztuki jest bardzo prosta; autor umyślnie nie chciał jej gmatwać wypadkami drobnój wagi, żeby więcej zostało miejsca do szkiecowania wady społecznej, którą wytknąć zamierzył. Zdaniem Augiego, młodzież francuzka nadto zajęta interesami materyalnymi, palona zawcześnieniem złota i żądzą zdobycia sobie tak zwanój pozycyi socyalnej, zatraciła zupełnie właściwą wiekowi swemu poezją. Młodzieniec zaledwie otrzymawszy swój dyplom doktorski, wyrzeka się złudzeń, odpycha mi-

łość jak bałamuctwo, które niepotrzebnie drogi czas zabiera; gardzi tą chwilą twórczego próżniactwa, w której kształci się serce i myśl dojrzewa; rachuje jak matematyk: i zdeptawszy wszystkie róże szczęścia, składa młodą głowę na mrowisku ambitnych zabiegów. Być bogatym i używać wszystkiego co pieniądz daje, oto jedyne marzenie, które dziś porusza młode serca, niegdyś miotane pragnieniem szczytnych niepodobieństw.

Na powyższe zarzuty, które moralista czyni czarnowłosemu starcowi, bohaterowi sztuki, dwudziestoletni Filip odpowiada:

„Prawda że dojrzewamy we dwadzieścia lat,
Ale któż temu winien? Nie my, tylko świat”.

Λ na to moralista:

„Dojrzewacie, powiadasz, ja sędzę inaczej:
Twierdząc, żeście spruclmieli pierwiej niżli żyli;
Że ta przewrotność wasza nie jest doświadczeniem,
Przemądre żaki, uschle nad wiedzy strumieniem.
Niesforne marudery skaczące przez mury,
Ażebym tam obrywać owoce robaczne.
Kiedys to zrozumiecie, gdy ochłodnie cheiwość,
Że najpewniejszą w tem życiu rachubą, uczciwość.
Ilużbym mógł naliczyć przebiegłych ichmości,
Hojnie uposażonych w rozliczne zdolności,
Którzy chcąc rychlój zdążyć do bogactw skarbnicy,
Tak nieuważnie biegli ślepi śród ciemnicy,
Że choć pierwsi przybyli żądzą złotą gnani,
Nie wpuszczono ich, bo nazbyt byli zaszargani”.

Ale nie przeskakujmy kartek i zacznijmy od początku. Pan Filip tedy, młodzieniec jeszcze nie wąsaty, ukończył prawo i już jest adwokatem, rozumie się adwokatem *in partibus*, oczekującym na klientów. Tymczasem siedzi przy matce ubogiej, czując codzień dotkliwiej, iż za długo jej szczyplą kawałek chleba spożywa. To też palony jest żądzą zdobycia sobie niezależnej pozycyi, która jak majak w pustyni wciąż przed spragnionym ucieka.

Matka Filipa pani Huguet, należy do rzędu tych niewiast powszednich, które znużone niedostatkiem, zużyte ciąglą o chleb powszedni troską, co jak kropla wody wiecznie w jeden punkt kapiąc, granitowe dusze rozcynia, gotową jest do wszelkich koncessyj i wszelkiej

uległości, choćby dla nieprawych i błędnych przewodników, byleby oni wyprowadzili z ciernistej ścieżki niedostatku, na której kolech swą młodość, złudzenia, szczęście, zdrowie i moc ducha stargała. Nic dziwnego, że w takim usposobieniu karyera syna wyłącznie ją zajmuje, że zapewnienie mu bytu materialnego, a tym sposobem oszczędzenie umartwień jakich sama padła ofiarą, na pierwszym ma względzie.

Przy rozpoczęciu sztuki widzimy tę biedną matkę zajęta złoceniem nędzy, która wszystkimi szparami wygląda, a którą koniecznie ukryć wypada przed zaproszonymi na obiad protektorami; gdyż doświadczenie uczy, że wszyscy niemal protektorowie dobrze ubranemu petycyonaryuszowi wstydzą się dać dukata, ale obdartemu bez ceremonii ofiarują trzy grosze. „Pour être, il faut d'abord paraître”, powtarza, krzątając się pani Huguet, i choć sama jest wzorem enoty, przygotowuje przyśmaczki i najlepsze przy kominku fotele, dla więcej niż wątpliwj uciążliwości kobiet, którym się pokłonić trzeba, bo pomódz mogą prędzej i lepiej, niż ktokolwiek.

Prócz Filipa, bawi chwilowo w domu matki siostra jego Matylda, żona poeziewego dzierzawcy, który zamiast szamotać się z fałszywym zbytkiem stolicy, wołał sobie najać kawal gruntu i sadzić spokojnie kapustę. Z wiejską parą przybyła także kuzynka Cypryana, ładna panienska, bez majątku, w której Filip na przekor swym pozytywnym zasadam gwałtownie się zakochał. Ale matka o tym związku słyszeć nie chce; odwodzi syna od Cypryana, a ciągnie do jakiejś stutysięcznej dziedziczki, wierząc mocno, że złoto zapewni jedynakowi trwalsze szczęście, niż wdzięki.

Z tego położenia wywiązuje się pomiędzy matką a synem bardzo mocna scena. Filip chociaż czynił co mógł ażeby się pozbyć wszelkich namiętności, czuje przecież w sercu miłość, która mu za radą matki iść nie dozwala; wyznaje więc że kocha ubogą Cypryanę, i uprzedzając uwagi matczyne, mówi:

„Wiem, że mi znów powtórzysz swą piosnkę odwieczną,
Iż nędza zmrozi miłość, chociażby serdeczną;

Ja mniemam, że tak twierdzą tylko serca chłodne,
 Stare, zużyte, ognia świętego nie godne.
 Ale ja! Ja go czuję w głębi mojej duszy!
 Czuję się synem ojca, który z tej katuszy
 Ubóstwa wyszedł zwycięzko i godnie. Może
 To jest szaleństwo, a nawet grzech może,
 Niegodnemu tak ufać w miłosierdzie Boże;
 Ale ja wierzę mocno, jako ludzie prawi,
 Że uczciwym zamiarom Bóg pobłogosławi.
 Ojciec też był ubogi kiedy pojął ciebie:
 Czyż wam kiedy zbywało na powszednim chlebie?
 Ty milczysz... ale wzrok twój do ziemi przykuty
 Świadczy, że twym doradczą rozum nieszczyściami struty.

MATKA.

Odważnij niż rodzice twoi, synu drogi,
 Nikt zapewne nie wstąpił na ubóstwa progi;
 Gdyby umysł nasz marzył o dostatku, chlebie,
 Mogliśmy wziąć miliony—woleliśmy siebie.
 Siłni miłością naszą, odważni bez granic,
 Żyliśmy w chmurach, kłopoty życia uważając za nic.
 Jak ty dziś, tak i my nie widzieli wtedy
 Ni szczęścia bez miłości, ani przy niej biedy;
 To też byłoby czasy słoneczne, mój synu:
 Czuliśmy się tak dobrzy, tak wyżsi od gminu!

SYN.

Matko! Znając historią twój pięknej młodości,
 Wiedziałem, że fałsz zadasz dzisiejszej mądrości,
 Iż mi najjaśniej twoje dowiedzie zamęcie
 Że jednym skarbem w życiu jest domowe szczęście.
 Więc zamiast w przyszłość patrzeć z trwożnym niepokojem,
 Droga matko patrz w przeszłość i o niej pamiętaj.

MATKA.

Pamiętam.

Wkrótce zostałam matką. Rzecz dziwna, jak wielką
 Gra w życiu rolę złoto; jakto jemu wszelką
 Zawdzięczamy uciechę. Tylko jemu dzięki,
 Omijają człowieka rozczary i męki.
 Bogata jaka pani jeżeli ma dziecię,
 Macierzyństwo przysparza jej szczęścia na świecie,
 Żadnego kwiatu z wieńca uciech nie obrywa;
 Za nowonarodzonym szczęście w dom przybywa:
 Bo jedynym kłopotem tej bogatej matki
 Jest pieścić inną ręką umywane dziatki.
 Co dla tej szczęściem,— biednej staje się niedolą.

Przez ciężkie obowiązki zakuta w niewolę,
Traci zdrowie i wdzięki, a z wdziękami miłość...

SYN.

Więc ojciec ciobie wtedy nie kochał goręcej?

MATKA.

Nie mówię tego—owszem, szanował mnie więcej.
Związek nasz stracił tylko na idealności.

SYN.

Ale za to spowaźniał i nabrał trwałości.
Solenna to jest chwila, kiedy para młoda
Zerwawszy wszystkie kwinty, owoc sobie poda.

MATKA.

We dwa lata po tobie przyszła na świat córka.
Ojciec zarabiał wtedy tysiąc pięćset franków,
Które z tęp połączone cośmy mieli swego,
Czyniły pięć tysięcy dochodu rocznego.
Chora, nie mogłam karmić. Choć serce bolało,
Mamce oddałam dziecię. Tys też kosztował niemalo.
Więc poczęła nas szarpać niedostatku jędza...
Nakoniec w progi nasze zawitała nędza...

SYN.

Jakto?

MATKA.

Nie jesteście to nędza
Najgorsza z wszystkich, ta złocona co się boi
Ludzkiego wzroku, co się w pióra, w perły stroi
Dla obcych: kiedy nikt nie widzi, w domu żyje
Chlebem i łzami...

SYN.

Ach! przestań.

MATKA.

Nędza wszystkie szlachetne uczucia zaciera:
Sercu miłość, a duszy natchnienie odbiera.
Przez nią marne zabiegi niegdyś pogardzone,
Stają się celem życia, wyłącznie cenione.
A zamiast owych boskich natchnień tajemniczych,
Człok czuje tylko niechęć dla złudzeń zwodniczych.
Raz ojciec twój powrócił zimniejszy niż zwykle,

Spojrzał na mnie, i z dziwnym wyrazem co rani,
 Rzekł: „Mogłabyś też więcej dbać o siebie, pani...
 Starzejesz się”. Mówił tak, bo piękną i wielbioną
 Spotkał owę dziedziczkę niegdyś pogardzoną.

SYN.

Blagam cię, nie mów więcej! Matko, to fałsz pewno,
 Truczna na zabicie mojego uczucia ...
 Ja go wydrzeć nie mogę z serca... Cypryasa
 To niewiasta, przez Boga dla mnie na ziemię zesłana,
 To anioł....

MATKA.

I ja byłam aniołem, i mnie zwano bóstwem,
 A patrz, czémże się stałam znąkana ubóstwem:
 Istotą suchą, zimną, jak chirurg lub prawnik.
 Chceszże w takąż opokę zmienić swą kochaną?
 Jeśli ją kochasz, to zlituj się nad Cypryaną!
 Z wszystkich dawniejszych uczuć nie mi nie zostało
 Prócz wiecznie trwałej w sercu matczynej miłości,
 Onato cię przestrzega i wola litości!
 Synu, w imię męczarni, które wycierpiałam,
 W imię tego czém byłam, tego czém być chciałam,
 Zaklinam cię, nie stąpaj po ciernistej drodze,
 Na której dusza matki stargała się srodze.
 Jeśli już nie o siebie, dbaj o swoje syny,
 Niechaj nie przeklinają życia z twojej winy,
 A dorosłszy, niech idą za serca natchnieniem
 Nie otruci matczynem gorzkim doświadczeniem.
 Oszczędź im, o mój synu, stroniąc nasze ślady,
 Tak okropnej spowiedzi, i tak strasznej rady!”

Powyższa scena pełna nieubłaganej logiki i niezbi-
 tych argumentów, a wyrażona z mocą, o której po-
 bieżny nasz przekład wyobrażenia dać nie może: wyda-
 je nam się zbyt przekonywająco, zbyt jaskrawie napisa-
 ną, ażeby, jak to sobie autor założył, mogła być w dal-
 szym ciągu sztuki przyćmiona wyższym poglądem. Au-
 gier chcąc potępić pozytywność, postąpił jak owi mo-
 raliści, którzy chcąc ohydzić rozpustę, tak ją uludnie
 malują, że przy niej zbladła cnota nikogo nie nęci. W mat-
 ce Filipa, Augier chciał przedstawić gorszący wpływ, jaki
 częstokroć najpoczeiwsze matki w najlepszej wierze na
 rodzinę swą wywierają—a zapomniał, że taka matka
 przedstawiona na scenie, równie zgubnie na słuchaczy
 jak na dzicci swoje wpłynąć może.

Z artystycznego uważany stanowiska, charakter pani Huguet oddany jest po mistrzowsku i żywcem z natury zdjęty. Niewiast takich jest mnóstwo. Zona i matka zazwyczaj nad miarę lęka się przyszłości, a w terażniejszość z denerwującym patrzy niepokojem: naturalny to skutek jej położenia. Strażniczka domowego ogniska, kobieta zna wszystkie jego skryte potrzeby: ona kupuje ów chleb powszedni, na który nieraz tak trudno zarobić; widzi jak się zużywają sukienki dziecinne, jak ich różowe paluszki przebijają pończochy; porachowała ile jeszcze kawałków drzewa w schowaniu i wie, że go brakuje, bo zima długa, a nie wie za co go kupić, bo dno już widać w sakiewce; onato w nieobecności męża, który gdzieś za zarobkiem biega, przyjmuje często brutalskich wierzycieli... Wskazana na każdodziennie łamanie się z trudnościami życia, lęka się każdego śmielszego kroku, każdego szlachetniejszego postanowienia, któreby mogło utrudnić i tak już trudne życie. Powtarzając więc swe obawy, doradzając nieustannie ostrożność i *niezbędne* ponizenia, bo przedewszystkiem żyć trzeba, zwolna tępi zacną dumę, zaciera w sercach dzieci wszystko co wyższe—i jedną tylko z nimi odmawia modlitwę: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.”

Inne matki, te, co umieją podnosić ducha swych synów, trzeźwieć omdlałą ich odwagę, doradzać raczej zniesienie twardej nędzy w życiu niż najmniejszej skazy w sumieniu, niż najmniejsze ustąpienie złemu: są to tylko rzadkie wyjątki—ogół jest taki, jak typ przez Augiego przedstawiony. „Wyrzecz się młodości, wyrzecz się miłości; jedyne szczęście jest złoto: namiętność przechodzi, a nędza zostaje.” Oto zasady, jakimi poją synów te naiwne niemoralne matki, a doradzają to z tak dobrą wiarą, tak szczerze i nie samolubnie, tak wyłącznie szczęście dzieci mając na celu, że im nawet tego za złe wziąć nie można!

Filip jednak opiera się wymownym radom matki. Zanim się sprzeda za ów stutysięczny posag, chce spróbować szczęścia; zgromadza cały swój majątek—kilkanaście tysięcy franków—i jedzie rzucić go na zielony stółik w Homburgu: jeżeli przegra, przystanie na małżeń-

stwo bez miłości, jeżeli wygra, ożeni się z Cypryaną. Fortuna niedługo na swe wyroki czekać każe: krupier kilkoma pociągami grabi luidory Filipa, a z nimi szczęścia nadzieje... „Sny złote, uroczne marzenia, złudzenia moje i zachwyty — żegnam was nazawsze!” — woła młodzieniec, i postanawia rzucić się w brudny odmęt spekulanckiego życia.

Jednak, zanim nazawsze kark podda jarzmu, Filip chce raz ostatni widzieć Cypryaną, ażeby czysty jej wizerunek unieść w duszy, jak Muzułmanin unosi na piersiach święty amulet, puszczać się w pustynie.

Akcyja z Paryża przenosi się na wieś, którą i pisarz i malarz z majowym oddał urokiem. Dekoracya przedstawia brzeg lasu, gdzie pośród mechów, paproci i leszczyny, srebrna płynie rzeczulka. W głębi, oświetlony blaskiem południowego słońca, widać zielony łąk zboża ciepłym muskany wietrzykiem; krajobraz kąpie się w modrém powietrzu, ptaki śpiewają, ziemia usmiecha się do pogodnego nieba. Sliczna ta dekoracya, silnie popiera panegiryk wiejskich rozkoszy, który Augier włożył w usta zięcia wieśniaka, w którego domu spotykany wszystkie poznane w Paryżu osoby.

Koniec sztuki odgadnąć łatwo, gdyż jak powiedzieliśmy, autor wszelkich komplikacyi umyślnie unikał. Filip nad rzeczką spotyka zbierającą kwiaty Cypryaną. Dawna miłość wybucha z podwójną mocą: oboje czują że bez siebie żyć nie mogą, i zapomniawszy o wszystkich mądrych radach, przysięgają sobie iż się połączą na wieki. W tej solennej chwili schodą miłosną parę braterstwo i matka, która choć ciężko wzdychając, daje narzeczonym swoje błogosławieństwo. Szwagier pożyczka Filipowi potrzebną sumę na kupienie sąsiedniej zagrody, i cała rodzina wraca do domu obchodzić patryarchalnym obyczajem weselne gody.

Jedynym błędem tej pięknej sztuki, przeslicznym napisanej wierszem, wydaje nam się, powtarzamy, owa zbyt jaskrawa scena, którą podaliśmy wyżej, a która może zupełnie przeciwny sprawić skutek od tego, jaki autor osiągnąć zamierzył. Są prawdy, które wydobywszy ze

studni, koniecznie w gazową ubrać trzeba sukienkę, bo inaczej ludzi od dobrego odstraszą.

— Prócz pana Augier, Akademia przyjęła jeszcze dwóch nowych członków w tym miesiącu. Opróżnione fotele pp. Musseta i Briffaut, zostały zajęte przez Wiktora de Laprade i Juliusza Sandeau. Głośna i zasłużona sława jakiej używa w świecie całym wykwintny talent najsubtelniejszego z powieścio-dramaturgów francuzkich, uwalnia nas całkowicie od rozbierania tu zasług pisarskich autora *Panny La Seiglière*. O drugim członku którego sława nie wyszła zapewne poza granice Francyi, a może nawet za rogatki Paryża, nie zawadzi powiedzieć słów kilka.

Pan de Laprade jest poetą. Akademik w całym znaczeniu tego słowa, był dotąd znany i ceniony tylko w bardzo szczupłym kole literatów; od pochwał tłumu zdawał się stronić, mawiał przynajmniej, iż ich nienawidzi; co wszakże nie nie dowodzi, bo doświadczenie nauczyło, że choć pisarz powtarza nieustannie sławne *Odi profanum vulgus*, nie idzie zatem, żeby mu na słowo wierżono. Koniec końcem, z tej lub owej przyczyny, następcą Musseta mało ma wielbicieli; Francuzi wyznają wprost, że wierszy jego nie rozumieją, gdyż są zbyt górno-lotne. Jakoż ów bezduszny spirytualizm, owa nie wyrezonowana pogarda materyi, a przytém mierność wszechstronna, nawet mniej prozaicznych czytelników może odstraszyć od poetycznych płodów Laprada; a cóż dopiero Francuzów, którzy mają wrodzony dar uchwycenia pomiędzy dwiema ostatecznościami średnicy, owej linii wytycznej po której z bronią w ręku chodzi rozsądek. Podzielając tą razą zupełnie zdanie paryzkich krytyków Laprada, powiemy z nimi, że ponieważ człowiek z ducha i materyi złożony, darmo się trudzi ten, kto chce rozłączać co Bóg tak ściśle połączył.

Wyszła z druku znacznie powiększona i uzupełniona edycja *Podróży wschodnich hrabiny Belgiojoso*. Zanim otworzymy tę książkę, na której jak na piekielnej

bramie Danta możnaby wyryć: *Lasciate ogni speranza voi ch' entrate*, — niech nam będzie wolno powiedzieć słów kilka o tegoczesnym sposobie pisania podróży.

Jużto w ogóle ludzie zawiele i zaszybko teraz podróżują, a mianowicie zawiele piszą o tém co widzieli, ażeby mogli dobrze widzieć i dobrze pisać. Pominawszy konieczną w tych warunkach płytkość ich poglądu, zapiski dzisiejszych wojażerów tém się jeszcze odznaczają, że jak wiatr grudniowy wydmuchują wszystkie co do jednej illuzye z wyobraźni czytelnika. Nieubłaganym owym koczującym realistom, przedewszystkiem, jak mówią, chodzi o prawdę, której my w tym razie za tak niezbędną nie uważamy. Jeżeli bowiem zedrzymy (co najłatwiej) wszelką poezją ze świata, cóż się stanie z wyobraźnią, tą drogą mamicielką człowieka? Biedaczka będzie musiała nie wychodzić z domu, który, cóżkolwiek o tém mówią moralisci, niezawsze téj wykwinłej a żarłocznej pani potrzebnej strawy dostarczy. Dawniej przykuta na swym zagonie imaginacya, mogła przynajmniej w braku własnych wrażeń, żywić się wrażeniami innych, biedz na koniec świata za podróżnikiem który kłamał, zgoda, ale nie nudził. Jedyna korzyść jaką odnosimy z przeczytania podróży, jest, że też podróż możemy potém odbyć sami, siłą własnej wyobraźni. Niechże więc lepiej siedzi w domu ten, kto wszystko co widział maluje smutno i szpetnie, nie zaś różowo i pochlebnie jak wojażerowie staréj daty, nie filozofy, nie mocni ani w historyi, ani w archeologii, nie znający się na konforcie ani na polityce, ale żywi, ale kolorowi, ale niewyczerpani w opisie swych przygód bazarze, za któremi rad człowiek leciał choćby na kraj świata, zapominając o śnie i głodzie.

A dzisiaj co? Ot lepiej sto razy nakrywszy głowę płaszczem zasnąć, niż wojażować z którym z tych przemądrych podróżników, niżeli czytać te nowoczesne podróże przeplatane dyssertacyami, polityką, owadami, skamieniałościami, meteorologią i t. d. Prócz téj niedowarzonej nauki, autor nie daruje ci żadnego złego obiadu, żadnego niewygodnego noclegu: tu powiada, fatalną dali mi baranię, tam oka całą noc zmrużyć nie mogłem,

i przez cały tom znajdziesz mało co więcej prócz wyrzekań na upał, zimno, wiatr, deszcz, i różne tym podobne plagi, które nibyto ów podróżny wytrzymywał walecznie, ale że ciągle o nich mówi, łatwo spostrzedz że zajmowały go przedewszystkiem. Ubolewania te nie zajmują ani rozczulają nikogo; czytelnik z natury swój nieskłonnny do litowania się nad niedolą autora, pomyśli sobie tylko czytając tę litanią dolegliwości: mój panie, jeżeliś taki delikatny, dlaczegożeś porzucił swój dom tak ciepły w zimie, a tak chłodny latem, swoje wygodne łóżko wolne nawet od owego liścia róży co ugniata sybarytów; czemużeś porzucił swoje pantofle i kucharza? Czyś nigdy nie wszedł do żadnej chaty w krajach cywilizowanych, żeś się spodziewał znaleźć na pustyni u Kurdów, Arabów lub Kamezadałów co innego, jak łachmany, ciemnotę i plugastwo?

Cywilizacya odjęła podróżnikom niezbędne ich przymioty;—duch krytyczny i koleje żelazne odjęły powab podróżom. Dawniej, dzięki złej drodze, ubóstwu karaczem, dzięki niedogodnościom wozów, bryczek i dyliżansów, wojażer w kilkomiłowej podróży odbył cały kurs niebezpieczeństw, nudów i przeciwności, o których teraz ledwie kilka lat włócząc się po świecie powieźmie wyobrażenie. Dawniej więc podróżny puszczając się w drogę wiedział z góry co go czeka i nie myślał o niepodobnej wygodzie. Dziś koleje żelazne uczyniły człowieka ciężkim, leniwym, wymagającym, niecierpliwym, trzeba mu wszędzie i koniecznie wygody, a jak jej nie ma, wpada w zły humor, który przebija w całym jego poglądzie. Dawniej podróżny mało obserwował a opowiadał wiele, uwagi zastępował przygodami; nie był to zapewne nauczający sposób pisania podróży, ale przynajmniej zabawny: z dzisiejszych ta zaleta zupełnie wymazana, a nie zastąpiona inną. Każda wprawdzie z tych wędrówek chce być kursem historyi, polityki lub filozofii, ale zwykle niczego nie uczy.

Podróżny dziś jak professor rzecz swą wyklada to z wyżyny wielbłądźiego lub słoniowego grzbietu, to z konia, to z lektyki pod namiotem czy pod dachem, na

morzu czy na lądzie, wszędzie i zawsze chce być profesorem: na wszystko patrzy z niedowierzaniem, nikt go nie oszuka. Na pierwszy rzut oka ocenia i sądzi obyczaje narodu, wie co mu dała natura a co natchnęła hipokryzya, co wziął od Boga, a co od czarta; musi koniecznie to wszystko zbadać, rozebrać, wyklarować, wyexenterować i spisać; a ponieważ źle jadł, źle spał i jest w złym humorze, zwykle wszystko w złym świetle widzi. Nadto, kłopotuje się naprzód pisząc swój pamiętnik, co o nim powiedzą dzienniki, bo ostatecznie jedyną pobudką wprawiającą w ruch dzisiejszych wojażerów jest miłość własna.

Niestety! gdzieś się podzieli owi naiwni opowiadacze bez pretensyi, którym wyobraźnia nasza zawdzięcza tyle fantastycznych obrazów, którzy nam tak uroczo słoneczne malowali kraje, a mianowicie też Wschód, tę klasyczną ziemię cudów, córę kłamstwa i illuzyi, po której wszyscy spacerowaliśmy w młodości, gdzie młody duch nasz tak lubił przebywać i chłonać w piersi brylantowe promienie, któremi później szarą nie codziennego życia pozłacał.

Niestety! codzienną nową hordę najeźdźców plondrują tę naszą rajską krainę, nowi wojażerowie końskimi kopyty tratują nasze złudzenia, zpod których coraz wyraźniej nagi szkielet prawdy wyziera. Co zostaje ze Wschodu po przeczytaniu dzieła pani Belgiojoso? Kurzawa w oczach, spiekota w gardle, żądła komarów w skórze, zgruchotane kości i gorąca chęć pozostania w domu w szlafroku i pantoflach. Bo czyż warto porzucać życie wygodne, narażać się na tyle różnorodnych przykrości i niebezpieczeństw, żeby w zamian dostać tylko rozezarrowanie i zawody?

Skoro mowa o Wschodzie, człek naturalnie zaraz myśli o Bajronowskim haremie z Don Juana, nadstawia ucha, natężonym wzrokiem radby przebić zazdrosne kotary, zastaniające mu tajemnicze przybytki rozkoszy, marzy o złocie, dyamentach, kwiatkach i kadzidłach, słyszy szmer fontanny, szelest drogich materyj, a w głębi półciemnej komnaty za gazowym obłokiem, spostrzega w aksamitach i dywanach tonący długi szereg przecu-

dnym huryskiem. Z książki pani Belgiojoso dowiaduje się dopiero, że te wszystkie obrazy sąto ilustracye do *Tysiąca Nocy*, nie mające wspólnego z rzeczywistością. Zamiast obrazu, który na słowo „*Wschód*” podsunęła czytelnikowi wyobraźnia, autorka pamiętników w rozdziale pod napisem „*harem*”, każe mu oglądać dziurawe sufity, przez które kapie woda, podarte portiery, poplamione sofy, nagie mury, po których pajak długie swe sieci rozwiesza, i po godzinnéj takiéj promenadzie dowodzi jak na dłoni, że ów jego raj jest taki, a nie inszy w istocie.

Oprowadziwszy po domu, nieubłagana przewodnica opisuje jego mieszkanki, odaliski, owe anioły, które pod jéj piórem zmieniają się w maskary: jedna ma warstwę różu na końcu nosa, druga na brodzie; ta maluje sobie nozdrza tuszem, owa cała indygiem umazana, wygląda jak choleryk po śmierci. Inne nie poprzestając na brwiach zakreślonych pędzlem natury, przedłużają je sobie linią prostą na dół aż do połowy twarzy: słowem, twarze owych pięknych Turczynek są jakby karnawałowe maski, odstrasżające wszelkie stworzenie Boże.

Zrazu czytając ten zresztą zupełnie wiarogodny opis, nie mogliśmy pojąć jak kobieta, stworzenie najbogaciej instynktem piękna od natury uposażone, może się tak szpecić, nawet w stanie dzikości. Zagadkę tę rozwiązała nam pani Belgiojoso, mówiąc, że w haremie nie ma ani kawałka zwierciadła. Jedyném więc lustrem odaliski są oczy jéj towarzyszek: ażeby się upiększyć, faworyta musi iść ślepo za jéj radą, zdać się na jéj dobrą wiarę, a Mahomet wie, jakato jest ta dobra wiara u wiecznie klócających się rywalek w haremie. Nie trzeba nawet być prorokiem, ażeby o tém wiedzieć. Zналиśmy kiedyś w Stanisławowskim pewnego ojca legionistę, co wszcz i wzdłuż przeszedł Europę; otóż ten ojciec doświadczony zawsze, powtarzał ubierającéj się na bal córce: „Jeżeli ci jaka kobieta powie, że ten kwiat co go masz na lewém uchu, przystaje ci do twarzy, to odepnij go zaraz i przypnij na prawo”.

Powietrze paszowskiego haremu, jak w dalszym ciągu dowiadujemy się od hrabiny, nie jest ani wonne,

ani nawet czyste; kadzideł, które w wyobraźni naszej wiecznie tam dymiły się ze złotych trójnogów nie ujrzy nigdzie; szyby kolorowe przez które wyobraźnia nasza zaglądała do tych zakątków zbytku i rozkoszy, zastępuje zwykle napuszczony tłuszczem papier; owe zaś dywany perskie, po których zawsze owa zwodnicza wyobraźnia tak lubiła się tarzać, sąto podarte i poplamione dery, gdzie wiecznie siedzi, jé, śpi, leży, nocuje i biesiaduje gromada niechlujnych dzieci i kobiet bezdusznych.

Właściciel harem, ów pasza lub mufty, jest także osobą, którą obejrzyć musimy wszedłszy tu z mikroskopem w rękę. Zazwyczaj szczęśliwy posiadacz tych skarbów ma około lat stu, co nie przeszkadza, że gości przyjmując swoje ostatnie niemowlę. Jeżeli go spytasz ile ma dzieci, odpowiada, że Bogu tylko wiadoma ich liczba; jednakowoż sądzi, że ich ma ze sto przynajmniej. Skoro dziecię tak się odchowa, że może opuścić harem, tenże ojciec co je piastował (proszę uważać, że ten o którym mowa jestto święty, kolo którego żaden Muzulmanin nie przejdzie nie pocałowawszy kraja jego szaty), ten więc ojciec pisze list rekomendacyjny do jakiego przyjaciela i wraz z pismem wyrzuca dziecko za drzwi, poruczając dalszą karierę syna prorokowi, w którego łaskę tak dalece ufa, że nigdy więcej już się o dziecko nie pyta. I wierze tu potem w patryarchów!

Czasami zdarza się, że zawita w dom jakieś indywiduum w czerwonym fezie i mieni się być synem gospodarza. „Być może, odpowiada tenże, siadaj i odpocznij sobie”. Mufty ugaszczą tedy młodzieńca, ale go się nie pyta ani co robi, ani czego nie robi, ani co go sprowadza. Pobawiwszy dni parę syn powraca zkad przyszedł. I to się zowie na Wschodzie miłością rodzicielską.

Wpadając z niespodzianki w niespodziankę, dowiadujemy się w dalszym ciągu, że tak jak patryarchalne enoty, tak i zbrodnie wschodnie należą do *Tysiaca Nocj*. Okrzyczane okrucieństwo mężów tureckich jest wiertném kłamstwem. Europejczycy zamieszkali w Konstantynopolu wiedzą o tem najlepiej, powiada hrabina. Wedle niej nie masz w świecie wolniejszej kobiety jak Tur-

czynka. W europejskiem mieście każdy mąż może wy-
patrzeć niewierną żonę idącą na schadzkę, pozna ją
po chodzie, po szalu, po kapeluszu. Turek przejdzie
sto razy koło swojej żony na ulicy i nie domyśli się,
że ten tłumok burnusów i rańtuchów ukrywa jego ulu-
bioną. W ubiorze bez formy, z zakrytą nie koronką,
ale płótnem twarzą, huryska jest bezpieczna jak Wenetka
w karnawałowem dominie. Wolne w swém welnianém
więzieniu Turczynki chodzą wszędzie gdzie chcą, a z awan-
tur miłosnych mogą wybierać te, które im się najwięcej
podobają. Mąż Turek nie tylko nie jest okrutny dla
żony, ale ze wszystkich zwierząt domowych, dla których
dobroć jego znana, najłagodniej z nią się obchodzi. Jeżeli
kapryśna, zła lub niesforna, mąż na wszystkie jej wybryki
odpowiada podnosząc oczy ku niebu: *Allach kórim!* i na
tém koniec.

Taki Wschód nigdy wam się zapewne w marzeniach
nie objawił, ani nam. Ale idźmy dalej, bo nie jesteśmy
jeszcze u kresu rozczarowań.

Straciliśmy już złudzenia co do patryarchów, hare-
mów, huryszek, żon zaszywanych w worki i zazdrosnych
mężów: czeka nas jeszcze rozczarowanie w sztukach
pięknych. Jeżeli uniknąć go chcecie, radzimy odwrócić
oczy od następującego ustępu, w którym pani Belgiojoso
maluje wdzięki sławnej baletnicy *Zuberdehy*, gwiazdy
choreografii arabskiej, która tańcem swym zachwycała
wszystkie satelity syna słonecznego.

„Ważyla ona, pisze hrabina, przynajmniej ze 120
funtów; ciało jej nie podparte ani gorsetem, ani kośćmi,
napelniało dowolnie obszerne odzienie; twarz miała tak
zamazaną dwudziestą kolorami, że cery jej odgadnąć
nie mogłam; tylko oczy pozostały naturalne i zaprawdę
nie kazały żałować zniknięcia reszty. Oczy *Zuberdehy*
byłby Homer porównał do wołowych, których źrenica
czerwono-czarna pływa w żółtawém, krwistemi żyłkami
porysowaném białku”.

Mieszkańcy Damaszku rozplywali się widząc ska-
czące przed sobą te 120 funtów mięsa, wprawione w ruch
mocną dozą gorzałki. Przy téj okazji dowiedzieliśmy

się, że Turcy nie gardzą wcale wódką, a trzeźwość ich należy także do illuzyj, których się pozbyć trzeba.

Po tylu straconych złudzeniach, sądziliśmy że pani Belgiojoso zostawi nam przynajmniej nadzieję odrodzenia Wschodu; ale w swych konkluzjach i tę prawie zupełnie odbiera: powiada, że bez widocznej łaski nieba islamizm przepadnie niezawodnie—a co najsmutniejsza że logicznie tego dowodzi. Mahomet nie chciał zrobić z Turków ani ludzi, ani obywateli, ale żołnierzy; zaczął więc od stargania wszelkich węzłów, które wiążą jednostkę z życiem społecznym, i wszystkich zarodków jakie to życie stworzyć może. Rodzinę, sztuki, handel, przemysł, wszystko to zniósł. Jeżeli wrodzony człowiekowi, silniejszy nad wszelkie ustawy instynkt, popchnął Turka do robienia fortuny, to czynił to w wielkim sekrecie przed władzą; zrobiwszy zaś majątek, schował go, bo go pokazać nie mógł. Dopiero od lat dwudziestu można być bezkarnie bogatym w Turcyi. Włożeni przez surowego prawodawcę do pogardy bogactw, literatury, poezyi i wszelkich potrzeb życia, do pogardzania każdym inno-wiercem, Muzułmanie hie się tylko umieli.

Rząd islamizmu założony przez proroka, mógł być tylko teokracją wojskową; jakoż był takim i tak silnym, iż go nawet wojny krzyżowe nie podkopały. Dziś stoi jeszcze, ale się chwieje. Czy przebudowanie tego spróchniałego gmachu jest możebne? Pani Belgiojoso twierdzi że jest, ale dokonane być może nie przez obce mocarstwa, ale przez samą Turcyą, nie za pomocą reform politycznych, ale religijnych: chcąc reformować Turcyą, potrzeba zacząć od zreformowania Koranu. Całą tedy nadzieję zbawienia Turcyi, autorka pamiętników pokłada w jakimś wschodnim Lutrze, bez którego, jej zdaniem, Mahometanie koniecznie przepaść muszą.

— O ile znudzony i rozezarowany powraca czytelnik z wędrówki odbytej po Wschodzie z panią Belgiojoso, której uczono-pretenyonalny sposób pisania podróży, może służyć za pierwowzór tegoczesnym wojażerom, o tyle świeży i odmłodzony się czuje po przeczytaniu *Malowniczej podróży nad Renem*, Edmunda Texier.

Wiktor Hugo napisał kiedyś pod tymże tytułem przepyszny poemat bez rymów, pochodnią dla poetów; pp. Delrieu i Quinot ułożyli wyborne *przewodniki* dla licznych nadreńskich wędrowców; pan Texier wydał teraz książkę ani tak wysoką, ani tak poziomą jak te, któreśny wymienili: książkę żywą, lekką, dowcipną, która w tych co zwiedzali nadreńskie okolice, miłe obudzi wspomnienia, tym zaś co tam nie byli, natchnie żywą ochotę odbycia téj czarownej wędrówki.

Edmund Texier jeden z pierwszych feiletonistów paryzkich, i to rzeczywiście pierwszych—nie tych, których za papuzie paplanie Europa na pytyjskim posadziła trójnogu; należy równie jak Méry do rzędu francuzkich wojażerów staréj daty, coto obiegają aby biegać, myślą czasem, a śmieją się zawsze. Méry i Texier są to dwaj ostatni kronikarze paryzey, łączący w sobie wszystkie zalety i wady narodowe: po humorze, elegancyi, brylantowym dowcipie, a mianowicie po zdrowym sędzie obok powierzchownéj lekkości, poznasz ich zawsze, czy to z Indyi, czy z Kamezatki pisać będą.

Podróż swoję Texier od Alp zaczyna; ztamtąd z nurtami Renu, przez Konstancyą, Schaffhuzę, puszcza się do Niemiec, gdzie tysiężne robiąc to na prawo, to na lewo wycieczki, wpływa w posępny szpaler Burgrawskich ruin.

Nie będziemy tu powtarzać mniejwięcej znanych szczegółów o nadreńskich okolicach; przytoczymy tylko te, które nam się nowszemi wydały.

W Manheim pan Texier zwiedzał cmentarz, na którym pochowany Kotzebue i zabójca jego Karol Sand. Zwłoki pierwszego spoczywają pod nader pretensyonalnym pomnikiem. Grób fanatycznego patryoty niemieckiego ocienia rozłożyste drzewo śliwkowe, symbolicznie rodzące co rok gorzko-wonne kwiaty na wiosnę, a słodkie na jesień owoce. Z cmentarza pan Texier udał się do doktora Widmann, syna kata, i samego kata z professyi, nateraz bez zatrudnienia. Szanowny ten naturalista pokazywał mu miecz, którym była ścięta głowa Karola Sanda, oraz altanę zbudowaną z desek jego rusztowa-

nia, w której wolnomyślni Niemcy do dziś dnia piją za zdrowie duszy germańskiego Brutusa.

Szczęśliwy traf sprowadził pana Texiera do Akwizgranu w czasie siedmioletniej wystawy *Wielkich relikwii*; oglądał więc suknię Matki Boskiej, pieluchę Dzieciątka Jezus, bieliznę, w którą złożyli ukrzyżowanego, kawałek trzciny, włosy Jana Chrzciciela, ząb świętej Katarzyny i zebro świętego Stefana. Autor opisał także zabytki historyczne Akwizgranu, gdzie co krok spotyka wędrowiec jakąś pamiątkę przypominającą Karola Wielkiego i państwo Karolingów.

Ku końcowi podróż Texiera traci na malowniczości a zyskuje na głębokości. Od Kolonii począwszy Ren utracą zupełnie swój romantyczny charakter; przez kraj płaski, ciemny i bagnisty, płynie coraz to pokorniej ku Holandyi, jakby się wstydził swego niepoetycznego ujścia. Ale poczęty w kraju wolnym, na wolnej choć nie estetycznej ziemi chciał umrzeć, dlatego do ojczyzny *Ponurego Wilhelma* i Marnixa zdąży. Galeryą nadreńskich obrazów autor bardzo znakomicie zakończył treścią historią narodu, który grunt po którym stąpa stworzył sobie przemysłem, a wolność, ów grunt ducha, wytrwałością i odwagą wywalczył.

Wyszedł pierwszy tom *Korrespondencji Napoleona I*. Księga ta w formacie wielkiego in 4to, złożona z przeszło 800 stronnic, jest jednym z najpiękniejszych wydań drukarni cesarskiej. Rozpoczyna się oblężeniem Tulonu w roku II; obejmuje część kampanij włoskich, a kończy na roku IV. Na początku dzieła znajduje się raport ministra Stanu o ważności tej publikacji. W raporcie swym komissya wyznaczona do zbierania składających dzieło dokumentów, powiada: „August policzył Cezara w poczet bogów i wznosił na cześć jego świątynią: świątynia znikła, a *Komentarze* zostały”. Powyższa fraza charakteryzuje myśl, która natchnęła ogłoszenie *Korrespondencji Napoleona I*.

Ażeby pozbierać wszystkie dokumenta, z których składać się będzie ten zbiór ogromny, komissya nietylko

szperała po archiwach i bibliotekach francuzkich, ale zgłosiła się do wszystkich rodzin mających stosunki z ówczesnym dworem, oraz do rządów zagranicznych; w końcu dla uzupełnienia swych poszukiwań poczyniła wyjątki z przeszło dziesięciu tysięcy dzieł wydanych o Napoleonie I i wypadkach zaszłych pod jego panowaniem.

— Wyszły także z druku w Paryżu: *Alberti Ducis Prussiae Libri De Arte Militari, Mandato Serenissimi Regis Poloniae Sigismundi Augusti scripti*. Wspaniałe to wydanie ozdobione jest wieloma tablicami chromolitograficznymi i pięknym portretem Zygmunta Augusta według oryginału olejnego z wieku XVI. Jako pomnik historyi, literatury i sztuki graficznej, przytęm jako dzieło przepychem swego wydania najcelniejszym zagranicznym równające się, księga ta być może ozdobą każdego salonu i każdej biblioteki miłośnika rzeczy krajowych.

-- Mówiąc o tém dziele traktującym o sztuce wojennej, wspomnieć tu jeszcze musimy o *geograficzno-strategicznej grze*, wynalezionej i wydanej świeżo w Paryżu przez jednego z naszych najzdolniejszych wojskowych. Jestto rodzaj gry w szachy, którym za szachownicę służy kawał jakiejśbądź mappy, pokratowanej wedle przyjętej zasady. Na téj mappie gracze rozpoczynają kampanią kończącą się zdobyciem głównego punktu, albo zniesieniem nieprzyjacielskiej armii. Gra ta uznana za bardzo praktyczne ćwiczenie w sztuce wojowania, została tu wprowadzoną do szkół wojskowych. Tym z czytelników naszych, którzyby dla synów swoich chcieli sprowadzić tę nauczającą zabawkę, donosimy, iż dostać jej można z objaśnieniem, mappami i figurami w księgarni *Francka* w Paryżu, ulica Richelieu, 67.

GÓRAL.

Piętrzą się góry, olbrzymy stare,
 Czoła swe kryją w porannój mgle;
 I skały, niby zamczyśka szare,
 Snują się zdala na niebios tle.
 Cicho, jak było we dniu stworzenia,
 Gdy owo „stań się!” wymówił Bóg,
 I kiedy wielki gmach przyrodzenia
 Wyrosnął z błędnych chaosu dróg.

Patrz! już się góry szczyt zarumienil
 Lekko, jak czysta dziewicy skroń;
 Już się zapłonil, już opromienil,
 Już się zapatrzył w jeziora toń.
 Spadają, nikną mgły już rozwiano,
 Góra się patrzy w zwierciadło wód;
 Jezioro drżemie ukolysane,
 Jeszcze go nocny owiewa chłód.
 I słońce zwolna wychyla czoło,
 Złocisty jego igra już włos:
 Z falą jeziora igra wesolo,
 Z liści otrząsa dyamenty ros.
 Rumiane słonko napoły w chmurze
 Z rozkoszą patrzy na Boży świat;
 Mile się wdzięczy matce naturze,
 Jemu się wdzięczy doliny kwiat.
 Złotym dyademem bogata góra
 W dolinie wielki rysuje cień;
 Na jej ramionach światła purpura
 Jasny i piękny zwiastuje dzień.

Poranek zawsze jest uroczysty
 Tam, gdzie krajobraz ma szatę gór;
 Czy grzbiet ich światłem jest promienisty,
 Czy zasępiony turbanem chmur.

Zawszo poranna pieśń w górach dzwoni
 Harmonią cudnych poezją dni;
 Zawsze za słońcem duszy się goni,
 Zawsze o niebie w górach się śni.
 Ze słońcem życie i pieśń się budzi,
 Góral ku niebu wyciąga dłoń;
 On kocha góry, bo w nich się trudzi,
 Bo wśród nich potem zlewa swą skroń.
 A gdzie jest miłość, ciernie być muszą,
 Tak już od wieków rozrządził Bóg:
 Ten kocha sercem, kto płacze duszą,
 Kto wśród skalistych trudzi się dróg.

Życie górala. to życie burzy,
 Góra i niebo to jego dom;
 On nie zna kwiatów, on nie zna róży,
 Harmonią jego pieśni jest groni.
 Ale on wita pieśnią poranek.
 Pieśń jego słyszą opoki skal;
 On król przyrody, on gór kochanek
 Powierza górom duszy swój szal.
 Skacze jak jelen z skały na skałę,
 Ponad przepaści zsuwa się brzeg:
 Goni... za zwierzem wypuszcza strzałę,
 Gdy mu lawiny zagraża śnieg.
 W walce z przyrodą serce mu bije,
 Bo on namiętnie ukochał bój;
 I wtedy w pełni życia on żyje,
 Gdy góra burzy przywdziewa strój.
 A za tę chwilę namiętnych czarów
 Znalazłszy w walce przedczesny skon,
 Pomnik ma wieczny z góry filarów,
 I grób w tém miejscu gdzie miał swój tron.
 Zapłaczą nad nim chmury na niebie,
 Chociaż się dzwonu nie ozwie jęk;
 Wiatr śpiewać będzie mu na pogrzebie,
 W ogniu błyskawic piorunu dźwięk.

Wł. Chomiński.

PAMIĘTNIK

Z CZASÓW RZEZI INDYJSKIEJ, 1857 r.

Na wstępie mamy sobie za obowiązek uwiadomić czytelników, że niniejsza historia nie jest fantastycznym wymysłem, ale prostém opowiadaniem prawdziwych wypadków, podyktowanóm konającą ustą kobiety, która cudem uszedłszy męczeńskiej śmierci w Indyach, do Paryża przybyła zakończyć stargane nieszczęściami życie.

11 maja 1857 r.— Już blisko lat 16 mieszkaliśmy w Indyach spokojni i szczęśliwi, kiedy poczęły krążyć głuche pogłoski o buntach Sypojów i nienawiści krajowców ku Anglikom. Mąż mój właściciel obszernych plantacyj *indyga* w pobliżu Delhi, zamyślał o sprzedaży swej posiadłości i powrocie do ojczyzny; ale skutkiem coraz to mocniej zachmurzającego się horyzontu politycznego, nie mógł znaleźć kupca, któryby mu dobra jego wedle wartości zapłacił. Z obrachunku Peters'a (imię męża) wypadło, że wartość naszego majątku wynosiła 50,000 funtów szterlingów (2,000,000 złp.), do roku zaś 1860 byłaby się zwiększyła o 20,000 funtów; dlatego Peters mimo moich nalegań, pragnął jeszcze te cztery lata w Indyach pozostać, aby w ciągu tego czasu odzyskać posag córki naszej Heleny, która za kilka tygodni miała zaślubić angielskiego porucznika inżynierji Wiliamsa Hoods.

Na wiosnę 1857 r. zdarzył się nabywca dający nieomal tyle ile mąż mój żądał; mogliśmy przeto bogaci i spokojni na czas opuścić te miejsca, gdzie tyle strasznych czekało nas kaźni, ale w wyrokach naszych inaczej widać zapisano. Peters dla kilku niedoliczonych tysięcy majątności swój nie sprzedał, i zostaliśmy wszyscy na pastwę nieszczęścia.

Teraz kiedy już utraciłam wszystko, rodzinę i majątek, znajduję jakąś gorzką rozkosz w przypominaniu sobie różnych przestrog, które w swoim czasie niebo daremnie mi zsyłało. I tak, pamiętam, że tego samego wieczora, kiedy mąż mój odmówił sprzedaży swych plantacyj, przechadzaliśmy się nad brzegiem Dżummy, rzeki pod murami Delhi płynącej. Helena z narzeczonym szła naprzód, ja prowadziłam za rękę mego trzechletniego synka, Willa, a Peters z księdzem Mathews rozbierał wyłożone przez niego przy śniadaniu sposoby, jak mówił niemyślnie, nawrócenia Indyan na wiarę chrześcijańską. Tak rozmawiając doszliśmy do miejsca, gdzie zwięzła się ścieżka; na tém właśnie miejscu leżał napoprzek drogi twarzą do ziemi obrócony Fakir. Spozrzegłszy go Wiliams, kazał mu się usunąć, ale Fakir nie ruszył się z miejsca. „Rzucicie go do wody“, zawołał wtedy, obracając się do swój eskorty, rozgniewany porucznik. Żołnierze nadbiegli, ale im nie dozwoliłam wykonać rozkazu, tylko dawszy dziecku rupią, kazałam zanieść Fakirowi. Will zbliżył się bez trwogi do nędzarza, wsunął mu pieniądz w rękę, i powrócił do mnie uradowany. Fakir natychmiast podniósł głowę, usunął się na klęczkach i rzekł głosem drżącym od gniewu do przechodzącego z Heleną porucznika: „Drogi będą niedługo wolne“, a mijającym go księdzu i Petersowi dodał: „Czieciele prawdziwego Boga rychłe odniosą zwycięztwo“. Kiedy ja nadeszła z Willem chowającym się w fałdy mojej sukni, Fakir zmienił ton, podniósł ręce ku niebu, i wyrzekł te słowa, które mnie przejęły dreszczem: „Biedne dziecię! ta jałmużna za okup ci nie stanie“!

Przy obiedzie powtórzyłam przepowiednię starca, ale całe towarzystwo tak jednozgodnie wysmiało moje

obawy, żem i ja w końcu przecucia moje na karb chorobliwej policzyła drażliwości.

Wokoło nas wszystko jeszcze było spokojne; roboty szły zwykłym trybem, handel w Delhi i Agra kwitnął jak za najlepszych czasów; tylko na twarzach Muzulmanów i Indyan w służbie naszej będących, przebijało się coś straszego. Uważny badacz przyszłe losy nasze mógł być odgadnąć z obejścia sąsiednich Ryotów, modlitw Braminów i Fakirów u drzwi naszych żebrzących, oraz z rozmów żołnierzy, którzy wieczorem do plantacyj naszych chodzili na przechadzkę. Z okolic Luknowa dobiegały przerażające wieści o buntach i rzeziach, mówiono o ukazaniu się Thugów (dusicieli) i Dakoitów (trucicieli) w królestwie Oudy; mówiono, że Kondowie wyszli z swych dolin i palili porwane Europejczykom dzieci. Wymieniano nawet rodziny angielskie, których dzieci zaduszono na ołtarzu bogini Kali.

Garnizon w Delhi był jeszcze spokojny. Blizkie zamęczenie córki prawie wyłącznie myśl moję w rodzinne zwróciło sprawy, kiedy zapomniana na chwilę burza nadeiagnęła i wybuchła.

10 maja w wigilią owych ślubów, które niestety nigdy zawarte być nie miały, siadaliśmy właśnie do stołu, kiedy sierżant z kompanii Wiliams'a pomieszany stanął we drzwiach sali i oświadczył, że chce mówić z porucznikiem. Niezwykła śmiałość tego żołnierza jawiącego się pośród nas bez anonsu, mocne wzruszenie na jego twarzy wyryte, pośpiech z jakim wyprowadził na ganek Wiliams'a i jego gwałtowne gesta, któreśmy przez okno widzieli, zaniepokoiły nas bardzo; wybiegliśmy wszyscy chcąc się dowiedzieć co zaszło: ale sierżant już galopował traktem ku Delhi, Wiliams zaś dawał rozkazy, żeby eskorta jego natychmiast do wymarszu była gotowa.

Naglony pytaniami, Wiliams odpowiedział spokojnie, że nie nie zaszło, tylko brygadyer Graves wzywa go niezwłocznie do siebie. To powiedziawszy, siadł na konia, spojrzął na Helenę, zbladł jak trup i puścił się ewałem za sierżantem.

Ale bytło tylko udany odjazd: Wiliams chciał uciec przed pytaniami kochanki; lecz skoro na zakręcie stra-

ciliśmy go z oczu, zwrócił konia, podjechał manowcem pod ogród i kazał zawołać mego męża, który pod pozorem gospodarskich interesów wyszedł, zostawiając nas przy śniadaniu. Skoro wrócił, przeleżałam go się, tak był blady; spojrzął dokoła i dał mi znak, żebym odeszła kobiety. Ale żadna się nie ruszyła, siedziałyśmy jak przykute czekając na to co powie; cisza panowała grobowa, tylko szelest wachlarzy, któremi nas oganiała służba, szumiał nad głowami. Po chwili milczenia, która nam się wiekiem wydała, Peters wskazał palcem na drzwi i kazał służącym odejść. Kiedy wyszli, pierwszy ksiądz spytał: „Czyś odebrał wiadomość o bankructwie jakiego wspólnika z Londynu lub Kalkutty?”

— Gdybyżto tylko taką—odrzekł Peters—ale tu o ważniejsze rzeczy chodzi. Wyjdźcie panie—rzekł, zwracając się powtórnie do kobiet—mamy roztrząsać ważne sprawy, powziąć ważne postanowienia; każdy mężczyzna musi tu zachować całą swą przytomność i zimną krew: proszę więc, zostawcie nas samych. Kiedy mimo to żadna się nie ruszyła, Peters zawołał: „dowiedciez się tedy, jeśli koniecznie chcecie, że wojska stojące w Meerneie zbuntowały się, wyrznęły wszystkich swych oficerów, oraz Europejczyków w mieście zamieszkałych, i ciągną na Delhi. Brygadyer Graves idzie na ich spotkanie, przysłał Wiliams'owi rozkaz natychmiastowego połączenia się ze swą kompanią. Dowiedziałem się o tém w tej chwili z ust jego.“

Słowa Peters'a zpiorunowały nas: zerwaliśmy się od stołu krzycząc i płacząc. Trzy kobiety mające mężów w garnizonie meernckim zemdlały. Córka moja chcąc ukryć rozpacz, odwróciła twarz do ściany i padła na kolana. Mężowie, bracia, zamiast myśleć nad środkami obrony, potracili głowy, a tu nie było chwili do stracenia, bo posiadłość nasza leżała właśnie na trakcie, którym iść miały zbuntowane wojska z Meerntu do Delhi.

Nareszcie głos pastora przemógł ogólną wrzawę. Wzniósł on najprzód pokorne modły do Boga, pomocy jego wzywając, poczem kazał wyjść kobietom, żeby mężczyźni mogli obradować.

Pierwsza usłuchałam rozkazu. Wzięłam syna za rękę i wyszłam z sali na ganek, gdzie licznie zebrali się służący; niektórzy z nich obiecywali nam swą pomoc. Słyszając ich obietnice, podniosłam w górę małego Willa i zaklinałam, żeby bronili tego anioła, który nikomu z nich nie złego nie uczynił. Na ten widok ludzie ci płakać zaczęli, bo kochali szczerze mojego synka a swego pocieszyciela; pomoce dawane chorym, hojne jałmużny, opieka nad dziećmi sług naszych i robotników, słowem wszystko dobre, któreśmy czynili, mąż mój, córka i ja, wszystko to zawsze działo się w imieniu Will'a. W imieniu też jego prosiłam o współzucie i dokazałam tyle, że skoro mąż wyszedł na ganek, wszyscy podwładni jego zaczęli domagać się, aby im dał broń przeciw zbrojcom Sypojom.

Europejczycy zamieszkali w Indyach mają zawsze w domu mały arsenał, niezbędnie potrzebny przeciw napaści zwierząt drapieżnych, których wszędzie pełno. Nieraz o dziesięć kroków od naszego mieszkania zabijano tygrysy, wilki i szakale. Mieliśmy więc broń ilość dość znaczną. Na żądanie służących, Peters rozdał im 50 fuzyj. Goście zaproszeni na wesele podzielili się bronią myśliwską; prócz niej każdy z nich posiadał własny rewolwer, bez którego nikt w Indyach nie rusza się z domu; kufel z amunicją wypróżniliśmy zupełnie, słowem, że w godzinę po odjeździe Wilianis'a, osada była uzbrojona bardzo przyzwoicie.

My kobiety, jako nieużyteczne istoty w dramacie, który się miał odgrywać, schroniłyśmy się do lamusa. Nigdy nie zapomnę tego zgromadzenia: wyglądałyśmy jak ofiary czekające na kata. Na rozpaloném od słońca poddaszu, jedne omdlałe z gorąca i rozpachy leżały pokotem na podłodze; inne natężając ucho słuchały szelestu wzburzonej krwi własnej, który wydawał im się wyciem buntowników; inne, równie jak ja odważne starały się pocieszać i dodawać odwagi towarzyszkom. Will'a mego trzymając na ręku czułam się silną jak lwica, i gotowa rozszarpać pierwszego Sypoja, któryby mi moje dziecko chciał wydrzeć.

Przez okienka lamusa, spory kawał wschodniej części kraju przedstawiał się oczom; biały, zakurzony gościeńiec Merneki ciągnął się wstęgą pośród drzew i zielonych plantacyj; od zachodu widać było wielki most na Dżummie, bastyon forteczny, dach pałacu dawnych cesarzów mongolskich i minarety Delhi; na północ i południe ciągnęły się uprawne pola, wioski i nieprzejrzane okiem plantacje cukrowej trzciny.

Nagle trąby i bębny ozwały się od strony Dżummi i zabrzmiała muzyka wojskowa. Niezadługo ujrzeliśmy żołnierzy i usłyszeli okrzyki: niech żyje Anglia! Był to oddział, który brygadier Graves prowadził na spotkanie powstańców.

Widok naszego wojska dodał nam odwagi. Wybiegaliśmy wszystkie uściskać naszych mężów i braci i ogłosić ich zwycięzcami jeszcze przed zwycięstwem, poczem stanęliśmy na końcu alei, żeby mieć prędkiej od nich wieści. Niestety! nie długośmy na nie czekały. Tuman kurzawy powstał na gościeńcu, i coraz to gęstszy, owiał nas wnet zupełnie. W tym obłoku widzieliśmy naszych z działami i koniami to galopujących ku nam, to sypiących kartaczami na Sypojów, którzy zalewali ich jak przypluwające morze nadbrzeżne kamyki. Zdradzony przez trzy pułki piechoty krajowej, brygadier Graves rejterował z małym pocztem.

Doszedłszy do naszych budynków, nieco na wzgórzu położonych, oparł się o nie, i już bez przerwy kartaczami prażył zbuntowanych.

Bohaterski ten opór stał się dla nas fatalnym: Sypoje nie mogąc zdobyć pozycyi, rzucili się w bok i zalali nasze posiadłości. Pehane huraganem walki, wśród strzałów armatnich i wycia dzieczy, napół szalone wpadliśmy w nasz dziedziniec, nie wiedząc czy uciekać, czy też tu czekać rozjuszonej tłuszczy. Mężowie nasi postanowili czekać spotkania i sprzedać drogo swe życie. Każdy z nich z rewolwerem w rękę stanął na posterunku, odważnie patrząc śmierci oko w oko. Wtém Indyanin jakiś wskoczył przez płot do ogrodu i przybiegłszy pędem, oddał Petersowi list od Wiliamsa w tych słowach:

„Opuść niezwłocznie osadę i idź do miasta dopóki jeszcze brygadier stawia opór Sypojom i dopóki most wolny. Uwiadom mnie gdzie staniesz; jestem na straży przy arsenale. Heleno, bądź odważną! do zobaczenia!”

Nie było chwili do stracenia; coraz bliższe krzyki: „Śmierć Anglikom,” ostrzegały nas, że wkrótce już za późno będzie uciekać. Mąż mój mimo zbliżającej się śmierci, nie chciał w żaden sposób opuścić stanowiska; zdawało mu się, że z ludźmi sweni może stawić czoło zbuntowanym. Ledwie przez wzgląd na dzieci zdecydował się dom porzucić. Z Heleną podzieliliśmy pieniądze i klejnoty i siedliśmy na trzy ostatnie konie, które jeszcze były w stajni, bo już goście nasi i służący resztę rozebrali, i puściliśmy się ponad Dżumną ku miastu.

Z trzystu krajowców, którym dawaliśmy chleb i robotę, dwoje tylko ruszyło z nami: Malabarka, mamka Willa, i Mohamed poczciwy Turek, ekonom. Mamka szła piechotą, a ekonom jechał na słoniu, na którego naładował żywności i rozmaitych rzeczy niezbędnie potrzebnych. Helena z ojcem jechała naprzód, ja za nimi trzymając na kolanach Will'a, który rączkami obejmował mnie w pasie. Niedaleko mostu obejrzałam się i obaczyłam całą naszą wioskę w płomieniach. Stanęliśmy wszyscy troje, i parę minut w milczeniu patrzeli na płomienie pożerające cały nasz dobytek. poczem zaciąwszy konie puściliśmy się cwałem.

Na moście trudno się już było przecisnąć. Ludność miejska wyległa tam, czekając wieści od powstańców, a uwiadomiona o oporze jaki im stawił Graves, zaczęła szemrać i patrzeć na nas z ukosa. Lud ten tak dawniej cichy i potulny, nagle zhardział i przybrał rolę pana. Czytając na wszystkich twarzach nienawiść, zadrżałam: najmniejszy wybryk konia mógł nas o śmierć przyprowadzić, za lada skargą, tysiące rąk zsadziłoby nas z siodeł i wrzuciło do wody. Czemuż tak się nie stało? Czemuż się Bóg wtedy nad nami nie zmiłował!

Rozruch coraz to wzrastał. Za nami rozlegał się nieustannie okrzyk *Diul diul*, hasło zbioru powstańców; wrzaski, „śmierć Anglikom,” brzmiały coraz to bliżej. Przed nami, Europejczyk jakiś ściągnięty z konia, został wrzu-

cony w fortyfikacyjne fossy. Widząc to zsiadliśmy z koni, i dzięki zapadającemu zmrokowi szliśmy spokojnie za naszym słoniem, który poważnie przez tłum się przeciskał prowadzony w stronę domu kupca Krajg, przez nas za schronienie obranego. Widząc z jakim uszanowaniem przed zielonym turbanem naszego ekonoma rozstępuje się tłuszcza, chciałam mu powierzyć Willa, ale dziecina tak mocno trzymała mnie za szyję rączkami, że nie miała odwagi odrywać go od łona.

W mieście odurzający zgiełk zwiększał się co chwila. Zapalone tu i owdzie pochodnie oświecały czerwono rozlukany ocean głów czarnych, z którego głębi wychodził ogromny krzyk przekleństwa i ziensty. Na oświeconym nagle fortecznym bastyonie ukazali się z zapalonymi lontami Anglicy. Ale bunt i zdrada już twierdzą opanowały; kiedy więc lud rozstępował się chcąc uniknąć kartaży, nagle pogasły ognie na bastyonie, a kanonierzy zakreślając ognistą wstęgę zapalonymi lontami, padli pod nożem czerni.

Rama! Rama! wrzasnął tłum przyklaskując porażce Anglików, i pchać się począł ku bramie miasta, unosząc nas z sobą. Jeszcze tylko parę kroków, a już jesteśmy w mieście, i jak mniemaliśmy, ocaleni. Delhi najważniejsza warownia wschodnia, forteca zdaniem wojskowych niezdojta, Delhi wydawało nam się bezpiecznym przytułkiem dla każdego, kto się za jego mury schronił.

Już wchodziliśmy pod sklepienia pierwszej bramy, kiedy niespodziany zwrot ciżby uniósł nas w stronę przeciwną; w tym ciasnym przejściu dwa odwrotne parły się prądy: jeden płynął do bramy, drugi wypływał z miasta. Zewnątrz rozlegała się kanonada i głośniejsze od niej wycie, raczej drapieżnych zwierząt, nie ludzi; wewnątrz słychać było ogień rotowy, krzyki i odgłos straszliwy indyjskiej trąby. Wszędzie już powstanie wzięło górę. Nagle tłum ruszył znowu ku miastu; z szybkością kuli armatniej na jego barkach niesieni wpadliśmy w miejskie ulice. Przyczyną tego popłochu była garstka angielskich żołnierzy, złożona z kilkunastu oficerów i artylerzystów, którą bohaterski Graves przerzynając się przez masy ludu do Delhi prowadził, party zbliżka przez zbun-

towane wojska. Ale cały heroizm tego dowódcy okazał się daremny. Napróżno wołał, żeby zwiedziono mosty i zawarto bramy; wykonanie tego rozkazu już było niemożliwe: pierwsze kolumny buntowników stanęły równocześnie przed bramami miasta.

Starożytna stolica cesarstwa Mongołów była w mocy Sypojów:—godzina straszliwej rzezi wybiła.

Nie piszę tu historii zdobycia Delhi, ale swoje własną, piszę moje własne opłakane dzieje; w tej całej katastrofie, wyznając szczerze, cierpiałam tylko cierpieniem mojej własnej rodziny. Nie będąc z urodzenia Angielką, całą sławą mojej przybranego ojczyzny i wszystkimi skarbnami kompanii indyjskiej, byłabym okupiła życie męża i dzieci. Ale Peters czuł inaczej: on pośród niebezpieczeństw które mu zewsząd groziły, myślał tylko o zachowaniu uroku angielskiej potęgi, drżał z niecierpliwości, żeby schroniwszy nas w miejscu bezpiecznym, biedz co prędzej do bastyonu, który wysłańcy Gravs'a jako schadzkę walecznych mu wskazali.

Po tysiącznych przeszkodach stanęliśmy nareszcie przed domem Kraiga. Wszystko tu było szczelnie zamknięte; długo daremnie stukaliśmy do drzwi i okien, wewnątrz grobowe panowało milczenie; dopiero kiedy zniecierpliwiony Peters zadzwonił tak, że się dom cały zatrzęsł, wyjrzała z za przykniętej żaluzji manka pani Kraig i powiedziała, że państwo udali się do pałacu księżnej indyjskiej, gdzie wiele dam angielskich znalazło także przytułek. To powiedziawszy stara zamknęła okiennice, a my zostaliśmy na bruku, rozmyślając co dalej począć.

Peters, któremu pilno było połączyć się z Gravs'em, chciał nas prowadzić do bastyonu; ja opierałam się temu pragnąc bezpieczniejszego schronienia dla dzieci. Kiedy tak rozmawialiśmy z sobą, Helena, która jakby oniezmiała z rozpaczy, i od czasu wyjazdu z domu ani słowa nie wymówiła, zawołała nagle: „Idźmy do arsenału!” Biedaczka chciała powiedzieć: idźmy do Williams'a, wiedziała bowiem że jej narzeczony tam jest na straży.

— Helena ma słuszość,—rzekł Peters,—idźmy do arsenału. Nasi musieli się tam w przeważnej zgromadzić

się; jeżeli was wpuszczą do środka, będziecie zupełnie bezpieczni.

Puściliśmy się więc ku arsenałowi; ale za ledwieśmy uszli kilkanaście kroków, nowa wstrzymała nas przeszkoda: meruccy Sypoje w ściśniętej kolumnie szli z pochodniami i trąbami, głosząc cesarzem indyjskim starego króla Delhów, potomka wielkich Mongołów. Lud z zapalem witał zwycięzców i przyklaskiwał upadkowi angielskiej tyranii.

Tłum ten zapamiętały byłby nas sto razy przewrócił i stratował, gdyby nie nasz słon, który jak skała stanął przed murem, dozwolił nam schronić się w bramie domostwa. Zakryci cieniem olbrzymiego zwierza, mogliśmy widzieć wszystko niepostrzeżeni. Wtedy pierwszy raz ujrzałam próbkę indyjskiego okrucieństwa i struchlałam przerażona. Defilujący koło nas Sypoje należeli do różnych pułków; żeby się rozpoznać między sobą, potrzebowali znaku: nieśli więc przed każdym oddziałem rozwinięte chorągwie, a obok nich na długim bambusie zatknięte głowy oficerów angielskich w mundurowych kaskach, dla oznaczenia stopni.

Skoro przepłynęła ta straszna falanga, ruszyliśmy w dalszy pochód ku arsenałowi. Przewodnik nasz ekonom, jechał naprzód na słoniu, Peters prowadził chwiejącą się Helenę, Will spał zawieszony na mojej szyi, a ja, ledwie już wlokąc się od zmęczenia i bólu, szłam obok manki Malabarki, która szeptała modlitwy, wzywając pomocy wielkiego Wischnu i wszystkich bóstw opiekuńczych Indostanu.

W pobliżu arsenału trafiliśmy na żywą utarczkę. Sypoje wyrzynali angielski pusterunek, który jak wszędzie, morderczy stawiał im opór. Krew na stopę zalewała wąską ulicę będącą placem spotkania, a kartaczowy ogień buchał nieustannie jak z paszczy piekielnej. Powstańcy, ludzie straszni jakich w życiu mojem nie widziałam, podpalali i rabowali poboczne domy. Parci tłumem weisnęliśmy się do przedsionka jakiegoś wielkiego pałacu, w którym już dzieć plondrowała. Byliśmy tu wprawdzie od kul bezpieczni, ale inne spadło na nas nieszczę-

ście: ekonom nasz, przewodnik i zbawca, przepadł gdzieś w ciemnościach wraz ze słoniem.

Dom, który plondrowano, był własnością bogatego Anglika. Ludzie do szatanów podobni, nadzy i pokrwawieni biegali po pokojach, tłukli zwierciadła, łamali meble, darli obicia, wrywali podłogi, i wszystko razem wyrzucali oknem na podwórze innym ludziom, którzy z tych szczątków układali piramidę podobną do stosu, na którym wdo- wy indyjskie goreją. Inna zgraja plondrowała po piwnicach i ogrodach, jakby szukając kogoś.

Helena, mamka i ja usiadłyśmy w rogu podwórza przy oknie piwnicznym, zaslonione pnem grubej katalpy; Peters z rewolwerem w rękę stał obok nas o mur oparty. Nagle piwnica, obok której byliśmy, zajaśniała światłem i napełniła się ludźmi. Hałas zażartej walki, szczęk broni i huk wystrzałów trwały tam przez parę minut, poczem wszystko znowu zapadło w ciemność i ciszę, i tylko słaby jęk konających dochodził chwilami do naszych uszu.

Niebawem, człowiek jakiś wysoki w podartem odzieniu, z zakrwawioną twarzą ukazał się we drzwiach. Rozwścieklona zgraja ciągnęła go do stosu, wrzeszcząc *bonfir!* co znaczy fajerwerk.

Rzucona pochodnia zapaliła wnet piramidę szczątków pałacowych, ogień wielkim słupem wznosił się ku górze, a Indyanie przyparłszy doń ofiarę i obstąpiwszy ją wkoło, jeża z nożów zrobili, zostawiając Anglikowi ruchy wolne, i tylko czasami pchając go końcami sztyletów w rozżarzone ognisko. Nieszczęsny, nie prosił żeby go dobito. Żywcem w płomienie wepchnięty, na wolnym pieczony ogniu, nie zaduszony dymem, który byłby ukrócił męczarnie, nie zebrząc łaski, ani jednym krzykiem nie zdradzając boleści, brązowy ten człowiek stał jak posąg, odwrócony tyłem do ognia, z założonemi na piersiach rękoma i głową podniesioną ku niebu; usta jego poruszała modlitwa, a wzrok czasami zatrzymywał się na katach z wyrazem dostojnej dumy. Stał tak długo, aż w końcu zmęczeni męztwem jego oprawcy, tak silnie nożami go pchnęli, że upadł wznak na ognisko...

Podczas tej kaźni, obawiając się zdradzić krzykiem, wtoczyłam sobie w usta chustkę, a obiema rękoma krępowalam ręce męża, który sto razy podnosił rewolwer chcąc skrócić męczarnie nieszczęsnego rodaka. Helena siedziała ciągle jak martwa. Will ustał płakać i patrzył w ogień ciekawie: w fatalnej chwili zasłoniłam mu pocałunkami oczy... Mamka wzywała ciągle swych bogów. Spalony Anglik był urzędnikiem sławnym z czynnego ścigania *Dakotów* w królestwie Oudy. Dakoici się mścili.

Po dokonaniem męczeństwa, tłum rozszedł się, zapewne gdzieś indziej podobne ponawiać sceny; my pozbawieni przewodnika zaczęliśmy znów radzić co począć. Rozważywszy rzecz wszechstronnie, postanowiliśmy czekać w tym domu na ekonoma, który mógł tu łatwiej niż gdzieś indziej nas znaleźć. Nocy w Indyach są bardzo chłodne, drżeliśmy więc od zimna mimo jeszcze gorejącego na podwórzu ognia. Peters poszedł zobaczyć, czybyśmy lepszego w domu nie znaleźli schronienia; po chwili wrócił po nas: weszliśmy za nim do pokoi pustych, w których mnóstwo świec dopalało się w lichtarzach. Przeszedłszy je znaleźliśmy gabinet, gdzie rabusie zostawili łóżko. Zmordowana, złożyłam na niem dziecko, poczem uklęknąłam, pomodliłam się gorąco, i przykazawszy mamce żeby na krok nie odstępowała śpiącego Willa, rzekłam do męża i córki: „chodźcie za mną!” To powiedziawszy znowu silna, bo pokrzepiona modlitwą, szłam, gasząc po drodze świece, ku schodom wiodącym do piwnicy, gdzie toczyła się owa walka poprzedzająca spalenie pana domu. Stojąc przy oknie z kądem wychodziły jęki, przyrzekłam sobie, że tam się udam skoro tylko będę mogła.

Peters podzielał moje uczucia. Zanim zeszliśmy na dół, uściskał mnie, powtarzając po dwakroć: „szlachetna dusza!” Helena nawet ożywiła się nieco usłyszawszy że idziemy ratować nieszczęśliwych; może też wyobrażała sobie, gdyż stan jej wydawał mi się pomieszaniem zmysłów, może sądziła mówię, że tam znajdzie choćby rannego kochanka.

Nie wiem czy w krew, czy w wino wstąpiłam stanąwszy na dnie piwnicy: wiem tylko, że się poślizgnęła

w czerwonym błocie... Chcąc się podeprzeć dotknęłam ręką ściany, ale ręka poślizgnęła się także... po murze krew kroplami ciekła... Przy drżącym świetle pochodni ujrzeliśmy w kącie piwnicy piramidę trupów, stos głów, nóg, rąk i kadłubów: rzecz straszną... tém straszniejszą, że życie jeszcze nie ustąpiło z tój kupy pociętych członków. Tu i owdzie drgała noga, tam ręka podnosiła się jakby żebrząc ratunku i opadała bezwładnie... Owdzie usta wydawały krzyk słaby, lub ze świszczącym oddechem wypuszczały ostatnie tchnienie.

Niezwłocznie wzięliśmy się do roboty. Wyzwoliwszy żywych z pod ciężaru umarłych, przekonaliśmy się że z piętnastu ofiar trzy jeszcze żyją: dwie kobiety i dziecko. Ale jakże je wynieść z tego szlachtuza? czém opatrzyć ich rany? Peters wziął jedną z kobiet na ręce i chciał ją nieść na górę, ale musiał ją położyć natychmiast, bo krzyk wystraszonej mógł być na nowo przywołać oprawców. Druga wstała sama, lecz wnet zemdlła i padła na ziemię: miała rękę siekierą odciętą, ztąd wielki upływ krwi odebrał jęj zupełnie siły. Dziecko czteroletnie było zupełnie zdrowe, tylko całkiem we krwi ubroczone.

Nie wiedzieliśmy tedy co poradzić tym nieszczęśliwym, kiedy przeciągłe sapanie w górze zwróciło naszą uwagę. Poznaliśmy od razu naszego słonia. Trąba poczciwego zwierza, który nas zwąchał, jak czarny wąż kręciła się zwieszona przez kratę piwniczego okna, ziejąc gorącą parą.

„Mohammed!” zawołał Peters tłumiąc głos ręką. Mohammed odpowiedział równie cichym wykrzyknikiem i zbiegł do nas. Radość jaśniała na licach poczciwego sługi, zbudowanego jak indyjski Herkules. Klął się na Allaha, że nas opuścił momowolnie, że nas szukał ciągle, że był w wielu miejscach i znowu tu powrócił, gdzie nas słoń zwietrzył i odszukał. Zapytany co się dzieje w mieście, odpowiedział, że Delhi jest całkowicie w posiadaniu powstańców, wyjąwszy prochowni, w której jeszcze trzymają się Anglicy, ale widząc że się i tam długo nie będzie mógł utrzymać, brygadier Graves kazał się rozejść ludziom, i sam tylko z kilkoma oficerami pozostał.

Wieści były rozpaczliwe. Mohammed radził, żeby korzystać z nocy i schronić się w jakie pewniejsze miejsce. Ale gdzież? U Anglików? byłoby to iść naprzeciw śmierci; tu zostać? rano niechybnieby nas zabito. Cóż więc począć?

Mohammed widząc nasze wahanie, rzekł:—Zaprowadzę państwo do domu mego przyjaciela Muzułmanina. On wam drzwi swoich nie otworzy, bo niecierpi Anglików, ale, jeśli zdołamy wejść do niego ukradkiem, to już pod jego dachem będziecie bezpieczni, bo gość dla Turka to rzecz święta. Sprobujmy, może nam się uda.

— Idźmy do prochowni!—zawołała Helena, wyłącznie swoim Wiliamsem zajęta.

— Nie wpuszczaj tam pani—odrzekł ekonom—mówią, że zamknięci w prochowni oficerowie mają się wysadzić w powietrze.

Słyszając te słowa Helena gwałtownem zdjęta drżeniem zachwiała się i usiadła na wschodach, powtarzając jak obłąkana: mają się wysadzić w powietrze!...

— Idźmy, idźmyzład, już wnet świtaćzacznie—wołał nagłąc Mohammed. Dalał mu znak, że nie możemy opuścić poranionych kobiet. Poceziwy Muzułmanin zrazu opierał się mojej woli, ale wnet wymówiwszy sakramentalne „tak Bóg chce” wziął na ręce jedną z kobiet i poszedł na górę; druga, z naszą pomocą wyszła sama na górę. Wsadziliśmy obie na słonia wraz z dzieckiem, pobiegłam po mego syna, pobiegłam i stanęłam jak wryta... łóżko było próżne, w pokoju nikogo! Z krzykiem biegłam po domu jak szalona, szukając mego dziecięcia. Peters z Mohammedem nadbiegli myśląc że mnie Indyanie mordują.

— Will, Will nasz zginął! Will nie żyje!—krzyczałam targając włosy. Peters nie wierząc słowom moim wyrwał mi pochodnię z ręki i wpadł do gabinetu... Spojrzawszy na puste łóżko, krzyknął raz tylko, ale w tym krzyku tak niezmierna, tak rozdzierająca była żalność, że przygłuszyła ból mego serca. Wbiegłam za nim do pokoju: mąż mój leżał omdlały na łóżku, gdzie przed chwilą syna złożyłam. Widząc go białym i nieruchomym jak

posąg marmurowy, przeleżałam się. Słyszałam kiedyś, że można umrzeć z takiego wzruszenia: dla uratowania męża zdołałam podszeptać mu nadzieję, której sama nie miałam. Nachylając się więc, nad jego uchem rzekłam: mężu ocknij się, Will nasz żyje, mamka się zlekła i uciekła z nim, ale nam go odda... Wstawaj, pójdziemy ję szukać. Peters leżał ciągle jak bez duszy. Poczęłam go trzeźwić wodą i mirą: lekkie westchnienie dało mi nakoniec znać że żyje, wkrótce odzyskał zmysły.

— Gdzie Helena—rzekł otwierając oczy?

— Na dole.

— A Mohammed?

— Jest w domu.

— A....—tu głos zamarł na jego ustach—a Will—rzekłam—nie pytasz mnie o Willa?—Nie śmiałem—zawołał wyciągając ku mnie ręce. Uściskaliśmy się łkając...

Mohammed powrócił nie znalazłszy w domu żadnego śladu Willa ani mamki. Mimo to był spokojny i rozsądnie przekładał nam, że nie mu się złego stać nie mogło; że gdyby Indyanie tu wpadli i zastali go śpiącego, trup naszego dziecka byłby leżał na łóżku: widoczną więc jest rzeczą, że mamka usłyszawszy krzyki w piwnicy, bojąc się nowych mordów, uciekła unosząc skarb, któryście ję powierzyli.

Człowiek tak chciwie chwyta nadzieję w nieszczęściu, że słowa Mohammeda chociaż niczem nie poparte, dodały nam odwagi.—Gdyby Delhi było tak wielkie jak świat, odnajdę i oddam wam syna—mówił pocziwiec—ale teraz chodźcie ze mną coprędzej—i ciągnął nas prawie gwałtem do drzwi. Za chwilę byliśmy już na ulicy. Mohammed prowadził słońia.

Było zapewne około czwartej z rana: w tamtych stronach słońce wschodzi dopiero o szóstej, mieliśmy więc przed sobą jeszcze dwie godziny nocy... strasznej nocy! Gdybym nie przeżyła później straszniejszych w Indostanie, powiedziałabym tutaj, że nigdy śmiertelników tak nie ubłagany nie prześladował fatalizm. Ale były to dopiero początki nieszczęść naszych; tysiące okropniejszych czekało nas katastrof: a kiedy teraz patrzę w całe

to pasmo srogich kaźni, śmiało powiedzieć mogę, że ta pierwsza noc była najmniej okropna.

Idąc noga za nogą, bo z rannymi nie można było pospieszyć, przybyliśmy na plac, gdzie cztery rozchodziły się drogi. Helena poznawszy znajomą ulicę, porwała ojca za rękę i zaczęła go ciągnąć na lewo.—Gdzie chcesz iść?—spytał zdziwiony Peters.

— Do prochowni! Williams tam na nas czeka.... Ojciec biegnijmy prędko zanim wysadzi się w powietrze!— To mówiąc parsknęła okropnym śmiechem. Niestety, córka nasza była obłąkana.. gwałtem musieliśmy ją uprowadzić w przeciwną stronę.

Ulice, któreśmy przebiegali były puste, ale zdala dolatywał nas odgłos strzałów i krzyki walczących, to pomieszane, to oderwane. Na czarném niebie świeciła czerwona luna pożarów.

— Czekaście mnie tutaj— rzekł Mohammed zatrzymując słonia przy długim murze. To powiedziawszy, poszedł sam naprzód, zatrzymał się przed bramą, i stuknął parę razy sposobem niezwykłym. Po chwili za drzwiami ktoś wymówił głośno jedno słowo, na które ekonom odpowiedział niemniej głośno drugim; poczem, obadwaj zaczęli rozmawiać szybko, stłumionym głosem: los nasz rozstrzygał się w tym dyalogu. Po pięciu minutach eichęj rozmowy Mohammed świsnął na słonia, który wnet ruszył ku niemu; drzwi się otwały, a skorośmy weszli do domu, ekonom rzekł zawierając za nami bramę: jesteście ocaleni.

— A Will?—zawołałam—nie nie wiesz o nim?

— Bóg jest wielki!— odrzekł ekonom, i w milczeniu wprowadził nas do sali, bladą oświeconej lampą. Wokoło ścian stała tam długa sofa, na której pokładliśmy się wszyscy; ale nikt zasnąć nie mógł prócz dziecka. Ciągłe jęki i westchnienia świadczyły, iż sen zdala od nas uciekał, a smutne myśli dręczyły każdego. O czém ja myślałam, łatwo zgadniecie; nie o rzezi, nie o naszej ruinie, nie o niebezpieczeństwach, ani nędznej przyszłości, która nas czekała; myślałam tylko o moim straconym synku. To z macierzyńskim jasnowiedzeniem przeczuwałam, że mi będzie oddany i tuliłam go w myśli do serca;

to znowu przerażeniem zdjęta, widziałam przed sobą morze krwi, i pragnęłam, żeby to dziecko nigdy nie powróciło do mnie, bo bezemnie będzie szczęśliwsze.

Bezsenne te wizye męczyły mnie do rana. Promienie słoneczne już wcisnęły się do pokoju przez okiennicze szpary, kiedy przyszedł Mohammed. Przyniósł nam trochę jada, i przykazał żeby żadne z nas nie wychodziło do ogrodu, bo Indianie zaglądną wszędzie, i gdzie wysłędzą Anglika, zabijają go natychmiast. O Willu żadnej nie powziął wieści, ale mi znów przysięgał, że go odszuka; poczem, obiecując powrócić wieczorem jeżeli okoliczności dozwolą, wyszedł.

Lampa, która nam świeciła, zgasała; słońce przedzierające się przez zamknięte okiennice niezupełnie rozpraszało ciemności tej ogromnej sali, wyłożonej marmurem. Cisza i spokój panujące w tym domu dziwnie odbijały od zewnętrznego rozruchu i zamieszania. Strzelanie z ręcznej broni słychać było ze wszech stron; czasami zagrzmiął wystrzał armatni: Anglicy ostatnim bohaterskim wysiłkiem starali się odebrać Delhi Sypojom. Ale zwycięstwo było niemożliwe: jeden stawił czoło tysiącom!

Peters wstydząc się swojej bezezynności, zły że nie walczy wraz z rodakami, podśluchiwał uważnie każdego wystrzału, starając się odgadnąć z ich natury, na którą stronę szala zwycięstwa przeważa. Co chwila komunikował mi swoje postrzeżenia, upewniał że Sypoje nie mogą się utrzymać w Delhi, że Anglicy są jeszcze panami arsenału i prochowni, że posiłki z Karaul i Allyghur nadejdą, że więc bunt rychło uśmierzony zostanie. Potem kreślił plany reformy, któraby wojsku krajowemu na zawsze odjęła możność buntu.

Biedny Peters! wierzyłże on w to wszystko, co mówił? Nie, zbyt wiele miał rozumu i doświadczenia; mówił tylko tak, bo chciał siebie odurzyć a mnie pocieszyć. Ja słuchałam go udając, że wierzę; ale w duszy straszne przecucia inne wcale nasuwały mi myśli. Na mieście kanonada brzmiała ciągle, w stronie prochowni zażarta toczyła się walka. Długo słychać tam było silny ogień ręcznej broni; potem padły dwa armatnie strzały, a po

niek nastala cisza. Coto jest? zawolal Peters, czyby wojsko królowej opuszczalo prochownia?

Na to slowo Helena glucha na wszystko, co sie wkolo niej mowilo, przyskoczyla do ojca z iskrzacemi oczyma wolajac—Prochownia: co mowiecie o prochowni?

— Mowimy, ze jest w posiadaniu naszych.

— To czemuż tam nie idziemy? Williams nas czeka.

Ledwie wymowila te slowa, kiedy straszny wybuch uderzyl uszy nasze. Tysiac piorunow bijacych naraz i wszystkie naraz wybuchajace wulkany nie dalyby jeszcze pojecia o huku, ktory sie wtedy rozlegl w powietrzu. Ziemia sie zatrzesla, ciemnosc zacmila słońce, mury budynku sie zachwiały; uderzeni zawrotem, padliśmy na ziemie: prochownia wyleciala w powietrze.

Nie wiem jak dlugo pozostalimy tak na ziemi przysypani kawalkami odpadlego muru. Krótka modlitwa do Boga pokrzepila nas tyle, zesmy mieli silę przemiesc na sofe skostniala i prawie zimne ciało córki. Klęczac oboje kolo niej, plakalismy nad nią i nad straconym synem, blagalismy Najwyzszego, zeby nam rychla śmierć zeslal, bośmy nie mieli juz nic na swiecie.

We dwa miesiace pozniej powracajac na statku *Nubia* do Europy, dowiedzialam sie od naocznego swiadka szczegolow wysadzenia prochowni. Imiona bohaterских sprawców tego czynu juz naleza do historii, szczegoly tego wypadku zbyt sa wazne dla kazdej wzniostej duszy, zebym ich nie miala powtorzyc w tym miejscu.

Delhi juz bylo w posiadaniu powstańców. Kilkunastu angielskich oficerów artylerii, pomiedzy niemi zięć mój Williams, postanowilo sie bronieć do ostatniej kropli krwi w arsenale, pod ktorym byla prochownia. Willoughby najstarszy stopniem, dowodzil niemi. Spodziewajac sie rychlej odsieczy, chcial najpierw bronieć sie na moście i tam z kilkoma dzialami sie obwarowal; ale wyparty przez przewazna silę nieprzyjaciół, zagwozdziwszy dziala, cofnal sie do prochowni. Tam u wchodu oficerowie nasi postawili dwie armaty, drugie dwie staly w drugiej bramie. Inzynierowie: Forest, Burckley i Scully nabijali dwa pierwsze dziala; Rajnoc i Edwards, dwa drugie. Komendant Willoughby z kilkoma oficerami za-

chowal sobie straż trzech armat i moździerza ustawionych o sześćdziesiąt kroków przed wniściem do arsenału.

Ogień tych siedmiu dział krzyżował się na dwóch drogach prowadzących do magazynów prochu.

Obrońcy posterunku przygotowani bić się do ostatka, a jeżeli nie zwyciężą, wysadzić się w powietrze razem z budynkiem, pokopali w ziemi rowki idące ze dworu aż do głównego składu amunicyi; rowki te zasypali prochem i umówili się, że skoro chwila fatalna nadejdzie, kiedy już wszelki opór będzie niepodobny, kiedy Willoughby podniesie w górę kapelusz i zawoła: niech żyje Anglia! wtedy ten kto ostatni z walczących kanonierów pozostanie, przyłoży lont do prochu i stare zameczysko delhickich mocarzy w gruzy zamieni.

Wszystko było gotowe. Nikt nie składał przysięgi, bo między bohaterami to rzecz zbyteczna; każdy tylko w cichości powierzył duszę Bogu i czekał.

Niebawem kapitan gwardyi króla Delhów przybył do pierwszej bateryi i oświadczył, że chce mówić z komendantem Willoughby. Skoro go doń zaprowadzono, rzekł: „Cesarz pan mój rozkazuje ci, żebyś mi oddał klucze od prochowni, poczem pozwała wam się połączyć z rodakami.

— Klucze od prochowni są tam—odparł komendant wskazując na działa stojące w pierwszej bramie; a kiedy posłaniec nie zrozumiałszy oglądał się dokoła, dodał: —są tam, w paszczy tych armat; posłę je zaraz twemu cesarzowi wraz z kartaczami, któremi po gardziel nabite.

— Niech żyje Anglia!—krzyknęli artylerzyści, przyklaskując odpowiedzi swego dowódcy. Cesarski poseł odszedł szemrząc pogroźki.

Zaledwie odszedł, ukazało się mrowie Sypojów, którzy jak przyptywające morze szli ku magazynom. Ale nagle czarna ta chmura wstrzymała się i zachwiała: dziesięć razy morderczy ogień dział angielskich przebił szeroki gościniec przez te ściśnięte massy, poczem Seward i Crow nie mając już amunicyi, cofnęli się dumnie do drugiego posterunku. Massy Indyjan znów ruszyły ku bramie, gdzie ich znów przyjęły kartacze komendanta.

Ale angielskie ładunki wyczerpały się pierwszej, niż fanatyzm indyjski. Sypoje padali setkami, lecz wnet równali szeregi i znów szli naprzód. Porucznik Forest dostał dwie kule w bok lewy, a Burekleyowi, kiedy ostatni podpalał wystrzał, kartacz strzaskał lewą rękę. Widząc to Scully zawołał: „Ranni precz! Ja będę nabijał armaty”! I schwywszy lont zapalony, z odwróconą do komendanta twarzą, zawisł pochylony nad rozwartą miną. Willoughby wystrzelawszy także wszystkie naboje, wstąpił na działo i obejrzał się wkoło czy zkąd pomoc nie idzie, ale tylko Scullego na posterunku zobaczył.

Wtedy widząc, że już obrona niepodobna, rozkazał wyjść wszystkim z prochowni, a sam zdjawszy kapelusz przed angielską chorągwią, która jeszcze na szczycie gmachu powiewała, wysadził zamek w powietrze i znikł pod jego gruzami.

Powracam do mojej historii.

Mohammed przyszedł dopiero nazajutrz w południe. Zgłodniali i chciwi wieści, poskoczyliśmy ku niemu zarzucając go pytaniami; ale on błady i pomieszany nie odpowiadając nam wcale, przybiegł do sofy, pozrzucił z niej poduszki, i rzekł: skryjcie się tu natychmiast. Pobiegł ku drzwiom, posłuchał, i odwracając się do nas: chowajcie się prędko, zawołał, już idą! Jeszcze chwila a będzie po was!

Usłuchaliśmy go spiesznie. Pokładliśmy się w sofie, twarzami do ziemi; ekonom poprzykrywał nas poduszkami i posprzątał wszelkie ślady zdradzające bytność naszą. Wkrótce usłyszeliśmy stapania, szczeł bronii i krzyki: „śmierć Anglikom”! Zajadła tłuszczuza napelniła salę; zbójcy zdziwieni, że nikogo nie zastali, naraz umilkli, a Mohammed zaczął im wyrzucać brak zaufania.

— Przysiągłem wam — mówił — że tu *nie widać* żadnego Anglika, i nie wierzyliście mi — jestemże, czy nie jestem Muzułmaninem?

Muzułmanie nigdy nie kłamią, dlatego Mohammed nie przysiągł, że w tej sali *nie ma* Anglików, tylko, że w niej *nie widać* Anglików; jakoż nie skłamał, bo widać nas nie było.

Zbójcy mimo przekonywającej perory Mohammeda, nie dowierzali słowom jego: niektórzy z nich długie szpady angielskich oficerów utopili w sofie—szczęściem, żadne pchnięcie nie natrafiło na ciało, jedna tylko szpada przeszła mi między ręką a biodrem i zaryła w marmurze. Opatrzność ocaliła nas cudownie. Pokłuszy schronienie nasze jak celniki z towarami paki, krwi chciwa zgraja rozbiegła się szukać nas w ogrodzie. Długo jeszcze slyszeliśmy tam ich wrzaski i przekleństwa, nareszcie wszystko ucichło; Mohammed porzucił poduszki i odetchnęliśmy swobodniej.

Zgłodniali, bo już dwa dni nic nie mieliśmy w ustach, zaczęliśmy go błagać o garść ryżu.—Jeżeli Allah pozwoli, przyniosę wam ryżu wieczorem—odrzekł pocziwy sługa—jeśli nie przyjdę, będzie to znakiem, że nie mógł. Szpiegują mnie, pilnują, podejrzewają, wiedzą, że by waszym ekonomem; już dwa razy wzywano mnie na policją: grożą mi palem, jeśli nie powiem gdzie jesteście. Nałożono ceny na angielskie głowy: głowa mężczyzny trzysta rupii, kobiety dwieście, dziecka sto.

Wzdrygnęliśmy się mimowolnie, Mohammed spostrzegłszy, że zawiele powiedział, zaczął nas uspokajać i pocieszać:—Nie bójcie się—mówił—właściciel tego domu Hali wie, że tu jesteście; chociaż was u siebie mieć nie chce, dał mi czterdzieści ośm godzin na wyszukanie wam innego schronienia: szukam go, jestem bardzo zajęty, jeśli więc nie przyjdę, nie dziwcie się.

To powiedziawszy, wyszedł. Minał dzień cały; głód coraz to srożej nam dokuczał. Helena obłąkana gadała ciągle o prochni; dwie kobiety ranne w mocnej gorączce jęczały leżąc na sofie, Peters chodził po sali jak tygrys zamknięty w klatce, ja to kładłam się, to wstawałam: nareszcie zwyciężona głodem, zemdlałam. Kiedym otworzyła oczy, Peters kłęczał przy mnie, cucił mnie i wołał z rozpaczą bijąc o mur głową—garść ryżu za garść złota! Potém, jakby nagle uderzony myślą, zerwał się, otworzył okno i wskoczył do ogrodu. Chciałam bić za nim, ale nie miałam siły. Za chwilę powrócił.—Jédz! zawołał rzucając na moje kolana banany i pomarańcze. Podziękowałam mu omdlałemi oczyma.

Przeszła noc i dzień następny, a Mohammed nie przybywał. Czterdzieści ośm godzin gościnności już dobiegały, a jego widać nie było: czy go uwięziono, czy zabito?.. gubiliśmy się w domysłach. Skoro się ściemniło, Peters znów wybiegł do ogrodu i przyniósł arbu-zów; posililiśmy się i napili: jedna tylko Helena nic w usta wziąć nie chciała. Sen zmorzył nas trochę. Na chwilę od strasznej oderwana rzeczywistości, zaczęłam marzyć o przyszłości: widziałam dzieci moje szczęśliwe... miłe obrazy snuły się przed oczyma méj duszy, kiedy zbudziło mnie lekkie stukanie do drzwi ogrodowych. Zerwałam się, zbudziłam męża, i pobiegliśmy ku drzwiom: za drzwiami usłyszeliśmy szepty. Wnosząc ztąd że to nie wrogi, otworzyliśmy. Dwie Indyanki w białych płachtach, jak dwa duchy weszły do pokoju, i podając nam indyjskie stroje, kazały je wdziać i iść za sobą tam, gdzie nas czeka Mohammed.

Słyszając to imię, nieufność nasza znikła. Przywdzialiśmy podane burnusy, i w tym krajowym ubiorze wyszliśmy z przewodnicami naszymi na ulicę. Tam, okropny przedstawił nam się widok: odgłos naszych kroków płoszył gromady kruków szarpiących ciała ludzkie; szakale i psy ogryzały czaszki, nogi i ręce nieboszczyków; wielkie sępy *nienasyconemi* zwane, nieodstraszone widokiem człowieka, nachylone nad pastwą, wydierały wnętrzności trupów: powietrze zimne i mroczne, przejmowało nas dreszczem. Po stosach trupów szliśmy potykając się, bo przewodnice nagliły do biegu.

Niespodziana przeszkoda zatrzymała nas pod ogromną *deodorą*, która ocieniała całą ulicę. Pułk Sypojów rozłożył się przed meczetem na drodze; obawiając się żeby nas nie poznali, musieliśmy czekać zanim nie ruszą. Biada nam jeżeli słońce zaświeci zanim odejdą, wprawne ich oko poznałoby niechybnie Europejczyków pod indyjskim burnusem, a wtedy już po nas. Przyparci do drzewa staliśmy więc czekając wymarszu Sypojów. Stojąc tak, obaczyłam, że na mój burnus krwawe występują plamy; pojąc nie mogłam co to znaczy, bo nie byłam ranna; szukając wkoło napróżno co to być mogło, podnio-

słam w końcu głowę, i przekonałam się że krwawy deszcz pada: wpatrzywszy się lepiej w drzewo, spostrzegłam wisielców rysujących się na ciemnym błękitnie nieba. Na każdej prawie grubszej gałęzi wisiał trup bez głowy... Słabo mi się zrobiło... i byłabym umarła pod tém drzewem, bo mnie odór téj krwi zatruwał, gdyby wymarsz Sypojów nie był nam dozwolił w dalszą puścić się drogę.

Przeszedłszy spiesznie kilka ulic, po dymiących jeszcze zgliszczach spalonego budynku, doszliśmy do podziemnego otworu, zawalonego trzcina i chwastem. — Wejdźcie tam — rzekły przewodnice ukazując nam stromą ścieżkę do lochu, w głębi którego widać było palącą się lampę. Spuściliśmy się nie bez trudu, bo otwór był bardzo ciasny; przecisnąwszy się na czworakach doczołgaliśmy się do wielkiej marmurowej sali sklepionej. Tam, w ciemnościach rozproszonych tylko czerwonym światłem kilku dymiących pochodni, ukrywało się kilkadziesiąt osób równie jak my nieszczęśliwych. Ujrzawszy nasze indyjskie stroje, ludzie ci przełękli się i zaczęli szemrać; ale kilka słów wymówionych po angielsku uspokoiło ich i pojednało z nami. Dowiedziałam się, od nich, że znajdujemy się w podziemiach przepysznego pałacu Indrapasta, po którego dymiących gruzach stąpaliśmy przed chwilą. Właściciel gmachu, magnat indyjski, nietylko tę salę wspaniałomyslnie na przytułek nieszczęśliwym ofiarował, ale dwa razy na dzień przysyłał im kocioł ryżu i świeżej wody.

Rozpatrzywszy się w sali, obaczyłam, że zebrane tu towarzystwo z samych składało się kobiet i dzieci: w gromadce tych ostatnich daremnie syna mego szukałam. Towarzyszki ranne, któreśmy z sobą przyprowadzili, znalazły znajomych i przyjaciół, chłopczyk cudownie z rzezi uratowany, znalazł także opiekuna; zo staliśmy więc sami pośród tego jęczącego grona nędzarzy, z których każdy opłakiwał kogoś lub przez własne cierpiał rany.

Do 18 maja zostawaliśmy w tej piwnicy. Rodzaj zażyłości zawiązał się pomiędzy zgromadzonemi w niej ofiarami, nie bowiem tak ludzi nie wiąże i serc im nie otwiera jak nieszczęście. Opowiadaliśmy sobie wspólnie

nasze cierpienia i przygody, nasze nadzieje i obawy, i na t \acute{e} m czas jako \acute{s} przed \acute{e} j schodził.

W \acute{e} sciekłość powstańców u \acute{s} mierzyla si \acute{e} te \acute{z} troch \acute{e} . Po rogach ulic porozlepiano proklamacye nowego monarchy w tych napisane słowach: „Od chwili jak niezwycięzony król wypędziwszy Anglików, wstąpił napowrót jako cesarz na tron *Pawia*, rze \acute{z} ustaje a sprawiedliwość rządzi”. Odezwa była piękna, ale władza stuletniego monarchy urojona. Syn jego Mirza-Maghul rządził *de facto* i tym tylko z Europejczyków darował życie, którzy przeszli na muzułmańską wiarę. Niestety, wyznać muszę, że wielu z naszych rodaków podle wyrzekło si \acute{e} sw \acute{e} j religii: niech im to Bóg przebaczy!

Niechlujstwo dokuczalo nam najwi \acute{e} c \acute{e} j w t \acute{e} m schronieniu; odzienie nasze podarte na szmaty, opadało z nas prawie: tropikowym sma \acute{z} eni skwarem, ciagle byli \acute{s} my w potach, bielizna przeto gnila nam na ciele. Na pociech \acute{e} w t \acute{e} m okropn \acute{e} m poło \acute{z} eniu, córka nasza odzyskała przytomność wraz ze łzami. Pewnego ranka obudziwszy si \acute{e} , ujrzałam ją siedzącą z opart \acute{e} m na kolanach czołem i płaczącą rzewnie. — Czego płaczesz, — spytałam j \acute{e} y łagodnie. — Matko droga — zawołała rzucając mi si \acute{e} na szyj \acute{e} — jak \acute{z} e okropnie jeste \acute{s} my nieszczęśliwi!

Tyle tylko powiedziała i płakała dzie \acute{n} cały, ale przytomność i rozwa \acute{g} ę odzyskała zupełnie. Dzięki Bogu znowu było nas troje do spodziewania si \acute{e} i radzenia nad przyszłością. Helena nad wiek sw \acute{o} j odważna i rozsądna, uspoko \acute{i} wszy si \acute{e} , zaczęła z ojcem przemyślać, jakim sposobem wydobyć si \acute{e} z t \acute{e} j kryj \acute{o} wki. Sta \acute{n} ęło na t \acute{e} m, że b \acute{e} dziemy probować szczęścia i wyszedłszy w noc, puścimy si \acute{e} znaną ście $\acute{z$ ką do naszej wioski, gdzie mo \acute{z} e Willa i wi \acute{e} ksze ni \acute{z} tu bezpieczeństwo znajdziemy.

Opatrzność przed \acute{e} j ni \acute{z} sądzili \acute{s} my pozwoliła skuteczn \acute{e} nam powzi \acute{e} t \acute{y} zamiar. Około północy, Indyan-ki, które nas do podziemia przywiodły, ukazały si \acute{e} w prog \acute{u} . Poskoczyli \acute{s} my ku nim pytając o Mohammeda. Jaka \acute{z} była nasza boleś \acute{c} , kiedy niewiasty nie znajdując wyrazów na wystowienie tego, co powiedzi \acute{e} ć chciały, pokazały na migi, że Mohammed został powieszony!

Biedak padł ofiarą swojej dla nas wierności. I żebyż poświęcenie tego zacnego sługi było się przynajmniej na co przydało...

Podczas kiedyśmy oplakiwali stratę naszego jedy-
nego przyjaciela, Indyjki wodząc dokola niespokoj-
nym wzrokiem, zbliżały się nieznacznie tyłem ku drzwiom,
czyniąc znaki, żebyśmy szli za nimi pocichu; tym spo-
sobem weszliśmy w ciemny korytarz, w którym za przy-
kładem naszych przewodniczek, puściliśmy się cwałem.
Tak podstępnie porzuciliśmy towarzyszków nieszczęścia—
ale cóż było robić? Obecność nasza w niczemby im nie
pomogła, a ucieczka mogła nas zbawić.

Nie zapomnę nigdy błęgiego wrażenia, jakiego do-
znałam odetchnawszy świeżem powietrzem: zdawało
mi się że się na nowo urodziła. Uszedłszy kilka kro-
ków, niewiasty stanęły, i jedna z nich krzyknęła, jak
krzyczą indyjskie sowy, w ruinach ukryte. Podobny
krzyk odpowiedział jej w oddaleniu, i cztery osoby in-
dyjskiemi okryte burnusami wyszły z za muru i pospie-
szyły ku nam.

KRONIKA LITERACKA.

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Czatterton, dramat Alfreda de Vigny, powiedziany po polsku przez Apolla Korzeniowskiego (Kijów. 1857 r.). — *Sambójstwo jako sprężyna dramatyczna*. — *Wystąpienie A. K. przeciwko krytykom*. — *Dygressya o Fauscie, El magico prodigioso i Manfredzie*. — *Porównanie Komedyi, dramatu A. Korzeniowskiego*. (Wilno. 1856 r.) z *Grybojedowa: Biada temu kto ma rozum* (w przekładzie Józefa L. Lewińskiego. Warszawa. 1857). — *Anna Oświecimówna*, poemat dramatyczny Mikołaja B. Antonowicza (Lipsk. 1856); *zdanie Szajnochy w tym przedmiocie*. *Porównanie tegoż poematu z Abufarem Ducisa* (tłumaczenia Brodzińskiego), z *La devotion de la Cruz*, Calderona, i *die Ahnfrau*, Grillparzera.

Kiedy cesarz Francuzów, — chcąc dać dowód swój pamięci. oczekującemu na przyrzeczone sobie senatorskie krzesło, Alfredowi de Vigny, — kazał po siedmnaścieletniej przerwie wznowić w teatrze francuzkim przedstawienie *Czattertona*: w tym samym prawie czasie imię tego poety zyskuje u nas nowy rozgłos przekładem Apolla Korzeniowskiego. Myśl tego dramatu, zasadniczą jego idee, wypowiada sam autor w epigrafie *Despair and die* (rozpaczaj i umieraj). Taki podług niego jest wyrok potępienia, wydany przez zmateryalizowane, zezmysłowione towarzystwo na dusze wyborowe, stojące na szczycie duchowego na społeczeństwo działania. Autor bowiem dzieli pracowników myśli na trzy rodzaje. W pierwszym stawia *literata*, który za pomocą cudo-

wnęj prawie giętkości i łatwości umysłu, zwinnego i śliskiego jak wąż, do wszystkiego się zastosuje, każdemu zadaniu odpowie, z każdej trudności się wywikła; w miarę potrzeby będzie on erudytem, melancholicznym poetą, krytykiem, a nawet podszyje się pod entuzjazm namiętności: słowem jestto zimny, wyrachowany artysta, pewny powodzenia swego (ale niestety! nie u nas), władca serc i umysłów w danej chwili. Daleko wyższe stanowisko jest tego, co nie kramarzy prawdą, co nie robi ustępstw przesadom i stosunkom, co idzie tylko za głosem wewnętrznym, za promieniem wiekuistej prawdy do tajemniczego jej ogniska, co waleczy i pokonywa zawady w myśli i w życiu: nie zyskuje on poklasku, elektrycznym prądem oblatującego tłum, tłum, który za lada powiewem przywidzenia rozwali piedestał wielkości, na jakim przed chwilą go postawił; ale słowo jego nie łatwo przeminie, bo ono we mgnieniu nie powlecze umysłu narodu powojową siecią, tylko zwołna w granitowe jego jądro zapuści swe korzenie: takim jest pisarz prawdziwy, kapłan słowa.

Zapewne sądzicie, że to najwyższe już stanowisko autorskie: jesteście w błędzie. Alfred de Vigny daje nam ideał najwznioślejszy, i w kimże? oto w pocie marzyciela, trawionym wewnętrznym ogniem i nieokreśloną tęsknotą, zapadającym w głębinę ekstazy i niewypowiedzianych przywidzeń; z duszy jego jak z wulkanu wybuchają niekiedy harmonijne potoki lawy. On nie z tego świata; lzy wasze wszystkie, miłość i litość waszą dla niego, mówi Vigny. On musi nic nie robić, żeby coś zrobić w sferze sztuki; ratujcie go, bo w życiu on tylko na śmierć zdobyć się może: gdyż w chwili przeczuwania przyszłości swego gieniuszu, w chwili gdy wielkiem swém sercem ogarnia ludzkość i naturę, wówczas świat z obojętnością i niedowierzaniem odpycha go od siebie. Cóż bowiem mu wtedy pozostaje? albo skupić wszystką swą potęgę wewnętrzną i skazać się na pół samobójstwo, zabić w sobie wszelki polot, żyć dla świata i podług niego; albo — co łatwiej — zerwać pajęczą nić, łączącą z rzeczywistością to życie, z innym światem już zespolone.

Oto ideał pisarza i piewcy, ideał jakiego dzieje udratyzował de Vigny. Czatterton dał tylko imię temu zadaniu; autor wziął z jego życia to jedynie, co mogło uwybitnić walkę bezsilną szlachetnej i wzniosłej nędzy ze społeczeństwem, żyjącem dla zysku i rachuby; chciał, jak mówi, zaprotestować przeciwko obojętności i niemiłosierności, która w gorączkowym pochodzie ku celom użycia depta i gruchocze tych, co nie uczynili ślubu wier-

ności dla mamony. Ten cel społeczny, jaki sobie w tym dramacie Alfred de Vigny położył, opiera się na jego teorii społecznej, wedle której prawodawca powinien zabezpieczyć był każdego, dającego dowód boskiego namaszczenia: takiemu zaś potrzeba tylko dwóch rzeczy: życia i marzenia, chleba i czasu. Teoria ta w kilkanaście lat później znalazła znakomitego poplecznika w Ludwiku Blanc, w prawie do pracy i w warsztatach narodowych; próby te przecież okazały się nieurzeczywistnialnymi mrzonkami. Prawodawstwo żadne, żaden rząd nie może zapewnić bytu indywidualnego; one mogą tylko usuwać wszelkie ku temu przeszkody. Umoralnienie społeczeństwa i rozległe rozwinięcie jego instytucyj w duchu miłości Chrystusowej, oto jedyna droga ratowania moralnej i materyalnej niedoli. Wszelka tendencyjność, choćby najwznioślejsza, jest straceniem sztuki z jej boskiego stanowiska do służalstwa, do zamienienia jej na narzędzie tych lub owych celów,—jest skarłowaceniem jej etycznego znaczenia. Bo sztuka, jak o dążenie do wcielenia pierwowzorów boskiego piękna, już tém samém musi być przeniknioną prawdą i dobrem, które wszystko troje przelewają się wzajem jak barwy tęczy; w nich bije jedno tętno jak w kwiatach, na jednym pniu boskiej idei rozkwitających. Artysta dziełem swoim porywa duszę w sfery, gdzie wzrok jej roztworzy się na wszystko co nie ziemskie, co ona ukochać ma i w życiu odwzorowywać. Tym sposobem osiągną się wszystkie moralne cele przez nastrój duszy do wzniosłości i niepokalaności. Takie jest znaczenie wyszydzonej formuły: „*sztuka dla sztuki*”. Czyliż więc od prawdziwego artysty i poety wyższym jest ten, który będzie chciał dziełem swém pobudzić do wdzięczności, do udzielania jałmużny i t. p., który tém samém będzie poprostu rymować traktat o moralności? Moralność w sztuce nie może być wyciągniętą na widownię na sznurku założonego logicznego rozumowania: ona powinna wytryskać nad dziełem sztuki jak tajemnicza jasność, będąca odbiciem nieśmiertelnej światłości.

Ten nacisk zewnętrznej dla artyzmu siły, tendencyjności, stał się powodem pewnej manieri w traktowaniu przedmiotu, i błędów, które niemal ujmują wartości wykonaniu. Wprawdzie skromne zakresił sobie granice de Vigny: chciał w najprostszej akcji wyrazić życie człowieka, który napisał list rano, na jaki odbiera wieczór odpowiedź, która go zabija; całą więc akcją rozwija głównie w tej duszy, wystawionej na burzę wewnętrzną, a pobocznie tylko w sercu niewiasty i starca, którzy napróżno wysilają

się wstrzymać tę łódź życia, gnaną wichrami w otchłań śmierci. Otóż chęć wyrazistego odmalowania rozpaczliwego położenia marzyciela wśród obojętnego społeczeństwa, kazała autorowi przeciążyć tę postać zbyt czarnym kolorytem, rażącym monotonością; i tym sposobem, w części przynajmniej, zamierzone rozwinięcie działania wewnątrz głównej postaci chybnym zostało: Czatterton ciągle rozpacza i na świat powstaje, uczucie dla Kitty Bell przesuwają się w jego duszy na mgnienie jak srebrzysty obłok po czarnym, chmurami nabrzęklą horyzontcie. Nie ma tu perypecyj, wywołujących rozwijanie się charakteru, odsłaniających różnostronnie plastycznie kształty postaci; ztąd też Czatterton nie tyle jest żyjącą osobą, jak raczej typem bez krwi i ciała; dramatyczność zaś leży prawie wyłącznie w samym rozwiązaniu.

Żeby bliżej usprawiedliwić nasze zdanie a dalsze uwagi uzasadnić, opowiedzmy pokrótce treść dramatu:

Czatterton poeta angielski (r. 1770), który już w czternastym roku życia wystąpił na polu literackim, nieuznany, nieoceniony przez ogół,—w domu Bella, będącego uosobieniem grubego materyjalizmu i spekulacji, znajduje ustronne schronienie, w którym walczy z nędzą, z obojętnością świata i trawi się w samotnej rozpacz. Dwie istoty okazują mu współczucie: rozsądny i zany kwakier, doktor, przyjaciel domu Bellów, i czuła idealna Kitty, żona Bella. Wkrótce powstaje czysty związek duchowej miłości między Czattertonem i Kitty prawie w chwili najsroźszej próby dla Czattertona, bo wówczas kiedy ten oczekuje na odpowiedź lorda majora, od którego jako od przyjaciela swego ojca spodziewa się ratunku;—w chwili kiedy zmusza się do ukończenia poematu, za który wziętymi pieniędzmi ma opłacić wierzyciela, grożącego mu więzieniem. Termin długu upływa; Czatterton odrzuca pomoc przyjaciela swego Talhota, uważając ją za jałmużnę, i czeka ratunku od lorda majora, jako reprezentanta kraju. Z listu lorda dowiaduje się Czatterton, że ten ofiaruje mu u siebie miejsce pokojowca czyli poprostu lokaja z pensją 100 funtów; jednocześnie zaś odbiera gazetę, w której znajduje dowodzenie jakiegoś krytyka, że on nie jest autorem ogłoszonych poematów, że przywłaszczył sobie to, co utworzył mnich Rowley. Pod takimi ciosami upada Czatterton i zażywa truciznę. Kitty, wiedzioma przecuciem przyhywa do niego: następują u progu śmierci wzajemne wynurzenia miłości. Czatterton kona, a wkrótce wątłe serce Kitty rozpęka się z żalu, i ona też umiera.

Tak więc próżność, najdrażliwsza ze wszystkich, bo próżność literacka, popycha do samobójstwa Czattertona, zgnębionego już chorobliwą miłością; to też tego rodzaju samobójstwo nie może wzruszyć głęboko ani widza, ani czytelnika. Pojmujemy i współczujemy samobójstwo przez obłęd namiętności, jak np. Wertera, Fedry, Dydony, co do której św. Augustyn zawsze sobie wyrzucał, iż nie mógł nigdy bez rozczulenia czytać 4ej księgi Enejdy; pojmujemy samobójstwo stoików, jak Katona i Brutusa, którzy zabijali się w imię niepodległości i cnoty,—choć ono nie podaje materiału dramatycznego równie jak i samobójstwo Epikurejczyków, wydzierających sobie życie wśród uczt, aby uciec od tego żywota, dającego więcej bólu jak radości;—rozumiemy to, gdy *Pamela* dla obrony swój czci, życia się pozbawia;—rozumiemy popęd samobójczy w *Hamlecie*, któremu zwątpienie i przestraszony rzeczywistości nasuwają myśl śmierci, albo w prototypie Hamleta Stagirze, który wedle homilii świętego Chryzostoma, zgnębiiony upadkiem, nicością ducha (athumia), w zadaniu sobie śmierci upatrywał kres swych cierpień. We wszystkich tych rodzajach samobójstwa punktem wyjścia jest albo wielka namiętność, albo opaczny wniosek, ze szczytnej myśli wyprowadzony. Ale dlaczegoż zabija się Czatterton? Oto dlatego, że próżność jego zawiedziona, i że prozaiczny lord major, szydząc z jego wierszy, ofiaruje mu miejsce lokaja. To tylko samobójstwo obrażonej dumy, które nigdy być nie może piętnem gieniuszu: gieniusz nie tylko umie walczyć z samym sobą, i pośród tego miotania się wydierać ze swego wnętrza perły dla rzuconia ich na podziw i rozkosz tłumu; nie! on mocuje się ze światem i losem, on musi zwyciężyć i zwycięża. Ale cóż? Alfred de Vigny musiał wybrać za typ poetyczną a miękką duszę, aby tendencją swoją oczywiście przeprowadzić; tymczasem, gdyby nie ta tendencja, gdyby więcej się przejął zadaniem artystycznym a uboczny cel odrzucił, toby i silniejszą od próżności i nędzy znalazł dźwignią, i jędrniej a zdrowiej rozwinąłby charakter swego bohatera.

Jakkolwiek główną postać znajdujemy w pomysle chybioną, przecież wiele pojedynczych miejsc pełnych poetycznego uroku. Urok ten rozlany na całej postaci Kitty Bell, której uczucie z prawdą i trwałością odmalowane, zwłaszcza w szczegółach np. kiedy dowiaduje się, że lord major przybywa z pomocą dla Czattertona, Kitty rozradowana woła córeczkę swą aby ją po-

całowała. Czatterton rzuca myśli i kwiaty; szkoda tylko że czasem wpada w tyradę:

Jednak ja czuję kiedy spojrzę w siebie,
Ze miałbym prawo do bratniej miłości!
Wszak ja im daję wszystko z mej istności,
Znoje dni moich, mych nocy czuwanie;
Wszak ja zstępuję w zgłiszczowo otchłanie
I błodną, szukam wyrzekłszy się słońca
Kwiatu poezyi, coby kwitł bez końca!
Wszak ja tej świętej narodu koronie
Chcę jedną więcej dać perłę *wawrzynu*,
Zachodzę za nią w mórz dziejowych tonie
I w głębie rzek tych, co dziejami *plyną!*

Jam winien! Czemu ufałem mej sile?
Czemum datowałem i rozliczałem chwile
Przybycia natchnień, jako koni dzielność?
Splamilem duszy mojej nieśmiertelność!

(Po zażyciu trucizny).

Od wszystkich wolny, równy ze wszystkimi,
Witam cię pierwszy spokoju na ziemi!
Zachodzie życia, a jutrznie wieczności,
I was ja witam!

Tortury serca i trudzie zelżywy,
Zegnajm was, zegnajm! o! jakżem szczęśliwy;
Jakżem szczęśliwy, że was depezę nogą!
Ledyby wiedziało, jak mi dobrze, błogo,
Każdy do skonu wyciągałby ręce!
Śmierci! aniele wyzwoleni w jutrznie
Przejednaj ciszy....

Oto kilka pięknych ustępów wyrażających stan duszy Czattertona. Jeszcze przytoczyć musimy wyatek z jego rozmowy z lordem majorem, dający poetycznie wyobrażenie Anglii:

Milordzie! Anglia jestto okręt, pożyty
Który się pławi środ wodnych bezdroży
Kształty tej wyspy, to kształty okrętu;
Przodem na północ na modrym odmęcie
Stbi wa wieńca kwitwicy, i atrzose
Statki dają: Ona ciągle bierze
Mnogie okręty, ze swych wnetzności,
Podobne sobie, i zle ku ludzkości
Na wszystkie morza i na ziem krawędzie
By jej potęga rozgrzmiała się wszędzie
Na mostki i na błrzyłymi pokładzie
Każdy swą pracę i zasługę kładzie,

Komuny, lordy i król przy banderze,
 Przy magnesowej igle i przy sterze;
 My zaś, my wszyscy, do masztów, na liny:
 Rozwijając żagle; rozmierzając głębiny:
 Nabijając działa... każdy ma zajęcie
 Na tym ojezystym a bożym okręcie!

Co do osób podrzędnych, kwakier, że moralizuje, to bardzo dobrze, to właściwe; ale pomimo to charakter jego nie utrzymany należycie, szczególnie kiedy zagraża śmiercią Czattertonowi, jeśli ten wyjawi Kitty Bell, że wie iż ona go kocha. Nie było żadnej konieczności do takiej niekonsekwencji: jeżeli autor obrał kwakra za podstawiciela rozsądku i miłości bliźniego, to powinien być raczej ten typ uwydatnić a nie narzucać mu dowolnie tego, co zasadam sekty jest przeciwne.

Przytoczone powyżej wyjątki świadczą o istotnym talencie tłumacza. A że z miłością przedmiotu wziął się do dzieła, o tém przekonywa ta okoliczność, iż prozę oryginału oddał wierszem, tém samém podniósł pierwowzór estetycznością formy. Żalujemy przecież, że tłumacz mało waży stronę zewnętrzną; zład nieraz rym naciągany, niesmaczny, a czasem wcale go nie ma: tu i owdzie napotykamy rutenizmy. Sam to oświadcza, że mniej dbać należy o formę; ależ zapomina, że kto ucieka się do niej, powinien wymaganiom jęj estetycznym zadosyć uczynić; zapomina, że sztuka jest wcieleniem ideału, którego nieziemskość i doskonałość wypowiedzieć każdym rysem powinna;—że wreszcie zasadniczym warunkiem artystycznego tworzenia jest harmonia treści i formy.

Przekład poprzedzony jest przedmową, która w duchu Alfreda de Vigny, tylko z większym zapalem, ale téż i z namiętnością a przesadą wypowiada pogląd autora na stosunek poety i ubóstwa do świata. Wolelibyśmy nie spotkać w drugiej części tego pisma obszernego wystąpienia *pro domo sua* przeciw tym, którzy poważyli się objawić sąd swój o dramacie pod tytułem *Komedyja*, ogłoszonym wówczas w Bibliotece Warszawskiej w tomie III z r. 1854 i w tomie II z r. 1855. Pan Apollo Korzeniowski z lekceważeniem i szyderstwem pomiata krytykami takimi jak Lewestam i Leopold Jakubowski, którzy w rozbiorach swych nigdy nie wyszli z granic powagi i godności, jaka szczególniej tego rodzaju piśmiennictwu przystała. Smutne to przypomnienie gwałtowności, z jaką autor *Komedyi* porwał się do sponiewierania Michała Grabowskiego, pisarza, którego ledwie że nie można nazwać założycielem u nas krytyki literackiej: bo któż na tém polu po-

łożył zasługę przed pojawieniem się lat temu dwadzieścia *Literatury i krytyki*? Można by tu wspomnieć jedynie znakomitego autora dzieła *O literaturze polskiej XIX wieku*, który wprowadził utorował drogę Grabowskiemu, rzuciwszy pierwsze zarody krytyki, ale pozostawał pod przeważnym wpływem Niemców, mianowicie co do filozoficznych pojęć, jeśli się nie mylimy, pod wpływem Okena; a co do ogólnych poglądów na literaturę szedł za Mentzlem. Czyż zapatrywanie się na niektóre kwestye odrębnie od panujących wyobrażeń daje już prawo do nieuszanowania ani w sobie, ani w drugim stanowiska pisarza, który ma nauczać ogół, uboższy od siebie duchem? Czyż to taka droga do waleczenia w imieniu prawdy? Nie zapominajmy, że ten, kto staje pod jej chorągwią nawet przeciw jawnemu jej wrogowi, nadewszystko miłość za oręż ma używać. I za kimże ta obrona? za tym, który tak wysoko stanął, że najzjadliwsze pociski ztamtąd strącić go nie mogą — za Kraszewskim. Zarzuty poczynione mu, bynajmniej ujmy mu nie czynią i nie zmniejszają wielkich jego zasług; przecież największe gieniusze nie są wolne od błędów. Jeżeli pisarz zdobył cześć i powagę, tém świętszy, nieodwołalniejszy obowiązek krytyki wskazywać obok piękności i usterki dla oświecenia ogółu, który ślepo idąc za swym instynktem, w ulubieńcach swoich wszystko już bezwarunkowo uwielbia, a znowu w tych, którzy słusznie czy niesłusznie nie podobali się mu, ogarnia wszystko wyrokiem potępienia. Odrzućmy konwencyonalność, stosunki i obowiązki towarzyskie, słowem oddzielmy człowieka od pisarza, jeśli pragniemy, aby fałsz i obłuda salonowa nie rozgniożdżały się i w krytyce, téj przedniej straży umysłowego życia narodu, abyśmy w głębi sumienia nie byli zmuszeni powtarzać: *Plaudite amici*, albo, co jeszcze gorsza: *At mihi ipse plaudo domi*, bo i to ostatnie czasem niestety się zdarza, — ma się rozumieć za pomocą akolitów.

W końcu téj za sobą obrony usprawiedliwia się autor *Komedyi* z czynionego sobie zarzutu, iż ją przerobił z Grybojedowa Gore ot uma (Biada temu kto ma rozum). Zanim tego przedmiotu bliżej dotkniemy, uważamy za właściwe sprostować jedną pomyłkę. Autor *Komedyi* w poparciu sprawiedliwego swego zdania, że mało jest utworów, któreby nie były naśladowane, — między innymi przywodzi: „że sceny z Fausta można odszukać w sztuce Kalderona *El prodigioso magico* (właściwie *El magico prodigioso*).“ Olóż zdania tego w żaden sposób usprawiedliwićby nie można. Tłumacząc ten dramat, porównywaliśmy go

z Faustem, i żadnego nie upatrzyliśmy w ostatnim naśladownictwa, chociaż co prawda, Gete naśladował Kalderona. Oba arcydzieła całém niebem różne są od siebie: jak Niemcy do Hiszpanii, jak protestantyzm do katolicyzmu, panteizm sceptyczny do gorącej wiary, tak *Faust* niepodobny do *Czarnoksiężnika*; tu dźwignią, tu potęgą panującą nad Cypryanem jest miłość, która z chwilowego zaciekania się myśli wyrwa go i rzuca na bezdroża namiętności; przeciwnie nad Faustem góruje żądza wiedzy, pragnienie odgadnienia tajemnic. Miłość dla Małgorzaty przechyla tylko Fausta ku dobremu, ale go nie nawraca; kiedy uczucie dla Justyny podnosi Cypryana do prawdy chrześcijańskiej i do męczeńskiej ofiary: tu zjednoczenie duchowe jak jasność niebieska oświeca rozwiązanie; tam sceptycyzm do samego końca nie wyzuwa się ze swego berła. Gete nie potrzebował szukać materiału aż w Kalderonie, bo podanie, służące za osnowę fantastycznego niemieckiego dramatu jest wspólne prawie wszystkim ludom europejskim, tylko że każdy stosownie do swego geniuszu narodowego inaczej ją przetworzył; i my ją mamy pod nazwą Twardowskiego. Gete znalazł żywą tradycją w sztuce ludowej, przedstawianej w teatrze marynetek, używającej wielkiego rozgłosu, pod tytułem *Doktor Faust* czyli *Nauka nieszczęśliwa*. Obok tego przedmiot ten obrabiany był już poprzednio przez Lessynga, i przez wielu pisarzy angielskich, szczególnie zaś przez Marlowe.

Więcejby miał słuszości autor *Komedyi*, gdyby wywiódł Manfreda w prostej linii od Fausta; bo tak istotnie było, chociaż Bajron to przyswojenie uwłaszczył, cochuąc je pieczęcią samostnego geniuszu, co téż i Gete przyznał, mówiąc: „Ten niepospolity, oryginalny poeta przyswajając sobie mego Fausta, hypokondrycznie wyciągnął zeń dla siebie właściwy pokarm; a posługujące do tego celu motywa tak trafnie umiał użyć, że wszystko po swojemu przetworzył: dlatego téż nie mogę dosyć duchowi jego napodziwiać się.” I taki sąd Getego wielce podobał się Bajronowi, o czém sam w pismach swoich wspomina.

Otóż, *salva proportione*, w podobny sposób Apollo Korzeniowski w swój *Komedyi* naśladował Grybojedowa, i to tylko w niektórych scenach a więcej ustępach, do czego przyznaje się, dodając, że mu przed publicznością z zarzutu przerobienia Grybojedowa usprawiedliwić się niepodobna. W imieniu prawdy, i oddając sprawiedliwość umiarkowaniu autora w tym względzie, podejmujemy tę kwestyą. Najważniejsze pytanie, czy jest podo-

bieństwo w pomysł? Aby na to odpowiedzieć postawmy, obok siebie treść obudwu utworów.

Treść komedyi *Biada temu kto ma rozum*, której swobodny i potoczny przekład (zarzucić tylko można kilka rutenizmów, i kilka usterek co do rytmu i rymu) *Józefa Lewart Lewińskiego* mamy przed sobą,—jest następująca:

Czacki, młodzieniec ze szlacheckimi dążnościami w życiu, towarzysz dziecinnych lat Zofii, po paroletnim pobycie za granicą, za powrotem swym natychmiast odwiedza Famusowa, wyższego urzędnika w Moskwie, ojca Zofii: z żalem widzi zawiedzione swoje nadzieje co do serca Zofii, która kocha się w Mołczalniku, sekretarzu swego ojca. Chytry ten człowiek, będący uosobioną formułą oficjalnego serwilizmu jak i jego pryncypał, skromnie przytakuje sentymentom Zofii, a potajemnie gustuje w Lizecie jej pokojówce, chociaż ta okazuje się nieczułą na jego tentacye, nawet na ofiarowaną sobie toaletkę i nécessaire damski z perłowej macicy. Stary Famusów, obcy wszystkim tym miłosnym powikłaniom, marzy o wydaniu Zofii za Skołozuba, który ma rangę pułkownika i patrzy już na generała. Tymczasem Czacki, niedowierzając Zofii, chce się przekonać czy ona istotnie kocha kogo innego; szczęśliwa potemu sposobność nadarza się mu przy wychodzeniu z wieczoru u Famusów (z wielkim talentem przez Grybojedowa opisanego). Wychodząc z tej zabawy zastanawia się nad tem, jak złośliwie puszczona przez Zofią bajka, iż on jest waryatem, lotem błyskawicy obiegła całe towarzystwo; a w tém słyzy głos Zofii, wołającej z okna na Mołczalina. Ciekawy dalszego obrotu rzeczy, kryje się za kolumną; poczem nadchodzi Mołczalin i wynurza swe uczucia wzywając go do Zofii Lizecie, zapewniając ją, iż nigdy Zofii nie kochał. Następuje scena upokorzenia dla Mołczalina przez Zofią, która niepostrzeżenie podsłuchiwała oświadczyn Mołczalina Lizecie; dalej upokorzenia Zofii przez Czackiego i przez ojca, który sądząc, że dwoje ostatnich na miłosną zeszedli się schadzke, wyprasza raz na zawsze Czackiego, a Zofią wyprawia do ciotki do Saratowa. Oto tło, na którym z wielką trafnością Grybojedów naszkicował lekkimi dotknięciami wiele rysów i postaci, przedstawiających wady ukształtowanego, a bardziej jeszcze wyższego urzędniczego towarzystwa w Rosyi. Tém bogactwem charakterystyki ułomności i śmieszności społeczeństwa, równa się prawie ta komedia ze *Szkolą obmowy* Szerydana, ale jednością całości od tej ostatniej jest wyższa.

Więcej jednolitości przedstawia dramat pod tytułem *Komedyja*.

Henryk, biedny poeta, po dość długiej nieobecności zjawia się znowu w domu prezesa, i przypomina swe uczucie marzącej o nim Lidy; lecz wtém w jój sercu zaszczenia niedowierzanie kuzynka jój, młoda wdówka, Basia: ta bowiem, mając pretensyą do Henryka, że się w niéj nie kocha, sprzymierza się przeciw niemu z prezesem, któremu znowu idzie o to, aby siostrzenicę swą Lidę wydać za bogacza, żeby się uwolnić od zdawania rachunków z opieki. Dla zabicia w sercu Lidy uczucia dla Henryka, prezes każe sekretarzowi swemu sfalszować list Henryka z oświadczeniami do Basi, i takowy przedstawia Lidy, którą wiadomość ta uderza jak piorun. Prezes pewny siebie, już z podobnym sobie ezoicielem kuchni i mamony, Dutkiewiczem, zawiera umowę, skutkiem której Dutkiewicz w razie otrzymania ręki Lidy rzeka się jój kapitałów na rzecz prezesa, poprzostając tylko na majątku nieruchomym. Następuje fatalne dla frymarzących rozwiązanie, ciągnące się przez akt trzeci: sekretarz,—choć narażając siebie na utratę miejsca a rodzinę swą na nędzę,—wrozumiawszy haniebne zamiary prezesa i Basi, w obec nich i Dutkiewicza składa dowody całej intrygi w ręce Lidy i Henryka, który przez dumę nie przyjmuje ofiarowanej sobie przez Lidę ręki, czyniąc jój tylko niepewną w przyszłości nadzieję.

Do rozwinięcia w akcji téj osnowy dramatu ciągle dąży autor, szczególnie zaś poczynając od połowy drugiego aktu.

Tak więc, chociaż Grybojedów podał Korzeniowskiemu myśl do stworzenia obrazu towarzystwa na podobieństwo jego komedyi, to przecież ukształtowanie, budowa całości, a nawet szczegółowo poprowadzenie scen w dramacie Korzeniowskiego jest prawie zupełnie oryginalnym. I w samych charakterach osób działających, które przypominają postacie Grybojedowa, widać samoistny wpływ autora Komedyi: i tak, prezes, podobny do Famusowa nicością i szacunkiem dla ludzi ze znaczeniem, ukazuje się nam jeszcze z innej strony jako intrygant, kryjący swą chytrłość i chciwość pod pozorami dobroduszości; obłudna jego czułość w chwili kiedy ma oddać sfalszowany list Henryka Lidy, gnębiącą zrozpaczoną kochankę jak miecz nad głową ofiary, z prawdziwym skreślona talentem. Prezes jest następowaniem Famusowa jedynie w pojedynczych odcieniach, np. w dyktowaniu ważnych adnotacyj o obiadach, chrzcinach i t. p. do kalendarza; dalej w całej pierwszej rozmowie z Henrykiem, której układ zupełnie

przeniesiony ze sceny Famusowa z Czackim; to samo powiedziec należy o nadskakującej grzeczności w następnej scenie prezesa dla Dutkiewicza a Famusowa dla Skalozuba; wreszcie pan prezes rozwodzi się z pochwałami kobiet na podobieństwo ojca Zofii. Lepiejby zrobił Korzeniowski, gdyby żywcem wziął Czackiego, a nie przotwarzał go na trochę manierowanego idealistę. Spotkanie Henryka z Lidyą, na wzór odwiedzin Czackiego u Zofii przedstawione, a nawet w kilku szczegółach jest powtórzeniem rozmowy dwojga ostatnich. Na tém kończy się naśladownictwo, którego cień od połowy drugiego aktu znika, i odtąd własny pomysł autora w szczegółach nawet się przejawia. Widocznie im więcej postępował w pracy, tém bardziej rozjaśniała mu się myśl haniębnej intrygi, podnosząca przedmiot od komicznych sytuacji do dramatyczności uczuć i akcy;—myśl—której zaród już w najpierwszej scenie rzuca Basia. Ta zdradliwa powiernica Lidyjki przetworzona z poczciwej Lizetki; przeciwnie znowu chytry sekretarz Famusowa przeistoczony w takiegoż prywatnego przy prezesa dostojnika, który w gruncie uczciwy, lecz przyciśniony nędzą, tylko do pewnej granicy daje się prezesowi używać za narzędzie i parawan brudnych jego sprawek. Że równie dodatnio przemienionym jest charakter Zofii, o tém już sama treść obu utworów przekonywa. O Dutkiewiczu, jako podrzędnej drugiego planu postaci, stanowiącej akompaniament prezesa, nie ma co się rozwodzić. Ze wszystkich charakterów najwyborniej i najjędrniej występuje prezes, który zawsze jest sobą, bo nawet po owém poniżającym go wykryciu intrygi, wierząc silnie w nicosć drugich, jak i w swoją własną,—Dutkiewicza, obawiającego się skutków rozniesienia się tej intrygi, pociesza mówiąc, że obiadem i polowaniem wszystkim plotkom koniec położą.

Pluń pan na to *wszystko!*

Ja z tymi ludźmi żyję sześćdziesiąt lat *blisko,*

Opinia najzacniejszych przy nas zaraz stanie,

Gdy, *to tego,* dam obiad, a pan polowanie!

Lecz, a propos obiadu, dzisiaj będzie suty!

To tego, może ze mną pójdziesz do Karuty.

Dramat ten czyta się z zajęciem, które jeszcze byłoby większem, gdybyśmy nie napotykali rażących grzechów języka i szaty poetycznej w tym samym rodzaju, jak to nadmieniliśmy przy Czartortonie.

Mniej szczęśliwym od *Komedyi* był jednocześnie prawie ogłoszony poemat dramatyczny *Anna Oświęcimówna*: kiedy bowiem

Komedia zwróciła na siebie uwagę nietylko krytyki, ale i publiczności, *Anna Oświecimówna* u nas przynajmniej przeszła nieopstrzeżenie. Czyli zaś zasłużyła na taką obojętność, o tém krótkie sprawozdanie przekonać może.

Stanisław Oświecim z Odrzykonia, pozostawiwszy siostrę swą Annę niemowlęciem, po kilkonastoletniej nieobecności, w służbie wojennój dla ojczyzny, strawionój, powraca i zastaje Annę w całym blasku młodości. Ledwie spojrzenia ich się spotkały, padły na siebie palącym promieniem, który zażęgl w ich sercach gwałtowną namiętność. Przerażeni tém oboje: Stanisław natychmiast postanawia się oddalić na wyprawę przeciw Tatarom. Anna tak mu stan swój duszy przy pożegnaniu wypowiada:

Tu z kwiatami w mym ogródku,
Z woniejącem ich rozwiciem,
Żyłam eichem, błogiem życiem,
Nieświadoma trosk i smutku;
Imych bólów jam nie znała,
Chyba, jeśli wypieszczony,
Czasem kwiatek ulubiony
Dzika burza mi złamała;
A dziś widzę, że w naturze
Są groźniejsze jeszcze burze,
Co tak o nas biją srogo,
Że kwiat serca złamać mogą.

Anna tęskni za nieobecnym:

Gdy się zaś udam przed święte ołtarze,
Chcąc znaleźć ulgę i pociechę w wierze,
Zamiast modlitwy, o nim tylko marzę,
Do niego tylko wysyłam pacierze.

Ale walka straszna głosu religii i uczucia, toczy się w téj czystej, w błogim spokoju dotąd tonącej duszy.

Powrót Stanisława poprzedza opowieść jego bohaterskich czynów w boju z Tatarami, jaką Anna z ust jego towarzysza otrzymuje:

Stanisław męstwem swém przyczynia się do zwycięstwa:—
wróg rozproszony;

I znów zabrzmiała pieśń Boga-Rodzicy!
Wieczór zapadał, bez odgłosu prawie
Łyskała czasem broń ściganych strzelna,
Jakby przyświecać chciała naszój sławie,
Co się wznosiła w niebo nieśmiertelna!
A orzeł biały, w rozblasku srebrzystym,
Wzniósł się nad księżyc, uskrzydłony męstwem;

Jak słońce światu na błękicie czystym,
Tak prawowiernym on świecił zwycięstwem.

Ledwie kochankowie znów się ujrzeni, uczucie wzajemne
wybuchu w idealnym uniesieniu Anny, w gwałtownym wrzeniu
i bluźnierstwach Stanisława.

ANNA.

Gdzieżto jestem? czyż na ziemi
To niebiańskie dźwięki słyszę?
Nie! ja skrzydły anielskimi,
Nad błękitem się kołyszę!
To miłości boskiej promień!

STANISŁAW.

Znam ja inny kościół święty,
W dzieła sztuki nie bogaty,
Ale w cudach niepojęty.
Gdzie się wszystkie schodzą światy;
Jednym *stań się!* postawiony,
Wiarą ludów nie rozdziela,
Ale łączy miliony
Ku czci Boga Stworzyciela!
W tym kościele, gdy jutrenka
Nabożeństwem promienistym
Wszczyna modły na tle czystym
Przez złociste swe okienka;
Lub, gdy burze przerwą ciszę,
I zawyją huragany,
A zagrają te organy,
W których Bóg sam tknął klawiszce:
Wtedy w cudów tych kościele
Człowiek dumny gnie kolana,
Korne modły śle do Pana,
Stwórcę swego wielbi w dziele.
Tam ni stropy, ni kolumny,
Ta rąk ludzkich nikła praca,
Ni mu wykład słów rozumny,
Myśli świętej nie odwraca.
Tam modlitwy nie nie ziębi,
Lecz gorąca, rzewna, czysta,
Leci w niebo z serca głębi,
Tam gdzie światłość wiekuista!
Wten nas kościół niech wprowadzą
Duch i serce! to kapłani
Ręką Boga namazani!
Oni niechaj ślub nam dadzą!

Jednakże Stanisław upokarza się przed słowami Anny, pełnemi pokory i wiary, i idąc za jej radą udaje się do Rzymu, aby zastosować się później do tego, jak Ojciec Św. rzecz rozstrzygnie.

Tu zbliża się najsilniejsza perypecya, przesilenie akcji, i występuje jako potęga ujemna, przedstawiciel złego Łaszcz, Stanisława sąsiad, którego rękę Anna odrzuciła. Przejmuje on list Stanisława, donoszący o uzyskanj na małżeństwo dyspensie przy pomocy pustelnika, który wyjaśnił, że kochankowie nie są rodzeni lecz stryjeczni: i w miejsce tego listu podsuwa posłańcowi podrobiony przez siebie, w osnowie, że papież uczucia ich potępił, zatem Stanisław wstępuje do zakonu, a Annie poleca iść za Łaszczą. Na taką wieść Anna, jak gromem rażona, pada bez zmysłów. Wtém Łaszcz z naprowadzoną przez siebie szlachtą pod pozorem niedopuszczenia kazirodnego małżeństwa, a właściwie w zamiarze uprowadzenia Anny i zmuszenia do przyjęcia jego ręki, podpala zamek i usiłuje się doń wedrzeć. Domownicy, ostrzeżeni zawczasu, bronią się dzielnie; lecz ustępując przemocy, uprowadzają bezprzytomną prawie Annę w bezpieczne schronienie. Dopelnia się nemezys dramatyczna na osobie Łaszczą, którego odłam muru przygniata i zabija. Wtém zjawia się Stanisław i objaśnia Annę o wszystkim, ale wątle jej życie, nie zdołało wytrzymać téj gry wrażeń, tego przeskoku od rozpaczyny do szczęścia, i łamie się jak słaba latorośl, dwoma prądami wiatru, walczącymi z sobą miotana. Stanisław nie chce wierzyć ciosowi, jaki nań spada.

Oddechem skrzeple twe tętna rozmrozę!
 Tu przy mem łonie rozgrzeję twe tchnienie!
 Moją miłością zapalę istnienie!

PUSTELNIK.

Radość zabiła. To twój wyrok Boże!

STANISŁAW.

O! nie bluźń starcze! To wyrok szatana!
 Bóg-sprawiedliwym, nie karze bez winy!

PUSTELNIK.

Tyś zgrzeszył myślą, a w sądzie przedwiecznym
 Na każdy grzech nam kara naznaczoną:
 Chociaż jej ojciec był twemu stryjecznym,
 Myśl była grzeszną—Kochałeś rodzoną.

W tym ostatnim wierszu wypowiedzianą jest myśl główna, niby dusza dramatu unosząca się nad nim.

Tu jeszcze epilog, tak zakończony;

STANISŁAW (*patrzac na księzyc*).

Witam cię lampo w tym moim kościele!

To znak przyjętej ofiary za winę.

Idźmyż więc Anno zamieszkać ruinę;

Przy grobach ojców i tobie pościelę.

W trunnie nad licem okienko ci zrobię,

Przy niem z miłością do śmierci osiędę;

Niech jasno będzie od twych lic w twym grobie,

A mnie lżej z bolem, gdy w nie patrzeć będę.

(*bierze martwą i unosi ścieżką w górę ku ruinie*)

Oto mamy treść, w którą osnute przytoczenia dają zarazem wyobrażenie o zewnętrznych stronach wykonania. Wykonanie to swobodne i potoczyste, czasem świetne, miejscami płynie tak naturalnie z duszy poety, jak śpiew z gardziółka nieuczonego leśnego śpiewaka, jak woń z kwiatów wśród oddechu wiosny. Umiejętnie i właściwie użyte: w ustępach lirycznych, wiersz ośmiogłoskowy, z dowolną to trocheiczną, to trocheiczno-amfibrachiczną miarą, a znowu w dyalogach, jedenastozgłoskowy. Tylko *rustelnik* najczęściej mówi wyszukany uczenie wierszem miarowym; i to jedno chyba, co do obrobienia w szczegółach byłoby do zarzucenia. Całego zaś oddania w ogóle słabą stroną jest brak jedności i wirtualności ducha, jaka w niektórych tylko miejscach się objawia; ztąd wypłynęła druga wada, zbyt duża rozciągłość i niewyrazistość. A jakże autor odpowiedział warunkom dramatycznego tworzenia co do *działania i charakterów*? Co do akcji, możnaby ją przyrównać do strumienia, który sączy się zwolna wśród głazów, i aż dopiero przy końcu swego biegu pędzi prądem, przeskakując wszelkie zawady. W istocie rozwijanie się uczucia Stanisława i Anny, a następnie zbrodnicze knowania Łaszcza ciągną się przez cztery akty; wszystkie zaś przełożyły w działaniu od chwili odebrania fałszywego listu przez Annę aż do samej katastrofy, skupione w ostatnim, to jest w piątym, który też za to pełen jest dramatyczności. Z osób wyprawdzonych na scenę najwięcej życia ma w sobie drugorzędna postać Łaszcza: co się odezwie, to jak prawdziwy szlachcic, do życia mężkiego i swawoli, jak to wówczas miało miejsce, zaprawiony; język jego dziarski i dzielny. Główni przedstawiciele Sta-

niślaw i Anna widać że stworzeni w wyobraźni autora; to mieszkańcy świata fantastycznego, zamało w nich prawdy życia. Jeszcze Anna mniej może ulegać temu spostrzeżeniu, bo przynajmniej ta uidealizowana piękność niewieściej duszy jest konsekwentnie przeprowadzoną, i w niczém nie jest sprzeczną z samą sobą. Ale inaczej rzecz się ma ze Stanisławem: czyliż bowiem nie uderza ta nienaturalność, ta krewkość, ten szal uczucia, — gotowego wszystko co spotka podeptać, — w mężu dojrzałego, męskiego wieku, którego duch nabył żelaznego hartu w długoletniem życiu obozowém i na polu bitew, a przeto stał się już niezdolnym do gorączkowych wybuchów namiętności, które tylko z rozognionej wyobraźni młodzieńca wytrysnąć mogą. Z pomiędzy ogólnych zarysów szczęśliwie skreślona grupa rozbulanej szlachty zaściankowej, którą prowadząc na zamek Łaszczyca, uracza. Z prawdziwie staropolskim dowcipem odzywa się jeden z nich:

Oj ten Adam głupstwo zrobił,
Ze nie drapnął z raju zciha,
Nim mu Pan Bóg żebra dobył:
Nie byłoby tego licha.

Te uwagi co do odpowiedniości *Anny Oświecimówny* warunkom dramatycznego tworzenia, pozwoliliśmy sobie zrobić dlatego jedynie, że zwięźlejsze i żywsze poprowadzenie akcji nadałoby temu utworowi zupełne prawo do nazwy dramatu i to do dramatu przedstawialnego (scenicznego); nie możemy bowiem spostrzeżeniom naszym nadawać charakteru wykazywania ujemnych stron dzieła, skoro autor rości tylko dlań prawo do uznania go za poemat dramatyczny. Bo czyliż byłoby zasadnem zarzucać autorowi, że nie odpowiedział wymaganiom dramatycznej budowy, skoro zakreślając sobie dowolne granice dramatycznego poematu, przez to samo już był w prawie stwarzania idealnych postaci, tak dalece, że gdyby w żadnej nawet nie odezwało się tętno rzeczywistości, jeszczeby wówczas nie zbłądził: gdyż tego rodzaju utwór jest niczém inném, jak tylko wylaniem się liryzmu, jak pieśnią dyalogowaną, w której układzie gra fantazyi przewodniczy. Jeżeli więc lira zadaniu takiemu podoła, wówczas poeta cel zamierzony w zupełności osiągnął: a właśnie tóż najistotniejszą pięknoscią *Anny Oświecimówny* jest wdzięczne, miejscami nawet natchnione wysławianie nieszczęśliwej miłości.

Osnowę do tego poematu podała tradycja, którą spisał Żegota Pauli w *Starożytnościach galicyjskich* (Lwów, 1840): Szajnocha w *Szkicach historycznych* w poświęconej temu przedmiotowi osobnej rozprawie zbijając tę tradycją, uderza na poetyczne obrabianie takich podań, i godzi wprost na niniejszy poemat, którego wyjątki w jednym piśmie lwowskim przed czterema laty miały być ogłoszone.

„Możeż poeta, mówi Szajnocha, zapomnieć do tego stopnia całą przeszłość narodu, cały surowo moralny charakter tej przeszłości, nie przypuszczający najdalszej myśli o kazirodnych pomiędzy zacnym rodzeństwem związkach, aby blaskiem swoim opromienić przedmiot podobny? Przeistaczać fakt historyczny, wykrzywiać wszelkie pojęcia i wyobrażenia społeczeństwa dawnego, aby w końcu utworzyć obraz nienaturalny, szpetny moralnie, jestto podejmować pracę niewdzięczną”.

Nie możemy podzielić tego zdania znakomitego historyka, który zdradza swą chorągiew uderzając na poezją, gdyż sam jest niepospolitym poetą w myśli i w słowie. Bowiem obraz jaki nam *Anna Oświecimówna* przedstawia, bynajmniej nie jest *szpetnym moralnie*: owszem katastrofa jego jest poparciem i uwidomieniem zasad moralności i religii, potępiających kazirodne uczucia; z całości zaś wykazuje się dotykalnie: że jeśli Stanisław i Anna mogli się kochać, to tylko dlatego, że pozostawali w błędzie co do swych stosunków pokrewieństwa, że nie byli rodzonemi. Nadto myśl główna, wypowiedziana przez usta pustelnika, jasno wyjawia stanowisko etyczne autora. Że zaś obrobienie tego tematu bynajmniej nie jest pracą niewdzięczną, o tém świadczy rzetelna artystyczna wartość niniejszego poematu, którą w powyższym rozbiornie staraliśmy się wykazać. Wreszcie co do zapatrywania się Szajnochy na moralną stronę tego przedmiotu, pytamy się go: gdyby tak było jak utrzymuje, czyliżby wówczas zacna, czysta dusza zwiastuna nowoczesnego zwrotu naszój poezji, *Kazimierza Brodzińskiego* nie wzdrygnęła się na samą myśl przyłożenia ręki do podobnego utworu? A przecież Brodziński przetłumaczył wierszem dramat *Ducisa, Abufar*, którego treść w głównym pomysle jest prawie taką samą co i *Anny Oświecimówny*. Tu bowiem dwoje młodych Arabów *Faran* i *Salema*, dzieci Abufara, goreją dla siebie miłością występłą: *Faran* przerażony na samą myśl zdradzenia się ze swym uczuciem nawet przed *Salemą*, opuszcza namiot ojca swego, i narażając się na jego przekleństwo, tuła się po pustyni. Uczucie kochanków za powrotem *Farana* rozwija

się i objawia podobnie jak między Stanisławem i Anną; tylko że w Faranie orientalna krew płynie: porywa on się na Farazmina, godząc na jego życie, w przekonaniu, że ten stara się o rękę Salemy. Nareszcie stary Abufar wyjaśnia, że Salema jest sierotą, na świat przez jakąś niewiastę w pustyni wydaną, którą on wychować pragnął na równi z innymi dziećmi, i dlatego dotąd pochodzenie jej taj; poczem błogosławi związek Farana z Salemą, i Farazmina z prawdziwą swoją córką, Azelidą. Tym sposobem rzecz się kończy odwrotnie jak w Annie Oświecimównie, bo wcale spokojnie wedle życzenia czułych widzów i czytelniczek. Czyliż więc dzwignia dramatyczna w obu utworach nie jest jedną i tą samą?

Jeżeli jednak zważymy w jaki sposób charaktery i działanie rozwinął Ducis, to znajdziemy w nim wszystkie główne wady francuzkiego klassycyzmu: w Abufarze tak samo jak i w innych swych utworach, oraz w naśladowaniach Szekspira, Ducis nie ma należytego poprowadzenia akcji, ani życia w charakterach osób działających, które najczęściej zdają się tylko recytować deklamacje na jeden krój, choć w różnych przedmiotach przez autora utworzone, i osobom tym wypowiedziane. Najwięcej wdzięku ma czysty i pociągający objaw poetycznego talentu Ducisa, który tu najwyraźniejszym jest w wysłowieniu uczucia Salemy dla Farana:

Łzawą źrenicą twoje obliczałam ślady;
Tam gdzie się z ziemią styka niebiesko sklepienie,
Chciałam cię przez serdeczne doścignąć westchnienie.

Z pod tej palmy, gdy przed męm zniknąłeś już okiem,
Biegłam myślą za tobą wraz z piasków obłokiem.

Miejsca przecież takie są rzadkością, bo w ogóle dykcya Ducisa rozciąga, przyfrazowana, miękka i mdła. A i Brodziński, wówczas jeszcze pod wpływem francuskiego smaku snadź będący, temi samemi wadami język przekładu nacechował. Jakże ten język różnym jest od dykcji oryginalnych utworów Brodzińskiego, szczególnie od ważnego w literaturze naszej pojawu *Wiesława!* Jaka tu naturalność, jaka prawda! ani śladu tej chorobliwej czułości i ekliwej miękkości.

Nadmienić winniśmy, że *Abufar* jest niedorównyującym wzorowi naśladowaniem dramatu Campistrona-*Tyrydata*, o którym nie mając go nateraz pod ręką bliżej mówić nie będziemy; wspomnimy tylko, że tematem tego dramatu jest miłość nie mniemanego rodzeństwa, ale rodzonych brata i siostry. To samo roz-

winał Kalderon w *Nabożeństwie do krzyża* (*Le devocion de la Cruz*, i jego naśladowca Grillparzer w swojej *Almfrau* (Matce rodu). Między temi dwoma dramatami a Anną Oświecimówną i Abufarem co do pomysłu zachodzi zupełna antyetyczność: w ostatnich kochają się ci, którzy się kochać mogą, i cała dramatyczność polega na błędnym ich mniemaniu że są rodzeństwem; kiedy przeciwnie Kalderon i Grillparzer przedstawiają miłość dwojga kochanków, którzy nie przypuszczają nawet, że jakkolwiek związek krwi między niemi zachodzi, i dopiero traf odkrywa okropną prawdę kazirodnego uczucia: ztąd to i możność wydobycia potężnego efektu. Różny sposób rozwinięcia zadania świadczy zarazem o twórczych zdolnościach obu dramaturgów. Grillparzer zwolennik fatalistycznego dramatu, stworzonego przez Zacharyasza Wenera, dochodzi do odrażającej ostateczności, do *incestum consumatum*. Gieniusz Kalderona w *Nabożeństwie do krzyża*, należącym do najświetniejszych jego dzieł treści poważnej i dążności religijnej (tak nazwanych *comedias del raiido, divinas*), będącym wiernym odbiciem mistyczno-fanatycznych i fatalistycznych wyobrażeń hiszpańskiego katolicyzmu, gieniusz ten wymownie się okazuje w trafnym powstrzymaniu przeciwnaturalnego uczucia w chwili ostatecznego wybuchu namiętności: pozwala on nawet Euzebiuszowi zabić brata swój kochanki Julii, ujmującego się za jej cześć, ale kiedy Julia, wirem szału porwana, już ma upaść, wtém Euzebiusz spostrzega na jej łonie piętno krzyża, jakim sam jestznaczony, i z przerażeniem od niej ucieka. Tym sposobem owym cudownym znakiem powstrzymuje się na samym krańcu czynu, przejmującego zgrozą. Ażeby pojąć ten wspaniale wykonany dramat, trzeba się głęboko wistoczyć w stan owoczesny religijnych wyobrażeń w Hiszpanii. Euzebiusz przez nieograniczoną cześć dla godła wiary chrześcijańskiej, postawiony wyższem zrządzeniem pod jego opieką, pomimo dokonanych zbrodni, wszędzie doznaje tajemniczego wsparcia i ratunku, i nareszcie zostaje zbawionym. Dramat ten stanowi niejako *pendant* do innego pod nazwą *la Exaltacion de la cruz* (Podniesienie krzyża), którego treścią jest odzyskanie przez cesarza Herakliusza krzyża świętego z rąk Chosroesa, króla perskiego, i umieszczenia go napowrót w kościele jerozolimskim; wszakże w tém podniesieniu krzyża Kalderon chciał zarazem symbolicznie uczcić chrześcijaństwo, wznoszące się nad światem jako światłość wiekuista.

Obfitość przedmiotu nie dozwala nam objąć jednem sprawozdaniem wszystkich utworów dramatycznych, w ostatnich czasach ogłoszonych; dalszy zatem ciąg niniejszego przeglądu niezwłocznie podamy.

Bolesław Wiktor.

Obrazek dziejów literatury polskiej dla młodzieży, skreślił Adam Poroj. Kalisz. Nakładem nowj księgarni Edwarda Rühl. 1858. W 8-ce. Str. 179.

Ukryty pod pseudonimem Poroja, autor zamierzył w treściwym wykładzie objąć całość dziejów literatury polskiej dla młodzieży. W wiadomościach *wstępnych* robi zapytania i odpowiada na nie: *Co to jest literatura?* Co jest historia literatury? Kto dotąd pracował nad dziejami naszej literatury? Ważność znajomości tej nauki. Jak się historii literatury uczyć należy? Jaki jest związek między dziejami literatury, a politycznymi dziejami narodu? Różnica historii politycznej od historii literatury. Główny rys narodu polskiego. Polski język. Rys kolei literatury polskiej. Jaki podział czynimy w dziejach polskiego piśmiennictwa? Odpowiadając pokrótce na te pytania i każde wyjaśniając zadanie, autor dzieli historią literatury polskiej, wedle (jak wyraża) natury dziejów naszego piśmiennictwa na siedm epok następujących: 1) Zaranek literatury od r. 960 do 1300. 2) Przedświt złotych czasów 1300—1500. 3) Złoty wiek 1500—1600. 4) Upadek 1600—1725. 5) Naśladownictwo francuzczyzny 1725—1825. 6) Odrodzenie 1825—1840. 7) Wzrost 1840—1857. Według tego podziału wykład swój wykończą. Pomimo szczupłości ram poświęca ustępy całe pisarzom polsko-łacińskim, a przez to daje zupełniejszy obraz od Lesława Łukaszewicza, który mu wreszcie co do pisarzy polskich służył za przewodnika. W ostatnim przecie okresie widzimy samodzielność układu i oceny pisarzy naszych od 1840—1857 r. W miejscach mniej dostępnych dla młodzieży, w przypisach daje objaśnienia. Znać w tej pracy sumiennosc autora studyów, jeżeli nie pojedynczych pisarzy z dawnych czasów, to z bliższych, a głównie studyowanie prac poprzedników swoich, którzy skreślili historią literatury polskiej. Nie możemy się jednak zgodzić z autorem na takie określenie co jest *literatura?*

„Piśmiennictwem albo literaturą (pisze we wstępie) nazywa się zbiór płodów piśmiennych jakiegoś narodu, stworzonych przez rozmaitych ludzi i wydanych w rozmaitych czasach od początku narodu aż do dni ostatnich. Literatura jest obrazem oświaty, który stosownie do pewnych epok pokazuje stopień umysłowości narodu: z dzieł więc piśmienniczych potrzeba sądzić o oświacie jaką miał lub ma naród w tych czasach, w jakich one stworzonymi zostały”. Jak autor tę definicyą swoją zastosuje do czasów Piastowskich, w których była oświata, a literatura nie istniała prawie: badania tylko instytucyj krajowych i stan społeczny, dają obraz oświaty w chwilach, kiedy mileży literatura właściwa; kiedy naród jęj nie ma i nie ma potrzeby jęj poczucia? Co autor mówi o języku polskim, zbyt powierzchowne daje wiadomości, bo język ten pomimo braku piśmiennych zabytków, już tak wysoce był wykształconym w życiu społeczném narodu, że piérwsi pisarze mogli go łatwo ująć w pismo, jak Rej, zachowując go w formie potocznej mowy; czy jak Jan Kochanowski, który go odział tak wdzięczną, pełną harmonii i uroku szatą poezyi; czy jak Ł. Górnicki użył do ram powieści w Dworzaniu, czy jak Leopolda, Wujek i w. i. do tłumaczenia Pisma świętego; że zakończymy ten szereg Piotrem Skargą, który wznosił ten język do najwyższego szczytu wzoru wymowy. Starczył on na wszelkie potrzeby we wszystkich gałęziach literatury ojczyznej. Ten rzut oka powinien autora był przekonać, że to język odwieczny, który wiele wieków wyrabiał się i doskonalił, że historia jego sięga poza kros naszej wiedzy historycznej i jest najpotężniejszém świadectwem samoistności rodu polskiego istniejącego wiele wieków naprzód, niż dosięgły nasze dziejowe badania. Nie możemy chwalić autorowi, że przy pisarzach nie dał daty ich urodzin i śmierci, a przeniósł to w dodatek. Wykład zyskałby na ścisłości i młodzież od razu nabyłaby wiadomości o czasie, w którym żył i w którym pisał. Usunięcie zupełne bibliograficznych wiadomości, przynajmniej dzieł najważniejszych, raczej niedbałości autora przypisać musimy; w epoce bowiem najmniej sto lat obejmującej, bez dat ważniejszych wielkie zamącenie, tém bardziej, jeżeli czytający nie zna historii polskiej.

Pomimo wszelako tych uchybień, możemy śmiało zalecić tę pracę do użytku podręcznego przy wykładzie literatury ojczyznej. Błędy jakie są, autor przy następnych wydaniach łatwo usunie, bo spodziewamy się, że *obrazek* ten znajdzie wkrótce upowszechnienie i edycya ta wyczerpaną niedługo zostanie, tém więcéj,

że cena książki dostępna dla każdego: kosztuje bowiem rubla sr. Radzimy autorowi dodanie dokładnego spisu rzeczy i alfabetycznego wykazu imion tych wszystkich pisarzy, o których w swoim obrazku wspomina. W ostatku nie uważamy za trafną myśl dodanie epoki VII od 1840 do 1857, której dał nadpis autor: „*Wzrost*”. Okres ten bowiem nic nowego nie wniósł do dziejów literatury polskiej. Co do poezyi niżej stoi bez porównania od poprzedniego (1825—1840), w gałęzi historii zubożał się więcej i zyskał historyka-artystę w Karolu Szajnosze: inni wielcy badacze ciągnęli prace dawne. Znaleźli się i nowi historycy, ale ci nie posunęli nauki historii tak wysoko, aby oddzielny okres dla nich stanowić można: w innych działach widzimy wielki upadek prawdziwej nauki, a wzrost literatury *rozrywkowej*. Stosy powieści i obrazków ubogaciwszy tę gałąź dawniej uboga, nie mogą być uważane za wzrost w znaczeniu właściwem literatury, ani w takiej być cenie, aby wyciskały oddzielne piętno swego okresu. Cóż więc mogło upoważniać autora do tworzenia siódmej epoki, która żadnej wybitnej cechy w sobie nie ma; w której pisarze żyjący ubogacają głównie niektóre tylko gałązki tego bujnego drzewa, ale nowych szczepów, któreby dały owoc i cień rozkoszny przyszłym pokoleniom w zagrodzie ojczystej, nie zasadzili? W plejadzie wielkich wieszczów (Mickiewicz, Brodziński, Zaleski, Goszczyński, Słowacki, Z. Krasiński, Magnuszewski, Pol, Bielowski, Siemiński, Ujejski, Lenartowicz) najpotężniejszy geniusz zamilknął już właśnie w epoce VI określonej przez autora. W gałęzi dziejów narodowych wszyscy właściwie do téjże epoki należą (Lelewel, W. A. Maciejowski, Szajnocha, Baliński, Malinowski, J. Łukaszewicz, Z. Helcel, D. Szulc, J. Muczkowski, A. Grabowski i w. i. Z wydawców E. Raczyński i Tytus Działyński); toż mówić o literaturze i krytyce: (Fr. Skarbek. Libelt, M. Wiszniewski, Kremer, M. Grabowski, Korzeniowski, Kraszewski, Tyszyński, H. Lewestam, Trentowski, J. Dzierzkowski, H. Rzewuski i w. i.). Słowem gdziekolwiek rzucimy okiem i badać zaczniemy prace naszych pisarzy, którzy stanowią w *obrazku* ostatnią epokę, znajdujemy mężów to z okresu czasów Brodzińskiego i Mickiewicza, to należących ściśle właśnie do téj VI epoki, którą autor dzieli bez żadnej potrzeby aż na dwie epoki. Tego podziału nie usprawiedliwić nie może.

K. Wł. W.

CZAS, DODATEK MIESIĘCZNY: zeszyt styczniowy 1858 r. Na czele czytamy rozprawkę p. Jana z Warszawy: „Kilka słów o pobycie Szwedów w Polsce w początku wieku XVIII.” Po krótkim wstępie, daje nam autor mało znany a zajmujący list szlachty polskiej, utrzymujących stronę Leszczyńskiego, do papieża Klemensa XI, który nakłoniony prośbami króla Augusta IIgo wydał bulę, zagrażając w niej wyklęciem od kościoła, jeśliby ośmielili się przeciwko Augustowi występować i uczestniczyć w koronowaniu Stanisława Leszczyńskiego, popieranego przez luteranina Karola XII. Krótki, ale pełen godności i energii ten list, rzuca niemałe światło na współczesne wypadki. Równie ważny, a szczególnie zajmującym jest przytoczony w końcu list Piotra Wielkiego do Augusta IIgo, w którym z całym oburzeniem szlachetnym, wyrzuca ostatniemu niegodne względem siebie postępowanie i zdradzieckie wydanie nieszczęśliwego Patkula.

Czwarty ciąg *Zapisek ornitologicznych* o bocianie, Kazimierza hr. Wodzickiego, z upodobaniem odczytaliśmy. W tak wdzięcznym i zajmującym sposobie podana nauka, musi znaleźć wielu zwolenników. Jeżeli autor, Zapiski swe uzupełni co do ptaków i zwierząt krajowych i w osobnej książce wyda, to może być pewny i nie jednej edycji tak zajmującego i nauczającego dzieła.

Józef Jerzmanowski ogłosił w tym zeszycie: Roczniki do dziejów *Podatrzka i Szpiza* z lat 1680—1748, spisane przez ks. Jana i Stanisława Owsieńskich proboszczów Jazowska. Pracę tę chociaż uważamy za nieobojętną dla dziejów Rplitej polskiej, sądzimy, że właściwsze byłoby jej miejsce w oddzielnej książce, niż w piśmie czasowém.

Konstanty Gaszyński, którego imię od lat z górą trzydziestu znanem jest w literaturze naszój, dał obrazek dramatyczny w 2ch częściach wierszem p. n.: „Wyścigi konne w Warszawie.”

Treść tego obrazka następną. Pan Bonawentura były prezes wojewódzki, przybywa do Warszawy na jarmark wełniany, i za procesem, gdzie mieszka właśnie jego córka pani hrabina z dorosłemi już córką Teklą i synem Marcellim. Scena pierwsza daje nam poznać p. Bonawenturę i wnuka.

P. MARCELLI.

Jak to dobrze wypadło, że dziadzio łaskawy
Na sam czas nam przybyłeś wczoraj do Warszawy.
Bo dziadunio już musiał wyczytać z gazety,
Coto za świetne jutro czekają nas fety.

Nie pozostanie w mieście ani żywa dusza:
 Jutro, cały świat piękny pod Mokotów rusza.
 Polska, w drodze postępu, kołem leci chyżem,
 Stanęliśmy na równi z Anglią i Paryżem:
 Mamy wyścigi konne—*sport* wzmaga się wszędzie,
 A jeśli rząd pozwoli i *Jockey Club* będzie.

P. BONAVENTURA.

Mój kochany Marcelku, gadasz waść androny,
 Od których, ja dziad stary, już odzwyczajony;
 Cóż mnie obchodzą fety, *sport* i inne duby?
 Co do klubów, to warto, by was wzięto w kluby!
 Przyjechałem tu w ważnym dla mnie interesie,
 I muszę z mecenasem radzić o processie,
 A sprzedaż mojej wełny na kogoż ja zlecę?
 Wełna, pewniejszy produkt niż angielskie hece.

P. MARCELLI.

Ależ drogi dziaduniu, czasu mamy pełno:
 Ułatwi się interes z jurystą i wełną,
 Jutro *kursa* i na nich dziaduniu być musi.
 Mama jak najsołenniej przyrzekła Teklusi,
 Że ją wezmie—a dziadzio powiezie kobiety:
 Już do wielkiej trybuny kupione bilety.
 Tylu pięknych projektów niszczyć się niegodzi
 Zwłaszcza, kiedy się dowie dziadunio dobrodziej,
 Że tu idzie i o mnie: bo ja temi czasy
 Sprowadziłem z Londynu klacz najczystszej rasy,
 Zowie się *Turtelsuppe*—jej ojcem był—znany
Sir piper w stajniach księcia Norfolk hodowany,
 A matką *Mistress Pickle*, klacz dziwnej zalety,
 Co w kursach zawsze pierwsza stawiała u mety.

P. BONAVENTURA (*śmiejąc się*).

Ho! ho! to nie przelewki! Wascina kobyla
 Z nie lada antenatów na świat zejść raczyła,
 I może z Bucefałem krewieństwo wykaże!
 U Angielczyków, widzę, są końskie herbarze,
 I waść się ich wyuczył jak gdyby pacierza:
 Jest to arcy potrzebny kunszt—dla masztalcerza!
 A czy też wie dokładnie pan Marcell dobrodziej,
 Jakie imię miał dziad mój? i z kogo się rodzi?
 Ja i moi współcześni, wszyscyśmy wiedzieli
 Familijne alianse z miecza i kądzieli.
 To były nasze studia od lat niemowlęcych,
 I niestało nam czasu do metryk zwierzęcych.

P. MARCELLI.

Niech kochany dziadunio tak bardzo nie łaje,
 Każdy wiek ma odrębne mody i zwyczaje;
 Dziś Europa końskimi kursami zajęta:
Sportem bawią się lordy, grafy i księżta.
 Więc dziadzi nie zadziwi to jeszcze wyznanie,
 Że nie tylko klacz moja do wyścigów stanie,
 Lecz że zamiast żokeja ja sam jej dosiędę,
 I przez dwanaście baryer przeskakiwać będę!

P. BONAVENTURA (*z oburzeniem*).

Wszelki duch Pana chwali! Czyż mnie słuch nie myli?
 My szlachtu, starój daty, tegośmy dożyli,
 By patrzeć, jak przed obcą rzeszą nasze wnuki
 W dłoni zdolną dzierżyć szablę, ująwszy munsztuki,
 Puszczają się na hece i łamane sztuki!...
 Siwój mój głowie, tego waś oszczędzisz sromu,
 A tożto byłby splendor dla naszego domu,
 Gdyby się kraj dowiedział, że prawnuk daleki
 Tych, co mężstwem i radą słynęli przed wieki,
 Co w rodzie senatory miał i biskupy,
 Zleciał na kursach konnych przez łob Turtelsuppy.

P. MARCELLI.

Dziadzio widzę się gniewa, a Pan Bóg wie za co!
 Nie! pokolenie nasze nie całkiem ładaco,
 Dlatego że ma zmienne zabawy i gusta:
 Inny Rzym był za Grachów, inny za Augusta!
 Czyż u nas przed stu laty byłoby stosownie,
 Gdyby jaki syn pański zakładał cukrownię?
 Jego dziadek senator wyrzekłby się wnuka:
 Możeby nawet przyszło do prawa *kałuka!*
 Dziś największe imiona fabryk się nie wstydzą,
 Gdyż w tém i dobro kraju i zysk własny widzą;
 A ze starych portretów wiszących u ściany,
 Zapewne im nie łają ich przodki hetmany:
 Bo pieniąż jest zaszczytem, gdy zapracowany!
 Tak samo, dziadziu drogi, dziś *sportu* rzemiosło
 Z Londynu i z Paryża do nas się przeniosło:
 Nie splami się od niego moja tarcz herbowa!

(*Pokazując sygnet na palcu, z uśmiechem*).

Prawda! krzyż na niej błyszczy—lecz jest i podkowa!
 Zresztą zajęć na seryo wśród Warszawy mało,
 Nuda cięży jak ołów nad młodzieżą całą
 Czujemy nadmiar życia i chęć do działania,
 A działać według serca tysiąc przeszkód wzbrania!

Musim się więc zatrudniać tém, co nam niewzbronno:
 Pokochaliśmy stajnię i wyścigi konno,
 I galopujem z hardóm lecz smętném obliczem:
 Wolelibyśmy z szablą— a musimy z biczem.

P. Bonawentura zastrzega sobie żeby wnuk sam nie harcował: ale ten mu pokazuje program już wydrukowany. Co widząc starzec wpada w gniew niemały: i pomimo wymownej obrony młodzieńca wyścigów, a zład przeważnego wpływu na polepszenie rasy krajowych koni, zapowiada, że woli pójść na konne sztuki *Benza* niż na wyścigi. Wnuk nasyła matkę swoją ze siostrą, które prośbą i przymileniem przełamują upór dziadka, który w końcu przyrzeka że razem na pola Mokotowskie pojedą. W części 2-jej p. Bonawentura, przy naradzie prawnej dowiaduje się od Dyderskiego mecenasa, że wnuczek po rządym ojcu objąwszy gospodarstwo, cały majątek obdłużył: a do tego marnotrawstwa przyłożyła się głównie kosztowna stajnia i utrzymywanie drogiej, wyborowych, do wyścigów koni. Wchodzi p. Tatar-koski ekonom i donosi, jak był świadkiem zatradowania stajni wnuka przez komornika. Pani hrabini tłumaczy, jak zwykle matka swego syna: poczciwy dziadek płaci dług wnuka, który wyrzeka się zbytków stajennych, przyrzekając poprawę i zajęcie się sumienne na wsi gospodarstwem. Uradowany starzec, kończy temi słowy i zamyka obrazek:

Ten dzień, nie do feralnych dni życia policzę:
 Zaczęty go niepokój, smutki i gorycze;
 Teraz myśl już spokojna—serce we mnie chroboc:
Nie masz złego, któreby nie wyszło na dobre!
 Wnuk po płochych wybrykach młodzieńczego szumu
 Opamiętauy, wrócił na drogę rozumu:
 A żyd kursowe konie trzymając w areście,
 Od angielskiej mnie hecy uwolnił nareszcie!
 Mogę więc, rozmyślając nad tą szczęsną dolą,
 Wyrzec z Horacym: *Sic me solvavit Apollo!*

Obrazek ten pomimo małego życia dramatycznego i nierozwiniętej myśli całkowicie co do wyścigów konnych, jak ta instytucja oddziaływała u nas, ani zachowania miejscowego, że tak powiem warszawsko-mokotowskiego kolorytu, którego autor nie zna wcale: mógłby być z powodzeniem na scenie naszej wystawionym. Oddanie artystyczne charakterów, i wiersz wyborny nadają temu utworowi niepoślednią wartość.

Lucyan Siemieński w *Przeglądzie piśmiennictwa*, rzuca pogląd na piśmiennictwo polskie z r. 1857, i dobrze dzieli książki

wydane: jedno do chwilowych zjawisk, które nie wnoszą nic do skarbnicy narodowej literatury, drugie które są rzeczywistym a drogocennym jej nabytkiem dla nas i przyszłości. „Rzemieślnicza płodność (pisze) a twórczość zapładniająca, nie są synonimami: do téj ostatniej kategorii, stanowiącej właściwe duchowe bogactwo narodu, ileżto dzieł wydanych w upłynionym roku moglibyśmy sumiennie do téj kategorii odesłać. Poczët ich niedługi, lecz znaczący. Dość tu wspomnieć z uszanowaniem przyjęte dzieło A. Z. Helela: *Starodawne prawa polskiego pomniki*, a zasługują aby rozbiór onegoż i ocenienie dokonane było przez jakiego głębokiego znawcę praw dawnych i historyka, na co zawsze dość czasu, aby tylko sąd wypadł dojrzały. *Fizyologia* Dr. Majera, wniosła światło do téj gałęzi poczynającej się u nas umiejętności, zdobywając i porządkując tę masę doświadczeń, jakie w tym przedmiocie dokonano gdzieindziej. W historii, Szajnocha wydał dalszy ciąg historycznych szkiców, w których wiele zawilosci, błędów lub opuszczeń wyjaśnia, prestuje, wprowadza. Są to przygotowane roboty, cegiełki dla przyszłego historyka; lecz napisane z tym artyzmem, że nie tylko samego badacza dziejów, ale i zwykłego czytelnika zajmować mogą. Bartoszewicz opisywał kościoły warszawskie, więcej jednak zrobił i dał, jak zwykły dawał teksty do ilustracji”. Czy z umysłu, czy z zapomnienia przepomniał tu Siemiński wiele prac i utworów, które nie chwilową, nie *rzemieślniczą* jak dobrze wyraził mają wartość. Do rzędu tych policzyć należy: *Historią prawodawstwa słowiańskich Maciejowskiego*, której dwa tomy pierwsze wyszły w r. 1857; utwory poetyczne W. Pola, między temi nieznanym dotąd *Wit-Stwosz*; poezye Teofila Lenartowicza, Kornela Ujejskiego; wydanie Biblioteki K. Turowskiego; wiele nakładów J. K. Żupańskiego, a głównie prace J. Lelewela i w. i. W dalszym ciągu mówi o wartości Pamiętników Duklana Ochockiego wydanych przez J. I. Kraszewskiego, zlekka wspomina o pamiętnikach Bartłomieja Michałowskiego, o których pismo nasze nie wspomni. Następnie rzuca trafną myśl co do obowiązków dzisiejszej krytyki. „Jedną z najpilniejszych walk obowiązujących krytykę, jest dziś bezsprzecznie walka realistycznych, tak zwanych naturalnych dążeń, z dotychczasowym idealistycznym kierunkiem. W piszących nie widać żadnego usiłowania do osiągnięcia w tworach swych zupełnej piękności, ponieważ zatopienie się w realizmie obudziło wstręt do idealizmu: ztąd najwięcej jest u nich pociągu do szorstkości charakterystyki i drobiazgowości

szczegółów; do chwytania portretów i sylwetek, zamiast stawiania typowych postaci. Srodze chybiają w tem, że to obrali sobie za cel sztuki, co jest tylko prostym łącznikiem między ideą a jej uzmysłowieniem, to jest płaski realizm. Mojm zdaniem, nazwałbym to kompromissem poety abdykującego z wysokiego posłannictwa w sforze ideału i ducha, na rzecz zewnętrznego świata w tój smutnej postaci w jakiej się przedstawia". Myśl tę szeroko rozwija, i zastosowyywa do *rzemieślniczego* wyrobu powieści i romansów. „W steku powieści naszych (mówi) ile to jest, pozwalamy zapytać się, takich postaci, coby miały swój żywotny i gruntowny organizm? Krom *Paska*, tego zapłodniela licznie sypiących się tomów, braci *Strawińskich*, żyjących kontrastem; szczytnego księdza *Robaka*, *Kwestarza Chodźki*, i *ostatniego z Siewkierzyskich*, wyłączając *Panie Kochanku*, który jest wyjątkowym oryginałem, zgoła oprócz tych kilku figur, nie mogących nam być odebranymi przez żadną literaturę, nie widzę nawet usiłowania, aby nowsze kreacyo chciały się wznieść do tój wysokości: owszem powieść wpadłszy na właściwe tropy, coraz więcej rezygnuje z niezbędnych warunków poetycznej kreacyi". Podzielając to zdanie Siemińskiego, nie możemy zataić naszego podziwienia zapomnieniem *Mohorta*. Po *Pasku*, *Mohortowi* należało miejsce: tój posagowej postaci rycerza-szlachcica starój Rzeczypospolitej polskiej. Naszym zdaniem, jest to postać tak wzniosła, pełna prawdy a uroku czasów Rtój naszej, że z tamtego okresu nie obok porównania nie wytrzyma. Zatraciliśmy już w sobie pojęcie charakteru naszych naddziadów, tę wielkość poświęcenia, to chrześcianina i katolika uczucie, co ich ożywiało: zdrobnieni uczuciem i myślą, patrzymy na posag *Mohortowski*, i wielu niedowiarków z powątpiewaniem mówi: „Alboż to typ prawdziwy, to ideał: wreszcie takich postaci nie było w rzeczywistości". Ci to mauluczy w wiedzy przeszłości, ani nie mogąc pojąć tego rodu rycerskiego, z komnat zamku Stanisława Augusta poglądając na bruki stolicy, nie wiedzą co było w kraju zacnego i wielkiego. Tam tylko takie jeszcze jawiły się gęsto jak *Mohort* posagowe postacie; dlatego pochwycenie i zachowanie w rapsodzie takiego rycerza-szlachcica polskiego, mamy za wielką zasługę Polowi: i poemat jego w literaturze naszej, przetrwawszy dzisiejsze nieuznanie chwilowe, zaprawdę, jako arcydzieło poezyi polskiej przejdzie w potomne wieki.

WZ.

KORRESPONDENCYE.

Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowym, odbyte dnia 20 lutego 1858 r.

Na tem zebraniu prócz czynności tyczących się restauracyi pomników z kościołów pogorzalych i sprawozdania pp. delegowanych do przygotowania wniosku w interesie majątku Towarzystwa; zajmowano się dyskusją nad potrzebą urządzenia wystawy starożytności, któraby ułatwiła naukowy przegląd tego, co kraj posiada z przedmiotów archeologiczną wartość mających. Uznawszy wystawę taką za niezbędną, do bliższego zastanowienia się nad jej wykonaniem zaprosił oddział kilku członków swoich, aby w tej sprawie na następne posiedzenie wnioski wypracowali. Dalej zastanawiano się nad korzyściami jakieby wynikły dla zabytków starożytności, gdyby byli mianowani po obwodach Galicyi konserwatorowie pomnikowych budowli. Wreszcie z uwagi, iż § 47 statutu daje Towarzystwu prawo ogłaszania zadań do nagród i konkursów na rozprawy, prowadzono dyskusją w tym przedmiocie, uznając konieczność rozwinięcia tej ważnej atrybucyi Towarzystwu służącej.

P. hr. Piotr Moszyński okazał trąbę z rogu czyli też kości do słoniowej podobnej, zdobną w nacięcia przedstawiająco między innymi jaszczurkę i łuk. Trąba ta (długa cali 30, średnicy cali 3, wagi 4½ funt. pols.) była z dawion dawna w posiadaniu u rodziny Skorupków Padlewskich. Na pyszczku jaszczurki jest wyryta data, którą p. J. Łepkowski poczytuje za r. 1212, a p. Z. A. Helcel sądząc, że data owa przedstawia rok 812, dodał: iż jak skoro cyfry są rzymskie, więc je nie w Polsce położono, ale u narodu, który pod te czasy był chrześcijański; wreszcie poczytał uczony badacz zabytek ten za wielce starożytny, a oddział idąc za tą opinią, postanowił uzyskać do zbiorów Towarzystwa odlew gipsowy pomienionej trąby.

P. Karol Rogawski z powodu tej dyskusyi, okazał oddziałowi i do zbiorów Towarzystwa darował: rysunek geometryczny trąby używanej niegdys jako godło przy zgromadzeniach górników wielickich, a dziś w archiwum ich przechowanej. Trąba ta jest cała z rogu bawolego (długa około 22 cale, średnicy w najszerszem miejscu cali 5), okuta skówkami srebrnemi ornamentowanemi w stylu odrodzenia. Podstawę a raczej postument stanowi około 4 cale wysoka figurka Herkulesa. Na skówkach są godła: orzeł Jagielloński, wąż Sforciów, Ogończyk, Bonerowa i rok 1534—oraz herb górników, z którego widać: iż trąba z młotkiem i kilofem godło ich stanowi. Seweryn Boner był żupnikiem wielickim od r. 1524 do 1549, miał za żonę Kościelecką (herbu Ogończyk), on więc sprawił tę trąbę górnikom.

P. Józef Mączyński przyniósł berelko srebrne (długie około 9 cali) z pozłacaną u góry koronką, a w jój otworze monogrammem *J. H. S.*— W wnętrzu korony w okół napis: *Judicate juste*; dolne zakończenie ma wyryte godło mieszczańskie (?) i służyło, jak się zdaje, za pieczętkę. Berelko to zaliczyć wypada do zabytków z początku XVI wieku, a należało do wójta krakowskiego, który występował z nióm przy aktach uroczystych; także w czasie wydawania wyroku na śmierć, wprowadzania w posiadanie i t. d. Ceremonie podobne np. *wzdawanie dziedzictwa* wedle prawa magdeburskiego, czytaj w *Jus municipale* (przekład Pawła Szczerbieza. Warszawa, 1646, art. XX, str. 56).

Z darów dla zbiorów Towarzystwa odebrano na tém posiedzeniu:

Od p. A. hr. Przezdzieckiego broszurę: *Sur la construction des salles dites des Géants par S. M. le Roi Frédéric VII de Danemark*, wydaną w Kopenhadze r. 1857, oraz poczet członków fundatorów Towarzystwa badaczy starożytności północnych.

Od p. Erazma Blockiego z Bartatowa 9 sztuk monet srebrnych i 7 miedzianych; wedle zdeterminowania przez pana T. Żebrowskiego, są one następujące: rzymska srebr. Antonina, rzymska miedziana Domicyana, grosz elbląski Zygmunta I r. 1539, trzy grosze gdańskie Zygm. Aug. z roku 1557 (ex. piękny), ort koronny Zygm. III z r. 1624, trzy sztuki szelągów koronnych Jana Kazimierza, dwa szelągi litewskie Jana Kazimierza, grosz miedziany Aug. III z r. 1755, grosz pragski Jana I (oberżnięty), takiż Waclawa II; wreszcie 2 sztuki monety austryackiej cesarza Józefa, jako: 3 kr. i 5 kr.—nakoniec 1 moneta nieczytelna bez wartości.

P. K. Mohr darował brązowy medalik św. Benedykta.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Słówko o wydawnictwie Galeryi królów polskich w zamku warszawskim niegdys będącej.

Z okoliczności przedsięwziętego wydawnictwa Galeryi królów polskich podług Bacciarellego, byłem niejednokrotnie pytany: „dlaczego ja jednocześnie prawie Galeryą królów polskich z wychodzącymi podobnego rodzaju portretami królów z zakładu litograficznego pana Pecqna, wydaję?” A byli i tacy, którzy nawet sądzili, że oba te wydawnictwa są przedmiotem jednym i tym samym, tylko formą odmienne.

Otóż tych, którzy nie wiedzą początku zajęcia się mojego dawniejszemi jeszcze czasami, tym zatem, obecnie rozpoczętóm wydawnictwem winniem objaśnić, a najprzód:

że Galerya królów polskich, *Stanisławowską* zwaną, jest zupełnie inną, i nie stosuje się w niczem ani do formy, ani do liczby portretów wychodzącej z zakładu p. Pecqna.

Galerya zamkowa powstała z wyraźnej woli i zleceń króla *Stanisława Augusta*, a malował wszystkie obrazy M. Bacciarelli znany mistrz malarzki z rozgłosu swojego, któremu w tym celu dostarczane były wszelkimi sposobami wszelkie materyale, jakie tylko zkałkolwiek i gdziekolwiek odszukano. Zdaje się więc, że musiał sumiennie odpowiedzieć i godności przedmiotu i woli królewskiej z zadowoleniem wszystkich, kiedy po ich ukończeniu odami i rozmaitemi wierszami je opiewano.

Tę więc Galeryę Stanisławowską obejmującą *licobrazy* królów, począwszy od *Bolesława Chrobrego* aż do *Stanisława Augusta*, zamierzylam wydać i obecnie wydaję. Myśl ta nie dzisiejsza: sięga ona dawniejszych nieco czasów, prawie epoki zaprowadzenia u nas pierwszej litografii. Kiedy w roku 1820 (a było to po pierwszym moim powrocie z za granicy) b. Kommissya Rządowa Wyznań i Oświecenia Publ. pod przydyconę ministra ś. p. Stanisława hr. Potockiego postanowiła wydać groby królów polskich pod tytułem: *Monumenta Regum Poloniae Cracoviens.* wezwala mnie reskryptem swoim z d. 18 września r. 1820 do współdziałania prac w wyrazach:

„Zamierzywszy wydać ozdobnym sztychem zbiór grobów królów polskich, i poruczywszy wykonanie tego dzieła tutejszemu artyście Dytrychowi, wzywa p. sekretarza biblioteki publicznej Piwarskiego, aby w tej ważnej i całej kraj obchodzącej czynności chciał być raczonemu artyście pomocą, wspierając go radą i talentem swoim”.

W téjto więc epoce czyli z rozpoczęciem wydawnictwa *grobów krakowskich*, powziąłem myśl wydawania *licobrazów* z galeryi zamkowej w pojedynczych arkuszach, ile że rozwijająca się u nas litografia i potwierdzenie tego mego zamiaru przez ś. p. ministra Potockiego, i wszelkie zachęcenia zdawały się ku temu sprzyjać.

Wszakże w sumy prawie zawiązku, zamiary moje doznały niepowodzenia. Ś. p. minister opuścił urządowanie, wkrótce nawet i umarł. Zajęcia moje tak obowiązkowo jak i przy wydawnictwie *grobów* powiększyły się, a tó samém i czas mój został więcej ograniczonym; zgóła zaglądalo już niejaki zniechęcenie: mimo jednak tego, mając już zebrane niektóre rysunki, wykonałem w r. 1821 pierwszy obraz, wyobrażający *Jana III*, drukowany jeszcze w litografii zaprowadzonej przez Siostrzyńskiego i pod jego kierunkiem. Że się w zupełności prawie udało, odbito 100 egz. które się zaraz rozeszły. Tém zachęcony wykonałem był zaraz *Władysława III Warneńczyka*, i ten pomimo szarej farby druku, nie prawie do życzenia nie zostawał. Tak miało iść dalej, ale że wówczas nie szanowano cudzej własności i starań, zaraz więc pani Letroune żona znanego w tym czasie rysownika i właściciela nowo założonej litografii, odkalkowała i skopiowała na kamieniu *Jana III* i podpisała: *faite par M^e Letroune*. Drukowano ten obraz swobodnie i puszczano w obieg, ile że pan Letroune miał sklep rycin i wszelkich tego rodzaju przedmiotów. Po wydaniu przezemnie *Warneńczyka*, jakiś pocelwiy Izraelita tym samym sposobem wystąpił z drugim obrazem.

Nie było na to rady! Postanowiłem więc sześć portretów w jednym okładzie wydać i tak następnie, żeby naśladowcy nie mieli czasu kopiować. Jakoż ukończywszy *Kazimierza Wielkiego* jak najstarszemu, ten mi w lito-

grafii pana Lotronno zepsuto, że ledwie jeden egzemplarz na pamiątkę otrzymałem. Robilem dalej *Batorego* po razy dwa, i ten także goz losu doznał. Nie zrażając się tóm wykonałem *Jadwigę*: drukowała się rozmaicie; tak samo Zygmunt III. Egzemplarze trzeba było wszystkie retuszować, a drukowano po 300 egz. *Władysław Jagiello* zupełnie zepsuty. Tak więc z liczby siedmiu wydanych obrazów, po kilka razy robionych, ledwie dwa świat Boży widziały. Z tego powodu po kilkoletniej znoej pracy i wyłożonych znacznych nakładach, trzeba było nie czekając gorszych następstw wydanie to zawiesić. Później okoliczności ku temu nie sprzyjały, ale próby robione i wyszłe niektóre obrazy, były wielu znane: znane i wydawcom królów polskich z zakładu litografii Pecqu'a. Nie moja zatem wina, żeśmy się razem w jednym wydawnictwie spotkali, bo mój zamiar co do wydania Galeryi królów polskich w zamku warszawskim, tak dawno rozpoczętej, wiadomy był dostatecznie każdemu miłośnikowi ojezycznych pamiątek.

J. Pławarski.

Wyjątek z listu Karola Szajnochy do K. Wl. W.

„W styczniowym zeszytc Biblioteki donieśliście o prawdziwie obywatelskim czynie pomocy, jakiej od swoich ziomków w Litwie doznał uczony Malinowski; coś podobnego mogę ja o sobie donieść z Galicyi. Z powodu ciągłej niemocy oczu, nie pełnię już od blisko roku obowiązków moich w zakładzie Ossolińskich. W takim razie przepisują ustawy zakładowe, aby choremu urzędnikowi zostawiono połowę pensyi, a za drugą połowę przydano mu zastępcę. Mimo najlepszych chęci dla mnie, musiał kurator zakładu zastosować się do wyraźnego przepisu założyciela. Pozostała mi tylko połowa dotychczasowego dochodu, nie pokrywająca ani połowy kosztów najskromniejszego utrzymania się z familią, a nadwątlone zdrowie nie pozwala zająć się z łatwością innym rodzajem pracy. W tak krytycznej chwili przychodzi do mnie hr. Włodzimierz Dzieduszycki, jeden z najmożniejszych obywateli kraju, i z własnych środków zapewnia mi na czas słabości odpadłą połowę pensyi. Takim sposobem ochroniony jestem od straty i mogę swobodnie myśleć o ratowaniu zdrowia. P. Włodzimierz Dzieduszycki jest członkiem Towarzystwa Naukowego w Krakowie, właścicielem znacznych zbiorów naukowych i przysłużył się literaturze wydaniem kilku dzieł znakomitych, mianowicie Bielowskiego: „Wstępu do dziejów Polski”.

Przywódziny ten ustęp z listu naszego historyka w całości, z nadmienieniem, że jakkolwiek tą wspaniałością Włodzimierza Dzieduszyckiego, odzyskał połowę straconej pensyi; wedle pewnie zasięgniętych wiadomości, słabość jego oczu wymaga długiej i kosztownej kuracyi.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1857.

131. Archiprezbyterowie i kapłani kościoła Maryackiego w Krakowie. Przez Józefa Mączyńskiego. Kraków, czeionkami drukarni „Czasu”. 1857. W 8cc. Str. 47. (Przedruk z „Dodatku Czasu”).

132. Dwaj lutniści. Obrazki z naszej przeszłości, przez Jana Zacharysiowicza. We Lwowie. Nakładem Wojciecha Manieckiego. 1857. W 8cc. Str. 218, i 5 kart tytułów i spisu. W drukarni Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich.

133. Gabinet medalów polskich, oraz tych które się dziejów Polski tyczą. Dopelnienie dzieła Edwarda hr. Raczyńskiego. Wydał Karol Beyer. Warszawa. W drukarni Józefa Unger. 1857. Zeszyt 1. Str. 32 tekstu, i 10 tablic fotograficznych odbić medali. Zeszyt 2, tekstu do 64 stronni-cy i 11 tablic. W 4cc. Cena zeszytu kop. 50.

134. Genealogia domu królewskiego de Bourbon oraz domów kró-lowskich: hiszpańskiego, Obojga-Sycylii i książęcego parmeńskiego. Z ory-ginału francuzkiego księgi złotój, przełożył, uzupełnił i wydał L. (udwik) de V. (idal.) Warszawa. 1857. Druk Karola Kowalewskiego, na ulicy Królew-skiej pod liczbą 1065. Ska wielka. Str. 140. Tablic genealogicznych VII. Kart napisowych 2. Okładka drukowana. Wybito egzemplarzy 300. W handlu księgarskim nie znajduje się.

135. Kazania sejmowe, także Wzywianie do pokuty obywatelów Korony polskiej, przez księdza Piotra Skargę, Towarzystwa Jezusowego. Z dodatkami mowy ks. arcybiskupa Wawrzyńca Gembieckiego do królewicza Władysława i odpowiedzi tegoż królewicza na tążę mowę; także z dodat-kiem podobizny własnoręcznego listu ks. Skargi do apostolskiego Nuncjusza Caligarięgo. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. W Krakowie. Nakład Wydawnictwa Biblioteki polskiej. 1857. Czeionkami „Czasu”. W 8cc. Str. 160.

136. Les Contes Jaunes ou le livre de l'enfance. Powieści Żółte czy-li książka dla małych dzieci. Wydanie trzecie. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza. 1857. W 16. Str. 189. W drukarni Alex. Gims.

137. Mowa żalobna na pogrzebie ś. p. Antoniny z Grudzińskich ge-nerałowej Chłapowskiej, miana w Rombinu dnia 4 maja 1857 r. przez ks. A. Rusinowskiego. Poznań. W księgarni Jana Konstantego Żupańskiego. 1857. Czeionkami M. Zoerna. W 8cc. Str. 20.

138. Pielgrzym w Dobromilu czyli nanki wiejskie z dodaniem po-wieści. Ozdobione 16 rycinami, rysunku W. Smokowskiego i J. Zienkie-wicza. Wydanie drugie Maurycego Orgelbranda, podług pierwszej edycyi warszawskiej. Wilno. Nakład wydawcy. 1857. W 8cc. Str. III i 427.

139. Rozbitki. Prolog napisany dla sceny polskioj w Lwowie przy jej nowém otwarciu, przez Kornela Ujejskiego. Lwów. 1857. Nakładem H. W. Kallenbacha. Z drukarni E. Winiarza. W 12cc. Str. 38.

140. Sobek Skórka albo Chata Grzegorzowa. Powieść na tle ludowém przez Felicyana Łobeskiego. Lwów. Nakład i druk E. Winiarza. 1857. 12. Str. 200.

141. Szkice i obrazki. Serya pierwsza. Warszawa. Nakładem i drukiem Józefa Unger. 1857. W 4cc. Zeszytów XII z 48 rycinami. Rsr. 3.

142. Święta Zofia. Wiersz Teofila Lenartowicza. Poznań. Nakładem księgarni Jana Konstantego Żupańskiego. 1857. Czcionkami N. Kamińskiego i spółki w Poznaniu. 18ka. Str. 22. Kop. 30.

143. Teka wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina. Wilno. Drukiem Teofila Glücksberga. 1857. Numerów dwa. (W Sec. Numer 1. Str. 276. Numer 2. Str. 316). Prenumerata na sześć numerów rsr. 6.

144. Wierszyki okolicznościowe i gawędki brukowe napisał Piotr (w Okowach) D(ederko). Warszawa. Nakładem i drukiem St. Nowakowskiego. 1857. W 12cc. Str. 84.

1858.

51. Boża czeladka. Opowiadanie we 3ch częściach przez J. I. Kraszewskiego. Tomów 3. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1858. W 12cc. Tom 1, str. 250. Tom 2, str. 335. Tom 3, str. 393. Rsr. 3. Kop. 50.

52. Drobiazgi powieściowe przez autora Kłopotów starego komendanta (Wilezyńskiego). Mohilew. Nakładem J. Sirkina księgarza. 1858. W drukarni J. Ungra w Warszawie. W Sec. 2 tomy. Tom 1, str. 258. Tom 2, str. 324.

53. Dzieje życia rodzinnego wszystkich starożytnych i tegoczesnych ludów, czyli wpływ chrystyanizmu na stosunki rodzinne. Przez X. J. Gaume, dawnego wikarynsza generalnego dyceczyi newerskiój, doktora teologii, kawalera orderu ś. Sylwestra, członka akademii religii katolickiej w Rzymie etc. etc. (Z godłem).

Si scires donum Deil (Joan IV. 10).

Tłumaczone z francuzkiego według drugiego wydania przez J. z P. B(elejowską) tłumacza Historii kościoła. Tomów 2. Warszawa. Nakładem S. H. Morzbacha księgarza. 1858 r. W Sec. W drukarni J. Jaworskiego. Tom 1. Str. XCIX wstępu i 265. Tom 2. Str. 515 i kart 2.

54. Kazanie w czasie pogrzebu ś. p. Bolesława Skirmuntta b. marszałka powiatu pińskiego. Minne dnia 2 marca 1857 roku, w kościele parafialnym pińskim. Przez X. Antoniego Moszyńskiego S. T. D. kanonika katedr. mińskiego, dziekana i proboszcza pińskiego, członka Towarzystwa Naukowego krakowskiego. Ska. Warszawa. 1858. W drukarni Gazety Codziennój. Str. 20.

55. Mowy pogrzebowe przy zmarłych różnego wieku i stanu. Napisane oryginalnie przez księdza Ant. Konrada Piramowicza, zgromadzenia księży Reformatów. Wydanie drugie. Warszawa. Nakładem G. Sennewal-

da księgarza. 1858. Drukiem K. Budweisera i Sp. w Krakowie. W 12cc. Str. 315, i kart 6 wstępu i spisu. Rsr. 1.

56. Meteorologia czyli nauka o zjawiskach w powietrzu dostrzeganych, o ich związku i wpływie na królestwo organiczne, a głównie na człowieka. Napisał P. Foissac Doktor medycyny... Przetłóżył Jan Baranowski. 8ka. 2 tomy. Warszawa. 1858. Nakładem Henryka Natansona (w drukarni Gazety Codziennej). Tom I, kart napisowych 2, przedmowy str. XIX i 446. Rejestru kartka 1. Tom II, napisów kart 2 i str. 504. Rejestru kart 2. Rsr. 5 k. 40.

57. Nauki parafialne niedzielno oraz przemowy przy Sakramentach i innych obrzędach kościelnych, napisane oryginalnie przez ks. Antoniego Konrada Piramowicza, zgromadzenia księży Reformatów w Sendomierzu. Wydanie drugie. Warszawa. Nakładem Gustawa Sennewalda. 1858. W 8cc. Drukiem Karola Budweisera i Sp. w Krakowie. Rsr. 1 kop. 80.

58. Obrazek dziejów literatury polskiej dla młodzieży. Skreślił Adam Poroj. Kalisz. Nakładem nowej księgarni Edwarda Rühl. 1858. W 8cc. Str. 179. Warszawa. W drukarni Alexandra Gins. Rsr. 1.

59. Pojawienie się Eleonory Lubomirskiej spoczywającej w grobach kościoła Św. Trójcy OO. Dominikanów w Krakowie, wydana na dochód podźwignienia z gruzów tegoż kościoła. Ze zbioru podań Józefa Mączyńskiego. Kraków. 1858 r. W 18cc. Str. 33. Drukiem Józefa Czecha.

60. Prawdziwe wyobrażenie oblicza Pana naszego Jezusa Chrystusa, z dołączeniem historycznej wiadomości tego obrazu. Kraków. W drukarni Józefa Czecha. 1858. W 4cc. (Kartka objaśnienia i rycina).

61. Sądownictwo w Królestwie Polskiem. Magistratury sądowe, Ich skład i etat plaey. Dla użytku urzędowego w roku 1858. Warszawa. W drukarni Rządowej przy Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. 12ka. Str. 112.

62. Starościna Bełzka, (Gertruda z Hr. Komorowskich Hr. Potocka). Opowiadanie historyczne 1770—1774, przez J. I. Kraszewskiego. (Z godłem):

I tak Wacław odrazu wszystko w świetle traci:
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci:
Ant. Maltowski.

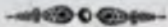
Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1858. W 12cc. 2 tomy. Tom 1. Str. 255. Tom 2gi. Str. 316. Rsr. 2 kop. 40.

63. Teka wileńska wydawana przez Jana ze Sliwina. Numer trzeci. Wilno, drukiem Teofila Glücksberga. 1858. W 8cc wielkiej, str. 388. Dodana do tego: „Ikonotheka. Zbiór notat o sztuce i artystach w Polsce. Przez J. I. Kraszewskiego. Wilno. Drukiem Teofila Glücksberga. 1858. Str. 32 i kartka wstępu. Przedpłata na VI numerów. Rsr. 6.

64. Wspomnienie z podróży po Tartaryi, Tybecio i Chinach w latach 1844, 1845 i 1846 odbytej przez księdza Huc Missyonarza zgromadzenia św. Łazarza; z francuzkiego przetłóżył Dr. Med. Alexander Kromer. (Z godłem):

Dilatet Dous Japhot, oi hlibilit in tabernaculis Sem. Gen. IX, 27.

Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1858. W 8cc. Str. 623. Rsr. 3.



DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

W ostatnich dniach lutego ożywiło się miasto nasze. Liczny zjazd obywateli na pierwsze zebranie Towarzystwa Rolniczego, pod prezesostwem Andrzeja Hr. Zamoyskiego, ruch niezwykle wywołał. Szczegółowe sprawozdania z odbytych posiedzeń, już pisma codzienne podały; my tylko dodamy, że zebranie to w poważne grono rodaków naszych, nadziei położonych nie zawiodło, a instytucya nowa w zawiązku, przy kierunku już widomym w dalszym rozwoju błogie dla kraju wyda owoce. Na tych posiedzeniach nieznane a niepoślednie okazały się intelligencye wpośród ziemian naszych: co dowodzi, że gdzie potrzeba kraju powoła, prawdziwych zdolności nam nie braknie. Roczniki gospodarstwa krajowego, wychodzące staraniem i pod redakcją And. hr. Zamoyskiego, przeszły już na organ Towarzystwa Rolniczego. Z początkiem lipca r. b. powiększają swój rozmiar: co miesiąc bowiem jeden zeszyt wychodzić będzie.

— Nakładem księgarza S. H. Merzbacha wyszedł tom trzeci pism Adama Mickiewicza, obejmujący pierwsze VI ksiąg Pana Tadeusza. Wydawca w przedmowie mówi: „W wydaniach powieści Pan Tadeusz, a głównie w ostatniej edycyi 1844 r. w Paryżu ogłoszonej, pokazało się wiele błędów i opuszczonych kilka wierszy, których brak był widoczny. P. E. Januskiewicz, powziąwszy wiadomość o wydaniu niniejszém, które ogłaszam, nadesłać nam raczył sprostowanie tych błędów i opuszczone wiersze z egzemplarza swego Pana Tadeusza, w którym własnoręcznie sam wieszcz nieśmiertelny, jedne poprawił, drugie dopisał (1).

„Prócz tego w rękopiśmie własnoręcznym Mickiewicza Pana Tadeusza, znalazły się nieogłoszone dotąd ustępy, które należą do uzupełnienia całości, a nadto warianty dość obszerne. Tak np. opisu puszczy litewskiej, oprócz textu, są dwa warianty. Opuszczone zostały w poprzednich wydaniach tej powieści albo dlatego, że je autor innymi zastąpił, albo że rad był z niektórych zrobić całopalną ofiarę dla swoich przyjaciół, a zwłaszcza dla ś. p. Stefana Witwickiego, nieubłaganego purysty. W niniejszém przeto wydaniu, dopełnienia autora, które własnoręcznie zostawił wśród textu, dajemy w niem, z oznaczeniem gwiazdkami każdego ustępu: warianty zaś, jakie były, w końcu każdej księgi umieszczamy.”

— Równocześnie prawie otrzymaliśmy i IV tom pism naszego wieszczka, obejmujący od księgi VII do XII Pana Tadeusza, z do-

(1) List z Paryża, 20 stycznia 1858 r.

pełnieniami i wariantami, jakie zostawił Mickiewicz. Nadto wydawca dodał wiadomość o poemacie z dziejów litewskich „Korybut książę Nowogródka”. Mickiewicz w r. 1822 w wydanych dwóch tomikach swoich poezyj w Wilnie, pierwszy raz ogłosił „Grażynę” powieść litewską. W pierwiastkowym przecież brulionie własnoręcznym dał temu utworowi napis: „Korybut książę Nowogródka, poema z dziejów litewskich”. W ciągu dalszym, już przy końcu, w miejsce Korybuta mieści Litawora. Główną postacią, bohaterką tej powieści była Karyna, którą w epilogu dopiero przezwali Grażyną. Rękopism ten pisany w kroju arkuszowym bez oznaczenia stronnic, jest dziś drogocenną ozdobą księgozbioru Alexandra hr. Przezdzieckiego”. Wydawca następnie szczegółowy daje opis tego autografu, porównywa go z drukowaną Grażyną i wydatniejszo zmiany przedstawia, podając cały epilog z rękopismu, ponieważ zupełnie się różni od drukowanego. Do tegoż tomu w końcu dodaną jest jeszcze Kasyda z arabskiego „Szafary”. W wydaniu tém pism Mickiewicza widzimy wielką staranność nakładcy i usiłowania w zebraniu wszystkich prac zmarłego wieszca. Jakoż wydanie to będzie o wiele bogatszem od wszelkich innych dotąd ogłoszonych drukiem, a nadto pomieści w sobie przekłady Mickiewicza, drobne poezye, i prelekye o literaturze słowiańskiej. Papiér w tym tomie znacznie grubszy, przez co i druk nowy umyślnie sprowadzony z Berlina do wydawnictwa tego, wydaje się lepij jak w poprzednich.

— Nakładem tegoż księgarza: „Tomasza Święckiego historyczne pamiątki znakomitych rodzin i osób dawniej Polski”, z przypisami Juliana Bartoszewicza wyszedł zeszyt IV i V: ostatni zamykający całość dzieła, opuści niedługo prasę drukarską. Przedsiębiorczy ten wydawca w dalszym ciągu Biblioteki historycznej zamierza ogłosić: „Dzieje Turcyi”, skrócony przekład z dzieła Hammera z poglądem na stosunki z Polską. Pracę tę w obszernych rozmiarach ukończył Leopold Hubert.

(Wyciątek z listu J. I. Kraszewskiego do K. Wł. W.). „Szczęśliwy jestem, żeście pochwalili Staropolską miłość, której właśnie tę część opisującą życie nasze szlacheckie, ja za najlepszą sądzę. Zobaczymy czy publika pojmie, że tu nie tylko o miłość kobiety, ale o braterskie uczucie całej naszej społeczności chodziło mi. Dostyc już bitew, szarmyców i waśni nakładziono na karb dziadów, których bez szabli i bizunu nikt wystawić nie umi: chciałem dowieść, żeśmy i inném też żyli życiem. W kwietniu przelotem będę w Warszawie: jadę za granicę; po drodze chcę zwiedzić Kraków i Karpaty z ołówkiem w ręku. Czterdzieści sześć lat nogą nie stąpiłem za ziemię naszą: jakie też ta późna peregrynacja zrobi wrażenie? Wyspowiadam się z niego zapewnie przed publiką.”

— Dr. Wiktor Szokalski ukończył już pierwszy tom swego dzieła: „Wykład popularny złudzeń fantastycznych, w celu wyko-

zrzenia zabobonów i przesądów ludowych," nad którym od roku już pracuje.

— W doniesieniu o tłumaczach fizyki Ganota, opuszczono nazwisko Bolesława Lutostańskiego, studenta tutejszej Akademii, który w pomienionym przekładzie czynny i przeważny wziął udział.

— Wspomnieliśmy dawniej o przygotowanym rękopiśmie Enejdy przeniecowanej przez Ferdynanda Dienheim Chotomskiego. Teraz donosimy naszym czytelnikom, że utwór ten już się drukuje w drukarni Alexandra Gins, i wkrótce wyjdzie p. n. „Publiusza Wirgiliusza Marona Enejdy przeniecowanej ksiąg dwanaście”. Wiele lat już upłynęło, jak tej przeniecowanej Enejdy pokazywały się wyjątki w dawnych pismach czasowych; więcej od tamtych czasów kraj doznał odmian: zmieniły się wyobrażenia literackie i pojęcie znaczenia poezyi. Autor, który w kwiecie wieku zyskał popularne imię w narodzie, utworami pełnymi prawdziwego humoru i dowcipu, dziś osiwały doświadczeniem lata, po długiej pielgrzymce w obcych krajach, wróciwszy na rodzinną ziemię, Enejdę swoją ogłasza. Pomimo zmian w wyobrażeniach literackich, jak mówiliśmy, utwór ten ma niepoślednie zalety dobrocią języka, użyciom zręcznym przysłów prawdziwie polskich, których cały skarbiec autor ma na zawołaniu, wreszcie dowcipu i humoru. Jak komedye Fr. Zabłockiego pozostaną nieocenionym pomnikiem dla naszego języka; tak z tych samych powodów i Enejda Chotomskiego ma do tego stanowiska w literaturze naszej niezaprzeczone prawo. Ktokolwiek kiedy poświęci pióro zbieraniu narodowych przysłów, i wykazując ich znaczenie, zechce przykładami objaśnić właściwe ich użycie: oprócz starych pisarzy naszych, Zabłocki i Chotomski najbogatsze podadzą mu zasoby. Równocześnie Chotomski przysłużył się młodzieży naszej akademickiej przekładem z niemieckiego fizyologii Juliusza Budge, profesora anatomii i fizyologii, dyrektora anatomicznego, i zootomicznego Muzeum w uniwersytecie w Greifswald. Książka ta zawiera 90 odbić drzeworytowych i 5 tablic z 19 miedziorytami. Polskie wydanie również będzie przyozdobione takimi figurami, które sam Chotomski ryje na miedzi. Dzieło to w Niemczech doczekało się już siedmiu wydań; z ostatniego wydanego w Wejmarze przekład dokonano. Nie wątpimy, że między księgarzami naszymi rychło znajdzie się nakładca, bo dzieło będzie pokupne.

— W Gazecie Codzienniej czytamy list z Kazania ks. Ostiana Galińskiego Bernardyna i wojennego kapelana przy IV okręgu wewnętrznej straży, zajmujący swoją prostotą, z którego dowiadujemy się o budowie kościoła rzymsko-katolickiego w Kazanlu. „Miło jest (słowa listu) że świątynia pod administracją robót Leona Janowskiego, robotnikami jakich dostać możemy, dźwiga się tu: zachwycało się serce od radości, widząc jak prawosławni zajmują się mularską, ciesielską, stolarską i rzeźbiarską robotą;

jak Tatarzy, Mordwa i Czuwasy zwozili i zwożą dotąd materyały, jak wiarusy katolicycy żyłasto swo ręce strudzone karabinem wznoszą ku świątynicy i błogosławią Pana.”

— Ogłaszano w tejże Gazecie listy do marszałka J. A. Miniszewskiego, które niemałe obudziły zajęcie, wyjdą w oddzielnej książce nakładem A. Nowoleckiego księgarza.

— Z listów otrzymanych z Rzymu dowiadujemy się, że Teofil Lenartowicz już od dwóch miesięcy złożony chorobą, przykuty jest do łoża. Kąpiele i wody jakie używał nie przyniosły mu ulgi. Z trwogą oczekujemy nowych wiadomości, w obawie, czy choroba nie przybierze zagrażających symptomatów. Zjadliwa a niesprawiedliwa krytyka na najnowszy jego utwór: Gładjatorowie, boleśnie dotknęła naszego wieszca, i na pogorszenie jego zdrowia wiele wpłynęła. Nie znamy jej, ale wiemy o jadowitości pióra, tak z uskarżających się listów poety, jako i z obrońcy jego, którą podjął Lucyan Siemieński i w Dodatku do Czasu na miesiąc luty r. b. umieścił. W Rzymie, pod okiem autora, ma wyjść nowe wydanie „Lirenki,” powiększone kalendarzem rolniczym, o którym już wspomnieliśmy.

— Napoleona Dębickiego arkuszy 2-gi „Scen życia,” obejmuje pięć scen. Na czele rycina z podpisem: „Et tu Maryniu contra me?” przedstawia przy ucztach dwóch smakoszy siedzących i podciętych, z których jednemu ładna Marynia nalewa szampana, drugi z rozbolełą miną wyczerpuje cały zapas łaciny jaka ma, w gorzkiej skardze, którą czytamy. Dwóch towarzyszy uczy stojących, zajętych jest zajmującą rozmową, a jak widać zastosowaną do dobroci wina.

Rycina z napisem „Poezya i proza” ukazuje poetę w zachwycie, który z wyciągnionymi w górę rękoma, radby ulecieć w powietrze; ale dwaj żydzi, wierzyciele snów jego, przytrzymują go silnie: to za poję, to za nogę. „Członkowie towarzystwa wstrzemięźliwości” ledwo się mogą na nogach utrzymać, i we dwóch każdy inną chce iść drogą. „Wenus i Amor” grupa mitologiczna, kopia z Thordwaldsena, przedstawia dobrze otuloną damę z wydatnym popiersiem, lornetującą, i rozpartą w faetonie Wenery, który dwa gołąbki ciągną. Podziły elegant ze skrzydłami Amora przygląda się przez okulary, przepływającej w kurzawie miejskiej piękności. „Ranek po pracowitej nocy,” zamykający ten arkuszy, przedstawia grupę kilkunastu mężczyzn śpiących smaczno. Butelki, kielichy i karty wymownie wskazują, w jak ciężkiej pracy noc poprzednią spędzili. Publikacja ta, odznaczająca się oryginalnością pomysłu, coraz większe znajduje upowszechnienie.

— Otrzymaliśmy od członka senatu i szambelana Fr. Skibickiego do przejrzania kopią mapy, w pałacu watykańskim na murze malowanej, samych miejsc gdzie były kościoły katolickie w Polsce za Piusa IV 1550 r., a przeniesioną na mur za Grzegorza XIII r. 1572. Obejmuje te części dawniej rzeczypospolitej:

Polonia, Litwa, Russia, Volyhnia, Podolia. Nazwy miast i grodów jedno są dobrze napisane, drugie z włoska przekręcone, inne do odgadnienia pozostają: co do ostatnich zachodzi ta trudność, że cała mappa niedbale jest skreślona. Zawsze to pomnik dla nas ważny i ciekawy. Właściciel tej kopii przesyła ją w darzo dla muzeum kommissyi archeologicznej w Wilnie, którego jest członkiem.

— Księgarz i typograf petersburski B. M. Wolff wydał: Żeligowskiego, znanego pod pseudonimem Antoniego Sowy, autora Jordana: 1) „Dziś i wczoraj”: rysy biograficzno-obyczajowe i bajki przez Onegdajskiego w II tomach. 2) Poezye Antoniego Sowy. W dwóch tych utworach szczególnie uderza wielka różnica językowa: w prozie wielka nieumiejętność władania ojczystym językiem; w wierszach nieporównanie język ten jest piękniejszym i czystszym. 3) „Podróż po księżycu” odbyta przez Serafina Bolińskiego, opisana przez Dra T. Tripplina.

— Z galerii królów polskich Jana Felixa Piwarskiego wyszedł wizerunek Bolesława Chrobrego w pięknym odbiciu z zakładu litograficznego M. Fajansa. Zeszyt pierwszy obejmujący portrety królów polskich, zdobiących niegdyś salę marmurową zamku warszawskiego, wyjdzie wkrótce i zawierać będzie wizerunki: Bolesława Chrobrego, Kazimierza Wielkiego, Ludwika króla węgierskiego i polskiego, Jadwigi królowej, Stefana Bato-rego i Jana Kazimierza. Na głównej karcie tytułowej przy ostatnim zeszycie przygotowuje wydawca wielce szacowną pamiątkę: będzie to w naturalnych rozmiarach korona Bolesława Chrobrego z rysunku najwierniejszego, jaką król Stanisław August pod swoim kazał zrobić okiem i pod nim własnoręcznie w języku francuzkim dał objaśnienie. Podpis ten cały w podobiznie będzie dany pod koroną. Po karcie tytułowej daje wydawca krótką wiadomość historyczną tak sali marmurowej zamku warszawskiego, jakoteż utworzenia i sposobu malowania tej galerii przez M. Bacciarellego. Znakomita ta publikacja p. Piwarskiego, wysoka jej wartość artystyczna, nie wątpimy, że znajdzie pośród rodaków naszych najchętniejsze przyjęcie.

— Jużemy nieraz donosili o pracach naukowych zacnej młodzieży naszej z Akademii medycznej warszawskiej. Obecnie student téż Akademii Mikołaj Lud. Bruner przełożył, przypisał i powiększył: „Zasady krystalografii Dra J. Müllera” i wydał nakładem W. Rafalskiego księgarza, z czterema objaśniającymi tablicami.

— Zapowiedziane mamy nowe pismo zeszytowe p. n. „Wolne żarty”. Pismo to będzie illustrowane drzeworytami podług rysunków Kostrzewskiego; dodane będą nieznanne dotąd u nas rebusy. Z treści po większej części nam znanéj, możemy rokować Wolnym żartom dobre przyjęcie i upowszechnienie.

— Wydawca Wieńca dla s. p. Stanisława Jachowicza ogłosił w pismach naszych, iż z powodu obfitości artykułów, speł-

nając życzenia zgasłego męża, ażeby wszystkie utwory nadesłane, ogłoszonymi były drukiem; dodany zostanie VII zeszyt z wizerunkiem St. Jachowicza, oliarowanym przez przyjaciela jego Seweryna Oleszczyńskiego, i prenumerującym toż pismo do 10 marca r. b. bezpłatnie dodany. Cena zaś dla tych, którzy później nabyć dzieło pomienione zechcą, wynosi rs. 4, kop. 50.

— Jeden z najpiérwszych naszych rzeźbiarzy Władysław Oleszczyński pracuje obecnie nad nowym pomnikiem dla ś. p. arcybiskupa Woronicza, który stanie w tém samém miejscu jak obecny w kaplicy katedry naszej. Szczerpłość miejsca robiła trudność niemalą każdemu artyście, którą Wład. Oleszczyński szczęśliwie potrafił zwyciężyć. Dwie postacie niewieście podpierające wieniec, okalający wizerunek kapłana-wieszczą, przedstawiają poozę i prozę. Model do posągu Kościuszki już wykończył: będzie to jedna z prac pomnikowych tego artysty.

— W teatrach warszawskich w lutym przedstawiono na teatrze Rozmaitości obrazek pani Birch-Pfeiffer: „Stary skrzypek;” w Wielkim, tragedya: „Dzieci Edwarda”. Wspominamy o piérwszym dlatego, że gazety nasze wbrew opinii publicznej potępiły Starego skrzypka bezwarunkowo; tymczasem publiczność na każdym przedstawieniu przepełniała teatr. Fakt to wymowny na krytykę naszych gazet.—„Ruch muzyczny”, pismo ciągle odznaczające się starannością redakcyi, mówiąc o Starym skrzypku, tak się wyraża: „Radziłyśmy więcć podobnych sztuk widzieć na naszej scenie, wolimy je bowiem: „ubrane w sukienkę przeczystej moralnej białości, praną nieustannie we łzach i nędzy poświęcenia” (wyrażenie Gaz. Warsz.), jak szare, plugawe obrazki paryzkie czy warszawskie, których dotąd pozbyć się nie możemy z naszego repertoaru. Nie jesteśmy tyle zużyci i przesyceni wrażeniami, abyśmy nie przyklaskiwali z młodzieńczą żywością myślom i uczuciom rozwijanym w Starym skrzypku. W całym teatrze dostrzedz to można było”. Przedstawienie tragedyi: „Dzieci Edwarda” jest faktem zwracającym uwagę ogólną, że teatr nasz od ćwierć wieku nie dawszy przystępu tragedyi, zatracił w młodych artystach tradycyą nawet poważnego dramatu. Na piérwsze przedstawienia teatr był przepełniony: oceniła publiczność szlachetne a gorliwe usiłowania artystów. Jan Królikowski odegrał główną rolę Ryszarda po mistrzowsku, wystudyowawszy ją sumiennie; toż mówić o Rychterze, jakkolwiek w posłedniejszej roli, ale talentem artysty umięjącego ją podnieść i uwydatnić. Obaj ci artyści jedni tylko byli, co grywali tego rodzaju dramata na krakowskim teatrze; reszta po raz piérwszy występowała w poważnej tragedyi. Panna Łapińska w roli matki, dając rękomią, że może zająć jedno z piérwszych miejsc artystek, byle do darów natury dołożyła pracy w wystudyowaniu powierzonych roli. W dzieciach Edwarda umiała wiele ustępów oddać z talentem. Ogół przedstawienia dowiódł wielkiej staranności i sumiennej pracy tych, którzy niém kierowali. J. Króli-

kowski po piérwszém przedstawieniu otrzymał list od Alex. hr. Przędzieckiego, który w imieniu miłośników sceny narodowej podziękował artyście za oddaną z takim talentem rolę Ryszarda.

— Karol Beyer wydał zeszyt 2gi dopełnienia dzieła Edwarda hr. Raczyńskiego: „Gabinet Medalów polskich, oraz tych, które się dziejów polskich tyczą.” Zeszyt ten obejmuje medale z panowania Zygmunta III: jest tu opis 25 nieznanych lub opuszczonych medali w dziele Raczyńskiego: z panowania Władysława IV medali szesnaście, wraz z odbiciem każdego fotograficzném jak najdokładniejszém. Text dokładny objaśnia opis medali. Gdy autor ukończy swoją publikacyą, praca jego uzupełniająca dzieło Ed. Raczyńskiego, będzie drogocennym nabytkiem dla literatury naszój. Tytuł, wstęp i wykaz medali, otrzymamy przy ostatnim zeszytcie.

— Nakładem W. Rafalskiego księgarza, zeszytami wychodzi: „Wykład początków fizyki doświadczalnej oraz meteorologii A. Ganota, z 558 drzeworytami”. Tłumaczyli z francuzkiego studenci Akademii warszawskiej Medyczo-Chirurgicznej: Ludwik Brzozowski, Lutostański, Łaguna i Mikulski; rękopism przeglądał Stanisław Przystański professor nauk przyrodzonych w téjże Akademii. Zawdzięczamy p. Rafalskiemu wydanie staranne a wyborne odbicie drzeworytów drukarni K. Kowalewskiego.

— Nakładem litografii A. Pecq'a wyszedł zeszyt 3 i 4, obejmujący wizerunki z Galeryi łowickiej arcybiskupów gnieźnińskich i prymasów, objaśnione textem historycznym p. J. Bartoszewicza. Zeszyty te zawierają portrety: 1). Piotra Leszczyca. 2). Marcina Zabawy. 3). Jakuba Zninus. 4). Piotra Szreniawity. 5). Jana Jaxy. 6). Błogosławionego Bogumiła Poraj. 7). Piotra Anonymusa. 8). Zdzisława Kozłoroga. Do tych zeszytów, dla prenumeratorów dodał wydawca bezpłatnie wizerunek czcigodnego i powszechnie wielbionego ks. Benjamina Szynańskiego biskupa dyecezyi podlaskiej, kommisarza jeneralskiego Kapucynów w Królestwie Polskiem. Slicznie to wykonany i odbity wizerunek, odznaczający się wielkiém podobieństwem oblicza, na którém wyraz religijnego i szlachetnego spokoju, jak i pracy myśli wyższej, wydatnie odbija.

— Ignacy Chodźko ukończył powieść w dwóch tomach p. n. Pustelnik w Proniunach. J. I. Kraszewski nadesłał: „Podróż króla Stanisława Augusta do Kaniowa w r. 1787.” i powieść w 3 tomach p. n. Metamorfozy. Wszystkie te trzy utwory drukować będzie w swoim odcinku Gazeta Warszawska.

— Nakładem litografii Pecq'a wyszedł wizerunek Adama Mickiewicza, wedle portretu Zofii Szymanowskiej (siostry żony zmarłego wieszcza), z natury malowanego na dwa lata przed zgonem poety.

— W drukarni S. Orgelbranda postępuje druk dzieł: „Dzieje Księstwa Mazowieckiego.” przez Kozłowskiego; „Gigantomachia Augustyna Kordeckiego,” (opis oblężenia i obrony

Częstochowy za Jana Kazimierza), przełożył z łacińskiego Józef Łepkowski; drugi tom przekładów Szekspira p. Komirowskiego. Wkrótce rozpocznie się druk Komedyi Boskiej Dantego w przekładzie ś. p. Juliana Korsaka.

— Rozrywek dla młodocianego wieku, pod redakcją Seweryny z Zochowskich Pruszkowej wyszły dwa tomy (drugiej seryi): druk trzeciego już się rozpoczął. Pełne treści naukowej i moralnej to pismo, odznaczające się najstaranniejszą redakcją, zasługuje ze wszystkich względów na jak największe upowszechnienie. Wykład literatury polskiej ogłoszony rozdziałami, pióra samej Redaktorki, który nazwała czytaniem, wysoki jest wartości; a łącząc treść dziejową z literaturą, zapoznaje zarazem młodych czytelników z historią krajową. Toż mówić o wspomnieniach dziejowych, listach z podróży i mniejszych powieściach. Z tłumaczeń, szczególnież zwracają uwagę wyciągi z dzieła ks. Ventury: „O stanowisku kobiety w społeczeństwie”. Przekład doborny, łączy z wdziękiem stylu rzecz zajmującą i nauczającą. Wspierają to pismo pracami swoimi Marya Ilnicka, Teofil Lenartowicz, K. z L. Lewocka, Józef Paszkowski, Adam Pług, Józef Łepkowski, E. Ziemięcka i w. i.

Kraków. Zapowiedziane ważne dzieło ks. biskupa Łętowskiego: „Historia i opisanie kościoła katedralnego w Krakowie” oparte na nieznanych dotąd źródłach, wkrótce zacznie się drukować. Tablice chromolitografowane, wykonane zostaną w znakomitym zakładzie litograficznym przy „Czasie”, którego dyrekcją objął Maxymilian Fajans, utrzymując stale i własny zakład w Warszawie. Zdolni rysownicy i litografowie, którzy się wykształcili w tym ostatnim, udadzą się do Krakowa, aby do dzieła ks. biskupa Łętowskiego przygotować tablice.—Walery Wielogłowski wydał powieść p. n. Jedynaczka: miejscem działania jest górzysty obwód sądecki.—W drukarni K. Budweisera wyszedł Szematyzm duchowieństwa tej części dyecezyi krakowskiej, która jest pod panowaniem austriackim. Brak w tém wydaniu staranności, bo przy pojedynczych kościołach, opuszczono daty religijne.

Poznań. Książd Dydyński drukuje nader zajmującą, pod względem dziejowym nawet: Kronikę miasta Kłecka, z ksiąg miejskich i kościelnych zebraną. J. K. Żupański nakładem swoim drukuje Zbiór poezyi Salvatora Henricolo (Henryka Merzbacha) p. n. Lutnia. Dodatek Czasu mówi: „Mają to być kwiateczki dość świeże i wonne, pisane w sposobie Hejnego. „Pierwszy zeszyt na r. b. Przeglądu poznańskiego będzie kazanie ks. Semeneńki, przeciw nauce Towiańskiego wymierzone. Kapłan ten został w Rzymie konsultatorem indexu, ztąd wnosić należy, że pisma wykładające marzenia towiańszczyzny, uznane zostaną za przeciwne nauce kościoła, i w spisie rzymskich ksiąg zakazanych umieszczone. Na jedenastém posiedzeniu Towarzystwa naukowego wydziału historycznego, Kazimierz Szulc odczytał plan podający sposoby zbierania materiałów z którychby mógł być drukowanym opis W. Ks. Poznańskiego pod względem archeologicznym, historycznym i statystycznym. Wybrane kommissyą do ocenienia rękopismu Józefa

Lompy: „Zbiór przysłów górno-szlązkich”. Radziłyśmy ujrzeć tę pracę Lompy jak najrychlej w druku, a gorliwych Szlązaków prosimy ażeby zajęli się zebraniem pieśni ludu tego, podań i powieści. Ten brak, dotkliwie miłośnikom literatury ojczyźnej uczuwać się daje. Przedsiębiorczy i zasłużony dobrze J. K. Żupański księgarz, nie pożałowałby nakładu na druk tak zbioru przysłów, jakoteż pieśni i podań, jeżeli prośba nasza trafi do uczonych szlązkich.—Na zgromadzeniu Towarzystwa umiejętności w Ostrowie prof. Cywiński czytał rozprawę: „O formie rządu w dawnej Polsce”. Upadek Rptej upatrywał w *liberum veto*. Nam się zdaje, że trochę głębiej zajrzeć trzeba w przeszłość, a ważniejsze znalazłyby się powody nad *liberum veto*. W miejsce dotychczasowego prezesa Towarzystwa naukowego poznańskiego, wybrano Tytusa hr. Działyńskiego.

Lwów. Wysłył poezye Adama Pajgerta, odznaczające się talentem a nieraz i wyższm poetycznym natchnieniem. Tom drugi poezyi tegoż autora ma być wkrótce ogłoszonym, i obejmować będzie, oprócz wielu przekładów z Longfellowa, Wiktora Hugo, i tłumaczenie tragedyi Szekspira „Juliusz Cezar”. Nakładem księgarza Wilda kończy się druk rozprawy Szajnochy: „Lechicki początek Polski”. W drukarni Zakładu imienia Ossolińskich drukuje się tom czwarty Słownika Lindego, i odbito pierwszy arkusz zapowiedzianego pomnikowego dzieła: Monumentów. Tom ten nakładem Wiktora hr. Baworowskiego, pod redakcją Augusta Bielowskiego, zawierający do 50 arkuszy druku, obejmie najdawniejsze pomniki do historii polskiej służące, począwszy od Jornandesa wzunia nek o Słowianach aż do XII wieku. Włodzimierz hr. Dzieduszycki dał nakład na druk dzieła: „Pierwoświat” to jest genealogia opracowana podług niemieckiego autora Inkesa przez Hip. Witowskiego. Widzicie, że często wymiewani nasi hrabiowie galicyjscy zaczynają być użyteczni; nie widzimy tego u was, choć macie zamożniejszych, ażeby (z bardzo małym wyjątkiem) zajęli się wsparciem literatury własnej.

Zagrzeb. Towarzystwo archeologiczne zagrzebskie wydało już czwarty tom zbiorowego pisma: „Archiwum do historii południowo-słowiańskiej” w narzeczu illirskiem. Tom ten, znacznej objętości p. Jana Kukuliewicza Sakcińskiego, starannie zredagowany, zawiera pomiędzy innemi: Żywot Stefana Deczańskiego cara serbskiego, przez Grzegorza Hegabena monasteru deczańskiego w XV wieku napisany. Krótkie latopisy horwackie przez Szymona Klimentowicza, Szymona Głanicza i popa Andrzeja Istryjanina w XVI wieku spisane. Słowo presbitera Kośmy o heretyckiej sekcie Bogomiłów (pomnik z XVI wieku). Uwagi nad dwiema legendami o apostołach słowiańskich, przez Fr. Raczkiego. O literaturze głaoglickiej przez J. S. Srezniewskiego. Żywot Fryderyka Benkowicza rzeźbiarza słowiańskiego. Listy oryginalne historyka Jana Lucya. Opis starożytności w Bośni, przez M. Medicza. Opis starożytności macedońskich przez Stefana Berkowicza. Niektóre ciekawości z Syrmii, M. Stojanowicza, i historyczne szkice z Syrmii przez E. Okrugicza. W Zagrzebiu ogłosił także J. Kukuliewicz Sakciński ważną pracę swoją: Sprawozdanie z podróży odbytej po Dalmacyi do Neapolu i Rzymu, z wyłączeniem poglądem na słowiańską literaturę, sztuki i dzieje.

Sanok. Wydawana przez księdza Ant. Załuskiego Biblioteka parafialna dla ludu katolickiego nie ustaje i coraz znajduje większe uznanie, bo gruntując w ludzie praktykę religijną przez dostarczanie duchowego pokarmu, uczy zarazem, jak z pomocą modlitwy wyrabiać w sobie zasady i uczucia świętej wiary katolickiej. Najświeższy tom złożony ze czterech zeszytów, mieści całą historią reguły i modlitwy Bractwa różańcowego N. Maryi Pałny, oraz pieśni kościelne i żywoty niektóre, jak ś. Katarzyny seneńskiej, świętej Róży, ś. Reginy, ś. Dominika, ś. Jacka, ś. Czesława i ś. Tomasza z Akwinu.

Leszno. Nakładem Günthera wyszła książka objaśniająca znaczenie i tajemnice kościelnych obrzędów p. t.: „O obrządkach kościoła katolickiego”. Przekład polski dokonany przez księdza S. K. podług szóstego wydania dzieła tego, napisanego przez ks. Mateusza Terklau.

Toruń. Wyszła tu książka w dwóch tomikach p. n.: „Jaskinia Beatusa”, wolny przekład z niemieckiego z dwoma stalorytami, nakładem i drukiem Ernesta Lambecka, 1858. Opowieść z czasów rycerskich. Na dowód treści moralnej ma aprobatę konsystorza wrocławskiego i warszawskiego.

Praga. Znany filolog słowiański Józef Fran. Szumawski padł ofiarą epidemicznej gryppy w Pradze 22 grudnia 1857 r. Ze śmiercią jego pozostały niedokończony obszerny słownik języka słowiańskiego sześciu głównych narzeczy: ruskiego, bułgarskiego, staro-cerkiewnego, serbskiego, czeskiego i polskiego, z którego pierwszej części niemiecko-słowiańskiej dotąd tylko kilka początkowych zeszytów aż do końca litery B wyszło. Zamierzone także poprzednio wydanie części słowiańsko-niemieckiej, z ogłoszeniem pierwszego tylko zeszytu ustało. Obszernej historii czeskiej w języku niemieckim przez Fr. Palackiego napisanej, wyszedł teraz tom IV, obejmujący czasy Jerzego Podiebradzkiego od r. 1439 aż do śmierci króla Władysława 1457 r.

Budyszyn. Na ostatnim posiedzeniu wydziału archeologicznego towarzystwa macicy serbskiej w Budzynie, czytał pan Wehla sprawozdanie o wynalezionych ostatniemi czasy w Łuzacyi pomnikach pogańskich, a mianowicie o posązku bożka Peruna, który r. z. z ziemi wydobyto.

Peszt. Wychodzi tu w języku węgierskim nakształt Niesieckiego herbarz rodzin szlacheckich węgierskich, z dodaniem herbów i tablic genealogicznych. Wydaniem tego obszernego dzieła trudnią się pp.: Nagy i Friebeisz. W IV poszycie znajdujemy wiadomość genealogiczną o rodzinie sławnego z przygód swoich partyzanta konfederacyi barskiej Maurycego Beniowskiego. Podobne temu dzieło: „Siedmiogrodzkie sławne rodziny z ich herbami i rodowodowemi tablicami wydał Wład. Kówary w Koloswarze r. 1850. Hrabia Józef Teleki ogłosił w Peszcie nakładem księgarza Emicha, XII tom obszernego swego dzieła historycznego: „Czasy Huniadów w Węgrzech”, do którego dodane są liczne dokumenta, podobizny pism i portrety. Historyk polski pracujący nad dziejami Władysława Warnieńczyka i Kazimierza Jagiellończyka, znajduje tu wiele przydatnych zasobów. Wyszły tu także biografie sławnych mężów węgierskich, zebrane przez Arpada Kerregyarto. Oddział pierwszy wydany obejmuje okres czasów do r. 1600.

Paryż. Katedrę, którą kiedyś zajmował Adam Mickiewicz, literatury słowiańskiej, a po nim Cypryan Robert, objął obecnie znany orientalista Alexander Chódzko, przyjaciel naszego wieszca. Głośną była jego improwizacja którą śpiewał, jako odpowiedź na pieśń Alexan. Chodźki, w której lot naszego poety, z orła lotem porównał. Trzydzieści dwa lat upływa jak tę improwizacją Dziennik Warszawski w r. 1825 ogłosił: przypomni ją młodemu pokoleniu:

Oleś! czemuż tobie zapłacę?

Za twoje rymy odwzięczę,

Ja duch mój wieszczy w obłędzie tracę;

Jakimż cię kwiatem uwieczę?

Ty jako sokół nad piękną błonią

Ujrzałeś orła w polocie,

Smutny cień skrzydła samotne ronia,

Lecz w oczach jego gwiazd krocie.

Tyle jest w ustach twoich łoskotu,

Tyle w twych oczach bystrości,

Tyś pojął tajnie orlego lotu,

Sam orzeł tobie zazdrości.

Orzeł z łabędziem raz już ostatni

Może swe pienia wywodzi.

Jeszcze go orszak otacza bratni,

Lecz straszna chwila nadchodzi.

Precz żal nie męzki, precz żal niewieści,

Zmienność ja nucę żalosa.

Bracia słuchajcie dzikiej powieści,

Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki,

Który z nich w lotnym przegonie

Gdy się spróbują, obaczą jaki

Ma usiąść na ptaszym tronie.

Orzeł wyleciał, któż go doścignie,

Kto żagle, takie ma pierza,

Kto kiedy orła w wiatrach wyścignie?

Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk, on się rozczulił,

On królem ptaków chciał zostać,

On się pod orła skrzydło utulił,

Bo orłu w locie niedostać.

Orzeł wyleciał, lecz się zmordował,

I spadł ku ziemi i zginął.

Kolibryk w jego skrzydło się schował,

Zkąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada, ty latać będziesz,

Adam gdy gnić, ty żyjesz,

Na jego tronie ty kiedyś siądziesz,

Jego się blaskiem okryjesz.

Tyś go zrozumiał, ty go wysławisz,

Ty piosnkę świętą zadzwonisz,

I duszę jego światu objawisz,
 I łezkę nad nim uronisz.
 Tak godną łezkę nad nim uronić
 Tobie zostało, mój bracie!
 Tobie i piosnkę świętą zadzwonić,
 Po przyjaciela utracie!

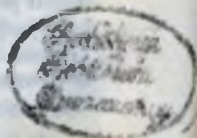
Owoż improwizacya ta była dziwną przepowiednią dla Alexandra Chodźki, która się dopiero teraz sprawdziła.

Na wystawie rolniczej departamentu Loary w maju r. z., zpośród jedenastu współubiegających się, jednomyślnie otrzymał najwyższą nagrodę nasz rodak Zieliński dzierżawca folwarku Corée, 5000 franków w gotowiznie i puchar wartości 3000 fr. Prefekt departamentu Loary w mowie swojej, tak nam zasługi jego maluje: „Nie posiadając żadnych prawie zasobów, oprócz swojej inteligencji i silnej woli; postawiony wśród najnieprzyjajniejszych warunków, w okolicy bezładnej, niezdrowej i nieurodzajnej: p. Zieliński potrafił przetworzyć ziemię, wyhodować poprawne rasy zwierząt domowych, zmienić niejako otaczające go żywioły, i znaleźć źródło bogactwa tam, gdzie dotąd niegdy miała swoje siedlisko. Zbadawszy naprzód warunki, wśród których się znajdował, przystąpił do praktycznego zastosowania spostrzeżeń swoich. Zaczął od urządzania zabudowań gospodarskich odpowiednich miejscowym potrzebom, założył płodozmian na wyrozumowanych zasadach oparty, zaprowadził uprawę roślin pastewnych, powiększył łąki naturalne, wykarczował pastwiska, pogłębił warstwę rodzajną, używając do tego udoskonalonych narzędzi rolniczych, zaprowadził drewny na przestrzeni 42 hektarów i zajął się hodowlą poprawnych ras zwierząt domowych. Zwrócił też szczególną uwagę na stan i potrzeby robotników, którzy odbierają stosowne wynagrodzenie i żywni są należycie. Po 12 latach wytrwałej i mozolnej pracy, p. Zieliński otrzymał zadziwiający rezultata, zyskawszy netto w ostatnich trzech latach 11983 fran. z dzierżawy, która kiedyś brutto zaledwie 8,000 franków przynosiła.”

Dnia 16 marca r. b. zmarł w Petersburgu Józef Sękowski uczonej filolog i historyk. Uczeń uniwersytetu wileńskiego, posłany na Wschód, poznał dokładnie języki: turecki, arabski i perski. Mianowany następnie professorem w wydziale wschodnim uniwersytetu petersburskiego, przez lat kilkadziesiąt wykładał literaturę wschodnią i tłumaczył autorów. Wydał *Collectanea* z dziejopisów tureckich, rzeczy do historii polskiej należących 2 tomy. Redagował w Petersburgu pismo humorystyczne *Balamut*. W r. 1833 założył „Bibliotekę dla cztonia”. Pisał także pod imieniem barona Brambeusa. Z tych pism, mamy kilka tłumaczeń.

* Zawiadamia się p. Wincentego Bierzmowskiego (z Litwy), autora „Poglądu na pierwszy zeszyt Teki wileńskiej ze stanowiska religijnego i społecznego,” że redakcyja rozprawy jego w piśmie swoim drukować nie może.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Luty, 1858.

| | m. | c. | l. |
|---|----------------------|----|-------------------------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 757.810 | 27 | 11.934 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 9 o g. 10 w. | 768.76 | 28 | 4.788 |
| Najniżej — — d. 1 o g. 10 w. | 736.43 | 27 | 2.456 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 4.345 | | 1.926 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 16—17 o g. 10 w. | 17.08 | | 7.572 |
| Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających | 7.696 | | 3.413 |
| Średnia temperatura lutego wynosi: i ta jest niższa o | 750.114 | 27 | 8.521 |
| od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających | — 8 ^o .07 | C. | — 0 ^o .46 R. |
| Najwyższa temperatura była d. 15 o g. 4 w. | 4.73 | „ | 3.79 „ |
| Najniższa — — d. 22 o g. 6 w. | — 3.34 | „ | — 2.67 „ |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | — 0.2 | „ | — 0.16 „ |
| Największa zmiana dzienna temperatury | — 19.1 | „ | — 15.28 „ |
| d. 17—18 o g. 6 r. | 2.622 | „ | 2.098 „ |
| Termometrograf wskazał: | 13.8 | „ | 11.4 „ |

Maximum: + 1^o.2 R. d. 16.
Minimum: — 15^o.7 „ d. 22.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 89.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 2.96 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.63 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z śniegu wynosi co do wysokości: 14.0 mil. czyli 6.21 lin. par.; ilość ta wody jest o 7.92 lin. par. mniejsza od tej jaka średnio w lutym spada.

Dni pogodnych było 13, napół pogodnych 5, pochmurnych 10.

Dni śniegu 6 (d. 1, 3, 15, 16, 17, 21).

— mgły 1 (d. 1).

— gradu (krup) 2 (d. 16, 21).

Wiatrów mocnych było 3 (1 PdZ., 1 Z., 1 PnZ.).

Wiatr panujący Wschodni i Zachodni; częste były także Południowo-Wschodni.

Luty r. b. był pogodny, suchy i bardzo mroźny, średnia jego temperatura jest — 6.46 stop. R. o 3.79 stop. niższa niż zwykle; miesiąc ten zimniejszy był o 7.4 stop. R. od grudnia r. z., a o 2.2 stop. R. od stycznia r. b. co jest przeciwnem zwykłemu biegowi temperatury. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 3, 15, 16; najzimniejsze d. 7, 8, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24. Barometr osobliwie przy wietrze Wschodnim i Południowo-Wschodnim utrzymywał się bardzo wysoko. Deszcz ani razu nie padał, a śnieg w bardzo małej ilości, tak iż woda z niego wynosi co do wysokości połowę tej, jaka zwykle spada. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3,9:6,7:17,6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 13:5:10.

D. 2, 7, 23 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 27 o g. 10 wiecz. i o g. 12 min. 8 w nocy koło białe otaczało księżyc.

D. 27 o g. 10 min. wiecz. zaćmienie księżycy cząstkowe 4 cale wynoszące. Podczas zaćmienia termometr o g. 11³/₄ wiecz. wskazywał — 10.2 C. barometr 27 cali 8.96 lin. par.

D. 28 o godz. 4 min. 11 wiecz. koło białe otaczało słońce.

Wysokość wody na Wiśle pod Warszawą największa stóp 6 cali 0 d. 1.
— — — — — najmniejsza stóp 4 cali 6 d. 28.



Biblioteka Warszawska najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca na pocztcie dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Ktoby jej z prenumeratorów na pocztcie nie odbierał w zwykłym czasie, to jest: najpóźniej w tygodniu po wyjściu, lub odbierał nieopieczętowaną, z kartami rozciętemi, pobrudzonemi; proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jej koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Daniłowiczowskiej pod Nr. 619.” W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadosyuczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, w razie nieodebrania zeszytu należnego raczył niezwłocznie o tem redakcyją zawiadomić.

Przedpłata na rok 1858:

1. *Przedpłata całkowita* wynosi na rok złp. 60 (rub. sr. 9).
2. *Przedpłata kwartalna* przyjmuje się za złożeniem złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszycie złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumeratorem podpisać winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumeratorem pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1858 za opłatą roczną w ilości złp. 60 (rub. sr. 9), lub *półroczną*, to jest za złożeniem naraz za *dwa kwartały* złp. 30 (rub. sr. 4 k. 50).

W Cesarstwie Rosyjskiem przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. 10, które nadesłać trzeba *franco* albo: do Expedycyi Gazet w Warszawie, lub wprost: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

Zamknąwszy pierwszy peryod nieprzerwanego istnienia swojego pisma, postanowiła redakcyja, z powodu częstych w tej mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratorem nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez zniżenie ceny. — Odtąd cały 10letni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, można nabyć tylko w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. za złotych 300 (rub. sr. 45). — Komplet z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845 i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40 (rub. sr. 6). Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856 i 1857 jako znacznie lub zupełnie wyczerpanych, zmniejszenia ceny redakcyja postanowić nie może. — Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplety. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5 (kop. 75).

Na przedpłatę całkowitą lub kwartalną na rok 1858, zapisywać się można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcyja wzywa i najuprzejmiej zaprasza do wspólnej pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane z wdzięcznością przyjmie, a nawet jest w gotowości opłacać na żądanie wszelkie zamieszczone w piśmie swoim prace, czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad, które przyjęła. Żądanie jednak zapłaty powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, księgarze i inni nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychlej wymienione w *Kronice bibliograficznej*, i ocenione w *Kronice literackiej* Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku składać tychże dzieł egzemplarz, do kantoru redakcyi przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

T r e ś ć.

| | Stron. |
|--|--------|
| Wybór poezyj Horacyusza w przekładzie polskim, przez tłumacza <i>Fausta, Gelego</i> | i |
| Kilka uwag historyczno-statystycznych o gubernii augustowskiej, skreślił <i>B. Tykel</i> (ciąg dalszy)..... | 58 |
| Przypisy do poprzedzającego artykułu, przez <i>Antoniego Wągę</i> | 66 |
| Dumy, pieśni i skazki ludu ukraińskiego, przez <i>Erazma Izopolskiego</i> | 73 |
| Rys historyczny opery polskiej z końca epoki panowania Stanisława Augusta aż do dni naszych, przez <i>Maurycyego Karasowskiego</i> | 94 |
| Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Obiory akademickie.— <i>La Jeunesse</i> , komedia w pięciu aktach wierszem przez Emila Augier. — Nowe wydanie podróży hrabiny Belgiojoso.— Podróż malownicza nad brzegami Renu, przez Edmunda Texier. — Wiadomości literackie..... | 123 |
| Pamiętnik z czasów rzezi indyjskiej, 1857 r..... | 148 |
| POEZYE. Most. (Z Wiktora Hugo), przez <i>Ludwika Niemojowskię</i> . 93. — Góral, przez <i>Wł. Chomętowskię</i> | 146 |
| KRONIKA LITERACKA. Przegląd dramatyczny. Czatterton, dramat Alfreda de Vigny, powiedziany po polsku przez Apolla Korzeniowskiego (Kijów. 1857 r.).— Samobójstwo jako sprężyna dramatyczna. — Wystąpienie A. K. przeciwko krytykom.— Dygressya o Fauście, El magico prodigioso i Manfredzie.— Porównanie Komedyi, dramatu A. Korzeniowskiego. (Wilno. 1856 r.) z Grybojedowa: Biada temu kto ma rozum (w przekładzie Józefa L. Lewińskiego. Warszawa. 1857).— Anna Oświecimówna, poemat dramatyczny Mikołaja B. Antonowicza (Lipsk. 1856); zdanie Szajnochy w tym przedmiocie. Porównanie tegoż poematu z Abufarem Ducisa (tłumaczenie Brodzińskiego), z La devocion de la Cruz, Kalderona, i die Ahnfrau, Grillparzera. Przez <i>Wiktora Bolesława</i> . 173. — Obrazek dziejów literatury polskiej dla młodzieży, skreślił Adam Poroj. Kalisz. 1858. Przez <i>K. Wł. W.</i> 193. — Czas, dodatek za m. styczeń r. b. Przez <i>Wł.</i> | 196 |
| KORRESPONDENCYE. Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowym, krak., odbyte dnia 20 lutego 1858 r. 202. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>J. Piwarskiego</i> . 203. — Wyjątek z listu Karola Szajnochy do K. Wł. W. | 205 |
| KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA..... | 206 |
| Doniesienia literackie..... | 209 |
| Dostrzeżenia meteorologiczne za m. luty r. b..... | 221 |

Tom IIgi: Zbiorn pamiętników do dziejów polskich, dołączony będzie do zeszytu na m. maj r. b.

Ukończono druk dnia 31 marca, 1858 roku.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

1858.

NOWA SERJA.

MAJ. ZESZYT XVII.

WARSZAWA.

W drukarni Gazety Codziennéj
przy ulicy Daniłowiczowskiéj N° 619.

1858.

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT CCLIX.



Konkurs ogłoszony nie przysięgę dyma-
 niar, aby słownik układał pracownik jeden, lub kilku
 w porozumieniu się zbirowo. W tym ostatnim razie,
 jak wspólnie będzie praca, tak i zarobek przypada
 wspólnie do podziału, jaki się pisarstwu zgodzi, a bez
 żadnego w tym wpływu czy rozkładu sumy za redakcyi
 Biblioteki.

2) Czy jest taki literat, któryby się mógł podobaj-
 pracy powieścić, i czy będzie miał czas na to: tego za-
 pewnie z góry wiedzieć i twierdzić nie można; ale o to
 właśnie idzie, żeby się znalazł, zapisał to pracy i porada-
 nie dachło wykonania. Podobnie się tu krytykowi doba-
 jest, że może nie warto będzie podejmować, jeżeli
 tożby pracy, dla wspaniałej nagrody. Co do tej sprawy, za-
 spokojić do możemy w zupełności zapewniamy, że nigdy
 nie da się

OD REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIĘJ.

Redakcyja Pamiętnika Religijno - Moralnego w oddziale
 pisma swego: Wiadomości naukowe i bibliografia ducho-
 wna, uznała za stosowne wystąpić z zarzutami na ofia-
 rowaną przez p. Edwarda Rastawieckiego nagrodę, za na-
 pisanie Słownika wyrazów blizkoznaczących języka pol-
 skiego. Zarzuty te i wątpliwości podzielić się dadzą na
 dwie kategorie: czy zadanie będzie do wykonania możli-
 we i czy ofiarowana nagroda nie jest prostem oszukań-
 stwem, nigdy skutecznym się nie mającym, *samolówka*, jak
 się wyraża krytyk, na łatwowierność pracowitych pisarzy
 zastawiona. Na zaskarżenia takowe odpowiedzieć nam
 należy.

A naprzód co do trudności w podjęciu i wykonaniu
 żądanego dzieła.

1. Konkurs postanowiony nie przepisuje bynajmniej, ażeby Słownik układał pracownik jeden, lub kilku w porozumieniu się zbiorowo. W tym ostatnim razie, jak wspólną będzie praca, tak i nagroda przypadnie wspólnie do podziału, jaki się pisarzom spodoba, a bez żadnego w tém wpływu czy rozkładu samejże redakcyi Biblioteki.

2. Czy jest taki literat, któryby się mógł podobnej pracy poświęcić, i czy będzie miał czas na to: tego zapewne z góry wiedzieć i twierdzić nie można; ale o to właśnie idzie, żeby się znalazł, zabrał do pracy i pożądane dzieło wykonał. Podobało się tu krytykowi dodać jeszcze, iż może nie warto będzie podejmować czteroletniej pracy, dla *wątpliwéj nagrody*. Co do téj obawy zaspokoić go możemy w zupełności, zapewniając, że nagroda jak nie na żart zapowiedzianą była, tak téż sumiennie wypłaconą zasłużonemu zostanie. Tak zaś publicznie rzucona podejrzliwość i niewiara, tém się nam tylko osobliwszą wydaje, iż je podnosi i wygłasza pismo mieniące się być *religijno-moralném*.

3. Ze dzieło projektowane nie da się układać z pamięci i wyssać wedle wyrażenia krytyka z palca; że do niego trzeba niezbędnie śledzenia po książkach, a gruntownego obznajomienia się z podobnej treści w obcych językach dokonaniem już pracami: o tém na chwilę powątpiewać nie wypadało krytykowi. Uznawał tę konieczność ofiarując nagrodę, gdy wskazał znamienitsze dzieła, których poznanie szczególnież zalecał. Gdzie zaś tych materyałów szukać, i jakie potemu może piszący znaleźć środki, to wszakże jego światłu i troskliwości zostawić wypada, nie poddając się przecie z góry płonnej obawie, iż do bibliotek przystępu nie znajdzie: boć taka nieuczynność u nas w obyczaju nigdy nie była i nie jest.

Co do zarzutu drugiego, jakoby położony warunek, ażeby Słownik „obejmował *wszystkie* języka polskiego wyrazy blizkoznaczące, bez *żadnego* pominięcia czyli wypuszczenia,” miał być tylko obmyśloną *samołówką*, do mozolnej pracy wywołującą, któraby nigdy przyobiecałej nagrody nie uzyskała; dajemy i na to objaśnienie katagoryczne.

Zastraszenie się krytyka warunkiem, by Słownik objął wszystkie języka blizkoznaczące wyrazy, pochodzi, że mu to z przeproszeniem powiemy, z nieznamomości jego przedmiotu samego. Dokładność, a przeto istotna pożyteczność pracy około synonimiki jakiego języka polega właśnie na ściśłym objęciu w jedno i zestawieniu obok siebie wyrazów spowinowaconych. Do tego nieodzownym będzie ułożenie z góry sieci, że się tak wyrazimy, synonimicznej języka. Wypuszczenie z jednej rodziny wyrazu w języku będącego, a do onej należącego, sprawi, że jego właściwości rozrzucimy i przeniesiemy na wyrazy drugie jemu pokrewne; ztąd wyniknie koniecznie wystawienie rzeczy mylne, a tём samem miasto korzyści, obłęd tylko wyradzające. Dlatego właśnie żądaliśmy, ażeby spodziewany Słownik nie był budowany dorywczo, lecz z gruntownem zasobów języka rozpoznaniem, a onych w szczegółach nie pomijaniem. Wszakże błahą jest obawa co do jakichśi tam nowo tworzyć się codziennie mających wyrazów; bo w pojęciu języka rozumie się zawsze jego zasób istotny, zasadę trwałego i rzeczywistego bytu mający, nie zaś możliwe przyszłe może przyrosty, a rzadkie, z manii kucia nowych wyrazów, wynikające pożytki. Nie one to bynajmniej stanowią warunek wyłączny żywotności języka, a bez ich nawet przyływu, twierdzimy śmiało, nie stanie się jeszcze nasz język, wedle domysłu krytyka, *umarłym*.

Podając myśl i zachętę do opracowania w piśmien-
 nictwie krajowém przedmiotu w niem nowego a ważności
 niezaprzeczonej, ofiarujący nagrodę miał na celu wyła-
 cznie pożyteczność powszechną, wskazanie pola dla pra-
 cowników młodszych, do zaletnego i korzyść rokującego
 zajęcia. Z żalością widzieć mu przychodzi błędne jego
 zamiaru pojęcie, a co więcej złośliwe i ubliżające onego
 przedstawienie. Spodziewamy się, iż sąd zółciowego kry-
 tyka nie wpłynie na odstręczenie chętnych od pracy,
 a przyrzeczona nagroda, poręczamy raz jeszcze, nie
 ominie zasłużonego.

W Warszawie, d. 21 kwietnia 1858 r.

OBRAZY DAGESTANU.

PRZEZ

Juliana S...

I.

OGÓLNE OPISANIE DAGESTANU.

Kraina Kaukazu, przez wszystkie zamieszkujące ją ludy Dagestanem zwana, to jest krajem gór, od wyrazów: *dah*, góra i *stan* kraj; rozciągając się ponad zachodnimi brzegami Kaspijskiego morza, a ku głównemu kaukazkiemu grzbietowi się wspinając, kończy się na południe przyładkiem *Apszeron*, gdzie główny grzbiet o morskie brzegi się opiera, a od północy zaś odgranicza ją od Czechni gałąź od głównego grzbietu idąca, Czarnymi górami zwana; gdy znowu rzeka Sulak od tej gałęzi gór się zaginając, dalej tę granicę oznacza, aż do ujścia swego do Kaspijskiego morza. Czarne góry w pewnej swej środkowej części nad Andią, małą krainą Dagestanu panujące, inaczej andyjskiemi się nazywają, między którymi jedyne wśród szczytów znajduje się przejście, andyjskiemi wrotami zwane; gdy znowu Sulak wzdłuż całego prawie tego grzbietu płynący, nazywa się inaczej andyjskiem kojsu, czyli andyjską rzeką; a dopiero połączywszy się z awarskiem kojsu, rzeką zpod głównego grzbietu płynącą, okrążając grzbiet czarny i ztamtąd ku południowi się zaginając, przybiera właściwe miano Sulaku.

Nieprzeliczone i we wszystkich kierunkach rozchodzące się grzbiety, wyniosłości i wzgórza, tworzą ten kraj ku morskiemu brzegom skłoniony; a ich szczytów, spadzistości i urwisk, ich załomów, zagięć i fałdów, żadna zapewne wyobraźnia podług najdokładniejszych nawet opisów przedstawićby sobie nie mogła. Prócz andyjskich gór na północnej granicy siniejących, mnóstwo jeszcze innych szczytów w północnym mianowicie Dagestanie podnoszą swoje czoła osobnemi nazwiskami oznaczone. Najslawniejszemi i najwyższemi z nich są: Gunib, góra wyglądająca jak gdyby ogromny na sobie dźwigała tłóмок, a naprzeciw niej stercząca ku wschodowi góra Tiletlińska, na podobieństwo izbiicy stercząca. Dalej na południe, naprzeciw tych obydwóch, za czarną rzeką Kara-Kojsu ciągną się ku wschodnio-północnej stronie góry niższego grzbietu, między którymi panują nad okolicą wyniosłości Turzcze-dachu, prawie nieustającami mgłami otoczone, a opodal zaś nieco, nie więcej jak o dwadzieścia kilka wiorst w tymże samym prawie ku brzegom morza kierunku, góry Kutiszyńskie. Prawie prostopadle do tych grzbietów ku południowi, od głównego łańcucha kaukazkiego ogromnym rozdzielone rozdołem, w którym przepływająca rzeka Samur zbiera okoliczne wody, na zachodniej granicy Dagestanu podnosi się szereg wielkich wyniosłości, między którymi Dulti-dach, Babaku-dach i Czymis-dach, najwyższemi odznaczają się szczytami. Nad samym południowym Dagestanem panują Szalbus-dach i najwyższy ze wszystkich wymienionych prawdziwy monarcha sąsiednich szczytów, Szach-dach, a których czoła wiecznie srebrzącami śniegami są pokryte.

Pomiędzy temi górami zapadają się i rozsuwają głębokie, głuche, prawie wiecznemi cieniami osłonięte, nieraz do trzech mil i więcej ciągnące się rozdoły i wąwozy, po których zwykle burzliwemi i szumiącemi po głazach nurtami toczą się potoki. Najznakomitszemi z nich, prócz andyjskiego Kojsu, rzeki najbliżej ku północnej granicy ciekącej, w północnym i środkowym Dagestanie, jak one porządkiem ku południowi następują, a wszystkie jeden północno-wschodni zachowując kie-

runek, są: Awarskie-Kojsu, Kara-Kojsu i Kazikumukskie-Kojsu; aż nareszcie w południowym już Dagestanie najburzliwszy z nich Samur, który wyrwawszy się z ciasnych swoich wąwozów, a zbliżając się do ujścia, łoże swoje niekiedy na szerokość trzech ćwierci wiorsty zawala kamieniami, które do wielkości trzech i czterech stóp sześciennych dochodzą. Między andyjskiem-Kojsu a andyjskimi górami, ze znaczniejszych w tych stronach krain, rozkładają się Andia i poniżej Gumbet; między andyjskiem-Kojsu a awarskiem najrozleglejsza między górzystemi krajami Dagestanu Awaria, gdzie znajduje się sławna dolina awarska, sercem Dagestanu nazwana; nad Karakojsu od lewego jej brzegu Karach i poniżej Andalał, gdzie właśnie góra Gunib. Kazikumukskie Kojsu szumi po wąwozach i dolinach haństwa Kazikumukskiego, a Samur otacza od południa Kiuryńskie haństwo, odgraniczając je od powiatu kubińskiego. Kazikumukskie Kojsu zaginając się ku północy, łączy się z Karakojsu, inaczej Czarną rzeką zwaną, od wyrazu *Kara*, czarny, pod obronną niegdyś a dziś zniszczoną wsią Girgibilem; z ką w tymże samym płynąc kierunku wpada do awarskiego Kojsu, łączącego znów swe wody z andyjskiem, które przyjmując z tego miejsca, jak to wyżej było wspomnianem, miano Sulaku, niesie tych wszystkich rzek wody do morza.

Dziki, ale nieopisaną wspaniałości widok przedstawia kraina Dagestanu, szczególnie w północnej i środkowej swej części. Stanąwszy na Kutiszyńskich górach, z kąd wzrok z jednej strony o śniegowe szczyty się opiera, gdy z drugiej tonie we mgle morskiego widokregu, cała prawie jej przestrzeń rozkłada się i sterczy pod stopami. Wszystkie podpadające pod oko jej wyniosłości i szczyty, zsuwające się urwiska i spadki, najrozmaicięj płatające się grzbiety, a zapadające się między nimi rozdoły i wąwozy, tak są nagie, skaliste i odarte, że rozpatrując się w ich ogromie, zdaje się nam, że sąto albo rozwaliny nadprzyrodzonym wstrząśnieniem do samych swoich podstaw rozburzonej ziemi; albo, że jesteśmy świadkami pierwszej chwili po stworzeniu, kiedy dopiero z tych grubych, połamanych i jakby nie-

rozwikłanych jeszcze z chaosu brył, mają się ułożyć całości i zakwitnąć życiem.

A jednak pomiędzy temi górami wznoszą się naj-
zyźniejsze równiny; między temi odartemi wąwozami
rozsuwają się najmilej uśmiechające się doliny. Te cie-
kące rzeki, tysiące potoków i z łon wysokich skał wy-
tryskujące źródła, zraszają na bokach gór zawieszane,
lub po dolinach i równinach rozścielające się pola. Wsie
tam czepiają się po wierzchołkach, to pną się po stro-
mych spadkach, to w niższych miejscach bliżej morza
położonych rozsypują się po wzgórzach, lub rozkładają
po dolinach. Wokoło tych wsi, a mianowicie pośród
obszernych dolin, to wśród rozszerzających się wąwozów,
przy całej dzikości urwisk, szczytów i spadków, znajdują
się miejsca zachwycające pięknnością prawdziwych rajów
ziemskich. Otaczają je na podobieństwo lasów, ogromne,
cieniste, z odwiecznych drzew owocowych sady, a po
okolicznych równinach i wzgórzach rozścielają się w sza-
chownicę różnobarwnych zasiewów, jak wzorzyste i mięk-
kie kobierce, uprawne pola. Po rozlegle rozciągających
się pastwiskach, po dolinach i spadkach, po niedostę-
pnych zdaje się urwiskach i grzbietach pasą się tysią-
czne stada owiec, rogatego bydła i koni. Bliżej brzegów
morskich, pomiędzy sadami przeplatają się winogrona,
to w osobne obszerne rozrastają się ogrody, a drzewa
morwowe zalegają dosyć znaczne nieraz przestrzenie,
dając pożywienie jedwabnikom. Ludy w tej krainie mie-
szkające mają najczystszą z wytryskujących źródeł wodę,
a po znojach letnich mile orzeźwiająjące grona winne;
sieją tylko pszenicę, ryż, kukuruzę i jęczmień, a w rzad-
kich tylko miejscach owies. Rosnąca lub uprawiana ba-
wełna i wyrabiany jedwab' służą im do ubrania; barany,
a między niemi znaczna ich ilość z ogromnemi, tłustością
napętnionemi ogonami, które *kurdnuk* się nazywają, do-
starczają im tłustości i wybornego mięsa, które jedynie
jadają, jak również dla ochronienia ciała w zimniejszych
porach roku, a nawet w letnich od zimna z gór wiejącego,
obszernych i ciepłych kozuchów. Do uprawiania pól
swoich mają rogaczną, a między niemi bawoły, największe
stanowiące bogactwo. Lekkie i zwinne konie, które

jak orły noszą ich po górach, są przytęm pojętne i wytrwale, zachowując w sobie krew arabską lub perską. Kopalnie dostarczają im wybornego rodzaju żelaza dla narzędzi rolniczych, a szczególnie dla nieodstępującego ich nigdy oręża. Ludy to rolnicze, pasterskie i wojownicze, a rozpatrując się w tych darach, jakie Opatrzność z taką hojnością po tych krainach rozsypała, chociaż nie wszystkie wymienionemi tu zostały, czyż nie przyjdzie myśl, jakże te ludy muszą być szczęśliwemi!

Cały prawie północny i środkowy Dagestan, jak również południowy, mianowicie w krainach ku głównemu grzbietowi posunionych, jest bezleśny. Ale po niżej opuszczających się grzbietach, po bliżej od morza oddalonych wyniosłościach i górach, po rozległych nadmorskich płaszczynach i równinach, rozrastają się obszerne, nieraz nieprzebyte lasy. Ciągąc się przerywanemi niekiedy tylko pasami wzdłuż całego prawie Dagestanu, zapełniają nieraz sobą całe okolice. Za najlesistsze uważane są: Kajtach i Karakajtach, krainy na północ i w bliskości Derbentu położone, a może więcéj jeszcze okolice Samuru i Szachdahy, w tak nazwanym podług podziałów rządu rossyjskiego, samurskim obwodzie i powiecie kubińskim. Po nizinach nadmorskich równin, po zapadłych śród rozszerzonych wąwozów dolinach i jarach, nie wysychającemi z sąsiednich gór strumieniami i źródłami zwilżanych, rosną gęste zarośla kwiecistych lub kolących drzewin i krzewów, wybujałych traw i chwastów, oraz po ogromnych nieraz przestrzeniach nieprzebyte prawie trzciny. Po tychto lasach i trzcinach kryje się mnóstwo dzikiego zwierza, między którymi największa ilość dzików, a między temi zaroślami i mniejszemi po bliższych górach lasami, mnóstwo dzikiego ptastwa, między którymi najobficiej królują bażanty.

Pomiędzy ludami zamieszkującemi w górach, a temi które po dolinach się rozsiały, znaczna a nieraz uderzająca zachodzi różnica. Tante po większej części pozbawione lasów, zmuszone są z dalekich okolic, ledwie drobne sztuki belek dla budowania swych domów, na wysokie wywozić góry, męcząc swoje bydłéta. Nie po-

siadając drzewa na opał, zastępują je mieszaniną gnoju bydłowego i suchej trawy, wysuszając ją na słońcu. Po kamienistych i odartych górach garściami prawie zbierając roślinną ziemię i nasypując ją poziomymi ustępami, które za pomocą kamiennych ścianek od osunięcia się podtrzymują, jakżeż szczupłe nieraz wydobywają z zasiewów pożywienie! Obszerne wprawdzie, ale chude pastwiska nie dostarczają dla ich stad dostatecznej paszy, której zwykle również w dalszych szukać muszą okolicach, po żyzniejszych dolinach i wzgórzach, nieraz drogo się okupując. Wystawione na mgły od chmur, które w tych wysokościach panują, a na ostrzejsze jeszcze wiatry od śniegowych odbijające się szczytów, doznają daleko dokuczliwszego zimna, gdy ich zasiewy trudniejszego często dojrzewania. Wsie ich są daleko mniejsze, domy uboższe i niższe, bydło i konie drobniejsze i chudsze, barany nie dające tak tłustego mięsa i pokrywające się długą wprawdzie, ale daleko grubszą wełną. Na ich ubraniach widzieć tylko można grube wełniane płótno i proste ciężkie kozuchy, a bronie doskonalej także, ale najprostszej roboty, jak również postacie ich i twarze wyrażają nieraz wycieńczającą pracę, ubóstwo, a nawet nędzę. Wsie i okolice drugich pośród roślinności i lasów, jakby wiecznym oświecone słońcem i wieczną zielonością ubrane, przedstawiają widok dostatku i bogactwa, i jakby wśród ciągłego szczęścia, pokoju i rozkoszy ciekącego życia. Wsie ich są tak obszerne, że nieraz do czterech i pięciu tysięcy ludności zawierają, a lud zwykle wyniosły i piękny w jedwab' i srebro odziany, na wypieszczonych wygodami koniach, bogatemi rzędami i bogatą bronią błyszczący. A jednak ludy góralskie więcej pierwotnych trzymające się obyczajów, gdy nie tak łatwo do nich obce dochodzą wpływy, odznaczają się większą gotowością do poświęceń się i męstwem, jak również daleko większą wytrzymałością w bojowych trudach i pracy; gdy tymczasem te różnemi obcemi popsute wpływami, w wielu już miejscach do znacznej doszły zniewieściałości, a całe męstwo dawne w zęcznych tylko i wesołych gonitwach i rycerskich zabawach przechowując.

Domy swoje, mieszkańcy Dagestanu budują zwykle z kamienia, którym napelnione są ich góry, to zbierając gotowy, to ze skał go wylamując; w miejscach zaś tego przedmiotu pozbawionych używają surowcowej cegły, wyrobionej z gliny i słomy, a wysuszonej na słońcu. Jedne jak i drugie ściany układają na glinie, nie łącząc je nigdy wapnem, które mogliby mieć w najdoskonalszym rodzaju. Po większej części podnoszą piętro, które przeznaczają na mieszkania dla rodzin, zachowując wtenczas dół dla domowego bydła. Od południowej lub wschodniej strony, wysuwają przed ścianą opierające się na słupkach, długie, z ocieniającemi dachami krużganki, pod któremi umieszczone są zawsze wszystkie drzwi prowadzące do oddzielnych pokoi. Dachy robią bez wyjątku płaskie, układają je z krótkich dębowych beleczek, które jednem końcem opierając na ścianach, wysuwają blisko na łokieć na zewnątrz dla otrzymania okapu, co czyni widok ocieniającego z kroksztynami gżemsu; gdy drugie ich końce utrzymuje zwykle idąca przez środek gruba belka, podparta w izbach słupami. Wierzch zaściełają krótkimi kawałkami dębowych szczap lub desek, albotóż trzcina, a te zasypują ziemią, którą pokrywając grubą polepą gliny, pomieszanej ze słomą, zabezpieczają się od zaciekania. Bogatsi, zwłaszcza po wsiach bliżej morza leżących, używają zamiast glinianej polepy na dachach pewnego rodzaju smolowca, nazwanego z perskiego *lu*, a który sprowadzany z Baku, gdzie jego najobfitsze znajdują się kopalnie, i gdzie sławne po jego okolicach wydobywają się z ziemi ognie, z ziemnego oleju powstające. Cały Dagestan w ten sposób jest zabudowany, wyjąwszy rzadkich miejsc górzystych, gdzie ściany plecione bywają z chróstu i wylepione gliną, a czasem nawet, od zewnętrznej jednak tylko strony, hydłym ze słomą lub wysuszoną trawą pomieszany gnojem.

Na swoich płaskich dachach, na które prowadzi od podwórza zawsze przystawiona drabina, używają mieszkańcy przechadzki i odpoczynku; albotóż najczęściej owego spokojnego rozmyślenia, czyli raczej owego słodkiego próżnowania, które się *kief* nazywa, rozglądając się w pięknościach okolicy, w której zawsze są za-

kochani. Tam wybiegają zwykle dla obejrzenia co się dzieje na ich polach; tam schodzą się dla rozmowy z sąsiadami; ztamtąd zwołują się z odległości, a ich donośne głosy rozchodzą się echemi po górach. Kobiety czasem przesiewają tam zboże lub innymi zajmują się robotami; a dzieci uważają to miejsce jako najulubieńsze dla swoich krzykliwych schadzek. Ale szczególnież pod kruźgankami, tak podczas znojných upałów jak i cieplejszych miesięcy roku, cała rodzina gospodarza wszystkich swój czas prawie przepędza i wszystkie odbywa roboty. Tamto zwykle urządzone są piecyki do pieczenia płaskich chlebów, na podobieństwo placków, *czarek* zwanych; tam stoją warsztaty do przedzenia jedwabiu, tkania sukien wełnianych, płócien lub kobierców; poustawiane są różne narzędzia i domowe naczynia, wełniane i wzorzyste wory, lub ogromne gliniane dzbany z ziarnem i mąką, kosze lub także wory z surowym jedwabiem i wełną; wiszą przygotowane przędze, wietrzące się kozuchy i skóry, a między nimi długie pęki czerwonego pieprzu, kukuruzy, strąki fasoli i cybulowe wianki. Ściany pod kruźgankami wylepiają zawsze na gładko białą albo żółtą gliną, ozdabiając je od spodu, jakoteż około drzwi i okien malowaniami na czarno lub czerwono pasami; gdy inne pozostałe, a mianowicie jeżeli ułożone są z kamieni, zwykle żadnym nie opatrują tynkiem.

Wewnętrzne mieszkania w domach składają się zwykle z izb, jedne za drugimi idących, które między głównymi tylko zawierając się ścianami, oddzielone są poprzecznymi. Małe w tych ostatnich zostawiane niekiedy otwory dla drzwi, służą do przejścia między izbami; ale tylko jedna osoba przez nie przecisnąć się może, a do tego jeszcze zgiąwszy się do połowy. Okna wychodzące nie tylko na kruźganki, ale na wszystkie inne strony, osłaniane bywają od wewnątrz, podobnie jak drzwi, drewnianymi połowami, albo też równie z drzewa wyrobionemi kratami, najczęściej w arabeski przeplatane. Najbiedniejsi mieszkańcy najmniej w dwóch izbach mieszkają, z których jedna zawsze czystsza i ozdobniejsza przeznaczoną jest na sypialnię lub dla gości i przyjaciół; a druga dla gospodarczych zajęć. W każdej z izb musi być kominek, na którym w zimie nieu-

stannie utrzymywany żar z węgla jest jedynym środkiem ogrzania. Jest on tu nadto prawdziwem rodzinnem ogniskiem; bo przed niem cała zasiada rodzina przy wszelkich robotach i jedzeniu, a rozpalony na niem świeżo ogień jest pierwszym przyjęciem gościa. Po ścianach izb porozwieszane są błyszczące bronie i różnobarwne suknie gospodarza, jak również na osobnych kółkach miedziane, blaszane lub fajansowe naczynia, utrzymujące się zwykle sznurkami, które przechodzą przez dziurki w tych naczyniach porobione. Przy dłuższej ścianie, na szerokich jedne nad drugimi pułkach, ułożoną jest pozwijana pościel, często bogatemi wełnianemi lub jedwabnemi materjami poszyta. Pod nią zwykle ustawione są na podłodze malowane kufry, bogatszymi i kobiecemi ubraniami napełnione, albo tylko do ozdoby służące. Na murkach pod pułapami ustawiają inne naczynia także z miedzi, białej blachy, porcelany lub fajansu, jakoto: różnego rodzaju dzbanki, kubki, miseczki i talerze, a w niektórych już miejscach samowary i imbryki. Świecą także gdzieś, między temi wszystkiemi przedmiotami, lustra zwykle z perskich sprowadzane fabryk, u których ramy perskiemi malowidłami i arabskiemi napisami są ozdabiane. Podłogi z desek, nawet u najbogatszych nigdzie nieużywane, a ulepione gliną, zaścielane bywają kobiercami i wełnianemi wzorzystemi kocami, albo też plecionkami z osobnego rodzaju trawy lub słomy.

Po takich okolicach, po takichto wsiach i domach, których obraz w niedokładnym tylko opisie był tu przedstawiony, zamieszkują ludy tej krainy. Ale ile po niej policzyćby można oddzielonych dolin i szczytów, ile zakręcających się wąwozów i grzbietów, taka prawie jest ilość tych ludów, które z odrębnych plemion pochodzą, a również tyłoma różnią się językami. Nieraz dwie wsie sąsiednie oddzielnemi zasiedlone są plemionami, a napotyka się takie, których mieszkańcy mówiąc dwoma a czasem i trzema najniepodobniejszymi do siebie językami, wzajemnie się nie rozumieją. Z pewnością twierdzić można, że wszystkie te plemiona, języki i ludy, nie tylko poznanemi, ale nawet policzonemi, nie zostały. A ja-

kież napotykanymy ciemności, zapytując się o ich początki i dzieje!.. Niepewne tylko, jak nieuleciałe, tajemnicze duchy czasów, przemawiają o nich podania. W Kajtach, tak zwanym wolnym, znajduje się wieś Kubaczi, w której lud według twierdzenia mieszkańców ma pochodzić od Franków, zachowując dotąd niektóre ich wyrazy i zwyczaje. Mnóstwo po różnych mieszkańcach rozrzuconej broni, mającej niezawodne pochodzenie od rycerzów krzyżowych, ma dowodzić, że wiele rozproszonej ludności z czasów wojen o zdobycie grobu Chrystusa wiedzionych, miało napłynąć w te strony. Kumyki albo Kumuki, dzisiaj osobne stanowiące haństwo, mieli być kiedyś Słowianami, albo też z Słowianami przemieszkiwali, jak tego zachowały się ślady w ich mowie, jak np. w używanym wyrazie przy powitaniu: zdrów. Wszystkie ludy Dagestanu, i przynajmniej w większej części, miały być kiedyś chrześcijańskimi, jak o tem świadczą po różnych miejscach wykopywane dotąd groby, w których znajdowane bywają krzyże, albo niektóre głazy godłem krzyża ozdobione. Niektóre mahometańskie dzisiaj świątynie, meczety, mają być z chrześcijańskich przerobione kościołów, jak czasem zdaje się to potwierdzać ich zewnętrzna budowa, formę krzyża przedstawiająca. Po wielu okolicach słyszeć można od starców, jakoby wiedzieli od przodków, że dawnymi czasy inne tu były świątynie i inni nauczali duchowni, i że to mieli być chrześcijanie. O odległych zaś krainach, pod samym prawie głównym grzbietem leżących, dochodzą wiadomości, jakoby zamieszkiwały w nich ludy jakimiś bałwanom się kłaniające i pilnujące się obrzędów pogańskich; ale nawet z nazwisk swoich dokładnie nie są znajome. Tak ważnych, tyle żywotnej treści zawierających w sobie podań i wiadomości, żadnego dotąd rozwiązania nie znajdujemy w dziejach. Ludy te dla wiedzy historii, jakby pod zaklętą dotąd pozostały zasłoną. Z podań i wiadomości dziejowych dowiadujemy się: że Kaukaz jak świat stary znany był od najstarożytniejszych ludów; że dawni bogowie zamieszkiwali jego szczyty, a na jego skałach odbyła się pierwsza męczarnia dawnego boga, skazanego za wykradzenie ognia niebieskiego. Dzicy wojownicy i orę-

żne włóczyniami uzbrojone dziewice, na dzielnych rumakach, miały się wylewać z Kaukazu, docierając aż pod bramy Troi. Pierwsi półbogowie i bohańrowie ziemi, w swoich podróżach i wyprawach dla szczęścia ówczesnej ludzkości podejmowanych, zapuszczali się aż tutaj dla zdobycia złotego runa. Przy podaniach i dziejach tworzących się na południu państw, za górami kaukazkimi leżących, Kartlii, Imeretii, Gruzji i Armenii, napotykały wymienione wypadki strasznych bitew i rzezi, które nieustannie prawie staczały te państwa z hordami ludów z pośród gór od północy napływających, najczęściej Lezginami albo Lezgami zwanych, a które to nazwisko dotąd jeszcze służy znaczniejszej części dagestańskiego ludu. Dalej wzmiankują dzieje o dochodzących aż w te strony potęgach Cyrusa i Alexandra Wielkiego. O ostatnim liczne podania rozsiane są po całym Dagestanie: nie jedna dolina, nie jedna góra miały być zaszczycone jego obecnością; nie jedna forteca, *Kale*, której teraz ledwie dostrzeżone ślady pozostały w zwaliskach okopów i kamieni, miała być przez niego budowaną. W niektórych pieśniach ludowych zachowały się wspomnienia o zaciętych bitwach, jakie po różnych miejscach staczały tutejsze ludy z wojownikami tego bohatera; starożytne, nieznanego dotąd dokładnie początku ściany otaczające Derbent, przez niego miały być wzniesione. Ale któż rozpytywał o te miejsca, kto badał ślady tych zwalisk, kto zbierał te pieśni, kto z napisów po ścianach i głazach doszedł choć jednej dziejowej prawdy?..

Dalsze dzieje tych stron połączone są z więcej znajomymi dziejami okolicznych państw, lub aż tu docierających, głośnych swemi zdobyczami wojowników. Jaśniejszemi i więcej szczegółowemi stają się dopiero od czasów, kiedy Arabowie orężem przynieśli tu swe rządy i naukę Mahometa. W dziejach Derbentu, nazwanego z perskiego zamkniętą bramą, albo rogatką, od wyrazów *der* drzwi, i *bent* zamknięcie; z tureckiego *demir-kapisy*, żelaznemi wrotami, od wyrazów *demir* żelazo, i *kapisy* wrota; z arabskiego *Bab-el-hadid*, co także żelazną bramę oznacza; znajdujemy wymienione wypadki, które się

gają pierwszych czasów islamizmu za rządów i za wojen kalifa Osmana. Podówczas Derbent zostawać miał pod panowaniem Chazarów, którzy rozpościerając się nad morzem Kaspijskiem, przez nich Chazarskiem nazwanem, ucierali się z przybywającymi dla zawojowań Arabami. W czasie pierwszego napadu tych ostatnich na Derbent, wódz kalifa Osmana, Selman-ben Rabiia-El-Bahili zginął na polu bitwy; a władza tak nad miastem jako nad okolicznymi krajami została się przy chazarskim wodzu Hakanie. Później, różnemi kolejami wojennego losu, Derbent i naokoło niego leżące kraje, a mianowicie na północnej i zachodniej jego stronie, przechodząc w ręce to Arabów, to Chazarów, różnych miewały namiestników i rządzców. Aż dopiero za kalifa Hiszam-Masłama, jego wódz Ben-Abdul-Melik opanował stanowczo Derbent, dawszy odtąd początek ciągłego już na pewien czas panowania w tych stronach kalifów. W zdobytém przez siebie mieście odbudował spustoszone mury, założył arsenał, składy zboża i ziemnego oleju, jak również założył i umocnił fortecę Narym-Kale, do dziś dnia nad miastem się wznoszącą. Nadto podbił i nawrócił na islam okoliczne i dalsze kraje, jakoto: kajtach i Karakajtach, Tabassaranią, Kumuków i Awarów i inne; pobudował dla każdej z tych stron osobne meczety, a jeden główny w Derbencie; rozdzielił jeszcze to miasto na siedm okręgów, opatrzwszy otaczające je mury sześcioma żelaznemi bramami. Około końca VIII wieku odwiedził Derbent znakomity kalif Harun-El-Reszyd, który w czasie swojej bytności zaopatrzył miasto w wodę, sprowadziwszy ją z niedalekiej rzeki Rubasa; pozakładał ogrody, źródła i młyny, a ustanowiwszy rządzcą Saksą, wrócił do swojej stolicy Bagdadu. Za jego jeszcze czasów Chazarowie dobywali Derbentu; ale było to już ostatnie z ich strony wysilenie.

Po osłabieniu władzy kalifów, jak całe ich ogromne państwo, tak podobnie Derbent z okolicznymi razem krajami tymże samym ulegały losom, przechodząc pod panowanie z dynastyi do dynastyi, które rządziły na północy Persyi. Nareszcie zanosili tu kolejno swoje zwycięzce i władze, wydzierając je sobie nawzajem: Gruzini,

Persowie, Mongołowie a później Turcy, a nawet Tatarzy krymscy. Do dzisiaj po różnych plemionach i stronach tego kraju zachowują się wspomnienia pamiętnych miejscowych walk i bitew, jakie tutejsze ludy staczały z napływającymi ciągle zdobywcami. Ileżto z tych czasów mogło tu przybyć rozmaitych plemion, które ci roznaici prowadzili z sobą zdobywcy, a które raz przyszedłszy i po różnych zasiedliwszy się okolicach, zostały się w nich aż dotąd! Za Iwana Groźnego pierwszy raz na widownią dziejów tych krain występują Rosyianie, układający się z Persami o związek przeciwko Turcyi, o zajęcie dwóch miast: Derbentu i Kuby. W r. 1722 Piotr Wielki opanowawszy Derbent zostawił w nim swój garnizon, a na rządzcę ustanowiwszy Imam-Kuli-Beka, uczynił go hanem z tytułem Generała-Majora. Od roku 1806 Derbent do dnia dzisiejszego pozostał pod panowaniem Rosyji.

Z czasów panowania islamizmu, po meczetach i innych budowlach mnóstwo znajduje się napisów, mogących bardzo wiele do objaśnienia dziejów posłużyć. Pomiędzy temi, z meczetu we wsi Chazry ponad Samurem leżacój, miałem sposobność dostania jednego nad głównymi drzwiami w kamieniu wrytego, który przez samego tamtejszego efendiego przepisany został. Przytaczam go dosłownie podług jednego z najlepszych tamtejszych tłumaczeń:

„Sprawiedliwemi były drogi założyciela tej wspaniałej świątyni, nad mogiłą władzcy udoskonalonych świętych dusz, który był początkiem świętych wodzów, rządzcą najmędrszych, przewodnikiem dla sprawiedliwych, nauczycielem religijnych, szachem prawych posiadłości, naczelnikiem poświęconych wierze jedynego Boga: nazywa się szeik-Dżuneid-Safawit. Oby Bóg uświęcił jego mogiłę, oby pobłogosławił jego prochy. Świątynią tę założono podczas panowania szacha Tachmasiba Buhatyrchana Hussejna, który jest panem wspaniałomyślnym i sprawiedliwym, panem władców Arabii i Adżama, cieniem Boga na ziemi, panem ziem i wód, rozdawcą szczęśliwości w wierze, na świecie i w swoim państwie; założycielem świętych praw Szariata, znakomitym w rodzie Alego, słuchającym się dróg wszystkiemu poma-

gającego Boga, wsparciem niczego nie potrzebującego Boga, szachem z ojca i dziada, szachem od którego pochodzi zwycięstwo. Oby Bóg utrwalił jego władzę i państwo, oby Bóg rozszerzył łaski tego monarchy na świat cały. Założycielem tej świątyni jest Aga-Mamed, którego Bóg obdarzył wyższymi od innych ludzi przymiotami bogobojności i wielkości. Aga-Mamed jest najpierwszym z wielkich wezyrów, naczelnikiem wielkich władców, rządzącą wszystkich spraw, pieczołowitym sędzią narodów, starszym nad wszystkimi, szanowanym od wszystkich, używającym czci i miłości wszystkich, sprawcą dobrych urzędzeń, gorliwym zachowawcą obrzędów, godnym łaski jedyne go Boga, słońcem szczęścia, łaskawości i władzy, synem Wielkiego Wezyra, obrońcą swoich, pracującym w Bogu, światłem wiary, nauczycielem ludu, znakomitym nad znakomitemi. Budował tę świątynię syn Achmeda Fragani. Oby Bóg przyjął jego jałmużnę; oby Bóg przyjął jego pracę. Roku Hedżyry 951.“

Mogila perskiego świętego Dżuneida, nad którą wznosi się meczet chazryjski, do dziś dnia jest przedmiotem czci i nabożeństwa nie tylko mieszkańców, ale i z dalszych okolic przybywających wiernych.

Oto jest za ledwie treść z treści z niektórymi tylko szczegółami dziejów, które dotychczas taką nieprzejrzaną osłonioną są pomroką, a które może nigdy nawet dostatecznie rozwikłanemi nie zostaną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ALCHEMIK.

OBRAZ DRAMATYCZNY.

PIERWSZY USTĘP.

No....

Pozwól kochany, niechaj z tobą się podzielię
 Owocem myśli, która młodych lat wesele
 Truła nam nieraz swoją goryczą tajemną:
 Jak chmura, co przy blasków porannych rozświeci,
 Przesuwa się po niebios pogodnym błękiecie
 I smugę zostawia ciemną.

Nieraz pamiętam, chyląc czoło tve młodzieńcze,
 Nad którym jeszcze rajskich snów błyskały łęcze,
 Mówiłeś mi swym głosem słodkim i serdecznym:
 Patrzaj, patrzaj mój bracie! jak w całej przyrodzie
 Wszystko, w jakowejś świętej harmonii i zgodzie
 Idzie porządkiem odwiecznym?
 Dlaczegoż człowiek tylko, w dumy swój rozumie,
 Znaleźć sobie pokoju i szczęścia nie umie?
 I kiedy wiek nasz codzien nowe skarby liczy,
 Z tój niezmiernój przemysłu i nauk zdobyczy:
 Czemu w tём tylko jednym nic zdziałać nie może,
 By ludzkości królestwo zbliżyło się Boże?

Czemu? biedny mój bracie! bo snąc błędną drogą
 Idąc, pielgrzymi trafić do celu nie mogą
 A chociaż święta iskra, którą w sobie noszą,
 W wiecznej za onym celem tęsknocie ich trzyma;
 Oni, co spojrzeń swoich wyżej nie podnoszą,
 Ziemię tylko ziemskiemu dojrżeli oczyma.
 Więc w imię tego prochu, co z niej powstał rodem,
 Poczęli wszystkie dzieła marnój swój mądrości:
 Nawet w świętém pragnieniu braterskiej miłości

O ciało się pogańskim krzątając zachodem
 Zapomnieli o duchu, który je ożywia.
 Jak gdyby kapłan, chcący stos ofiarny wzniecić,
 Rzucił niedbale iskrę świętego żarzewia
 A z popiołu dobywał płomień co ma świecić.

Tak mój bracie! w tém leży przyczyna, dlaczego
 Wiek nasz został bezsilny: w największém swém dziele
 Kusił się o *braterstwo chleba powszedniego*.
 Lecz duch, który zamieszkał w człowieczeństwa ciele
 Innego karmu żąda; i ta nędza stara,
 Co dziś pierś społeczeństwa srożej może trawi,
 A od której ludzkości wszystkich maszyn para,
 Jak dotąd nie zbawiła, tak nadal nie zbawi.
 Ta nędza, to świadectwo jego, które wola:
 Nazbyt nisko ku ziemi schyliliście czoła,
 By mnie widzieć, gdym z nieba wstępował w płomieniu;
 Lecz poczujcie mnie w piersiach waszych po łaknieniu,
 Co się nie da nasycić wszystkim ziemi płodem.
 Jam jest, który miłości objawiam się głodem!...

Miłość, słyszysz, mój bracie, to talizman święty,
 Co rozerwane sity ludzkości zespoli,
 Ducha z materializmu okowów wyzwoli,
 Ofiarą poświęcając arkę, gdzie zamknięty.
 Miłość!... ale ty bracie odpowiesz mi może:
 To tajemnica dawno światu objawiona,
 Odkąd Chrystus krwi świętej wylewając morze,
 Wyciągnął z nad Golgoty Boskie swe ramiona.
 Tak! stara tajemnica, ale czy pierś nasza
 Przyjęła jej istotę, co się w czyn przeradza?
 Nazwa, jak świętokradzki całunek Judasza,
 Przez XIX wieków biędną ludzkość zdradza:
 Ale gdzie są owoce, z których ją poznać?

Nam nowych systematów niepotrzeba, bracie!
 Niech tylko Ewangelii wielkie, święte słowo,
 Stanie się ciałem czynu i zamieszka z nami;
 Wtedy miłość przyjęta sercem, nie ustami,
 Schorzone społeczeństwo przerodzi na nowo,
 Łącząc nas tém niezmierném ogniwem łańcucha,
 Co się pod żadnej siły parciem nie rozwodzi.
 Ten łańcuch, o mój bracie! *to braterstwo ducha*,
 Który, z jednego Boga-Ojca ludzkość rodzi.

Lud nasz, orząc stare ziemi téj zagony,
 Wierzy jeszcze gorąco i kocha prawdziwie,
 Co niegdyś, świętym serca instynktem natchniony,
 W prostocie swojej mądry, miłość nazwał—*żywie!*
 Lud nasz pojął, lub sercem przeczuł tylko może,
 Jak Kolumb, gdy świat nowy dostrzegał przez morze;

Że dla szczęścia człowieka niedość jeszcze będzie,
 Gdy wiedza jego zimna i dumna mistrzyni,
 Panem go ukorzonej przyrody uczyni,
 I skarby w łonie ziemi zakłętę dobędzie.
 Lud nasz pojął tę prawdę, i w bajek osłonie,
 W tęsknej nucie swych piosnek objawił ją światu:
 Czy w czarownej postaci paprociego kwiatu,
 Lub modrego ognika, co wśród nocy płonie,
 Skarb ziemi, ducha ziemi, ma zawsze do straży.
 I biada, kto o niego kusić się poważy:
 Choć zwycięży, zwycięstwo gorzką łzą opłacze.
 Bracie! ja uwierzyłem w te bajki wieśniacze,
 Uwierzyłem, że każdy z błędnych marzycieli,
 Co do wyższych od Boga obiecanych celi
 Chce ludzkość doprowadzić tych zdobyczy torem,
 O własny oręż sercem roztrąci się chorem
 I upadnie w pół drogi, aby był przykładem,
 Że tylko jednym, wielkim Chrystusowym śladem,
 Przez mądrość odrodzoną z ducha, a nie ciała,
 Królowania Bożego zstąpi na nas chwała!...

ALCHEMIK.

Przyjdź duchu Stworzycielu! nawiedź
 myśli, łaską napelnij serca.

OBRAZ I.

MICHAŁ SĘDZIWOJ szlachcic polski z XVI wieku.
 STANISŁAW brat jego.

*(Noc. Sypialna komnata, słabo oświetlona, w głębi roztwarte
 drzwi laboratorium, z których bije jasna luna palącego się ognia).*

MICHAŁ SĘDZIWOJ
(wychodząc z laboratorium).

Stało się! więc znowu
 Nędzny żeglarz powracam z morza, bez połowu!
 Dni tyle, nocy tyle strawionych daremnie.
 Wiedzo! jesteś ty tylko tym błędnym ognikiem,
 Co w nocy przed samotnym błyska wędrownikiem,
 I rozświeca zdaleka czarne mroku ciemnie?
 Lecz biada nieszczęsnemu, gdy wzorem komara,
 Za tym drżącym promieniem pójdzie łatwowiernie,
 On, piersi rozkrwawiwszy o głogi i ciernie

Padnie wreszcie i pozna że to była—mara!
 Mara! mara niestety! a ty dla tój mary
 Młodzieniec z siwym włosom, znękany i stary,
 Rzuciłeś na ofiarę w tygiel alchemisty
 Wszystko szczęście tój ziemi, wszystkie jój pociechy:
 Serce brata, niewieściej miłości uśmiechy,
 Piękną sławę rycorza.—Ach! płomień był czysty,
 Który miał przyjąć święte to całopalenie.
 Oddech młodzieńczej piersi silnie go rozniecał,
 Wysoko gorzał, jasnym promieniem przyswiecał;
 A kiedy zgasł, w popiołach zostało—zwątpienie!...
 Zwątpienie... jam to wyrzekł? przekląty! przekląty!
 Bądź ty dniu, ty godzinie, w którejby Duch Święty
 Uleciał i nadzieję odebrał mi z serca.
 Zwyczajnie syn Adama: nędzny, a bluźnierca!
 Wielką księgę przyrody Bóg przed nim otworzył,
 Piętno swego synowstwa na czole mu złożył,
 Dzieciom prochu dał harfę proroczą Syonu;
 A oni bałwochwalcy, przed Baalem złotem,
 Padną twarzą o ziemię, i zbryzgani błotem
 Przyjdą i bluźnić będą u Jehowy tronu.
 Nadziejo! jasna córo Boga mego ojca,
 Nie opuszczaj mnie w strasznej godzinie Ogrójca;
 Kiedy krwawy pot będzie lać się z mego czoła
 Zstąp ku mnie białém skrzydłem Bożego anioła,
 Nie daj upaść na ziemię i podaj mi czarę:
 Jak Chrystus spełnię do dna mój kielich boleści.
 Może za tę żółć gorzką, która się w nim mieści,
 Bóg, braciom moim, ludziom, policzy ofiarę!...

STANISŁAW SĘDZIWOJ

(*wchodząc bocznemi drzwiami*).

Dobry wieczór, mój bracie! Daruj mi, że może
 Przychodzę jak natrętnik w niesposobnej porze;
 Ale to serce moje, choć go nieraz była
 Twarda, żelazna zbroja hartem swym okryła,
 Nie może zostać zimnem, kiedy ty mój bracie
 Zamknięty w tajemniczej prac twoich komnacie,
 Tak marnie trawisz słabe życia twego siły.
 Czyż ci biedny szaleńcze świat Boży nie miły?
 Na ziemi teraz wiosna, wszystko dookoła
 Kwitnie, woni, o życie, miłość, szczęście woła.
 Ty jeden nad księgami ślęcząc bezustanku,
 Nie pocieszysz się blaskiem jasnego poranku,
 Nie orzeźwisz się wonnym wieczoru wietrzykiem;
 I zamknięty w tych murach z druhem twym puszczykiem,
 Nocy całe przedumas, jak duch pokutniczy.

Nie zaprzesz się, mój bracie, co noc moja żona
 Placzem swego małego dzieciątka budzona,
 Widzi zdala twój lampy płomień tajemniczy,
 Co nigdy wśród najdłuższej nocy nie zagaśnie
 I straszac prostych ludzi, dziwne tworzy baśnie,
 O duchach.... czarowniku....

MICHAŁ SĘDZIWOJ

(*surowo*).

Bracie! czyż dlatego
 Przyszedłeś mieszać pokój życia samotnego,
 Byś powtarzał przedemną głupie plotki gminne?...

STANISŁAW SĘDZIWOJ.

Złe mnie sądzisz, Michale, serce twego brata
 Inne miało życzenia i nadzieje inne:
 Choć mnie martwi wieść płocha, co wśród ludzi lata,
 Nie o niej teraz mowa. Patrz! jakiś ty blady!
 Czoło twoje wyniosłe marszczki pooraly;
 Bujne włosów kędziory szron przysypał biały:
 Przypieszoną starośći niemyślnie to ślady.
 W błękitnym oku twojem myśl pęsepną siałła
 I błyszczą, jak gorączka trawiącej choroby.
 Bracie! sługa twój wyznał, że już blisko doby
 Usta twoje nie tknęły napoju ni jadła.

MICHAŁ SĘDZIWOJ.

To nie! nie było czasu.... Bracie! przyjacielu!
 Miałem nakoniec stanąć u życzeń mych celu,
 Miałem wydrzeć naturze bytu jej zagadkę,
 I przymusić tę skrytą, tajemniczą matkę,
 Ażeby mi wydała tajniki tworzenia!...
 Ale nie, jeszcze nie czas! Wielkie zagadnienia
 Są jak kosztowne perły w głębi morza na dnie:
 Nie od razu je nurek zuchwały wykradnie!

STANISŁAW SĘDZIWOJ.

Ty bluźnisz marzycielu! Wiész ty, że te słowa,
 Że ta myśl świętokradzka, w tej zuchwałej głowie,
 Jest grzechem przeciw Temu, który sam się zowie
 Tworzyciel! Jehowa!....

MICHAŁ SĘDZIWOJ.

Grzechem! grzechem, wyrzekłeś! Ty wiész, co przed gminem
 Jest grzechem, a co zasługą;
 Lecz czujeszże ty w piersiach, żeś jest Bożym synem,
 Nie niewolnikiem, nie sługą?

I cóż jest grzechem? czy ta myśl skrzydlatą,
Którą On sam stworzył we mnie?
Dla nieba zrodzona, ku niebu ulata
I chcę ją skrepić daremnie.
I cóż jest grzechem?... *(siada i zamysła się).*

STANISŁAW SĘDZIWOJ.

Bracie, moje zdanie...

MICHAŁ SĘDZIWOJ.

Człowieku! czyś ty słyszał bajkę o Tytanie?
Czyliż każda wielka dusza,
Która chce braciom ludziom przynieść światło z nieba,
Ma nosić miano Prometeusza?
Czyż każdej trzeba
Mieć sępa u serca?
Każdemu bracia rzekną: bluźnierca!

STANISŁAW SĘDZIWOJ.

Michale! jam tu przyszedł z życzliwém objęciem,
Jak matka, co nad chorém schyla się dziecięciem,
By syn, którego dręczą mary gorączkowe,
Utulił na jój sercu skolataną głowę;
A ty odpłacasz ostrą wyrzutów goryczą
Tym, co ci pokój niosą i szczęścia ci życzą.

MICHAŁ SĘDZIWOJ.

Szczęścia! szukam go bracie, lecz znaleźć nie mogę. .

STANISŁAW SĘDZIWOJ.

Toż do niego nieboże prostą miałeś drogę:
Ojciec zostawił kawał urodzajnej niwy
I zacne i pocziwe imię swe w puściznie.
Mogłeś kordem i pługiem służyć twój ojczyźnie
Żyć na łonie rodziny, żyć i być szczęśliwy
Szczęściem obywatela, rycerza szlachcica.
Ale to wszystko razem błahem ci się zdało,
Bo fortuny ojcowskiej było ci zamało!
Złoto, złoto, nieszczęsny! oto tajemnica,
Którą ambicya chorą myśl twoję rozmarza.
To zły duch, o mój bracie, co węzową sztuką
Opętał cię bezbożną niemiecką nauką.
Przeżegnaj się, zmów pacierz, klęknij u ołtarza,
I hardą głowę twoję schyl pod dłoń kapłańską,
W niegodne usta przyjmij Ciało i Krew Pańską,
A Pan Bóg ci przebaczy; szatan zwyciężony
Nie będzie śmiał przystąpić z pokusą mamony.

MICHAŁ SĘDZIWOJ

(gwałtownie).

Złoto. . Szatan kusiciel... Zuchwały! zuchwały!
 I któż śmiał tajemnicę moję wydać tobie?
 Czyś mnie podsłuchał kiedy we śnie, czy w chorobie,
 Gdy myśl błędną zdradzają gorączkowe szale?
 Ha! teraz już wiesz wszystko, wszystkie tajnie moje:
 Zkąd się wziął ten włos biały u mej młodej głowy,
 Dlaczego mnie nie nęci wiosny blask majowy
 A nocami spać się boję?
 Poczekaj moj bracie, rok jeden, dwa może!
 Niech do dna zgruntuję straszliwe to morze,
 Niech wydrę przyrodzie tajemnic jój księgę.
 Jak Michał-Archanioł wystąpię do wojny.
 A wiesz czém zbrojny,
 W jaką potęgę?....
 Złota daj bracie, siłą tajemną,
 Co się w łonie ziemi tworzy;
 A z rykiem i jękiem upadnie przedemną
 Ten, co szczył z mocy Bożej!...

STANISŁAW SĘDZIWOJ.

Bracie! bracie! tyś chory, w gorączkowym szale
 Rzucasz się, krzyczysz w jakichś słowach ciemnych,
 O walce, o szatanie, o mocach podziemnych;
 Ja cię nie rozumiem wcale.
 Przeżegnaj się; wspomniałeś o świętym Michale,
 Zmów do niego trzy pacierze,
 Trzy zdrowaś i jedno wierzę.

MICHAŁ SĘDZIWOJ

(spokojnie).

Każesz się modlić bracie; wczoraj gdy nad ranem
 Wrzał w tyglu kruszec zwodniczy i podły,
 Jam się rzucił na ziemię pokorném kolanem
 I ciche szeptałem modły.
 Cóż pomogła modlitwa? Pan Bóg tam, z wysoka,
 W pysze potęgi swojej nie chciał zwrócić oka
 Na szaleńca, co ręce ku Niemu podnosił
 I przez krew Syna Jego modlił się i prosił
 Zmiłowania i łaski, cudu wreszcie, cudu!...

STANISŁAW SĘDZIWOJ.

Pan Bóg nieraz cudownie przemawiał do ludu,
 Lecz ty, czyś chciał, jak Mojżesz wywieźć źródź ze skały?
 Jak Eliasz na martwe tchnąć iskrę żywota?

Nie, dumny marzycielu! Nie, mędrzeze zuchwały!
Tys zebrał złota!..

Złota, podłego kruszcu, który tylko może
Karmić pychę i brudnych uciech kupić morze.

MICHAŁ SĘDZIWOJ (*smutnie*).

Nie mów tak dłużej, czyliż w całym kręgu świata
Żadne serce człowiecze, nawet serce brata
Nie pojmie, nie oceni biednego szaleńca,
Co przez krwawą koronę cierniowego wieńca
Chce wam odemknąć raju wrota zatrzaśnięte,
Gdzie wszystko jest szczęśliwe, bo czyste i święte.

Bracie! czy ty pamiętasz dni nasze dziecinne,
Kiedy w sercu uczucie proste i niewinne,
A w głowie myśl skrzydlata spała niezbudzona?
Pamiętasz ty tę starą lipę poza dworem,
Gdzie teraz często, widzę, młoda twoja żona
Z malém swoim dzieciątkiem siaduje wieczorem?
Pamiętasz? myśmy nieraz z matką tam siadali,
Cichym, ciepłym dniem lata o słońca zachodzie;
Zdaje mi się że widzę: w czystej światła fali
Modrzewiowy nasz dworzec miga się w ogrodzie,
A my dwaj zadyszani, z głośnemi krzykami,
Biedną złocistą muszkę gonim pod wierzbnami.
Wtém gościńcem ode wsi wzbiła się kurzawa;
Słychać psów ujadanie, zgiełk jakiś i wrzawa.
Patrzymy: dzieci wiejskich ciśnie się gromada,
A pośród nich kobieta, chuda, czarna, blada,
Szła z dziecięciem na plecach płachtą przyodziana.
„Cyganka!” zawołałeś. Spojrzałem w tę stronę,
Spojrzałem na jój czoło znojem uperłone,
Na lice ogorzałe, nędzny szmat łachmana,
I dziecię wychudzone; wtém pomimo woli
Uczulem, że mnie w piersiach coś ściska i boli;
I pobiegłem do matki drżący i wybladły,
A tymczasem cyganekę dworskie psy opadły
I szarpały na sztuki brudne jój łachmany.
Tys podbiegł i biczykiem rozpedził brytany,
A matka dać kazała duży kawał chleba.
Ona na pnju zwalonój drzewiny usiadła,
I wielkie swoje oczy podnosząc do nieba,
Ów chleb czarny i gruby z cheiwą żądzą jadła
I karmiła nim dziecię. Z bolesném wzruszeniem
Długom na tę kobietę poglądał milczący,
Aż mi się w oczach zebrał potok łez gorący
I na lice dziecinne wytrysnął strumieniem.
—Matko mojal—wołałem—matko! czemu ona
Taka brudna i zgłodzona!

Matka główkę dziecinną w obie wzięwszy dłonie,
 Utuliła przy sercu na bijącym łonie,
 I całując mi usta, ona święta, droga,
 Cichutko poszepnęła: „Synku! bo uboga!”...
 Uboga!... Na to słowo w piersi pacholęcia
 Serce nowém, nieznaném tętnem uderzyło.
 To słowo mnie ścigało w matczyném objęciu,
 Nocami ze snu budziło.
 W dni święte przed ołtarzem stanąwszy w kościele
 Surowy wzrok topilem w nieme lica Boga,
 I podnosiłem oczy i pytałem śmieie,
 Dlaczego ona uboga?
 Czemu cygańczyk łaknie powszedniego chleba
 A ja mam biały kołacz i barwiste szaty?
 Dlaczego jedno dziecię biedne, a dlaczego
 Jam się urodził bogaty?....

Aż raz spytałem, zkąd się wydostaje
 To, co mama i tata nazywają złotem;
 To, co jednemu tyle da chleba, że potem
 Nic dla drugich nie zostaje?...
 Ojciec wziął ciekawego synka na kolana,
 I rzekł: złoto to kruszec, pod ziemią się kopie.
 Wtém nagle słowa niańki przypomniało chłopię,
 Że pod ziemią jest piekło mieszkanie szatana;
 I naraz się w dziecinnych myślach rozjaśniło
 Wszystko, co dotąd ciemne i wątpliwe było!
 Pan Bóg stworzył tę ziemię piękną i bogatą,
 Z wonnych kwiatów kobiercem i zieleni szatą;
 A złe duchy, pod ziemią złoty kruszec tworzą
 I na dwie części dziatwę rozdzielili Bożą:
 Na biednych i bogatych. Bracie Stanisławie,
 Tak marzyło pacholę o słońca zachodzie.
 Kiedy pod starą lipą, na miękkim murawie
 Ścigało złotą muszkę w ojezystym ogrodzie.
 Ale myśl dziecka poszła za młodzieńcem w ślady
 I powtarza ją smutny, znękany i blady:
 Bóg dał ludziom tę ziemię piękną i bogatą,
 Z wonnych kwiatów kobiercem i zieleni szatą;
 A złe duchy pod ziemią złoty kruszec tworzą
 I na dwie części dziatwę podzielili Bożą...

STANISŁAW SĘDZIWOJ.

Mój bracie! myśl to może prawdziwą, lecz poco
 Te wszystkie smutne rzeczy przypominać nocą? }
 Połóż się, wypoczynek potrzebny ci, bracie;
 Ja zostanę i w twojej ponurój komnacie
 Będę czuwać nad tobą do samego świtu.
 Niedługo się zapłoni ciemny szlak błękitu.

MICHAŁ SĘDZIWOJ.

Ja brat Chrystusa! ja syn Jehowy!
 Z sercem przebitém, z cierniem u głowy,
 Droga doświadczeń długą i ciemną
 Idę w podziemia otchłań tajemną.
 Tam na bój straszny stanę z szatanem,
 Tam tajemnicy zostanę panem;
 I tyle złota rzucę po świecie,
 Że nikt nie będzie łaknął na ziemi,
 Ni żadne nędzne cygańskie dziecię
 Żebrało chleba usta głodnemi.
(Pada bezprzytomny, Stanisław unosi go na łożo).

OBRAZ II.

(W piętnaście lat później).

BOŻENNA wdowa po Stanisławie Sędziwoj.
 HANNA jej córka.
 STARZEC nieznajomy.
 JANUSZ narzeczony Hanny.
 DUCHNA jej piastunka.

(Izba w ubogim dworku szlacheckim).

BOŻENNA

(przędąc u kołowrotka).

Gwiazdo morza! któraś Pana
 Mlekiem swoim karmiła;
 Tyś śmierci szczep, który szczepił
 Piérwszy rodzic, skruszyła.

DUCHNA

(wchodząc żywo).

Imość moja kochanal kołacz tak wyrasta,
 Że nie mogę nadążyć z wyrabianiem ciasta.
 Niech się tam kto chce śmieje, a ja powiem śmieje,
 Że kołacz nie na każde darzy się wesele.
 Dobra wróżba dla młodych, dobra jak Bóg w niebie!
 Nie zabraknie im nigdy na soli i chlebie;
 I jako ciasta w dzieży przysporzy się szczęścia.

BOŻENNA.

Daj to! daj to wielki Boże! choć dla mego dziecka
 Nie takiego ja kiedyś czekała zameścia!...

DUCHNA.

Cóż robić, moja imoś! Fortuna zdradziecka,
 Jak to mawiał jegomość, różnie kołem toczy.
 Ale znowu imości łzami zaszyły oczy!...
 Toż to grzech, jak Bóg żywy, tak się zdrowie psować
 I tak ciężko światowej próżności żalować.
 Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, i chwala Mu w niebie!
 A niechno imość oczy rzuci wedle siebie,
 Ileto na tej ziemi w cięższej żyje biedzie?
 A chociaż imość z onęj krwi szlacheckiej idzie,
 Co w lepszym zwykła bywać na świecie splendorze,
 Ależto moja imość, wszystko dzieci Boże!

BOŻENNA.

Nie dla siebie ja marne kochałam dostatki,
 Lecz ich dla dziecka mego pragnie serce matki.
 O! ciężko się nad nami ręka Pańska sroży,
 W stary ród Sędziwojów gniew uderzył Boży!
 Jeden brat, gdzieś daleko pomiędzy obcemi,
 Jakoby nędzny tulacz błąka się po ziemi;
 Drugi zszedł w niedojrzałej męskich lat połowie,
 Wieczny żal przekazując bolejącej wdowie.
 Fortuna w marność poszła, i to moje dziecko,
 Jedna starego rodu gałązka słabiuchna.
 Czémże biedna sierotka zasłynie na świecie?
 Oto na dzień wesela, stara niańka Duchna
 Upiecze biały kołacz:— wiano i dostatki
 Będą dawne wspomnienia i ciche łzy matki!

DUCHNA

(*kiwając smutnie głową*).

Kiedymci ją nieboże, na tych moich ręku,
 Przyspiewując bujała do snu pomaleńku,
 Myślałam sobie nieraz: dajno Boże w wiośnie,
 Niech mój śliczny kwiateczek wysoko podrośnie,
 Dopieroż tobie staręj w pysznej wzniesie się mierze!
 Dopieroż ci się będą kłaniali rycerze,
 Prosząc o dobre słówko! A tu krasawica
 Wybierze sobie w złotęj zbroi królewica;
 Macierz płacząc ustroi w cudne złotogłowie,
 Ja wianek rozmarynu upnę jej na głowie
 A rodzic trzos naliczy i wyprawi gody:
 Będą strzelać z moździerzcy, stare tocząc miody!

(*Hanna wbiega z wiązanką białych kwiatów w ręku*).

HANNA.

Matuchno moja droga! matuchno kochana!
 Patrz, jak ślicznie kalina rozkwitła mi zrana:
 Rosa na niej jak perły.

BOŻENNA

(całując ją w czoło).

Lube dziecię moje!
 Śnieżne listki kaliny, białe lice twoje
 A rosa, co na one woniejące kwiatki
 Opadła cichą nocą—to łzy stariej matki!

HANNA

(z wyrzutem).

Zawszeż matuchno moja! i zawszeż to samo?
 Smutne twe oko w wiecznej łzie tęsknoty pływa.

BOŻENNA.

Dziecię! o dziecię moje!

HANNA.

Nic już nie mów mamó,
 Ja dzisiaj jakoś taka rada i szczęśliwa,
 Ze tyłkoby mi śpiewać i cieszyć się trzeba.
 Kiedy rankiem wybiegłam do sadu, na łąki,
 Tak mi było na sercu, żebym jak skowronki
 Chciała z piosenką lecieć gdzieś w górę.... do nieba!

BOŻENNA.

Wzlatuj gołąbko moja, póki ziemska troska
 Białych ci skrzydeł twoich na dół nie wyłamie.
 Wzlatuj i igraj w słońcu, zanim wola Boska
 Czoło w ciężkie boleści nie ustroi znamie!

HANNA.

Ja się pewno rozplaczę, nie wytrzymam dłużej!
 A wszakżeż prawda, niańko, że to źle się wróży,
 Kiedy w wilią wesela panna młoda płacze?

DUCHNA.

Oj nie płacz stokroteczko! szkoda łzę szafować,
 Lepiej ją doniu moja na później zachować;
 O lepiej! A widziałas jak rosna kołacz?

HANNA.

A jakżeż nie widziałam? ciasta pełna dzieża.
 Matuchno, ja pobiegnę teraz do alkierza,
 I piękniej się oblokę i kwiatki przystroję.

DUCHNA

(śmiejąc się).

Widzicie ją! widzicie ono złoto moje!
 Jak się to rade stroić, i biało i cienko.
 A potem odemknąwszy w komorze okienko
 Wyglądać, z której strony zajędzie pan młody.
 Oj dlaboga! dlaboga! kiej koral jagody!...

HANNA

(markotnie).

To mnie niańko nie wstyďte, bo i cóż to szkodzi,
 Ze kiedy czas leniwy powoli mi schodzi,
 Popatrzę na świat Boży okienkiem przez szyby?
 A wy, zaraz mówicie: za Januszem niby.
 Gdzieby tam za Januszem! Połajcie ją mamó.

DUCHNA.

I imość, Boże odpuść, robiła to samo,
 Gdy jegomość nieboszczyk przyjeżdżał w zaloty.
 Pani matka się pyta: Duchno! gdzie panienka,
 W sadzie czy u kądzieli? Gdzie tam! u okienka!...
 O imość! moja imość! toćto czas był złoty;
 Cztery siwki mozpanie rzą tylko zdaleka,
 A Bożenna sploniona w alkierzyk ucieka.

BOŻENNA.

Poco próżnemi słowy stawiać przed oczyma
 Dawne czasy, jak zgasła lampę na świeczniku?

HANNA.

Niańko! dlaczego Janusz czterech siwków nie ma,
 I przyjeżdża tu tylko na jednym koniku?

DUCHNA.

Bo widzisz, u Janusza na jednej zagrodzie
 Jest jeszcze kilku braci i starzy rodzice;
 A choć to mówią: pan brat równy wojewodzie,
 Zawszeć to co innego bogaci dziedzice,
 Jakim twój ojciec, Hanko, był niegdyś za młoda,
 A szlachcicem jak Janusz.

HANNA.

Szkoda! wielka szkoda!

(Zamyśla się skubiąc kwiatki).

DUCHNA.

Szkoda pieśczołko moja kwiatów próżno psować,
 Chyba chcesz się parzystej liczby dorachować;

Ale ja tu czas tylko mitręzę daremnie
A tam kołaczom moim niedobrze bezemnie.

(Wychodzi—długa chwila milczenia).

HANNA

(przysuwając się do matki).

Przemówcie co matuchno, a słodko, a miło,
Bo mi się jakoś smutno na sercu zrobiło.

BOŻENNA.

Janusz pewno niedługo przyjedzie, bo słońce
Jakoś ku południowi chyli się gorące.

HANNA.

Oj pewno, że niedługo. Matuchno jedyna!
Czy dobrze u warkocza wydaje kalina?
Bo ja śliczną różyczkę mam jeszcze na grzędzie,
To może mi w różyczce jakoś ładniej będzie?

BOŻENNA

(przyciągając ją ku sobie).

Hanusiu moja droga, tyś oczom twój matki
Milsza nad wszystkie róży i kaliny kwiatki.

STARZEC

(uchylając drzwi).

Pokój temu domowi.

HANNA

(przestraszona).

Ach, matuchno droga!

BOŻENNA

(postępując naprzód).

Starczel....

STARZEC.

Jestem podróżny z dalekiego kraju,
I wedle gościnnego ziemi tej zwyczaju,
Gospody w domu waszym proszę w imię Boga.

HANNA

(wysuwając stołek).

Spocznijcie ojcze!

STARZEC.

Dziecię ukochanej!

Zkąd ty mnie ojca słodkiem nazwała imieniem?

Zkąd myśl twa, rysy moje obce i nieznanne,
Z ojca twojego świętém złączyła wspomnieniem?

BOŻENNA.

A wy zkąd wiecie starcze, że ona nieboga
Jest sierotą z woli Boga?

STARZEC.

Ta czarna suknia wasza popadła mi w oczy,
Lecz cień jakiś żalobny, co wam lica mroczy,
Więcej może jak one wdowich matron szaty
Kazał mi się domyślać dziecka twego straty.

BOŻENNA.

Ciężka! o ciężka strata! W ranném życia lecie
Bóg uczynił sierotą biedne moje dziecko,
A matka bolejąca w wdowiej swój żalobie,
Ciałem jedno na ziemi, a sercem już w grobie.
Nie umiała jęj chować puścizny ojcowskiej,
I straszne doświadczenie przyszło z ręki Boskiej:
Żli ludzie zapragnęli sierocego mienia,
I nie się nie zostało prawie—krom wspomnienia!

STARZEC.

A nie byłoż nikogo, by przychylną dłonią
Zatrzymał was nad smutną złęgo losu tonią?

BOŻENNA.

Mój mąż miał brata, ale jego nie zatroska
Smutna, płacząca wdowa i braterskie dziecko.
Szalencie! błędne mary goni gdzieś po świecie,
I za niego nas może ściga ręka Boska.
Ludzie go pomawiali o złe jakieś sztuki,
O przymierze z szatanem, bezbożne nauki....

STARZEC.

Niewiasto! poco u was takie gorzkie słowa!
Kto wie? żal wasz spaść może na głowę szaleńca?
A ta głowa niestety, jak Chrystusa głowa
Krwawi może w koronie cierniowego wieńca?
Może on tułacz, z kończyn dalekiego świata
Pod dach tój chaty nieraz myślami przylata,
I zapalenie swoje rozognione skronie
Radby cicho utulić na siostrzyném łonie?
Może pierś jego wzdęta westchnieniem tęsknoty,
Chce jak błogostawieństwa uścisku sieroty.

HANNA.

Ja go pamiętam trochę, jak jakieś widzenie,
Które niby mgła ciemna zasłania i mroczy.
On, jak wy starcze, takie smutne miał spojrzenie
I takie błękitne oczy!
Tak, pamiętam; przy jakichś dziwnych piosnek dźwięku
Lubiłam mu niekiedy zasypiać na rękę;
Lecz Duchna się gniewała, mówiąc: że broń Boże,
On swojemi czarami i mnie urzec może!

STARZEC.

O dziecię! tyś mu była jako anioł biały!
Kiedy marzyciel w swoje gorące objęcia
Utulił jasną główkę czystego dziecięcia,
Złe sny i czarne widma przystąpić się bały.

BOŻENNA.

Czyście go znali? Może wędrując po świecie
Zaszedł i w wasze siolo, lub rodzinne miasto?
Czyście go znali, pytam?

STARZEC.

Nie znalazłem niewiasto.
Ale on pewno.... pewno... kochał wasze dziecię
Jak się kocha wśród nocy jasny promyk wschodu,
Jako wśród smutnych cieni pustego ogrodu
Kocha się lilii kwiecie!...

BOŻENNA.

Toż byłby tutaj z nami osiedlił się przecie;
I kiedy mąż nieboszczyk po krótkiej chorobie
Oczy swoje śmiertelnym przysłonił całunem,
On jak brat czuwający przy braterskim grobie
Byłby sieroty jego został opiekunem.

STARZEC.

Niewiasto! wiesz ty o tém, że są takie chwile,
W których musimy wszystko co drogie porzucić.
Wszystkie serca zakrwawić, oblicza zasmucić,
I całą świętą przeszłość zostawić gdzieś w tyle.
On biędny nie mógł siedząc przy twój jedynaczce
Wdowiego twego serca ukajać tęsknoty;
Bo jemu przykazano w nędznych dni tułaczce
Pocieszyć wszystkie wdowy, i wszystkie sieroty
Przytulić do swój piersi, otworzyć ramiona,
A serce przebić włócznią, jako ten co kona,
Z wyżyn Golgoty! (*miarkując się*).
Ale co mnie to wszystko, co wasz brat obchodzi?
Zwyczajnie nudna starość: słońce gdy zachodzi

Zawsze ma coś smutnego jego promień drżący.
 Oto lubę to dziecię zmartwiłem niechęcący,
 I zaćmiła się jasna źrenica niebieska.
 Jak rosa na bławatku, srebrna błyska łązka.
 Przepraszam cię....

HANNA

(*ocierając łzy*).

Nie szkodzi staruszkowi, nie szkodzi!

Ot łza przysłała i poszła, bo to co wielkiego?
 Przecież o nieobecnych wspominać się godzi,
 I ja co dzień w pacierzu modłę się za niego.

STARZEC.

Módl się! módl dziecię — kiedy gorączką trawiony,
 W te długie, nieprzespane, w te bezsenne noce,
 Jako Jakób z potężnym duchem się szamoce;
 Biały anioł przyleci od rodzinnej strony
 I modlitwą dziewicy namaści mu czoło,
 I jasne nad nim światła rozpromieni koło,
 I uniesie daleko na skrzydłach marzenia,
 Pod onę starą lipą ożywczego cienia.....

BOŻENNA

(*przerywając*).

Spocznijcie lepiej starcze; dni sędziwych schyłek
 Potrzebuje wywczasu i większej wygody.
 Ja pobiegnę wam jaki przyrzadzić posiłek.

STARZEC.

(*wyciągając ręce za wychodzącą*).

Kromkę waszego chleba, czarę waszej wody,
 Którą, dobra niewiasto, niech to dziecię poda.

HANNA.

I cóż to tak smacznego będzie chleb i woda?

STARZEC.

Dziecię! ty nie znasz jeszcze życia tajemnicy,
 A przecież już nie jeden, o nie jeden może,
 Oddałby hipokreny i ambrozyi morze,
 Za jedną kroplę wody z ojczyści krynicy.

(*puszcza jej rękę i zamysłła się*).

HANNA.

Darujcie mi mój ojczę, na chwilę was rzucę;
 Pójdę do matki, ale niedługo powrócę.

(*wychodzi*).

STARZEC.

O słodka, czysta wodo ojczyztego zdroju,
 Nie tobie koić usta gorączką łaknące!
 Nie tobie ofiarnika czoło palające
 Orzeźwić po świętym znoju!....
 Są jedni — ród szczęśliwy od Boga wybrany,
 Co trzymając się ojców starego ogniska,
 Rodzi się, mrze i żeni, jako wśród mrowiska
 Mrówek w lesie rój nieznany.
 I dla tychto chleb zdrowy na rodzinnej niwie,
 Starych lip chłodne cienie, w dolinie zdrój czysty;
 Dla tychto ciepły promień domowego żywio
 I grób na ziemi ojczyzstój!....
 Są znowu, znam jednego; są znowu i tacy
 Którym u piersi matek ręka Archanioła
 Ognistém piętnem swoim naznaczyła czoła.
 I ci, jak wędrowni płacy,
 Tajemny symbol, straszna zagadka przyrody,
 Bolesną żądzą wiecznie gnani wśród przestrzoni,
 Jeżeli rzekną: pragniem! i trudem znużeni
 Ojczyzstój załakną wody:
 Dla tych jest czara żółci — ha! mogę pić sobie,
 Aż się pragnienie wreszcie uspokoi — w grobie.....

HANNA

(wbiegając).

O! wróciłam już ojcze, droga niedaleka,
 Bo ja tylko do Duchny pobiegłam obaczyć,
 Jak się tam w piecu biały kołacz mój dopieka.
 A musicie się ojcze kołaczem uraczyć,
 I jutro (pokazując na ręce) tak ogromny kawał wam ukroję,
 Bo jutro — wy nie wiecie, to wesele moje.

STARZEC.

Dziewico! w tój stanowczój, uroczystój chwili,
 Gdy się sen dziecka w życie kobiety przesili,
 Bóg chciał, bym rękę moję złożył na twém czole.
 A więc przez imię tego, który mieszka w Niebie,
 Hanno Sędziwoj! błogosławię ciebie,
 Na wszystkie przyszłe życia cierpienia i bole!
 Matko przyszłych pokoleń! gdy słodkiem twém mlekiem
 Wykarmisz tego, co się będzie zwał człowiekiem,
 W pierś dziecinną wlej tyle serdecznego ciepła,
 By w tój długiej po ziemi wędrowce tułacznej,
 Pierś ta nigdy nie jęka zwątpieniem rozpaczy,
 Lub egoizmem zakrzepła.
 Potém cichą łzą namaść głowę twego syna:
 Bo wiesz ty, że łza matczyna

To chryzmat chrztu świętego, co młodzieńca czło
 W takiej aureoli upromieni koło,
 Że jój nie zgasi żadna ziemskich żądź pokusa.
 Potém, potém go zawieźdź pod krzyża podnoże,
 I każ mu obie ręce wyciągnąć ku górze,
 I wpatrzyć się w bolesne oblicze Chrystusa.
 Usta żółcią napojone,
 Serce włócznią przebodzone;
 I rozciągnięte ramiona,
 I krwawą, przebitą nogę.
 Potém niech syn twój, matko, idzie w swoją drogę:
 On już wie teraz jak męczennik kona!....

HANNA

(płacząc).

Starcze! Starcze! ach przez Boga w niebie!
 Któż to takie życzenia pannie młodej składa?
 Patrzaj, ja płaczę przez ciebie;
 A te lzy moje — o biada mi! biada!
 Te lzy mnie biednej nieszczęście przyniosą!....

STARZEC.

Dziecię! ty nie wiesz jeszcze, że ta lza jest rosą,
 Która na zwiędłe serce jak balsam upada;
 Ja o lzę jedną długie już modłę się lecie,
 I wyprosić jój nie mogę.....
 Lecz mnie czas w drogę,
 Żegnaj cię dziecko!....

HANNA

(zabiegając ode drzwi).

Wyście się rozgniewali — Oj nie, nie staruszku:
 Musicie się do jutra gwałtem zostać z nami.
 Posilcie się, prześpijcie na wygodném łóżku,
 Potém pobłogosławcie innemi słowami,
 Inném jakim życzeniem, któreby mi przecie
 Lepiej jakoś wróżyło na przyszłe zamęcie.

STARZEC.

Jakiegoż chcesz życzenia? jakież moje dziecko
 Chcesz, by ci przyniosło szczęście?..

HANNA.

O! szczęście jak u ludzi: niechaj z łaski Bożej
 Wszystko dobrze się dzieje na polu i w domu.
 Niech się dobytek chowa, fortunę przysporzy:
 Bo widzicie, choć tego nie mówię nikomu,

Mnie żal, że Janusz biedny, i że będzie trzeba
Pracować z nim na kęs chleba....

STARZEC.

Ha! teraz już wiem, sieroto!
Co się to szczęściem nazywa....
Dobrze o córo Ewy! chcesz złota, dam złoto,
I bądź szczęśliwa!....

(Wyjmuje z pod sukni trzos i kładzie go w ręce Hanny, powtarzając smutnie).

Bądź szczęśliwa!....

(Wychodzi srodkowemi drzwiami, Bożenna i Janusz wchodzi do alkierza).

BOŻENNA.

Dobry starcze!—Lecz gdzie się podział; moja córko,
Czy pogrzać się przy słońcu wyszedł na podwórko,
Czy też w sadzie gdzie zabawiał?

HANNA.

On poszedł matko! poszedł.... lecz patrz co zostawił!...

(Chce jej podać trzos, który rozwiązuje się nagle i złoto z brzękiem spie się na podłogę).

BOŻENNA

(z krzykiem).

Złoto!!! ha! czy mnie zwodzą biedne oczy moje?
Złoto! Cieszcie się w grobach starzy Sędziwoje!
Imię wasze znów zasłynie
W tej jedynej méj dziecinie!
Złoto.....

JANUSZ

(pizerywając).

Złoto, niewiasto, nieszczęście przynosi,
Gdy je znój pracy nie zrosił!.....

Marya Iwnicka.



O DRAMACIE NIEMIECKIM W XIX WIEKU,

A W SZCZEGÓLNOŚCI

O HALMIE.

PRZEZ

Bolesława Wiktora.

Dramat mieszczański: Iffland i Kotzebue. — Odrodzenie literatury przez klasycyzm: Szyller i Gete. — Romantyzm: Tieck, Kleist, Werner, Müllner, Grillparzer, Immermann, Raupach. — Realizm: Gutzkow, Hebbel, Ludwig. — Stanowisko Halma; jego dramata: *Gryzelda*, *Syn pustyni*, *Gładyator razeński*.

W drugiej połowie XVIIIgo wieku Niemcy znajdowali się w stanie zupełnego moralnego upadku: życie społeczne nie miało ani zacniejszego dążenia, ani godności; drobne intrygi polityczne, skandale dworskie i przedrzeźnianie manier francuzkich, pochłaniały umysł wyższej warstwy społeczeństwa. Baron lub graf, przy wrodzonej ociężałości i flegmie niemieckiej, chciał być zwinny, lekkim i szczebiotliwym jak Francuz, a za najwyższy cel życia uważał okryć się śmiesznością w Paryżu przez niezgrabne naśladowanie paryzkiej rozpusty. Co się zaś tyczy mieszczań, tych troskliwa opieka politycy i załogi wojskowe wyzuły z uczucia własnej godności, a pietyzm — z odwagi i energii życia.

Taki upadek społeczeństwa musiał wyrazić się i w literaturze, która zawsze jest odbiciem moralnego stanu narodu. Dramat, — ten bowiem rodzaj literatury jest przedmiotem niniejszego pisma, — dramat jako najwyż-

szy utwór piśmienniczy, musiał bardziej jeszcze niż inne płody literackie nosić na sobie piętno takiej epoki: dlatego też dramat mieszczanski, wynaleziony przez Francuzów, a wprowadzony przez *Lessinga*, stał się ulubioną sceniczną rozrywką. Potzciwiec, prześladowany przez szambelanów i radców nadwornych; biédak, któremu protegowany panielcz zabiera z przed nosa zasłużone miejsce; mieszczanin, któremu przesąd szlachecki nie daje przystępu do ukochanej i t. p.: oto zwykle wówczas środki wzruszenia; gdyż dramat chwycił się ciągle bezmyślniej opozycyi, w skutek której pewna klasa społeczeństwa obdarzona była przywilejem podejrzania, iż się składa z samych tylko łotrów: uderzano głównie na urzędników, radców nadwornych, szambelanów i prezydentów, ale na wyższych jeszcze dygnitarzy nie śniano się porywać. *Iffland* i *Kotzebue* opanowali teatr, czerpiąc treść z poziomego i pospolitego życia; potakiwali oni trywialnym potrzebom, poziomym wzruszeniom, a lechtając tym sposobem miłość własną, schlebając egoizmowi ciasnego życia, zajęli stanowisko, z którego ich wyższy dramat z idealnym i historycznym dążeniem strącić nie zdołał. *Iffland*, położywszy sobie za główny cel naukę moralną, wpada często w kaznodziejstwo, i zwykle wyobraża fałszywy kontrast natury i ukształcenia; wdzięk i oświecenie w jego dramatach łączą się zawsze ze złym charakterem, a przynajmniej skrzywiają przyrodzone uczucia; dobre zaś *Iffland* prowadzi w parze z ograniczonością, albo spotworza przesadzonym urokiem. Jednak dzieła jego i dziś jeszcze mają wartość z tego względu, że przebija się w nich trafna znajomość życia; najlepszym z nich jest „*Strzelec*.”

Kotzebue zdobył ogromną popularność tak, że dla niego prawie zupełnie zapomniano *Ifflanda*; popularność *Kotzebuego* tak była wielką, że on przez niejaki czas wyłącznie posiadał scenę od Gibraltaru do Kameczatki: ale największy entuzjazm zyskał u Anglików. Obrona tak nazwanej natury przeciwko cywilizacyi, prawu i powadze, jest żywotną arterią jego dramatów. Tu panuje cnota i ludzkość; ale ta cnota jest niczem innym jak tylko instynktową dobroduszą, którą nieraz i w zbro-

dniarzu napotkać można. Wyprowadzając na widownia zgłodniałych mężczyzn, kobiety i dzieci, — którzy całują ręce i suknie dobrodusznej istoty, obdarzającej ich jałmużną, — Kotzebue uderza z wyrachowaniem na poziomie strony natury ludzkiej, tak samo jak poeta, który usiłuje wzruszyć drobiazgowym opisem fizycznych cierpień. Teatr Kotzebuego jest obnażeniem istoty moralnej człowieka, cynicznym okazywaniem jego ułomności: słowem — wkopaniem ideału w błoto życia. Kotzebue jest głównym wyobrazicielem tak nazwanego *naturalizmu*, który znamionuje dramat owego czasu. „*Nienawiść ludzi i żal* (1789)” tłumaczona u nas przez A. Lesznowskiego, stała się kamieniem węgielnym wziętości Kotzebuego; kiedy zaś w następnym roku ogłosił „*Joannę de Montfaucon*”, wszystkie sceny, nie wyjmując i naszej, na wyścigi rzuciły się do jej przedstawienia.

Odrodzenie literatury i dramatu w Niemczech dokonane zostało tak samo, jak dawniej odrodzenie cywilizacji europejskiej: przez zwrot do *klassycznej starożytności*. Sztuka musiała czerpać natchnienie u tego źródła, musiała stanąć w sprzeczności z życiem rzeczywistym, skoro to życie najopłakańszy i najnędzniejszy przedstawiało widok, a tym samym niezdolne było poezyi żadnym urokiem do siebie przywabić. Pierwszy krok na drodze wskrzeszenia sztuki uczyniła krytyka. Założycielem nowego kierunku był Winkelmann, który usiłował ukazać Niemcom starożytność w najczystszej formie. Klopszok starał się zastosować to do życia narodowego. Do rozwinięcia tego nowego kierunku przyczynili się: Herder, poglądami historycznymi, Wolff, zasługami na drodze filologii. *Lessing* pierwszy odrzucił poważny koturn Klopszoka, i zwrócił się ku wszechstronnemu zgłębieniu i malowaniu życia rzeczywistego; a nie tylko że nie wyzwał się z zapału dla wszystkiego co wzniosłe i piękne, lecz owszem jedno z drugim połączyć potrafił. Niemałą położył on zasługę dla podniesienia teatru jako twórcy dramatów, i jako estetyk. Jego „*Emilia Galloti*” (grana na scenie warszawskiej), pod względem pomysłu i układu całości jest pierwszorzędnym dziełem sztuki w dramaturgii niemieckiej; a nadto w charakterystyce i sytuacjach wiele poetycznych zawiera piękności.

Na czele klassycyzmu stanęli dopiero Gete i Szyller. Od r. 1794,—w którym dwaj mistrze zjednoczyli swe usiłowania dla podniesienia sceny.—do 1805, to jest do śmierci Szyllera, ciągnie się krótki peryod klassycyzmu, który stał się najwyższym wyrazem oświaty w Niemczech i dosięgnął najczystszej doskonałości formy. Szkoła klassyczna nie znajdując materiału w karłowatém życiu narodu, musiała stwarzać treść i formę dla swych dramatów, wpatrując się w pierwowzory starożytne; kiedy przeciwnie klassyczni pisarze innych ludów osnowę obyczajową swych utworów czerpali z ducha swego narodu, jak np. Sofokles, Szekspir, Molier, Kornel, Lope de Vega, Kalderon. Ten klassycyzm był tylko cieplarniową rośliną, która musiała zamrzeć, jak tylko zgasła konstellacya geniuszów, jaka ją do życia powołała.

Szyller tém szczerzej połączył się z Getem, że uważał scenę za dzielny środek polityki, zdolny poprzeć religią i prawodawstwo w ich celach społecznych (*Die Schaubühne als eine moralische Anstalt betrachtet*. 1784). „*Wallensztejn*”, jedyne może arcydzieło dramatyczne w literaturze niemieckiej—zadał ostatni cios naturalizmowi w dramacie i uTOROWAŁ drogę idealnemu teatrowi, który dotąd jeszcze pomimo różnych przeciwnych mu usiłowań utrzymał swe istnienie.

Klassycyzm wydarł Niemcy z ciasnego koła myśli i wrażeń, i obdarzył je pięknym, estetycznie wyrobionym językiem. Lecz, gdy trzeba było obudzić samoistność myśli, pokazało się, że klassycyzm do tego nie dorósł: bo on górował tylko formą, i najwznioślejsze jego pojęcia piękna nie mają wyraźnie oznaczonej treści. Artyści i pisarze złotego wieku gardzili życiem, oderwali się od niego, i w ustroniu wejmarskiem stanęli w fałszywem położeniu względem narodu. Ztąd reakcyja, która rzucała się do przeszłości ojczystej, do wyłącznego germanizmu, do tradycyi religijnej, do przesądów średnio-wiecznych i podań rycerskich czasów tak dalece, że z estetycznych pobudek usprawiedliwiano nawet niedorzeczności: oto żywiły *romantyzmu*, który w fantastyczności i marzycielstwie objawiać się począł. Oddał on jednak niemalą przysługę literaturze przyswajaniem

obcych arcydzieł i wywołaniem głębszych badań na polu religii, historii i prawa, a nade wszystko filologii i porównawczego językoznawstwa. Przewodnikami nowej szkoły byli August i Fryderyk Szlegle. Przez naśladownictwo południowej i wschodniej poezji stała się ona obcą duchowi narodu. Arcydziełem dramatycznym romantyzmu miała być „*Genowefa*” Tiecka (1800): cała szkoła nie знаła granicy dla swego uwielbienia, prozą i sonetami składając hołd autorowi, który sam nawet (w nowelli „*Stara księga*”) dobrodusznie unosił się nad własnym dziełem. Tymczasem, po odrzuceniu rozciągniętych epizodów, nie znajdziemy w tej sztuce jedności artystycznej; jestto poprostu obraz rodzajowy (*genre*), któremu brak najważniejszego warunku, bo tła historycznego. Jedność nastroju chciał Tieck utrzymać religijną barwą, lecz ta jest tylko zewnętrzną ozdobą nie mającą związku z nerwem wypadków: można ją odrzucić bez żadnego dla akeyi uszczerbku.

W epoce wojen Napoleońskich w Niemczech, największym poetycznym zjawiskiem jest *Henryk Kleist* († 1811). Był w nim zakrój na pierwszorzędnego poetę, lecz excentryczność jego stała się powodem, że nie ziścił pokładanych w nim nadziei. Posiadał on głęboki zmysł estetycznego ład, trafne pojęcie dramatycznego działania i stanowczość w wyborze teatralnych środków; ale w chwili, kiedy największą sprawą nam rozkosz harmonia tego poetycznego ducha, uderza nas nagle dziwne uczucie, że coś, zupełnie obcego utworowi, wstępuje w jego wnętrze. W każdym prawie dziele Kleista można oznaczyć punkt, w którym on przestaje być panem własnych myśli, co go nachodzą, i pomimo, że się przeciw nim lekko broni, porywają go z sobą. Jeśli inni romantycy igrali swawolnie z tajemniczymi siłami, to przeciwnie można powiedzieć, że one wyrwały się z głębi ducha tego poety, obudzając w nim ponure wzdygnięcie. W ostatnim i najpiękniejszym swym dziele, w „*Księżcu Homburskim*”, klasycznie udramatyzował walkę prawności i prawości. Gdy samotny ten geniusz rozwijał się w odrębnych zupełnie formach, w tym samym czasie występuje na scenę *tragedya fatalistyczna*, której

twórcą był *Zacharyasz Werner*: najlepszym z jego dzieł jest mała tragedia pod tytułem „24 lutego”. Między innymi napisał także: „*Wandę królową Sarmacji*”; sztuka ta z wielką okazałością była daną przez Getego 1809 r. na teatrze wejmarskim; wspominamy ją dlatego tylko, że bliżej nas obchodzi ze względu na swą treść, gdyż jest to tylko gra maryonetek bez żadnej wartości, pełna sentymentalnych tyrad. Największą wadą Wernera i innych dramaturgów szkoły romantycznej było to, że oni wbrew wielkim pisarzom, zamiast wysnuwać treść z ducha czasu i własnej myśli, i wcielać ją w żywe indywidualności, szli drogą odwrotną z zewnątrz na wewnątrz; naprzód bowiem upatrywali sobie formę artystyczną, rytm i odpowiednią maszyneryą, i do tych dopiero dobierali charaktery i sytuacje: jeżeli zaś nie mogli użyć do tego ludzi, to uciekali się do cudowności, do duchów i do świętych. Ztąd w braku moralnej i obyczajowej podstawy musieli wpaść w mistykę trafu (fatalizm) i efektywość. Tym sposobem duchowe środki artystyczne chcieli zastąpić materyalnemi, a działalność cudownością i okropnością; na fantazyą wywierali wprawdzie wrażenie, ale nie wznioślejsze od tego, jakie wywołuje walka byków lub gladyatorów.

Wpływ Wernera na teatr niemiecki nie był znaczącym: tylko pomiędzy wybranymi uchodził on za pierwszorzędny geniusz. Dopiero następca jego w dziedzinie tragedyi fatalistycznej, *Adolf Müllner* († 1829), zyskał powszechne powodzenie: nie tylko poświęceni, ale już cały ogół podziwiał się nad nim, jako nad wielkim mistrzem. Wziętość jego sztuk była niesłychana: wszystkie sceny rzuciły się do ich przedstawienia, wydania posypały się gradem jedne za drugimi; co większa, nie tylko w niemieckich dziennikach, ale nawet i w *Journal des savants* zamieszczano obszernie nad temi sztukami komentarze i rozprawy, uznające je za podstawę nowej o tragedyi teorii. Na ustach wszystkich było imię tego autora, jak później imię Wiktora Hugo we Francyi, i Hebbła w Niemczech; a dziś nikt nawet o Müllnerze nie wspomni. Najwięcej rozgłosu zyskał jego dramat

pod tytułem: „*Wina (die Schuld)*”, przedstawiony najpierw w r. 1813 w Wiedniu i Berlinie.

Bez porównania wyższe od Müllnera stanowisko zajął *Franciszek Grillparzer*; z utworów jego największą i niezmierną wziętość zyskała, głośna wówczas i na naszej scenie, „*Matka rodu*”, która swą treścią należy do najszańszych płodów fatalistycznej tragedyi; wszakże ze względu na szlachetność i prostotę języka, oraz trafność kompozycyi, dzieło to przewyższa wszystkie inne tej szkoły utwory.

Immermann w swoich fatalistycznych tragediach jest artystą, działającym pod wpływem refleksyi; długo namyśla się on nad środkami wywołania współczucia i przerażenia, i środki te z wysileniem największem przeprowadza. Jestto dowolność, wywołująca okropności dlatego, że tragiczności znaleźć nie może. Immermann chwycił się do treści historycznej, gdyż romantyczno-idealna szkoła znudziła się już uciekaniem do duchów i fatalistycznych potęg. Dramat historyczny ma tę dodatnią stronę, że wznosi nad życie codzienne; ale dramaturgowie owoczesni brali zwykle jakiś ustęp z dziejów, i wtłaczali weń swoje historyzoficzne poglądy na losy ludzkości. Najczęściej upatrywali oni jakiś stosunek miłosny, i rozwijając go w dramacie, starali się upożytecznieć swe wiadomości historyczne, albo téż w tej artystycznej formie wypowiedzieć swe przekonanie. W tym rodzaju pracowali: Uhland, Fouqué, Michał Beer brat Meyerbeera, przez długi czas ulubieniec publiczności, a z późniejszych Uechtritz, Mosen, wreszcie *Ernest Raupach*, który obfitością Kotzebuemu dorównał, i przez niejaki czas niemiecką sceną ovladnął.

Ten *kierunek historyczny* jest już niejakiem przechyleniem się dramatu do *realizmu*, cechującego najnowszą jego epokę. Niektóre utwory Immermanna stanowią przejście od jednej do drugiej szkoły, od romantyzmu do realizmu; o tym ostatnim, jako o mniej u nas znanym, nieco obszerniej powiedzieć zamierzamy.

Romantyzm, napozór zwracając się w różnostronne kierunki, niemając ani jednego twórczego prawdziwie talentu, wpadł w manierę, w zupełne zaprzeczenie rzeczy-

wistosci, w wyłączny idealizm. Z dziecinnem zadowoleniem gromadził sobie bóstwa indyjskie ze słoniowemi trąbami, blade i sztywne postacie szkoły byzantyńskiej, groźnych bogów germańskiego pogaństwa; stawiał sobie najdziwaczniejsze zadania do rozstrzygnięcia, a nie potrafił w najprostszych przejściach życia nadać swym bohaterom naturalnego ruchu i kierunku. Czerpał on swe pomysły w tęsknocie i przeczuciu ducha, a nie we wrażeniach życia rzeczywistego. Na przedstawiciela tego zwrotu nie zdobyły się Niemcy: jest nim Byron, ten gieniusz z Kainowem piętnem występnej myśli, gieniusz pełen sprzeczności: arystokrata z rodu, a tęskniący za wolnością, zyskujący urok władzy nad umysłami, a goniący za niedościgłym ideałem, — sceptyk aż do zniechęcenia i szyderstwa, a wdychający za świętością, jaką ludzkość utraciła. Była to ostatnia może, a najbardziej olśniewająca postać, jakiej czarodziejskiemu wpływowi ludzkość pomimowoli się poddała. Obok szlachetnej duszy nie miał on uczucia obowiązku; nie miał w duchu swym żywotnej treści jak i czas, którego on stał się wyrazem.

Idealizm chciał brak wewnętrznego ciepła i gorącej wiary zastąpić niesłychaną przesadą: ztąd zużycie, upadek ducha i sceptycyzm. Odtrącono więc ideały, w które przestano już wierzyć, odtrącono moralne i religijne formy, i rzucono się bez kompasu w prąd rzeczywistości. To zanurzenie się w realizm jest cechą nowszej literatury niemieckiej: droga, po której tylko z chorobliwego idealizmu można było dojść do prawdy. Drugą cechą tej literatury jest ruch kosmopolityczny, kiedy przeciwnie romantyzm odznaczał się ruchem narodowym: odąd już nie występuje ów ciasny wyłączny patryotyzm, potępiający wszystko co obce, jak to miało miejsce za wojen Napoleońskich; teraz przeciwnie Heine i Börne z Paryża rzucają Niemcom swoje wyrocznie. Jak przewodnią gwiazdą romantyzmu był humanizm, tak odwrotnie realizm znalazł swe odbicie w bystrym postępie umiejętności przyrodzonych, obok upadku lub upodrzednienia innych nauk; filologia bowiem przestaje już oddziaływać na literaturę i kształcenie, zatapiając się w rozrastającym ogromie drobiazgów; teologowie dochodzą do zupełnego

rozbratu z chrześcijaństwem; znajdują się tacy, co prawoznawstwa nie chcą już uważać za naukę, a w filozofii skłaniają się do zdania, że dotychczasowa spekulacja niemiecka była tylko czezą igraszką: krytyka,—która w początku bieżącego wieku miała bardziej organiczne niż rozkładowe dążenia, i usiłowała tylko oczyszczać z pyłu skarby przeszłości,—dziś nachyla się do mefistofelicznego zaprzeczania. Ta realność równie wyraźną jest w tendencyi religijnej: jeśli romantyka szukała nowej religii, to tylko jako religii dla artystów, niemającej związku z życiem rzeczywistém; treścią zaś, osnową nowszych usiłowań religijnych (S. Symonizm, Mormonizm i t. d.) jest zwyczajny człowiek i jego potrzeby materialne. Szkoła romantyczna stwarzała świat wymarzony, unikając jakoby wszelkiego związku z rzeczywistością; przeciwnie socjalizm popycha szlachtę ku grubemu naśladownictwu rzeczywistego życia. Obie szkoły gonią za tajemniczością, ale romantyzm ma do czynienia z tajemnicami czarnoksiężników, elfów, koboldów, bóstw i duchów, a realizm, z tajemnicami lekarza i kryminalisty: z anatomiczną dokładnością rozbiera on wady i słabości ludzkie, dla pokazania że ideał nie istnieje. Żądą pesymizm jest podstawą charakteru nowej szkoły. „Rzeczywistém jest to, co jest przeciwne ideałowi:” to wyznanie wiary Wiktora Hugo stało się hasłem nowoczesnej poezyi. Poezyja ta, zamiast przedstawiać wdzięk życia, albo przez wstrząśnienie i ból wzmacniać i uszlachetnić duszę, z upodobaniem zapuszcza się w otehlanie zbrodni i nędzy, jakby chciała samo życie obmierzyć; a skupiając najróżnorodniejsze okropności, ukazuje je jako symbol moralnego porządku społeczeństwa. Kosmopolityzm znalazł się nie na szczycie życia, ale w zgnilizną ziejących jego głębinach. Więzienia i siedliska rozpusty stały się celem pielgrzymki obywatela świata. Bulwer w Pawle Klifford złodzieja i rabusia, a w Eugeniuszu Aram rozbójnika robi bohaterem; takie same stanowisko daje Balzak galernikowi w Wotrenie (Vantrain), a Sand w Lelii; Sue kobietę bez imienia (Fleur de Marie) podnosi do ideału.

W takich wyskokach co do pomysłu, realizm nie ma nic wspólnego z romantykami, którzy wyszydźali prosty

rozsądek i walczyli przeciw opinii; kiedy owszem nowa szkoła dąży do przypodobania się tłumowi: ona nie jest reakcyjną, lecz demagogiczną.

Ten sam charakter, jaki leży na nowszej poezji niemieckiej w ogóle, jest zarazem wybitną cechą dramatu. Dramaturgowie początku XIX stulecia byli idealistami: stwarzali charaktery i sytuacje wedle swej potrzeby; malowali epokę poetyczną, która, jako niemająca wyraźnego piętna, nie stawiała przeszkód dowolności w wynalezieniu. A przecież, żeby dramat mógł wpływ na nas wyrzeć, potrzebujemy myślą śledzić sytuacje i ich powikłania, i w sumieniu naszym ocenić pobudki osób działających; gdzie zaś myśl i wewnętrzne przeświadczenie nie pośredniczą działaniu scenicznemu, tam nie może być współudziału ze strony widza. Szyller i Gete, zbadawszy wielkich poetów obcych, nadali teatrowi idealną, estetyczną formę; ale romantycy doprowadzili to do manieri i konwencyonalności, z którą publiczność z czasem oswoiła się. Nareszcie około trzydziestu lat temu krytyka zwróciła się przeciw takim ostatecznościom; a z drugiej strony i w poetach objawiła się reakcja, skutkiem której realizm stał się podstawą zasadniczą dramaturgii. Wszakże ten kierunek realny bardziej leży w pragnieniu jak w urzeczywistnieniu: brak mu należytej znajomości życia, a właśnie krytyka życia, krytyka obecnego społeczeństwa, stała się zadaniem scenicznych utworów. Pierwszemu usiłowaniu osnucia tragedii na starciach i walkach moralnych obecnego społeczeństwa była *Sila stosunków* (1819) *Ludwika Roberta*. Oto prototyp najnowszej tragedii. Dzisiejsi dramaturgowie usiłują trafić w upodobanie i słabości ogółu, który też lichy nawet sztuce przykłaśnie, gdy w niej odbicie swych wyobrażeń i gustu znajduje. Znakomitsi znowu pisarze starają się iść przeciw prądowi; obawiając się zaś wpaść w bezbarwny idealizm, tyloma rysami wydatnymi obciążają swe postacie, że utracają ów instykt artystyczny, któryby autorowi, w każdym położeniu bohatera wskazał, jak ten ma myśleć lub działać. Dziś łatwiej znaleźć można w Niemczech ukształconego i biegłego artystę, który zręcznie obrobi treść historyczną, wiążącą się z jakim etycznym zadaniem,

i rozwinię w efektywnych sytuacjach, aniżeli prawdziwie twórczego pisarza.

Jedno z pierwszych pomiędzy nowszemi dramaturgami zajmuje *Gutzkow*. Odnacza się on dwoma przymiotami: naprzód, dramata jego mają zupełnie nowoczesny charakter, tak, że widz przychodzi autorowi w pomoc i odrazu myśl jego odgaduje; powtóre posiada on talent ekspozycyi, natężenia uwagi i działania na efekt; bieglejszy on w tém, aniżeli w malowaniu namiętności, i doprowadzeniu akcji do wielkiej katastrofy, którą ta namiętność, jako sprężyna całości, ma wywołać. U *Gutzkova* sprężyna ta prawie zawsze jest sztuczną; umie on skupić drobne rysy dla przedstawienia charakteru; ale prawdziwego charakteru stworzyć nie potrafi; brak mu do tego siły i śmiałości. *Jean Paul Richter* powiedział: „Jeśli poeta ma wątpliwość co do stworzonego przez siebie charakteru, mianowicie czy w danym wypadku ma mu kazać powiedzieć *tak* lub *nie*, to lepiej niech go odrzuci, bo to tylko trup bezmyślny.” Zdanie to jest wyrokiem potępienia na *Gutzkova*; wie on, że mu brak tej wyrazistości w charakterach; lecz uważa to za przymiot, bo sądzi że tém większy interes obudzi dla namiętności lub idei, im bogatszą jest i różnorodniejszą natura, jaka ma być pokonana. Zapomina przecież o tém, że zwycięztwo musi być odniesione z taką potęgą, aby żadnej nie przedstawiało wątpliwości; zapomina, że wprawdzie w życiu rzeczywistém walka duszy rozpada się na szereg drobnych momentów, ale że dramaturg musi z całą energią zlać te momenta w jedną potężną katastrofę, i takową wybitném wyrażeniem wewnętrznego związku przyczyny i skutku wywołać. Nadewszystko brak w dramatach *Gutzkova* prawdziwego moralnego uczucia i niewątpliwego sądu o godności lub niecności osób i czynów; dlatego też zakończenie, w którym ta moralność usiłuje wznieść się nad jednostronność osób i czynów, jest najslabszém w jego utworach. Najznakomitszy jego dramat *Uriel Akosta* (1846) jest dzielnym, pełnym życia i namiętności głosem za oświatą religijną; i w tém leży główna zasługa autora, jako też w dobrze poprowadzonym działaniu; ale napróżnobyś tu szu-

kał charakterów. Dramat ten przed kilką laty wyszedł we Lwowie w przekładzie polskim, miejscami wcale nie źle dokonanym; szkoda tylko, że tłumacz,—widać zastosowując się do miejscowych okoliczności,—wiele najpiękniejszych miejsc, pełnych śmiałej myśli, poopuszczał. Tłumaczenie wierszem miarowym a pięknym językiem dokonał zgasły w r. z. Seweryn Kapliński. Gutzkow znany też jest na naszej scenie (*Wzór do świętoszka*).

Prawie jednocześnie z Gutzkowem występuje *Fryderyk Hebbel*; wyższym on jest od pierwszego tém, że działa w dobrej wierze, i że swoje przekonania o sztuce stawia wyżej nad chwilowy poklask. Wada zaś jego polega na tém, że jest w ścisłym znaczeniu poetą refleksyjnym; on tworzy postacie na podobieństwo Teofrasta i La Bruyère'a, t. j. skupia wszystkie jednostronne rysy w jednej osobie: jego postacie mówią i działają tylko to, co ich odrębność wysświetlić i na jaw wyprowadzić może; a za tą odrębnością ugania się z takim zapalem, że aż znudzić musi, a charaktery w automata przemienia. Problemata Hebbela nie idą z serca, lecz z głowy; motywa jego nie wynikają z istoty rzeczy, lecz są czysto przypadkowe; ztąd język pełen antytez, urywany, nigdy nie podążający za naturalnym biegiem i wylaniem uczucia. Dziwny to, a potężny talent: przesadzona plastyka krępuje jego idealny polot; dzielny rozum jego zakłóca rozogniona fantazya, a siła wyobraźności słabnie pośród rozległej, lecz nieokreślonej reflexyi. Chcąc wierny kreślić portret, szuka on rysów wprost przeciwnych idealnemu typowi, i maluje dziwaczne postacie. Nie może osiągnąć tego, aby konieczność i tragiczność wyprowadzić z samego jądra życia, dlatego też wyższe znaczenie swoich utworów doczepia do idei, po za ich obrębem leżącej. Ideały jego są równie niejasne, pojęcia o prawem i nieprawem równie zawikłane, jak i u innych przedstawicieli młodej Germanii. On jest realistą o tyle, o ile dokładnie przedstawia złe; idealistą, o ile z innego świata rzuca symboliczny odblask w tę krainę nocy, ale sam nie ma żadnej wiary: to też żadna wewnątrz konieczność nie leży w jego dziełach. Ze zaś talentem jest wyższy od innych, że idealizm jego jest poważniej pomyślanym, ztąd świat, jaki

on nam przedstawia, tém bardziej opuszczonym jest przez Boga, tém więcej pozbawionym radości, miłości, i wiary. Jednak poeta ten nie staje po stronie złego; tylko, że on patrzy na złe przez szkło swojej fantazyi, i sądzi, że ideał będzie tém czystszy, im świat ciemniejsze cienie nań rzucać będzie. Przyczyna takiego stanowiska Hebbła leży w tém, że jego znajomość świata polega prawie wyłącznie na reflexyi i czytaniu. Zabardzo zagłębiany w siebie, ażeby mógł iść z ogólnym ruchem ludzkich usiłowań, żeby je oświecać i niemi kierować, gubi się on w labiryncie samotnej swój myśli, ożywia ją dziwaczniemi, lecz z ogromną siłą fantazyi stworzonymi postaciami, i wówczas uczuwa swe odosobnienie i ponurość. Nie mając dosyć siły, aby wstrząsnąć i wzruszyć serce grą namiętności, stara się ten brak zastąpić przedstawieniem dokładnym okropności i analizą dziwnych poruszeń duszy. W *Judycie* (1839) pokazał, że umie oddać gorączkowe, szatańsko egzaltowane wstrząśnienie duszy; ale nie zdoła obudzić interesu dla zdrowia przed chorobą, t. j. dla działających osób, wówczas, kiedy jeszcze wirami namiętności nie są porwane. W dalszych swoich utworach jeszcze bardziej na tej błędnej drodze się uwikłał: np. w *Genowefie*. Najznakomitszym pod względem wykonania jest *Maryja Magdalena*; jednak i tu rzecz cała ma chorobliwie indywidualny charakter, a panującą myślą autor nie podnosi się do wyższego stanowiska. Wszakże w *Agnieszce Bernauer* widzimy niejaki postęp; większe tu umiarkowanie w środkach rozwinięcia przedmiotu; rzecz dzieje się na ziemi bez przywoływania cudowności i fantastyczności. Hebbel uważa dramata za artystyczną ofiarę, jaką złożył dla idei; tymczasem w żadnym z jego dramatów nie można dopatrzeć wyższego pojęcia zadań moralnych: moralność jego w gruncie jest moralnością całego świata.

To, co u Hebbła wypływa z reflexyi, u *Otona Ludwiga* jest objawem pełnej żywotności i naturalności. Pod względem energii, dokładności i poprawności rysunku, z dawniejszych może z nim się równać jedynie Henryk Kleist. Ludwik nie tylko że badał życie, ale co większa jest w nim to tchnienie gieniuszu, które poczuwa głos

natury w związku i całości. W jego postaciach i sytuacjach taka pełność wpatrzenia się, że poeta pomimowolnie nas owłada. Talent jego objawia się więcej w pojedynczych scenach, niżeli w poprowadzeniu i rozwinięciu całości; z wielką sztuką umie on malować silne poruszenia duszy. Ale brak mu tego światła, co odgranicza poezją od rzeczywistości: pozostaje on prawie wyłącznie we władzy potęg ziemskich; żaden promień duchowej jasności nie pada na grzypy, które on w różnostronnych dążeniach przed nami przesuwają, i ta ujemna strona talentu Ludwiga oziębia współzucie widza i czytelnika. Rozwinięcie jego charakterów nie wypływa z wewnętrznej konieczności i nie obudza tej wiary, jaką mniej utalentowani wzniosłością przedstawienia zdobyć unieją. Lubi przedstawiać całą dziwaczność trafu, a nie wznosi nas nad siłę tej przypadkowości. W *dzielnym leśniczym* dąży do żywotnej charakterystyki; w *Machabeuszach* rozwija tylko sytuacje. W pierwszym z tych dramatów osoby działające poruszają się z prawdą, z indywidualną żywotnością, słowem znać w tym wielki talent autora; Machabeusz celują kilką wspaniałymi scenami.

Odrębne stanowisko pomiędzy nowszymi dramaturgami zajmuje *Fryderyk Halm* (właściwie Münch-Bellinghausen). Pod względem czasu, w którym wystąpił na świat literacki, należy on do epoki romantyzmu; wszakże nie tylko z realistami, ale nawet i z szalonymi wyskokami romantyków nie ma on prawie nic wspólnego, wszystkie bowiem prądy literackiego i politycznego życia nie wywarły na niego stanowczego wpływu. Odznacza się on idealnością, nie wykluczającą bynajmniej żywotności. Zmysłem dramatycznym wyższy jest od realistów. Podstawą jego sławy była znana na scenie naszej *Gryzelda*, pierwszy raz w r. 1835 w Wiedniu przedstawiona. Wielką tym utworem położył zasługę: bo dramat ten przekonał, co może zdziałać rozumna i trafna technika, kiedy dotąd szaleni romantycy, niedołężnie przedrzeźniając Szekspira i Getego, pomniatali ją, zapominając, że nieład i bezmyślne powikłanie mogą tylko znudzić i zmordować widzów. Z pomiędzy licznych obrobień tradycyi o Gryzeldzie, najznakomitszym i najsamodzielniejszym jest dra-

mat Halma. Podanie to znajduje się w ostatniej nowelli 10ej Giornata Bokaczia. Halm złagodził przesadzoną srogość Persywala (Gualtierim u Bokaczia nazwanego); a w rozwiązaniu dramatu wyprowadził na jaw wielką i piękną myśl etyczną. Utwór ten, tłumaczony już na inne języki europejskie, niedawno przełożony został na włoski język przez Czerrego (Cerri). Halm celuje umiejętną kompozycją, konstrukcją dramatu, i w tém zbliża się do najznakomitszych pisarzy. Obok tego posiada on w wysokim stopniu harmonią całości,—przymiot, którego brak—choćby w najgieniałszych dziełach—zakłóca rozkosz estetycznego wzruszenia. Język Halma świetny, energiczny, pełen żywego kolorytu i gorącego uczucia; wiersz zawsze dźwięczny.

Halm tworzy w ten sposób, że bierze jaką sytuacją, albo osobliwy psychologiczny problemat, i do tego układa akcją, stwarza charaktery; kiedy gieniałni mistrze postępowali odwrotnie: bo gdy pewne charaktery lub stosunki moralne wyrzeźbiły się w ich wyobraźni po długiej poprzedniej obserwacji, wówczas dopiero dla charakterów tych odpowiednią treść kształtowali. Można by powiedzieć, że muzy obrały Halma za swego kapłana, lecz nie obdarzyły go pytyjskiem wieszczeniem; to też pomimo zaszczytnego stanowiska w literaturze, nie przeznaczono mu stanąć na czele nowego zwrotu piśmiennictwa. Do wielkiej jego wziętości i to niemal się przyczyniło, że umie odgadnąć panującego ducha chwili, i odzwierciedlić go w żywej akcji, a tem samem owdładnąć myślą i sercem widza.

Dramat jego *Kamoëns* (o którego przekładzie przez Teofila Nowosielskiego pisaliśmy dwa lata temu w *Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych*) ukazał się wówczas (1838), kiedy rzucono się we wszystkich rodzajach literatury do przedstawiania życia artystów i poetów, kiedy artyści sądzą, że świat jest stworzony dla sztuki. Wiele tu prawdziwej poezji, zwłaszcza w głównej postaci, w *Kamoensie*. Do znakomitszych dzieł Halma należy „*Syn pustyni*” (1837); tu położył sobie autor trudne zadanie: malować charaktery, dla których ani autor,

ani czytelnik nie mają żadnego kryterium: chciał on przedstawić nawrócenie barbarzyńcy do oświaty przez miłość dla ucywilizowanej greczynki. Niepodobna było wyjść zwycięzko z takiego zadania: dlatego też ów dziki zawiele, jak na dzikiego, ma świadomości swego stanu; i to również nienaturalnym, żeby pieśń mistyczna mogła w barbarzyńcy prawdziwą obudzić miłość;—co większa, żeby dziki posłusznym miał być gniewnemu wzrokowi kochanki jak niewolnik sknieniom swego pana. W ogóle w przeciwstawieniu barbarzyństwa i wyszukanej cywilizacji, na czém cała sztuka jest osnuta, nie ma prawdy. *Gryzelda* i *Syn pustyni* oznaczają pierwszy peryod działalności Halma; w peryodzie tym góruje w talencie tego pisarza poetyczność i psychologiczne wpatrywanie się w ducha ludzkiego.

W drugim okresie Halm przechyla się nieco ku realizmowi i tworzy dwie historyczne tragedye: „*Sam-piero* i *Królowa*”. Wreszcie dawny polot poetyczny objawia się w połączeniu z dojrzałym wpatrzaniem się w życie; tém odznaczają się ostatnie utwory Halma: *Gładyator raweński* i niedrukowana dotąd *Ifigenia w Del-fach*.

Gładyator raweński (po raz pierwszy przedstawiony w Wiedniu 1854) obudził powszechne zajęcie i wielkie wywarł wrażenie; gdyż obok istotnej swej wartości zjawił się w chwili, kiedy rozszczepienie Niemiec w interesach politycznych pozbawiało je przeważnego udziału w sprawach europejskich, a właśnie dramat ten był wymownym wyśpiewaniem jedności Niemiec, był jakby odbiciem w sztuce pragnienia wyższych umysłów wznieść się do prawdziwego niemieckiego patryotyzmu, nad drobne polityczne namiętności i prowincjonalny interes. Zacięta powstała walka w pismach peryodycznych z powodu różnych domysłów o tém: kto jest autorem bezimiennie przedstawionego dramatu. Niektórzy łaskawie raczyli podawać się za twórców téj sztuki, tak dalece, że nawet na to zdobył się jakiś bakałarz szkółki elementarnej w Bawaryi. Pomysł do tego dramatu wziął Halm z pisma *Göttlinga*, *Gesammelte Abhandlungen aus dem klassischen Altherthume*, a mianowicie

z ustępu *Tusnelda żona Arminiusza i syn jej Tumelik*. Wyborne rozwinięcie i ukształtowanie treści nie mało przyczyniły się do efektu, jaki ta tragedia sprawiła. Dwa temata: sprzysiężenie i los Tumelika szczęśliwie są jedne za drugim przesnute, chociaż pierwszy tylko dla drugiego utworzony. Charakter Tumelika, a szczególnie Tusneldy z taką prawdą i głębokością obmyślany, że to samo już zapewnia tej tragedji miejsce w dziejach literatury niemieckiej. Nadewszystko ta głębokość psychologicznej prawdy uderza w następnych rysach charakteru Tusneldy: naprzód, że ona nie zabiła się z powodu, że była brzemienną, a potem tego żałuje; powtóre, kiedy jest niesprawiedliwą względem skruszonego Flawiusza, i wreszcie kiedy dumna władczyni Cherusków upokarza się przed heterą i ofiaruje jej panowanie nad swoim ludem, byleby nawróciła Tumelika. Z równą plastyczną wyrazistością przedstawieni Licyska i Glabrio, który jest dobrodusznym uosobieniem zgnilizny moralnej, przesiąkającej do najniższych warstw społeczeństwa. Dwór Kaliguli należy do najwydatniejszych szczegółów. Charakter tego cesarza w głównych rysach wiernie pochwycony, jakoto zmienność jego humoru i dzika fantazyjność: to też scepy, gdzie on występuje, pełne siły i dramatyczności. Widać, że Halm wczytał się nie tylko w panowanie Kaliguli Swetoniusza, ale w cały szereg dwunastu panowań i wmyślił się w to pasmo okrucieństw, rozpusty i odezłowieczenia (*).

(*) W chwili podania do druku przekładu *Gładyatora raweńskiego*, znaleźliśmy w *Revue des deux mondes* z d. 1 marca r. b. rozbiór tego dramatu; nadto dowiedzieliśmy się, że tłumaczenie francuzkie zamieszczone jest w pierwszych numerach wychodzącego obecnie w Paryżu *Revue Germanique*.

RYS HISTORYCZNY OPERY POLSKIEJ

Z KOŃCA EPOKI PANOWANIA STANISŁAWA AUGUSTA

AŻ DO DNI NASZYCH.

PRZEZ

Maurycyego Karasowskiego.

(Dokończenie).

III.

Od czasów jak Bogusławski objął w stały zarząd teatr warszawski i od kiedy Elsner zaczął komponować dla naszej sceny opery, pomyślność teatru lubo niejednokrotnie na ciężkie jeszcze próby narażaną była, przecież szczęśliwie dotrwała aż do ogłoszenia Księstwa warszawskiego. Współzawodnictwo obcych artystów, wielkiej szkody naszym nie przynosiło; owszem, było jeszcze jedną więcej pobudką do pracy: podniecało ich gorliwość w służeniu publiczności, zmuszało do starannego wyboru sztuk i do okazałego o ile było mogło przedstawiania. Wtedyto Bogusławski chcąc zupełnie nowym rodzajem widowisk zachęcić publiczność do bywania w teatrze, począł przedstawiać opery francuzkie nieznane dotąd na naszej scenie, jak np.: *Woziwoda paryzki*, *Lodoiska* Cherubiniego, *Raul siwobrody* Gretry'ego, *Gniewliwy*, *Mehul'a*, *Wieża w Neysztad*, *Dalayrac'a* i t. p. Zmuszony atoli utrzymywać w skutek intryg niemieckiego przed-

siębiorey, p. Döbbelina, stały obok polskiego niemiecki teatr, na wiele strat narazonym został, i wszystko prawie co zarobił wzorowem przedstawieniem swoich artystów, na obcych wydawać musiał. W tak krytycznym położeniu ratowano się wycieczkami do miast prowincjonalnych, a mianowicie do Poznania i Kalisza, gdzie ludność tych miast z największym zawsze upodobaniem przyjmowała polskich artystów.

W końcu 1805 i początkach następnego roku, aż trzy naraz teatra istniały w Warszawie, bo oprócz poprzednich przybyła jeszcze trupa francuzkich aktorów i w pałacu Radziwiłłowskiim dawała widowiska. Byłoby zawiele na miasto pozbawione znacznej części dawnych swoich najmożniejszych mieszkańców; więc też wkrótce niemieckich artystów Bogusławski zmuszonym był rozpuścić, a Francuzi także niedługo opuścili miasto, i dopiero gdy wojska Napoleona zajęły Warszawę, powrócili niespodzianie i wszystkie korzyści, jakich się z tego powodu artyści nasi spodziewali, zagarnęli im bez ceremonii. Bardzo to naturalnie było, powiada w swoich pamiętnikach Bogusławski, a nawet inaczej być nie mogło, że wojsko nie umiejące nic więcej po polsku, oprócz *chleba, mięsa, wina i pieniędzy*, chętniej na francuzkie niż na polskie uczęszczało widowiska. Polacy zaś, którzy wszelkiemi sposobami starali się gościom swoim przypodobać, także do francuzkiego teatru spieszyli, a biedny Bogusławski wydał znaczny zapas gotówki na oporządzenie garderoby, tudzież na skompletowanie baletu, w nadziei, że zaludnione miasto kilkadziesiąt tysiącem wojska i z różnych stron przybywającym obywatelstwem, znaczne dochody mu przyniesie. Tymczasem teatr swój widział opuszczonym, i pomimo najstaranniejszego zapotrzenia repertoaru w najnowsze i najlepsze sztuki, zaledwie po sto złotych miał z widowiska dochodu, co nawet nie wystarczało na utrzymanie aktorów. Rok 1807 nie był także korzystnym dla sceny naszej. Cesarz Napoleon 18 stycznia znajdował się na przedstawieniu *Andromedy*, opery heroicznej umyślnie w tym celu wierszem przez Osińskiego napisanej, a do której piękną muzykę Elsner ułożył i niewątpliwie los artystów naszych

doznałby znacznego polepszenia, gdyby ten wielki monarcha częstszą obecnością swoją zaszczycał ich widowiska; ale na drugi zaraz dzień opuścił Warszawę, oddawszy za wyborne przedstawienie téj sztuki zasłużone pochwały scenie polskiej. W lecie znów Bogusławski z artystami udał się do Poznania, atoli i tam francuzcy aktorowie go ubiegli i niewiele korzyści mógł odnieść.

Pokój tyłżycki pomyslniejsze dla kraju zdawał się zwiastować nadzieje. W skutek ogłoszenia Księstwa warszawskiego miasto zaludniać się poczęło, więc dla teatru polskiego lepsze czasy nastaly. W ciągu dwóch lat następnych, oryginalne utwory osnute na tle dziejów krajowych albo tłumaczone, zaczęły się gęsto ukazywać na scenie, jakoto: *Cynna* tragedia Kornella, tłumaczona wierszem przez Osińskiego; *Wanda*, wierszem przez hr. Łubieńską; *Władysław pod Warną*, Niemcewicza, *Gustaw Waza* Kropińskiego, *Głiński Weżyka*, *Mieczystaw Ślepy* melodrama tłum. z francuzkiego przez Szymanieckiego, *Karol Wielki* i *Witykind* także hr. Łubieńskiej (obie sztuki z muzyką Elsnera) i t. p. Z nowych oper oryginalnych: *Polka*, *Stary myśliwy* i *Papirius* Stefaniego, *Diabeł Alchimista* Wejnerta, *Szewe i krawcówna*, *Urojenie i rzeczywistość*, *Echo*, *Śniadanie trzpiotów*, *Zona po drodze*, *Leszek Biały* i *Benefis* Elsnera, oprócz wielu innych obcych, a mianowicie francuzkich kompozytorów.

Jednakże Bogusławski znękany dźwiganiem na swoich barkach od lat tylu teatru narodowego, zniechęcony częstym sarkaniem i intrygami ludzi zawistnych i niespokojnych, od zarządu stanowezo usunąć się postanowił. Nie mogąc przekonać aktorów o pożytkach, jakieby na nich splywały z utrzymywania teatru na siebie samych, jeden tylko i to ostatni już sposób zabezpieczenia narodowej sceny od zupełnego upadku na przyszłość, upatrywał w złożeniu jej losów w ręce rządu, albo magistratu miasta Warszawy. Uwiadomiwszy więc pół rokiem pierwej artystów o kończącej się entreprzyzie jego, podał zarazem ówczesnemu prefektowi departamentu, Nakwaskiemu, projekt utrzymywania narodowych widowisk na rzecz publicznego skarbu. Dwa najpewniejsze środki zachowania w pomyslności sceny naszej

widział: najprzód, w ustanowieniu dyrekcji rządowej, która będąc pośredniczką pomiędzy publicznością a teatrem, okrywałaby go swoją opieką i utrzymaniem dobrego porządku, coraz wyżej wznosiła go do doskonałości; powtóre, w założeniu szkoły dramatycznej, składającej się z dwunastu przynajmniej uczniów, którzyby przyzwoite i właściwe ich zawodowi biorąc nauki, sposobili się do zastąpienia w czasie przez śmierć albo wiek podeszły ubywających aktorów, nie zapominając zarazem o zapewnieniu tym ostatnim sposobności do życia na starość. Po przedstawieniu takowego projektu przez ministra sekretarza stanu Stanisława Brezę, Najjaśniejszemu królowi saskiemu a Wielkiemu księciu warszawskiemu, troskliwy o dobro swoich poddanych przyjaciel, opiekun i znawca sztuk pięknych, nie tylko projekt Bogusławskiego potwierdził, ale nawet 36,000 złp., jako zapomogę dla teatru corocznie ze skarbu wypłacać rozkazał, z tym atoli warunkiem, iż Bogusławski zajmie się i nadal zarządzaniem takowego. Około miesiąca września 1810 r. minister spraw wewnętrznych Łuszczewski wyznaczył członków dyrekcji, a prezesem jej mianował Juliana Ursyna Niemcewicza.

Najpiérwszém staraniem nowo utworzonej dyrekcji teatru było ustanowienie statutu przepisującego obowiązki artystów, i zatwierdzenie urządzeń szkoły dramatycznej, oddając bezpośredni nad nią dozór Bogusławskiemu, jako jej założycielowi. Stopniowo i z powolnością potrzebny porządek we wszystkie szczegóły administracyi wprowadzonym został, a scena narodowa pod opiekę rządową przyjęta, zaszczytnego w oczach publiczności nabierała znaczenia. Porobiono także ugody z rodzicami młodzieży do szkoły dramatycznej uczęszczającej, przepisano dla niej stosowny wykład nauk, nakoniec oczyszczenie repertoaru i inne potrzebne a konieczne urządzenia zabrały kilka miesięcy czasu, ile, że zasiadający w dyrekcji mężowie, oprócz wymienionego już prezesa i Bogusławskiego, zajęci wysokimi obowiązkami urzędowania, ledwo raz w tydzień sessyje teatralne odbywać mogli.

Ponieważ dla małej liczby uczęszczających w miesiące letnie do teatru, przedsiębiorca zmuszonym bywał dawać widowiska w Poznaniu, Kaliszu, Gdansk, Krakowie i t. p., które przecie bez opery obejść się nie mogły: nie chcąc tedy оголаcać zupełnie Warszawy z teatru, umyślił przyjąć drugiego dyrektora do oper, tém bardziej, że i w nowo otwierającej się szkole dramatycznej, nauczać miano młodzież muzyki. Los mu w tém dopomógł, bo w osobie Kurpińskiego znalazł Bogusławski to, czego sobie życzył.

IV.

Karol Kurpiński, ostatni a zarazem najpłodniejszy kompozytor dramatyczny, którego opery przez lat dwadzieścia były prawdziwą ozdobą sceny polskiej, urodził się dnia 5 marca 1785 roku w Wielkim księstwie poznańskim, powiecie wschowskim, we wsi Włazzkowice (1).

Pierwszych początków muzyki uczył go ojciec własny, będący organistą przy tamtejszym parafialnym kościele. Kształcąc się sam następnie na wzorach najznakomitszych włoskich i niemieckich mistrzów, doszedł do znacznego w znajomości sztuki udoskonalenia, a przybywszy do Warszawy w początku 1810 roku, około 1 lipca przyjęty został na dyrektora opery.

Zająwszy się gorliwie nowemi swemi obowiązkami, uczył artystów śpiewać powierzone im role (przy skrzypcach najczęściej, gdyż wtenczas nie było jeszcze osobnych śpiewaków, lecz każdy aktor jeżeli miał głos potemu, znał czy nie znał muzykę, musiał występować w operach). Czuwając nad dokładnym powierzonej sobie orkiestry wykonaniem, zapragnął przysłużyć się scenie własną kompozycją; jakoż w rok niespełna napisał operetkę do słów tłumaczonych z francuzkiego przez Dmuszewskiego, pod tytułem: *Dwie chatki*. Powodzenie jęj

(1) Po bliższe szczegóły tyczące się życia Kurpińskiego, odsyłam czytelnika do nr. 45, 49 i 51 *Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych* z roku 1857.

lubo skromne, zachęciło Kurpińskiego do spróbowania czegoś większego; zniósłszy się więc z wybornym podówczas komicznym artystą Żółkowskim (ojcem sławnego dzisiaj Alojzego), ułożył muzykę do treści przez tegoż z francuzkiego naśladowanej i zadziwił ziomków swoich operą *Pałac Lucypera*.

Jestto dzieło w 4 aktach, w znacznej części prozą przeplatane jak wszystkie prawie ówczesne opery. Z głównych osób biorących udział w muzyce, są:

Amanda (sopran) księżniczka Salandryi, będąca w opiece hrabiego Turyngii; przedstawiała ją pani Elsner, dawniej panna Drozdowska.

Lancelot rycerz (bass), p. Szczurowski.

Adelajda z domu hr. Turyngii żona Lancelota (sopran), panna Pięknowska.

Gospodyni w domu gościnnym (sopran, lecz tak nizki, że raczej kontr-altem nazwać go wypada), pani Szczurowska.

Gawel pierwszy giermek Lancelota (bass), p. Kudlicz.

Gwalbert rządcą domu hr. Adryana (bass), p. Wolski.

Paż hr. Adryana (sopran), pani Zdanowicz.

Treść téj opery heroiczno-komicznej jako utworu dramatyczny słaba, lecz posiada wiele scen bardzo wdzięcznych dla muzyki i efektownych dla teatru.

Lancelot rycerz waleczny i sławny, zjehawszy na nocleg do jednéj oberży z żoną i dworem swoim, proszony jest przez miejscowych wieśniaków, ażeby ich raczył uwolnić od niespokojnych duchów wyrządzających rozmaite strachy w ruinach zamczyska, przezwanego od-tąd *pałacem Lucypera*. Szlachetny i chciwy przygód rycerz, będąc pewnym iż temi mniemanemi strachami nie są duchy, lecz zapewne łotry i rozbójnicy, przyrzeka wieśniaków uwolnić od téj plagi; bierze za towarzysza Gawła giermka swego i uzbrojony należycie, udaje się na przejrzenie pałacu, zakazując o tém mówić swéj żonie. Tam tedy przytrafiają się najokropniejsze i najdziwniejsze przygody naszemu bohaterowi, lecz ten ani groźbami straszyleł, ani widokiem grożącój mu niechy-

bnie śmierci, ani pokusom pięknej królowej a pani tej w podziemiach tajemniczej krainy, uwieść się nie daje, przekładając tysiąc razy śmierć nad złamanie przysięgi małżonki, którą więcej niż życie kocha. Zona jego uwiadomiona iż udał się do pałacu Lucypera i ztamtąd nie wraca, idzie go odszukać; rozmaite niebezpieczeństwa przeciw jej zamiarowi wymierzone, nie mogą wstrzymać ani odwieść kochającej żony, która postanowiła albo zginąć wraz z mężem, albo go ocalić. Nareszcie po rozmaitych najtragiczniejszych przygodach (podczas których Gawel wykrzyknikami swemi przez mimowolne wmieszanie się w tę sprawę, komiczną stronę przedstawia), pokazuje się, że to był tylko podstęp hr. Adryana pana tej ziemi, ułożony w celu przekonania się o szczerości i mocy przywiązania małżeńskiego Lancelota do żony, która wbrew woli hr. Adryana a swego stryja i opiekuna, poszła z wielkiej miłości za ubogiego rycerza; dowiedziawszy się bowiem Adryan, iż przez państwo jego przejeżdżać będą, postanowił zrobić próbę, jak dalece miłość ich wzajemna jest silną. Przekonawszy się więc, że nawet widok grożącej śmierci nie był w stanie zachwiać ich wzajemnego do siebie przywiązania, przebacza im wszystko, przyrzekając nadal łaskę swoją.

Jak wiele wybornych sytuacji przedstawia się dla kompozytora z podobnego rodzaju treści, łatwo każdy pojmie, kto cokolwiek zna bliżej sztukę dramatyczną i teatr; lecz zarazem spotyka się niesłychanie trudne i niebezpieczne miejsca, na których zwalczenie potrzeba śmiałości czyli ufności w własne siły, talentu wystarczającego na oddanie tylu różnorodnych w efekta dramatyczne obrazów, a nakoniec doświadczenia w umiętnym kształtowaniu materiałów muzyczno-teatralnych.

Kurpiński wszystkiemu podolał.

Już w samej uwerturze, chociaż pisaniej na siedem lat przed *Lokietkiem* Elsnera, widać kompozytora wytrawnego, pojmującego dokładnie jej charakter i znaczenie; ogólny plan, tudzież instrumentacja, prowadzona śmiało i dosadnie, przekonywa odrazu o niepospolitym talencie dramatycznym piszącego.

Orkiestra znacznie w komplecie powiększona, dozwalała Kurpińskiemu oprócz wszystkich w poprzednich partyturach wymienionych instrumentów, użyć jeszcze trzech trombonów, to jest: dwóch tenorowych i jednego bassowego; a ile na potędzie zyskała, każdy to łatwo osądzi.

Aryetka Gospodyni oberży *F dur* $\frac{6}{8}$, stanowi pierwszy numer opery; melodya jej składna, śpiewna i humorystyczna nieco:

„O srebro lube i złoto,
Potrzebna ludziom istoto”

podzielana fermatami tak często w owych czasach używanymi, z przyjemnością dziś nawet może być słuchana, prostota bowiem w podobnym ustępie, największą jest jego zaletą.

W nr. 2 napotykamy piosnkę Gawła, znaną dzisiaj powszechnie:

„Czy na miejscu, czy w podróży,
Ranna czy wieczorna pora,
Zawsze wino zdrowiu służy:
To slyszalem z ust doktora.” i t. p.

Pięć strof posiada, a zawsze inaczej jest instrumentowana, oprócz fletu, który tę samą piękną melodyę aż do końca *solo* powtarza, a to w sposób następujący:



Pomijam nr. 3 czyli śpiew w rytmie marcyalnym Gospodyni oberży i Gawła, do słów:

„Taka to słabość młodzieży:
Odstąpi żonę, ród cały,
I zapalony pobieży,
Wojować na pole chwały.”

który podówczas miał podwójną wartość; nr. 4 duet Adelajdy i Lancelota w tonie *A. dur* *C. Allegro moderato*.

Nr. 5 chór wieśniaków proszących rycerza, by ich od strachów raczył uwolnić; nr. 6 arya tego ostatniego (bardzo nawet trudną dla dzisiejszych śpiewaków do oddania z przyczyny wielu dwa razy wiązanych passaży), jako ustępów nie nadzwyczajnego nieprzedstawiających, a zwrócę uwagę czytelnika na wybornie pomyślany *final* *D dur C vivace*, w którym Gospodyni, Lancelot i Gawel udział biorą.

Trzy te osoby rozmaite i odmienne uczucia wyrazić się starają: Gawel przestraszony postanowieniem pana swego, stara się mu wytłumaczyć niebezpieczeństwo wojowania z duchami; Gospodyni robi mu ze swjej strony uwagę, iż powinien mieć wzgląd na biedną hrabinę, która jak się o tem dowie, życiem przyplaci; nareszcie Lancelot, stanowczo pragnący udać się na niebezpieczną wyprawę, rozkazuje Gawłowi okropnie przestraszonemu zapalić latarnią i przewodniczyć sobie. Jest to sytuacja przypominająca Mozarta *Don Juana*; charakter Gawła podobnym jest zupełnie do Leporella, i trzeba przyznać, że Kurpiński nadzwyczaj szczęśliwie naśladowując wzór tak doskonały, okazał zarazem niezwykajny talent kompozytorski. Zmiany taktów, modulacye, prowadzenie głosów i instrumentacya orkiestrowa, wszystko to z wielką swobodą i zręcznością jest pomyślane i wykonane. Ten jeden *final* tak dobitnie malujący uczucia osób w akcyi będących, godzien jest najznakomitszego pióra; szczególnież postać Lancelota i Gawła świeci jaskrawym przeciwności kolorytem, jaki tylko w partyturach wielkich mistrzów znaleźć można. Jestem przekonany, że pomimo różnicy czasu i smaku, jakiemu wyobrażenia nasze dzisiaj w muzyce uległy, tercet ten nietylko że ogólnieby się teraz wszystkiim podobał, ale nawet fakturą zdziwiłby nie jednego zwolennika klassycznej muzyki. Zamiast tylu czezych i jednostajnych formą nowoczesnych, a mianowicie włoskich utworów, z takim zawsze upodobaniem przez naszych amatorów na publicznych koncertach śpiewanych, niechby choć raz spróbowano go w podobném zdarzeniu wykonać, a ci sami amatorowie przekonają się, że prawdziwie pięknej muzyki nietylko we Włoszech, Francyi albo Niemczech jedynie szukać

należy, ale że i my ją zdawna w kraju posiadamy. Lecz niestety! zupełnie zapomnieliśmy, albo nie o niej nie wiemy wcale! Francuzi i Niemcy naprzykład, lubią i uprawiają także włoską muzykę, przecież najchętniej swoją własną się popisują; nawet potworzyli oni pomiędzy sobą towarzystwa, które mają za najważniejszy obowiązek wyszukiwać utwory dawnych narodowych kompozytorów i takowe peryodycznie przed publicznością wykonywać. My atoli jeszcześmy do tego nie doszli; braknie nam stowarzyszenia; błakamy się bez żadnej zasadniczej i stanowczej myśli w niezmierniej sztuki dziedzinie; chętniej chwytamy obce co do nas z pewną dozą rozgłosu przychodzi, bo to łatwiej aniżeli szukać w butwiejących i pyłem zapomnienia okrytych zacnych pracach naszych własnych dawniejszych kompozytorów: kompozytorów, których nawet imiona nikną w nierozsądnem dzisiejszych generacyj niedbalstwie i zapomnieniu!

Dzisiaj każdemu zdaje się o to tylko idzie, byle jak najlepiej mógł się wydać, czyto w salonie, czy na scenie; jest to nowego rodzaju egoizm, którego źródło leży w braku dobrego wychowania muzycznego. Próżność i płytkość pojęć o sztuce, jak szalony wiecher pędzi po tych jałowych stepach naszego społeczeństwa muzycznego, bo nie ma żadnej korporacyi, żadnej instytucyi, gdzieby muzykę ze czcią religijną pielęgnowano, gdzieby jej poważnie i gruntownie nauczano, lub z korzyścią dla duchowego pożytku społeczeństwa uprawiano. Szkoda więc—wielka szkoda! bo Bóg dał nam do muzyki nadzwyczaj wiele zdolności; dał nam władzę wyższą może jak innym narodom szybkiego pojmwania prawdziwego piękna; dał nam ów zmysł estetyczny, co w dziedzinie sztuki mógłby nas wkrótce wysoko postawić; ale wszystkie te piękne i szlachetne dary, niebacznie marnujemy. Czy zmieni się ten stan rzeczy kiedykolwiek u nas? o tem nie wątpię. Pierwsze lepsze stowarzyszenie podjęte w celu uprawiania dobrej muzyki, musi nas do tego doprowadzić; lecz zostawmy to czasowi, co nie jest w naszej mocy odrazu zmienić lub poprawić, a wróćmy do Kurpińskiego i jego *Pałacu Lucypera*.

Niepodobieństwem jest wymieniać szczegółowo 24 numerów wypełniających następnie 3 akty opery. Kompozytor obowiązany dopomagać muzyką do uwydatnienia ważniejszych sytuacji scenicznych, miał niesłychanie trudne zadanie. Jak już wyżej powiedziałem, Lancelot, jego żona i Gawek, są w nich narażeni na tysiączne próby; ten ostatni prawie nie schodzi ze sceny, a charakter jego roli *buffo*, wiernie i szczęśliwie do końca jest zachowany. O ile zaś Kurpiński podolał wyrazić muzyką owe strachy, bitwy z tajemniczymi istotami, rozpacz i energią rycerza, obawę, żal i stałość wiernej dla męża aż do pogardy życia Adelajdy, opisywać nie będę, bo wszelkie podobnego rodzaju analizy, doprowadzają piszącego do pewnych osobistych wniosków, o jakich komponującemu muzykę często ani się śniło nawet. Z tych 24 numerów, kilka jest czysto-melodramatycznych, reszta zaś albo *recitativa*, *cavatiny* o krótkich strofach, *duety*, *tercety*, większe zbiorowe ustępy i chóry. Oczywiście, nie wszystkie pochwalić można; jest pomiędzy nimi kilka ustępów odznaczających się udatną melodią i dramatycznym kolorytem, jak na przykład pierwszy zaraz duet w drugim akcie pomiędzy Lancelotem a moralizującym Gawłem:

„Co za ruiny zwaliska,
Wszędzie ponure milczenie”.

Kawatina Lancelota w tonie G. *dur* $\frac{6}{8}$: „Nie wątpmy jeszcze o człeku”; śpiewka Gawła A. *dur* $\frac{2}{4}$:

„Gdyby Gawek był bogaty,
Dalby obiad na sto osób,
Przy którym jedząc, w ten sposób
Wnosiłbym różne wiwaty.

Niechaj żyją monarchowie,
Co zamiast wawrzynów wojny,
Wolą widzieć na swój głowie,
Oliwny listek spokojny”. i t. p.

Zgrabnato i miła piosnka, dla swój prostej i wdzięcznej melodyi lubioną była od publiczności i powszechnie śpiewaną.

Nr. 14 tegoż aktu i finał, jako wielkie ustępy zbiorowe, zasługują na uwagę i podziwienie, z powodu śmia-

łego i umiejętnego traktowania mass wokalnych i instrumentalnych.

W akcie trzecim z piękniejszych numerów, spotykam pieśń pafia w G. *dur* $\frac{2}{4}$, chór na same sopranę w tonie A. *dur* $\frac{4}{4}$:

„Na wdzięczne miłości łono,
Przyzywa cię niewiast grono”.

i finał *Allo vivace D. dur*.

W akcie 4 nr. 27 w kolorycie dramatycznym wielkie ma zalety; akcja spiesznym krokiem zbliża się do rozwiązania, więc też gwałtowne obrazy naciskają się wzajemnie. Śpiewacy i orkiestra w ciągłej i wielkiej są czynności; na chwilę piosnka wiecznie moralizującego Gawła Es. *dur* $\frac{6}{8}$:

„Kto słowo raz dane łamie,
Choć później nie ujdzie kary.
Chytrychto ludzi jest znamie,
Nie dotrzymywać swęj wiary”. i t. d.

przerywa i uspakaja burzliwość dramatu i muzyki; aż też nareszcie marsz na samą orkiestrę ułożony i chór ostatni, jaki śpiewają wszyscy do niezmiennych w swych uczuciach małżonków:

„Już się nie zmieni wasza swoboda,
Taka albowiem nadgroda
Spotyka szlachetne sprawy”.

kończy tę operę.

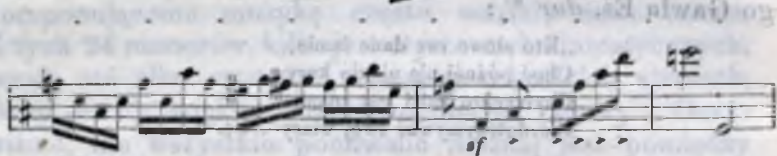
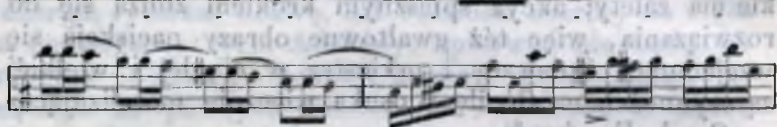
Oczywiście w tak wielkiem dziele, utworzonym przez niemającego jeszcze dosyć wprawy kompozytora, obok wyżej wymienionych ustępów, posiadających niewątpliwe zalety, znajduje się dosyć miejsce słabych lub rażących brakiem smaku; lecz nie trzeba zapominać, iż dzieło to pisane było w 1811 roku, a od tego czasu smak ów w muzyce nadzwyczajnie się zmienił. To co mogło wtedy uchodzić za piękne i ozdobne, nam się dzisiaj przeciwnie wydaje; nie stosuję tego do wartości wewnętrznej pomysłu i formy dzieła, ale do pewnych broderyj, jakich w owe czasy używano przy wykonywaniu takowego. Na dowód przytoczę jeden tylko ustęp z aktu drugiego.

Jestto arija Amandy, gdzie naprzykład pomiędzy innymi, tego rodzaju frazes melodyjny się spotyka:

Moderato.



Tak naj - sroższe dole o - śladza o - sta



dza.

Na Boga! jakiegożto potrzeba głosu, jakiego mechanizmu, jakiego oddechu!! Przypuszczam, iż pani Elsnerowa śpiewająca tę rolę posiadała to wszystko: pytam się teraz, jestże to piękne? Już w rozbiórce pierwszej polskiej opery Kamińskiego *Nędza uszczęśliwiona* wspominałem o tem, chociaż nie można było natenczas piśmem muzyczném czytelników objaśnić; ganilem tem więcej, że tam się rzecz dzieje pomiędzy kmiotkami, lecz zarazem starałem się kompozytora usprawiedliwić epoką w jakiej pisał swą muzykę; tak samo należy i Kurpińskiego teraz oceniać, bo z tego się pokazuje najwidoczniej, że niektórzy śpiewacy lubili popisywać się podobnemi passażami, a publiczność śnać chętnie i z upodobaniem ich słuchała. Dzisiejsi kompozytorowie idąc za przykładem Rossyniego, piszą także niełatwe do wykonania biegniki w swych ariach; lecz takowe zwykłe

w kadencyach czyli formatach je umieszczają; lekkimi fioryturami jak arabeskami ozdabiają niekiedy deseń melodyjny śpiewu, lecz wszystko to być musi w pewnych granicach zawarte. W solfedziach rzecz się ma zupełnie inaczej: staranne egzercytowanie podobnie trudnych ćwiczeń, dopomaga postępowi mechanicznemu głosu, a nadewszystko wzmacnia i upewnia jego intonacyą.

W ogólności, w tej pierwszej szerokiego rozmiaru pracy Kurpińskiego, widać artystę myślącego, któremu przystępne są tajemnice sztuki muzyczno-dramatycznej i który umie niemi umiejętnie władać. Stylem swoim przypomina on nieraz znakomitych niemieckich mistrzów, a szczególnie Mozarta, lecz wiadomo, że każdy poczynający kompozytor, musi koniecznie kogoś naśladować nim wyrobi sobie styl własny. Więc jedną ma jeszcze więcej zaletę, iż za wzór obrał sobie genialnego twórcę *Don Juana*.

Pałac Lucypera wystawiono po raz pierwszy 9 listopada 1811 roku. Bawił natenczas w Warszawie król saski, a jak to zapewne nie tajno nikomu, wielkim on był miłośnikiem muzyki, gdyż w Dreźnie od dawnego bardzo czasu, monarchowie sascy posiadali na swoim dworze najlepszą zawsze operę włoską i orkiestrę. Gdy się dowiedział, że *Pałac Lucypera* jestto opera przez Polaka skomponowana, ciekawy był ją słyszeć i oświadczył chęć znajdowania się na widowisku. Właśnie drugi raz dawano dopiero to dzieło; publiczność miejscowa lubo je dobrze przyjęła, ile że przez miejscowego kompozytora napisane było, z pewnym rodzajem niedowierzania podziwiała talent twórczy Kurpińskiego; aż gdy ujrzała jak dostojny monarcha uderzony i zachwycony pięknościami niektórych tej opery ustępów, szczeremi oklaskami objawił swoje zadowolenie: śmiałej poddała się uniesieniom, chlubiąc się ziomkiem tak wiele utalentowanym. Sztuka ta, na rozkaz króla saskiego przetłumaczoną została na język włoski, a wyjeżdżając z Warszawy, zabrał ją z sobą monarcha do Dreznia, by tam mogła być wystawioną, obdarzywszy wprzód jej twórcę kosztownym brylantowym pierścieniem. Atoli zdaje się, iż

nigdy tamże przedstawianą nie była; zaburzenia i ciągle wojny towarzyszące upadkowi Napoleona I-go, stanęły temu na przeszkodzie, a złożona w archiwum tamtejszego teatru, zapomniana zapewne została.

Zachęcony powodzeniami opery, zyskawszy ufność i wiarę w swój talent rodaków, Kurpiński od tego czasu począł już ciągle dla sceny ojczyźnej pracować. Jednakże głośno w dziejach wypadki 1812 roku, wywarły nadzwyczajnie szkodliwy wpływ na losy teatru narodowego. Pomimo największych wysiłen dyrekecy i artystów w staraniu się o jak najlepszy wybór sztuk przedstawianych, jakoto: komedyi *Samolub* Niemcewicza, tragedyi wierszem *Heligunda* Hofmana, nowych oper *Gulistan* Dalayrac'a, *Horacyusze* i *Kuracyusze* Cimarosy i t. p. mało kogo można było zwabić do teatru. Niedostatek w kassie zniechęcał artystów; powstały szemrania i głośno nawet objawiana niechęć do Bogusławskiego jako przedsiębiorcy, chociaż zacny ten człowiek czynił co tylko mógł, by publiczności i artystom dogodzić. W owymto także roku, odbył się w przytomności najznakomitszych w kraju osób pierwszy publiczny popis szkoły dramatycznej, a celniejszych jęj uczniów, mianowicie Szymona Włodka i Karolinę Brzowską (później panią Kurpińską), ordynat Zamoyski z własnej ręki medalami obdarzył.

Z początkiem 1813 r. dyrekcya rządowa teatru z powodu zbliżającej się wojny, rozpierzchła się, pozostawiwszy go bez żadnej opieki; Bogusławski nie mogąc już nadal utrzymać o własnych siłach sceny narodowej, z początkiem roku następnego złożył entreprzyę, wystawiwszy wprzód jeszcze kilka nowych oper, a z tych: *Kuluf* Dalayrac'a, *Jan z Paryża* Boieldieu'go, *Szarlatan* oryginalna Kurpińskiego, na szczególną uwagę zasługują. Do téj ostatniej także Aloizy Żółkowski treść układał na sposób komicznych oper *buffo*, i miała wielkie wciąż powodzenie (1).

(1) Bogusławski kończąc *Dzieje teatru narodowego*, na stronnicy 236 powiada te słowa:

„Przyjemnem dla serca mego zdarzeniem, jak odważyłem się niegdyś dać pierwszy raz na scenie naszej usłyszeć śpiew przez narodową operę, tak i skończyłem moje okolo niego starania, przez rodowite dzieło.

Okolo 10 lutego 1814 roku, Rada najwyższa mianowała nowych członków dyrekcji, których prezesem był Józef Lipiński członek dyrekcji edukacyjnej i Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, a dyrektorem i entrepreneurem teatru Ludwik Osinski; lecz ten dopiero w pierwszych dniach lipca objął obowiązki swoje.

Elsner i Kurpiński jako dyrektorowie opery, szczerze krzątali się okolo wzbogacenia repertoaru już obcemi znakomitszemi utworami, już swemi własnymi, kształcąc śpiewaków i orkiestrę, która natenczas przeszło trzydziestu zdolnych artystów liczyła. Szczególniej Kurpiński z bezprzykładnym w dziejach naszej sztuki zapalem pracował dla sceny, i zaledwie wystawiono *Szarlatana*, aż zaraz *Łaska Imperatora*, a następnie i *Jadwiga*, dwie opery w tym samym roku napisane, zachwycaly zdumionych współziomków tak jawnie rozwijającemi się zdolnościami tego kompozytora. Bo też w istocie *Jadwiga* należy do najpiękniejszych utworów Kurpińskiego: wspaniałość i potęga chórów jest zadziwiająca. Arya w pierwszym akcie *Jadwigi*:

„Słowa matki ulubionej,
Zostaną w mem sercu święte”,

final tegoż aktu w tempie poloneza:

Jeżeli zaprowadzeniem opery polskiej zjednałem sobie jakowe względy rodaków moich, pomnożyć je powinno wzniesienie onęj do wyższości na którą ją zostawiam. Przełożone z różnych języków najlepsze opery, obznajmiły naród z wszelkiego rodzaju muzyką; a oryginalne polskie kompozycye, dały nas wzajemnie poznać i obcym narodom. Chlubną zawsze będzie dla mnie pamiątka, że założenie opery polskiej, przyswojenie narodowi pana Elsnera i zaszczyt Polakom przynoszący talent pana Kurpińskiego, do czasów mojego sceną ojezysną zarządu należeć będą”.

Bogusławski urodził się w r. 1760, we wsi Glinnie pod Poznaniem. Nauki pobierał w konwiktzie ks. Pijarów w Warszawie. Wszedł do teatru 1778 r., odstąpiwszy zaś przedsięwzięcie sceny zięciowi swemu Ludwikowi Osinskiemu w 1814 r., odtąd zdaleka od zgiełku stolicy używał w sędziwym wieku spoczynku, jaki mu był potrzebny po trzydziestoletnich trudach zawodu artystycznego. Ostatni raz wystąpił na scenie 20 listopada 1827 r. w roli Fryderyka Wielkiego w komedyi *Koszyk wiśni*; przyjęty od publiczności z zapalem, wkrótce, bo w dwa lata później zmarł 23 lipca 1829 roku; pochowany w Warszawie na cmentarzu Powązkowskim.

„Co w tej radzie narodowej
Uchwalił o wspólnej rzeczy”.

arya bassowa w drugim akcie Konrada:

„Przychodźcie piekielne jedze
Wspierać mnie, mnożąc przeszkodę”.

Duet Wilhelma i Jadwigi; aريا bassowa w trzecim akcie Jagielly:

„Niech oręż walkę rozstrzyga,
Niech się przekona Jadwiga”.

i ostatni chór *alla Pollacca*:

„Piastów, Jagiellów szczepy połączone,
Piękna Jadwigo, dzielny Władysławie” i t. d.

sało wszystko ustępy godne natchnień wyższych kompozytorów. Ażeby takie dzieło godnie ocenić, należałoby całą partyturę uwadze czytelnika przedstawić: jest tam wiele recitatiwów, prozy, którą muzyka w sposobie melodramatycznym podnosi i upięknia; lecz opisywać to słowami jakkolwiek skoremi do oddania pochwały temu narodowemu kompozytorowi, czuję, iż jest niepodobieństwo. Inna rzecz, jeżeli idzie o wykazanie znanych już z kądinąd ogółowi motywów: one same o swej wartości najlepiej przemawiają; toteż w poprzednich rozbiórach najwięcej to miałem na uwadze. Szczegółowa analiza kilku oper w jednej rozprawie, znuży swą jednostajnością uwagę czytelnika, więc nie będę nadużywać jego cierpliwości; a jeżeli powiem, że Kurpiński w tej operze w nadzwyczaj korzystnym świetle wykazał swe zdolności dramatycznego kompozytora, pewnie nikt mi tego nie zaprzeczy, gdyż sama historia najlepszym jest moim obrońcą. Opera *Jadwiga* z niesłychanym zapalem od ówczesnej publiczności była przyjętą i należała do sztuk często na naszej scenie przedstawianych. Autor treści Julian Ursyn Niemcewicz, niemały miał także w powodzeniu udział przez umiejętne ukształtowanie w piękną dramatyczną całość podania dziejowego.

Tego rodzaju sztuki poczęły zbawiennie wpływać na rozwinięcie dobrego smaku pomiędzy publicznością i na zachęcenie jej do częstszego odwiedzania teatru.

Nareszcie i okoliczności polityczne sprzyjały potem. Przywrócenie królestwa Polskiego, zapewniając trwale powodzenie scenie naszej, tchnęło nowe życie w skola-
tanych niepowodzeniami artystów. Od tego czasu datuje się ciągły postęp i doskonalenie teatru narodowego. Prawda, iż los mu był przyjaznym, a to ze względu na nadzwyczajny talent ludzi oddających się zawodowi dramatycznemu. Dzisiaj, my tego pojąć nie możemy, z kąd się brały tak potężne talenta, jak: Bogusławskiego, Kudlicza, Żółkowskiego, Szczurowskiego, Szymanowskiego, Zdanowicza, Dmuszewskiego, Leduchowskiej, Dmuszewskiej, Elsnerowej i t. p., chociaż teatr stał się i pewnej przyszłości artystom nie zapewniał, ani też mógł pieniężnie wynagradzać ich należycie. Teraz rzeczy bardzo się zmieniły; przyszłość artystów dramatycznych emeryturą jest zapewnioną; wynagrodzenie także znacznie większe od tego, jakie niegdyś aktorowie pobierali; za to też mniej mamy prawdziwie zdolnych artystów, bo każdy widząc łatwy sposób osiągnięcia niezłej pensyi w teatrze, chociaż nie ma rzeczywistego powołania, robi się aktorem, a jeżeli ma trochę głosu, śpiewakiem, nie troszcząc się już o przyszłość swoją. Dawniej ten tylko biegł pracować na deskach teatralnych, w kim tłała żądza i miłość dla sztuki; miłość, która nawet w niedostatku materyalnym i tysiącnych ciosach zewnętrznie na nią uderzających zrazić się, ani wygasnąć nie mogła.

Ażeby nie przerywać ciągu opowiadania, wymienię wszystkie po sobie następujące opery Kurpińskiego, jakimi aż do 1829 roku wzbogacał repertuar teatru narodowego.

Roku 1815 dnia 7 marca, na benefis śpiewaczki pani Dmuszewskiej, wystawił operę w jednym akcie *Alexander i Apelles*, ze słowami wierszem napisanemi przez Dmuszewskiego. W następnym roku 15 marca, do słów tego samego autora: *Mala szkoła ojców*, w jednym akcie. Zaraz po niej *Nowe Krakowiaki* w 2 aktach, tekst wierszem Jana Nep. Kamińskiego (stanowiąca niejako dalszy ciąg *Krakowiaków* Stefanięgo) i *Dziadek*, operetkę w jednym akcie do słów Osńskiego. W roku 1817, znów

wystawił nową operę w 2 aktach ze słowami Niemcewicza: *Jan Kochanowski*, w 1818 *Czaromysł*, tekst Aloizego Zółkowskiego. W rok później, Józef hr. Krasiński dostarczył mu libretta do opery: *Zamek na Czorsztynie*, z wielkiem powodzeniem przedstawianej.

Taka niezmordowana gorliwość i praca tego kompozytora, nie uszła baczności narodu; więc też miłośnicy muzyki oceniając piękne utwory Kurpińskiego, wybili na jego cześć medal i takowy mu wręczyli dnia 11 maja 1819 roku. Zachęcony tak świetnemi dowodami uznania zasług swoich, Kurpiński nie przestał z równaź, a może i z większą gorliwością pracować dla sztuki krajowej; w 1820 r. napisał nową operę pod tytułem *Kalmora*, do słów Brodzińskiego; następnie drugą *Leśniczy w puszczy kozienskiej*, a ostatniem jego większego rozmiaru dziełem, była opera w 2 aktach wierszem przez Dmuszewskiego: *Cecylia Piaseczyńska*. Lecz chociaż ku końcowi swego kompozytorskiego zawodu Kurpiński doszedł do nadzwyczajnej swobody władania materiałami technicznymi, atoli wzorem wielu innych znakomitych nawet twórców, uległ wpływowi, jaki na wszystkich współczesnych sobie wywierał Rossyni. Muzyka Rossyniego w owe czasy panowała wszechwładnie; wszystkie kraje ubiegały się o przyswojenie sobie dzieł Rossyniego, gdyż bez nich, żaden teatr nie miał powodzenia: więc jeżeli który z kompozytorów chciał zapewnić pracy swojej jakąkolwiek pomyślność, musiał koniecznie pisać w stylu twórcy *Tankreda*, *Cyrulika sewilskiego* i tylu innych przesłicznych partycyj, a im większe było podobieństwo z muzyką Rossyniego, tem powodzenie pewniejsze. Otóż i Kurpiński, nie wiem umyślnie czy nie, uległ przewadze geniuszu tego człowieka i począł muzykę jego naśladować. W *Cecylii Piaseczyńskiej* kilka jest rażących przykładów, a szczególniej w duecie pierwszego aktu pomiędzy starostą Piaseczyńskim i jego służącym; niektóre frazesy z *Cyrulika sewilskiego* żywcem są tu przeniesione; za to finał tegoż aktu, mianowicie od wejścia na scenę ludu wiejskiego, z którym oczywiście zaraz krakowiaki, mazury i polonezy występują, wynagradza dostatecznie brak oryginalności poprzednich

ustępów. Coto za śliczne motywa w tych piosnkach krakowskich, tańcach i owym polonezie perorującego organisty:

Według dawnego zwy - cza - ju, Or - ga - ni - sta w naszym

kra - ja, Za - cho - wujcie prawa

Violino.

Bierze pa - nuć w pierwszą pa - rę.

Co to za charakter w tej melodji, jaka prawda, jaka dzielność!

Inne motywa z tańców następujących po polonezie, użyte są dzisiaj na samym końcu w balecie *Wesele w Ojcowie*, więc je zapewne czytelnicy dobrze sobie przypominają. W drugim akcie jest kilka numerów wysokiej dramatycznej wartości, można śmiało powiedzieć, po mistrzowsku skreślonych; a przyglądając im się uważnie, żal bierze, iż Kurpiński nie wytrwał samoistnie na drodze od czasów *Pałacu Lucycera* przez siebie obranej, że chcąc być Rossynim, przestał być samym sobą (1).

Wszyscy kompozytorowie poprzedzający Kurpińskiego, jakoto: Kamiński, Wejnert, Stefani i Elsner, by-

(1) Oprócz powyższych oper, Kurpiński pisał muzykę do melodramatów następujących:

Obłężenie Gdańska 1811 r., *Marcinowa z Dunaju* 1812; *Ruiny Babilonu* 1812; *Agar na puszczy* 1814; *Hero i Leander* 1816; *Bateria o jednym żołnierzu* 1817; *Zhigniew* tragedia liryczna wierszem (Niemcewicz) z chórami 1819 r.

li z urodzenia cudzoziemcami, a chociaż nim przystąpili do pisania oper polskich, starali się usilnie o poznanie dokładne języka: przecież łatwo im to przyjść nie mogło i często bardzo spotkać można w ich utworach najniewłaściwszy podkład słów pod muzykę, bez względu na rytmiczność języka, bez względu na całość słowa, które czasami w najniestosowniejszy sposób dzielono lub akcentowano. Elsner, pomimo głębokich studyów, jakie czynił nad naszą mową, niezawsze jest od tego zarzutu wolnym; dopiero Kurpiński umiał w zupełności uniknąć tych niedogodności przeciwnych naturze języka; dał nowy popęd tłumaczom i poetom do układania wierszy rymem jednozgłoskowym, wmawiając w nich, iż muzyka często potrzebuje wiersza z mężczyem zakończeniem. W tłumaczeniach oper z obcych języków nie stosowano się wcale do niej, tylko obce słowa na swoje przemieniano, nietroszcząc się, czy miara ich odpowiada rytmowi muzycznemu. Dlatego też zwykle wszyscy z tłumaczeń byli niezadowoleni, bo albo zgłosek w wierszu, albo nut w muzyce brakowało, albo nakoniec coś takiego z językiem się działo, że w śpiewaniu rady sobie z nim dać nie można było. „Szperano w miarach starożytnych greckich i rzymskich, ale nikt nie chciał uznać tej prawdy, że miara wiersza, przez miarę taktu muzycznego wyjaśnioną być może. Podobno Kudlicz artysta teatru narodowego i wielu dzieł scenicznych tłumacz, około 1811 roku przeglądając partyturę opery Mozarta *Don Juan*, z tekstem włoskim i niemieckim, począł się zastanawiać nad tém, czyliby też w tłumaczeniu polskim niemożna tak dobrać wyrazów, ażeby równie jak w innych językach, wraz z muzyką płynęły, i z nią się wraz zgadzały. Doświadczając następnie tego sposobu w różnych swoich tłumaczeniach, przekonał się o istotnych zaletach takiego przekładu; pomimo tego jednakże, tłumaczenia oper szły dawnym swoim zwyczajem. Dopiero tłumaczenie *Opery włoskiej w podróży (Virtuosi Ambulanti)* praca znakomitego naszego poety Jana Kruszyńskiego w r. 1817 skutecznione, i podłożenie przez niego samego słów pod muzykę, stanowi epokę w literaturze tłumaczonych oper. Usłyszana ta opera na scenie

warszawskiej, niemałe uczyniła wrażenie; zaczęto się z doświadczenia przekonywać, że język polski w śpiewaniu może być bardzo słodki, rzewny, jędrny i dobitny (1).” Kurpiński także zostawił kilka tłumaczeń, które jeżeli nie pięknnością wiersza, to stosownością jego miary do muzyki się odznaczają; lecz pochodzą one z późniejszych czasów. Prace jego, publiczność umiała cenić i wynagradzać, bo oprócz powyżej przezemnie wymienionych utworów Kurpińskiego, z których kilka nadzwyczajne miało powodzenie, przyswoił on scenie naszej wiele znakomitych oper, a z nich celniejsze są: w roku 1815 *Familia Szwajcarska* (Waigel), w r. 1817 *Don Juan* (Mozarta), 1818 *Tankred* (Rossyniego), 1821 *Wesalka* (Spontyniego), lubo mu w tém i Elsner wielką był pomocą; od roku zaś 1823, Kurpiński sam jeden pozostał dyrektorem opery, gdyż Elsner w skutek wieloletnich swoich starań, doczekał się nareszcie w 1821 r. założenia tyle przez siebie upragnionego Konserwatoryum, i od 1823 opuściwszy teatr, wyłącznie oddał się rozwojowi tej pożytecznej instytucyi (2).

(1) Józef Królikowski, obacz *Cmentarz Powązkowski* Wójcickiego.

(2) Przed założeniem Konserwatoryum, istniał (także staraniem Elsnera) instytut muzyczny w kościele ks. Pijarów, w celu kształcenia i rozwijania muzyki religijnej, tudzież szkoła śpiewu będąca pod opieką dyrekeji teatrów, której prezesem był generał Roźniacki. Skoro rząd ustanowił Konserwatoryum i Elsnera rektorem takowego mianował, przyłączono do niego zaraz szkołę śpiewu, podzieliwszy ją na trzy klasy:

1-jej nauczycielem był Wejnert.

2-jej „ „ Kratzer.

3-jej „ „ Żyliński.

Następnie gdy Soliwę sprowadzono, wyborny ten nauczyciel objął główny kierunek muzyki wokalfnej.

W innych klassach, gdzie uczono muzyki instrumentalnej, przewodniczyli w wydziale dętych metalowych instrumentów . . Bailly.

drewnianych . . Winen.

skrzypce Bielawski.

wiolonczella . . Wagner.

fortepian { . . . Stolpe.

{ . . . Piotr Wejnert (syn).

General-bassu wykładał Würfell, kontrapunktu zaś Elsner.

polski—Stefański.

Do języków byli następujący metrowie: włoski—Rinaldi,

{francuzki—Wolski.

Zwierzchność ówczesna na mocy upoważnienia księcia Namiestnika królestwa, dnia 3 marca 1823 roku, wysłała Kurpińskiego za granicę w celu zwiedzenia znaczniejszych w Europie teatrów, aby tym sposobem wszelkie ulepszenia jakie tam spostrzeże, z korzyścią był w stanie zastosować do sceny krajowej. Jakoż w ciągu ośmiu miesięcy zwiedziwszy kolejno Wiedeń, Drezno, Berlin, Paryż, Medyolan, Rzym, Florencyą i Neapol, zachwycał się genialnemi utworami wielkich kompozytorów i takowe o ile mógł za powrotem do ojczyzny scenie własnej przyswajał. Wkrótce też słyszano w Warszawie *Turka we Włoszech*, *Srokę złodziej*, *Cyrulika Sewilskiego*, *Otello*, *Włoszkę w Algierze*, a zapal z jakim publiczność te piękne opery przyjmowała, był nadzwyczajny. W czasie ostatnich prób, sala teatru bywała zwykle przepelnioną niecierpliwemi i chciwemi słyszenia nadobnej muzyki włoskiego mistrza. Każde nowe wystawienie opery Rossyniego wzbudzało pomiędzy mieszkańcami Warszawy, szczególnie w wyższych towarzystwach, ogromne zajęcie; lecz prawda, że wówczas na zdolnych śpiewakach niezbywało weale. Szezurowski, Zdanowicz, Dmuszewski, Polkowski, Wejnert, Żyliński, później Dobrski (1), Elsnerowa, Dmuszewska, Aszpergerowa, Mejerowa, panny: Stefaniówna, Zimmermanówna, Müllerówna, Wołków, Gładkowska (2), później Rywacka, byli to artyści mogący we wszystkich rodzajach opery celować. Słyszano następnie pomiędzy wielu innemi operami: *Freischütz* (w 1826 r.), *Damę Białą* (w 1827), *Niemę z Portici* (w 1831), a nareszcie *Roberta Diabla*.

Ta ostatnia opera, poprzedzoną u nas była rozgłosem europejskim; publiczność z wielką niecierpliwością

Nie zapomniano także o deklamacyi, professorem jej był Kudlicz.

W lat kilka na publicznym popisie, podziwiano z prawdziwą rozkoszą postępy w różnych gałęziach muzyki utalentowanych uczniów, obiecując sobie z tej pięknej instytucyi jak najpomyślniejsze dla muzyki krajowej korzyści, i gdyby była dotrwała aż do naszych czasów, kto wie jak pod tym względem sztuka mogłaby stać u nas wysoko, gdyż co tylko mamy dzisiaj najlepszych artystów, wszyscy prawie pochodzą z dawnego Konserwatorium warszawskiego.

(1) Uczeń b. konserwatorium.

(2) Uczennice b. konser.

wyglądała jej pierwszego przedstawienia, które miało miejsce 16 grudnia 1837 roku. Jednakże głęboka i wspa-
niała muzyka Meyerbera nie zrobiła na słuchaczach takiego
wrażenia, jakiego sobie obiecywano; bogata i okazała
wystawa nierównie więcej się podobała, chociaż artyści
robili co mogli, ażeby godnie wywiązać się z ról sobie
powierzonych. Pomalu atoli zaczęto pojmować i sma-
kować w tych uczonych, dramatycznych i prawdziwie
wielkich pomysłach niemieckiego kompozytora, aż na-
reszcie melodye *Roberta Diabla*, ogół sobie przyswoił
i na każdym miejscu nucił. Po lekkich i nadobnych
utworach Rossyniego i Auber'a, które podówczas najwię-
cej miały powodzenia na scenie, nie dziwnego, że głębo-
ka i uczona muzyka Meyerbera nie odrazu pojąć i zro-
zumieć się dawała; we dwadzieścia lat później, jakże
wielkiego postępu w tym względzie mieliśmy dowody.
Zydówka Halewego, lubo również w bogatą i nieprzystę-
pną szatę pomysłów muzycznych jest odziana, przecież
od pierwszego razu silne i stanowcze na umysłach słu-
chaczy zrobiła wrażenie: tak dalece postąpiono u nas
w pojmowaniu i ocenianiu prawdziwie pięknej, chociaż
uczonej muzyki.

Gdy od roku 1830, Konserwatoryum istnieć przesta-
ło i wszelka na przyszłość sposobność pragnącej się
kształcić w muzyce, a mianowicie w śpiewie, młodzieży
odjętą została, postanowiono temu zaradzić: z polecenia
generała adjutanta Rautenstraucha ówczesnego prezesa
dyrekcji, założono przy teatrze warszawskim szkołę
śpiewu dnia 1go stycznia 1835 roku. Dzielila się ona
na trzy klasy: w pierwszej i najmłodszej wykładał zasłu-
żony niegdyś artysta Walenty Kratzer, w drugiej na dwa
oddziały podzielonej, Józef Stefani i Elsner, a w trzeciej
i ostatniej, Kurpiński. W lat parę, bo 1837 r. 17 czerw-
ca, w wznowionej operze Rossyniego *Włozka w Algie-
rze*, wystąpili przed sąd publiczności uczniowie tejże
szkoły, a mianowicie: panny Józefa i Marya Turowskie,
panna Paulina Rivoli, pp. Markowski, Stolpe (bassisci),
i German tenor (uczeń jeszcze b. Konserwatoryum, zmar-
ły przed kilką laty). Tylu osobami powiększone grono

artystów w operach występujących, na długi czas zabezpieczało pomyślność sceny naszej.

W roku 1840, cały zarząd nad operą i szkołą, powierzył Kurpiński swemu następcy Tomaszowi Nideckiemu, a sam zaprzagnął spoczynku po trzydziestoletniej przeszło mozolnej pracy. Lecz skoro tylko opuścił ster opery polskiej, znaczne różnice w jej losach się pokazały. Nidecki był opieszwały, leniwy i o dobro a pomyślność sztuki niedbały; szkoła, której Kurpiński był tak dobrze jak założycielem upadła, dzisiaj już nawet nie istnieje, co trwogą napawa wszystkich przyjaciół sceny naszej, bo zkadże na przyszłość brać śpiewaków, w cóż się nasza opera obróci? Cała zasługa Nideckiego w tém leży, iż przyswoił nam kilka pięknych oper Flotowa, jak *Stradellę*, *Marynarzy* i *Martę*; lecz sądzę że prędzej czy później i bez niego byłyby u nas wystawione. Po jego śmierci w roku 1852, Dobrzyński obrany został dyrektorem polskiej opery; atoli krótko, bo zaledwie rok pełnił swe obowiązki, więc nie mógł on, chociaż na dobrych chęciach i na zdolnościach nie zbywało mu wcale, wpłynąć na polepszenie i zapewnienie w przyszłości jej losu. Obecnie p. Quattrini jest jedynym dyrektorem opery polskiej i włoskiej, która od 1851 roku stale już egzystuje na naszej scenie (1).

V.

Dla uzupełnienia niniejszej pracy, potrzeba wymienić tych wszystkich jeszcze kompozytorów, którzy w różnych czasach próbowali sił swoich na polu muzyki dramatycznej, lub też przygotowują się na niem dopiero wystąpić.

Najdawniejszym z nich jest Józef Danse, urodzony w 1788 roku. Zawód swój sceniczny jako aktor rozpoczął w 1814 roku przedstawiając zrazu mniejsze role w operach i dramatach; lecz nierównie użyteczniejszym

(1) Karol Kurpiński zmarł 18 września 1857 roku; pochowany na cmentarzu Powązkowskim.

był on teatrowi przez swoje prace muzyczne. Dwadzieścia sześć komedyo-oper, siedmnaście wodewilów, trzydzieści przeszło melodramatów i siedm baletów, świadczą o jego nadzwyczajnej do tego rodzaju prac łatwości. Wprawdzie niewszystko co pisał było wyłączną jego własnością, bo jeżeli nie mógł sam z siebie wysnuć motywu, brał pierwszy lepszy u innych kompozytorów; należy mu jednak oddać sprawiedliwość, że w tym względzie dosyć smaku a czasami i zręczności posiadał, nawet niektóre mniejsze piosnki do wodewilów układane, wiele miały w swoim czasie powodzenia.

W roku 1820, napisał muzykę do operetki Dmuszewskiego pod tytułem: *Klarynecik magnetyczny*, lecz po pierwszym przedstawieniu upadła. Nie zrażony tém wcale, w rok później skomponował drugą, do której treść dostarczył mu z francuzkiego Kudlicz: *Nocleg w zamku*, ale i ta po dwóch zaledwie przedstawieniach, upadła. W roku 1823, znów napisał nową operę do treści z niemieckiego przez siebie tłumaczonej, pod tytułem *Klatka*, atoli utwor ten doznał tego samego losu co poprzednie i na pierwszym przedstawieniu skonał na zawsze. W trzy lata później, dobrawszy sobie do pomocy Józefa Stefaniego, ułożył wraz z nim muzykę do treści tłumaczonej z francuzkiego przez Godebskiego: *Dawne czasy*; małże mówić jaki ją los spotkał? czytelnik sam się zapewne domyśla: po pierwszej reprezentacji upadła niestety! Niefortunne te przypadki, na długo odjęły Damsemu ochotę do komponowania oper. Przez ten czas zastanawiał się nad powodami, dla jakich wszystkie wyżej wymienione dzieła powodzenia znaleźć nie mogły; doszedł więc do tego rezultatu, iż ponieważ jego własne a oryginalne pomysły nie robią korzystnego wrażenia na umysłach słuchaczy, a cudze któremi się w melodramatach, komedyo-operach i baletach posługiwał, przeciwnie dobrze były przyjmowane: umyślił więc z cudzego natchnienia zacerpnąć materiału do opery, jaką koniecznie jeszcze choć raz w życiu napisać postanowił. Myśl ta ściagała go dniem i nocą nie dając spoczynku. Szczęściem od Stanisława Bogusławskiego (syna) otrzymał wcale niezłe libretto, osnute na tle jednego romansu Walter-Scot-

ta; ułożył do niego muzykę i dnia 1go czerwca 1844 roku, wystawił operę pod tytułem *Kontrabandzista*. Było tam kilka ustępów starannie opracowanych, lecz cóż, kiedy w melodyach żadnej oryginalności nikt nie mógł dopatrzeć. Nawet wiara w przyswajanie sobie i posługiwanie się cudzemi myślami była pomiędzy publicznością tak dawna i tak wielka, iż w każdym numerze zdawało się wszystkim poznawać gdzieindziej już znane motywa. Nawet sam Damse nie był od tego wolnym. Na ostatniej próbie w mowie będącego dzieła, jeden z artystów tuż obok niego stojący, powiedział mu kilka komplementów; uradowany niemi Damse, a słysząc dobrą egzekucyą swjej opery, z twarzą rozpromienioną najwyższem zadowoleniem rzekł do tegoż artysty: — „Panie, kiedy słyszę tę operę tak wykonaną, to nie mogę wierzyć, ażeby była moją!” *Kontrabandzista* dostąpił zaszczytu trzech przedstawień (1).

Drugim z kolei jest Mirecki.

Franciszek Mirecki urodzony 1792 r. w Krakowie, był uczniem Elsnera; dnia 23 maja 1822 r. wystawił w Warszawie operę dosyć dobrze przyjętą, ze słowami Dyonizego Kniaznina, pod tytułem *Cygame*. Następnie skomponował drugą do tekstu Alexandra Fredry: *Nocleg w Apeninach*, lecz ta nigdy u nas przedstawioną nie była. Zresztą jest to utwór w stylu zupełnie włoskim, nieodznaczający się żadną oryginalnością i raczej za błądą i niewolniczą kopię wszystkich włoskich kompozytorów uważanym być powinien.

Józef Stefani, najmłodszy syn twórcy *Krakowiaków i Górali*, urodził się w Warszawie dnia 16 kwietnia 1800 r.; nauki szkolne pobierał w kollegium ks. Pijarów, zawód zaś swój muzyczny rozpoczął w trzynastym wieku życia, występując w chórach na scenie teatru, zkaąd później przeszedł do orkiestry, grając kolejno na kotlach, altówce i kontrabassie. Z utworzeniem Konserwatorium, Józef Stefani uczeszczał na kursa kompozycyi wy-

(1) Józef Damse zmarł 15 grudnia 1852 roku we wsi Rudno pod Warszawą, w majątności córki swojej Teresy, znakomitej niegdyś artystki dramatycznej.

kładane przez Elsnera. Zdolności jego nie uszły bacznej uwagi nauczyciela; jakoż w pierwszym zaraz roku, Stefani miał sobie zadaną do skomponowania arya do nadziei z towarzyszeniem orkiestry, która była odśpiewaną przez siostrę jego Eleonorę. W trzecim roku, napisał Józef także na egzamen, duet na dwa soprany z chórem i orkiestrą, wykonany przez siostrę i pannę Wilkowską uczennicę Konserwatoryum; aż nareszcie gdy zawakowała posada dyrygującego muzyką w baletach, ofiarowano ją Stefaniemu, jako najzdolniejszemu ze wszystkich przedstawiających się kandydatów. Układając rozmaite do tańców ustępy, nie zapomniał on o muzyce dramatycznej, do której od młodości miał największy pociąg, i w r. 1829 d. 15 marca, wystawił operę w dwóch aktach pod tytułem *Lekcja botaniki* (słowa tłumaczone z francuzkiego przez Szymanowskiego). Opera ta jednakże miała tylko jedną reprezentacyą, chociaż od publiczności dobrze była przyjętą, a nawet kompozytor dostąpił zaszczytu przywołania, co w tamtych czasach było rzeczą nadzwyczajnie rzadką. Zrażony trudnościami, jakie zwykle młodzi i niedoświadczeni kompozytorowie w zawoździe muzyki dramatycznej na każdym kroku spotykają, Stefani odtąd poświęcił swój talent wyłącznie baletom, układając niekiedy muzykę do melodramatów, jakoto: *Piast*, *Dwaj więźniowie*, *Żyd wieczny tułacz*, *Kobiety z kamienia*, tudzież do wielu komedyo-oper, a w roku 1856 napisał operetkę *Piorun*, tłumaczoną z francuzkiego przez Halperta, która była trzy razy przedstawioną na teatrze Rozmaitości.

Józef Brzowski, w r. 1833 dnia 24 listopada wystawił operę z tekstem Dnuszewskiego pod tytułem *Arabia Wschlńska*: powodzenia nie miała.

Stanisław Moniuszko skomponował muzykę do operetki Oskara Milewskiego; przedstawiono ją po raz pierwszy 12 września 1846 r., lecz także długim powodzeniem na naszej scenie szczyścić się nie mogła.

Z oper zaś, które o ile ni wiadomo zdawna ukończone lub będące na ukończeniu są: Dobrzyńskiego *Filibustierzy* opera czarodziejska, znana z uwertury i kilku wyjątków na rozmaitych koncertach wykonywanych, a któ-

ra od lat dwudziestu przeszło nie może się doczekać wystawienia.

Halka Moniuszki (słowa Włodzimierza Wolskiego), skomponowana przed dwunastą laty, a obecnie przerobiona przez autora z dwóch aktów na cztery, gdyż dyrekcya teatrów w roku bieżącym wystawić ją nareszcie postanowiła (1).

Wianki, opera w czterech aktach (słowa Gwozdeczkiego Baltazara) ukończył Alexander Martin w 1855 r.

Lucznik Otton, wielka opera w pięciu aktach z treści przerobionej z romansu Alexandra Dumasa, przez Chęcińskiego, obecnie twórca muzyki Adam Müncheimer, wykończa ją zupełnie.

Należałoby mi tu jeszcze wspomnieć o operze Ferdynanda Dulekena, do której libretto dostarczył mu Włodzimierz Wolski z romansu Walter-Scotta (Wawerlej), pod tytułem *Mac Ivor*; lecz młody ten kompozytor kilka tylko lat jako cudzoziemiec bawił pomiędzy nami, i po napisaniu dwóch zaledwie pierwszych aktów, udał się w roku zeszłym na stałe mieszkanie do Londynu, gdzie miał zamiar, przełożywszy słowa na język angielski, dokończyć ją pomiędzy swemi rodakami, a następnie wystawić na którym z tamtejszych teatrów.

VI.

Oto jest wszystko co tylko zrobiono u nas przez lat ośmdziesiąt prawie, czyli od r. 1778 aż do dni naszych na polu muzyki dramatycznej. Kamiński, Wejnert, Jan Stefani, Elsner i Kurpiński, głównie przyczynili się do rozwinięcia i pomyślności jej w naszym kraju. Kamiński ma zasługę pierwszeństwa, a chociaż utwory jego nie posiadają wysokości tak pod względem muzykalno-dramatycznym jako i narodowym, niemniej przeto jego *Nędza uszczęśliwiona*, jako pierwsza opera polska, stanowi

(1) Pracę niniejszą ukończyłem 1857 r., wystawienie zaś *Halki* miało miejsce 1 stycznia r. b. Rozbiór krytyczny tego znakomitego dzieła przyjętego od publiczności z zapalem, dam później. P. A.

epokę w dziejach naszej własnej muzyki. Stefaniemu należy się cześć za obdarzenie sceny ojczystej operą *Krakowiaki i Górale*, utworem osnutym na tle czysto miejscowém; utworem, który jest i będzie nazawsze ideałem i wzorem godnym naśladowania dla wszystkich naszych rodzimych kompozytorów: jednym słowem, utworem prawdziwie narodowej opery. Elsnerowi należy się wieczna pamięć za szlachetne a istotnie obywatelskie usiłowania podjęte w celu rozkrzewiania u nas oświaty muzycznej, i za liczne prace w stylu poważno-dramatycznym dokonane, gdyż on pierwszy u nas dotknął się w *Leszku Białym*, a później w *Łokietku* i innych operach swoich, struny liryczno-tragicznej, w którą nie śmieli, ani nie mogli uderzyć: Kamiński, Wejnert i Stefani. Nareszcie Kurpińskiemu należy się od potomności wdzięczność za liczne wysokie wartości dzieła, będące rozkoszą i chlubą współczesnych, a jakimi przez lat dwadzieścia nie przestawał wzbogacać sceny narodowej. Są one dla nas dzisiaj przykładem, jak człowiek, gdy jest obdarzony talentem i chwalebłą chęcią służenia sztuce krajowej, bez uciekania się do obcych po naukę, sam sobie radę dać może, sam się wykształcić jest w stanie na znakomitego nawet dramatycznego kompozytora. Tak jest! Twórca *Pałacu Lucycpera*, w studiach naukowych nie miał żadnego nauczyciela; jego przewodnikami w kompozycji byli: Hayden i Mozart, albo raczej nieśmiertelne utwory tych mistrzów, dla wszystkich zarówno do istotnego użytku dostępne. Dniem i nocą przesiadywał on nad genialnymi ich dziełami; podziwiał środki jakimi wypowiadali swoje szczytne natchnienia; poił spragnioną duszę w czystym źródle anielskiej harmonii: aż wytrwałością i pracą zdobył tajniki wiedzy muzycznej, które później były zaszczytem dla niego i współrodaków. Elsner wychowany w Niemczech, gdzie muzyka na równi z innymi naukami młodzieży wykładaną bywa, więcej miał nauki od Kurpińskiego: jako kontrapunkcista równym był największym w muzyce mistrzom europejskim; lecz Kurpiński więcej miał od niego talentu twórczego. Jeżeli kombinacje instrumentalne w ostatnim akcie *Łokietka*, wyższe są od

podobnychże usiłowań w drugim akcie *Palacu Incypera*, to tylko dowód, że w technice Elsner biegłym był od Kurpińskiego; za to ten ostatni, pierwszeństwo ma przed Elsnerem wszędzie, gdzie tylko melodyą czy kolorytem instrumentalnym idzie o wyrażenie uczuć dramatycznych. Elsner pomimo nauki, walcząc przez lat dziesięć prawie z Kurpińskim, nie mógł utrzymać się na równi z młodszym, energiczniejszym i dramatyczniejszym w pomysłach muzycznych zapaśnikiem; ustąpił mu z drogi zostawiając go panem pola bitwy, ażeby się wyłącznie poświęcić wychowaniu młodzieży i dostarczaniu w przyszłości dla kraju licznego szeregu zdolnych artystów, tudzież muzyce religijnej, która była najstosowniejszą dla jego poważnych natchnień i jaką najwięcej kochał. Kurpiński zaś, gdyby był posiadał naukę Elsnera, kto wie do jak wysokich granic talent swój dramatyczny byłby posunął.

Wielka to dla naszej sztuki strata, iż od lat dwudziestu kilku nie słyszymy żadnego z większych utworów scenicznych tych dwóch najplodniejszych narodowych kompozytorów; nie tradycyjna snująca się tak szczęśliwie przez ośmdziesiąt lat, zerwana; pamięć jej w niewielkiej już liczbie osób przechowuje się tylko, a młodsze pokolenia bardzo mało i niedokładnie, albo nie zgoła o niej nie wiedzą; tak przynajmniej wnosić można z dziwnych twierdzeń odnoszących się do kwestyi muzyki narodowej, albo opery polskiej, a jakie czasami spotkać można w pismach periodycznych. Jedni utrzymują, „że jeżeli treść opery nie będzie wzięta z dziejów ojczystych, polską ona nie będzie”. Sądzę, iż z historycznych szkiców dotyczących każdego w szczególności narodu, na jakie w poprzedzających rozdziałach zwracałem uwagę czytelnika, przekonano się dostatecznie, że najczęściej kompozytorowie, jako z samych tytułów ich prac wnosić można, obierali sobie za przedmiot do natchnień muzycznych mitologią starożytną, dzieje Greków, Rzymian, lub innych obcych sobie narodowości, a więcej jeszcze w świecie czarodziejskim szukali treści do rozwinięcia zdolności swoich muzycznych. A przecież jeżeli był nim Włoch, mówiono powszechnie, iż to włoska muzyka; jeżeli był Niemcem, mówiono: niemiecka muzyka; jeżeli

zaś był Francuzem, mówiono: francuzka muzyka;—dlaczegoż więc jeżeli Polak skomponuje takową do rzeczy osnutej na tle historycznego albo legendowego w Grecyi, Hiszpanii, Francyi lub Niemczech zdarzenia; dlaczegoż powtarzam, nie mamy powiedzieć, że to polska opera? Chyba, że zaprzeczamy kompozytorowi muzyki praw narodowości; że nie przypuszczamy go do nich. Prawda, iż każdy kraj, w którym muzyka do pewnego stopnia jest wykształconą, posiada pewne wyłącznie cechujące ją tradycye, tudzież sposoby jęj użytkowania, a jakie w końcu stylem lub szkołą się zowią; lecz to służy niekiedy do uprawnienia w narodowości tych nawet kompozytorów, którzy na innej ziemi i wśród innych rass się zrodzili. Glück był Niemcem, a jednakże Francuzi za swego narodowego kompozytora go uznali; tak samo rzecz się miała z Cherubinim, Spontinim, z Haendlem w Anglii, z Hassem i Mejerem we Włoszech: tak samo z Kamińskim, Stefanim i Elsnerem w Polsce. Z drugiej znów strony, chociaż naprzykład Mozart pisał opery: *Wesele Figara*, *Porwanie z Seraju* i t. p., nikt go przecież ani za hiszpańskiego, ani za tureckiego kompozytora nie brał, bo w takim razie i nasz Kurpiński za to, iż napisał muzykę do *Pałacu Lucypera*, którego treść wziętą jest z niemieckiego podania w Turynгии, chyba na nazwę niemieckiego kompozytora zasługiwałby! Tak samo użycie pewnej narodowej cechy motywu w operze, nie jeszcze nie stanowi, bo wolno komponującemu układać w takim lub innym rytmie swój pomysł melodyjny: jego zadanie w tem, ażeby dobrze z tego się wywiązał. Przecież Weber we *Freischytzu* użył rytmu i ruchu poloneza, nawet włoscy kompozytorowie *alla Polacca* pisują; we francuzkich dzisiejszych operach jakże często spotkać się można z krakowiakiem, nawet mazurem, a jednak nikt ich za polskich kompozytorów nie ma, ani ich dzieła polskimi nie są. W naszej muzyce narodowej posiadamy wiele rozmaitych charakterem pieśni i tańców, wydatnie cechujących różne prowincye kraju; począwszy od wesołego krakowiaka aż do mazura i dum ukraińskich, wszystko to napiętnowane jest silną barwą plemiennosci różnorodnych szczepów słowiańskich, chociaż od wieków w pobratymczym związku zostających.

Lecz czyż jest sposób muzykę tak czysto typową brać od ludu i wpychać do oper, jak tego koniecznie chcą niektórzy: „bo wtenczas dopiéro tylko”, powiadają, „będziemy mieć prawdziwie narodową operę” (?) Gdy występują w dramacie typy ludowe w całej swój pierwotnej prostocie, zgoda; tam muzyka może być wziętą od ludu albo na gminny sposób naśladowaną; wszak nie inaczej postąpił sobie Jan Stefani w *Krakowiakach*, nie inaczej także postępowali Elsner i Kurpiński. Do poważnych i patetycznych oper, gdy tylko wchodził żywioł nasz ludowy, kmięcy, muzyką starali się go uwydatnić: tak jest w *Łokietku*, tak jest w *Jadwidze*, *Cecyli Piaseczyńskiej*, i tak będzie we wszystkich innych pracach dzisiejszych lub przyszłych kompozytorów, bo jużciż w takim przypadku niepodobieństwo jest sobie inaczej postępować. Ale tam, gdzie idzie o wyrażenie uczuć wspólnych całej ludzkości, uczuć od wieków w jednakowy zawsze sposób pomiędzy tąż ludzkością się objawiających, a które muzyka jest w stanie wypowiedzieć; nakoniec gdy podoba się pocie wziąć za bohatera swego dramatu, nie mówię już z obcych dziejów, lecz z naszych własnych, naprzykład: *Walenroda*, *Beniowskiego*, *Barbarę Radziwiłłównę* albo *Maryą Malczeskiego*, czyż namiętne ich uczucia, miłości, cierpienia wielkie, któremi w historyi i literaturze naszej jak skamieniałe posągi Nioby słyną, dałyby się wypowiedzieć rytmem kołomyi, kujawiaka albo dumki ukraińskiej? Nie! kompozytor mógłby wprawdzie użyć takowej muzyki dla nadania wybitniejszej cechy pewnym dodatkowym do dramatu indywidualnościom, lecz tylko jako akcesoryum, bez którego w ostatnim razie obejść się można, nie naruszając w niczem prawdy dramatycznej dziejowych bohaterów sztuki.

Brać melodye ludowe—dobrze! Ale jeżeli wszyscy pożyczają tylko będą ze skarbcza muzyki narodowej, zkadże znajdzie on żywioły do odmładzania się i dążenia tętnem życia w przyszłość? Literatura i muzyka narodowa, gdy się nie odświeża i nie odmładza nowemi bezustannie pierwiastkami wsiąkającemi w pory narodu, skostnieje, zamrze, a on sam w martwą bryłę zamienić się musi. Starzy nasi kompozytorowie pożyczali wpra-

wdzie muzyki od ludu, lecz umieli ją zwrócić z bogatym i pożytecznym nieraz procentem. Utwory ich przedstawiane na scenie, szybko przenikały masy słuchaczy; od nich rozchodziły się rozmaitemi drogami, jak spławnymi kanałami sączyły się po całym kraju, aż w ostatnich warstwach społeczeństwa u ludu, krystalizowały się na długo lub na zawsze. Dzisiejsi biorą często zdrowe i dorodne ziarno, przerabiają je w młynie swoich pojęć artystycznych i niejednokrotnie bezpożyteczną plewę tylko oddają.

Nie małą trudnością dla kompozytora jest u nas zupełny brak piszących na polu literatury dramatycznej; dawniej często można się było spotkać na scenie z komedją, dramatem, a nawet tragedją oryginalną. Bohomolec, Zabłocki, Bogusławski Wojciech, Niemcewicz, Gliński, Hebdowski, Osinski, Dmuszewski, Feliński, Pękalski, Kropiński, Wężyk, Skarbek, Chodkiewicz i t. p. zasłużyli się scenie naszej, wzbogacając ją bezprzestannie oryginalnymi utworami. Nie zostawili oni arcydzieł dramatycznych, ale wiele prac dobrych i nacechowanych niekiedy prawdziwym talentem. Dzisiaj, odkąd znakomity Fredro pisać przestał, pozostał tylko Korzeniowski i zrzadka pokazujący się Stanisław Bogusławski, których komedye od czasu do czasu zasilają ogołoconą z dzieł oryginalnych scenę polską. Nie trudno więc było Stefanemu, Elsnerowi i Kurpińskiemu o *libretto*, bo żyli wespół doświadczonych i zdolnych pisarzy, co wiedzieli jakie są warunki lirycznego dramatu, gdzie muzyce należy ustąpić miejsca, by jej zostawić swobodę działania lub wesprzeć ją biegiem akcji scenicznej. Napisać prawdziwie dobre *libretto*, nie jest tak łatwo jak się nie jednemu wydaje. W Niemczech, gdzie jednakże literatura dramatyczna posiada wielu zdolnych pisarzy, nie ma ani jednego głośnego librecisty. Wagner, sam do swoich oper treść zmuszony jest układać; Meyerbeer, gdy chce operę napisać, do Scribe'go się udaje, inni zaś radzą sobie jak mogą. We Włoszech Soler, Pave i Cammarano za najbieglejszych uchodzą; w jednej Francyi, gdzie dramat ma tylu współpracowników, Scribe trzyma palmę pierwszeństwa, a po nim idą Delavigne, St. George, Leuven, Brunswick, Beauplan i t. p. U nas

doprawdy nie wiem, kogoby teraz można uważać za najzdolniejszego do napisania libretta? może Włodzimierza Wolskiego. Jego *Halka* nie musi być jednakże tak złą, gdy Moniuszkę natchnęła do napisania zrazu dwuaktowej opery. Zresztą zbliża się czas, w którym publiczność sama będzie mogła zdać sobie z tego sprawę.

Sposób układania treści do opery jest dwojaki: albo pisze się całą do muzyki, jak to naprzykład przyjęte w wielkiej operze, przeplatając ważniejsze ustępy tak nazywanymi recitativami; albo muzykę przedzielają dyalogi czyli proza, co zwykle ma miejsce w operach francuzkich komicznych. Dawniej wszyscy prawie libreciści i kompozytorowie trzymali się tego ostatniego sposobu. Prozie lub recitativom powierzano akcyę dramatu, muzyce zaś wyrażenie uczuć w nim dominujących, z tym atoli względem, by arye przedzielane były duetami, tercetami, chórami, albo innemi większej zbiorowości wymagającymi ustępami, zostawiając miejsce finałom na końcu aktów. I dziś rozkład ten głównie jest przestrzegany, bo w takim tylko razie dzieło zyskuje na rozumaitości, nie nuży uwagi słuchaczów jednostajnością form muzycznych. Autor treści i kompozytor muzyki, wielokrotnie staczają z sobą nużącą i uporczywą walkę nim dzieło na scenie jest wystawione. Uniesiony w natchnieniu muzycznem kompozytor, przerywa nieraz zapory krępującego go libretta, zmusza poetę do przerabiania nietylko wierszy, scen, aktów, ale nawet i treści całej, a nieraz rzecz w jednym akcie napisana, przybiera w końcu kilkoaktowe rozmiary; więc najdogodniej dla obydwóch, gdy obok siebie się znajdują lub wspólnie razem pracują, bo łatwiej porozumieć, łatwiej dopomódz, łatwiej ustąpić sobie mogą. Jużto poeta oddany bywa zwykle na pastwę muzykowi; niełatwo od zbytnej jego wymagalności obronić się może, chociaż w chwili stanowczego tryumfu, niknie on zupełnie prawie pod przewagą chwały swego tyrana.

Gdy autor libretta posiada znajomość muzyki i wie co to jest śpiew *syllabiczny*, czyli ten w którym na każdą nutę przypada syllaba, jak naprzykład w recitativach; i *mellismatyczny* czyli ten, w którym więcej nut bierze się na jedną syllabę, jak naprzykład w aryach, romansach,

dumkach i t. p.; gdy więc co to jest *styl włoski, niemiecki* lub *francuzki*, jakie są jego warunki, jakie środki i cele; wówczas lżej mu nierównie z pracy się wywiązać, bo znajdzie się na utartej i znaniej wszystkim drodze. Lecz u nas, pod tym względem jedną jeszcze więcej napotka przeszkodę, bo my dotychczas nie mamy stylu własnego, czyli szkoły. Dzieła Stefaniego, Elsnera i Kurpińskiego, jakkolwiek noszą na sobie cechę pewnej oryginalności, wypływającej z podań i tradycyi miejscowej muzyki, chociaż w ich utworach znać wpływ pierwiastków melodyjno-narodowych, jakimi się przejmowali żyjąc długie lata w pośród nich, albo jak Kurpiński, zrodziwszy się pomiędzy niemi; to przecież w formie nie zostawili nam żadnego arcydzieła, któreby stanowczo wpływało na kierunek i dążność naszej sztuki muzyczno-dramatycznej. Jeden Stefani w *Krakowiakach* i *Góralach* przekazał nam wzór godny naśladowania, lecz jedynie w operach, do których ma wchodzić żywioł gminny, ludowy; ale Elsner i Kurpiński, co w wyższe sfery dramatu sięgali, co ogólniejsze, że się tak wyrażę, kosmopolityczne uczucia malować chcieli, wpływ ich na naszą samorodną sztukę pozostał bez stanowczego znaczenia. Nie byli to geniusze, tylko ludzie talentu; nie zostawili więc nic takiego, co byśmy za ostatnie słowo w tej kwestyi przyjąć mogli. Nakoniec okoliczności same nie sprzyjały nam wcale: dwudziestokilkoletnia przerwa zrzędziła w muzyce naszej dramatycznej wyłom, jaki zapewne nie prędko naprawionym będzie, a przez niegogo właśnie zostaliśmy zalani powodzią obcych potężnych w muzyce żywiołów. Jedyna droga, przez którą tak wielką dla nas stratę powetowaćbyśmy mogli, jest wczytywanie się uważne dzisiejszych młodszych kompozytorów w liczne i znacznej wartości prace ich dawniejszych poprzedników, jeżeli już tak ma być, ażebyśmy ich nigdy na scenie teatru nie słyszeli, co jedno mogłoby o wiele przyspieszyć wyrobienie się pojęć ogólnych o sztuce rodzinnej i uformowanie się z czasem stylu własnego. Niech nasi kompozytorowie nie przywiązują się niewolniczo do naśladowania obcych utworów, niech ile możności studyując muzykę ludową, starają się iść za popędem własnej myśli, własnego natchnienia; niech bogacą swą wiedzę nauką bez

której nic godnego i wielkiego stworzyć nie można: narzecie, niech przedewszystkiem szukają prawdy w sztuce, by mogli wiernie muzyką odmalować uczucia, jak do tego nieśmiertelny Mozart zostawił wszystkim przykład godny wiecznego naśladowania w arcydziele swoim *Don Juanie*, a wtedy staniem na równi z innymi dotąd wyprzedzającymi nas w muzyce narodami, ba! nawet je przewyższymi, gdyż jeszcze raz powtarzam: że jeżeli treść dramatu wychodzi ze sfery ludowej, jeżeli żaden z typów gminnych w akcji jego nie bierze udziału, oczywiście, że forma i charakter muzyki musi być zupełnie odmiennój natury. Im większe i silniejsze uczucia grać będą w dramacie, tém muzyka chcąc je wiernie malować, będzie ogólniejszą; musi ona utracić cechę miejscową, a przyjąć ogólną, stosownie do tożsamości uczuć ogarniających ludzkość całą. Muzyka w takim razie wyższość ma nad mową, bo ona jest językiem uniwersalnym dla wszystkich zarówno zrozumiałym, bo natura jęz. elementów w teorii i estetyce nie powinna być krępowaną żadnymi miejscowymi warunkami, ani też różnicami między-narodowemi. Im więcéj muzyka się doskonali, tém więcéj staje się ogólniejszą, a utracą miejscowe dzieciństwa swego cechy. Uniwersalność jest jęz. własnością i zarazem ostateczną granicą do której zdążać powinna. Dlatego, chociaż nie potępiam bezwarunkowo wszelkich usiłowań dążących do rozwijania muzyki w granicach li tylko narodowości, nieradabym jednakże widzieć ją w tym jedynie celu uprawianą. Nie dlatego jest ona wyższą nad wszelkie języki świata całego, bo językiem powszechnym dla wszystkich ludów, ażeby go rozdrabniać na dyalekta przystępne tylko pewnym narodowościom lub plemionom. *Bóg dał ją jako ostodę życia, jako rozkosz duszy zarówno wszystkim ludziom: a zatém taką być powinna.*

PIEŚNI BERANŻERA.

I.

STARY GRAJEK.

Jestem tylko stary sobie
Grajek z tej zagrody,
Przytem, mówią, dobrze robię,
Ze nie lubię wody.
Chodźcie! patrzcie cień tu jaki!
Spocząć należycie:
Hoj da dana, hoj wieśniaki,
Tutaj potańczycie.

Potańczycie, dąb-to stary
I karczma niezwykła:
Nieraz pod temi konary
Serc nienawiść nikła.
Naszych dziadów w czas nie taki
Ciekło tutaj życie:
Hoj da dana, hoj wieśniaki,
Tutaj potańczycie.

Oto pan wyjechał z dworu,
Niechaj będzie panem:
Rzeczy nie bierzcie z pozorów,
Szczęście mu nieznanem.
Wokół srebra, złota szlaki,
A smutny widzicie:
Hoj da dana, hoj wieśniaki,
Tutaj potańczycie.

Ten kościoła nie przeklina.
Kto proboszcza łaje;
Niech mu zboża, łąki, wina,
Proście, Bóg rozda je.

Ale radości wszelakiej
 Pośród was użycie:
 Hoj da dana, hoj wieśniaki,
 Tutaj potańczycie.

Jeśli tylko wążka miedza
 Twą rolę okola,
 Niechaj sierp twój nie nawiedza
 Sąsiedniego pola.
 Dostyć dla was kawał taki:
 Synom zostawicie.
 Hoj da dana, hoj wieśniaki,
 Tutaj potańczycie.

Po cierpieniu pokój błogi
 Gdy ześle pocięchę,
 Zbląkanego pośród drogi
 Przyjmijcie pod strzechę.
 Rozproszone z burzy ptaki
 Wy też przytulicie,
 Hoj da dana, hoj wieśniaki,
 Tutaj potańczycie.

Posłuchajcie mnie starego,
 Hej! zgoda przezemnie:
 Niech pod dąb ten wszyscy biega
 Sciskać się wzajemnie.
 Wy w radości swój jednakiej
 Szczęście utrwalicie.
 Hoj da dana, hoj wieśniaki,
 Tutaj potańczycie.

II.

POCZĄTEK PODRÓŻY.

(SPIEWKA NAD KOLEBKĄ NOWO NARODZONEGO DZIECIĘCIA).

Patrzcie, o! mili, jak ta lekka łódka
 Płynąć poczyna, fala się bałwani;
 A w łódce płynie podróżna malutka:
 Bądźmyż majtkami najpierwszemi dla niej.
 Widać jak zwolna piętrzy się i nurzy,
 Na zawsze brzegi porzucając ziemi:
 My na początek patrząc tej podróży,
 Weselmy drogę pieśniami swojemi.

Już w wszystkie żagle dmą przyjazne losy,
 Nadzieja swoje rozkosze gotuje;
 Złotemi gwiazdy iskrzą się niebiosy.
 Po jasném, cichém morzu łódź szybuje.
 Precz ciemne ptaki, wróżbitowie burzy!
 Tu miłość skrzydły ulata lekkimi:
 My na początek patrząc tej podróży,
 Weselmy drogę pieśniami swojemi.

Szczęście u masztu już zawiesza wieńce,
 Miłość do pracy zabiera się szczerze;
 A czyste siostry wzięły się za ręce,
 I stała przyjaźń zasiadła przy sterze.
 Sam Bachus nawet, widzicie, jak służy
 Całej drużynie czarami pełnemi:
 My na początek patrząc tej podróży,
 Weselmy drogę pieśniami swojemi.

Lecz któżto jeszcze błogosławi nawe?
 Oto nieszczęście z swoją siostrą cnotą,
 Prosząc ją tylko dla dziecięcia o to,
 By również dary zlewała łaskawe.
 Kiedy więc z brzegu tyle życzeń wtórzy,
 Pewni, że nieba nie będą głuchemi,
 My na początek patrząc tej podróży,
 Weselmy drogę pieśniami swojemi.

III.

GWIAZDY SPADAJĄCE.

Pasterzu! mówisz: nasze przeznaczenie
 Ma w gwiazdach swój bieg proroczy?
 —Prawda, me dziecię, lecz przez nocne cienie
 Tego nie dopatrzą oczy.
 —Pasterzu! w niebie twoja mądrość bada
 I wiesz o każdej przyczynie:
 Coto za gwiazdka, która oto spada,
 O! spada, spada i ginie?

—Oto me dziecię, gdy człowiek umiera,
 Gwiazdka zlatuje w tej chwili:
 Dwoch ludzi przyjaźń jednoczyła szczerą
 I najszczęśliwszemi byli.
 Nagle jednego zabiera śmierć blada,
 Gdy wesół śpiewał przy winie.
 —Coto za gwiazdka, która oto spada,
 O! spada, spada i ginie?

— Oto, me dziecię, ta gwiazdeczka szybka,
 Jestto pan nowo zrodzony;
 Ale się prózną została kolebka
 Śród purpurowej zasłony.
 Zamiast pokarmu daje czarna zdrada
 Trucizny do ust dziecinnie.
 —Coto za gwiazdka, która oto spada,
 O! spada, spada i ginie?

— Ta, moje dziecię, co błyszczycy tak smutnie,
 To gwiazdka jest faworyta:
 Z naszych się nieszczęść naśmiewał okrutnie,
 Sądząc, że śmierć się nie spyta.
 Dziś już sług jego cieszy się gromada,
 Że inny bożek zasłynie.
 —Coto za gwiazdka, która oto spada,
 O! spada, spada i ginie?

Me dziecię, otrzyj twe łzy gorące.
 W bogaczu tracimy wsparcie:
 Ubóstwo wszędzie próżno zebrające
 Do niego biegle otwarcie.
 Dziś jeszcze zebrak na progach upada,
 Szukając jego jedynie.
 —Co to za gwiazdka, która oto spada,
 O! spada, spada i ginie?

—To, dziecię, gwiazdka monarchy słynnego;
 Lecz zostań w swojej prostocie:
 Niechaj ci nigdy dni życia nie biega
 W próżnej wielkości pozłocie;
 Niech bez użytku życie nie przepada;
 Bowiem w ostatniej godzinie
 Powiedzą ludzie: to gwiazdka co spada,
 O! spada, spada i ginie.

KRÓTKI RYS HISTORII NATURALNEJ KAMIEŃCA PODOLSKIEGO

SKRĘŚLIE

Gustaw Belke.

Każda nauka na postrzeganiu oparta, rozwija się i doskonali w miarę tego, jak jej przybywa przedmiotów, których badaniem się zajmuje. Historia naturalna olbrzymi zrobiła postęp w ciągu teraźniejszego stulecia, a jak niezliczone są przedmioty nad którymi się zastanawia, których śledzi byt i budowę, własności lub obyczaje; tak niezmienną i wielu lat wymagającą pracą, jest należyte opisanie przynajmniej tego, co dotąd odkryto i poznano. Zaiste, takiej pracy jeden człowiek sprostać nie jest w stanie, już dla krótkości życia, już dla niemożności znajdowania się wszędzie i widzenia wszystkiego. Dlatego gorliwi i uczeni wędrownicy, dlatego ludzie wyłącznie naukom przyrodzonym poświęceni, odkrywane, zbierane i opisywane przedmioty wzajemnie sobie udzielając, połączonemi siłami złożyli ten ładny ogół postrzeżeń, z których wyprowadzone wnioski, prawa i zastosowania, stały się najszacowniejszym nabytkiem nauki. Po tem cośmy powiedzieli, potrzeba i przydatność badań szczegółowych, choćby w najszczęplejszych obrę-

bach i w najmniejszych rozmiarach, byle ściśle i sumiennie czynionych, jest prawdą niezaprzeczoną. Rzeczywiście, dobre opisanie przedmiotów historyi naturalnej, nie tylko jakiej części świata lub kraju, lecz nawet najmniejszego zakątka ziemi, przynosi nauce pożytek istotny: to też dziś powszechném jest przekonanie, że fauny i flory miejscowe, układane przez ludzi dobrze obeznanych z przedmiotami o których piszą, same tylko mogą dostarczyć faktów niewątpliwych i najszacowniejszych materiałów, od których zależy postęp i udoskonalenie nauki.

Piękna ziemia nasza, co we wnętrzu swoim, wśród uroczych gór i dolin, w swoich lasach i wodach, tyle zawiera skarbów przyrodzenia; wydała też i ludzi, którzy poszukiwaniu i badaniu ich poświęcając zdolności, majątek i samo nawet zdrowie, wraz z obfitemi plonami dla nauki, zdobyli niezatartą sławę dla siebie i dla narodu. Komuż nie są wiadome prace Jonstona, Kleina (1), Rzączyńskiego? Chwalebna ich pamięć, równie jak wielu innych polskich naturalistów XVII i XVIII wieku, znajdzie czytelnik wznowioną w dodatkach do przekładu Historyi nauk przyrodzonych Kiuwier'a, świeżo wydanego w Wilnie (2) (T. 2, str. 451; T. 3, str. 149; T. 4, str. 3, 308). Wiek teraźniejszy liczy niemniej znakomitych uczonych, którzy na niwie botaniki i zoologii, tudzież w ścisłym związku z niemi będącej paleontologii, robili w krajach dawniej Polski badania swoje lub dotąd jeszcze niemi się zajmują. Jedni są współziomkami naszymi, inni obcy w ogóle dla dobra nauki pracują; wszyscy słusznie nabyli prawa do wdzięczności dzisiejszych i przyszłych pokoleń, za odkrycia, badania i dzieła, któremi wzbogacili piśmiennictwo i naukę. Wspomnę

(1) Jonston urodził się 1603 r. w Szamotułach niedaleko Leszna w b. województwie poznańskim; Klein w Królewcu 1685 r. Oba te miasta należały wówczas do Polski.

(2) *Historia Nauk Przyrodzonych* podług ustnego wykładu Jerzego Kiuwier'a ułożona i uzupełniona przez p. Madelen de St. Azy. Na język polski przełożyli i dodatkami do piśmiennictwa polskiego odnoszącemi się wzbogacili: Gustaw Belke i Alexander Kremer. Wilno, u Zawadzkiego 1853—1855. Tomów 5. Dodatek *o początku i postępie anatomii w Polsce i Litwie*, jest pracą prof. Adamowicza, męża pełnego nauki i zasług.

o nich pobieżnie przynajmniej, a to tem chętniej, że znakomite ich prace a wielu imiona nawet, dotąd nie znalazły miejsca w wydawanych u nas bibliograficznych wiadomościach i historyach literatury. Jeśli zaś kogo lub pracę czyją tu pominąłem, proszę o przebaczenie, bo to nie umyślnie lecz przez niewiedomość zająć mogło. Nadto ostrzegam, że pisma w przedmiotach anatomii, fizyologii, chemii i mineralogii, w zakres niniejszej wiadomości nie wchodzi.

Zaczynam od *geologii i paleontologii*. *Staszyc* w rozprawie o *Ziemiorodztwie gór dawnej Sarmacji*, czytaney na publicznym posiedzeniu Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk 13 grudnia 1805 r., pierwszy dał umiejętny rys geognostyczny części gór karpackich w ich odnogach zwanych Łysogórami, Bieskidami i Bielawami, tudzież rzucił pierwsze zasady terminologii geologicznej polskiej, a w 1806 roku ułożył kartę geologiczną całej Polski i przyległych jej krajów. Później w obszerniejszem dziele pod napisem: *O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski*, wydanem w Warszawie 1815 roku i zawierajacem rozprawy wprzód pojedynczo ogłaszane, zebrał ważne materyały do geologii i paleontologii krain, które badał przez lat kilkadziesiąt z uczoną i niezmordowaną gorliwością. Obywatel Wołynia p. *Xawery Giżycki*, ogłosił w 1809 roku w Berdyczowie, *Podróż w górach Miodoborskich*. Nie wielka ta książeczka, dziś już rzadka, zawiera ciekawe szczegóły geognostyczne niektórych okolic Podola i Wołynia, a świadczy o poczciwych chęciach swego autora, który usiłował pobudzić współrodaków do bliższego poznania ojczyźnej ziemi. Pierwsze badania geologiczno-paleontologiczne Wołynia i Podola, odznaczające się gruntowną znajomością przedmiotu, winniśmy uczonemu Dr. *Besserowi* profesorowi zoologii i botaniki w b. liceum krzemienieckim. Postrzeżenia zebrane przez niego w trzech podróżach, najprzód do Grzymałowa, potem do Zaleszczyk w obwodzie tarnopolskim (dziś w Galicyi austryac.), a nakoniec przez Umań, Bohopol, do Odessy, z powrotem przez Bałtę na Tarnorudę w gubernii podolskiej, odbytych; ogłoszone zostały w Pamiętniku far-

maceutycznym wileńskim na r. 1820. Później nieco, tenże uczony umieścił w pamiętnikach (*Mémoires*) Towarzystwa Badaczy Natury w Moskwie, rozprawę pod napisem: *Aperçu de la Géographie physique de Volhynie et de Podolie*, i to samo wydał po polsku w Wilnie 1828 roku; wydanie polskie nosi napis: *Rzut oka na jeografię fizyczną Wołynia i Podola*.

Jednocześnie prawie zwiedzali niektóre okolice tych prowincyj, p. *Bogatko*, i pomocnik *Bessera* potem professor adjunkt uniwersytetu kijowskiego, p. *Andrzejowski*, którego sprawozdania z naukowych podróży, pełne szacownych szczegółów pod względem paleontologii i w ogóle historii naturalnej Podola, ukazały się w latach: 1823 część 1sza, a w 1830 roku ciąg 2gi pod napisami: *Rys botaniczny krain zwiedzonych w podróżach pomiędzy Bohem a Dniestrem, aż do ujścia tych rzek w morze*. Rzadka ta już dziś książka wyszła w Wilnie; jestto praca sumienna i zasadnicza, posługująca za skazówkę i przewodnika w dalszych badaniach. P. *Kumelski* wydał 1826 roku w Wilnie: *Rys systematyczny nauki o skamieniałościach*, na wzór dzieła Leonharda: *Einleitung und Vorbereitung zur Mineralogie*. Znakomity uczony *Eichwald*, będąc professorem zoologii w b. uniwersytecie wileńskim, objechał w 1829 r. wraz z pp. *Andrzejowskim* i *Jakowickim* Litwę, Wołyn i Podole, i postrzeżenia ogłosił w dziele: *Naturhistorische Skizze etc.* wydaném w Wilnie 1830 r. a przypisaném sławnemu *Humboldtowi*, na którego przyjęcie gotował się wówczas uniwersytet. Prócz własnych badań *Eichwalda*, mieszczą się tam niektóre postrzeżenia pr. *Zienowicza*, a szczególnie *Wojciecha Zborzewskiego* nauczyciela wprzód w Międzybożu a potem w Krzemieńcu. Skromny ten i pelen wielostronnej nauki naturalista, dziś podobno w Połtawie mieszkający, znalazł i opisał wiele nowych gatunków skamieniałych małżów, których piękny zbiór posiada. Prace jego ukazywały się od czasu do czasu w biuletynach Towarzystwa moskiew. badaczy natury. Wyżej wspomniany p. *Ignacy Jakowicki*, wykładający później mineralogią w uniwersytecie wileńskim, sprawozdanie ze swych podróży, tudzież z spostrzeżeń pp. *Małckiego*

i *Andrzejowskiego* w guberniach zachodnich i południowych Rosyi, wydał w osobnej książce pod napisem: *Observacye geognostyczne*, Wilno u Marcinowskiego 1831 roku. Dzieło to pracowicie i porządnie ułożone, zawiera wiele ciekawych wiadomości z geologii i paleontologii. Uczony Francuz p. *Diuboa de Mqpere* (*Dubois de Montpereux*), badał trzeciorzędowe górutwory Podola i Wołynia, w których 112 gatunków kopalnych małżów znalazł i opisał, dodawszy do tego wizerunki. Chociaż według zdania p. *Dehe* (*Deshayes*) (*Bullet. de le Soc. geol. de France* 1832, 2 p. 222—226), mieści się w tej liczbie 49 mylnie oznaczonych gatunków, wszelako praca pana *Diuboa*, szczególnie pod względem dokładności wizerunków, ma niepospolitą wartość naukową. Nosi ona napis: *Conchiliologie fossile et aperçu geognostique des formations du plateau Volhyni-Podolien*, Berlin 1831. Były radzca górniczy Królestwa Polskiego prof. *Jerzy Bogumił Pusch*, liczy się do rzędu najuczestniejszych i najgorliwszych badaczy naszej ziemi. Jego *opis geognostyczny Polski i innych krain Karpat północnych*, wydany w Stutgardzie 1833 i 1834 roku, z atlasem, tudzież *Paleontologia polska* 1837 r., również w Stutgardzie drukowana, należą do najznakomitszych prac naukowych, które autorowi sławę europejską zjednały. Ostatnia zawiera wiele opisów najrzadszych skamieniałości podolskich i wołyńskich z dokładnemi i pięknie litografowanemi wizerunkami, a w dodatku uzupełnienie historyi naturalnej żubra litewskiego. Oba napisane są w języku niemieckim, lecz pierwszego mamy polski przekład dzięki p. *Kitajewskiemu* (1).

Dobrze nauce i krajowi zasłużony p. *Hieronim Łąbecki*, wydał ważne dzieło o *Górnictwie w Polsce*, w Warszawie 1841 r. a wyborny przekład *Mineralogii i geologii* *Beudanta* w 1848, pomnożył terminologią polską wielu

(1) Tytuły wymienionych dzieł *Puscha* są następujące: 1. *Geognostische Beschreibung von Polen und der übrigen Nord-Karpaten-Länder. 2 Theil, 8 Stuttgart bei Cotta 1833—1834 nebst einem geognostischen Atlas.* 2. *Polens Paleontologie oder Abbildung und Beschreibung der vorzüglichsten und der noch unbeschriebenen Petrefakten aus den Gebirgsformationen in Polen, Volhynien und den Karpaten etc. Stuttgart 1837.*

dodatkami odnoszącemi się do kraju naszego, tudzież mapą, która obejmuje zarys ziemioznawczy gór i równin Królestwa Polskiego i krain przyległych. Do najnowszych prac tego uczonego liczą się: *Słownik wyrazów górniczych*, i rozprawa pod tytułem: *Najdawniejsze dzieje salin krakowskich*. Professor uniwersytetu Jagiellońskiego Ludwik Zeiszner od lat przeszło dwudziestu zajmuje się badaniami geognostycznymi i paleontologią okolic Krakowa a mianowicie Tatrów. Ważne jego rozprawy, zamieszczane w różnych czasopismach naukowych obcych jakoto w dzienniku Leonharda: *Jahrbuch für Mineralogie, Geognosie und Geologie*, w Heidingera: *Naturwissenschaftlichen Abhandlungen*, tudzież w biuletynach Towarzystwa mosk. badaczy natury, zawierają wiele pięknych odkryć i ciekawych postrzeżeń, którym zawsze przewodniczy gruntowna znajomość przedmiotu. W języku polskim, ile mi wiadomo, mamy następne jego pisma: *Krótki opis historyczny, geologiczny i górniczy Wieliczki*, wydany w Berlinie 1843 r., w którym opisał i wizerunkami objaśnił rzadkie skamieniałości małżów. *Nowe lub niedokładnie opisane gatunki skamieniałości tatrowych*. Ta piękna praca w formie monografii, dotąd nie jest jeszcze ukończoną. Pierwszy jej zeszyt nakładem autora wyszedł w Warszawie 1846 r. w 4ce. Na wstępie mieści się *Rzut oka na skały warstwowe, wchodzące do budowy Tatrów i wzniesień od nich równoodległych*. Dokładność opisów i wizerunków nie nie zostawiają do życzenia. *Biblioteka Warszawska* ogłaszała zajmujące podróże p. Zeisznera po Tatrach, tudzież zapowiedziała wydanie *Paleontologii polskiej*, do której czciogodny autor znaczne zebrał materyały. Najnowszą z prac jego jest *Geologia popularna* (1). Niewiadomy mi pisarz wydał we Lwowie 1845 r. *Badania w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicyi, Królestwie Polskiem, na Wołyniu i Podolu*. Są tam powiększej części wyciągi z dzieł Staszycy, Andrzejowskiego, Jakowickiego i niektóre wła-

(1) *Geologia do łatwego pojęcia zastosowana*. Napisał Ludwik Zeiszner. Kraków. 1856 in 8vo. Od połowy książki: *Spis systematyczny skamieniałości zwierzęcych i roślinnych, odkrytych w krajach dawniej Polski, według formacyj ułożony*.

sne postrzeżenia autora w Galicyi austryackiej, z mapą geognostyczną i fizyczną kraju polskiego i litewskiego w dawnych jego granicach. Słynny nasz wieszcz, b. professor uniwersytetu jagiellońskiego *Wincenty Pol*, w odczycie swoim pod napisem: *Północny wschód Europy pod względem natury*. Kraków, 1851 r. opowiedział w pełnej wdzięku mowie, niektóre trafne postrzeżenia i pomysły mające związek z geologią i paleontologią. Prof. *Leśniewski* przetoczył 1853, dzieło Hoffinana pod tytułem: *Ziemioznawstwo powszechne*. Prof. *Andrzejowski*, uzupełniając dawniejsze swe badania i skorzystawszy z uwag i materiałów dostarczonych mu przez p. *Narcyza Makowieckiego* uczonego obywatela Podolskiego, ogłosił w biuletynach Towarzystwa badaczy natury w Moskwie, w latach: 1850, 1852 i 1853, uwagi o górutworach plutonicznych południowo-zachodniej Rossyi (*Remarques sur le terrain plutonique du Sud-Ouest de la Russie*), tudzież swój systemat tak zwany Dniestrowy (*Recherches sur le systeme Tyraïque*). W dodatku do pierwszej z tych rozpraw (*Bull. de la Soc. Imp. d. Nat. d. Mosc.* 1853 N. 2) prostuje postrzeżenia, które p. *Feofiltakton* prof. uniw. kijowskiego, napisał o granicach gub. kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej w pracach kommissyi ustanowionej do opisanja gubernii okręgu naukowego kijowskiego. P. *Rogowicz* prof. uniw. kijow. zajmuje się obecnie badaniami szczątków kopalnych ryb, i odkrył wiele rzadkich gatunków w glinie kijowskiej, których znaczny zbiór i piękne rysunki posiada. Pożądaną dla nauki jest rzeczą, aby ta ważna praca copędzniej na świat wyjść mogła. Nakoniec winniśmy namienić, że utalentowany i ulubiony litewski wierszopis *Tomasz Zan*, niedawno zgasły, mieszkając w górach uralskich, poświęcał się geologii, był później urzędnikiem przy muzeum Nieplujewa w Orenburgu, tam zabrał znajomość z Humboldtem zwiedzającym te strony, i zasłużył na chlubną wzmiankę w dziełach tego męża.

Mówiąc o *botanice*, niepodobna pominąć tyle nauce i krajowi zasłużonego *ks. Krzysztofa Kluka*, chociaż on nie do tego już wieku należy. Uczony ten a skromny proboszcz ciechanowiecki, jest autorem wielu pożyte-

cznych dzieł we wszystkich gałęziach historii naturalnej do gospodarstwa wiejskiego i przemysłu zastosowanych. Jako twórca języka zielniczego u nas, na szczególną uwagę zasługuje. Prace jego kilkanaście tomów składające, ogłoszone zostały drukiem przy końcu zeszłego stulecia, drugie jednak wydanie jego *Dykcjonarza roślinnego*, ukazało się w Warszawie już w roku 1805. Ks. Stanisław Bonifacy Jundziłł b. professor zoologii i botaniki w uniwersytecie wileńskim, wydoskonalił polską terminologią roślin, której Kluk położył zasady, a jego *Opisanie roślin litewskich* w dwóch wydaniach (1791 i 1811), tudzież *Początki botaniki* potrzykroć drukowane (1804, 1818 i 1819), należą do najszacowniejszych książek elementarnych, rozpowszechniły bowiem u nas naukę botaniki i na wyższym stopniu ją postawiły. Prof. b. liceum krzemienieckiego, tyle razy wspomniany Dr. Besser wydał w Wiedniu 1809 r. w języku łacińskim Florę Galicyi: *Primitiae Florae Galiciae Austriacae*, tudzież *Spis roślin na Wołyniu, Podolu, Ukrainie i Bessarabii* przez niego i pomocnika jego p. Andrzejewskiego znalezionych, równie jak tych, których mu udzielili Dr. Fridlender były urzędnik medyczny w Kamieńcu Podolskim i pp. Borejko, Ratomski, Miachowicz i Grabowski. Spis ten wydany w Wilnie 1822 r. nosi tytuł: *Enumeratio plantarum in Volhynia, Podolia, gubernio Küoviensi, Bessarabia etc. collectarum*, a zawiera dyagnozy wielu rzadkich gatunków (1). Dwie te ważne prace, owoc długoletnich poszukiwań i postrzeżeń, są szacownym źródłem i pomocą do dalszych naukowych badań. Prócz tego umieszczał Besser opisy niektórych gatunków roślin i ich monografie w biuletynach i pamiętnikach Towarzystwa moskiew. badaczy natury w 1809 i następnym latach; a chociaż cudzoziemiec, poznawszy gruntownie język polski, przyczynił się nie mało do poprawienia botanicznej nomenklatury naszej. Dowodem tego prócz innych, jest jego recenzja ogłoszona w Wilnie 1828 r. na pomnożenie dykcjonarza roślinnego Kluka,

(1) Był drukowany oddzielnie i w Pamiętniku farmaceutycznym wileńskim na r. 1821.

wydane przez Dziarkowskiego i Siennickiego. *Fryderyk Hoffman* wydał w Warszawie 1815 r. *Rys ogólny nauki roślin*. *P. Andrzejowski* najpierwszą z prac swoich botanicznych wydrukował w 1818 r. Była to rozprawa o roślinie *Anthericum liliastrum*, z której, od imienia hr. Tadeusza Czackiego, tak chlubnie znanego z prac uczonych i z gorliwości o wzrost krajowej oświaty, utworzył osobny rodzaj *Czackia* (1), w nomenklaturze p. Wagi naszyńcem nazwany; później zaś, w *Rysie botanicznym* wyżej już wspomnianym, wyliczył tysiąc przeszło gatunków roślin podolskich, wołyńskich i w gubernii chersońskiej dziko rosnących, a jego *Nauka wyrazów botanicznych*, ogłoszona w Krzemieńcu 1825 r. porządkiem abecedowym, jest książką nader pożyteczną, ile że ułatwia poczynającym w botanice, determinowanie znajdowanych roślin. Był professor uniwersytetu warszawskiego *Michał Szubert*, napisał w 1824 r. piękną rozprawę *O składzie nasienia i głównych różnicach składu wewnętrznego roślin* (Rocznik Tow. Prz. N. T. XVII), a w 1827 r. wydał *Opisanie drzew i krzewów Królestwa Polskiego*. Wyżej wspomniane dzieło pr. *Eichwalda*, *Naturhistorische Skizze*, zawiera spis systematyczny roślin litewskich, wołyńskich i podolskich z dołączeniem dyagnozy niektórych rzadszych gatunków litewskich, opisanych przez pr. *Stanisława Gorskiego*, znakomitego naturalistę naszego, który florę Litwy wielą odkryciami wzbogacił, a w Berlinie niedawno monografie litewskich gatunków z rodziny wodzian (*Naiadeae*) w języku łacińskim wydał. Roku 1830 wyszło w Wilnie *Opisanie roślin w Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie dziko rosnących* i t. d. Praca ta p. *Józefa Jundzitta*, jest dotąd jedyną w języku polskim dziełem, najdogodniejszą do determinowania roślin w tych prowincjach znajdowanych. D^{rowie} *Gąsiorowski* w Poznaniu, a w Wilnie *Adamowicz*, czcigodny następca sławnego Bojanusa, pełen

(1) Rozprawa ta była drukowana osobno w języku francuskim, tudzież znajduje się w dziele *Cwiczenia naukowe*, T. II. str. 17, i w *Pamiętniku farmaceutycznym wileńskim* na r. 1821. *Reichenbach* w swojej *Flora Germanica excursoria*, T. I. p. 116, przyjął ten rodzaj.

wielostronnej nauki professor, piérwszy w dziele o *Postępie sztuki lekarskiej w Polsce*, ostatni w rozbiorze tegoż dzieła (Wizerunki, poczet nowy), zebrali materyały do historyi zielnictwa naszego. W Wrocławiu wyszedł 1835 r. Spis roślin Galicyi i Bukowiny przez *Alexandra Zawadzkiego* ułożony. Pr. *Sawiczewski* zajmuje się badaniem flory krakowskiej. Dr. *Dembosz* opisał rośliny lekarskie jawnopłciowe znajdujące w okręgu m. Krakowa: *Tentamen Florae territorii Cracoviensis Medicae* 1841, a przedtém jeszcze Dr. *Majewski*, dziś sekretarz Towarzystwa lekarskiego w Warszawie, przysłużył się *Opisaniem grzybów jadowitych*. Pr. *Ignacy Czerwiakowski* wydał w Krakowie 1841 r. *Botanikę ogólną roślin jawnopłciowych*, a rok temu dopiero *Opisanie roślin jednolistwieniowych lekarskich i przemysłowych*. Oba te dzieła ważne zajmują miejsce w naukowej literaturze naszej. *Flora polska* pr. *Jakóba Wagi* (1847—1848) w Warszawie ogłoszona, należy do najlepszych dzieł tego rodzaju, dołączony zaś do niej *Ukaziciel polskich nazwisk na rodzaje królestwa roślinnego*, praca pr. *Antoniego Wagi*, jest prawdziwym skarbcem nazw polskich z najdawniejszych dzieł krytycznie zebranych lub przez samego autora utworzonych i do języka nader trafnie i szczęśliwie wprowadzonych. Poprzedza go piękna przedmowa mająca na celu wykazanie potrzeby poprawienia i pomnożenia polskiej botanicznej nomenklatury. P. *Chatubiński* w 1844 roku wydał dobry przekład *Początków botaniki* Adryana Zussie (*de Jussieu*). P. *Pisulewski* przetłumaczył w 1840 r. *Zasady botaniki i fizyologii* z Ryszarda, i *Florę lekarską Winklera*, tudzież ułożył *Botanikę popularną*, 1845 roku w Warszawie drukowaną. P. *Józef Penczyński* nauczyciel gimnazjum w Tyflisie, pracuje nad florą zakaukaską. P. *Julian Weinberg* napisał 1852 r. *O grzybach i bedłkach jadowitych*. Uczony rektor uniwersytetu kijowskiego p. *Trautfeter*, ogłosił w pracach kommissyi ustanowionój do opisanja gubernii kijowskiego naukowego okręgu, ważny artykuł o *Roślinno-geograficznych okręgach Rossyi europejskiej*, drugim zaś jego dziełem jest opisanie familij naturalnych wchodzących do składu flory gubernii kijowskiego naukowego okręgu.

Pr. Rogowicz zwiedza też gubernie i zbiera materyały do ułożenia ich flory. Niedawno wydał Spis roślin znalezionych w guberniach kijowskiej, czernichowskiej i połtawskiej. Łobarzewski ogłosił opisanie mchów galicyjskich: *Musci hypnoidei Galiciae rariores*, Leopoli 1852. Nakoniec winniśmy zrobić wzmiankę o pp. Strumille, Czepińskim i Wyżycim, którym zawdzięczamy pożyteczne pisma o ogrodnictwie, tudzież o p. Połujanskim autorze świeżo wydanego i jedyne go w swoim rodzaju a nader zajmującego dzieła: *O lasach Królestwa Polskiego i zachodnich gubernij Rossyi*.

Zoologia nie mniejszy liczy poczet mężów, którzy na jej niwie u nas zaszczytnie pracowali. W rzędzie pierwszych terażniejszego stulecia zoologów, stoi znów czcigodny Jundzitt, nestor naturalistów naszych. Jego *Zoologia krótko zebrana* w 3 tomach w Wilnie 1807 r. należy do najlepszych swojego czasu dzieł elementarnych; zaleca się zwięzłą ścisłością opisów, dobo rem wyrazów i nazwisk, tudzież pięknnością stylu. Temuż uczonemu winna nauka wiele rozpraw ogłaszanych w czasopismach naszych, a szczególnie w *Dzienniku wileńskim*; między innymi: o rybach elektrycznych; o niektórych pokoleniach owiec azyatyckich; o piórach ptasich; o włośniku (*Filaria*); o potrzebie układowej nomenklatury w przedmiotach historii naturalnej; o jajach ptastwa domowego; o jedwabnikach bengalskich; nowe postrzeżenia o wosku i wiele innych. Sławny prof. b. uniwers. Wileńskiego Bojanus, jeden z najznakomitszych w swoim czasie anatomików, napisał w 1819 r. wiekopomne dzieło swoje *Anatome testudinis Europaeae*, wydane w Wilnie i w Lipsku. Inne prace Bojanusa a między nimi rozbiory robactwa trzewnego, wyliczył uczeń jego i godny następcą, prof. Adamowicz w *Rysie hist. anatomii w Polsce i Litwie*, stanowiącym najpiękniejszy dodatek do przekładu naszego hist. nauk przyr. tomu Vgo.

Professor b. uniwersytetu warszawskiego Jarocki, któremu tamtejszy gabinet zoologiczny, świetny swój stan zawdzięcza, wydał *Spis ptaków w nim znajdujących się*, z przydatkiem cech rodzajowych i opisów niektórych rzadszych gatunków. W lat trzy później (1821 r.) uka-

zała się w Warszawie jego *Zoologia* podług najnowszego wówczas systematu ułożona. Tablice analityczne do tego dzieła dodane, ułatwiają determinowanie opisanych przedmiotów; wzorowa ta praca pod względem naukowej ścisłości, stała na tomie 6tym o owadach dwuskrzydłych, ogłoszonym dopiero w r. 1838. Prof. Jarocki napisał także wiele rozpraw oddzielnie drukowanych lub umieszczanych w czasopismach. Znaczniejsze są: o rybach które razem z deszczem spadły; o ptakach olbrzymich; o szarańczy i innych jej podobnych owadach, o pajakach przedzających; o przeobrażaniu się owadów, o zwierzętach jadowitych; o puszczy białowieżkiej, żubrach i innych mieszkających w niej zwierzętach. Jednym z najnowszych dotąd pism Dr. Jarockiego jest *Treść zoologii* drukowana w Warszawie 1851 roku. P. Jurewicz zaczął być wydawcą w Wilnie 1820 r. *Opisy przedmiotów historii naturalnej*, z dobrymi kolorowanymi rycinami, lecz wydał zaledwo kilka zeszytów. Pr. Wolfgang w Wilnie ogłosił w pamiętniku farmaceutycznym na r. 1820 *Niektóre postrzeżenia nad owadami niszczącymi zasiewy żytnie w Litwie* w r. 1818. P. Piotr Wagner właściciel apteki w Pińsku, do tegoż pamiętnika na r. 1821 podał bardzo zajmującą wiadomość o bobrach litewskich. Zbyt wczesnie dla nauki zgasły Jan Krynicki wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, potem professor w Charkowie, umieścił wiele rozpraw swoich i artykułów zoologicznych w biuletynach Towarzystwa moskiewskiego badaczy natury i wypracował Ornitologią Rossyi, podobno dotąd drukiem nieogłoszoną. P. Koźmiński podolanin, dał piękny lecz niepełny przekład Vireja o Instynkcie zwierząt. Prof. Adamowicz, którego ważne prace w przedmiocie anatomii porównawczej i medycyny (1), przechodzą zakres

(1) Między wielu innemi: *Musaeum Anatom. Vilnen.* 1842. *Postrzeżenia lekarskie*, Warszawa 1852 r. Inne pisma pr. Adamowicza z botaniką i zoologią związek mające, są: Rozprawa pod napisem: *An Socrates cicuta necatus fuerit* Vilnae 1817, w której badał skutki rośliny *Conium maculatum*. O zębie mamutowym znalezionym blisko Wilna. 1846 r. druk Glücksberga. *Synopsis nosologiae veterinariae comparatae*, umieszczony w piśmie berlińskim *Magazin für die gesammte Thierheilkunde* 1836. Heft. IV. *Einige zoopathologische Bemerkungen*, tamże 1840. W dwóch tych dziełach jest wiele ważnych postrzeżeń o robakach trzewnych.

niniejszej wiadomości; w rozprawie pod napisem: *Conspectus morborum inter animalia observatorum, nosologicus*, wyliczył kilkadziesiąt gatunków robactwa wewnętrznego czyli glizd, żyjących w naszych domowych zwierzętach, tudzież napisał *Zoonomię weterynarną* wydaną 1841 r. PP. Besser i Andrzejowski, pierwszy w zapisach swych i artykułach entomologicznych, ogłaszanych w biuletynach i pamiętnikach Towarzystwa naturalist. w Moskwie, ostatni w rysie botanicznym i monografii gadów krajowych *Reptilia nostratia*, przyczynili się wiele do poznania fauny zachodnich prowincyj państwa Rossyjskiego. Zbiór owadów prof. Bessera należał w swoim czasie do najbogatszych w krajowe gatunki; znajdujących się na Podolu dostarczał mu nauczyciel gimnazjum podolskiego w Winnicy Paweł Bielecki, niepospolitej nauki i gorliwości naturalista, niegdyś mistrz mój. Pr. Eichwald w swojej *Zoologia specialis*, wydanej w Wilnie w 3 tomach 1829—1831 r. odznaczył się oryginalnością układów i umieścił dyagnozy wielu gatunków zwierząt wszystkich gromad; szczególnie zaś znajdujących się w guberniach Okręg naukowy wileński wówczas składających; później zaś w *Naturhistorische Skizze* powtórzył krótką o nich wiadomość. P. Bogatko mineralog i geolog, pisał niektóre artykuły zoologiczne do Pamiętnika warszawskiego, jakoto: o zającu czarnym i o nowym gatunku sowy. Prof. Antoniemu Wadze w Warszawie, pełnemu wielostronnej nauki naturalisście, winniśmy wyborną nomenklaturę i wiele polskich nazwisk zwierząt. Wszystko co wyszło z pióra tego uczonego, nosi cechę wyższego talentu i gruntownej znajomości swego przedmiotu, tudzież odznacza się pięknnością stylu i czystością języka. Pisma p. Wagi, polskie, ile mi wiadomo, są następujące: 1819 *Rozprawa o naukach przyrodzonych, a mianowicie o historii naturalnej*; 1825 *O nowym szczególnym gatunku pszczołowego owadu*; 1826 r. *Wiadomości z nauk przyrodzonych*; 1829 r. *O utrzymywaniu pijawek lekarskich i o handlu niemi w Polsce* (1); *O zwierzętach przez poetów*

(1) W Warszawie wyszło obecnie (1857): *Hodowanie pijawek lekarskich pod względem utrzymania, sztucznego rozmnażania, polowu, prze-*

i malarzy zmyślonych; O jeografii owadów; 1842 r. O tajnych celach, które miała natura nadając barwę zwierzętom; 1843 r. O turach i żubrach. W pismach naukowych zagranicznych, a mianowicie w *Revue zoologique*, wydawaném w Paryżu ogłoszone zostały 1839 r., postrzeżenia p. Wagi o wijach (*Observations sur les Myriapodes*); o pijawce znalezionej w łysce czarnej (*Sangsue de Fulica*); o krocionogu białonogim (*Iulus dispar* W.); 1844 o włośniku żywym znalezionej w jabłku (*Note sur la découverte d'une espèce de Filaire vivant dans les pommes*). W *Annales de la Société Entomologique de France* T. VI, 1837 i T. XI, 1842: O niektórych skorupiakach z rzędu liścionogich (*Phyllopoda*). Z gatunku *Branchipus torvicornis* poraz pierwszy opisanego przez prof. Wagę, naturalista angielski p. Baird, utworzył nowy rodzaj skorupiaków pod nazwą *Streptocephalus*, w dziele swém pod napisem: *Monograph of the family Branchiopodidae* (Proceed. of the Zool. soc. February 1852). Do obszerniejszych prac prof. Wagi należą przekłady: *Vireja o Instynkcie zwierząt*, który pomnożył wielu ważnemi dodatkami, i *Zoologii emelementarnej Milne Edward'sa*; zawdzięczamy mu także wydanie *Myslistwa ptaszego* w 1842 r. Książka ta, ciekawy zabytek XVIgo wieku, przez *Cygańskiego* napisana, którą p. *Stronczyński*, uczony badacz starożytności wynalazł, nabyła wartości naukowej przez objaśnienia i dodatki, któremi ją wydawca wzbogacił; dowodzi zaś, że w Polsce już przed Linneuszem, nomenklatury dwoistej w zoologii używano. *Biblioteka Warszawska* winna p. Wadze ogłaszane w niej długi czas wiadomości o postępie zoologii; podróże jego naukowe opisane w sposób nader zajmujący, są szacownym materiałem do fauny krajowej, a zbiór owadów który posiada, należy do najpiękniejszych w kraju. P. *Kuberski* wydał w Warszawie 1829 r. *Krótki rys historii naturalnej*.—*Ferdynand Prawdzic Chotomski*, w tymże roku

wozu, przechowania zapasów i najoszczędniejszego ich użytku, zwłaszcza w szpitalach i dobroczynnych zakładach. Przez doktora W. Szokalskiego i t. d. (Osobny przedruk in 8vo, z Tygodnika Lekarskiego na rok 1856 i 1857, wydawanego tamże przez Dr. Natansoną).

zamierzył był wydawać własnym nakładem, *Opisy ptaków Królestwa polskiego*, z rycinami litografowanymi z natury przez autora. Tekst w językach: polskim, francuzkim, i niemieckim; wyszły tylko 3 zeszyty. *Nepomucen Kurowski* przełożył 1836 r. w Warszawie dziełko Dra Pfeil o *Owadach lasom szkodliwych*. *Hrabia Konstanty Tyzenhauz*, mąż którego niedawny a nieodżałowany zgon, pozabawił nas jednego z najuczeńszych i najgorliwszych badaczy natury, oraz hojnego orędownika prac w przedmiocie historii naturalnej podejmowanych, jest autorem *Zasad ornitologii* 1841 r. w Wilnie. Dzieło to obejmuje wyborną terminologią ornitologiczną polską. Nieco później (1843—1846) ogłosił drukiem Tyzenhauz *Ornitologią powszechną* 3 tomy; ta ważna praca, owoc długoletnich badań, jest nieporównaną pod względem języka i krytyki. Autor przywodząc liczne synonimy, wskazał wiele dwuwykładności, i usunięciem zbytnich gatunkowych nazwisk, nie mało przysłużył się nauce. Inne mniej obszerne prace Tyzenhauza, ukazywały się od r. 1830 różnocześnie w pismach krajowych i zagranicznych, jakoto: w rocznikach b. Towarzystwa przyjaciół nauk, w Tygodniku rolniczo-technologicznym warszawskim, w Bibliotece Warszawskiej, w Archiwum historii naturalnej wydawanem w Berlinie (*Archiv für Naturgeschichte*), w paryzkim przeglądzie zoologicznym (*Revue zoologique*) i innych, a mianowicie: o *sowie mszarnéj* (*S. microphthalmos*); o *gąsienicach zasiewom szkodliwych*; o *motyłu znalezionym na oleandrze* (*Sphinx nerii*); o *koszatkach* (*Myoxus dryas*), o *deszczu owadzi*m (Bibl. Warszaw. i Rigaisches Correspondenzblatt 1849); o *tożsamości gatunku* *Grus vipio Pall.* i *Grus leucanthen* Temm. (Rev. Zool. 1851 i Arch. f. Nat. 1852, 2 Bd.); o *mannie spadłej w Litwie pod Smorgoniami* w 1846; o *ortach europejskich*; o *ubarwieniu kaczki*, o *rozmnażaniu się gilów* (*Pyrrhula erythrina*). Nadto ułożył *Spis zwierząt ssących i ptaków znajdujących się, według jego własnych postrzeżeń, między 46—57° szer. pół., i 35—55° dług. wschodniej*. Tablice porównawcze w ciągu lat 10 nad wędrówkami perydycznymi ptastwa, robione w Postawach. Przepyszne

tablice oologiczne wykonane w Paryżu i mogące służyć za atlas do dzieła Temmincka. Nakoniec zostawił w rękopismach, opisy i rysunki ptaków litewskich, tudzież postrzeżenia nad fauną ornitologiczną prowincyj noworosyjskich położonych nad brzegami morza Czarnego. Wiele artykułów hr. Tyzenhauza o ptakach umieszczono w Encyklopedyi powszechnej, a opisy znacznej liczby ptaków i ryb w *Zoologii Kumelskiego i Górskiego*, jemu też należą. Tyzenhauz zostawił bogaty i piękny zbiór ptaków w dobrach swoich Postawach na Litwie, obecnie do muzeum archeologicznego wileńskiego wcielony. Dopiero wymieniona Zoologia, wydana w Wilnie 1836 r. jest wybornem dziełem elementarném; szkoda tylko że nie została ukończoną. Sam professor *Górski*, prócz wielu prac o roślinach, wyżej wspomnianych, które mu zjednały zasłużoną sławę, jest niemniej gorliwym i uczonym badaczem w przedmiocie zoologii. W r. 1837 ogłosił w Wilnie przekład wiadomości historycznej o czerwcu ararackim i polskim, do którego przydał ogólny rys charakterów i obyczajów czerwca polskiego, uzupełniający badania w tym względzie Dra *Kortuma*, pp. *Kitajewskiego i Nagórskiego*, a 1852 r. w Berlinie 1 część Entomografii zachodnio-południowych prowincyj państwa Rossyjskiego (*Analecta ad Entomographiam provinciarum occidentali meridionalium Imperii Rossici*). W niej mieszczą się monografie owadów krajowych pluskwowatych (*Hemiptera heteroptera*) z dodatkiem opisów i wizerunków kilku za nowe uważanych gatunków pszczołowatych, tudzież rozprawy o liszkach objadających liście drzew wiśniowych. Piękna ta praca odznacza się dokładnością opisów i obszerną synonimiką. Wydanie świetne nakładem hr. Konstantego Tyzenhauza. Prócz powyższych dzieł pr. *Górski* jest autorem wielu artykułów zoologicznych umieszczanych w wydawanej w Warszawie Encyklopedyi powszechnej. Były professor *Leśniewski*, niedawno zmarły w Warszawie, któremu winniśmy niejedno pożyteczne dzieło naukowe, napisał *Rybnictwo krajowe* 1837 r. w Warszawie wydane, dzieło zoologiczno-gospodarskie; przełożył *Galeryę obrazową*

zwierząt Reichenbacha (1) i *Historią naturalną* rodu ludzkiego Vireja. P. Stronczyński ogłosił w Warszawie 1839 r. *Spis zwierząt kraju polskiego i pogranicznych*: bytato zapowiednia większego dzieła o krajowej faunie, które dotąd nie wyszło. P. Zawadzki, uczony naturalista galicyjski, wydał 1840 r. w Stuttgardzie po niemiecku, faunę kręgowych zwierząt Galicyi i Bukowiny (*Faunader Galicisch-Bukowinischer Wirbelthiere*). Od r. 1847 do 1850 wyszła w Wilnie *Mastologia* obejmująca dyagnozy wszystkich znajomych do owego czasu zwierząt ssących, poprzedzona terminologią, z dołączeniem 15 tablic litografowanych, a 1851 roku przekład z francuzkiego Flourens'a rozbioru uczonych prac Cuvier'a, pod tytułem: *Jerzy Cuvier i jego prace*. Znany zaszczytnie z wielu dzieł pożytecznych prof. Jastrzębowski w Warszawie, napisał *Historią naturalną zastosowaną do potrzeb życia praktycznego* i *Historią naturalną ogólną* w dwóch wydaniach 1848 i 1854. Prof. Hippolit Witowski wydał we Lwowie 1849 r. *Historią naturalną obejmującą zoologią, botanikę, mineralogią, dla szkolnego i domowego użytku młodzieży*. Uчени professorowie uniwersytetu Jagiellońskiego, Mejer i Kozubowski, umieścili w Roczniku wydziału lekarskiego na rok 1841 zajmujące rozprawy: pierwszy o *potworach rybich*, drugi o *kartakach, mianowicie przedtatrowych*. Znakomity ornitolog hrabia Kazimierz Wodzicki, zajmujący się postrzeżeniami nad ptakami, szczególnież okolic Krakowa, podał do Biblioteki Warszawskiej na r. 1850 *Systematyczny spis ptaków uważanych w dawnéj ziemi krakowskiej*, a w 1851 r. wydał książkę pod tytułem: *Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie*. W piśmie czasowém pod nazwą *Naumannia*, za granicą wychodzącém i ornitologii poświęconém, znajduje się wiele ważnych artykułów przez hr. Wodzickiego po niemiecku napisanych (2). W 1850

(1) Tę księgarz warszawski, Merzbach przerobił dziś i wydał (r. 1857) pod tyt.: *Historia naturalna systematycznie ułożona podług Milne-Edwardsa, Reichenbacha, Gistla, Richarda, Bromma i wielu innych znakomitych zagranicznych i krajowych naturalistów i t. d.* z dołączeniem nowych tablic kolorowanych i wielu kliszów.

(2) W Warszawie wychodzi obecnie z druku bardzo pięknie napisana wiadomość o sokolnictwie w połączeniu z naukową monografią ptaków drapieżnych używanych w myślistwie, przez hr. Wodzickiego.

roku ukazało się w Warszawie bardzo pożyteczne dzieło pod tytułem: *Treść nauki przyrodzenia*: autorami jego są niektórzy z zasłużonych nauczycieli szkół Królestwa Polskiego. P. *Taczanowski*, obecnie konserwator gabinetu zoologicznego w Warszawie, gorliwie zajmuje się ornitologią. Mamy jego *Spis ptaków gubernii lubelskiej*, ogłoszony w Bibliotece Warszawskiej na r. 1851, i wiele ważnych postrzeżeń nad tą gromadą zwierząt. Piękny zbiór ssących 96 okazów, stanowiących 37 gatunków; ptaków 263 gat. i jaj 190 gat. ustąpił p. *Taczanowski* w 1855 roku gabinetowi warszawskiemu. Hr. *Adam Plater*, w Wilnie 1852 r. *Spis zwierząt ssących, ptaków i ryb krajowych*; praca pożyteczna jako materiał do przyszłej fauny. *Historya naturalna zwierząt ssących dzikich galicyjskich, Stanisława Konstantego z Siemuszowój Pietruskiego* 1853 r. we Lwowie ogłoszona, jest owocem dwudziestoletnich badań czcigodnego autora i zawiera wiele bardzo szacownych szczegółów o obyczajach zwierząt. P. *Pietruski*, w dobrach swoich Podhorodeach w obwodzie stryjskim w Galicyi, posiadał piękny zwierzyniec z pięciuset przeszło gatunków zwierząt ssących i ptaków składający się, który w 1848 przez pożar został zniszczony. Tenże naturalista umieszczał niektóre artykuły swoje w czasopismach krajowych i zagranicznych, jakoto: w *Przeglądzie naukowym o bobrach polskich* i *Archiv für Naturgeschichte* wychodzącém w Berlinie, o *norcie* (*Mustela lutreola* Schr.) 1846 r. Dr. *Szafarkiewicz* w Poznaniu wydał, 1850—1853, *Historyę naturalną dla szkół*, książkę elementarną przez pytania i odpowiedzi ułożoną, obejmującą początki zoologii, botaniki i mineralogii. *Księga Świata*; niedawno (1854 r.) wydany w Warszawie *Świat zastosowany do pojęcia młodzieży*, tudzież obecnie w Poznaniu istniejący tygodnik pod tytułem: „*Przyroda i przemysł*” dzielnie przyczyniają się do upowszechnienia u nas historyi naturalnej. Prof. zoologii w uniw. kijowskim p. *Kessler*, uczony i pełen zamiłowania w swoim przedmiocie badacz, prócz wielu pism wydał między innemi opisanie ptaków europejskiej Rosyi (Рукководство къ опредѣленію Птиць), zajmuje się teraz szczegółniej fauną gubernij składających Okrąg naukowy kijowski,

i ogłosił już w języku rossyjskim Spisy zwierząt ssących, ptaków, gadów i ryb; dwie te ostatnie gromady wypracowane są z wzorową dokładnością, i wszystkie gatunki zwiedzonych prowincyj obszernie opisane. Zawiadujący ogrodem botanicznym w Kijowie p. *Hochhuth*, znakomity entomolog, opisał wiele gatunków krajowych z rodzin krótkopokrywych (*Brachelytra*) i wołkowatych (*Curculionidae*), i te prace swoje w biuletynach Towarzystwa moskiewskiego badaczy natury w 1847 i 1851 r. ogłosił. Zbiór jego owadów, do kilkunastu tysięcy samych chrząszczowatych (*Coleoptera*) zawierający, zaleca się wielu rzadkimi przedmiotami, dokładnością determinowania i pięknem utrzymaniem. *Baron Maximilian Chaudoir*, obywatel gubernii wołyńskiej, który pracami swemi nad postrzeganiem i opisywaniem owadów, zjednał sobie słuszenie wziętość europejską, posiada jeden z najbogatszych i w najrzadsze gatunki wszystkich części świata obfitujący zbiór entomologiczny. *Hrabia Jerzy Mniszech*, gorliwy i uczony miłośnik entomologii, jest równie właścicielem bogatego i pięknego zbioru owadów chrząszczowatych, których do 23,000 gatunków posiada i takowy coraz nowemi nabyciami pomnaża; a powodowany szlachetną żądzą rozkrzewiania nauki, opatruje zakłady naukowe w rzadkie przedmioty zoologiczne. Nie godzi się też zamilczeć o konserwatorach gabinetów zoologicznych, w Wilnie przedtem a teraz w Kijowie, którzy pracami swemi i znajomością swjej sztuki, wiele przyczynili się do podniesienia tych zakładów; mianowicie o *Brunerze*, o *Laupmanie* autorze książki wydanej w Wilnie 1827 r. pod napisem o *wypychaniu zwierząt*, do której dołączył Spis przedmiotów zoologicznych znajdujących się w gabinecie wileńskim, tudzież o p. *Szusterusie*. Ostatni pracę swoją dotąd gorliwie poświęca gabinetowi zoologicznemu kijowskiemu; wszystkie preparata jego odznaczają się wybornym naśladowaniem natury. O łowiectwie, będącym w tak blizkim związku z zoologią, pisano też u nas: i tak, *Koztowski* ogłosił w Warszawie 1822 r. *Pierwsze początki terminologii łowieckiej*; *Bobiatyński* w Wilnie 1823 r. *Naukę* ło-

wiectwa; *Mylke* wydał w Warszawie 1843 r. *Myślistwo krajowe*. Świeżo zgasły w Warszawie, zasłużony autor dzieł ważnych w przedmiocie gospodarstwa leśnego *Mikołaj Reyman*, wydał w 1845 r. *Gospodarstwo łowieckie z historią starożytną łowiectwa polskiego*. P. *Józef Gluziński*, uczony agronom i badacz obyczajów naszego ludu (1), podaje do pism czasowych wychodzących w Warszawie (między innymi do *Sylwana* dziennika poświęconego leśnictwu tudzież do *Kroniki* wiadomości krajowych i zagranicznych) postrzeżenia swoje o *jeleniach, niedźwiedziach, łosiach i dzikach, i o polowaniach w lasach szydłowieckich*. A kiedy tylu uczonych pracowało chlubnie nad historią naturalną naszego kraju, dwaj współziomkowie nasi uniesieni miłością nauki, zwiedzili najodleglejsze strony kuli ziemskiej, nie zważając na liczne niebezpieczeństwa i trudy przechodzące prawie siły ludzkie. Mamy tu mówić o *Pawle Edmundzie Strzeleckim* i *Józefie Warszawiczu*. Pierwszy od 1834 r. podróżując po Ameryce północnej, wysłany został kosztem rządu Stanów Zjednoczonych, do Ameryki południowej dla zbiorów mineralogicznych; zwiedził Brazylią, republikę Argetyńską; śledził okolice Kordyliarów, najczęściej w towarzystwie sławnego Bonplanda. Z Valparaiso odpłynął ku wyspom Wielkiego oceanu; zwiedził Sandwich, Otahiti, potem Nową Zelandyę i Nową Hollandyę, gdzie wylądował w porcie Sydney 28 kwietnia 1839 r. Zabawiwszy tam krótko, przebył góry Niebieskie i puścił się ku południowi w nieznanne wcale i nigdy nogą Europejczyka nie tknięte krainy; postępując coraz dalej, znalazł kraj piękny, urodzajny i do osiedlenia bardzo przydatny, wzdłuż morza ciągnący się, na wschodniej stronie Nowej Hollandyi pomiędzy 36° i 39° szer. połud. położony, który nazwał od imienia gubernatora Nowej Hollandyi, krajem Dżyps'a (*Gippsland*). Wszystkie jeziora, góry, rzeki przezeń odkryte mianował od osób w Australii chlubnie znanych i na cześć powszechną zasługujących; największemu zaś szczytowi gór

(1) Czyt. *Włóścianie polscy w Archiwum domowem* Wójcickiego 1856 r.

australskich, 6,800 stóp nad powierzchnią morza wyniesionemu, nadał nazwę bohatera w dwóch światach: *Kosciuszko*. W Nowej Hollandyi obszedł on 4,600 mil ang., w kraju Van Diemena 2,000 mil, a sześć razy przebywał równik. Strzelecki w 1842 r. bawił w Nowej Hollandyi i zbierał materyały do dzieła mającego wyjść w Anglii pod nazwą: *Rysy geograficzne Nowej Hollandyi i kraju Van Diemena*" (1). *Warszewicz* zwiedził także niektóre części Ameryki południowej, zajmuje się zbieraniem pięknych storczykowatych roślin (*Orchideae*), tudzież innych rzadkich przedmiotów botaniki i zoologii, przywiózł do Europy nasiona najosobliwszych roślin, a w 1853 r. przyjął był ofiarowaną mu przez senat krakowskiego uniwersytetu, posadę inspektora ogrodu botanicznego.

Z tylą ważnemi pracami, przez ludzi nauką i talentem obdarzonych w obszerniejszych rozmiarach dokonanemi, nie może zapewne iść w porównanie szczupły zasób wiadomości który tu podaję; lecz jak do zbudowania wielkiego gmachu i małe kamyczki są przydatne, tak też praca niniejsza posłużyć może przynajmniej za drobny materyał do historyi naturalnej naszego kraju, tak potrzebnej i tak pożądanej. Nim do sprawozdania z spostrzeżeń moich przystąpię, za rzecz konieczną poczytuję uprzedzić, że je nad florą i fauną nie tylko samego Kamieńca podolskiego, czyniłem, lecz wycieczki moje i badania rozciągały się na północ do miasta Smotrycza o wiorst 30; na południe do Żwańca o wiorst 18; na zachód do Orynina o wiorst 12; na wschód i południowo-wschód do Kitajgroda i Demszyna o wiorst 25; co wynosi w obwodzie przeszło 12 mil geograficznych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(1) Wyjątek z Gazety Warszawskiej, na rok 1842.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Życie Rozalii, Siostry Miłosierdzia, przez vice-hrabiego de Melun. — Czardziejka, opera Halewego w pięciu aktach. — Don Desiderio, opera buffa księcia Poniatowskiego. — Marta, opera semi-seria we czterech aktach Fryderyka Flottow. — Wiadomości literackie.

Vice-hrabia de Melun wydał w tych czasach zajmującą książkę, w której z godną przedmiotu prostotą opisał życie siostry Rozalii, przełożonej paryzkiego zakonu Siostr Miłosierdzia na przedmieściu Saint-Marceau. Zakonnica ta pełna miłości i energii, przez pół wieku bez odpoczynku pomagając cierpiącej ludności Paryża, stała się bożyszczem ludu i opatrnością nieszczęśliwych; śmierć jej nietylko przejęła bolem nędzarzy, których była opiekunką, ale zasmuciła głęboko wszystkie piękne dusze, pomocy jej nie potrzebujące. Na pogrzebie Rozalii, na którym prócz tłumu biednych szły za ubogą trumną powozy najmożniejszych magnatów, autor należący do ich rzędu, powziął myśl napisania i wydania życia zmarłej. Powzięty zamiar dziś urzeczywistnił. Podczas kiedy budujące jego dzieło jest tutaj w ręku każdego, pospieszamy powiedzieć o niem słów kilka czytelnikom naszym i podać z niego kilka ustępów tym, których nie świetne, ale nieśmiertelne czyny miłości bliźniego obchodzą.

Joanna Rendu, później siostra Rozalia, urodziła się we Francji 1787 roku, w wiosce leżącej u podnóża gór Jura. Wychowana religijnie przez ubogich rodziców,

jeszcze dzieckiem będąc poczuła chęć zostania Siostrą Miłosierdzia. Uzyskawszy przyzwolenie rodziców, w celu wykonania swego zamiaru przybyła do Paryża roku 1802, i udała się do zakonu św. Wincentego à Paulo.

Założyciel od którego zakon ten nazwanie swoje bierze, jak geniusz miłosierdzia pojawił się we Francyi temu dwa wieki. Wszędzie gdzie nędza lub upadek, ból lub rozpacz dręczyły nieszczęśliwych, on, jasnowidzeniem serca wiedziony, wnet przybywał z pomocą i pociechą. W ciągłej bezpośredniej styczności z niedolą, Wincenty zbadał wszystkie potrzeby cierpiących, a chcąc im dać w jednej osobie kochającą matkę, troskliwą opiekunkę, doświadczonego lekarza i wierną służbę, stworzył dla nieszczęśliwych Siostrę Miłosierdzia.

Do zakonu tego nie szukał istot nadziemskimi lub wyjątkowemi obdarzonych przymiotami, ale powołał dusze proste, czujące potrzebę poświęcenia; zakonnic nie obarczył żadną zbyteczną dewocją i związał je tylko jednorocznemi ślubami.

Inne, równocześnie w XVII wieku fundowane zakony, mniemały, iż nie zdołają utrzymać pierwotnej gorliwości bez pomocy krat i wieczystej przysięgi; Wincenty wierząc silniej niż one w dzieło swoje, dał swoim córkom, jak sam powiada: za klasztor, dom chorego albo miejskie ulice; za celę, ubogi pokoik; za kratę bogobożność, a za welon, skromność.— Czas pokazał, że ta reguła trwalsza niż wszystkie inne, bo po dwóch wiekach istnienia, kiedy duch Boży uleciał ze wszystkich zakonów żyjących w beczynnej kontemplacyi nieba, zakon Siostr Miłosierdzia żywszy i liczniejszy niż kiedy, działanie swoje po całym niemal globie rozpościera, szerząc spólczenie dla nieszczęścia i miłość bliźniego.

Podczas wielkiej rewolucyi francuzkiej, kiedy wszystkie rozpedzono klasztory, jedne Siostry Miłosierdzia pełniły nieprzerwanie swe obowiązki. Nie przywiązując się do formy w jakiej bliźniemu pomoc podadzą, zdjęły nienawistne ludowi szaty zakonne, i wypędzone jako zakonnice, weszły do lazaretów jako stróżki i posługaczki, a po minionej burzy, znowu swe dawne przywdziały stroje i w jedną zeszyły się gromadkę.

W tejtto po-rewolucyjnej dobie, kiedy Siostry na nowo pod jeden dach się zgromadziły, prosto ze wsi przybyła piękna, szesnasto-letnia Joanna, do drzwi ich zapukała. Równie nadobna duchem jak ciałem, wkrótce stała się ulubienicą zakonu, a przybrawszy imię Rozalii, wzięła się gorliwie do pracy, na której po tak wielkim społecznym kataklizmie nie zbywało. Przyszła przełożona zakonu, w którym wtedy najniższe pełniła usługi, wydała energiczną wojnę nędzy i przywarom swego okręgu, i prowadziła ją przez lat pięćdziesiąt bez wytchnienia, nie zrażona, niezwyciążona niczém, po jednym dokonaniem dzieła rozpoczynając drugie, nie zszedłszy ze stanowiska i nie złożywszy broni aż do dnia, w którym Bóg zadowolony jej długą walką i licznemi zwycięstwami, na wieczny odpoczynek do siebie ją powołał.

Jak jedna słaba kobieta mogła podołać tej walce, jak z nieznaną, sławną się stała w Paryżu, jakim sposobem do skromnych działań swoich przyciągnęła pomoc całej zamożnej społeczności tutejszej?—to Bogu tylko wiadomo. Z przytoczonych kilku przykładów dowiéd się jedynie czytelnik, że aby tego dokazać, nie uciekała się nigdy do żadnego z nadzwyczajnych środków, które wstrząsają światem. Ufna w opiekę Opatrzności, nie szukała nikogo, tylko przyjmowała uprzejmie co jej się nawinęło, i wyciągała wszelki możebny pożytek z tego, co Stwórca w ręce jej oddał.

Napoleon I reorganizując zakłady pomocy publicznej dla biednych, ustanowił w Paryżu cztery wielkie domy miłosierdzia, a przy każdym z nich aptekę, skład odzienia i szkołę bezpłatną dla ubogich dzieci. Jeden z takich domów zostający pod zarządem Rozalii, stał się wkrótce wzorem i przykładem dla drugich. Zdumiona jej poświęceniem, zaradnością, oraz talentem organizacyjnym, rada naczelną zamianowała ją przełożoną.

Rozalia miała wtedy lat 28. Niezmordowana pomocnica i doradczyni cierpiących, wnet zjednała sobie miłość i ufność ubogich. Życie swoje związaawszy ściśle z ich życiem, albo u nich przesiadywała, albo przyjmowała ich u siebie. W miarę jak odkrywała złe nałogi, wady lub zepsucie, zamiast się zrażać, dziwić lub obu-

rzać, podwajała cierpliwość, i powoli, dobrocią i wyrozumieniem podnosiła te skażone dusze, rozbudzając w nich uczucie obowiązku i własnej godności.

Nigdzie jednak dobroczynny wpływ Rozalii tak mocno czuć się nie dawał jak przy łożu chorego. Choroba dla wszystkich straszna, jest największą klęską dla człowieka, którego od nędzy tylko praca przedziela. Odejmując mu ręce będące jedynym jego majątkiem, plaga ta rujnuje go odrazu, pozbawia chleba całą rodzinę: uderzając jednego, zabija często kilkunastu. Wiedząc o tem, Rozalia przedewszystkiem zajmowała się choremi. Uwiadomiona że ktoś ubogi zasłabł, biegła doń natychmiast, nie zważając czy noc, czy słońce; gorącą prośbą sprowadzała na poddasza najubożniejszych na cierpienia bliźniego lekarzy, trawiła nocy przy chorym, nie wypuszczając go z swej pieczy, dopóki mu nie powróciła zdrowia, albo nie zastąpiła rodzinie zmarłego.

Po chorych, najwięcej zajmowało Rozalię wychowanie dzieci. Wiedziała ona, że dusza dziecięcia jest białą kartą, gotową do przyjęcia prawdy i cnoty; wiedziała, że Stwórca przez dzieci uczynił poprawę ludzkości możebną: przez nie bowiem daje światu niewinność, jak przez nieszczęście skrucę. Chcąc powrócić narodowi straconą wiarę przodków, zapomniane tradycje i zatartą miłość ojczyzny; chcąc zreformować jego obyczaje, nie trzeba się ani zniechęcać, ani przestraszać jego niepoprawnością, bo są tam dzieci gotowe przyjąć każdą radę, nie mające nienawiści do nikogo, wierzące każdemu słowu i każdej obietnicy, roztwierające serca każdemu, ktokolwiek otworzy im ramiona. Bóg zsyła takie niewiniątka najpodlejszym rodzicom, i powierza je ludziom dobrej woli, żeby nie zwątpili o przyszłości.

Wiek nasz zrozumiał korzyść, jaką może wyciągnąć z dzieci: przeto wychowanie ich między swe najważniejsze prace policzył. Rząd francuzki i duchowieństwo, w każdej gminie i parafii pozakładali szkoły, w których rozsądni nauczyciele i Siostry Miłosierdzia zadarmo kształcą ubogie dzieci, bacząc pilnie, żeby nigdy nie rozłączać rozwoju intelligencji od zasady, której słuchać

powinna, czyli nie dawać uczniowi broni w rękę przed wskazaniem mu celu, w jakim jej używać powinien.

Siostra Rozalia ze stanowiska religijnego zapatrując się na pedagogią, uważała uprawę umysłu tylko jako środek moralnego doskonalenia się. Szkoły pod jej zarząd oddane, były dlań przeto podwójnie ważnym zadaniem: sprawą, w którą wkładała wszystkie skarby miłością i doświadczeniem nabyte. Przyjęty przez nią sposób wychowywania dzieci był prosty i chrześcijański, zastosowany ściśle do kondycyi uczących się dziewczyn. Nauki zbytkowe, jak historia powszechna, muzyka, rysunek, taniec, były z nich wykluczone. „Wszystkie te talenta przyjemne, mawiała Rozalia, mogą być dobre dla chłopca, bo łagodzą obyczaje robotnika, uciszają karczemną wrzawę; ale dla dziewczyn ubogich są szkodliwe, często zgubne: zdzierają z nich skromność, odstręczają od domu, a ciągną na wieczorynki, budzą zaniłowanie zbytku—źródło wszystkiego złego. Cały ten zbytek nauki może je tylko zmiechęcić do igły i stać się powodem niepotrzebnych pragnień. Co jest nieszczęściem naszych wyrobników? Nie innego jeno to, że żaden z nich już dziś w sferze swój pozostać nie chce”.

Jeżeli przełożona wygnała z swych szkółek nauki wyższe razem z falbanami i fiokami, za to porządek był w nich wzorowy i nauki praktyczne kwitły: nigdzie dzieci nie czytały wyraźniej, nigdzie poprawniej nie pisały; dla miłości siostry Rozalii, dziewczynki czyniły wszystko czego chciała:—za nią byłyby poszły w ogień. Jeśli wszedłszy do sali, zastała na klęczkach jaką biedną pokutnicę, szła do niej, uczyła ją lekcyi i przeproszała za nią nauczycielkę. „Mamę twoję uczyłam czytać, mówiła potem do uszka dziewczynce, była bardzo grzeczna i posłuszna, zawsze umiała lekcya. I ty taką będziesz: nieprawda? „Dziewcze przyrzekało z płaczem, i rzadko nie dotrzymywało obietnicy.

Nie poprzestając na czuwaniu nad dziećmi póki są w szkole, Rozalia chciała zabezpieczyć dalszą przyszłość dziewcząt wychowanych pod jej pieczę. Wiedziała ona ze smutnego doświadczenia, że niejedna z jej wychowanek wróciwszy do domu, i począwszy sama zarabiać na

życie, nie mogąc znieść niedostatku ani przyuczyć się do upokorzeń których po jej macierzyńskim traktowaniu doznawała; częstokroć uciekała z rodzicielskiego domu i padała ofiarą starannego wychowania i niewinności, jak te kwiaty, które wypielegnowane w ciepłej zaciszy, później mroźnego wichru wytrzymać nie umieją, i umierają na wolnym powietrzu. Chcąc podeprzeć te biedne kwiatki, Rozalia stworzyła tak zwany *Patronage* dla swych dawnych uczennic. *Patronażem* zwie się opieka Sióstr Miłosierdzia nad dorosłymi dziewczętami. Wyrobnice wychowane w ich szkołach schodzą się do nich co niedziela, i prócz dobrej rady, dostają od nich robotę, którą Siostry od pań opiekunek dla nich dostały. Dostarczanie pracy, utrzymanie młodej robotnicy w sferze w której się urodziła, zachęcanie jej do pogodzenia się ze swym losem, ustrzeżenie od zepsucia stolicy, oto zadanie *Patronażów* założonych przez siostrę Rozalią.

Myśl zrealizowana przez nią w najuboższym okręgu miasta, mogła być urzeczywistnioną wszędzie; dlatego, dzięki jej przykładowi, takie stowarzyszenia opiekuńcze istnieją obecnie w każdej niemal parafii Paryża.

Później Rozalia podała myśl tak zwanych *żłobków*, gdzie hodują niemowlęta, i Domu Przytulku dla starców, podając zarazem plan organizacyi takowych. Dziś obiedwie te instytucye w mnogiej liczbie istnieją pod zarządem Sióstr Miłosierdzia w Paryżu. Siostra Rozalia za życia cieszyła się plonami swjej siejby, widząc, że dawniej ciśnieni nędzą wyrobnicy, teraz na jej przedmieściu od kolebki do grobu znajdują pomoc; najprzód w Żłobkach, potem w Ochronce, później w szkole, w Patronażu, nakoniec w domu przytulku, i tym sposobem na dobroczynności wsparci, łatwiej przebywają ciężkie życie.

Przy tak mnogich i różnorodnych zajęciach, przełożona z przedmieścia Saint-Marceau znajdowała jeszcze czas zajmowania się niedolą przybyszów. Przysposobiwszy ubogim mieszkańcom swego okręgu nieprzerwane pasmo pomocy na całe życie, dobre jej uczynki zaczęły się wylewać poza obręb prawem zakreślony. „Siostra Miłosierdzia, mawiała Rozalia, jest skałą, na której ka-

zdy zmęczony ma prawo złożyć swój ciężar". Coraz obszerniejsze stosunki i większa sława sprowadzały do jej domu, jak do biegłego lekarza, mnóstwo ludzi cierpiących duchem albo ciałem; wielu przybywało radzić się jej jak mają postąpić w ważnych okolicznościach lub zamiarach. Rozalia zawsze ostrożna, mianowicie oględna była kiedy chodziło o powołanie religijne: w tym punkcie obawiała się szczególnie lekkości i pośpiechu; nie dowierzała mianowicie exaltacyi odpychającej wszelkie rady, i zbytnej gorliwości usprawiedliwiającej wszystkie środki świętością celu.

Raz pewna bogata dziewczynka przybyła do niej po radę. Młoda ta dziewczyna postanowiła wstąpić do klasztoru; ponieważ zaś rodzice i cała rodzina sprzeciwiali się temu, umyśliła uciec z domu rodzicielskiego i schronić się w klasztorze.

„Moja droga, rzekła wysłuchawszy jej Rozalia, jeśli mnie się radzisz, to ci powiem, że wszelkimi siłami będę cię odwozić od spełnienia tego zamiaru. Czegoż chcesz? Poświęcić się Bogu? Jeżeli tak, to nie ty powinnaś sobie wybierać rodzaj poświęcenia. Poświęć się, ulegając woli, którą szanować jest najpierwszym twym obowiązkiem”.

Rozalia czyniła miłosierdzie przystępne każdemu: od każdego domagała się tego, co robił najlepiej i co go najmniej kosztowało. Każdy ma coś, czem biednym służyć może: jeden piórem, drugi nauką, trzeci słowem, czwarty wpływem, i t. d. Miała więc licznych pomocników, a wszystkim ludziom których zwerbowała dla dobrej sprawy, zalecała przedewszystkiemi trzy rzeczy: najprzód cierpliwość, bo nieszczęśliwy znajduje ulgę w samej dobrej woli z jaką słuchają skarg jego; powtóre, pobłażanie litujące się nad upadłym, a nie potępiające człowieka skażonego przez złe wychowanie; po trzecie, grzeczność tak miłą temu, który zazwyczaj tylko pogardę napotyka.

Dawszy instrukcyę swym nowicyuszom, Rozalia zalecała im, żeby kochali ubogich i dodawała: „To ich wina, mówią ludzie gdyby nie byli próżniakami, niewarty i opoje, mieliby się dobrze, i temi słowy zazwyczaj bogaci

zwalniają siebie od świętej powinności wspierania ubogich. A gdyby ten, co tak mówi, przeszedł sam przez takie próby jak ten biedny, żeby był wychowany tak jak on, może byłby gorszy od niego, bo cnoty tak łatwe dla możnych, biedny musi zdobywać poświęceniem; a żeby źle nie robić, musi on walczyć nie tylko z powabami rozkoszy, ale z tyranią niedostatku”.

Prócz biednych, często odwiedzali przełożoną bogaci, których w ciasne ulice przedmieścia ciągnęła nie tyle chęć wspomżenia ubogiego, ile nadzieja uleczenia ran własnych; jakkolwiek bowiem godną wydaje się zazdrości nie jedna pozycya, nikt nie jest wolnym na tej ziemi od cierpienia: żaden majątek nie zasłoni od moralnego ubóstwa, żaden szczęśliwy nie jest tak szczęśliwym, żeby nigdy nie potrzebował pociechy. Zresztą, w braku rzeczywistych nieszczęść, są urojone: przesyt i zmęczenie rodzące się ze zbytku i próżniactwa, nuda, dająca gorzko uczuć tym, co niczego nie pragną i nic nie kochają, że niepotrzebnie żyją.

Na tego rodzaju dolegliwości Rozalia miała tylko jedno lekarstwo: obudzenie w tych odrętwiałych sercach współczucia dla nieszczęśliwszych od nich. A żeby tego dokazać, wybierała najmocniej dotkniętą biedną rodzinę i prowadziła do niej milionowego malkontenta. Na widok nędzy o której nie miał wyobrażenia, a często i rezygnacyi, do której nie był zdolny, możny nie śmiał już litować się nad sobą, znudzony bogacz nie pytał już co ma robić ze swym czasem i pieniędzmi. Powoli, bezwiednie istnienie tych biedaków mieszało się z jego życiem; chęć ratowania ich zmuszała go do biegania za ich interesami, do myślenia i rachowania za nich, i dzień jakoś się zapełnił, a życie nabrało zajęcia. W końcu pokazało się, że ów bogacz daleko więcej był winien biednym niż oni jemu.

Uboga tedy izba Rozalii, gdzie tak cudowne mieściły się leki, przepelniona była dzień cały ludźmi wszelkiego stanu: wyrobnicy i dziedzice, galganiarze i książęta, wielmożni i niemożni, spotykali się w niej i ocierali o siebie nieustannie. Rozmawiano tam o wszystkiem wyjąwszy o różniącej ludzi polityce; tę, każdy co tam

wchodził zostawiał u progu, żeby mu nie przeszkadzała w wspomaganii bliźniego, nie zaślepiła w wymiarze sprawiedliwości. Wypadki polityczne były oceniane u Rozalii wedle tego, o ile były przychylnie lub przeciwnie zmniejszaniu nędzy. W interesie biednych zносиła się ona ze wszystkimi rządami kolejno po sobie następującymi we Francji. Za Filipa bywała u królowej, za rzeczypospolitej przyjmowała Cavaignaca. W czasie walki toczącej się w Paryżu za jego władzy, Cavaignac przyszedł kilka razy dziękować Rozalii za dobry wpływ, jaki wywierała na robotników. Przełożona w zamian otrzymała od niego nie jedno ułaskawienie, wydarła z pod surowości prawa nie jednego ojca rodziny, wmieszanego w wojny domowe.

W 1854 roku odwiedził ją Napoleon III, a później przysłał jej krzyż legii honorowej. Zakonnica zrazu odrzuciła energicznemi słowy ten znak dostojenstwa, który dziecinną wydawał jej się błyskotką, ale w końcu, skoro jej powiedziano że odmową obrazi cesarza, przyjęła ofiarowaną sobie dekoracyą; nigdy jej jednak nie nosiła, a ile razy kto wspomniał o tym krzyżu, mówiła że to jest jeden z najcięższych krzyżów w jej życiu.

Podczas jednej ruchawki za panowania Ludwika Filipa, kilku powstańców skazanych na śmierć i ściganych przez policyą, zgłosiło się do Rozalii prosząc jej o schronienie. Przełożona skryła ich u siebie, przebrała i ułatwiła im ucieczkę. Wkrótce po tém zdenuncyowano ją że miała stosunki z buntownikami; ktoś z policyi, któremu wyświadczyła wiele dobrego, ostrzegł ją, że ma być wydany rozkaz uwięzienia jej. Siostra nietylko się tém nie przestraszyła, ale spiesznie zajęła się wyprawieniem kilku najmocniej skompromitowanych. Uwiadomiony o tém pan Gisquet, ówczesny prefekt policyi, podpisuje mandat aresztowania i daje go podwładnemu z rozkazem natychmiastowego wykonania.

— Nie radzę panu więzić siostry Rozalii—rzekł do prefekta policyant—aresztowanie jej wywoła ruchawkę na przedmieściu Saint-Marceau, i stanie się hasłem powstania, które nie łatwo będzie poskromić: w jej obronie wszystek lud rzuci się do broni.

— Ta siostra Rozalia jest więc bardzo potężna:—zawołał prefekt—kiedy tak, to pójdę sam do niej.

Jakoż udał się niezwłocznie na przedmieście, i prze-cisnąwszy się przez tłum, który zawsze ulicę przed domem Rozalii zalegał, kazał uwiadomić przełożoną, że chce z nią sam na sam pomówić. Przełożona prosiła żeby zaczekał aż skończy z ubogimi.

W dobrą godzinę, załatwiwszy interesa, siostra Rozalia przychodzi i pyta prefekta w czem może mu być użyteczna.

— Nie przybyłem tu—odparł Gisquet—żądać od pani usługi, ale raczej oddać ją pani. Jestem prefekt policyi.

Siostra się ukloniła.

— Czy wiesz pani—ciągnął dalej Gisquet—że jesteś mocno skompromitowaną: ułatwiłaś pani ucieczkę oficerowi z królewskiej gwardyi, który za bunt przeciw władzy zasłużył na najsurowsze kary; wydałem już rozkaz aresztowania pani, alem go cofnął na prośbę moich podwładnych, i przychodzę sam spytać panią, jak śmiesz stawać w tak otwartym buncie przeciw prawu?

— Panie prefekcie—odrzekła Rozalia—jestem Siostrą Miłosierdzia, i nie mam chorągwi: niosę pomoc każdemu nieszczęśliwemu który jęj odemnie zażąda; dopomagam prześladowanym, nie sądząc ich. Przyrzekam panu, że jeżeli kiedykolwiek będziesz ścigany i do mnie się udasz, uczynię wszystko co będę mogła, żeby ci dopomódz.

W czasach rewolucyjnych takie słowo nie było czężą obietką. Prefekt uśmiechnął się, a może w duszy zadrżał. Długo rozmawiał z Rozalią, która mu dowodziła, że obowiązki miłosierdzia są zupełnie inne jak obowiązki policyi, że ono po bitwie staje zawsze na stronie zwyciężonych, kiedy policya przeciwnie i t. d. Prefekt ujęty szczerością Rozalii rzekł odchodząc:

— Zamykam oczy na to co się stało, ale pani nie zaczynaj na nowo, bo byłoby mi bolesno karać cię.

— Bolesno i mnie że tego panu przyrzec nie mogę—odpowiedziała odprowadzając go Rozalia—ale Siostra Miłosierdzia co bądź ją za to czeka, nie ma prawa odmawiać pomocy nieszczęśliwemu.

W obec tylu dowodów ogromnego wpływu jaki wywierała na ludzi, nasuwa się pytanie, jakim sposobem można go pozyskać? Życie Rozalii dowodzi, że tylko miłością. Niejedna siostra Miłosierdzia poświęciła się usługom bliźnich, a jednak nie miała takiego znaczenia i posłuchu, bo nie tak mocno kochała. Widać więc, że sama abstrakcyjna świętobliwość, do pozyskania miłości ludzkiej nie wystarcza. Poświęcenie rzucane braciom z wysoka, może zdobywa niebo, ale nie zdobywa ziemi. Kiedy Chrystus chciał mieć w ludziach przyjaciół i uczni, stał się człowiekiem, wziął w siebie nasze potrzeby, lzy i nędzę. Idąc za jego przykładem siostra Rozalia była zarazem boska i ludzka, czyniła dobrze nie w nadziei pozyskania *sobie* nieba, ale dlatego, że kochała biednych jak matka kocha swoje dzieci. Obok nadzwyczajnego poświęcenia i apostołskiej abnegacyi, miała ona delikatność, słabość i niewieście niemoce. Choć przez pięćdziesiąt lat patrzyła na najstraszniejsze choroby i rany, do śmierci nie mogła się oswoić z ich widokiem: słysząc jęki, drżała; widząc krew, bladła; w cholerycznym ambulansie lub na barykadzie jawiła się nie jak anioł wyzwolony z wszelkich ziemskich niemocy, wyższy nad wszelką słabość ludzką, ale jako poświęcająca się słaba kobieta, duchem sięgająca nieba, a ciałem czująca wszystkie bole ludzkości. Rzadka ta niewiasta przez pięćdziesiąt lat geniusz swój i cnotę wkładała w co?—w nic więcej tylko w pełnienie lepiej niż ktokolwiek zwykłych obowiązków Siostry Miłosierdzia, i to właśnie skierowanie niezwykłych zdolności do zwykłej pracy, stanowi wielkość jej życia.

Świetne czyny, wielkie poświęcenia, są wysiłkiem jednej chwili, niosą z sobą pobudkę i nagrodę: duch nasz w samej ich wielkości znajduje dźwignię, która go podnosi i utrzymuje wysoko; siła wielkiego czynu pcha prostego żołnierza do szturm, z tchórza czyni często bohatera, rany, śmierć nawet, jest powabna pod postacią chwały i męczeństwa. Ale poświęcenie nieznanne, każdodziennie, które bez laurów ani aureoli wydaje się pokropi przywarom i nędzy ludzkiej, wymaga większej si-

ły i zbioru cnot wyższych, kosztuje więcej człowieka, i zwykle żadnej na tej ziemi nie przynosi nagrody.

Rzadki wyjątek w regule ogólnej stanowi tu siostra Rozalia; ludzie, którzy zazwyczaj temu tylko klaskają co błyszczy lub huczy, podziwiali w niej ciszę i skromność, uczcili pokorę prostych obowiązków, przełożyli świętość nad świetność dzieła, słowem osadzili jak sądzi Bóg.

Przedstawiona temi dniami w Wielkiej Operze *Czarodziejka* Halewego, zyskała zupełną aprobacją publiczności tutejszej. Muzyka, jak wszystkie utwory autora *Zydówki*, hałaśliwa, efektowna, huczna, odurzająca przypadła do smaku tegoczesnych dylettantów; wspaniałe dekoracye, przepyszne gotyckie kostiumy i nowe tańce, podobały się wszystkim.

Text opery wzięty jest ze średniowiecznej legiendy francuzkiej o hrabinie Lusignan: *Czarodziejka* opery, jest Meluzyną z ballady. Ballada opiewa, że nadobna księżniczka Meluzyna zaklęta przez własną matkę czarownicę, co tydzień podczas szatańskiego sabatu zmieniała się po pas w węża. Było zaś powiedziane w czarach, że jeżeli ją jaki śmiertelnik wypatrzy w tej formie, księżniczka za karę swej nieostrożności, na zawsze w niej pozostanie i wiecznie czolgać się będzie.

Niewtajemniczony w sprawy domowe Lusignanów, młody rycerz krzyżowy hrabia Rajmund oświadczył się o rękę Meluzyny. „Szczęśliwy Rajmund—powiada Heine—którego kochanka była tylko napół wężem!” Meluzyna tedy, nie chcąc unieszczęśliwić młodzieńca, zezwoliła na połączenie się z nim, ale pod warunkiem, żeby ję nigdy nie widywał w sobotę. Hrabia przyrzekł, ale po ślubie ciekawy będąc co może robić żona przez ten cały dzień zamknięta w swojej komnacie, zrobił we drzwiach szparę pałaszem, i ujrzawszy małżonkę w waniu, dowiedział się prawdy. Zdradzona kobieta natychmiast przemienioną została w gadzinę, i aż do dnia ostatecznego sądu czolgać się będzie po ruinach zamku Lusignanów.

Na tém się kończy legienda. Pan Saint-Georges dorobił jój dalszy ciąg w librecie: przemieniona w węża Meluzyna, mści się na swym zbyt ciekawym małżonku. Na téj zemście osnuta jest treść opery.

Podnosząca się zasłona odkrywa wnętrze zamku hrabiów Poitou; dekoracya przedstawia obszerną salę z ogromnym kominem, w którym mogą płonąć dęby i piec się całe woły. Hrabianka Bianka w gronie dziewic siedzi i zwija motek białego jedwabiu, rozpostarty na rękach klęczącego u nóg jój pazia. Rozumie się, że ten paż dobrze będąc wychowany, kocha się w swojej pani, i ciągle jój o miłości swojej mówi, nie tak jak ów prostaczek, który raz przez swoją *Szatelenę* zapytany, czy go djabeł nie kusi jak jój wkłada trzewiki, odpowiedział skromnie że nie, za co dostał policzek i jako głupiec został natychmiast odprawiony. Podczas więc kiedy Bianka słucha sentymentalnych piosneczek zakochanego pazia, przybywa z heroldami, giermkami, sokołami, waletami i t. d. ojciec jój, hrabia Poitou. W piękny ten obraz średniowieczny wlewa ducha modlitwa wieczorna, odśpiewana chórem przy odgłosie dzwonka zwołującego do zamkowej kaplicy na *Anioł Pański*. Halevy celuje w muzyce kościelnej: ta ostatnia niemniej mu się udała jak poprzednie.

Pod koniec modłów jawi się jakiś pielgrzym podejrzanéj miny, i oznajmia mieszkańcom zamku przybycie Rajmunda, narzeczonego Bianki, który powracając z wojny krzyżowéj, téj jeszcze nocy ma obozować w przyległym lesie w pobliżu ruin Lusignan. Usłyszawszy to, przestraszona Bianka śpiewa balladę o Meluzynie, złym duchu tego zaklętego boru. Zbytńia pretensjonalność odejmuje, zdaniem naszym, właściwą cechę téj zresztą ładnej pieśni: ballada jest tém w muzyce, czém malowane okno gotyckie w malarstwie: musi mieć formę prostą, ton dziwny, jaskrawy a czysty. Ballada Halewego przepelniona ozdobami włoskiego smaku, jest może piękna, ale nie ma w sobie nic charakterystycznego. Podczas kiedy Bianka śpiewa, pustelnik zapada w ziemię i znika, zdradzając tém nieprawowierném wyjściem swoje piekielne pochodzenie.

Drugi obraz przenosi słuchaczy w państwa Meluzyny. Dekoracya przedstawia czarny las, obrastający brzegi srebrzącego światłem księżycowym jeziora. Chmura rusalek unosi się nad wodami, nucąc melodyjne *nocturno*, a switezianki wyszłe z jeziora, tańczą na murawie. Meluzyna królowa, piękna jak noc letnia w swój gwieździstej szacie, czuwa miłośnie nad uspiętym Rajmundem. Jest wiele ładnych ustępów w muzyce towarzyszącej temu obrazowi, jakkolwiek brak jej czarownego brzmienia, które przenika orkiestrę Webera, kiedy wzywa złe duchy Freyschütza lub sylfy Oberona. Od tych subtelności dalekim jest Halevy: muzyka jego zawsze głośna, nie nadaje się do przedmiotów mistycznych, nie umie mowy zaklętego lasu, którego szepty powinny być nadpowietrzne, a brzmienie ich lotne jak zapach, jeżeli ma wyrażać obecność duchów.

W drugim akcie schodzimy pod ziemię do pałacu Meluzyny. Pracownia jej czarowna mieści się w maurytańskiej sali: we środku na trójnogu goreje ogień piekielny, trupie czaszki, klepsydra, księgi, kabalistyczne znaki, słowem, cały przybór czarnoksiężki leży rozrzucony tu i owdzie. W sali tej Meluzyna rozmawia z pielgrzymem z pierwszego aktu, który tu występuje w swym tradycyjnym stroju, to jest: w hiszpańskim płaszczyku, trykotach i śpiczastym kapeluszu z koguciem piórem. Jestto Mefistofeles, na ziemi znany pod nazwiskiem Stella. Meluzyna sprzedała mu swoją duszę, ale teraz radaby ją napowrót odebrać i dać Rajmundowi; na nieszczęście, djabeł się w niej zakochał i o zwrocie duszy słyszeć nie chce. Z tej sprzeczki wypływa dość ładny duet, pełen szatańskiej werwy.

Po duecie, dekoracya się zmienia i przedstawia imponującej powagi salę godową w pałacu hrabiów Poitou; sklepienie jej spoczywa na potężnej kolumnadzie, jakby na lesie stuletnich dębów, ściany osłaniają obrazy bitew i rycerzy: pomiędzy nimi błyszczą herby, świecą ogromne gotyckie kandelabry i sterczą rogi jelenie. Scena zostaje kilka minut próżna. Przez otwarte okna sali dolatuje zdaleka odgłos rogu, wygrywającego jakąś smutną stłumioną melodyą, jakby wydzierającą się z głębi lasu...

Pieśń ta budząca echa w tej pustej sali i napelniająca ją wizjami średniowiecznego polowania, do najpiękniejszych się liczy.

W końcu drugiego aktu, kiedy Rajmund przybywa z wojny do pałacu swej narzeczonej Bianki, jest ów sławny balet szachowy, o którym naprzód mówiono tak wiele. Skoro goście zaproszeni na wesele zbierają się w wielkiej sali, wychodzi z pod podłogi ogromna czarna skrzynia, staje, otwiera się, i ze swych ścian rozłożonych tworzy szachownicę. Żywe szachy stoją na niej poustawiane w szyku bojowym: jedna strona biała, druga czerwona: chrześciance biją się z Saracenami pod przywództwem dwóch hrabiów. Pionów wyobrażają żołnierze; wieże, kobiety w krynolinach i koronie Cybeli; laufry mają strój błazeński, skoczkami są amazonki na kucykach, król i królowa występują w pompatycznym stroju. Wszystkie figury krokiem menuetowym stępują po wskazanych polach; ile razy wzięta z nich która, przeciwnik uderza ją szpadą po głowie, wtedy pole się pod nią otwiera, a ona wpada w ziemię, na której zdobywca dumnie stawia nogę.

Balet ten, a raczej menuet, dziwne sprawia wrażenie, jestto istny obraz życia: komedia ludzka nie inaczej się odgrywa. Króle i wassale, mędracy i błazny, piesi i konni, dopóty klócą się, biją, podstępny lub otwartym zdobywają bojem, aż pan gry, ten co im role naznaczył, napowrót wszystkich odbierze i wrzuci monarchów i skoczków w jedno wielkie czarne pudło...

Przybycie przebranej za wróżkę Meluzyny zakłóca wesołe gody. Chcąc się zemścić na rywalce, sybilla oznajmia Rajmundowi, iż narzeczonej jego Bianki nie jest mu wierną i że dowód jej zdrady da mu tej nocy w pałacowym ogrodzie.

Trzeci akt rozpoczyna się w nocy. Ogrody oświetlone blaskiem księżyca, tchną świeżością i wonią; z poza osypanych białem kwieciami akacyi, ciemnych dębów i lip jasnych, wyziera posępna wieżyca gotyckiego gmachu; kolorowe w żab zacięte okno od kaplicy, błyszczy nad balkonem, otaczającym zamek dokoła; pod balkonem paż nuci przy gitarze miłosną piosneczkę. Melu-

zyna z Rajmundem stoi ukryta w klombie. Orkiestra naśladuje śpiew słowika chcącego zagłuszyć nieśmiałe akorda gitary. Krótka ta chwila cichej harmonii, w której sama tylko pieśń bez słów drży w spokojnym powietrzu, jest nader urocza. Po niej następuje uknuta przez szatankę zdrada. Bianka w białej powłoczystej szacie wchodzi z lampą w rękę do kaplicy, równocześnie mara w tymże stroju jawi się na balkonie i rzuca paziowi różę wraz z pocałunkiem.

Rajmund omamiony szatańskim złudzeniem, uwierzył w niewierność Bianki, i w gwałtownym duecie wyrzuca jej wiarołomstwo. Miłośna zwada przywołuje do ogrodu hrabiego z orszakiem; ojciec ujmując się za spotwarzoną córką, wyzywa przyszłego zięcia na szpady i zaczyna się bitka... Meluzyna chcąc przeciwnikom walkę straszniejszą uczynić, gasi księżyc i gwiazdy w burzliwej chmurze, która wnet nadciągnąwszy, wśród czarnej nocy ciska błyskawice i pioruny... Tu Halevy będąc zupełnie w swoim żywiole, kilka pięknych stworzył ustępów, bardzo efektownie burzę ziemską z burzą niebieską powikłał. Zwada głosów ludzkich i szczęk broni odbija się na tle orkiestry naśladującej zamęt natury: wiolonczelle i trąby wybornie naśladują świst wichru i trzask bijących gromów. Finał trzeciego aktu *Czarodziejki* wydaje nam się potężniejszy od burzliwej sceny w *Zydówce*.

W czwartym akcie Rajmund, podbity na nowo kochanek, płynie łódką do palacu Meluzyny, wznoszącego się pośród jeziora. Tam czarodziejka wywiera nań całą potęgę swych czarów: batalion rusalek zawezwany przez panią do pomocy, oplata młodzieńca girlandą rozkosznych gestów i powabnych uśmiechów; śpiew Meluzyny, jej wdzięki i wino w złotej podane czaszy, pogrążają go w nieznane na ziemi zachwyty.

Z tej rozkosznej topieli wyciąga szczęśliwego kochanka niespodziane przybycie Mefistofela. Szatan zakochany w ex-żmii, odkrywa Rajmundowi kto ona, powiada mu, że piękność jej jest tylko złudzeniem nocnym, które pierwszy brzask jutrzeńki rozprasza. Kiedy to mówi, promień wschodzącego słońca pada na twarz Meluzyny siedzącej przy bankietowym stole; pod jego bla-

skiem gładkie oblicze czarodziejki zmienia się w trupią maskę. Metamorfozy tej, rzeczywiście bardzo efektywnej, dokonywa promień gazu przepuszczony przez szkła kolorowe. Spojrzawszy na kochankę wyglądającą jak topielica, która przez dwa tygodnie w wodzie mokła, Rajmund zrywa się od stołu przerażony. Akt zakończy huuczny tercet, w którym rozpacz Meluzyny, gniew szatana i oburzenie Rajmunda wybuchają naprzemiany.

Piąty akt jest najpiękniejszy. Opuszczona przez narzeczonego Bianka, idzie do klasztoru. Dekoracya przedstawia dziki krajobraz: ruiny, ciemne jodły, skały nagie, ponure urwiska, słowem wszystko co zasmuca w naturze mieści się w tym widoku. Wśród takiego pejzażu, Bianka otoczona gronem niewiast, stąpa wolno ku widnemu zdala klasztorowi. Żalosna pieśń, którą śpiewa przyszła zakonnica, rozrzewnia i koi: jestto jakby różaniec z harmonijnych nut uwiązany...

Meluzyna rozbrojona boleścią cierpiącej przez nią Bianki, zastępuje jej drogę i prosi o przebaczenie wyrządzonej krzywdy. Podczas kiedy Meluzyna jak pokutująca na pustyni Magdalena, płacze żalując za grzechy, przybywa Stello z szatanami i ciągnie ją do piekła: czarne duchy opadają pokutnicę śpiewając apel, którego każda nuta świszczy jak głaz lecący na kamienowanego. Nieszczęsna grzesznica ledwie nieśmiałą nutą uderzy w strunę nadziei, litości, lub miłosierdzia, wnet ów chór piekielny strąca ją w przepaść rozpaczcy. Polowanie to na duszę, za którą całe piekło pędzi wyjąc i ujadając, bardzo jest dramatyczne. Kiedy wrzawa dochodzi do najwyższego stopnia, pieśń pobożna wyłonia się z chaosu, i nad wrzaskiem szatanów unosi się jak dym kadzidła... Bianka i Rajmund trzymając się za ręce, wzywają łaski Bożej dla biednej pokutnicy; modlitwie tej głos niewieści przewodniczy: kiedy głos męzki słabnie, ona jeszcze nalega, niezmiordowana, i lecąc wyżej a wyżej, stuka do bram niebieskich. Hymn ten do Boga śpiewany przez dwojga kochanków, jest koroną dzieła. Nigdzie szerzej jak tutaj nie rozwinął Halevy swego kościelnomuzycznego talentu. Psalm *Zydówki* do mściwego Jehowy, zdumiewa i przeraża; modlitwa Bianki do miło-

siernego Boga, sposobi duszę do miłości i przebaczenia. Koniec sztuki następuje zaraz po odśpiewaniu modlitwy. Zwyciężone nią piekło pierzcha w ciemności, a rozdarta w głębi zasłona ukazuje krzyż promienisty, którego światło oświeca dolinę. Z kościoła zbudowanego na górze wychodzi processya zakonnic naprzeciw Meluzyny, która w objęciach przełożonej kona.

W teatrze włoskim przedstawiono dwu-aktową operę buffo księcia Poniatowskiego, pod tytułem: *Don Desiderio*. Młody książę Poniatowski (podobno z tejże rodziny co nasz książę Józef), syn senatora tegoż nazwiska, będącego w łaskach u tutejszego dworu, rodowody swoje z Włoch prowadzi, i jako Włoch, a do tego milionowy, jest protektorem i benefaktorem paryżskich artystów. Mając lat dziewiętnaście skomponował za Alpami *Don Desideria* i kazał go przedstawić w Pizie roku 1840; tam zyskał podobno świetne powodzenie; tutaj grano go teraz po raz pierwszy, a jako utwor księcia dyletanta, znalazł także nie mało wielbicieli. Mario, przyjaciel autora, wziął na siebie pierwszą rolę i podniósł ją jak tylko można najwyżej. Dzięki jego wybornej metodzie, melodyjnemu głosowi i improwizatorskiej zdolności, która by z *włazł-kotka* godną słuchania arya wysnuła, *Don Desiderio* wywoływał grzmoty oklasków tém szczerzych, iż publiczność, po większej części z przyjaciół autora złożona, wdzięczna była artyście, że jej ułatwia ciężki a konieczny obowiązek chwalenia. Nie należąc do ich liczby, przeto niepoczuwając się do tego obowiązku, powiemy krótko: że cała ta opera, zdaniem naszym, należy do rzędu tych utworów, którym tylko wszechmocna ręka wielkich panów drzwi teatrów lub bibliotek otwiera.

— *Marta* Flottowa, przedstawiona także temi dniami w sali Ventadour, słuszniejsze zyskała powodzenie. Opera ta w czterech aktach skomponowana w Wiedniu pod wpływem muzyki Strausów i Lannerów, od początku do końca nosi walcową cechę, co w operze pół-serio nie razi; owszem, nadaje jej pewną skoczność, różną od włoskiej, ale przyjemną i rozweselającą.

Treść *Marty* da się opowiedzieć w kilku słowach. Pewna wielka pani znudzona wygodnym i łatwym życiem, przebiera się za służącą i idzie w służbę, spodziewając się w tej pozycji socyalnej znaleźć jakieś nowe dla siebie przyjemności i pokosztować nieznanych słodyczy. Wkrótce, zmęczona robotą i rozgniewana oświadczeniami pana, który jęj bez ceremonii i trochę niegrzecznie uczucia swoje objawia; przekonawszy się, że lepiej, jak mówi przysłowie, nawet w piekle panować niż w niebie służyć, spiesznie do swego pałacu ucieka. Wróciwszy do salonów, spotyka niespodzianie owego pana do którego się na służbę zgodziła; on ją także poznaje, a powtórzywszy w grzeczniejszej formie oświadczyni, zostaje przyjęty i sztuka kończy się weselem.

Muzyka w ogóle łatwa i miła; ale w całej operze jest tylko jedna prawdziwie piękna melodia: *piosnka o róży*, którą śpiewa Marta. Temat tej pieśni autor wziął z ludowej irlandzkiej ballady. Tehnie ona lubym smutkiem owych pieśni. co to nie wiedzieć z kąd się wzięły, a w których wszystkie dźwięki ojczyste grają, jak w muszli szum fali morskich. Z kąd przyszły te odwieczne monotonne skargi, które od stworzenia świata nucą pasterze, dziady, niańki, prządki, oracze, i wszyscy ludzie do swęj ziemi przykuci, nikt nie wie, a każdy rad słucha ich tajemniczej mowy. Zdaje się, że wszystkie odgłosy krajowe na nie się składały; w naszych naprzykład pieśniach ludowych, słyhać skowronka, słowika, bociana, grzechotkę, fujarkę, turkot kołowrotka, trzask kijanki, szum lasów, szmer źródła, dźwięk dzwonów, czasami nutę uciesznych skrzypków lub wojenną pobudkę, a zawsze, zawsze smutek i tęsknotę.... W irlandzkiej balladzie ocean szumi, i zwaśniiona ze skałami bije się fala; ale głośniejszy nad nią jest wspólny nam jęk niedoli. Może dlatego *piosnka Marty* tak nam się piękną wydała, iż do nas przemówiła głosem naszej gminnej pieśni; może dlatego że nam przypomniła ów prześliczny czterowiersz Mickiewicza:

„O pieśni gmiuna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła.

Z archanielskimi skrzydłami i głosem,
Ty czasem dzierzysz i broń archaniola!"

Franciszek Wiktor Hugo, syn poety, wydał w piętnastu tomach przekład kompletnych dzieł Szekspira. Tłumaczenie to dokonane pod zwierzchnictwem najświetniejszego z poetów francuzkich, znawcy uważają za najlepsze jakie posiada dotąd francuzka literatura.

— Pod tytułem: „*La Renaissance Monumentale en France*” pan Adolf Berty wydał nauczające dzieło dla architektów. Prócz uwag ogólnych o budownictwie, książka ta zawiera próbki ozdób architektonicznych, zdjęte ze znakomitszych budynków wystawionych we Francyi od panowania Karola VII aż do Ludwika XIV. Praca pana Berty z powodu rzadkich dokumentów jakie zawiera, może być rzeczywiście użytecznym przewodnikiem dla ludzi tego fachu; prócz praktycznego tekstu, znajdują w niej staloryty najznakomitszych gmachów, zbudowanych w stylu średniowiecznym lub odrodzenia. Jednocześnie wyszło drugie dzieło w tymże przedmiocie, traktujące o budowlach zwyczajnych. Autorem jego jest architekt paryżki p. le Duc; tytuł książki: *l'Entretiens sur l'architecture*.

— Doktor medycyny Maquel wydał książkę pod napisem: *Etudes hygiéniques sur la santé, la beauté et le bonheur des femmes*. W pierwszej części przechodzi życie kobiety, zastanawiając się nad każdym ważniejszym peryodem jéj egzystencji materyalnej; w części drugiej wskazuje środki uniknienia rozmaitych chorób i zachowania jak najdłużej zdrowia i piękności, które wedle niego, stanowią szczęście kobiety. Książka ta matce rodziny jako podręczny poradnik nieraz przydatną być może.

— Bouchitte wydał studyum o Poussenie i jego dziełach. Opowiedziawszy życie sławnego malarza francuzkiego i wiele zajmujących o nim anegdot, autor stawia filozoficzną teorią malarstwa; w końcu zamieścił krótki życiorys Filipa Champagne i dzieł jego.

— Emil de Girardin wydał wreszcie dawno zapowiedzianą komedią w trzech aktach pod napisem: *Córka milionera*. Jestto bardzo zręczna rehabilitacya kapitalistów dotąd wyśmiewanych na scenie. Kreśląc mniej-więcej własny obraz i własne obroty, pan Girardin mógł rzecz dokładnie i ze świadomością obrobić; tak też uczynił: komedia jego jako dagierotyp dzisiejszego miliona jest ciekawa.

Pod napisem: *Nowoczesny Egipt*, Paweł Merruau zgromadził rozliczne wiadomości o tym kraju. Znajdują się tam opisy organizacyi administracyjnej, służby wojskowej i wychowania publicznego. Kwestya dróg żelaznych, żeglugi na Nilu i przekopania cieśniny Suez, skreślone ze specyjalną świadomością rzeczy. Do dzieła tego, pan Lesseps napisał przedmowę.

— Pan Lecouturier, redaktor naczelny *Naukowego muzeum*, wydał pierwszą część astronomii popularnej pod napisem: *Panorama des Mondes*. Będzie to dzieło obszernie, a o ile wnosić można z zaczęcia, przystępne i nauczające. W pierwszej części autor opowiada tworzenie się naszego globu i rozmaite przemiany, jakie przechodził z laty. Książka pana Lecouturier obrana o ile można z liczb i matematycznych rachunków, czyta się łatwo, nie jak nauka, ale jak powieść lub nadpowietrzna podróż po globach. Powabu dodają jej piękne staloryty Bulard'a. Jako ogólne przedstawienie systemu planetarnego, czyli introdukcyja do nauki astronomii, *Panorama światów* może być bardzo użyteczna dla młodzieży.

— Paweł Rémusat, syn akademika, napisał naukową książkę „*Les Sciences Naturelles*”. Rozdziały jej następujące noszą nagłówki: „O rasach ludzkich,” „Rewolucya chemiczna,” „Hypokrat,” „Alluminium,” „Fizyologia experymentalna,” „Newton, jego życie i odkrycia”. Wszystkie te przedmioty zupełnie od siebie niezależne odnoszą się do chemii, fizyki i fizjologii. Są to trzy ulubione przedmioty Remuzata, który lubi wyszukiwać śladów ducha w materji. Ludzie specyjalni bardzo zachwalają tę książkę.



PAMIĘTNIK

Z CZASÓW RZEZI INDYJSKIEJ, 1857 r.

(Ciąg dalszy).

Są przecucia oznajmiające przybycie, a nawet zbliżenie się osób drogiech, zanim je ujrzymy: wyraźniej niż kiedybądź doznaliśmy tego owej nocy. Za ledwie ujrzeliliśmy białą postać owiniętą w gęste fałdy indyjskiego burnusa, która wyprzedziwszy swych towarzyszków szła śpiesznie ku nam z zakrytą twarzą, wszyscy troje zawołaliśmy razem: „Williams!”.

Był to on w istocie. Cudem uszedłszy śmierci przy wysadzeniu prochowni, odszukał nas i przyszedł na pomoc z kilku wiernymi żołnierzami. Miejsce nie było stosowne do zwierzeń ani uścisków. Williams uściskałszy ręce nasze w milczeniu, śpiesznie prowadził do koni, które czekały nas osiodlane na rogu ulicy; w kilka minut stanęliśmy przed miejską bramą. Jeden z towarzyszków Williama będący w porozumieniu z szyldwachem, wymienił hasło; toż samo hasło powtórzył wjeżdżając na most gdzie stał batalion Sypojów. Więc puszczono nas wolno; ale za ledwie byliśmy w połowie mostu, kilkanaście kul świsnęło nam koło uszu: szczęściem nie trafiła żadna.

— Zbóje! — mruknął Williams — sprzedali mi wniście na most, ale nie przejście. Na gościńcu meruckim nieco spokojniejsi zaczęliśmy rozmawiać. Porucznik w kilku słowach opowiedział nam jak po wysadzeniu

arsenału, mimo kul i ataganów, udało mu się dostać do okopu, gdzie brygadyer Graves czeka na posiłki z którymi na Delhi uderzy; jak ztamtąd co noc wkradał się do miasta z trzema żołnierzami i śledził po ruinach; jak co noc przekupywał szyldwachów, żeby, jeżeli się spotkamy, mógł nas natychmiast z miasta wyprowadzić; jak nakoniec zrozpaczony daremném szukaniem, udał się do naszej wioski, gdzie zastał mamkę z Willem i Mohammeda, który mu naszą kryjówkę wskazał. „Ledwie mi oznajmił gdzie jesteście—dodał Wiliams kończąc opowiadanie—pocziwy Mohammed został schwytany, i jako zdrajca powieszony na deodorze, która ocienia wasz ganek.

Z całej tej rozmowy zrozumiałem tylko, że Willa w domu zastanę, zacięłam konia, wyścignęłam ich wszystkich i pierwsza stanęłam u celu. Ale jakże smutny widok przedstawił się tu oczom moim. Na wzgórkach gdzie stał śliczny nasz domek, w którym przez szesnaście lat szczęście moje mieszkało, leżała kupa gruzów;... wokoło wszystkie inne budynki popalone tworzyły rozległe zgliszcza, po których rozpoznać się nie mogłam. Koń mój co krok potykał się na niedogorzałych belkach; nigdzie ani światełka, ani śladu żywej duszy: przerażająca pustka zaległa okolicę niegdyś tak kwitnącą. Nie śmiejąc dalej kroku postąpić, wstrzymałam konia w oczekiwaniu na przybycie moich towarzyszy. Z rozległych ogrodów, z odwiecznych drzew naszą siedzibę ocieniających, pozostała jedna tylko deodora, na której powieszono ekonoma; ona znaczyła miejsce gdzie stał dom, do niej też skierował konia swego Wiliams.

Dotąd tylko łoskot zrywających się za naszym zbliżeniem ptaków i wycie szakali przerywało okropną ciszę tej pustki; nagle głucho mruczenie i odgłos jakby bijącej w ziemię maczugi, doleciał nas z pod osamotnionego drzewa. Wśród ciemności, w tém miejscu, hałas taki przejął nas dreszczem: Peters i Wiliams odwiedli kurki rewolwerów. Mruk i łomot coraz się zwiększał, aż naraz ustał, i czarna masa, jakby idąca góra, ruszyła ku nam. Poznaliśmy naszego słonia; i on też nas poznał, i kłaniał się trąbą na znak radości. „Co tu robisz biédaku?—zawołał Peters. Zwierz jakby odpowiadając

na pytanie, przybliżył się do drzewa, oparł się o nie bokiem, tupnął w ziemię nogą i podnosząc w górę trąbę, zawył żałośnie... potem końcem trąby pieścił przedmiot jakiś ukryty wśród liści. Przystąpiwszy bliżej obaczyliśmy ciało poczciwego Mohammeda zawieszona na gałęzi.

Ze wszystkich zwierząt słoń jest najrozumniejszy; prócz instynktu ma rozum i serce. Nasz, wychowany w domu, był przyjacielem Mohammeda, za życia słuchał go jak dziecię ojca; po śmierci, wierny nawet za grobem, po swojemu okazywał boleść i żalobę. Ażeby zostać przy zwłokach przyjaciela, musiał nieborak stoczyć nie lada walkę z oprawcami, którzy inaczej nie byłiby tu pewnie zostawili zwierza, wartującego przeszło pięćset rupii.

Odszukaliśmy wniście do naszej piwnicy. Williams rozstawiwszy trzech swoich żołnierzy na straży, świsnął dwa razy. Na ten znak umówiony, błysnęło światło z pod ziemi; za jego promieniem weszliśmy przez gruzy do izdebki, gdzie na łóżku leżał mój Will uspiony. Chciałam porwać na ręce ukochane dziecię, ale mamka nie dała mi go obudzić; padłam więc na kolana i klęcząc całowałam drobne rączkę mego jedynaka i śledziłam czyli mi co z jego wdzięków nie zginęło. Słodka ta kontemplacja niedługo trwała; idąc za przykładem Petersa i Heleny, musiałam ubrać się całkowicie po indyjsku. Will już był tak ubrany, i dzięki tylko temu odzieniu mamka potrafiła wynieść go z Delhi, kiedy przestraszona krzykiem uszła z pałacu spalonego Anglika.

Przebrani i umalowani na podobieństwo cery indyjskiej, mieliśmy się na konie, na które naładowano żywności, i spiesznie udać się o pięć mil za Delhi, nad brzeg Dżumy. Przybywszy na umówione miejsce do magnoliowego lasku, wystrzał Peters'a miał uwiadomić o naszym przybyciu kogoś, co tam czekał ze statkiem, mającym nas zawieźć do cytadelli w Agra. „Niech was Bóg prowadzi—dodał Williams kończąc swoją instrukcją—ja powracam do naszego obozu”. Nastąpiła smutna scena pożegnania. Biędny porucznik nie wahał się między miłością ojczyzny a miłością kochanki. Choć serce za-

trzymało go przy nas, obowiązek nie dozwolił opuścić towarzyszków broni. Helena żadną miarą puścić go nie chciała; nie chciała zrozumieć, że Wiliams pierwój do Anglii niż do niej należał. Oboje z mężem słuchaliśmy w milezeniu téj rodzajającej rozmowy, nie chcąc naszym wmieszanem się wpłynąć na decyzją porucznika. Nareszcie Wiliams wyrwał się z objęć narzeczonej i wybiegł z pokoju, aby sięść na konia. Nie czas już było: ledwie za drzwiami, straż nasza zatrzymała go — Poruczniku, szwadron jeźdźców pędzi do nas od mostu — zawołał żołnierz.

— Czy jeszcze daleko? — spytał Wiliams.

— Już w podwórzu! — krzyknął wpadając drugi żołnierz.

— Sądząc, że jadą do Merutu, nie uwiadomiłem wcześniej — dodał pierwszy.

— Most już zajęty, zasadzki cię czekają, musisz zostać z nami — zawołała Helena.

Wiliams odprawił żołnierzy; pytającym kazał odpowiadać, żeśmy pojechali w stronę Merutu. Za pierwszym plutonem nadciągały drugie; wnet cały gościniec zaległy wojska powstańców. Dzięki ciemności, przebraliśmy się manowcami nad Dżummę i ruszyliśmy brzegiem rzeki do umówionego lasu, gdzie nas czekał przewodnik. Długo jeszcze słyszeliśmy za sobą mruczenie słonia zalegającego się, żeśmy go opuścili. Sypoje uwiadomieni o naszym na wieś wyjeździe przez tych, co do nas na moście strzelali, zastawszy puste kąty, zabrali pewnie pocziwe zwierzę, chcąc czémkolwiek fatygę sobie zapłacić.

Wszystko stało się jak zapowiedział Wiliams: w umówioném miejscu, na strzał nasz, wyszedł z trzciny człowiek, wprowadził nas na lekki bambusowy statek, i przy tętencie biegających luzem naszych koni, puściliśmy się z prądem Dżumny. Z Delhów do Agra liczą wodą dwadzieścia pięć mil. W szczęściu dniach odbyliśmy tę drogę, zatrzymując się to na jednym, to na drugim brzegu dla nabycia żywności. W dzień dokuczał nam tak straszny upał i pragnienie, żeśmy prawie od zmysłów odchodzili.

W miarę przybliżania się do celu, kraj coraz stawał się niespokojniejszy; gromady Sypojów rabowały i paliły nadbrzeżne wioski; ich marudery zaczęły nas po kilka razy, ale przewodnik nie wdając się z nimi w rozmowę, trzymał się środka rzeki i przyspieszał żeglugę.

Szóstego dnia wieczorem wylądowaliśmy na lewym brzegu rzeki. O milę od nas, z ponad magnoliowych lasów, błyszcząły czerwone minarety meczetów, a potężne bastiony cytadelli Agra panowały nad okolicą. Przechodni ludzie, z którymi Wiliams umiejący doskonale po bengalsku, zawiązał rozmowę, powiedzieli nam, że w Agra było powstanie, że Anglicy wyparci zewsząd, schronili się do cytadelli, czekając niecierpliwie posiłków z Allahabad, że bandy Sypojów przebiegają kraj, zabijają Anglików, rabują ich wille.

Ani więc myśleć było można o dostaniu się do Agra. Cóż tedy począć? gdzie się obrócić? Iść w głąb kraju pieszo niepodobna; tu pozostać, byłoby to czekać na śmierć niechybną. Rozważywszy wszystkie szanse, postanowiliśmy puścić się dalej, i to bez zwłoki, środkiem Dżumy, sądząc, że tym sposobem najłatwiej uda nam się wyminąć nieprzyjacielskie czaty, i dopłynąć do Hammerpoor; ztamtąd zaś już łatwo będzie dostać się do Cawnpore, gdzie, wedle ostatnich doniesień, dowodził generał Wheeler.

Gdyśmy chcieli wsiąść na statek, nasz przewodnik odmówił nam swęj pomocy. Naprózno ofiarowywaliśmy mu po tysiąc rupij od osoby— oświadczył ostatecznie, że statek jego nigdy nie płynął dalej i z nim dalej nie popłynie.

— To sprzedaj nam go— rzekł Peters.

Tego też chciał chytry flisak. Zwąchawszy nasze rupie, skorzystał z okazji, żeby nam pozbyć swój statek stary i przegniły. Peters wyliczył mu sześćset rupij za nędzną tratwę, która nie była warta ani stu. Dwaj Indyanie widząc, że mamy statek, a nie mamy sterników, ofiarowali nam natychmiast swoje usługi. Najęliśmy ich do wiosłowania, aby czémprędzej uciec z okolic Agry. Że jednak skwapliwa pomoc tych dwóch ludzi wydała nam się podejrzaną, przeto Wiliams znający

fanatyzm indyjski, kazał im przysiąc zanim wzięli wiosła, że zobowiązaniu swemu zadość uczynią. Rybacy przysięgli na imię Mohaveda, że nas zdrowo i cało na oznaczone miejsce odstawią. Zaufaliśmy im nie wiedząc, że byli wyznania Karejarsów, przeto przysięga na bramińskiego boga nie obowiązywała ich wcale.

Z początku podróż nasza była zupełnie spokojna. Cieszyliśmy się już, że za sześćdziesiąt godzin staniemy w Kawenpoor, gdy nazajutrz wieczorem, kiedyśmy wpłynęli pomiędzy strome skaliste brzegi, a noc zapadła, rybacy krzyknęli nagle, że się dziura otworzyła we dnie statku. Zaledwie wysiedliśmy na brzeg i wyładowali nasze rzeczy, tratwa poszła na dno. Jak na nieszczęście rzeka była tak głęboka w tém miejscu a brzegi tak wysokie, że o wydobyciu i naprawieniu jej ani można było myśleć. Zrazu nie podejrzewając wiosłarzy, policzaliśmy ten wypadek na karb ścigającego nas fatalizmu. Oni zaś przypisywali przedziurawienie statku jakiejś podwodnej skale, czemu uwierzyliśmy także, chociaż płynąc nie doznaliśmy żadnego wstrząśnienia.

Wdrapawszy się na brzeg lewy, znaleźliśmy wśród mimozów i magnolij zieloną łączkę; na niej rozłożyliśmy się. Z płaszczy pozawieszanych na drzewach zrobiliśmy namiot, napaliliśmy ognia dla odpędzenia komarów i drapieżnych zwierząt; poczem posiliwszy się nieco i zmówiwszy wieczorną modlitwę, pokładliśmy się, prócz jednego, który miał stać na warcie. Dwaj rybacy uwinęci w płaszcze leżeli opodal. Williams stróżował pierwszy i miał chodzić do dziesiątej, po nim Peters do drugiej, a od drugiej godziny ja miałam być na straży.

Tymczasem chcąc dać dzieciom dobry przykład, położyłam się i udawałam że śpię, ale zasnąć nie mogłam. Niepokojąca myśl o jutrze nie dawała mi ani chwili wytchnienia. Will już spał na mojem łonie; Helena i Peters dręczeni złości marami, leżeli obok mnie jęcząc przez sen.

Skoro przyszła na mnie kolej, mimo nalegań Peters'a, który chciał mnie wyręczyć, okryłam się płaszczem i zaczęłam chodzić wokoło namiotu. Żaden głos ludzki nie mieszał ciszy nocnej; przecież powietrze było pełne

gwaru: wycie szakali i ryk tygrysa dolatywał zdala, lot nocnych ptaków i szelest pargaminowych skrzydeł olbrzymiego nietoperza zakłócał powietrze, słychać było syk czółgającej się w trawie gadziny, a nad tém wszystkim stale panował szmer bieżącej Dzummy, kłapanie krokodyłów i ciągły plusk ryb w wodzie. Księżyc staniał się już poza góry, gwiazdy świeciły jaskrawiej pośród coraz ciemniejszej nocy. Powieki moje ociężały, wpół przez sen a wpół na jawie, zdawało mi się, że widzę straszne larwy obstepujące nasz namiot ze sztyletami, jak Indyanie w Delhi ów stos nieszczęśliwego Anglika; opierając się snowi, dorzuciłam garść gałęzi na ogień, płomień wnet buchnął jasny i rozproszył wizye. Odetchnęłam swobodniej — duch mój rwał się ku niebu, uklękałam i modliłam się.

Podczas mej modlitwy ogień znów przygasł; wśród ciemności dosłyszałam najprzód po staczających się kamieniach wdrapywanie się od strony rzeki na nasz brzeg skalisty, a następnie kroki idących ku namiotowi dwóch ludzi; wkrótce obaczyłam ich czółgających się ku nam na brzuchach jak węże, oczy ich iskrzyły się w cieniu: chciałam krzyknąć, ale nie mogłam — głos zamarł mi w piersiach. Zbóje byli już tylko o kilka kroków odemnie. Jeszcze chwila, a pierwsza miałam paść ich ofiarą. Zbliżali się śmiało, myśląc że śpię, bom była podobna do posągu z potłuczonymi nogami, chociaż czułam i widziałam wszystko. Przez łaskę Bożą w tej chwili synek mój zbudzony zapewne jakimś snem okropnym, zaczął krzyknąć gwałtownie; krzyk jego wskrzesił mnie, chwyciłam za namiot i zerwałam go, wołając z nadludzkiem wysileniem: — Peters, wstawaj!!

Rączy jak jelenie, dwaj zbóje porwali się z ziemi, jednym susem odskoczyli w krzaki i znów osypując za sobą kamienie, z pluskiem wpadli do rzeki. Mąż mój i Williams nie znalazłszy przy mnie nikogo, myśleli zrazu, że to przywidzenie. Nie mając żadnych dowodów na poparcie słów moich, w wielkim byłam kłopotcie; kiedy naraz jakby w jasnowidzeniu, „gdzie są nasi Indyanie”, zapytałam. „Leżą gdzie leżeli,” odrzekł Peters. „To zbudź ich”.

Mąż chcąc wykonać mój rozkaz przystąpił bliżej, ale pod płaszczami zamiast ludzi znalazł tylko wiązki trzciny. Przy jednej z nich leżał cienki strybek, którego do ohydnych swych zbrodni używają Thugi. Przekonaliśmy się więc, że wiosłarze nasi należeli do strasznego bractwa dusicieli, i na to tylko podjęli się sterowania, żeby zatopiwszy statek, złożyć nas w ofierze swej strasznej bogini.

Po takim odkryciu, o spaniu niepodobna było myśleć. Ponieważ jednak blisko cztery godziny mieliśmy czekać dnia, a noc była zimna, pookrywałam więc dzieci płaszczami, sama zaś z mężem i porucznikiem usiadłszy przy ognisku, zaczęliśmy się naradzać, co pocniemy skoro się rozwidni. Kiedy tak rozmawiamy, nagle coś poruszyło się w krzakach: Peters i Wiliams porwawszy za broń gotowali się odeprzeć nowy napad Thugów, a wtém nad gęstwiną zarośli ukazała się wyciągnięta na długiej szyi z rozwartemi nozdrzami głowa bengalskiego jelenia, którego ogień ku nam przyciągnął. Piękny zwierz przestraszony widokiem ludzi, wnet znów przepadł w gęstwinie.

Rozwidniło się zupełnie, a myśmy jeszcze nic nie uradzili. Porucznik chciał, żeby się zbliżyć do wielkiego gościńca, na którym może spotkaćby się udało jaki oddział angielski ciągnący na odsiecz garnizonowi Agry. Peters przeciwnie, nie rachując, a słuchając jedynie swego instynktu, był zdania, żeby stronić od bitej drogi, a udać się do Sindhii, gdzie znał kilku zamożnych obywateli. Miałam wiele wpływu na męża; Peters radził mnie się zawsze i często na moim sądzie polegał: w tym więc razie zapytał mnie także o zdanie, dodając, że jakiegokolwiek ono będzie, wedle niego postąpi. Zaniósłszy w duchu gorącą modlitwę do Boga cierpiących, żeby mnie dobrą radą natchnął, po chwili oświadczyłam, że najlepiej będzie iść dalej ponad brzegiem Dzummy.

Rada moja była fatalna, natchnienie Petersa byłoby nas może ocaliło. Ileż razy od tego czasu, sama na świecie, wyrzucam sobie gorzko, żem nie poszła za radą męża!

Dwudziestego dziewiątego maja, dnia którego pamięć przekłeta w sercu mojem się nie zatrze, chociażbym

żyła wieki, ruszyliśmy po wschodzie słońca, wzywając Bożej opieki. Po dwugodzinnym marszu, to brnąc w piasku, to po bagnach w dokuczliwej chmurze mustyków, straszeni co chwila syczeniem gadzin, jadowite żądła ku nam wyciągających, pieczeni tropikowym słońca żarem, przybyliśmy do gęstego lasu, pod którym drogi się rozchodziły: jedna na prawo szła w las, druga w pole brzegiem lasu. Zmordowani usiedliśmy. Mężczyźni porzucali na ziemię tłumoki, pod których ciężarem się uginali; ja posadziłam Willa, który na rękę moim płakał nieustannie, wołając pić i wskazując na błyszczące nurty rzeki, zatrutej tysiącami gnijących w niej trupów ludzkich i zwierzęcych. Nigdzie ani bananów, ani pomarańczy na tej drodze nieszczęśliwej, nigdzie źródła, nigdzie strumyka, tylko cuchnące błota lub rozpalone piaski. Biedny Will byłby pewnie skonał na moją rękę, gdybyśmy tak szli dzień cały.

Wypocząwszy nieco pod rozłożystą figą z laurowym liściem (*ficus bengalensis*), której kwaskowate owoce orzeźwiły nas trochę; obawiając się, żeby nas noc w lesie nie zaskoczyła, na los szczęścia puściliśmy się drogą idącą w pole, z zamiarem, jeśli nie spotkamy wsi jakiej albo jakiego zamczyska, przepędzenia znów nocy pod gołym niebem. Im szliśmy dalej, tym kraj stawał się uprawniejszy. Ze wzgórzka, na którym jak pióropusz sterczał bukiet drzew palmowych, długie rzucając cienie na dolinę, ujrzelśmy rozległe plantacje, kilka wiosek i miasteczko, do którego szeroki prowadził gościniec.

— Niech się dzieje wola Boża! — zawołał Peters — idźmy do najbliższej wioski. Wszyscy Indyanie nie są Sypojami, może spotkamy poczciwych ludzi. Wszystko tu zdaje się spokojne: te słonie poważnie ciągnące traktem, te wozy co za nimi jadą zaprzężone wołami, te przez sługi niesione palankiny, te dziady co tu i owdzie włoką się o kiju, kobiety idące z wiadrami na głowach, gromady dzieci bawiące się w szpalerach z dafny, gardeniów i rododendronów, wszystko to dowodzi nam jasno, że tu jeszcze pożoga wojny nie doszła.

Śluchałam tej sielanki z niedowierzaniem, bo wpatrzywszy się w obraz, który Peters tak śmiejącami się odmalował kolorami, dojrzałam na nim podejrzane plamy.

Nie dalej jak o sto kroków przed nami, nieco w bok ufortyfikowanej wioski, spostrzegłyśmy z Heleną pośród kaktusów kręcące się grupy istot żyjących. Byłyżto owce, czy jaka inna trzoda? nie mogłyśmy rozpoznać. Szliśmy więc naprzód coraz trwoźniej, bo z tej gromady wychodziły dziwne jakieś odgłosy, ani do krzyku ludzi, ani zwierząt niepodobne.

Wnet odór fatalny dolatujący nas wytłumaczył zagadkę. O zgrozo! widok podobny temu, któryśmy na ulicach Delhi spotkali, znowu przedstawił się oczom naszym. Byliśmy na pobojowisku. Napół zgniłe stopy trupów angielskich żołnierzy zaścielały ziemię, na nich siedziała chmara żarłocznego ptastwa. Przed parą zaledwie dniami musiała tu być bitwa; trupy zabitych Sypojów Indyanie zwykłym obyczajem pozbierali starannie i wrzucili do Dżummy. Szpaler kaktusów po obu stronach drogi był tak gęsty, żeśmy nie mogąc się przezeń przedrzeć, chcąc nie chcąc musieli iść przez te jatki. Peters i Wiliams strzelili parę razy dla odegnania sępów, psów dzikich i kruków, które tam obżerały się mięsem i krwią naszych rodaków. Sępy nie ruszyły z miejsca, psy usunęły się trochę, tylko kruki wrażliwsze pierzchały stadami i czarną chmurą nad naszymi głowami krążyły. Chcąc co prędzej uciec z tych miejsc okropnych, biegliśmy potykając się po trupach. Powietrze, którym odychałam na tém polu, do dziś dnia czuję;—pamiętam, że sęp jeden spędzany kolbą nie mógł się podnieść, tak był żerem obciążony: Wiliams ściał mu pałaszem głowę.

Niepodobna było ludzić się dłużej: powstanie i tutaj wzięło górę, a my wymknąwszy się fanatykom w Delhi, wpadliśmy w ręce powstańców Udzkich.

Warowna osada leżała o paręset kroków przed nami. Zbliżywszy się ujrzelśmy na wałach czerwone mundury; nie byliśmy pewni czy to Anglicy: bo Sypoje także czerwono są ubrani. Żołnierze stojący na okopach spostrzegli nas i wnet z bramy wyjechało dziesięciu konnych i puściło się ku nam cwałem. „Niech żyje Anglia!” zawołał Wiliams poznawszy naszych. Jeźdźcy stanęli o dziesięć kroków przed nami i sądząc, żeśmy

Indyanie, wzięli nas na cel; jeden wysunawszy się naprzód spytał: „coście za jedni? czego chcecie i zkad przybywacie”?

— Odkądże to kapitan Martins nie poznaje swego wychowanka, swego przyjaciela, swego syna—rzekł Williams zrzucając płaszcz i biegnąc ku wojskowemu, który zsiadł z konia i ujął go w swoje objęcia. Pomijam tę rzewną scenę: radość takiego spotkania, w takim miejscu, odgadnąć łatwo. Kapitan Martins jeden z najdzielniejszych podwładnych kompanii indyjskiej, był przybranym ojcem Williamsa, osierociałego w dzieciństwie. Znalismy go ze sławy (której w tamtych stronach używał), po ślubie zaś naszej córki mieliśmy go bliżej poznać: zamierzał bowiem podać się do dymissyi i w domu Williams'a zamieszkać. Przez drogę kapitan opowiedział nam, że uszedłszy rzezi w Farrukhabad z trzydziestą ludźmi, chciał przebrać się do Benares, ale ludzkość niespodzianie inne nałożyła nań obowiązki: wdowy, dzieci i mnóstwo nieszczęśliwych rodaczek, których liczba co kilka mil wzrastała, błagały go o opiekę. Zatrzymał się więc w tym okopie, chcąc im dać kilka dni wypoczynku, żołnierze zaś jego walczyli nieustannie z przeważną siłą napadających na wioskę Sypojów, którzy stali w pobliżu.

Przeprowadziwszy nas przez fosy, kapitan kazał zwiesić mosty i podwoił straż: widocznie obawiał się nowego napadu. Widząc niemoc załogi i wątpliwość broniących nas szanów, zadrżałam na myśl, że ta nędzna forteczka ulepiona z błota, może być bardzo łatwo zdobytą przez Sypojów; nikomu jednak nie zwierzyłam mych obaw, nie chcąc demoralizować i tak już znękanych towarzyszy.

Skoro noc nadeszła, umieszczono nas w chacie, obok komendanta. Dziewięciu ludzi stało na warcie, a drugich dziewięciu spało. Garnizon naszej fortecy składał się już tylko z ośmnastu żołnierzy. Zmęczona nad wszelki wyraz, mimo obaw i niepokoju, ledwie się położyła, usnęłam snem twardym.

Krzyk moich dzieci i huk wystrzałów zbudził mnie nagle. Sypoje napadli wioskę. Wrzask i pożoga buchały

zewsząd. Wzięłam dzieci za ręce i pobiegłam do domu komendanta. Przy łunie pożaru noc wydawała się jeszcze czarniejszą niż zwykle. Rabusie puszczały race, które zapalały kolejno wszystkie domy; wkrótce z pomocą silnego wiatru cała osada zmieniła się w jedno ogromne ognisko. Było nas z pięćdziesiąt kobiet przed domem komendanta; każda prawie trzymała dziecko na rękę. Żołnierze nasi wyparci z walów obstąpili nas wkoło, chcąc nas bronić do ostatniego. Ani Peters ani Wiliams nie byli pośród nich. Przejęta trwogą już chciałam biedz ich szukać, kiedy ich spostrzegłam rejterujących na ostatku i odcinających się Sypojom, z których niektórzy już ich bagnietami dosięgali. Już tylko dziesięciu żołnierzy broniło nas pałaszami, nie mając czasu nabijać broni, komendant padł, a obok niego dwóch najdzielniejszych oficerów. Sypoje już siekli pałaszami pierwszy rząd kobiet, a dzieci nadziewając na bagnety rzucali w ogień, kiedy konający cały krwią zlany komendant, ukląkł na jedno kolano, skinął na Wiliams'a i rzekł cichym głosem: „uciekaj! ratuj żonę!” Indyjski pałasz utopiony w piersiach nie dał mu powiedzieć więcej.

— Do mnie, Peters! — krzyknął Wiliams chwytając wpół Helenę i unosząc ją za gorejącą chatę. Peters chciał mnie wziąć na ręce, ale równie jak on silna, z Willem na rękę pobiegłam za Wiliams'em, a mąż za mną.

Opatrzność, która ochraniała nas ciągle na to tylko, żeby potem coraz okrutniej dotykać, zaprowadziła nas w miejsce, któredy zasypawszy fosy wpadli Indyanie. Wyszliśmy więc ze wsi i biegiem puściliśmy się w pole. Wkrótce posłyszeliśmy pogoń. „Smiało naprzód! wołał Wiliams. „*Diu! Diu!*” wyła za nami tłuszcza... śmierć już już nas doganiała. Niedaleko była plantacya trzciny cukrowej, jeszcze parę kroków a wpadłszy w tę gęstwinę, może bylibyśmy uszli śmierci.

Bieglśmy dobywając sił ostatnich, kiedy głos trąby rozległ się w powietrzu — Ocaleliśmy! zawołał Wiliams — Sypoje trąbą na apel. Natężyłam słuch, i zdawało mi się, że już nie słyszę pogoni. Przy blasku księżycy ujrzelśmy Sypojów zwracających się ku wiosce. Już zdawało nam się, że niebezpieczeństwo minęło, kiedy

te szatany, którzy nie przez karność ani posłuszeństwo zaniechali dalszej pogoni, ale dlatego, że trąba zbioru była hasłem pobulanki z kobietami, które jeszcze przy życiu zostały, wystrzelili na wiatr swe naboje w naszą stronę.

Jednocześnie z wystrzałem usłyszałam dwa jęki: Williams padł wchodząc w plantacyą, a Peters obok mnie. Przerażliwie krzyząc rzuciłam się na jego ciało. — Cicho — rzekł stłumionym głosem — cicho! usłyszą i powrócą! Nie o siebie bał się kiedy to mówił, bo się czuł ugodzonym śmiertelnie: ale się troszczył o mnie i o dzieci. Historia zapisała imiona ludzi, którzy mniejszy dali dowód stoicyzmu i krwi zimnej, może w mniej strasznych okolicznościach: imię biednego kolonisty pozostanie nieznane! Kula plecami weszła mu w piersi; konwulsyjne drgania rzuciły ciałem jego. Czując, że kona, wziął mnie za rękę i ścisnął... każdy palec cisnął inaczej, a każdy nacisk wyrażał krzyk stłumionego bólu.

— Heleno! Williamsie! chodźcie tu, wyjęknął gasnącym głosem — gdzie jest Will? — Przy tobie ojciec — płacząc, odrzekło dziecko. Peters przyciągnął je do siebie i ucałował. Pobiegłam do plantacyj chcąc sprowadzić Helenę i Williams'a; ale zatrzymałam się u wchodu nie mając siły dalej postąpić.

Boże wielki! nie powinienabym nigdy mówić o tej okropnej nocy, nie powinienabym nawet nigdy myśleć o niej, bo mnie wstyd, że nie mogę umrzeć z rozpacz, kiedy o niej mówię lub myślę.

O kilkanaście kroków od męża, zięć mój, syn mój drugi, leżał w znak martwy już i stężony, trzymając głowę na kolanach Heleny. Ona nachylona patrzyła z rozpaczą w twarz młodzieńca, oświeconą światłem księżyca i ocierała chustką krew, która się z ust jego sączyła. Kula na ślepo wystrzelona, ugodziła go także w plecy i trafiwszy w kość pacierzową, zabiła na miejscu. Padł nie wymówiwszy ani słowa pożegnania... na to słowo czekała nieszczęsna córka moja!

Wróciłam do męża — jeszcze żył.

— Gdzież są? — zapytał: — czemu nie przychodzą pożegnać się ze mną?

— Poszli naprzód—odpowiedziałam.
 — Chciałbym ich jeszcze pobłogosławić.
 — Wróć się zapewne — odrzekłam.
 — Już zapóźno! umieram: czuję zimno w piersi;
 już nie mogę oddychać: bądź zdrowa; bądźcie zdrowi;—
 wziął rękę Willa i moją, połączył je i skonał szepcząc
 coraz słabszym głosem—żegnaj was—czuwaj nad nimi!
 Co się ze mną działo w tej strasznej chwili? czym
 płakała, czym rwała włosy, czym się po ziemi tarzała
 z rozpacz, patrząc na konanie jedyne go człowieka,
 którego kochałam na świecie jak kochanka, męża i ojca
 moich dzieci... Nie pamiętam!

(Dokończenie nastąpi).

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

Pod takim tytułem Biblioteka Warszawska ogłosiła już w r. 1848 (tom III, str. 632) przekład książeczki niemieckiej, obejmujący opisanie przez naoczego świadka, wjazdu do Krakowa arcyksiężniczki Elżbiety, poślubionej młodemu Zygmuntowi Augustowi, w r. 1543 dnia 4 maja.

Hrabia Alexander Przeddziecki wynalazł i nabył w Berlinie drugą niemiecką z téjże epoki książeczkę, w której inny świadek tego samego wjazdu podaje o nim wiadomość, lecz pod dniem 5 maja (1).

Jedna i druga obejmują wiernie to samo: są nawet całe okresy te same w obudwu, ale są też i różnice tak w wyrazach jako i wyrażeniach nie pozwalające utrzymywać, że jedna jest kopia drugiej. Nie można także utrzymywać, że był program wjazdu, z którego obydwaj piszący czerpali, bo wiele szczegółów jest takich, któreby nie dały przewidzieć się programatem. Wszystko owszem mówi, że i jeden i drugi opis jestto obraz malowany z naoczego przyglądania się scenie, osobom i ich działaniu, z niektórymi rysami tak wiernie temi samemi, że tylko za umową dwóch malujących mogły się stać takimi, a ta ich umowa nie w pracowni nastąpiła, lecz w punkcie z którego na wypadek patrzyli i który dla obudwu spólnym być musiał. Otóż dlaczego tę notatkę tyle można cenić co jakąkolwiek fotografią zbiegów, które się już powtórzyć nie mogą; a że ona mimo lada-jakość swoją może się jednak żywo przydać przyszłym

(1) Wszakże wjazd odbył się dniem pierwój, to jest 4 maja. (1)

autorom historyi zwyczajów naszych, umieszczamy i ją, jak już z poprzedzającą uczyniliśmy, w wiernym przekładzie.

Format książeczki jest maleńkie 4to, ledwie wyrównywane małemu 8vo. Pismo gotyckie bez miejsca druku. Kustosze idą: A ij, A iij, A iiij, B, B ij, najpierwsza i ostatnia kartka (tylko *recto*) nieoznaczone: zatem wszystkich kartek jest 7. Na najpierwszej *recto* mieści się tylko tytuł, ułożony w trójkąt i który jest następujący:

Ginzug zu Krafow als man des Durch-

leuchtigsten hochgebornen Herrn

Herrn Ferdinandi Ro. Ko.

Mayest. tochter Ko. Elisabet

ingeholet und des jungen

Ko. Durch. zu Polen, ver-

melet ist worden am v.

tage Majj Jm Jar

M. D. X L iij.



tojest: „Wjazd do Krakowa kiedy Najjaśniejszego wysoce urodzonego Pana Pana Ferdynanda Rzymskiego Cesarza Jmci córka J. K. Mości Elżbieta sprowadzona i młodemu J. K. Mości Najjaśn. Polskiemu, zaślubiona była na dniu 5 maja w roku 1543”.

Po powtórzeniu téj samej intytulacyi na początku karty następnej, dalej ciągnie się rzecz sama w taki sposób:

Najprzed jechał Pan koniuszy Witski (1).

Dwóch trębaczy vi rôt po iiij. w złotych nakryciach po moskiewsku (*auf moscabiters*), iiij roty po iiij w aksamicie Schincemoffky Radomirszky ci dwaj jego dworzanie mieli iij wystrojonych pacholąt.

(1) W oryginale: „Pan kzsanz witszky.”

**Następnie jechali ludzie jednego pana
którego nie wiadano nazwiska (1).**

Paukier po turecku ze szpicróżgą po jednej stronie a po drugiej z buławą (2), xviiij Tatarów, każdy konia w rękę prowadząc, ij moskiewskich trębaczy, j paukier z ij małemi pałeczkami (3).

Inna grupa.

Sześciu paziów z dworu J. K. Mości w jedwabnych sukniach po polsku dobrze ubrani, xj rót po iiij. po ussarsku, viij osób w złotych zbrojach, xvj rót po v w samej czerwieni, ze srebrnemi naraniennikami, dzidy i tarcze (*tartzen*) niosących, ij roty po v paziów w brunatny aksamit i jedwab ubranych, xxv rót po vj całkiem w bieli, kopie i tarcze, a także pióra na hełmikach mających; xj rót po ij w błękitnej (*blaver*) odzieży, viij rót po iiij całkiem żółto vj rót po trzech zielono ubranych. Te konie i jeźdźcy należą do paziów dworskich, którzy po ussarsku służą.

Pan Wolski ochmistrz (4).

Trzy osoby w adamaszki ubrane z łańcuchami i srebrem, równie jak i konie dobrze poubierane.

Dwóch trębaczy w żółtym atlasie, x rót po trzy w białem ze srebrnemi napierśnikami (*vörbrusten*) i stalowemi rzędami, piórami i przyłbicami (*peckelhauben*) strojni, xiiij osób w jedwabnym atlasie i adamaszku.

Pan Chodkiewicz Litewski podczaszy (5).

Osoba w złotój zbroi, iiij osoby w adamaszkowych żupanach ij roty po v w białym adamaszku, viij rót po iiij ze srebrnemi przyłbicami i srebrnemi zbrojami.

(1) Z pierwszej książeczki dowiadujemy się, że tym niewiadomym dla autora, był Opaliński, młodego króla ochmistrz.

(2) Buławę nazwał drążkiem (*Aegiel*)

(3) W oryg. „mit ij kleynen peucklein.” Może też to znaczy ze dwoma małemi paukierami.

(4) W oryg. „Pan Volszky hoffmeyster.”

(5) W oryg. „Pan Kotkowitz Littawischer Schenck.”

Pan Radziwiłł (1).

Dwóch w złotych zbrojach łańcuchami obwieszeni, j pięknie ubrane pacholę vj Tatarów w złotym jedwabnym atlasie, każdy j konia w rękę prowadzący, v rôt po iij w aksamitnych strojach srebrem lamowanych, niektórzy ze srebrnymi napierśnikami i przyłbicami.

Pana Radziwiłła syn z Wilna (2).

Trzech (3) w złotym ubiorze ze srebrnymi zbrojami i złotymi łańcuchami na sposób polski paradnie ustrojeni, iij strojnych murzynów, każdy konia pod ręką wiodący, ij trębaczcy v rôt po iij w czarnych aksamitnych kontuszach i białych żupanach.

Pan Boner.

Jeden w złotej zbroi długimi piórami ustrojony, j rota w niej iij Tatarów w złoty adamaszek ubranych, ij trębaczów w sukniach z piór papuzich, xij osób w złotych ubiorach, konie i ludzie piórami i srebrnymi wyrabianiami na zbrojach i szyszakach paradnie ustrojeni, viij koni w rękę (u nich) pod złotem nakryciem i haftowanymi jedwabiem dekami, j piszczyk, j surmista, j pankier; vj rôt po iij w złotych ubiorach ze srebrnymi szyszakami, a na koniach złote nakrycia.

Potém jechało.

Trzy roty po iij po ussarsku biało ubranych v rôt po iij w samem czerwonym po ussarsku, iij roty po iij biało po ussarsku.

Pan Rozdrażewski (4).

Turek w złotym ubiorze, iij fajfry w złotych sukniach, v rôt po iij szczerzo białych, ustrojonych w pióra w srebro pooprawiane.

(1) W oryg. „Der Herr Radziwil.”

(2) W oryg. „von der Willa.”

(3) W pierwszej książeczce podano czterech.

(4) W oryg. „Pan rozgrasuffzky.”

Pan Arcybiskup.

Ośm rót po iij w złotych kontusikach a szkarłatnych żupanach, j paradnie ustrojony młokos który niósł cho-
 rągiew vj rót po iij w czerwonych karmazynowych ada-
 maszkach z białymi piórami i srebrnemi pancerzami pa-
 radnie ubranych, v koni w ręku prowadzących, iiij sre-
 brnym ubiorem pokrytych, v^{ty} czerwonym aksamitem,
 vj trębaczy, j paukier, iij osoby w złotych ubiorach, iij
 roty po iiij w srebrnych pancerzach na czerwonych żupa-
 nach, ij roty źle czerwono, xviiij rót po iiij w czerw-
 onych czamarach z białymi piórami strusiem i w srebro
 oprawionemi, włóczniami i tarczami, ij roty po v ze
 srebrnemi napierśnikami.

Kościelecki Wojewoda... (1).

Czterech Tatarów w jedwabie ubranych, każdy pro-
 wadzi j konia pod ręką, j surmista, ij paukierów, ci byli
 jak pruskie baby ubrani, vij osób w złotych ubiorach,
 między niemi ij młokosów, xiiij rót po iiij zielono ze sre-
 brnemi napierśnikami i piórami na sposób Polski postro-
 jone, xviiij koni biało odzianych, konie z jedwabnemi de-
 kami i pawie pióra mające, ij konie pod ręką prowa-
 dzone ze zbrojami.

Dworscy słudzy.

Trzy osoby w jedwab' paradnie ubrane, vij rót pa-
 cholat po iiij.

Chodkiewicz (2).

Ośm koni po Niemiecku, żółto aksamitem bramo-
 wani, a konie (*Geule*) aksamitem ponakrywane, vj rót
 po iij do obudwu panów Cemów należące żółto aksami-
 tem bramowane i aksamitem nakryte.

Dworskich paziów słudzy.

xxiiij roty po iij w żółtej barwie aksamitem bramo-
 wani po Niemiecku, ale nie wszyscy jednakowego stroju,

(1) „*Kosscheletzky der Woywod 'von Schlauschau.*”

(2) W oryg. „*Rockowitz*” i tylko porównanie z pierwszą książeczką objaśnia, że to Chodkiewicz.

xvj rot po iij Chelmińskiemu panu przynależących, około xxx koni różnego pospolitego ludu, ij roty po iij w żółtych czamarach błękitnej i czerwonej barwy należące do Polskich.

Pan Poznański (1).

Trzy roty po iij w czarny aksamit przybrani złotemi łańcuchami obwieszeni; konie były aksamitem przykryte a na to srebro nabijane, viij rôt po iij w aksamit ubranych, ale nie mieli łańcuchów.

Książę N. Cieszyńskie.

Dwie osoby w czerwonych czamarach aksamitem bramowanych ij roty po iij czerwono, iij pacholał w czerwonym aksamicie, ij roty po iij złe czerwono, ij konie pod ręką z siodłami z czerwonego aksamitu, x rôt po iij w czerwonym ubraniu.

Potem Jechata Książęcia Prnskiego dworska służba w błyszczącym uzbrojeniu z kopiami i szyszakami a u kopij żółtego koloru chorągiewki.

Dwóch trębaczy między temi jeden włoski, j wojskowy paukier (*herpaucker*), iij pancernych paradnie ubranych, v rôt po trzech w dobrém błyszczącym uzbrojeniu, dwadzieścia rôt po iij, a wszędzie na iij roty iij całe pancernych, iij młokosów w żółtych adamaszkach pół axamitnych czamarach perłami piórami u kapeluszków złotemi łańcuchami i szablami, równie jak i konie paradnie wystrojeni.

Dwóch wojskowych paukierów, x trębaczy, iij strzelców, ij wystrojonych młokosów, jeden niosący X. chorągiew i hełnik na którym panna a inna na czole konia kunsztownie przyozdobiona i ubrana. Drugi młokos niósł także kopią X. i hełmik a na nim korona z piór z j długim ogonem vij rôt po iij w stalowych zbrojach szło potem, po xv pancernych każdy z iij końmi i wszędzie prowadził pancerny na ij koniach stalowe roty (sic).

(1) W oryg. „Herr von Posenaw.”

Potém następują ci
którzy z młodą królową
przybyli.

Wojewoda Płocki (1).

Trzech w złote zbroje przybranych, iij tatarów w czerwonym aksamicie, każdy j konia pod ręką, j tatarski surmista, j tatarski paukier iij w złote zbroje przybranych vi rót po iij wysokimi piórami i srebrnymi napierśnikami na polski sposób przystrojeni.

Pan Wojewoda Poznański.

Dwóch młodzieńców w złotych zbrojach paradnie ubranych, j rota po iij czerwono ze srebrnymi obrączkami wkoło kapeluszków, iij konie pod ręką z aksamitnymi dekami, ix rót w czerwonej odzieży iij ze srebrnymi klamrami po polsku.

Biskup Płocki (2).

Trzech w złotych zbrojach, iij w złotych zbrojach i srebrnych hełmach, v koni pod ręką, vj tatarskich trębaczy; j surmista, j turecki paukier, ij roty po iij w złotych pancerzach z wielkimi klamrami i białymi piórami, iij osoby w złotym aksamicie, xix rót po iij, konie pod haftowanymi dekami, wszyscy ze srebrnymi napierśnikami, ij roty po iij w jedwabnych sukniach, v rót po iij po ussarsku w samym czarnym aksamicie złotymi łańcuchami obwieszeni, i wysokie pióra zórawie (3) mający.

Hrabiego z Tarnowa (von Tarnaw) grupa którą on ze swoją małżonką naprzeciwko Królowej wysłał.

Jedenaste rót po iij w czerwonych szkarłatowych po hiszpańsku sukniach złotem suknem bramowanych, ij trębaczów w szkarłacie, xij rót po iij w aksamicie złotymi łańcuchami obwieszeni, konie pod sztukami aksamitu, v koni pod ręką a na nich siodła damskie z czerwonymi dekami.

(1) W oryg. „Woywod von Plotzky.”

(2) W oryg. „Bischoff von Plotzky.”

(3) W pierwszej książeczce było strusie.

Ferdynandowscy.

Dwóch Węgierskich trębaczy, j młodzian po Węgiersku mnogością srebra strojny vj rót po ij młodzieży po Węgiersku na koniach materye z mnóstwem srebra, xvijj rót po iij w złym Węgierskim ubiorze.

Margrabia Jerzy.

Jedenaście rót po iij w czerwonym ubraniu strzelby (*schütze geredt*) niosący, ij wystrojonych młokosów, ij roty po ij ze strzelbami.

Biskup Wrocławski (*von Preszlau*) i**Ferdynandowscy.**

Dwie roty po iij w czerwonym ubraniu, ij młodzieńców łańcuchami paradnie ustrojeni, viij rót po iij w samym czerwonym, ij trębaczy iij roty po iij czerwono, iij osoby w aksamicie, iij młodzieńców iij w aksamicie, iij wystrojonych młodzieńców, xxij rót po iij w samym czerwonym, j trębacz, iij młodzieńców w czerwonych czamarach aksamitem bramowanych, j młokos w czerwonym aksamicie, v paziów ze złotymi łańcuchami, ij młodych od koni, iij strzeleców viij rot po iij czerwono ubrani z rohatynami, iij młodzieży łańcuchami przystojnie ustrojeni, iij paziów, ij miało złote łańcuchy, xxxj rót po iij w samej czerwieni z barankami, j tatar z j koniem w rękę, vij rót po iij w samym czerwonym, j rota pacholków czerwono aksamitem bramowanych, ij paziów w aksamicie w łańcuchy paradnie przybranych, iij roty po iij paradnie postrojonych młokosów, xxij roty po iij w czerwonej barwie, ij młodzieńców, jeszcze ij młodzieńców, vij paziów Królowej w czerwony aksamit ubranych z nakryciami na koniach, ij konie w rękę prowadzący.

Polscy Panowie.

Pan Poznański (1) i iij ze dworu w aksamicie vij rót iij pospolitej czeladzi, iij pacholąt od dworu w adama-

(1) W oryg. „*Der Herr von Pasenaw.*”

szkowych sukniach, ij Ferdynandowscy panowie w czarnym aksamicie iij Włochów, ij młodzieńców w czerwonych sukniach jednego koń nakryty białą deką złotem bramowaną, iij Ferdynandowscy w szarych włoskich płaszczach aksamitem bramowanych.

**Polscy Panowie i cze-
ładź dworska.**

Ośm osób w aksamicie i jedwabiach na Polski sposób, v rót po iij, czarne zwyczajne suknie, ix osób w złotych zbrojach, ij strojnych młodzian xxxvj osób w pospolitych jedwabnych sukniach, vi po ussarsku w sukniach jedwabnych i łańcuchami poobwieszani.

Ferdynandowscy.

Trzech w jedwabnych sukniach, iij sług za nimi, x osób w pospolitych sukniach, ix osób w czarnym aksamicie ze złotymi łańcuchami, iij osoby po Węgiersku, iij młokosów w wilezurach, j w czerwony atlas złotem suknem bramowany, viij rót po trzech w szczerym aksamicie.

**Króla Polskiego
dworska czeladź.**

Trzy roty po iij po Niemiecku paradnie wystrojoni, ij roty po iij po ussarsku w jedwabnych sukniach, ij roty po iij Polskich Panów w aksamit odzianych, a deki na koniach także aksamitne, j wojskowy paukier, ix trębaczów w złotych sukniach aksamitem bramowanych, Królowi Polskiemu przynależących ij Polskich Panów po Włosku ubranych, ij roty po iij po ussarsku, ij radzey księcia Jmci Pruskiego, ij roty po iij Węgierskich Ussarów.

Ferdynandowscy.

Trzech panów w aksamicie, j wojskowy paukier, vij włoskich trębaczy, xxvij prałatów, wojewodów i innych panów z obojędz strony których nie można było poznać, iij Xiążąt jakoto Xiążę Jan Zambicki (1), Xiążę Frydryk Lignicki, i Xiążę Cieszyński (2).

(1) „Hertzog Hans von Monsterberg.”

(2) W orygu. omyłka druku: „Erschen” co miało być Cischen.

Jego Królewska Mość we własnej osobie pomiędzy margrabią Jerzym a Xiążęciem Pruskim. J. K. Mości adjutantów (*trabanten*) xl. Xięcia Pruskiego xvij było.

Młoda Królowa w

pięknym złotym powozie w którym viij przeslicznych siwych koni czerwonym aksamitem paradnie ponakrywanym, xv paziów piechotą przy powozie idących, vj lokai w czerwonym aksamicie j pozłacany powóz w nim Xiążęcia Jana Zambickiego małżonka ślicznemi vj końmi w aksamit przybranemi, Stara Pani Krakowska w pozłoconym powozie o vj gniadych koniach w czerwony aksamit przybranych, iiij czerwone aksamitne powozy, w każdym po vj koni, j powóz czerwonym suknem bramowany w nim Pani Krakowskiej Froncymer, j powóz czerwonym suknem Ferdynandowski.

Za powozami

Dwóch paziów w aksamicie, iiij roty po iij pacholąt, xiiij rót po iij ferdynandowskich iij konie pod ręką, xj rót po iij czerwono, j młodzian, ij roty po iij paradnie przybranych w żółte zbroje, ij roty po iij czerwono, iij stare duchowne osoby, Biskup Kujawski (1) miał Niemiecką suknię barwy żółtej z białą mieszaną, ij trębaczów xvij rót po iij.

Biskupa warmińskiego i Chełmińskiego służba i konie miały polecenie należeć do wjazdu, ale się zostały i t. d.

Ten jest wjazd nie licząc ryszunkowych, i prowiantowych wozów, i koni, których wielkie mnóstwo było a także nie licząc czeladzi i pocztarków i t. d.

Ogół użytych do wystąpienia koni 1671 (2).

A. W.

(1) W oryg. „*Der Bischoff von Caya.*”

(2) W pierwszej książeczce ogół ten 2723 wynosił.

KRONIKA LITERACKA.

KSIĘGA ŚWIATA.

Wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych, historii krajów i ludów. — Żywoty znakomitych ludzi, podróże, opisy miejscowości i t. d. — Ważniejsze zajęcia przemysłowe. — Obrazy towarzyskie statystyczne, ekonomiczne. Z rycinami na stali czarnemi i kolorowanemi oraz drzeworytami, pod redakcją Ludwika Jenike, wydawnictwo S. H. Merzbacha. Rok 1854. I, II str. 400. W 4ce. Rok 1855. I, II str. 400. W 4ce. Rok 1856. W 4ce. Rok 1857. I, II str. 400.

Mając obecnie zdawać sprawę z czterech lat wydawnictwa tego, każdego po 2 tomy grube, musimy (trzymając się przyjętej od nas metody w ocenianiu autorów, przez zaprowadzenie ich samych przed czytelnika), podzielić pracę naszą na pewne rubryki, stosownie do wielkiej różnorodności artykułów, materji i ich autorów (*). Dlatego najpierw powiemy o artykułach tłumaczonych i okolicznościowych, dalej o oryginalnych, które pod właściwemi umieścimy materjami. Na końcu mówić będziemy o historycznych, ponieważ w tej dziedzinie spotykamy się z kilku imionami sympatycznie znanemi i pracującemi gorliwie na tej niwie.

(*) Przy tej sposobności wierni zasadzie położonej przez nas na początku ostatniego naszego przeglądu (umieszczonego w zeszycie lutowym), i chcąc teraz dać tego dowody, w skutku odebranej z strony autora dziełka: „Włościanie z okolic Krakowa” reklamacyi, tembardziej że rzecz ta dla nas jest obojętną i należy do bibliografii, oświadczamy: iż tenże a nikt inny, w istocie ma być autorem zupełnym Pamiętki z Krakowa.

Nie będziemy naprzód wydawać sądu; przedstawimy rzecz całą, artykuły i autorów, a następnie o całości wydawnictwa, kierunku, zaletach lub stronie ujemnej pisma wyrazimy nasze zdanie; poczem czytelnik porównawszy sąd z rzeczą, sam w ostatniej instancji orzeczenie dla siebie ułoży. Mniemamy, że tym sposobem o stronność w jakibądź sposób posądzeni nie będziemy.

Z artykułów *opisowych* znajdujemy (r. 1854) bardzo interesujący z przedmiotu swego pod napisem Czarnogóra i Czarnogórcy; aczkolwiek jest on streszczony z kilku dzieł pomocniczych, a mianowicie Cypryana Roberta, jednakże podany w chwili kiedy kraj ten maleńki, przed burzą jaka później z innych powodów nastąpiła, miał pretensją podobną wywołać, był zupełnie na czasie, i teraz nawet, gdy lud ten nieliczny, ale pełen odwagi i ducha na wpół dzikiego, na wpół znowu rycerskiego, usiłuje na nowo zwrócić uwagę starzej i poważniejszej Europy, może mieć wiele interesu.

Do badań, dla myśliciela obszerną niwę podaje lud ten, umiejący od wieków przechować niepodległość swoją, i broniący każdej piędzi swój drogiej ojczyzny z całym zapalem i wiarą w świętość i sprawiedliwość sprawy swojej. Stanowi on jakby ciągłą, nieustającą, żywą w historii protestacją przeciw panowaniu Ottomańskiemu w Europie, a szczególnie też wśród ludów słowiańskich i potomków starzej Hellady. Są ich jedyną jest miłość gorąca tych czarnych gór szczytów i skąpą natury ręką rozsianych gdzieniegdzie między niemi zielonych niw i polonin, i krzyż Zbawiciela; w niego wiara głęboka, dodaje im niezwykłej odwagi i śmiałości do rzucania się na oślep na zastępy, nad którymi błady, z za chorągwi wygląda półksiężyc. Jak niegdyś, wartkim pędem wód Dnieprowych wiedziona mołojce z Zaporozża stepów na wody Czarnego morza, niosły wojnę, trwały spoczynek potężnych sultanów, świecąc im niekiedy luną w okna seraju; tak i teraz Czarnogórcy z dzikich swych skał i kryjówek puszczając się od czasu do czasu na kraje tureckie, utrzymując w nich i między plemionami słowiańskimi agitacją, przerywają gnuśny spoczynek proroka wyznawców. Lecz tamci wyrosli w lud potężny, tych tylko kilkadziesiąt tysięcy, któreby mściwy Turek wyszukał w pośród skał nagich i głowy ich po dawnemu na dzidy utkwiał, gdyby dyplomacya chociaż macoszą ręką, mdłego ich bytowi nie użyczyła światła.

Jak wysoko w ludzie tym, chociaż nieucywilizowanym, uczucie godności osobistej i poszanowania własności rozwinięte i po-

jęte jest, dać nam może wyobrażenie prawo przez zmarłego Władykę ustanowione, które tak brzmi: „każdy Czarnogórzec, któryby współobywatela kopnął nogą, lub uderzył cybuchem, może być na miejscu zabitym przez obrażonego, podobnie jak złodziej złapany na gorącym uczynku; a jeśli napastowany powstrzyma się od gniewu, napastnik zapłacić mu powinien pięćdziesiąt dukatów i tyleż starszyźnie”. Obyczaje Czarnogórców są nadzwyczaj surowe, a miłość i przywiązanie do koła rodzinnego przechodzące wszelkie wyobrażenie. Dzieci nie opuszczają swojej rodziny i nie rzucają się w świat, boć ich świat bardzo małeńki; ale osiadają przy niej, i często bywają tam wsie złożone z mieszkańców jednej rodziny, jedno noszącej nazwisko, a członkowie jej różnią się między sobą tylko imionami.

Skutkiem takiego patryarchalnego życia, najściślejsza między krewnikami panuje solidarność, ostatecznym zaś jej następstwem bywa zemsta rodzinna podobna do vendetty korsykańskiej, z tą różnicą, że w tamtej jest coś dzikiego i zwierzęcego, i jest ona surowymi przepisami i zmianą obyczajów prawie wywołaną; w Czarnogórze nietylko prawo i obyczaje bynajmniej jej nie potępiają, ale bywa nawet uważana za święty dług rodzinny.

„Wojna przeciwko Turkom, mówi autor, jest można powiedzieć celem życia i codziennym zajęciem tych walecznych góraków, któremu z bohaterskim oddają się zapalem. Leżąc na ziemi za urwiskami swych skał niedostępnych, z zadziwiającą zręcznością wymierzają strzały na wrogów. Jestto prawdziwy bój gerylasów, krwawy, mimo to bogaty w żywioły poetyczne, a malowniczo bywa przedstawiany w rycerskich pieśniach tego ludu, które są jego pewnego rodzaju biuletynami wojennymi.

„W wyobrażeniu Czarnogórców śmierć poniesiona nie na polu bitwy, jest hańbą dla mężczyzny; to też największa dla nich obelga mieści się w słowach: „*znam ciebie i twoją rodzinę, wszyscy przodkowie twoi skończyli w łóżku*”.

„Pojęcia takie głęboko w rdzeń społeczeństwa wszczepione, musiały oddziaływać i na życie niewiast czarnogórskich. Nieodstępne towarzysзки swoich mężów, dzielają z nimi trudy obozowe, a niekiedy i walkę. Często widzieć je można przenoszące ciężary nad brzegiem przepaści, jak uzbrojone w strzelby postępują rzędem i wesóło sobie gawędzą. Ale kobieta na Czarnogórze nie jest bynajmniej bawidelkiem mężczyzny, jak nieraz w krajach cywilizowanych; przeciwnie, uważana za istotę pra-

wie nietykalną, powierza się bez obawy nawet nieznanym; bo zamach przeciw wstydomi spowodowałby nieochybnie śmierć jednej lub drugiej strony. Równie świętym jest, jak w ogólności u wszystkich ludów słowiańskich, obowiązek gościnności. Niech podróżny zatrzyma się pod chatą prosząc o szklanę wody, a pewnie wyniosą mu wszystko, w co tylko dom jest bogaty. Jeżeli spocząć zechce pod strzechą, gospodarz uściele mu poduszki na ławie przed kominkiem i sam częstować go będzie kawą, winem krajowém, jajkami i mięsem wędzoném. Skoro zaś po wniesieniu pierwszego zdrowia poda ci rękę, to już cię bronić będzie z narażaniem własnego życia, szczęśliwy, jeżeli na odjeździe uczesz go wystrzałem z ręcznej broni; co znaczy, żeś zadowolony z przyjęcia”.

Obok tak wzniosłych przymiotów nie zepsutej natury, zachowali oni niektóre obyczaje barbarzyńskie zapożyczone od nieucywilizowanych Turków; i tak, między innymi, poległym dotąd ucinają głowy i zatykają na lancach na znak zwycięstwa, a pieśni gminne wspominają, że dawni wojownicy nosili u czapek srebrzyste piórka, których ilość odpowiadała liczbie głów przez każdego z nich ściętych. Rolnictwo niedawno rozwijać się poczyną, a przemysł prawie nie istnieje i ogranicza się tylko na bardzo niewymyślnych sprzętach i bawidełkach.

Zanim porzucimy artykuł ten i zostawimy go czytelnikowi, szczególnież też część jego historyczną, przypatrzmy się jeszcze ubiorowi ich. Mają oni mieć coś podobnego w charakterze swym do górali kastylijskich; strój zaś ich narodowy składa się z szerokiej *struki*, rodzaju kosmatej burki, zawieszonéj na ramieniu, z białej sukmany wełnianej i krótkich szarawarów wschodnich. Fez czerwony obwinięty chustką nakształt zawoju, przycieniający twarz pełną energii a niekiedy bardzo piękną; na nogach opanki czyli treпки elastyczne, ułatwiające wdzieranie się na skały i przeskakowanie jarów; nareszcie kindżał i pistolety za pasem, i lekka rusznica na ramieniu, dopełniają obrazu czarnogórskiego wojownika.....

„Mieszkania budują zwykle z kamienia, ścieśniając je gromadami po skałach, tak iż między budynkami wązkie pozostawiają ścieżki. Każdy dom prawie opatrzony jest w strzelnicę, a w tak zwanych *kułach* (rodzaju wieżyczek piętrowych) dół służy na pomieszczenie bydła. Czarnogórze obfituje w owece i kozy, krowy zaś, a szczególnież konie dosyć są rzadkie. Niektóre okolice rodzą wyborne wino, którego smak nic nie zostawiłby do życzenia, gdyby sposób ich przechowania w skórzanych ku-

bełkach nie nadawał im nieco cierpkości; podobnie pszczołnictwo w kwitnącym znajduje się stanie. Codzienne mieszkańców pożywienie stanowią: po większej części jarzyny, nabiał, mąka kukuryzowa lub jęczmienna i ziemniaki, których uprawa w ostatnim zwłaszcza czasie niezmiernie się upowszechniła.

„Handel ich głównie jest przywozowy; artykułami takowego są: bydło, konie, wino, wódka, kawa, cukier, sól, płótno, tkaniny bawełniane, żelazo, torf i proch. Ten ostatni artykuł bywa wprawdzie wyrabiany przez niektóre pokolenia, ale w zbyt małej ilości; sprowadzają go więc z Cattaro. Handel zaś wywozowy stanowią przedmioty bardzo nieliczne, jak: rodzaj drzewa żółtego zwany po serbsku *radziewina*, używany do wyprawy skór i w farbiarstwie, dalej ryby *castradina* czyli mięso wędzone, żółwie, kawior, słonina, miód, wosk, drzewo opałowe, futra, skóry owcze i zwierzyzna”.

Jak widzimy, są to produkta prawie surowe i dać nam to może wyobrażenie o ubóstwie przemysłu i cywilizacji kraju tego.

Czarnogórcy nie mają w całym kraju dróg bitych; zdaje się z systematu takowych nie zaprowadzają, aby nieprzystępne góry i skały, które obok fortecy Cetynii, będącej stolicą i siedliskiem senatu, stanowią dla nich naturalne miejsca ufortyfikowane, nic nie straciły z ważności swój. Podobno Napoleon I miał im proponować utworzenie drogi bitej przez kraj ich do Cattaro, ale Czarnogórcy z ofiary tej nie chcieli korzystać.

I dziwny ten lud w środku południowej Europy będący, nie tylko zachował niezwykle Europejczykom pierwiastkowe obyczaje i że się tak wyrazimy dziewiczość natury, skutkiem swego politycznego położenia: ale i w kolei przyszłości tenże sam los czekać go się zdaje—jeśli na północnych granicach pozornych tylko przyjaciół, a na południu otwartych i mściwych wrogów, sąsiadami swymi mieć będzie. Ze zmianą jakąbądź w prowincjach granicznych Turcy, z jakimś zespoleniem się, w jedno mniej więcej szersze ognisko, południowych ludów słowiańskich, można prawdopodobnie przypuścić, że i Czarnogóra jeśli nie zleje się z niemi, to przynajmniej w ścisły braterski sojusz połączy się. A w każdym razie Czarnogórcom trzeba przyznać, że mogą być nakształt starożytnych ludów Hellady, wzorem miłości do swój ojczyzny i wierności niezachwianej w wierze swoich przodków, a które potęgają ich ducha i mnożą nieliczną ich siłę.

Od przedmiotu tak sympatycznego przeniesiemy się w głąb Ameryki. Pójdziemy z autorem artykułu (tłum.) opisu Peru

przez p. Tschudi, w którym znajdujemy kilka charakterystycznych opisów kraju mieszkańców i ich obyczajów. Jest tam kilka szkiców, przedstawiających nam głębokie usposobienie religijne, tkwiące tak w mieszkańcach z plemienia europejskiego, jakoteż i w ludności krajowej. Widno że religia katolicka głęboko tam zapuściła swe korzenie, a jej pamiątkowe obchody, nacechowane są całą wiarą i przejęciem się; wiarą, która często kroć w grubiej przedstawia się formie. Obrazy Ameryki, pod tym napisem w kilku podane tomach Księgi Świata, mają pewną wartość, gdy zwyczajnie tłumaczone są z opisów podróżników, którzy sumiennie zbadać starali się mniej znane europejczykom obyczaje miejscowej ludności.

W artykule „*Liberya* (r. 1854) czyli osada wolnych Murzynów w Afryce,” znajdujemy interesujące daty. Osada ta jest owocem usiłowań amerykańskich filantropów, założoną została na ziemi nabytej od sąsiednich panujących książąt a mianowicie króla Piotra, króla Jerzego i króla Zojda; leży pod 6°52' szer. poł. a 4°35' szerokości jeograficznej; sąsiaduje zaś z osadą Maryland i posiada obecnie na przestrzeni ziemi wzdłuż 118, a wszerz 19 mil, wolnej murzyńskiej ludności 12,000. W r. 1847 Liberya została ogłoszoną krajem niepodległym i za takowy uznana przez rządy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i innych. Za rządów Roberts'a, w r. 1841 takie wzięcie już miała, że Murzyni sąsiednich ziem, dzieci swoje do szkół w miastach Liberyi utrzymywanych, bardzo chętnie posyłali.

W artykule: „*Starożytności assyryjskie*” znachodzimy podaną wiadomość o odkryciach, przez słynnego członka parlamentu angielskiego pana Layard poczynionych. O nimto jeden z ministrów angielskich wyrzekł: „Wdzięczni jesteśmy panu Layard za odkrycie starożytności Niniwy, ale nie mamy podobnej wdzięczności Niniwie, że nam odkryła pana Layard'a,” który jak wiadomo dużo kłopotów sprawiał występowaniem swém opozycyjnem ministerstwu lorda Aberdeen.

Uczony i krokodyl, przedstawia nam ustęp z życia Adamsona, angielskiego podróżnika; jestto bardzo dowcipna satyra na starożytników angielskich: zdaje nam się, że świeżo przez jeden z dzienników warszawskich został ten artykuł przedrukowany.

Anglicy u siebie, jestto szkic z obyczajów angielskich; zajmujące zawiera opisy z życia tego oryginalnego i potężnego narodu.

Podobnież znakomitej wartości jest artykuł Emersona o *Anglikach*, przetłumaczony do Księgi Świata z *Revue des deux Mondes*, z kąd wzięła go jedna z gazet warszawskich, a następnie w feiletonie *Czasu* był zamieszczony.

Sceny z życia indyjskiego tłumaczone podobnie z *Revue des deux Mondes*, dalej, z oryginału francuzkiego pokazały się w jednym z dzienników angielskich; z kąd *Revue Britannique* wzięła go do swoich kolumn, a z niej powtórnie pokazały się w polskim języku w kolumnach *Gazety Warszawskiej*.

Zajmujące są również artykuły: „Wyprawa do bieguna północnego dla odszukania Franklina;” „Odkrycie przepływu północno-zachodniego, przez kapitana *Mac Clure*” (z mapą); „Opisanie Meksyku i gór Skalistych;” „Opis Konstantynopola, Bejrutu;” „Przeprowadzenie kanału przez między-morze Suez” (z mapą w kraju wykonaną); „Podróż do Chin Roberta Fortune;” „Hawana i wyspa Kuba;” „Opis wód *Vichy*” przez Dra. Tripplina (zebrany z dzienników niemieckich). Jak widzimy część ta Księgi Świata jest pracowicie i starannie obrabiana i pod tym względem nie ustępuje ona bynajmniej dziennikom miejscowym, razem z temiż, a często i wcześniej zamieszczając artykuły wybierane z lepszych źródeł zagranicznych, a które bardzo mogą być użyteczne dla czytelnika, pragnącego być obznajmionym z przedmiotami mniej mogącymi być dlań przystępnymi.

W części artykułów specjalnych znajdujemy ważne prace profesora Pisulewskiego o fosforze, aerolitach, podobnież o telegrafach, pana J.; w tym przedmiocie Biblioteka nasza ważnej treści artykuł oryginalnie napisany zamieściła w kolumnach swoich w roku zeszłym, wraz z drzeworytami przyrządów telegraficznych w najnowszych czasach używanych. Dalej artykuły pana Adama Wiślickiego z historii naturalnej dorabiane do rycin; podróże jego geologiczne wraz z p. Löwenhardem świadczą o pracy i staranności autorów. Żałujemy, że nie możemy się częściej spotykać z imieniem ks. Józefa Wyszyńskiego, którego kilka artykułów z dziedziny nauk przyrodzonych, odznaczają gruntowną znajomość i zamiłowanie przedmiotu. Niemniej zasługuje tu na wspomnienie zgasły Eustachy Leśniewski, autor i tłumacz wielu dzieł z dziedziny historii naturalnej, któremu Księga Świata zawdzięcza wiele prac interesujących w przedmiocie nauk przyrodzonych.

Artykuły pod nazwą *Mechanika popularna* p. Piętraszka, zamieszczane seryjami w poszytach Księgi Świata są pełne wartości. Autor jest jednym z techników naszych, którzy poświęcają

się zawodowi swemu praktycznie, i o ubogiem polu téj gałęzi literatury nie zapominają. Mniemamy, że prace tego rodzaju tém więcej mogą być użyteczne, gdy teoria z praktyką razem tu w parze idą. Również interesującym jest opisanie tegoż autora zakładów spółki parowej pod sterem And. hr. Zamoyskiego, który niezmordowanie usługi swe w wielu ważnych nader gałęziach rolnictwa i przemysłu krajowi poświęca, tak na polu praktyki jako téż i z piórem w rękę.

Z artykułów oryginalnych spotykamy interesujące opisanie wycieczek dwóch do stepów kirgizkich, pana Bronisława Zalewskiego, niemniej Podróże pana Oskara Flatta.

Z artykułów specjalnie poświęconych sztukom pięknym, czytaliśmy nader ważną pracę pana Józefa Sikorskiego, pod napisem: „Splecenie muzyki z życiem dawnych Polaków,” gdzie autor historycznie przechodzi rozwój pieśni i towarzyszącej jej muzyki. Tegoż pełnej wartości pióra jest „Jan Sebastyan Bach”. Pan Kanigowski przedstawił studyum o instrumentach smyczkowych.

Z opisowych i historycznych kraju naszego znajdujemy pióra znanych autorów: jak zasłużonego i zacnego Juliana Bartoszewicza, Skimborowicza, Podczaszyńskiego, Lud. Jenike i innych.

Biała Radziwiłłowska (wraz z ryciną zamku) pióra pierwszego, nie jest to bynajmniej przepisanie wiadomości ogłoszonych w Starożytnéj Polsce Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego, zkąd młodzi niektórzy autorowie czerpią swe daty, ale umiejętne zebranie wiadomości z nieznaných źródeł. P. Julian Bartoszewicz obok mozolnych obowiązków zawodu swego, oddaje się z całym poświęceniem, godnym uwielbienia, pracom historycznym. Wiek XVIII jest głównym przedmiotem studyów jego: praca to trudna, trzeba tu stworzyć prawie wszystko, i wśród gruzów i pyłu niewielu pomników odszukiwać życia narodu: trzeba z całą wytrwałością i poświęceniem śledzić owego ducha, badać przyczyn upadku jego, który w tym czasie najwydatniej objawiał się, a zbudzony jak senny w marzeniach, niepewnie chwytal się różnych wspomnień; nakoniec przyszedłszy do ocknienia się i przytomności, począł zbierać i cucić siły swe, ale nieszczęsne warunki w których był postawiony, nie dozwoliły mu, myśli swéj objawionéj w wiekopomném dziele, utrwalić w życiu późniejszym. Z prac z wieku tego zacnego autora znajdujemy w Księdze Świata ustępy z dziejów Warszawy, o których poniżej wspominaemy; dalej czytamy historią (o niéj co dopiero mówiliśmy) miasta

Biały, należącego do tak niegdyś potężnej rodziny, która tylu mężów krajowi wydała, mężów pełnych zasługi i wdzięcznego wspomnienia.

Biała Radziwiłłowska, księżęca zwana, dla różnicy od innych miasteczek podobnego nazwiska, położoną była w dawnym województwie brzesko-litewskim; dzisiaj jest stolicą powiatu i leży w gubernii lubelskiej.

Długim pobylem uwiecznili ją Radziwiłłowie, w których rękę zostawała przez półtrzecia wieku. Należała zaś do tej linii Radziwiłłów, która posiadała ordynacyą na Olyce i Nieświeżu, ale zawsze dostawała się młodszym braciom; zdarzało się jednak, mówi autor, iż po bezdzietnych panach swoich wracała do ordynatów i dlatego historia jej wiąże się z wspomnieniami księżąt Nieświeża. Po bracie swym wziął Białę hetman Radziwiłł Rybeńko, a potem odziedziczył ją syn hetmański, książę Panie kochanku; ostatni ordynat Nieświeżski Dominik Radziwiłł był zarazem i ostatnim z linii swój panem na Biały."

Dzieje Biały, która posiadała swoją akademią, filią krakowskiej Akademii, autor zebrał w oddzielnym opracowanym dziełku pod tytułem: Zamek Bialski, zawierającym obrazy ludzi i czasów, życiorysy Radziwiłłów i t. p.; ustęp zaś jeden z Zamku Bialskiego był drukowany w r. 1851 w jednej z gazet warszawskich: w tej zaś pracy autor podał legendę przywiązaną do miejscowości i opis historyczny początku istnienia miasta Biały. Jak wszystko z pod pióra p. Bartoszewicza, tak i ten urywek z dziejów możnego domu tchnie rzewnym uczuciem, jasną i pogodną myślą, przelaną często w bardzo piękne zwroty, które artystyczną stanowią całość. Rycina wyszła z zakładu Banku Polskiego jest jedną z lepszych, jakie w Księdze Świata w zakładach krajowych wydanych, znajdujemy.

W tomie znowu 1 z r. 1856 spotykamy się z wyjątkiem z dzieła przez autora napisanego pod tytułem: Pamiętniki biskupa Żaluskiego. Jest to poselstwo księdza Jędrzeja Żaluskiego do Portugalii i Hiszpanii w r. 1674 i 1675 odbyte: w pierwszej części opisana podróż do Portugalii, w drugiej do Hiszpanii. Okazją do poselstwa dał rozkaz umierającego króla Michała Korybuta, aby order Złotego Runa królowi hiszpańskiemu wedle zwyczaju, zaraz po śmierci był odwieziony. Wuj Jędrzeja, Olszowski biskup krakowski, podkanclerzy koronny, wybrał siostrzeńca swojego w tym celu, a który opatrzony od prymasa arcybiskupa gnieźnieńskiego księcia Czartoryskiego listami wierzytelnymi do

króla hiszpańskiego i Portugalii, puścił się na Berlin i Paryż do celu swego. We Francyi spotkał się z Rafałem Leszczyńskim, młodym naówczas starostą wschowskim, a który jak wiadomo był ojcem króla Stanisława. Po wielu przygodach wraz z swemi towarzyszami podróży przybył do Madrytu, lecz dwór bawił wówczas w Aranjuez, a niechcąc tracić czasu na czekaniu nań, (gdyż oddawanie orderu Złotego Runa jedynie w stolicy mogło się odbyć), młody poseł za pozwoleniem króla hiszpańskiego udał się tymczasem do Portugalii, do której przybył po wielu tragi-komicznych przygodach. „Przyjemne (mówi autor) towarzystwo posła (duńskiego, który kanonika odprowadzał) ustało, ale nowy wypadek bardzo dla wszystkich naszych podróżujących niemiły, przerwał jednostajność, dając powody do nowych wrażeń. Wywołali go sami Polacy, najprzód nieostrożnością swoją, a potem gniewem. Przyjechali do Badajoz, dzień cały straszliwie tłukąc się na mułach. Był to dzień postny. Zapasów żadnych rybnych nie mieli, niepodobna było ślać i trudzić służbę żeby wyszukać coś postnego; dał więc sam sobie na ten dzień Załuski rozgrzeszenie (przyznaje się dobrowolnie do tego), kupił kilka gołębi i kazał z nich zwyczajem polskim zrobić frykasy, bo żołądek gwałtem się swego domagał. Sami zatem zajęliśmy się wieczorzą, opowiada Załuski, obskubaliśmy gołąbki z piór, upiekli, usmażyli i podali na stół, nie troszcząc się o dzień jutrzejszy. Weseli poszliśmy spać, i nie przewidzieli, że radość nasza za kilka chwil przemieni się w lament, a nawet i gniewy. Nazajutrz albowiem, kiedyśmy się spytali gospodnika ile mu się za nocleg należy, odpowiedział: „pięć piastrow,” a piastr hiszpański znaczyl więcej jak dukat cesarski. Niceśmy od gospodarza naszego nie kupowali, więc to jego żądanie zadziwiło nas, a Gurowskiemu (sekretarzowi jego) wymknęło się kilka słów gniewnych. Ale Hiszpan tego nie darował i z dumą zamiast pięciu zażądał teraz dziesięciu piastrow. Oczywiście nie mogliśmy się nie gniewać: ale na nic się nie zdały nasze żale, bo czém więcej nastawiliśmy na gospodnika, tém on zapaleczywił cenę noclegu co chwila o pięć piastrow powiększał. Doszło nareszcie do ogromnej summy 50 piastrow, a wtedy gospodarz dodał groźbę do słów, i zapowiedział nam wyraźnie, że jeżeli nie zapłacim, doniesie nas zaraz inkwizycyi świętej, żeśmy w dzień postny jedli gołębie mięso. Co było robić? Mogłem wprawdzie pod zasłoną mojego charakteru poselskiego opuścić Badajoz, ale kiedym zważył ociężałość Hiszpanów, zląkłem się straty czasu i pieniędzy i musiałem

wejść z gospodarzem w układy. Zacząłem mówić do niego słodko, tłumaczyłem się koniecznością, wreszcie ofiarowałem mu coś więcej nad 10 dukatów cesarskich, które ten bezwstydnny człowiek odebrawszy opuścił nas. Jednakże nie mogliśmy się tak prędko uspokoić, chcieliśmy naturalnie odwetu, potrzeba było udawać że się nic nie może. Wiedzieliśmy, że niedaleko szła granica Portugalii, jednakże zmyśliwszy niewiadość, prosiliśmy gospodarza, żeby nas odprowadził do granicy, oczywiście za nagrodą pieniężną. Czego nie dokaże miłość złotego kruszcu? Gospodarz zgodził się i wyprowadził nas za bramy miejskie, a kiedyśmy je przebyli, tysiącem pytań zarzuciliśmy przewodnika, niby to informując się o jedno lub drugie; tak że z nami poszedł aż na połowę mostu. Tutaj już była ziemia i władza portugalska; tutaj więc spokojni o prawo mogliśmy nauczyć rozumu naszego przewodnika, jak ma się z gośćmi swemi obchodzić. Już nie słowami więc, ale różgami ocięliśmy go porządnie, a mieliśmy jeszcze z Polski tęgie rzemienie tatarskie. Spodziewam się, że nasz poczcwiwiec długo pamiętał i naukę i łakomstwo swoje."

Do Lizbony kanonik Załuski przybywszy, dał zaraz znać sekretarzowi stanu; ale minister ten który dobrze musiał znać Indye i Amerykę, nie miał żadnego pojęcia o Europie. Zabawnym jest to, co podaje nasz poseł o jego nieświadomości: minister nie wiedział nic o Polsce, co to za kraj i gdzie leży. „Napisał do naszego posła bilecik i żądał od niego listów wierzytelnych. Znalazłszy więc w nich wyraz." „*Polonia*" wziął łatwo *Polonia* za *Colonia* i sądził że Załuski przybył w poselstwie od księcia elektora niemieckiego. Potem jednak obejrzawszy lepiej listy wierzytelne, gdy zobaczył na nich podpis księcia prymasa Floryana Czartoryskiego, wyobraził sobie, że Załuski był jego pełnomocnikiem. „Zmarnowałem dni kilka napróżno, mówi Załuski, ucząc tego prostaka, którego nazwiska nie chcę wymieniać, żeby mu wstydu po świecie nie narobić, zanim go zdołałem przekonać kto jestem i zanim mu wytłumaczyłem, żem poseł od Rzeczypospolitej Polskiej." Przy tej okoliczności Załuski przytacza jeszcze jeden przykład grubej niewiadości tego ministra. Portugalczyk ten przesyłając mu raz wiadomości z Polski, które świeżo na jego ręce nadeszły, dodał od siebie, iż z pewnością wie o tém, że Tatarowie *oblegli* ją całą, tak jak gdyby Polska była jaką twierdzą, albo miastem. Drugi raz opowiadano o nim Załuskiemu, że posła Wielkiej Brytanii pytał się: czy Anglia jest w Londynie? czy też Londyn w Anglii?" Podobne przykłady ograniczoneści cu-

dzoziemców w rzeczach ich nie dotyczących i dzisiaj znachodzą się zbyt często, dlaczegoż więc mamy się dziwić dawniejszym chociażby i ministrom.?!

W drugim opisie opowiada autor powrót kanonika Załuskiego (który liczył wówczas lat 23), do Madrytu i wręczenie uroczyste orderu Złotego Runa. Zanim jednak to uskutečnił, chcąc zyskać na czasie, aby zły wpływ wiadomości o obraniu Sobieskiego królem, na królowę hiszpańską podówczas rządzącą krajem podczas małoletności króla przeminął, (życzyła sobie bowiem ta pani, będąc domowi cesarskiemu całkiem przychylną, aby który z książąt Lotaryngskich był królem obrany, a potem ożenił się z jej siostrą Eleonorą wdową po Korybucie), puścił się w podróż na południe, gdzie różne ciekawe spotykały go epizody, a które żywem autora opowiadaniem nader zajmująco są przedstawiane.

Pióra tegoż autora czytamy bardzo interesujące artykuły: Sulejów (tom II 1855). Warszawa w końcu 1702 r. (tom II 1855), Sołohub (tom II), do których odsyłamy czytelnika, a upewniamy go naprzód, iż mile przepędzi czas czytając prace tyle zasłużonego i tak sumiennego autora.

Wit Stwosz (tom I. 1855) z prześliczną ryciną Matki Boskiej bolejącej nad ciałem Chrystusa. Rycina ta mogłaby służyć za wzór niektórym naszym artystom, którzy nie bacząc na podpis i imię swój pracowni, staranie i trudy odmierzają ilością honorarium. Na drodze sztuki nie mieliśmy dotąd handlu, przywieziono go nam wraz z nią z zagranicy.—Artykuł ten, życie i prace Wita Stwoza traktujący, piora jest znanego i zasłużonego pana B. Podczaszyńskiego. Nie jestto pobieżnie skreślony życiorys, przeznaczony, aby zapelnąć pismo peryodyczne kilką słowy brzmieniem bez wartości dla jutra; przeciwnie chociaż krótka to, ale gruntowna praca: widno, że autor użytkował z różnych źródeł tak ojczystych jako i obcych. Stwosz nasz artysta zrodzony na polskiej ziemi, onęj téż służył długo i ubrał ołtarze jej i świątynie w wiekotrwale ozdoby: potomność przyznała mu, że był największym swego czasu snycerzem; poprawnością kształtów, rzewną i wzniosłą prostotą myśli, przewyższył innych znakomitych snycerzy jak Wolgemutha. Krafa i innych w tym rodzaju jak on pracujących. Imię jego odkryte z prac przez niego pozostawionych zabłysło po raz drugi w cztery wieki po śmierci jego. Współcześni nie umieli go dość wynagrodzić. Niemcy, aby zatrzymać go w swoich murach, wymyślili haniebny na niego czyn, za karę którego musiał pozostać do końca życia w No-

rymberdze. P. Podczaszyński twierdzi, że powieść o takowym jest nieprawdziwą, opierając się jedynie na rozumowaniu, iż kara jakiej uledez miał, bynajmniej nie wpłynęła na poszanowanie i wziętość jakiej doznawał u najznakomitszych ludzi później i aż do skończenia dni żywota swojego, i przytacza, że najpierwsi patrycyusze i mistrzowie norymbercy jak Sebald Schreyer, Antoni Tucher, Jakób Welser, Adam Kraft, Albrecht Dürer, Michał Wolgemuth i inni wciąż po dawnemu w przyjaźni z nim żyli, opieką swą zaszczykali i chętnie roboty mu dawali, a utwory Stwosza coraz jeśli można większej jeszcze nabywały wziętości i rzeczywistej doskonałości. Wkrótce ożenił się w Norymberdze z Barbarą Herszin, a synowie jego przez cesarza Maxymiliana II uszlachceni zostali.

Przypuszczenie to pana P. nie zdaje nam się być bynajmniej nie prawdopodobnym: nadanie szlachectwa przez cesarza niemieckiego synom bez wielkich zasług ojca na polu sztuki nie byłoby niezawodnie nastąpiło, gdyby zasługi te kaźnią podobną jak publiczne piętnowanie splamione zostały a skutkiem tego zasługi w niepamięć byłyby poszły, przynajmniej imię jego podobnie shańbione, nie mogło być uszlachetnione. Lecz czegoż przypuścić nie można, do czego by nie byli zdolni Niemcy jego przybrani współziomkowie, których systematem jest egoizm narodowy i najwyższa w tyłu niesprawiedliwościach historycznych i współczesnych objawiona nienawiść ku plemieniu polskiemu, i w ogóle plemieniu słowiańskiemu. Wszelako przypuszczenie autora można przyjąć tylko *cum beneficio inventarii*. Poeta nasz spisał wypadek, przedstawiając fakt ten jako istotny, ale oczyszczając Wita od winy.

Kraków kilka posiada pomników prac Stwosza, między innymi oltarz wielki w kościele N. P. Maryi, przedstawiający grupę z kilkunastu osób wraz z mnóstwem prześlicznych ozdóbek w płaskorzeźbie. Oltarz ten mający wysokości 22 łok., a szerokości przy otwarciu drzwi dwuskrzydlnych 17, jest pomnikiem sztuki, który równego sobie zdaniem znawców nie znajduje. Dwanaście lat życia swego poświęcił Stwosz dziełu temu, budowanemu z woli i kosztem mieszczan krakowskich za panowania Kazimierza Jagiellończyka; rozpoczął go w r. 1477, a po skończeniu miasto podarkami go obsypało, a zgromadzenie malarzy krakowskich podówczas połączone z snycerzami w jedno ciało, po kilkakrotnie cechmistrzem swoim go mianowało. Rysunek oltarza tego ma być we *Wzorach sztuki średniowiecznej* wydany;

mniemamy, iż p. Fajans, który okazał w takowych, jak i w swych *kwiatach* co zakład jego (grzeszący nadzwyczajną drogością) potrafi, będzie umiał dzieło to godnie zbiorowi całemu i pierwowzorowi swemu przedstawić.

Żałować tu nam przychodzi, iż zbyt wczesna śmierć Karola Balickiego, cichego i skromnego, a jednak pełnego pracowitości sumiennej i zdolności malarza krakowskiego, nie dozwoliła mu dokonać odrysowania ołtarza Stwosza; jakkolwiek sądymy, że młody jego następca mający sobie obecnie powierzoną po nim pracę, jak z niektórych robótek jego okazuje się, będzie starał się umiejętnie podjąć ogromnemu zadaniu swemu.

Znany i po tylokrotnie opisywany grobowiec Kazimierza Jagiellończyka na katedrze wawelskiej jest podobnież pomnikiem pracy Wita Stwosza.

Miasta niemieckie posiadają mnóstwo robót naszego mistrza: jak Magdeburg, Norymberga i inne. Pan Ambroży Grabowski poświęcił dawniej kilka prac badaniom pomników sztuki Stwosza, umieszczonych w Starożytnościach krakowskich i innych pismach; jednakże tu przychodzi nam wyrazić żal, że dotąd inni nasi archeologowie nie zdobyli się na oddzielną wydaną historią życia i dzieł naszego krakowskiego mistrza: mamy nadzieję, że niektórzy z młodszych zechcą poświęcić pracy tej umiejętnie i zręczne swoje pióro, a mówiąc to, stosujemy głównie myśl naszą do tych, których imię już wcześniej znane, najspсобniejszemi ich do tego czyniły.

Tegoż autora znajdujemy życiorys Torwaldseny; jest w nim wspominka o pomnikach jego pracy, które Kraków posiada, mianowicie téż posąg Chrystusa, umieszczony w kaplicy Potockich na Wawelu. Dla wielkiego rzeźbiarza miasto to dostarczyło kilka przedmiotów do studyów, mianowicie téż ów ołtarz w kościele P. Maryi Wita Stwosza, któremu całemi godzinami przypatrywał się z lubością, i posąg Piotra Kmity u progu Wawelskiej katedry stojący, w którym rycerskiego ducha przelanego w marmur, nie dość potrafił podziwiać.

Miło jest między artykułami historycznymi spotkać się z imieniem Seweryna Gołębiowskiego, a które u nas tak sympatycznie znane było. Jestto małe szkice życia Eustachego Daszkiewicza owego głównego i pierwiastkowego organizatora kozaczyzny.

„Byłto poddany (mówi autor) z Owrucza, z dóbr ks. Ostrogskiego, sprytny, odważny, wolał szablą machać, niż plugiem

ziemię krajać. Na wojnie prędko się odznaczył, bo miał do niej zdatność. Piérwsze jego pole w boju było z Tatarami, którzy bezustannie grabieżyli na pograniczu. Piérwszą wzmiankę spotykamy o nim w kronikach pod dniem 14 listopada 1501 r., kiedy wodzowie moskiewscy pod Mścisławiem odnieśli zwycięztwo nad księciem Izaślawskim Michałem i Eustachym Daszkiewiczem. Na placu legło 7,000 Litwinów. W roku 1503 zbiegł do Moskwy”.

Następnie Daszkiewicz po kilkuletniej służbie téjże powrócił do kraju ojczystego i odtąd wiernie mu służył. Król Zygmunt za wstawieniem się księcia Ostrońskiego nietylko winę mu darował, ale i opatrzył go starostwem czerkaskim. I odtąd zaczyna się w życiu jego epoka, od której datują się ogromne usługi, jakie królowi i ojczyźnie swój przynosił, to organizując kozaków, to za ich pomocą wpadając na Tatarów krymskich i oczakowskich, burząc ich miasta i zabierając ludność w jassyr, to znów społem z nimi jako sojusznikami, uderzając na Moskwę. I tak w r. 1515 wraz z Girejem wpadł w kraj siewierski, w r. 1521 wydarł Kazań szachowi Alejowi, który był wiernym sprzymierzeńcem Rosyi. W roku 1528 Przeclaw Lanckoroński starosta chmielnicki wraz z Daszkiewiczem starostą czerkaskim (a więc nie wojewodą trockim jak p. Połujański w artykule o kozakach wspomina), tudzież z innemi puścił się pod Oczaków i po trzechkrotnej potrzebie z Tatarami powrócił z zdobyczą znacznej ilości bydła i koni. Na radzie królewskiej zapytano Daszkiewicza, jak temu zapobiedz, żeby Tatarowie szkód u nas nie czynili. „Rzecz bardzo prosta, odpowiedział, trzeba ciągle trzymać na Dnieprze 2,000 człeka, którzyby na czajkach przeprawy bronili, a kilkaset jazdy coby dla nich żywność obmyślała. Do tego poosadzać zamki na ostrowach i grody w miejscach warownych”. Podobala się wszystkim ta rada, ale przecież nie nie zrobiono zwyczajem naszym, gdzie dla braku silnej woli częstokroć najpiękniejsze nikły rady i zamiary, a które wielu klęskom a nawet i upadkowi zaradziłyby były mogły. Historia nasza posiana jest szlakiem podobnych faktów.

Mówiąc o Eustachym Daszkiewiczu wspomnimy nawiasowo o artykule o kozakach p. P.; mniemamy, że za obszerny to przedmiot na ramy Księgi Świata. Objąć historią a chociażby jakąbądź rozprawę o ludzie, który przez trzy wieki istniał i tak wielki wywarł wpływ na dzieje, a przynajmniej niektóre wypadki trzech sąsiednich państw w kilku stronicach, które zaledwo wystarczyłyby na opis materyi i rozdziałów pojedynczych, nie

wydaje nam się rzeczy odpowiednio. Wszakże szkic ten nie jest bez wartości, tém bardziej, że nowe źródła, bo rossyjskie autor przytacza.

Artykuł przez J. Ł. (*) o Janie Tarnowskim ma swoje zalety: widno autor znał w téj mierze prace źródłowe. Mówiąc o nim jak również o innych, byłoby do życzenia, aby autorowie o ile możności nie opuszczali w artykułkach lub monografiach historycznych źródłowych cytatał: w czasie tym gdzie historia tak bywa zaniedbaną, żaden autor nie może mieć za złe, że tego od niego żądamy; nie jestto skutkiem braku zaufania, ale wychodzimy z przyjętej i ustalonej już powszechnie zasady. W każdym razie wypadnie to z korzyścią dla czytelnika, który widzi, że podano mu rzecz gruntownie, pracowicie i źródłowo obrobioną. Od zacytowania autorowie tylko uznani i ugruntowanego wzięcia i powagi, mogą się dyspensować, a i to nie zawsze. Myślący czytelnik lubi spojrzeć niekiedy i na źródło, aby doń chociażby z ciekawości przy danej okazji zajrzeć.

P. Hippolita Skimborowicza spotykamy między kilku drobniejszymi ważniejsze prace: do tych zaliczamy życiorys Tadeusza Czackiego i Edwarda Raczyńskiego. Pierwszy przydomkiem wielkiego człowieka ozdobiony i otoczony czcią i niezaginioną pamięcią zakrótko żył, aby skutecznie to wszystko, do czego był zdolnym (**). Raczyński w swój prowincyi starał się wszelkimi środkami zasłużyć się krajowi.

P. Sk. należycie się wywiązał z zadania traktując w niewielu kartach tak olbrzymi przedmiot, jakim jest ocenienie Tadeusza Czackiego w trzech charakterach, to jest człowieka stanu, pisarza i opiekuna nauk, które w różnych kolejach kraju uwydatniał, a przytém załączając pokrótce ocenienie dzieł jego. Mniemamy, że myślą autora było przypomnienie obecnemu pokoleniu, aby częściej przypatrywało się olbrzymim postaciom, jakie przeszłość narodu pozostawiła, a którym podobne, dziś niestety rzadko i coraz rzadziej widzieć możemy. Nasz nestor historyków, wiekiem zgarbiony Joachim Lelewel, jeszcze kiedyś na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk warszawskiego w d. 26 kwietnia 1826 r. odbytém, odczytał bardzo wysokiej wartości i jak wszystko z pod pióra jego wyszłe, napojony erudycją olbrzymią i głębokimi

(*) Pióra pewnej damy.

(**) Czacki umarł bardzo jeszcze młodo; urodził się 1765—1813. (Lelewel w rozbiórce prac historycznych Naruszewicza i Czackiego).

sposprzeżeniami *Rozbiór prac historycznych* Adama Naruszewicza i Tadeusza Czackiego. Historyk nasz lubi, jak wiadomo, robić parrallele, i w tej pracy podobną uskutecznił. „Wielkich ludzi wspomnienia podnoszą umysł i serce; kiedy więc Naruszewicza i Czackiego wymieniam (mówi Lelewel), widzę jak myśl każdego obudzona w dawną przenosi się przeszłość, wielą rozmaitych wyobrażeń i rozmaitemi napełniona wzruszeniami wielokrotnego oczekuje tych imion wspomnienia. A jeżeli imiona Naruszewicza i Czackiego każdemu z narodowym polskim uczuciem nie są obojętne, bliżej jeszcze was koledzy obchodzą, i że tak powiem podwójny w gronie waszém wzbudzają interes. Nietylko bowiem w nich rodaków i w świecie naukowym zasłużonych widzicie, ale oraz mężów, którzy bądź na wasze prace, bądź na wasz byt, nie mały wpływ wywarli....

„Jeszcze te mury w których dziś zasiadamy czuła u nas wzbudzające pamięć, a pewniejszych gronu naszemu posad dodające, jeszcze nie były dźwignione, kiedy Czacki w tém zgromadzeniu pracował. Zimny kamień pokrył większą część ówczesnych członków, których wieczność do siebie powołała. Prawie już nie mam i nie mam kogo wzywać, by poświadczał osobiste w tém gronie Czackiego zasługi (*), wszakże niewygasła pamięć tkwi głęboko w sercach naszych....”

Mniemamy, że śmiało powiedzieć możemy, iż niewygasła pamięć tych mężów, tkwi głęboko w sercach całego narodu!

W życiorysie Edwarda hr. Raczyńskiego znajdujemy zebra nie dat o jego czynach, pismach i wydawnictwie. Raczyński był jednym z ludzi, którzy nie doczekali się za życia bezstronnego sądu, jaki opinia wydać nań miała; a pamiętna wspomnień historycznych wiążących się do nazwiska, zawsze więcej biernie względem niego trzymała się, a nawet niekiedy zbyt ujemnie objawiła. Raczyński dotąd w lat 12 po swój śmierci nie doczekał się sprawiedliwego sędziego, i trudno aby ktoś w czasie jeszcze tak blizkim jego traicznego skonu, był w stanie należyty, bezstronny i zupełnie swobodny wydać sąd. Dlatego z przyjemnością przeczytaliśmy ustęp autora, z którego widno, że na życie Edwarda Raczyńskiego z podobnego zapatrywał się stanowiska. „Są lu-

(*) Żyli podówczas, jak sam Lelewel dodaje w przypisku, jeszcze z pierwszego składu towarzystwa: Lindo, Tadeusz Mostowski, Józef Sierrakowski, Jan Śniadecki, Stanisław Soltyk, Kajetan Kamiński, St. Grabowski i Jan Wyleżyński.

dzie (mówi p. Sk.), o których nie można wszystkiego wypowiedzieć wkrótce po ich skonie. Spółcześni już to stronnością, już innemi unosząc się względami, muszą częstokroć potomnym dopiero sąd bezwzględny o mężach niektórych zostawiać. Do liczby tych należał i ś. p. Edward Raczyński. Mamy tu przebież jego żywot, lecz praca nasza będzie raczej tylko szkicem opisowym życia a nie biografią szczegółową, jaka czeka hrabiego w przyszłości. Podamy tylko same fakta, bez rozumowań: i te już dosyć powiedzą. Wszakże wyrok prawdziwy, pod innemi wypaść musi danemi”.

I autor artykułu odpowiedział zupełnie przez siebie położonemu zadaniu, streścił starannie prace na różnej niwie ś. p. Edwarda; nie mielibyśmy mu nic do zarzucenia, prócz zamieszczenia mniej odpowiedniego bezstronnemu artykulowi, owych przypisków zawierających historią napisów na domu Raczyńskich w Warszawie. Opinia mogła naówczas rzucać kamienie na imie Raczyńskich, ale w życiorysie ś. p. Edwarda Raczyńskiego, wypadło oszczędzić rzucenia i tego małego, na smutny grób jego, kamyka. Pana Skimborowicza są także artykuły: Ogrodziniec (z ryciną), Chęciny.— O Tatarach znajdujemy w t. II p. 303 r. 1854 artykuł, zajmujący ciekawe daty z Daniela Schlötera, który lat kilka między Nogajcami przepędził. Jeden z młodych autorów, jak wiemy, poświęca pracę swą ku objaśnieniu stosunków i zajęć Polski z temi pierwowzorami baszy-bozuków tureckich.

Między opisowemi, spotykamy artykułik pana Tripplina wraz z ryciną górali karpackich. Ma to być kopia obrazu będącego w zamku Nidzicy w Węgrzech. Góral z góralką bardzo przypominają na rycinie czułe sceny Romea i Julii; Dr. Tripplin objaśnia nam podaną historyjką los bohaterów, a którzy zupełnie niepretensjonalnie nosili imiona, to jest Jaśka i Teklusi.

Pana Ludwika Jenike (redaktora) mamy tu kilka artykułów ważniejszej treści, oryginalnie napisanych, obok wielu tłumaczonych: „Adelaida Ristori i Bogumił Dawison”; „życiorys Augustyna Thierry” z zajmującym poglądem na historyczną literaturę francuzką i prace tego dziejopisarza. „Mazepa”, „Izaak Newton”, „Stefan Czarniecki (*).” Ostatni zaliczyć trzeba do najlepszych i naj-

(*) Pan Jenike prócz tego współpracownicy w innych pismach, a oddzielnie wydał historią powszechną nowożytną w przekładzie z niemieckiego, bardzo użyteczną i wysoko cenioną.

staranniej opracowanych życiorysów (liczy 67 stronnic); autor w pracy swój nietylko czerpał z znanych rzeczy o Czarnieckim, ale i sam takowych wyszukiwał i umiejętnie z nich korzystać umiał. Artykuł ten tak się zaczyna: „Dzieje ludzkości, w jakim-bądź czasie lub miejscu badawcze na nie rzucimy wejrzenie, potwierdzają tę prawdę, że w chwilach najważniejszych zjawiają się zawsze wielcy ludzie, co radą, czy orężem dźwigając sprawę powszechną, uważani być winni za wybrańców Opatrzności, za narzędzia, przez które konieczność historyczna odwiecznym spełnia się wyrokiem. Epoką podobną w dziejach dawniej rzeczypospolitej polskiej było panowanie ostatniego z Wazów, pamiętne nietylko klęskami zewnętrznymi, ale nadto bezrządem wewnętrznym, a nadewszystko wyuzdaną swawolą stanu szlacheckiego, niezgody domowej i sobkostwem możniejszych, których działania prywatnym zwykle nacechowane interesem, rozprzegając jedność rządu i osłabiając powagę królewską, rozsiewały tém samym po kraju żarzewie nieustannych zatargów. Jeżeli w takim czasie zlewających się zewsząd na Polskę nieszczęść, pomimo niedostatku skarbu i wojska, męstwo jednego obywatela uchować ją mogło od zguby; jeżeli dzielne jego ramię oprzeć się zdołało przemocy i wrócić skolatanemu narodowi chwilową przynajmniej spokojność: to niepodobna w tém nie dopatrzeć palca Bożego, spełnienia wyższego wyroku, którego wykonawcą został żołnierz-bohater, zasługą tylko i cnotą wzrosły wśród bitew i obozu” Z tego ustępu może czytelnik powziąć wyobrażenie o stanowisku jakie autor przyjął i z jakiego zapatrjuje się na dzieje, opowiadając życie naszego bohatera. Dodamy tu tylko, iż w pracy tej spotkaliśmy dwa nieznane dotąd z życia Czarnieckiego, szczegóły, a mianowicie téż datę nominacyi na hetmana polnego i datę śmierci, jak niemniej niektóre inne, a wyciągnięte z ksiąg metrycznych archiwum koronnego.

Między artykułami oryginalnie napisanemi spotykamy się z autorem, którego radzibyśmy częściej widywać na arenie literackiej; jestto jak sam się nazwał *Mnożystaw Przekora* (Tomasz Dziekoński). Znajdujemy w wspomnieniach starego szlachcica bardzo dużo prawdziwego humoru i niekolącego sarkazmu. Tak o sobie p. Przekora pisze: „Najprzód i to dobre dla pamięci zapisać, matka moja, jako dobra katoliczka, chciała aby mi dano imię patrona, w którego uroczystość przyszedłem na świat, tojest Pankracyusza, ale nie tego co Fryderykowi II cytryny i pomarańcze zamroził; mojego patrona przypada dnia 3 kwietnia. Ojciec

dawniej był za tym chwalebny zwyczajem; wtedy nie wiem co mu się stało, koniecznie obstawał za słowiańskim imieniem, a choć podówczas nie było ich jeszcze w naszych kalendarzach, jednak szczęśliwie natrafił na imię Mnożysława. Czy mu się podobalo mnożenie, czy tylko sława, czy może z przeczucia był sławianofilem, tego wcale nie wiem; dość że się tak uparł przy tém imieniu, że choć ksiądz proboszcz, którego wielce poważał, przekładał mu, iż takiego świętego nie ma w całym martyrologium, on przecież nie ustąpił, póki go proboszcz choć na drugim miejscu w metryce nie zamieścił, bo podobno przy ceremonii chrztu św. wcale go nie wymówił. Cóżkolwiekbydź zawiódł się srodze ojciec mój w widokach względem mnie; bo innożenie mi się nie powiodło, a sławie i tak ledwo trąba nie pękła przy roztrąbianiu mnóstwa wysokich naszych talentów. Chociaż więc nie byłem paniczem, zrobiłem jednak tak jak nasi panicze robią, *nadąłem się sławą przodków i żyłem wygodnie z tego, co ojciec przy-mnożył*".

Genealogia autobiografa jest oryginalnie ciekawą, jest to coś nakształt karykatury na podrabiane drzewa rodowe..... „Żałuję że m się społecznym nie urodził Niesiekiemu, (który o nim nic nie wspominał) byłbym mu oczy wyklął mojemu dokumentami; teraz nie mam innego sposobu, tylko naprawić jego nieświadomość. Otóż najprzód mam najstarszy dyplom w większej połowie przez myszy zgryziony, a to dowód niemylny, że jeszcze przed królem Popielem wydany. Ja na nim wprawdzie ani litery dojrzeć nie mogę, ale sławny jeden archeolog z Osieka jeszcze wyczytał *Scepan Pssekora* i wniósł że to jest nadanie obszernych włości przez pierwszego naszego króla Lecha. Mam następnie dowód, że *Smieszko Przekora* był pacholkiem Piasta i on to właśnie wyrabiał ten miód, którym tak hojnie ten protoplasta królów naszych częstował i rozweselał panów w Kruszwicy. Że zaś miód ów w czolnie z za Gopła przywoził, dlatego zyskał łódź za herb. Od tego czasu idzie szereg nieprzerwany moich antenatów wysokie godności piastujących i w różnych powołaniach sławnych, i o niektórych wspomnieć muszę. Za Bolesława Wgo *Junak Przekora* głównie się tam gdzieś przyczynił do zwycięstwa, i dlatego tém imieniem zaszczycony. Obowiązkiem jego było prowadzić za obozem podwodne konie; kiedy więc żołnierze z przeciwnych stron brzegów rzeki swarzyć się zaczęli, on spostrzegł że się na bójkę zanosi: chociaż więc śmiały i waleczny, przecież o powierzone sobie rumaki troskliwy, zmykał czempredzję. Pod Płow-

cami, Władysławowi, choć małego wzrostu, lecz wielkiej głowy i mężnego serca, *Wściборz Przekora* siadającemu na koń królowi, nadstawił swojego grzbietu, bo masztalerz ze stołeczkiem gdzie się zawieruszył. Tym sposobem zwycięstwo jemu się właściwie należy. Na zjeździe Wislickim, gdy król Kazimierz ogłaszał nową ustawę, *Niemyśl Przekora* trzymał kałamarz i pióro. Do czego? nie wiem i on zapewne nie wiedział, ale to zawsze jest dowodem, że należał do ciała prawodawczego.

„W epoce złotej literatury naszej za Zygmunta Augusta, *Światłak Przekora* był naczelnikiem pałacowego oświecenia. Niech będzie jak chce, zawsze miał związek ze światłem. I literatów w mojej rodzinie nie brakło. Jeden z Przekorów z wielkim trudem i mazurem połatał urywki z różnych dzieł i zdań, i skleił jakieś ważne dzieło. Dzisiejsze historye to fraszka obok niego, ale cóż ówczesni księgarze, nie tak dbali o oświatę *jak dzisiejsi* (?), kupić rękopismu za marny nawet grosz nie chcieli, swoich zaś pieniędzy marnować nie mógł, bo mu za ledwo na węgrzyna i psianię wystarczało. Zresztą nie było podówczas litografii, żeby przynajmniej wizerunek autora potomności przekazała. Dziad mój wysokie także zajmował stanowisko w rzędzie ludzi oświeconych, czego dowodem jest sowa w herbie jego umieszczona, co i ja zatrzymałem. Nie był wprawdzie ani mówcą, ani poetą, ani geometrą, ani historykiem, ale był bardzo *uczonym*,” i t. d., i t. d.; potem pan Mnożysław przechodzi swoje kształcenie się, swoje prace literackie; o jednej z nich tak mówi: „Jeszcze gorzej mi się powiodło z powieścią moralno-obyczajową. Czytałem ją rozmaitym, nawet bardzo uczonym osobom, wszyscy uwielbiali, kobiety nadewszystko unosiły się nad wyrafinowaną przebiegłością bohaterki, z jaką umiała szlachetnie osłaniać przed mężem swoją cnotę. Jeden tylko ks. proboszcz był przeciwnego zdania. Coś upatrzył w powieści i nie wiem na jakiej zasadzie rzekł: *biada gorszącym*. Napróżno wyjaśniałem mu, że są dwa sposoby zaszczerpiania moralności, dodatni i ujemny. On mi na to: „toć ja wiem, mój panie, że ten wiek oświecony we wszystkichm coś nowego wynajduje, albo przynajmniej niezwykłemi drogami idzie: z tym wszakże ujemnym sposobem zdaje mi się jest coś podobnego, jak gdyby kto chcąc młodemu człowiekowi obmierzić pijaństwo, podawał mu w obfitości najponętniejsze wina i likwory. Możeby to i niezły był sposób, gdyby tylko w końcu nie obudził ciekawości do doświadczenia smaku prostej wódki, jak się zwykle dzieje.” I cóż powiedzieć na takie *dictum acerbum*? Nie si-

łać się na dłuższą rozprawę, powieść nad którą przez cały tydzień ślezczałem, puściłem na próbę ogniową, której nie wytrzymała.”— To zdaje się dotyczyć niektórych powieściarzy naszych, w tym właśnie sposobie piszących. Na tém zakończymy wyjątki z wspomnień autora, życzylibyśmy aby częściej sobie wspominał stare dzieje, a choć pogląd jego traci czasem i złośliwym sarkazmem, przecież jako dotyczący wad ogólnych, może być mile przyjętym przez czytelnika.

W życiorysie *Grzegorza Piramowicza* p. Antoniego Wieniarskiego znajdujemy trafne uwagi, które powtórzymy tutaj: „Każde głębsze zastanowienie się nad powołaniem człowieka autora przekonywa nas, że nie wielość dzieł, nie rozgłosna roznoszona częstokroć *najemnem* usty sława, ale pożytek choćby jednej pracy, szczerze usiłowanie dobra ludzkości i poświęcenie wszystkich chwil życia tym zasadom, otwierają wrota do szacunku współczesnych i do uwielbienia potomnych”. „Dziś przyzwyczailiśmy się wiele pisać i wiele mówić, a *te czyni nasze są dalekie od myśli i słów* tu ówdzie rozrzuconych. Czytając sypiące się obficie zdania i prawidła, zdawałoby się, że co krok jakąś uosobioną cnotę potracimy, a tymczasem wniknąwszy w życie, widzimy i to wszystko niby owe fata morgana usuwa się przed nami, zostawiając na swoim miejscu nagą rzeczywistość”. Musimy nawiasem powiedzieć, iż autor zbyt goryczą zaprawił swe pióro. Świat nie jest tak zły ani tak stary, aby żywe w nim i silne nie biło serce, lub myśl zdrowa przyjąwszy się nie krzewiła, a fata morgana kto ich szuka w miejsce rzeczywistości, to one jemu zawsze się po swojemu przedstawia.

„Dawniej starano się życiom, przykładami poprzód rady niesione ogółowi; dziś się o to nikt nie troszczy, jak gdyby do wystawienia gmachu dość było pięknie narysowanego planu, obrobionego projektu, jak gdyby dość tylko było rzucić kilkaset słów i głosić potem *jak się to wiele dla ludzkości zrobiło*”.

Po tym, piółunem napojonym wstępem, autor przechodzi pokrótce życie Grzegorza Piramowicza nie wedle dat skompletowanych, ale świeżych z rodzinnego źródła pochodzących.

Piramowicz potężną zakonu swego protekcją wsparty, dostał się do możnego domu Potockich, z trzema młodemi za granicę był wysłany. Ignacy Potocki jedna z kolosalnych figur naszej historii, był między temi młodzieńcami. Zawiązała się między nim a Piramowiczem ścisła przyjaźń; mimo różnicy 15 lat, przyjaźń ta długo trwała, a po skonie zakonu potężnego Lojoli, gdy

Piramowicz jak inni ex-jezuici pozbawiony był utrzymania, objawiła się skutecznie, bowiem Ignacy Potocki zawezwał go do dóbr swoich na plebana, pisząc tej osnowy list:

„Zawakowało u mnie probostwo nie bardzo intratne, ale na porządne utrzymanie się plebana wystarczające. Szczęśliwy byłbym gdybyś je chciał przyjąć: i moje owieczki znalazłyby godnego i czulego pasterza, a ja posiadałbym skarb najdroższy, miałbym obok siebie ukochanego przyjaciela”. Kto przypomni sobie, czém był Ignacy Potocki i jaką w najważniejszej naszej epoce odgrywał rolę, może powziąć wyobrażenie o charakterze i zacności Piramowicza, jako jego przyjaciela.

„Jakaż była radość jego, mówi autor, gdy przybywszy do Kurowa (plebanii ofiarowanej) zastał wszędzie dowody troskliwej ręki swojego przyjaciela, śliczny dworek ze starannie urządzonym ogródkiem czekał już na niego, a sam dziedzic na czele sąsiednich właścicieli i sędziwych kmiotków przyjął go w progu chlebem i solą, symbolami uprzejmiej życzliwości od wieków zwyczajem uświęconemi. Rozplakał się kapłan przy tych oznakach współczucia i tyle tylko mógł wyrzec: „Bóg widzi jak pragnę być dla was użytecznym”. „Słowa te wyrzeczone w tak uroczystej chwili stały się zasadą jego czynów, któremi imię swoje z cichego ustronia do potomnej podał pamięci”. Mówiąc o obowiązkach plebanów, autor takie rzuca zdania, zasługujące na powtórzenie. „Lud nasz przechowuje w sercach żywą wiarę i wiele szlachetnych usposobień, potrzeba tylko prostym wykładem nauk religijnych umysł jego rozwinąć, do cnót przykładami zachęcić i czułą ojcowską troskliwością otoczyć. Można być pewnym, że gdy lud wiejski usłyszy w świątyni Pańskiej żywe wzory moralności i rodzicielskie rady i napomnienia, gdy wie, że ten który ogłasza mu Boskie prawidła, prowadzi życie czyste, sprawiedliwe, że brzydzi się wszelakim występkiem i brudem, że wszystkich zarówno, bogatych i ubogich jedném sercem obdziela, że z jednaką chęcią spieszy do pałacu i do ubogiej chaty, niosąc wszędzie pociechę i słowo Boże: tam pewnie ziarno dobre nie padnie na bezpłodną niwę, ale owszem bujne wyda owoce”.

Jak widzimy p. W. podobnie z serca płynące myśli przy zdarzonej sposobności przedstawia; wolne one są od przesady, a chociaż częstokroć napojone goryczą, ale zawsze pocziwe i szczerze.

W życiorysie Franciszka Karpińskiego obok znanych szczegółów i życia poety tego spotykamy wiele nowszych. W poznańskim piśmie *Przyjaciel Ludu*, był szeroki rozbiór życia i jego prac. Z podanego nam przez autora przytoczymy urywek, kiedy Karpiński na starość osiadł w królewsczyźnie nadanej sobie, nie wychylał się za jej granice, chyba do sąsiada w odwiedzinę albo na odpust do pobliskiego kościoła. Często się to jednak przydarzało, bo sąsiedzi kochali sędziwego starca, lubili miłe jego towarzystwo, ożywione zazwyczaj wesołością i piosnkami. Niecierpiał tylko liryków pomiatających i siwym włosem i paplających francuzczyzną (autor widno podobnież ich nie lubi, jak poznać po zbyt żywym i jaskrawszym jego wyrażeniu się); jak tylko spotykał takiego w towarzystwie, tracił humor i najczęściej cichaczem się wynosił. Raz zdarzyło się (szczegół ten wzięty z życiorysu Karpińskiego), że jeden taki młodzik chwytając na cały głos zagraniczne poezye, zaczął szydzić z polskiego języka, nazywając go grubym, nie harmonijnym.

— Waćpan podobno byłeś poetą—rzekł, obracając się do Karpińskiego—powiedz mi jak dobrać rymu do wyrazu cietrzew?

Karpiński stuknął laską w posadzkę, oczy zapłonęły mu ogniem i nie namyślając się odpowiedział:

„Z pomiędzy drzew
Wylociał cietrzew,
Szukał balwana:
Siadł na Waćpana.”

Śmiech ogólny powstał w izbie; młodzik zaczął się zżymać, ale otoczyli go poważniejsi ludzie, wytłumaczyli, że niewłaściwie zaczepił sędziwego i szanownego starca i jakoś burza wkrótce uciechła, a poeta wyszedł zwycięzko”.

Zdaje się nam, że ów amator niefortunny cietrzewia, musiał w duchu przyznać że Karpiński miał zupełną rację.

Od tak sympatycznych figur p. Wieniarski przeskok czyni i podaje nam w tomie II z roku 1855 życiorys *Jana Lorenzo Papagody*, owego powiernika nieszczęsnej pamięci Bony Sforzii.

Oprócz tych prac p. W., znajdujemy kilka innych jak „Grzegorz Knapski”: „Opis miasta Lublina”, „Stary Wiarus”. W ogóle mniemamy, iż czytelnik chętnie się spotyka z piórem p. W., gdzie znajduje pokarm przyjemny i częstokroć pożywny.

Tém miłej nam oddać zasługę panu W., iż chociaż nie należy do *protegowanych autorów*, przecież piórem swém rzeczy publicznej służy wytrwale.

Tym więc sposobem pokrótce staraliśmy się przedstawić treść i wartość artykułów w Księdze Świata, przez ciąg czteroletniego wydawnictwa po rok bieżący zamieszczonych. Wyraziwszy pobieżne zdanie nasze o pojedynczych pracach, wypada nam tutaj na zakończenie dodać kilka słów o całym wydawnictwie. Mniemamy, że szanowny i sumienny redaktor należycie wywiązuje się z zadania swego, *w granicach jakie ma sobie położone*. Bardzo chętnie podzielamy przyjętą przezeń zasadę nieumieszczania żadnych szkiców powieściowych. Pragnęlibyśmy, aby rubryka opisowa kraju naszego wyrównywała opisom zagranicznych znakomitszych miejscowości; nadto, aby artykuły treści historycznej, a mianowicie też biografie ludzi znanych w historii naszej, znalazły obszerne miejsce w rubrykach wydawnictwa, tak, aby ilość ich podobnie odpowiadała życiorysom znakomitości cudzoziemskich.

Całą duszą życzylibyśmy, aby zmniejszoną została ilość litografij kolorowanych, domieszczanych do każdego zeszytu; zwyczajnie bywa cztery ilustracyj (w tej liczbie znajdują się dwie ryciny czarne i dwie litografie kolorowane). Na dwóch rycinach lub litografiach czarnych chętnie poprzestaliby czytelnicy, a i z tych woleliby niezawodnie widzieć o ile możności przedmioty krajowe. Drzeworyty z całą przyjemnością spotykamy wśród tekstu. W miejsce dwóch rycin wydawca mógłby dodać dwa arkusze do każdego zeszytu, co kosztów wydawnictwa bynajmniej nie zwiększy; a nietylko uczyni redakcyą mniej niewolniczą w wyborze artykułów, lecz oraz wpłynie na rozwój pisma przez zamieszczanie prac obszerniejszych rozmiarów i traktowanych więcej specjalnie, bez rozrywania ich na części.

Gawędy naukowe jakie w pierwszym zeszycie na rok bieżący spotykamy, wybornie mogą zastąpić artykułiki z historii naturalnej, które prócz rycin, dla specjalnych są zbyt cenne, dla mniej obznajomionych z tą gałęzią nauk przyrodzonych nie są wystarczające.

Nakoniec musimy tu przyznać redakcyi zasługę, iż stara się przestrzegać czystości języka, i pod tym względem p. Jenike i pismo pod jego kierunkiem zostające, niepoślednie ma zalety.

Kazmirz Kalinka.

Dziś i Wczoraj. Rysy biograficzno-obyczajowe i bajki, przez Onejadajskiego. Wydał Antoni Sowa. 2 tomy, Petersburg, u B. M. Wolffa 1858 r.

Autor tój książki jest człowiekiem myślącym i światłym; jest prawdziwym przyjacielem swego kraju; ma głębokie uczucie i dokładne rozumienie naszych chorób społecznych; ma odwagę dobitnego wypowiedzenia swoich boleści; ma gorącą miłość prawdy, zapal i uwielbienie dla dążności wysokich, szlachetnych i pożytecznych; energiczne oburzenie i wzdargę dla fałszu, egoizmu i niedołęztwa. To wszystko daje mu prawo do współczucia i szacunku ludzi poważnych, których w Polsce jest wprawdzie zbyt jeszcze mało na niezbędne nawet potrzeby ogólne, ale liczba ich powiększa się, dzięki Bogu; i czas jest też wielki żeby się powiększała, bo byłoby bardzo źle z naszą biedną społecznością. Poważnymi ludźmi nazywamy, zgodnie z autorem, tych, którzy szczerze usiłują poznać i zrozumieć położenie i potrzeby współczesne, którzy mają zamiłowanie obowiązków społecznych i pracy pożytecznej, którzy tego dowodzą codzienną, niunstającą praktyką, którzy się wreszcie żadnej prawdy, choćby najdotkliwszej dla miłości własnej narodowej nie boją, żadnemu najmilszemu nawet z pozoru fałszowi nie poddają i nie hołdują.

Z tych ogólnych pochwał słusznie p. Antoniemu Sowie należnych nie wynika wcale, aby zgadzać się z nim można na wszystkie jego widzenia i opinie. Trzeba atoli przyznać słuszność autorowi, gdy powiada: „że nie ma u nas środka między gorączką i apatyą, że i ta i tamta chorobliwa i niedołężna; że gdziekolwiek zaledwie życia promienie z samowiedzą celu, z głęboką wiarą dojścia ku niemu; kilka głosów częstokroć wołających na puszczę”.

Albo gdy uważa, że „do złego naszego wychowania przyłączył się element izraelski uważania siebie za lud wzorowy i wybrany, co nas zaślepia i robi naszemu rozwiciu się zawadę”.

Albo w innym miejscu: „braknie nam przedewszystkiem jasnego pojęcia rodzinnego położenia, a ztąd przewodniczącej życiu skazówki. Braknie nam ztąd pracy i wytrwałości. Łatwiej nam o chwilowy entuzjazm, niżli o poświęcenie życia w pewnym, zrozumianym kierunku”.

Znów gdy ostrzega: „izby sił nie marnować na dźwiganie skały Syzyfa, ni ofiarne go krwi kielicha dopełniać rzeszotem Danaid.”

Arcepięknę są następujące myśli, choć niektóre z nich mogłyby być lepiej wyrażone.

„...,kiedy człowiek kocha całą myślą i sercem swój kraj, staje się jakby duchownym jego królem. Takie tylko społeczeństwa wyrosły w wielkie potęgi inteligencyi, bogatwa i swobody, w których się wyrobił typ społecznego człowieka, którego główną cechą jest nierozdzielne, moralno-organiczne zlanie bytu swojej jednostki z organizmem całości, ślepe, że tak powiem, spełnianie funkcyi (potrzeb) organizmu społecznego. W tem się przejawia najwyższe ukształcenie narodu... te narody stanęły najwyżej, w których się najwyżej rozwinął człowiek społeczny.”

„...,trzeba obywateli czytelników i obywateli księgarzów.”

„Niech wierzy każdy zacny obywatel, że kupić dobrą książkę i z niej skorzystać, to jego najwyższy na dzisiaj dla kraju dług i obowiązek, bo jedyną rękojmią jego przyszłości jest jego ukształcenie umysłowe i moralne”.

„Można czuć i chcieć za miliony, lecz miliony same tylko siebie uszczęśliwić mogą. Niech każdy niesie swoje ziarno i głos, czyto jak mrówka lub pszczoła, czy jako gęś Kapitolu.”

Dosyć tych dosłownych przytoczeń dla okazania sposobu myślenia autora z jego najoryginalniejszej i najchwalebniejszej strony. Jeżeli ktoś powie, że właściwie nowego nic tu nie ma, żeśmy już takie prawdy słyszeli albo i sami na nie wpadali, to mu zaprzeczać nie będziemy. W istocie że zaczynamy potrosze oczy przecierać; nasi obfci powieściopisarze i inoralisci wśród wielu różnych różności rzucali i rzucają nam nieraz trafne i pożyteczne myśli w rodzaju powyższych, ale te w nawale innych produktów z ich czynnych laboratoryów wychodzących, nie uwydatniają się dostatecznie, nie figurują na wierzchu, nie powtarzają się uporczywie. P. Sowa zaś przeciwnie: niemi tylko jest zajęty, szczególnie mu one na sercu leżą i do nich ustawicznie wraca; w książce jego nie zastania tych myśli ani zrażone powikłanie intrygi, ani gorący romansowy interes, ani wdzięk nakolorowanych figur, ani efekt scen i sytuacji. To więc im nadaje moc jakąś i tém samém pewną nowość. Miał powiedzieć Napoleon I, że powtarzanie jest najmocniejszą figurą

retoryczną: wielka to racja. Najświętsza prawda raz powiedziana obje się bez skutku o ludzkie umysły; ażeby w nie wsiąkla, potrzebuje być niezmierną ilość razy i na najrozmaitsze sposoby powtarzana: taka już jest przyrodzona tępość naszej natury.

Wymykają się p. Sowie tu i owdzie paradoxa, tem gorsze, że po największej części w przesadnym tonie wyrzeczone; a w ubolewaniach nad społecznymi przywarami naszymi tak górnym niekiedy i niejasnym przemawia autor językiem, że się aż socyalistowskie jakieś przypominają diatryby. Jest to tylko zbytek patetyczności, brak prostoty w wyrażeniu myśli i uczuć, i pretensya do szczytnych metafor i porównań. Nieprzystoi to myślicielowi poważnemu, który powinien na szczególniej mieć uwadze czytelników młodych (a tych jest najwięcej); niedojrzałe i wrażliwe ich umysły mogą się łatwo frazeologią obalamucić i wynieść z czytania daleko mniej, albo daleko więcej, albo wcale co innego niż sobie piszący zamierzyl.

Do czego np. taki wykrzyknik? „Któż poznawszy bliżej ludzi jak oni są, nie za jakich chcą uchodzić ze wszystkimi ich sztukami i maszyneryą, nie ostudzi dla nich swojego serca?”

Do czego pełna zapatu pochwała *świętych głupstw* młodości? „O święte głupstwa! woła p. Sowa, a któż przed wami nie zegnije kolana? Nawet ty *przeklęty* zgrzybiały rozumie! W tobie młodości i w głupstw twoich chaosie, jak w stworzenia chaosie, wszystkich światów zarody!” i t. d. w tymże tonie. Uniesienia młodości urocze są i szlachetne, ale to wtedy, kiedy nie są głupstwami: a jeżeli są głupstwami, to nie mogą być świętymi. Czyż się godzi nadużywać w taki sposób wyrazów?

Do czego wreszcie te wystawne utyskiwania nad nędzą i boleściami milionów, albo do niczego nieprowadzące rozprawiania o powszechnie wiadomej rzeczy, że człowiek nie może się bez pieniędzy obejść?

Mniej to jednak ważne usterki. Ale grubym i niebezpiecznym jest paradoxem twierdzenie autora, że lud włościański nie ma potrzeby być piśmiennym dlatego, że nie ma jeszcze dlań odpowiedniej literatury. Czyż podobna, aby uszła uwagi p. Sowy ta niepotrzebująca dowodzenia prawda, że dla niepiśmienniej massy literatura powstać i istnieć nie może? Będzie to więc *circulus vitiosus*: nie ma dla nich literatury, bo czytać nie umieją; nie warto ich uczyć czytać, bo nie ma dla nich literatury. Przypuściwszy że zawiązałoby się towarzystwo jakoweś, celem utwo-

rzenia obfitej dla wiejskiego ludu literatury, i że dopiero po dokonaniu takiego przedsięwzięcia przystąpionoby do udzielania włościanom nauki czytania i pisania,—czyż nam p. Sowa zaręczy, że ci, zamiast wygotowanych, chociażby podług jego własnego planu i instrukcyi, książek, nie wezmą się raczej do czytania innych, zupełnie przeciwnych temu planowi i instrukcyi? Nic więc nie wynagrodzi ogromnej straty czasu na odwołkę poświęconego, a sama wartość przygotowań wątpliwą się okaże. Czyż można odgadnąć przyszłe gusta i popędy umysłowe pogrążonej dziś w ciemnocie massy, i naprzód drogi jej kształcenia się wytykać? A powtóre, dlaczegoż to oświecanie się włościan nie ma iść tym samym trybem, jakim szło oświecenie się klass wyższych? Nie czekała nigdzie szlachta, nie czekało mieszczaństwo aż im literaturę przygotowują; uczyli się poprostu czytać i pisać, i dodajmy tu zaraz, właśnie tym sposobem doczekali się literatury. I to wreszcie rzecz jasna, że piśmiennosc nie dla samej literatury jest potrzebną. Znajdzie p. Sowa zapewne dosyć stronników tej swojej opinii o bezużyteczności nauki czytania i pisania dla włościan, ale stronników wcale dłań niepożądanych, jak się domyślać należy.

W innem miejscu narzeka autor na okropny, przerażający wpływ przesądu zabraniającego pannom miłosnych przed kawalerami wyznań; zmuszone są biedne ofary czekać cierpliwie, póki się im kawaler sam nie oświadczy. Dołączając przykład do nauki, p. Sowa komponuje potém dyalog, w którym znajdujemy wzór czy też próbkę panińskiego formalnego wyznania. Nie dobrze to, kiedy moralista poważny podobnych dopuszcza się śmieszności; jak gdyby nie wiedział, że panny zakochane rad takowych do wynalezienia sobie dróg i sposobów okazania swych uczuć bynajmniej nie potrzebują.

Błędy wszakże i dziwactwa podobne do wytkniętych powyżej, są prawie nieodłączne od treści takich książek jak *Dziś i Wczoraj*. Wziąwszy sobie za główny przedmiot rozważanie słabości i przywar społecznych, ich wytykanie i gromienie, zachęcanie współziomków do lepszego, wskazywanie im wyższych, szlachetniejszych celów, łatwo się wpada to w utopią, to w paradox. A zresztą ponieważ szło tu o opinią raczej niż o zasady moralne, więc się rzecz sprowadza do prostej różnicy pomiędzy zdaniem autora i recenzenta, i bardzo byłoby miło temu ostatniemu, gdyby nic ważniejszego p. Sowie do zarzucenia nie miał. Tak niestety nie jest.

Dwa mamy arcy ważne zarzuty przeciwko p. Sowie: 1ód że brak mu talentu i gustu; 2re, że nie umie po polsku.

Dziś i Wczoraj napisane jest w formie powieści. Układ tej powieści jest nie tyle zły ile zaden, a występujące w niej osoby nie mają podobieństwa do żywych ludzi (z wyjątkiem piastunki Petronelli, która się dosyć udała). Powiada wprawdzie nam autor, że ten a ten jest taki, a ta taka; ale proszę mu wierzyć na słowo. Zadanie i talent powieściopisarza nie na opisywaniu ludzi zależy, ale na ich pokazywaniu, że tak powiem, w samym działaniu. Nie wielką to jeszcze rzecz, w dniu dzisiejszym zwłaszcza, wymyślić sobie i ułożyć jakąś ludzką figurę; kunszt zależy dopiero na umiejętnem jej przeprowadzeniu przez wypadki i sytuacje, na umiejętnem tyożze wypadków i sytuacji wysnuciu i odmalowaniu, na jasnym wyłożeniu stosunków między jednem i drugim, wrażeń, wpływów i oddziaływań. Wtedy dopiero charaktery są zrozumiałe, a o to przedewszystkiem chodzi. W powieści p. Sowy niepodobna zrozumieć dłaczego i jakim sposobem dzieje się z jego osobami to, co się dzieje. P. Sowa w serce ludzkie zaglądać nie umie, a przynajmniej (co w tym razie na jedno wychodzi) nie potrafi czytelnikowi zdać sprawy z tego, co dostrzegł i wyrozumiał. Rozmowy między osobami jego powieści prowadzone, służą mu tylko za sposobność do wypowiedzenia swoich opinij, lub też do uszykowania opinij które ma zbijać; życia właściwego tam nie ma, i najmniejsza go nawet zręczność nie zastępuje. Nie należy do rozbioru krytycznego proste zaprzeczanie autorowi daru obserwacyi, ale jego opisy ludzi takie robią wrażenie, jak gdyby źródłem ich były raczej słyszane anegdoty i kombinacje wyobraźni, niż badania bezpośrednie, podniesione po artystowski przez refleksyę i uczucie ideału.

Brak gustu w powieści Dziś i Wczoraj razi w najprzykrzejszy sposób wszędzie, gdzie tylko p. Sowa humorystyką, ironią i dowcipem chce błyszczeć, a na nieszczęście wiele jest takich ustępów w jego książce. Dosyć jest wskazać na odezwę do księgarza i do czytelnika, najniesmaczniejsze próbki niedołności do humorystycznego traktowania rzeczy, albo na równie nudne jak i niezrozumiałe w ironicznej intencji wysilenia od 110 do 112 str. tomu pierwszego.

Co się tyczy właściwych dowcipów autora, to niech dadzą o nich pojęcie następujące przykłady.

„koniec końców (*bo wie to zapewne wielu z czytelników, że wszystko ma swój koniec*) goście się rozjechali, i t. d.

„...wielu, wielu rzeczy nie rozumie młodość, jak wielu rzeczy nie rozumie starość, czyli innemi słowy: kiep świat i prefekt na nim. Lecz w imię nieba i ziemi żadnemu tu nie chcę osobiście uwłaczać prefektowi!”

„...„został magnatem i razem gnatem.”

Takich dowcipów jedyną zaletą jest taniość, a zatem i wielka w życiu powszedniem konsumpcya; droższych p. Sowa nie produkuje.

Pozostaje mi do udowodnienia drugi zarzut, który tu bez żadnej zmiany powtarzam, t. j. że p. Sowa po polsku nie umie. Zarzut to najcięższy, a jednak najłatwiej mi jest okazać czytelnikom jego słusność. Braku talentu i gustu dowieść trudno, bo niemasz ani na jedno, ani na drugie stanowczego *critérium*, tak jak i na piękność, dowcip i wdzięk. W sporach w tym przedmiocie kończy się zwykle na powtórzeniu odwiecznego przysłowia: *de gustibus non est disputandum*, i nie ma na to lekarstwa. Inaczej ma się rzecz ze stylem i językiem, gdyż co do obu tych materij są warunki powszechnie uznane i jasne, stanowiące minimum wymagań. Użycie wyrazów lub wyrażeń w niewłaściwém znaczeniu, albo niepotrzebne wymyślanie nowych, niezręczne składanie zdań i peryodów myśli zaciemniające, fałszywe porównania, potworne metafory, przekręcanie form językowych w ogóle i odmian grammatycznych, nie mówiąc już o ustawicznych prowincjonalizmach oraz wyrażeniach żywcem z języka rossyjskiego lub francuzkiego wziętych—wszystko to wykazuje się przez proste li zacytowanie.

„robi naszymu *rozwiciu* się zawadę,”

„długie chwile *bez zeznania* przepędził sam z sobą.”

„*elefantyzm* wyobrażeń,”

„*zestygmatyzować* w woli harmonią”

„chciałaby widzieć swą córkę.. *sovietnikową gubernskiego* rządu, *któryby* z czasem mógł wyjść na gubernatora.”

„A jeśliby na tajemniczą zasłonę przyszłości, której nikt przejrzeć nie może, los dla niej (t. j. dla córki) zgotował chmury...”

„kobieta owej epoki (Stanisławowskiej) była niczém innym jak *pachnącą* pięciu zmysłów żywą kokardą.”

„Pauna Felicya i Teressa *wprawdzie* więcej encyklopedyczne, *lecz* daleko wielostronniejsze posiadały wiadomości”

„Podług mnie wielkość istotna człowieka nie zależy od stanowiska które zajmuje w świecie, lecz od tego, jak kto rozwinął całą długość swego *wewnętrznego* promienia i *zakreślił nim ogniwo* i *spoił go cementem* obowiązku; a czy promień jego jest cał jeden, czy *mila kwadratowa*; nie długość promienia stanowi istotną wielkość wartości moralnej człowieka, lecz koło zakreślone tym promieniem, który mu dany, i który on rozwinął do ostatniej linii.”

Wątpię, czy najbardziej nawet odcytani ludzie spotykali w książkach drukowanych styl podobny. Istotnie że to są *chmury na tajemniczej zasłonie*; takiego podwójnego mroku nie rozjaśni nawet ów promień zakreślający ogniwo i inne jeszcze mający zalety, których się geometrya nie domyślała.

A oto jest polszczyzna p. Sowy:

„Co mnie robić!” wola bohater powieści i powtarza jeszcze parę razy ten frazes, zapewne dla wyraźniejszego okazania, że na lepszy zdobyć się nie potrafi i że umie dosłownie tłumaczyć z rosyjskiego. Tę wszakże ostatnią pracę nie zawsze sobie autor zadaje, jak *np. myślił szeroko, wypisywać żurnaty*. Do języka też rosyjskiego należą wyrażenia i wyrazy: „my z tobą zbrodniarze; *słoje* społeczeństwa, *uczony* stopień, *nie stało* odwagi, *wychodzić* z siebie, *przedać* z publicznego targu, *serce unywa*, *zatrachować* życie, *tyranić*, *porywy* (uniesienia), *gniót* (ucisk brzemię) i nieprzeliczone mnóstwo innych, jako też ciągle używanie zaimków osobistych przy słowach osobowe zakończenie mających.

Dosyć jest i tłumaczeń z francuzkiego, jak *np.* „nieraz okoliczności zewnętrzne stawiają nas w położeniu niepodobnym iść za głosem wewnętrznym”... „to go upokarzało *w swych oczach*” *sądził trafić*; i t. p.

Wytykać dziś prowincjonalizmy jest rzeczą prawie zuchwala i niepodobną, tak już one szeroko po pismach naszych rozpostarły się; język pod tym względem nieskazitelny do wyjątków u nas należy: ale częstować nas takimi przymiotnikami jak *pokorniki*, *grzecznički*, takim rodzajowaniem rzeczowników jak: *ta cacka*, *ten topól*, *ten dlut*, *ten recept*, wreszcie imiesłowami *poprawując*, *zostawując*, to znowu zanadto: takiej litewszczyzny nie pochwali i na Litwie ukształcony czytelnik, choćby jej sam w potocznej mowie używał.

Widzimy więc, że od czasu pierwszego swego utworu pod napisem Jordan przed laty wydane go i mającego te same zalety

i wady co Dziś i Wczora, p. Sowa żadnego nie uczynił postępu ani w umiejętności pisania, ani w polszczyźnie. Różnice tylko te, że tam była przedmowa seryo i po młodzieńczemu napuszona, a tutaj niezgrabne dowcipkowanie na czele książki; powtóre że tamto były mierne albo dosyć lichy wiersze, a to zupełnie licha proza.

Wielka szkoda, powiadam bez ironii, że tak zacny sposób myślenia, tak wzniosła moralność, tak zdrowa w ogóle dążność ku lepszemu nie są połączone z talentem; a większa jeszcze szkoda, że dobrej nauki nie wspiera dobry przykład. Osobliwsza to zaiste niekonsekwencya, żeby okazując tak wielką cześć i zamiłowanie obowiązku (patrz gorącą apostrofę na str. 61, tomu Igo), nazywając go prawem najwyższem i świętym, bóstwem dusz silnych, zbawcą słabych i t. d. nie zastosować tej zasady do samego siebie. Tak jest: czyż potrzeba uczyć p. Sowę, że pierwszym obowiązkiem literata, jako takiego, jest staranie się o dobrą znajomość języka, którym chce do publiczności przemawiać, o umiejętne wysłowienie swych myśli? Czyż podobna, aby mniemał autor, że język od kilku wieków wykształcony, może się naginać i łamać gwoli fantazyi i leństwu?

Osypywany pochwałami w swojej rodzinnej prowincyi od czasu ogłoszenia Jordana, wątpię czy p. Sowa zechce dobrze wyrozumieć wartość wypowiedzianych przez nas tu zarzutów; a przecież powinienby to uczynić, skoro nie może żadną miarą obwinąć nas o niezrozumienie tego, co jest najlepsze w jego książce.

Z. Z.

Stenografia polska, przez K. Krupskiego. Warszawa. Nakładem księgarni G. Sennewalda. 1858. W 4ce. Z 27 tablicami litografowanemi.

Niewiele dziś pewnie jest osób czytających, którymby obce było nazwisko stenografii, i każdemu też wiadomo że ona służy do spisywania dosłownego mów wygłaszanych na posiedzeniach prawodawczych, sądowych i t. p.; lecz mało kto u nas o wewnętrznej istocie tej sztuki i sposobie jej wykonywania chociażby

powierzchnowe aż dotąd miał pojęcie. Jednym zdawało się iż stenografia wymaga wyuczenia się na pamięć całego słownika dowolnie skróconych wyrazów; inni, którym widzieć się zdarzyło próbki pisma stenograficznego, utrzymywali że te dziwaczne zakręty i gzygczaki daleko trudniejsze być muszą do nakreślenia jak pismo zwyczajne. I ci i tamci jednak w wielkim zostawali błędzie; bo rzeczywiście pismo stenograficzne jest zwykłym pismem *głoskowym* i *zgłoskowym*, udoskonalonem tylko w warunkach *czasu* i *miejsca*, czyli sprowadzonem do najprostszej postaci.

Wydana obecnie nakładem p. G. Sennewalda *Stenografia polska*, jakkolwiek napisana przed laty trzydziestą, a tém samym niezupełnie odpowiednia dzisiejszym wymaganiom, niem mało zapewne przyłoży się do rozjaśnienia mylnych w tym względzie pojęć. Już to w ogólności przyznać trzeba p. Sennewaldowi, że w nakładach swych nietyle miéwa na celu widoki spekulacyjne, ile rzetelny pożytek powszechności. *Pisma ś. p. Majorkiewiczza, Starodawne prawa polskiego pomniki Helcla*, że nie wymienię tu innych, nie są to dzieła obiecujące zysk świetny i natychmiastowy, ale poważne pomniki literatury krajowej, przynoszące wydawcy więcej zaszczytu, jak korzyści materialnej. I ogłoszona świeżo *Stenografia*, pomimo że ma za sobą cały urok nowości, jako pierwsza u nas praca w tym rodzaju, nie może, zdaniem mojem, być policzoną do rzędu książek *pokupnych*: niejeden nabędzie ją przez ciekawość, lecz ogół podobno pozostanie obojętnym. Tém większa atoli wdzięczność należy się p. Sennewaldowi, że przełamał pierwsze lody i nie wahał się drukować dziełka specjalnego. które daj Boże aby stało się pochopelem do nowych i coraz dokładniejszych prac na tém polu, zwłaszcza teraz, gdy posiadamy akademią medyczną, gdzie stenografia bez wątpienia bardzo byłaby użyteczną.

Zanim przystąpię do pobieżnego rozbioru książki ś. p. Krupskiego, niechaj mi wolno będzie rzucić kilka myśli o stenografii, której zastosowaniu do języka polskiego sam przez czas jakiś oddawałem się. Dotknąć mi w nich wypadnie pokrótce: I. historyi, znaczenia i celu stenografii w ogólności; II. sposobów przez jakie cel ten może być osiągnięty i III. praktycznego jój pożytku w stosunkach życia publicznego i prywatnego, a mianowicie w pracach naukowych.

I.

Stenografia (tachygrafia, brachygrafia) (1) jest to sztuka pisania tak prędko, jak się mówi w mowie poważniejszej, a przytém tak wyraźnie i dokładnie, aby pismo nie tylko zaraz po jego skreśleniu, kiedy przedmiot jeszcze w świeżej tkwi pamięci, lecz w każdej chwili żądanej mogło być z łatwością odczytaném i w razie potrzeby przekopiowaném na pismo zwyczajne.

Początek stenografii w odległych gubi się wiekach. Już Grecy znali sposób szybkiego pisania, jak o tém wspominają starożytni ich autorowie; dla braku jednak zachowanych pomników, wartości jego ocenić nie możemy. U Rzymian wynalazcą stenografii był wyzwolieniec Cycerona, Tiro, którego pismo skrócone nazwano *notami tirońskimi*. Są to znaki wyjęte z kursywy łacińskiej, wybornie pomyślane i trafnie zastosowane; żałować przeto należy, iż nowożytna stenografia więcej się na nich nie zaprawiła. Spisywano niemi mowy miane w senacie i na *forum*. Cycero używał ich w swoich listach (ad Atticum XIII, 34), a według Suetoniusza, imperator Titus pisywał także notami. Martialis (lib. XIV, epigr. 202) mówi:

*Currant verba licet, manus est velocior illis;
Nondum lingua suum, dextra peregit opus (2).*

Widać z tego, że noty tirońskie u Rzymian dosć były upowszechnione, ale znajomość ich zaginęła w wiekach średnich; a kiedy pod koniec XVgo stulecia odszukano próby takowych, mniemano powszechnie, że to jest pismo ideograficzne lub wyrazowe, nie zaś głoskowe i zgłoskowe; w najnowszym dopiero czasie poznano się na prawdziwém ich znaczeniu.

Za twórców atoli tegoczesnej stenografii uważać można Anglików, i ci odrębną zupełnie udali się drogą. Już w końcu XVI wieku wyszło w Anglii dziełko o skoropismie przez Dra Breight; po nim wystąpili na tém polu: Shelton, Wilson, Taylor i inni. We Francyi r. 1792 Bertin przełożył na swój język, a raczej zastosował, pracę Taylora. Nie zbywa wprawdzie Francu-

(1) Stenografia: *ciasnopismo*, od greckiego *stenos* ciasny; *tachygrafia*: *skoropismo*, od gr. *tachys* szybki; *brachygrafia*: *krótkopismo*, od gr. *brachys* krótki.

(2) Wolny przekład:

Niech żywo biegną słowa, szybsza od nich ręka;

Prędzej spisze prawica, niż język wystęka.

zom i na pisarzach samodzielnie stenografią traktujących, ale wszystkie ich systemy, podobnie jak angielskie, są niedokładne i jednostronnie tylko odpowiadają celowi; zamiast bowiem podawać znaki ile możliwości do pisma zwyczajnego zbliżone, stenograficzny ich alfabet składa się z samych półkół, linii prostych, łamanych i wężkowatych w różnych położeniach, które, jako niezmiernie przykre w wykonaniu i trudne do łączenia, płynne pisanie czynią niepodobnym. Jakkolwiek przeto w Anglii i we Francji stenografia kwitnie dziś jako sztuka praktyczna, przypisać to należy jedynie wielkiej biegłości i doświadczeniu wykonawców, tudzież umiejętnemu wynajdywaniu skrótów na całe wyrazy i zdania; co wszystko nietyle od systemu, ile od zdolności indywidualnej stenografa zależy. W dzisiejszym stanie swoim stenograficzne pismo państw zachodnich upowszechnić się nie może, lecz mimo oddzielnych szkół i hojnego wynagradzania stenografów, pozostanie własnością kilkudziesięciu, lub najwięcej kilkuset jednostek.

W Niemczech pierwszy Gabelberger wystąpił r. 1834 z systemem stenografii, opartym na podstawie naukowej. Opuścił on drogę naśladownictwa obcych i własnym poszedł torem, podając zasady do potrzeb, natury i form grammatycznych języka niemieckiego ściśle zastosowane, a zarazem znaki łatwe do wykonania, bo z niemieckiej i angielskiej wyjęte kursywy. Pomimo wszakże tych zalet, system Gabelbergera tyle jest zawikłany i pedancki, że dla ogółu staje się nieprzystępnym. Po nim Stolze, Nowak i inni to samo pole z większym lub mniejszym uprawianiem powodzeniem, i prace ich (mimo niektóre, jak w każdym dziele początkowem, usterki), dowiodły rzeczywiście, że system stenografii niemieckiej wyżej stoi od angielskiego i francuzkiego, a przynajmniej że droga w nim obrana nierównie jest właściwszą.

Niedokładność pisma zwyczajnego, pod względem przynajmniej szybkości, jest rzeczą niepotrzebującą dowodzenia, bo w każdym bez wyjątku języku najwprawniejszy nawet pisarz przynajmniej pięć razy więcej potrzebuje czasu na napisanie jakiego ustępu, aniżeli na powolne onego odczytanie. Ogólną tego przyczyną jest przewlekłość alfabetu piśmiennego, którego wszystkie niemal głoski składają się z kilku części, wymagających każda oddzielnego poruszenia ręki. U nas np., (nie mówiąc już o głoskach większych), *k, w, y*, składają się z czterech, *i, m, p, u, z*, z trzech części, gdy tymczasem w alfabecie stenograficznym każda z tych głosek pojedynczym wyraża się znakiem. Nadto w języku pol-

skim do oznaczania prostych dźwięków, jakimi są np. *ch*, *cz*, *dz*, *rz*, *sz*, niewłaściwie dwóch używamy głosek, kiedy dosyć na to jedną. Przekreślanie także *t*, *ł*, kropkowanie *i*, *z*, dorabianie haczyków do *a*, *e*, znamionowanie *o*, *e*, oraz wszystkich spółgłosek miękkich, dużo zabiera czasu, odrywając bezustannie rękę od ciągu pisma, na którym właśnie szybkość i potoczność onego zależy. Nakoniec *i*, które ze wszystkich głosek najczęściej w mowie naszej się zdarza, lecz które w wielu bardzo przypadkach jest tylko znakiem zmiękczenia poprzedzającej spółgłoski, najniepotrzebniej tylekroć powtarzamy, bo łatwo bardzo powtarzania tego unikniemy, używając spółgłosek miękkich, (oczywiście że nie kreskowanych, tylko wyrażonych oddzielnymi znakami).

Jak liczne niedogodności wynikają z tych wad zwyczajnego pisma naszego, to rzecz aż nadto widoczna. Każdy kto tylko z powołania zajmuje się pisaniem, nie raz, nie tysiąc razy pewnie przeklinał w myśli niedołążność powolnie wlokącego się pióra, radby je był uskrzydlić, aby zdążyło za szybkim myśli polotem. Potrzeba zaprowadzenia pośpiechu w pracach tego rodzaju oddawna też skłaniała i skłania dotąd piszących do wynajdywania sobie przeróżnych, a zawsze dowolnych, skracań, które dla samych twórców mogą mieć wprawdzie jakąś wartość, (choćby tylko chwilową, gdyż po jakimś czasie i dla nich nawet stają się zagadką), ale dla innych zato istniami są hieroglifami. Stenografia przeciwnie, podając znaki najprostsze na zastąpienie zwykłego pisma i stałe zasady ich użycia, w każdej chwili z łatwością przeczytać je pozwala, i przez to nieocenionem staje się dobrodziejstwem dla pracujących umysłowo, lub nawet dla prostych przepisywaczy, pragnących przyspieszenia swój pracy.

III.

Zobaczymy teraz, jakimi środkami stenografia osiągnąć usiłuje swój cel podwójny: szybkości i dokładności pisma.

Gdyby wszędzie i zawsze skutecznie przedsiębrać można redukcją zdań całych, to mielibyśmy w tym sposobie najdoskonalszą metodę szybkiego pisania. Ze jednak skracać podobne wielkie przedstawia trudności, bo nawet pojedyncze wyrazy niełatwo jest zastępować znakami, w ogólności przeto ograniczyć się należy na uproszczeniu głosek i zgłosek. Stenograf więc:

1e. Zastępuje zwyczajny, a tyle w szybkim pisaniu niedogodny alfabet znakami najprostszymi, czerpanymi jednak ze zwykłej kursywy, ze względem aby takowe były łatwo łączalne, i aby głoski najczęściej powtarzające się najłatwiejsze też miały znaki. Ile zaś ważną ta pierwsza już posługa stenografii staje się dla pośpiechu, okaże przykład następujący.

Głoska *z*, która w zwyczajnym piśmie składa się z trzech części czyli znaków, w stenograficznym zaś tylko z jednego, na ósemkowej stronnicy druku mieści się w przecięciu 120 razy; dla wykonania jej przeto zwykłym sposobem w przepisywaniu takiej stronnicy potrzeba 360 poruszeń. Przeciwnie sposób stenograficzny wymaga tylko 60 poruszeń; bo z owych 120 *z*, połowa będzie znakiem zmiękczenia, który zupełnie opuszczamy. Przepisawszy przeto 20 stronnic druku, na co wychodzi około 8 godzin czasu, zrobiliśmy 6,000 niepotrzebnych pociągnięć pióra, i na jednej głosce ponieśliśmy stratę około 15 minut.

2re. Zamiast dwóch głosek używanych w piśmie zwyczajnym na oznaczenie dźwięków *ch, cz, dz, dź, kr, sp, st, sz*, kładzie znak jeden, i wprowadza do alfabetu spółgłoski miękkie. Tym sposobem alfabet stenograficzny polski, zamiast z 32, jak zwykle, składałby się z 45 następujących głosek:

a, q, b, b', c, ć, cz, d, dz, dź, (dź, jako rzadko potrzebne, pomija się), e, (é zastępuje się przez e), e, f, f', g, g', h, (ch zastępuje się przez h), i, j, k, k', kr, l, ł, m, m', n, n', o, (ó zastępuje się przez u), p, p', r, (rz zastępuje się przez ż), s, ś, sz, sp, st, t, u, w, w', y, z, ź, ż.

Trudności drukarskie nie pozwalają mi, jakbym to chętnie uczynił, dołączyć do tego alfabetu odpowiednich znaków stenograficznych.

3e. Samogłoski zamieszcza w jądrze tylko i w końcówce wyrazu, zresztą zaś zupełnie takowe opuszcza; np. *widźć* zamiast *widzićć*, *kamińca* zamiast *kamienica*. Zdawałoby się mogło że przez to utrudnia się czytanie; ale tak nie jest, bo kształty stenograficzne wrażają się w pamięć jako całość obrazowa, którą jednym rzutem oka czytający obejmuje, podobnie jak w piśmie albo druku zwyczajnym, gdzie także nikt przecież czytając nie zwraca uwagi na głoski pojedyncze, tylko na kształt ich zbiorowy.

4e. Trzyma się w ogólności zasady: *pisz tak jak słyszysz*. Ztąd w piśmie stenograficznym pomijają się zdwojenia spółgłosek (np. *ll, mm, nn, rr, ss*), i, jakśmy to nadmienili w wypisanym

wyżej alfabetcie, *ł* zastępuje się przez *e* zwyczajne, *ch* przez *h*, *ś* przez *u*, *rz* przez *ż*. Niekiedy nawet pozwolić sobie można użycia igraszek dźwiękowych, jak: *tk* zamiast *teka*, *ucl* zamiast *uciecha*, *w hć* zamiast *w chacie* i t. p.

5e. Na zastąpienie niektórych zgłosek często się powtarzających obmyśla oddzielne znaki (sygille), nie dowolne jednakże, ale mniej więcej analogiczne do kształtu składających je głosek. W stenografii polskiej takimi zgłoskami mogłyby być:

Z początkowych:

do, ko, na, naj, nie, ob, od, pa, po, pod, prze, przy, roz, wy, za.

Z końcowych:

Zakończenia spadkowe rzeczowników w spadkach: 3 l. p. formy I (*owi*), 6 l. p. formy I i III (*em*), 2 l. m. formy I (*ów*), 3, 6 i 7 l. m. wszystkich trzech form (*om, am, ach*). Zakończenia pierwotne przymiotników na: *acy*, (w imiesł. cz. ter.), *any, ony* (w imiesł. cz. przesz.), *ejszy* (najwięcej w stopniu wyższym i najwyższym), *ki, ski, owy*. Zakończenia spadkowe przymiotników na: *ego, emu* (w spadkach 2 i 3 l. p. rodzaju m. i n.), *ój* (w spadkach 2, 3 i 7 l. p. rodzaju ż., oraz w stopniach wyż. i najw. przysłówków), *mi* (w spadkach 6 l. m. wszystkich trzech rodzajów). Zakończenie pierwotne słów, najczęściej częstotliwych, w trybie bezok, na *wać*; zakończenia imiesłowów osobliwych na *ąc* i *szy*. Zakończenia osobowe słów w osobach 1 i 2 l. m. wszystkich form i czasów na *my* i *cie*. Zaimek *się* w słowach zwrotnych i zaimkowych. Nakoniec:

6e. Zamiast całych wyrazów, także niekiedy używa znaków, skraca myśli, opuszcza, słowem postępuje tak, aby zadanie swoje jak najwięcej uprościć, byle tylko pismo stenograficzne dało się później bez trudności odczytać. Tu naturalnie prawideł stałych stanowić już nie można, i wszystko zależy od osobistej zdolności, pamięci i przytomności stenografa.

Dodać tu jeszcze należy, że stenograf pisać powinien piórami stalowymi, rubinowymi lub diamentowymi, atramentem doskonale płynnym i na gładkim welinowym papierze, nie zachowując żadnego cieniowania pociągnąć cieńszych i grubszych. Tam zaś gdzie idzie o pośpiech nadzwyczajny i dosłowne uchwycenie mowy, jak np. w zgromadzeniach prawodawczych, stenografowie używają ołówków angielskich i pergaminu.

III.

Z tego co się dotąd powiedziało można już powziąć wyobrażenie o stosowalności stenografii w rozlicznych życia praktycznego stosunkach. Początkowo wprawdzie ta nauka miała tylko na celu utrwalenie i zachowanie dla potomności mów improwizowanych; dziś jednak takie pojęcie stenografii byłoby jednostronném, bo użyteczność jój w życiu prywatném, a mianowicie w pracach naukowych, z dniem każdym staje się widoczniejszą.

Weźmy naprzykład ucznia notującego uszny wykład profesora. Jeżeli do tój czynności używać będzie pisma zwyczajnego, to mechaniczna trudność zdążenia za mówiącym wyłączy prawie zagarnie jego uwagę, oderwie ją od przedmiotu i nie pozwoli mu czynić wyboru w tém co pisze. Kto chociaż raz w życiu sam robił albo przeglądał podobne notaty, ten przyzna, iż rzadko w nich znaleźć można ład jaki taki. Widoczna jest prawie wszędzie chęć napisania więcej aniżeli pozwala wprawa mechaniczna ręki, a gdy możność chęci nie odpowie, uczeń porzuca rozpoczęte zdanie, najczęściej niedokończone, i przeskakuje do następnego, nie mając przytém czasu zastanowić się, ocenić co ważniejsze a co mniej ważne i schwycić tym sposobem wątek zasadniczych myśli wykładu. A ile tam oprócz tego nieczytelności, dowolnych skracań i pogmatwania, o tém najlepiej ci sądzić mogą, którym zdarzyło się nieraz za błogich czasów szkolnych, że powróciwszy do domu, własnego pisma albo przeczytać nie mogli, albo nie doszli w niem sensu. Otóż użycie pisma stenograficznego stawia ucznia w możności wygodniejszego zdążenia za wykładem, dozwala mu słuchać swobodnie i sądzić; już z niem nie potrzebuje on całej skwapliwości zwracać na część mechaniczną swojej pracy, nie zrywa ręki, nie psuje jój sobie na przyszłość przez niepomiernie szybkie pisanie, a powróciwszy do siebie, ma jednak szkic dokładny wysłuchanego przedmiotu, z którego już potem dowolny zrobić może użytek.

Niemniej ważne zastosowanie znajdzie stenografia w czytaniu. Czytanie bez robienia wyciągów niewiele przynosi korzyści; bo przy niezmiernym ogromie dzisiejszych wiadomości, przy coraz większym rozroście wszystkich gałęzi wiedzy, pamięć rzadko kiedy zdolną będzie zatrzymać i przyswoić sobie całkowicie rzeczy czytane, jeśli przez trafnie obmyślane i systematycznie uporządkowane notaty w trwałą nie zamienimy ich nabytek. Któż z pracu-

jących piórem nie wie, że podobne notaty oszczędzają na później mozolne całych dzieł przewracanie? ale któż nie wie także, ile ich sporządzanie drogiego zabiera czasu? Ta strata czasu, ta zmu-
da połączona z pisaniem odstrę za niejednego od robienia wy-
ciągów, chociaż o ich użyteczności najzupełniej jest przekonanym.
I tutaj więc użył sposobu stenograficznego nieocenił na zape-
wnia dogodności.

Największe jednak ułatwienie przedstawia stenografia w spi-
sywaniu własnych utworów. U ludzi z prawdziwym talentem,
pracujących nie wyrobniczo le z z natchnienia, nigdy pióro nadą-
żyć nie może polotowi ducha; przewlekłość pisma zwyczajnego
ołowianém brzemieniem tłoczy wyobraźnię, wyziębia zapal nawa-
łem cisnących się myśli, które piszący radby jednym zamachem
rzucić na papier, tak one są nikle i trudne do ujęcia. Zaprawdę,
jeżeli komu, to pisarzom z powołania nie można dosyć zalecić
ogromnych korzyści stenografii. Autor z ułożonym już w głowie
planem ogólnym przystępuje do stolika, i puszczejąc wodze wy-
obraźni, swobodnie przelewa na papier (cokolwiek mu ona podaje,
nie myśląc wcale o oglądzie i porządku szczegółowym. Później
dopiero, po naszkicowaniu już głównych zarysów, bierze się do
poprawy i wykończenia, w czém także stenografia niemalą wy-
świadczy mu przysługę. Przypuścić tu trzeba naturalnie taki już
stopień wprawy, który zapominać pozwala o trudnościach mecha-
nicznych, i pisanie stenograficzne, podobnie jak zwyczajne, czyni
pracą prawie bezmyślną.

Ile przyjemném w podobnych okolicznościach staje się naj-
mniejsze ułatwienie mechanicznej trudności pisania, dowodzi
przykład Göthe'go, który w części czwartej „*Z mojego życia*” tak
o sobie mówi: „Zwykłem był w noy układać sobie wiersze, ale
ich spamiętać nie mogłem; kilka więc razy, zrywają się do biur-
ka, nawet tyle nie dałem sobie czasu, aby nasunąć prosto leżący
tam ukośnie arku z papieru, tylko jednym pociągnięciem pióra wypi-
sałem całą piosneczkę po liniach przekątnych. Z podobnych po-
budek wołałem pisać ołówkiem jak piórem; bo kilka razy war-
czenie lub pryskanie pióra wybiło mnie z noy h tych na-
tchnień.” O ileż skuteczniej wielki poeta niemiecki byłby zara-
dził tej potrzebie pośpiechu przez użył pisma stenograficznego!

Ze stenografią dzieje się dotąd tak samo, jak z każdą inną
nauką i umiejętnością: wielu jest powołanych, a mało wybranych,

dużo uczących się, a mało nauczonych. W Anglii nawet i we Francji, gdzie istnieją oddzielne szkoły stenografów, nie wszyscy z nich wychodzą praktycznie uzdolnionymi, a dobrzy wykonawcy wysoko są płatni. Stenografia, oprócz wprawy mechanicznej, wymaga ogólnego ukształcenia, oraz dokładnej znajomości języka którego się używa; tём samém więc nie dla każdego przystępną być może, zwłaszcza dopóki usiłowania w tym względzie pozostaną wyjątkowemi, dopóki wykład tój nauki nie wejdzie, tak jak miejscami za granicą, w zakres wychowania publicznego. Powiedziałem już na wstępie, że stenografia nie jest w istocie czém inném, jak tylko udoskonaleniem pisma zwyczajnego; skoro więc obszar cały wiadomości ludzkich bezustannie się rozprzestrzenia, gdy wszystko się wyrabia, wszystko postępuje, a szczególnie gdy dowiedziona jest rzeczą, że w każdym zajęciu mechaniczném droga krótsza, jeśli do równie zadowolających prowadzi wypadków, musi w końcu koniecznie nad dłuższą odnieść zwyczajtvo: dlaczegożby jedno tylko pismo stanowić miało wyjątek, dlaczegożbyśmy stan jego terażniejszy uważać mieli zaszczyt doskonałości, nad który nie już wyższego rozum ludzki wynaleźć nie zdoła? Wprawdzie długie jeszcze lata, może wieki, upłyną, zanim uczone w rzeczach przeznaczonych do druku, urzędnik w pracach biurowych, przyjaciel w listach do przyjaciela używać będzie pisma stenograficznego; bo na to potrzeba, aby wprzód usunięto z niego wszelką dowolność, wszelkie metody indywidualne, a zgodzono się na jeden system uznany za najlepszy, tak jak w piśmie zwyczajném. Ale niech tylko nauka stenografii przeniknie w massy, niech zamiast jednostek krocie zajmą się jój badaniem, to zobaczymy że niezadługo urosną jój skrzydła, że pismo skrócone, usuwawszy zawady jakie przesąd i nawyknienie rozpowszechnieniu jego stawiają, powoli lecz niechybnie zastąpi pismo dotychczasowe, podobnie jak niegdyś to ostatnie zajęło miejsce pisma obrazowego.

Po wstępnych tych uwagach, może przydługich, ale potrzebnych dla wyjaśnienia przedmiotu, zwracam się do rzeczy będącej głównym celem niniejszego artykułu, do krótkiego rozbioru *Stenografii polskiej* ś. p. Krupskiego.

Autor dziełko swoje pisał przed rokiem 1830, nie mógł więc znać późniejszych prac mówniczych Muczkowskiego, Żochowskiego i innych, a nawet, jak się zdaje, nie znał i Mrozińskiego, przynajmniej nigdzie o nim nie wzmiankuje, i za podsta-

wę systemu swego bierze grammatykę Kopczyńskiego, oraz własne rozumowania. Dlatego w ustępie *O pisowni polskiej* podział samogłosek i spółgłosek nie zgadza się z przyjętym przez dzisiejszych badaczy naszego języka.

Alfabet stenograficzny p. Krupskiego składa się z 47 głosek, które tu wypisuję porządkiem:

a, q, b, b', c, cz, ć, d, dz, dź, e, é, e, f, f', g, g, h, i, j, g', k, k' l, ł, m, m, n, n, o, ó, p, p', r, rz, s, sz, ś, t, u, w, w', x, x', z, ź, ź.

W alfabecie tym autor dzieli samogłoski na: *otwarte* (*a, e, o*), *ściśnione* (*é, ó*), *nosowe* (*a, e*), *miękkie* (*i*) i *grube* (*u, y*); spółgłoski zaś na *twarde* (*b, c, d, f, g, h, k, ł, m, n, p, r, s, t, w, x, z*), *przyciskowe* (*cz, dz, sz, ź, rz*) i *miękkie* (*b', ć, dź, f', g', j, k', l, m', n, p', ś, w', x', ź*).

Porównyując ten alfabet z powyżej przezemnie przytoczonym, widzimy, że w ostatnim brakuje głosek *é, ó, rz, x, x'*, (zastąpionych przez *e, u, ź, ks, kś*), a za to przybywają oddzielne znaki na *kr, sp, st*, jako spółgłoski często wiążące się z sobą w składzie wyrazów. Różnica więc jest bardzo mała i układ głosek musi być dosyć odpowiedni celowi, skoro dwóch pracowników na jednym polu, niezależnie od siebie, wpadło prawie na to samo (1).

Trafność lub nietrafność podziału samogłosek i spółgłosek w dziele p. Krupskiego, jako pośrednio tylko wiążąca się z systemem stenograficznym, nie wchodzi w zakres mojego rozbioru; zamieszczam więc tylko niektóre jeszcze uwagi dotyczące ustępu *O pisowni polskiej*.

Autor mówi (str. 10) że „samogłoski stanowią szkielet całej mowy, a spółgłoski są tylko przygłosami.” Określenie to nie zgadza się z zasadami fonetyki: przeciwnie, spółgłoski stanowią szkielet, a raczej ciało wyrazu, samogłoski zaś nazwałoby można jego technieniem ożywcem czyli duszą. Nie zatrzymywałbym się nad tym wyrażeniem, nawiasowo tylko rzuconém, gdyby ono pod względem stenograficznym wielkiej nie było wagi. Nadmieniałem już wyżej, że jedno z ważniejszych ułatwień stenografii polega na częściowém opuszczaniu spółgłosek, które zachowują się tylko w jądrze i w końcówce wyrazów; a że celem głównym skorpisma jest właśnie uchwycenie obrazowego kształtu wyrazów, czyli strony ich, że tak powiem, cielesnej: przytoczona więc definicya

(1) Alfabet mój ułożony był jeszcze w r. 1849, kiedy nie wiedziałem nawet o istnieniu rękopisu s. p. Krupskiego.

p. Krupskiego, gdyby była prawdziwą, obalalaby jedną z zasad kardynalnych stenografii.

Za anachronizm dalej poczytać należy obszerne, a dzisiaj całkiem już zbyteczne, dowodzenia autora względem potrzeby używania spółgłoski *j*. W czasie gdy ś. p. Krupski układał swoje dziełko, mogło to być na dobie, bo wtedy *j* nie zyskało sobie jeszcze w pisowni polskiej powszechnego prawa obywatelstwa; obecnie jednak podobno wywody niepotrzebnie tylko zaprzatają uwagę czytelnika, i jako niestające bynajmniej do objaśnienia głównego przedmiotu, bez uszczerbku dla całości mogłyby być usunięte.

Najważniejszą częścią ustępu *O pisowni polskiej*, bo wiążąca się ściśle z zasadami systemu stenograficznego, jest dowodzenie autora o potrzebie wprowadzenia do alfabetu polskiego spółgłosek miękkich. Bardzo trafnie mówi p. Krupski w tym względzie (na str. 11 i następnych):

„Prawidło używania spółgłosek miękkich nie jest u nas nowością, podług niego bowiem używa się spółgłoska miękka *ł*; lecz że nie zostało do wszystkich spółgłosek zastosowane, zdaje się być obcym. Wszakże w czasach dawniejszych i do spółgłoski *ł* dodawano samogłoskę *i*, jakoto: *łubię*, *łiaska*, którą później, jako zbyteczną, opuszczono. Nie ma żadnej różnicy co do miękkości między *ł* a *ś*, lub innymi miękkimi spółgłoskami, a przecież ich nie używamy tym sposobem co *ł*: piszemy np. *palić*, *pałę*, a *kropić*, *kropię*, zamiast *kropę*, równie jak *pałę*. Nie zachowując tego prawidła, na cóżby nam się przydały wszystkie miękkie spółgłoski, których potrzebę słusznie uznał Kopezyński w grammatyce swojej?”

Jako dowód, że zaniebdanie spółgłosek miękkich jest przyczyną zawiłań w odmianach imion i słów, autor daje następnie rozbiór formy *ł* rzeczowników męzkich zwierzęcych. Dla lepszego wyjaśnienia, wypisuję tu przytoczony przez niego przykład dwóch imion rzeczownych, zakończonych na spółgłoski miękkie.

Liczba pojedyncza.

zamiast:

1. Jeź, Słoń,
2. Jeża, Słońa, (Słońia).
3. Jeżowi, Słońowi, (Słońiowi).
4. Jeża, Słońa, (Słońia).
5. Jeżu, Słońu, (Słońiu).
6. Jeżem, Słońem, (Słońiem).
7. w Jeżu, w Słońu, (w Słońiu).

Liczba mnoga.

zamiast:

1. Jeże, Słońe, (Słońie).
2. Jeżów, Słońów, (Słońiów).
3. Jeżom, Słońom, (Słońiom).
4. Jeże, Słońe, (Słońie).
5. Jeże, Słońe, (Słońie).
6. Jeżami, Słońami, (Słońiami).
7. w Jeżach, w Słońach, (w Słońiach).

Rzecz oczywista, iż wprowadzenie spółgłosek miękkich upraszcza niezmiernie spadkowanie i usuwa potrzebę takich uwag objaśniających, jak np. że: *niektóre* rzeczowniki téj formy przyjmują zakończenia na *a, owi, u, em, inne* na *ia, iowi, iu, iem*, i t. p. Dlatego autor słusznie, ze swojego przynajmniej stanowiska, powiada dalej:

„Któż z samych nawet Polaków powie, że poznał w zupełności tę formę podług tego rozkładu i tych uwag, że zna klasyfikacją imion, jakie które przyjmuje zakończenie? Nie dziwujmy się przeto cudzoziemcom, którzy utrzymują, że teoretyczne nauczanie się języka polskiego jest niepodobne, że formy jego są nierozwikłanym labiryntem. Niemożność objaśnienia ograniczyć się tu musiała na wyrazach *niektóre* i *inne*”.

Dodać tu należy, że lubo późniejsze badania, a mianowicie podział właściwy spółgłosek, usunęły w znacznej części ówczesne zakłócenie, zawsze jednak pozostała uświęcona zwyczajem niedogodność używania (jako znaku zmiękczenia poprzedzającej spółgłoski. Ile zwyczaj ten w systemie stenograficznym przynosi daremnej straty czasu, okazałem powyżej na przykładzie; obecnie nadmieniam tylko jeszcze, że p. Żuchowski w swojej „Mowa języka polskiego” zwraca także uwagę, iż właściwiejby może było pisać: *ceb'e, p'ekne, weńec*, i t. p. zamiast: *ciebie, pięknie, wieniec*. Toż samo zaleca i p. Morzycki w swoim „Rysie grammatyki języka polskiego,” wydanym roku zeszłego.

Przystępuję teraz do ocenienia właściwej części stenograficznej, w której autor rozwija swój system skróconego pisania i objaśnia go przykładami. Na początku samym, mówiąc o znakach dających się zastosować w stenografii, utrzymuje, że „w naturze znajdują się tylko trzy figury z pojedynczych poruszeń ręki złożone, to jest linia wypukła, wklęsła i prosta, czyli dwa półkola i średnica ()”; temi trzema przeto figurami, przez nadanie im rozmaitego położenia, oznacza cały swój alfabet. Założenie to jest mylne, chociaż podówczas rzeczywiscie stenografii wszystkich narodów służyło za podstawę, a i dziś jeszcze systemy francuzki i angielski na niem się opierają. W nowszym dopiero czasie usiłowania szczególnież Gabelsbergera i Stolze'go wprowadziły do stenografii niemieckiej znaki czerpane ze zwyczajnej kursywy; okazało się bowiem w praktyce, że wszelkie znaki prostopadłe i ukośne od lewej ku prawej niezmiernie utrudniają rękę i stają się prz szkodą do szybkiego pisania. Najdogodniejszymi więc w skoropiśmie będą: półkola i linie proste (zawsze jednak w położeniu poziomém lub ukośném od prawej ku lewej), linie

wężkowate i różne zadzierżnienia linii kolistych, a w rzadkich tylko wypadkach używać można znaków prostopadłych lub pochylonych od lewej ku prawej. Tym sposobem ręka podaje się bez trudności do wykonywania pisma stenograficznego i pojedyncze znaki łatwo się łączą w jedną figurę wyrazową.

Pierwszém ułatwieniem w stenografii podawaném przez autora jest papier poliniowany w szlaki złożone z trzech linii czerwonych, pomiędzy którymi lub na których, podobnie jak nuty muzyczne, każe pisać znaki pierwotne, i tym, stosownie do miejsca jakie na szlaku zajmują, różne nadaje znaczenie. Pomysł ten, chociaż uproszczający alfabet stenograficzny, uważam za mniej szczęśliwy; w szybkim bowiem pisanin niepodobna zachować tyle ostrożności, aby żaden znak nie wybiegał za obręb naznaczonęj sobie szczupłej przestrzeni; najłżejsza zaś niedokładność łatwo w takim systemie spowodować może niepodobną do rozwikłania gmatwaninę. Pisanie znów bez szlaków alfabetem p. Krupskiego, jakkolwiek dogodniejsze dla piszącego, w czytaniu ważne bardzo przedstawiałyby trudności. System téż kilkolinijny, wyborny w teorii, w praktyce oddawna za granicą został odrzuconym; przekonano się bowiem, że lepiej daleko powiększyć liczbę znaków, choćby téż nieco sztuczniej skombinować je przyszło, jak mitrężyć uwagę i krępować rękę piszącego koniecznością nie przekraczania ani na wlos jeden miejsca zakreślonego.

Jako drugie ułatwienie autor nasz wprowadza do stenografii swojej dwa alfabety: głosek *początkowych* i *następowych*, jak je nazywa, które co do kształtu zupełnie między sobą się różnią. Nie wiem czy użycie dwóch osobnych alfabetów nazwać można ułatwieniem; mniemam owszem, iż odróżnienie to obciąża tylko pamięć, a pismo stenograficzne pod względem szybkości i wyrazistości nic pewnie na niem nie zyskuje.

Za niepotrzebne także uważam podane przez autora oddzielne znaki na liczby i daty. System liczbowy i tak już o tyle jest skrócony, że za pomocą niego wygodnie zdążyć można za mową; pod względem zaś dat wystarczy powszechnie używany sposób pisania u góry liczby znaczącej dzień, u dołu liczby znaczącej miesiąc, a obok dwóch ostatnich cyfer roku, np. 23^o 10 58 (28 października 1858 roku). Zastąpienie liczb zwyczajnych znakami stenograficznymi tém bardziej wydaje mi się niestosowném, że w oznaczeniach tego rodzaju potrzebną jest ścisłość, i niczego domyślać się nie można, jak to częstokroć ma miejsce w piśmie ciągłym,

gdy nieczytelne onego wykonanie zmusza nas dochodzić sensu z wyrażeń poprzednich i następnych.

W wymawianiu spółgłosek p. Krupski obmyślił system odrębny, któremu w wielu zastosowaniach odmówić nie można praktyczności. Przytaczam własne jego w tej mierze wyrazy: „Spółgłoski najprzód zaczynają swe nazwisko każda od swego głosu, np. głoska *l* nazywać się będzie *le* nie *el* i t. d., z tą różnicą, że spółgłoski twarde i przyciskowe łączyć się będą w wymawianiu alfabetycznym z samogłoską *a*, miękkie zaś z samogłoską *e*, z którymi najczęściej łączyć się zwykły.” Tym sposobem u p. Krupskiego np. *z* nazywa się *za*, *ż*-*zie*, *m*-*ma*, *m'*-*mie* i t. d. Wyływa zład prawidło stenograficzne, że samogłoski opuszczają się zupełnie, ilekroć one zawarte są w brzmieniu jakie autor nadaje spółgłoskom. I tak np. wyrazy: *pas*, *lew*, stenograficznie piszą się *ps*, *lw*; *ziemie* pisze się *zm'*; *niesiecie-ńśe* i t. p. Dobry to niekiedy sposób skracania, i sam nawet powyżej zwracałem nań uwagę, jako na dozwoloną igraszkę dźwiękową; pominąwszy atoli że przyzwyczaić się dopiero potrzeba do nowych nazw alfabety p. Krupskiego, zawsze to będzie igraszka tylko, nie oparta na prawdziwym brzmieniu spółgłosek, lecz na nazwiskach dowolnie im nadanych.

Oto i wszystko co znalazłem do zarzucenia *Stenografii polskiej* p. Krupskiego; zaletę zaś jej niepoślednią stanowi systematyczne przeprowadzenie całości, oraz sumienne bardzo i pracowite obliczenie połączeń samogłosek i spółgłosek między sobą, zamieszczane przy każdej głosce w szczególności. Wyborny to materiał dla przyszłego autora nowej stenografii polskiej, chcącego dokładnie zbadać wszelkie kombinacje głoskowe, bez których niepodobna ułożyć dobrego alfabetu stenograficznego; najwięcej tu bowiem zależy na tém, aby dla głosek często się powtarzających obmyśleć znaki najprostsze i najłatwiej wykonalne, i aby znaki tych głosek, które najczęściej z sobą się łączą, zlewały się też dogodnie w szybkim pisaniu.

Jak wszelkie prace początkowe, tak i dziełko p. Krupskiego nie może nosić na sobie cechy doskonałości, zwłaszcza że pisał je w czasie, gdy badania językowe niezbyt daleko jeszcze były posunięte i musiał samodzielnie torować sobie drogę. Mniemam przeto, iż nie umniejszę zasługi ś. p. autora, jeśli otwarcie wyrażę zdanie, że stenografia podług jego systemu nie znajdzie u nas powszechniejszego zastosowania. To co wydawca powiedział w przedmowie, że „każdy w parę tygodni z łatwością nau-

czyć się może tego sposobu pisania," i wtedy jeszcze byłoby złudzeniem, gdyby system ś. p. Krupskiego w zupełności odpowiadał dzisiejszym wymaganiom sztuki stenograficznej. Ażeby zostać biegłym stenografem, potrzeba na to wprawy kilkoletniej. Wprawdzie przy pracy wytrwałej, przy uproszczonej metodzie i pomocy dobrego nauczyciela można i w parę miesięcy posunąć się tak daleko, aby sposobem stenograficznym pisać *cokolwiek prędzej* jak sposobem zwyczajnym; ale zapewnić mogę z doświadczenia, że umiejętność podążania za mówcą lub wykładem nauczyciela i przeczytania potem bez trudności tego, co się napisało, niełatwą jest do nabycia, i że nie każdy nawet, choćby pracował najusilniej, do tego jest zdolnym. Za nieodzowne przymioty dobrego stenografa, obok ogólnego kształcenia i grammatycznej znajomości swojego języka, uważam: lekkość ręki, przytomność umysłu i pamięć; nadewszystko zaś wytrwałość i niezrażanie się początkowymi trudnościami. Ale też kto te przymioty posiada, prędzej niezawodnie nauczy się pisma stenograficznego jak zwyczajnego. Zdanie to wydać się może paradoksem, lubo nim nie jest w istocie. Wszak pisać uczymy się najczęściej lat kikanaście, zanim ręka ostatecznie się wyrobi; tylko że wprawa przychodzi nam tu niespostrzeżenie, oniemał bez naszej wiedzy, gdy tymczasem nauka stenografii, jeśli nie rozpoczęto jej w dzieciństwie jeszcze wieku, wymaga zaniechania rzeczy już nabytej i mozolnego łamania się z trudnościami nowego rodzaju, ku czemu oczywiście wrodzona człowiekowi opieszałość najczęściej stanie na zawadzie. Dlatego powyżej już wyraziłem przekonanie, że stenografia dopóty w powszechne nie wejdzie użycie, dopóki nauka jej nie stanie się przedmiotem wykładu szkolnego i tym sposobem powoli nie przeleje się w massy, a bardziej jeszcze dopóki stenografowie każdego pojedynczego narodu nie zgodzą się na jeden system, uznany przez wszystkich za najlepszy i ogólnie zrozumiały.

Ludwik Jenike.

Staroscina Belzka. (Gertruda z hr. Komorowskich hr. Potocka). Opowiadanie historyczne 1770 — 1774, przez J. I. Kraszewskiego. 2 tomy. Druk i nakład S. Orgelbranda. 1858 r.

W podaniu narodu zachowywał się krwawy dramat spowodowany dumą magnata Potockiego. Przechodząc z ust do ust, oddalał się coraz od prawdy, a przywdziewał w szaty poetyckie. Z tego podania wziął wątek Antoni Malczeski do swego poematu *Maryi*, i przystroił we wdzięczniejsze jeszcze barwy poezyi.

Franciszek Salezy Potocki wojewoda kijowski, pan obszernych włości i najbogatszy w całej Rzeczypospolitej, zwany *królikiem ruskim*, ożeniony powtórnie z Anną Potocką, miał oprócz kilku córek, jedynego syna Stanisława Szczęsnego. Wspaniała była rezydencya w Krystynopolu wielkiego pana, u którego marszałkiem dworu był drogo opłacany książę Włodzimierz Czetyrtyński, dlatego jedynie, aby mógł powiedzieć: „Zawoiajcie mi księcia marszałka!” i pochwalić się, że potomek Światopełków, marszałkuje Pilawicie (1)! Dawny oficer wojsk saskich, starosta zanidecki, Karol Sierakowski, dowodził nadwornym pułkiem lejbgwardyi dragonów, stojącym ciągle w Krystynopolu. To daje miarę wystawności dworu wojewody kijowskiego. Usunąwszy się od spraw publicznych, nienawidząc panującego Stanisława Augusta wraz z jego stronnictwem, marzył o detronizacyi, i myślał sięgać po koronę w Rzeczypospolitej. Duma i pycha jego granic nie znała: podzielała je zgodnie jego małżonka, którą kochając, pokornie ciężkie jarzmo małżeńskie znosił, uległy wszelkim jej kaprysom i cierpkemu charakterowi. Wojewodzina głównie wszystkiem rządziła, ona kierowała wychowaniem dzieci, jej dziełem też była słabość i niedołężność charakteru syna Szczęsnego.

Kraszewski w dobitnych zarysach, na początku swego opowiadania, zapoznaje nas z tymi głównemi postaciami.

Szczesny Potocki wychowany w surowym rygorze ślepego posłuszeństwa, ma już lat dwadzieścia. W sąsiedztwie Krystynopola zamieszkiwał Jakób hrabia Komorowski, ożeniony z Antonią Pawłowską, nieubogą dziedziczką kilku wsi w Wielkopolsce, miał liczną rodzinę, bo cztery córek i czterech synów. Panny Ko-

(1) Pilawa herb Potockich,

morowskie słynęły z urody, między nimi wyszczególniała się tak pięknoscia jak i wykształceniem *Gertruda*. Skończyła wychowanie w Wiedniu, i właśnie co tylko przybyła w dom rodzicielski. Komorowski z żoną i dziećmi często nawiedzał stolicę królika ruskiego, gdzie był gościnnie przyjmowany: dumna wojewodzina ze szczególną przyjemnością widziała zawsze piękne panny Komorowskie, a dla Gertrudy, okazywała nawet serdeczniejszy afekt.

Młody Szczęsny wychowany w wielkiej grozie, niezający świata, zamknięty w Krystynopolu, w chwili gdy gra namiętności w nim się odezwała, nie mógł być na tyle powabu i wdzięków obojętnym. Pokochał pierwszą miłością Gertrudę i tajemnie z wiedzą tylko jej rodziców poślubił. Gdy wiadomość pewna o tem małżeństwie doszła do wojewody, strasznym zawrzał gniewem, ale taie rozkazał przed żoną swoją. Złożono tajną radę, i przyjęto wnioski pani Mniszchowej, aby napaść dwór Komorowskich, Gertrudę porwać, osadzić w klasztorze zakonnicy lwowskich i zmusić do rozwodu. Wojewoda, powierza rozbójniczą wyprawę zaufałemu dowódcy gwardyi swojej Karolowi Sierakowskiemu; ale ten jak stał, tak padł do nóg wojewodzie i na klęczkach doń zawołał, przejęty zgrozą szlachetną: „W każdym innym razie, życie moje nieś jestem gotów na zawołanie pańskie, ale nie mogę napaść gwałtownie na dom, w którym tylekroć gościnnie byłem przyjęty, gdzie mi nie raz dano prawdziwej przyjaźni dowody.”

Pewniejsi siepacze znaleźli się na dworze krystynopolskim: Alexander Dąbrowski pułkownik kozaków nadwornych, i Wilezek podkoniuszy: ci z bandą kozaków i dwoma zręcznymi żydkami, napadli dwór Komorowskich. Poraniwszy ludzi, porwali młodą małżonkę Szczęsnego Potockiego, w jednej koszuli i spódnicy w trzaskający mróz do sań przygotowanych rzucili, i gotowemi piernatami i poduszkami przydusili. Tam nieszczęśliwa ofiara, przy nadziei będąca, śmierć znalazła. Zbrodniarze skoro z przestachem ujrzeni trupa w saniach, potracili głowy: w trwodze rzucili zwłoki martwe w przerębę rzeki. Podanie, które w młodych latach slyszalem, mówiło, że na wiosnę gdy wojewoda stroskany wyszedł do swego ogrodu, i stanął nad łachą rzeki, trup synowój zamordowanej wypłynął mu na oczy, jakby wyrzut spełnionej zbrodni. W opowieści swój J. I. Kraszewski fakt ten sam podaje, z tą zmianą, że ujrzał trupa Gertrudy jeden z rządców wojewody, i skrycie pogrzebał, za co hojnie wynagrodzonym został. Grób nieszczęśliwej ofiary został tajemnicą.

Czas do spełnienia zbrodni dobrze był wybrany: wrzała bowiem konfederacja barska, a jej zastępy, jak i wojsk obcych snuły się po kraju. Na wieść tak straszną, wzruszył się oburzeniem cały naród: wojewoda rażony zgryzotą sumienia popadł w niemoc coraz większą: dumna jego małżonka wśród rozpoczętego procesu z Komorowskiemi zmarła, niedługo i sam wojewoda skończył dni swoje. Szczęsny Potocki wysłany pod ścisłym dozorem za granicę, okazał słabość charakteru tak niską i dziecinną, że każdy czytający jego listy i sposób postępowania, oburzenia swego zataić nie może. Po śmierci wojewody skończył się proces wyrokiem sądu delegacyjnego 1774 r., 10 listopada, mocą którego odkryci sprawcy napadu na srogię kary śmierci aocześnie skazani; Szczęsny Potocki zaś, za utrzymywanie zbrodniarzy takich na dworze swoim, na zapłacenie 4000 grzywien Komorowskiemu skazanym został. Komorowscy oprócz zaliczeń gotowizną, wzięli milionowe dobra za krew biédnej Gertrudy. Tak się cała sprawa skończyła.

Podaliśmy tu tylko treść zwięzłą całej opowieści Kraszewskiego, która dwa tomy obejmuje: osnuta na dokumentach urzędowych, oryginalnych listach i współczesnych pamiętnikach i relacyach, daje nam obraz zajmujący, na którego tle przesuwa się wiele postaci wydatnych, oprócz głównych działaczy. Nie brakło ogromnego zasobu Kraszewskiemu do téj sprawy, ale układ cały, uporządkowanie materiałów i powiązanie z sobą w całość, okazuje wielki talent tego pisarza. Pragnąc należy, ażeby na tém polu historycznym, na którym niemało już położył zasługi, chciał Kraszewski pracy swój nie pożałować: trwalszy to dar bowiem dla literatury o: zystej od powieści, które po chwilowej wziętości przechodzą w zapomnienie. Dotknął tu wiele zdarzeń krajowych i postaci historycznych: biograf jak i badacz dziejów Stanisława Augusta musi oznajomić się ze starościna bółzką: na tych bowiem kartach znajdzie wiele z rękopismów nieznanych dobytých szczegółów. Tu wyczyta powody słabości i charakteru owego męża nieszczęśliwej Gertrudy. Tu znajdzie ciekawe zarysy Sołtyka biskupa, samego króla, wielu magnatów i słynnej z dowcipu Katarzyny Kossakowskiej kasztelanowej krakowskiej, która rada i pomocą w sprawie z Komorowskiemi wspierała tak starego wojewodę jak i Szczęsnego Potockiego. Porwanie króla Stanisława Augusta przez konfederatów mamy tu opisane z nowemi szczegółami. O śmierci dwóch przywódców tego napadu czytamy:

„Łukawskiego tu exekwowano, ale z niewypowiedzianą przytomnością i rezygnacją umierał. Żaden nie uwierzy, żeby można z taką obojętnością na śmierć iść: przepraszał wszystkich jeżeli kogo swoim przypadkiem zrobił nieszczęśliwym, oczu żadną miarą zawiązać nie dał i w głos wołał: „Nie trzeba mi tego, ja się wcale nie lękam śmierci!” Drugi jego kompan Cybulski jeżeli po nim umarł, kilka razy zemdlął”.

O śmierci Strawińskiego naczelnika głównego porwania króla, głuche w tej relacji milczenie. W innym miejscu (Cmentarz Powązkowski pod Warszawą Tom III) szerzej podaliśmy nasze zdanie co do tego zdarzenia i staraliśmy się oczyścić z zarzutów Kazimierza Pułaskiego, który o zamiarze porwania króla zupełnie był nieświadomym. W opowieści Kraszewskiego znajdujemy ważne napomknienie, które wspiera nasz domysł, że król dowiedziawszy się o zamiarze Strawińskiego porwania go, do czego z jego strony należał Kuźma (Kosiński) obrócił rzecz całą na zabicie moralne konfederacji barskiej. Tu współczesna przywiedziona relacja przez Kraszewskiego, wyraźnie mówi: „że król obiecuje, że to porwanie na dobre wynijdzie”. Wróżba spełniła się zupełnie: konfederacja barska zohydzona, upadła. Podaliśmy opis śmierci Strawińskiego: tymczasem w r. b. otrzymujemy wiadomość i notatę od p. Prota Lelwela brata Joachima, że Strawiński z więzienia przez jednego z panów polskich wykradzony, wywieziony do Włoch, uniknął miecza kata, a osoba w jego miejsce tracona na szafocie, gdy przemawiać chciała, odgłosem bębnow zagłuszoną została. Nadto w ręku jednego z krewnych owego Strawińskiego, mieszkającego na starém naszym Podlasiu, są listy konfederata pisane z Włoch i Paryża, które mają być drukiem ogłoszone. Przybędzie nam więc fakt nowy, który może większe rzuci światło na ten ustęp dziejowy.

Szczesny Potocki po śmierci Gertrudy ożenił się z Józefą Mniszchówną. W lat kilkanaście po zakończonej sprawie z Komorowskiemi, gdy już z drugą żoną mieszkał, odwiedził go niespodzianie brat Gertrudy. Powitanie ich zdziwiło wielce przytomne starsze dzieci Potockiego z powtórnego małżeństwa, patrzące jak ojciec ich rzewnemi łzami zalany, z żywém uczuciem najserdeczniejszej braterskiej miłości, długo przyciskał do piersi swęj osobę im nieznaną i oderwać się od nięj nie mógł. Wtenczas pierwszy raz dowiedziały się od matki swojej, że ona była potwórną ojca ich żoną, a gość przybyły bratem pierwszjęj.

Szczęśny Potocki dla trzeciej żony swojej, utworzył słynny ogród Zofiówki, nazwany od jej imienia. Ta rozrywka magnacka kosztowała go 19,500,000 złp. Pomimo wielkiego przywiązania jakie miał dla ostatniej swój małżonki, zachował uczucie żalu i miłości dla nieszczęśliwej Gertrudy i z miniaturą jej na piersiach pogrzebać się kazał: „gorzko (jak wyraża Kraszewski) oplakując, krwawo przerwany sen swojej młodości”.

Ogromny majątek Szczęsnego podzielony na części zmałał, został po nim pamiątką: krwawy dramat i pyszny ogród Zofiówki, uczczony poematem Trembeckiego.

Warszawa, d. 6 kwietnia 1858 r.

K. Wł. Wójcicki.

Stary Polak dla trzeźwości swojej, stworzył słynny
 orzech Łobowski, nazwany od jej imienia. Ta korywka ma
 kształt koła, o średnicy 12,500 000 zł. Pomimo wielkiego przyspieszenia
 i mimo, że jest ona bardzo ciężka, zachowała kształt i
 i mimo, że jest ona bardzo ciężka, zachowała kształt i

WIADOMOSCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Działanie azotu i jego związków ukwasorodnionych na bor.
 PP. Wöhler i Sainte-Claire Deville okazali, że azot wolny łączy się bezpośrednio w wysokim cieple z borem, i tworzy azotek boru.

Ogrzewając wolnym ciepłem bór bezkształtny, przy dłuższej robocie bór zapala się i zupełnie spłonie; otrzymana się zaś wtedy nie kwas borowy, ale mieszanina kwasu z azotkiem boru. Dla okazania tego, należy ogrzewać wypadek wyprażania z wapnem skropionym sodą, w rurce szklanej z rurką do zbierania gazu, której ujście wchodzi w wodę przepędzoną; wtedy wywiąże się widoczna woń amoniakalna. Można by nawet po nasyceniu wody alkalicznej kwasem solnym, osadzić chlorek amoniowoplatynowy.

Jeszcze widoczniej okazać można pochłanianie azotu, jeżeli palimy bór w niedokwasie pierwszym azotu, przyczem widzieć można ustalanie się znacznej ilości azotu. Lepiej zaś jeszcze spostrzegać to się daje w warunkach następujących.

Bór bezkształtny ogrzany na ciemno-czerwono w strumieniu niedokwasu drugiego azotu, zapala się, przyczem wydaje mocne światło i zmienia się w kwas borowy i azotek boru. Kolor szarawy tej mieszaniny pochodzi od małej ilości nie spalonego boru; skoro zaś na nią nalejemy wody i kwasu azotowego, otrzymamy azotek boru, posiadający wszystkie własności tego związku zrobionego innym sposobem, albowiem z potażem gryzącym stopionym, tworzy w obfitości amonię.

Dwie odmiany krystaliczne boru, nie rozkładają niedokwasu drugiego azotu, a przyuajmniej widzieć tego nie można w takim cieple, w którym szkło się rozmiękcza.

Bór jest to jedyny pierwiastek, który paląc się, wchodzi jednocześnie w związek z obudwoma ciałami składowymi powietrza, to jest azotem i kwasorodem.

* *Fermentacja wyskokowa.* Na posiedzeniu Akademii umiejętności paryzkiej w styczniu r. b. doniósł p. Dumas, że p. Pasteur czyniąc dalsze poszukiwania nad fermentacją wyskokową okazał, iż w jej wypadkach znajduje się i kwas bursztynowy, co przekonywa że fermentacja ta nie jest działaniem tak prostem, jak dotąd przypuszczano. Kwas bursztynowy znajduje się tu zawsze w znacznej ilości, powstał zaś on z cukru w stosunku takim, iż tworzy się go 1 część, na 200 cukru na wagę.

Kwas bursztynowy łatwo może być wykryty nawet z małą ilości płynu zafermentowanego; w tym celu należy ciecz parować, zubożyć, dodać saletranu srebra, a utworzony bursztynian przemyć i rozłożyć gazem siarkowym wodorodnym; wtedy po wyparowaniu otrzyma się kryształki kwasu bursztynowego. Łatwiej jeszcze to uskutecznić, przez nalewanie eteru na podparowaną ciecz wyfermentowaną; w czasie ulatniania się eteru, na bokach naczynia powolnie osiadać będą kryształki kwasu bursztynowego. Gdyby przypadkiem nie tworzyły się te kryształki, czyli gdyby kwas bursztynowy był rozpuszczony w gęstym kwasie mlekowym, który pozostanie po odparowaniu eteru; w takim razie należy obadwa kwasy nasycić wapnem, bursztynian wapna jako nie rozpuszczający się w słabym wyskoku, łatwo odłączyć od mlekanu wapna.

Jeżeliby więc kiedy, kwas ten znalazł obszerniejsze zastosowanie w medycynie, możnaby go tanio otrzymywać z wywarów.

Dodać tu jeszcze należy następną uwagę.

Skoro kwas bursztynowy jest ciałem zwyczajnem i koniecznem przy fermentacji wyskokowej, powinienby się objawiać wszędzie, gdzie tylko ta fermentacja się wywięzuje, np w winach. Robione doświadczenia przekonały, że wyparowawszy kwartę wina z Jura, za nalaniem na ten osad eteru, otrzymał p. Pasteur, po 24 godzinach, w roztworze kwasu mlekowego, kryształki kwasu bursztynowego.

* *O bytności miedzi w tkance roślinnej i zwierzęcej,* przez pp. Odling i Dupré. Autorowie powyżsi wykonali przeszło 100

rozbiórów i to różnemi sposobami, i zawsze prawie w powyższych tkankach wykrywali miedź. Przy różnych próbach z nasionami pszennymi (pszenicą), z trzewami ludzkiemi; oznaczono nawet ilość miedzi. Ze 100 granów popiołu ziarn pszenicy, otrzymano $\frac{25}{1000}$ grana, a z wątroby baraniej, więcej niż pół grana niedokwasu miedzi.

* *O ważności ziemniaków pod względem żywienia, w porównaniu do pszenicy.* Na posiedzeniu Towarzystwa do posuwania umiejętności w Dublinie, czytał p. Rogers w powyższym przedmiocie rozprawę, przywodzącą się do następującej treści:

Celem autora było okazać, że ziemniaki rzeczywiście posiadają taką wartość pożywną jak sucha pszenica, a jednak na gruncie zajętem pod pszenicę, korzenie te wydadzą około cztery razy tyle pożywienia, co powyższe ziarno. Liczby przez autora podane, lepiej tę rzecz objaśnią.

Na sto funtów angielskich, ziemniaki i pszenica zawierały następujący stosunek mączki, ciał azotowych i oleju:

| | Ziemniaki. | Pszenica. |
|--------------------------|------------|-----------|
| Mączki | 84,077 | 78,199 |
| Ciał azotowych | 14,818 | 17,536 |
| Oleju | 1,104 | 4,265 |
| | <hr/> | <hr/> |
| | 99,999 | 100,000 |

Na akr ziemi, ilość ciał pożywnych w ziemniakach i pszenicy obliczonych jako zupełnie suche, wynosi:

| | Ziemniaki. | Pszenica. |
|--------------------------|------------|-----------|
| Mączki | 3,427 | 825 |
| Ciał azotowych | 604 | 185 |
| Oleju | 45 | 45 |
| | <hr/> | <hr/> |
| | 4,076 | 1,055 |

J. B...a.

KORRESPONDENCJE.

KRAKÓW. Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowym, odbyte dnia 20 marca 1858 r.

Po załatwieniu czynności dotyczących się restauracji pomników w pogorzałych świątyniach, czytano na tém zebraniu następnę rozprawę, i tak:

JMX. Adam Jakubowski przebiegł w krótkim przeglądzie treść *Przechadzek po Wilnie i jego okolicach*, napisanych przez Jana ze Sliwina (A. H. Kirkora). Najdłużej zastanowił się szan. sprawozdawca nad podanym w tej książce opisem wileńskiego muzeum starożytności i Tyzenhauzowskiego gabinetu ornitologicznego.

Następnie czytano nadesłany Towarzystwu ciekawy artykuł A. E. K. *O katalogu historyczno-opisowym zbioru starożytności w Puławach* (Sybilli). Również wiadomość *O podaniach tyjących się Swiatowida i jego świątyni, dochowanych na wyapie Rügen*: relacją tę podał p. Fr. Morawski, chcąc nią zapewne uzupełnić publikowaną w tym przedmiocie rozprawę p. Zebrańskiego, zamieszczoną w I zeszytcie Rocznika oddziału arch. i sztuk (wyd. w Krak. 1851).

Dalej roztrząsano odpowiedź pana Konstantego hr. Tyszkiewicza na pytania, które mu oddział uczynił w sprawie nadesłanej Towarzystwu rozprawy: *O okopiszczach na Litwie i Rusi litewskiej*. Rozbierając poszczególne wyjaśnienia litewskiego badacza, mówił głównie członek referujący: o sposobie odbywania sądów u dawnych Słowian, o sądach kopy, wreszcie o miejscach pobytu Krywiczów, którym przypisuje p. Tyszkiewicz okopiszczę, przedmiotem uwagi jego będące. Ostateczną dyskusyą nad tą pracą, odłożono do czasu, kiedy rozprawa ta w druku się ukaże.

Odebraną odezwę od przewodniczącego w sekcji archeol. muzeum czeskiego p. E. Wocła prof. uniwersytetu w Pradze, jako wymagającą szczególnego sprawozdania o grobowiskach pogańskich w okolicach Krakowa różnemi czasy odkrytych; przydzielono jednemu z członków oddziału w celu wypracowania odpowiedzi. Obok tej relacji przesłało czeskie Muzeum towarzystwu naukowemu wydawane przez siebie (pod redakcją K. W. Zapa) pismo archeologiczne: *Památky archaeologicalké a mistopisne*—tomów 2, zeszytów 16, to jest od początku wychodzenia aż do r. 1858. Pan zaś Wocel zbogacił bibliotekę Towarzystwa swemi cennymi rozprawami, jako: *Vyznan Básni Smila s Pardubic a s Richenburka—I Nová rada*

(w Prace 1855).— *Aesteticcky vyznam bĕnsni kralodvorskeho rukopisu Zaboĭ a Jaroslav.* (w Prace 1854).— *Vyvinovani krestanskeho Umeni a nejstarsi pamĕtky jeho zvlĕste v Cechĕch* (w Prace 1852).— *Archĕologische Parallelen*, 2 zeszyty jako osobne odbicia z sprawozdań posiedzeń sekcji filozoficzno-historycznej w ces. wiedeń. akad. umiejet.— *Ueber die Runen der Kĕbelicher Urne i Bericht ũber Kunst und Archĕologische Bereisung Boehmens.*

J. E. rzeczywisty radca tajuy ks. prałat J. Schindler nadesłał do zbiorów Towarzystwa szacowny zabytek z wieku XIV: rzeźbę na kości słoniowej (wys. 0,053 m., szer. 0,07) wystawiającą ukrzyżowanie Chrystusa Pana.

Od p. Józefa Łoskiego odebrało Tow. osobne odbicie (z Bibl. Warsz. poszyt grud. z roku 1857) artykułu jego: *O cerkwi zamkowej w Kodniu.*

Do zbioru mumizmatycznego złożyli: p. K. Rogawski 4 szelągki kor. Jana Kazimiorza wydobyte z grobu aryańskiego w Zakliczynie; pan Stanisław Polanowski talar kor. belgijski z r. 1620 i pan A. Benoe z Niegowic, monetę srebrną rzymską ces. Antonina.

Wreszcie zakończono posiedzenie obejrzeniem książki przysięg dawnych krakowskich miejskich urzędników, którą okazał p. J. Mączyński. Piękny ten zabytek składa się z trzech pergaminowych kart in folio min: oprawnych w ozdobnej okładce. Przed temi dodana karta papierowa z następną na niej zapisaną wiadomością:

„*Książka Juramentów Wójta, Ławników i Pisarza prawa magdeburskiego prowincjonalnego z odmalowanym Krucyfiksom Chrystusa Pana, na którym wybrani do tych sądów urzędnicy przysięgali.*

„To prawo fundowane na zamku krakowskim przez Kazimierza W. w 1356 roku, wzięło koniec pod panowaniem St. Augusta r. 1791 d. 18 kwietnia na sejmie warszaw. Trwało tedy ciągle lat 435, a po zniesieniu jego: prawa, przywileje i akta z zamku krak. przeniesiono do sądu apelacyjnego miast wydziału wojew. krak. nowo na sejmie ustanowionego, który się agituje w ratuszu miasta Krakowa. Ja sam te przywileje i akta zdawałem owemu sądowi apelacyjnemu, zostawszy pierwszym jego prezesem. W urzędzie prawa wyższego magdeburskiego byłem ławnikiem lat 8, wójtem ostatnim do zniesienia tegoż prawa lat 22.

Tę książkę Juramentów wzięłem do siebie dla pamiątki potomkom moim.”

Dalej idą podpisy następane: „Wojciech Mączyński wójt ostatni, Jan Girtler arcylaownik, Fryderyk Klossc, Maciej Ibrych, Franciszek Trajtler, Józef Kubecki, Antoni Feistmantel ławnicy i Walenty Zieliński pisarz.”

Na pierwszej pergaminowej kartce pięknie malowany herb wystawiający trzy dębowe liście w niebieskim złocisto-ponsową wstęgą przedzielonóm polu i na wstęgach nad nim i od dołu biegnących, napis: *Nicolaus Pipan* (1) i rok 1640, oraz herb *Rdża* z następnymi wokół głoskami: J. S. B. D. B. Na odwrotnej stronie i dalszych, wśród ozdobnie malo-

(1) Zapewne dziad tego Mikołaja Grzegorz Pipan (Laubacensis, Juris supr. Saxon. Consultis); zmarły 1566 r. ma obok pomnika swojej żony nagrobek na zewnątrz kościoła ś. Barbary w Krakowie.

wanych kwiatów po polsku pisane roty przysięgi. Pierwsza wójta prawa wyższego magd. z tym u góry nadpisem:

„*Advocati Juris supremi*. Eligendi potestas spectat od solam Sacr. Reg. Maj. Polon. Dominum Clementissimum: et electus residet ad vitam. Confirmatur autem infrascripto Juramento.”

Na następnej karcie nad rotą przysięgi ławnika napis: „*Scabinorum Juris supremi*. Electio autoritate privilegii competit Dno Magno procuratori arcis crac. una cum Advocato Juris supr. pro tempore existentibus; atque ita utriusque consensu ac unanimi voto electi resident ad vitam. Quorum hoc est Juramentum.”

Nad rotą pisarza napis: „*Notarius Juris supremi*. Unanimi consensu tam Advocati quam Scabinorum eligitur ad beneplacitum illorum. Cujus hoc est Juramentum.”

Na trzeciej karcie wymalowany jest Chrystus Pan na krzyżu w sposób taki: iż karta się otwiera do góry, zastępując leżący krucyfiks.

Zabytek ten w połączeniu z oglądanem na przeszłym posiedzeniu berlem wójta krakowskiego, stanowi ciekawą pamiątkę dawnego mieszczaństwa, którego historii ani też heraldyki prawie jeszcze u nas nietknięto—a przecież kościół N. M. Panny, jego przywileje, fundacye i pomniki, oraz archiwum miejskie, tyle ciekawych do podobnej monografii dostarczyłyby materiałów.

WILNO. Posiedzenia wileńskiej archeologicznej kommissyi dnia 11 stycznia, 11 lutego i 11 marca 1858 r.

Pierwsze z nich, ogólne, roczne, pod prezydencją hr. *E. Tyszkiewicza*, zaszczytli, między innymi, swoją obecnością, rzeczywisci członkowie: JW. pan generał-gubernator *Nazimow*, JJWW. Kurator Naukowego Okręgu, generał-porucznik baron *Wrangel*, rzeczywisty radzca stanu *Pochwiński*, i wiele znakomych gości.

P. prezydujący zagaił posiedzenie mową, w której, po krótkim przeglądzie czynności kommissyi w minionym roku, wskazał wydatniejsze strony jęj działania, mianowicie, rozszerzony bardziej zakres stosunków towarzystwa z innymi tego rodzaju uczonemi krajowemi i zagranicznymi Towarzystwami, tudzież z bogacenie muzeum w skutek złożenia mu w ofierze gabinetu ornitologicznego przez hr. *Rajnolda Tyzenhauza*, jako też otrzymania resztek uniwersyteckiego mineralogicznego gabinetu. Z tego powodu czynność kommissyi musi się koniecznie podzielić na dwa oddziały: archeologiczny i nauk przyrodzonych. Tu p. prezydujący wspominał o odkryciu w powiecie lidzkim, w majątku Dra *Jundzilla*, nowego surrogatu dla opalu, w gatunku lignitu. W końcu, jako dowód żywego udziału w pracach Towarzystwa ze strony publiczności, p. prezydujący wymienił kilka przykładów ważniejszych ofiar na rzecz muzeum, również podał liczbę gości, którzy w minionym roku ten zakład zwiedzili. Tych osta-

tnich było 11,800. w tój liczbie mężczyzn 8,559 i kobiet 3,241; zatem o 4,649 więcej niżeli w r. 1856.

Następnie RR. CC. *Malinowski* i *Kirkor* odczytali swoje artykuły: pierwszy, w języku francuzkim, *Sur l'appui accordé par le Gouvernement Impérial aux études archéologiques*, gdzie wyraziwszy jakie rząd rossyjski położył zasługi w sprawie ojczystej archeologii, wymienił między innymi przepyszne, a zarazem ważne pod względem uczonym i artystycznym, wydania: Starożytności Bosforu Cymmerskiego, tudzież Starożytności Państwa rossyjskiego, które to dzieła N. CESARZ JEHO MOŚ do biblioteki Muzeum wileńskiego Najlaskawiej podarować raczył; drugi, artykuł o Światowidzie, z powodu, że Muzeum nabyło kopią tego starożytnego słowiańskiego bożyszczka, znalezionego w r. 1848 w rzece Zbruczu (w gub. podolskiej) (1). P. *Kirkor*, rozbiegając artykuł p. profesora st. petersburskiego uniwersytetu Sreżniewskiego, który rzucił cień podejrzenia na tożsamość rzeczonoego posągu ze słowiańskim bożyszczem Światowida, przywiódł wręcz przeciwne temu zdania innych słowiańskich uczonych, jakoto: *Lelewela*, *Żebrawskiego* i t. d., które p. *Kirkor* w zupełności podziela. Obecni z wielkim udziałem i współczuciem obu tych artykułów słuchali.

Na zakończenie posiedzenia, goście, na wniosek p. prezesa, obejrzeliby nowo utworzoną salę mineralogiczną, na trzecim piętrze, oddaną do rozporządzenia kommissyi.

Na drugim, zwyczajnem posiedzeniu d. 11 lutego, po odczytaniu protokulu przeszłego posiedzenia, p. prezydnyjący wniósł projekt, który jednomyślnie przyjęto, aby, dla rozszerzenia zakresu czynności kommissyi wydawać 3-ci tom pamiętników osobnemi poszytami, co miesiąc, nie czekając wyjścia na świat 2-go tomu, którego druk został spóźniony z powodu obfitości materyałów, wymagających przekładu na język polski lub rossyjski. Redakcyja takowych pamiętników przyjęła na siebie pp. *Mikołaj Malinowski* i *A. Kirkor*.--P. profesor *Adamowicz* udzielił Towarzystwu niektóre objaśnienia, w przedmiocie rozbieganego na grudniowym posiedzeniu lignitu, któremu zaprzecza przymiotów istotnego lignitu, wszelako przyznaje mu własności materyału przydatnego na opał, z którego można będzie wydobywać gaz. W końcu p. *Adamowicz* odczytał swój artykuł o *Glinianie* czyli *Aluminium*, t. j. o nowo-odkrytym metalu, zastępującym srebro, oraz wyłożył sposób jego dobywania, wyrabiania i użycia. Następnie odeztyano różne papiery, które w ciągu ostatnich miesięcy weszły do Kommissyi, a z których ważniejsze były następujące: 1) Komunikacya JW. general-gubernatora z dnia 24 grudnia, w której zawiadamia, że p. minister dóbr Państwa, w skutek przedstawienia p. general-gubernatora względem oddania do kommissyi archeologicznej przechowujących się w grodzieńskiej izbie dóbr Państwa dokumentów, wziętych z domowego archiwum księcia *Sapiehy* w *Dereczynie*, zalecił doręczyć kommissyi wyżej wymienione dokumenta. Przyczem p. general-gubernator raczył przesłać 13 inwentarzów archiwum *dereczyńskiego*. *Postanowiono*: postać

(1) Kopią rzeczoną zamówił p. prezydnyjący w Krakowie, którą wykonał rzeźbiarz miejscowy wedle oryginału, z najsumienniejszą ścisłością, co na piśmie zaświadcza Krakowskie Towarzystwo Naukowe.

dla przyjęcia rzeczonego archiwum zostającego w Kommissyi urzędnika Hundiusa. 2) Kommunikacya p. general-gubernatora z d. 24 grudnia, z przesłaniem Kommissyi 24-ch sztuk srebrnej stariej monety, znalezionej w majątku Skidle (grodzień. gub.) obywatela księcia Czetwertyńskiego. *Postanowiono*: poruczyć takowe monety dla rozpatrzenia rzeczywiściemu członkowi baronowi Rossilonowi. 3) Odezwa inspektora rzymsko-katolickiego seminaryum w Saratowie, księdza Rajunca, z d. 16-go stycznia, w której donosi, że Jezuita, jak wiadomo, po zniesieniu ich zakonu, zajmowali prawie wszystkie duchowne obowiązki w osadach niemieckich południowej Rosyi, i że przez nich wiele rzadkich i ważnych dzieł z Polski i Litwy przeszło nad brzegi Wolgi. Przesyłając rękopism treści teologicznej, z wieku XVII, *De jure et justitia*, ułożony z publicznych lekcyj Jezuita D. K. w Krakowie (1634—36), ks. Rajuniec dodaje, że może nikt o tem nie wie, iż większa część biblioteki ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta została darowana przez CESARZA PAWEŁA I, mohylewskiemu prawosławnemu biskupowi Anastazemu (Bratanowskiemu), który będąc potem biskupem astrachańskim, zapisał ją tamiecznemu miejscowemu seminaryum. Ks. Rajuniec przyrzeka, że się uda na miejsce i porobi wyciągi dla naszego Towarzystwa z dzieł ważniejszych.—Z kolei odczytano wniosek członka honorowego hr. Morykoniego, o przyjęcie na członka Archeologicznej kommissyi uczonego Szwajcara Troyona, trudniącego się poznaniem starożytności naszego kraju, a chcącego wejść w bliższe stosunki z Towarzystwem. Przyczem hr. Morykoni przesłał Towarzystwu kilka dzieł rzeczonego Troyona w przedmiocie archeologii.—Następnie odczytano listę różnych ofiar dla Muzeum.

Na zakończenie posiedzenia, p. przydujący z ubolewaniem zawiadomił o nowej dotkliwej stracie, którą poniosło Towarzystwo w osobie zmarłego d. 13 stycznia, w St. Petersburgu, rzeczywistego członka kommissyi naszej i akademika, rzeczywistego radcy stanu *Korkunowa*, oświadczając zarazem, że p. Kirkor ma napisać krótki rys życia i prac tego znakomitego męża.

Na témże posiedzeniu 11 lutego obrani zostali jednomyślnie na rzeczywistych członków, na wniosek p. przydującego i pp. Malinowskiego i Kirkora, rzeczywisty radca stanu A. E. *de Roberti*, radca stanu E. A. *de Roberti* i radca kollegialny *Padran de Curné*; na członków honorowych, na wniosek p. przydującego, hr. Henryk *Tyszkiewicz*, a na członków współpracowników na wniosek p. prezesa, tudzież Malinowskiego i Kirkora, radca hon. *Przybylski*, i na wniosek hr. Morykoniego, Fryderyk Troyon w Szwajcaryi.

P. przydujący powitał w imieniu Towarzystwa nowych członków, obranych na przeszłym posiedzeniu; poczem, gdy odczytano protokół i korespondencye z upłynionego miesiąca, p. A. Kirkor przeczytał dwa swoje artykuły: pierwszy, „Rys życia akademika, rzeczywistego członka naszego Towarzystwa, *Korkunowa*, zmarłego w St. Petersburgu d. 13 stycznia roku bieżącego,” którego gorące współczucie dla naszego zakładu czyni tę nową stratę nader dotkliwą; i drugi, „Przegląd postępów i działań słowiańskich archeologicznych towarzystw,” gdzie podał, między innymi, wiadomość o działalności prawie wszystkich rzeczonych zgromadzeń, i wypo-

wiedział myśl o konieczności zawiązania ściślejszych stosunków z kijowską archeologiczną kommissą, tudzież z towarzystwem historyi i starożytności w Rydze.—Poczem p. W. *Wiesiołowski* odczytał swój artykuł pod tytułem: „Bibliograficzny wykaz dzieł historycznych i archeologicznych, wyszłych w minionym 1857 roku.”

Przeszły miesiąc był wielce dla Muzeum szczęśliwy, co do ilości i wartości złożonych ofiar. Wymienimy tylko niektóre: 1) książkę Roman Sanguszko przysłał dawny relikwiarz, ulany ze srebra, i ozdobiony rzeźbą, przedstawiającą owę cudowną legendę, która głosi, iż pewien dowódzca Tatarów, podczas swego napadu na Częstochowę, ujrawszy ognisty krzyż w obłokach po nad klasztorem, rozkazał swojemu wojsku cofnąć się od cudownego miejsca, a sam przyjął wiarę chrześcijańską. Rzeźbiarz nasz wileński, Jan Ostrowski, którego prace są tu powszechnie znane, zrobił wielce trafny model tego relikwiarza z polecenia p. prezesa Towarzystwa. 2) P. Malyszewicz ofiarował doskonale zachowany sztandar okuty z drzewcem, zdobyty w boju z Turkami przez podkomorzego dorpackiego Todwena w 1683 roku. Podanie familijne Todwenów, u których się ów sztandar przechowywał, niesie, że rycerz, który go zdobył, na propozycyą Jana Sobieskiego, aby mu tę zdobycz ustąpił, wręcz odmówił królowi. Obrażony monarcha miał jakoby powiedzieć: „Pierwej na mej dłoni wyrosną włosy, niżeli który z Todwenów będzie miał jakiegokolwiek znaczenie w kraju.” „Wprzód na mojej dłoni wyrosną włosy, niżli ja o cokolwiek poproszę króla,” odpowiedział dumnie Todwen i wyjechał z obozu. Aż do śmierci Jana Sobieskiego przebywał Todwen w Wiedniu, i dopiero po jego zgonie powrócił do kraju. Ostatni z tego rodu, u którego się przechował ten sztandar, był kapitanem gwardyi Napoleona I, i kawalerem orderu legii honorowej. 3) Z rozporządzenia p. Kuratora wileńskiego Okręgu naukowego będą przewiezione do Muzeum z Kowna różne zabytki starożytności, jakoto: różne broje, pancerze, starożytne strzelby, zwane samopałami, i t. d., które się w tamiecznym gimnazjum przechowują. 4) Z dozwolenia p. ministra dóbr Państwa, większa część biblioteki dereczyńskiej, znajdującej się w archiwum grodzieńskiej izby dóbr Państwa, została oddana do naszego Muzeum. Samo imię Sapiechów, dawnych właścicieli biblioteki, ręczy już za ważność tego nowego nabytku dla Muzeum. 5) Znany numizmatyk, nasz współczłonek, Karol Bayer, przysłał 140 monet, uzupełniających naszą kolekcycę numizmatyczną, brakującemi exemplarzami. Szczególniej zasługują na uwagę monety Władysława Jagielly, talar Zygmunta III, i wiele innych monet. P. Bayer prosił o przesłanie mu katalogu naszego zbioru numizmatów, oświadczając chęć uzupełnienia go, o ile będzie można, nowemi ze swej strony ofiarami.

Przy końcu posiedzenia obrani zostali na członków rzeczywistych, znani zaszczytnie z wielu prac historycznych: Julian *Bartoszewicz* w Warszawie; August *Bielowski* we Lwowie; rektor kazańskiego Uniwersytetu Józef *Kowalewski*, i dziekan fakultetu prawnego w Uniwersytecie kijowskim N. D. *Iwaniszew*. Na członka współpracownika: Józef *Przyborowski* w Poznaniu. Tym sposobem Towarzystwo nasze weszło stanowczo w ściśle stosunki z archeologicznemi centrami słowiańskiego świata.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Etudes historiques sur la Revolution Française de 1789. Paris etc. 3 tomy—1857.

Pod tym tytułem wyszło w roku zeszłym w Paryżu dzieło, którego autora jakkolwiek ukryte nazwisko, nietajnem jest dla nas, a że jest polskie, obchodzić nas powinno, bo chociaż przedmiot dzieła i język w jakim oddane, nie są nasze, naszą własnością jest autor: przeto zwrócić uwagę na jego prace i coś powiedzieć o niej się godzi. Autor w obszernej przedmowie, jakby wyrzutem sumienia ruszony, tłumaczy się z powodów, które go skłoniły do napisania tego dzieła: za treścią poszedł język, w jakim rzecz skreślona. Nie taimy, że dla polskiego czytelnika, ponętniejszy byłby przedmiot i mowa własna, jako dorzucony grosz do narodowej skarbnicy, która bogactwo krajowej literatury stanowi, tém bardziej, że tym razem, imię autora łączne z ojczystą chwałą, podobny dług i na niego wkłada. Wszakże dla krytyka, zarzut w tym względzie jest zbyteczny, bo dla niego wartość dzieła a nie przedmiot i język, głównym celem i miarą zasługi być winny. Autor zaczyna od r. 1789, to jest od zwołania ogólnych stanów, przechodzi przez wszystkie zdarzenia i wypadki tego politycznego wstrząśnienia Francyi, kończąc na śmierci Robespiera, trzy tomową swą pracę. Zadaniem, jak się zdaje autora, jest dowieść, że nieszczęścia i klęski danej epoki, lzy i krew na dziejową kartę spadłe, są dziełem ludzkiej ręki, to jest: że na zdarzenia historycznej wagi, wpływa zawsze człowiek, a przeto otchłań w jaką naród i kraj wpada, ludzkiej przyczynie bezwarunkowo przypisać należy. Ztąd zbijanie teoryi fatalizmu, któremu niektórzy z tegoczesnych dziejopisarzy francuzkich holdują. Niech nam autor *Studyów* wybaczy, ale my do wyższych odnosimy czynniki to wszystko, co faktem w historii się stało, nie przypisując ani fatalizmowi, ani ludzkiej przyczynie tego, co bieg czasu przyniósł, co wznosił lub obalił, bo niewstrzymany potok wypadków w losach narodów w dziwnym swym zwrocie i przejawach, bierze według nas początek w tém źródle, którego tajemnicze i nieodgadnione są dla nas powody i cele. Opatrzność w mądrym kierunku ludzkich przeznaczeń, rozmaite danym narodom wytknęła drogi, wyższe jednym jak drugim rozdała warunki i misye. Zasługa z ofiarą w ścisłej trzyma się spójni, a prawda dla jednych, zdobywa się kosztem trudu i pracy, łez i krwi drugich. Ztąd nie niema straconego w dziejach ludzkości, bo i to, co my wsteczną zowiomy drogą, prowadzi do zamierzonego z góry celu, a wszelkie z naszej strony kombinacye i przypuszczenia, na nie się nie zdały tam, gdzie wyższa myśl kieruje, gdzie dziejowy fakt się spełnił, bo przez to samo że się spełnił, znać że spełnić się był powinien. Dzisiejsza Francya, nasłuchawszy się tyle o pamiętnej tej w dziejach swych rewolucyi, pojawiwszy i nasyciwszy się dowoli głębokiem i małowniczymi o niej dziejopisów kartami, jak naprzykład panów Thiers'a, Michelet'a, Poujoul'a, Quinet'a i tylu innych, zostawiła już daleko po za sobą te przebrzmiałe zdarzenia i wypadki, wyciągnawszy z nich

dziewoją dla siebie naukę, którą nam późniejszym na korzyść wskazuje. Przeto każde nowe o tym okresie dzieło, coraz dziś obojętniejszym nabytkiem dla Francyi się staje, bo z dokonanego faktu owoc zebrany, poszedł już na karm ludzkości, stawszy się ogólną dziejów własnością. Same atoli dzieło, jakkolwiek rozjaśnieniem zdarzeń i okoliczności uczy, trafnością spostrzeżeń oświeca nas, wdziękiem twórczego pióra zajmuje, jest po większej części wyrazem indywidualnej opinii, wyznaniem wiary historykopiara, który ze swego stanowiska zapatrując się na czyny, postacie i wypadki, po swojemu je rozbiera i sądzi. To też autor *Studyów* pojawiający się godność dziejopisa, wskazuje jego obowiązki, naznacza drogi, jakich się ma trzymać, za pierwszy kładąc warunek bezstronności, od której na włos oddalić się nie powinien, a podnosząc do ideału powołanie historyka, chce aby na samém ograniczył się sprawozdaniu, odsądza go od własnego sądu, porównywa za przysięgłym (juris), przytaczając ów aforyzm Quintyliana: *Scriptur ad narrandum non ad probandum*. Jakkolwiek piękny, cnotliwy jest ten ideal historyka, jaki autor nam maluje, trudnym jest, jeśli nie zupełnie niemożliwym do urzeczywistnienia. Albowiem w najsumienniejszym sprawozdaniu, w wykładzie faktów najbezstronniejszym, jeszcze przebija myśl sprawozdawcy, mimowolnie objawia się przekonanie, głos wewnętrzny tego, co mówi. „Bezstronność ta dziejopisarza, wyrzeka autor *Studyów*, bynajmniej nie ma pochodzić z obojętności,” a powtarzając słowa pawa *Villemain* powiada: „Potrzeba aby go obchodził przedmiot, aby namiętnym był do tego, co pisze; powinien on sprzyjać, mieć nadzieję; powinien kochać, cierpieć lub być szczęśliwym z tego, co opowiada.” Trudny zaiste warunek, aby go pogodzić z prostym przedstawieniem, z bezwzględną prawdą opowiadania. Usta jak pióro bezmyślnie unoszą się nad przedmiotem, który bliżej zajmuje, zdradzając tonem, farbą, popędem uczucia, stronę swych przekonań i opinii. Dowodem czego jest może sam autor *Studyów*, który z całym zamiłowaniem historycznej prawdy, wyznanie swój wiary objawia, nie słysząc swego głosu, nie spostrzegając zasad, jakim w dziele swém holduje.

Ogólnie mówiąc, dzieło to cechuje głębokie wczytanie się w przedmiot, gruntowna wiadomość, przejęcie się rzeczą, sumienne nakoniec zdagierotypowanie czasu, osób i okoliczności, które autor zgłębił, przeniknął i przed okiem postawił czytelnika. Pogląd zdrowy, trzeźwy, pocziwy, na źródłach oparty, obudza cześć dla pisarza, który pisząc o nie swojej sprawie, widzi ludzkość, myśli o swoich, rad w każdym zdarzeniu wskazówką i przykładem przynieść im korzyść i naukę. Wszędy zamiłowanie prawdy, radość z dobrego, oburzenie i wstręt na widok występku i krwi, których Francya w tym czasie polityczno-społecznego przesilenia, była świadkiem i ofiarą. Słowem, każdy bezstronny czytelnik, niepodzielający nawet czysto zachowawczych zasad i ducha, jaki w tém dziele przewiewa, nie może mu nie przyznać rzetelnej wartości, nie ocenić pracy, której szlachetny autor, znaczną część swego poświęcił życia.

H. C.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1858.

65. Antoni Malczeski. Obraz liryczny w pięciu ustępach oryginalnie napisany przez Henryka Merzbacha. Dochód przeznaczony na pomnik ś. p. Ign. Komorowskiego. Warszawa. Nakład autora. 1858. W drukarni J. Jaworskiego. W 8ce. Str. 80.

66. Dworzanin polski Łukasza Górnickiego. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Kraków. Nakładem Wydawnictwa Biblioteki Polskiej. 1858. W 8ce. Str. VIII—303. (Wydany w zbiorze p. n. Biblioteka Polska).

67. Kasper Karliński. Dramat historyczny we trzech aktach przez Władysława Syrokomlę. Grany po raz pierwszy na teatrze wileńskim d. 16 (28) stycznia 1858 r. Wilno. Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza. W drukarni S. Rozensona. W 12ce. Str. 87.

68. Mała Gucia. Pierwsze początki czytania dla dzieci płci żeńskiej. 16ka. Warszawa. 1858. Nakładem B. Lessmana. (W drukarni Gazety Codz.). Str. 22.

69. Mały Władzio. Pierwsze początki czytania dla dzieci płci męskiej. 16ka. Warszawa. 1858. Nakładem B. Lessmana (w drukarni Gazety Codz.). Str. 24.

70. Mohort. Rapsod rycerski z podania:

„Cnota sławę się płaci”, rzeki Jan z Czarnolasu:
Więc co było poczelwe za dawnego czasu,
Nlech i dzisiaj to jeszcze jako basło świeci
Dla drużyny od serca, i dla ludzkich dzieci”.

Wydanie trzecie. Petersburg. Nakładem Bolesława Maurycego Wolffa. 1858. W 12ce. Str. 215. Rub. 1. Kop. 50.

71. Nowy elementarz polsko-francuzki, podający najłatwiejszy sposób nauczania się w krótkim czasie poprawnie czytać w tych językach, przez autora Nowej metody. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza. 1858. W 16ce. Str. 88. W drukarni braci Hindemith.

72. O dowodach praw familijnych, a w szczególności o wypieraniu się dzieci nieprawych i o rozprawie w tym przedmiocie pana Augusta Heylmana, przez Cypryana Zaborowskiego. W Warszawie. W drukarni Karola Kowalewskiego. 1858. W 8ce. Str. VIII—78. Kop. 60.

73. Pomniki rytownictwa krajowego. Oddział I. Odciski z blach mniejszych, znajdujących się w bibliotece lohojskiej Konstantego hrabi Tyszkiewicza. Wydane nakładem ich właściciela. Wilno. Drukiem A. Marcynowskiego. 1858. W 8ce, Str. 36 tekstu i tablic 173.

74. Pisma polityczne ks. Józefa Wereszczyńskiego, biskupa kijowskiego, opata benedyktyńskiego w Sieciechowie, z wiadomością o jego życiu i pismach i z dołączeniem podobizny własnoręcznego jego podpisu. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Kraków. Nakładem wydawnictwa Biblioteki polskiej. 1858. Czcionkami „Czasu”. W 12ce. Str. XVI i 184. (Jestto ciąg dalszy Biblioteki polskiej).

75. Przyjaciel dzieci. Szczegóły z życia Stanisława Jachowicza dla pożytku młodocianego wieku. Napisał Tymoteusz Rodziszewski. Z ryciuną. Warszawa. W drukarni Alexandra Gins. 1858. W 12ce. Str. 31.

76. Projekt nabycia nieruchomości dla Towarzystwa Resursy nowej. 1858 r. (text polski i niemiecki) w kroju arkusza małego, str. 7.

77. Pamiętnik nie bardzo stary. (Wyciąg z notat Władysława N.) przez Alexandra Grozę. (Wydanie poprawne). Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. 1858. W 16ce. Str. 339.

78. Rocznik urzędowy obejmujący spis naczelnych władz Cesarstwa oraz wszystkich władz i urzędników Królestwa Polskiego na rok 1858. Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda. W 18ce. Str. 845 i 48. Skoro widza XCIX i kart 10 tytułów i skróceń. Text polski i rosyjski.

79. Sposób skrócenia pisma polskiego i niektóre uwagi nad gramatyką polską, przez Franciszka Zagórowskiego. Warszawa. W drukarni Karola Kowalewskiego. 1858. W 8ce. Str. 74 i 8 litografowanych.

DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Do najważniejszych publikacyj u nas licząc wydanie pism Adama Mickiewicza, donosimy czytelnikom naszym, że tom V już jest pod prasą i wkrótce ogłoszonym zostanie. Tom ten obejmie drobniejsze utwory poetyczne tak oryginalne, jak tłumaczenia, a między temi przekład Giaura. Na czele wydawca daje popiersie Mickiewicza wedle rzeźby Dawida, sztychowane przez Oleszczyńskiego, a spowodowane żądaniem przyjaciela zmarłego wieścza A. E. Odyńca, który w imieniu braci Litwinów prosił listownie, aby do tego wydania mógł być dołączony wizerunek przypominający więcej twórcę Grażyny, Wallenroda i pana Tadeusza z owęj chwili, kiedy na zawsze opuścił rodzinne strony.

— Album lubelskiego, nakładem zakładu litograficznego A. Pecy'a wyszły zeszyty 7 i 8. Obejmują widoki wraz z tekstem: 1. Kościoła parafialnego w miasteczku Chodlu. 2 i 3. Zamku w Krupem od strony zewnętrznej i z wnętrza. 4. Zamku Girdzieniec. 5. Zamku w Zawieprzycach. 6 i 7. Ruin zamku w Dąbrowicy od strony południowej i od strony Lublina. 8. Baszty zam-

kowej w Kryłowie. Prospekt pierwotny zapowiadał, że całość tego Album składać się będzie z 8 zeszytów. Wydawca dla uzupełnienia go dodaje IX, który obejmować będzie: 1. Widok dawnego palacu w Puławach. 2. Widok zamku Różonki w bliskości miasta Włodawy. 3. Widok miasta Włodawy. 4. Okładkę allegoryczną przedstawiającą starożytności miasta Lublina, jako tytuł do całego dzieła. W pomienionych zeszytach szczególniejsz wracają uwagę widoki zamków w Krupem i w Zawieprzycach: pierwszy zbudowany na przekorę Janowi Zamojskiemu przez głośnego w dziejach możnowładcę Samuela Zborowskiego, który pod miecz katowski oddał głowę. Ruiny tego zamku wskazują, że Zborowski starał się go zrobić jednym z najwarowniejszych i użył wszystkiego, co tylko ówczesna sztuka miała zasobów, aby go umocnić. Do zamku w Zawieprzycach jest ciekawe przywiązane podanie. Według niego dziedzic Zawieprzyc Jan Granowski kasztelan lubelski, towarzysz króla Jana III w wyprawie wiedeńskiej, w której się szczególniejsz mężem odznaczył, dostawszy w podziale niewolników tureckich, pomiędzy innymi piękną Greczynkę od cesarzów bizantyńskich pochodzącą, którą Turcy także jako niewolnicę u siebie trzymali, tak dalece ujętym był jęj urodą, że postanowił ją zaślubić i pod żadnym warunkiem wrócić jęj wolności nie chciał. Greczynka miała wówczas narzeczonego Andronika Laskarys, który z nią niewolę w obozie tureckim podzielał: odrzuciła więc zaloty kasztelana, częm rozgniewany, stracić ją wraz z narzeczoną potajemnie rozkazał. Tymczasem brat straconej, biegły w sztuce malarskiej, chcąc się o losie siostry dowiedzieć, o której tylko zasłyszał, że w Zawieprzycskim zamku bez śladu zniknęła, przybył do Polski. Zawiadomiony o dzikim i okrutnym charakterze kasztelana Granowskiego, ukrył swoje nazwisko, udając się za malarza szukającego zajęcia i w takim tęż charakterze z listami polecającemi stanął przed panem Zawieprzyc. Dumny Granowski zlecił mu wykonać obraz przedstawiający jeden ze sławniejszych czynów swoich. Malarz wywiedziawszy się tymczasem o nieszczęśliwym losie swęj siostry, dla pomszczenia jęj śmierci wybrał za przedmiot obrazu scenę, kiedy okrutny kasztelan gwałcąc dobrą wiarę rycerza chrześcianina, skazuje na śmierć Biankę i jęj narzeczonego. Granowski nie widział obrazu aż po jego ukończeniu, bo go malował w największję tajemnicy. Obaczywszy co na nim przedstawione, zdrzał na myśl, że jest zdradzonym i największym zapalił się gniewem. Malarz uległ losowi siostry, lecz kasztelan nie śmiał się targnąć na obraz; zawiesił go w zamku, w którym tęż sam wkrótce przypadkową śmierć znalazł. W bliskości ruin zamkowych naprzeciw mostu na rzece Wieprzu zbudowanego, znajduje się wysoki kopiec, a na nim słup kamienny z połączonym na wierzchu krzyżem. Ma to być właśnie miejsce pochowania trzech wspomnianych nieszczęśliwych ofiar gniewu kasztelana Granowskiego. Podaniu temu nadał większy jeszcze rozgłos

Bronikowski powieścią swoją w niemieckim języku p. n. „Zawieprzycę”, którą mamy w przekładzie polskim.

— Tymoteusz Rodziszewski, znany z wydanych bajek dla dzieci, pełnych treści i moralnej nauki, wydał książeczkę p. n. „Przyjaciel dzieci. Szczegóły z życia Stanisława Jachowicza dla pożytku młodocianego wieku.” W niej skreślił nam w krótkim zarysie bieg życia zgasłego męża, który niezapomniane w kraju położył zasługi. Praca ta ze wszech względów zasługuje tak na uwagę, jako też i upowszechnienie, nie tylko zajmującą treścią, ale wykładem i językiem. Popiersie na czele umieszczone s. p. Jachowicza, nie trafne; pod niemi czytamy stosowny czterowiecz:

„Ojciec, opiekun sierot, nauczyciel dzieciak,
Przewodnik równie ojców, jak troskliwych matek,
Z pożytkiem młodzi polskiej pracował wiek cały,
I zyskał uwielbienie, choć nie pragnał chwały”.

— Ogłoszona w naszym piśmie: „Wycieczka na Litwę” Ferdynanda Nowakowskiego, została w znacznych wyjątkach tłumaczoną na język niemiecki, i umieszczoną w gazecie berlińskiej: „Magazin für die Literatur des Auslandes.” w nrze 35, w marcu roku bieżącego.

— Donosiliśmy o słabości naszego poety Teofila Lenartowicza; z listu pisanego w końcu marca r. b. do K. Wł. W. smutne otrzymujemy wiadomości. Oto dosłowny wyciąg. „Hej! mój drogi, nie długo to ja podobno będę się jeszcze waleśał po świecie. Ciężka bieda przypadła na mnie: piersi i gardło zaatakowane mocno, i już podobno w medycynie rady na to nie ma. Cóż robić, trzeba się ofiarować Bogu, i dalej w drogę za drugimi. Z porady doktora Dworzaczka będę chciał pojechać do Szczawnicy, jeżeli zaś okoliczności nie dozwolą, to do Ems albo do Libespring w Westfalii. Gdyby mi Bóg zdrowia udzielił, to ja dziś czuję dopiero, jakby to pracować należało na chwałę Boga i pożytek bliźnim, ale widocznie i gwałtownie lecę do mojego końca. Dziś np. dzień cudownie piękny, a ja taki osłabiony po nocy niedospanej i w cierpieniach. Przeszkoda jakaś w oddychaniu nieustająca i mówić nie mogę. Oj! biada, bracie: ale niech się dzieje wola Boska. Jeżeli mi się poprawi na zdrowiu, to pojedę na Wschód na lat kilka do Kairu albo Alexandryi.”

Wyjatek z listu Karola Szajnochy do K. Wł. W. „Położenie moje w niczem się nie poprawiło. Z pozostałej połowy, właściwie z trzeciej części pensyi od Zakładu Ossolińskich, odjęto mi bowiem złp. 2000, a zostawiono 1400 złp., tudzież z zapewnienia hr. Dzieduszyckiego a conto przyszłych usług w edukacji dzieci podrastających: mam tu obecnie dochodu rocznego złp. 3000. Nie wystarcza to wprawdzie do opędzenia zwyczajnych kosztów życia najskromniejszego, a tem mniej kosztów kuracyi, lecz jak nateraz uzupełniam to z honoraryów za prace dawniejsze. Co dalej będzie, najlepij Bogu zostawić.”

Wyjtek z listu Alexandra Grozy do K. Wł. W. „Z pierwszych egzemplarzy mego Pamiętnika przyjmij ofiarę. Utwór to nie nowy, chociaż pragnąłbym, aby na nowo był przejrzany. Jest to starszy brat „Mozajki.” Jak patrzyłem na śwint i rzeczy przed laty dwudziestu kilku, jak czulem, znajdziesz tu obraz prawdziwy. Zbudowałem mały domek i ozdobiłem go wszystkimi mojemi ruchomościami i precyozami. Dlatego tam taki nacisk, natłok, aż czujesz jak ciasno. Taka to już organiczna wada mego serca i rozumu: ja co komu daję, to z całego serca i wszystko co mam, po kapucyńsku: jutro Pan Bóg da. Doświadczając tak serdecznego waszego przyjęcia w Warszawie, w drodze zacząłem rozmyślać, coby dla Warszawy w upominku napisać. I napisałem dramat w pięciu aktach z prologiem p. n. „Hryć”. Treść wzięta ze znanej ukraińskiej pieśni. Dramat ten już drukuje się w Wilnie, ale na scenie tylko warszawskiej mógłby być przedstawiony”.

— Z listu A. E. Odyńca dowiadujemy się, że rozpoczął już druk dramatu »Barbara”.

— Konstanty hrabia Tyszkiewicz wydał własnym nakładem: Pomniki rytownictwa krajowego. Oddział I. Odciski z blach mniejszych znajdujących się w bibliotece łohojskiej. Dzieło to obejmuje 173 tablic, oprócz textu. Czcigodny wydawca, bezzwłocznie zabiera się do ogłoszenia drugiego oddziału tegoż dzieła: »którego publikacya (jak sam wyraża) o wiele trudniej niżeli obecna pójść musi, z powodu iż wytłaczanie blach wielkiego formatu potrzebuje większego zachodu. W niej przedstawię publiczności utwory naszych rytowników większego rozmiaru, głębszych i śmielszych pomysłów: znajdują się między nimi i historycznej wartości przedmioty.” Tenże sam wydawca, który odbył świeżo podróż wzdłuż brzegów Wilii, starając się ją zbadać pilnie pod względem topograficznym, malarskim i starożytniczym, zamierza owoc téj pracy wydać z rycinami i planami w Paryżu, dokąd się udaje wczesną wiosną, dla dopilnowania edycyi téj, której ilustracye robione będą na drzewie. „Mamy (pisze w liście J. I. Kraszewski) jednę tylko Wisły opis brzegów, z rycinami i widokami miejsc, które przepływa, ale dzieło to w pokój, między czterema ścianami wykonane, wcale nie daje pojęcia tego, co dla Wilii hr. Tyszkiewicz uczynił. Tu wszystko opiera się na zbadaniu rzeki i okolicy: nowém, i wszystko dla nas nowém będzie.”

— Założyciel Muzeum Wileńskiego hr. Eustachy Tyszkiewicz, przygotował odbicia sztychów z blach znajdujących się w pomienioném Muzeum. Publikacya ta nie doszła nas dotąd.

— Alexander Tyszyński, który po opuszczeniu Warszawy osiadł w powiecie wilejskim, i ożeniwszy się, zajął gospodarstwem: zamierza w obszernéj rozprawie skreślić obraz piśmienictwa polskiego z lat ostatnich.

— Tom 3ci Dyplomatarjusza pod redakcją Juliana Bartoszewicza, obejmujący do 70 arkuszy w 4ce, wkrótce wyjdzie z pod prasy drukarskiej.

— „Wolne żarty” świstki humorystyczno-artystyczne, zebrane przez bocianów polskich, pojawiły się wedle ogłoszonego prospektu. Jest to publikacja w całym znaczeniu tego wyrazu ilustrowana. Drzeworyty w rysunku i odbiciu nie ustępują zagranicznym. W przemowie bociana do swoich czytelników mamy cel tych świstków określony.

„W kochanej naszej polskiej ziemi,
Szczytnych cnót wiele błyszczą popolu;
Wiara i miłość w każdej dziewicy,
Szezera gościnność u lada stołu.
Więc kiedy brzydkie dziobiąc robactwa
Wydam się czasem zażbyt zażarty,
Nie kładźcie tego na karb dziwactwa,
Boć wszyscy wiecie, że... *Wolne żarty*

Bocian, choć obce zwiedził klimaty,
Ojczysty kraj swój najlepiej kocha;
Droższy mu żupan nad modne szaty,
A nad parochód miłsza mu socha;
Więc choć niekiedy waszą drażliwość
Rozjątrzy wyrok nadto otwarty,
Chciejcie wybaczyć małą złośliwość
Dla tej uwagi że... *Wolne żarty*.

Gdzie żaby skrzeczą na naszej niwie,
Tam bocianowi strawa obfita;
Więc, że się żaby mnożą szczęśliwie,
Głodu się nie ulęknie i... kwita!
W miejsce zaś gorzkiej sere alteracji,
Gdy kto dotknięty zajrzy w te karty,
I portret znajdzie swój w ilustracji,
Niechaj pomyśli, wszak... *Wolne żarty*.

Godzimy się na ten cel, a nie taimy, że trudne jest zadanie u nas pisma humorystycznego. Z pierwszego zeszytu nie możemy jeszcze wydać sądu o tej publikacji; nie wątpimy, że potrafi zyskać upowszechnienie, jeżeli szlachetną dążnością, humorem prawdziwym i dowcipem zdoła się odznaczyć. Wprowadzona nowość rebusów, znalazła wielu zwolenników.

— Student tutejszej Medyoznej Akademii Stanisław Chomętowski, przełożył z niemieckiego Teoryą zapłodniania prof. G. Bruch'a, z wydania 1855 r. Praca ta wkrótce ogłoszoną będzie drukiem.

— Głośny dramat Fryderyka Halma: „Gładyator Raweński”, przełożył wierszem Stanisław Budzyński.

— Ruch Muzyczny pod redakcją Józefa Sikorskiego w kwietniu r. b. ukończył rok istnienia. W odezwie do czytelnika, re-

daktor zdaje sprawę z upłynionego roku: „Pismo peryodyczne (mówi między innymi) jakkolwiek jest jego zakres, jakkolwiek charakter bierze od tych, którzy najbliżej się go dotykają, może zakres rozwinąć lub ścieśnić i charakter swój ucieleśniać, a to stosownie do potrzeb ogółu, przez wspólne porozumienie się pojętych. Stworzyć pismo i podtrzymać je przy życiu, to nie wielka sztuka: wychować je na organ zacny i pożyteczny, tu trudność niezmierna! Od tego zadania myśl publiczna uchylać się nie powinna, bo pismo peryodyczne nie ma być indywidualności odbiciem, ale zbiorowym obrazem dążności wszystkich społeczeństwa członków, których ono obchodzi pośrednio lub bezpośrednio”. W końcu czytamy szczerze o dążności pisma wynurzone zdanie redakcyi. „Oświadczamy, że nie możemy nikomu budować tronu, by się na nim rozsiadł wygodnie: sam niech go sobie zbuduje, a trwalszy będzie i zaszczytniejszy. Postanowiliśmy sobie stanowczo nie zakładać towarzystwa wzajemnej admiracyi”.

— Professor uniwersytetu wrocławskiego Reppel, znany autor, który pióro swoje poświęca dziejom polskim, bawi w Warszawie, wyszukując w głównym archiwum Królestwa źródła do dalszych badań swoich. Od niego otrzymaliśmy wiadomość, że w archiwum królewieckim odkrył i przepisał początek procesu z Krzyżakami, którego nie znał Tytus hr. Działyński. Ta część pierwsza właściwie tego procesu ma być wkrótce przez hr. Działyńskiego ogłoszona drukiem.

— W drukarni Gazety Codziennej ukończono w ozdobnej edycyi druk dzieła Kazimierza hr. Wodzickiego: „O sokolach i sokolnictwie”. Ryciny kolorowane przyozdobia to wydanie. Spodziewamy się przedkiego rozkupu tego dzieła, bo napisane jest w sposobie tak zajmującym i przystępnym, że każdy odczyta je z największym upodobaniem.

— Odlewy z gipsu młodego utalentowanego rzeźbiarza Święckiego, przedstawiające w całej figurze Adama Mickiewicza, znalazły liczny pokup. Jakoż w tej pracy Święcki najwięcej pokazał talentu i myśli artystycznej. Oblicze wieszca może najpodobniejsze ze wszystkich jakie mamy, bo modelowane zostało z posagu tego poety dłuta Władysława Oleszczyńskiego, wykonanego do Poznania. Wiadomo już z pism naszych, że władza pruska odmówiła proszącym Polakom pozwolenia, postawienia tego posagu na wybranym cmentarzu przy jednym z kościołów Poznania.

— Rozrywek dla młodocianego wieku pod redakcyą S. z Ż. Pruszkowej kończy się tom III w druku. Oprócz zajmujących a wymienionych już dawniej przedmiotów, czytamy teraz ciekawy opis Indyi wschodnich.

— Zakład litograficzny M. Fajansa, wykończył do 6ciu zeszytów, kończących 2gą seryą „Wzorów sztuki średniowiecznej” chromolitografie, odznaczające się, jak zawsze, wybornym wyko-

naniem i odbiciem. Są w nich relikwiarze i kielichy: ale są przedmioty żywo starożytności krajowe obchodzące, jak miecz Zygmunta Augusta, skruszony na jego pogrzebie w Krakowie; rękojeść miecza Stefana Batorego; popiersie Władysława Warneńczyka na talerzyku srebrnym, zachowanym w rodzinie Krasińskich; talerzyk srebrny, dar króla Jana Kazimierza. Z radością donosimy, że serya trzecia tej szacownej publikacji „Wzorów” będzie wychodzić. Czeigodni wydawcy, wytrwałością swoją zasługują na szczerą wdzięczność. Ogladaliśmy w tymże zakładzie piękny portret Tomasza Zana, przyjaciela pierwszych lat młodości Adama Mickiewicza. Postać to wielce szlachetna, obudzająca poszanowanie. Nakładem tegoż zakładu wyjdzie zajmujące Album dawnej Małopolski: serya pierwsza obejmuje pięć widoków następnych, które już są, ze zwykłą starannością, odbite. 1) Zamek na Wawelu od strony Podgórze. 2) Kościół Maryacki w Krakowie. 3) Rynek w Radomiu. 4) Jasna-Góra. 5) Czorsztyn nad Dunajcem. Rysował z natury A. Misurowicz. Po dodaniu tekstu, serya ta wyjdzie na widok publiczny.

— Pamiętnika Religijno-Moralnego zeszyt 4 na r. b. obejmuje: 1) Rysy życia ks. proboszczów przy kościele św. Stanisława w Żółkowie pod Żerkowem, p. Wł. Łukaszewicza. 2) Wspomnienia z roku katolickiego 1857 w Petersburgu A. Muchlińskiego. 3) Izaak. ks. Serwatowskiego. 4) Missya w Chinach. 5) List pasterski ks. Pieńkowskiego biskupa diecezji lubelskiej. 6) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. 7. Kronika kościelna i rozmaitości. W kronice czytamy rzewny opis przyjęcia w dniu 21 marca arcybiskpa metropolity warszawskiego Antoniego Fijałkowskiego w domu Towarzystwa Dobroczynności, jako prezesa tegoż Towarzystwa. W sali posiedzeń, wśród zebrania licznego, powitany został uroczystym i tklwym śpiewem, wykonanym przez dziatki zostające pod opieką Towarzystwa, do których muzykę napisała jedna z opiekunek, księżniczka Janina Czetwertyńska. Oto są słowa tego śpiewu:

„Witaj nam, witaj arcypasterzu!
 Oto są sierot i starców głosy,
 Którzy w codziennym swoim pacierzu,
 Błagać za ciebie będą niebiosy.
 Każde z serc naszych wdzięcznością płonie,
 Które do ciebie dzisiaj się wznosi:
 Niebo otoczy wieńcem twe skronie,
 I lżą sieroty, liść jego zrosi.
 A więc nam witaj arcypasterzu,
 Oto są sierot i starców głosy,
 Którzy w codziennym swoim pacierzu,
 Błagać za ciebie będą niebiosy.

Włno. Znany a zasłużony tyle w literaturze naszej Michał Baliński, przygotował do druku Pamiętniki historyczne do wyja-

śnienia spraw publicznych w Polsce XVII wieku. Wład: Syromkła wykończył tom. 2 »Wycieczek po Litwie» w promieniach od Wilna. Oba te dzieła wyjdą wkrótce nakładem księgarza A. Assa.

Kraków. »Biblioteki polskiej K. Turowskiego, zeszyty szybko jedno po drugim następują. Wyszło 4 zeszyty »Dworzanina» Ł. Górnickiego. Wydawca powypuszczał wiele rozdziałów nieprzypadających do dzisiejszego smaku i przyzwoitości, przez co zmniejszył objętość książki. Nie pochwalamy bynajmniej P. Turowskiemu, że dowolne zmiany i opuszczenia w przedrukach robi: bo celem jego »Biblioteki powinien być ścisły, sumienny, co dosłowny przedruk zabytków dawnej literatury polskiej. To jest głównem i jedynem zadaniem téj publikacji, aby miała jakąś wartość dla nas. Wydawnictwo Biblioteki polskiej o tyle ceny nabiera w naszych oczach, o ile ubogaca się wiernymi przedrukami. Niech się wydawca nie zraża tém, co mu do smaku nie przypada: wydawnictwo bowiem »Biblioteki» nie zabawę, ale naukę ma i mieć powinno na celu. My pragniemy poznać każdego pisarza dokładnie, jak i jego prace: zkąd więc poczerpnjemy dla siebie te wiadomości, jeżeli niedostępne dla ogółu z powodu rzadkości dzieła, nie poznamy w pierwotnej szacie zupełnej, ale tylko w strzępach i łatach? Prosimy wydawcę, ażeby zaprzestał poprawek i wszelkich obcinań, bo w takim razie publikacja jego całą wartość naukową straci.

— Ważna praca historyczna ks. Piotra Pękalskiego wyszła z druku p. n. „Żywot Śgo Wojciecha, z uwagami nad podaniem Czechów, jakoby zwłoki jego w Pradze spoczywały.” Autor (pisze Dodatek Czasu z marca r. b.) zbija dowodami swemi mylne twierdzenia o porwaniu zwłok Śgo Wojciecha z Gniezna i przeniesieniu ich do Pragi. Wydanie to ozdobne, ma dwie piękne ryciny: grób Śgo Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej, i drzwi téjże katedry. Obie ryciny wykonane zostały w litografii „Czasu” która przez objęcie dyrektorstwa w niej p. Fajansa, stanie się zakładem mogącym odpowiedzieć wszystkim wymaganiom krajowym, że już nie będzie potrzeba udawać się za granicę o pomoc do obcych litografij i obcych artystów.

— Tom II dzieła Karola Mecherzyńskiego: „Historja wymowy w Polsce”, wkrótce wyjdzie z pod prasy. Wyszła broszura Dr. M. Zieleniewskiego: „Wody lekarskie okręgu rządowego krakowskiego. Krynica, 1857 r.”

— Album Szczawnicy zeszytami zacznie wychodzić niedługo. O téj publikacji pisze Dodatek Czasu. „Dwanaście litografowanych widoków, wykonanych w Wiedniu przez Szalaya właściciela Szczawnicy, stanowić będzie pierwszą seryą. Opis ułożony bardzo w zajmujący sposób i wzbogacony poszukiwaniami miejscowymi i historycznymi wspomnieniami, jest pióra Szczęsnego Morawskiego, który już dał się poznać czytelnikom naszym z wielu prac z wielkiem zajęciem czytanych. Tym sposobem Album

Szczawnickie nie tylko wartość mieć będzie pod względem samych widoków, ale nabierze znaczenia przez dokładny i w wielu szczegółach nowy rys tej romantycznej naddnnej okolicy”.

Lwów. Z dniem 1 kwietnia zaczął wychodzić dwa razy na tydzień „Przegląd powszechny” Pismo poświęcone polityce, handlowi i przemysłowi. Redaktorem jest Stupnicki wydawca Przyjaciela domowego. W zakładzie imienia Ossolińskich drukują się „Monumenta” wydawane przez A. Rielowskiego; tom IV Słownika Lindego niehawem będzie ukończony. Wyszedł nakładem Winiarza dwutomowy romans Henryka Rzewuskiego: „Paź złotowłosa” który zaczął być wychodzić w feiletonie Switu. Jeżeli gdzie, to w piśmie codziennym utwór tego rodzaju przypominający Foblasa i inne romanse lubieżne, nie powinien był znaleźć przyjęcia, chyba, że zamierzono prowadzić propagandę publicznego zgorznięcia. Szkoda (kończąc swą uwagę mówi Dodatek Czasu), tak znakomitego oryginalnego talentu, że tak źle darów Bożych używa”.

Poznań. Tytus hr. Działyński zajmuje się ogłoszeniem dwóch pierwszych części Dyaryusza unii Litwy z Koroną, którego część trzecią już mamy. Słyszeliśmy i wskazywano nam miejsca, gdzie innej redakcyi podobny Dyaryusz ma się znajdować.—Ksiądz Żupański ogłosił Pamiętnik Moszczyńskiego do panowania Augusta III i Stanisława Augusta. Wyszła także mała książeczka opisująca dom wieszczki wielkopolskiej b. generała Franciszka Morawskiego. Paulina Wilkońska znana autorka wdzięcznie pisanych powieści, wydaje świeży utwór p. n. „Fata Morgana”.

OD REDAKCYI.

Do niniejszego zeszytu dołącza się **bezpłatnie** dla prenumeratorów Biblioteki Warszawskiej **Zbiór pamiętników do dziejów polskich.** Tom drugi. Wydanie Włodzimierza Stanisława hr. de Broel-Platera.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Warszecz 1858.

Dotyczy Meteorologiczne w Ob

Niejas dostarcz w Warszawie jest 307 6 alóp parzyschi nad
1-14-457 7 egzli w roku 1841 28 61

| Dnia | Opisany Kąpki | BAROMETR w milimetrach srebrozłoty do 0 | | | | TERMOMETR skala Réaumur | | | |
|------|---------------|---|--------|--------|--------|-----------------------------------|------|------|------|
| | | 6 | 10 | 4 | III | 6 | 10 | 4 | 10 |
| | | Godzina godzina godz. w. godz. w. | | | | Godzina godzina godz. w. godz. w. | | | |
| 1 | | 741.51 | 741.51 | 741.51 | 741.51 | 5.0 | 5.0 | 5.0 | 5.0 |
| 2 | | 741.04 | 741.04 | 741.04 | 741.04 | 5.5 | 5.5 | 5.5 | 5.5 |
| 3 | | 742.17 | 742.17 | 742.17 | 742.17 | 10.8 | 10.8 | 10.8 | 10.8 |
| 4 | | 740.78 | 740.78 | 740.78 | 740.78 | 12.4 | 12.4 | 12.4 | 12.4 |
| 5 | | 742.08 | 742.08 | 742.08 | 742.08 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 6 | | 741.00 | 741.00 | 741.00 | 741.00 | 10.1 | 10.1 | 10.1 | 10.1 |
| 7 | | 740.81 | 740.81 | 740.81 | 740.81 | 12.4 | 12.4 | 12.4 | 12.4 |
| 8 | | 740.00 | 740.00 | 740.00 | 740.00 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 9 | | 740.00 | 740.00 | 740.00 | 740.00 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 10 | | 740.57 | 740.57 | 740.57 | 740.57 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 11 | | 742.47 | 742.47 | 742.47 | 742.47 | 10.1 | 10.1 | 10.1 | 10.1 |
| 12 | | 742.17 | 742.17 | 742.17 | 742.17 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 13 | | 740.46 | 740.46 | 740.46 | 740.46 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 14 | | 742.38 | 742.38 | 742.38 | 742.38 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 15 | | 740.86 | 740.86 | 740.86 | 740.86 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 16 | | 741.52 | 741.52 | 741.52 | 741.52 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 17 | | 742.02 | 742.02 | 742.02 | 742.02 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 18 | | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 19 | | 742.78 | 742.78 | 742.78 | 742.78 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 20 | | 742.02 | 742.02 | 742.02 | 742.02 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 21 | | 740.10 | 740.10 | 740.10 | 740.10 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 22 | | 741.11 | 741.11 | 741.11 | 741.11 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 23 | | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 24 | | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 25 | | 740.78 | 740.78 | 740.78 | 740.78 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 26 | | 742.02 | 742.02 | 742.02 | 742.02 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 27 | | 740.86 | 740.86 | 740.86 | 740.86 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 28 | | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 29 | | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 30 | | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 742.00 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 31 | | 742.47 | 742.47 | 742.47 | 742.47 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |
| 32 | | 740.12 | 740.12 | 740.12 | 740.12 | 10.0 | 10.0 | 10.0 | 10.0 |

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Marzec, 1858.

Marzec 1858.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-
1° 14' 45",7 czyli w łuku 18° 41' 25",5 na

worynm Astronomiczném Warszawskiem.

zn morza, jego szerokość geogr. 52° 13' 5", długość w czasie
chód względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany Księżyca | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0' | | | | TERMOMETR slustopniowy | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. stredn. dzienne | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | Wysokość wody spadłej w milim. z | |
|------|------------------|--|----------|----------|----------|---------------------------|----------|----------|----------|---|--------------|-------------|--------------|--------------|-----------------|---------|--------|--------|---|-------------|
| | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | de- szczy | śnie- gu |
| | | god.rano | god.rano | godz. w. | godz. w. | god.rano | god.rano | godz. w. | godz. w. | | god. rano | godz. rano | godz. wiecz. | godz. wiecz. | god. r. | god. r. | god.w. | god.w. | | |
| 1 | | 741.42 | 747.50 | 747.06 | 747.12 | - 8°.9 | - 5°.4 | - 3°.7 | - 6.1 | 89.7 | lek.pochm. | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdW. | - | PnW. | PnW. | | |
| 2 | | 748.04 | 749.28 | 751.30 | 753.48 | - 8.8 | - 8.0 | - 8.6 | - 15.1 | 83.8 | pochmurny | pochmurny | pogodny | pogodny | Pn. | PuW. | Pn. | Pn. | | |
| 3 | | 753.17 | 752.50 | 750.27 | 750.39 | - 18.9 | - 13.2 | - 8.6 | - 7.3 | 95.2 | pogodny | poch. śnieg | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | Z. | Pn. | | |
| 4 | | 750.47 | 750.73 | 748.88 | 747.83 | - 12.4 | - 9.9 | - 6.5 | - 13.6 | 88.8 | pogodny | pogodny | pr. pochm. | pogodny | - | - | PuW. | PdW. | | |
| 5 | | 745.09 | 743.18 | 738.35 | 736.35 | - 17.1 | - 10.9 | - 4.9 | - 8.7 | 91.7 | pogodny | pogodny | lek. zamgl. | pochmurny | PdW. | PdW. | Pd. | Pd. | | |
| 6 | | 731.66 | 730.99 | 728.24 | 726.87 | - 5.2 | - 2.3 | + 0.7 | - 3.7 | 93.5 | poch. śnieg | śnieg | pochmurny | pogodny | Pd. | Pd. | PdW. | Pd. | | 2.4 |
| 7 | | 725.91 | 726.56 | 726.95 | 728.01 | - 2.6 | + 1.2 | + 1.3 | - 3.7 | 93.5 | poch. śnieg | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Pd. | Pd. | Z. | Z. | | |
| 8 | | 729.00 | 730.08 | 726.84 | 725.72 | - 3.6 | - 2.5 | - 1.1 | - 2.5 | 95.5 | poch. śnieg | pochmurny | śnieg | śnieg | Z. | Z. | PdZ. | PdZ. | | 3.6 |
| 9 | | 733.20 | 735.49 | 736.50 | 738.94 | - 4.4 | - 3.4 | + 0.2 | - 1.1 | 93.3 | śnieg | pogodny | pochmurny | pr. pochm. | Z. | Z. | PdZ. | PdZ. | | 6.8 |
| 10 | | 739.83 | 740.78 | 740.90 | 741.58 | - 2.8 | - 0.4 | - 0.9 | - 1.3 | 95.0 | śnieg | śnieg | pochmurny | śnieg | Z. | PdZ. | Z. | Z. | | 12.6 |
| 11 | | 744.47 | 746.40 | 748.73 | 750.83 | - 1.1 | + 1.7 | + 1.7 | - 2.5 | 89.0 | poch. śnieg | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | PdZ. | PdZ. | | 1.8 |
| 12 | | 752.17 | 752.29 | 749.38 | 747.69 | - 8.0 | - 2.8 | + 2.7 | - 0.9 | 87.5 | pogodny | pogodny | lek. pochm. | śnieg | - | PdW. | W. | PnW. | | |
| 13 | | 746.12 | 746.46 | 746.81 | 745.51 | - 1.3 | - 0.3 | - 0.2 | - 2.3 | 98.0 | poch. śnieg | poch. mgła | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | 2.8 |
| 14 | | 743.78 | 743.39 | 741.82 | 742.06 | - 9.2 | - 3.6 | + 2.1 | - 5.7 | 88.5 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Pd. | Pd. | PdW. | - | | |
| 15 | | 740.56 | 739.93 | 738.65 | 738.80 | - 6.8 | - 0.5 | + 2.3 | - 0.9 | 89.2 | lek. pochm. | lek. zamgl. | pochmurny | pochmurny | W. | W. | PnZ. | PnZ. | | |
| 16 | | 740.12 | 741.82 | 746.02 | 748.11 | - 0.1 | + 0.6 | + 2.2 | + 0.4 | 92.3 | śnieg | pochmurny | lek. pochm. | pochmurny | PnZ. | Z. | Z. | Z. | | 4.8 |
| 17 | | 745.92 | 746.34 | 745.95 | 745.53 | + 0.6 | + 2.5 | + 3.8 | + 1.7 | 89.7 | poch. śnieg | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdZ. | Z. | Z. | Z. | | 2.0 |
| 18 | | 746.00 | 747.50 | 749.30 | 749.65 | + 1.4 | + 2.3 | + 3.1 | + 1.7 | 80.0 | poch. desz. | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | PdZ. | 2.4 | |
| 19 | | 742.76 | 741.37 | 745.54 | 759.74 | + 3.2 | + 3.4 | + 2.3 | + 0.1 | 86.5 | poch. desz. | deszcz | napół pog. | pochmurny | Z. | Z. | PnZ. | PnZ. | 9.6 | |
| 20 | | 754.02 | 755.76 | 757.14 | 759.74 | - 0.5 | + 0.5 | + 1.9 | - 2.5 | 80.8 | pochmurny | poch. śnieg | pochmurny | pogodny | PnZ. | PnZ. | PnZ. | Pn. | | |
| 21 | | 759.19 | 757.91 | 753.55 | 753.18 | - 1.6 | + 2.2 | + 2.3 | + 2.2 | 85.7 | pochmurny | lek. zamgl. | poch. desz. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | PnZ. | | |
| 22 | | 754.11 | 754.64 | 755.40 | 755.67 | + 1.4 | + 3.6 | + 7.5 | + 2.1 | 79.8 | poch. desz. | pogodny | lek. pochm. | pogodny | PnZ. | PnZ. | PnZ. | Z. | 1.0 | |
| 23 | | 753.98 | 753.37 | 752.17 | 751.65 | + 1.6 | + 2.5 | + 6.1 | + 2.9 | 93.7 | pochmurny | mgła | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 24 | | 748.05 | 746.72 | 743.90 | 739.40 | + 3.6 | + 4.5 | + 5.6 | + 7.5 | 87.0 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | lek. pochm. | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 25 | | 736.55 | 737.33 | 741.90 | 745.58 | + 2.8 | + 2.2 | + 1.6 | - 1.1 | 79.5 | pr. poch. d. | poch. desz. | napół pog. | pr. pogod. | Z. | PnZ. | PnZ. | PnZ. | 3.2 | |
| 26 | | 743.54 | 742.00 | 739.72 | 739.51 | - 0.9 | + 0.4 | + 1.0 | - 1.5 | 95.0 | pochmurny | śnieg | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | PnZ. | | 2.8 |
| 27 | | 736.86 | 740.31 | 746.57 | 752.02 | - 2.1 | + 1.0 | - 0.4 | - 5.4 | 87.8 | poch. śnieg | lek. pochm. | napół pog. | pogodny | PnZ. | PnZ. | Pn. | PnZ. | | 17.2 |
| 28 | | 755.59 | 756.90 | 756.19 | 756.50 | - 8.7 | - 2.4 | + 1.7 | - 3.1 | 82.5 | lek. poch. | pogodny | pogodny | lek. pochm. | Z. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | | |
| 29 | | 754.59 | 754.70 | 752.05 | 750.47 | - 3.5 | + 3.2 | + 6.5 | + 3.0 | 77.2 | pogodny | smugi | lek. zamgl. | lek. zamgl. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | | |
| 30 | | 749.88 | 749.94 | 748.02 | 747.64 | + 1.3 | + 5.1 | + 10.3 | + 4.6 | 76.0 | smugi | pogodny | pogodny | lek. zamgl. | PdZ. | Z. | Z. | Z. | | |
| 31 | | 746.42 | 745.75 | 742.30 | 742.24 | + 1.0 | + 8.0 | + 14.4 | + 7.1 | 70.5 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Pd. | Pd. | PdZ. | Pd. | | |
| src. | | 745.112 | 745.417 | 745.046 | 745.445 | - 3°.61 | - 0°.67 | + 1°.50 | - 1°.80 | 87.6 | | | | | | | | | 16.2 | 56.9 |

| | | | |
|---|----------------------|----|-----------------------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 745.253 | 27 | 6.369 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 20 o g. 10 w. | 759.74 | 28 | 0.790 |
| Najniżej — — — d. 8 o g. 10 w. | 725.72 | 26 | 9.709 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 5.012 | | 2.474 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 10 r. | 14.39 | | 6.379 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających | 749.252 | 27 | 8.141 |
| Średnia temperatura marca wynosi: i ta jest niższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających | — 1 ^o .14 | C. | 0 ^o .92 R. |
| | 1.52 | „ | 1.22 „ |
| Największe ciepło było d. 31 o g. 4 w. | + 0.38 | „ | + 0.30 |
| Największe zimno — d. 3 o g. 6 r. | + 14.4 | „ | + 11.52 |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | — 18.9 | „ | — 15.12 |
| Największa zmiana dzienna temperatury d. 5—6 o g. 6 r. | 2.813 | „ | 2.250 |
| | 12.2 | „ | 9.76 |

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 11.9 R. d. 31 po poł.

Minimum: — 15^o.3 „ d. 3 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 87.6, biorąc 100 za zupełne nasylenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.41 gramów na metr sześcienny powietrza; wilgotność ta równa normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 16.2 mil. czyli 7.18 lin. par.; z śniegu 56.9 mil. czyli 25.22 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 73.1 mil. czyli 32.40 lin. par.; o 13.92 lin. par. więcej niż zwykle.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 7, pochmurnych 21.

Dni deszczu 5 (d. 18, 19, 21, 22, 25).

— śniegu 17 (d. 3, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 16, 17, 19, 20, 21, 25, 26, 27).

— gradu 1 (d. 20).

— mgły 3 (d. 13, 15, 23).

Wichrów było 6 (2 PdZ., 3 Z., 1 PuZ.).— Wiatrów mocnych 18 (12 Z., 6 PuZ.).— Wiatr panujący Zachodni.

Marzec r. b. był niepogodny, wietrzny, w śnieg obfity o 1.22 stop. R. zimniejszy niż zwykle. Pierwsze pięć dni były nader mroźne, następne dziesięć chłodne i niepogodne, ostatnie piętnaście dość ciepłe lecz w deszcz i śnieg obfite. Najcieplejsze dni były d. 22, 23, 24, 30, 31; najzimniejsze d. 1, 2, 3, 4, 5. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle, w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 4,4:8,0:18,0; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 3:7:22. Śniegu spadła wielka ilość, woda z niego zebrana wynosi 25.22 lin. par. blisko cztery razy więcej niż z deszczu. Zadymki śnieżne były: d. 8 i w nocy z d. 8 na 9 przy wichrze południowo zachodnim, najwyższej śniegu spadło w nocy z d. 26 na 27 gdyż ten pokrył powierzchnię ziemi, warstwą na 7 cali wysoko, co się ani razu w ciągu upłynionej zimy nie wydarzyło.

Dnia 14 i 15 pokazywały się plamy na słońcu.

Dnia 15 o godz. 2 min. 43 po południu, w czasie zaćmienia cząstkowo-słońca 9 cali wynoszącego, temperatura powietrza zniżyła się blisko o dwa stopnie i wiatr lekki północno-zachodni wiał zaczął.

Dnia 29 między godz. 8 i 9 wieczór, koło białe otaczało księżyc.

Dnia 27 o godz. 2 po południu, lody na Wiśle od strony Pragi ruszyły.

Wysokość wody na Wiśle największa stop 13 cali 4 d. 29.

— — — — — najmniejsza stop 4 cali 0 d. 11, 12, 13, 14, 15.

Od dnia 2 b. m. zaczęto przysyłać telegramem elektrycznym postrzeżenia meteorologiczne w Obserwatorium czynione co dzień o godzinie 8 rano do St. Petersburga do Głównego Obserwatorium Fizycznego dokąd także zapomocą telegrafów przysyłane są postrzeżenia z Paryża, z Moskwy, Kijowa, Nikolajewa, Odessy, Rygi i Rewla i następnie ogłaszane w Bulletinach.



Biblioteka Warszawska najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca na pocztę dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Ktoby jej z prenumeratorów na pocztę nie odbierał w zwykłym czasie, to jest: najpóźniej w tydzień po wyjściu, lub odbierał nieopieczęlowaną, z kartami rozciętemi, pobrudzonymi: proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jej koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Daniłowiczowskiej pod Nr. 619.” W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadosyćuczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, wrazie nieodebrania zeszytu należnego raczył nieodwłocznie o tem redakcyją zawiadomić.

Przedpłata na rok 1858:

1. *Przedpłata całkowita* wynosi na rok złp. 60 (rub. sr. 9).
2. *Przedpłata kwartalna* przyjmuje się za złożeniem złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszytcie złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumeratorem podpisać winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumeratorem pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1858 za opłatą roczną w ilości złp. 60 (rub. sr. 9), lub *półroczną*, to jest za złożeniem naraz za dwa kwartały złp. 30 (rub. sr. 4 k. 50).

W Cesarstwie Rosyjskiem przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. 10, które nadesłać trzeba *franco* albo: do Expedycyi Gazet w Warszawie, lub wprost: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

Zamknąwszy pierwszy periyod nieprzerwanego istnienia swojego pisma, postanowiła redakcyja, z powodu częstych w tej mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratorom nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez zniżenie ceny. — Odtąd cały 10letni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, można nabyć tylko w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. za złotych 300 (rub. sr. 45). — Komplet z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845 i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40 (rub. sr. 6). Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856 i 1857 jako znacznie lub zupełnie wyczerpanych, zmniejszenia ceny redakcyja postanowić nie może. — Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplety. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5 (kop. 75).

Na przedpłatę całkowitą lub kwartalną na rok 1858, zapisywać się można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcyja wzywa i najuprzejmiej zaprasza do wspólnej pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane z wdzięcznością przyjmie, a nawet jest w gotowości opłacać na żądanie wszelkie zamieszczone w piśmie swoim prace czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad, które przyjęła. Żądanie jednak zapłaty powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, księgarze i inni nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychiej wymienione w *Kronice bibliograficznej*, i ocenione w *Kronice literackiej* Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku składać tychże dzieł egzemplarz, do kantoru redakcyi przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

T r e ś ć.

| | Stron. |
|---|--------|
| Od redakcyi Biblioteki Warszawskiej..... | I |
| Obrazy Dagestanu, przez <i>Juliana S.</i> | 225 |
| O dramacie niemieckim w XIX wieku, a w szczególności O Halmie. Przez <i>Bolesława Wiktora</i> | 259 |
| Rys historyczny opery polskiej z końca epoki panowania Stanisława Augusta aż do dni naszych, przez <i>Maurycyego Karasowskie- go</i> (dokończenie)..... | 276 |
| Krótki rys historyi naturalnej Kamieńca Podolskiego, skreślił <i>Gu- staw Belke</i> | 317 |
| Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Życie Rozalii, Sio- stry Miłosierdzia, przez vice-hrabiego de Melun. — Czarodziej- ka, opera Halevego w pięciu aktach. — Don Desiderio, opera buffa księcia Poniatowskiego. — Marta, opera semi-seria w czterech aktach Fryderyka Flottow. — Wiadomości literackie.. | 338 |
| Pamiętnik z czasów rzezi indyjskiej, 1857 r. (ciąg dalszy)..... | 359 |
| Wiadomość bibliograficzna, przez <i>A. W.</i> | 373 |
| POEZYE. Alchemik. Obraz dramatyczny. Przez <i>Maryę Ulnicką</i> . 239. — Pieśni Beranżera: I. Stary grajek. II. Początek podróży. III. Gwiazdy spadające..... | 313 |
| KRONIKA LITERACKA. Księga świata. Wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych, historyi krajów i ludów. Rok 1854, 1855, 1856 i 1857. Przez <i>K. Kalinkę</i> . 383. — Dziś i wczoraj. Rysy biograficzno obyczajowe i bajki, przez Onegdajskiego. Wydał Antoni Sowa. Przez <i>Z. Z.</i> 408. — Stenografia polska, przez <i>K. Krupskiego</i> . Warszawa. 1858. Przez <i>Ludwika Jenike</i> . 415. — Staroscina Bełzka (Gertruda z hr. Komorowskich hr. Potocka). Opowiadanie historyczne. 1770—1774, przez <i>J. I. Kra- szewskiego</i> . Warszawa. 1858. Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i> | 431 |
| WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B...ę</i> | 436 |
| KORRESPONDENECYJE. Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowém w Krakowie, odbyte dnia 20 marca r. b. 439. — Posiedzenie wileńskiej archeologicznej kom- missyi dnia 11 stycznia, 11 lutego i 11 marca r. b. 441. — Do re- dakcyi Biblioteki Warszawskiej. „Etudes historiques sur la Re- volution Française de 1789. Paris etc.” 3 tomy—1857..... | 445 |
| KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA | 447 |
| Doniesienia literackie..... | 448 |
| Dostrzeżenia meteorologiczne za m. marzec r. b..... | 457 |

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

1858.

NOWA SERVA.

CZERWIEC. ZESZYT XVIII.

WARSZAWA.

W drukarni Gazety Codziennéj
przy ulicy Daniłowiczowskiéj N^o 619.

1858.

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT CCX.



ZATARGI

POLSKI Z TURCYĄ W 1667 r.

I POSELSTWO

HIERONIMA RADZIEJOWSKIEO.

Kiedy jeszcze w Polsce wrzały klótnie domowe wywołane sprawą Lubomirskiego, kiedy nieuspokojone fakcye groziły jeszcze wewnętrzną klęską, kiedy od lat kilku trwająca wojna z Moskwą i wewnętrzne niespokojności rozerwały siły polskie, a swawola kozaków groziła coraz bardziej Rzeczypospolitej: wówczas jakby dla dopełnienia smutnych, brzemiennej nieszczęściami ostatnich lat panowania Jana Kazimierza, zagroziła jej wojna turecka; wówczas właśnie Piotr Doroszenko odpada i poddaje się Mahometowi IV. Przybyli z Konstantynopola czauszowie do Rusi, ogłosili całe księstwo zostającym w jego posiadaniu, a Geskona Chmielnickiego jej księciem hołdującym Porcie.

Doroszenko po poddaniu się Turcyi, połączony z 40,000 Tatarów i z 20,000 kozaków wkroczył w granice Polski, przeciw któremu król na przedstawienie Trzebieckiego bisk. krak. mianował regimentarzem Sebastjana Machowskiego. Z małą liczbą, bo zaledwie 6,000 wojska wystąpił on do bitwy, większa bowiem

jego liczba opuściwszy chorągwie, powróciła do domów częścią dla sejmu, który był nakazany, częścią dla odebrania żołdu obiecanego, częścią nakoniec przez niesforność i niekarność żołnierza, z którym wódz nie mógł poradzić, bo uzuchwalone poprzednim rokoszem, tłumaczyło się niedotrzymaniem umowy i zatrzymaniem zapłaty. Pobity więc łatwo przez tak ogromne siły nieprzyjaciela pod Batowem, gdzie poległ kwiat rycerskiej młodzieży, dostał się sam do niewoli. Smutne te zdarzenia, jako szereg poprzednich zawichrzeń na Ukrainie, przypadły w 1666 roku. Już wtedy Krym dotąd sprzymierzony z Polską, wystąpił jako jawny jej nieprzyjaciel, a Porta sprzyjając hordzie, wbrew dawniejszym paktom, zachęcała ją do dalszego utrzymania kozaków Ukrainy i Rusi, obiecywała pomoc, a nawet odwołała z rządu Mehmet-Gireja hana krymskiego, przyjaciela Polski.

Tymczasem dochodziły wieści, że cesarz turecki robi przygotowania do wojny, co potwierdził wysłany przez króla ormianin Piotrowicz, który potajemnie udając kupca, wywiedział się dokładnie o tém w Konstantynopolu.

Turcyja korzystając z każdej sposobności rozszerzenia swego panowania w wschodniej Europie, oświadczyła zrazu, że występuje tylko jako protektorka Tatarów, którzy wprzód wyrobili obietnicę swobód dla kozaków; a dla zapobieżenia reklamacyom, poleciła Eliaszowi Alexandrowi wojewodzie i gospodarowi ziem mołdawskich wyprawić posła do Polski z przedstawieniem swych żądań.

Wojewoda wyprawił Andrzeja Janowicza Medelnicarza i Stanisława Kiniarskiego swego sekretarza, i przysłał przez nich listy do Jana Kazimierza (1).

W pierwszych dniach stycznia 1667 przybywszy do Warszawy, złożyli takowe na audyencyi, a następnie przedstawili żądania przesłane od Porty i Mołdawii:

„Opowiedzą i przelożą to posłowie (2), (są słowa tych żądań), jako Porta ottomańska i przodkowie moi

(1) Oblat. w ks. metr. kor. 206, f. 631.

(2) Oblat. w ks. metr. kor. 206, f. 632.

i ja, przestrzegam tego, aby w najmniejszej rzeczy naruszone nie zostało wieczne i nierozzerwane z JK. Mością i Rzeczpospolitą przymierze, czego jasny dowód dała Porta, kiedy podczas spiknionych na Koronę nieprzyjaciół nie przeciwnego jej nie myślała, a Potocki wojewoda braclawski ważył się deptać państwo cesarza tureckiego, osadziwszy na granicy państwa moldawskiego slobody, czego Porta nie dopuści. Upraszać będą posłowie o zniesienie tych slobód, aby był między temi monarchami stały i gruntowny pokój sąsiedzkiej przyjaźni”.

To było pierwsze żądanie; dalej domagano się:

1. Zesłania kommissarzy celem rozpoznania krzywd, jakie skutkiem różnych zaborów nieprawych poczynili pograniczni mieszkańcy obu narodów. Uskarżali się szczególnie na lud z okolicy Kamieńca Podolskiego; mieszkańcy tamtejsi i inni aż zpod Mohilewa przechodzić mieli granice i nie słuchając panów swych, dopuszczali się rozbojów. Porta więc żądała od Polski zesłania którego z senatorów, opatrzonego pełną mocą poskromienia i ukarania przestępnych; w przeciwnym razie groziła pocytaniem tego za naruszenie paktów.

2. Aby towar jedwabny wysłany przez Dukę hospodara do Polski celem spieniężenia, a zabrany przez wojewodzica sandomierskiego był mu powrócony, właściciel bowiem miał zań zapłacić 200,000 talarów w Konstantynopolu.

3. Aby król przysyłał jak dawniej sukna na potrzeby dworu moldawskiego i cesarskiego (1).

4. Aby wypuszczono zatrzymanych przez wojewodzica sandomierskiego kupców jasskich i tureckich, którym tenże miał odebrać 20,000 talarów.

5. Skarżyła się, że ludzie Zamojskiego stolnika lwowskiego zabili 4 kupców i 4 ich sług, wracających z Moskwy z towarami, i zabrali im 13,000 talarów, co jak utrzymywali nastąpić miało z wiedzą Zamojskiego.

W razie nieuskutecznienia tych żądań, groziła zerwaniem pokoju.

(1) Przy dworze moldawskim pierwsze urzędy zajmowali poddani tureccy jako radcy hospodara, z którymi znosił się w sprawach państwa; dla nich więc część daniny tej bywała przeznaczaną.

Tak blahe powody nie zdawały się być możliwą przyczyną wojny, raczej pretextem, który przez proste zniesienie się między państwami można było załatwić. Co do spodziewanej wojny z Turcyą miał radzić sejm do Warszawy zwołany; król jednak chcąc zadosyć uczynić tym, jak słusznie przewidział, wstępnyim pozorom, dał zaraz w d. 15 stycznia posłom następującej treści odpowiedź:

1. Że mile przyjmuje oświadczenie przyjaźni hospodara, życząc sobie i jemu jak najdłuższego jej utrzymania.

2. Że przez czas panowania jak najtroskliwiej przestrzegał pokoju tak z Portą jak z Mołdawią, a dla przekonania o tém przyrzekł wysłać komisarzy, którzyby rozpoznali położenie owej slobody założonej przez wojewodę bracławskiego.

3. Że co do krzywd popełnionych na pograniczu, takowe rozstrzygnie generalna kommissya, którą tylko sejm naznaczyć jest mocen; przeto rzecz co do tego punktu odkłada aż do sejmu wkrótce zwołać się mającego.

4. Że dał rozkaz komendantowi Kamieńca Podolskiego do trzymania w karności wojska i ludu tamecznego, by żadnych nie dopuszczano się nadużyć.

5. Że wezwał listownie wojewodzica sandomierskiego o powrócenie zabranych towarów, czego jeśliby tenże nie uczynił, przyrzekł przed sąd go swój zawezwać.

6. Że powściągnie surowém przykazaniem szlachtę i rycerstwo, by nie wazyli się zatrzymywać ani utrudniać przejścia i stosunków handlowych poddanym tureckim i mołdawskim.

7. Że zajmie się gorliwie dojściem istotnej winy co do zabójstwa, jakoby przez ludzi Zamojskiego i z jego wiedzą popełnionego.

Jednocześnie prawie kiedy Jan Kazimierz przyjmował poselstwo mołdawskie, wyprawiał drugie do Adyl-Gireja hana tatarskiego, a inne znów do Konstantynopola. Do hana pojechał Jan Karwowski skarbnik ziemi lwowskiej, który zabrał list króla, gdzie tenże powołując się na poprzednią jego przysięgę przyjaźni, wymawiał mu, że zamiast połączenia się z wojskiem, hordy

uderzyły nieprzyjacielsko na Machowskiego, jak równie i na inne chorągwie, a następnie zapuściwszy zagony na kilkadziesiąt mil w głąb posiadłości polskich, takowe ogniem i mieczem plondrowały, mordując i uprowadzając w niewolą lud bezbronny i niewinny. Żądał tedy król, aby han przez posła potwierdził dawniejsze przymierze, aby ukarał winnych tego nadużycia, aby zwrócił wszystkim lud w jassyr zabrany, oraz wszystkie chorągwie, rynsztunki, konie i t. p.

Do powyższego listu króla dołączył pismo swe Jan hr. z Leszna Leszczyński kanclerz w. kor. generał województw wielopolskich (1), popierając ze swęj strony żądania króla i wystawiając całą ważność podobnego naruszenia zaprzysiężonych traktatów.

Posel opatrzony instrukcyami wyjechał w lutym. Stanąwszy na miejscu, miał ustnie przedstawić zażalenia i żądania, a zarazem wybadać z ręcznie przyczyny nieprzyjaźni Tatarów, Turków i kozaków. Przytęm kazano mu się wywiedzieć potajemnie o siłach nieprzyjaciela i stanie jego fortec.

W dalszym ciągu negocyacyi wysłano Kucharskiego cześnika bielskiego do Dewlet-Nuradyna i Aleb-Gireja sultanów hord krymskich, którzy wkroczyli byli w Ukrainę. Ten imieniem króla miał im także wymówić złamanie traktatów, naruszenie stosunków przyjaznych i żądać uczynienia nowego przymierza. Posel wyrozumiewał czy od Porty, czy wprost od kozaków poszła ta nieprzyjaźń, oraz którzyby z nich byli tego powodem; obwinał głównie Tatarów, że gdy Doroszenko poddał się Porcie, sultani do których przyjechał Kucharski przyjęli od kozaków poddanych króla przysięgę i onym pomoc przeciw panu swemu dawali (2).

Naznaczono wówczas sejm w Warszawie. Wszyscy pragnęli teraz najmocniej zająć się ratunkiem kraju, a król obawiając się grożącego napadu Turków, ostrzegał o nim szlachtę w uniwersałach na sejmiki przedsejmowe. Ale słowom jego nie wielu zrazu chciało wierzyć, utrzy-

(1) Oblat. w ks. metr. Kor. 206, f. 624.

(2) Instrukcyje te są oblatowane w ks. metr. Kor. 206, f. 629 i 630.

mując, że Porta zajęta pod tę porę wojną z Wenecją, nie rozpocznie drugiej wojny; myślano tylko, że tak ich straszono, by wymódz z województw podatki.

Lękano się, czy Francya dla poparcia elekcyi Kondeusza nie poruszy Turków i Tatarów; obawiano się, głoszone o tém, ale choć istotnie działała w tej myśli, nie można było niezbitym dowodem przekonać. Partya Lubomirskiego najwięcej przy tém podejrzeniu obstawała. Gdy się to dzieje, Turcyja niezadowolona odpowiedzią daną posłom moldawskim, pragnąc korzystać z sposobności dopięcia dawnych zamiarów, do czego tak wycieńczone siły polskie dawały jej łatwość, czyniła przygotowania wojenne i już basza Sylistryi począł gromadzić wojska, które miały wkroczyć w granice. Tymczasem sultan przysłał był posła do Polski, który już wówczas przybył do Lwowa z wypowiedzeniem wojny. Zewsząd gromadziły się chmury: Moskwa, z którą nie zawarto dotąd traktatów, dążyła w granice litewskie; horda stojąc na budziaczych polach, gotowa była wkroczyć do Polski; Ukraina wyprzysięgłszy się poddaństwa królowi, zupełnie już poddała się Turcyi.

Wieści te zatrwożyły wszystkich; już teraz uwierzone w prawdę słów uniwersału królewskiego. Na sejmie zaczęty burzliwie z powodu wykrytych intryg z Francją, uchwalono podatki na zapłacenie dawnych zasług wojsku przynależnych, jakoteż na potrzeby rzeczypo-spolitéj dla uzbrojenia się przeciw Turkom i Tatarom, w razie gdyby układy nie zapobiegły wojnie. Postanowiono nadto, jak najprędzej wyprawić posła do cesarza z żądaniem potwierdzenia dawniejszych paktów.

W skutek więc tej uchwały posłano do Porty Jerzego Godlewskiego miecznika nowogrodzkiego, w charakterze gońca, który powiózł cesarzowi list od Jana Kazimierza, z oświadczeniem przyjacielskiego usposobienia Polski i zapowiedzeniem przybycia wielkiego posła do zrobienia układów. Nadto dano mu podobnej treści pisma do wielkiego Wezyra i baszy Sylistryi (1).

Groźna postawa Turcyi, obecność Tatarów na granicy, swawola kozaków, a głównie niewiadomość i nie-

(1) Oba znajdują się w ks. metr. kor. 205 f. 619 i 620.

pewność co do skutku zawiazanych z Moskwą układów, wszystko to w smutnem stawiało króla położeniu. W obec tak liczego, silnego a zewsząd okrażającego nieprzyjaciela, trudno było myśleć, by wystarczały własne siły rozerwane: trzeba więc było myśleć o obcej pomocy. Sprawa turecka obchodziła całe chrześcijaństwo, chrześcijańscy więc monarchowie ujrzeni u siebie posłów polskich, którzy żądali od nich pomocy w imię obrony św. wiary, w imię ludu nieszczęsnego nad którym zawisł miecz i jassyr u bisurmana!

Jan Gniński podskarbi nadw. kor. podkom. pomor. powiózł w tym przedmiocie listy do Fryderyka Wilhelma, elektora brandeburskiego, do Fryderyka III króla duńskiego, do Karola XI szwedzkiego, do ks. brunświckiego i holszańskiego.

Andrzéj Morsztyn refer. kor. pojechał do Ludwika XIV króla francuz., starać się także o pomoc, ale było to raczej tylko upozorowanie stosunków, jakie głównie prowadziła z nim Marya Ludwika, względem elekcji Kondeusza na następcę Jana Kazimierza. Na trwającym wówczas sejmie, gdy powstawano na posłów mocarstw ościennych, że znoszą się jakimby sposobem skłonić Polaków do tego wyboru, przekonywano, że ci utrzymywali, iż trzeba głównie wywołać trwogę o Turcyą i Tatarów, zabawiać buntem kozaków, i nie dopuszczać potwierdzenia traktatu wiecznego pokoju z Moskwą.

Wniesiono nawet na sejm żądanie, aby starano się o odwołanie obcych posłów, ale mogłoby to być stać się powodem do zerwania stosunków między-narodowych. Zaniechano więc téj myśli, a Jan Kazimierz, który po traktatach łęgonickich rzekł się już niby zamiaru popierania kandydata, podobnie jak od innych państw zażądał i od Francyi posiłków; ale Morsztyn stronnik widoków Maryi Ludwiki opatrzony w instrukcyą od niej, miał zarazem starać się o sprowadzenie Kondeusza do Polski. Dwór francuzki zwlekał odpowiedź, czekał skutku układów z Turcyą nie zobowiązując się do niczego stanowczego; obiecywał i pomoc, jeśli się wojna rozpocznie, ale głównie nie spuszczał z oka swych widoków. Później śmierć królowej i postanowienie sejm-

mu przeszkodziły dalszym zabiegom, a Morsztyn nie spełniwszy posłannictwa, z niczem powrócił.

Franciszek Prażmowski opat sieciechowski, kan. kat. krak. i łucki, pojechał również w przedmiocie pomocy do Leopolda I cesarza austriackiego, od którego król żądał pośrednictwa w sprawie z Moskwą, kozakami, a szczególnie z Turcyą, zagrażającą i sąsiadującym z nią posiadłościom cesarskim. Prosił w liście swym Jan Kazimierz, by Austria wyjednywała przez siebie wpływ Rzymu na państwa katolickie, od których żądano pomocy. Swoją drogą, Polska znosiła się co do tego z Rzymem.

Wszystkim monarchom, do których rozesłano posłów, wystawiono czém groziło państwom ich powodzenie oręża tureckiego, nieprzyjaciela chrześcijaństwa, co nie szanował zaprzysiężonych traktatów, samowolnie wpadał do Polski i dopuszczał się tak wielkich zniszczeń. Sprawa kozaków, a głównie przyjęcie przez Portę ich poddaństwa, przeciwne wszelkim prawom i stosunkom państw, jakżeż powinny były poprzeć rzecz całą w oczach państw zawezwanych (1).

Tymczasem ważna dla Polski zaszła okoliczność. Byłto pokój z Moskwą; choć na trudnych dla niej umówionych warunkach, jednak co do zatargów z Turcyą polepszył nieco oplakane z nią położenie. Dnia 30 stycznia Jan Kazimierz przez pośrednictwo Jerzego Karola Chlebowicza wojew. wileńskiego, starosty ziemi żmudzkiej, zawarł w Andruszowie, między Smoleńskim i Mściślawiem, traktat przymierza na lat 10 z Alexym Michałowiczem W. Ks. moskiewskim, od którego stanęli jako kommissarze Atanazy Lawrentejewicz, Ardini, Noszczeekin. W traktacie tym przyrzekły sobie strony wzajemną pomoc przeciw Turkom i Tatarom, a mianowicie, gdyby ci w jakie związki z kozaczną wchodzili. Z obu stron miano posłać wiadomość do Turcyi i do hana krymskiego o podpisanych paktach, o przyrzeczeniu niesienia wzajemnej pomocy przeciw każdemu nieprzyjacielu.

(1) Wszystkie listy do tych monarchów i instrukcye dane posłom, są oblatowane w ks. metr. kor. 206 f. 635 i następnę.

lowi, z wezwaniem o szanowanie posiadłości obu państw i oświadczeniem, że jeśli chcą, mogą zawarłszy pakta, przystąpić do tego związku.

Tak polepszony nieco stan Polski, pozwolił przyspieszyć dalszy bieg układów z Portą.

Czauszego, przyslanego z wypowiedzeniem wojny zabawiano umyślnie we Lwowie, póki by król nie rozpoczął przygotowań wojennych, i nie wyprawił posła do Konstantynopola. Jan Kazimierz nie czekając na zapewnienie pomocy innych państw, zaraz wyznaczył wielkiego posła, który miał udać się do Turcyi. Wybór ten padł na Hieronima Radziejowskiego dawnego podkanclerza (wówczas świeżo mianowanego wojewodą inflanckim), może dlatego, aby tą usługą zatarł pamięć wojny z Szwecyą, za jaką okrzyczano go zdrajcą. Mianowanie posła w istocie należało do sejmu, a sejm rozpocząć się miał dopiero w początkach marca. Okoliczności zmuszały szybko go wyprawić, by zdołał co prędzej zasłonić od grożącej ciężkiej wojny. Trudno było wybierać królowi osobę, któraby i zdolnością i stanowiskiem uzyskała ogólne zaufanie narodu, i właściwie odpowiedziała na tak ważnym stanowisku.

Jan Kaz. czy istotnie nie miał nikogo takiego, czy też wyborem tym chciał Radziejowskiemu dać dowód zapomnienia przeszłości; czy wreszcie uległ jakim nowym wpływom dworu,—tego stanowczo twierdzić nie możemy, nie mając pod ręką niezbitych dowodów, któreby wytłumaczyły wybór królewski. Ex-podkanclerzy już od r. 1662 siedział spokojnie, nie mieszając się do żadnych spraw publicznych. Śladu podobnego nie znajdujemy w tych kilku latach, a akta urzędowe z owiej epoki życia jego, czasem tylko wskazują—Hieronima Radziejowskiego—kiedy mu szło o uregulowanie interesów majątkowych osobistych lub z synami. Odkładając więc do dalszych badań wyjaśnienie téj kwestyi, wracamy do samego faktu rozwiązującego stanowisko ówczesne Porty względem Polski, i dopełniającego życiorysu posła.

Król więc, przed rozpoczęciem jeszcze sejmu, mianował go posłem, już bowiem w d. 20 lutego wyszły

z jego kancelaryi zwykle listy, wyjmujące z pod wszelkich sądów Hieronima Radziejowskiego, posła do Porty ottomańskiej, i te rozesłane zostały po ziemstwach i grodach (1). Początkowo niektórzy tylko senatorowie wiedzieli o tem mianowaniu, ale gdy przybył ezausz, otrzymał audyencyą u króla, i usłyszał, że jużznaczony poseł wyjedzie wkrótce z żądaniem potwierdzenia złamanych przez Portę paktów, przy których Polska obsta-je, gdy z kancelaryi ogłoszono wysłanie listy, rzecz cała wyszła na jaw. Większość szlachty nieświadoma danych mu wówczas od króla a przez sejm nie potwierdzonych instrukcyj, nie mająca zaufania w Radziejowskim jako w człowieku, który podług ich sądu pobudzał ościenne mocarstwo nie przeciw królowi, (jak to miał głównie na celu) ale przeciw ojczyźnie; szlachta trwożliwa wtedy aż do podejrzeń o swe swobody, tłumaczyła sobie, jak (w tym razie niewłaściwie), że król dlatego wysłał to poselstwo, by za pomocą wroga chrześcijaństwa osadzić na tronie następcę. Podejrzowano, że za staraniem Radziejowskiego, Turcyą zniósłszy się z Francją, siłą popierać będzie jej kandydata; utrzymywano, że poseł mimo amnestyi sejmu, urażony odebraniem poprzedniego urzędu i królewszczyzn, nie będzie się starał o potwierdzenie dawnych paktów, ale podburzy jeszcze Turków na króla i rzeczpospolitą, aby tym sposobem odzyskał co utracił.

W Polsce coraz więcej przybываło nienawiści, obawiali się albowiem urojonych nowych knowań tego, którego nazywali zdrajcą, a niecierpieli podobnych fakcyj; największe jednak podejrzenie wywołały niewiadome im instrukcje, które według prawa winny były być przeczytane i rozebrane na sejmie. Więcej jeszcze szemrano na wybór królewski, gdy prymas Prażmowski przydał mu na sekretarza Franciszka Wysockiego, który nie miał żadnej posiadłości w kraju, a był jego zaufanym przyjacielem, na co niechętnie i z podejrzeniem patrzano.

Jan Kazimierz żalił się na podobne podejrzenia, bo czuł, że w tej całej sprawie dalekim jest od winy sprzyja-

(1) Sigil. N. 7 f. 39.

nia zachodnim widokom, a tak list jak instrukcyę które publikował nie obejmowały nic z tego, o co go posądzano. List własnoręczny króla do Mahometa IV posłany przez Radziejowskiego, zawierał odwołanie się na dawniejsze traktaty i przymierza, oświadczenie chęci potwierdzenia ich; wreszcie dodano:

że co do dawniejszych uskarżań się Porty na napady kozaków, takowym surowo już zakazano wypływać na morze Czarne i robić napady na jej posiadłości;

że Tatarzy mimo obietnicy cesarza, utrzymania ich w pokoju, napadli podstępnie na nieprzygotowane wojsko polskie, które właśnie miało się z nimi łączyć przeciw kozakom; naruszone więc przez nich zostały traktaty, których odnowienia król żądał, a zarazem zwrotu zaborów i wynagrodzenia krzywd i szkód poczynionych; że Wołoszczyzna wbrew paktom, przepuściła Tatarów przez swe posiadłości w ziemie ruskie, a nawet ludzi swych z nimi wysłała; i, że zawarła z Moskwą przymierze, które komunikował Porcie.

Posel powiózł w tym interesie listy od króla do wielkiego wezyra i baszy Sylistryi, do czego i kanclerz królestwa dołączył swe pisma (1). Senat i król polecili przytém najmocniej Radziejowskiemu, aby za odebraniem potrzebnych papierów, bezzwłocznie udał się w drogę, by tём przybyciem do Porty zapobiegł spodziewanemu wkroczeniu wojsk jej do Polski. Polecono mu przytém wstąpić do hospodara wołoskiego i zażądać od niego wytłumaczenia się, jakim prawem pozwolił przejść Tatarom przez swą ziemię i powracać tąż drogą z ogromnym łupem z Polski uprowadzonym, kiedy podług listownej obietnicy cesarza, tak han, jak i inne państwa holdujące Turcyi, miały żyć w przyjaznych z nią stosunkach. Przy gospodarze znajdował się naówczas sekretarz jego Kiniarski, życzliwy rzeczypospolitej; od niego miał posel zasięgnąć wiadomości, co się dzieje u dworu cesarza i jego holdowników. Tu także wymó-

(1) Wszystkie te listy, oraz cała instrukcyę dana Radziejowskiemu są oblatowane w ks. metr. kor. 206 f. 673 i następnych.

wił sobie poseł wolny przejazd dla posłańców i gońców od siebie i do niego z Polski wyprawianych.

Po drodze miał wstąpić do baszy Sylistryi, oddać mu listy i zażądać, by pochód wojsk tureckich do granic królestwa ciągnących, wstrzymany został do powrotu jego z Konstantynopola.

Podług instrukcyi, Radziejowski miał zanieść do cesarza następujące żądania:

Powinien był wymówić naprzód postępek Wołoszczyzny i Tatarów, którzy buntowali kozaków, a uśmierzonych do nowego podniecali buntu; następnie przedstawić napad tatarski na wojska i posiadłości polskie.

Na przypadek zarzutu, że przyczyna zerwania traktatu była ze strony Polski, jakoby ta przyrzekła nie umawiać się z Moskwą bez udziału w tem hana, mógł poseł tłumaczyć, że skutkiem tego warunku, traktaty z Moskwą kilkakrotnie już nie doszły do końca, i że za staraniem Polski, poprzedni han Mehmet-Girej zezwolił na traktowanie bez swego udziału, byleby zawarte pakta komunikowane mu zostały. Ostatni więc traktat, zawarty na mocy tego układu, nie mógł być uważany za naruszający przymierze z orzą, tem bardziej, że w nim han nie był przepomniany. Poseł mógł dowodzić, jak tenże nie dotrzymał przyrzeczonego związku i przyjaźni, napadając jeszcze przed zawarciem traktatu w kilkadziesiąt tysięcy królestwo; jak mimo wezwań nie przysłał do króla posła dla zawarcia układów. Wszakżeż pierwój Tatarzy napadli na Polskę, zerwali sami przymierze, wystąpili jako nieprzyjaciela, nim kommissarze polscy zawarli traktaty z Moskwą i zyskali przeciw nim pomoc. Tatarzy utrzymywali, że wojnę prowadzą z woli Turcyi, co jeńcy ich i kozacy zabrani przez żołnierzy polskich zeznali.

Mógł Radziejowski dowodzić w przypadku zarzutu Turcyi, co do sprzymierzenia się przeciw niej Moskwy z Polską, że warunki przyjęte przez strony, iż obie dla przyjaciela jednej z nich będą przyjaciółmi, a dla nieprzyjaciela nieprzyjaciółmi, są zwykłe między wszystkimi monarchami, bo wszakże stoją one i w dawniejszych paktach z Turcyą. A nadto, wszakże wyraźnie zastrzeżono w paktach Andruszowskich, że strony wyprawiają po-

słów do sultana i ordy z zawiadomieniem o zawarciu ich, i oświadczeniem, że mogą przystąpić do związku.

Gdyby zarzucono, że kozacy, pomimo zobowiązania się Polski w dawniejszych paktach co do utrzymania ich w posłuszeństwie, wpadali Czarnem morzem do Turcyi, to mógł dowodzić Radziejowski, że król nie był obojętny na swawolę, ale owszem, jak i brat jego Władysław IV, poskramiać ją zawsze usiłował. Dowodem tego sprawy ostatnich lat z niemi, dowodem Kudak, przez poprzednika króla wystawiony, gdzie trzymano kosztowną załogę, czajki zaś i inne statki kozackie topiono, buntowników głównych, jak np. Pauluka tracono, a wojskiem trzymano ich w karności, by wbrew paktom i zarządzeniom nie wpadali w tureckie posiadłości.

Przyczyną zaś ostatnich nieszczęść wynikłych przez kozaków, było połączenie się ich z Tatarami. A że Turcyja spokojnie, z zezwoleniem, a nawet i poparciem, patrzyła na te bezprawia kozaczyzny i Tatarów, miał więc w tém posel poparcie i mógł dowodzić, że cesarz mając już zadosyćuczynienie przez napad i własne postępowanie, już nie powinien żądać odpowiedzialności za kozaków, którzy wprzód nas, a później jego niepokoiili. Miał posel przyrzec, że król uśmierzy kozaków, zwłaszcza obecnie po paktach z Moskwą, jeżeli Porta zabroni Tatarom tak ścisłego z niemi związku i dalszych napadów, a przytém Radziejowski miał wystawić niebezpieczeństwo, jakieby nietylko już Polsce, ale i jój samój z czasem groziło, gdyby związek ten nadal się utrzymał.

Żądano dalej od cesarza: aby hana i sultanów ord ukarał za napad, aby ciż z Ukrainy ustąpili, aby wypuścili lud wzięty w niewolą, a nadto aby zwrócili szkody i lupy. Od Porty żądano potwierdzenia dawniejszych paktów, do których nie dodano żadnych nowych warunków, oraz przyrzeczenia, że nie wystawi żadnych fortec na obu brzegach Dniepru.

Miał nadto oprzeć się oświadczeniu Turcyi, że kozacy jako poddający się jój dobrowolnie, winni już przy niej pozostać, chociaż byli poddanemi króla i należeli do Rzeczypospolitej, na co Polska nigdyby nie była pozwoliła.

Tatarom, w razie odnowienia paktów obiecano przysłać jak dawniej podarunki, za co ci podług poprzednich zobowiązań winni byli słać posiłki w razie wojny.

Co zaś się tyczy rozesłania posłów do monarchów chrześcijańskich, oświadczyła Polska, że nastąpiło to na wieść ciągnących wojsk Porty do granic i po wypowiedzeniu wojny.

Dla ułatwienia posłowi układów, przy odnowieniu paktów, dano mu kopie wszystkich dawniejszych traktatów, przymierzy, listów, instrukcyi i t. p., odnoszących się do spraw Polski z Turcyą i Tatarami.

Kiedy tak zajęto się pilnie spieszném wyprawieniem Radziejowskiego, mocarze wezwani o posiłki oświadczyli się z gotowością przysłania takowych. Jak wprzód na wybór posła bez sankcyi sejmu, tak teraz na te wezwania coraz głośniej szemrać poczęto. Sejm zaczęty w marcu ukończył się w końcu kwietnia, a wiadomości od państw przyszły pod sam jego koniec. Naród podejrzewał ciągle króla, że sprowadzenie obcych wojsk do Polski, sprawi, że te nie przeciw Turcyi, ale wspólnie z jej potencją na tronie Kondeusza osadzą. Ci co przybywali z nad granic ordy lub cesarstwa, rozpowiadali jak w Krymie i Ukrainie pieniądze francuzkie rodziły niezgody i ustawne zamieszanie. Powstawano więc, krzyczano na posła francuzkiego, który głównie czynił fakcye na zgubę Polski z nieprzyjacielem gotowym do wtargnięcia, domagano się sejmu, któryby uchwalił względem spodziewanej wojny, i pomocy państw ościennych. Jan Kazimierz, obawiając się nowej burzy na sejmie, pragnąc ułagodzić umysły, i zyskać choć chwilę odwłoki, dopóki nie wiedział o jakimkolwiek skutku dopiero odjechać mającego poselstwa, zamiast przedstawienia na sejmie, i żądania zezwolenia na układy z państwami, wydał z kancelaryi swej następujące oświadczenie:

„Jan Kazimierz etc. etc. etc. Oznajmujemy tym listem naszym wszem w obec i każdemu z osobna, komu o tém wiedzieć będzie należało. Iż Nam dla niedotrzymania wiary tatarskiej i rozgromienia wojsk naszych, *ex consilio* wielu Panów senatorów, przy boku naszym będących, przyszło *auxiliares apud vicinos Principes* szukać

copias, w czemeśmy przyjacielską od nich odnieśli deklaracyę. Iż jednak *speramus*, że za posłaniem posła naszego do Porty, *extra periculum* wojny tureckiej zostaniemy, tedy assekurujemy w tym słowem Naszém królewskiém, wszystkie rzeczypospolitéj stany, że tych posiłków teraz potrzebować nie będziemy i onych w państwa nasze wprowadzać nie dopuścimy. Ażeby przecie rzeczypospolita *consilio et auxilio destituta* nie była, gdybyśmy jaką o imprezie tureckiej wiaść mieli wiadomość, sejm dla dalszej obrony rzeczypospolitéj złożemy, na którym *si videbitur* rzeczypospolitéj o posiłki monarchów postronnych prosić, wtenczas one *ex consensu* tylko *omnium ordinum* przyjąć będzie nam wolno. Na co dla lepszej wiary ten skrypt etc.”

„Dan w Warszawie d. 17 kwietnia r. P. 1667, panowania naszego polskiego i szwedzkiego XIX roku.

. (—) *Jan Kazimierz* król.

(=) *Mikołaj Prażmowski* arcybis. Gnieźn. Prymas (1).

Uspokoił się nieco naród, bo zginęła obawa wprowadzenia wojsk obcych, a tymczasem Radziejowski wyruszył w drogę. Ale z chwilą jego wyjazdu, jeszcze nie było żadnej odpowiedzi na listy wysłane do Turcyi, hana i sultanów. Dopiero w końcu maja przybył do Warszawy z Fr. Kobyleckim podczaszym mielnickim Ahmet-Aga, poseł Adyl-Gireja hana krymskiego, który na audyencyi 6 czerwca oddał królowi listy (2), gdzie han usprawiedliwiając się z napadu na Ukrainę, zwała całą winę na Polskę, a naprzód na zawarcie paktów Andruszowskich, do których nie chciał należeć; wymawiał jak sam żądał dla Polski zwrotu Smoleńska i innych fortec, oraz zadnieprza, a nie chciał w czasie wojny z Moskwą zawierać, pomimo wezwań, z tą ostatnią przymierza, czém dowodził swą wierność traktatom.

Drugą przyczynę naznaczał, jako Polska nie dotrzymała obietnic danych dawniej kozakom, na co wpływał

(1) Obl. w met. kor. 206, f. 690.

(2) Ks. metr. kor. 206 f. 703. Listy tureckie i tatarskie, oblatowane w metrykach, tłumaczone były przez Zajerskiego, sekretarza króla a zarazem pisarza i tłumacza pism wschodnich.

han poprzedni; przyznawał jednak, że żadnego do nich prawa nie rości. Dalej szło hanowi o niewysłanie do niego zaraz po objęciu rządów poselstwa, o przejęcie listów tatarskich, jakie sułtani ord przed wejściem w Ukrainę pisywali, znosząc się z sobą, a które to listy znaleźli potem u Machowskiego. Wymawiał także nieprzystanie zwykłej rocznej daniny, jaką nazywano w Krymie podarunkiem. Oświadczał wprawdzie han gotowość związania na nowo ściślej jak dotąd przyjaźni, przywołując dawniejsze wypadki, w których Krym był wiernym Polsce, a jednak czynił przygotowania nowe do wojny, jednak nie zrywał z kozakami, ale pragnął żeby król dokonał zerwania z Moskwą. Trudny warunek!, Jan Kazimierz ani przystać a tém bardziej uczynić tego nie mógł bez sejmu, który już potwierdzał rozejm i zawarcie stałego pokoju. Sejm spełniając żądania Turcyi i Wołoszczyzny, wyznaczył z grona swego kommissarzy, którzy winni byli zjechać na miejsce, i porozumiewszy się wspólnie z kommissarzami wołoskimi, rozstrzygnąć wszelkie spory między mieszkańcami pogranicznymi, wywołane zajęciem gruntów, pokrzywdzeniem, zatrzymaniem lub zabiciem kupców i t. p., a to pod karą infamii, którą miał na nich przysły sejm orzec, co sobie zawarowano ze strony Wołoszy (1).

Po skończonym już sejmie, król z senatem zajął się obmyśleniem środków wyprawienia hetmanów z wojskiem przeciwko nieprzyjacielowi. W przykrém Kazimierz znajdował się położeniu, zmartwiony śmiercią królowej, która zmarła wkrótce po ukończonym sejmie; widział brak w skarbie, brak wodzów, brak starego i doświadczonego wojska. Wprawdzie sejm uchwalił ściąganie po województwach ordynaryjnych podatków na wojsko, które sami żołnierze wybierać sobie mogli, oraz nadzwyczajne jakie do skarbu miały być składane; ale na to trzeba było czasu dłuższego, tu zaś wypowiedziana wojna od Turczyzny, a Tatarzy znów się do Polski gotowali. Wtedyto Jan Sobieski i Dymitr książę Wiśniowiecki rozpoczęli zbierać siły i myśleć o środkach rato-

(1) Vol. leg. 4 fol. 941, pod tyt. Kommissya z ziemią wołoską.

wania ojezyny. Nim jednak przyjdzie nam mówić o środkach i skutku usiłowań hetmana, wróćmy do dalszego ciągu negocyacji i poselstwa Radziejowskiego.

W jednym prawie czasie z Kobyleckim powrócił i Jerzy Godlewski, wysłany jako goniec przed wielkim posłem. Mahomet IV obawiając się pomocy Moskwy i innych państw chrześcijańskich, a nadto chcąc lepiej poznać istotne położenie Polski i czy jej siły własne lub połączone wystarczą, oświadczył się zrazu z chęcią uczynienia pokoju i przymierza. Tém bardziej przystał na wstrzymanie choćby na czas jeszcze wojny, że walczył w tej właśnie porze z Wenecyą. Choć myśl rzucona przez list Kazimierza co do niebezpieczeństwa jakieby groziło z czasem Turcyi, gdyby się związek Tatarów z Kozaczyzną na dłużej utrzymał, znalazła małe echo w dywanie, jednak Francya, Tatarzy i Doroszenko nie przestali popierać każde swych żądań i widoków. Sultan jednak postanowił przyjąć wielkiego posła i wysłuchać żądań rzeczypospolitej.

Godlewski przywiózł także listy do króla, do kanclerza w. kor. i hetmana kor. od Mustafy paszy, zastępcy wielkiego wezyra, w których było wiele pozorniej chęci pokoju (1). Gdy się to dzieje, niespokojnie oczekiwano wiadomości od Karwowskiego, posłanego do hana krymskiego, którego wojska stały na granicy. Doszły wieści, że go umyślnie zatrzymano w hordzie, nie czyniąc poprzednio obiecywanego przymierza. Odezwał się więc naprzód do hana Andrzej Olszowski podkanclerzy kor. bisk. chełm. i pomer.; w liście swym (2) wymawiał postępowanie Nuradyna, który przed marszałkiem w. kor. usprawiedliwiał się z wtargnięcia w Ukrainę tém, że chorąży kor. z ludźmi swemi Ukrainę plondrował i lud niewinny mordował. Niegodna ta potwarz niezemnie dowiedziona, choćby była nawet i prawdziwą, nie mogła służyć za pozór, bo czyż sultan miał jakie prawo robić się opiekunem Ukrainy; a jeśli to robił przez jakąś litość, chociaż niewłaściwą w tym stanie rzeczy, to

(1) Oblatowaue w ks. metr. kor. 206, f. 706 i n.

(2) Oblat. w ks. metr. kor. 206, f. 711.

wimien był odnieść się czy do króla, czy do wojewody krakowskiego, czy wreszcie do W. hetmana. Żądał przytém wypuszczenia Machowskiego, Pałowskiiego i innych obojej płci jeńców, cofnięcia wojska i odnowienia paktów. Król, a za nim Jan Leszczyński kanclerz w. kor. pisali także do hana, dopominając się uwolnienia posła i albo zawarcia z nim traktatu, albo bezpiecznego odesłania do granic. Wyrzucano mu takowy postępek, który miał przelożyć w Turcyi wielki poseł, jako naruszający prawa polityczne i nietykalność osoby posła. Mimo tych listów i negocyacyj, nie ustawały z obu stron przygotowania do wojny, a tymczasem Radziejowski jechał do Turcyi: przejdziemy więc teraz do niego (1).

* * *

Posel odebrawszy w końcu kwietnia pod Buczaczem potrzebne instrukcyje i papiery, spiesznie puścił się w podróż, a stanawszy pierwszego maja w Żwańcu przy granicy wołoskiej, nie chciał zaniedbać dawnego zwyczaju i czekał na posłów hospodara, którzy go mieli przeprowadzać. Dojeżdżając do Jass spodziewali się, że sam wojewoda wyjedzie na ich spotkanie, gdy zaś nie było go widać, Wysocki sekretarz legacyi wysłał przodem z ostatniego noclegu Kiniarskiego sekretarza hospodara, aby tenże przez uszanowanie króla wyjechał na spotkanie jego posła. Przedstawiono mu, jako z dawnych lat na mocy paktów z Turcyą winien to uczynić, jako zostający co do wiary pod protekcyą Polski. Jako dowód przytoczono, że dawniejszych, a nawet ostatniego księcia Zbarawskiego wielkiego posła w r. 1623 do Turcyi jadącego, hospodar osobiście przyjmował, więc i obecny żąda tegoż samego. Ale hospodar nie chciał uznać słuszności żądania, i przysłał do posła kilku bojarów, którzy dowodzili, że podobne oznaki szacunku winien tylko cesarzowi tureckiemu, i że bawiący na dworze jego Turcy przysłani z Stambułu, nie pozwalają mu zadosyć uczynić żądaniu. Odjechali napowrót bojarowie,

(1) Relacya tego poselstwa oblatowana jest w ks. metr. kor. 206, fol. 796 i następn.

nie wskórawszy nie u Radziejowskiego, obiecali jednak wrócić z stanowczą odpowiedzią. Odjeżdżającym zaś oświadczone, że jeśli gospodar nie zrobi czego żąda poseł, wówczas tenże minie miasto bez żadnego zatrzymania się, a potem zaniesie zażalenie do cesarza. Turcy utrzymywali, że poseł powinien poprzestać na zaproszeniu gospodarza, który znów przystał Kinjarskiego; odprawiono go jednak z odpowiedzią, że poseł przejedzie przez Jassy i zatrzyma się w polu, za miastem. Zmieszalo to gospodarza, a tymczasem wysłano blisko 3,000 orszak złożony z jego rodziny, dworzan, wojska i ludu, który wyjechawszy przeszło pół mili za miasto, powitał jego imieniem poselstwo i wprowadził do Jass. Niepodobna było uniknąć przymusowego prawie zaproszenia, a poseł z orszakiem blisko 300 ludzi wynoszącym, zajął najprędniejsze domy bojarskie, wprzód dla nich przygotowane.

10 maja Wysocki udał się na audyencyą, a oddawszy gospodarowi listy od króla i kanclerza w. kor. oświadczył, że poseł nie będzie u niego z powodu nieporozumień przy wjeździe.

Nazajutrz, to jest 11 maja wyjechał poseł, odprawiony przez lud i wojsko wołoskie daleko za miasto, z kąd udał się ku Galaczowi leżącemu nad Dunajem, a 16 stanął na granicy tureckiej, oczekując czausznych (posłów cesarza), którzy przez całe państwo przeprowadzać go mieli.

Po trzech dniach oczekiwania usłyszawszy o zbliżeniu się posłów, ruszył cały pochód naprzód, a nie mogąc się tutaj przeprowadzić przez Dunaj z powodu głębokości, wzięli się na prawo i przybyli do Ibraiła miasteczka multañskiego, gdzie na ich przyjęcie wyjechał kady (sędzia turecki) oświadczając gotowość zarządzenia bezpiecznego przewozu. Jakoż nazajutrz 20 maja stanęli na prawym brzegu rzeki i pierwszy nocleg odbyli w Mecinie miasteczku tureckim. Jeszcze nie przybyli byli a raczej nie spotkali się z nimi czauszowie; przeprowadzał ich tylko posłaniec, który odwoził do Jass Godlewskiego. Wyruszywszy przebyli przykrą drogę przez Balkany; dopiero 3 czerwca z posłaniami przodem przez Radziejowskiego ludźmi, przybyli czauszowie cesarscy, którzy

8 tegoż miesiąca doprowadzili ich szczęśliwie o milę od Adryanopola, gdzie bawił cesarz; odpocząwszy, zaczęli się gotować do wjazdu. Przyprawiono nazajutrz 32 koni cesarskich, poseł jednak polski znużony drogą jechał w karecie. W połowie drogi spotkał go czausz-basza z oddziałem janczarów oraz wojskiem pieszym i jazdą. Wtedy poseł siadł na koń, podjechał bliżej, a powitawszy, jechał dalej. Około posła znajdowała się kawalerya węgierska, a świta turecka assystowała całemu orszakowi.

Cesarz dnia tego wyjechał był na łowy; usłyszawszy jednak o przybyciu poselstwa, powrócił i przypatrywał się świetnemu orszakowi; lud nie zwykły podobnego widowiska, tłumnie także wyległ. Przybyłych Polaków umieszczono w domach baszów, którzy musieli usunąć się z mieszkań. Zaraz po wejściu Radziejowskiego do pokoju, wniesiono przysłane od kajmakana owoce i bakalie, za co hojne poselstwo płaciło obnoszącym czerwonymi złotem i talarami. Nazajutrz poseł austriacki, bawiący w Adryanopolu, odwiedził Radziejowskiego, który dopiero w 10 dni po przybyciu, to jest 20 czerwca odebrał przez czausz-baszę zaproszenie na audyencyą do cesarza stojącego obozem pod Demitoką. Wyjechawszy 22, nazajutrz dopiero przybyli do obozu. Zbliżywszy się do namiotu cesarskiego, wsiadł poseł z orszakiem swym na konie i tak przejechał do namiotów, o wiorstę przeszło dalej dla nich przygotowanych.

Dwudziestego czwartego czerwca naznaczoną została wizyta u kajmakana. Radziejowski w 30 osób, z 24 pieszemi Węgrami przybył do namiotu, gdzie wszedł z całym orszakiem. Tu już czekali na niego urzędnicy dworu, a zaraz wszedł i kajmakan. Po powitaniu i oddaniu listów, podano dla obydwóch kawę, a potem sorbety, któremi częstowano wszystkich obecnych. Rozdano potem podarunki dla kajmakana, jego żony i dworu, oraz dla wielkiego czausz-baszy. Przed pożegnaniem oświadczył przyjmujący, że za trzy dni nastąpi audyencya u cesarza. Nie czekając jej, przysłano do Radziejowskiego z żądaniem rejestru podarunków dla monarchy, a choć odpowiedziano, że takowe poseł złoży przy audyencyi wraz z spisem, nie przestano się ich domagać. Musiał

Wysocki jeździć do kajmakana i przełożyć mu, że poseł złoży je od siebie przez uszanowanie, z dobrej chęci i jakie mu dać się podoba, bo te nie są od króla, który zwyczajem rozsyłania nie miał i nie był do nich obowiązany. Kajmakan odpowiedział na to: że żaden poseł a zatem i polski, nigdy nie przyjeżdżał bez podarunków od króla, bądź wreszcie od siebie, ale nigdy i żaden nie dawał podług widzimisie. Odrzekł na to Wysocki że innych różne są z Portą interesa, Polacy zaś mają tylko przyjaźń sąsiedzką, droższą nad wszelki upominek, którą właśnie poświadczyć przybył poseł; podarki zaś da od siebie na znak uszanowania. Zgodzono się wreszcie, że takowe oddadzą zaraz po audyencyi, ale poseł odesłał je dniem wprzód przez syna swego Jana Szczęsnego starostę soleckiego (1).

28 czerwca przyprowadzono dla orszaku konie cesarskie; wyjechali więc na audyencyę, a podjechawszy na wzgórze blizkie namiotów cesarskich, zatrzymali się z kwadrans, czekając na czausz-baszę, który winien był ich wprowadzić. Ztąd ujrzeli około 3,000 osób należących do orszaku cesarza, zebranych około jego mieszkania. Przybył wnet czauszy i powiódł ich ku pierwszym namiotom, gdzie po obu stronach stało przeszło 100 najpiękniejszych koni z bogatemi siodłami i rzędami, wysadzanemi drogiemi kamieniami. Zatrzymano się przed wschodami, a poseł zsiadłszy z konia, wszedł do namiotu, gdzie powitali go: kajmakan, Kalil-basza faworyt cesarza i dwóch kadych Azyi i Afryki. Tu zasiadł poseł na przygotowanem miejscu i zaraz ofiarowano mu ucztę, do której zaproszono 15 osób z jego orszaku, tojest te, co wraz z nim miały iść do cesarza. Reszta poselstwa złożonego z młodzi szlacheckiej, podejmowaną była w innych namiotach. Przy jednym stole siadł poseł, sekretarz jego i dygnitarze tureccy, i tym usługiwali, jako marszałkowie: czauszbasza i wielki podskarbi. inni siedli przy oddzielnych stołach. Po obmyciu rąk wodą różaną, podano 24 potraw i sorbety, a gdy się uczta skończyła, przyniesiono kajmakanowi emiry cesarskie, na które wszyscy powstali.

(1) Później kasztelan wieluński; zginął w pojedynku.

Gdy już był czas iść na audyencyą i powkładano na wszystkich kaftany, Radziejowski polecił Marcantoniemu, tłumaczowi kajmakana, aby mu oświadczył, żeby nie ważono się nikomu z orszaku nachylać głów przed cesarzem, jak to było w zwyczaju, obiecując dobrowolnie uczcić jak należy monarchę. Poseł uniesiony szlachetną dumą zagroził policzkiem każdemu, coby to śmiał uczynić komubądź z jego orszaku, mówiąc, że woli umrzeć niżeli ścierpieć podobne poniżenie. Kajmakan dowiedziawszy się o żądaniu posła, kazał mu zadosyć uczynić.

Włożono więc kaftany na 40 osób, każdego prowadzili dwaj kapudziejowie, trzymając za krańce sukni. Do tej części namiotu gdzie pod baldachimem na krześle z srebra i złota siedział Mahomet IV, wprowadzono tylko 16 osób. Poseł i orszak jego skłoniwszy się nisko, ale bez pochylenia głów do ziemi, stanęli na prawej stronie o kilka sążni od tronu, a Wysocki przeczytał pismo obejmujące cel i żądanie poselstwa, następnie wręczył czausz-baszy listy do cesarza, który oddał je kajmakanowi, a ten z wielką ceremonią złożył je na krześle umyślnie obok cesarza postawioném. Marcantoni przetłumaczył cesarzowi treść mowy poselskiej, na co sultan w krótkości odpowiedział, że chętnie i rad widzi u siebie posłów króla polskiego, dla którego chce być przyjacielem i że wedle możności uczyni zadosyć jego żądaniom. Na tem skończyło się posłuchanie.

Nieszczęśliwi kapudziejowie własnemi głowami zapłacili nienachylenie głów poselstwa; rozgniewany cesarz nie wyłączył zrazu od tej kary i dwóch ciotecznych swych braci, którą dopiero na prośby kajmakana i dworu zamienił na knuty.

Powiedzieliśmy już wyżej, czego miał się poseł dopominać u Porty, nie chcąc więc obecnie powtarzać tych żądań, przejdziemy tylko dalszy ciąg pobytu Radziejowskiego w Turcyi.

30 czerwca przysłano 15 koni po posła i jego towarzyszy, których czekał u siebie kajmakan, oraz wyznaczeni: mufty, kaznodzieja cesarski uważany za bardzo uczonego, wielki sekretarz i kilku jeszcze dworzan. Zasiadłszy na dywanie, po przedstawieniach i oświadczeniu

ściściej i statecznej przyjaźni dla króla i Rzeczypospolitej, przystąpiono do rozbiierania żądań ze strony Polski podanych.

Przedstawił poseł, że zabraniano kozakom wycieczek na Czarne morze, opowiedział swawole ich, pomoc jaką mają od Tatarów, jaką mieli przed paktami Andruszowskiemi od Moskwy, potem od Szwedów. Żalił się i na postępowanie hana, przeciwne traktatom i żądał jak najobszerniejszego zadosyć uczynienia. Skarżył się na Wołoszczyznę za udział i przepuszczenie wojsk, oraz na hospodara o nieuszanowanie w. posła. Usilnie domagał się zniesienia fortec na ziemi polskiej nad Dnieprem zbudowanych. Żądał, aby patriarcha konstantynopolitański bezzwłocznie zatwierdził metropolitę kijowskiego, czego przez fakcyą kozacką dotąd nie uczynił.

Ministrowie tureccy odpowiedzieli tak jak Tatarzy, którzy wprzód zawiadomili Portę o swój odpowiedzi. Utrzymywali, że z powodu przymierza z Moskwą, Polska stała się winną naruszenia pokoju, przywodząc, (jak już mówiliśmy wyżej), że nie powinna była tego czynić bez udziału hana, że przeciw nim zostały zawarte te pakta, że przez lat 19 nie potwierdzono przymierza z cesarzem, że hana lekceważono nie przysławszy doń ani posła, ani podarunków do hordy, i że sama Polska pobudzała wprzód przeciw nim kozaków. Z téj zasady tłumaczyli i Wołoszczyznę jako swą hołdowniczkę, że ta w niczem nie naruszyła pierwsza przymierza.

Co do fortec na gruncie Rzeczypospolitej pobudowanych, aby były zniesione, Radziejowski obszernie wywodził nieprawość czynu, jako niezgodnego z postępowaniem przyjaciela; usilnie więc domagał się ich zburzenia. Rada łagodnie zrazu zbywała, dając do zrozumienia, że ustąpienie z tak małej cząstki nieby nie znaczyło dla cesarza; gdy jednak poseł zażądał krótkiej a stanowczej odpowiedzi, oświadczyła naówczas, że to być nie może, aby ustąpić, co już raz zabrano.

Ale Radziejowski pilnie obstawał przy tym pierwszym a tak ważnym punkcie poselstwa, a rada rozgniewana odpowiedziała mu, żeby nie powtarzał żądania, inaczej bowiem zmuszoną byłaby uważać poselstwo za

nieprzyjacielskie, domagające się od Porty rzeczy niepodobnych, i pragnęła, aby obwarowano to w paktach, że Turcy przy zajętej ziemi i fortecach pozostaje.

Posel jednak śmiało i energicznie dowodził, że takim sposobem dawniejsze pakta nieby nie znaczyły, kiedy nie są jak należy wykonywane.

Po przedstawieniu wszelkich dowodów i dokumentów, popierających żądanie posła co do zburzenia fortec, przystąpiono do tłumaczenia paktów z Moskwą, które Turcy koniecznie uważać chcieli za sprzymierzenie się przeciw niej teraz, a nie dopiero na przypadek wojny, pomijając to, że wprzód Tatarzy dokonali napad, nim takowe stanęły.

Tatarzyn zbuntowawszy obietnicami kozaków, zdradliwie napadł na wojsko polskie, czekające na połączenie się z niem przeciw nieprzyjacielowi. Przedstawiał posel, że za zold odbierany, a nazywany podarunkami, winni byli stawać przeciw każdemu, co także i wówczas być miało, gdy jeszcze w czasie tylko co ukończonej wojny z Moskwą, obiecywali sobie odzyskać dawniej utraconą Astrachańską ordę. Wykazywał, że Turcy i Tatarzy nie są przepuszczeni w paktach Andruszowskich, że wolny naród chrześcijański nie może cierpieć żadnego mieszania się do zawieranego z innemi chrześcijańskimi państwami pokoju, i że wreszcie nikt mu nie może zabronić szukać u innych państw chrześcijańskich obrony, jaką w razie wojny z Turcyą niezawodnie uzyska.

Przyjazne zapewnienie Polski dla Porty stały zawsze w paktach zawieranych od Kazimierza Jagiel. i Bajazeta; później nie były one wykonywane jak chciały strony, bo najczęściej mieszały pokój kozacy. Potwierdzenia więc paktów należało raczej domagać się Turcyi lub hanowi, których własne dobro wymagało tego.

Daléj przekładał Radziejowski, jako urazy hana są i niesłuszne i nieprawdziwe. Król dawniejsze jego poselstwo obdarzył podarunkami; han przez Dedes-agę posła swego poprzysiągł dawniejszą przyjaźń, obiecał dopomagać w czasie wojny z Moskwą, tymczasem zdradziecko złamał przysięgę własną, a wymógł ją od podburzonych kozaków.

Czem więcęj poseł dowodził słuszności żądań Polski, témbardziej burzyła się rada, szczególniej mufty, którego kajmakan musiał powstrzymywać. Nie podobała się im wszystkim wolna mowa Radziejowskiego, a na te jego słowa: „jeżeli satysfakcyi żadnej, względem szkód takich przez Tatarów podjętych, otrzymać nie będziem mogli, nie miejcie za złe, że szable mając i rąk dodamy, a tych którzy do nas chodzą odnawiedzimy siedliska.” Kajmakan odpowiedział powstrzymując gniew: „Bóg to wie jak będzie, my ich nie odstawimy, ale bronieć będziemy, lubo się wam zda wojna czy pokój; Porta na wszystko gotowa, jest otwarta, nikogo się nie boi, choćbyście się i wszyscy giaurowie poruszyli. Mówcież więc już albo co do pokoju, a my jako z przyjacielem; albo co do wojny, to już jako z nieprzyjacielem postępować będziemy.”

Radziejowski, mimo takiego przemówienia, nie odstąpił od najgłówniejszych punktów, ale zostawił im ję do dalszego namysłu.

Pierwsza ta narada trwała trzy godziny, w ciągu której zwyczajem wschodnim obnoszono owoce, bakalie i sorbety. Następnie zastawiono ucztę, nie ustępującą w niczem poprzedniemu przyjęciu u cesarza. Umówiono się, żeby poseł, któremu wiek i zdrowie nie pozwalało fatygi, używał w zastępstwie sekretarza swego, i aby przysłał na piśmie żądania, co do pierwszych punktów.

Pierwszego lipca przywiózł Wysocki kajmakanowi punkta proponowane, które przeczytawszy, oświadczył, że musi się wprzód raz jeszcze porozumieć z posłem, jeżeli chce co o pokoju traktować. Umyślono więc nie jątrzyć nowemi żądaniami, owszem, przedewszystkiem mówić o pokoju, i przekonać o usposobieniu przyjaznem. 3go lipca na naznaczonej u kajmakana audyencyi, przedstawił Radziejowski żądania swe co do Tatarów, ale gdy widział że niepodobna jeszcze przystąpić do tego punktu, poczęto rozbierać pokój Andruszowski, uznany przez Turcyą za naruszający z nią przymierze. Radziejowski przekładał, że pakta te zawierały zobowiązania na przyszłość w razie wojny której ze stron, że

wyrażenie: „przyjacielem dla przyjaciela, a nieprzyjacielem dla nieprzyjaciela” tylokrotnie powtórzono i w paktach dawniejszych z Turcyą. W ostatnich nawet czasach, w paktach przywiezionych przez księcia Zbarawskiego, a potem przez Miaskowskiego podkomorzego lwowskiego, nie przepuszczono tego wyrażenia; Porta zobowiązała się dotrzymać tej obietnicy, a jakżeż ją spełniła w czasie wojny z Szwecyą, Moskwą, Kozakami, Tatarami i t. d. Tych ostatnich sama podburzała, a teraz chce, by Polska zerwała pokój z Moskwą, żyła znów z nią po nieprzyjacielsku. Porta przyjęła kozaków wbrew wszelkim prawom i paktom dawniejszym: jeżeli więc chce zgody, powinna przedewszystkiēm potwierdzić na nowo wszystkie dawniejszych paktów warunki. Poseł tego głównie żądał, nie dodając nic nowego.

Żądanie Radziejowskiego uchwalili dywan przedstawić wielkiemu wezyrowi, znajdującemu się naówczas w Kandyi; przez ten czas chciał poseł, by niektórzy z jego orszaku udali się do Konstantynopola i Azyi dla wykupienia niewolników i poczynienia układów handlowych; odłożono jednak zamiar z powodu nieukontentowania z tej podróży dywanu.

Tymczasem kozacy i Tatarzy, niespokojni o siebie, obawiając się jakich pomyslnych dla Polski układów, wysłali do cesarza w delegacyi kozaków, których przyprowadzono 5 lipca z Adryanopola, i zaraz nazajutrz otrzymali audyencyą.

Radziejowski słał do nich, przedstawiając jako król obiecywał im opiekę, przebaczenie i łaskę. Ale kozacy już ani mówić o tem nie chcieli, i oświadczyli posłowi, że są tak dalekiemi od dalszego poddaństwa i przyjaźni z Polską, jak daleko niebo od ziemi.

Po takim oświadczeniu wyprawił poseł Wysockiego do kajmakana, przekładając całą zniewagę, jaką Porta popelnia względem króla i rzeczypospolitej, przyjmując w obec wielkiego posła zdrajców i zbuntowanych. Wystawił jak Turcyą obiecując protekcyą kozakom, w chwili samego zawarcia przynierza, do którego oświadczyła się być gotową, łamie dawniejsze pakta. Przekładał dalej, jak kozacy byli z natury niestali i nie-

cierpliwi pod jednem panowaniem, jak łatwo chwyтали byle okazyą do przyjęcia nowej protekcyi, lub znowu do jęj porzucenia; ostrzegał, że i ich z czasem zdradzą i wciągną w nową wojnę. W końcu dodał, że dlatego nie chcą należeć do Polski, iż im zabroniono wybiegać na morze Czarne i robić napady: czyż więc tak Porta odplacać się była powinna?

Ale już nie nie pomagała wymowa; Porta coraz więcej powodowana kozakami, którzy teraz jeszcze zapewniali ją o swém wiecznym poddaństwie, zachęcana tak silnym sprzymierzeńcem, inną już od przybycia posłów kozackich przybrała postawę. Cała praca Radziejowskiego, wszystkie rozpoczęte układy znikły, a natomiast rość poczęło nieprzyjacielskie usposobienie.

Na przedstawienia Wysockiego odpowiedział kajmakan, że Porta dla każdego otwarta, a nie popierając niczem dowodził, że kozacy nie dopiero do niej się udają, bo są z dawna w jęj protekcyi, jako zostający w lidze z Tatarami, jęj poddanemi; poczem wstał i wyszedł. Przyjęcie takie zmieszało poselstwo, bo już wyraźnie teraz poznali zamiary Turcyi, która dotąd czy nie zdecydowana, czy lękająca się, ukrywała pod maską obiecywanęj zgody i przyjaźni, chęci przywłaszczeń.

Postanowiono natychmiast zawiadomić króla o takowem usposobieniu Turcyi, kiedy zaraz nazajutrz rano po zajściu u kajmakana, przysłano do nich z żądaniem aby się wrócili do Adrianopola, i tam czekali na odpowiedź. Poseł zostawił umyślnego Ormianina, aby się wywiedział co na audyencyi mówili kozacy. Nie było tam wcale nowych rzeczy: poddali się całkiem Porcie, pod jęj protekcyą zostawać miało ich wojsko, a wojnę z Polską ukończyć mieli przy pomocy Turków i Tatarów; oświadczyli przytęm ciągłą gotowość na jęj usługi, i wynosili własną potęgę i bogactwa. Cesarz przyjął oświadczenie posłów, postanowił wysłać dla Doroszenki insygnia hetmańskie, posiłki i agę, któryby pojechał z postami i odebrał od wojska całego przysięgę.

Nie wiedząc że poseł wie już o obietnicy danęj kozakom, a nie chcąc jeszcze zrywać zupełnie układów, zaraz po odprawieniu kozaków przysłał Mahomet do

Radziejowskiego tłumacza Mercantoniego, z przełożeniem, by nie troszczył się o to że Porta łaskawie przyjmuje kozaków uciekających pokrzywdzonych pod jej opiekę. Jednocześnie przysłano emir dla gońca, jeżeli by go poseł chciał wyprawić do króla. Radziejowski w krótkości zawiadomił o wszystkim, a oddzielnie przez posła austriackiego sekretnie i obszernie doniósł o stanie rzeczy.

Wówczas Wysocki, korzystając z udzielonego pozwolenia udał się do Konstantynopola w interesie okupu niektórych jeńców. Odjazd jego nastąpił 15 lipca. Zaledwie jednak odjechał, kiedy cesarz podburzany coraz więcej przez nieprzyjazne partye i stronnych im członków dywanu, kazał mieć pilniej na oku całe poselstwo. Odjazd Wysockiego wzięli za wycieczkę niebezpieczną dla Porty, a aga janczarów obwiniony o niedozór, wsadzony został do więzienia. Przy drzwiach mieszkania Radziejowskiego postawiono warty.

Główną przyczyną gniewu cesarza była wiadomość o ruchach z Ukrainy, o porażkach wojsk ordy, mających głównie popierać zamiary jego względem kozaków, które już poczynił gromić oręż Sobieskiego, oraz niefortunne wiadomości z Kandyi.

Kilka jeszcze miał Radziejowski posiedzeń z kajmakanem, na których rozbiegano pojedyncze punkta żądań, ale obie strony nie przystawały na nie. Coraz wyraźniej widział grożącą Polsce wojnę, a harda postawa Turcyi przekonywała go, że wie dobrze o słabości siły wojennej i o jej stanie wewnętrznym.

Posel trzymając się ciągle odpornie, nie pokazał nigdy, że przybył prosić o wzgląd i pokój; owszem stanowczo a i słusznie domagał się potwierdzenia dawnych paktów, i ostrém słowem gromił poselstwo Doroszenki. Ale ani przekonywania, ani śmiała jego postawa, nie złagodziły Porty. Radziejowski gryzł się tajemnie, przewidując nowy sąd, jakimby go zarzucono, gdyby wojna z téj strony wybuchła. On teraz miał ją odwrócić, a powstrzymać nie miał środka, chyba ofiarą własnej ambicyi lub kraju, błagającego jakby o łaskę o słuszny pokój; on chciał przekonać, że mimo wieku i sił starganych,

chętnie spieszył na pomoc rzeczypospolitej, a tu za powrotem czekała go może hańbiąca opinia, że dla osobistych widoków sprowadził nową burzę. Taka wewnętrzna walka, takie moralne przejścia, musiały go być powalić—i powaliły.

Do tego dołączyła się jeszcze obawa o przyszłe losy całego poselstwa, zaczęto bowiem głosić w Adryanopolu, że zagniewany Mahomet uwięzi wszystkich niezawodnie w jakiej twierdzy odległej. Skutkiem tych trosk, Radziejowski 20 lipca mocno zaniemógł.

W ciągu następnych dni nie zmniejszyły się cierpienia, kiedy oto 29 przybył do niego czausz-basza z rozkazem cesarskim, aby poseł z całym orszakiem ustąpił z dotychczas zajmowanych domów i przeniósł się do przeznaczanego mu karawanseraju, dusznego, ciasnego, niewygodnego, a nawet dla chorego niebezpiecznego dla braku powietrza. Odmówiono posłowi mieszkania choćby dni kilka w zajmowanym domu, nie miano względu na rozpoczętą kurację, a hardy zastępca kajmakana oświadczył, że rozgniewany pan jego każe, w razie oporu, wyrzucić wszystkich nie lękając się wcale obrażenia gjaurów.

Przewieziono więc chorego, strzeżono pilnie cały orszak, wzbroniono mu chodzić po mieście, a obawę powiększały jeszcze wieści o wściekłym gniewie Mahometa, który kazał jednych z dworzan swych ścinać, drugich więzić, innym obrzynać uszy i nosy. Wszystko to wywołała wiadomość o gromadzonych siłach polskich w Ukrainie.

Bawiący w Konstantynopolu Wysocki, dowiedziawszy się o chorobie posła i obejściu się z nim Porty, czempredziej kończył układy o odzyskanie jeńców szlacheckich. Poseł angielski bawiący wówczas w stolicy Porty i angielska kompania kupiecka, wykupili dwóch, drugich dwóch patriarchy ormiański i jego współwyznawcy, resztę Wysocki. Oswobodzeni wsiedli zaraz na odpływający okręt.

5go sierpnia w Czerle, na pół drogi do Adryanopola, wracający sekretarz spotkał posłańca od Radziejowskiego, który go spiesźnie wzywał. Kiedy nazajutrz przybył Wysocki, chory nie mógł już rozpoznawać

obecnych. Za wejściem sekretarza odzyskał był nieco przytomność, i zaczął jeszcze mówić o niebezpiecznym położeniu Rzeczypospolitej, i dopytywał o skutek podróży. Później poczęły go znów siły i przytomność opuszczać, środki lekarskie nie skutkowały, tak, że trzeciego dnia po powrocie Wysockiego, t. j. 8go sierpnia po południu Radziejowski życie zakończył.

Wystawiliśmy umyślnie niepomysłny stan Polski w skutek tego nowego zatargu z Portą, by tym wybitniej wykazać ważne i trudne położenie w obec którego miał działać wielki poseł.

Ofiara z życia, jaką opłacił przywiązanie swe do kraju, o ile w jakiejś części jest zadostojnym za dawniejsze przewinienia, o tyle znów rzuca pewne światło na charakter Radziejowskiego. Prawda, że niedawne dopiero studia nad źródłami, pomoc ciągle odkrywanych materyałów, wyjaśniły w czem leży jego wina co do poprzednich wypadków. I dużo i ciężko zgrzeszył on przeciw krajowi, choć właściwie nie przeciw niemu ani na jego zgubę konspirował, ale przeciw komu innemu, do którego wiele miał powodów żalu a nawet nienawiści. Nieszczęścia wojny wywołały zgubne dla kraju następstwa, za które słusznie czy niesłusznie, nad jego wyłącznie imieniem ciążyła klątwa dwóch wieków. Fakt zaś przez nas podany, posłużył pisarzowi dziejów tak ważnej i niepospolitej figury jakim jest Radziejowski, za materyał do wyjaśnienia charakteru, za skazówkę do jakiej zdolny byłby ofiary, gdyby był żył w innych okolicznościach. Poselstwo to pięknie oświeca ostatnią życia jego kartę, z których wszystkie poprzednie, skutkiem więcej nieszczęścia, jak złej woli, tak ciemne nam się pokazują.

Nie rehabilitując więc Radziejowskiego, bo na to więcej jak jednego potrzebamy faktu, nie cofając się do jego przeszłości, bo ta nie wchodzi w nasze zadanie, oddajemy pod sąd historyi znalezienie się jego na tém ostatniem stanowisku, a sami wrócimy do zakończenia i rezultatu zatargów i poselstwa, które teraz w najtrudniejszym znalazło się położeniu.

Wysocki nie wiedział czy ma probować układów, czy wracać do Polski. Wreszcie postanowił zostać, szło jednak o to, czy Porta uzna go za mocnego do prowadzenia dalszej negocjacyi. Posłał więc zaraz do kajmakana z zawiadomieniem o śmierci Radziejowskiego i oświadczeniem, że jako znający dobrze żądania i instrukcye posła, obecny a nawet pośredniczący w zaczętych układach, pragnie poselstwo przyprowadzić do skutku; zatem z charakteru swego jako pierwszy sekretarz pragnie spełnić funkcją posła, co nie jest przeciwne w obecnym stanie rzeczy przyjętemu przez Portę zwyczajowi; prosił więc o udzielenie posłuchania. Kajmakan udzielił mu takowe, a Wysocki przybywszy z ośmiu osobami, spotkał ceremonialne jak i posel przyjęcie. Spytany sekretarz, czy miał jakie pismo od króla, któreby go uwierzytelniało w charakterze posła, na przypadek śmierci posła, przedstawił Wysocki, że choć takiego pisma nie ma, prawa jego nie mogą mu być zaprzeczone. Kajmakan zaraz uznał słuszność: zapytał czyli ma inne żądania nad te, jakie posel przedstawił, i oświadczył, że w przedmiocie układów pragnie z nim mieć naradę, wprzód jednak odniesie się do cesarza.

Na następnej naradzie, na którą cesarz zezwolił, zażądał kajmakan ostatecznego przedstawienia żądań. Wysocki podał:

- 1) nagrodzenia szkód przez Tatarów poczynionych,
- 2) zburzenia fortec nad Dnieprem,
- 3) potwierdzenia paktów, co pociągało za sobą zadosyćuczynienie wszystkim innym warunkom.

Kajmakan odpowiedział, że co do ostatniego otrzyma zadosyćuczynienie, ale na dwa pierwsze niepodobna, żeby usłyszał co innego, jak zmarły. Kazał zaraz dać listy bezpieczeństwa dla posłańców, którzy pojechali do króla z wiadomością o śmierci Radziejowskiego i uwiadomieniem o stanie interesów.

Tymczasem wezyr pisał z Kandyi, żeby jak najlepiej przyjąć poselstwo polskie, i choć do czasu załagodzić naruszenie pokoju przez Tatarów, które obecnie mogłoby się stać przyczyną niebezpiecznej dla Turcyi wojny, jaką radził odłożyć do czasu.

Zacząto się więc starać o pakta; aby zaś nie włożono w nie nic nowego, znosił się Wysocki z wielkim sekretarzem cesarza. Pakta te przygotowywano w kancelaryi cesarskiej i dopiero na pożegnalnej audyencji wręczone być miały poselstwu. Ale trudno było wiedzieć stanowczo, czy Porta zrobi jakie ustąpienia, czy zostanie przy pierwotném odmówieniu. Piętnastego sierpnia z rana, jako w dniu przeznaczonym na pożegnalną audyencyą, przysłano konie, a Wysocki przeprowadzony przez czausz-baszę, udał się do namiotów cesarskich o ćwierć mili za Adrianopolem rozbitych, dokąd przed niedawnym czasem przyjechał był Mahomet. Na żegnającego i 16 osób z jego orszaku włożono kaftany i wprowadzono do namiotu cesarza, ale już tą razą poddać się musieli zaniechanemu przy pierwszej audyencji zwyczajowi, pochylania głów przez kapudziejów. Nie chcąc przez opór przerwać końca układów, a nadto gdy w instrukcyi polecono jak najmocniej, unikać wszelkiej do nieporozumień okazji, zezwolono na wykonanie zwyczaju, poczem Wysocki zaczął mowę do cesarza. Naprzód życzył mu zdrowia i pomyślności w imieniu króla, rzeczypospolitej i swoim, dalej prosił o przyjacielską odprawę i potwierdzenie dawnych paktów, co jeśli otrzyma, zapewniał wierną przyjaźń Polski.

Na to odpowiedział cesarz, że jeżeli Polska nie zerwie przymierza z Moskwą, ani myśleć może o pokoju z Portą. Wysocki oświadczył, że co do tego punktu nie może nie stanowić, bo czego żąda cesarz jest przeciwne instrukcyi posła; król dopiero i stany rzeczypospolitej mogą o nióm wyrzec; a tak nie nie zyskawszy, odjechał.

Nazajutrz był u kajmakana, który w imieniu cesarza raz mu jeszcze powiedział, że Polska wtedy uzyska pakta dawne, kiedy zerwie z Moskwą, z którą ona była w nieprzyjaźni; kiedy zrzeknie się kozaków, których uważa teraz po dobrowolném ich oświadczeniu za swych poddanych i kiedy przesyłać będzie Tatarom dawniej składane podarunki, za co ci zawsze dostarczą pomocy wojskowej w czasie wojny; za każdym jednak razem z wiadomością

Turcyi. Wysocki odpowiedział, że na nic innego zgodzić się nie może, jak tylko na potwierdzenie dawniejszych paktów, do których nic nowego dodane być nie ma. Wręczył mu wówczas kajmakan, spisane podług żądania Porty, pakta datowane jeszcze 21 lipca, to jest za życia Radziejowskiego. Nic więc nie ustąpiono z pierwotnych żądań, a w paktach umieszczono następujące warunki (1):

1. że jeśli król zabroni tym kozakom, którzy przy nim pozostali, łączyć się z kozakami do Moskwy należącymi i napadać na posiadłości Turcyi i Tatarów, wówczas on zabroni ostatnim czynić jakiegokolwiek szkody i napady na wsie, miasta i posiadłości polskie;

2. żeby król składał hanowi zwykłe podarunki coroczne, za co tenże obowiązany będzie na każde wezwanie Polski pospieszyć na pomoc z wojskiem swém; za to w razie wojny z obcym państwem wolno mu będzie przechodzić z wojskiem przez ziemie polskie, a cesarz zapewniał nietykalność posiadłości i spokoju mieszkańców;

3. że w razie napadu Tatarów na Polskę i zabrania łupu i jeńców, cesarz przyrzeka na pierwsze zawiadomienie o tém przez króla, wszystko powrócić. Toż samo rozumie się i o napadzie przez Wołoszczyznę lub Tatarów tamże zamieszkałych. Król zaś ze swój strony miał przyrzec, że zabroni kozakom przy nim pozostałym napadów i powróci lud przez nich zabrany;

4. że w razie wojny Porty z jakim państwem chrześcijańskim, król nie będzie mu pomagał skarbem ani ludźmi, nie dopuści przechodu wojsk jego przez swe posiadłości i zabroni dowódczom sił polskich nieść im jakiegobądź posiłki;

5. że zbiegłych do Polski winnych lub nieprzyjaciół Porty, z Siedmiogrodu, Węgier, Multan i Wołoszy król każe chwycić i wydawać;

6. że król dla przyjaciół Porty będzie przyjacielem, a dla nieprzyjaciół nieprzyjacielem;

7. że kupcy z Polski do Porty przybywający nie będą w niej gościć w żadnym skrytym lub szkodliwym jej celu i zamiarze;

(1) Oblat w akt. metr. kor. 206, f. 779.

8. że tak Porta jak Wołoszczyzna obowiązują się oddać wszystkich jeńców w czasie, jak i przed nieporozumieniem zabranych; sprzedanych zaś pozwolono wykupywać za sumę, jaką za nich płacono. Jeżeli który z nich został Mahometanem, taki już musiał pozostać;

9. wreszcie zastrzegła sobie Porta warunki co do przejazdu kupców, wzajemnego zachowania się pogranicznych mieszkańców, powracania szkód poczynionych i t. p.

Ale przede wszystkim domagała się Porta dwóch warunków, to jest: zerwania przymierza i podniesienia wojny przeciw Moskwie, tudzież, aby Polska do kozaków poddających się Turcyi pod Doroszenkiem, żadnego sobie odtąd prawa nie przywłaszczała. Żądano przytém zaprzysiężenia powyższych paktów.

Przeciwnie były, jak widzimy, a nawet ohydne i ubliżające powyższe warunki. Porta łatwoby mogła uchwycić z nich pozór do nowej wojny, o jakiej, dając je, już myślała. Tylko niepowodzenie wyprawy do Kandyi i niepewność co do dalszych układów z Moskwą zmusiły ją do dania takich paktów, na jakie wiedziała, że Polska nie przystanie. Śmierć królowej, a przez to upadek fakcyi francuzkiej dużo także pomagały do umiarkowanego postępowania Turcyi; chciała coś skorzystać, czekała na rezultat wypadków wojennych w Ukrainie, dokąd posłała małe posiłki; wiedziała, że układy na podanych warunkach nie przyjdą do skutku: wyraźnie chciała skorzystać na czasie i zobaczyć jaki obrót wezmą rzeczy w Polsce.

Po kilku jeszcze dniach pobytu, odebraniu listów bezpieczeństwa i emirów dla hospodara Multan i Wołoszczyzny, z rozkazem, by jak należy przyjmował poselstwo polskie, wyruszył Wysocki z Adryanopola 19 sierpnia. Podejmowany w drodze z największemi honorami przez kilka dni goszcząc u hospodara, odprowadzony został na własne żądanie, przez czauszycy cesarskich, dla bezpieczeństwa przeciw grasującym w Ukrainie i pograniczu Tatarom, aż pod Kamieniec Podolski, gdzie właśnie stała wówczas część wojska marszałka w.

Przybywszy do Warszawy, Wysocki przedstawił królowi i senatorom cały stan sprawy. Niepodobień-

stwem było przystać na przywiezione warunki, postanowiono więc zwołać sejm na 14 grudnia, na którym miano uchwalić dalsze w tym względzie postępowanie.

Tymczasem rzeczy wzięły inny obrót, a najważniejsze żądanie, to jest sprawa kozacka, w inny sposób załatwione zostało. Dlatego wspomnieć nam nieco wypada o działaniu Sobieskiego w Ukrainie.

Z chwilą ukończenia sejmu i wyjazdu Radziejowskiego, widział król, jakżeśmy to już wyżej powiedzieli, zupełny brak środków obrony przeciw grożącemu nieprzyjacielowi. Kraj prawie bez wojska, bo go rozpuszczono, bez pieniędzy, pragnął, szukał ratunku, ale odrazu nie zebrano sił potrzebnych.

Wówczas Sobieski het. i marsz. w. kor. wezwał wojsko, aby zebrało się pod Skwarzawą, nakazał werbunki i rekruta po państwie, a na uzbrojeniełożył nie mało własnego grosza. Widząc jednak grożącą horde, która odprawivszy z niczém posła Rzeczypospolitęj, gotowała się lada chwila wtargnąć, wzywał ciągle o pomoc i pieniądze. Właśnie wtedy kozacy dowiedziawszy się o poselstwie Radziejowskiego i braku obrony w Polsce, udali się do cesarza, gdzie odstępując króla i Moskwę, poddali mu całą ziemię ukraińską.

Kiedy Sobieski zbierał siły w Podhajcach, a horda w 80,000 wkraczała w granice Rzeczypospolitęj, wówczas wracało poselstwo z Adryanopola, nie zyskawszy czego pragnęło, niepewne co do podanych paktów.

Mądre rozporządzenia i rozlokowanie wojska przez Sobieskiego, który rozstawił je po wielu miejscach, sprawiły, że Tatarzy wszędzie spotykając zaporę, nie mogli poznać istotnych sił jego, a sultani hord nie wiedząc czy wiadomość o słabych środkach obrony jest prawdziwą, odnieśli się z tém do cesarza. Mahomet, któremu także groziła druga wojna, dla postrachu polskiego wojska przysłał kilka oddziałów janczarskich i nieco armat, myśląc, że tém wpłynie na przyjęcie warunków. Z obozu nieprzyjacielskiego gło szono, że cała armia tatarska jest tylko przednią strażą ciągnących ogromnych wojsk tureckich.

Oprócz wojny, którą prowadził cesarz turecki z Wenecją, rozpoczęła niepokoić go Persya. Sąsiednie to jego państwo w Azji z zawiścią i obawą patrzyło na rosnącą w potęgę Turcyą, a z powodu pretensyi jakie miało do niej o dawne ziemie, pragnęło z każdej korzystać sposobności. Powodzenie oręża Sobieskiego, a głównie rozdwojenie ludu ukraińskiego, który z Sierkiem przeciw Doroszence i Tatarom wystąpił, przyspieszyły pokój. Splądrowanie Krymu przez Sierka zrodziło w Tatarach podejrzenie, że Doroszenko jest z nim w zмовie. Doroszenko znów dowiedziawszy się, że tak sądzą o nim, lękał się zdrady, a tak obie strony nie dowierzając sobie, nie próbowały z tak wielkimi siłami powodzenia oręża, ale zawarły d. 16 października znany z dziejów pokój Podhajecki. W pokoju tym przyrzekli Tatarzy żyć w zgodzie z Polską, nie napadać jej posiadłości i wypuścić wszystkich poprzednio i teraz zabranych jęńców. Kozacy zaś wrócili do posłuszeństwa królowi i rzeczypospolitej.

Cesarz turecki mimo zagrożenia wojny od strony Persyi, nie przestając zrazu uzbrojeń przeciw Polsce, czekał na jej odpowiedź lub potwierdzenie paktów. Wiadomość jednak o pokoju z Krymem, o powrocie się Doroszenki, którego dywan podejrywał od czasu jak Radziejowski rzucił myśl o zdradzie jego, wreszcie dawniejszy traktat z Moskwą, spodziewana wojna w Azji i wszczynające się nieporozumienia z Węgrami, wszystko to sprawiło, że mimo wypowiedzenia wojny, wojska jego nie weszły w granice rzeczypospolitej i nie sprowadziły nieszczęść, jakimi jej zagrażał początek roku 1667.

Leopold Hubert.

KARPACKI DUDARZ.

Karpacki dudarz, co po mieście chadza,
Gdzie on się z swoją *kozą* nie prowadzi:
„Hej! potańcujcie” i sam nogą tupa,
Aż mu się cała odśmieje chałupa.
„Hej! albo zagram” i już dudkę trzyma,
Kozą pod pachą wnet mu się wydyma,
Dwoma różkami do muzyki stawia,
I przyrodzony wdzięczny bek wydawa.
Tymczasem dudki przez cieniuchną szyjkę
Tuż krakowiaka, albo kołomyjkę,
A dudarz patrzy jak skaczą poczciwi;
Puści.. i kozy beczeniu się dziwi!
Albo rozdawszy nozdrza na wiatr świeży,
Łowi szum wichru co po górach bieży,
I mgły w dolinach ciągnące rozgania,
Po szarych grzbietach *Mniucha i Krywania*.

Gdzie jaki szalas lub chałupa bacy,
Już on tam pewno nie poskąpi pracy:
Choćby najwyżej zajdzie i zabeczy,
Jako jedyny do dudarskiej rzeczy.
Zawsze wesoły, witany z weselem,
Dziewcząt i chłopców zwie się przyjacielem:
Radby pożenił wszystkie nie żonate.
Toż kiedy z kozą przychodzi przed chatę,
To jakby mówił wiadomemi znaki:
„Hej! wy chłopaki, dalibóg chłopaki!”

Czasem drugiego miewa do pomocy,
Z którym zadyma w dudy z całej mocy,
I od gospody chodząc do gospody,
Choć postarzeje, zawsze bywa młody:
Jak jego lasów świerkowe korony,
Których pnie mchowe, wierzchołek zielony.

Chaty nie miewa—gdzie go noc zaskoczy
 Tam i zasypia; byle zmrużył oczy
 Sen go ogarnia cichy i swobodny:
 Cygany śnią się, jeśli zaśnie głodny,
 A jak nie głodny, to góry, wąwozy,
 I to najmiłsze mu beczenie kozy.

Czasem tak bywa, bo i to się zdarza,
 Że we śnie *zmora* utrafi *dudarza*:
 Wtedy śnią mu się doliny bez końca,
 I smutne chaty gdzieś na zachód słońca,
 I karczma smutna—nieznajomi ludzie,
 Którzy się jego urągają dudzie.

Co on już widział, co jeszcze zobaczy,
 Jeśli pożyje—Bóg sam wiedzieć raczy:
 Co najpiękniejsze widział *morskie-oko*,
 Więc głową kręci, że to tam głęboko...
 Widział *Łomnicę* i *Mnicha* z kapturem,
 Co na deszcz dymem okrywa się burem,
 A *Siedem-stawów* i wodę *siklawą*
 Zna doskonale, jak swoje dłoń prawą.

A nad brzegami strumienistej *Białki*,
 Gdzie ziola z puchów otrząsają palki,
 Siadał bywało w rozmaitej trawie,
 Śród much, motyli, że go nie znać prawie,
 I patrzal, patrzal, i powietrze dychał,
 I nic nie myślał, tylko się uśmiechał.
 A deszcze po nim szły i wietrzyk suchy,
 Który otrząsa z żółtych kwiatów puchy,
 I tęcze po nim szły i słońce skwarne,
 Przez twarz i piersi ogorzale, czarne...

Gdzie on nie biegał, na jakie polany!
 Ani tam górskie zachodzą barany,
 Choć to, co prawda, wielce zwierzę ciekawy
 Na świeże listki nie koszonej trawy:
 A potem z góry z krzykiem i hałasem
 Zbiegał pod ojca odpocząć szalasem.
 Gdzie tam odpocząć ani o tym wiedział,
 Gdy przy muzyce zasluchany siedział.
 Jako więc drozdy na zielonym prątku,
 Gdy stary śpiewa siedzą w jednym rządku,
 Śmiał się że taka przecudna muzyka,
 I bał się duchów *Mnicha* i *Skarbnika*,
 I bał się *złego* co skały obala,
 I wiedzie w obłęd biednego górala!

I tak rósł sobie jak kozłowie dzicy,
 Na chlebie z owsa i sytniej żętycy:
 Z baranem sypiał dla ciepłego runa.
 I też jagniakom służył za piastuna.
 Po śmierci ojca objął dudy w spadku,
 I sam dudarzem został na ostatku.

Gdy po raz pierwszy swego zażył daru,
 Owce się zbiegły z całego obszaru,
 I kozioł przyszedł co chodził za trzodą,
 I długo patrzył i potrząsał brodą.
 Od tego czasu z dudą ulubioną
 Chodzi po wierzchach jakby z swoją żoną.
 Jakoż widocznie Pan Bóg go uchował,
 Ze lada komu serca nie darował;
 Głosy po górach wydobywał rzewne,
 Jakby wyzywał zaklętą królowne.
 Gra też piosenkę w okolicy swojej,
 Którą w Krakowie powtarzać się boi;
 A gdy jej *pauper* przez psotę zażąda,
 Na głos się cały śmieje i ogląda,
 Jakby rodzinnej nie rozumiał mowy,
 I tylko wciąga wiatr góralski zdrowy,
 Co szare, brudne chmurzyska rozgania,
 Po skalnych grzbietach *Mnicha i Krywania*.

T. Lenartowicz.

RYS ŻYCIA
PIOTRA MICHAŁOWSKIEGO (*).

SKREŚLIŁ

Ks. Łętowski.

Michałowscii de Michałów ita vivunt, ut posteris
suis sint nobilitatis initium, et virtutis exemplum.

Okolski Orbis Polo. Tom I, f. 312.

Dzieje narodu są rodowodem jego, po których od wypadku do wypadku napotyka się na ludzi przeważnych, co wpływali na losy jego, i stanowili wielkość jego, iż bez tych imion mielibyśmy gołe *fakta*, i historia postradałaby urok swój, a naród błakał się z sławą swoją nie umiejąc nazwać wielkich mężów swoich. Podobnie, pojedyncze rodziny szukają słusznie w rodowodzie swoim sławy sobie, i aż że ta ich sława jest narodową, a potem bodźcem dla nich do spraw pięknych, długo wiernymi tradycyom po przodkach, czuliby się do cnoty; z tym warunkiem chodząc pod imionami domów zasłużonych, i drogich krajowi.

Dom Michałowski jest jedną z takich rodzin dla mężów prawych i zasłużonych w kościele i ojczyźnie, mający za sobą kilka wieków imię dobre. Wiedzie ród swój od jednego z dworzan Dąbrowki, żony Mieczysła-

(*) Zwracamy uwagę naszych czytelników, że żywot artystyczny tegoż Piotra Michałowskiego skreślony jest w Słowniku malarzów polskich E. Rastawieckiego T. 3.

wa, i on był *protoplastą* Poraitów, piszących się z Kurozwęk i Michałowa, z herbem różą białą w polu czerwonym. Dobiesław z Kurozwęk kasztelan krakowski, z synem swoim Zawiszą biskupem krakowskim, rządili Polską za Ludwika króla. Syn tego Dobiesława, Krzesław kasztelan sandomirski, był ojcem Mikołaja z Michałowa, z wojewody sandomirskiego kasztelana i starosty krakowskiego. Po grundwaldskiej potrzebie do której stawał z chorągwią swoją (1), uczyniony hetmanem na sejmie kolskim, dobywał Chojnicy, a wtargnąwszy na Pomorze spalił Tczewo, a Tuchole i Jasiennice zamki odzyskał od Krzyżaków. Wtenczas to przyczepił klucz złoty do herbowej tarczy; a jakich odnian i nabytków do starych godeł mamy ślad, przy rozpadnięciu się Rawicza na Nieczuję (2), a więcej podobnych przywieśchy się dało. Był on synowcem Zawiszy biskupa, co czytamy z napisu w katedrze krakowskiej, położonego w kaplicy którą ten biskup fundował (3), a rzeczony Mikołaj dwoma ołtarzami opatrzył: Św. Trzech królów i Oczyszczenia Matki Boskiej (4). Gorliwości jego o św. wiarę pozostał monument, gdy Myszkę z Niepszyca archidyakona i wikaryusza krakowskiego, zawiadania o Husytach w mieście, a ten pod niebytność Zbyszka biskupa, od niego *hortatus*, rzuca interdykt na tak długo, jakby kacerze gościli w Krakowie (5). Od tegoto Mikołaja począł się dopiero on szczep Poraitów, chodzący z przybranym złotym kluczem, danym od Władysława Jagielly, jak podanie o tém zostało w rodzinnych papierach, za one dwa zamki odzyskane, Tuchole i Jasiennice. Wyżej rzeczony Dobiesław Kurozwęcki kasztelan

(1) Długosz ks. XI str. 242.

(2) Rawicze zdrzymnąwszy się pod dębem, mieli dostać Nieczuje za herb, ale Niesiecki inaczej to powiada.

(3) *Deo. Opt. Max. sub titulo Beatae Mariae Virg. et Beat. trium Regum, Zawisza Eppus. Sacellum hoc a fundamentis excitavit, ejus Nepos Nicolaus de Michałow Castell. et Capit. Crac. de familia rosarum dotavit.* Starowolski, Sołtyk i Wurtzbach, nie mają tego napisu.

(4) Katedra krak. na Wawelu. Rękopismu przygotowany do druku.

(5) Trans. Lbr. 1. Archi Capituli Crac. part. 1. fol. 36 fasciel. 17.

krakowski, pisał się już z Michałowa: wyczytał Paprocki na liście klasztoru Andrzejowskiego (1). Początkowo kupiły się bowiem rodziny pod jedną chorągiew, z herbem czyli godłem wspólnem, zaczęły od posiadanych majątności poczęły się nazywać, z czego do wielu imion przyszło, acz pnia czyli pochodzenia jednego (2). Onego Mikołaja Michałowskiego żonę wspominają *skrypta*, wielkiej pobożności matroną. Owdowiała, oddała się cała świętym sprawom. Stawała przy niewinności królowej Zofii, skarżonej o niewierność mężowi (3); szczodra na Dominikanów krakowskich, a kościół ich wiele złotem i srebrem opatrzyła (4); toż szkoła krakowska powiadała ją swoją dobrodziejką. Niesiecki zwie ją Katarzyną Białuszną, i pod Melsztyńskimi położył (5), a Dominikanie krakowscy zapisali w aktach swoich podobnie Katarzyną Białuszną z Melsztyna, ale żoną Mikołaja Michałowskiego kasztelana i starosty krakowskiego (6). Do tegoż imienia Michałowskich należy Stanisław podskarbi nadworny Zygmunta Starego, starosta

(1) Herby Rycer. Pols. str. 73.

(2) Tom 1; Niesieckiego Bobro. O Heroldyi.

(3) Długosz ks. XI str. 499.

(4) Abrali. Bzovius de gentis in Pol. Cap. XIII—Pruszcz str. 133.

(5) Niesiecki tom IV str. 319.

(6) OO. Dominikanie krak. wydrukowali tę Białuszną wdowę po Januszu książęciu mazowieckim. (*Czas do nr. 67 z roku 1857*); milczą o tem herbarze i kroniki. W rękopiśmie uratowanym od pożaru w roku 1850, *Nekrographiae seu Obitus* prowincyalów, przeorów, lektorów, i t. d. *necnon Benefactorum Ordinis Nostris utriusque sexus*, na karcie 21, pod dniem 23 marca, mają śmierć zapisaną tej Białuszyny, bez położonego roku: *D. Catharina Bialuszyna de Melsztyn, Castell. et Capit. Crac. Nicolai de Michalów uxor*. Na to zaś że była wdową po Januszu ks. mazowieckim, pokładają księgę: *Protocolum Privilegiorum fundationum, dotationum*, spisaną r. 1640, w której na str. 427, kędy mowa jest o summie co legowała zgromadzeniu *duodecim centena florenos ungaricalium boni ponderis* czyta się: *Illustr. Dna. Catharina de Melsztyn dicta Bialuszyna, primi Matrimonii Illmi. Janusii Ducis Masoviae. demum Mogni. Nicolai de Michalów Castell. et Capit. Crac. uxor*; i znowu to samo napisane w tejże księdze pod rokiem 1462, na str. 453, gdzie już wdową po Mikołaju Michałowskim, stawia i uposaża im oltarz: zobaczymy, czy się to utrzyma: śmierć jej na ten rok 1462 przypadłaby dobrze, gdyż Mikołaj jej mąż umarł roku 1438, ale na wdowę po Januszu ks. mazowieckim, nie ma czasu. Musiałby to być Janusz książę na Czersku i Warszawie *komputując*

wieluński i krzepicki, syn Dobiesława wojewody sendomierskiego, i Elżbiety Tarnowskiej córki Jana kasztelana krakowskiego (1). Pisał się z Kurozwęk i z Michałowa, na obyczaj dawny: długo Poraici nie rozpadli się na dwa szczepy. Córka jego Barbara spłodzona z Zofii Zborowskiej wojewodzianki sieradzkiej, wydana za Andrzeja hrabiego Górkę kasztelana poznańskiego, leży z nagrobkiem w tumie poznańskim (2).

Następne pokolenia wierne imieniowi wziętemu, stawiają podobnie szereg ludzi niepospolitych; gorliwością o chwałę Bożą, gotowością do każdej posługi krajowej, polorem obyczajów, a przymiotami duszy pięknymi. Napis na nagrobku w kościele Św. Trójcy u Dominikanów krakowskich, położony Melchiorowi Michałowskiemu przez Tomasza Zamoyskiego, którego ojciec hetman wielki i kanclerz oddał mu być w opiekę, objął w kilku słowach te cechy rodzinne tego domu: *Nihil a prisca majorum virtute, czyta się: Moribusque discedens, nec idco tamen elegantiam, cultusre decentem superbe contempsit.* Był ten Melchior synem Jakóba podezaszego czerskiego, a bratem Kaspra chorążego czerskiego, sekretarza Zygmunta III. *Mąż tam eruditione, quam iurium salubri experientia gravis,* pisze Okolski (3). Czytam go pisarzem grodzkim krakowskim, dalej podstarościm, aż wojiskim lubelskim i czterokrotnie deputatem na trybunał ko-

lata, ale ten miał za żonę córkę Kejistuda W. księcia litewskiego, i zmarł na lat 34 przed nią; ani Janusz wnuk jego zmarły roku 1495, gdyż miał lat 33 roku jej śmierci, a do tego nie piszą kroniki, aby ten Janusz miał żonę, a dziad jego był pojął drugą. Starowolski w Monumentach *Sarmatorum* wypisał jej nagrobek: *Illstr. Catharina Białuszyna de Melsztyn, singularis benefactrix hujus conventus,* przy którym roku nie ma. (f. 158) Jaroszewicz zwie ją Białuszną po mężu Białuszy, którego nie wiedzieć zkąd wziął, a powiada Tarłówną z Melsztyna, gdy Tarłowio przyszli do Melsztyna w wieku XVII dopiero. (*Matka ss. polskich str. 343*). Był Piotr Biały Gastold wojewoda trocki, po którym mogłaby Białuszną być przezwaną, ale on umarł w lat 36 po niej, iż bardzo młodym byłby ją sobie poślubił, i rozwieść z nią musiał, aby ona za Michałowskiego poszła.

(1) Paprocki. *Deduct.* Ogrodu królewskiego.

(2) Okolski pod herbem Łodzia, str. 163, Niesiecki tom II str. 451.

(3) Tamże Tom 1 p. 312.

ronny, kędy raz marszałkował (1), a posłem na różne sejmy (2). Wojskowo stawał pod Janem Zamoyskim: *strenuus et maximus miles* (3); a kładąc mu wdzięczny Tomasz nagrobek, *ad gradus S. Hyacinthi*, przy świadectwie wyżej daném, zapisał na marmurze: *In omni vita, habitu, cultu, moribus, rectus, modestus, frugalis* (4). Dominikanie krakowscy mieli go sobie za szczególnego dobrodzieja swego, a dla téj przychylności ku temu zgromadzeniu, nazywano go po świecie *dominicanus*. Z Maryanną Kowalską herbu Abdank (5), miał dwóch synów, Jacka i Jakóba (6). Jacek był stolnikiem rozańskim, a potem starostą krzepickim i kłobuckim, i rotmistrzem królewskim; a Jakób był wojskim lubelskim, z sejmu 1635 do rewizyi ksiąg trybunalskich i podkomorskich lubelskichznaczony (7), a w roku 1661 już kasztelanem bieckim, i kommissarzem do granic od Węgier (8). Melchior syn tego Jakóba vice-starosta krakowski pojął w małżeństwo Alexandrę z Czerny herbu Łódzia, synowicę Stefana Czarnieckiego, sławnej pamięci wojownika (9), z którą miał Józefa podstolego i sędziego grodzkiego krakowskiego, i dwie córki; pierwszą za Franciszkiem Korycińskim kasztelanem braclawskim (10), a drugą Helenę Karmelitanką bosą w Warszawie (11). Ten Józef sędzia grodzki krakowski zostawił po sobie piękną pamięć. Pan był groźny dla nieugiętej sprawiedliwości, tak, iż gdy też wjeżdżał do miasta lud wołał: „sprawiedliwość jedzie”. Z Anny Malachowskiej kasztelanki inowrocławskiej spłodził Antoniego, ostatniego podkomorzego krakowskiego, męża staropolskiego hartu du-

(1) Niesiecki tom III str. 248.

(2) Konstytucya z roku 1616 p. 23.

(3) Okolski tom I, p. 312.

(4) Tamże.

(5) Tamże.

(6) Kazanie pogrzebowe ks. Rzeszowskiego p. 9.

(7) Konsty. z roku 1635 str. 45.

(8) Konsty. z roku 1661 str. 34.

(9) Papiery familijne.

(10) Echo śmiertelne. Colleg. Crac. nagrobek w Krak.

(11) Niesiecki tom III str. 249.

szy i ciała. Chował na dworze panięta, obyczajem niegdys ojców naszych, iżby sposobili się z czasem na ludzi do posługi krajowej. Przy nimto młodość swoją zabawiał Józef bratanek jego, senator wolnego miasta Krakowa, a Piotra ojciec, nieodrodny stryjowskiej cnoty; którego pamięć uczciłem mową żałobną, powiedzianą w kościele Maryackim w Krakowie, na dniu 15 kwietnia, 1837 roku (1). Do tej rodziny liczy się Melchior w Zakonie Jezusowym, co rządził kollegium ostrogskie, a zabity od rozhukanego kozactwa śmiercią męczeńską, gdy Ostróg dostali roku 1660 (2). Okolski nadmienia na Wojciecha kasztelana zawichojskiego. Tomasz urodzony z Chomentowskiej był kanonikiem krakowskim, wierna rada i przyjaciel Soltyka biskupa, kapłan i mąż zalecony (3). Starosta lochowski Michałowski brat Tomasz, przełożył Horacego pięknym wierszem polskim: oglądał rękopism ks. Juszyński na Podgórzu, w domu generała Moszczyńskiego (4). Jacek starosta krzepicki i kłobucki, z Jakóbem kasztelanem bieckim i starostą czerskim, synowie Melchiora marszałka, wspierali Jana Kazimierza w opalach pod ten czas ze Szwedem, Moskwą i Rakocym, radą i orężem, nie żalując fortun swoich: na co są listy oryginalne tego króla. Jacek był obrońcą przywilejów szkoły krakowskiej, za co ta *Alma Mater Universitas* adres dziękczynny mu składa (5). Na godach córki jego Maryanny, z Korycińskim kasztelanem braclawskim, był obecnym król Jan Kazimierz pod Krzysztoforami, w domu wtedy Kazanowskich. Wespazyan Kochowski zwie ją: *Virgo lectissima*, iż nie było celniejszej nad nią urodą i dowcipem; a król *ad solennes nuptias simul cum Regina descendit; iocis festivioribus ac choreis indulisit, etiam pro more donis Neosponsas dignatus* (6): to jest, i do wesołości nie przeszkodził, i tańcom

(1) Drukowaną jest w Gazecie krak. do nr. 86, dnia 15 kwietnia 1834 roku.

(2) Niesiecki tom III str. 249.

(3) Katalog bisk. krak. tom III str. 334.

(4) Dykc. Poetów tom I, str. 293.

(5) Otrębusz Daniecki. *Clavis Aurea* roku 1639.

(6) *Climacter* II p. 495.

dopomógł, a państwa młodych wedle zwyczaju szczerze obdarował.

Piotr Michałowski urodził się w Krakowie, w domu dziś Dzieduszyckich przy Wesoły, na dniu 25 czerwca 1800 roku, z ojca Józefa a matki Tekli Morsztynownej, córki pułkownika wojsk francuzkich, wychowanego w Lunnewillu na cnotliwym dworze króla Leszczyńskiego, kędy znakomitsza młodzież polska bawiła (1). Pod wrażeniem cnót rodzinnych domu zacnego, jakby wpośród obrazów i posągów, któremi Rzymianie odkazywali przyszłemu pokoleniu wielkość swoją, rozwijały się niepospolite zdolności młodzieńca; tak że dziwili się jemu światli nauczyciele, i poważni akademicy, jakoto: Konczewicz, Kudrewicz, Markowski, Soltykiewicz, Garycki, wszystko ludzie pierwsi, użyci przy wychowaniu jego. W lat dwanaście wieku czytał z upodobaniem klasyków, i rozwiązywał z łatwością zadania matematyczne. Rysował konie chciwie, i składał kompozycje muzyczne ciekawe. Przerysowaną akwarellę Orłowskiego, hetmana na koniu, nie mogła rozeznac dyrekcyja szkoły sztuk pięknych, oryginału od kopii. Dzieje Napoleona zapalały młodzieńczy umysł jego, i kładł na płótno śmiałą ręką, co znakomitsze czyny jego. Ukończywszy nauki w Krakowie matematyczne i filozoficzne, po świetnym popisie, przy którym miał mowę po łacinie, jechał wysłany do Getyngi roku 1821. Tam obok nauk prawniczych i filologicznych poświęcając się nietylko językom klassycznym, ale i wschodnim, nie zapomniiał też na niemiecki, angielski i francuzki, władając nimi jakby swoim. Ołówka przytęm nie porzuczał i muzyką się bawił. Najślawniejsi professorowie getyngsey: Eichorn, Sartorius, Hugo, Heeren, szacowali rzadkie zdolności jego i niekiedy zasięgali zdania do prac swoich. W roku 1823 wszedł do służby publicznej, pod przewodnictwem księcia Lubbeckiego, oddając się pracy namiętnie. Dla nadwerę-

(1) Pułk francuzki, w którym służyło wiele imion polskich, chodził pod nazwiskiem *Allemend Royal*. Byłaby ciekawa historia tego regimentu ludzi, co nam wydał; co też i napisana historia kadetów warszawskich, której brak.

zonego zdrowia, jechał w roku 1825 do Włoch i Szwajcaryi, z ołówkami swemi w rękę; a w jednym z miasteczek włoskich, gdy rysuje pomnik, odprowadzony jest przez obecną ludność do pomieszkania swego, wołającą: *Eviva il pittore!* Talent jego do muzyki nie stracił na tej podróży. Raz usłyszaną operę, grał potem z pamięci. Badał przytém stan rolnictwa i przemysłu krajów które zwiedzał; a mianowicie zajmowało go górnictwo, które potrzebowało ludzi u nas, i skreślił dlatego obraz doskonały hutnictwa w Styryi. Za powrotem do kraju, oddał mu téż książkę Lubecki górnictwo krajowe; zawód trudny dla braku ludzi, a wymagań i pomysłów ministra. Miłował on Piotra jak własnego syna, ale rzecz nie szła po woli obydwóch, dla wielu przyczyn. W tedyto rysował wojsko polskie, szukając ulgi w ulubionym ołówku swoim. W roku 1830 wysłał go rząd do Francyi, dla zbadania dokładnego sztuki górniczéj. Zwiedził on jej zakłady znakomitsze, i złożył z podróży swojej obszernie sprawozdanie; ale kraj już z tego, po wypadkach zaszłych, korzystać nie mógł. W roku 1832 odbył podróż powtórna do Francyi, w celu wyłącznie artystycznym. Na wstępie, uznany był zaraz za mistrza. W pracowni Charleta, w mgnieniu oka tak skreślił ułana na koniu, iż obecni artyści przyznali mu pierwszeństwo przed Wernetem i zmarłym niedawno Gerikaultem. Pięć lat potem bez przerwy rysował, malował i rzeźbił, z Charletem i Marokietim, dając im rady, i poprawiając ich prace. Malował i modelował ulubione sobie konie i wojsko, oddając Napoleonowi cześć pędzlem i dłutem; a do tego stopnia odgadł wieszczym duchem wielkiego człowieka, którego na oczy nie widział, iż starzy towarzysze napoleońskiéj sławy, marszałek Soult i generał Fabvier, twierdzili, że nie oddał nikt tak dobrze prawdziwej postaci zmarłego cesarza. Naczelny wódz wówczas wojska angielskiego lord Hill, poznawszy polskiego artystę w Paryżu, chciał go przyciągnąć do Anglii. Pokusa była wielka dla lubownika koni, ale Michałowski krótko tam zabawił, gdy miłość synowska wskazała mu powrót do kraju; kędy, jak wyraził się, chciał poświęcić talent swój wyłącznie sławie narodowéj. Liczył na to, iż nie za-

braknie mu przedmiotów do tego, malując one stare postacie ojców naszych, żyjące po obrazach niemal w każdym szlacheckim domu, poważne i sierdzyste, dumne cnotą i spokojem prawości na czole; lub młodzieńcze twarze oblane rumieńcem, z okiem i miną ludzi do konia i do szabli. Te srebrzyste i żelazne pancerze, buławy nabijane drogiemi kamieniami, bułaty poszczerbione na karkach pohańców, czekany, misiurki, przybory na konie od jedwabiu i złota, z skórami lwów, tygrysów, lampartów. Nakoniec, one oblieza i stroje poważnych babek i matek naszych, po których czole lśnił wstyd święty, a krasila wzrok bojaźń Pańska, iż rzeczby można o nich co Psalmista o dziewicach syońskich powiedział: *Filiae eorum compositae, circumornatae ut similitudo templi* (1). Został też przy tej zabawie całe dwa lata, nie odstępując sędziwego ojca. Bogaty pędzel jego rodził pod te czasy: wizerunki starców branych z natury, napoleońskie bitwy pod Smoleńskiem i Mozajskiem, wjazd Bolesława Śmiałego do Kijowa, hetmanów i wodzów polskich i t. p. Rok 1837 był mu żaloszny stratą ojca, człowieka zacnego i poważanego powszechnie. Wtedy przeniósł się na wieś z pracownią swoją, malując sielskie i rodzinne sceny: górali naszych, żydowskie postacie, przytém rycerskie spotkania, napoleońskie bitwy i mnóstwo wizerunków różnych. Z ustronia wiejskiego, kędy go trzymała droga pamięć ojca, a cnotliwe rolnictwo przypadło do serca, powołany na prezesa administracyi Wielkiego Księstwa krakowskiego, pełnił ten obowiązek, jakby całe życie urzędował tylko. W tym człowieku, wszystkie zdolności i przymioty zeszyły się z sobą. Jestto przywilej ludzi wyłącznych, co rodzą się z geniuszem i talentami, iż do czego bądź ten swój talent i geniusz przyłożą, każda rzecz jakby kwitnie przy nich, a oni na ludzi urastają. *Magistratu probari virum*, mówił łacinnicy, i powiedział też o nim jeden z pierwszych mężów wysoko stojących w rządzie: iż to był nie tylko administrator doskonały, ale mąż stanu. Zawód publiczny przy którym nie szczedził pracy i zdrowia, nie

(1) Psalm CXXXIII. 14.

oderwał go wszelako od grędy ojczystej i upodobanych jego pędzłów. Wieś posiadana blisko pod miastem, wzięta po ojcu, czasu swego wielkiego gospodarza, wydawała mu plony bajeczne; a posługiwał się tylko włodarzem, człowiekiem prostym, obyczajem niegdyś ojców naszych: iż ziemia go nawet słuchała, skoro przyłożył do niej rękę swoją. Pomimo urzędowanie, wymagające obecności każdego dnia w mieście, na wioskę nie zapominał, a pędzel był zawsze w robocie; i skakały po dawnemu krówki i koniki po płótnie, cieszył się jak dawniej po swojemu lud nasz ochoczy krakowski, lub dla posiadanej majątności w przemyskiej ziemi wychodzili smętne Rusiny na scenę, jakich malowań z tego czasu chowa wiele rodzina. Urzędowanie przy stoliku, mozolne i niełatwe wtedy, zwałiło w końcu zdrowie jego, nawykłego do ruchu i gimnastycznych ćwiczeń, i przygotowało tę wczesną śmierć, co miała w niedługo wydrzeć go rodzinie i krajowi. Po zwinięciu Rady Administracyjnej w Krakowie, roku 1853, nie dał mu wypocząć szacunek publiczny, a obrany jest jednogłośnie od współbraci, obywatelstwa całego, na prezesa Towarzystwa rolniczego krakowskiego. Ona nowa posługa współziomkom przypadła mu do serca, i była wielce wdzięczną, i nazywał ją sobie emeryturą najdroższą, na jaką w życiu mógł zasłużyć sobie. Zaprężony do nowej pracy, pisał po bezsennych nocach: o przyczynach głodu ludu galicyjskiego, o środkach do podniesienia rolnictwa w kraju po uchyleniu pańszczyzny, o propinacyi po wsiach w rękę żydów, a którą zniósł oddawna u siebie, i namawiał drugich do tego; a przynajmniej, iżby nie przypuszczali żydów do niej. Baczność jego była na wszystkie potrzeby i niedostatki kraju. Po zamianowaniu siebie na prezesa do steru administracją w Krakowie, chciał ten urząd podejmować bezpłatnie, ale gdy rząd nie pozwalał na to, oddał ten kilkotysięczny fundusz do roku na zakład dla osieroconych chłopców, włóczących się bez opieki po mieście. Zebrano ich przeszło 50. Zakład opatrzył kapłanem zacnym, będąc tego przekonania: iż bez poświęcenia się religijnego ludzi

wyłącznie oddanych posłudze ludzkości, zakupione cnoty i pomoc, przynosiły owoce jałowe, i nie uręczały trwałości na przyszłość. Chłopców sposobiono na parobków do wiejskiej pracy, i dlatego brał ich latem na wieś, kędy przy ogrodzie i do roli użyci byli. Plon był z tego wielki, a nie bez pociechy dla cnotliwego serca jego; a gdy posłyszał ich wdzięczny śpiew w dzień swych imienin, łzy puściły mu się z oczów na widok tych dzieci, którym podał rękę i powracał społeczeństwu ludźmi użytecznemi. Śmierć zaskoczyła go na dniu 9 czerwca 1855 roku. Umarł w ulubionej wiosce swojej Krzyżtoforzyce pod Krakowem. Śmierć była piękna, tak jak całe życie jego było pięknem. Przy kapłanie powierniku sumienia swego, w gronie nędzarzy, sług i domowych, oddał ducha Stwórcy swojemu z pokorą i miłością! Chowano go w Krakowie, a całe miasto wyszło na spotkanie zwłok jego. W kilka dni potem było nabożeństwo żałobne w kościele Panny Maryi, gdzie pożegnałem go mową, oddawszy tę samą posługę smutną ojcu jego, lat ośmnaście temu (1). Pojął był w małżeństwo Ostrowską, córkę Antoniego wojewody, urodzoną z Morskiej, a owdowiały poślubił *secundo voto* siostrę jego; zeszyły się więc trzy krwie czyste, i dobrze zasłużone krajowi: Morsztynów, Michałowskich, Ostrowskich.

Oto jest pokrótce skreślony obraz tego męża. Piotr Michałowski pokazał, iż można służyć cnotliwie krajowi w każdej dobie jego. Zostawił po sobie cały dom zacyjny, najpiękniejszą spuściznę po obywatelu dobrym. Wdowę świętą i trzy córki, z których jedna odziedziczyła po ojcu miłość do sztuk pięknych, i wyłożyła z angielskiego na polskie Fabiolę; i dwóch synów, z których starszy ma się doktoryzować z prawa, wyuczony dobrze w greckiej mowie. Co tu więc za różnica od tych ludzi, co na tej drodze nie umieją zasłużyć się krajowi. Michałowski nie wyrzekł się obywatelstwa biorąc urząd, ale przyjął, iżby go pożytecznym uczynił. Wziąwszy obowiązki względem rządu, nie przestał być wiernym

(1) Pochwycona z pamięci, tak jak powiedziana była *ex abrupto*. Jest w *Czasie* krak. z dnia 22 czerw. 1855 roku.

obywatelem krajowi, i szanowany też był od rządu, który charakter jego ocenił i poświęcenie się uznał, a zaufaniem swoim udarował. Postawy był wzniosłej, twarzy śniadój, oblicza łagodnego; ale w oczach modrych jego przebijał się hart duszy i siła woli: dwa te znamiona człowieka niepospolitego. Talent do czego tylko się wziął, nie podniósł w nim serca, ani próżnością zmaszał. Pożycie z nim było szacowném, choć nie dla każdego przystępném, gdyż mając pracę zabawą, dla siebie towarzysztwa nie szukał: czém uszedł od pochwał i pomowy małych ludzi, co czepiają się zwykle wartości i zasługi zacnych ludzi. Malarstwo i muzyka były mu ozdobą życia, ale nie celem życia, znając dobrze powołanie człowieka i obywatela. Skończę ten obraz słowami, co szacunek dla zmarłego i widok żalu publicznego, wzbudził w mówiącym przy nabożeństwie żalobném za duszę jego: „Był Piotr Michałowski pożytecznym urzędnikiem, obywatelem prawym, mężem i ojcem dobrym, a panem dla sług i poddanych swoich troskliwym o ich zachowanie. Życie domowe i publiczne jego było zwierciadłem wiary jego, bogatęj w przymioty i owoce, tam kędy prawdziwą będzie. Skarb ten odłogiem nie leży, gdzie ziarno tego posiewu Bożego padnie na dobrą rolę, i wyda plon piękny i obfity, biorąc z cnot naszych świadectwo mocy swojej. Nieboszczyk nie zadłużył się też za wzięty dar ten z nieba, ani go zakopał; lecz jak sługa wierny i dobry mógł rzec Panu swemu: Co mi dałeś, oto z lichwą odnoszę Tobie, dwakroć za jedno (1). Geniusz i talent spotkały się w tym człowieku, i uściskały się: *obviaverunt sibi, et osculatae sunt*, jakto wyraził pięknie koronowany prorok, w jednym z psalmów swoich (2), przy wielkiej skromności, z kąd była nie mała im ozdoba. Nauka języków umarłych, jako mądrość ludów, dała obszerną znajomość dziejów starych; iż w najtrudniejszych okolicznościach, nietylko nie pochylił charakteru swego, ale stał się potrzebnym dla dobra publicznego. Orłęta, powiedziałem, gnieźdzą się po skałach czyli wysoko, to jest

(1) Mat. XIII 5—7. XIV 20.

(2) LXXXIV 11.

daleko; że długo nam czekać na podobnego jemu, i co czyni żal po nim dotkliwszemu, a pamięć jego nam droższą.”

Złożyłem ten obraz dla pamięci po człowieku, którego imię i przynioty stały się własnością, i chlubą dla nas. Pamięć bowiem zacnych mężów jest najpiękniejszą miano, jakie zostawują po sobie, rodzinie i krajowi. Wyśługując się pocziwem sprawami za życia, a dobrą imieniem po śmierci, nie umierają, i mogą powiedzieć z wieszczem rzymskim: *non omnis morior* (1), mając uwielbienie dla siebie od wieku do wieku, długo ludzi prawych na ziemi.

(1) Horat. Carm. libr. III. 24.

PAMIĘTNIK

Z CZASÓW RZEZI INDYJSKIEJ, 1857 r.

(Dokończenie).

Stońce już weszło. Spojrzałam na córkę; nie ruszyła się z miejsca: siedziała trzymając ciągle na kolanach głowę narzeczonego, jakby czekała aż się z długiego snu obudzi. Naśladując ją, uczyniłam toż samo, usiadłam, położyłam głowę męża na kolanach i czekałam.. Na co? nie wiem. Tylko już śmierci mych dzieci mogłam oczekiwać wśród tych pól przepętnionych zbójcami.

Dzięki swój małości, Will mógł biegać po plantacyi niepostrzeżony; biegał więc nieustannie odemnie do Heleny i napowrót, pocieszając nas naiwnemi słowy rozdzierającej rzewności. Sądziłam z razu, iż dziecina pojmuje nasze nieszczęście, ale myliłam się: zapytał się jak długo jeszcze ojciec i Williams spać będą?

— Zawsze!—odrzekłam, nie mając siły tłumaczyć mu co to jest śmierć. Dziecko złożyło rączki i patrzyło mi w oczy zdziwione...—Proś Boga, rzekłam, żeby się nad nami zmiłował! Malec ukląkł, i zmówił wdzięcznym głosem swój codzienny paciorek. Gdy skończył, powiedziałam mu, aby poszedł do siostry i obaczył czy płacze.

Pobiegł, za chwilę wrócił, i szepnął mi do ucha: „płacze”.

Dzięki Bogu, pomyślałam, przynajmniej nie zwaryje z rozpaczy. W tej chwili w obozie sypojów głośne ozwały się wrzaski, spojrzałam ku wsi: gruzi dygotały się jeszcze, zgraje Indian kręcili się pomiędzy nimi, trupów obdzierając zapewne. Will strudzony bieganiami położył się przy mnie, wołając: „matko, jeść mi się chce, matko daj pić!

Tego tylko jeszcze brakowało do mego nieszczęścia! Coraz natarczywsze prośby dziecka serce mi krajały. Spojrzawszy w tę przepaść nędzy, w głowie mi się zawróciło... Zkąd wziąć kropli wody, gdzie dostać choćby owoc jaki? Do lasu strasznie daleko, zresztą nie mogłam odstąpić zwłok męża.

— Matko jeść!—powtarzał ciągle biedny Will. Niepodobna było dłużej słuchać jego lamentów. Narażając się że mnie odkryją, postanowiłam zacząć się aż do drogi, którą przybyliśmy wczoraj, a ztamtąd puścić się pędem do lasu po jakie owoce. Złożyłam więc na ziemi głowę męża, przykryłam go płaszczem, przykazałam Willowi żeby go nie odstępował a siedział cicho, żeby go nie zbudzić, i na czworakach zaczęłam się do Heleny.

— Czuwaj nad bratem—rzekłam—zanim powrócę z lasu.—Spojrzała na mnie jakoby sądząc że mnie zmąty utraciła, trzy strumieniem płynęły jej po twarzy, a pierś podnosiła się gwałtownie.

— Powrócę niedługo—dodałam. Nie mogąc pojąć po co tam idę, patrzała to na Williams'a, to na Peters'a, jakby chcąc mi dać do zrozumienia, że nie powinna opuszczać ciała męża. Miałam już tłumaczyć się po co chcę iść do lasu, kiedy Will przybiegł wołając ciągle: „jeść.”

Helena kiwnęła głową na znak, że już wie o co chodzi, i wyciągnawszy rękę, zerwała trzcinę cukro-

wą, przełamała ją i podała bratu. Will wyszał parę kłosów i ucichł, ja powróciłam do męża dziwiąc się, że mi to pierwój na myśl nie przyszło.

Ciała w tych strefach gorących psują się tak prędko, iż dłużej nad kilka godzin trzymać ich na powietrzu nie można; z rozpaczą przeczuwałam rychłe rozstanie... Trzeba więc ich będzie porzucić nawet bez pogrzebu, oddać na pastwę psom i szakalom... Nie, to być nie może! Gdybym miała palce potać i zużyć ręce po łokcie, wykopię grób dla męża. Tak myśląc zaraz wzięłam się do roboty. Grunt był dość lekki, ale po godzinnej pracy spostrzegłam, że dół miał zaledwie kilka cali głębokości, a z palcy moich już krew ciekła. Gdym rozmyślała co począć, kruki zakrakały mi nad głową... Wrzask ich złowrogi zbudził moją energią i znów pracowałam przez chwilę; ale musiałam przestać: piasek wchodził mi za odarte paznokcie i sprawiał ból nieznośny... Nie widząc rady, położyłam się w rozpoczętej fosie i bluźniłam Bogu! Kruki jakby najgrawając się, wciąż krakały nad głową. Will zaczął znów wołać o jadtło.

— Niechże już przyjdą sypoje i dokończą mego męczeństwa—krzyknęłam, szalejąc prawie z rozpaczy.

— Mamo wstań — rzekł Will głaszcząc mnie po twarzy—mnie się bardzo jeść chce!

Ten głos ukochany powrócił mi przytomność i siły: wstałam z postanowieniem udania się do lasu. Zbliżyłam się do Heleny proponując, żebyśmy poszły razem, że tam dziecko nakarmimy i posilimy się same. Ale ona odrzekła:—nie ruszę się stąd dopóki go nie pogrzebie!

Odpowiedź ta była wymówką dla mnie. Jako usprawiedliwienie pokazałam jej moje zakrwawione ręce... Krzyknęła zdziwiona, a z poza też dojrzałam na jej twarzy uśmiech zadowolenia i podziękia.

— Złożymy ich w jednym grobie—dodała, myśląc żem już dół wykopała.

— Zaczęłam dopiero kopać i dalej nie mogę— rzekłam.

Helena nic nie odpowiedziała i zamyśliła się. Kruki coraz to natarczywiej krakając, latały coraz to niżej, prawie już głów naszych dotykając skrzydłami. Will płakał. Wtém Helena jakby w natchnieniu, zawołała— grób będzie wnet gotowy!— To mówiąc odwinęła płaszcz Williams'a i wyjęła z pochwy wiszący u jego boku szeroki pałasz indyjski. Zaczęłyśmy się obie do rozpoczętej przezemnie fosy i zaczęłyśmy kolejno kopać dół pałaszem.

Podczas kiedyśmy tak pracowały z gorączkową energią, dziwny stuk jakiś obit się o nasze uszy; wydało nam się jakby Williams się podniósł i upadł. Przejęte naraz trwogą i nadzieją obejrzałyśmy się: Williams leżał nieruchomy tam, gdzie go zostawiła Helena, tylko spostrzegłyśmy ogromnego sępa, który o ciało jego skrzydłami uderzył.

— Na Boga! matko spieszmy się! spieszmy się!— zawołała Helena podwajając swe siły. Nareszcie po trzech godzinach uporeczywéj pracy, pod równikowym skwarem, mniej jednak palącym jak gorączka która nas piekła, dół wydał nam się dostatecznie głębokim. Usiadłyśmy obie na brzegu odpoczywając. Obie przestałyśmy płakać, bo źródło łez naszych wyschło... Will już nie pytał rychło ojciec się obudzi; zaszępiiony usiadł przy mnie patrząc w grób jakby śmierć rozumiał. Głuche na krzyki sypojów rozlegające się w powietrzu, zapomniawszy o niebezpieczeństwie, siedziałyśmy nad dołem, pogrążone w głębokiej zadumie: przed wiecznym rozstaniem z ukochanymi, przed złożeniem ich w tym grobie, rzucałyśmy węń wspomnienia minionego szczęścia i przyszłe nadzieje.

Nie chcąc przerywać uroczystego milczenia, pytałyśmy siebie oczyma, od którego pogrzeb zaczniemy. Miłość macierzyńska mnie natchnęła: chcąc zostawić

córcie smutną rozkosz patrzenia kilka chwil dłużej na twarz ukochaną, poszłam po ciało męża. Przyciągnęłam go nad grób otwarty, popatrzyłam raz ostatni w tę twarz bladą, która się już do mnie nie uśmiechała, złożyłam pocałunek na skroniach, i napotkawszy pukiel jego czarnych włosów, odgryzłam go zębami. Potem włożyłam mu na palec obrączkę, którą mi dał przy ślubie, a sama wzięłam tę, którą mu dałam, temi drugimi zaręczynami poprzysiegając wieczne wdowieństwo: nareszcie z pomocą Heleny spuściłam Peters'a do grobu. Ciało osunęło się z głuchym łoskotem, który jak zimny gład padł mi na serce. Odrętwiała, ledwie miałam przytomność zatrzymać syna, który także niosąc róg płaszcza ojcowskiego, ledwie z nim razem nie wpadł do dołu.

Williams'a położyliśmy na Petersie, a przy boku obydwóch ich bronie. Helena włożyła na palec pierścionek narzeczonego i odmówiwszy modlitwę za umarłych, zaczęłyśmy przysypywać ich ziemią!.. Straszna to robota: sypałyśmy wolno jakby bojąc się ich przysgniatać. Widząc że już znikają, Will zaczął płakać i pytać, czemu ojca i brata zakopujemy... Płacz jego wywołał znów łzy nasze: szlochając padłyśmy obok otwartego jeszcze grobu. Wtém blizkie stąpania i szcęk broni przywołał nas do zmysłów... Sypoję byli tuż przy nas! Cud tylko mógł nas ocalić. Helena porwała brata i położyła się z nim w dole obok umarłych, ja rzuciłam na nich garść trzciny i przypadłam w bruzdzie. Przez kwadrans stonie, ludzie i konie defilowały obok nas: Opatrzność chciała, że nas nie odkryto.

Ledwie przeszli, my znowu wzięłyśmy się do pracy; wpół godziny po odejściu sypojów, grób już był zasypany i dla zatarcia śladu pokryty kwiatami.

Zostałyśmy więc same, dwie słabe kobiety; same bez opieki i pomocy w ogromnym kraju, raczej na pu-

szczy przepętnionój nie ludźmi, ale psami wściektemi, same nie wiedząc gdzie iść zebrać kawałka chleba, gdzie się schronić przed męczeńską śmiercią.

— Żegnamy was najdrożsi przyjaciele! niech wam ta ziemia lekką się stanie!—zawołałyśmy zanosząc się od płaczu—żegnamy was na zawsze!—I przed łzami drogi nie widząc, puściłyśmy się znowu na nieszczęsną pielgrzymkę.

Przybywszy do wioski z którój nas rzeź wczorajsza wygnała, napotykałyśmy tu i owdzie sterczące skielety kobiet, które uszedłszy bagneta w nocy, rano złapano, zostały żywcem na wolnym ogniu spalone. Co prędzej uciekłyśmy z tych miejsc okropnych. Idąc ciągle ku północno-zachodniej stronie, ukryłyśmy się w lasku przy wielkim gościńcu, mając nadzieję, że tędy może wojska nasze ciągnąć będą do Agra albo do Allahabad. Tak byłam zmęczona, że ledwie usiadłszy pod drzewem, zasnęłam.

Obudzwszy się ujrzałam nad sobą altankę, którą podczas snu mego, Helena nademną wybudowała z gałęzi. Will przyniósł mi ogromny bukiet z gardenij i rododendronów. Że słońce już zachodziło, przeto nie można było myśleć o dalszej podróży. Przyniesionemi z obozu sypojów głoźniami, zapaliliśmy wielki ogień ażeby nas w nocy bronił od tygrysów, poczem posiliwszy się bananami, dzieci pokładły się spać, a ja czuwając nad nimi i nad ogniskiem, zaczęłam myśleć o jutrze.

Ponieważ znajdowałyśmy się o dziesięć mil od Kawenporu, a do Allahabad było najmniej trzydzieści, umyśliłam dążyć do Kawenpor, gdzie mogłyśmy stanąć we trzy dni. Oto od jak drobnych rzeczy losy ludzkie zawisły: gdybym dla uniknienia trudów nie była wybrała téj krótszej drogi, ale szła dłuższą, nie byłabym dzisiaj w waszym gwarliwym Paryżu, którego zgiełk

przypomina mi ciągle indyjskie rzezie,—a dzieci moje żyłyby jeszcze.

Równy ze dniem puściliśmy się drogą ku Kawenpor, niosąc kolejno Will'a; dla uniknięcia niebezpieczeństw i upału, postanowiliśmy iść nocami i rankami, a dnie gdzieś w cieniu przeleżeć. Po dwugodzinnym marszu wyszedłszy z krzaków, spostrzegliśmy niespodzianie o kilkadziesiąt kroków przed sobą austeryą, rodzaj karawan seraju, które pobożni Muzułmanie budują przy drogach dla wygody podróżnych. Nie czas było uciekać: cofając się zwrócilibyśmy podejrzenie odpoczywających na tarasie podróżnych, którzy nas już spostrzegli. Było ich bardzo wielu: jedni leżeli, drudzy siedzieli rozmawiając i paląc fajki pod namiotami; pomiędzy nimi byli także sypaje. Woły ich, konie, słonie i wielbłądy odpoczywały w cieniu; długi rząd palankinów stojący przededrzwiami oberży, znamionował że to jakiś wielki magnat indyjski, podróżujący z haremem i orszakami, zatrzymał się tu na popas.

Byliśmy o jakie dziesięć kroków od pierwszej grupy, która biorąc nas za krajowców i spodziewając się dowiedzieć świeżych wieści z głębi kraju, pozdrowiła nas okrzykiem; kiedy z poblizkiego domu wyszedł subadar (oficer sypojów) i po bengalsku zapytał: coś my za jedne, z kąd i dokąd idziemy? Mówię dość płynnie tém narzeczem, odpowiedziałam więc, że jesteśmy z Agra, że na Dżummie statek nasz się rozbił, że wszyscy potonęli, tylko my dwie z dzieckiem zdołałyśmy się wyratować i resztę podróży odbywamy pieszo. Subadar z twarzą słodko-okrutną patrzył na nas z niedowierzaniem, nie zdając się wcale zadowolonym z mojej explikacyi; przypatrywał się uważnie naszemu ubiorowi, a mianowicie Helenie, na której kilka razy beczelnie pożądlivy wzrok zatrzymał.... Z miny jego odgadłam, że pod indyjskim burnusem poznał angielski—z ócz wyczytałam co w sercu knował: chciał żeby wdzięki Heleny były okupem naszym....

Już nawet dwuznacznemi słowy zmierzał do objawienia mi niegodziwego zamiaru, kiedy Will niespodzianie pomieszał mu szyki. Zdziwiony uniżonością z jaką mówimy do Indyanina, kiedy wedle zwyczaju on powinien być pokorny i uniżony; przypomniawszy sobie jak z góry porucznik Williams traktował oficerów indyjskich, nie mógł ścierpieć, żeby go ten impertynent głaskał po twarzy: głosem więc, który daremnie wzmoćnić usiłował, zawołał po angielsku: „precz”!

Bomba pękająca pomiędzy podróżnemi nie byłaby ich więcej poruszyła, jak to jedno słowo angielskie. Porwali się wszyscy z siedzenia, jakby ich całe wojsko Kompanii napadło. Subadar wydał dziki okrzyk zwołujący sypojów: widząc że Helena dla niego stracona, chciał ją oddać na pastwę żołnierzom. Tłum żołdactwa odłączył mnie od niej, po chwili ujrzałam ją gonioną przez dwóch żołnierzy i uciekającą ku tarasowi. Sypoje już już ją doganiali, kiedy wpadła do namiotu, gdzie siedziały Indyaniki; jedna z nich sędziwa i poważna matrona, na znak prolekcji położyła rękę na głowie tulącej się do jęj stóp Heleny, co widząc żołnierze odstąpili.

Przeciskając się przez rozżłoszczoną zgraję, docisnęłam się do namiotu i stanęłam obok córki. Rozruch przybyciem naszym wywołany nie uśmierzał się wcale; zewsząd dolatywały mnie złowrogie w dyalekcie bengalskim wymawiane słowa, jak: szpiegi—zdrada—powiesić—spalić—śmierć im i t. p. Zrozumiałam, że bez pomocy owęj pani pod której opiekę udała się córka moja, śmierć nasza była nieuchronną. Dowiedziałam się, że to była matka jednego z najpotężniejszych książąt indyjskich, wraz z którym podróżowała.

Widząc gest, jakim księżna przyjęła Helenę, sądziłam że ulitowawszy się naszej niedoli, chce nas ocalić; ale wkrótce przekonałam się inaczej. Co wydawało się miłością bliźniego, było tylko przesądem:

księżna dlatego ochroniła Helenę, że do nóg jój upadła, podczas kiedy odmawiała modlitwy; a Wisznu i Rama byliby się bardzo obrazili, gdyby była przerwała modły, rozkazując, żeby nas powieszono. Nietykalność nasza skończyła się więc wraz z modlitwą, którą odmówiwszy księżna, zdjęła rękę z głowy Heleny i rozkazała jój, żeby poszła precz.

Uciszona na chwilę burza wybuchła na nowo. Rojoty i sypoje poczęli szarpać i wydierać nas sobie wedle lego, jak amatorowie tój lub owój kaźni, brali górę nad zwolennikami innój. Jedni chcieli nas spalić, drudzy powiesić, inni rozstrzelać, inni dać tygrysom na pożarcie, inni słoniom do zdeptania: każdy wychwalał swój sposób męczeństwa. Popychane, szarpane tym zbójcekim huraganem, wkrótce znalazłyśmy się prawie nagie. Rozerwanie trzосу, który miałam na sobie i brzęk syjącego się złota, spowodował zmianę dekoracyi w tój scenie: Indyjanie rzucili się na ziemię i bić się poczęli, wrywając sobie rozsypane gwinee—Pozbierawszy je, znów się na nas rzucili... My, mając czas przygotować się na nowy atak, wzięłyśmy Will'a między siebie i ujęłyśmy się tak silnie, że nie mogąc nas rozłączyć, sypoje pchali nas razem do zapalonego słosu.

Miałyśmy więc być spalone żywcem. Z rozpaczą spojrzałam w tłum, szukając subadara: może on nie miał tak złych zamiarów, może chciał nas wybawić przez litość, może jeszcze wybawi na moje błaganie. Spostrzegłam go, stał przy rajachu na ganku, ale udał, że moich gestów nie widzi. Nie było rady! Mieliśmy zginąć wszyscy troje, wijąc się na rozpalonych węglach! Obawa śmierci męczeńskiej natchnęła mi zamiar straszny, bezbożny: żeby oszczędzić dziecku katuszy, postanowiłam udusić je zanim legniemy na stosie. Jeszcze dwa kroki, jeszcze jeden, a już miałyśmy paść w płomienie. Helena chwiejąc się obejmo-

wąta mnie rękoma, Will cisnąc się do mych piersi złożył głowę na ramieniu — wszelka nadzieja ocalenia przepadła. Żegnaj cię dziecko moje — zawołałam obejmując rękami wątą szyjkę Will'a i kładąc usta na jego ustach, żeby potknąć ostatni oddech jego — będziesz mniej cierpieć niż ja, więcéj dla ciebie uczynić nie mogę! Tak mówiąc poczęłam zaciskać palce około jego szyi: dziecko uśmiechnęło się do mnie jakby przebacząc matce, że była katem jego. Rozbrojona tym uśmiechem nie miałam już odwagi spełnić morderstwa, kiedy nagle popchnięta nastąpiłam na żarzące węgle; ból gwałtowny wrócił mi energią — nie, zawołałam, on takich męczarni doznawać nie będzie. Boże przebacz mi! — I zamykając oczy ścisnęłam mocno za gardło syna: krzyknął i zadrżał konwulsyjnie. Wtém uczułam że go wydzierają z mego objęcia; chciałam zobaczyć kto, ale już nie widziałam: oślepta od dymu, bólu i rozpacz. Jak przez sen słyszałam krzyki córki i czułam płomień liżące nogi moje — zemdlałam.

Zdrój wody chłodnej spadającej na moją głowę przywrócił mi zmysły; cisza była dokoła, nie czułam dymu ani płomieni. Otworzywszy oczy jak zmarły, gdyby mógł wyjść z mogiły, spytałam otaczających mnie ludzi, gdzie dzieci? Tłum się rozstąpił: opodal na murawie ujrzałam siedzącą Helenę z Will'em na ręku, a przy niej stojącego człowieka, z wyrazem najwyższej egzaltacyi odmawiającego nad nią jakieś oracye, których Indyanie z religijną czcią słuchali. Zaczęłam się do dzieci, a spojrzawszy na mówcę, którego słowa uspokoiły wściekłość katów naszych, poznałam w nim wspomnianego kiedyś przez Will'a nad brzegami Dżummy fakira.

Jakże potężny być musiał wpływ tego wpół nagięgo, okrytego brudem i ranami żebraka, żeby samą siłą wymowy poskromić tę gromadę rozjuszonych zwierząt! Wiedziałam, że Indyanie czczą fakirów, uwa-

zając ich jako natchnionych postaćów bóstwa; ale nie przypuszczałam nigdy, żeby władza ich sięgała tak daleko.

Tłum uciszył się zupełnie, upał przemijał; fakir jak pies położył się przy nas i patrzył na gotującą się do wymarszu karawanę: my klęcząc dziękowałyśmy Bogu za cudowne ocalenie. Kiedy palankiny przechodziły koło nas, fakir powstał, wyprostował poważnie wyniosłą postać swoją i zaczął znów perorować z zapamiętaniem. Orszak zwolnił kroku i zdawał się go słuchać uważnie. Wkrótce jeden z przechodzących położył na ziemi kilka palmowych liści, a na nich garść ryżu: wszyscy inni idąc za jego przykładem, składali to ryż, to kukurudzę, cukier, ciasta i owoce, bogatsi zdjęli burnusy i zarzucili nam je na ramiona: słowem, że jeszcze cała karawana nie opuściła oberży, a my już mieliśmy podostatkiem żywności i odzienia.

Po odjeździe gości, poczciwy fakir gospodarując w pustej oberży, w której nie ma zwykle gospodarza ani żadnych mebli, tylko gołe ściany chroniące od gadów i skwaru, otworzył małą ustronną izdebkę, usłał w niej łożę z kukurudzowych liści i na migi (bośmy mowy jego nie rozumiwały) zaprosił, żebyśmy sobie wypoczęły w tej kryjówce. O zachodzie słońca szlachetny ten człowiek, pełen miłosierdzia i poświęcenia, opuścił nas radząc żebyśmy tu pozostały, dopóki nam jadła stanie, to jest z jakie piętnaście dni: przez ten czas może wściekłość powstańców nieco się ułagodzi a podróż stanie się bezpieczniejszą.

Idąc za radą rozumnego starca, zamknęłyśmy się w celi naszej, i spokojnie, bo jakby nowo na świat narodzone, spędziłyśmy w niej dni kilkanaście. Że to była wiosna, wszystkie przechodzące karawany obozowały raczej przed domem, przekładając cieniste podwórze nad stęchłe powietrze wewnątrz budynku—byłyśmy więc zupełnie bezpieczne.

Jedna ściana celi naszej odgradzała nas od wielkiej drogi; ponieważ nie było w niej okien, chcąc zrobić z mieszkania naszego obserwatorium, przebiłyśmy w murze dwa małe otwory. Przepyszny widok wynagrodził nam tę ciężką pracę. Rozległy i śliczny krajobraz rozciągał się z tej strony oberży: zielone wzgórki i malownicze skały ciągnęły się jak zasięgiem oka pod czystym szafirem zawsze pogodnego nieba; na stronie wschodniej, gdzieś daleko, daleko, błyszczał Ganges pożłocony słońcem; za nim był Kawenpor i Anglicy—tam było bezpieczeństwo i swoboda, tam też rwała się nieustannie myśl nasza. Bity gościniec ciągnął się przez dolinę i przechodził tuż koło naszych okienek: mogłyśmy ztąd obserwować wszystkich podróżnych, poznać zawczasu nieprzyjaciół a porozumieć się z przyjaciółmi.

Szóstego dnia o dziesiątej rano, ujrzeliśmy dziwną karawanę ciągnącą ku karawan-serajowi. Nie mogłyśmy rozpoznać coby to byli za ludzie: ciemne ich płaszcze dowodziły, że nie są ani Indyanie ani Anglicy. Dopiero kiedy blisko nadeszli, poznałyśmy że to są zakonnice. Jedne pieszo, inne na wozach ciągnionych wołami, inne znów na słońiach i wielbłądach, eskortowane przez kilkunastu żołnierzy angielskich, zakonnice te dążyły ku karczmie znękane drogą i upałem. Poznałyśmy kilka zakonnice z Delhi i wybiegłyśmy na ich spotkanie.

Po bliższem rozpatrzeniu się dostrzegłam ze smutkiem, że ta nowa karawana nie może nam w niczem dopomóc. Zakonnice któreśmy powitały jako nasze wybawicielki, ciągnęły z sobą liczny poczet równie jak my nieszczęśliwych; eskortujący je żołnierze z połamana bronią, okryci ranami, na wychudłych koniach, wyglądali raczej jak protegowani nie protegujący. Zakonnice wygnane z Delhi w pierwszych dniach powstania, po daremnych usiłowaniach połączenia się ze sio-

strami swoimi w Agra, puścili się w imię Boże traktem do Allahabad, i tak wlokąc się przez kilka dni, i zbierając po drodze prześladowane obojędz płci rozbitki, gromadka ich w liczny zmieniała się lazaret. Mnóstwo kobiet, poranionych mężczyzn, dzieci, wychudłych zwierząt, ciągnęto pod dobroczynną opieką tych niewiast, mając nadzieję, że razem z nimi prędną do bezpiecznego zawiną portu. Na czele téj gromady szedł ksiądz Paweł z krzyżem w ręku.

Dzień skończył się spokojnie. Chorzy rozłożeni w izbach na trzciniowych postaniach odpoczywali w chłodzie, woły i konie powracały od wody; ten i ów nabierawszy kokosowych orzechów zabierał się do kolacyi i miano już zamykać bramy, kiedy żołnierz postawiony na czatach przybiegł z doniesieniem, że jakieś liczne wojsko przybywa, ale nie wie czy to Anglicy, czy sypoje, bo wśród zmroku dojrzał tylko czerwone mundury, które tak jedni jak i drudzy noszą. Zamknęliśmy czémprędzją bramy.

Muzykant angielski z pułku krajowego stanął przy drzwiach patrząc przez szparę, ja stanęłam przy nim chcąc wiedzieć, zanim pójdę do bawiących się w podwórzu dzieci moich, co nas czeka. Na widok pierwszego plutonu muzykant zadrżał i cofnął się jakby bojąc się, żeby go przez deski nie dojrzano; poczem błady jak trup wpadł do sali wołając: „mój pułk idzie! już po nas!”

Mieliśmy jeszcze nadzieję, że wojsko pominie karawanseraj, ale i ta wkrótce znikła. Sypoje zajęchali na taras, porozstawiali namioty, zapalili ognie i rozgościli się na noc. Cóż się z nami stanie, pomyśleliśmy trwożnie? Dotąd wprowadzie żaden z tych zbójów nie okazał zamiaru wejścia do oberży; ale czy przez całą noc taki pomysł żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy, czy nas jaki szelest nie zdradzi?

Godzina upłynęła w cichości. W sieni dzieci moje siedziały z nowemi towarzyszami niedoli, w izbie ksiądz stojąc pośród klęczących zakonnice odmawiał półgłosem modlitwy wieczorne: klękałam pomiędzy niemi wzywając opieki Najwyższego. Wtém niespodziany wypadek przejął nas trwogą: jeden koń sypojów czując w stalni zamknięte konie zarżał, a nasze odpowiedziły mu chórem. Wnet szwadron sypojów zerwał się na nogi, a brama oberży zadrżała pod gradem silnych razów. Nie chcąc drażnić nieprzyjaciół oporem, dwie zakonnice otworzyły bramę i wróciły do izby; za niemi z nagiemi pałaszami i rewolwerami w ręku wpadło natychmiast dwudziestu wściekłych sypojów.

Na widok poważnego stroju klęczących na ziemi zakonnice i księdza, który nie zmieszany dalej odmawiał modlitwy, mimowolnym szacunkiem zdjęci, stanęły; ale kiedy ksiądz zaintonował błogostawieństwo i złota kadzielnica błysła przed oczyma chciwój tłuszczy, wszyscy naraz wycelowali rewolwery w jeden punkt i wystrzelili: dym zaćmił nam oczy, a skoro uleciał spojrziałam na księdza—o cudzie! ksiądz stał nie tknięty w miejscu. Widząc to, jeden ze zbójów przyskoczył i przykładając mu pistolet do czoła, wrzasnął: „umieraj podły!” Zakonnice rzuciły się i schwyciły za rękę żołnierza.

— Pokaż mi swego Boga!—krzyknął Indyanin, usiłując się wyrwać zakonnicom.

— Uwierz w Niego, a przebaczy ci—odpowiedział kapitan, pokazując dzikiemu krucyfix.

Kiedy sypoj przypatrywał się Ukrzyżowanemu, wszedł do izby sierżant i rzekł po angielsku:

— Mamy rozkaz zabić was, ale nad waszą krew przekładamy wasze pieniądze: oddajcie co macie, a puścimy was wolno.

— Nie mamy pieniędzy!—zawołały zakonnice.

— Da się to widzieć—odparł starszy. No dalej, defilujcie mi tędy boskie panny!

Przewisko to rozśmieszyło zbójów i wprowadziło ich w dobry humor. Stanęli szpalerem i rewidowali idące pomiędzy nimi zakonnice, upatrując na ich palcach pierścionków. Kiedy przyszła na mnie kolej, drżąc apostąpiłam naprzód:—to nie zakonnica—zawołał sierżant, uderzając mnie po ramieniu—nie przejdiesz rybko—dodał, odpychając mnie w głąb sali.

— To nasza siostra—rzekł ksiądz Paweł.

— Puśćcie ją—zawołały siostry.

Puścili mnie przecie. Część żołnierzy otoczyła nas, a druga połowa poszła plądrować po domu. Dzieci moje były w celi, ale drżałam, żeby złamąd wywołane rozruchem nie padły ofiarą rozhukanéj tłuszczy. Obecność moja na nichy im się nie przydała; stałam więc pomiędzy zakonnicami nawpół umarta, słuchając czy w zgiełku krzyku moich dzieci nie ustyszę.

Pomijam opis rzezi, która zalała krwią obojętne; nie byłam jéj przytomną, słyszałam tylko jęki morderczanych i przekleństwa morderców. Wpół godziny sypoje wyrznęli całą karawanę; żołnierze nasi opierali się walecznie, ale wystrzelawszy ładunki, zostali zabici jak inni.

Zciemniło się zupełnie. Nie mogąc wytrzymać dłużej w srogiej niepewności, chciałam biedz szukać dzieci, ale mnie zakonnice zatrzymały przekładając: że jeśli już zabite, to ich nie wskrzeszę; jeśli zaś żyją to ocaleją, bo rzeź skończona, a sypoje oberży jako fundacyi pobożnej nie podpalą.

Domostwo pocichło i poczerniało jak grób; na tarasie tylko płonęły szczątki wozów i bagaże wyrzniętej karawany. Indianie posiadali przy ogniskach, grzejąc pięty, rachując pieniądze lub oglądając zabrane łupy; rozmawiali o przeszłych mordach i przy-

szyłych zwycięztwach. Skoro załona nocy zapadła po skończeniu tej strasznej tragedji, przechodzień patrząc na tych obozujących spokojnie żołnierzy, pomyślałby pewnie, że to poczciwe wiarusy odpoczywają po szlachetnych trudach, tak byli rażni i weseli. Krew przelewała się przez progi karczmy, ale jej widać nie było, również jak nie znać było plam czerwonych na odzieży i broni sypojów. Komendant szwadronu, uśmiechający, swobodny, spoczywał pod namiotem z czystym sumieniem, zadowolony jak ojciec kiedy dzieciom niewinną sprawi zabawkę.

Późno w nocy upatrzywszy chwilę, kiedy wszyscy stróże zakonnice posnęli, zesłałam chyłkiem z tarasu i pobiegłam pod okienko naszej celi dowiedzieć się, co się dzieje z dziećmi. Ściana była wysoka, a ja bałam się wołać głośno; długo więc wołam ich na próżno po imieniu, a te kilka minut oczekiwania wiekiem mi się zdawały. Zwątpiwszy już prawie o ich w celi pobycie, ułamalam długą gałąź i uderzyłam nią w ścianę parę razy.

— To ty, matko? — ozwał się nareszcie głos z wnętrza.

— Żyjecie! — zawołam — i nie ranni?

— Zdrowi. A ty, matko?

— I mnie Bóg uchronił. Ale cicho, cicho, rozmowa nasza może obudzić strażę. Milczcie i nie ruszajcie się dopóki wam znaku nie dam. Skoro wojsko odejdzie, będziemy bezpieczne: cicho więc aż do rana; rano przyjdę po was: dobranoc! — dodałam i pobiegłam napowrót na dawne stanowisko.

Reszta nocy przeszła spokojnie. O świcie sypoje pobierali swoich trupów i pokładli na wozy, mające je odwieźć do Gangesu, z którego świętej wody, wedle wiary indyjskiej, jako czyste duchy miały iść prosto do nieba. Ledwie wozy i ludzie opuścili taras, pobiegłam do dzieci i wraz z nimi powróciłam do zakonnice.

— Wychodzimy zaraz—rzekła przełożona—wszakże idziecie z nami?

— Radabym iść z wami, kochana siostrze—odrzekłam—ale mnie długość drogi odstrasza: ztąd jeszcze 30 mil do Allahabad, a w Kawenpor mogę stanąć jutro.

— Tak, zapewne; ale droga dłuższa lepsza, jeżeli bezpieczna. Widzisz, że nas sypoje szanują, przy nas więc nic wam się złego nie stanie; gdy tymczasem samę, kto wie co cię spotkać może.—Zakonnica mówiła jakby proroczym duchem natchniona,—o! czemuż nie uległam jój radzie!

Odmówiwszy modlitwy za dusze zmarłych, zamurawszy drzwi oberży i zrobiwszy na nich węglem krzyż jakby na wielkim grobowcu, biedna karawana zmniejszona o trzy części, puściła się pieszo w dalszą drogę. Szliśmy dzień cały razem; dopiero nazajutrz rano rozstaliśmy się: zakonnice poszły dalej ku Allahabad, a ja z dziećmi, z muzykantem, który dzięki swemu sypojskiemu mundurowi ocalał, i z jego żoną udaliśmy się do Kawenpor. Podróż odbyła się spokojnie nad wszelkie spodziewanie. O milę od miasta bojąc się spotkania Indyan, zesliśmy z bitej drogi i brnęliśmy manowcami po przez bagna i trzciniowe plantacje.

Słońce miało się ku zachodowi, przyspieszaliśmy więc kroku, żeby przed nocą dostać się do angielskich okopów. Kraj był dokoła pusty: nigdzie chaty, nigdzie żywej duszy; zdaleka tylko na błękitném niebie błyszczwały oświecone zachodniemi promieniami słońca kawenpurskie pałace i meczety. Doszedłszy do Gangesu szliśmy jego brzegiem, kiedy nagle postyszeliśmy tętent pędzących galopem koni; ledwie zdążyliśmy wpaść w przyległe trzciny, kilkudziesięciu sypojoyw przeleciało cwałem. Zaledwie ci znikli, ujrzelśmy znów za sobą tuman kurzawy i nowych jeźdźców. „Niech żyje Anglia! zawołał, przypatrzywszy się im ba-

cznie muzykant, to angielscy żołnierze!" i mówiąc to wybiegł naprzeciw nim. „Z drogi!" wrzasnęło dwóch na przedzie jadących, machając pałaszem.

— Jesteśmy Angliści, zmiłujcie się nad nami! — Zmiłujcie się! — powtórzyliśmy chórem, wybiegając z ukrycia. Wnet też i oficerowie nadjechali: wysłuchali nas cierpliwie, ale oświadczyli, że nie mogą nas zabrać z sobą, gdyż generał Wehler obleżony, mając do żywienia i tak zbyt liczną załogę niezdatnych do boju ludzi, zakazał surowo wprowadzania kogobądź do fortecy. — Idźcie z Bogiem — dodał w końcu komendant — my wam dopomódz nie możemy: może jutro będziemy musieli kapitulować. Marszał naprzód — krzyknął do żołnierzy. Dobranoc paniom — dodał — spinając konia ostrogami. Ale myśmy drogę mu zastępując, wołały: — to każ nas lepiej zabić swoim żołnierzom, zamiast nas oddawać w ręce sypojów. Oficer zawahał się, bliżej rozważając pozycją naszą, nie wiedział co począć; nareszcie zawołał: nie, to być nie może! i już miał odjechać, kiedy Helena dotąd milcząca, porwała za cugle spinającego się rumaka i żywo spytała: — kapitanie, zdaje mi się, że należysz do inżynierii?

— Tak, pani.

— Jeżeli tak, to musiałeś znać porucznika Williams'a Hoods?

— Nawet bardzo dobrze: Williams był instruktorem kompanii, kiedy przybyłem do Kalkuty.

— Jestem wdową po nim.

— To być nie może: Williams nie był żonaty, miał się dopiero żenić z jakąś panną w okolicach Delhi; panną — zapomniałem jak się zowie.

— Otóż tą narzeczoną ja byłem, a dziś jestem wdową....

Łzy przerwały jój mowę. Spiesznie opowiedziałam skon Williams'a. Oficer się rozrzewnił i zdecydował wreszcie zabrać nas z sobą. Nie było chwili do stra-

cenia: już się mroczyło, a po zmroku szybko noc czarna następuje w tamtych stronach; nie zważając tedy na konwenanse, siadłyśmy na konie obok oficerów, a ci wnet puścili się cwałem ku angielskim fortyfikacyom.

O dziewiątej wieczorem wjechaliśmy do twierdzy, gdzie generał Wehler od dwudziestu dni wytrzymywał oblężenie wojsk powstańczych pod przywództwem Nana-Saib'a.

W czasie kilku dni pobytu naszego w fortecy ważne zaszyły wypadki: generał ciężko ranny w jednej z wybieczek upadł na duchu; odsiecz z Lucknow'a nie przybywała; w końcu żywności i amunicyi zabrakło i generał był zmuszony kapitulować. Nana zobowiązał się pod przysięgą, że garnizon europejski wypuści wolno i sam dopilnuje nazajutrz o jedenastej rano zaambarkowania się na statki Anglików, które ich odwiezie mają do Allahabad.

Z wielką radością dowiedziałam się, że opuścimy to smutne miejsce, które nie fortyfikacyami, ale heroizmem garstki naszych żołnierzy opierało się tak długo pięćdziesięciotysięcznej armii fanatyków, w którym codzień od głodu i kul nieprzyjacielskich padały setkami szeregi nasze. Stan załogi był okropny: fosy przepełnione trupami ludzi i koni, zarażały powietrze zabójczym wyziewem; noc i dzień pod bronią, żołnierze z nieopatrzonemi ranami stali na wałach; cywilni zgłodniali, odarci, spragnieni, włóczyli się ledwie; kobiety i dzieci wychudłe jak po cholercie, siedziały pod ścianami domów i patrzyły ośupiętym wzrokiem w niebo, jakby ztamtąd spodziewając się odsieczy. Wszystko to obserwowałam owego ranka, kiedyśmy się zabierali opuścić szpital, w którym wraz z trzynaściami innymi kobietami noc przepędziłam.

Od szpitala aż do rzeki dwa rzędy sypojów stały przy drodze; nad brzeg Gangesu wyległ nieprzeliczony tłum ludu; nas zwożono na wozach i pakowano na

długie statki, których przeszło czterdzieści stało w porcie. Po największej części zajmowały je kobiety z dziećmi. Skoro siadłam pomiędzy nimi pokazały mi statek, na którym znajdował się generał Wehler ze sztabem. Lud z wybrzeża przypatrywał nam się w głuchém milczeniu, które wydało mi się złowieszcze.

Za danym znakiem statki ruszyły z miejsca, kierując się ku środkowi na główny prąd rzeki. Nagle silny wybuch rozległ się w stronie szpitala, a po nim padło kilka strzałów; usłyszawszy eksplozyą massa ludu zawrzała i wraz z sypojami poczęta krzyczeć: „zdrada! śmierć zdrajcom”! Wrzaski te przejęły mnie dreszczem — już po nas, pomyślałam. Statki jednak ciągle oddalały się od brzegu. Wtém grad kul zatrzymuje naszą flotyllę, działa biją kartaczami w tratwy, a ludzie padają pokotem. Dusząc się w dymie prochu, czuję, że nam już pod nogami dna niestaje; chwytam dziecko na ręce i wraz z Heleną topimy się we krwi! O! napiżam jęć się dnia tego! Do dziś dnia jęć smak mi powraca, a z nim wspomnienie téj strasznej sceny. Jednak mimo dymnych kłębow, z których padające gromy raz wraz pruły powierzchnią wody, mimo rwącego wiru rzeki, nie straciłam głowy i myślałam wciąż jakby się ocalić. Urwany od statku rudel płynął koło nas: schwytałam go, i obie z Heleną ujawszy się go oburącz, dopłynęłyśmy z Will'em do brzegu.

Z gazet znacie dramat, który się tam odegrał. Sypoje zazdroszcząc powodzenia kartaczom, rozstrzelowali kobiety i dzieci, które Ganges zbyt wolno pochłaniał; kawalerzyści wjeżdżali konno w rzekę i cięli pałaszami ludzi pozostałych jeszcze na łodziach, wiedzionych przez indyjskich sterników napowrót do brzegu. Piętnaście statków napęcznionych załogą angielską wyginęło w ten sposób. Generał Wehler okropną zginął śmiercią: jeden tylko człowiek uszedł z tych jatek, ale od téj chwili cierpi pomieszanie zmysłów.

Wiele kobiet, tak jak ja, wyratowało się z rzeki nie głębokięj w tém miejscu: wszystkie razem klęknąwszy na brzegu wzywałyśmy Boskiego zmiłowania, napełniając lamentem powietrze, kiedy sypoje i lud nowym paroxyzmem wścieklizny porwany, rzucili się znów na nas.

Tą razą rzeź byłaby się skończyła tylko dla braku ofiar; trzy razy zbóje dosięgali nas już krwawemi rękami i trzy razy puszczałi, znajdując pod ręką inne męczennice: pchana instynktem zachowawczym, padłam twarzą na ziemię, dzieci moje uczyniły toż samo i tak w zupełnej nieruchomości oczekiwaliśmy fatalnego ciosu.

Chcąc sobie oszczędzić okropnego widoku, zamykałam gwałtem oczy, ale mimowolnie otwierały się i spostrzegałam coraz to nowe ustępy z téj ludzkieję hekatombę. Tu sypoj krzyczał tryumfalnie, jednym ciosem kolby rozbiwszy czaszkę kobiety, owdzie Wampur, żołnierz muzulmanin, którego okrucieństwo weszło w przysłowie, wybrawszy sobie ofiarę rozeinał ją na dwoje nie tykając kości pacierzowęj, żeby dłużej konała; tam znów Raskal równie krwi i łupę chciwy, zabijał i odzierał bogatęch. Zgraja ta opętańców morderstwo dzieci zostawiała sobie na deser: przecinano je na pół jednęm cięciem pałasza, nadzievano na bagnety; wielu popisując się ze swoję siłą, brało za nogi biedne niewiniątka i ciskali je daleko, prześcigając się kto dalej dorzuci. Ohydny widok! ilekroć rozpoczynano tę grę fatalną, z obawy ścisakałam Wil'a tak mocno, że m go ledwie nie zgniotła.

Zimny pot mnie oblewa kiedy myślę o tych okrucieństwach, na które wzdryga się natura ludzka, ale ze wszystkich najgłębięj w pamięci méj pozostała igraszka dzieci indyjskiech, które, podczas kiedy ojcowie ich dokonywali strasznego dzieła zniszczenia, zbierały ręce, nogi, głowy pomordowanych, i temi drgającemi je-

szcze szczątkami ciał ludzkich, grały jakby w piłkę, z głośnym śmiechem rzucając je na siebie.

Nikt z nas, powtarzam, nie byłby złamąd uszedł przy życiu, gdyby nie niespodziane wmieszanie się Nana-Saiba. Naczelnik powstańców otoczony świetnym orszakiem, przyjechał galopem nad brzeg Gangesu, zatrzymał konia w krwawej arenie i skinął. Jedno skinienie jego ręki wystarczyło żeby poskromić wyuzdaną tłumę. natychmiast wszystkie bronie schowały się w pochwy. Nana kazał oficerom pozbierać żywych i odprowadzić ich do szpitala.

Takim sposobem z całej załogi ocalało blisko sto kobiet i dzieci. Zamknięto nas w oficerskich koszarach i zakazano surowo wszelkiej z miastem komunikacji.

Piérwszy raz i ostatni widziałam wtedy Nana-Saiba, ale nie zapomnę nigdy jego fizyonomii, jakkolwiek nic w niej nie ma nadzwyczajnego. Wódz ten tak straszny dla świata, mnie nie wydał się wcale takim, może dlatego, że mu była winna ocalenie moich dzieci. Widziałam go tylko na koniu, nie mogę więc powiedzieć jakiego jest wzrostu: wygląda na 25 lat, twarz ma dość otyłą, cerę hiszpańską, wzrok jego lotny i pełen ognia uderzył mnie, ostatecznie nie znalazłam wcale żeby miał wyraz okrutny. Nie wiem, czy jakie inne czyny usprawiedliwiają złą opinią jaką ma w Europie, ale to wiem z pewnością, że fałszem jest jakoby zgwałcił zawartą z generałem Wehler kapitulacją: padliśmy ofiarą pomyłki, nie krzywoprzysięstwa.

Zdaje się, że Nana odebrał doniesienie, iż generał Havelock ciągnący na odsiecz obleżonemu w Kawenpur Wehlerowi, jest już tylko o milę od miasta, kiedy rzeczywiście był jeszcze bardzo daleko. Nana przestraszony mylnym raportem chcąc upokorzyć Anglików, przyjął spieszenie propozycje Wehlera. Podczas kiedyśmy zaledwie wsiedli na statki, nie wiedzieć jakim przypadkiem mały skład prochu obok szpitala wyleciał

w powietrze. Indyjanie przerażeni tym wybuchem, uroili sobie, że to żołnierze angielscy tam się zakradli i da ją hasło wojsku Hawelock'a. Tak zrozumiany wypadek uważając za zgwałcenie kapitulacyi z naszej strony, dano bateryi dział stojącej na lewym brzegu rzeki rozkaz, zatopienia flotylli odptywającej z załogą do Allahabad; rozkaz komendanta placu obudził zarazem wściekłość ludu i wywołał rzeź, której Nana koniec położył, skoro się tylko dowiedział o rzeczywistej przyczynie fałszywego popłochu.

W niewoli u Nana-Saiba obchodzono się z nami po ludzku. Miałyśmy na rozkazy liczną służbę, pożywienie dość dobre, i doktorów opatrujących nas starannie: słowem położenie nasze było znośne. Will mój wraz z innemi dziećmi bawił się swobodnie na podwórzu, my zaś nieszczęsne malki lub wdowy, opowiadałyśmy sobie naszą niedolę, znajdując jedyną pociechę w igraszkach naszych dzieci, napełniających dom śmiechem i wesołą wrzawą.

Mimo najsurowszych zakazów, kilka wdów po oficerach i wyższych urzędnikach, miało stosunki z miastem; powiernicy ich przybywali w oznaczonych godzinach pod mury więzienia, wrzucali na podwórze obwione w bileciki kamienie, i tą drogą otrzymywali odpowiedź. Damy te mniemały, iż tym sposobem wiedzą co się dzieje na prowincyi, i same durząc się fałszywemi wieściami, nas zapewniały, że godzina oswobodzenia niezadługo wybije. Niepokoiły mnie te intrygi kobiece, jednakowoż nie odwodziłam od nich towarzyszek, potrzebując sama nadziei, którą ich zewnętrzne stosunki między nami utrzymywały. Dowiedziawszy się jednak, że Nana-Saib będzie przydował osobiście radzie wojennej odbywającej się w poblizkiej sali, zaklinałam je, żeby podwoiły ostrożność.

Siedmnastego czerwca doszły nas nader radosne wieści. Korrespondentki nasze otrzymały z za muru li-

sty donoszące, że wojsko powstańcze zostało na głowę pobite pod Kullempor przez generała Havelock, i że Nana ma opuścić miasto. Doniesienie to potwierdzał jakiś niezwykle ruch na ulicach, ludzie zgiełk dolatujący chwilami zdaleka. Stojąc na podwórzu przysuchiwałyśmy się w milczeniu tym gwarom; nadzieje nasze wzrastały w miarę wzrastającego rozruchu. Wkrótce nie można już było wątpić o prawdziwości doniesień; rozruch wzmagał się ciągle, wozy przebiegały galopem ulicę, chrapliwe trąby zagrały na czele gromadzącego się ludu przededrzwiami rady wojennej. Kiedyśmy oczekiwały niecierpliwie rozwiązania tego dramatu, halwidar z kilkoma żołnierzami wszedł do więzienia, zawołał po nazwisku cztery damy uwięzione, te właśnie które korrespondowały z miastem, i rozkazał im iść z sobą natychmiast do Nana-Saiba. Zamiast się przestraszyć, wezwane myślały że Nana wysłał je jako parlamentarki do generała Havelock. Zdziwił mnie ich optymizm. Rozumię się, że żadna z nich nie wróciła....

Podczas kiedy je wywoływano, lud odepchnięty od drzwi rady wojennej, skupił się przed wjazdnią bramą naszego podwórza i usiłował ją wysadzić. Brama opierała się ciosom, przez co złość tłumu rosła. Jeszcze obradowano nad losem naszym na radzie wojennej, a lud już nas wskazał na śmierć. Przejęto listy towarzyszek naszych, i im przypisując porażkę pod Kullempor, chciano się zemścić. Przeczowałyśmy to patrząc przerażone na bramę, która powoli zewnętrznemu parciu ustępować zaczynała. Jak trzoda przełękniętych owiec, zbite w gromadkę, cofnęłyśmy się ku drzwiom prowadzącym do budynku, ale nas zatrzymały rygle: halwidar odchodząc z oskarżonemi pozamykał drzwi i okna.

Musiałymy więc zostać w podwórzu. Wstrzymując oddech z przestachu, każda matka tuliła do łona swe dzieci, i z podniesionym ku niebu wzrokiem, czekała...

Wtém klinga jatagana błysła ponad murem, po niej ukazał się biały turban i brązowa twarz Wampura; z zewnątrz tłuszcza przyklaskiwała głośno jego zręczności. Jednym skokiem, jak kot dziki, Wampur stanął przed nami, schwycił za gardło stojącą najbliżej kobietę i utopił kindżał w jej piersiach.

Tak się zaczęła druga rzeź kawenpurska.

Inne Wampury idąc za przykładem kolegi, przeskoczyli mury, a za nimi sypoje i Raskale, i wnet krew zalała podwórzel..

Wy, co słuchacie opowiadania tych okropnych katastrof, rozbudźcie wyobraźnię waszą: niechaj wam przedstawi najstraszniejsze położenia, najsrozsze katusze; potęgą myśli wystawcie sobie wysilenia tych kobiet, walczących już nie w obronie życia, ale w obronie honoru; wyobraźcie sobie te w pół umarte niewiasty, co maczają we własnej krwi palce i piszą po murach: „Bracia, pomścicie nas!”, wystawcie sobie krzyki oprawców, błagania i przekleństwa ofiar, jęki mordowanych i chrapanie konających; wyobraźcie sobie krwawe bagnisko, w którym mokły trupy, ciała pocięte na ćwierci i drgające członki ludzkie: wyobraźcie sobie to wszystko, a jeszcze nie będziecie mieli dokładnego obrazu tego przerażającego ustępu z indyjskiego powstania!

Ale mam jeszcze mówić o moich dzieciach i nie śmiem... Bóże, czemuż wraz z nimi nie utraciłam pamięci! W miarę jak zbójcy posuwali się siekąc bez ustanku, Helena, Will i ja chowaliśmy się za inne jeszcze stojące lub klęczące oliary; tym sposobem cofając się ciągle doszliśmy do więziennego muru. Już dalej uciec nie było można! stanęłam twarzą do katów, Helena tuż przy mnie była do nich odwrócona plecami, Will stał pośród nas. Jakiś młody żołdak w czerwonej czapce schwycił Helinę za jej długie włosy rozrzucone na plecach i pociągnął ją ku sobie; opierała się, a raczej ja poczuwszy w sobie siłę Herkulesa, siłę matki w rozpacz, wyrywałam ją z rąk napastnika. Żołnierz obaczywszy z kąd idzie opór, przeciął go pałaszem: zład te dwie szerokie blizny na mém ręku, które jak dwie

bransolety noszę. Od téj chwili nie widziałam już mojej córki... Nie! myślę się... widziałam ją wijącą się w objęciu mordercy, który ją potem zadusił..

Jednocześnie Wampur wydarł mi syna: w oczach mi się zaćmiło i padłam bez zmysłów na ziemię, nie słysząc nic prócz gwałtownego dzwonięcia w uszach. Po chwili znów przysztłam do siebie, patrzałam i słuchałam. Przerażający krzyk silniejszy od wszystkich innych rozdarł mi serce; zerwałam się i chciałam skoczyć ku bramie, na której syna mego ukrzyżowano trzema bagnetami, ale padłam natychmiast... niestety nie umarła, ale jeszcze czująca i żywa!..

Nie wiem jak długo tam leżałam, ani ile godzin upłynęło do chwili, w której spostrzegłam na podwórzu żołnierzy angielskich. Miano mnie już wynosić razem z trupami, kiedym otworzyła oczy i jakby z ciężkiego snu zbudzona, wspomniałam na dzieci.... Zgalwanizowana tą myślą, zerwałam się i zaczęłam biegać wołając ich głośno po imieniu. Obleciawszy parę razy podwórze, zatrzymałam się obok grupy Highlaenderów, którzy w milczeniu z pochylonemi głowami, patrzali na jakiś przedmiot przy murze. Przecisnęłam się pomiędzy nimi i spojrzałam... O zgrozo! studnia z której piliśmy wodę napęczniona była ciałami pomordowanych, woda w krew zmieniona doszła aż pod brzegi... pod tą przezroczysto purpurową osłoną widać było matowej białości trupy... Dzieci moje były tam!

Na tém kończy się opowiadanie pani Hornsteed. Od téj fatalnej katastrofy historia jéj jest też sama co wszystkich wdów i sierot, które z Indyj powróciły do Europy. Generał Havelock kazał ją odwieźć do Allahabad; złamtał udała się do Kalkuty, gdzie wsiadłszy na statek Colombo, szczęśliwie przyptnęła do Francyi. Obecnie znajduje się w Turenii u rodziny męża.

KRÓTKI RYS HISTORYI NATURALNÉJ KAMIEŃCA PODOLSKIEGO

SKRĘŚLIE

Gustaw Belke.

(Ciąg dalszy).

Dziwnie piękne i szczególne położenie Kamieńca Podolskiego, już od najdawniejszych czasów zwracało na siebie uwagę podróżników i dziejopisów. *Gilbert de Lannoy*, wysłany w 1421 r. z różnemi poleceniami od Henryka V króla Anglii przez Polskę na Wschód do Egiptu i Syrii, wspomina o Kamieńcu „prześlicznie posadzoném” mieście Podola (1), a nasz dziejopis *Długosz* także w XV wieku żyjący, tak go opisuje (2): „Kamieniec, za-

(1) „et de Lombourg, passant parmi la Russie la haute m'en alay en la Podolie a une autre Keme nich merveuillement assise... (Voyages et ambassades de messire Guillebert de Lannoy, chevalier de la toison d'or, seigneur de Santes, Willerval, Tronchiennes, Beaumont et Wahenies 1399—1450. Mons, typographie d'Em. Hoyois libraire MDCCCXL (1840), 8vo pp. 140, nadto tytułowych kart 44. Przekład J. Lelewela, w Poznaniu 1844 r., str. 73.

(2) Kamieniec petram altam, spissam et abruptam in coronae modum undique, habet pro muris et moeniis, quam fluvius Smotriez non mediocris undique cingit et alloit, aliquantulum dum illam circumfluit, stagnans.

miast murów i szanćów, ma zewsząd naksztalt wieńca, wysoką, twardą i urwistą skałę, którą nie mała rzeka Smotrycz otacza i oblewa, a opływając ją wkoło, nieco bieg swój wstrzymuje. To miasto tak rzadkiem i niezwykłym położeniem udarowane jest od natury, że widok onego wszystkich w podziw wprawia. Przepaściście zewsząd otaczają je skały; nie wałem, ani też rowem jak inne grody, lecz głębokiem oszańcowane jest przepaściami, które zapatrującego się strachem ogarniają. Innych skał okręgiem czyli niejako wałem wzmocnione i przyrodzonem ogrodzeniem tak jest zakryte, że nikt nie spodziewałby się że się tam miasto znajduje, póki doń nie wnijdzie: jedyny tylko do niego przystęp z zamku i od strony południowej, strome wszelako wnijsie otwiera. Biskupstwem i samą wyniosłością, tudzież zamkiem nad miastem panującym znakomite; ziemię ma żyzną, w miód, wosk i bydło obfituje". I rzeczywiście, Kamieniec uważany pod względem przyrodzonej piękności położenia, dostarczyłby równie poecie jak malarzowi przedmiotów godnych zajęcia. Strome i wyniosłe ściany szarych skał jego, liczne wieże jego świątyn, kilka bram strzegących ze wszech stron wjazdu, a szczególnie wspaniała brama Batorego z olbrzymią przy niej basztą; wieżyczki dawniej warowni, wiodący do niej most kamienny ponad przepaścią, pod którym przesuwają się spienione fale żółtawych wód Smotrycza i wiele innych pomników dawnych: wszystko to nadaje miastu temu cechę poważnej starości i obudza wspomnienie ubiegłych wieków jego bytu. A jak uroczy widok przedstawia się oczom podróżnego wjeżdżającego po zmerzchu,

Tam raro et inusitato naturae solius effigiata situ, ut conspectus ejus singulos in admirationem commoveat praeruptis undique, interclusa, rupibus non valle, nec fossa, quemadmodum aliae urbes sed profundis vallata praecipitiis, quae intuentem horrore quodam involvunt, aliarum rupium circumcui, vel quodam vallo communita, septoque naturali abscondita, ut nemo prius urbeni illie cogitet esse, quam in ipsam fuerit ingressus. Unus tantummodo ad illam accessus ex arca et e plaga meridionali, arduo tamen ascensu patet. Pontificali et ipsa eminentia et arce urbi superimpendente insignis, solo, melle, oera et pecore forax. (*Hist. Polon. Joannis Dlugossii seu Longini* T. I, p. 40).

od przedmieścia Polskich folwarków! Rzekłbyś, że tysiące gwiazd zniżyły się ku ziemi, tak błyszczą w ciemności światełka z okien licznych piętrowych domów śmiało wznoszących się na urwistych brzegach opoki. Skoro zaś łagodny powiew wiosny, obudzi uspioną ziemię, złociste kwiaty, niby wieńcem godowym opasują szare skały i w pół-obalone ściany starych warowni i gmachów (1). Z miejsca publicznej przechadzki, niegdys wawów, niemniej malowniczy widok: u stóp urwistej skały płynie kręty Smotrycz, nad brzegami jego widać jak na dłoni, porządne wiejskie ogródki i domki, powyżej zaś w oddaleniu, piękne gaje Dłużka i bielejące kwiecien sady. Cóż powiem o *Kajskiej bramie* (2) uroczej ustroni o ćwierć mili za Kamieńcem; o prześlicznej panoramie *Zińkowiec* z przyległemi błoniami i wioskami; o rozkosznym lasku *Cybulówki*, z którego co wiosna rozlegają się między skalistemi brzegami Smotrycza, setne głosy słowików, gdzie powietrze tak świeże i czyste nawet wśród skwarnych dni lata! Wiele jeszcze pod tym względem miałbym do mówienia o Kamieńcu i jego okolicach, gdyby przedmiotem pracy mojej był malowniczy ich opis; lecz ten obraz oczekuje pióra wieszacza, lub pędzla artysty. Uczonemu hr. *Alexandrowi Przezdzieckiemu* winniśmy wiadomość o starożytnościach Kamieńca (3), tutaj zajmować się będziemy wyłącznie jego historią naturalną. Kamieniec wznosi się na skale wapiennej. Rzeka Smotrycz krętym korytem płynąca, otacza go naokoło i o wiorst 10 niżej na południo-wschód pod wsią Ujściem, wpada do Dniestru. Zwykle woda w niej płytka, lecz na wiosnę od topniejących w okolicach śniegów nagle przybierając a nie mogąc rozlać się z powodu skalistych brzegów, do bardzo znacznej wy-

(1) Tak zwany koszyk-złoty, *Corbeille d'or* (*Alyssum saxatile*) rośnie w wielkiej obfitości na murach i skałach Kamieńca. Kwitnie od pierwszych dni wiosny do końca maja.

(2) Własność niegdys Stanisława Starzyńskiego znanego poety naszego, który jej nadal tę nazwę.

(3) Umieścił ją w T. I dzieła swego wydanego w 1841 r. pod napisem: *Podole, Wołyń i Ukraina*.

sokości dochodzi i przyległym budowlom, niemalże szkody wyrządza. Tak za świadectwem Rzączyńskiego (*Auctarium Hist. Nat. Cur. Reg. Pol.* p. 199) w roku 1721 rzeka ta nagle wezbrawszy, nie tylko młyny, domy nad nią zbudowane i bydło z sobą uniosła; lecz nadto około bramy, Polską zwaną, część muru na łokci dwadzieścia, zniszczyła. Stała wówczas po drugiej stronie miasta przy bramie Ruskiej, baszta nad inne wielkością i mocą znakomitsza; lecz i tę pęd wody wraz ze znajdującymi się na niej działami, obalił: powódź ta jednak nie dłużej nad jedną dobę trwała. Do znaczniejszych w niedawnych czasach wezbrań Smotrycza należą te, które miały miejsce w latach 1805, 1806 i 1829, a do jakiej wówczas wysokości podnosiła się woda, świadczą dotąd znaki i napisy na Polskiej bramie zrobione. W roku 1837 także nie miała być powódź.

Oba brzegi Smotrycza pod Kamieńcem są skaliste i prawie prostopadłe strome, a największa ich wysokość po lewej stronie, nie licząc jednak wierzchniego pokładu ziemią pokrytego, ponad ogrodem Wita, 14 sążni dochodzi. Brzeg prawy na którym leży miasto, niższy jest nieco, i w ogóle nad Kamieńcem górują wyższe od niego wzniesienia.

Skąły wyżej wymienione do dwóch odrębnych formacyj należą. Pokład wierzchni nowszego pochodzenia, niezbyt grubą warstwą rozpostarty, składa się z gliny, kamyków stoczonych, wapienia trzeciorzędowego, krzemieni i kredy, w wielkim nieładzie pomieszanych. Niższy pokład stanowią ogromne masy wapienia dawnego formacji sylurycznej.

Aby lepiej dać poznać te skały, umieszczamy tu opisy dwóch miejscowości, w których one dogodniej, w podłużnych przecięciach swoich widzieć się dają.

I tak 1^o na zachodo-północ od Kamieńca, za przedmieściem Polskimi folwarkami, w miejscowości zwanem *ścianki białanowieckie*, gdzie łamią kamień na budowę, znaleźliśmy wraz z Dr. Alexandrem Kremerem ułożoną skałę w następującym porządku. Najprzód, pod czarnoziemem widać glinę zafarbowaną żółto, dalej drobne, okrągławe (stoczone) kamyki mieszają się z rumow-

skiem; potem następuje kamień gruboziarnisty składu krystalicznego, który górnicy zowią *rupakiem*, od tego że się nieforemnie łamie na okruchy i małej jest spójności; po nim idzie już zbity ale jeszcze gruboziarnisty, jaśniejszej barwy, zwany *hreczanym* kamieniem. Ten bywa już do budowy używany. Między pierwszym a drugim pokładem, znajduje się łupek jasno popielaty albo zielonawy, pod hreczanym znów znajduje się kilka warstw takiego łupku i następuje kamień *siwym* zwany, drobnoziarnisty, bardzo zbity i dobrze obrabiać się dający, a na samym spodzie jeszcze drobniejszego ziarna, siwy, do *marmuru* podobny z odłamu i składu, doskonale równego ziarna, jeszcze lepiej dający się obrabiać i szlifować. Grubość pierwszego pokładu czyli *rupaku* jest na 2 arszyny; drugiego hreczanego nieco większa; siwego pokład jeszcze potężniejszy, bo od 4 do 5 sążni dochodzi, a najniższego który *marmurem* nazwać można, trudno ocenić, bo się górnicy tak głęboko nie zapuszczają w ziemię, aby go wyczerpać. W wierzchu pokładu skały, przedziały łupkowe są gęstsze, a coraz głębiej rzadsze, tak że kamień siwy i ten co pod nim, prawie jednolitą stanowią ścianę, pokładami doskonale poziomymi ułożoną a pionowemi przerywaną, w ten sposób, że tak zwany warsztat górniczy, jest ograniczony prostopadłemi ścianami, a dno ma zupełnie poziome. W wierzchniej tylko warstwie *rupaku*, znachodziliśmy zabytki organiczne; w niższych, prócz nacieków krystalicznych węglanu wapna lub geodów takimiż kryształkami wypełnionych, żadnej skamieniałości dostrzedz nie można.

2^{re} W stronie południowo-zachodniej, z wąwozu obok dawniej cytadelli a dotąd istniejącego jeszcze starego zamku, prof. Andrzejowski znalazł następny układ skał: Powierzchnią stanowi ziemia czarna, rodzajna, w warstwie grubiej od 1 do 4 stóp, pod nią glina czyli ciąglica, którą tu zowią glejem, z kamykami stoczonemi pomieszana, na 1 do 2 stóp; dalej mocny pokład gliny żółtawej, zawierający przerywane warstwy glinki tłustej, zpod której widać warstwę wapienia trzeciorzędowego w rozmaitych odmianach, a ten spoczywa na pokładach

powtórnych: jest tam i wapień zbity, i kreda, i piaskowiec, lecz tylko w warstwach podrzędnych; pod niemi zaś leżą margle łupkowate naprzemian z gliną delikatną blaszkowatą i marmurem, którego pokłady stają się coraz grubsze. Barwa skał przemagająca jest szara, mniej lub więcej ciemna, przechodząca w żółtawą, zielonawą, a w pokładach niższych w czarniawą. Odłam w warstwie wyższej jest ziarnisty, niewyraźnie muszłowy lub listkowaty; spojność mocna, warstwy niższe mają spojność niemniej mocną, prawie blaszkowatą; odłam nierówny, łuskowaty, niewyraźnie muszłowy, i nie obfitują w skamieniałości. W ogromnej skale, na której zbudowane jest miasto, znajduje się oddzielna warstwa marglu stykająca się z marmurem z wierzchu i od spodu, w której jest mnóstwo skamieniałych szczątków organicznych; leży ona prawie na równi z miejscem publicznej przechadzki, tak zwanym bulwarem lub wałami, a grubość jej wynosi 6 do 7 stóp; w równiejsze wysokości otacza miasto lecz nie wszędzie jest dostępną.

Skamieniałości kamienieckie najliczniejsze są z gromady zwierzokrzewów (*Zoophyta*). Trzony *Cyatokrinitów*, całe warstwy w łupkach marglowych zalegają; jest także wiele mięczaków z oddziału brzechopelców (*Gasteropoda*) a szczególnie do rodzaju *Enomphalus* należących; z ramionoplawów (*Brachiopoda*), mamy liczne przewiertki (*Terebratula*).

Podajemy tu spis systematyczny wszystkich skamieniałości znalezionych dotąd w Kamieńcu Podolskim i najbliższych jego okolicach, opierając się głównie na postrzeżeniach pp. Eichwalda i Andrzejowskiego.

CRUSTACEA.

Eurypterus tetragonophthalmus Fisch. Bull. de Moscou T. II p. 127, 1839 i Notice sur l'Euryptère de Podolie. Eichwald Urwelt Russl. 3 Heft p. 117.

Calymene macrophthalma Blum. Eichwald l. c.

Asaphus Brongn. Małe ulamki pancerzy ogonowych tych trylobitów znajdowali pp. Eichwald i Andrzejowski w samym mieście Kamieńcu; lecz skała zawierająca je, zniesioną została w r. 1831 a miejsce zajęte pod ogród publiczny, dziś bulwarem zwany.

ANNULATA.

- Cytherina phaseolus* Hising. Eichwald Urwelt Russland 3 H. p. 117 w skalach kamienieckich, tudzież w Czarnokozińcach o 2 mile za Kamieńcem, nad rzeką Zbruczem.
C. baltica Hising. Eichwald l. c. w Zawalu.

MOLLUSCA.

a) CEPHALOPODA.

- Lituites lituus* Hisin. Eichw. l. c. p. 110.
Orthoceras conicus Sow. Andrzejowski, Rys bot. ciąg 2 str. 12.

- *lateralis* Sow. } Andrzejowski, tamże.
 — *bacillus* Eichw. }
 — *decoratus* Eichw. } Nad Smotryczem pod Kamieńcem.
 — *excentricus* Sow. }
 — *gregarius* Sow. nad Zbruczem pod Zawalem.

Nadto innego jeszcze gatunku prostoroga polówki z pobocznym wcięciem (*sipho*) i licznymi przedziałkami w podłużnym przecięciu, znaleziono w jednym z kamieni brukowych, w Kamieńcu.

Gomphoceras pyriforme Sow. koło Orygina.

Clymenia Dunkeri Münst? Eichwald, Urwelt Russl. 3 H. p. 116 niedaleko Kamienka pod Krasnostawcami.

b) PTEROPODA.

Conularia Sowerbyi Defr. Eichwald. Urwelt Russland 3 H. p. 117.
Tentaculites ornatus Murch. Eichwald Nouv. Mém. de la Soc. I. des Nat. de Moscou 1851 T. IX über die Eifel und die Grauwacke überhaupt.

— *annulatus* Schlott. Eichwald Bull. de la Soc. Im. des Nat. de Moscou 1856 N. 1 p. 121.

c) GASTEROPODA.

Euomphalus cornu arietis Hising. Eichw. Urw. Russl. 3 H. p. 114.

— *pentangulatus* Sow. Andrzejowski, Recherches sur le syst. Tyr. Bull. de Moscou 1852 N. 1 p. 229.

— *depressus* Andrz. tamże T. IV. fig. 3.

— *ovalis* Andrz. tamże fig. 1.

— *ornatus* Andrz. tamże fig. 2.

Turritella (Murchisonia) cingulata Hising. Eichw. Urwelt Russl. 3 H. p. 115.

Trochus oblitus Andrz. Rech. sur le syst. Tyr. Bull. de Moscou 1852 N. 2 T. IV. f. 4.

d) BRACHIOPODA.

Leptaena depressa Dalm. Andrzejowski, Recher. sur le syst. Tyr. Bull. de Moscou 1852. N. p. 22.

Calceola sandalina Lamk. Andrzejowski, Recherches sur le syst. Tyr. Bullet. de la Soc. I. des Nat. de Moscou 1852 N. 1 p. 22.

- Orthis testudinaria* Sow. Andrzejowski l. c.
 — *orbicularis* Sow. Andrzejowski l. c.
 — *striatella* Dalm. Eichwald Urwelt Russl. 3 II. p. 113. Bull. de la Soc. Im. des Nat. de Moscou 1856 N. 2 p. 441. *Kolo Oryzina*.
- Atrypa acutidens* Eichw. Naturhist. Skizze p. 202; Bullet. de Moscou 1856 N. 2 p. 420.
 — *Wilsoni* Sow. (cancellata Eichw.) Naturh. Skizze ib. Bullet. de Moscou l. c.
 — *dimidiata* Eichwald l. c.
- Camarophoria (Terebratula) tumida* Eichw. Naturhist. Skizze p. 202; Bulletin de Moscou 1856 N. 2 p. 430; die Urwelt Russl. 3 II. p. 110 (T. galeata Dalm).
- Spirifer striatulus* Schlott. Andrzejowski, Rys botan. Ciąg 2 str. 12.
 — *speciosus* Schlott. Andrzejowski, Recher. sur le syst. Tyr. Bull. de Moscou 1852 N. 1 str. 229.
 — *lineatus* Sow. } Andrzejowski, tamże.
 — *glaber* Sow. }
 — *dimidiatus* Eichw. (S. octoplicatus Murch.) die Urwelt Russlands 3 H. p. 112.
- Terebratula buplicata* Broch. Andrzejowski, Rys botaniczny ciąg 2 str. 12.
 — *sella* Sow. } Andrzejowski, tamże.
 — *laevigata* Schlott. }
 — *prisca* Schlott. Andr. l. c. Bull. de Moscou 1852 N. 1 p. 229.
 — *var. reticularis* Eichw. die Urwelt Russl. 3 II. p. 112.
 — *tetraedra* Schlott. Andrzejowski, Rys botan. ciąg 2 str. 12.
 — *octoplicata* Sow. } Rys botaniczny, tamże.
 — *obliqua* Andr. }
 — *amphitoma* Brongn. Andrzejowski, Bull. de Moscou 1852 N. 1 p. 229.
 — *Eichwaldi* Andr. (dentata Eich.) Andrzejowski, Recherches sur le Syst. Tyr. Bull. de Moscou 1852 N. 1 p. 229.
 — *vulgaris* Schlott.? Andrzejowski, tamże.
 — *varians* Schlott. var. *compressa*, Andrzejowski, tamże.
 — *inconstans* Sow. And., t.
 — *alata* Brongn. And., t.
 — *undulata* Pusch, And., t.
- Terebratula prunum* Dalm. Eichwald Urw. Russl. 3 II. p. 110 w Laskawcach.
- Gypidia* Dalm. species? Eichwald die Urwelt Russl. 3 II. p. 105.
- Prócz powyższych muszli, znalazłem szczególny odlew skamieniałości mający kształt wierzchołka głowy cukru, długi około sześciu cali, szeroki u spodu około 5 cali, wazący wraz z odłamem wapienia którym został przejęty, około 3 funtów.

ZOOPIHYTA.

a) ECHINIDAE.

Cidaris Lamk.

Znajdowałem w skalach kamienieckich małe, podłużne, prawie walcowate odłamki sęczkami opatrzone, naksztalt kółców cydarytów; przy żadnym z nich jednak nie zdarzyło mi się dostrzedz nasadowej obrączki.

b) STELLERIDAE.

Poteriocrinus Mill.

Cupressocrinus pentaporus Eichw.? Bull. de Moscou 1854 N. 1

p. 9.

Wszystkie tych rodzajów skamieniałości natrafiają się w tak małych cząstkach, że nie można gatunków zadeterminować z pewnością.

Cyathocrinites rugosus Mill. Eichw., die Urwelt Russl. 3 H. p. 109.

— *pinnatus* Mill. Eichwald, tamże.

c) BRYOZOA.

Eschara scapellum var. maj. Eichw. die Urwelt Russl. 3 H. p. 107.

Discopora punctata Eichw. Bull. de Moscou 1855 N. 4 p. 459.

Myriapora (Millepora) fastigiata Eichw. Iter Ingr. p. 21; Bull. de Moscou 1856 N. 1 p. 88.

d) ANTHOZOA.

Stromatopora concentrica Eichw. (*polymorpha* Gold.) Eichwald.

Beitr zur geogr. Verbreit. der foss. Thier. Russl. Bull. de Moscou 1855 N. 4 p. 445.

Philodictia lanceolata Eichw. l. c. Urwelt Russl. 3 H. p. 107 pod Oryninem.

Calamopora polymorpha Eichw. Urwelt Russl. l. c.

— *gottlandica* Eichw. l. c.

Omphyma fastigiatum Eichw. Naturh. Skizze p. 187; Bull. de Moscou 1856 N. 1 p. 107.

— *septigerum* Eichw. l. c.

Flabellum turbinoliforme Andr. Syst. Tyr.; Bull. de Moscou 1852 N. 1 p. 229 Tab. IV f. 6.

Aulopora serpens Eichw. Die Urwelt Russl. 3 H. p. 108.

Lithodendron species? Eichw. Nat. Skizze p. 187. w Kamieńcu i Mukszy.

Cyathophyllum heliantoides Eichw. die Urwelt Russl. 3 H. p. 108.

— *coespitosum* Goldf. Eichwald l. c. i Bull. de Moscou 1850 N. 1 p. 105.

— *ceratites* Eich. z wielą odmianami które Eichwald nazwał *Cyath. (Turbinolia) fastigiatum, gibberorum, septigerum*. Die Urwelt Russl. 3 H. p. 108, pod Oryninem.

Cyathophyllum dianthus Goldf.

— *hypocrateriforme* Goldf.

— *turbinatum* Goldf.

— *vermiculare* Goldf. Eichwald, Nouv. Mém. de la Soc. Imp. des Nat. de Moscou T. IX p. 68. Ueber die Eifel und die Grauwacke überhaupt.

Pachyphyllum gibberosum Eichw. Naturhist. Skizze p. 187.

Amplexus decoratus Eichw. Die Urwelt Russl. 3 H. p. 108. Bull. de Moscou 1856 N. 1 p. 106.

Hydnophora radula Eichw. Naturhist. Skizze p. 187. Bull. de Moscou 1856 N. 1 p. 112.

Helionora interstincta Eichw. Die Urw. Russl. 3 H. p. 107.

Harmodites distans Fisch. (*Syringopora reticulata* Goldf.). Eichw. die Urwelt Russlands 3 H. p. 107 w Zawału nad Zbruczem.

Syringopora radians Fisch. (*S. catenata* Morr.) Eichwald Beitr. zur geogr. Verbr. der foss. Thier. Russl. Bull. de Moscou 1856 N. 1 p. 97.

— *intricata* Eichwald, Naturhist. Skizze p. 202 i Bull. de Moscou l. c.

Nakonec niewyraźne szczątki gatunków z rodzajów *Strombodes* Schweig. *Cystiphyllum* Lonsd. *Cyclolithus* Ehr.

e) SPONGIAE.

Sciphia species?

Pod wierzchniemi pokładami ukrywa się obfita żyła wody mineralnej, spływającej do sześciu krynic w samym Kamieńcu i do jednej na przedmieściu Polskich folwarkach. Wszystkie te krynice znajdują się tylko w części południowo-zachodniej miasta, wyniesionej przeszło na 60 stóp nad poziom rz. Smotrycza. Woda w nich czysta, ma smak słonawo-mdły, zachowuje się długo bez zepsucia, do picia nieprzyjemna, do gotowania a nawet do prania bielizny niezdatna, gdyż mięso od niej czerwienieje a mydło przejada. Temperatura jej nie przechodzi + 7° R. Niektórzy lekarze przypisują jej skuteczność w chorobach skórnych, skrofulach i reumatyzmach: używa się do kąpeli i za napój, a sprawia lekkie rozwolnienie. Rzączyński w swojej *Historia naturalis cur. Reg. Pol.* wydanej w 1721 (p. 115) i w *Auctarium hist. nat.* (p. 183) wspomina tylko o dwóch źródłach, z których jedno między Polską bramą a zankiem, miało zawierać olej skalny, a drugie saletrę. Mieszkający w Kamieńcu przed 50cią laty Dr. Szain, podał był do publi-

cznej wiadomości postrzeżenia swoje o skutkach lekarskich tej wody i o jej częściach składowych, w bruszurce drukowanej w Mińkowiec 1804 r., rozbiór ten jednak nie odpowiada dokładności wymaganej w dzisiejszym stanie nauki. Według świeżo zrobionego przez p. *Markiewicza*, właściciela apteki na przedmieściu Polskich folwarkach, na moją prośbę rozbioru tej wody, ze źródła znajdującego się tamże; w 540 częściach swoich zawiera ona części stałych: wodochloranu wapna 0,66; przewęglanu wapna 0,11; siarkanu wapna 0,23. Ściekając po skałach i naczyniach, w krótkim przeciągu czasu pokrywa je dość grubą powłoką wapienną. Zresztą podobną własność mają wszystkie wody kamienieckie: tak woda ciekąca z krynic po skale nad ogrodem Wita, inkrustuje pięknie mchy, a w Smotryczu małże (*Melanopsis acicularis*) pokrywają się często skorupą osadu wapiennego. Kamieniec położony pod 48°40' szer. półn. i 44°14' dług. wschod. ma klimat łagodny lecz zmienny. Zima bywa zwykle tak niestała, że niekiedy nazajutrz po mrozie kilkanaście stopni wynoszącym, następuje deszcz i zupełna odwilż; wydarzają się jednak silne choć niedługo trwające zimy które do 27° R. dochodzą. Śniegi rzadko bywają obfite i długotrwałe. Pod koniec zimy od połowy lutego wczesna nader wegietacya, robi nieznaczne przejście do wiosny, pospolicie z początku wietrznej i wilgotnej, a w ostatniej swej części równie jak lato gorącej. Jesień, zawsze prawie piękna, przedłuża ciepłą pogodę niekiedy do połowy listopada (1). Chociaż wszystkie okolice Podola na południe ku Dniestrowi posunięte, odznaczają się prędszém dojrzewaniem zbóż i wszelkich owoców; w Kamieńcu jednak, różnica pod tym względem od miejsc przyległych i bardzo nawet blizkich, wydatniejszą jest nierównie i nagłej spostrzeżać się daje. I tak jadąc od północy o dwie mile od miasta pod wsią Nihinem, daje się widziéć łańcuch dość wysokich skalistych wzgórz, których nagie, stożkowate wierzchołki, charakterystyczne mają wejrzzenie; sąto Karpaty w miniaturze, a rzeczywiście dalekie ich odnogi,

(1) Czas uważamy według kalendarza nowego.

Miodoborami i *Toltrami* zwane. Wzgórza te o pół mili od Kamieńca, od wsi Huminiec zwracając się ku południo-wschodowi, idą dalej w kierunku równoległym z korytem Dniestru, niektóre zaś ich ramiona, za wsią Wróblowcami do Bessarabii wkraczają. Zbliżając się do Kamieńca w początkach marca po przebyciu pomienionych wzgórz, natrafiamy na najwyraźniejszą linię przedziału; kiedy z jednej strony mroźny wiatr powiewa, a zamarzłe jeszcze pola zalega śnieg jędrny i obfity; z drugiej o kilkaset zaledwo kroków łagodniejsze powietrze i zieloność trawy wyzierającej zpod stopniałych już śniegów, zwiastują pożądane przejście od surowej zimy, do wiosny pełnej nadziei i życia. Tymto wzgórzom, zasłonie od wiatrów północnych, tudzież położeniu na przestrzeni zniżającej się coraz ku Dniestrowi, i zachodnim wiatrom które pod koniec zimy przyspieszają topnienie śniegów, winien Kamieniec wskazaną dopiero, a tak wydatną różnicę klimatu swego w porównaniu z przyległemi okolicami.

Z dziesięcioletnich postrzeżeń które robiłem w Kamieńcu nad roślinami, zwierzętami i stanem powietrza, otrzymałem wypadki następujące:

a) CO DO ROŚLIN.

Rozwijają się:

| | najwcześniej | najpóźniej |
|--|--------------|----------------|
| Graby, osiki, leszczyna | 17 kwiet. | 25 kwiet. (1). |
| Dęby (<i>Quercus pedunculata</i>). | 27 kwiet. | 12 maja. |
| Orzechy włoskie | 22 „ | 2 „ |
| Kasztany (<i>Aesculus hippocast.</i>). | 28 „ | 5 „ |
| Robinie białe czyli akacje | 28 „ | 5 „ |
| Morwy białe (<i>Morus alba</i>) | 4 maja. | 12 „ |

Zaczynają kwitnąć:

| | | |
|--|-----------|-----------|
| Śnieżyca (<i>Galanthus nivalis</i>). | 6 marc. | 20 marca. |
| Szafran (<i>Crocus vernus</i>) | 9 „ | 20 „ |
| Wierzba (<i>Salix pentandra</i>) | 6 kwiet. | 22 kwiet. |
| Czereśnie | 22 „ | 10 maja. |
| Wiśnie „ „ | 24 „ | 14 „ |
| Bzy wonne (<i>Syringa vulgaris</i>) | } 2 maja. | 21 „ |
| Robinie żółte (<i>Caragana arborescens</i>) | | |

(1) Wszystkie daty są wskazane według nowego stylu.

| | najwcześniej | najpóźniej |
|---|--------------|------------|
| Tarnina (<i>Prunus spinosa</i>) | 4 maja. | 23 maja. |
| Akacja „ „ | 17 „ | 1 czer. |
| Orzech włoski | 17 „ | 1 „ |
| Kasztan | 28 kwiet. | 15 maja. |
| Morwa biała | 17 maja. | 25 „ |
| Lipy | 24 czer. | 7 lipca. |
| Dojrzewają poziomki | 2 „ | 8 czer. |

Uwaga. Niekiedy miewamy poziomki powtórnie we Wrześniu. — Drzewa owocowe szczególnie pestkowe, zupełnie nie kwitły tej wiosny (1856).

Liście zrzucają:

| | | |
|--|------------|------------|
| Graby, leszczyna, osika | 24 paźd. | 15 listop. |
| Dęby (<i>Q. pedunculata</i>) | 12 listop. | 27 „ |

b) CO DO ZWIERZĄT.

| | | |
|---------------------------------------|-----------|----------|
| Skowronki | | |
| przylatują | 6 luteg. | 3 marc. |
| odlatują | 11 paźd. | 27 paźd. |
| Gęsi (<i>Anser segetum</i>) | | |
| przylatują | 11 marc. | 28 marc. |
| odlatują | 11 wrze. | 22 wrze. |
| Bociany | | |
| przylatują | 17 marc. | 2 kwie. |
| odlatują | 2 wrze. | 15 wrze. |
| Zórawie | | |
| przylatują | 24 marc. | 2 kwie. |
| odlatują | 4 wrze. | 28 wrze. |
| Jaskółki (<i>Hirundo urbica</i>) | | |
| przylatują | 5 kwie. | 21 kwie. |
| odlatują | 26 wrze. | 2 paźd. |
| Pustułki (<i>Falco tinnunculus</i>) | | |
| przylatują | 3 marc. | 22 marc. |
| odlatują | 27 wrze. | 17 paźd. |
| Szpaki | | |
| przylatują | 11 marc. | 27 marc. |
| odlatują | 27 wrze. | 8 paźd. |
| Gołębie siniaki (<i>C. oenas</i>) | | |
| przylatują | 22 luteg. | 27 marc. |
| odlatują | 22 wrze. | 8 paźd. |
| Słowiki (<i>Luscinia philomela</i>) | | |
| zaczynają śpiewać | 21 kwie. | 27 kwie. |
| przestają śpiewać | 22 czer. | 3 lipca. |
| odlatują | 15 wrze. | 22 wrze. |
| Przepiórki | | |
| zaczynają się odzywać | 22 kwiet. | 30 kwie. |
| odlatują | 22 paźd. | 7 listo. |

| | najwcześniej | najpóźniej |
|---|--------------|------------|
| Kukulki | | |
| przylatują | 7 kwiet. | 17 kwie. |
| odlatują | 7 paźd. | 16 paźd. |
| Żaby (<i>Rana esculenta</i>) | | |
| zaczynają skrzeczeć | 17 kwiet. | 2 maja. |
| przystają skrzeczeć | 27 czer. | 22 sierp. |
| Traszki samce (<i>Triton palustris</i>) | | |
| dostają grzebieni | 4 kwie. | 27 kwie. |
| tracą grzebienie | 5 maja. | 29 maja. |

Pierwsze owady: *Hylecoetus dermestoides*, *Anobium tessellatum*, *Clytus armatus*, *Pyrrhocorys aptera*, ukazują się między 27 lutego a 6 marca. Po nich następują (między 6 a 17 marca): *Clytus arcuatus*, *Xiphydria camelus*, *Sirex gigas*, *Urocerus spectrum*, *Perla nebulosa*, *Vanessa urticae*, *Rhodocera rhamni*.

Chrabąszcze (*Melolontha vulgaris*) wylatują najwcześniej 20 kwietnia, a najpóźniej 18 maja. Lipczyków (*Melolontha fullo*), drugiego gatunku chrabąszczów większych z pokrywami skrzydeł biało nakrapianymi, bardzo pospolitych w Kijowie i jego okolicach, u nas wcale nie ma.

Najdłużej, bo do 24 paźd. i 6 listop. ukazują się następne owady: *Galleruca rustica*, *Coccinella 7 punctata*, *Acanthosoma haemorrhoidalis*, *Oedipoda biguttata*, *Lycæna battus*, *Gonoptera libatrix*, *Tanypus pulicarius*.

c) CO DO STANU POWIETRZA.

| | najwcześniej | najpóźniej |
|----------------------------------|--------------|------------|
| Rzeka Smotrycz zamarza | 6 listop. | 25 grud. |
| „ „ puszcza | 12 luteg. | 10 marc. |

Błyskawice i grzmoty wydarzają się niekiedy w porze niezwyklej: i tak 10 stycznia 1847 mieliśmy mocne błyskawice, a grzmoty 20 listopada 1851.

Najsilniejsze mrozy dochodzą do 27° R., największe upały do 30° R. w cieniu. W późnej jesieni wydarza się niekiedy ciepło na kilkanaście stopni w cieniu, i tak: $\frac{3}{15}$ paździer. 1851 było + 18° R., $\frac{15}{27}$ paździer. 1854 + 19° R., 23 paździer. (4 listop.) 1855 r. + 17° R. Do najrzadszych zjawisk należy zorza północna, która ukazała się była w całej swój świetności $\frac{4}{16}$ listop. 1848 r. i trwała przez 3 wieczory, coraz jednak stając się mniej

widoczną. W dniu $\frac{4}{10}$ lipca 1856 roku, podczas gdy niebo na północy i zachodzie pokrywały gęste chmury a część pogodną przeciwległą na południu i wschodzie, oświecał księżyc w ostatnim dniu swjej pierwszej kwadry; ukazała się na pomienionych chmurach tęcza. Zakreślała ona ogromne i wyraźne półkole, składała się z dwóch tylko kolorów: żółtego i czerwonego, a trwała blisko 3 min.

Szczególnych fenomenów powietrznych (prócz niekiedy nadzwyczaj burzliwych wiatrów) nikt w nowszych czasach nie pamięta. W dniu $1\frac{1}{2}$ czerwca 1845 r. upadł grad ogromny pod postacią nieforemnych bryłek lodu ważących około funta, a $\frac{9}{21}$ czerwca 1856 mieliśmy grad około godziny 10 wieczorem (9 m. 35) wielkości orzechów laskowych. Rzeczyński w swoim *Auctarium historiae naturalis curiosae Reg. Pol.* na str. 479 podaje, że 18 paździer. 1728 r. około godz. 8 wieczorem ukazał się był nad Kamieńcem meteor nadzwyczaj jasny, naksztalt kuli ognistej (zapewne bolid), niby głównie rozpaloną w sobie zawierający, który o ćwierć mili od miasta pod wsią Dłużkiem, zagasł z takim hukiem, jak gdyby z dział wystrzelono, a wówczas zatrzęsły się skały Kamieńca. Tenże autor wspomina (tamże str. 498) o podziemnym łoskocie na podobieństwo wystrzałów działowych, który słyszano w Kamieńcu w czerwcu 1721 r., tudzież o trzęsieniu ziemi trwającym przez pół kwadransu dnia 20 września 1728 r. W naszych czasach, prócz lekkiego bardzo trzęsienia ziemi w styczniu 1839 roku, żadne inne ważne zjawiska tego rodzaju, miejsca tu nie miały.

Miejscowość której tu opis podaję, zanadto jest szczupłą, aby jej flora mogła się wydatnie odznaczać od flory przyległych okolic; to też rośliny kamienieckie wchodzą w ogólny spis roślin Podola i nie ma żadnej prawie takiej, coby była wyłączną naszą własnością; a jeżeli niektóre obficie się znajdują i lepiej udają się u nas niż gdzieindziej, to naturalnej tego przyczyny szukać należy w położeniu miejsca i gatunku ziemi. Z obcych przyswojonych roślin najpomyślniej się hodują: robinia biała, pospolicie akacją zwana (*Robinia pseudoacacia* L.);

o niej powiedzieć można, że jest drzewem prawdziwie lubiącem Kamieniec; przyjmuje się z największą łatwością, wyrasta prędko do znacznej wysokości i stanowi główną ozdobę nielicznych ogrodów naszego miasta, na którego skalistej ziemi, mało jakie drzewo długo utrzymać się może. Oliwnik wązkolistny (*Elaeagnus angustifolius* L.), u nas pod niewłaściwem nazwiskiem wierzby balsamicznej znajomy, dorasta do 3ch prawie sążni wysokości, kwitnie obficie w maju i wówczas mocną, balsamiczną wonią całe miasto napelnia a wytrzymuje najtęższe zimy nasze, w ciągu których marzną drzewa orzechów włoskich i śliw węgierek, jak to się wydarzyło ostatniej zimy. Morwa biała (*Morus alba* L.), orzech włoski (*Juglans regia* L.); winorośl dająca owoc soczysty i słodki; nakoniec kukurydza w znacznej ilości w polach uprawiana. Drzewa iglaste nie rosną dziko w okolicach Kamieńca, a nawet pielęgnowane w niektórych ogrodach sosny nie udają się; za to świerki (*Pinus picea* v. *Abies pectinata*) (1), mogłyby być zaprowadzone, bo widocznie lubią grunt tutejszy: świadczy o tém piękna aleja świerkowa blisko ćwierć mili ciągnąca się w dobrach p. Raciborowskiego w Makowie niedaleko od Kamieńca (2).

Zbieraniem i poznawaniem roślin kamienieckich zajmowali się: dawny urzędnik medyczny Dr. *Friedlender*, tudzież pp. *Besser* i *Andrzejowski*, były uczeń liceum krzemienieckiego, p. *Romuald Szydelski*, niemniej mieszkający dotąd u nas Dr. *Karol Fokkelman*, który posiada starannie wypracowany katalog drzew i krzewów podolskich. Wszystkie prawie przez nich znajdowane rośliny, do tysiąca przeszło gatunków, i ja także natrafiałem. Tutaj załączam spis zaledwo małej ich liczby, jako zarys tylko flory naszej; dla porównania zaś w jakim zostajemy stosunku do innych miejscowości, pod względem klimatu i przymiotów ziemi, obok niżej wymienionych jawnopłciowych roślin, wskazałem kraje

(1) Jestto gatunek, który w król. Polskiem nazywamy jodłą.

P. R.

(2) Buki rosną dopiero pod Wojtkowcami nad Zbruczem i około Satanowa na granicy z gubernią wołyńską, a zatem przechodzą zakres opisywanej tu okolicy.

w których one także się znajdują i gatunek gruntu na którym najchętniej się udają.

ACOTYLEDONEAE DC.

a) *Algae.* (Porosty wodne).

Lemanea fluviatilis L. (omrzywo). Obrasta słupy młynów w wodzie stojące nad Smotryczem i Zwańczykiem. *Conferva rivularis* (zielenica); *C. fontinalis* L.—*Oscillatoria limosa* (węźnica), *Vaucheria terrestris* (zrostnica); *Nostoc commune* (trzęsido). Ta to masa galaretowata, po ulewnych deszczach więcej widoczna bo napęczniała, od niecoświeconego gminu za cząstki spadłej chmury jest uważana.

b) *Lichenes.* (Liszaje).

Graphis scripta (literak); *Lecidea atrovirens*; *L. lapicida* (krążniki); *Patellaria nigra* (czasznik); *Stereocaulon paschale* (chrościk); *Parmelia fraxinea*, *P. parietina* (tarczowniki).

c) *Mycetes.* (Grzyby).

Sphaeria fusca, *poronica*, *coryli* (kulnice); *Bostrychia leucosperma* (macnik); *Rhytisma salicinum* (łuszczenniec); *Agaricus muscarius* (muchomor); *Agaricus driophilus* (opieńki) rosną w jesieni niekiedy bardzo obtacie i stanowią smaczny i zdrowy pokarm. *Agar. russula* (syroiszka) także jadalne i dość smaczne bedlki. *Ag. piperatus* (mleczak c. bielak) wieśniacy jadają je lecz wprzód odgotowują i wodę gorzką odlewają. *Ag. campestris* (pieczarki); *Ag. comatus* (kolpaki); *Merulius cantharellus* (lisice a. gąski); *Bolletus luteus* (maślak); *B. edulis* (grzyb właściwy); *B. cyanescens* (siniak); *Bol. fomentarius et ignarius* (hubki); *Helvella esculenta* (piestrzonica); *Morchella esculenta* (smardz); *Lycoperdon areolatum* (purchawka); *Lycoperdon tuber* (trufle) znajdują się o 4 mile od Kamieńca, pod Iwachnowcami, Czemerowcami i Kapinem.

d) *Musci.* (Mchy).

Phascum curvicolium (brodak); *Harrissonia aquatica*. *Anoetangium ciliatum* (pazdziorek) na skałach; *Grimmia pulvinata*, *Barbula muralis* (zwojek).

| | Czas kwitnienia. | Ojczyzna. | Miejscowość. |
|--|------------------|------------------------------------|-------------------------|
| MONOCOTYLEDONEAE DC. | | | |
| a) <i>Cryptogamae</i> . | | | |
| <i>Ophioglossum vulgatum</i> L. | | Europa — Ameryka północna. | w lasach między mełami. |
| <i>Pteris aquilina</i> L. | | Europa, Azja i Ameryka północna. | lasy suche |
| <i>Aspidium dilatatum</i> Sm. | | Anglia, Szwajcarya, Francya. | okolice gór-rzyste. |
| b) <i>Phanerogamae</i> . | | | |
| <i>Setaria germanica</i> S. | Lip.—Sierp. | Kraje wsch. i pol. Niemcy. | przyswojona w ogrodach. |
| <i>Stipa pennata</i> L. | Maj—Czer. | Niemcy. | wzgórza wapienne. |
| <i>Poa versicolor</i> Bess. | Lip.—Sierp. | Niemcy, Szw. także. | Alpy. |
| <i>Sesleria coerulea</i> Ard. | Mar.—Kwie. | | góry wapien. |
| <i>Bromus sterilis</i> L. | Czer.—Sier. | Eur. połud. | mury, miejsca jałowe. |
| <i>Agropyron cristatum</i> P. de B. | Maj—Wrze. | Czech, Węgr. | miejsca skaliste. |
| <i>Lolium tenue</i> MB. | Czer.—Wrz. | Niemcy. | wzgórza. |
| CYPERACEAE. | | | |
| <i>Vignea brizoides</i> L. | Maj—Czer. | Włochy, Szw. | łąki. |
| — <i>leporina</i> L. | | Alpy około Saltzburga, Szwajcarya. | góry. |
| <i>Scirpus holoschoenus</i> L. (<i>Heleogiton glaucum</i> Sm.) | Czer. — Lip. | Europa poł. | miejsca błot. |
| ALISMACEAE. | | | |
| <i>Sparganium ramosum</i> Sm. | Lip.—Sierp. | Europa, Syb. Amer. półn. | rowy, brzegi stawów. |
| AROIDEAE. | | | |
| <i>Arum maculatum</i> L. | Kwie.—Cze. | Europa polu. | lasy. |
| LILIACEAE. | | | |
| <i>Allium moschatum</i> L. | Sier.—Wrz. | Węgry. | skaly wap. |
| <i>Scilla bifolia</i> Ait. | Mar.—Kwie. | Czechy polu. Sakson. okolic Renu. | lasy jasne i trawiaste. |
| ASPARAGEAE. | | | |
| <i>Asparagus officinalis</i> L. | Czer. — Lip. | Europ. połud. i środkowa. | pola. |

| | Czas kwitnienia. | Ojczyzna. | Miejscowość. |
|---|----------------------------------|---------------------------------------|-------------------------------------|
| AMARYLLIDAE. | | | |
| <i>Galanthus nivalis</i> L. | Marzec. | Europa poł. i środkowa. | lasy. |
| IRIDEAE. | | | |
| <i>Iris graminea</i> L. | } Maj—Czer. | Włochy. | miejsca wyniosłe. |
| — <i>humilis</i> M. B. | | Szwajcarya. | |
| — <i>sibirica</i> L. | Maj—Lipiec. | Niemcy poł. i śród.; Szw. Syb. Włoch. | } łąki. |
| — <i>hungarica</i> W. K. | Maj—Czer. i powtórnie w jesieni. | Węgry. | |
| <i>Crocus vernus</i> All. | Marzec. | Hiszp. Port. Szwajcarya, Alpy, Piren. | wzgórza leśne na słońce wystawione. |
| ORCHIDAE. | | | |
| <i>Orchis pyramidalis</i> L. | Maj. | Szwajc. Belg. Francya. | } łąki górzyste. |
| <i>Malaxis monophyllos</i> Sw. | Czer.—Lip. | Szwaj. Karniolia, Węgr. Alpy, Szwaj. | |
| <i>Corallorrhiza innata</i> R. Br. | Lip.—Sier. | | lasy. |
| DICOTYLEDONEAE CONIFERAE. | | | |
| <i>Pinus picea</i> L. (<i>Abies pectinata</i>). | Maj. | Europa umiarkow. | wzgórza wapienne. |
| AMENTACEAE. | | | |
| <i>Quercus pubescens</i> W. | } Kwiecień. | Węg. Czech. Europ. umia. | lasy górzyste. lasy. |
| — <i>pedunculata</i> Ehrh. | | | |
| EUPHORBIACEAE. | | | |
| <i>Euphorbia villosa</i> W. et K. | Czer.—Sier. | Węgr. Dalm. Włochy. | łąki wilgotne. |
| — <i>virgata</i> W. et K. | Maj—Czer. | Węgr. Austr. | brzegi dróg. |
| — <i>lacida</i> W. et K. | Lip.—Sierp. | Węgr. połud. Szląsk. | łąki wilgotne. |
| — <i>amygdaloides</i> L. | Maj—Lip. | Niem. połud. prowincye nadreńskie. | wybrzeża lasów górzystych. |
| ELAEGNEAE. | | | |
| <i>Elaeagnus angustifolius</i> L. | Maj—Czer. | Wyspy morza Adratyck. | ogrody. |
| CAMPANULACEAE. | | | |
| <i>Alpini</i> L. | Czer.—Sier. | Piemont. | łąki górzyste. |

| | Czas kwitnienia. | Ojczyzna. | Miejscowość. |
|---|------------------------------|--|-------------------------------------|
| Campanula trachelioides. — crenata. | } Czer.—Lip. | Saxonia, Turynia. | miejsca górzyste. |
| LABIATAE. | | | |
| Salvia glutinosa L. | Czer.—Lip. | Szwajcarya. | lasy górzyste. |
| Ajuga chamaepytis Schreb. | Maj—Czerw. | Włochy, Szw. Węg. Barba. Wirginia. | grunta wapienne. |
| Teucrium supinum Jacq. Phlomis tuberosa L. | } Czer.—Sier. | Austria. Węg. Trans. Syberya. | góry wapienne. łąki, brzegi rowów. |
| Thymus montanus W. et K. | | | |
| Sideritis montana. | Maj—Sierp. | Węgry. | wzgórza wapienne. |
| Acinos thymoides Mch. — villosus Prs. | } Czer.—Sier. | Węgry, Dalmacya. | wzgórza. |
| Dracocephalum Ruyschian. L. | | | |
| Hyssopus officinalis L. | Czer.—Sier. | Europa południowa. | mury, góry skaliste. |
| Molucella laevis L. | Sierpień. | Syrya. | zdziczały w ogrodach. |
| RHINANTACEAE. | | | |
| Veronica Frölichiana Rehb. — montana L. — longifolia Baumg. | Maj. Maj—Czer. Lipiec. | Alpy. Szwaj. Włoch. Węgr. Czech. | past. górskie. lasy cieniste. łąki. |
| ANTIKRHINEAE. | | | |
| Liuaria dalmatica Mill. | Lip.—Sierp. | Dalmacya, Transylw. | okolice górzyste. |
| SOLANAEAE. | | | |
| Physalis Alkekengi L. Scopolina atropoides Schult. | Czer.—Lip. Kwie.—Maj. | Włochy, Jap. Kroacya, Węg. Transylwania. | jary, rozdoly, lasy górzyste. |
| BORAGINEAE. | | | |
| Cerinth maculata L. | } Czer.—Lip. | Karpaty, Włochy. | łąki. |
| Echium rubrum Jacq. | | | |
| Lithospermum dispernum M. B. Anchusa Barrelieri Bess. | Maj. Maj—Czer. | Hiszpania. Węg. połud. | wzgórza. lasy. |
| APOCYNAEAE. | | | |
| Vinca major L. — herbacea W. Kit. | } Kwiecień. | Fran. Hiszp. Szwajcarya. Węg. Tran. | gruzy. wzgórza. |

| | Czas kwitnienia. | Ojczyzna. | Miejscowość. |
|--------------------------------------|------------------|-------------------------------------|---|
| JASMINEAE. | | | |
| <i>Fraxinus excelsior</i> L. | Kwiecień. | Szwajcarya, Węgry, | w Alpach do 3,500 stóp, w Karpatach do 2,500 st. wyniosłe miejsca zarasta. |
| COMPOSITAE. | | | |
| <i>Cirsium eriophorum</i> Scop. | Lip. — Wrze. | Węgry. | } góry wap. |
| <i>Serratula radiata</i> M. B. | Lip. — Sierp. | Węg. Trans. | |
| <i>Echinops sphaerocephalus</i> L. | Lip. — Sierp. | Europa poł. | } równiny skal. |
| <i>Carduus hamulosus</i> Ehrh. | Czer. — Sier. | Trans. Węg. | |
| <i>Centaurea trinervia</i> Steph. | Lip. — Sierp. | Transylwan. | } lasy górzys. łąki. |
| — <i>paniculata</i> L. | Czer. — Lip. | Niem. Węgr. | |
| — <i>sibirica</i> M. B. | Lipiec. | Syberya. | } brzegi las. |
| <i>Aster amellus</i> L. | Lip. — Sierp. | Europa poł. | |
| — <i>dracunculoides</i> Lamk. | Lipiec. | Ameryka pół | } wzgórze. |
| <i>Senecio Jacobaea</i> L. | Lip. — Wrze. | Euro. umiarkowana. | |
| — <i>erucaefolius</i> Huds. | Sier. — Wrz. | Flandr., prowincye nadr. | } brzegi lasów, łąki. Odmiana olbrzymia do 10 stop. wysoka rośnie koło Kamieńca. |
| <i>Bellis perennis</i> L. | Mar. — List. | Europa, nie przechodzi gran. Buków. | |
| <i>Bupthalmum cordifol.</i> W. et K. | Lip. — Sierp. | Kroac. Ban. | } łąki leśne. wzgórze skal. nad drogami, uprzykrzony ten chwast, był przed 30 laty bardzo u nas rzadki. |
| <i>Scorzonera purpurea</i> L. | Maj — Czer. | Węg. Trans. | |
| <i>Xanthium spinosum</i> L. | Lip. — Wrze. | Węg. Niem. południowe. | |
| <i>Scabiosa uralensis</i> Murr. | Lip. — Wrze. | Bannat, Węgry, Syberya | } wzgórze. |
| VALERIANEAE. | | | |
| <i>Valerianella dentata</i> DeC. | Maj. | Niemcy poł. | } pola. |
| — <i>auricula</i> , | Lipiec. | Tyrol. | |

| | Czas kwitnienia. | Ojczyzna. | Miejscowość. |
|---------------------------------------|-----------------------|--|---|
| RUBIACEAE. | | | |
| Gallium ruthenicum Will. | Maj—Lipiec. | brzezi niższej Wolgi. | łąki. |
| CAPRIFOLIACEAE. | | | |
| Hedera helix L. | n nas nie kwitnie. | Europa polu. i środkowa. | pod drzewa- mi w lasach cienistych. |
| Cornus mascula L. | Mar.—Kwie. | Czechy, Tu- ryngia. | } wzgórze skaliste. |
| — sanguinea L. | Czer.—Lip. | Niemcy polu. | |
| Sambucus nigra L. | Czerwiec. | Europa polu. | brzezi dróg. lasy skaliste. |
| Viburnum lantana L. | Maj. | i środkowa. | |
| UMBELLIFERAE. | | | |
| Siler aquilifolium Gärt. | } Lip.—Sie. | Węgr. Tran. | wzgórze, brzezi lasu. |
| Anethum graveolens L. | | Włochy. | |
| Levisticum vulgare J. (zdziczały). | Czerwiec. | Włochy, Apeniny. | pastwiska górne. |
| Bupleurum junceum Poll. | Lip.—Wrze. | Dalmacya, Wł. Szwaj. | łąki. |
| Chaerophyllum aromaticum L. | Maj—Wrze. | Czech. Szląs. | łąki leśne. |
| ONAGREAE. | | | |
| Trapa natans. | Maj—Sierp. | Europa polu. | stawy, jezior. |
| CRASSULACEAE. | | | |
| Sempervivum globiferum M. | Lip.—Sierp. | Szląsk, Sax. | góry skaliste. |
| ROSACEAE. | | | |
| Amygdalus nana L. | Kwie.—Maj. | Węgr. połud. Transylwan. | wzgórze. |
| Prunus mahaleb L. | } Kw.—Maj. | Europa polu. | góry wa- pienne. |
| — chamaecerasus L. (P. pumila). | | | |
| Spiraea crenata LW. | Maj. | Węgry. | lasy górzyste. brzezi lasów. |
| Rosa pumila Clus. | Maj—Czer. | Węgry, Cze- chy, prowincye nadreń- skie. | łąki w gó- rach. |
| Crataegus monogyna Jacq. | Maj—Czer. | Fran. Włoch. | lasy górzyste. |
| Cotoneaster vulgaris Lindl. | Kwi.—Maj. | tamże. | wzgór. wap. |
| Pyrus torminalis Ehrh. | Maj. | Węg. Szwaj. | lasy. |

| | Czas kwitnienia. | Ojczyzna. | Miejscowość. |
|--|---------------------------|--|---|
| LEGUMINOSAE. | | | |
| <i>Genista triangularis</i> Ait. (<i>G. triquetra</i> W. Kit). | Czerwiec Lipiec. | Bannat. | wzgórza wapienne. |
| <i>Cytisus capitatus</i> Jaq. — <i>austriacus</i> L. | Czer.—Sier. Maj—Sierp. | } tamże. | tamże. |
| <i>Melilotus procumbens</i> B. | Maj. | | Węgry. |
| <i>Trifolium pannonicum</i> L. — <i>alpestre</i> . | } Lip.—Sie. | Węgry. | łąki. |
| <i>Glycyrrhiza glandulifera</i> W. K. | | Czer.—Lip. | Piemont. |
| <i>Astragalus monspessulanus</i> L. — <i>austriacus</i> L. | Czer.—Lip. Kwie.—Maj. | Węgry. | łąki. |
| <i>Onobrychis conferta</i> Dsr. | Maj—Czer. | Szwajcarya, Węg. Tran. | wzgórza. |
| <i>Vicia sylvatica</i> L. | Czerwiec. | Aust.—Węg. | wzg. wapien. |
| <i>Rhus cotinus</i> L. | Czer.—Lip. Czer.—Lip. | Węg.—Ban. Alpy. Włoch. Szwaj. Syberya. | wzg. podleś. wzgórza na słońce wy- stawione. |
| CELASTRINEAE. | | | |
| <i>Staphylea pinnata</i> L. <i>Evonymus verrucosus</i> L. | } Maj—Cze. | Niemcy połn. Czech. Transylwania. | } lasy górz. |
| RUTACEAE. | | | |
| <i>Aplophyllum linifolium</i> Juss. <i>Dictamnus fraxinella</i> Pers. | Maj—Czer. Maj—Lipiec. | Dahn, Kroac. Czech. Szwaj. | poła. łąki górskie. |
| GERANIACEAE. | | | |
| <i>Geranium collinum</i> Steph. | Maj—Czer. | Syberya. | wzgórza skal. |
| AMPELIDEAE. | | | |
| <i>Vitis vinifera</i> L. | Maj—Czer. | Europa połn. i umiarkow. | wzgórza na słońce wy- stawione. |
| ACERINEAE. | | | |
| <i>Acer tataricum</i> L. — <i>pseudoplatanus</i> L. | } Maj. | Węg. Kroa. Szwaj. Alpy. | lasz. lasz górzystc. |
| TILIACEAE. | | | |
| <i>Tilia platyphyllos</i> Scop. | Czerwiec. | Niem. połud. | lasz górzyste. |
| LINEAE. | | | |
| <i>Linum hirsutum</i> L. | Czer—Lip. | Węg. Czech. | miej. gó. i sk. |

| | Czas kwitnienia. | Ojczyzna. | Miejscowość. |
|--------------------------------------|------------------|--|--------------------------------|
| CARIOPHYLLAEAE. | | | |
| <i>Dianthus collinus</i> W. et. Kit. | } Lip.—Wr. | Węg. Gal. | wzgórza. |
| — <i>deltoides</i> . | | | pola. |
| <i>Silene supina</i> M. B. | Czer.—Sier. | Transylwan. | wzg. na słon. wystawione. |
| <i>Lychnis chalcidonica</i> L. | Czer.—Lip. | Syberya. | łaki leśne. |
| <i>Arenaria setacea</i> Thuill. | Kwie.—Maj. | Tyrol, Węg. | wzgórza. |
| POLYGALAEAE. | | | |
| <i>Polygala major</i> Jacq. | Maj—Lipiec. | Węg. Dalm. Apeniny. | wzgór. i gór. |
| VIOLARIEAE. | | | |
| <i>Viola campestris</i> M. B. | } Kwiecień. | Węgry. | góry. |
| — <i>montana</i> L. | | | |
| CRUCIFERAE. | | | |
| <i>Arabis auriculata</i> Lamck. | Kwie.—Maj. | Węgry. | } łaki górz. |
| — <i>hirsuta</i> L. | Maj—Czer. | Czechy. | |
| <i>Cardamine amara</i> L. | Kwie.—Maj. | Szląsk, Cze. | góry. |
| <i>Alyssum saxatile</i> L. | Kwi.—Czer. | Węg. Czech. Włochy. | mury, wzgór. wapienne. |
| <i>Thlaspi perfoliatum</i> L. | } Kw.—Maj. | Szwaj. Niem. | pola. |
| — <i>alpestre</i> L. | | | Francya. |
| <i>Lepidium perfoliatum</i> L. | Maj—Czer. | } Węgry, Trans. | nad drogami. |
| <i>Hesperis tristis</i> L. | Maj. | | |
| <i>Crambe tatarica</i> Jacq. | Maj—Czer. | | pola, wzgór. |
| BERBERIDEAE. | | | |
| <i>Berberis vulgaris</i> . | Kwie.—Maj. | Ameryka pół. Azya, Niemc. połud. aż do gran. buków. | zarośla na wzgórzach. |
| RANUNCULACEAE. | | | |
| <i>Anemone narcissiflora</i> L. | Czer.—Sier. | Niemcy, | góry skaliste. |
| — <i>nemorosa</i> L. | Kwiecień. | Szwajcarya. | doliny górsk. |
| — <i>silvestris</i> Clus. | Maj. | | zarośla na gó- rach wapien. |
| <i>Clematis integrifolia</i> L. | Maj—Czer. | Węgry. | łaki leśne. |
| <i>Isopyrum thalictroides</i> L. | Marz.—Maj. | } Węg. Sab. | lasy skaliste. |
| <i>Adonis vernalis</i> L. | Kwie.—Maj. | | |
| <i>Ranunculus sceleratus</i> L. | Maj—Wrze. | tamże. | wilgotne doli- ny w górach |
| — <i>montanus</i> W. | Kwie.—Sier. | Alpy aż do gran. lodów. | pastwiska. |
| <i>Helleborus purpurascens</i> W. | Marz.—Kw. | Węg. Tran. | lasy górzyste. |

Z powyższej tablicy łatwo dostrzedz, że flora nasza obejmuje znaczną liczbę roślin lubiących klimat umiarkowany, okolice górzyste i ziemię wapienną; to też najczęściej mamy gatunków właściwych Włochom, Szwajcaryi, Węgrom i Czechom; znajdują się też niektóre syberyjskie i północno-amerykańskie. Roślin błotnych i wodnych, jak najmniej posiadamy, co naturalnie tłumaczy się brakiem miejscowości niskich i wilgotnych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z POWROTEM.

Moja, moja to strona
Już wygląda zza bora,
Gdzie u brzegu jeziora
Stoi lipka zielona.

Po tej drodze przed laty
Spokojnego wieczoru,
Z boru biegłem do chaty,
I znów z chaty do boru.

Nad jeziora przezroczem,
Jak ta wierzba wisząca,
Myślał o czem ni o czem:
O tém świetle miesiąca.

Moja, moja to strona
Już przegląda zza bora,
Gdzie u brzegu jeziora
Stoi lipka zielona.

Żadnej nie ma odmiany,
Wszystko stało jak stoi;
Tylko ja tu nieznanym,
I ci ludzie nie moi.

Przeleciało mi życie
Szybko, jakby dzień Boży;
Jakbym wyszedł o świcie,
A powracał o zorzy.

Wyjdźcież matko, ojcymie,
Siostró moja pociecho:
Znużonego kto przyjmie,
Kto ugości pod strzechą?

Niktże za mną nie czeka,
W wiosce ludzie już nowi:
Któż dziadowi zdaleka
Dobrem słowem odpowie?

T. Lenartowicz.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Paryzkie Towarzystwa wzajemnej pomocy. — Dramatyczno-muzyczny wieczór na dochód Instytutu Notre-Dame-des-Arts. — Ristori we włoskim Makbecie. — Les Doigts de Fée, komedia pp. Scribe i Legouvé. — O dzieciobójstwie u ludów wschodnich. — Pałac pompejański księcia Napoleona. — Projekt mostu na La Manche. — Wiadomości literackie.

Z powodu otwarcia bulwaru Sewastopolskiego i mowy, w której cesarz dokonane dla ubogiej klasy mieszkańców Paryża ulepszenia wymienił, dzienniki tutejsze zajmowały się wiele towarzystwami *wzajemnej pomocy*, którym rząd terazniejszy znaczne summy przeznaczył. Towarzystwa te składają się z samych wyrobników, z których każdy jest obowiązany złożyć co miesiąc do wspólnej kasy pewną część swego zarobku. Z drobnych tych datków rosną miliony, używane ku wspieraniu w potrzebie tychże samych biédaków, którzy je złożyli. Stowarzyszenia *wzajemnej pomocy* niezaprzeczenie wyższe od wszystkich *dobroczynnych* towarzystw, wedle nowego obrachunku liczą dziś w Paryżu przeszło 300,000 członków. Każdy wyrobnik garnie się do nich skwapliwie, gdyż korzyści są wielkie, a nieupokarzające; członek takiego towarzystwa pracuje śmiało, swobodniej oddycha, bo ma za sobą pomoc, którą bez zarumienienia się przyjąć może jako wypłaconą ze wspólnej kasy własną część, bo biorąc te pieniądze nie dostaje jałmużny, ale

używa prawa, do którego się wkupił nie tylko przez regularne opłacanie swej części, ale przez także same usługi już oddane lub mające się oddać współbraciom.

Pierwsze tego rodzaju stowarzyszenia, na których ustawie w miejscu drażniącego ubóstwo miana „*dobroczynności*”, zapisano miły wyraz „*pomocy*”, zawiązały się pod wpływem ewangelicznych zasad rewolucyi 1789 roku. Ale dawniej, jeszcze nawet pod rządem Ludwika Filipa, stały one o własnej mocy, zasilane wyłącznie składkami swych członków. Rząd protegował je, zostawiał im zupełną wolność działania, ale nie dawał żadnej pieniężnej pomocy. Towarzystwa te same sobie piślały ustawy, administrowały swojemi funduszami, nie mając innej nad sobą zwierzchności, prócz wybranych przez siebie prezesów.

Tak było aż do roku 1852. Dekretem wydanym w marcu tegoż roku, rząd przeznaczył paryżkiim zakładom *wzajemnej pomocy* dziesięć milionów franków subwencyi, zachowując sobie prawo mianowania prezesów i potwierdzania ustaw. Nie wszystkie atoli poddały się temu dekretowi; przeszło połowa Towarzystw zrzekła się pomocy rządu, i została niezależna, stojąc jak dawniej o własnych siłach.

Jest więc dziś dwie kategorie Towarzystw *wzajemnej pomocy*: potwierdzone przez cesarza, przez rząd administrowane i zasilane; i nie potwierdzone, nie pobierające rządowej pomocy i rządzące się same wedle dawniej ustawy. Pierwszych w departamencie Sekwany jest 95: te w ciągu ostatnich lat trzech rozdały około 802,000 fr. na żywność, lekarstwa i pogrzeby. Nie potwierdzonych towarzystw jest w Paryżu 275; kapitał ich wynosi blisko pół-szósta miliona franków.

Szybki wzrost stowarzyszeń *wzajemnej pomocy*, których ważność codzien lepiej pojmuje lud paryżki, rokuje rozwiązanie trudnej kwestyi proletaryatu w sposób najprostszy i najgodniejszy. Zapisujemy tu ten fakt, jako jawiącą się na zachodnim horyzoncie zorzę lepszej przyszłości, która kiedyś zapewne i u nas zaświeci.

Prócz tych towarzystw istnieje w Paryżu mnóstwo świeckich zakładów dobroczynnych, założonych przez

osoby prywatne. Do rzędu tych ostatnich należy instytut, który obrał sobie za patronkę *Notre-Dame-des-Arts*, a na dochód którego urządzono tu w tych czasach dramatyczno-muzyczny wieczór. Liczy się on do najpiękniejszych zabaw w szeregu tych, któremi rozjeżdżające się z wiosną wykwintne społeczeństwo pożegnało stolicę. Zanim jednak opiszemy zabawę, powiedzmy słów kilka o zakładzie.

Instytut *Notre-Dame-des-Arts* jestto dom przytułku i wychowania dla córek artystów, literatów i uczonych zmarłych bez majątku, założony i rządzony przez panią d'Anglars de Bassigniac. Zaczyna ta dama należąca do stariej szlachty francuzkiej, zrzekłszy się wszelkich widoków osobistych, cały znaczny swój majątek poświęciła na urzeczywistnienie swjej myśli. Najprzód założyła instytut w dobrach swych Querey, a skoro tam zgorzał zbudowany na ten cel pałac, przeniosła zakład do Paryża na ulicę Rocher, gdzie dziś każdy go może zwiedzić, oraz podziwiać wzorowy porządek administracyi i troskliwość, z jaką fundatorka czuwa nad wychowaniem pięćdziesięciu panien poruczonych jej pieczy. Wedle zdolność i usposobień pobierają one nauki od najznakomitszych artystów tutejszych, którzy bezpłatnie pomagają pani d'Anglars w szlachetnem jej zadaniu. Muzyka, malarstwo, rzeźba i sztuka dramatyczna, są głównymi przedmiotami nauki. Wychowanice kształcone w zakładzie pani d'Anglars wychodzą od niej do muzycznego Konserwatorium i rządowej szkoły dramatycznej, gdzie ukończywszy nauki, znajdują pozycyą, a często, pięknym swym talentem słyną nawet poza granicami Francyi. Ale żeby instytut tego rodzaju odpowiadał celowi i pożądanemu wydawał owoce, potrzeba funduszków większych jak dochód z jednego choćby milionowego majątku; fundatorka uzyskała dlań przeto opiekę bogaczy i sztukmistrzów, których talent, dopóki tylko w ludziach istnieć będzie choćby iskierka poczucia piękności, dostarczy hojnie złota potrzebnego na przysposobienie światu nowych artystów.

Zabawa o której mówić mamy, urządzona na ten cel w obszernym pałacu jednego z paryzkich dylletantów, pa-

na Gudin, pod przywództwem pań: Alboni, Ristori, Grizi, panów: Dumasa, Halevego, Scheffera i t. d. przyniosła instytutowi 25,000 franków dochodu.

Cały elegancki Paryż składał się na tę sumę. O dziewiątej wieczorem nie można się było przecisnąć w ulicy obok hotelu pana Gudin, do którego bogate powozy zwoziły bez przerwy postrojone damy, zwabione programem zapowiadającym pyszny koncert arcykapłanów muzyki i nową komedią Dumasa Igo. Prześliczna noc sprzyjała zabawie. Towarzystwo zgromadziło się w ogrodzie illuminowanym kolorowymi lampami. Salony dolne wychodzące na ogród były oświetlone nowym sposobem: po białych stukowych ścianach i sufitach, aparat gazu ułożony w bogate arabeski, wplecione sztucznie pomiędzy płaskorzeźby zrobione ze świeżych kamelii, różnokolorowych, dobieranych w cieniu, przedstawiał oczom ognistą Alhambrę niewypowiedzianego przepychu i smaku. Sprowadzone z ciepłarni wielkie drzewa pomarańczowe, osypane kwiatem, klomby z heliotropów, róż i rezedy; białe jaśminy azorskie, i blade bzy perskie rozstawione na fioletowych trawnikach z fijołek parmeńskich, czyniły z tego miejsca coś czarownego: jakby jakąś oazę wonną, wyrwaną z siódmego nieba wschodniej fantazyi.

Wśród takich dekoracyj rozpoczął się koncert utworzony z równie wykwintnych tonów, jak kolory z których był ogród złożony.

Najprzód ukryta w klombie rododendronów orkiestra Włoskiego teatru wykonała *Concertino* Beriota; potem Alboni, Grisi i Mario odśpiewali tercet z *Włoszki w Algierze*; potem Alboni śpiewała *cavatine* z *Ernaniogo*; następnie wykonano *solo* na harfie i *Tarantellę* Schimona.

Drugą część składały: *Aria Niobe* Paciniego, wykonana znakomicie przez panią Grisi; *Sonata* Mozarta; duet z *Cyrylika*, niezrównanie przez Alboni i Mario odśpiewany; *Cavatina* z *Belly*; śpiewy narodowe węgierskie i duet hiszpański *El vestido Azul*.

Po koncercie publiczność przeniosła się do zaimprovizowanej w ogrodzie sceny, na której trupa teatru Gy-

mnase, z podwojonym talentem odegrała nie drukowaną dotąd, a napisaną umyślnie na tę uroczystość, jedno-aktową komedią starego Dumasa, następującej treści:

Rzecz dzieje się w *Hotelu Angielskim* w Strazburgu. Wchodzi jakaś dama i zamawia u oberżysty wszystkie niezajęte pokoje, jak równie te, które mogą być opróżnione w ciągu dnia. — Gospodarz nieco zdziwiony tępym żądaniem, z razu nie chce przyjąć propozycji: ale ponieważ pani płaci z góry, przyjmuje. Po zawartej ugodzie, nieznajoma pyta go, czy stoi jeszcze w mieście siódmy pułk strzelców.

— Rozumiem — mówi do siebie hotelista — *il paraît que nous avons une amourette* — nie, pani — rzecze głośno — pułk ten właśnie wczoraj opuścił Strazburg.

Dama widocznie zmartwiona tą nowiną, wchodzi ze służącą pod numer siódmy, przykazując jeszcze raz, żeby żadnego nowego gościa do domu nie wpuszczano.

Ledwie wyszły, słychać na schodach kłótnią. Anglik jakiś chce wejść koniecznie, a ponieważ nie wpuszczają tłumoków, wchodzi sam naprzód, zostawiając służącego, żeby tę sprawę pięścią załatwił.

— Ależ panie — woła biegnąc za nim oberżysta — mam zaszczyt jeszcze raz oświadczyć panu, że mój hotel zajęty.

Anglik milczy.

— Jeżeli pan będziesz się upierał zostać tu mimo mojej woli, każę przywołać patrol.

Anglik jakby nie słyszał, mówi do służącego: — John, postaw tu walizę — i siada na kufrze.

— Przecież pan nie myślisz tu zostać? — pyta oberżysta.

— Myślę — odpowiada Anglik — ten pokój jest wolny, więc go biorę i płacę dwadzieścia gwinei dziennie.

Ponieważ w układzie zawartym z damą nie było mowy o kurytarzach, hotelista kłania się nisko i wychodzi. Wtedy Anglik siada przed numerem siódmym i zaczyna wzdychać. Wkrótce nieznajoma otwiera drzwi, a ujrawszy wyspiarza woła z gniewem:

— Tego już nadto, mój panie! ścigasz mnie nie mając względu ani na moją niechęć, ani na moją reputacyą. Natręctwo twoje wypędziło mnie z Ostendy; przed

wschodem słońca kiedy jeszcze wszyscy spali, siadłam do wagonu chcąc uciec do Bruxelli; skoro się rozwidniło, patrzę, i spostrzegam pana naprzeciw siebie. Dojechawszy do miejsca, gdzie się drogi żelazne rozchodzą, siadam do wagonu idącego do Kolonii: pan, niewymówiwszy ani słowa, za mną. Rozgniewana, znów się przesiadam i wracam do Strazburga. Sądziłam, że przecież tą razą straciłeś mnie z oczu; mniemałam, że się zabezpieczyła od pańskiego natręctwa: gdzie tam! oto znów cię na mojej drodze spotykam.. Brat mój stał tu na kwaterze, miałam nadzieję że mnie od pana uwolni: na nieszczęście wczoraj wymaszerował.. Sama więc zaklinam pana, żebyś zaniechał zamiarów niebezpiecznych dla siebie, a dla mnie nader przykrych.

Anglik oświadcza rozgniewanej, iż zamiary jego są prawe i że najczystsza miłość jest ciągnącym go ku niej magnesem.

— Kiedy tak—rzecze dama chcąc kłamstwem pozbyć się konkurenta—to mam honor oświadczyć panu—że jestem zamężną i mam dzieci.

— Wiele dzieci?—pyta Anglik.

Sześcioro.

Lord waha się chwilę, ale rzecze:—To nie nie szkodzi, ja lubię dzieci.

— Mąż mój przybędzie tu lada chwila.

Anglik milczy. Widząc, że i to nie przestrasza zawziętego wyspiarza, zniecierpliwiona dama chwyta się ostatniego środka: rzuca się na szyję wchodzącemu właśnie komiwojażerowi, witając go jak ukochanego małżonka, i wytłumaczywszy w kilku słowach nieznanemu o co chodzi, prowadzi go do siebie.

Zostawszy sam Anglik nabija pistolety. Wkrótce wychodzi komiwojażer śpiewając znaną piosnkę z *Karola VI*:

„*Jamais, jamais en France,
Jamais l'Anglais ne régnera!*”

— Cicho bądź!— woła Anglik,— śpiewasz fałszywie.

— Cóż to pan sobie myślisz?

— Nie masz prawa pytać co ja myślę.

— Waryat jesteś!

— Tyś sam waryat.

Lord lży coraz mocniej mniemanego rywala, chcąc go zmusić do pojedynku, ale że komiwojażerowi życie nadzwyczaj miłe, na wszystkie obelgi odpowiada grzecznie. Zniecierpliwiony Anglik przykłada mu pistolet do piersi i już ma spełnić morderstwo, kiedy prawdziwa żona komisanta wpada i rozbraja mordercę.

Dowiedziawszy się od Anglika o co idzie, zazdrosna małżonka rzuca się jak furja na nieboraka męża, i nie chcąc słuchać protestacyj, któremi zarzuty niewierności odpiera, pędzi go przed sobą do wspólnego mieszkania, gdzie zasłużoną karę odbierze.

Nadchodzi brat prześladowanej damy i wyrzuca Anglikowi jego postępowanie.—Jestem baronetem, odpowiada nie zmieszany pogrózkami wyspiarz—po śmierci mego wuja będę lordem i członkiem izby wyższej. Jakkolwiek siostra pana przed chwilą kłamstwem mnie pozbyć chciała, przebaczam jej ten postępek, i ofiaruję rękę moję. Chciój pan oświadczyć jej moje zamiary.

—Dobrze, ale jeżeli je siostra moja odrzuci, ponieważ ją skompromitowałeś, dasz mi zadośćuczynienie.

Lord się kłania na znak przyzwolenia.

Zapytana przez brata siostra, jeszcze rozdąsana naręctwem nieznanego, odpowiada że go nie chce. Biędny Anglik ze łzami w oczach dowiaduje się o swém nieszczęściu, i prosi porucznika, żeby go zabił co prędzej, gdyż mu już życie niemiłe. Kiedy brat wyszedł po sekundantów, wchodzi siostra, i uderzona cierpieniem wyrytém na twarzy swego wielbiciela, woła:

—Powiedzże mi pan co przecie!

Wtedy Anglik opowiada, iż dręczony splenem, porzucił ojczyznę, zamierzając się puścić w najniebezpieczniejsze podróże; ale ujrawszy ją w Ostendzie uczuł, że ma cel, odwagę do życia; uczuł że w nim uschłe serce odżyło: słowem, uczuł że kocha, i chciał żyć dla miłości.

Dama przeblagana szczerością tego wyznania, zwyciężona uczuciem o którego prawdzie nie wątpi, patrzy rozezulona w poważne oblicze Anglika i wyciąga ku niemu rękę. Stojący we drzwiach brat, ujrawszy ten gest wymowny, na znak radości i pojednania wystrzela swój pistolet w powietrze.

Sztuka ta napisana z Dumasowską swobodną elegancją i werwą, na którą daremnie siłą się liczni jego naśladowcy, bardzo dobrze wydaje się na scenie, mianowicie też grana przez amatorów, miłą może sprawić rozrywkę w salonie.

— Pani Ristori wróciwszy do Paryża ze swój podróży około świata, wystąpiła w tłumaczonym na włoski język przez Carcaniego *Makbecie*. Chociaż przekład jest wierny i gładki, czarna ta tragedia wysłowiona językiem, o którym Byron mówił, że brzmi jak pocałunki na białym atlasie, od początku do końca razi niewłaściwością. Cały twarde i straszny koloryt dramy we włoskim przekładzie zniknął jak rdza gotyckiego zameczyska pod świeżą malaturą naśladowującą marmur. Jest to skutek języka wręcz przeciwnego pojęciom i namiętnościom, które oddaje. „W Kefalińskim znika Szekspir” powiedział ś. p. autor Beniowskiego: zdaniem naszym, w Carcanim znika jeszcze więcej.

Szekspir otoczył Makbeta zimno-szarém powietrzem puszczy odwiecznych, postawił go w północnym, barbarzyńskim świecie nie oświeconym jeszcze promieniami religii, przy których można złe od dobrego odróżnić. Bóg przewodniczący akcji dramatu jest jednym z owych dzikich bóstw mitologicznych, które z równą przyjemnością tworzą i niszczą; z jakiego piekła wychodzą trzy jędze, co jak niedoperze kręcą się wokoło zameczyska—nie wiadomo: nie mają one ani szalu furji starożytnych, ani wyrachowanej złośliwości chrześcijańskich szatanów. Makbet sam, jest to barbarzyniec z żywą wyobraźnią, słuchający raczej dzikiego instynktu, nie namiętności. Klasycczni bohaterowie studyują, że tak powiem, zbrodnią zanim ją spełnią, usiłują usprawiedliwić czyn przed własnym sumieniem, wyszukują mu jakiegoś przyczyny moralnej. Makbet działa jak człowiek wolą złego ducha opętany. Słowa czarownicy: „Makbecie, będziesz królem,” jak nasienie trującego chwastu, padają, wschodzą i krzewią się w dzikiej jego duszy. Wódz szkocki podobny jest do dziczy wieków pierwotnych, co szła wyrzynać narody jak łan zboża: ażeby ją zwrócić z drogi, lub powalić czołem o ziemię, dość było słowa wyroczeni, lotu hociana, lub sennego widziadła.

Lady Makbet jest dopełnieniem męża. W całej galerii klasycznych bohaterów nie znajdziesz jej podobnej niewiasty; nie jestto nawet kobieta, ale jakaś istota bezpłciowa, jakaś harpia na zimno okrutna. Pomiędzy dziełami Durera widzieliśmy kiedyś sztych jeden przedstawiający uzbrojonego rycerza, czolgającego się na czworakach; na grzbiecie jego siedzi kobieta i kłuje go ostrogą w miejsce nie okryte zbroją; rycerz wlokąc się ciężko, zwraca ku amazonce oblicze, na którym dzikość i posłuszeństwo wyryte. Kobieta ta nie jest podobna ani do Armidy, ani do Omfalii; nie ma w niej ani miękkości, ani lubieżności: twarde jej rysy wyrażają tylko energią gniewną, i tajemniczość wprawiającą w zadumanie widza. Fantastyczny ten utwór, rodzaj malarskiej maligny, wydał nam się wiernym obrazem Makbeta wiedzionego przez straszliwą małżonkę. Dziki ów olbrzym ma dla okrucieństwa swjej żony szacunek podobny temu, jaki mają atleci dla silniejszych od siebie. Lady Makbet górująca nad mężem brakiem imaginacyi, wolna od wizyi, które go dręczą, zachowuje krew zimną od początku do końca. Żaden dreszcz ludzki nie przebiega jej kamiennego serca, nawet wyrzut sumienia tylko we śnie ją znachodzi i jest cierpiany jako choroba, nie zaś przyjęty jako kara. Lady Makbet, lunatyczka, nie żałuje wcale tego co uczyniła, nawet w chwili bezwiednego gestu skruchy, mycia rąk skrwawionych, duch jej trwa w swjej zaciętości zbrodniczej: „Wstydź się, wstydź mężu — mówi — wojak jesteś, a drżysz!...”

Mąż umiera nie żałując ani swjej fatalnej współnicy, ani popełnionych zbrodni.

..... „Życio, to cień przechodni.

Kuglarz, co z partesu kroczy w swjej godzinie,

Biedny, skończy scenę już i pamięć ginie:

Jestto powieść, którą prawi prosty fryc,

Pełna fumu, szumu, a nie znaczy nic” (1).

Oto ostatecznie słowa Makbeta.

Excentryczna ta para działa w sobie podobnym świecie, pełnym nieładu i zawrotu, fantastycznej mieszaninie

(1) Przekład Kefalińskiego.

mrzonki z rzeczywistością. W tej dramie Szekspir zniósł granice dzielące świat widomy od niewidomego: dostrzeżasz go przez mgły ciemne, przeczuwasz przez piekielne ognie, przez wyjące wichry, huczącą burzę, przez wszystkie fenomeny zwaśnionej natury. Czas bieży tu szybko ukazując ciągle sprzeczności: z obozu wchodzisz na uroczysko gdzie uczują czarownice, z morderczej komnaty do sali godowej, z zadymionego szatańskiego lochu, na słoneczne pole bitwy. Żywi chodzą w parze z umarłymi: z zabitego wychodzi duch i gra dalej swą rolę. Krajobraz nawet wturuje akcyi jak pogrzebna muzyka. Kruk wita krakaniem wchodzącego do zanku Dunkana, konie królewskie biją się, podczas kiedy jego mordują, lasy chodzą, wyją wilcy, szumią jodły, świszczy zamieć śniegowa: słowem, dramat ma swoją właściwą temperaturę, a tą jest mróz północny i jej chmurne niebo.

Jeżeli taką sztukę przeniesiemy na południe, oświecimy słońcem Italii, będzie nonsensem. Zmieńmy ponury zamek Makbeta w marmurową villę, śpiewem słowika zastąpmy krakanie kruka, wojsko Makduffa zamiast pod cieniem sosen w pomarańczowym rozłożmy gaju, a dramat zniknie sam przez się. Wyrwane z mgły, z rodzinnych wrzosów, i ze swych wież gotyckich osoby, wydadzą się jak niedźwiedzie zabłąkane we florenckiej kampanii. Makbet w tłumaczeniu pana Carcano zupełnie takie czyni wrażenie. Język włoski stworzony do wyrażania myśli jasnych, uczuć świętych, słonecznych kreacyi, nie może się nagiąć do konwulsyjnej akcyi angielskiej tragedyi. W rzymskich togach znikają żelazne Thany, również jak szorstkie jędz zaklęcia roztapiają się w muzyce włoskiej mowy. Ponura, zimna rozpacz Makbeta, mimowolnie przybiera kształty kipiącej Saulowej wściekłości; miękkość tonów oddziaływa na charaktery: układa je mimowolnie do harmonii i równowagi. Z przekładem Carcana rzecz się ma jak z włoskimi kawatynami, pod które smutne podłożono wiersze: słowa płaczą, a muzyka ucieka gdzieś w melodyjne niebo i tam z ptasią swiergoce swobodą.

Sami nawet aktorowie Włosi nie mogąc się przejąć akcyą tak różnnych od siebie ludzi, nie są na swoim miej-

scu w tej północnej tragedyi. Uznano tu powszechnie, że pani Ristori zbyt południowym ogniem ożywiła złowrogą postać lady Makbet: harmonijne jęj wykrzykniki i posągowe gesta, znawcom wydały się zupełnie niewłaściwe w tej węzowej roli. Zdaniem paryżskich krytyków, którym trudno odmówić znawstwa w rzeczach formy, harmonii i gustu, Ristori jedną tylko ma chwilę w tej sztuce, gdzie talent jęj dostraja się do gieniuszu Szekspira, a tą jest, kiedy przychodzi z lampą jako lunatyczka.

Rola *Medei*, w której występuje obecnie Ristori, daleko lepiej jęj przystoi. Medea jest równie bezecną zbrodniarką jak lady Makbet, ale różnica ich rasy ogromna. Za grecką jędzą nie ma nieskończoności; w mitologii która jęj za ramy służy, nie ma żadnej szkarady: krew tam wydaje się jak rumieniec zachodzącego słońca. W tej odległości zbrodnia tworzy piękną grupę: zabite dzieci leżą na ziemi jak urwane róże... mordy tam ludzkie i namiętność ludzka. Fatum pokrywające sztukę jest nieubłagane, ale pogodne jak błękit południowego nieba, co nigdy nie płacze.

— Nowa komedia dwóch członków Akademii, pp. Scribego i Legouvego, przedstawiana teraz w *Theâtre Français* pod tytułem: *Les Doigts de Fée*, nie powiodła się wcale. Świadczy to o pożądanęj przemianie gustu Paryżanów, których już episerskie ideały wielbionego niegdyś dramaturga zaspokoić nie mogą. Czarowną różczką Scribego *czarodziejki* jest igła, którą najdziwniejszych dokazuje cudów. Obierając szwaczkę za bohaterkę sztuki, autorowie chcieli skreślić apoteozę pracy i wykazać jęj wyższość od wysokiego urodzenia; ale zadanie to proste w ich rękę stało się tak płaskim dziwolągami, że z najlepszą chęcią przybyły słuchacz opuszcza teatr z wrażeniem, jakiegoby doznał artysta na widok parodii arcydzieła natury. Dla licznych w kraju naszym wielbieli Scribego, podajemy tu w kilku słowach treść ostatniego jego utworu, żeby nie sądzili, że lekkomyślnie laurów wieniec tego mistrza obrywamy.

W domu hrabiego Lesneven reprezentanta arystokracji francuzkiej, bawią dwie jego siostrzenice: Berta bogata dziedziczka, i Helena uboga sierota z hucznym ty-

tulem księżniczki de Ploërmel, która w zamożnym domu wuja odgrywa rolę Kopciuszka. Głodzą ją, popychają, łają — ale ją cierpią, bo ma wysoki talent: umie szyć doskonale suknie, czepki i kapelusze. Z czasem jednak i ten lekki ciężar wydaje się zaciężki ciotce i wujowi. Rozpisują tedy okólnik do całej rodziny, zaklinając żeby kolejno podejmowała sierotę. Wszyscy krewni jednoznacznie odmawiają, tłumacząc się brakiem miejsca i funduszów.

Cóż za płaski paszkwil! Czy kto słyszał o takiej szlachcie? Gdyby sierota wysokiego rodu nie znalazła miłości w rodzinie, toby się pojmoowało; ale żeby wysoko urodzeni i dobrze wychowani ludzie wazyli na aptekarskich ważkach pożywienie dawane krewnój; żeby cała bogata, sławna i liczna rodzina, wyganiała od siebie księżniczkę Ploërmel mającą w żyłach krew rycerzy krzyżowych: — to farsa za gruba. Scribe uważa to za rzecz naturalną. — Idźmy dalej.

Syn hrabiego Lesneven, Trystan, którego ojciec chce wyswatać z bogatą kuzynką, zakochał się w Kopciuszku. Wyznanie tej miłości sięga na sierotę grad wymówek; od rana do nocy wyrzucają jej miłość panicza jakby jaką kradzież domową. Helena nie mogąc znieść takiego położenia, ucieka z domu opiekuna.

Dotąd sztuka mimo nieprawdopodobieństw, zajmuje: dalej, skutkiem zbytnej gorliwości autorów w dowiedzeniu swój pradwy, wpada w absurdum.

Upływają dwa lata od zniknięcia Heleny. Starożytna rodzina Lesnevenów w ciągu tego czasu straciwszy cały majątek, przychodzi błagać jakiejś modnej margrabiny, żeby przez wpływy swoje wyrobiła hrabiemu Trystanowi koncessyą na kawałek drogi żelaznej, którąto entrepryza ma wyratować familią z ubóstwa. Dowiadujemy się o tém w przedpokoju owój margrabiny od czekających na przyjęcie Lesnevenów. Margrabina nie przyjmie gości zanim nie przymierzy sukni, którą jej szwaczka ma przynieść. Podczas kiedy hrabiowie czekają, przybywa Helena, wita kuzynów, i przyrzekłszy że im posłuchanie wyrobi, wchodzi nieanonsowana do pokojów pani. Po chwili margrabina zapytana jakie są jej stosun-

ki z tą młodą damą, odpowiada że to jest panna Hermi-
nia, szwaczka będąca teraz w modzie. Następuje scena
oburzenia: krewni się zzymają i wypierają upadłej księ-
żniczki, która do wspaniałego herbu naddziadów dodała
krawieckie nożyce.

Czwarty akt jest apoteozą modniarki. Scribe wy-
stawia ją za szybą magazynu jak madonnę w niszy. Księ-
żniczka Ploërmel zużytkowała—nie lubię tego wyrazu, ale
nie ma innego na wyrażenie rzeczy—zużytkowała tedy
swoje zręczne paluszki. Założyła sklep, i we dwa lata
dorobiła się majątku. Sławna modniarka przyjaźni się
z hrabinami, księżętom każe czekać w przedpokoju; daje
posłuchania ambasadorom i waży z nimi sprawy świata:
słowem wie wszystko i wszystko może—na swych wstą-
żkach wodzi dygnitarzy państwa jak na smyczy.

Musi to być prawda, bo hrabia Lesneven, który wczoraj
jeszcze heraldycznym stylem przeklął skucezoną ku-
zynkę, przybywa do niej pokorny, prosząc żeby mu po-
mogła w dostaniu owego kawałka kolei: Helena przyrze-
ka wujowi, iż żadaną kolój mieć będzie.

Kommissya złożona z pięciu członków ma jeszcze te-
go wieczora rozporządzić tą koleją. Jednym z nich jest
milionowy pan Baltazar, którego żonę Helena ubiera; ta
za obiecany stroik daje jój głos męża. Drugim człon-
kiem kommissyi jest książę Penmark, który, jak na to, ko-
cha się w szwaczce platonicznie; temu wola jój wystar-
cza. Do pozyskania większości potrzeba zdobyć jeszcze
głos trzeciego członka. Tym jest bankier de Berni. He-
lena uszyła właśnie dla bankierowej suknię balową, od-
nosi ją więc, ale oświadcza elegantce, że sukni mieć nie
będzie, jeżeli jój mąż nie da głosu hrabiemu. Bankiero-
wa zdziwiona poufałym żądaniem szwaczki, powiada jój:
żeby patrzała igły nie finansów. Rozgniewana Helena
rzuca suknią w ogień—suknia płonie, bankierowa mdleje.
Wtedy szwaczka obiecuje jój, że jeżeli będzie grzeczna
dostanie drugą suknią, jeszcze piękniejszą. Tak zaga-
dnięta pani, otrzymuje głos męża, a Lesneven kolój: po-
czém szwaczka odprawiwszy z niczém księcia de Pen-
mark, który jój swoją rękę ofiaruje, idzie za hrabiego
Trystana, i na tém koniec.

Powyższa sztuka nawet w demokratycznym Paryżu wydała się nedorzeczną. Księżniczka trzymająca sklepik z modami, z trudnością nawet publiczności Nowego Yorku mogłaby się podobać. Zajęcie jakie budzi w pierwszym akcie prześladowana sierota po dostojnych przodkach, zasłużonych w dziejach świata, w dalszym ciągu znika zupełnie dla modniarki, która musiała bardzo drogo sprzedawać kapelusze, kiedy się tak prędko zбоgaciła. Heroina zabija się igłą, zostaje tylko zręczna kupcowa, dla której można mieć szacunek, ale nie uwielbienie. Jest w rzemiośle modniarki coś błałego, co nie przystoi ryccerskiej córce. Ażeby z pomiędzy tylu prac estetycznych, jak pisanie, malarstwo, muzyka, nawet przedzenie lub haftowanie, wybrać krawiectwo; na to trzeba być Skribem, czyli episerskim moralistą *par excellence*, którego cnota zasadza się na tém, żeby nigdy nie zбоczyć z wąskiej ścieżki, wiodącej między piekłem a policją poprawczą.

Wyszła dość ciekawa książka pod napisem „*de l'Infanticide chez quelques peuples de l'Orient et dans l'Inde*.” Jest to zbiór wyciągów z rozmaitych podróży po Turcyi, Chinach i Indyach, dotyczących dzieciobójstwa. Kompilacją zajmował się p. d'Auriac.

Ze wszystkich uczuć istniejących jeszcze w europejskiej społeczności, najsilniejszym jest niezawodnie miłość rodziców dla dzieci: tém samém, dzieciobójstwo Europejczycy za najbezpieczniejszą uważają zbrodnię. Nie zawsze atoli tak było. W odległych wiekach ciemnoty zanim mieszkańcy téj części globu z pomocą światła Chrystusowego rozróżnili złe od dobrego, nowonarodzeni tutaj, równie jak dziś w Chinach i Indyach, padali ofiarą okrutnych obyczajów lub fanatyzmu. Zbrodnie te ustały dopiero wtedy, kiedy społeczność oświeciła się do tyła, iż mogła pojąć całą ohydę takich mordów, i ustawami swemi obwarowała miłość, której nasiona natura nietylko w sercu człowieka, ale w instynkcie każdego zwierzęcia złożyła. Wtedy dopiero władza rodzicielska stała się zachowawczą i opiekuńczą, a społeczność poruczyła spra-

wiedliwości miecz, do karania tego, kto tych obowiązków nie dopełni.

Ale takie przeobrażenie moralne, w każdym narodzie dokonywało się bardzo wolno: na Zachodzie dopiero w IVtym wieku naszej ery, dzieciobójstwo pomiędzy zbrodnie policzono; na Wschodzie do dziś dnia zabić dziecko znaczy toż samo, co u nas utopić kota lub szczenię.—Pan Mac Cortnay, ambassador angielski w Chinach, na którego świadectwie można zdaje się polegać, powiada, iż liczba dzieciobójstw w samym Pekinie przenosi rocznie trzy tysiące. Matka, która zdaniem swoim nie ma funduszu na wyżywienie i wychowanie dziecka, z wiedzą praw i ludzi wynosi je na pole, i zostawia na pożarcie zwierzętom. Ale tylko dziewczyny giną tym sposobem w Chinach; życie chłopców więcej jest cenione: rodzice zwykle chowają jednego, a co przybywa potem, bywa topione.

Anglik Barrów w podróżach swoich po Chinach opowiada, iż w Pekinie codziennie dziesięć wozów zaprzężonych wołami, przebiega w różnych kierunkach miasta i zbiera nowonarodzone dzieci, wyrzucone w nocy na ulicę, jak również te, które sami rodzice oddają z poleceniem odwiezienia do *Youh-ying-tang*, wielkiej fosi, gdzie wrzucają razem żywe i umarłe niemowlęta.

Często się zdarza, że matka własnymi rękami dusi nowonarodzone dziecko; córki zazwyczaj ojciec topi w stojącym koło łóżka szafliku z wodą—poczem trup obwinięty w matę, bywa wrzucany do rzeki. Powszechnie przy cmentarzach jest sadzawka przeznaczona na topienie dzieci: zowie się *Dól córek*. Angielscy podróżni nie chcieli wierzyć, żeby takie okrucieństwo mogło istnieć jawnie i prawnie; ale przyciągnąwszy na brzeg kilka pływających po wierzchu wody koszyków, przekonali się na własne oczy, że mniemana bajka jest prawdą.

Missyonarz francuzki Dawid Abel, mówiąc o tym zwyczaju chińskim, zapewnia, że rodzice ani żałują utopionego dziecięcia, ani się wstydzą czynu uważanego za bardzo naturalny przez chińską społeczność.

„Rozmawiałem, pisze ksiądz Abel w swoim podróżnym dzienniku, z jednym bogatym kupcem chińskim

o dzieciobójstwie. Uzbroiwszy się w krew zimną zapytałem go, czy zabił kiedy własne dziecko?

— Zabiłem troje — odpowiedział bez namysłu.

— A wieleś zostawił?

— Jedno.

— Ilu masz braci?

— Ośmiu.

— Ileż twój najstarszy brat zabił dzieci?

— Pięcioro, czy sześcioro.

— A inni bracia?

— Jedni po sześć, drudzy po ośm, inni po dwoje i troje: jeden tylko żadnego nie zabił, bo ich nie ma.

— Ile córek chowacie w waszej rodzinie?

— Trzy.

— A ile sądzisz że ich uduszono?

— Nie wiem dokładnie, ale najmniej ze dwadzieścia kilka.

— Czém się trudnią twoi bracia?

— Jeden jest literatem, drugi professorem, trzeci marynarzem, a reszta kupcy, jak ja.

— A sąsiedzi czy też tak topią dzieci swoje jak wy?

— Ma się rozumieć.

Z tego co mi mówił ten bogaty kupiec, dodaje ksiądz Abel, pokazuje się, że nie nędza, ale podłe wyrachowanie skłania Chińczyków do dzieciobójstwa: nie chcąc rozdrabniać majątku wyposażeniem córek, tracą je, całe zaś mienie oddają zwykle jednemu, a najwięcej dwom synom.”

Abissyńczycy zabijają zawsze jedno z bliźniąt. W niektórych częściach Afryki jest zwyczaj, iż naczelnik hordy zabija wszystkie dzieci splodzone z nie swemi poddanymi. Medekasy topią każde dziecko źle zbudowane. Krajowcy nad rzeką Congo zamieszkali, za powrotem z wojny zarzynają wszystkie dzieci podczas ich niebytności urodzone.

Możnaby napisać tomy, wymieniając wszystkie okrucieństwa, jakich się na swych dzieciach dopuszczają ludy barbarzyńskie, a mianowicie przemądre Chińczyki. Nie przedłużając tego fatalnego rejestru, powiemy tylko jeszcze słów kilka o Indyanach.

Indyanie obdarzeni od natury żywą wyobraźnią, są w ogóle fanatykami, i po największej części przez fanatyzm religijny pełnią z zimną krwią zbrodnie. I tak na przykład, mieszkańcy prowincyi Orissa, leżącej nad zatoką Bengalską, często dzieci swoje składają w ofierze bogini Ganga. Zbrodnia ta jest wywiązaniem się z uczy-nionego podczas długiej bezpłodności ślubu. Takich zabójców jest najwięcej; zdarza się jednak dość często, że Indyanie dopuszczają się dzieciobójstwa tak jak Chiń-czycy, przez zimne wyrachowanie: biedni utrzymują, że nie mogliby wyżywić dzieci; bogaci twierdzą obłudnie, że ponieważ nie ma na świecie godnego ich córki męża, przeto wolą ją utopić. Stara panna uważana jest w In-dyach za hańbę familii, również mężatka bezpłodna. Jeżeli żona w pięć lat po ślubie nie ma dzieci, mąż we-dle przepisów religii, powinien ją porzucić, a pojąć inną małżonkę. Ta potrzeba mienia dzieci na to, żeby je to-pić, lub dawać mrówkom na pożarcie, należy do niewytłu-maczonych zagadek bramińskiej religii.

W świeżo wydanej podróży po Indyach Anglika Karola d'Ochoa, znajduje się następujący obrazek:

„Pewnego dnia, mówi Anglik, siedząc na *ghaut* (schody kamienne prowadzące do rzeki), patrzyłem na kąpiących się w Gangesie krajowców płci obojgój. Studyując budowę ich ciała, podziwiając ich gibkość i muskularność, spostrzegłem cudnej piękności Indyankę. Była ona najprzedniejszym wzorem dla rzeźbiarza. Sze-roki płaszcz gazowy ze złotym obrąbkiem drapował ją misternie: tysiącem fałdów okrywając kibić i głowę, zo-stawiał odkrytą tylko twarz, kawałek jedwabnego gorse-cika i jedną nogę aż za kolano. Gdyby nie złoty pier-ścień zawieszony u nosa, byłbym przysiągł, że widzę cho-dzący jeden z najpiękniejszych greckich posągów. Zło-to kryło jej szyję, nogi i ręce; łańcuchy, bransolety, pierścienie błyszczwały jak na słoniowej kości, na utocz-o-ném jej ciele: ale blask kruszcu niknął obok promieni, jakie szły z czarnych, melancholiczno-namiętnych jój oczu, obok tkliwego uśmiechu co igrał na koralowych ustach, obok wdzięku pełnej postaci, przed którą poga-nin uznawszy bóstwo, czołem uderzył.

„Piękna Indyanka niosła w ręku koszyk pełen jaśminowych kwiatów. Przybywszy nad brzeg rzeki, zdjęła gazowy płaszcz, i przytrzymując jedną ręką długie splety czarnych warkoczy muskające wodę, pocałowała kwiaty i puściła koszyk, który szybko nurtem Gangesu porwany, odpłynął. Indyanka popatrzyła nań chwilę, westchnęła.... poczem równie piękna i uśmiechnięta oddaliła się spiesźnie.

„Jakież było moje zadziwienie, kiedy ujrzawszy dwóch ludzi puszczających się w pław za koszykiem, dowiedziałem się że to kolebka z dzieckiem, i że owa piękność, co je na wodę puściła, jest jego matką. Od tego czasu widziałem nieraz pływające po Gangesie w kobiałkach dzieci, które matki po długiej nieplodności bóstwu na ofiarę składały. Będąc świadkiem wyłowienia jeszcze żywej córeczki pięknej Indyanki, namawiałem wybawcę żeby ją odniósł matce. Odpowiedział mi, że tego nie uczyni, bo Indyanka zarazby dziecko drugi raz utopiła. Oddaliłem się głęboko zasmucony, potępiając kobietę którą admirowałem przed chwilą i rozmyślając nad fatalną mocą tej religii, która potrafiła zniszczyć w niewieście najpotężniejsze ze wszystkich uczucie—miłość macierzyńską.”

Książę Napoleon przeniósł się w tych dniach do swego pompejańskiego pałacu na Polach Elizejskich. Jestto najwierniejsza z istniejących kopij ówczesnych willi patrycyuszów rzymskich. Dom niewielki tworzy kwadrat próżny we środku; uformowane w ten sposób podwórze, u starożytnych zwalo się *atrium* i było zazwyczaj najpiękniejszą częścią budynku. *Atrium* księcia Napoleona wyłożone mozaiką, otacza wkoło szeroka na kolumnadzie wsparta galerya, której cała ściana jest malowana *al fresco*; między kolumnami stoją posągi przodków, we środku bije obfita fontanna, przepysznie z białego marmuru wyrobiona.

Przed bramą domu leżą dwa wielkie psy mozaikowane; we drzwiach stoją ulane z brązu posągi Achillesa i Minerwy. Sień, w której rozchodzą się schody, zdobią dwa wielkie freski allegoryczne: jeden przedstawia *Jesien*

usypiającą w objęciach *Zimy*, drugi *Wiosnę* wieńczącą kwiatami *Lato*: freski zdobiące *atrium* są wierną kopią pompejańskich. Pan Corna, malarz księcia, zdejmował je na miejscu, i mianowicie twarze bogów i bogiń przeobraził ze ślepem dla starożytnych posłuszeństwem. Widzimy najprzód Jowisza piorunującego Tytanów: jeden z nich strącony ze szczytu piramidy, po której piał się do nieba, kona w śmiertelnych konwulsjach. Rzecz dziwna, że wszyscy starożytni malarze dawali swym bogom wyraz dziwnie powszedni i poziomy: pompejański Jowisz naprzykład, wygląda jak rozgniewany episier, ciskający kupczykowi na głowę funt świec łojowych.

Fryza nad tym freskiem wyobraża Prometeusza stwarzającego człowieka pod natchnieniem Minerwy. Drugi przedstawia słońce wyjeżdżające na swym rydwanie; gwiazdy, w postaci małych dzieci, pierzchają przed nim, i przestraszone wpadają w morze. Naprzeciw słońca stoi na skale przejęty uwielbieniem Satyr.

Daliej jest zdobycie Troi. Eneasza zakuty w żelazo, niesie na ramionach Anchisa. Ajax porywa klęczącą pod posągami Minerwy Kassandrę, w jednej ręce trzymając pasaż, drugą wplątał we włosy wróżki. Obok Pyrrus zamierza się maczugą na Priama. Powiedzmy nawiasem, że dwaj Homerowscy bohaterowie, Ajax i Pyrrus, wyglądają jak dwa potężne rzeźniki.

Następny fresk przedstawia narodziny Wenery. Bogini jedną nogą stojąc na muszli, wypływa z morza. Włosy jej złote jak zboże, a piękne ciało w zupełnym rozkwicie. Jowisz i Neptun patrzą na nią zachwyceni. Eros i Anteros, uosobienie wojen, które powaby rodzącej się bogini mają wywołać na ziemi, klócą się na uboczu. Himeron całuje stopy nowo-narodzonej. Fryza wyobraża Wenus dającą Helenie rady, zapewne niebardzo zbawienne dla spokoju szlachetnego Menelasa. Helena siedzi ze spuszczoną głową, słuchając z uśmiechem słów bogini.

Wszystkim tym mitologicznym postaciom, mieszkańcom Pompei zarzuciłby zapewne zbyt uduchownienie rysów; my, dzieci XIX wieku, gotowibyśmy uczynić zarzut wprost przeciwny.

Pomiędzy kolumnami galeryi, stoją popiersia: matki Letycyi, Katarzyny Wurtemberskiej, Lucyana, Ludwika i Józefa Bonapartych, oraz siostr ich: Elizy, Karoliny i Pauliny; we środku rodzinnego grona wznosi się posąg marmurowy Napoleona Wielkiego.

Biblioteka, salon i jadalnia mało się różnią od naszych; starożytni pracowali, jedli i pili prawie tak jak my. Sześćdziesiąt pokoleń ludzkich nie wymyśliło ani jednej więcej przyjemności nad te, które dała człowiekowi natura. Za salą jadalną jest *tabaczarnia*; pokój ten urządzone w guście wschodnim zdziwiłby zapewne Diomeda, ale był niezbędną w domu rzymskim poprawką. Za nim są oranżerye pełne rzadkich roślin południowych, a za niemi łazienka, cud wygody i piękności: wannę zastępuje jeziorko w kararyjski marmur oprawione, w którego pachnącej wodzie pływać może wygodnie dwóch ludzi. Dom cały ogrzewają kaloryfery, które architekt włoski wstydząc się za nasz klimat północny, pochował do piwnicy.

Pałac ten pod każdym względem zasługuje na uwagę artystów; jest on prawdziwą ozdobą Pól Elizejskich. Życzyćby należało, żeby architekci pracujący obecnie nad przebudowaniem Paryża, jak najwięcej smakiem, pięknnością i wygodą pałacu księcia się przejęli. Pominawszy już korzyść, jakaby ztąd wynikła dla lokatorów dziś okrutnie wędzonych w klatkach ich przekłętą inwencji, trzeba pomyśleć zawczasu, że jeżeli los Rzymu Paryżowi przeznaczony, Paryżanie powinni zostawić przyszłym pokoleniom coś więcej nad powszednie ruiny, z którychby antykwaryusze wysnuli tę smutną definicyą, iż Francuzi bytło naród, który za młodu czczył wolność, sprawiedliwość, sławę i sztuki, ale na starość kochał tylko pieniądze.

Donosiliśmy w swoim czasie czytelnikom naszym o podziemnym tunelu, którym pan Thomé de Gamond chciał Anglią ze stałym lądem połączyć; projekt ten popierany zarówno przez rząd tutejszy i angielski, rozważany i oglądany wszechstronnie, wywołał wiele in-

nych projektów, wprowadzających poprawki i ulepszenia. Pomiędzy innymi angielski inżynier Boyd, opierając się na dowiedzionej przez pana Thomé możebności usypania w cieśninie Kaletańskiej kilkunastu małych wysepek, mających służyć do budowy tunelu, zaproponował, żeby zamiast tunelu zbudować most na cieśninie.

Projekt ten rozwinięty szeroko, wydał się ludziom specjalnym łatwiejszy do wykonania od pierwotnego; Francuzi mimo zarozumienia, wyższość mu przyznają. Monitor szeroko się o nim rozgadał, i gorąco plan Anglika popiera.

Boyd proponuje rzucić most od Douvru do francuzkiego przylądka Griner. Długość jego wynosiłaby 29 kilometrów (blisko cztery mile polskie). Dzieliłby się na 191 części, długich na 500 stóp angielskich, których oba końce spoczywałyby na murowanych wieżach. Most byłby w kształcie szklanej galeryi, we środku której szłyby dwie drogi żelazne. Galerya byłaby zawieszoną 300 stóp nad morzem, tak, że nawet w czasie przyplwu wody, najwyższe okręty, wysokie na 217 stóp, mogłyby pod nią przepływać. Wielkie fary oświecone gazem i elektryczne telegrafy, czyniłyby podróż bezpieczną w czasie panującej na morzu mgły. Filary, czyli wieże podpierające most, byłyby zbudowane w kształcie głowy cukru, u dołu szerokie na stóp 300, a 150 na powierzchni morza; na tej podstawie budowano by dalej filar mający sto stóp średnicy. Koszta tej budowy pan Boyd oszacował na 750 milionów franków, a na wykonanie jej potrzebuje trzy lata.

Projekt Boyd'a tak dalece przechodzi wszystkie plany dotąd wykonanych budowli, że na pierwszy rzut oka ludziom zwyczajnym wydaje się nie wykonalny; tylko niustraszona awangarda postępu, ludzie silni nauką i doświadczeniem, nie cofają się przed nim i dyskutują śmiało. Co do nas, w obec tylu urzeczywistnionych przez naukę cudów, nie wątpimy, że w ten czy w inny sposób wykonany projekt połączenia Anglii z lądem stałym, jako mniej ważny od tego co już w oczach naszych dokonane zostało, prędzej czy później przyjdzie do skutku. W każdym razie, gdybyśmy projekt Boyd'a

uważali tylko jako mrzonkę, to i tak na uwagę zasługuje, bo wszelkie marzenia wiedzy są szczytne, a jedyna poezya naszych czasów jest poezya nauki. Mimo zaprzeczeń i rekryminacyi które zewsząd słyszy, Anglik, jak zdjęty z tortur Galileusz woła: *Eppur se muove!*

Wyszedł pierwszy tom pamiętników Guizota pod skromnym napisem: „*Memoires pour servir à l'histoire de mon temps*”. Będzie ich sześć. Były minister Ludwika Filipa zaczyna opowiadanie od roku 1813 i opowiada tylko wypadki, w których sam brał udział. Mówi obszernie o swojej professurze, opisuje rządy restauracyi, maluje ówczesny stan umysłów, tłumaczy dlaczego był w Gand, wszystko tonem bardzo skromnym, nigdzie nie dając uczuć pretensyi do nieomyślności, która tak śmieszni czyni dzisiejszych wielkich ludzi, co to systematyci swoje uważają jako niezawodne lekarstwo na szczyry. Pierwszy tom kończy się w wigilią rewolucyi lipcowej. Jestto, właściwie mówiąc, wstęp do dzieła, z którego o całości jeszcze sądzić nie można; to tylko widoczna że pisał je człowiek z szerokim poglądem, wolnomysłny, widzący rzecz wszechstronnie, i nie zacierziewiający się jak lilipucie dyplomaty w swych robotkach. Guizot mówi jak filozof, nie jak minister: dlatego sądy jego będą dyskutowane, ale go nikt o stronniczość i fałsz nie posądzi. Drugi tom wyjdzie w lipcu.

— Pan L. Rouchard redaktor „*Annalów rolnictwa francuzkiego*” wydał dzieło z 150 tablicami, pod napisem: „*Traité des constructions rurales*”. Polecamy tę książkę czytelnikom naszym: właściciel małych czy wielkich gruntów znajdzie w niej dla siebie mnóstwo rzeczy pożytecznych.

OBRAZY DAGESTANU.

PRZEZ

Juliana S...

(Z m a p p ą).

II.

OBECNY STAN SPOŁECZNY.

Wszystkie krainy Dagestanu, nie zwracając uwagi na polityczne rozdzielenie, jakie między nimi istnieje z powodu prowadzonej wojny, gdy jedne pod rządem cesarsko-rossyjskim zostają, a drugie walczą o swą niezależność; rozdzielić można głównie na posiadłości władców dziedzicznych i na krainy, ziemie, albo raczej gminy wolne, przyjmawszy to ostatnie nazwanie, jako dla oznaczenia ich najodpowiedniejsze.

Rozpoczynając od granicy północnej, tojest od brzegów Sułaku, a posuwając się ku południowi, napotykamy:

W północnym Dagestanie, posiadłości: 1. Szamchała Tarkowskiego, 2. Mechtulińskiego hana. Do 1834 roku istniało jeszcze na zachodniej stronie hanstwo Awarskie; lecz przy rozszerzeniu się wpływu i władzy przewódców miurydyzmu i wojny świętej, gdy hanowie Awarscy do ostatniego potomka wyniszczonymi zostali, jest tylko krainą nazwiskiem Awaryi mianowaną, a ulegającą obecnie Szamilowi.

W środkowym Dagestanie są posiadłości: 1. Karakajtałskiego Uemiego, 2. hana Kazikumuchskiego, 3. hana Kiuryńskiego i 4. w południowej Tabassaranii, Majsumstwo, czyli posiadłość Karczachskiego beka.

W południowym Dagestanie istniały haństwa Kubińskie i Bakińskie; lecz kolejami wojny i innych politycznych wypadków, gdy również wszyscy potomkowie ich władców zaginęli, zamienione dzisiaj na obwoody i powiaty, rządzone są przez władze cesarsko-rosyjskie.

Wolnych gmin, o ile to mogło być poznanem, liczą w całym Dagestanie czterdzieści trzy, z których dziewiętnaście w północnym, a dwadzieścia cztery w środkowym.

W północnym: 1. Sałatan albo Sałatawia, 2. Gumbet, 3. Kojsubu, 4. Andatał, 5. Andia, 6. Czarbili, 7. Techmuat, 8. Kałatał, albo gmina Karatolińska, 9. Czamałat, 10. Bahutał, 11. Unkratl, 12. Tindał, 13. Dido albo Cunta, 14. Cunta-Achwach, 15. Toms, 16. Raftu, 17. Achwach, 18. Aneuch, 19. Kapusza.

W środkowym: 1. Akusza, 2. Mikehe, 3. Usurza, 4. Urachozi, 5. Siurga, 6. Kujada, 7. Karat, 8. Tłeseruch, 9. Gojerkech, 10. Hidatl, 11. Kiel, 12. Tasz, 13. Unhała, 14. Aneros, 15. Tłanada, 16. Bohada, 17. Tebel, 18. Dzurmut, 19. Zachodnia Tabassarania, 20. Północna część wschodniej Tabassaranii, i cztery tak nazwane wolne okręgi Samurskie: Achly, Rutuł, Dokuspara i Altszara.

Pomimo tych nazwisk, oddzielnie każdą ziemię albo gminę oznaczających, niektóre jeszcze gminy, jakby jedną stanowiące całość, albo odrębną przedstawiające stronę, oddzielnymi nazwiskami są mianowane. Takimi są, Tawlia, od wyrazu Tau, góra, obejmująca wszystkie okolice pod górami czarnego grzbietu rozłożone, gdy pod ogólnem nazwaniem Tawli albo Tawlińczyków, rozumieją się wszyscy tejsze strony mieszkańcy.

Akusza, Mikehe, Ususza, Urachezi, z dodaniem jednej jeszcze wsi Cudachar, nazywają się razem Dargo; a Dziurmul, Tebel, Tłanada, Aneros, Bohpada, Kiel i Tasz, noszą nazwanie Ankrall, czyli ziemi siedmiu krain.

Do plemion zamieszkujących te wszystkie posiadłości i ziemie, którym najczęściej nazwiska swoje nadają, policzyć można jako najgłówniejsze, to jest większą ludnością się odznaczające, a które przytém więcej znanemi odróżniają się językami: Tawlińczyków, Akuszyńców, Awarców, Didojców, Kazikumuchów lub Kumuchów, Kajtachów, i Karakajtachów, Kiuryńców i Tabassarańców, których język pomieszany jest głównie z perskim. Ale znajdują się jeszcze plemiona, które chociaż osobnych ziem nie posiadają i wyłącznych nie stanowią społeczności, jednak w znacznej nieraz części między tamtymi są rozsiedlone: to jedną jakąś wieś zaludniając, to rozsypanemi będąc po rozlicznych okolicach, to całe zajmując strony. W północnym Dagestanie, a mianowicie w części rządowi cesarsko-rossyjskiemu podległej, jak również po wielu miejscach w południowym, napotykamy w znacznej ilości zamieszkujących wsie Tatarów, którzy najpewniej od czasów swoich napadów, stawszy się napływową w tych stronach ludnością, dotychczas w nich pozostali. Ta znaczna ich ludność, jakoteż język, który jednak nie jest tatarski, ale tak nazwany turecko tatarski, przez co może służyć do objaśnienia ich plemiennego początku, a przytém jako naukowy i piśmienny, do wzajemnego wszędzie zrozumienia się postuguje: dały zapewne powód do błędnego a powszechnie przyjętego mniemania, jakoby wszyscy tej strony mieszkańcy byli Tatarami.

Równie, a może więcej jeszcze ludnym plemieniem są Lezginowie, albo Lezgowie, cały prawie południo-

wy Dagestan, wyjąwszy Kiuryńskiego haństwa, zasiedlający, a mianowicie w górzystych jego okolicach tak kubińskiego powiatu, jak i samurskiego obwodu; gdy nadto po całym prawie południowym skłonie głównego kaukazkiego grzbietu się rozszerzając, nadają całej tej stronie Lezgii, albo Lezgistanu przezwanie. Oni to kiedyś panującym będąc plemieniem, a od wieków jak się zdaje tu zamieszkując, głośne o sobie, a szczególniej o swoich gwałtownych i rozbójniczych napadach zostawili wspomnienia w dziejach, stawszy się nieraz tak groźnemi dla sąsiadującej Gruzji, że całą jej potęgą wstrząsali, a z napływającemi zdobywcami najzaciętsze staczając boje. Później różnym ulegając panowaniom, a następnie pod różne władze i rządy rozdzieleni, dzisiaj po większej części pod panowaniem cesarsko-rossyjskiem zostają.

W szamchalstwie Tarkowskiem zamieszkują Kumyki, na obszernej równinie, od nich Kumycką nazwaną, a położoną na północy Dagestanu, brzegów Sułaka dotykając; których tak plemię jak język w zupełności się odróżniają od Kazikumuchów, albo Kumuchów, w haństwie tegoż nazwiska mieszkających.

Z dziejowych plemion Persowie, zaludniający mianowicie Derbent i w części Kubę, te jedyne miasta w Dagestanie, a które często i dosyć długi przeciąg czasu, łącznie z okolicznemi krajami, pod ich panowaniem zostawały, rozszerzonemi są po tychże samych stronach, nieraz całe wsie zaludniając. Żydzi, którzy stanowią także osobną ludność w Derbencie i Kubie, gdzie osobne części miasta zamieszkują, zasiedlają także wiele wsi, a mianowicie w Kajtach i Kiuryńskiem haństwie, prowadząc życie rolnicze. Płacą jednak większe od innych mieszkańców podatki swoim władcom, dla których stanowią przez to najgłówniejsze nieraz źródło bogactwa, jak np. dla Karakajtańskiego Ucmiego; a nadto powszechnego doznają prze-

śladowania. Nie wolno im po miastach nosić uzbrojenia ani jeździć konno; a w drodze za spotkaniem się z mużulmaninem obowiązani są zsiadać z konia i oddawać pokłon. Za zabicie, obrazę, słowem każdą krzywdę wyrządzoną żydowi, przeznaczone są tylko kary pieniężne.—Między dziedzicznymi władcami posiadłości w Dagestanie, najobszerniejszą posiadającym krainę, a przytém największego używającym znaczenia jest Szamchał Tarkowski, pochodzący od pierwszego władcy od Arabów ustanowionego, który nosił ten tytuł, oznaczający: księżę Damasku, albo świeca książąt, od wyrazów: Szam, świeca, który także znaczył Damask, i chał, księżę. Mając jeszcze dodany sobie tytuł, albo przydomek Walii, co odpowiada znaczeniu wyrazów starszy lub naczelnik, był zarazem zwierzchnikiem nad wielą innemi krajami, a nawet władcami Dagestanu; lecz dzisiaj nie posiadając już téj władzy, przy samym tylko tytule zostaje. Karakajtachski Uemi pochodzi również od pierwszego arabskiego władcy, mianowanego z tytułem Ismji, a który Dagestańczycy na Uemi przemienili. Wszyscy hanowie zdają się mieć pochodzenie od władców tatarskich, z czasów zawojowań Tamerlana pozostałych, a może niektórzy od Tatarów krymskich, gdy pierwszy Majsum Karczachski w Tabassaranii był ustanowiony przez Persów.

Władcy nieograniczonemi są właścicielami posiadanej przez siebie ziemi, a dziedzictwo ich tak co do posiadłości, jak i władzy przechodzi na najstarszego syna, urodzonego z pierwszój ślubnej żony równego z niemi pochodzenia. Młodszy synowie otrzymują bogate mienia, lub mają wyznaczone z nich dochody, nie wyłączając nawet dżanke, to jest tych, którzy z nieślubnych poddańek pochodzą. Rządzą się podług Szariatu, to jest prawa pisanego, a będącego częścią Koranu, którego zawiera przepisy wszelkich społecznych stosunków dotyczące, i Adatu, prawa uświęconego zwycza-

jeni, a odziedziczonego po przodkach; wola ich jednak i władza są nieograniczone, jak również są panami życia i śmierci poddanych.

Za targnięcie się na życie władcy lub którego z członków jego rodziny, a nawet urzędnika lub ulubieńca, słowem za najmniejsze nieraz przekroczenie przeciw woli i znaczeniu tych osób, jak również za ojcobójstwo i cudzołóstwo, winowajca ponosi śmierć. Kara ta wykonaną bywa najczęściej przez ucięcie głowy, ale często przestępca pada zabity od wystrzałów, lub zarąbany kindztałami przez otaczających sług pana, za jedném jego skinieniem, a nawet czasem z własnej jego ręki. W niektórych miejscach zostaje spalony, albo też zrzucają go z związanemi rękami i nogami, lub zaszytego w worku, z wysokiój skały łuk urwiska, na dno przepaści lub w burzliwą rzekę. Za mniejsze podobnego rodzaju przekroczenia, oberznięcie jednego lub obu uszu, nosa, wargi; a za kradzież najczęściej palców u rąk lub nawet całej ręki, są karami przyjętymi w władctwach. Można nieraz po wsiach spotykać podobnych kalek, którzy w ten sposób ukaranemi zostali. Prócz tego opłaca się winowajca pieniędzmi lub darowizną; a nieraz z całą rodziną wyzutym zostaje z własności na zawsze.

Poddani, którzy jednak nie uważani są za własność, gdyż ich sprzedawać nie można, z zamieszkaných przez siebie i obrabianých ziemi oddają z akat, to jest dziesięcinę, stosującą się nietylko do wszelakich płodów ziemi i utrzymywanych stad, ale równie do wyrobów i przychodów z gospodarstwa, przemysłu i rękodzielni: jak jedwabiu, wełny, wyrabianých materyj, płócien, sukien, nie wyłączając takich nawet szczegółów, jak masła, jaj, kur, miodu, baranięj tłustości i t. p. Każdego roku na wiosnę i jesień składają mieszkańcy należne zbiory we dworze swojego władcy; a w niektórych okolicach, tylko stada spędzają na przegna-

czone na to i uświęcone od wieków miejsce, gdzie sam władca jest obecny. W kiuryńskim haństwie odbywa się ten zwyczaj na obszernej dolinie wsi Mamrarzlaru, nad małą rzeką Giullar położonej, na której han rozbiwszy swoje namioty, a całe dnie pod gołym przebiegającym niebem, siedząc z założonemi pod siebie nogami na rozestawionym na murawie kobiercu, otoczony swemi urzędnikami, duchownymi i starszyzną, roztrząsa przylémsprawy i wymierza sprawiedliwość, gdy resztę czasu poświęca na słuchanie wierszy Koranu, przez jednego z starszych duchownych czytanego. Wtenczas mieszkańcy, przez cały przeciąg przebywania hana, utrzymując tak jego osobę jak i cały dwór jego i gości własnymi zasobami i składkami, mają zarazem jakby szczęśliwą i jedyną sposobność przyjmowania go u siebie w gościnie.

Lasy, rzeki, jeziora, brzegi morskie, słowem wszelkie przyrodzone dary, jak również i pastwiska są własnością dla wszystkich potrzeb i zupełnego użytku ogółu służącą. W posiadłościach tarkowskich i w Kajtaclu, podług takiego prawa, należy również do wszystkich sól, na licznych dosyć jeziorach wydzielająca się, a którą zabierają nawet z innych okolic przyjeżdżający mieszkańcy. W ostatnich dopiero latach Szamchał Tarkowski ustanowił na nią podatek, a to jednego rubla w srebrze za taką ilość, jaką kto na jeden wóz zabierze; ale ten nowo wprowadzony zwyczaj, jako odwiecznie przyjętemu przeciwny, uważanym był nadto przez mieszkańców jako przekraczający przeciw woli samego Boga. Za pastwiska, mieszkańcy z innych okolic opłacali się pewną częścią przypędzonego stada; lecz dziś po wielu już miejscach, opłata ta na pieniądze od każdej sztuki zamienioną została. Składają jeszcze władcom podatki kupcy i wszelkiego rodzaju rzemieślnicy, którzy w ich posiadłościach zamieszkali; a nawet jeżeli tylko przejazdem z swego sposobu zarobkowania korzystają.

Wszyscy poddani obowiązani są wychodzić na wojnę, mając własne uzbrojenie i konia, jak również utrzymując się własnym kosztem. Wybierani na tę służbę kolejają, a często poświęcając się jej z własnej woli, powodowani zamiłowaniem boju, albo chęcią zasług, które wynagradza władca to zaszczytnym znakiem, to przydomkiem, orężem, koniem, ubraniem, a nawet nadaną własnością ziemską; gdy potrzeba wojny minęła, wracają do swoich domów. Pozostali od wojskowej służby mieszkańcy, ponoszą wszelkie inne ciężary wojny, tak w dostarczaniu żywności i środków przewozu, jak i w zaspakajaniu wszelkich potrzeb, których uznanie zależy jedynie od nieograniczonej woli władcy.

Becy, znajdujący się w władctwach, w których nieraz znaczną część ludności stanowią, posiadając wyłączne własności ziemi, jako też poddanych, którzy płacą im dziesięciny i podatki, będąc zarazem podległymi ich władzy, wolni są od wszelkich opłat i ciężarów względem władców. Ulegają tylko ich zwierzchnictwu, wykonywając rozporządzenia i rozkazy ogólnego dotyczące rządu, jak również mając obowiązek wychodzić na wojnę na czele pewnej siły zbrojnej, z własnych poddanych złożonej, którą także własnym utrzymują kosztem. Wymierzają oni wszelką sprawiedliwość nad swemi poddanymi, nie mając jednak prawa karania śmiercią. Wszystkie spory między nimi rozstrzygają tylko władcy. Powstali oni albo z pierwiastkowych właścicieli posiadłości, którzy potem stali się uległymi władcom; albo też z poddanych, którzy za wojenne lub inne zasługi własnościami na wieczne czasy obdarzeni, do godności beków wyniesionymi zostali. Pierwsi jak i drudzy zachowują od przodków swoich podania, oba te ich pochodzenia potwierdzające.

Niewolnicy, kułta, z jeńców wojennych pochodzący, mogą być własnością każdego bez wyjątku

mieszkańca. Takiego niewolnika używa pan do wszelkich robót, postępuje z nim zupełnie podług swojej woli, może go darować, sprzedać lub zabić. To jednak nieszczęśliwe ich położenie zmiękczone jest w części zwyczajem, jak również przepisami Koranu, które zbyt surowego z nimi obchodzenia się zabraniają.

Miejsce zamieszkania mają władcy w jednej ze wsi swoich posiadłości, gdzie na urwisku, wzgórzu, lub innej nad okolicą panującej wyniosłości, stoi ich dom w rodzaju zamku zbudowany, otoczony zwykle murem, strzelnicami i basztami opatrzone. Zwyczaj takiego budowania, zachowujący się od czasów trwania w tych stronach nieustannych prawie obcych napałów i wojen, a które prowadziły także pomiędzy sobą sąsiadujące krainy, usprawiedliwionym jest obecnie mogącą się zdarzyć potrzebą obrony przeciw niepodległym plemionom w górach. W ten sposób zbudowanym jest zamek Karakajtachskiego ucmiego w Madżalisie, wsi położonej przy samym prawie wejściu w górzystą i lesistą okolicę tego kraju; Kazikumuchskiego hana w Kumuchu, wspinający się po wzgórzach lewego brzegu Karakojsu, mając na drugiej stronie tej rzeki, naprzeciw siebie sterczącą, obronną fortecę rosyjską tegoż nazwiska; Kiuryńskiego hana w Jarachu, pośród prześlicznej okolicy wzgórz, pól i rosnących kępami lasów; gdy inni obszerniejsze tylko zajmują domy. Szamchał Tarkowski ma takowych dwa: jeden w Kaferkumyku, na parę wiorst odległym od Temirchan-Szury, stolicy głównych władz wojskowych cesarsko rosyjskich; a drugi, w odwiecznym miejscu swego przebywania, w Tarkach, wsi leżącej na górach, prawie nad brzegami morskimi się wznoszących, naprzeciw fortecy Piotrowskiej, będącej zarazem portem, a odbudowanej na miejscu dawniejszej, przez Piotra Wielkiego założonej.

Zamki te i domy, podniesione zawsze na piętro, składają się zwykle ze skrzydeł zamykających się w prostopadłość. Wszystkie drzwi i okna od mieszkań wychodzą na dziedziniec, na który prowadzi w środku jednego skrzydła zostawiona brama; a ciągnące się pod ścianami ganki i schody służą do przechodzenia. Na piętrze znajdują się pokoje władcy i tak nazwane kunnackie, to jest do przyjmowania i pomieszczenia gości służące; gdy inne jako też cały dół zamieszkują urzędnicy i studzy, którzy do przybocznego dworu należą. Osobna część zamku przeznaczona jest na haremu, to jest mieszkanie żon i całej kobiecej służby; należy do niej osobny jeszcze dziedziniec, do opasującego muru przytykający, z osobnym wyjściem i studnią, lub obłożonem z kamienia źródłem. Wewnętrzne zresztą urządzenie mieszkań, zupełnie będąc podobnym do używanego powszechnie w domach wszystkich innych mieszkańców, odróżnia się chyba większą obfitością i bogactwem zaściętających podłogi i ściany kobierców lub makat, pościeli, naczyń i sprzętów; a tylko u jednego Szamchała Tarkowskiego znajduje się kilka pokoi, w których także stoją stoliki, kanapa i krzesła.

Między urzędnikami, którzy nieraz liczne dwory władców składają, najpierwsze zajmuje miejsce tak nazwany kadii. Służąc do wydawania i wykonywania rozporządzeń i rozkazów, posiada przytém pieczęć, będącą razem podpisem władcy; chociaż ten ostatni obowiązek wypełnia niekiedy oddzielnie wyznaczony urzędnik, nazywający się Nazyr, jakiego niedawno miał Szamchał Tarkowski i han Kazikumuchski. Do pisania, którym nigdy nie zajmują się kadiowie, a tém bardziej władcy, gdyż nawet zwykle tej umiejętności nie posiadają, usługuje Mirza, to jest pisarz, który wszystkie swoje przybory, jak małe zwitki papieru, jedno trzcinowe pióro, mały kałamaryk z czarną farbą w bawełnie, a wszystko w jednem zachowane pudełku, nosi zawsze

przy sobie. Kadi przykłada pieczęć do napisanego na kolanie zwykle listu lub rozkazu; a te oddane w ręce niższego urzędnika lub sługi, nukiera, dochodzą na właściwe miejsce. Podług wykonywanego jednak wszędzie zwyczaju, wszystkie rozkazy od samego władcy aż do najniższego urzędnika, wydawane są ustnie; a czasami potwierdza je tylko mały kawałek papieru, pieczęcią władzy lub kadiego opatrzony. Ale przy dzisiejszych stosunkach z władzami cesarsko-rossyjskimi, mirzowie daleko więcej mają zajęcia, jak również dodanemi zostali tak przy dworach jak przy urzędnikach oddzielne wykonywających zarządy, tak nazwani tołmacz, to jest tłumacze, którzy obowiązani są umieć czytać i pisać po rossyjsku. Do zarządzania całym domem, kassą, ubiorem, do usługiwania przy jeździe, osobni jeszcze mianowani byli dawniej urzędnicy; lecz dzisiaj zwyczaj ich utrzymywania prawie w zupełności ustaje. Najliczniejszą jednak służbę, która tak do osoby władcy jak i jego dworu należy, stanowią tak nazwani nukierzy. Onito wypełniają wszelkie posługi, na lotnych swoich koniach roznoszą rozkazy i listy, ka ha z; a gotowi na każde skinienie, zawsze otaczają władcę, gdy najwierniejsi, dniem i nocą zostają przy jego boku. Głównie odznaczać się powinni doskonałością jazdy i robienia bronią, jak również gotowością poświęcenia się i walecznością. Przypadającą koleją, albo z rozkazu władcy wybrani, utrzymywani są w zupełności jego kosztem; a chociaż obowiązani są mieć własne uzbrojenie, konia i odzież, ale i te oprócz innych bogatych często podarunków, otrzymują za zasługi i wierność. Na wojnie stają się często naczelnikami oddziałów wojska, a głównie stanowią nieodstępną straż władcy.

Podobne dwory, mniej albo więcej liczne, a mianowicie nukierów, utrzymują także wszyscy członkowie rodziny władcy, jako też zwykle becy. Kadiowie mają

także swoich nukierów, tłumaczów i mirzów. Słowem najuboższy bek albo kadi choć jednego nukiera posiadać musi, ażeby przynajmniej w drodze towarzyszył mu w uzbrojeniu i konno. Po niektórych miejscach mianują władcy na okręgi lub ludniejsze wsie osobnych rządców, których zwykle z pomiędzy członków swojej rodziny albo z najzaufańszych wybierają ludzi. Ale głównie do wykonywania rządów, znajdują się na każdą wieś ustanowieni tak nazwani kadii albo kazii, których wybór, chociaż w części od woli mieszkańców zależy, ale zawsze przez władcę zatwierdzonym być musi. Ci urzędnicy i duchowni zarazem, umiejący czytać i pisać po arabsku i turecko-tatarsku, posiadający znajomość Koranu, a nadewszystko Szariatu i Adatu, nietylko za pomocą podległych im sołników, juz barchy, dziesiętników, i tak nazwanych czausz, wykonują wszelkie rozporządzenia i rozkazy; ale nadto rozstrzygają spory i wydają wyroki, które tylko w ważniejszych zdarzeniach opierają się o sprawiedliwość władców. Oprócz posiadanych własności, pobierają dochody, stale im należne od mieszkańców, to jest jedną dziesiątą część ze zbóż, a jedną setną ze stad, a przylém opłaty i darowizny, przepisane za rozstrzygnięcie sporów i za przestępstwa od winnych. Dochodzą nieraz do znacznego majątku, gdyż nadto od władców znaczne otrzymują podarunki, a nawet własności ziemskie.

Podlegli im niżsi duchowni, mulli, pierwszy stopień duchowieństwa zajmujący, służą po wsiach do wypełniania obrzędów religijnych, za które także, jak za pogrzeby, śluby, przysięgi, pobierają opłaty, jak również mają prawo do takiej samej części dochodów ze stad i zbóż, jaką składają mieszkańcy kadiiom. Są nadto zwierzchnikami meczetów, które w każdej wsi się znajdują, jak również w istniejących zwykle przy nich szkołach. Mając dodanych czasem nauczycieli, uczą

czytać i pisać po arabsku i turecko tatarsku, a przytém wykładają naukę Koranu, któreto przedmioty uważane są za jedynie potrzebne, jak również całą uczoność stanowiące, gdyż nadto usposabiają do wszystkich stopni duchowieństwa i urzędów. Miuzzyni, do służby meczetów należący, mają obowiązek pięć razy co dnia, tojest: na parę godzin przed świtem, o samym świecie, w samo południe, przed wieczorem i o zachodzie słońca, z wysokich wieżyczek minaretów, głośnóm powtarzając wołaniem niektóre wiersze z Koranu, przypominać wiernym o modlitwie. Obwołują także z dachu rozkazy, które się ogółtu mieszkańców dotyczą.

Najstarsi duchowni, *effendi*, samą tylko duchowną posiadający władzę, którą i sami władcy szanują, mają zwierzchnictwo nad meczetami, szkołami i mułłami, między któremito ostatnimi rozstrzygają spory, będąc zarazem sędziami i zarządcami ich postępowania. Ale przy wyższej znajomości języka arabskiego i Koranu, odznaczać się powinni wyższemi także religijnemi cnotami; albowiem te tylko przymioty w połączeniu stanowią duchownego, który w pojęciu mużłmanina tyle znaczy: co cnotliwy i mądry. Wyższego tylko od nich używający znaczenia są *alimowie*, albo *ulemowie*; ale jak rzadką jest prawdziwa mądrość, od której mużłmanin nigdy nie odłącza cnoty, tak rzadkiemi są i ci mędracy: żadnym podobnym nie szczyci się obecnie Dagestan. Wszyscy duchowni jako i *kadiiowie* winni są oddawać czwartą część swoich dochodów na utrzymanie meczetów i szkótek, a czwartą część na wspieranie wdów, sierot, kalek i starców.

W wolnych gminach, ziemia jest własnością wszystkich; a ta rozdzielona na *magaty*, t. j. okręgi i wsie, równemi częściami należy do mieszkańców. W miarę powiększania się i zmniejszania ludności, nowy podział ziemi następuje. Każdego roku na wiosnę, przy zgromadzeniu się wszystkich mieszkańców, każdy z nich,

za pomocą rzuconych losów, otrzymuje tak co do jakości jak i obszerności równą częśćkę pola, która przeznaczoną jest do uprawy. Wolno jednak każdemu, z ziemi nigdy nieporuszonej, przybrać wszelką dowolną jej ilość, która, jeżeli ją uprawia, staje się jego własnością. Podobnie należy do każdego dom i zagroda, jak również ogrody i sady, w które zamienioną została raz już oddana ziemia. W gminach, które z dziedzicznych posiadłości są złożone, dziedzictwo spada równemi częściami na wszystkie dzieci, wyjąwszy córek. Podobnie tak w tych jak i innych gminach stosuje się to prawo do wszelkiego pozostałego dobytku. Pastwiska, lasy, wody, jak również nieuprawiane ziemie są wspólne. Sianożęcia albo równemi częściami się rozdzielają, albo ze wspólnie uczynionego zbioru wszyscy mieszkańcy korzystają równo; wszyscy mieszkańcy jako zupełnie między sobą równi, gdy tylko kułty się wyłączają, należą do rządu. Na okręgi, wsie, a nawet całe gminy obierają kadiów, którzy pobierając podobne jak i w haństwach dochody, a z jakich podobnie utrzymują się także mulli, wykonywają prawa szaryatu i adatu, wydają rozporządzenia i rozstrzygają spory, a ich rozkazy i wyroki są nieodwołalne. Wszystkie w ogóle gminy rządzone są przez kadiów wiejskich; ale znajdują się takie, którei zarządzają nadto główni kadiowie, jak np. w Akuszy i Dargo. Wszystkie jednak sprawy dotyczące ogółu, rozstrzygane są przez mieszkańców jednogłównością, która w całym znaczeniu tego wyrazu się rozumie, gdyż czasem jeden głos przeciwny zawiesza ostateczny wyrok. Dla takich narad zbierają się to koło domu kadiiego, to na cmentarz; ale w sprawach całą gminę obchodzących, ażeby wszyscy jej mieszkańcy pomieścić się mogli, obierają na to osobne miejsce, które w niektórych okolicach uświęcone jest zwyczajem, jak np. w Akuszy dolina Diu-majdan, a w Kajtachu Simsi. Pod przewodnictwem ka-

diiów, muttów, jako też starszych wiekiem, a którzy powszechnego doznają poszanowania, zwykle do ogólnej dochodzą zgody, ale bywały zdarzenia, że rozdzielone strony, o pierwszeństwo swoich wyroków, krwawemi dobijały się walkami. W razie postanowionej wojny, wychodzą na nią, albo wszyscy zdolni do noszenia broni, albo trzymając się kolei, która zwyczajem jest przyjętą, lub na ogólnej naradzie ułożoną została.

Podobne urządzenia napotykają się jeszcze po niektórych okolicach w posiadłościach władców. W szamchalstwie Tarkowskiem znajduje się kilka wsi, a między niemi jedna z najludniejszych Gubeleń, której mieszkańcy wybierają własnego kadiiego, wszystkie sprawy dotyczące siebie rozstrzygają jednogłośnie, ziemią rozdzielają się równo podług rzuconych drewniakami losów, sianożęcia i pastwiska posiadają wspólne. Względem swego władcy, uznając tylko jego zwierzchnictwo, mają obowiązek utrzymywania jego osoby, członków, jego rodzinę i ich służbę, jeżeli takowi przebywają w okręgu ich ziemi; wysyłania do jego boku pewnej ilości nukierów, jak również za jego rozkazem wychodzenia na wojnę, utrzymując się na niej swoim kosztem. Pod zwierzchnictwem Karakajtachskiego ucmiego, mieszkańcy całej jednej strony jego posiadłości, wolnym Kajtachim nazwanej, oprócz używania wszystkich wyżej wymienionych przywilejów, nie mają nawet obowiązku wysyłania nukierów. Czyli takie urządzenia, podobnie jak w wolnych gminach, panowały we wszystkich tych stronach, czyli też w tych tylko istniały, w których do dziś dnia się zachowują, trudno rozwiązać.

Znajdują się jeszcze okolice, gdzie ziemia rozdzieloną jest na dziedzicznych właścicieli, którzy mają swoich poddanych, nie ulegają żadnemu zwierzchnictwu, nie wybierają żadnych urzędników, a rządzą się sami i tytułują podobnie jak w władztwach, beka-

mi. Taką mianowicie jest część Tabassaraniu, nazwana ziemią wolnych Tabassarańskich beków.

Religia mahometańska, panująca i po całym rozszerzona Dagestanie, a wyznawana podług sekty Suni, gdy mała tylko część perskiej ludności wyznaje sektę Alego, jest głównym duchowym węzłem, wszystkie te ludy łączącym. Szariat, to prawo pisane, a z Koranu wyjęte, jako dla każdego muzulmanina, obowiązującym jest dla każdego mieszkańca Dagestanu. Ten religijny jego początek, nadaje mu ową nienaruszoność i poszanowanie, z jakimi ulegają mu nie tylko ludy, ale i władcy, uważając je za święte, bo od samego proroka pochodzące.

Ale to drugie prawo, Adat, owo prawo odwiecznego zwyczaju, a odziedziczonego po przodkach, posiada równą powagę i siłę. Zapytany mieszkaniec, dlaczego takie jest urządzenie, dlaczego takiego słuca wyroku, dlaczego tak a nie inaczej sobie postąpił w jakimkolwiek, w najdrobniejszym nawet szczególe życia, odpowie zawsze: że takim jest Adat. A chociaż z powodu napadów i zawojowań, różne przez zdobywców ustanowione zostały władze i zaprowadzone prawa, jak również napłynęły obcych plemion obyczaje i zwyczaje; jednak to częściowo, to w całości, a mianowicie w wolnych gminach, Adat zachował się święcie. W nim to zatem jedynie szukać należy wszelkich różnic między urządzeniami i zwyczajami tych ludów, a zład i ich odrębnych, plemiennych początków.

Gdy nadto istniejące obecnie dziedziczne posiadłości władców w Dagestanie, jakoto: Szamchalstwo Tarkowskie, Mechtulińskie haństwo, Ucmijstwo Karakajtachskie, hańsłwa kazikumuhskie i kiuryjskie, jak również tak nazwany kubiński powiat i samurski obwód, a między wolnymi gminami Akusza, Dargo, Siurga, wolny Kajtach, cała Tabassarania i inne pomniejsze, zostają pod panowaniem cesarsko rosyjskiem, a reszta ziemi i gmin jest mu dotychczas niepodległą; przeto Dagestan, jakby na te dwie podzielony części, dwóch jeszcze odrębnych rządów nosi na sobie piętno.

KRONIKA LITERACKA.

*Gawędy o literaturze i sztuce przez J. I. Kraszewskiego.
Ciąg pierwszy. Lwów. Nakładem Karola Wilda. 1857.
W 12ce. Str. 339.*

Książka ta mająca w tytule bardzo piękną dewizę z Cycerona: *dicendi periculum non recusa*, składa się z kilku rozpraw różnymi czasy pisanych i jedna od drugiej niezależnych. Ulubiony przez publiczność naszą powieściopisarz, wyklada w nich swoje myśli i pomysły w niektórych materyach literatury i sztuki.

I.

Najważniejszym jest artykuł: „Obrazy przeszłości”—Autor odważnie i wyraźnie, jak przystało na jego stanowisku, ostrzega piszących i publiczność o fałszywości kierunku współczesnej literatury powieściowej. Kierunek ten oryginalnie i świetnie przez Mickiewicza i Rzewuskiego rozpoczęty, pracami Wojcieckiego wsparty, zamienił się następnie pod piórem jednego z mistrzów, a zwłaszcza też pod piórem jego epigonów, w istne bałwochwalstwo dnia wczorajszego, jak się p. Kraszewski wyraża; chociaż, ogólniej mówiąc, bałwochwalstwem przeszłości nazwałoby go wypadło.

Dobrze to i arcy chwalebnie, kiedy pisarz wielkiej wziętości odezwie się w ten sposób, rzeczy wprost po imieniu nazywając: lepszy zład u nas skutek, niż z użaleniem się recenzentów i korespondentów po pismach czasowych; a w tym razie o tyle jeszcze lepszy, że i sam p. Kraszewski, zawsze żywy i przedni biorąc udział w każdym poruszeniu narodowej imaginacji, przysiępiwy-

wał podobno niekiedy w owym chórze entuzjastycznym na cześć kontuszowych czasów. Uludne obrazy tych ostatnich, nietyle może niewierne same w sobie, ile raczej fałszywém oświecone światłem, miały pocieszyć znękaną i rozpaczoną po części terazniejszość za wszystkie straty i bole doznane; w rzeczy zaś samėj mogą tylko olśnić t. j. zaciemnić narodowy rozsądek, zagłuszyć prawy głos narodowego sumienia i zwichnąć edukacją nowych pokoleń. Rzeczywistość bywa prawdziwie do snu czasem lub do baśni podobna, jeżeli odstrychnąwszy się od dziennych wrażeń, sprowadzimy do wyrazów ogólnych to, co dla pstrocinny kolo-rów, dla hasła sympatycznych pociąga oczy i umysły zniewala. Oto plemieniu, które w ciągu wieków zmarnowało ogromne środki przez Opatrzność mu dane, a zaniedbawszy wszelkięj reformy wadliwego w gruncie politycznego organizmu, zohojętniawszy na wszystkie wypadki i stosunki zewnętrzne, zasklepiwszy się w swobodach i przywilejach arcy wygodnego i niezaprzeczenie pięknego bytu towarzyskiego, straciło nawet pojęcie o koniecznych tego drogiego mu bytu gwarancyach, a skutkiem tego lekceważone przez obcych, zaprawionych na łatwém przewodzeniu, zmuszone zostało w końcu do abdykowania władzy i znaczenia; — takiemu plemieniu zaczynają ni zład ni z owąd kadzić, jak to mówią, w żywe oczy, tak jak nie kadzono gościęj nigdzie może i nikomu! Zaczynają w nie wmawiać, że obudzony katastrofą bezprzykładnej w dziejach ruiny jego instynkt zachowawczy, że wynikłe ztąd dążności reformacyjne i poczucie się do europejskiego braterstwa błędem są i grzechem przeciwko narodowości; że wszystko w przeszłości jego było najpiękniejszym, najszlachetniejszym, i na dobitkę, najmędrszym; że wreszcie to głównie i to tylko co się w momentach oeknienia zgubném wydawało, co już poniekąd cofać się musiało i milknąć w obec oświeconego nieszczęściami sądu publicznego: że przywary, przesady, zaślepienia i niedorzeczności, których już się potrosze wstydzić zaczynano, są właśnie najistotniejszą wartością plemienia częścią, gruntem jego i zaszczytem.

I biedne plemię prawie uwierzyło!

Zapomniawszy o wielkich i smutnych rysach, które się ządnym kolorem nie zamalują, rzuciło się z osobliwszém ukontentowaniem to do powtarzania pretensjonalnych frazesów proroczym tonem wypowiedzianych, to do rozpatrywania miluchnych obrazków, tém miłszych, że mogłoby i dziś jeszcze coś podobnego u siebie zobaczyć. W samolubnym, ba! dziecinnym zachwy-

cie nie przyszło na myśl proste zapytanie: jakimże to szczególnym losów obrotem te piękne i wesołe rzeczy, tak nie pięknie i nie wesoło się skończyły? Dlaczego z tylu wielkich summ, taki minus przerażający?

Prozaiczne, niewygodne pytania: aniby się przy nich w sobie samych rozlubować, ani nienawiścią pocieszać, ani wysokimi pretensjami ukolysać można. Unikano ich więc, czyli raczej nie nasuwały się one; a dlaczego się nie nasuwały— to już zbyt obszerna materya na niniejszy artykuł. Dostyc powiedzieć, że główna kwestya narodowych dziejów, do dziś dnia bez szczerzej i wyraźnej odpowiedzi pozostała. Prawda nie tylko nie jest rzeczą prostą i łatwą, chociaż ma taką reputacyą, ale przeciwnie zawiłą jest i trudną; pełno na to dowodów i w dziejach i w życiu współczesnym.

Niepodobna twierdzić, żeby p. Kraszewski, wytykając chorobę naszego piśmiennictwa o której się tu mówi, widział ją właśnie tak samo: ale dostyc nam i tego na pierwszy raz, że ją śmiało atakuje. A nawet jedno jego zdanie wielką uderzające trafnością, które tu zaraz przytoczymy, każe się domyślać że niedaleko być musi od powyższego zapatrywania się.

„Chąc odgadnąć, mówi autor, byt wczorajszy (1), usiłowano stanąć nie na stanowisku dzisiejszém, ale na wyjątkowém, dawném, przenosząc się nihy w przeszłość dla lepszego jój osądzenia; tém właśnie pozbawiono się władzy wszelkiego sądu.”

Tak jest bezwzględnie: nierównie większą mamy potrzebę wydania sądu o naszój przeszłości, aniżeli jój malowania; a to dlatego, że z dobrego, z sumiennego osądzenia wynikną natychmiast pożyteczne dla dzisiejszego i następnych pokoleń nauki; z malowania zaś może się wprawdzie literatura bogacić (i to rzecz nie mała), ale korzyść moralna i polityczna wcale już niebezpośrednia: dojrzałsze ją tylko, światlejsze, porządniej myślące głowy wyciągnąć potrafią.

Wypadnie nam atoli w innym punkcie poróżnić się w zdaniu z autorem, chociaż nie będzie to wcale poróżnienie stanowcze i całkowite. Powiada p. Kraszewski, że: „razem zebrane te częściowo trafne wizerunki (przeszłości) dają nam zupełnie fałszywą, apologetyczną, ale niedołączną całość, odtworzoną w chwili en-

(1) Szkoda, że się p. Kraszewski tego przymiotnika trzyma; od czasów rzeczypospolitej dzieli nas kilka epok, nie można ich więc dniem wczorajszym nazywać.

tuzyazmu, lecz artystycznie i historycznie nieprawdziwą." Tę nieprawdziwość powód upatruje p. Kraszewski, o ile go zrozumieliśmy, w tém, iż zbyt wyłącznie powieściopisarze nasi historyczni szlachecką społecznością się zajmują, zaniedbując inne klasy narodu, których życie jakoby wiele interesującego przedstawić mogło; że nie tknęli sfer idealniejszych niż szlacheckie, idealnych cierpieniem, mileżeniem, pokorą, zaparciem, boleścią cichą, nicością swoją.

A dalej jeszcze inny zarzut, że się malują tylko: „wizerunki zamętu, walki, sporu, uczyły i biesiady, zabójstwa, wojny i wrzawy, i w nich utonęło co obok nich żyło równém prawem w spokoju i ciszy;" że „nie zapisywał nikt godzin życia ubiegających w ciszy i spokoju i regularném spełnianiu obowiązków"; że wreszcie „odwzorowując część szlachty sejmikującą, rabiącą się i processującą, zapomniano o ciekawszej połowie, która przy szabli zardzewiałej uprawiała ziemię i w cieniu lip starych modliła się na ustroniu." Ztąd wnioskuje p. Kraszewski, że „tło dla nas nieznanne i dotworzyć je potrzeba".

Otóż zdaje nam się, że te zarzuty są w części nieuzasadnione, a w części odmiennéj wagi niż ta, jaką im autor nadaje. Czyliż brakuje malowideł życia cichego i spokojnego w pamiątkach Soplicy, albo w p. Tadeuszu i Listopadzie (jak *np.* dom i życie generała Kunickiego)? Albo czemuż są inném Podróż Benedykta Winnickiego do Nieświeża, lub Zgoda Senatorska? Nie brakłoby i wielu innych przykładów. Ani te wszelako wizerunki jednostajnie przyjemnego żywota, ani owe scen burzliwych i excentrycznych obrazy nie zadawalniają myślącego czytelnika; ani te ani tamte światłem współczesnego sądu nie są oświecone: tu cały ich fałsz leży. Powieściopisarze i poeci, sadząc się ze wszystkich sił na udawanie przeszłowiecznych ludzi, dają owszem do zrozumienia, że dzisiejszy sąd głupi jest, a dzisiejsze pokolenie niedołęzne, znikczemniałe w porównaniu z tamtymi. To pomiatanie dniem i ludźmi dzisiejszemi jest pewnym rodzajem literackiej mody; ma niby to dowodzić wyższych pojęć. Sam p. Kraszewski nie jest od téj mody wolny: i on także mniema, że był, „świat olbrzymów po których dziś zostały skarłale dzieci, chore, bojaźliwe i t. d." (str. 300). Trzeba być koniecznie zgodniejszym z sobą: jeżeli p. Kraszewski uznaje potrzebę własnego, t. j. współczesnego sądu o przeszłości, niechże zważy, że sąd ten żadnejby nie miał wartości, gdybyśmy istotnie tém byli, czém nas mianuje, t. j. skarłalami, chromemi i bojaźliwemi dziećmi.

Co się tyczy niedostateczności powieściopisarskich i poetyckich obrazów z powodu pominięcia włościańskiej i mieszczańskiej klasy, to zgadzając się w zupełności z autorem, iż historyczne wizerunki obu tych klas odsłoniłyby nam istotnie sferę cierpienia, milczenia, pokory, cichéj boleści i nicości,—na to wszakże przystać nie możemy, iżby to była sfera *idealna*. Ten przymiotnik bardzo wiele znaczy: od jego prawdziwości zależy możność artystowskiego rzeczy traktowania. Cierpienie, milczenie, boleść, pokora, mogą być idealnemi, czyli,—ten literacki termin na język pospolity przełożywszy,—pięknemi, jeżeli są fenomenami istotnego życia, jeżeli mają świadomość siebie, jeżeli wartość ich i znaczenie albo z poświęcenia dobrowolnego, albo z walki interesów wynika. Same z siebie, skoro są zupełnie biernie, stanowią nader wielki, sympatyczny, największy może dzisiaj przedmiot dla zajęcia moralnych czynników i sił społecznych ucywilizowanego świata,—ale ideału nie wydadzą. Opisy biernych takich cierpień i w ogóle niedoli ludzkiej tego rodzaju, jeden tylko cel mieć powinny, a mianowicie, wywołanie środków i sposobów ulżenia; koniecznym więc ich warunkiem jest autentyczność, a téj już od utworów imaginacyi wymagać ani można, ani należy.

Przykład starożytnych komedyopisarzy, którzy niewolniczą klasę na scenę wyprowadzali (do czego się p. Kraszewski odwołuje), nie dowodzi tu niczego. Cóż bowiem robią ci niewolnicy u Arystofanesa, Terencyusza i Plauta? Są jakiemś, zawsze jednostajnymi narzędziami dramatycznej akcji, narzędziami niskimi a nie indywidualnemi moralnemi; w późniejszych lokajach Moliera mamy też samo. Nie tego oczywiście życzyłby sobie p. Kraszewski; a tymczasem jakież rzeczywisty udział w historycznym dramacie lub romansie mogą mieć warstwy społeczeństwa historycznie nie żywe, a dające materialną li tylko podstawę prawdziwemu życiu klas panujących? Nie pomoże tu *nie* twierdzenie, że ponieważ byli chłopci i mieszczenie, więc musieli mieć własny żywot: cóż po tém, kiedy jego śladów w dziejach narodu nie widać, wyjąwszy chyba, że pozwalano kilku burmistrzom podpisywać się proforma na aktach elekcyi królów. „Emancypacya obu stanów czasu sejmu 40 letniego, mówi p. Kraszewski, przygotowywała się poprzednio i na niegotowych przyjść nie mogła: żyło już to, czemu sankcyą tylko i uznanie nadano”. Nazwanie emancypacyą prostego oświadczenia, że włościanie mają być pod opieką prawa, oświadczenia idącego po uprzedniem, solennem i dobitnem zarządzeniu przywilejów i praw szlacheckiego stanu, jest widoczném

nadużyciem wyrazu. Tém mniej utrzymywać się godzi, jakoby się ta emancypacya przygotowywała: kiedy i jak? Wszakżeż to do dziś dnia w większej części kraju ogromny i niezalutwiony kłopot. Ustawa o miastach była istotną emancypacyą: najpiękniejszy to może pomnik prac wielkiego sejmu. Ale tego, żadną miarą dojrzedć nie możemy, żeby ona miała być uznaniem tego, co się wyrobiło: miała ona owszem na celu dźwignienie miast z nędzy, uwolnienie ich od ucisku, stworzenie prawdziwego t. j. żywego, niezależnego, czynnego stanu miejskiego. Była to więc, co się zowie reforma, a nie konsolidacya i uprawnienie rzeczywistego nabytku. W tym względzie była zupełnie podobna do saméjże ustawy politycznej 3go maja: ta ostatnia (w tém naturalnie co stanowi główną jej myśl i zaletę) nietylko nie uznawała stanu rzeczy wyrobionego, ale przeciwnie, usunięcie onegoż zupełnie miała na widoku. Wyrobiły się bowiem bezrząd i jego towarzysząca słabość: ustawa chciała wprowadzić rząd i moc.

Pozwoliliśmy sobie tych uwag o emancypacyi i ustawie czteroletniego sejmu, choć to do naszej materji wprost nie należy, z tego powodu, że musimy przywiązywać wagę do każdego zdania autora tak wysoce cenionego przez ogół czytelników; niech nam to raz na zawsze służy za usprawiedliwienie innych tego rodzaju od właściwej materji zbroczeń.

Najchętniej wszakże przyznać należy, że stosowne epizodyczne wprowadzanie obrazów włościańskiego i miejskiego bytu do historycznych powieści, dopełniłoby je prawdziwie i mocno odcieniowało głównie ich figury. Ale bolesne opisy tyranii i zdzierstw starościńskich, processów i ekzekucyi biednych starych kobiet o czary pomawianych, szlacheckiej i żołnierskiej swawoli po wsiach i miasteczkach — nie przypadają do gustu naszych romansopisarzy i poetów (miałem powiedzieć wieszczów, stosownie do dzisiejszej etykiety); odmieniłyby one znacznie wesoly efekt ich uśmiechających się malowidel! Nie przypadaloby również do ich apologetycznego tonu wystawienie ukochanej przez nich szlachty w wypadkach ogólnego krajowego interesu, gdzieby musieli pokazać jak ta szlachta pomimo szczerą praktykę pobożności, pomimo przeważającą uczciwość i przystojność w stosunkach domowych i ściśle prywatnych, ciemna była i niemoralna w rzeczach największej dla obywatela wagi; jak bez sumienia i wstydu sprzedawała dobro publiczne za łyżkę barszczu łaskawcom i chlebobdawcom, którzy je znowu, także za łyżkę barszczu (ale nierównie większą), sprzedawali komu innemu. Mil-

oży więc o tém roztropnie kontuszowa szkoła, ograniczając się niekiedy mistrzowskim wyrzeczeniem, że pokolenie dzisiejsze wyobrażenia nawet nie ma o przeszłości i tajemnicach politycznych jój wydarzeń. Pochodzi to (odtrąciwszy część słuszną na przeszkody zewnętrzne); u jednych z zamysłu, u drugich z najlepszych chęci niebrudzenia gniazda własnego.

Temuto zapewne uczuciu przypisać należy ustęp w rozprawie tu rozbieranój, gdzie p. Kraszewski powiada, iż niepodobna bez krzyczącój niesprawiedliwości zarzucać przodkom naszym systematycznego ucisku ludu. Jakto? Jeżeli chłop pozbawiony był praw cywilnych, jeżeli pozbawiony był wolności rozporządzania swoją osobą i swoim czasem, to jakże stan taki ma się nazywać? Jużci *systematycznym* uciskiem, a nie inaczej. Jakąż tu inną nazwę wymyślić,—skoro ogłoszenie takie z praw człowiekowi przynależnych nie było niczym nadużyciem szczególném, ale owszem prawną zasadą społeczności wieki całe trwającą? O ile takowa systematyczność ucisku miarkowana była wpływem religii, ludzkością lub rozsądkiem indywiduów albo zwyczajami,—o ile rzeczywiście włościanin do rodziny pańskiej należał i węzłem przywiązania był z nią złączony; o ile stosunek jego do pana w ogóle podobny był do współki, jak autor mniema:— w rozbiór tego, nie przecząc wprost panu Kraszewskiemu, wdawać się tutaj nie możemy.

Były niewątpliwie miejskie i wiejskie ludności rozległej Rzeczypospolitej jeszcze w wieku XVI w lepszym położeniu. zanim je szlacheckie wszechwładztwo ze wszystkiego wyzuło; do tamtych więc epok sięgnąćby musiał powieściopisarz, skoroby mu historyczne studia odkryły istotnie, że w owych tak późniejsponiewieranych klassach, tkwilo wówczas uczucie obywatelstwa, że były tam warunki materialnego i moralnego wzrostu i dążności odpowiednie. W takim razie odmalowanie momentów politycznego zatracenia i obumarcia pełnych siły i nadziei żywiołów społeczeńskiego składu, i ostateczne ich kosztem, jako i państwa w ogóle, utwierdzenie nieograniczonego szlachty panowania,—przedstawiłoby czytelnikowi dzisiejszemu smutny wprawdzie tragicznością perspektywy, ale niezawodnie bardzo interesujący obraz.

Może coś podobnego miał na myśli p. Kraszewski wynurzając w końcu swego artykułu wymownemi słowy nadzieję, iż zjawia się pisarz natchniony, który nam przeszłość naszą w całym jój blasku, ale i w całej prawdzie odtworzy; że nawet może bliżsi je-

steśmy takiego arcydzieła niż nam się zdaje. Pod tą przeszłością rozumiał zapewne autor owę odleglejszą o której mówiliśmy wyżej, kiedy nasz organizm społeczny miał jeszcze dosyć zdrowia i siły do wydania wszystkiego, co wydać był powinien; bo co się tyczy czasów nam bliższych i których następstwa widzimy,—to dojrzeby zrobił romans, żeby ich więcej nie tykał: poznaliśmy je dostatecznie. Całym sercem wturujemy przeważnemu głosowi autora *Gawęd* o literaturze i sztuce, że dosyć nam tych wąsów i głów podgolonych, dosyć tych cześniaków, wojskich, podkomorznych i t. d. aż do hetmanów *inclusive*, bawiących się w najlepsze wśród czasów i okoliczności, na wspomnienie których chce się bardzo płakać dzisiejszemu pokoleniu.

Na zakończenie nie możemy pominąć tej osobliwości, iż w artykule poświęconym powieściowo-historycznej literaturze, nie wspomniał p. Kraszewski ani jednym słowem o *Listopadzie*.

III.

W rozprawie: «Sztuka dramatyczna w Polsce», p. Kraszewski zadaje sobie na wstępie pytanie, dlaczego w Polsce nie rozwinęła się literatura dramatyczna i co spowodowało w środku XVII wieku zupełny jej upadek. W dobrze ułożonym, na znanych poszukiwaniach Wójcickiego opartym, przeglądzie ważniejszych prób dramatycznych, jakie nam z dawnych czasów pozostały i oceniając takowe, nader trafnie wykazuje p. Kraszewski, iż narodowy teatr nie mógł się u nas nigdy wznieść ponad najniższą gminną sferę, a więc i wejść w zakres właściwej literatury; widowiska zaś na dworach królewskich i pańskich przez cudzoziemców zwykle przedstawiane, rozrywkę jedynie dla oka i ucha na celu mające, bynajmniej do wzrostu dramatu narodowego nie przyczyniały się; nie mogły też przyczynić się do tego i teatry po szkołach i duchownych grywane kolegiach, gdzie nie obserwacya życia i charakterów ludzkich, nie wznioślejsza jaka idea współczesna, ale zimno morały za przedmiot dramatycznego (mniej więcej) przedstawienia służyły. Nie było też nigdy stałe utrzymywanej sceny polskiej, ani poświęcających się jej wyłącznie artystów.

Kochanowskiego *Odprawa posłów greckich* i Zawickiego *Jeftes*, dwa utwory prawdziwie oryginalne i do prawdziwej należącej literatury stoją w odosobnieniu, jakby tylko dla pokazania, że mógł być dramat i u nas zakwitnąć, może wcześniej nawet

niż u Francuzów, gdyby się znalazły odpowiednie temu ogólne warunki nie od pisarzy, ale od całego składu społeczeńskiego zależne.

Powiada zrazu p. Kraszewski, iż Polska cała nadto była szczerą, serdeczną i przejętą we wszystkiém co czyniła, by ją kiedy udawanie i sztuka obchodzić i zabawiać mogły (str. 134); wkrótce atoli sam miarkuje, iż takie tłumaczenie rzeczy nie zaspokoiliby wcale, i daleko trafniejsze w dalszym ciągu rozprawy podaje. Warunkiem powodzenia dla teatru a tém samym dla literatury dramatycznej jest życie miejskie, jest skupienie klass ucywilizowanych w stolicach i tworzenie tém samym silnych ognisk narodowego ducha. Tak jest bez żadnej wątpliwości i dalej jeszcze tę prawdę rozciągnąć można. Można by powiedzieć, że bez takich ognisk nietylko dramat, ale i literatura w ogóle do właściwego nie przychodzi znaczenia, to jest do tego, aby się stać mogła rzeczywiście wyrażeniem życia narodu. Dlaczegośmy stolic prawdziwych nie mieli ani w ogóle miast z jakimś politycznym znaczeniem, na to sama konstytucya kraju dokładną daje odpowiedź. Stan rycerski zdobywszy już z początkiem XVI wieku wszystko co tylko zdobyć można, nie więcéj przeto do życzenia nie mając, nietylko nie miał potrzeby skupiania się po miastach, ale owszem tamowanie ich wzrostu było jego interesem, gdyż przy wzroście i kwitnieniu miast, mogłaby narazie dojrzeć inna i odmienna od rycerstwa klasa ludności, stać się znaczącym czynnikiem społeczeńskiego składu, a tém samym koniecznie ograniczyć jedynowładztwo szlachty. Najdogodniéj więc było téj ostatniéj siedzieć w swoich majątkach, gdzie każdy nieograniczonym był panem tego, co go otaczało: do miast przyjeżdżało się z potrzeby chwilowój, tak jak się do austeryi zajechało. Teatr więc jako stała i kosztowna zabawa towarzyska nie mógł powstać ani się utrzymać. I tu więc na złe nam wyszło stanowcze ujarzmienie przez klasę orężną i ziemię trzymającą tych klass pracowitych, których większa lub mniejsza niezależność, a więc możność wzrastania i wynikająca ztąd walka i równoważenie się jakoweś z klassami panującymi, stanowią dopiero w istocie wewnętrzne polityczne życie społeczeństw. Takiemu to składowi rzeczy winna Europa zachodnia swoją nad nami wyższość jak we wszystkich innych względach tak i w literaturze dramatycznej. Niepotrzebnie osłabia p. Kraszewski dowodność wskazanej przez siebie przyczyny nieudania się w dawnéj Polsce teatru tą uwagą, że żywy mieliśmy dramat w Siczy,

na stepie, na granicach, na sejmikach i t. d. i że szlachta zbyt czynne wiodła życie, aby jej na zabawy artystyczne czasu i ochoty starczyło. Na dramatach żywych w rodzaju dopiero wzmiankowanych nigdzie w Europie nie zbywało; a że przodkowie nasi rycerskiego stanu mieli dużo czasu do bawienia się i w samej rzeczy dużo się bawili, to najniżej wątpliwości nie ulega; znalazłby się czas i na artystyczne zabawy, gdyby ich potrzebę uczuło.

Najprawdziwszą jest więc konkluzya autora, że: »do panowania Stanisława Augusta nie mieliśmy i mieć nie mogliśmy teatru właściwego; nie był on w potrzebach i obyczajach naszych; wyrastał kilkakroć jak bojaźliwy grzybek z ziemi i zawsze go zgnieciono. Spojrzawszy na próby Kochanowskiego i Zawłckiego możnaby z nich brać otuchę wzrostu, gdyby znalazły się dłonie, coby mu przyklasnęły, serca, któreby uderzyły wtórem».

W rzeczy samej od czasów Stanisława Augusta zaczyna się historia polskiej sceny, bo też w tej dopiero epoce rzeć można, stała się Warszawa rzeczywistą stolicą kraju i ogniskiem (szkoda, że tak późno) politycznego i umysłowego życia narodu.

W gawędzie o poezyi szlacheckiej i legendach herbownych (powinno być herbowych) zwraca autor uwagę na poetyczne bogactwo tych ostatnich, których zebraniem i obrobieniem jeszcze się u nas nie zajmowano; zbiór zaś ich tylko zupełny może dać dobre pojęcie o ich charakterze. Tymczasem zaś jest p. Kraszewski tej opinii, że w XVII i XVIII wieku heraldycej nasi, przez niedorzeczne pochlebstwo i dogadzając fałszywej próżności panów, bardzo wiele podań herbowych poprzekręcali i zepsuli, że więc starannie odróżniać należy zepsute od zachowanych w czystości; przymieszane z obczyzny od naszych, krajowych, te tylko właściwy, rodzinny noszą charakter i są prawdziwą narodowo-szlachecką poezją. P. Kraszewski uważa w niej wspólność cech, a niekiedy koincydencyą pomysłów i szczegółów ze ścisłe ludowymi czyli gminnymi podaniami; a uznając rycerskość za ogólny i główny legend herbowych charakter, widzi w nich atoli myśl równości stanów u Słowian, jakoteż i zasadę zasługi jako początku szlachectwa. Mnóstwo jest herbów, których znaki i nazwy lub przywiązane do nich podania wskazują pochodzenie rodzin szlacheckich od kmieci, sług i rzemieślników; próżność tych rodzin nie mogła znieść w późniejszych epokach pochodzenia tak skromnego i wołała się wywodzić od bohaterów urojonych, cudzoziemskich, niż z własnej zagrody. Ztąd zepsucie podań, »zład

bajki, które już nie należą do poezji szlacheckiej, bo się tworzyły na stolikach mnichów i panegirystów”, bo są śmieszne, czeze, niezgrabne i nie mówiące, gdy tymczasem legendy stare są piękne i pełne znaczenia. Największa część tych ostatnich pochodzi, jak mniema p. Kraszewski z czasów Bolesławowskich, a zwłaszcza Krzywoustego, kiedy szlachta na wzór zachodni wyrobiła się z siłą, wszakże samoistną. Co do samych znaków herbowych lechickich, przystaje p. Kraszewski w zupełności na zdanie Maciejowskiego, że polskie herby były przedtém zapewne znakami, godłami całych gmin słowiańskich, a później stały się dopiero wyłącznym znakiem, przewodniczącym im rodzin, symbolem tworzącej się i wydzielającej szlachty. Litewskich oryginalnych herbów nie było; familie litewskie przyjęły herby od polskich w XIV i XV wieku po zjednoczeniu obu narodów. Za to na Rusi domyśla się autor, iż musiały istnieć jakieś oddzielne godła rodzin, nim kraj ten wpływowi polskiemu uległ, a nadto, że godła te mogły mieć czarnoksiężkie, magiczne znaczenie. Następnie klasyfikuje p. Kraszewski legendy herbowe, odróżniając naprzód legendy piérwszej epoki, które z powodu odznaczających je cech starożytności zgodnie ze zdaniem heraldyków do Mieczysławowskich odnosi czasów; dalej legendy o kmieciach i nieszlachcie uszlachconej za zasługi; legendy rycerskie o dzielach męztwa; legendy o czynach przebiegłości, zręczności, dowcipu; legendy zachowujące pamięć waśni i występków; nareszcie legendy o dziwnych trafach i zrządzeniach losu.

Opowiedziawszy potém pokrótce piękniejsze i charakterystyczniejsze ze wszystkich dopiéro wymienionych kategorii legend, wraca p. Kraszewski do pierwotnego założenia, oświadczając, iż chciał wskazać jeszcze jedno źródelko, z którego sączy się woda czysta dla ust spragnionych poezyi.

W artykule o dziennikarstwie zastanawia się p. Kraszewski nad wielką ważnością pism czasowych w dzisiejszej epoce, dobrze określa ich zbiorowy charakter i wykazawszy jakimi one być powinny, słusznie utrzymuje, że nie możemy się pochwalić wcale pojęciem znaczenia, wielkości i przyszłych losów dziennikarstwa. Ani słowa! Dalecy jesteśmy od spierania się w tym punkcie z autorem. Nie możemy téż roztrząsać opinii jego o każdym w szczególności z pism peryodycznych krajowych, zarzutów jakie niektórym czyni i rad jakie udziela; jest tam w ogóle trafność sądu i wiele myśli pożytecznych, naprowadzających zno-

wu na wiele innych niemniej pożytecznych. Naszém zdaniem dziennikarstwo krajowe, cokolwiekby mu zarzucić można, jest przecież, zważywszy i zważywszy wszystko, tak dobre jak tylko być może w chwili obecnej i jak nigdy podobno nie było. Mówimy o tutejszém mianowicie, gdy położenie pism w innych częściach kraju nie jest nam tak dobrze znajome. Taka nasza opinia nie znaczy bynajmniej, żeśmy zadowoleni, ale znaczy tylko że nie widzimy jakimby sposobem mogło być lepiej w téj chwili. Piérwszym środkiem skutecznym, jakiby sobie w dzisiejszych okolicznościach wyobrazić można, byłoby według nas znaczne powiększenie liczby prenumeratorów na pisma peryodyczne; powiadamy wyobrazić, bo wiemy, że i do tego piérwszego ulepszenia daleko jeszcze u nas; daleko do tego, żeby gazeta lub dziennik literacki należał do potrzeb życia, a więc do wydatków tak regularnych jak mieszkanie i stół. Dopóki się do takiego stanu nie będziemy mogli przybliżyć, słabe strony dziennikarstwa naszego (mówimy naturalnie, o tych, których poprawa od nas zależy) jakkolwiek widoczne, muszą i nadal takimi pozostać.

Artykuł o krajobrazach musimy, choć to przedmiot interesujący, w sprawozdaniu niniejszém pominąć, nie posiadając odpowiedniego znawstwa. Myślą ogólną jest zwrócenie uwagi na piękności natury w kraju rodzinnym, mianowicie na ich różnorodność stosownie do prowincyi i okolic, jakotéż na wyłącznie nam właściwą sielskość krajobrazu.

W artykule o powołaniu literackim, od którego się książka zaczyna, a na którym my ten nasz przegląd kończymy, zastanawia się p. Kraszewski nad wielkością, trudnością i niewdzięcznością tego powołania. Dziwi się sobie autor i pojąć tego nie może, co go pchnęło na to konieczne męczeństwo, na drogę boju i poświęcenia. Zwraca się w uniesieniu do piszącej braci i zapytuje: «Cóż więc nas pędzi tym pełnym błota i pyłu gościńcem? Czemu nie zwabi nas chata stojąca na ustroniu, szumiący las, domowa strzecha i byt inny. Czemu oplwani i wyszydzeni ciśniemy się mimo wszystkich, mimo wszystko do niedosyć widnego celu? nie jestli to zagadką»? Tę zagadkę objaśnia sobie autor posłannictwem, mającém widocznie jakiś fatalny charakter; jestli jakoby głos z góry wołający, któremu wybrani żadną miarą oprócz się nie mogą, choć czują i wiedzą co ich czeka. «Bawimy się, mówi, już w dzieciństwie krzyżem przyszłości i uśmiechamy do cierni, co skroń oplota». Utyskując na gorycze pisarskiego zawodu, nędze jego i utrapienia wyka-

zując, za które próżny tylko rozgłos jedyną bywa nagrodą, woła p. Kraszewski do współbraci literatów: „Dzieje się tedy tak, że dawszy nam trzy grosze owe (t. j. sławę) wypychają już nas za drzwi, jako dostatecznie i nad zasługi opłaconych, zapomniawszy, że my im daliśmy życie”. „a jednak gdyby drugi raz życie rozpoczynać przyszło, możebym powtórnie ten sam błąd popełnił. Niepojęta, niepojęta czy słabość ludzka, czy wola Boża”.

Co się nas tyezy, to niepojęta nam się wydaje chęć do pisania podobnych deklamacyj w mężu dojrzałym, w pisarzu powszechnie cenionym, a nawet uwielbianym od lat tylu. Protestujemy z głębi najgruntowniejszego przekonania przeciwko tym grymasom literackiej próżności, przeciwko tym pretensjonalnym porównaniom do rzeczy najwyższych i najświętszych na świecie, przeciwko temu przywłaszczaniu sobie pod pozorem cierpienia i poniżenia, najpiérwszej roli i najpoważniejszego dostojeństwa w społeczności.

U p. Kraszewskiego zawód pisarski jest zawodem ofiary, męczeństwa i kapłaństwa. Godziż się w taki sposób nadużywać wyrazów? Cóż z tego, że sam autor użala się, iż w wieku naszym „przesadzono wartość słów”, że: „zasypani jesteśmy próżnemi wyrazami”. Możnaż dawać bardziej rażące przykłady przesadzania wartości słów jak je daje p. Kraszewski? W cóż się obróca wyrazy: ofiara, męczeństwo, kapłan i kapłaństwo, jeżeli niemi w taki sposób pomiatać będziemy? Jakaż będzie cześć dla tajemnicy Odkupienia, dla żywota Zbawiciela, jeżeli ośmielamy się przyrównywać doń blahe kłopoty literackie, których summa jest gorycz obrażonej miłości własnej; że ten skrytykował, a tamten chwalić nie chce. Nie widzimy zupełnie, w czémby zawód literata miał być bardziej utrapiony od innych, dlaczego on mianowicie ma być drogą boju i poświęceń. Mniemamy owszem i z doświadczenia życia wiemy, że człowiek z sercem i głową, że człowiek czynnie miłujący prawdę, w jakimkolwiek działa zawodzie, takie same ma wszędzie szanse ucierania się z głupstwem, egoizmem i fałszem, a może nawet w piśmiennictwie mniej jak gdzieindziej. Jeżeli pomimo to głośniejsze są przykrości pisarskiego powołania, to ztąd chyba pochodzi, że więcéj jest może między piszącemi niż gdzieindziej próżności i gadatliwości (wszak mówili starożytni *genus irritabile vatum*), a zwłaszcza, że ta próżność i gadatliwość talentem się i drukiem posługuje. Przesadą jest niemniejszą utrzymywanie, iż my (pi-

szący) daliśmy lub dajemy życie społeczeństwu. Prawdą zaś jest to, że dajemy go mniej więcej tyle, ile go sami ze społeczeństwa czerpiemy. Arcy rzadka to rzecz, żeby literatura miała inicjatywę w dążnościach społeczeństwa: ona je tylko wyraża i wydłuża, rozszerza i utrwała; rola piękna, którą możnaby się kontentować nie pretendując do tytułu życiodawców.

Gdyby nie ten wstęp, nicby nie było do zarzucenia artykułowi p. Kraszewskiego o powołaniu literackim, gdzie chodzi mu „o wprowadzenie myśli zbawienną, że słowo niczem jest, jeśli nie jest czynem, i jeśli mu czyn nie towarzyszy, niczem, jeśli się nie zgadza z życiem, niczem jeśli oderwane od niego i nie mające z nim związku”. Jakoż w istocie wiele wypowiada trafnych i pięknych w tym kierunku zdań, jakto np., że „pierwszą myślą powołanego (do piśmiennictwa) być powinno nie to co stworzy, ale to czém siebie ma uczynić; pierwszym obowiązkiem i zadaniem jego siebie poprawić i uzacnić”. Przestrogi dla piszących, aby się dobrze z siłami swemi obrachowywali niemniej są trafne i że dziś mianowicie przy rosnącym doświadczeniu i coraz większej massie napisanych książek, coraz téż większe powinny być ze strony publiczności wymagania (choć podobno tak nie jest). Ztąd potrzeba usilnego kształcenia się dla literatów, potrzeba wytrwałości nieprzelamanej, to jest cierpliwego i czynnego zamilowania prawdy.

Naturalnym zwrotem przechodzi autor do tego jak nie wielu jest pojmujących w zupełności ważność powołania swego i kilka odrażających ze współczesnego piśmiennictwa naszego przykładów, z zamilczeniem tylko nazwisk, przytacza, oświadczając, iż dla samego talentu nigdy poważania mieć nie może, skoro mu cnoty osobiste nie towarzyszą.

Tak zdrowe i szlachetne wyobrażenia o obowiązkach piszącego powinnyby na początkujących w tym zawodzie najzbawieniejszy wpływ wywierać, zwłaszcza, że je głosi jeden z przodowników. Ale gdy się powołanie literata tak nad wszelką miarę wynosi, jakto p. Kraszewski na początku artykułu swego uczynił, to najpiękniejsze potem zasady i rady są już daleko mniej skutecznymi. Kwestya to czy paradoxa p. Kr. więcej namąca, czy prawdy więcej oczyszczą; młode bowiem głowy wołać popolicie to, co je zawraca, niżeli to co je otrzeźwić może; z tego powodu najmocniej paradoxa takowe ganić należy.

Język i styl robieranych tu gawęd nie różni się niczem od języka i stylu autora w tylu innych niezliczonych jego pismach;

ani jeden ani drugi nigdy wzorowemi nie były. Jest żywość, lekkość, jasność, miejscami i świetność, co wszystko okazuje umysł rozległy i łatwo obejmujący; za to brak poprawności, porządku, ścisłości i mocy. Śladów długiego namysłu nigdzie nie widać, zład często rozwlekłość, powtarzania się i pleonazmy. Cytowany wyżej wyjątek jest dosyć charakterystyczną próbką improwizatorskiego stylu p. Kraszewskiego. Powtórzmy go tutaj: „słowo niczém jest jeżeli nie jest czynem i jeżeli mu czyn nie towarzyszy; niczém jeśli się nie zgadza z życiem, niczém jeśli oderwane od niego i nie mające z nié m związku”. Mamy tu jedną rzecz pięć razy i w jednakowy sposób powiedzianą, odmiennemi tylko wyrazami: jeżeli bowiem słowo jest czynem to nie w inném znaczeniu tylko w tém, że czyn mu towarzyszy; w takim razie nie może się ono nie zgadzać z życiem, a skoro się zgadza, nie może być odeń oderwane; gdyby zaś było oderwane, to tém samém jako oderwane, nie mogłoby być z nié m związku.

Z pospiesznego pisania wynika téż najniepotrzebniejsze używanie obcych wyrazów i form wadliwych. Na jaką pamiętkę pisze p. Kraszewski *zabyty* i *zabywając*, wyrazy znaczące zupełnie toż samo co *zapomniany* i *zapominając*, z tą tylko różnicą, że ostatnie są polskie, a tamte rossyjskie; *czwaniących się* zamiast *pyszniących się*, także z rossyjskiego? Dlaczego ma być lepsze *zostawuje* i *zostawując*, niż *zostawia* i *zostawiając*? chyba, że jest litewskim prowincjonalizmem. Takim samym prowincjonalizmem jest *kładnie* zamiast *kładzie*; (*nie odpowiedział*) *w pełni* jest tylko przekręceniem rossyjskiego wyrażenia *wpołnie*: po polsku *w pełni* li tylko do księżycy stosowaném być może. Nie brak téż w téj książce żywiuteńkich, a zupełnie niepotrzebnych gallicyzmów, jak np. „krotochwila ta zda się z myśli zabawną, choć *myśli pustą* zupełnie”. „Odwaga kipiąca”. „Epos i powieść, krytyka i poemat zajmują *place* swoje”. Wątpimy téż czy przyjmie polski język wyrazy *zapoznać* i *zapoznany*, ciągle i z zamiarem używane w znaczeniu *méconnaître* i *méconny*, cząstka *za* nie bywa u nas przeczącą. Szczęśliwszą jest nierównie myśl przyswojenia wyrazu rossyjskiego *niebywały*, ten bowiem wyrażając przymiotnikowo pojęcie nie dające się po polsku jedném słowem oznaczyć, może być istotnie użyteczny. Przymiotnik *niebywały* oznacza poprostu, że coś nigdy, albo nigdy przedtém nie istniało lub nie wydarzyło się. Postugiwaliśmy się dotąd wyrazami *nie-słychany*, *nie widziany*, albo *urojony*, *wymyślony*; pierwsze dwa

wyrażają rzecz jednostronnie, a więc niedostatecznie, drugie dwa powiadają więcej niż częstokroć trzeba. Życzylibyśmy, aby się ten wyraz *niebywały* utarł. Musimy też wytknąć wyrażenie: „niżej *nadeń* stojących”, gdy po polsku stoi się niżej *od* kogo lub czego.

W ogólności gawędy o literaturze i sztuce są książką pełną myśli i do myślenia pobudzającą.

A. A. K.

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

II.

Filip II, *tragedya oryginalnie wierszem napisana przez Franciszka Jakubowskiego*. (Kraków, 1858).—Don Karlos Szyllera; *przekład tego dramatu przez Michała Budzyńskiego*.—Prescott o Don Karlosie.—Cyganie Puszkina.—Chata za wsią Kraszewskiego.—Dom Lodowy Łażecznikowa.—Cyganie, *dramat J. Korzeniowskiego*. (Warszawa, 1857).

W roku zeszłym, uprzedzając datą swą przyszłość, bo z oznaczeniem 1858 r., ukazała się tragedia *oryginalnie wierszem napisana w pięciu aktach przez Franciszka Jakubowskiego*, pod tytułem *Filip II*. Pojawienie się tej książki tylko pozornie było zawczesnem, bo owszem wartością swoją i układem cofnąć się musi do epoki, do której właściwie należy:—do początku bieżącego wieku. Ledwie że nie jesteśmy pewni, iż napisaną została w owym czasie, a przynajmniej, że wtedy autor talent swój już ukształcił. Znajdziesz tu wszystkie sceny pseudo-klassycyzmu; wiersz gładki trzynastozgłoskowy; rapsodyczność w rozwinięciu tyrad, bo albo każdy wiersz, albo co dwa wiersze zmienia się zwrot myśli; nie ma tu ciągu słowa, wytryskającego kolumną, rosnącą w siłę rzutu; nie dostrzeżesz naturalności i swobody wysłowienia, których jakby ze wstrętem piszący unikał: natomiast frazeologia, bogata w epitety a napuszysta. Oczywiście nasi pseudoklassycy epoki przed-Mickiewiczowskiej, do jakich i nasz autor ma zupełne prawo nawiązać, nie pojmowali, że potęga słowa nie leży w nasadzeniu wyrazów groźnych lub dobitnych, lecz w technieniu wewnętrzném, które najprostszém wyrażeniem do głębi wzruszyć może. W bra-

ku więc takiego natchnienia nasi rymotwórcy, którym przecież zasługi w oglądzeniu języka odmawiać nie można, radzili sobie jak ów bojaźliwy rycerz, co dla dodania sobie fantazyi, cały arsenał ręczny pugałówek, pistoletów i jataganów na sobie pozawieszał, a jednak tylko śmiech w patrzących obudził, obok przeciwnika, który z zaciśniętą pięścią i surowém spojrzeniem spokojnie oczekiwał chwili walki.

Kilka wyjątków da bliższe wyobrażenie o stylu téj tragedyi:

Ach! odtąd los zawzięty i mych nieszczęść *fala*,
Na zawsze od rodzinnych brzegów mię oddała.

Dzisiaj w gruzach widzi wielkość, w *plamieniach swe prawa*.

To prawdziwie cudowne, żeby prawa paliły się w *plamieniach*.

Struobłął na to Don Karlos, zavrzał zemstą cały,
Jęknął, wstrząsły się gmachy.... sklepienia zadrżały....
Zadrżał lud.... z nim zadrżało srodze serce moje,
Chcę mówić.... jak grób milczę.... jak glaz wryty stoję.

Może myślicie, że tu mowa o nowym Samsonie, potężniejszym od pogromcy Filistynów, bo już nie rękoma, ale samym językiem wruszającego gmachy w posiadach: gdzie tam! to tylko niewinna hyperbola, która ma zamiar wypowiedzieć to, co my synowie ziemi wyrzilibyśmy w dwóch słowach: *Karlos przeraził się*.

Gdzie stąpie, wróżb mię czarnych ściga rzesza sroga,
I w głębi duszy mojej straszna tkwi przestroga.

Za cóż pokryć twą srogość chcesz dźwiękiem słów tkliwych,
Ach! litość jest ciężarem dla serc nieszczęśliwych.

Co słyszę? stój.... o! nieba, za cóż obelg tyle,
Raczaj krwią moją nasyc serce *krokodyla!* (!) i t. d.

Zapewne w tém miejscu pomyślałeś sobie czytelniku, że jeżeli istotnie takie zewnętrzne cechy posiada tragedia, które już same bez względu na treść odejmują jęj znaczenie dla dzisiejszej publiczności; to na cóż było przystępować do rozbioru takiego utworu? Otóż powodowani byliśmy właśnie ową treścią, której postawienie obok osnowy Szyllerowskiego Don Karlosa przekonac może dotykalnie: że tragedia *Filip II*, jeżeli do czego rościć sobie może prawo, to pewno najmnieję do oryginalności, tak pompatycznie na tytule osadzonéj; albowiem łatwo przekona się czy-

telnik, a nawet i sam autor (jeśli by to było dla niego nowiną), że *Filip II* jest tylko przerobieniem niefortunnym *Don Karlosa*, dokonanym w ten sposób, jak i wszystkie przerobienia na krój francuzkiego klasycyzmu z Szekspira i z Greków.

Porównania obu utworów dramatycznych może dokonać nawet nieznający obcych języków, bo mamy *Don Karlosa* w przekładzie Michała Budzyńskiego.

Don Karlos syn *Filipa II* zrozpaczony, że ojciec wydarł mu narzeczoną, *Elżbietę z Walezyszów*, i z nią się ożenił, pragnie widzieć się z nią sam na sam. Przybywający w porę przyjaciel lat dziecinnych, *Rodrygo markiz Poza*, ułatwia mu to spotkanie się z królową w ogrodzie pałacu *Aranchuez*, która upomina *Don Karlosa*, aby szedł drogą obowiązku. Podejrzliwy król wzmaga w sobie nieufność ku królowej, zastawszy ją po oddaleniu się *Don Karlosa* samą bez dam dworu, które ją otaczać powinny. Z drugiej strony księżę *Alba* i spowiednik króla *Domingo* sięją ziarną nienawiści między ojcem i synem. *Karlos* odbiera tajemniczy bilecik od księżniczki *Eboli*, myśląc że to od królowej i udaje się w miejsce oznaczone: tam dopiero przekonywa się, że jest w błędzie. *Eboli* odgaduje miłość jego dla królowej, a powodowana zemstą obrażonej miłości własnej donosi o tém *Albie* i *Domindze*, i na zlecenie ich wykrada ze szkatuły królowej korespondencyę jej z *Don Karlosem*. Wtém *markiz* jedną rozmową zyskuje wielkie zaufanie króla, który porucza mu zbadanie stosunków *Elżbiety* i *Don Karlosa*. Po gwałtownej scenie między parą królewską, *Poza* zdołał uspokoić podejrzenia króla; a w chwili kiedy *Don Karlos* zawiązuje rozmowę z *Eboli*, *Poza* arestuje go na mocy nadanej sobie przez króla władzy: obawia się bowiem, aby się *Karlos* z czém przed *Eboli* nie zdradził. Tymczasem układa z królową, aby *Karlosa* wyprawić na obronę uciśnionych przez *Filipa* *Niderlandów*, rozdmuchując w sercu infanty miłość dla królowej jako bodziec do wielkich czynów. Sam zaś *Poza* listem, który dozwala przejąc, obudza w królu przekonanie, jakoby on był kochankiem królowej, i tym sposobem spodziewa się odwrócić uwagę od *Karlosa*; niebawem téż *Karolowi* donoszą iż jest wolny, a *markiz* rażony wystrzałami siepaczy pada w objęcia przyjaciela. Rozpaczającego *Karlosa* znajduje król, w towarzystwie *grandów* przybyły. *Karlos* gorzkie robi ojcu wyrzuty, i wrywa mu nawet miecz z pochwy. Zbliża się północ: *Don Karlos* w mniśszym ubraniu, w jakim miał się w pałacu ukazywać *Karol V*, udaje się do królowej, dla pożegnania jej i usłyszenia z jej ust osta-

tnich rad Pozy. Schadzka: król niepostrzeżony nadchodzi w towarzystwie grandów i wielkiego inkwizytora w chwili, kiedy Don Karlos całuje Elżbietę; gdy zaś ten, mając odejść, chce włożyć na twarz maskę, król staje pomiędzy nim a królową i oddaje go w ręce w. inkwizytora, któremu przyrzekł, że zgodzi się nawet skazać syna na śmierć.

Taka jest główna treść *Don Karlosa*.— A teraz zobaczmy, jak ją przeistoczył autor Filipa II.

Rodryg (markiz Poza) wzywa Karola, aby ratował Niderlandy; Karol objawia Pozie swą rozpacz z powodu poślubienia jego narzeczonej przez Filipa II. Czułe spotkanie się kochanków. Karol ulega namowom Rodryga i postanawia udać się z nim do Niderlandów; lecz pierwój idzie jeszcze na schadzke z królową, znowu arcy sentymentalną, której król niespodzianym staje się świadkiem. Intrygant Lerma uzyskuje wyrok śmierci na Don Karlosa. Wykonawcy tak się uwijają prędko, że w ciągu kilku minut Don Karlos ścięty. Ale co jeszcze cudowniejszego, że kiedy król nie wie gdzie ująć *z krwawych scen mieszkania*, i gdzie schronić się *wybladły*, nagle zostaje jakby rażony piorunem, bo już i grób w okamgnieniu synowi wybudowano;

Gdzie jestem? któż w tych miejscach krwawy czyn wspomina?
Spieszmy... nieba! co widzę? to grób mego syna.

Temi słowy kończy król aktu piątego ostatnią scenę, w której jeszcze autor nie chciał opuścić sposobności dla królowej do wyzionęcia żalów i przekleństw na króla, któremu wyrzuca:

Ze na kamiennych piersiach mściwie ostrząc groty,
Wydarł światu wzór pięknej odwagi i cnoty.

I grozi mu:

że robak sumienia zatli w jego sercu pożary udręczeń.

Tak więc autor polski sprowadził poemat dramatyczny Szyllera do zwykłej romansowej intrygi, która chyba dlatego jest tragedją, że wchodzi do niej historyczne osoby i że kończy się śmiercią. Próżnobyś tu szukał podniosłości tragicznej przedmiotu, uroczystego nastroju języka i myśli. Ani los, ani woła ludzka nie pociąga za sobą akcji, ani też akcja nie dąży żywo do rozwiązania: zdaje się jak gdyby węzeł działania rozpadł się na cząstki, które autor obok siebie poukładał. Ztąd brak prawie zupełny interesu dramatycznego. Charakter téż żaden nie wprowadzony w rzeczywisty ruch, w którymby pod okiem czytelnika

ka rozwijał się lub potęgował; co większa, główne postacie jak Don Karlos i Poza, a nawet i Filip II, skarłowaciaone. A potrafiłże autor jaką wielką sprawę, obchodzącą ludzkość lub dane społeczeństwo, zespoliłże ją z losem którejkolwiek z postaci? Cała ta tragedia obok Don Karlosa Szyllera robi na nas takie wrażenie, jak gdyby kto z ubranego w strój wiosenny drzewa kwiat postrząsał, z liści zielonych je odarł, i dopiero obciosawszy gałęzie i pień, gładko je obheblował: tak tu brak życia, natury i prawdy!

Bliższy rozbiór *Don Karlosa* jeszcze bardziej nas przekona o tém, co z niego zrobił autor *Filipa II*, oraz jakie jest znaczenie i wartość dramatycznego poematu Szyllera.

Sam Szyller przyznaje, że jeśli nie ma w jego utworze zupełnej jednolitości, to ztąd pochodzi, że między pierwszemi trzema aktami a czwartym i piątym długa nastąpiła przerwa, w ciągu której i samo dzieło musiało podzielać los autora, którego sposób myślenia i uczucia uległ zmianie. Ztąd z inném zupełnie sercem wziął się Szyller do dokonania pracy, w której jakkolwiek pod wpływem innych pozostając wyobrażeń, musiał o ile się dało utrzymać związek z pierwszą częścią, znajdującą się już w ręku publiczności; a tymczasem Don Karlos zeszedł na drugi plan i główne miejsce zajął markiz Poza: ztąd w pierwszych trzech aktach ważniejsze miejsce w działaniu zajmuje miłość, w następnych przyjaźń. Najgłówniejszy zatem błąd, jak powiada Szyller, polega na tém, że zadługo bawił się wykonaniem; bo dzieło dramatyczne powinno być rozkwitem jednego lata. A i plan obmyślony zarozległo na wymiary dramatycznego utworu: np. podług tego planu Poza musiał pozyskać nieograniczone zaufanie króla; tymczasem rozkład i stosunek obojga zmuszał do ścieśnienia tego nadzwyczajnego wypadku w jednej scenie. Ten brak doskonałej wewnętrznej jedności, którego jednak nie tak łatwo się dopatrzeć, i trochę powolne rozwinięcie działania, kazały Szyllerowi być nieco skromniejszym od autora *Filipa II*, i nazwać swą tragedją poematem dramatycznym.

Powiedzieliśmy, że miłość i przyjaźń występują w *Don Karlosie* naprzemian jako osnowy działania; lecz miłość zostaje poświęconą, a przyjaźń sama się poświęca: jednak jedno dla drugiego nie staje się ofiarą. Dlaczego zatem to podwójne poświęcenie dokonaniem? Dlaczego? dlatego właśnie, co stanowi duchową jedność dramatu, co jest jego ostatecznym zadaniem: jestto plan dwóch młodych entuzjastów, Pozy i Karlosa, wywołać jak najszczęśliwszy stan społeczeństwa, jaki tylko możliwym jest

do osiągnięcia. I ten plan właśnie w starciu się z namiętnością wypełnia całe działanie dramatu. Bo losy całego państwa, pomysłność ludzkości spływać mająca na szereg pokoleń, ku czemu wszystkie usiłowania Pozy się zwracają, nie mogły, jak to z pierwiastkowego zakroju wnosićby można, stać się tylko epizodem działania, mającego rozwinąć koleje nieszczęśliwej miłości. Taki rozległy przedmiot zamierzył poeta podnieść w tragedji do godności powagi i prawdy, i do ziszczenia tego zamiaru zdał mu się Don Karlos najodpowiedniejszym. Wszystko otaczające tego młodzieńca sprzyjało temu: duch swobody w walce z uciskiem, więzy ciemnoty zerwane, wielowiekowe przesady wstrząśnięte, naród upominający się o swe prawa, zdeptane krwawą przemocą gwałtu i fanatyzmu, enoty obywatelskie republikańskie występujące na widownią, światlejsze myśli rozplywające się nokoło, wrzenie umysłów, podniesienie ducha żywym interesem społeczeństwa, a dla dopełnienia téj świetnej konstellacyi pięknie ukształtowana dusza młodzieńca na tronie, występująca w samotnym rozkwicie pośród ucisku i boleści. Młodzieniec z taką duszą musiał być nieszczęśliwy; nie mógłby on wzrosnąć na lonie rozkoszy i powodzenia. Ale jakimże sposobem w XVI wieku syn Filipa II, wychowaniec mniszego ludu, pod strażą tak czujnych dozorców pozostający, mógł dojść do takich niepodległych wyobrażeń? Los dał mu przyjaciela w stanowczej chwili życia, kiedy kwiat ducha się rozwija, ideały wstępują do duszy, a uczucie moralne się usamodzielnia. Przyjacielem tym był szlachetny, rozumny młodzian, nad którego ukształceniem przyjazna czuwała gwiazda, do czego się jeszcze nie jeden mędrzec w ustronném pracujący ukryciu niemało przyczynił. Tak więc, ta wzniosła, tchnąca ludzkością filozofia była owocem przyjaźni i jąto chciał Don Karlos urzeczywistnić. Ustraja się ona we wszystkie wdzięki młodości i uroki poezyi; ze światłem i ciepłem składa się ona w jego sercu i staje się pierwszym rozkwitem jego istoty, pierwszą jego miłością. Markiz czuwa nad tém, aby ta miłość zachowała w sobie całą młodzieńczą żywotność, aby przetrwała jako przedmiot namiętności, bo tylko namiętność może Karlosowi dopomódz do zwalczania przeszkód, jakie na drodze jego do wielkich celów powstawać będą. „Oświadczyć mu, mówi Poza do królowej:

„że on powinien mieć cześć dla snów swój młodości, gdy już stanie się mężem; że nie powinien zabójczemu owadowi wysławionego rozumu otwierać serca, wątko boskości kwia

tu; że nie powinien dać się obłąkać, gdy mądrość prochu bezczesci natchnienie, córę niebos”.

Powiedz, niech Karlos w silnym wieku męża
 Na sny młodości z szacunkiem poziera,
 I rozumowi, temu żądłu węża
 Śmierć niosącemu, niechaj nie otwiera
 Serca, tych kwiatów niebiańskich kielicha.
 Niechaj nie błądzi, niech się tém nie zraża,
 Że mądrość ludzka, garstka prochu licha,
 Natchnienie, córkę aniołów znieważa.

Tłumacz. Mich. Budz.

„Dass er für die Traüme seiner Jugend
 Soll Achtung tragen, wenn er Mann seyn wird,
 Nicht öffnen soll dem tödtenden Insecte
 Gerühmter besserer Vernunft das Herz
 Der zarten Götterblume; dass er nicht
 Soll irre werden, wenn des Staubes Weisheit
 Begeisterung, die Himmelstochter lästert”.

Szyller położył sobie za zadanie wykazać dotykającą możliwość postaci z takimi uczuciami jak Don Karlos, bez względu na to, czy los urzeczywistnieniu sprzyjać będzie. Dla wyświecenia téj możliwości koniecznym było przeprowadzić charakter taki przez próbę ognia, przez najcięższą z walk, bo wewnętrzną: w wieku młodzieńczym kiedy wre krew namiętnością zmysłów, jeśli on się oprze pokusom, to tém bardziej w późniejszych latach będzie od nich bezpiecznym. Karlos przemógł najsilniejszą z namiętności: wrzenie zmysłów. On jeden wśród zepsutego dworu zachował czystość nieskalaną, i to nie tyle przez miłość idealną dla Elżbiety, jak raczej przez instynkt moralny. Namiętności księżniczki Eboli, która tylekroć przy nim się zapomina, przeciwstawia on niewinność, jaka nie jednemu dziś wyda się głupotą. Nie zna on i innych namiętności; pozostaje mu tylko zwyciężyć ową wyższą miłość: i to też jest jedną z nici snujących się w tkance działania. Celem obudzenia interesu dla walki jaką w tym celu ze sobą stacza, ten piękny charakter musiał być zakłócany gwałtownością i płomiennością. Ma on serce wzniosłe, entuzjazm dla tego co szczytne i piękne, delikatność, odwagę i wytrwałość, piękne i światłe spojrzenia ducha, ale nie ma mądrości. Drzémie w nim przyszyły wielki mąż, którego urzeczywistnić płomienna krew nie pozwala. Jako cień wypuklający tę jasną postać, występuje Filip ze swojemi satellitami: i to tłu-

maczy daczego Szyller tym ostatnim dosyć szeroko rozwinąć się dozwala. Tym sposobem przyszły twórca pomysłowości pokoleń odznacza się obok twórcy nędzy i niedoli. Widzimy tego ostatniego na smutnym tronie pośród skarbów niezmiernych, i dowiadujemy się z własnych ust jego, że on jest samotnym, że furye podejrzania napadają sen jego, że kreatury jego zamiast rzeźwiącego napoju, podają mu roztopione złoto; to staje się on narzędziem intrygantów, to drży przed nakazującemi słowy wielkiego inkwizytora, dla których depcze prawa samėj natury. Don Karlos w ostatniej scenie dopełnia swojej roli, wypowiadając główną ideę tój tragedyi przy pożegnaniu z królową:

„W długim, ciężkim śnie byłem pogrążony—kochałem. Teraz jam się zbudził. Niech przeszłość będzie zapomniana. Nakoniec widzę, że jest wyższe, godniejsze poządania dobro, niżli ciebie posiadać. Oto zwracam ci twe listy. Zniszcz moje. Nie lękaj się już żadnego we mnie wrzenia. To już przeszło. Czysty ogień oczyścił ma' istotę.... Ja mu (Pozie) wystawię grobowiec, jaki żadnego króla nie był udziałem. Nad popiołami jego raj rozkwita!”

KROLOWA.

Takim pragnęłam cię widzieć! To było wielką myślą jego śmierci.

DON KARLOS.

..... .. Jam we śnie spoczywał.
Sen ciężki, długi, *zmysły moje łudził*.
Kochałem *we śnie*; alem się obudził.
Niech przeszłość zginie... Oddaję ci listy;
Zniszcz to *co moja nakreśliła ręka*:
Niech odtąd wściekła miłość cię nie lęka,
Jej miejsce zajął płomień czysty, święty.

Ja jemu pomnik wystawię wspaniałą
Jaki nie uczył jeszcze królów kości.
Gdzie jego prochy *będą spoczywały*,
Zakwitnie *kiedys piękny raj wolności*.

KRÓLOWA.

Takim cię oczy moje ujrzyć chciały,
I w śmierci jego ten zamiar przodkował.

Th. M. B.

DON CARLOS.

„Ich habe

In einem langen, schweren Traum gelegen,
 Ich *liebte*. — Jetzt bin ich erwacht. Vergessen
 Sey das Vergangene. Endlich seh' ich ein, es gibt
 Ein höher, wünschenswerther Gut, als dich
 Besitzen. — Hier sind Ihre Briefe
 Zurück, wernichten sie die meinen! Fürchten
 Sie keine Vallung mehr von mir.“ Es ist
 Vorbei. Ein reiner Feuer hat mein Wesen
 Geläutert. — ...Einen Leichenstein will ich
 Ihm setzen, wie noch keinem Könige zu Teil
 Geworden. — Ueber seine Asche blühe
 Ein Paradies!

KÜNIGEN.

— — So hab' ich Sie gewollt!

Das war die grosse Meinung seines Todes.

Drugą główną, a raczej najważniejszą postacią. o której jeszcze bliżej wspomnieć należy, jest markiz Poza. W zajmującym szeregu listów o Don Karlosie, w których nie jedna z rzuconych wyżej uwag obszernie jest rozwinięta, usprawiedliwia się Szyller przeciw zarzutowi jednych, którzy znajdują, że Poza *nie może należeć do istot rzeczywistych*, i drugich, którzy znowu nazywają Pozę *boskim człowiekiem*. Co do obrony przeciw ostatniemu zarzutowi, w samą rzecz odpowiedzą są strony charakteru Pozy, czysto ludzkie, jakie nam się w działaniu okazują. Wzniosłość myśli i bohaterstwo w poświęceniu życia swego dla idei jeszcze nie stawiają Pozę za obrębem rzeczywistości. Czas, w którym powstaje ta indywidualność, jest wrzeniem umysłów, walką przesądów z rozumem, anarchią pojęć, zamierzeniem prawdy, — a zatem godziną pojawiania się ludzi nadzwyczajnych. Idee swobody i godności człowieka całą potęgą nowości i nadzwyczajności działają na tę duszę wyborową; a tajemnica, pod pieczęcią której zostały jej udzielone, podnosi jeszcze moc wrażenia. Śród świata tych nowych pojęć, dusza Pozy uczuwa się jakby w nieznaną a piękną dziedzinie, do której jeszcze bardziej ją zwraca stan niedoli i upadku życia rzeczywistego. Wszystkie zasady i uczucia Markiza toczą się naokoło swój osi, t. j. cnoty republikańskiej. Twórczy i ognisty duch Pozy znalazł najpodatniejszy materiał do działania w zwracającym się ku niemu ze swém uczuciem Don Karlosie; Poza widział w nim swe odzwierciedlenie i ra-

dował się tém. Tak zawiązała się między niemi przyjaźń w latach młodzieńczych. — Rozdzielają się; uczuciowy Don Karlos czuje się samotnym na dworze ojca swego, żywi się tylko słodkimi wspomnieniami przeszłości, i zapada w bezczynne marzenie i rozmyślanie. Przygniała go nieprzyjazne usposobienie ku niemu ojca własnego i rozpościera śmierć nad młodzieńczym jego zapalem. Znękanego na duchu i walczącego z samym sobą bezowocnie, znajduje pierwsza miłość; nie umie się już jęj oprzeć i zatapia się w boleśnie rozkoszny stan cierpienia. Tém bardziej teraz poczuwa się samotnym, tém bardziej budzi się w nim potrzeba sympatyi. W tym stanie znajduje go przyjaciel. Przyjaciela tego zupełnie inny był los. Z podniesioną myślą, z całą siłą młodości i z parciem geniuszu rzuca on się w świat, bada życie pojedyncze i społeczne, z żywym entuzjazmem, pochłania wszystko co słyzy i widzi; dochodzi on do jasnego pojęcia człowieka zbiorowego, przy którym wszelki drobny, ścięśniający stosunek znika; duch jego ogarnia niezmierną widownię życia; przemijające młodzieńcze uczucie rozszerza się w nim w obejmującą całą ludzkość filantropią. Wzbogaconemu spostrzeżeniami, pełnemu tworczych popędów, rozkołysanemu energią czynu, wyczekującą tylko chwili wybuchu, przedstawia się sposobność do działania w przyczynieniu się do wyswobodzenia Niderlandów. Przychodzi mu na myśl Don Karlos, który może stać się narzędziem wielkich jego celów; spieszy więc w objęcia przyszłego dobroczyńcy tego kraju, i przyszłego twórcy wymarzonego przez siebie państwa. Ażeby zaś Karlos,—którego Poza znajduje przygnębnym i trawionym miłością bez nadziei,—mógł być zdolnym do urzeczywistnienia jego zamiarów, Poza stara się podnieść ducha swego przyjaciela jedynym możliwym sposobem: prowadzi go sam do stóp królowej, a jedno spojrzenie w jęj serce przekonywa Pozę, że może być pewnym jęj współdziałania. W tęj namiętności Poza chce uchwycić chwilę entuzjazmu dla Karlosa. Tym sposobem los Flandryi przez usta miłości przemawia do serca Karlosa.

„W tym płomieniu bez nadziei (mówi Poza do królowej) poznałem zaraz złoty promień nadziei. Dumny królewski owoc, nad którym pokolenia pracują, dojrzał sród bystręj wiosny cudownęj miłości.”

A kiedy już na zawsze ma się rozdzielić z przyjacielem, jeszcze i wtedy skłania królowę, aby używała tego środka na Karlosa, jako bodźca do wielkich czynów.

„Maszże się wstydzić najszlachetniejszej z żądz,—być twórczynią bohaterskiej cnoty? Co to obchodzi króla Filipa, że Przemienienie w Eskuryalu malarza,—który przed nim stoi, wiecznością zapala? Czyliż słodka harmonia, drzemiąca w grze strun, należy do nabywcy, który ich głuchem uchem pilnuje? On kupił prawo roztrzaskania ich na szczątki, ale nie sztukę wywołania srebrnych tonów i rozstąpienia ich w słodkiej pieśni.... Przyrzecz mi, że wiecznie kochać go będziesz.”

(Tobie wstydzić się nie godzi

Być stworzycielką bohaterskiej cnoty.
 Czyliżto króla Filipa obchodzi,
 Że przemienienie w Eskuryalu sali
 Nieśmiertelnością malarza zapali?
 Drzemiąca w strunach harmonia pieszczona
 Do kupca lutni pewno nie należy.
 On głuchym słuchem jej całości strzeże.
 Może ją rozbić; lecz z martwego łona
 Sztuką dobywać harmonijne dźwięki,
 I rozprowadzać w melodyę piosenki
 Za cenę kupna swego nie wykona.

Przyrzecz mi kochać, kochać jego wiecznie.

Tł. M. B.

-- oder sollten Sie,

Sie der Begierden edelster sich schämen,
 Der Heldentugend Schöpferin zu seyn?
 Was geht es König Philip an, wenn seine
 Verklärung in Escorial den Maler,
 Der vor ihr steht, mit Ewigkeit entzündet?
 Gehört die süsse Harmonie, die in
 Dem Seitenspiele schlummert, seinem Käufer,
 Der es mit taubem Ohr bewacht? Er hat
 Das Recht erkauft, in Trümmern es zu schlagen,
 Doch nicht die Kunst, dem Silberton zu rufen
 Und in des Liedes Wonne zu zerschmelzen.

Versprechen Sie mir ewig ihn zu lieben).

Namiętność Karlosa dla królowej stawia go na krańcu przepaści: dowody jego winy są już w ręku króla. Idzie o to, żeby Karlosa wyrwać z niebezpieczeństwa i ze stanu duszy, w jaki ten wypadek go wtrącił. Tego ma dokonać Markiz: tu się dopiero otwiera dlań szerokie pole działania, i opanowuje akcją, przejmując wszystkie jej materyały od miłości, która dotąd była motorem.

Zagadkowe postępowanie Markiza z Don Karlosem,—którego chcemy tajemniczo, nagle ocalić, i przez to go gubi,—przedstawia Markiza jako marzyciela, a więcej jako fantastyka, sprowadzając go z wysokości, na której Szyller go postawił przez uposażenie go w głębokość a przenikliwość sądu i dzielność charakteru. Nie było żadnej potrzeby popychania Markiza do tej excentryczności; niepodobna znowu przypuścić, żeby Szyller takim wyjątkowym i wyszukany środek chciał podnieść intrygę. Usprawiedliwia on się tem, że najszlachetniejsi ludzie pod wpływem entuzjastycznego przywiązania do cnoty nieraz równie samowolnie postępują z indywidualami, jak najniesprawiedliwsi despoci; ale usprawiedliwienie to byłoby tylko wtedy zadowalniającem, gdyby owo zagadkowe postępowanie Markiza było konieczną wynikłością wiążących się z sobą wszystkich ogniów działania. Śmierć Pozy, który gwałtem jej szuka, tak tłumaczy Szyller: „On umiera, aby dla swego ideału, w duszy księcia złożonego, wszystko uczynić i dać co tylko człowiek uczynić i dać najdroższego jest w stanie; aby w możliwie najdosadniejszy sposób Karlosowi pokazać, jak on (Markiz) mocno wierzy w prawdę i piękność swych planów, i jak ważnem jest ich wypełnienie.” Zdaje nam się, że ta teoria utworzona *ad hoc*, że ten *systeme après coup* w żaden sposób zadowolnić nie może: człowiek, który tak wzniosłe umiał myśleć, i tak cudownie a mądrze mówić, nie powinien bezmyślnie, z dziecinnym heroizmem szukać śmierci. Jakim sposobem ten, co ma niezmiernie dążenia dla szczęścia narodu swego i ludzkości, ani w części jeszcze nieureczywistnione, może ginąć z własnej woli bezowocnie, i to w chwili, kiedy współdziałanie jego dla osiągnięcia celu, do którego obrał Don Karlosa, było niezbędnem. Tu więc jeszcze bardziej uderza nas dziwaczność charakteru Markiza. Tym sposobem okazuje się uzasadnionym zarzut, że *Poza nie należy do istot rzeczywistych*. Cała ta postać w najważniejszych swych objawach chybiona; i to stanowi najslabszą stronę tej tragedyi, pełnej zkadinał piękności.

Pragnąc uniknąć powtarzania, przy zamieszczonych powyżej wyjątkach w dosłownym przekładzie, podawaliśmy zaraz oryginal i tłumaczenie Michała Budzyńskiego, o którym zamierzylismy wspomnieć. Już sam czytelnik z porównania tłumaczenia M. B. z dosłownym przekładem i z oryginałem mógł zrobić pewne postrzeżenia, dla ułatwienia których podkreślaliśmy miejsca

gdzie albo jest błąd przeświłko językowi, albo peryfrazy, albo przeistoczenie czyli odstępianie od textu. Co do tego ostatniego, bynajmniej nie myślimy występować z niemożliwymi wymaganiami: niepodobieństwem bowiem jest tłumaczyć wierszem słowo w słowo, bo wtedy duch uleci, a ciało samo będzie podobne jak maska woskowa do żywej twarzy. Jeżeli więc zarzucamy tłumaczowi, iż nieraz odstępował od oryginału, to tylko stosujemy do tych wypadków, gdzie rozciąga dykcją lub gdzie pierwowzrowi nie dorównywa, ujmując mu wdzięku i stroju. Niektóre miejsca szczęśliwie oddane i w ogóle łatwość poetycznego języka, obudzają przekonanie, że tłumacz ma talent istotny; na dowód czego niech posłuży kilka wyjątków:

KROLOWA

(o Don Karlosie).

On poprzednika popali rozkazy,
 Postrząca jego posągi, obraży.—
 Kto mu przeszkodzi? na więcej gotowy—
 Mumię zmarłego z grobowej ustroni
 Wystawić każe na słońca spiekoty,
 Proch znieważony wiatrami rozgoni—
 Nakoniec miarę spełniając sromoty.....

PRZEOR

(*klasztoru, gdzie schadzkę wyznaczili sobie Don Karlos i Poza*)

do Don Karlosa.

Ufaj nam, panie—grobow cisza głucha
 Niezdolna ściągnąć królów podejrzenia—
 Ciekawość tylko u drzwi szczęścia słucha:
 Do tych się murów świat nie rozprzeźnienia.

DON KARLOS

(*stojąc przy zwłokach Pozy*) do króla i jego orszaku.

Patrzcie na niego, on za mnie dał życie.
 Jeśli lza kiedy oko wasze mroczy,
 Jeśli krew żywa, a nie miedź rozlana
 W waszém się ciele, w waszych żyłach toczy,
 Na umarłego zwróćcie wasze oczy:
 Nie potępiajcie biednego młodziana!

Zamorduj syna, jakés zamordował
 Najnotliwszego, największego z ludzi.

Wiem ja czém będą przyszłe moje lata!
 Zrzekam się wszelkich nadziei u świata;
 Między obcemi szukaj sobie syna:
 Tu moje skarby, tu moja dziedzina!

Jeżeli zaś tłumacz rzadko dosięga oryginału, przyczyna tego leży raczej w niestaranności, w zaniedbaniu, którego ślad napotyka się czasem to w braku rytmu lub rymu, to w niejasności wyrażenia, to wreszcie w błędach przeciwko grammatyce (np. *od ojca mego strzeżona; łagodniejszego* udzieli mi wyroku; *komuż* należy serce jego chłodne?). Gdyby tłumacz więcej był względem swój pracy wymagającym, to mógłby być przysłużyć się literaturze przekładami, któreby nam dały bardzo dobre wyobrażenie o tych dramatach Szyllera, jakie dotąd nie były tłumaczone. Uchodzy jesteśmy w ogóle w przyswojenia obcych literatur, i tak, ograniczając się obecnie na Szyllerze, mamy dotąd tylko dwa dobre przekłady jego dramatów: *Maryją Stuart* przez Odyńca, i *Wal-lensztajna, trylogią* przez Kamińskiego, który przecież czasem razi mniej używanemi a może i przez siebie wprowadzonemi wyrazami; pomimo to przyznać należy, że Kamiński umiał władać językiem poetycznym, czego najlepszy dowód dał w szczęśliwem prze-laniu kilku ballad Szyllera.

Kończąc rzecz o Don Karlosie, musimy wspomnieć, że Pre-skot, znany historyk *Zdobyczy hiszpańskich w Ameryce* oraz *Panowania Ferdynanda i Izabelli*, przeszło rok temu wydał *Panowanie Filipa II*, w którym na zasadzie nowych dokumentów wyjaśnił charakter Don Karlosa, przedstawiając go co do ważniejszych dodatnich stron tak samo, jak go w twórczej swój fantazyi wyobraził sobie Szyller. A jednak za ukazaniem się tragedyi tego poety zarzucano mu przesadzone uidealizowanie Don Karlosa, twierdząc, że to był szaleniec. najgorszego prowadzenia, którego ojciec pomimo woli musiał dla bezpieczeństwa kraju kazać zamknąć. Don Karlos padł poprostu ofiarą nietolerancyi katolicyzmu XVI wieku; on bowiem nietylko nie okazywał sympatyi dla panującego kierunku, ale nawet zupełnie od niego się oddzielił. Najwięcej światła na jego sprawę mogłyby rzucić dwa dokumenta dotąd zachowane w tajemnicy: proces Don Karlosa, i list w tym przedmiocie przez Filipa II do papieża pisany.

Ze sfery cywilizacyi przeniesmy się do wpół dzikiego stanu społeczeństwa, jaki nam podaje Korzeniowski w dramacie *Cy-*

ganie. Ten ułamek podobno indyjskiego wielkiego szczepu, niosący z sobą wszędzie swą rodowość i niezatartą indywidualność jak starożytny Germanin, ta rasa przeklęta, która sama w to wierzy, że jak bocian na ciągłą wędrówkę jest skazana, której jedyną dziś ojczyzną jest włóczęga: godną jest zastanowienia każdego, z jakiegokolwiek strony badającego naturę ludzką. Wszystkie prawie literatury obfitują w utwory, z życia tego ludu czerpane. Udatny przekład *Cyganów* Puszkina przez Leona Janiszewskiego (gdzieniegdzie tylko rutenizmami skażony) w poetycznej powiastce przedstawia nam niektóre zajmujące rysy koczującego plemienia, żyjącego patryarchalnie, a nie podnoszącego się do umoralnienia i uczłowiczenia związków krwi. Zemsta przybłądy Europejczyka, który znieawidziwszy oświecone społeczeństwo ze zranionem sercem przystaje do bandy cyganów, a następnie zabija niewierną sobie Zemfirę i jej nowego kochanka, oto cały wątek opowiadania, na końcu którego stary cygan przywódca, łagodnie z bandy oddał mściciela Alekę. Tu i owdzie kilka szczegółów, zręcznie z opowiadaniem spojonych, o życiu tego prostego, przesądnego a poetycznego sumienia.

Bez zabiegów ptaszek żyje
Pod skrzydłem Bożej opieki,
On z ciężką pracą nie wije
Gniazda, coby trwało wieki.

W nocy drzémie w cieniu drzewa;
A z pierwszym słońca promieniem,
Boskiem zbudzony natchnieniem,
Wstrząśnie piórkami i śpiewa.

Człowiek tęskni w mglistej porze,
A wolny ptaszek radosny,
W ciepły kraj, za sine morze
Leci szukać nowój wiosny.

Życie ptaszka, którego żywiołem najistotniejszym powie-
trze, swoboda i bez granic horyzont, to ideał cygana.

Lecz gdzież szczęście między wami
Dzieci natury błądzące?
Pod zdartymi szalaszami
Wiją gniazdo sny dręczące!
I wasz byt biedny, wzgardzony,
Nie uszedł nieszczęścia ciosów:
Od żądź burzy, od klęsk losów
Nie ma na ziemi ochrony!

Kraszewski w *Chacie za wsią* już nie spokojną, ale burzliwą, wulkaniczną stronę cygańskiego życia rozwinął. Wielkiego zmysłu artystycznego dał w tym dowód, że zwrócił się ku głębinom ponurym nędzy żywota, której dlatego, że w ciągłym tytanicznym mocowaniu się ze straszными siłami natury zanurzona, najczęściej odmawiamy duchowego życia: sądzimy, że troska o chleb codzienny, że widmo głodu i choroby wydziera z duszy nędzarza wszelki ślad nieśmiertelnej myśli. Ale natura kocha się w kontrastach: duch, jakby wymownie świadcząc o boskiem swém pochodzeniu, wśród zamierania pod brzemieniem materji wyrwa się jak wysilone westchnienie konającego, którego żywcem pogrzebano, wyrwa się ku niebu to tęsknotą nieokreśloną i niewypowiedzialną, to niby wesołością, która lży wyciska. Dlatego genjusz poetyczny każdego ludu drżenie spowity w rzewnych nutach pieśni, aż mu kiedyś wcielony genjusz każe powstać wspinałym podobłocznym olbrzymem. Słusznie powiada Kraszewski, że życie nieszczęśliwych, ledwie zauważanych istot, więcej podaje materiału niż życie konwencyjonalno uniformowe wyższej i średniej klasy towarzystwa: „Czemużby więc powieściopisarz nie miał też prawa opisywać drobnostkowo życia jednej z tych liszek, które pełząc po czarnej ziemi, zdepatne nogą niebaczną, giną niepostrzeżone i niepożalowane?”

W powieści tej, pisaniej uczuciem a nieraz płomieniem, co wdziera się do piersi i zaczługuje się w najskrytsze jój zakątki, aż cały zadrgasz fantastyczną grą trawiącego cię ognia i z dygocącym sercem gnasz za porywającemi się postaciami; w powieści tej wylał Kraszewski młodzieńczy zapal natchnienia. Sam stafaż, same ramki, w które wprawił swe obrazy, już zdradzają artystę. Sceną główną działania jest chatka, krwawym potem przez biednego cygana wystawiona na wygnaniu, jak mówią, poza wsią, patrząca się smutnie jedną stroną na wieś, drugą na cmentarz wiejski, wznoszący się na wzgórzu, do którego spadzistej ściany chatka przyparta. Cygan ten wyrzekł się swoich, bo Tumry ukochał Motrunę, córkę cygana i rusinki. Stary Lepiuk chce pozbyć się Tumrego, który mu ród jego przypomina: pali chatę jego, ale Tumry z wytrwałością bnduje nową. Lepiuk umiera, pod klątwą zakazując wydawać córkę za cygana. Ale żona dziedzica, francuzka guwernantka, chcąc urzeczywistnić romansową scenę, doprowadza małżeństwo do skutku. Mija chwila zapalu: Motruna odepchnięta przez wszystkich, tęskni za swemi; dzika dusza Tumrego drży za swobodą cygańską, i wleka

się im dni zwolna, konająco, jak napół zdeptana gadzina, co każde nieudolne sunięcie posoką swąaczy. Przybycie do wioski cyganów dawnych towarzyszy Tumrego, przyspiesza wybuch tłącego w nim pożaru, a widok Azy przywodzi go do szaleństwa. Aza, dziwnej piękności cyganka, pociąga go do siebie, bo go kocha; zazdrość rozbudza w nim namiętność; a obok tego dręczą go wyrzuty sumienia ze względu na Motrunę, i to wszystko popycha go do samobójstwa. Na odmalowanie téj dzikiej, niepojętej, potężnej niewieściej natury, jaką jest Aza, poeta zdaje się skoncentrował wszystkie siły swego talentu: to téż widzimy ją żywą, w całej pełni i ruchu, ognistym, szalonym, fantastycznym. Jest to jedna z tych potężnie stworzonych poetycznych postaci, które wrastają w duszę czytelnika, które grymasna, swawolna wyobraźnia w ostatnich nawet dniach życia może mu ją przed oczy postawić z tém spojrzeniem: to królewsko-nakazującym, to przebijającym jak do czerwoności rozpalone ostrze szyletu, z tą piersią, wzdętą żądzą rozkoszy, rozigrana a lękająca się utopić i zmasać w zgniliznie lub lichocie. Jak rozwścieklona lwica na trupa swego lwiatka, rzuca się Aza z rykiem na grób Tumrego, którego jednego znajdowała godnym swéj namiętności. Ten cios zabija Azę, i bezmyślnie staje się ona posłuszną Apradowi, który pierwój, pozorną trzymając władzę, drżał prawie na każde jéj skinienie. Ale wróćmy do biédnej wdowy. Motruna po kilku latach umiera, osierocając śliczną swą córeczkę Marysię, której jedynymi opiekunami: stary żebrak i żona jego znahorka. Wdzięczne fazy naiwnego uczucia Marysi, która pomimowoli pokochała i oczarowała bałamuta Tomka. Marysia wbrew woli rodziców Tomka, zamożnych budników, nie chce zostać jego żoną: zjawia się znowu zły gieniusz jéj rodziny, Aza, i uprowadza zrozpaczoną Marysię. Rodzice Tomka, nie wiedząc sposobu innego, gdyż chłopak uciekł za Marysią do bandy cyganów, zezwalają na małżeństwo; i naprzeciwko chaty za wsią powstaje dworek, którego dzieje obiecuje nam kiedyś autor zapewne w mniej smutnych i ponurych barwach opowiedzieć.

Wiele tu jeszcze szczegółów godnych wspomnienia: Pan Adam, zużyty rozpustnik, rozbudzony z fizycznego i duchowego marazmu przez po szatańsku bawiącą się z nim Azę, która ponętnymi, rozkosznymi podnietami, jak prądami galwanicznego stosu, konwulsyjnie porusza tego trupa; pan Adam, który z czasem staje się skąpym i bezmyślnym bigotem; a owa szajka cyganów ze swymi tradycjami i narowami jak ciekawa! Ci znowu chłopci, sasie-

dzi Lepiuka, żywcem do powieści z chat swych i narad w karczmie przeniesieni. Tylko cośmy nie zapomnieli wybornej sympatycznej figury *potwornego, głupiego Janka*, pogardzonego przez wszystkich, który przecież tyle miał rozumu i serca, i to wszystko poświęcił dla biednej, prześladowanej pary. Kto wie, może on i kochał Motrunę; boć i on, jak wszystkie tego rodzaju istoty upośledzone, odepchnięte przez świat, musiał te skarby uczucia, które inni jak zdawkową monetę codziennie rozrzucają, skupić w swęj duszy, i z całą potęgą kochania wylać na wybraną istotę, dusząc się tą tajemnicą, ażeby mu za tę najdroższą ofiarę nie zapłacono szyderstwem. Przecież zimne okrucieństwo,—z jakim Janek przyspiesza w Tumrym postanowienie samobójstwa, przypatruje się jego wykonaniu w ostępie lasu jak zły gieniusz:—stawia głupiego Janka po za obrębem istot rzeczywistych. Choćby nawet to straszne szyderstwo Janka w chwili odrywającej się w jego oczach walki życia ze śmiercią, było wypływem nienawiści, jaką powziął Janek do Tumrego za zmarnowanie całego życia Motruny; to i tak w żaden sposób nie może się to pogodzić z wrodzoną dobrocią serca, która nigdy w okrucieństwo przejść nie może, ani téż z rezygnacją i potulnością, z jaką Janek znosił prześladowanie. Dlatego uważamy tę postać za dziecko fantazyi.

Wracając się jeszcze do Azy, przypominamy sobie, że utalentowany powieściopisarz rossyjski Łażecznikow w *Lodowym domu* stworzył równie ognistą istotę w księżniczce Lelemiko. Między obiema temi cygankami zachodzi podobieństwo jedynie w namiętności gwałtownej namiętności. Łażecznikow gra tylko na jeden ton uczucia, którego dzieje każe przebiegać cygańskiej dziewczynie, wziętej na opiekę przez znakomitą rodzinę; cały zaś charakter plemienny Lelemiki objawia się jedynie w rozbudzeniu szalonej miłości dla księcia Wołyńskiego, która staje się powodem jęj zguby. Przeciwnie Kraszewski przesuwając przed nami wszystkie odcienia energicznego typu poetycznej, hamującej się jedynie swemi przywidzeniami cyganki, której coraz inne strony plastycznie w żywej występują akcyi.

Tę powieścią dowiódł Kraszewski, że prawdziwy talent w obrębie małego zakątka, może tyle rzuć myśli, uczucia i tęsknoty, że nie dojrzyś kończyn tego widnokągu, który, im bardziej ku niemu podążać będziesz, tém więcej pociągać będzie nowemi, niewidzianemi urokami.

Rzadziej tu jak w wielu innych powieściach, a nawet bardzo rzadko, grzeszy autor rozciągłością: w poprowadzeniu całości

zając ciągle potrafi. Nie stosujemy przecież tego zarzutu rozciągniętości do drobiazgowości Dikensowskiej, z jaką np. opisuje chatę Tumrego; owszem tu obok głębokiej charakterystyki, jaką Dickens nadaje drobiazgom, znajdujemy jeszcze technicznie żywotne poezyi, które ujmuje i każe kochać te szczegóły.

Główne charaktery, Tumry i Aza, jak to po większej części ma miejsce w powieściach Kraszewskiego, nieutrzymane do końca, maleją i upadają w nicość, przez co osłabia się wrażenie artystyczne, jakie zrazu energia pierwszjej i niezmordowana wytrwałość drugiego wywołuje. Niestety! bynajmniej w tém autor nie zmiya się z rzeczywistością; jest owszem w tém wielka prawda życia! Ale czyż niewolno poecie wprowadzać wyjątkowych, choćby idealnych postaci, umiejących wytrwać niezachwianie, których widok pokrzepia i umacnia duszę: kiedy przeciwnie takie zaprzeczające same siebie charaktery, uwidomijac ułomność i słabość natury ludzkiej, rozczarowującym smutkiem przejmują. W całej tej powieści z pomiędzy bardziej oznaczonych indywidualności, działających z jasną świadomością siebie, jeden tylko Janek wytrwały jest w poświęceniu swém dla Motruny, co znowu nie stało się dla niego trudnym, gdyż to było raczej zapelnieniem próżni jego serca, zaspokojeniem potrzeby jego uczucia, aniżeli nakazem wewnętrznym, po długiej walce z sobą przeprowadzonym z siłą w wykonanie.

W powieści tej symbolicznym wyrazem jedności jest *Chatka za wsią*; powieść bowiem rozpada się na dzieje dwóch pokoleń wśród tej chaty. Naprzód rozwija się przed naszymi oczyma miłość Tumrego i Motruny, a obok tej równolegle uczucie Azy dla Tumrego, i Adama dla Azy: miłość owiana urokiem młodości, namiętna i zwierzęca. —oto paralella, dajaca możność do spostrzeżeń i obrazów, czego też nie zaniedbał autor. Odbiciem miłości Tumrego i Motruny jest związek dwóch młodych serc następnej generacji: Tomka i Marysi. Temi dwoma uczuciami, a zwłaszcza pierwszym najwięcej zajmuje się Kraszewski, i dlatego też na tę ostatnią najwięcej zlał światła, barwy i woni.

Nie widzimy panujcjej myśli, macierzystej idei całości; bo też nie kładł sobie autor za zadanie, aby wszystkie szczegóły do jakiejś głównej zasady odnosić. Kraszewski chciał być malarzem życia cyganów między sobą i w zetknięciu z obcym; to też jest malarzem i znakomitym. Obrazami temi nieraz rozbudzi w tobie myśl poważną, smutną, uroczystą; to znowu tu i owdzie przychodzi ci w pomoc, rzucając głębokie nad naturą ludzką spostrze-

żenia. Jedność artystyczna tu istnieje, bo jest powiązanie i ład we wszystkim; ale jedność wewnętrzną chyba należy upatrywać w owęj fatalności, ciężaczej przez pokolenia na nasie przeklętej, gdy ta przeniewierzają się swęj rodowości, łączy się z rasą obcą i osiadłą. O ile jednak ten nasz domysł jest trafnym, nie wiemy; bo nie wiadomo czy ta fatalność dotknęła i Marysię, której losów jeszcze nam powieściopisarz nie dopowiedział.

Musimy w końcu zwrócić uwagę autora na liczne rutenizmy, któremi kazi czystość języka: np. *widny zam.* widziany, *a jakby* tak to cóż, *zam.* a jeśli tak, to cóż; *jak ono tam jest to jest zam.* bądź co bądź; *przylepiła się gdyby* rękawiczka, *zam.* jak rękawiczka; *horno* (ognisko?); *ostrzonemi* wymówkami, *zam.* ostremi; *zabył* swoich; *zam.* zapomniał; *bezdomny* (bez przytułku); *obere-mek* (pek?), *on ma taki* (snadź, widać) białą krew w sobie; nie ma ochoty chaty dla mnie *stroić* (budować); *zaprządź się samotuzkiem* (sam jeden?); *stał z załamanemi* rękoma, *przybity* (pogiębiony, złamany); *przyzastanowił się* (priostanowił, zatrzymał się); tak nam *sądzono* (tak nam sużdiono, takie nasze przeznaczenie); *przyszli do niego w gości* (priszli k'niemu w gości, przyszli do niego w gościnę); *najmici* (najemnicy); *bratczycy* (bractwo?). Oto rutenizmy, jakie znaleźliśmy na pierwszych stu stronicach pierwszego tomu. Jeżeli więc ci, co stoja na czele literatury, nie będą czuwać nad czystością języka, któż ich w tym względzie godnie zastąpić potrafi? Jeżeli teoria, —jakiéj przed kilką laty dowodził Antoni Nowosielski, że prowincjonalizmy są wzbogaceniem języka, —weźmie górę; to cóż się stanie z mową ojczystą, która wszędzie i zawsze jest fizyonomią ducha narodowego, której zeszpecenie jest razem jemu samemu zadany. Pojmujemy, że czasem nietylko można, ale nawet trzeba użyć miejscowego wyrażenia, lecz wówczas należy je objaśnić w nawiasie: wszakże pod tę kategorię mało co z przywiedzionych wyż rutenizmów podciągnąćby się dało.

Zamykamy to sprawozdanie o *Chacie za wsik* przywiedzeniem słów Kraszewskiego ze wstępu, których bodaj nie zechciał i do nas zastosować za to, że poważyliśmy się robić uzasadnione, zdaniem naszym, zarzuty:

„Nie myślę się uniewinniać przed krytyką, której u nas rzemiostem hałasować i czernić.” Ten sąd technie pogardą, a co gorsza jest niesprawiedliwy: bo znane są imiona tyob, którzy nigdy ani nienawistną naganą, ani nieczemném pochlebstwem nie splamili poważnego powołania krytyki. Nie wymieniamy tu nazwisk,

z obawy, aby nas o stronność nie posądzono; ale odwołujemy się do opinii samego p. Kraszewskiego i wszystkich innych światłych mężów, pracujących na niwie literatury krajowej. Byłoby to zasługą obywatelską i niemalém przyczynieniem się do podźwignienia krytyki, gdyby pisarz wysokie zajmujący stanowisko, w razie gwałtownego, ziejącego obelgami napadu swych nieproszonych obrońców przeciwko ośmielającym się o tym pisarzu sąd objawić,—gdyby wówczas pisarz ten publicznie potępił takie gwałtowne obrony, które równie są niegodne jak gwałtowna krytyka, a które zwykle są albo płaszczykiem pokrywającym interes materialny, albo żakowskim wybrykiem dla zdobycia przelotnej popularności, przez otarcie się o imię, używające rozgłosu: bo szczere, sumienne przekonanie, bo prawda, nigdy nie wyzuje się z powagi, uroczystości i spokoju, tych zewnętrznych oznak odzwierciadlania boskości, i nie zniży się do kłótni ulicznej.

Korzeniowski, wyższy w dramaturgii niż w powieściopisarstwie, daje nam na tle wiernie przedstawionego życia cygańskiego pochod namiętnej miłości aż do ostatecznego przesilenia, w którym trawiona zazdrością kochanka siebie i niewiernego zabija. Kirmo, naczelnik bandy, którego stosunek do młodego cygana Nango podobnie skreślony jak stosunek Aprada do Tumrego, wysła Nanga na kradzież koni w miejsce niebezpieczne, w nadziei, że tam Nangę ujmą i w dyby zakują, a tym sposobem stary cygan nieuległego podwładnego się pozbędzie. Gulda kochanka czyli kobieta Nanga, tęskni za nim, i niepokój swój powierza starój Jerni. Woli ona być cyganką niż panią; i dlatego temu co chciał ją zasypać złotem, odmawia wzajemności:

Za rok pogasisz iskry moich oczów,
Wypijesz ze mnie młodość i swobodę,
I gdy jak kwiatek zwiędnę w twoich rękach,
Sługom wypędzić każesz mię ze dworu,
I psami wyszczuć, ciemne dziecko puszczy.

I poszłam z wami, gdzie mi wiatr grał piosnkę
Znaną z dzieciństwa na szumiących liściach;
Gdzie mi głód mówił: głodnaś, ale wolna;
Gdzie w nocy miesiąc z góry do mnie śmiał się.
A przez gałęzie, gwiazdy mrugające
Wróżyły sercu, że się znajdzie miły,
Z którym do końca życia powędruję.

Ten (Nango) związał mię miłością.
 On mię pokochał, ja go pokochałam.
 I odtąd żaden jeszcze dzień nie przeszedł
 By oczy nasze z sobą nie mówiły;
 Żadna noc, żebym jego pocałunkiem
 Zakolysana, nie złożyła głowy
 Na jego piersiach.... Oddam go, gdy ręka
 Martwa skostnieje, gdy na piersi moje
 W głębokiej jamie ziemi nasypiecie.

Nadspodziewanie wraca Nango z bogatą zdobyczą i przeprowadza sobie Naję, łagodne, marzące i cudne dziewczę, które wydarł bandzie cyganów, co chciała ją zabrać i porzucić konającą jej matkę. Rozwścieklona Gulda przemyśliwa o zemście. Naiwna Naja nie przewiduje grożącego jej niebezpieczeństwa, tylko jakieś tęskne gnębi ją przecucie. Wdzięcznie maluje swą przeszłość, w której nieraz dręczono ją i bito jeśli nie chciała tańczyć, gdy w sercu brzmiała jej piosnka, co nie miała jeszcze słów, aby z niemi pobiedz do ludzi: bo piosenka drzemie głęboko na samym dnie serca, a kiedy przyjdzie chwila, wtedy nagle budzi się ze snu i na ustach staje. W tych piosnkach było więcej łez niżli głosu. Nango przywołał do jej duszy pieśń szczęścia, co już uciec chciała. Nango powiada, że miłość Guldy była piaskiem rozpalonym, a żar jej spaliłby jego serce; a miłość Nai daje wypoczynek piersi i głowie, jak pod wonnym cieniem kwitnącej lipy. Sliczną śpiewa mu piosenkę Naja: „rozmowę dziewczyny ze słowikiem”, któremu każe zgadywać kto jej kochankiem. To znowu piękną daje opowieść o królu cygańskim w Mirze, Radziwille. Zbliża się chwila zemsty. W nocy, kiedy Nango, obrany wodzem na miejsce zrzuconego Kirma, na krótko się wydała, Gulda wkrada się do szatry. Zrazu chciała zabić Naję, ale się wstrzymuje:

Nie! na tej głowie coś niepojętego;
 Na tém uśpionem czole świeci jakieś
 Światło łagodne, piękne, jak ta iskra,
 Co w nocy błyszczy na robaczka głowie.

Sliczna to myśl: niewinność bezbronna rozbraja zbrodnię! Gulda nalewa truciznę do kubka, i kryje się w kącie; wtém wraca Nango, a gdy wypił truciznę, ukazuje się Gulda i wychyla resztę jadu. Następuje krótka między nią a zrozpaczonym Nangiem przedzgonna rozmowa, wśród której budzi się biédna Naja i żegna zwłoki kochanka. Tu jawniej jeszcze występuje czysta dusza Nai:

bo śród takiego ciosu rozbudza się w niej przecucie prawdy chrześcijańskiej:

O Nango! Nango! ja cię znajdę kiedyś!
Teraz spij w ziemi póki cię nie zbudzi
Głos mojej pieśni i strun moich wrzawa.
A ty sieroto! uchodź ztąd do ludzi,
Gdzie znają Boga, gdzie się boją prawa,
Gdzie sercu wściekle wzbronnie są gonitwy,
I gdzie dzwon z wieży woła do modlitwy.

Zakończą rzecz Jerni (do przerażonych cyganów):

Dalaj do rydlów! Czemu tak patrzycie?
Nasze to sprawy, nasze to jest życie!
Wykopcież jamę: tam niech w jednym grobie
Zgodzą się z sobą i przebaczą sobie,
Kirmo! bierz wodze— *ten* już nie zawarczy;
Na innych jeszcze siły ci wystarczy.
Zbierajcie obóz! i w świat, w świat cyganie!
Tu po was tylko mogiła zostanie.

Taka jest ta piękna, prosta, uboga w perypecey osnowa, którą biegłość w technice dramatycznej musiała ożywić dobrze nobrazowanemi szczegółami z życia koczującego ludu, tak dalece, że czyta się z interesem całe pięć aktów. Dźwignią całej akcji jest napiętność półdzikiej kobiety, uidealizowana pragnieniem niezmienności i nieskończoności uczucia. Przemaganie obrazów nad akcją przeważne; jednak utwor ten,— jesteśmy pewni,— a nade wszystko zakończenie zrobiłyby efekt sceniczny; pomysł bowiem zakończenia wyborny i efektowy: nie pojmujemy więc, dlaczego tego dramatu dotąd na naszej scenie nie widzimy. Postacie pierwszego planu nie rozwinięte w całej pełni, dla braku perypecyi: przecież Gulda i Naja pomimo to są wyraźne i konsekwentne. Ogółowi nie brak cech odrębnych a nawet poetycznego kolorytu; ale zdaje nam się, że nie ma dosyć ognia w malowaniu gwałtownych wstrząśnień bałwaniących mściwą duszą Guldy. Nie wchodzimy w to, o ile charakter Guldy jest rzeczywiście prawdziwym, bo dostatecznym to dla artystycznego ocenienia, że jest w nim prawda artystyczna.

Pozostaje nam wspomnieć o formie wiersza miarowego, (w której gdziekolwiek, mówiąc nawiasem, nie ma miary): widocznie nie przyczynia się ona do podniesienia dykeyi, (która przecież po większej części jest jędrną i charakterystyczną). Czuje to czytelnik, kiedy miejscami nagle jakby po znużeniu z estetycz-

ném zadowoleniem odpoczywa na pięknych rymowanych ustępach. Zawsze obstawać będziemy przy objawioném już kilkakrotnie przez nas twierdzeniu, jakie w uczuciu estetyczném ogółu poparcie musi znajdować, że wiersz miarowy pozornie tylko jest wierszem, że on jest tylko optycznym a nie akustycznym. Język polski pod względem metrycznego układu wiersza obok monotoności akcentu, jest najuboższym ze wszystkich języków ludów ucywilizowanych, bo posiada tylko dwie miary, wiecznie powtarzające się (trohej i amfibrach); potrzebuje więc rymu dla uwydatnienia harmonii niewyraźnie w rytmie spoczywającej. Wiersz miarowy wyjątkowo tylko i to w sztucznym jambicznym układzie oszczędnie mógłby być użyty do oddania poważnych, uroczystych ustępów, jak np. w przekładach Szekspira w niektórych miejscach jego dramatów. W tym rodzaju czytaliśmy w rękopiśmie przed kilką laty bardzo szczęśliwą próbę Cypryana Norwida: było to coś w rodzaju fantazyi z motywów Hamleta.

Bolesław-Wiktor.

Alberti Marchionis Brandenburgensis Ducis Prussiae libri de Arte Militari mandato Serenissimi Regis Poloniae Sigismundis Augusti scripti nunc primum e codice authentico principis Palatini Adami Czartoryski cura et sumptibus Bibliothecae Polonicae editi. Lutetiae Parisiorum. Typis L. Martinet. 1858. (Format arkuszowy. Stronnic 71, znaczonych kościelną liczbą. W okładce klejowej).

Albert starszy margrabia brandeburski, trzymający księstwo pruskie lennem prawem od rzeczypospolitej, mąż uczony i w rycerskiem rzemiośle wyćwiczony, co o wojskowości z czytania dzieł obcych i z własnego wyniósł doświadczenia, to snać dla swojej i następców swoich przestrogi, w jednej księdze wyłożyć zamyślił. Rychło po wstąpieniu na tron król Zygmunt August, gdy państwa swoje objeżdżał i do księcia pruskiego zajechał, ujrzawszy tę księgę w Króleweu, zapragnął ją mieć w ojczystym języku spisaną. Atoli książkę nie sądząc, iżby praca jego w tym, w jakim ją pierwój ułożył kształcie, królewskiego oka była godną, wezwawszy pomocników ludzi swia-

domych, wiele do dzieła przyczynił, lub jaśniej w niem wypisał: nareszcie po trzechletniem przerabianiu księgi swoje ukończył i takowe królowi złożył. Musiała ta praca nie małej być w oczach Zygmunta Augusta wagi, kiedy książkę przesyłając ją temu królowi, za zwłokę swą, po dwakroć w liście, ofiarnym przeprasza.

Tę książecia pruskiego ofiarę mile król Zygmunt August przyjąwszy, urzędnikowi dworu swojego Maciejowi Stróbicziowi rozkazał w ojczystej przedstawić ją mowie. Ten samto jest zapewne pisarz, który kilkunastoma laty później dziełem o Inflantach w łacińskim języku wydanem, pamięć po sobie zostawił.

W przypisie do Zygmunta Augusta, Stróbicz tak się wyraża:

«Wasza król. Mość ku przekładaniu tych ksiąg z języka niemieckiego na polski miłościwie wezwać, a na to mnie włożyć raczył. A czém się ku temu niegodnym być znał, i praca ta ku dokonaniu bardzo mi się z przodku przytrudniejszom być zdała, i to mniemanie u mnie było, żeby to rzecz niepodobna była, abych temu, tak jako trzeba dosyć uczynić mógł. Ale odłożywszy na stronę mniemanie takowe, abych woli a rozkazaniu W. K. M. dosyć uczynił, żebych się też z czego z takowych ksiąg nauczyć mógł, żebych czasu takowej potrzeby wojennej W. K. M. tym godniejszym a sprawniejszym sługą był, wzięłem te księgi przed się i dokonałem ich wedle najlepszego przemożenia swego, przekładem na język polski i malowaniem figur rozmaitych jako same w sobie są i innych rzeczy potrzebnych».

Przekład ten w kunsztownem piśmie i malowaniu figur zabrał mu sześć lat całych i rękopism swój złożył królowi w Wilnie 1 sierpnia 1561 roku.

Z przedmowy tłumacza wnosićby można, że król Zygmunt, miłośnik szczególny nauk i mowy ojczystej, księgę tę miał zamiar w swoim czasie drukiem ogłosić. Dokąd ona po śmierci królewskiej przeszła (jako wyrażają wydawcy dzisiejsi) wybać trudno, ale to jest wiadomem, że na początku XVII wieku była w posiadaniu hetmana wielą zwycięstw sławnego, Jana Karola Chodkiewicza; że pod koniec tegoż stulecia dostała się w ręce króla Jana Sobieskiego. Syn tego monarchy i wojownika, królewicz Jakób, podarował drogocenny rękopism Andrzejowi Stanisławowi Kostce Załuskiemu, wówczas biskupowi łuckiemu i kanclerzowi koronnemu, i stał się następnie ozdobą

sławnej biblioteki Żałuskich. Opowiada Janocki, „że król Stanisław August zdjęty ciekawością widzenia tej księgi, zażądał jej: a obejrawszy ją i wspaniałością jej nacieszywszy się, księdzu biskupowi Naruszewiczowi polecił, aby ją własnymi rękoma w bibliotece Żałuskich napowrót złożył».

Wkrótce potem wywieziono tę bibliotekę z kraju, atoli rękopism Alberta od zatury ocalony, przeszedł na własność Tadeusza Czackiego, po śmierci którego, razem z całą biblioteką porycką, zakupiony został przez ówczesnego właściciela Puław.

Wydawcy tego wspaniałego rękopismu po podaniu treści całości, mówią dalej:

«Zbytecznym zdaje się ostrzegać czytelnika, że dzieło to pod względem wojennych umiejętności nie może dzisiaj budzić takiego zajęcia, na jakie w swoim zasługiwało czasie: nie może być nawet uważane za źródło do historii sztuki wojowniczej w Polsce, gdy autor cudzoziemiec, o niemieckim tylko sposobie wojowania rozprawia. Z tego powodu zdawało się wydawcom, że bez szkody dla publiczności część dzieła wojskową prawie w całości pominąć mogą. Jej ogłoszenie wymagałoby tak znacznego nakładu, cenę dzieła tak wysoko podnieśćby musiało, żeśmy mniemali, iż przedsięwzięcia tego rodzaju imać się, rzecz dla nas niestosowna i że owszem na tym tylko w tym wydaniu należało się ograniczyć, co właściwie czytelnika polskiego obchodzić powinno».

Wydanie tego zabytku oprócz wspaniałości edycji, odznacza się wierną ścisłością nie tylko formatu rękopismu, ale podobieństwem i układem czcionek, pisowni samej; rysunkowe ozdoby manuskryptu powtórzone są wiernie na kilku tablicach chromolitografowanych. Dodany nadto został portret Zygmunta Augusta, przerysowany z oryginału olejnego z wieku XVI, który między szacownymi szczątkami puławskiego zbioru dochował się w Paryżu. Jestto jeden z najpodobniejszych wizerunków tego króla; pod nim czytamy dwuwiersz następujący:

„Ten obraz od żywego mało się tu umyka,
Ale nikt nie wyrazi co się cnót w nim zamyka”.

Księga ta z wielkim przepychem typograficznym wydana, nie ustępuje w wspaniałości edycji, ogłoszonym tego rodzaju wydaniom Tytusa hr. Działyńskiego. Po przemowie do czytelnika po polsku i po łacinie, w której wydawcy skreślili hi-

storią rękopismu tego i wyluszczyli powody, dlaczego w całości go nie ogłaszają: następuje karta tytułowa chromolitografowana: «Xsyęgy o Ricerskijch Rzeczach a sprawach wojennych z pilnością zebrane a porządkyem dobrem spijsane». Po niej idzie przypisanie Zygmuntovi Augustowi Macieja Strobicza pisarza królewskiego, a tłumacza całego rękopismu: dalej do *czytelnika miłego* przemowa tegoż *Strobycza*, w której rozwodzi się o wartości tej księgi. Karta idąca dalej chromolitografowana ze złączeniem, ma w ozdobnych floresach wiersz następujący:

„Ordunkiem wojennym jesteśmy przezwane,
 Od wojującego gdy będziemy poznane,
 Kto nas wyrozumie, wnet czasu każdego
 Nauczy się szyku ku bitwie prędkiego.
 K'temu używając fortelu dobrego,
 Może skrócić wolą przeciwnika swego”.

Po portrecie Zygmunta Augusta, o którym wspomnieliśmy, idzie chromolitografowana stronnica przypisu temu królowi Albrechta starszego margrafa brandeburskiego, a autora w oryginale niemieckim tej księgi.

W przypisie tym książę Albrecht wymieniwszy wszystkich pisarzy tak łacińskich jako i greckich, którzy o sztuce wojennej pisali, napomknąwszy o wielu w nich niezrozumiałych ustępach, co na karb edytorów późniejszych składa, z żalnością widzi, że rzeczy rycerskie upadają, że wielu jest co się rycerskimi mężami zowią, a ani mężstwem, ani znajomością tej szlachetnej sztuki nie odznaczają się wcale. Brak w nich bojaźni Bożej: «uczciwości, trzeźwości, ochędożności; ani opatrności albo uprzejmości a szczerości nie masz: jedno obzarstwo, opilstwo, lotrowstwo, nieczystość, hańbienie, przeklinanie a łajanie. K'temu też ludzie młodzi nikczempi, żadnej rzeczy nieświadomi, którzy nigdy przed sobą miecza gołego nie widzieli, bywają na najwyższe urzędy wybrani a postawieni: też czasem i ludzie z fraucymera jako to rzecz mam: czego się Panie Boże racz pozalić». W dalszym ciągu rozwodząc się o zepsuciu młodzieży, sędziwy wojownik wypisuje wszelkie nauki, które uważa za potrzebne wyższemu rycerstwu, z których nie jeden mógłby po buławę sięgać. Matematykę, arytmetykę, rysunki na czele kładzie, a doradza i teologią, aby prawy rycerz bojaźnią Bożą był przejęty. Ztąd wychowanie w szkołach potemu do 20 lat młodzieńca oznacza.

Następuje stronnica chromolitografowana z napisem:

«Tu w tych wirssach nijmal wsijtki rzeczij które ty xijęgi w sobije maiją na xtalt przedmowij wjpisano». W 304 wierszach czternastozgłoskowych w treści mamy podaną całą księgę. Wiersze te nie mające żadnej wartości poezyi, jak się łatwo domyślić, przeplatane są więcej nauką moralną i religijnemi maxymami, mniej dotykając samej strategii, o której tylko gdzieniegdzie lekkie napomknienia.

Zamyka tę księgę spis rzeczy szczegółowy, co cały rękopis księcia Albrechta w przekładzie Stróbycza obejmuje p. n.:

«Krótka rozprawa tu wypisana przychodzi która wssytki przednyeysse articuly zebrane na które ty xyęgi spysane są: jako z predkoscy na kazdey karcie mają być porządnye kazdy artykuł z osobna nalezyone gruntownye w sobye zamika».

Spis ten daje nam dopiero jasne pojęcie o szczegółach zawartych w całym rękopiśmie księcia Albrechta, a przejrzawszy go uważnie, nie możemy się zgodzić z wydawcami, że nie ogłoszona część rękopisu dla nas zupełnie jest obojętną. Boć szyk krzyżacko-niemiecki zbliżka nas zajmuje, a dosyć tu wspomnieć Płowce i Grundwald. Marcin Bielski w strategiczném dziele swoim: «Sprawa rycerska 1569, a zatem w ośm lat po dokonanyim przekładzie Strobycza, mówiąc w siódmej części «o sprawie i obyczajach ludzi postronnych w rzeczach rycerskich», zaczyna od szyku bojowego Niemców. Sama przedmowa księcia Albrechta i tłumacza przypisanie pokazują dowodnie, że dzieło to było pisane dla użytku i nauki Zygmunta Augusta, że z niej miał czerpać wiadomości strategiczne, mając mało sposobności do ćwiczenia się w rycerskiem rzemiośle, wychowany w młodych latach wśród niewieściego fraucymeru. Godzimy się z szanownemi wydawcaui, że ogłoszenie drukiem całości byłoby zbyt kosztowne dla wielu rysunków; pogodzić wszakże można było zdaniem naszym: podawszy w treści to, co najważniejszym jest w rękopiśmie, co nas objaśnić mogłoby o szyku bojowym niemiecko-krzyżackim: tablica jedna chociażby nie chromolitografowana objaśniająca szyk ten, nie o wiele pomnożyłaby kosztu wydania, które do najpyszniejszych edycyj, jako ozdobę wszelkich bibliotek uważać możemy. Dla nauki naszej, nic nie zdobywamy tą publikacją, i zaprawdę wolelibyśmy w miejsce kosztownych chromolitografowanych tytułów, mieć parę tablic planów i szyku bojowego. Jak jest wydana ta księga, liczyć się zawsze będzie do pięknych

a trwałych pomników literatury XVI wieku; wdzięczni jesteśmy szanownym wydawcom za tak staranne i sumienne ogłoszenie tego zabytku, który dziwném zrządzeniem losu. po przejściu tyłu właścicieli w pewnych spoczywa rękę, umiejących oceniać całą jego wartość. Cena dostępna, złp. 60; a rzecz możemy bardzo umiarkowana, zważając na przepych i koszt wielki wydania.

K. Wł. Wójcicki.

Prawdziwe wyobrażenie oblicza Pana naszego Jezusa Chrystusa, z dołączeniem historycznej wiadomości tego obrazu. Kraków. W drukarni Józefa Czecha. 1858.

Cała publikacya składa się ze sztychu popiersia Zbawiciela i kartki drukowanej w 4-ce, w której czytamy następną historyczną wiadomość o prawdziwem wyobrażeniu oblicza Jezusa Chrystusa:

«Od samego początku chrześcijaństwa głównem życzeniem wiernych pobożnych było odszukanie prawdziwego wizerunku oblicza Pana naszego Jezusa Chrystusa; po długiem zajmowaniu się tą pracą, znaleziono nareszcie przed kilkudziesiąt laty w bibliotece wiedeńskiej wyobrażenie Jezusa Chrystusa wyrte na miedzi przez sztycharza Jana Myśnika, w roku 1519. Przy wyobrażeniu tém znajduje się w języku łacińskim wiadomość, iż zrobione jest według wzoru pochodzącego z Azyi, a do Europy uwiezionego podczas prześladowania chrześcian pod panowaniem Mahometanów tamże zostających. W wyobrażeniu tém najbardziej zadziwiającem jest podobieństwo, które zupełnie zgadza się z opisaniem oblicza Zbawiciela naszego, znajdującem się w doniesieniu współczesnego Jezusowi Chrystusowi, Lentulusa, rządcy Judei, uczynionem senatowi rzymskiemu, zwłaszcza, iż nad niniejsze nie znajduje się inne wyobrażenie oblicza Jezusa Chrystusa, podobniejsze do tego opisu. Załączamy tu dosłowne tłumaczenie z łacińskiego tegoż doniesienia.

«Wielkiemu i poważnemu senatowi rzymskiemu, Lentulus senator i rządcza Judei zdrowia życzy. W naszych czasach zjawił się i teraz jest jeszcze u nas człowiek zadziwiającej cnoty imieniem Jezus. Naród żydowski uważa go za proroka prawdy: uczniowie jego zaszczycają go imieniem Syna Bożego:

wskrzesza martwych i leczy wszelkiego rodzaju choroby jednym słowem. Człowiek ten jest wysokiej i wspaniałej postawy i jest taki, iż kto go tylko zobaczy, natychmiast uczuje w sobie dla Niego poszanowanie połączone z bojaźnią. Jest on bardzo przystojny, włosy jego są koloru orzecha dojrzałego, gładkie do uszów, a od nich na dół kędzierzawe i polyskujące, spadające na ramiona: pośród głowy rozdzielają się na obie strony według zwyczaju Nuzareńczyków; czoło równe nie mające zmarszczek, tak, jak i cała twarz czysta i nie ma na niej żadnych plam, zdobi ją jakowaś szlachetna stateczność. Nos i usta pięknie ułożone i ukształcone: brodę ma takiego koloru jak włosy na głowie, gęstą lecz niebardzo długą, rozdzielającą się na końcu. Spojrzenie jego jest spokojne, zawierające w sobie powagę doskonałego człowieka: oczy niebieskie, przenikające i hystre. Jest cichym i przyjemnym, w nauczaniu jednak z umiarkowaną surowością: dosyć jest wesolym bez naruszenia swej powagi. Nikt go prawie nie widzi śmiejącym, lecz często widują go płaczącego; ręce ma kształtne. Mówi nie wiele, lecz rozmowy jego są gruntowne. Jednym słowem człowiek ten odróżnia się od wszystkich synów ludzkich i widna w nim prawda, w czém nie ma pochlebstwa».

Wizerunek sztychowany odpowiada wiernie powyższemu opisowi.

Pamiętniki kuratora magazynów. Napisał Antoni Nowosielski. Warszawa. 1858. W 8-ce. Str. 156.

Dla obywateli Królestwa Polskiego nieznaną jest postacią kurator magazynów: w hierarchii bowiem urzędowej nie istnieje wcale. Otóż musimy naszych czytelników objaśnić, że w Cesarstwie oddawna obowiązuje prawo, ażeby w każdej wsi był zsymp zboża gromadzkiego w umyślnie na ten cel zbudowanym magazynie; że czuwać nad tém powinien właściciel wioski, a kontrolować ma tego rodzaju magazyny tak zwany *deputat do magazynów zapasnych* czyli *kurator magazynów*, wybrany przez obywateli. Piękny i szlachetny cel kierował pierwotną myślą takich składów zboża dla włościan, aby w razie nieurodzaju, lub wielkiej drożyzny, lud miał zawsze gotowy zasilek naprzeciw głodu. Lecz cóż znaczą najpiękniejsze ustawy i instytucye, jeżeli nie są wykonane,

niepoparte uczciwie i sumiennie. Zdawałoby się na pozór, że władza oddając te zapasne magazyny zbożowe w ręce obywatelskie, oddając i kontrolę nad nimi, najlepiej dojdzie do zamierzonego celu: tymczasem doświadczenie od lat dawnych przekonują, a co dopiero teraz upowszechnia swymi pamiętnikami p. Nowosielski, że te właśnie ręce są nieudolne; że zła wola wszędzie górę wzięła ze szkodą biédnego ludu.—Smutny to obraz, a jednak prawdziwy: wyjątki są zaś tak małe, że o nich wspominać nie warto.

Autor w przedmowie broni się usilnie od zarzutu, że wzorów nie brał ze swego powiatu. „Zapewne (mówi) że doświadczenie życia podało mi wzory do utworzenia téj galeryi dziwaków, jaką przedstawia dzieło moje: inaczej nawet być nie mogło; ale wzory te gromadziły się w głowie mojej przez cały ciąg żywota, napotykałem na nie po wszystkich prowincjach kraju naszego, spotykałem jako rozrzucone, jednostronne rysy charakteru, z których kunsztmistrz dopiero całość indywidualną mógł stworzyć.” Obrona to dobra, dla zapewnienia sobie spokoju od sąsiadów; ale jeżeli autor wzory do swéj galeryi brał z całej prowincyi, i z dostrzeżeń całego życia, a zebrane figury oryginałów umieścił w jednym powieściu: to minawszy się z prawdą, zanadto poniżył obywatelstwo okolicy swojej, rysując obrazki swoje na tak czarném tle, i tyle na niém stawiając nie już oryginałów mogących rozśmieszyć i zabawić—ale postacie obrzydliwe i odrażające.

W przedmowie swéj autor na obronę swoją dodaje jeszcze, ażeby czytelnicy *Pamiętnika* tego pamiętali „że artysta tworzy dla celów sztuki, tworzy zaś w tym rodzaju, który go najwięcej do siebie ściąga.” Tu wielkio nastęcza się pytanie, czy p. Nowosielski, stawiając nam ciągle postacie pijaków, idyotów, szulerów i nikiemników, odpowiedział *celowi*, jak wyraża, *sztuki*: lubo nie przeczymy, że taka ujemna strona społeczności, może go najwięcej ściągać. To nagromadzenie ohydnych figur wstręt w duszy budzi; nie ma gdzie myśl spocząć, bo wszędzie błotnista kałuża. Taki to obraz daje nam autor szlachty swoich okolic—ziemian dziedziców, jak się sami zwa *pomieszczyciów*.

Odwróciwszy oczy od tych znikczemnionych postaci, z wi doczną miłością kreśli nam autor postacie ludowe. Co to za mistrzowskie malowidło tego starca pastecznika i jego wnuki Oxany. Nie zdarzyło się nam nigdzie czytać podobnie wdzięcznego a pełnego prawdy obrazku. Jeden Zenon Fisch dał nam, lubo w innym rodzaju, równéj wartości obrazu.

Wracając do samych Pamiętników, uderza nas silnie w utworach wszystkich pisarzy naszych zaniemeńskich, że nie mogą czy nie umieją dać nam żadnego typu prawdziwego obywatela swoich okolic. Nie znamy bliżej tamecznych stosunków; oddaleni od społeczeństwa Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, jeżeli się z nią zapoznajemy z książek, powieści osnutych na tle miejscowości, obrazków i opowieści, nie budującego nie możemy wynaleźć. Pyszaków mnóstwo, geldhabów bardzo wielu, pijaków zasoby spore, ciemniźycieli chłopów jeszcze więcej, bogaczów, co z okradzionych fortun pańskich powstałi, dużo: a wśród téj czerni ani jednego, coby zasłużył na imię cnotliwego obywatela. W takiéjto spodlonéj społeczności i kobiety nie lepsze: zuchwałe panny emancypantki, lekkomyślne i rozwiozłe żony; a gdzież typ litewskiéj czy polskiéj dziewicy, albo cnotliwéj matrony, matki Polki? Na cóż się zda obrona autorów, że nie zbierają wzorów ze swych powiatów, kiedy właśnie swoje powiaty zaludniają tak wyborowém towarzystwem. Toż ma być *celem sztuki*, jak się tłumaczy p. Nowosielski. Cudzoziemiec wzięwszy do ręki tego rodzaju utwory, do przekładu (co dziś już nie jest osobliwością) jakież da obcym pojęcie o społeczności naszéj? Dziwne dostrzegamy tu zjawisko: prawie wszyscy bez wyjątku pisarze, szlachtę i właścicieli z upodobaniem w czarnych malują kolorach, a z wielką miłością i współczuciem postacie ludowe: tych kmieci, wedle ich wyrażen, którzy jęcząc pod uciskiem dworów, uważani na równi z inwentarzem, dają jednakże materiał szlachetniejszy pisarzom powieści i obrazów.

Nie pierwszy p. Nowosielski tłumaczy się przedewszystkiém i na czele przedmowy, że wzorów nie bierze ze swych okolic: rozczytując wszelako mnóstwo powieści, powiastek, obrazów i szkiców, nigdzie nie znaleźliśmy obrazu człowieka obywatela: a jeżeli go nam, jako osobliwość chciano przedstawić, to razil nieprawdą, wyidealizowaniem dziwaczném, i dlatego postać taka nie pociągała do siebie. Stosy tych utworów literackich rozmaitéj wartości, mimo wielu zaprzeczeń, to nam jasno dowodzą, że ci pisarze zatracili w sobie tradycyą nawet typowych postaci prawdziwych obywateli polskich, i że malują społeczność swoją, może w przesadnych nieco, ale w gruncie mających prawdę, zarysach; że w niéj niemogąc wynaleźć w rzeczywistości figur obywatelskich, podsiłać się zaczęli wyobraźnią i dlatego w miejsce malowideł prawdziwych, dają niekiedy wymarzone, a odstręczające zawsze.

W obecnych czasach zaczęli cudzoziemcy garnąć się do tłumaczeń popularniejszych utworów z literatury naszej. Oczywiście, najprzód wzięli się do najpoczytniejszych i mających rozgłos powieści. Na karcie tytułowej napis stoi, że tłumaczona z polskiego: oczywiście tu cudzoziemiec poczerpnie wiadomości o polskich postaciach i polskiej społeczności. Tymczasem w jakież błęd wpadał. W utworach tych nie masz obrazu społeczności Królestwa Polskiego, ani jej obywateli; ale są przesadne (do czego się sami autorowie przyznają) skarykaturowane figury owych dorobkowiczów, co z okradzionych fortun panów przeszli z folwarku do pałaców; nadętych dostatkami; *komediantów* w zebraniach towarzyskich a w domu liczykrupów i ciemiężycieli ludu. Na karb więc całego narodu przechodzą te wyjątkowe typy, a dotąd po *Panu Podstolim* Krasickiego, i *Panu Staroście* Fryd. hr. Skarbka, w nowszych utworach nie pojawiła się odpowiednia tym szlachetna postać obywatela polskiego. Lud nasz Królestwa Polskiego (i to głównie części Sandomierskiej) znalazł wiernego malarza w J. K. Gregorowiczu: orzekiwać musimy na pisarza, coby nam z miłością a prawdą odmalował naszą szlachtę rolniczą Królestwa Polskiego. I nie wątpimy, że wśród niej znajdzie gotowe materiały do postawienia na tle obrazu wzoru godnego obywatela.

Nie zaprzeczamy autorowi *Pamiętnika Kuratora magazynów* talentu pisarskiego: chciał on w rodzaju Callot'a i Hogarth'a dać i dał obrazki, a pomimo tego naśladownictwa, całą swobodę oryginalnego utrzymał pisarza. Wszystkie prawie postacie z taką prawdą namalowane, że czytelnik wraz z objeżdżającym dwory kuratorem, zdaje się z nimi wspólnie rozmawiać, i patrzeć na przesuwające się przed oczyma własnymi. Jest jeszcze w tych pamiętnikach ustęp, opisujący futor ukraiński starego pasiecznika i jego wnukę. Ustęp to tak wysokiej wartości, że nie wahamy się go w całości tu przytoczyć, jako wymowny dowód talentu autora *Pamiętników*:

„Czy byliście wy kiedy na ukraińskim futorze? Czy znacie pasieki ukraińskie? Znacie te rozkoszne ustronia, gdzie można całkiem zapomnieć o Bożym świecie, można zapomnieć i żyć tylko z Bogiem, z naturą, i ze swoimi snami? Wszędzie zielono, świeżo, a téj zieloności przynajmniej kilkadziesiąt gatunków. Kłony rozczepierzają nad tobą tysiące swoich liści, jakby tysiące łap niedźwiedzi; jasno-zielone lipy, ciemne jarzębiny, jesiony, tam kibicie wysmukłych białokorych brzozek, a tam znowu dąb roz-

łożysty, dalej okrągły, czysty placyk, obszyty dokola leszczyną, przy której rzędem poustawiane są ule.

„Tu świeże siano więdnie na pokosach, i pachnie mocnym aromatem na całą pasiekę; rzekłbyś, kobierzec kwiecisty, usłany ze złotego jaskru, błękitnych dzwonek, białych astrów, i czerwonej smółki. Tu tylko leżeć, wypoczywać i dumać! Nic ci tu nie przeszkodzi, nic nie przerwie myśli, jeżeliś poeta albo filozof. Cicho, cicho, tylko brzęczy pszczoła, tylko tęskno trzka gdzieś w gęstwinie turkawka, dudek się czasem odezwie i przypomni ci sobą świat i życie, albo dzieciół zastuka gdzieś w starą kłodę, i znowu się potem robi cicho. Tu tylko zdaje się żyć i żyć. Nędzni ludzie, wy sami nie wiecie za czém się tak bardzo ubiegacie; nieraz tracicie w takim życiu moralną godność i sumienie, a potem wszystko zwalacie na okoliczności. Bóg od was tego nie wymagał: dał on wam łatwe środki zaspokojenia jego potrzeb, szczęście nie tak daleko jak wy myślicie: gonicie je, gonicie, i w końcu oglądacie się nazad, ale już po niewczasie: już serce wasze utraciło swoją świeżość, natura nie cieszy tak jak cieszyła kiedyś; dziś już wam wszędzie nudno, wszędzie tęskno do niezniesienia. Biędni ludzie! zaprzędaliście światu duszę swoją, i razem z nią zaprzędaliście mu swoje szczęście i spokój!

Wszedłszy do pasieki, nasamprzód spostrzegłem chatę obrosłą chmielem, a dalej stebnik z pustemi ulami, króbkami na tyczkach, przeznaczonemi do zbierania rojów, warsztat bednarSKI, i na murawie dziewczynę ukraińską, wyszywającą sobie czerwoną zapołączą (bawelną) bogaty deseń do rękawa od koszuli. Dziad siedł po przodzie, a ja zostałem się w tyle; aż wtém z poza leszczyny wyjechał na kiju chłopak w koszuli, i pędził prosto do dziada wołając „diduniu, diduniu, rojak wyjszow!” (rój wyszedł). Dziewczyna podniosła głowę, odgarnęła na tył czarne włosy, przeplécione ponsowemi wstążkami, spostrzegła dziada i poszła ku niemu; ale spostrzegłszy mnie, odskoczyła nazad, jak dzika sarna. Zdziwienie wyrażało się w jój ślicznych wielkich, czarnych jak węgiel świecących oczach, i żywy rumieniec wystąpił na jój twarzy ogorzalą.

— Oxano, al Oxano! a de stara, de baba? Prywiw wam hostia, taki, takoho hostia szczo ha! Nu o podywyś diwko Kur tobi, czohoż ty soromlajeszsia! Bacz jak poczerwonila, nacze taj mak w horodi, abo taja kalyna u tuzi.

Stary poszedł do chaty, a ja pozostałem rozciągnięty na trawie, pod cieniem rozłożystego klonu. Oxana usiadła na swoim

dawném miejscu, i wzięła się znowu do roboty, poglądając czasami na mnie z ukosa.

Oxana była prawdziwym typem Ukrainki: smągła, rumiana, ze zgrabnym noskiem, z połyskującym okiem, z brwią czarną, ze świeżemi ustami i z zębami białymi jak porcelana. Dostałem moje album, i odrysowałem tę dziewczynę, która widząc że jest przedmiotem mojej uwagi, rumieniła się ze wstydu. Nareszcie zacząłem rozmowę:

— Daleko ztąd do wsi?

— Wieś zaraz za lasem. Tam zaraz nasza chata, a opodal trochę od niej chata dziadka Sawki.

— A Sołopij tobie krewny jaki?

— To mój rodzony diduń (dziadunio).

Nie miałem już więcej o co pytać i rozmowa się ucięła; ale dziewczyna ośmielona już do mnie tym wstępem, sama przemówiła:

— Ja nie wiem co się dzisiaj stało memu diduniowi: już dawno nie widziałam go takim. Od dwóch lat stał się jakby dziecko prawie, o wszystkim zapomniał, oprócz tego tylko co było dawno, kiedy jeszcze był młodym parobkiem. O tém tylko i mówi stary! Całą zimę bywało, bawi się z dziećmi na piecu. Oto powstają dzieci, do dnia umywają się: a nu diduniu może i ty umyjesz się, mówię do niego. A dobrze, dobrze: dawaj umywać się i umyje się, a gdyby mu nie przypomnieli, takby został nie umyty. Potém dzieci mówią pacierz, to i on za niemi powtarza modlitwę. Tak się zapomina, że czasem nie trafi nawet do pasieki sam: lada czego to się nastraszy, i drży jak listek na osinio. Niedawno jeszcze wyszedł był z chaty, żeby pójść do dziadka Sawki: chodził, chodził po wszystkich tokach, po wszystkich ogrodach, i nie trafił, a to tuż obok. Nareszcie przyszedł wieczorem już jakoś do domu, i zastaje dziadka u nas.—Na co wy się dzieci tak porozdzielali, mówi Sawco, jeden tam, drugi tam; dziś chciałem zająć do ciebie, chodziłem, i nie trafiłem.—A wyż tatu, dawno wyszli z domu? pyta dziadko—E! jeszcze rankiem, odpowiada dziad.—Tak mnie wtedy zrobiło się smutno, na sercu, że aż zapłakała: biędny nasz diduń. Ale dziś to on jest taki sam jak jeszcze był przed kilkoma laty, wesół, krzepki, daj tylko Boże, żeby to nie na złe—i dziewczyna przeżegnała się.—Od dzieciństwa byłam zawsze przy nim; wiosna, lato, jesień. dziad w pasiece i ja z nim. Jakich to on bajek mi nie mówił, jakich pieśni nie śpiewał! Dopatrzy, bywało

gniazdo wiewiórek albo wilgi, już polazł na sam wierzch drzewa i dostał dla mnie. Raz zasłabłam na gorączkę, nic nie pamiętałam; położył mię pod drzewem i leżę do nocy. Aż nareszcie przyszłam do siebie, patrzę, siedzi nademną dziad i tak płacze, tak płacze! O! matka rodzona tak nie kocha jak on mnie kocha, mój gołąb siwy. Ej, życieżto wesołe było z nim w pasiece: w jesieni otrząsamy śliwki, jabłka, wybieramy pszczoły; na wiosnę szukam poziomek, zbioram kwiatki, blawatki na wianek, co rosną za pasieką w życie.

I dziewczyna mówiła płynnie, łatwo, z uczuciem; widać było że mówiła o przedmiocie, który sam jeden leżał ję głęboko w sercu, a jam słuchał z przyjemnością tych naiwnych opowiadań dziewczęcia.

Wtém z za chaty dał się słyszeć gwałtowny kaszel i wyszła złamład, albo raczej wywleka się o kiju baba, stękając i ochając. Byłato istna Sybilla, tylko nie taka wcale jak ja pojeli niektórzy średniowieczni malarze, wyobrażając ją w postaci wiecznie młodej i pięknej nimfy; ale stara czarownica, stara baba ukraińska, gdzie kobiety prędko się starzeją, garbią, marszczą, czernieją i nabierają w końcu tak odrażającej brzydoty, że pod temi zmarszczkami nie odgadniesz nigdy pięknej, świeżej a rumianej twarzy dziewczęcia.

Pomimo to, że byliśmy w czerwcu, baba ubrana była w kożuchu, zawiązana chustką jedną na głowie, a drugą podwiązana pod brodę.

Dziewczyna pobiegła do starej, pomogła jej iść, i posadziła na pokosie świeżo nakoszonej trawy.

— A co to matko, słabi jesteście?—zapytałem.

— Oj nie zdążam, tak, nie zdążam, że zdaje się ot, ot już dojdę; oj ta starość nie radość! Jeszcze w dzień nic, ale przyjdzie noc: kachi, ta kachi, kachi ta kachi. Koguty już śpiewają, a ja tylko tarzam się na pościeli, ta kaszle; gdyby tobie minutę, gdybym jedną zasnął! Oka całutenką noc nie zamrużę.

— Możeby jakie lekarstwo pomogło; poszlibyście do panów.

— Ech! gdzie już tam babie co pomoże! Chyba już pomoże ję zastup (rydel), ta lopata.

— Ej babo, babo, na ooto takie rzeczy mówić— przerwała smutnie wnuczka.

— Ej Oxano, donin ty moja rodzona, nie wiekże mnie żyć z wami; potrzeba nareszcie umrzeć babie; starego mego tylko nie chciałoby się rzucać samego!— I po zmarszczonej bladej

twarzy baby pociękło dwie łzy jak groch duże.— Myśmy z nim długo przeżyli na świecie! Brałiśmy się prędko jakoś po wielkiej zimie. Czy dawno zdaje się! Wszystko pamiętam, tak, jakby to wczoraj było; a jaką ja wtedy byłam, a jaka dziś! Czasem popatrzę na siebie, sama sobie nie wierzę: jażto? Te białe włosy, czyżto te czarne kosy stepki zuzuli? A taż twarz pomarszczona i żółta, czyżto ta sama, co była kiedyś pełna i rumiana jakby kalina? Młodość i wiek dojrzały jakby sen, jakby jeden dzień przeszły!

Wnuczka szlochala słuchając tych słów starój.

Dobrze to mówią: ten świat jak maku kwiat; w dzień kwitnie, a w nocy opadnie! Pamiętam ja wiele rzeczy! Pamiętam jak tu stali żowmiry (żołnierze polscy); zaplatali oni sobie włosy w kosę i posypywali ją mąką.

— Ta hodi, hodi rozpowiadać. Ot Chiwra postawiła barszcz i co Pan Bóg dał—powiedział dziad ukazując się w progu chaty; a pod lipą stała na stole miska, a stół był nakryty obrusem, i ustawiony niziutko.

— A co stary wyspał się— spytała baba.— Co tobie, przeżgnaj się stara! Ja pilnowałem Chiwry, żeby prędkój pirogi lepila. Oto paniezu, z przeproszeniem, moja synowa Chiwra, taki matka Oxany, a żona Nestera mego syna starszego; nie chwając się, kobieta co się zowie: robotą w jój ręku ogniem się pali.

Jadłem barszcz zabielonny, wareniki (pierogi) ze śmietaną, jajecznicę, którą potrzeba było nożem krajać i kwaśne mleko dla ochłody, a nigdy nie jadł z większym apetytem. Rozpytywałem dziada o mogiłę, którą widać było w polu: chciałem ją widzieć zblizka.

— Dobrze paniezu, nad wieczorem pojedziemy, zobaczymy i mogiłę—odpowiedział mi stary. Ale waszą karetą (tak uczył był pocziwiec moję żółtą najtyczankę) tam nie przejedzie: pojedziecie paniezu ze mną. A tymczasem może po obiedzie wypoczniecie. Oxano, al dziewczko, daj tut radna, ta pościel poduszek panu, ot tut pod lipą, niechaj się prześpi nasz sokoł.

Podziękowałem za to wszystko, a kazałem sobie przynieść z powozu dywan i poduszkę skórzaną. Czytelniku, jeżeliś nie spał nigdy na świeżem sianie w pasiece ukraińskiej, toś nie zakosztował nigdy rozkoszy poobiedniej siesty!

Kiedym otworzył oczy, ujrzałem przed chatą ogromny wóz, który Oxana wymaszczała świeżem sianem, do którego były wprzężone ogromne, rogate, siwe ukraińskie woły.

— Diduniu a! diduniu, a czy tak już dobrze będzie?

Dziewczyna tyle już nakładła trawy, że siedziała na równi z dachem chaty.

— Mość, mość, nie leń się dziewczyno; nie żałuj trawy dla naszego gościa.

I Oxana jeszcze dorzucała aromatyczne siana do wozu.

Za kilka minut już z dziadem siedzieliśmy na wozie. Siwo-brody Sołopij popędzał woły, a ja z teką pod pachą zajmowa-łem honorowe miejsce w samym środku wozu, Odjeżdżając widziałem po oczach piętnastoletniej Oxany, że chciałaby także z nami jechać.

Rozumne to zwierzęta, ukraińskie woły! Kilka słów: cabe, sob, tpru, a idą to na prawo, to na lewo, to się zatrzymują i woźnica nie potrzebuje wcale lejców. Tym tajemniczym talizma-nem słowa, moc bezrozumną na uwięzi trzyma. Jechaliśmy zielo-nemi polami, w powietrzu czuć już było świeżość zbliżającego się wieczora: siano pachniało mocniej, laski rzucały długie cienia na pola. Kaczki dzikie przelatywały z jednego jeziora na drugie; krzyczała czajka w stepie, a gdzieś w dali ryczały cieleta. Pej-zaż przybrał był teraz inny wcale charakter, niż miał rano; doj-rzałem znowu połyskujące stawy, topole ogrodu; widziałem w dali wijącą się wężykiem rzekę, zielone ługi i czarną smugę sosno-wego lasu, co oddzielił Ukrainę od Polesia, ale było już inny obraz, inny ton, inne ujęcia przedmiotu. Cudnie! cudnie! Czujesz, że żyjesz i że drogito dar to życie!

Wtém z moich dumań wyprowadził mnie głos mego An-tomegona. Cab cab, cab cab! stary zwracał z drogi. Ku nam jechał wiedeński szafirowy kocz, zaprzężony piątką gniadych; furman palił niecierpliwie z bicia, tak, że i ja wołałem cabe z całej siły, żeby czasem nie dostać po uchu od jego furmańskiej mości. Ale tu już koniec mojej zieloności. W koczku, kiedy się zrównałem z nim, dojrzałem w głębi przy kobiecie już nie mło-dęj, młodą dziewczynę bladą, nie można tego powiedzieć żeby piękności regularnej, ale dość miłą dziewczynę z jasno-błęki-tnymi oczami, z ciemnymi włosy, które spadały jój na białe szla-froczek. Na głowie miała świeży wianek z błękitnych bławatków, a kiedy powóz wymijał nas z wolna, ona patrzyła na wóz, potém na dziada nareszcie zatrzymała długo wzrok swój na mnie, a w nim odbiło się podziwienie; po jój ustach przeleciał uśmiech, a jasne oczy zdawały się pytać mnie: co ty tam robisz na tém sianie z dziadem i jeszcze z teką pod pachą. Możesz poeta, artysta? I wtém znikła, znikła jak błyskawica, jak sen. Byłoto rzeczą jednej minuty, twarz, uśmiech, oczy zdziwione, kocz, mama, piątka

gniadych i furman z potężném a groźném biczykiem. Tylko kłęby kurzu owiały to widzenie i znikły, a ja zostałem sam w czystém polu, sam z Sołopijem i z nowemi myślami w głowie. Zaintrygowano to mnie.

Stary Sołopij wskazywał mi miejsce, gdzie się pieniądze palą, przy starym dziwacznie obrabany m dębie.

— Wszędzie ono są, wszędzie je pozakopywali to hajdamacy, to horda: wszędzie się przesuszają w noc Wielkiénocy i komu tylko Bóg pošle szczęście, ten je zobaczy, a komu się one oddadzą, ten je weźmie. I znowu stary zamikł i popędział woły, krzycząc na nie: caba lub sob. to pieszcząc je, to łając: osobliwie jeden bury był przedmiotem ustawicznych gderań starego Sołopija.

Przyznam się, że taka pewnośd starego co się dotyczy kopania skarbów, trochę mnie zaintrygowała. Zacząłem go tedy rozpytywać jak się szukają skarby, jak się palą pieniądze, kto je widział, kto kiedy wykopał i t. d.

— Tażę to wiadomo—odpowiedział mi stary,— że zakopane pieniądze leżą w ziemi przez cały rok. Tylko na odyjanyje (*) (noc Zmartwychwstania) wychodzą na wierzch, żeby się przesuszyc. Tylko w tę jednę noc Zmartwychwstania Pańskiego palą się one sinym płomykiem. Często widzisz pod dębem albo pod starą dziuplastą lipą świeci się coś jak świeczka. Schwyci się płomyk, taj zgaśnie. Jak zobaczysz ten płomyk, potrzeba nań czémś rzucić, żeby pieniądze nie uszły daleko w ziemię; jak rzucisz butęm, to pieniądze zostaną w ziemi w kolano: jeżeli czapką, to w wzrost tego co nią rzucił, a tam gdzie się paliły, zostaje zwykle kilka sztuk pieniędzy. Od odyjanija aż do Wszestija (Wniebowzięcia) pieniądze zostają w ziemi w kolano. W noc Wszestija idą znowu w głąb ziemi i zostają tam aż do Wielkiénocy.

I znowu stary powtarzał swoją sentencyą:— Jest ich, jest! gdyby tak czego dobrego jak tych pieniędzy! Wszędzie ich do biesa!

I znowu popędział woły: sob, hej! sob sob, sob sob!

— No, i udaje się takie kopanie skarbów?—spytalem.

— Ta, czemu nie? Może myślisz mój sokołyku, że to na dobre wychodzą te pieniądze? Kudy tam! Znajdzie pieniądze, a duszę

(*) Od diejanije, dzieje, dlatego, że w noc Zmartwychwstania czytają w cerkwi Dzieje apostołskie.

utraci. Gdzie już od nieczystej siły ta będzie co dobrego? Weźmiesz od djabła pieniądze, a potem sam pójdziesz, prosty Ho-spody, czartu w zuby. (Boże odpuść, czartu na zęby).

— A jak zechcesz użyć dobrze tych skarbów, na cerkiew na przykład, albo na ubogich?

— To i nie wykopiesz, chyba już sam Pan Bóg zechce ci dopomagać, ale już wtedy bądź czystą duszą, jak gdybyś szedł przed samego Pana Boga. Ot i mnie samemu lazły one do rąk, nie umiałem tylko z tego korzystać; bo często same pieniądze leżą w ręce, tylko bierz. Bóźnie się one pokazują ludziom: to palą się, to objawiają się starcem siwobrodym, to tak np. jak gdyby kupa węży w jamie jeden przez drugiego laźł, a pomiędzy nimi sam król węży ze złotemi rogami; to objawia się brodatym kozłem, a nawet czasem w workach, garnkach, kociolkach i skrzyniach dają się widzieć. Idź tylko i bierz. Często śnią się one ludziom, i jako mówiłem, że wszędzie jest tego, gdyby tylko tak czego dobrego, Boże odpuść.

— Ale jakże tobie samemu, didu, dawały się pieniądze? Czemuś ich nie wykopał?

— Temu, zem byłz przeproszeniem, dureń. Dawno to już, dawno, może będzie temu lat czterdzieści, a może i więcej, e! gdzie! jeszcze nasi nie szli byli pod Francuza; śniło się mi raz, że przychodzi do mnie niby diabeł, którego włosy i broda takie białe jak to mleko; przychodzi i mówi do mnie: weź Hawryła i idź z nim w kozary (uroczysko) w las; tam wśród lasu idzie drożyna, na zawrocie tej drożyny w lewo stoi dąb wielki, rosochaty; pod tym dębem jest zakopana skrzynia z pieniędzi. Od tego dębu odstępisz trzy kroki na zachód i będziesz kopał: tylko pamiętaj, żebyś wziął z sobą Hawryła. W tym momencie przebudziłem się. Patrzę, nie ma nikogo; myślę sobie, e! zwyczajnie sen! Na druga noc znowu przychodzi tenże sam diabeł i powtarza te same słowa. Nakoniec i na trzecią noc przychodzi i powiada, że ostatni raz już do mnie przychodzi, że jeżeli nie usłucham go teraz i nie pójde kopać z Hawryłem, to już potem nie dla nas będą te pieniądze. Wstaję rano, idę do swego kuma i powiadam mu jak się mi śniły pieniądze i z kim powinienem iść kopać je; mówię mu, że wolalbym z wami kumie podzielić się temi pieniędzi, niż z Hawryłem. Kum z największą ochotą zgodził się iść kopać. Jak tyko słońko zaszło, zabraliśmy rydle i poszli. Wieczór był cichy, pogodny, księżyc jakby srebrny świecił na niebie. Przyszliśmy do lasu, idziemy

drożyną, na zawrocie, prawda, stoi dąb, taki sam jak mi dziad mówił. Odstąpiwszy trzy kroki na zachód od tego dębu, zaczęliśmy się modlić, a potem kopać. Aż tu gdzieś się wzięły chmury, jak zaczęły bić pioruny, łyskać błyskawice, jak schwyli się burza, jak poleje dęszcz, jak sypnie grad, drzewa wokół nas łamie, trzask, huk, świszcze coś po lesie, aż włosy na głowie nam powstały. Ale ja mówię do kuma (który już zaczął był narzekać): kume, nie lochysłowte (nie klnij), módlmy się lepiej do Boga. Ot my modliliśmy się i znowu kopujemy, kopujemy: wtém rydel stuknął, tak właśnie, jakby w żelazo (pewnie, myślę sobie okucie skrzyni): aż tu duch święty z nami! Widzą (djabli), że nie można nas niczém odstraszyć, jak nasłali komarów, ale tak jak t'ma, aż oczy zasypuje; jak zaczęły nas kąsać tak gryzą, że wytrzymać nie można. A mój kum: „gdzie u czarta te komary się wzięły”! Jak to powiedział, jak grzmotnie (piorun), a pieniądze pod nami zabrękle i zadudniały w ziemię. A to wszystko dlatego nie daly się one wykopać, że nie z tym, z kim się śniło, a z innym poszedłem po nie; i jeszcze dlatego, że kum wspomniał imię złego ducha, a tu tylko z Bogiem i modlitwą poczynać należy.

Kiedy skończył stary Sołopij, przyjechaliśmy właśnie pod mogiłę: był to kurhan niebardzo wysoki, który jednak na równinie daleko było widać. Stał tu krzyż, dokoła kwitła na jego pochylnościach różowa szypszyna, błękitne dzwonki i białe polne astry. Usiedliśmy tu z dziadem. Przed nami odkrywał się ztąd daleki widok: łąny, ugory, zielone pola, jarzyny, laski rozrzucone tam i sam, jakby umyślnie posadzone klomby, w różnych kierunkach porozsypywane grusze, a tam dalej goły step pociągnął się i tylko w dali błyszczy na nim jezioro, i nachylają się nad nim białe obłoki. W prawo i w lewo, przed nami i za nami widać wioski, czasem od zachodzącego słońca błysnie gdzieś kopuła cerkwi, albo daleko stoją rzędem uszykowane zielone topole.

Milczenie przerwał Sołopij.

— Widzisz jak tu wesoło! Widzisz jakie lasy, pola, sioła, haj, haj; ot na téj mogile siadywałem ja, kiedym dzieckiem jeszcze pasł jagnięta. Ot tam na téj gruszy dotąd jeszcze widać krzyż, com go wyciął na kurze, lat temu może będzie ze sześćdziesiąt. I mnie już ot, ot nie będzie na tym Bożym świecie, pamięć o mnie zaginie, a on zostanie. Może kiedy jaki podróżny przechodząc usiądzie spocząć, zobaczy krzyż, pomodli się, a Bóg jego modlitwę przyjmie za pokój mojej duszy. Boże miłosierny nie pomnij na grzechy moje! I tu stary westchnął głęboko.

Żeby go rozerwać w tych smutnych myślach, spytałem:

— Któż, didu, usypał tę mogiłę i postawił ten krzyż? A sam roztworzyłem tekę i zacząłem rysować malowniczą postać starego Sołopija siedzącego na mogile.

— Kto? dawno, to dawno! Dziś nikt nie sypie mogiłę, i krzyżów coś niebardzo stawia... Dawno to było. Mówią, że kiedyś w czasie najścia hordy, mieszkańcy naszej wsi stanęli w tej stronie; ale wzięła górę pohana horda: nasi rozsypali się szukając schronienia to po lasach, to po oczeretach. Kozak Deńho uciekając, wpadł z koniem w jamę, w której go nieprzyjaciele zagrzebali żywcem. Po wyjściu pohanej tatarwy, mieszkańcy powrócili do wsi, pochowali zabitych, a nad Deńhą wysypali o tę mogiłę i na mogiłę wystawili krzyż. Powiadają, że potem rozkopali tę mogiłę biorąc z niej piasek do selitranego pieca, i we wsi zaczęli bardzo umierać ludzie, aż przysniło się jednemu człowiekowi, że jeżeli nie wysypią na nowo mogiły, to wszyscy ludzie we wsi poumierają; ale wysypać ją ma nie kto inny, tylko same dzieci. Ot, wysypali mogiłę, postawili na niej krzyż i mór ustał. Takie to rzeczy działy się kiedyś na świecie! — powiedział stary, powstając z ziemi.

Wleźliśmy z Sołopijem na nowo na nasz rydwan i pojechaliśmy nazad do pasieki. Dziad popędzał woły zieloną gałęzią; wiatr odwiewał kurz za nami, niebo złociło się i rumieniło po zachodzie słońca, a z przeciwnej strony wschodził cieniutki srebrny sierp nowiu. Stary go dojrzał, zęgnął się i modlił, a jam się zamyslił głęboko, ukolysany ciszą wieczora. Było cicho, chyba się odzywała kaczką albo bękać na błocie, czasem derkacz siekał swoje wcale niepowabną piosnkę. W dali słychać było płaczliwe tony sopiłki (dudki) parobków pędzących: woły na noclegi do lasu i kołatanie drewnianych dzwonek, ucepionych do szyi bydła, aby się nie zabłąkało w czaharze.

Wieś inny teraz przybrała pozór: ponad stawami unosiła się biała mgła, często podnosiła się ona w górę i przecinała czarną smugę lasu białym pasmem gazy. W powietrzu była jakas szczególna, całą masę krwi orzeźwiająca świeżość; z rozkoszą wdychałeś w siebie ten chłód nocy, zaprawiony balsamem wiosny. Wszystkie zapachy pól i lasów zwały się w jedną przyjemną i zdrową wonność. Czulem jak na ziemię padała rosa, nawet srebrzyła się ona na białej brodzie Sołopija. Dlaczego to wszystko ma powab dla duszy, dlaczego w takie wieczory czujesz jakiś popęd do dumań i mimowolnie stajesz się poetą: chciałbyś wypowiedzieć to co czujesz, tonem czy słowem, i gdyby ci się to udało,

może byłbyś pierwszym wieszczem i wielkim kompozytorem. Ten ton, coby się wyrwał z twój piersi, poruszyłby do samój głębi massy, bo byłby to ton duszy każdego człowieka, odwieczna pieśń tęsknoty za czémś wyższem, nieujętém, niedosięgniętém.

I pasieki była teraz insza. W głębi lasu ciemna, tajemnicza, straszna noc; cienie od wielkich drzew padały na posrebrzaną od księżycowego światła murawę i przejmowały wilgotnym chłodem. Trawa była napojona zimną rosą. Dzwoniły cykady i odzywały się słowiki, jakby i one dzieliły tęsknotę duszy człowieka. Solopij wołał mię wieczerać; zachwalał mleko z bręczaną lemieszką, ale ja podziękowałem mu za to wszystko i poszedłem do katrubi albo, jeżeli chcecie, do indyjskiej ażupy, gdzie już mi posłano na sianie. Ludzie moi nakarmieni, chrapali w niebogłosy, i tą muzyką odstraszały od siebie żaby i komary. Usiadłem pod drzewem, brzęczały nademną komary i szelmosko mię kąsały; mruczały gwiazdy w niezgłębionej toni nieba, skrzeczały gdzieś w błocie żaby, a kiedy jedne ustawały, odpowiadała im druga połowa chóru i znowu następowało tutti con brio, a gdy to nareszcie głuchło, wychodził solo słowik, płakał i śpiewał jak Lipiński, i potem znowu rozpoczynały żaby swoje hałaśliwe allegro.. Koncert szedł bardzo dobrze. Fagocista derkacz był wyhorny, ale znalazła się i tu tłuszcza zazdrosnych: sowy i puszczyki po każdym passażu słowika huczały i świsłały po całym lesie.

Czegoś smutno i tęskno zrobiło się w duszy; na sercu tak było ciężko, jak gdyby kto sto pudów położył na niem. Uczulem że byłem sam: nie pierwszy to raz poznałem jak to uczucie samotnia

Kiedym wyszedł z mego zamyślenia poczułem lzy na rzęsach, lzy egoistyczne, przelane nad sobą samym. Wstałem i poszedłem przed siebie: sen mię nie brał, w sercu było przykro i ciężko, a na zegarku dopiero jedenasta.

Przeleżałem przez płot pasieki, przy przelezie z rozpostartych liści nawiasistego klonu, kilkanaście zimnych kropel rosy spadło mi na czoło. Poszedłem ścieżką idącą pod sklepieniem stuletnich lip, jesionów i gęstój leszczyny; gdzioniegdzie tylko słabe światło księżycy wdzieralo się tutaj i zdawało się, że miejsce to gdzie padało, było pokładem kredy. Stały tu ogromne, czarne, powypalane lipy, leżały wpoprzek drogi kłody, porośłe zielonym pluszem mohu, rosły leszczyna i glóg ogromnemi krzakami: przedzierałem się przez to wszystko, przeskakiwałem kłody i szedłem dalej. Wtém pod dębem zobaczyłem coś białego: zdawało

się, że jakaś wysoka postać oparła się o gałęzie drzewa, i kiwa do mnie głową: wydało mi się zupełnie jakby to była baba w białej namitce. Mimo woli zatrzymałem się, ale potem jednakże poszedłem dalej. Był to tylko ogromny krzak bzu lekarskiego, pokrytego białym, rześnym kwiatem. Usłyszałem niedaleko zład szmer strumienia, płynął on na dnie głębokiego jaru, przez który rzucona była kładka. Zład szła już dobrze udeptana ścieżka; poszedłem nią może sto kroków, i znalazłem się na wzgórzu, u stóp którego rozścielala się wieś, tu i tam hielaly chały, i czerniały wiśniowe sady, rozłożyste grusze i wierzby. Na placyku, pod krzywą wierzbą stała krynica z żurawiem, i tu wzięwszy się za ręce chodziły dziewczęta, śpiewając różne pieśni; ich mocny głos rozchodził się po rosie daleko po wsi. Nie mogły spać w prześliczną noc letnią, poezya i do ich przemówiła duszy, i poczuły w sobie jakąś nieobjaśnioną tęsknotę serca.

Usiadłem tu pod brzozą i niewidziany od nikogo, przysłuchiwałem się cudownym motywom pieśni ukraińskich dziewcząt.

O pieśni, pieśni ukraińskie! Coto za tajemnicza siła, co za dusza zakłęta w waszój treści, że każdy wasz rytm, każdy wasz motyw odbija się w sercu mojem echem boleści i tęsknoty!! Proste są wasze słowa, ale pełne uczucia, pełne ducha, pełne łez gorzkich i głębokiego żalu. Słuchając tych pieśni, mimowolnie pomyślałem sobie: i wy życie i wy czujecie piękno. Prawda, że nie zawsze przemawia dusza wasza, ale nie jest ona niemą; pod grubą korą waszego serca kryją się odwieczne źródła poezyi. i piękna. Na ławeczce pod cieniem nachylonej wierzby poznałem Oxanę, dokoła obstały ją rówiennice, a ona jakby ich naczelnica rozpoczynała i wybierała pieśni. Po każdej toczyła się gwarna rozmowa i lały się serdeczne a dziwne śmiechy. Zdala stała grupa parobków i jęczała sopilka tęsknemi motywami dumek; nie jedna była natchniona miłością do czarnych oczu Oxany.

W dali stał parobek i ani na chwilę nie spuszczał oka z czarnobrewój Oxany, która na niego ani spojrzeć nie raczyła”.

ROZMAITOŚCI.

POCZĄTEK I WZROST PRZEMYSŁU

W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Dwa ustępy z angielskiego: *The Farmer's Magazine* (February 1857).

Gdy wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych zwycięzko się dla nich zakończyła, przedsiębiorczy nowi republikanie chcąc ciągnąć korzyści z niezamieszkałej jeszcze zachodniej części swych posiadłości, przedsięwzięli przeprowadzić system kanalizacyi, któryby ich zbliżył do nieznanego im jeszcze kraju. Washington projektował ułatwienie komunikacyi z zachodem przez kanalizacyą Potomaku; przedsięwzięcie to jednak było zawczesne, bo niedostawało i zdolnych inżynierów i kapitalistów. Skutkiem tego projektu było tylko zbudowanie kilku śluz przy mniejszych i większych spadkach rzeki. W tym samym czasie Pensylwania straciła znaczne summy w daremnych usiłowaniach skanalizowania rzeki Schuykill i połączenia jej z Susquehannah. Jednym słowem roboty przedsięwzięte w celu tego połączenia przez przeciąg pierwszych piętnastu lat dziewiętnastego stulecia były zupełnie bezskuteczne, z wyjątkiem kanału w Middlesex, który poczynając się koło Bostonu w odległości kilkudziesięciu mil, łączy się z Merrimack koło Lowell.

Przy końcu wojny z Anglią w 1812 roku, Zjednoczone Stany nie miały ani dobrych dróg, ani kanałów. Ocean, otwarte zatoki i potężne rzeki, które Ameryka posiada, były jedynymi środkami komunikacyi i transportu; nadto, łatwo mogły być

blokowane przez flotę angielską. Toteż ich handel był niszczoney, i bankructwo, jak anioł niszczyciel, każdą prawie dotknęło familią.

Amerykanie kształcili się w szkole przeciwności; ale jak zawsze przy wolnych instytucyach znajdują się ludzie znakomici, tak i tam ukazał się wskrzesiciel postępu, którego imię ze czcią historya Stanów Zjednoczonych powtarzać będzie. Był to De Witt Clinton, który zalecił budowę kanału Erie łączącego jezioro tegoż nazwiska z New-York. Znalazł on znaczną opozycyą w Stanach z przyczyny wielkości przedsięwzięcia. Według zdania prezydenta Madison nie mogłoby ono być do skutku doprowadzone nawet kosztem wszystkich skarbów, jakie Stany wówczas posiadały. Prowincya New-Yorku miała zaledwo 1,300,000 ludności, nie wahała się wszakże rozpocząć kanał 146½ mil długi; w lat ośm, to jest w r. 1825 został ukończony z kosztem 1,875,000 funt. szterlingów! Dobry skutek jakim to przedsięwzięcie uwieńczone zostało, pobudził do stopniowej kanalizacyi całej okolicy i otworzył źródła bogactwa, których wzrost bajecznym jest prawie. Wkrótce zatem nastąpiły i koleje żelazne, które połączyły główne punkta handlowe. Z końcem 1855 roku Zjednoczone Stany posiadały 23,242 mil (angiel.) kolei żelaznych ze średnim kosztem 7,100 funtów szterlingów na milę. W tym samym czasie w Wielkiej Brytanii i Irlandyi było tylko 8,334 mil, licząc 3,076 mil podwójnych szyn za 6,152 mile, ze średnim kosztem 36,000 f. st. za milę.

W r. 1814 kongres zezwolił na urządzenie pierwszej linii telegraficznej między Washington i Baltimore; po upływie siedmiu lat komitet poczt przedstawił senatowi w r. 1851 raport o dokonanej olbrzymiej linii telegraficznej około 2500 mil długiej, łączącej San Francisco w Kalifornii i Natchez nad Missisipi, i o sieci linii telegraficznych pokrywającej prowincye nad atlantyckie. Koszt urządzenia tych telegrafów wynosi średnio 35 f. szt. na milę. PP. Whitworth i Wallis w swém dziele statystycznym, opartém na urzędowych raportach, podają, iż ogólna długość linii telegraficznych w r. 1852 wynosiła 15,000 mil; od tego czasu jednak ilość ta znacznie powiększoną została. Z tego samego źródła dowiadujemy się, iż najwięcej oddalone punkta połączone telegrafem są: Quebec i Nowy Orlean, odległe na 3,000 mil; gdy znów sieć linii telegraficznych ku zachodowi sięgających do Missouri, łączy przeszło 500 wsi i miast mających stacye. Nowy York i Nowy Orlean połączone

są dwiema liniami telegraficznymi, z których jedna ponad brzegiem morza, druga koło Missisipi biegnie: obie długie około 2000 mil. Telegramy są przesyłane z Nowego Yorku do Nowego Orleanu i otrzymywane odpowiedzi w trzech godzinach, chociaż kilka razy muszą być przepisywane w ciągu przesyłki. Gdy linie łączące Kalifornią z Atlantykiem i z Newfoundland będą ukończone, San Francisco będzie połączone telegrafem z St. John's w Newfoundland, które tylko jest odległe o 5 dni żeglugi parowej od Galway w Irlandyi; tak więc wiadomości z Oceanu Spokojnego do Europy będą mogły być przesłane w dniach sześciu. Gdy podczas wojny w r. 1812, Anglicy blokowali wybrzeża Ameryki, wszelki przystęp od strony morza był wzbroniony. Oprócz innych złąd pochodzących niedogodności, węgiel brunatny z Wirginii nie mógł być transportowany do Filadelfii dla braku dróg i kanałów. Niektórzy fabrykanci potrzebując gwałtownie węgla i słysząc, iż się znajdują pokłady takowego przy źródłach rzeki Schuykil, sprowadzili go pewną ilość ze znacznym kosztem, lecz nie chciał się palić. P. J. P. Wetherell mówił p. Chevalier znakomitemu francuzkiemu uczo-nemu, iż ów mniemanie bezużyteczny antracyt zakopał w wielki dół w polu, dziś pokrytém ulicami miasta. Ktoś znów kupiwszy pewną ilość tego węgla i uznawszy jako rzecz nieużyteczną, zsy-pał na kupę blisko domu mieszkalnego, gdy pewnej nocy zbudzony został blaskiem płomienia i trzeszczeniem towarzyszącem zwykle palenia się węgla: antracyt sam się zapalił. Ten przypadek posłużył do odkrycia właściwego sposobu przygotowywania go. Gdy w Pensylwanii zwrócono uwagę na ten węgiel, dla jego nieużyteczności nazywano go «czarnym kamieniem», gdyż uważano go za niepalny jak kamień. Teraz jest on jednym z głównych przedmiotów przemysłu krajowego i w samej Fi-ladelfii miliony ton corocznie są zużywane. Produkcya żelaza w Pensylwanii jest ogromnem źródłem bogactwa; głównym jej punktem jest Pittsburgh.

W roku 1850 dwadzieścia jedna prowincyj produkowały surowe żelazo, a w 19 z nich wyrabiano żelazo kute. W r. 1850, 377 zakładów wyrabiało żelazo surowe; z tych 180 posiadała Pensylwania, 35 Ohio i 29 Virginia. Żelaza lanego było 1391 zakładów w tymże roku, teraz jednak liczba ich znacznie wzrosła. Postęp handlu węgla w Pensylwanii jest zadziwiający. Zaczyna się on w r. 1812 w Centreville, miejscu ówczesnie bez nazwiska, i tylko na wozach. Handel ten uważany był wtedy

za zupełnie niemożliwy. Imię propagatora tego przedsięwzięcia powinno tu być podane; byłto Grzegorz Svemaker mianujący się pułkownikiem, lecz uważany za oszusta. W kopalni w Leigh zaczęto dobywać węgiel w r. 1820 i sprzedawano zaledwie 265 ton rocznie.

Zresztą wszystkie inne przedsięwzięcia w Ameryce, postąpiły z magiczną szybkością. Dziś tak bogata prowincya Ohio była w r. 1788 dziką indyjską pustynią, w której biały człowiek nie stąpił nogą. W r. 1800 miała już 43,365 ludności. Dziś pokryta jest miastami, wsiami; przetrzęta drogami, kanałami, kolejami żelaznymi, telegrafami; ma uniwersytety, szkoły, kollegia, wysoko poprawne gospodarstwa, a przepyszne paropływy żeglują po jej rzekach.

Dolina Missisipi rozległa 1,300,000 mil kwadratowych (ang.) ogólnie wybornego gruntu, przed laty pięćdziesiątą miała zaledwie kilka tysięcy mieszkańców; dziś ma ich więcej jak 6,000,000; a gdy ta dolina tak choć będzie ludna, jak stosunkowo nieurodzajna prowincya Massachusetts, będzie miała 67,000,000 mieszkańców; gdyby zaś jej ludność na milę kwadratową zrównała się z zaludnieniem Anglii, dolina Missisipi liczyłaby 179,000,000 mieszkańców! W ostatnim peryodzie 23 do 25 lat ludność Stanów Zjednoczonych podwoiła się. W r. 1827 ludność Nowego Yorku wynosiła tylko 170,000, w 1847 wzrosła do 500,000, a niektórzy amerykańscy statystycy opierając się na dotychczasowych stosunkach, twierdzą, iż w r. 1873 przejdzie milion. W r. 1830 Boston miał 44,000 mieszkańców, w 1847 120,000; ludność więc jego wzrosła przeszło trzy razy w peryodzie 17 lat. Wzrost ludności w Chicago nad jeziorem Michigan jest jeszcze więcej zadziwiającym. W r. 1850 jego ludność wynosiła 29,000, w 1856 wzrosła do 104,000.

Bez wątpienia wolne instytucje dużo się przyczyniły w Stanach Zjednoczonych do szybkiego postępu cywilizacji; do ważniejszych policzyć należy zakłady naukowe nie ścienne ani cenzurą, ani jakimkolwiek wzbronieniem. Z ilości książek możemy mieć obraz umysłowego rozwoju; te są tak liczne i tak tanie, że każdy jest w możności posiadania małej biblioteki, jaką przed stu laty zaledwie możny był w stanie posiadać w Europie. W całym kraju pełno gazet. W nowo-angielskich prowincjach było do 1850 r. 424 dzienników; w środkowych Stanach 876; w południowych 716; w zachodnich 784. Następująca tabella wskaże ruch prasy.

| | Liczba. | Cyркуlacja. | Liczba egzemplarzy rocznie. |
|-----------------------------------|---------|-------------|--------------------------------|
| Dziennych pism | 350 | 750,000 | 235,000,000. |
| Trzy razy w tygodniu wychodzących | 150 | 75,000 | 11,700,000. |
| Półtygodniowych | 125 | 80,000 | 8,320,000. |
| Tygodniowych | 2,000 | 2,875,000 | 149,500,000. |
| Półmiesięcznych | 50 | 300,000 | 7,200,000. |
| Miesięcznych | 100 | 900,000 | 10,800,000. |
| Kwartalnych | 25 | 29,000 | 80,000. |
| | 2,800 | 5,000,000 | 422,600,000. |

Jakkolwiek Stany Zjednoczone przeważnie są krajem rękodzielniczym, głównym źródłem ich bogactwa jest rolnictwo. W r. 1850 całkowita powierzchnia gruntów ornych będących pod uprawą wynosiła 113,032,614 akrów, z których 51,700,000 zajęta była pod uprawę zbóż ozimych. Lecz od r. 1850 wielka przestrzeń gruntów zajęta została pod uprawę i to więcej odnosi się do zachodu, do jego podniesionej i podnoszącej się ciągle produkcji, tak, że od powyższej daty produkcya pszenicy wzrosła o 50 procent, innych zaś zbóż od 20 do 25 procent. Porównyując dane w r. 1840 i 1850 znajdujemy, iż całkowita ilość wszystkich gatunków zbóż wynosiła w pierwszym razie 615,525,302, w drugim zaś 867,453,967 bushel (około 9 garncy pol.).

Niektórzy z mężów stanu Ameryki północnej przeciwni wolnemu handlowi, obstawali za systemem protekcyjnym, opierając się na tej zasadzie, że przemysł jeszcze w kolebce będący, nie może równać się z przemysłem stojącym na najwyższym szczeblu rozwinięcia i siły, i twierdzą, że bez systemu protekcyjnego Stany Zjednoczone musiałby pozostać na czas nieograniczony czysto krajem rolniczym. Sławny Clay w swej mowie mianej dnia 29 kwietnia 1844 r. w Raleigh, w północnej Karolinie, najlepiej wyłożył stosunki handlowe Ameryki. Za zasadę swego systemu przyjął, iż «w czasie pokoju cło wchodowe wystarczy na potrzeby ekonomicznego rządu i że wtedy musiałaby być różnica w taryfie dla wspierania domowych rękodzieł». Opiera on swe twierdzenie na tej zasadzie, że: «każdy kraj nawet w pierwszych chwilach swego istnienia, powinien wystarczyć swym potrzebom miejscowemi środkami».

P. Clay przepowiedział, że „prowincye południowe połączą rękodzielnie z uprawą bawełny; przyjdzie dzień i ten nie jest dalekim, w którym taki podział pracy nastąpić musi, uwa-

zając możność obszernego użycia wody za motor i inne dogodności dla fabryk, a głównie dobór surowych materiałów, jakie u siebie kraje południowe Stanów Zjednoczonych posiadają. Ja sądzę, że przyjdzie czas, w którym strefa uprawy bawełny, będzie zarazem krajem najbogatszym w fabryki". Ostatecznie p. Clay tak się wyraża: «Zasada wolnego handlu jest ustąpieniem dla obcych państw bez wzajemnej dla siebie korzyści, tem bardziej w obec cła, obostrzeń i zakazów na produkta amerykańskie. Ustąpienia dla obcych państw są ustąpieniami dla naszych współzawodników, zazdroszczących nam naszego wzrostu i dążących do przytłumienia naszego postępu. Protekcyja domowego przemysłu jest ustąpieniem dla naszych współobywateli. Jestto ustąpienie ogółu dla ogółu, ponieważ każda część kraju posiada środki do zaprowadzenia fabryk i każda na takowe». Te wyobrażenia rozprzestrzeniają się coraz więcej w Ameryce, chociaż od r. 1844, w którym p. Clay miał tę mowę, Anglia otworzyła swe porty dla zboża amerykańskiego. Potrzeba czasu na wykorzenienie tych przesądów, lecz żaden rozsądny człowiek nie wątpi, że ostatecznie prawda górę wzięć musi nad błędem.

Powszechnie jest wiadomo, że południowe prowincye Stanów Zjednoczonych w przemysłowych zakładach i plantacyach używają niewolników, których cyfrę przypuszczalnie podają na 3,600,000. Stosownie do danych z r. 1856, białych mieszkańców było tam 6,222,418, z których właściciele niewolników i ich familie wynoszą zaledwie 1,980,894 czyli 32%; i ci trzymają wszystkie urodzajne grunta, których posiadanie daje im wyłącznie monopol bogactwa i wpływu. Większa część białych nie mających niewolników są w bardzo biednym i nizecznym stanie. W swém dziele: „O domowych wyrobach w południowych i zachodnich krajach” p. Torner powiada, że ziemia trzymana przez tych co nie mają niewolników, jest tak nieurodzajna, że jej uprawa zaledwie daje mizerne wyżywienie; ziemia urodzajniejsza jest w posiadaniu właścicieli niewolników i dlatego nigdy nie przejdzie do tych, którzy ich nie mają. Nadto dodaje, że «przyjście do cokolwiek zamożniejszego stanu jest tak trudne, że wielu widząc swe usiłowania daremnymi, pozostają w zwyczajach klasy biednej».

Uprawa bawełny przeważnie zajmując południowe prowincye, jest głównem źródłem ich bogactwa; jej rozwój jest

znakomity. W r. 1789 wartość bawełny wyprodukowanej w Stanach Zjednoczonych była tylko na 48,285 dolarów. W 1800 zbiór wynosił 40,000 bel, wartości około 2,500,000 dol. Zbiór 1856 r. oszacowany na 3,300,000 bel, wartości 148,000,000 dolarów. W historyi rolnictwa całego świata taki wzrost produkty nigdy nie miał miejsca. Po starannem zbadaniu amerykańscy statystycy oznaczają: iż w południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych jest jeszcze gruntu nietkniętego pługiem tyle, iż rocznie możnaby tam wyprodukować cztery do pięciu milionów bel bawełny. Kapitał użyty w uprawie bawełny, licząc ziemię, pracę, narzędzia i t. d. oceniają na 800,000,000 dol., a w r. 1850 powierzchnia ziemi zajętej na ten cel, wynosiła przeszło 5,000,000 akrów. Te jednak cyfry nie mogą dać dostatecznego wyobrażenia całego rolniczego bogactwa, reprezentowanego przez pracę niewolników. Z danych tegoż roku pokazuje się, iż w Stanach południowych było 74,031 plantacyj bawełny, 2,681 cukrowej trzciny, 551 ryżu, 15,745 tytniu i 8,327 konopi. Na rok kończący się z dniem 30 czerwca 1856 wartość produktów wywiezionych, których uprawa opiera się na pracy niewolników, była:

| | |
|-------------------------|-------------------------|
| Wywóz bawełny | za 126,000,000 dolarów. |
| „ tytniu | „ 14,717,468 „ |
| „ ryżu | „ 1,717,953 „ |
| „ zapasów dla marynarki | „ 2,049,077 „ |

Z handlowego podziału bawełny jako surowego materiału widzimy, iż Wielka Brytania bierze więcej aniżeli połowę. Z danych statystycznych 1855 r. starannie zebranych, wywóz bawełny rozdziela się w następującym stosunku:

| | |
|---------------------------------|----------|
| | Bale. |
| Francya bierze | 500,000. |
| Północna Europa | 250,000. |
| Inne kraje | 225,000. |
| Zużytej w Stanach Zjednoczonych | 700,000. |

1,675,000.

Wielka Brytania 1,800,000.

Razem 3,475,000.

P. Burn z Manchester w swjej statystyce handlu bawełny, podaje, iż ilość surowej bawełny wprowadzonej do Anglii w r. 1781 wynosiła tylko 14,603 bel: zaś w 1856 r. doszła do ogromnej ilości 1,800,000 bel: przekonywający dowód ważności tego handlu. P. A. Lawrence będąc ambasadorem

amerykańskim w Londynie, posłał panu Rives ambassadorowi amerykańskiemu w Paryżu notę, w której opierając się na danych pp. Jackson i John A. Lowell, przyjętych w taryfie konwencji zawartej w Nowym Yorku w r. 1832 wykazuje, że konsumcyja bawełny do r. 1816 w Stanach Zjednoczonych była tylko 11,000,000 funtów, gdy ilość bawełny zużytej w Anglii w r. 1816 wynosiła 88,000,000 funtów. P. Lawrence przychodzi nakoniec do roku 1845, w którym przesłał swe uwagi panu Rives. W tym więc roku powiada, iż konsumcyja bawełny w Anglii była 560,000,000 funtów, gdy w Stanach Zjednoczonych wyniosła 176,000,000: czem dowodzi, że wzrost nie był tak szybki w Anglii jak w Ameryce; gdyż w Stanach Zjednoczonych od 1816 do 1845 r. z 11,000,000 funtów podniosła się konsumcyja do 176,000,000, czyli w ciągu lat 29 o szesnaście razy. Wzrost w Wielkiej Brytanii w tym samym przeciągu czasu był z 88,000,000 na 560,000,000 funtów czyli mniej jak siedm razy. Ztąd wnosi, że bardzo prawdopodobnie w dalszym ciągu Stany Zjednoczone przewyższą Wielką Brytanią w fabrykacyi bawełny; gdyż w r. 1856 stosunek użycia bawełny w Ameryce i Anglii był 700,000 bel do 1,800,000, tak, że konsumcyja Wielkiej Brytanii nie dochodzi nawet potrójnej konsumcyi Stanów Zjednoczonych.

Gdy Anglia zużywa połowę całego zbioru bawełny Stanów południowych, interes obu krajów jest ściśle połączony, gdyż pomysłność przemysłu jednego i rolnictwa drugiego zależą od siebie. To jest najsilniejszą gwarancyą przeciw wojnie; i niektórzy z amerykańskich publicystów utrzymują, że w razie nieporozumień południowych Stanów z północnemi, Anglia byłaby zmuszona trzymać za pierwszymi. To zdanie oparte jest na zbadaniu źródeł, z których Wielka Brytania zaspakajala swe potrzeby bawełny od 1840 do 1855 r. Opierając się na tym ostatnim roku, jako kończącym owe porównania, znajdujemy, iż Wielka Brytania otrzymała bawełny:

| | |
|-------------------------------|---------------------|
| Z Stanów Zjednoczonych | 564,773,440 funtów. |
| Z Indyj angielskich | 102,833,024 „ |
| Z Brazylii | 20,240,526 „ |
| Z Egiptu | 26,291,216 „ |

Aby pokazać jak Anglia zależną jest od Stanów Zjednoczonych w tym ważnym przedmiocie przemysłowym, weźmy dane z r. 1851, pokazujące, ile dostarczono z obcych krajów i angielskich possessyj:

| | | | |
|----------------------------------|-------------|-------|---------------------|
| Z Stanów Zjednoczonych | 596,638,962 | funt. | |
| Z Brazylii | 19,339,104 | „ | |
| Z Turcyi, Syryi, Egiptu | 15,766,325 | „ | |
| Z innych krajów | 2,141,617 | „ | |
| | | | 633,886,008. |
| Z Wschodnich Indyj | 122,626,976 | | |
| Z angielskich zachodnich | | | |
| Indyj i angielsk. Gwinei | 446,529 | | |
| Z innych angielskich posiadłości | 420,336 | | |
| | | | <u>126,493,741.</u> |

Ilość wprowadzonej bawelny 757,379,749.

To dostatecznie wykazuje, o ile Anglia jest zależną od obcych krajów w najważniejszej części swego przemysłu. To prawda, że Anglia może nieskończenie powiększyć produkcją bawelny w angielskich Indiach, lecz kompania indyjska i rząd angielski nie zwrócili na ten przedmiot uwagi. W dawnych czasach Indye dostarczały swych wyrobów Rzymowi, gdy w owym przepychu wykwintne tkaniny ozdabiały piękności na dworze Augusta Cezara. Najrzadsze wyroby jakich Bengal mógł dostarczyć, najulubieńsze od ich książąt i najpożądańsze dla obcych nachodźców były musliny Dacca, nazywane «płynącą wodą», lub «nocną rosą», gdyż zmoczone zaledwie dawały się spostrzedz. Indye obfitowały w bawelnę, gdy terytorjum dzisiejsze Stanów Zjednoczonych Ameryki było dziką pustynią; Indye powrócą do dawnego stanu, gdy drogi żelazne połączą kraje wewnętrzne z wybrzeżami.

Kwestya niewolników jest dziś jedną z najważniejszych w Ameryce. Ten okropny systemat, jak wiadomo był wprowadzony przez Anglików, i chociaż jego zniesienie często głosowano przy roztrząsaniu prawodawstwa kolonij, doradcy królewscy zawsze przeszkadzali zatwierdzeniu. Dnia 10 grudnia 1770 r. król Grzegorz III w formie rozkazu na radzie państwa wydał polecenie gubernatorowi Wirginii, iżby «pod karą najwyższej nielaski» nie dozwolił na wykonanie żadnego prawa zabraniającego lub utrudniającego w jakibądź sposób wprowadzanie niewolników. W roku 1772 Wirginia daleko silniej protestowała, a Dr. Franklin przez pisma publiczne odwoływał się do sympatyi ogółu, aby wesprzeć Wirginię. Ciągłe zwracano uwagę angielskich ministrów na ten przedmiot. «Lecz, powiada historyk Bancroft, rząd ówczesny był mniej liberalny, aniżeli trybunały, i gdy sądy co do kwestyi murzynów

z Wirginii uznawały za zasadę, że skoro który stanie na gruncie angielskim, staje się wolnym; król angielski w ten sposób stając na drodze ludzkości, robił się głównym obrońcą handlu niewolnikami do swych kolonij. Gdziekolwiek bądź w koloniach okazywano chęć ograniczenia tej frymarki, jego służba miała ciągle polecenie utrzymania jej bez przeszkody. Wstydził się jednak król odrzucić solenne prośby Wirginii sam przez siebie i unikał dania odpowiedzi». Niech sprawiedliwość podaje tę prawdę do wiadomości w sądeniu tych, którym Anglia winna tę puściznę.

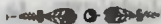
Po zaprowadzeniu konstytucyi w Stanach Zjednoczonych, Grzegorz Washington napisał do Jana F. Mercer co następuje: «Nigdy nie sądzę, chybabym szczególnemi okolicznościami do tego był zmuszony, abym mógł kupić niewolnika, gdyż to jest jedném z najgorętszych mych życzeń, widzieć jakiś plan przedsięwzięty dla zniesienia niewolnictwa przez prawo». Pisząc do John Sinclair'a, dlaczego mniej ceni południowe kraje, wyraża się: «ponieważ w Pensylwanii są prawa celem stopniowego zniesienia niewolnictwa, których nie posiada dotąd ani Maryland ani Wirginia; lecz jestto rzeczą pewną, że je posiadać będą i peryod ten nie jest dalekim». W swęj ostatniej woli, Washington nadał wolność wszystkim swoim niewolnikom.

Jakkolwiek północna część Ameryki jest o wiele ludniejsza i bogatsza aniżeli południowa, ta ostatnia zawsze utrzymywała polityczną wyższość. Tu są dowody: od założenia federalnego rządu: z 16 prezydentów, 11 było posiadaczy niewolników, a z pozostałych 3 było wybranych głównie przez przeczność mieszkańców południa z obowiązkiem podtrzymywania miejscowych instytucyj. Wpływ południowych krajów był widoczny i w wyborach na inne ważne urzędy w kraju; otóż do 1852 roku posiadacze niewolników wybrali 17 z 28 sędziów Najwyższej instancyi, 14 z 19 gubernatorów, 61 z 77 prezesów senatu, 21 z 33 mowców izby reprezentantów i 80 z 131 ministrów zagranicznych. Te dane pokazują, że południowe kraje były czynniejsze albo gorliwsze, a może więcej mające taktu albo wytrwałości, aniżeli północne.

Jaki będzie koniec kwestyi niewolników w Ameryce, trudno przewidzieć. Niektórzy radzili, aby kupić ich wolność od obecnych posiadaczy; inni, aby prawem zrobić wolnemi wszystkich urodzonych po pewnym peryodzie czasu, dozwalając w ten sposób wyrzucić obecnym niewolnikom. P. Carey, ame-

rykański ekonomista ogłasza ciekawą doktrynę, iż złe samo się uleczy. «Ze wzrostem produkcji, mówi on, niewolnicy otrzymają wydział na ich własny użytek w stosunku postępu ich pracy; ten stosunek będzie ciągle wzrastał, dopóki nie ujrzymy wznoszącej się nowej klasy ludzi czarnych wolnych, uprawiających swój własny grunt, na swój użytek, kupiony od dawnych swych panów, którzy w cenie gruntu znajdą zrównoważenie ceny robotnika. Ostatecznie, i to nie długo, te kraje będą posiadane i zamieszkałe przez wolnych obywateli, różniących się kolorem ciała, lecz równych w obliczu prawa i równych w zdolnościach swym współobywatelom północy».

W możliwość rozdzielenia Zjednoczonych Stanów nie możemy wchodzić. Mogłaby być północna, południowa i zachodnia federacja, lecz trudno temu wierzyć; gdy cały ląd stały jest niezamieszkały, pozostanie niepodzielny. Lecz nie możemy się zapuszczać w takie domniemania, które zaprowadziłyby nas do wniosków niepewnych i problematycznych.



KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Skępe, d. 5 maja 1858 r.

Udzielam wiadomość, która zapewne niem mało zainteresuje naszych archeologów, a mianowicie zbieraczy numizmatów.

Chcę mówić o wykopalisku świeżo odkrytym w powiecie plockim, które dzięki uprzejmości p. Karola Łempickiego, dziedzica dóbr Kucie, w całości do rąk się moich dostało. Wprawdzie szczegóły odkrycia nie są mi wiadome: w jakim mianowicie miejscu, przez kogo i przy jakich towarzyszących okolicznościach ów skarb został odkryty.

Tyle wiem tylko, że wykopalisko o którym mowa, znalezione zostało w bliskości Wisły i niedaleko Wyszogroda, a więc w pięciu lub sześciu milach od Plocka i w tejże samej odległości od Trzebnia. Kładę tu przycisk na ostatnie nazwisko, z powodu *wiadomości o starych pieniądzach w r. 1824 w czerwcu, w Trzebuniu wykopanych, a opisanych przez J. Lelewela*: albowiem nowe wykopalisko, o którym mam mówić, służyć może niejako za komentarz dawniejszemu trzebuńskiemu.

Wykopalisko, które nazwę *wyszogrodzkiem*, składa się:

1) Z 264 sztuk całkowitych monet srebrnych starożytnych, grubszych i blaszkowatych, pochodzących głównie z wieku X i XI, a niektórych może wcześniejszych.

2) Z mnóstwa monet ułamkowych, nawpół i na ćwierć popręczynanych, oraz na drobniejsze części pokruszonych, do tej samej epoki co i całkowite należących, i ważących 13 lutów wagi krajowej.

3) Z naszyjnika srebrnego, składającego się z bąbek dętych srebrnych do nawlekania, większych i mniejszych, sztuk 31, niektórych wielkości włoskiego orzecha, oraz z różnych ozdób do tego-naszyjnika należących, misternej roboty, a któryto naszyjnik wraz z częściami pokruszonymi, których jest drugie tyle, waży lutów 26.

Wykopalisko wyszogrodzkie może być współczesne trzebuńskiemu, a przynajmniej niewiele od niego późniejsze. Ponieważ mamy to przekonanie, że pomienione wykopalisko w całości do rąk się naszych dostało, to jest że co do monet nic z niego ani ujęto, ani dorzucono: możemy więc w przybliżeniu oznaczyć epokę, w której zostało schowane do ziemi.

Tą epoką oznaczamy albo ostatnie lata wieku XI, albo początkowe wieku XII, a to z następnych przyczyn:

1) Pomimo tak znacznego zbioru, ani pomiędzy monetami całemi, ani pomiędzy ułamkowemi, nie ma żadnego brakteatu jednostronnego, które dopiero od r. 1100 upowszechnić się zaczęły.

2) Nie ma żadnego pieniążka, któryby wyraźnie pochodził z wieku XII. Najpóźniejsza moneta jest Henryka IV cesarza, którego panowanie za rok 1104 nie przechodzi.

3) Tak w grubszych, jako i w blaszkowatych pieniążkach, srebro w ogóle jest czyste; a chociaż nie braliśmy próby, nie ma przecież na oko takiej różnicy, jaka pomiędzy dobrą a spodloną monetą spostrzegać się daje: wiadomo bowiem, że dopiero w XII i XIII stuleciu, moneta zwłaszcza niemiecka, do wielkiego przyszła upodlenia.

4) Ponieważ wykopalisko nasze głównie z niemieckich i anglo-saksońskich składa się monet, nie widzimy na nich ani całych figur siedzących lub stojących, ani zwierząt, ptaków, herbów, które dopiero w wieku XII ukazywać się zaczęły. Robimy tu jednak wyjątek co do czeskich, które o wiele wcześniej używaniem podobnych godel, inne kraje wyprzedziły.

5) Wprawdzie na niektórych niemieckich monetach, w miejscu kościolów ze spiczastymi dachami ukazują się kopułki; ale idąc za powagą Lelewela, widzimy, że już od r. 1000 to urozmaicenie w monetach ukazywać się, a od 1070 upowszechniać zaczęło.

Z tych zatem powodów uważamy, że nasze wykopalisko za wiek XI nie przechodzi; a jeżeli koniecznie mamy je odnieść do jakiej katastrofy krajowej, to najpodobniej przyznać ją możemy czasom wojen pomiędzy Zbigniewem i Bolesławem Krzywoustym prowadzonych, kiedy ten ostatni chcąc raz zakończyć spór ze Zbigniewem, zebrawszy posiłki ruskie i węgierskie w r. 1108 wkroczył do Mazowsza. Wprawdzie do tej daty żadnej ścisłości nie przywiązujemy, uważamy tylko, że to jest najdalszy termin, jaki schowaniu do ziemi naszego skarbu naznaczyć można.

Wypada nam teraz coś powiedzieć o samem wykopalisku.

Naprzód co się tyczy monet, te w ogóle są zużyte i mocno zniszczone; w całym tak licznym, bo dwiescie sześćdziesiąt sztuk przenoszącym zbiorze, zaledwie wybrać można trzydzieści w nieskazitelnej całości dochowanych: reszta, albo jest źle odbita, albo zupełnie zatarta, albo więcej lub mniej uszkodzona, a mianowicie legendy otokowe, z których albo nic, albo pojedyncze litery bez związku między sobą, zaledwie ocalały. Pomiędzy monetami ułamkami, stosunkowo więcej jest dobrze dochowanych; widać nie tyle po ludzkich rękach krążyły: ale zastanawia jedna okoliczność, że w tak licznych zbiorze tych ułamków, nie znaleźliśmy dwóch, któreby w jedną całość spojść się dały. Widać, że każda cząstka oddzielną robiła pielgrzymkę, nim się do naszego skarbu dostała. P. Stronczyński w swem dziele „Pieniądze Piastów” str. 217 uważa, że „pojedyncze sztuki tych pieniędzy nie odpowiadały potrzebie miejscowej, a więc umiano je do tej potrzeby zastosować, przez łamanie na części, i to miało stanowić zdawkową monetę”. My nie podzielamy w całości tego zdania. Daleko podobniej, że do ówczesowej Polski, do której zbieg okoliczności dla państwa Bolesławów nader pomyślny, zwabił cudzoziemskie pieniądze, też moneta liczona była na wagę metalu, bez względu na wartość sztuk pojedynczych. Inaczej nie potrafimy sobie wytłumaczyć ani tej różnorodności typów, ani tej drobniawowości ułamków.

Nasz zbiór posiada prawie tyle odmiennych stępli, ile jest monet. Jedne są wielkości dwuzłotówki rozklepanej, inne mniejsze od pięciogro-

szówki, z całym szeregiem wielkości pośrednich. Jedne są dosyć grube, drugie cienkie blaszkowate; jedne jak gdyby dziś wyszły z pod stępla, inne tak wytarte, że tylko sama blaszka została; te na połówki, ćwierci, inne na $\frac{1}{8}$ i $\frac{1}{16}$ cząstkę pokruszone: (a nie stało się to przez złe zachowanie skarbu, bo każda cząstka do oddzielnej monety, nawet do innego stępla należy).

Przy takiej więc gmatwaninie, któż byłby w stanie wartość pojedynczej sztuce lub ulamkowi naznaczyć. Ale ponieważ rachuba szła na grzywny, na wagę, nie patrzono na stępel, na wielkość, każdy odłamek był równie dobry: chodziło tylko o czystość metalu, i to było zasadą wartości zamiennej.

Smiało więc możemy utrzymywać, że najpierwszą i jedyną rachubą pieniężną, w początkowych dziejach naszego narodu, była rachuba na grzywny. Dyplomata z XIII i XIV wieku, znajome nam z kodeksów, we wszystkich pieniężnych układach wspominają markę, to jest grzywnę, i rachuba ta w prawodawstwie naszym aż do najpóźniejszych czasów dotrwała.

Jeszcze się tu jedna następcza uwaga. W zbiorze naszym są monety rozlicznej narodowości: są niektóre, o ile się zdaje, z czasu Karolowinów, są niemieckich cesarzów, duków bawarskich i saskich, biskupów z nad brzegów Elby i Renu, a nawet, o ile rozpoznać się dają, z północnej Francyi. Są angielskie, szwedzkie, czeskie i węgierskie, jest para drobnych ulamków, które zdają się mieć napis kuficzny. Czy Polska z temi wszystkimi krajami miała handlowe stosunki? Na to odpowiadamy przecząco: zdaje się nam, że tylko mogła je mieć z ościennemi, a monety, jako wyrażające wartość metalu, za ogólny pośrednik zamienny uznanego, posuwając się od wschodu i zachodu, długo z rąk do rąk przechodziły, nim się nareszcie na ziemi Piastów znalazły.

Powtóre, co się tyczy naszyjnika, który jest bardzo misterny i delikatnej roboty, uważamy go za wyrób włoski lub może konstantynopoliński. Na północy za Alpami, rzemiosła w tym czasie jeszcze zostawały w kolebce: stęple monet z X i XI wieku najlepszym tu są dowodem, jak sztuka złotnicza i rzeźbiarska na niskim znajdowała się stopniu ukształcenia. Różnica pomiędzy monetami naszego zbioru a owym naszyjnikiem jest taka, jaka pomiędzy pracą poczynającego rzemieślnika a dziełem wykończonego artysty. Uważamy ten naszyjnik za ozdobę niewieścią, bo pochodzi z czasn, poprzedzającego jeszcze formy rycerskiej szewaleryi. Zresztą na łańcuch rycerski byłaby to ozdoba za delikatna i za krucha, a więc łatwemu uszkodzeniu podlegająca. Dodać winniśmy, że z tego samego wykopaliska widzieliśmy jedną perłą z czerwonego kamienia, zdaje się chalcedonu, wielkości półnego grochu, na nitkę nawleczoną; przy naszym naszyjniku także jedna agrafka ma uwiązaną nitkę lianą, która blisko VIII wieków w ziemi w całości dotrwała. Te więc nitki, te perelki, wymownym są dowodem, że to był skarb jakiejś kobiety, córki Mazowsza, której ręką do ziemi został zachowany.

Biorąc pod ocenienie nasze wykopalisko, przedewszystkiém mieliśmy na uwadze, czy w tak licznym całym i ulamkowych monet zbiorze, nie znajdują się jakie polskie pieniądze, i czy nasze wiadomości co do monet Piastowskich z XI wieku nie powiększą się choćby o jeden numizmat,

któryby trud całego poszukiwania wynagrodził? Ale z żalem wyznać musimy, że pod tym względem nasze nadzieje zawiedzione zostały. Oprócz monet, które Lelewel i Stronczyński za pierwotne polskie uważają, a których uznanie jeszcze przez krytykę ostatecznie zatwierdzone nie zostało, innych nie dostrzegamy, i choć niechętnie przyjąć musimy, przez niektórych podawaną zasadę, że monet polskich jeszcze podówczas nie było, a stosunki zamienne posługiwane były cudzoziemskimi.

Wspomnieliśmy wyżej, że wykopalisko nasze służyć może za kompartment trzebuńskiemu, w tem głównie, że bardzo wiele monet opisanych w wykopalisku pomienionem przez Lelewela, znajduje się i w naszym wykopalisku. Ztąd naturalny wniosek, że obadwa te skarby z blizkiej względem siebie pochodzą epoki, to jest z tej, w której właśnie owe monety największą w kraju naszym miały cyrkulacyą. Lelewel swojemu naznacza czas wojen Masława w Mazowszu, przypadających najpóźniej na rok 1047: myśmy naszemu czas późniejszy o lat 60 naznaczyli. Ale ani do daty Lelewela, ani do naszej, bezwarunkowej ścisłości przywiązać nie można. Być więc bardzo może, że obadwa te skarby w odległości pięciu mil od siebie zachowane, jednocześnie, pod wpływem jednej i téj samej katastrofy ukryte zostały. Nasze wykopalisko tém jeszcze jest ważne, że młodszy kładzie dowód na domysły Lelewela, że zamieszane z XIII i XIV wieku monety do wykopaliska trzebuńskiego, były tylko naleciałością, żadnego z wykopaliskiem związku nie mającą, którą jako plewy od czystego ziarna należało odrzucić.

Przystąpmy teraz do rozgatunkowania monet.

W wykopalisku naszym, jak się nadmienilo, jest całkowitych sztuk 264 i mnóstwo ulamkowych.

Monety całkowite do następnych oznaczeń odnieść się dadzą.

| | |
|--|----------------------------|
| 1. Zupełnie zatartych jest sztuk | 10. |
| 2. W znacznej części zatartych, z których atoli domyslić się można ich pochodzenia niemieckiego, sztuk | 17. |
| 3. Niemieckich, to jest: | |
| a) cesarzów, trzech Ottonów i Adelaidy, Konrada Salickiego, Henryków II, III i IV, sztuk | 98. |
| b) duków saskich Bernardów, Wigmana i bawarskich Henryków | 9. |
| c) prałatów Piligrima i Hermana | 7. |
| d) Miast: Spiry, Magdeburga, Kolonii, Andernach | 28. |
| e) Enigmatycznych, które Lelewel przyznaje czasom Henryka II cesarza | 10. |
| 4. Anglo-saskich | 14. |
| 5. Szwedzki | 1. |
| 6. Czeskich | 2. |
| 7. Polskich, a przynajmniej za polskie dotąd uważanych | 32. |
| | razem sztuk 228. |
| nieodgadnionych pozostaje sztuk | 36. |
| z których: | |
| do typu niemieckiego należy sztuk | 29. |
| do typu północnej Francyi sztuka | 1. |

Pozostają nareszcie 6 monet, których typu nie umiemy oznaczyć; godłami mające najwięcej podobieństwa do skandynawskich, stęplem i grafiką przypominają niemieckie, a jedna węgierskie.

Co do monet ułamkowych tenże sam zachodzi stosunek, że przeważająca znacznie w całym zbiorze jest liczba niemieckich; następnie idą anglo-saskie, czeskie, jest kilka monet węgierskich, trochę niby-polskich, a nawet dwa drobne ulamki z napisami kuliecznemi.

Pomocą w poszukiwaniach naszych co do tego zbioru, były następujące dzieła podręczne:

Pieniądze Piastów przez Stronczyńskiego.

Wiadomość o starych pieniądzech wykopanych w Trzebuniu, i znamienite dzieło Lelewela:

Numismatique du moyen-Âge, considérée sous le rapport du type. Paris. 1835. 3 parties.

Oceniając teraz te różnorodne monety ze stanowiska narodowości, widzimy, że wykopalisko nasze, przedewszystkiém znakomitą ma ważność dla numizmatyki niemieckiej. Pomiędzy monetami całkowitemi i ułamkowymi, jest przynajmniej ze 20 typów zupełnie nieznanych Lelewelowi, a być może, że pierwszy raz dopiero z ukrycia na jaw dobytých. Dzieło tak gruntowne jak *Numizmatyka średnich wieków*, nie mogłoby pominąć takich typów, jakie w naszym zbiorze spotykać się dają, gdyby te Lelewel miał być przed oczyma lub znalazł o nich wzmiankę w pracach swych poprzedników. Nie pochlebiamy sobie, czy je kiedy udeterminować potrafimy, ale staraniem naszym będzie, aby przynajmniej w dokładnym przerysowaniu je do wiadomości publicznej.

Nie opisujemy tu monet niemieckich naszego zbioru, bo wszystkie te, które potrafiliśmy udeterminować, są dokładnie i szczegółowo w pismach Lelewela opisane; zachodzą w nich wprawdzie niekiedy pewne drobne różnice stępla, mianowicie co do grafiki czyli napisu, ale tożsamość typu żadnej nie ulega wątpliwości.

Winnišmy tu oddzielnie wspomnieć o monecie magdeburskiej z wyobrażeniem św. Maurycego, opisanej przez Lelewela w *Numis. du moyen-Âge cz. III str. 176*, której wizerunek dany jest w atlasie do dzieła należącym na pl. XVIII n. 46. Tej monety posiadamy jedną sztukę całą i dwie ułamkowe. Chociaż Lelewel w témże samém dziele powiada na str. 138:

„Skarb tak liczny i tak rozmaity trzebuński, nie dał mi ani jednej sztuki bitej w Magdeburgu, nadto, nie widziałem ich w żadnym zbiorze polskim: wnoszę więc, że są zupełnie cbcie dla naszego kraju, pomimo tak zbliżone sąsiedztwo i tak ścisłe stosunki Polski z krajem Swabów i metropolią magdeburską”.

Wykopalisko nasze jest odpowiedzią na te słowa Lelewela i najwymowniejszym dowodem, że moneta magdeburaska w kraju naszym kursowała.

Drugą monetą, o której wspomnieć chcemy, jest moneta goslar, bita dla cesarza Henryka, pod wezwaniem św. Szymona i Judy. Lelewel uważa ją jako niewątpliwie Henryka IV (1060—1104) *Numis. III, 170*. Jeżeli Lelewel się nie myli, i ta moneta nie jest wcześniejsza, więc i wykopalisko nasze musi się posunąć poza rok 1050, to jest za termin, jaki w przy-

bliżeniu nazaczył szanowny badacz wykopalisku trzebuńskiemu. Egzemplarz nasz jest cokolwiek zniszczony. Na stronie głównej popiersie cesarskie z koroną spiczastą doskonale zachowane, z napisu otokowego została tylko litera H(enricus). Na stronie odwrotnej powinny być główki dwóch świętych: z tych jedna została w całości, druga zupełnie zatarta. Z napisu otokowego widać tylko litery S-S. S.J.M.. (Sti. Simeon). Reszta napisu nie znajduje się, z powodu złego odbicia.

Z monet anglo-saskich posiadamy też same, jakie mieściło w sobie wykopalisko trzebuńskie. Najwięcej całych i ułamkowych jest Eitelreda, dalej dwóch Kanutów, Haralda, Sitrika a między ułankowemi Edmunda, a może i Edwarda.

W zbiorze naszym jest jedna moneta, którą uważamy za szwedzką, albowiem swoim typem nie się nie różni od monet opisanych u Lelewela (*Numism. du moyen-âge II 101. atlas pl. XIII n. 39*). Napis atoli na naszej jest odmienny. Lelewel w przytoczonym wyżej miejscu, mając tego typu dwie monety przed oczyma, podał nam napisy obudwóch, i uważa, że ta moneta jest Olawa, który ją bił w Sigtuu (1000—1020), na wzór monet Ethelreda.

Z monet węgierskich posiadamy dwie ułamkowe: Stefana króla (997—1038) z napisem: *Stephanus rex*; obiedwie są jednego typu, ale różnego stępla. Moneta ta znajdowała się w wykopalisku trzebuńskiem (*Numis. III 59 pl. XXIII n. 1*).

Co się tyczy monet czeskich, posiadamy dwie całkowite jednego stępla i kilkanaście ułamkowych. W ogóło czeskie monety w naszym zbiorze, siedm odmiennych typów przedstawiają. Niektóre z nich opisane są przez Lelewela przy wykopalisku trzebuńskiem, w dodatku do nr. 9 Dziennika Warszawskiego z r. 1826 str. 278 i następn., oraz na tablicy VII pod n. 2, 10, 11 i 12 zamieszczone. O najciekawszej tak się wyraża w dziele swém numizmatycznym (Cz. III str. 54):

„Najciekawszém odkryciem, jakie mogę wskazać, jest moneta Brzetysława, przedstawiająca z jednej strony księcia na koniu, trzymającego poziomo nad ramieniem włócznię z proporcami czy też chorągiew, z drugiej strony św. Wacława cu face, do połowy figury, z ręką prawą wzniesioną do błogosławieństwa, a w lewej trzymającego książkę ewangelii, z głową nimbusem otoczoną”. Dalej powiada Lelewel, że wielkość i waga tej monety, w żaden sposób nie pozwala jej przypisywać Brzetysławowi II (1095—1106), gdyż różnice pod tym względem są nazbyt wyraźne, i że musi być uznana za monetę Brzetysława I (1037—1061).

W naszym zbiorze posiadamy tę monetę, ale w odlamku więcej niż połowę zawierającym, mającym napis po jednej stronie Bracizl, (Brzetysław), po drugiej stronie „zlaus Scs. (s. Vencezlaus). Stępel naszej monety jest czysty i wiele poprawniejszy od rysunku danego przez Lelewela (plan. XXII n. 10); tegoż samego typu, tylko gorszego stępla posiadamy trzy inne, ale drobne ułamki.

Pozostaje nam jeszcze kilka słów powiedzieć o polskich, czyli o tych, które za polskie są dotąd uważane.

1. Posiadamy w tym naszym zbiorze jeden egzemplarz całkowity i pięć ułamków różnego stępla monety, przypisywanej przez Lelewela Bo-

leślawowi Chrobremu. Ale ani z tój całej, ani z ułamkowych, niepodobna z powodu uszkodzenia złożyć całkowitego otokowego napisu. Wideczne są tylko litery „slav: ale czy to jest Bracislaw czy Boleslaw, tego z pewnością oznaczyć nie możemy. To jest tylko niewątpliwe, że ta moneta do któregoś słowiańskiego kraju należy i że nie jest późniejsza nad wiek XI.

2. Jest w naszym zbiorze 21 sztuk monet miseczkowych całych, a drugie tyle pokruszonych, które Lelewel uważa za monety bawarskie, wybijane w Ratysbonie, a Stronczyński za monety Ryksy i Kazimierza I. Wszystkie mają krzyżyk rycerski na jednej stronie, a na odwrotnej u sztuk 13 krzyż patryarchalny, na 8 niemiecki z kulkami lub kółkami pomiędzy ramionami krzyża. W napisie otokowym, tak z jednej, jak drugiej strony, są tylko cztery litery, a mianowicie R. prawie na każdym egzemplarzu, następnie E odwrócone przegradzające się często w C. a niekiedy w D; dalej A mające nieraz formę J, nareszcie X przybierające niekiedy formę H. Z tego napisu Stronczyński czyta RJXA, Lelewel RXAC (Regina Civitas), a możnaby CARX (Casimirus Rex). Zdaje się jednak, że domysł Lelewela ma więcej podstawy niż Stronczyńskiego.

3. Nareszcie posiadamy 10 sztuk całych i jedną ułamkową monety, którą p. Wolański (w Spisie monet Piastowskich st. 11) uważa za Świętopietrze, wyobrażającą z jednej strony głowę św. Jana, z drugiej świecznik pięcioramienny. Z jednej strony ma być napis S. Joan. Ba., z drugiej Chatimers albo Chatimerus, to jest Kazimierz. Jakkolwiek z naszego wykopaliska monety, znacznie co do napisów są uszkodzone; przecież z liter pozostałych z porównania z sobą 11 sztuk tój monety, inne nam się układają wyrazy, całkiem do przypuszczeń p. Wolańskiego niepodobne, i dlatego żadnej z tych sztuk 11 za Świętopietrza polskio uważać nie możemy.

Na tén dziś zawieszamy nasze badania co do wykopaliska pod Wyszogrodem. Być może, iż po głębszém rozpatrzeniu się w szczegółach niniejszego odkrycia dotyczących i porównaniu naszych monet z innymi tego rodzaju zbiorami, będziemy w możności coś więcej stanowczego powiedzieć w tym względzie.

G. Z.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Z przykrością dowiedziałem się, że w sprawie, którą obecnie Senat rozstrzygał o zapis Konstantego Swidzińskiego, wymieniono i moje nazwisko i to nie w sposób, w jakim sądziłem, że kiedykolwiek wymienione być może. Był chlubnym dla mnie zaszczytem ten głos pozagrobowy, którym Swidziński przez testament i dla mnie wpływ jakiś zapewniał w urzędzeniu przyszłych losów swojej biblioteki. Był zapewne nad moje zasługi ten publiczny dowód pamięci, ta nagroda za prace literackie, ale niechby mi to żadnych nawet praw nie nadawało, odtąd chlubne wezwanie to należeć było powinno i należało do najdroższych wspomnień mojego ży-

cia. Co było jednak nad zasługi, nie było nad chęci. Byłem więc najszerszym przyjacielem fundacyi, fundacyi Konstantego Świdzińskiego, nie czyjejkolwiek, ani margrabiego Wielopolskiego, ani braci Świdzińskich.

Tymczasem na zasadzie pewnych przywidzeń i fałszywych wniosków, naznaczają mi w tej sprawie całkiem urojone stanowisko. Z boleścią serca tłumaczyć się muszę publicznie.

Bieg chronologiczny wypadków był następujący:

W grudniu 1855 roku umiera Świdziński. Dnia 30 i 31 stycznia następnego roku drukuje Dziennik Warszawski z korespondencyi żytomierskiej pana Kwiatkowskiego, dokumenta odnoszące się do jego fundacyi, tojest naprzód testament pierwszej redakcyi, dalej list Świdzińskiego do margrabiego Wielopolskiego, bez daty, nazwany przez korespondenta kodycylllem, w którym zapisodawca rozwinął głównie podstawy przyszłej swojej fundacyi; oraz inny także, ale już przez samego Świdzińskiego nazwany kodycyll, w którym zbiory swoje naukowe powierzył opiece 42ch uczonych.

Jednocześnie p. Józef Ign. Kraszewski przesyła od siebie w kopii te wszystkie dokumenta Gazecie Warszawskiej, która drukuje naprzód ów list Konstantego Świdzińskiego za kodycyll, jako najważniejszy w całej tej sprawie, z serdecznym dopiskiem pana J. I. Kraszewskiego, dnia 1go lutego w felietonie, a inne dwa dokumenta nieco później. Gazeta Codzienna przedrukowała to wszystko z Dziennika lub z Gazety Warszawskiej. Wszystkie zatem pisma współzawodniczyły z sobą w udzieleniu krajowi pożądanej nowiny, i nie tutaj nie ma dziwnego: zapis wychodził z form zwyczajnego zapisu, miał rozleglejsze znaczenie dla całej ojczyzny.

Jedna tylko Biblioteka Warszawska milczała, i jako pismo nie codzienne, nie wydrukowała w swoim czasie dokumentów, a później nie mogła występować z samą nowiną, o której już wszyscy wiedzieli. Czula jednak, że i jej tutaj głos należy. Dlatego na posiedzeniu swoim d. 3 lipca 1856 roku, zapisała do protokołu, żeby mnie wezwać do napisania artykułu rozumowanego o Świdzińskim i jego fundacyi; przedruk dokumentów chciała poprzedzić rzeczą poważniejszą, naukową. Artykuł ten napisany był we wrześniu 1856. Ale nim był przepisany i przejrzany, nim Biblioteka wśród nawału artykułów mogła dla niego znaleźć stosowne miejsce, upłynęło kilka miesięcy i ów artykuł zaczął się drukować dopiero w kwietniu 1857, i wyszedł kolejno w trzech numerach Biblioteki: majowym, czerwcowym i sierpniowym. Przypadkowyto był zupełnie zbieg okoliczności, że wyszedł tylko co przed wyrokiem sądu appellacyjnego, który nastąpił w czerwcu 1857.

I różnice małe jakie się pokazały pomiędzy tekstem oryginałów a druków, pochodzą z tego, że wszyscy cośmy drukowali te dokumenta, właśnieśmy oryginałów nie mieli pod ręką, ale błędne, jak się okazuje, a nadesłane nam przez korespondentów kopie. List Świdzińskiego do Wielopolskiego, w Bibliotece przedrukowany jest co do słowa z Gazety Warszawskiej, z korespondencyi pana Kraszewskiego (Gazeta Warszawska 1856 roku Nr. 30). Wszakże i sam testament wszyscy wydrukowali błędnie i dopiero dobrze wydany jest w Bibliotece, gdyż miałem wtedy wierzytelną kopię oryginału.

Do artykułu mającego się drukować w Bibliotece, pan Nowakowski, bibliotekarz w Sulgostowie, przy liście swoim z dnia 1 września 1856 roku, który mam u siebie jako dowód, nadesłał mi z dobrej woli swojej:

1. Katalogi książek własnoręczne Świdzińskiego.
2. Katalog rękopismów na kartkach.
3. Kodycyll Świdzińskiego, który mi na nic nie był potrzebny, ale pan Nowakowski chciał wtedy, by go wydrukowano w 42 egzemplarzach i rozesłano pomiędzy uczonych, z imienia i nazwiska tam wymienionych.
4. Projekt do testamentu, podany Świdzińskiemu przez Zygmunta Wielopolskiego, w Kijowie.
5. Kartkę o stanie rzeczywistym dóbr sulgostowskich, która stanowiła część integralną listu p. Nowakowskiego.

Listu margrabię do Świdzińskiego z 20 listopada 1855 r., nie miał p. Nowakowski, nie wiedział nawet gdzie był oryginał, ale o kopiję starał się wtedy: „Mocno żałuję, pisał do mnie, że nie mam u siebie kopii listu, raczej odpowiedzi pana Wielopolskiego, na przesłany mu przez ś. p. Świdzińskiego testament, ale dzisiaj nawet piszę do księdza Godlewskiego, prosząc o przysłanie kopii tego listu”.

Papiery te wszystkie odesłałem panu Nowakowskiemu w końcu września 1856 roku, gdy następowało odpieczętowanie i spisywanie inwentarza: katalogi były jemu albowiem potrzebne, a inne papiery mnie na nic się nie zdały.

W ostatnich dniach listopada i w pierwszych grudnia 1856 roku, wezwany przez margrabię Wielopolskiego, bawiłem dni kilka w Sulgostowie.

Teraz margrabia w odpowiedzi swęj o Świdzińskim, pozwolił sobie szerokiego pola domysłom. Mówi, że w czasie pobytu w Sulgostowie korzystał z jego nieobecności, abym „bibliotekarza Edwarda Nowakowskiego, który, jako człowiek młody, z prawami naszymi nie obeznany, łatwy był do uwiedzenia przeciw obowiązkom jego,” do wydania mi wzmiankowanych dokumentów skłonił.

Ten wymysł odrzucam z siebie ze słusznym oburzeniem, jakie, śmiem przyznać się do tego publicznie, prawości charakteru mojego przystoi: w całym życiu mojem nie poczuwam się ani do jednej intrygi, ani do jednego mniej szlachetnego kroku.

Otóż nie potrzebowałem uwodzić p. Nowakowskiego w grudniu 1856 roku, kiedy te same papiery miał od niego jeszcze we wrześniu tegoż roku i kiedy mu je w miesiąc później sam odesłał. Nie żądałem kopii listu margrabię z dnia 20 listopada, kiedy nie wiedział że jest list, i kiedy pan Nowakowski sam dla siebie aż na Ukrainę o tę kopiją miał pisać.

Zresztą pan Nowakowski, ów „człowiek młody, z prawami nieobeznany,” jest prawie rówieśnikiem moim co do wieku; jeżeli tedy on młody, toć i ja młody, a z prawami tak dobrze jam nieobeznany jak i on. Narzeczcie prawom tutaj nikt z nas ubliżyć nie chciał i nie ubliżył.

Kiedy się w kilka miesięcy później drukował artykuł mój w Bibliotece o fundacyi Świdzińskiego, prosiłem p. Nowakowskiego w ostatnim

już momencie, o kopią projektu Zygmunta Wielopolskiego i o kopią listu margrabięgo z dnia 20 listopada (tę już miał pan Nowakowski od p. Edwarda Rulikowskiego w odpisie), bom je chciał w tekście artykułu drukować, i wtedyto się dopiero dowiedział, że p. Nowakowski, pomiędzy notaty własnoręczne i różne papiery, które mi powierzył do naukowego użytku (jeszcze s. p. Konstanty Świdziński polecił panu Nowakowskiemu, żeby przedemną żadnych skarbów sulgostowskich nie miał), włożył na mojem wyjeździe z Sulgostowa, tak nazwany przez Świdzińskiego kodycyll i owe żądane przezemnie dwie kopie.

Ale zapóźno się to odkryło; gdy zaś z drukiem nie mogłem zwłóczyć, ztąd tylko dawniejszą notatkę p. Nowakowskiego, o stanie dóbr sulgostowskich drukowałem (Biblioteka Warsz. czerwiec 1857 str. 745), a o treści obudwóch kopii podałem to, com wiedział z pamięci (tamże str. 726). Gdybym wiedział że są u mnie, przyznam się, że drukowałbym bez skrupułu jedno i drugie w Bibliotece co do słowa. Na to wszystko com tu powiedział, są żyjące świadki.

Ala jakież byłby mój cel uwodzenia pana Nowakowskiego? Papiery te obojętne były dla sprawy. Projekt Zygmunta Wielopolskiego był bez podpisu i tylko p. Nowakowski mnie objaśnił, że to ręka syna margrabięgo; kopia pana Rulikowskiego była zupełnie prywatna. Zresztą, choćby to i ważne rzeczy, były, cóż za cel? Oto p. margrabia powiada, że chciałem papiery te oddać Świdzińskim. Toć w takim razie byłbym je wydał dobrowolnie, a nie wydałem ich późniój nawet na pozwy braci Świdzińskich, tylko w ręce p. Nowakowskiego. On mi je powierzył, jemu oddałem te papiery, jak była moja powinność, i rad byłem nawet niezmiernie temu, żem się zbył niemiłego wcale depozytu.

Margrabia składa mój do pana Nowakowskiego już w listopadzie 1857 roku pisany, który nie wiem jakim sposobem w rękach jego się znajdują, i w nim upatruje dowód, żem sprzyjał Świdzińskim. Otóż właśnie aż do chwili, kiedy miał niby działać w porozumieniu z niemi, i kiedy miał uwodzić pana Nowakowskiego dla artykułu mego, już wtedy napisanego, a podług Wielopolskich, dopiero napisać się mającego (w grudniu 1856 roku), żadnego ze Świdzińskich na oko nawet nie widziałem. Jednego tylko pana Ludwika poznałem za bytności mojej w Sulgostowie. Serdeczności być nie mogło i nie było nigdy, choć w panu Świdzińskim mogłem conię człowieka. I w ogóle od tego czasu widziałem się z panem Ludwikiem dwa, trzy razy najwięcej. Z drugim zaś bratem, poznałem się już dobrze po wyroku appellacyjnym.

Co się zaś tyczy biletu mego, składanego w sądzie na dowód, rzecz była taka. Kiedy pan Ludwik Świdziński upomniał się u mnie o wydanie tych papierów, groził nawet pozwami w tym celu (a że były u mnie, o tem nie odemnie wiedział), stanowczo mu powiedziałem, że je oddam samemu tylko p. Nowakowskiemu, któremu chciałem dać tem samem dowód szczerości mego postępowania, o czem zresztą pan Nowakowski dobrze był przekonany, bo muie znał nie od roku i wiedział, żem kochał fundacyą Konstantego Świdzińskiego. Wtedy p. Ludwik zapewnił mnie, że p. Nowakowski sam muie upoważni do wydania jemu papierów.

Otóż napisałem do p. Nowakowskiego *otwarty* bilet na jego ręce, ten, który margrabia pokłada za dowód mojego porozumiewania się poprzedniego ze Świdzińskimi. Czcza, grzeczna fraza i koniec.

W cytowanym jednak ustępie i tak nie ma dowodu porozumiewania się: „Jeżeli te papiery pomogą co do sprawy, doskonale, napisz pan i t. d.” to się znaczy, jeżeli pomogą co do sprawy nie Świdzińskich, ale fundacyi. Fundacya nie zaś Świdzińscy była u mnie w głowie.

Chciało mi się kuratorstwa, mówi pan margrabia. Toć prawa moje, jeżeli jakie były gwarantował testament; w testamencie było nas dwóch; w projekcie Świdzińskich prawa te rozdzielały się na 9 osób.

Nareszcie i bracia Świdzińscy mówią co innego. W obronie swój rzucają albowiem podejrzenie na margrabię Wielopolskiego, że wiedział gdzie są te papiery, i że dał je p. Nowakowskiemu dla ukrycia ich u mnie. Wielopolscy zaś twierdzą, że Świdzińscy byli w porozumieniu ze mną, że wiedzieli gdzie są papiery, że umyślnie tylko pozywali margrabię, żeby na niego oburzyć opinią i rzucić podejrzenie, że papiery ukrywa. Otóż wypada z tego, że z Wielopolskimi byłem przeciw Świdzińskim, a ze Świdzińskimi przeciw Wielopolskim. Ale ma pan margrabia tutaj dowód, jeżeli zechce, przychylności mojej ku Świdzińskim: nie gniewam się na ich podejrzenie—bo nie boli.

Piszę dalej margrabia, że zabrawszy owe papiery z Sulgostowa, a sporządziwszy z nich odpisy rozmaitych rękopismów, zacząłem z nich ciągnąć korzyści jako redaktor Kroniki, ogłaszając je w swém piśmie. Jużci nie drukowałem owych dokumentów, bo polecenie zbiorów sulgostowskich czterdziestu dwom uczonym wszyscy już drukowali, a projekt Zygmunta Wielopolskiego i list margrabięgo z dnia 20 listopada, dotąd nie są drukowane. Tutaj mowa jest niewyraźnie o czem innem, o rzeczy postronnej zupełnie, a osłoniętej umyślnie dlatego, żeby niby wykazać owe skutki wszechmocne mego uwodzenia.

Rzecz idzie tutaj o mały artykuł Jędrzeja Podbereskiego, drukowany w Nr. 253 i następnym zeszłorocznej Kroniki, o sprawie Możarowskich z kapitułą wileńską. Pan Nowakowski dał mi to do druku; drukowałem i nie robiłem z tego tajemnicy, że oryginał jest w Sulgostowie (patrz Nr. 253 Kroniki r. z.). Później się dowiedziałem, że rękopism ów sam autor, jeszcze żyjący i ztąd mający do artykułu wszelkie prawo własności, drukiem poprzednio ogłosił.

Korzyści z tego Kronika żadnych nie miała, bo Kronika za artykuły w niej umieszczone płaci; niczego nie żąda zadarmo, a oszczędność tak mała, jaką sobie zrobiła drukowaniem rzeczy, która jej bezpłatnie przyszła, teraz dopiero płaci się gorzko, kiedy jej tutaj jakąś korzyść wyrzucają.

Mówi obrona Wielopolskich, że jednocześnie umieszczałem „owe pisma w Bibliotece Warszawskiej”—jakie? kiedy? W sierpniowym numerze jest tylko testament (w kopii urzędowej margrabięgo Wielopolskiego) rzecz znana, obadwa dokumenta, które dalej nazywaliśmy wszyscy za korespondentem kodycyllami, przypisek Kraszewskiego do jego artykułu w Gazecie Warszawskiej o zapisie Świdzińskiego, oraz zeznanie margra-

biego w trybunale radomskim i list margrabiego do mnie z daty 29 maja 1856 r. Jeżeli p. Nowakowski nakłaniał do wydania mi tych dokumentów dla druku, to wcale niepotrzebnie, bo trzy dokumenta z owych co w Bibliotece drukowane, przysłał mi sam pan Wielopolski, a inne zaś są przedrukami rzeczy znanych.

P. margrabia chcąc przekonać, że Świdzińscy wiedzieli gdzie są papiery, mówi, że to widać było z mego artykułu w Bibliotece: „widać było że autor artykułu pisma te miał w ręku”. Jeżeli to widać było, to i pan margrabia wiedział gdzie są papiery, mógł ich odemnie zażądać jeszcze w czerwcu r. z., a byłbym mu je oddał natychmiast.

W końcu dodać że jeszcze muszę, że bez żadnych uwodzeń z mojej strony, znalazł się w ostatnich czasach i trzeci dokument oryginalny w moich rękach: oto ów list margrabiego z d. 20 listopada 1855 do Świdzińskiego. List ten, którego niegdyś miałem tylko jedynie kopią, przysłał mi brat rodzony Edwarda, p. Wacław Rulikowski z Horodnicy, w piśmie swém z dnia 5 marca 1858, które dopiero 17 marca odebrałem. Jak p. Nowakowski tak i pan Rulikowski wierzyli widać z tego, w szczerze moje przywiązanie do instytucyi, kiedy mi się powierzali. Dokument ów na pierwsze zawezwanie listowne obrońcy Wielopolskich, złożyłem mu w ręce i mam kwit na to, dnia 17 kwietnia.

W całej tej nieszczęśliwej sprawie o zapis ś. p. Konstantego Świdzińskiego, postępowanie moje zmierzało jedynie dla dobra fundacyi. Nie-trafności mojej dużo zarzucać może, jeżeli kto zechce, ale nie dobrej wierz. Nie chodziło mi o ludzi, ale o rzecz.

Tak samo z największą ochotą poświęcałbym małą swoją indywidualność dla sprawy, gdyby tego było potrzeba. Panu margrabiemu to oczywiście się nie zdaje. Cóżby mnie osobiście mogło zrobić przyjacielem Świdzińskich? Wszakże w ich projekcie byłem jednym z dziewięciu opiekunów zakładu, a w testamentie Świdzińskiego jednym z dwóch. Po wyroku appellacyjnym sam drukowałem w Kronice artykuł, w którym cieszyłem się z orzeczenia sądu, i z tego że testament utrzymano, bom upatrywał zawsze w panu Wielopolskim większe rękojmie i obowiązek moralny, którego bracia Świdzińscy nie mieli.

Wtenczas pisałem: „Wyrok tak wypadł, jakeśmy przewidywali, jak tego wymagała pamięć Świdzińskiego i cześć publiczna dla niego. Doń rzece pojmujemy to zresztą, że tylko w rękach margrabiego zapis może się stać rzeczywistością, nie w innych. Imię znane w kraju, więcej jest odpowiedzialne; majątek ordynacki więcej daje rękojmi dla nas i więcej środków dla margrabiego. Wreszcie, co tutaj rzecz najważniejsza, wyrok utrzymał zasługę ś. p. Konstantego; jego to uznał dobroczyńcą oświaty i założycielem zakładu, nie zaś braci, którzy spadek po nim organizować chcieli. Ś. p. Konstanty był przed wyrokiem i został po wyroku chlubą narodową”. (Kronika z r. 1857 Nr. 174).

Dlatego wypieram się z ogniem wszelkich złośliwych na karb mój tłumaczeń, bom silnie przekonany, że w tej całej sprawie nikt z bezstronnych, zaenych ludzi, nie znajdzie nic, za coby na mnie rzucił kamieniem. Jeżeli p. Wielopolski utrzyma zakład w myśl założyciela, ja będę pierwszy,

co pomimo jego oskarżeń publicznych, zapomniawszy o tem co było, przyznam, że tylko spełnił swoją powinność.

Dziś pilno mi było tylko odeprzeć zarzut, że była w czémkolwiek zła wiara moja. Zawsze dosyć mam odwagi mówić głośno, bo sumienie niczego mi nie wyrzuca.

Sądziłem, że pan margrabia, urzędowy przed sądem wielbiciel cnót i zasług ś. p. Konstantego Świdzińskiego, uszanuje chociaż charakter człowieka, któremu nie dla żadnych względów światowych, ale jedynie dla zasługi literackiej, dla poczeiwiej pracy naukowej, nieznanemu osobiście, jego zmarły przyjaciel tak wiele zaufał.

Dnia 10 maja 1858 roku.

Julian Bartoszewicz.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1858.

80. *Historya wymowy w Polsce.* Napisał Karol Mecherzyński. Tom II. W Krakowie 1858 r. W drukarni „Czasu.” Nakładem autora. W 8ce. Str. XI i 659. Rsr. 3.

81. *Kościół Św. Katarzyny w Krakowie i Katarzyny w Polsce.* Obrazek przez Walerego Wielogłowskiego, przeznaczony na fundusz odbudowania kościoła. Kraków, nakładem XX. Augustyanów. Czcionkami „Czasu.” 1858. (Z ryciną). W 18ce. Str. 110. Kop. 30.

82. *Najnowsze listy chemiczne J. Liebiga,* przetłumaczył Antoni Rose. Poznań, nakładem i drukiem Ludwika Merzbacha. 1858. W 8ce. str. 122.

83. *Poczet świętych i błogosławionych patronów polskich.* Nakładem wydawnictwa dzieł katolickich w Krakowie. W Drukarni Józefa Czecha. W 18ce. Kart 62 nieiliczbowanych; ze stalorytami. (autor Walery Wielogłowski).

84. *Poezye Mikołaja Sępa Starzyńskiego i Tobiasza Wiszniowskiego współczesnych Janowi Kochanowskiemu.* Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. W Krakowie. Nakład wydawnictwa Biblioteki Polskiej. Czcionkami Drukarni „Czasu.” 1858. W 8ce. Str. 69. (Biblioteka Polska).

85. *Przydatek do wiadomości o Krakowie.* Krótka wzmianka o łaźniach w Krakowie i przywilój na nie króla Michała. Podane przez Jana Radwańskiego Dra filozofii. (Osobne odbicie

z „Dodatku do Czasu” na miesiąc marzec). Kraków. Czcionkami drukarni Czasu. 1858. W 8ce. Str. 16.

86. Przysłowia i mowy potoczne ludu Polskiego w Szlązku, zebrał Józef Lompa. (Godło):

Cudze chwalić,
Swego nie znać,
Rami nie wlecie
Co posiadacie.

St. Jachowicz.

W Bochni. Nakładem i drukiem Wawrzyńca Pizsa. 1858. W 12ce. Str. 36.

87. Roczniki do dziejów Podtatrza i Śpiża z lat 1680—1748 spisane przez XX. Jana i Stanisława Owsińskich, proboszczów Jazowska. Wydał Józef Jerzmanowski. (Osobne odbicie z „Dodatku do Czasu” na miesiąc styczeń.) Kraków. Czcionkami drukarni „Czasu.” 1858 r.

88. Ustawy prawa Ziemskiego Polskiego dla pamięci lepszej krótko i porządknie z Statutów i Konstytucyi zebrane, z przydatkiem o obronie koronnój, i o sprawie i powinności urzędników wojennych Jego M. pana Jana Tarnowskiego niekiedy Kasztelana Krakowskiego etc., temi czasy rycerskiemu stanowi bardzo potrzebne. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Kraków. Nakładem wydawnictwa Biblioteki Polskiej. 1858 r. Czcionkami „Czasu.” w 8ce str. 180.

89. Wyścigi konne w Warszawie. Obrazek dramatyczny w 2ch częściach napisany wierszem przez Konstantego Gaszyńskiego. (Osobne odbicie z „Dodatku do Czasu” na miesiąc styczeń.) Kraków. Czcionkami drukarni „Czasu.” 1858 r. w 8ce.

90. Zapis Konstantego Świdzińskiego. Zeszyt II. Odpowiedź Ludwika i Tytusa braci Świdzińskich, na mowę Alexandra hrabi Wielopolskiego margrabiego Myszkowskiego, miana w Sądzie Appelacyjnym d. 7 (19) czerwca 1857 roku w sprawie: o testament Konstantego Świdzińskiego. Warszawa 1858. W drukarni Rządowej przy Komissyi Rządowej Sprawiedliwości. W 8ce str. 31.

91. Zdanie syna koronnego o pięciu rzeczach Rzplitej Polskiej należących: 1. Sąsiedztwo tureckie z Polską jakie? 2. Skarb bogaty na Rzplitą, jako zebrać? 3. Pospolite ruszenie hojne jako uczynić? 4. Wyprawa na wojnę jakaby być mogła, póki się skarb Rzplitej nie ubogaci? 5. Liga z państwami chrześcijańskimi przeciw Turkowi, jako nam potrzebna? Ich Mościom panom braci swój, panom Polakom. Litwie, ku uważeniu podane przez ks. Piotra Grabowskiego proboszcza Parnawskiego, Roku Pańskiego 1595 d. 23 Septemb. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Kraków. Nakładem wydawnictwa Biblioteki Polskiej. 1858 r. w 8ce str 109.

DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Najwięcej zajmującym wypadkiem, równie miasto jak i kraj cały, była sprawa o zapis Konstantego Świdzińskiego, odsądzona 14 maja w Ogólnem Zebraniu warszawskich departamentów Senatu, między margrabią Wielopolskim a sukcesorami Konstantego Świdzińskiego. Wyrok ostateczny Senatu zatwierdził wyrok Sądu Appellacyjnego ze zmianą jednak motywów i kassacją kosztów, utrzymując rozporządzenia testamentowe ś. p. Świdzińskiego. Na dni kilka przed pomienioną sprawą, sukcesorowie wydali broszurę p. n. „Zapis Konstantego Świdzińskiego”. Zeszyt II: „Odpowiedź Ludwika i Tytusa braci Świdzińskich, na mowę Alexandra hr. Wielopolskiego margrabięgo Myszkowskiego, mianą w sądzie appellacyjnym dnia 7/19 czerwca 1857 r. w sprawie o testament Konstantego Świdzińskiego.”

— Otrzymaliśmy świeżo wydany zeszyt: „Pamiętnika wileńskiej archeologicznej kommissyi, wydawanego pod redakcją rzeczywistych członków M. Malinowskiego i A. Kirkora. Obejmuje oprócz sprawozdań z posiedzeń dorocznych rozprawy: Mikołaja Malinowskiego o poszukiwaniach archeologicznych w cesarstwie rosyjskiem, po francuzku; i Adama Kirkora o „Światowicie”, będącym ozdobą zbiorów Towarzystwa Naukowego krakowskiego. Kończy ten zeszyt lista członków pomienionej kommissyi. Oprócz dawniejszych czytamy z Warszawy i Krakowa: K. Wł. Wójcickiego, J. Łepkowskiego, Karola Beyera, W. A. Maciejowskiego, A. Z. Helcla, Dr. Józefa Majera, Ambrożego Grabowskiego, Wincentego Pola, Józefa Kremera, Karola Kremera i Juliana Bartoszewicza.

— Z listu Teofila Lenartowicza z Rzymu pisanego do K. Wł. W. wyczytujemy, że stan jego zdrowia coraz więcej jest zatrważający. „Zdrowie moje wciąż gorzej; zupełnie straciłem głos, wrzody otwierają mi się w gardle, z domu jak nie wychodzę tak nie wychodzę; ale cóż robić? znać, że jestem niepotrzebny, ba! i nigdy potrzebny nie byłem. W maju pojedę do Galicji do wód szczawnickich, może to niejaką ulgę sprawi. Pismo powiada, że dni nasze mijają jako cienie i jako łodzie napelnione jabłkami: to wyrażenie przypomina mi nasze statki na Wiśle napelnione jabłkami.

Lecz nie pamiętam już jako je zowię;
Coś mi po głowie kręci się nazwisko,
Czy nie *dubasy*, albo tego blisko.
A chłopci na nich z pochyloną głową
Siedzą, jak tylko chłop słowiański siada,

Co całym sobą zawzdy się pokłada,
 W jakiejś rodzinnej zażyłości z światem,
 Z powietrzem, z ziemią, ze zwierzom wszelakiem.
 Więc i z drzewami i z zieleń i z kwiatem,
 I z gadem w cieniu siedzącym i z ptakiem,
 Z duchami także i z ludźmi potrosze.
 Tacy siadają tam na tych dubusach,
 W czapczykach z wełny i w skórzanych pasach,
 W których chowają zarobione grosze.
 Siadają, fajki kurzący niedbale,
 Drzemiący: inni na wislane fale
 Poglądający po całych godzinach,
 Jakby tam było niebo w tych głębinach.
 Tak ich pamiętam od warszawskiej strony!
 Nawet popiołu ognisko wylale,
 Niedopalone wici, prochy białe,
 Powróż na brzeźnym palu okręcony.
 I tak zazdrościć każdemu, kto może
 Kupować jabłka na wislanych statkach,
 Dzieciom najbardziej biegnącym przy matkach,
 Jak ja biegałem w dzieciństwie, mój Boże!
 Zazdrościć bowiem, że mi już nie błysnie
 Zorza nad Wisłą szeroko rozlana,
 Ni się nademną schyla polskie wiśnie,
 Ni gawiedz jabłek pachnących rumiana;
 Ani mi *człowiek* (na to wielkie imię
 Czyż tylko jeden kmięć sobie zasłużył?)
 Z kapoty swojej garść orzechów wyjmie,
 Żeby też dzieciak coś na świecie użył,
 Łakoci... równo z pierzchliwą wiewiórką.
 Hej! ptaku! ptaku! oddaj złote piórko:
 Przepadło, zniknął mój ptaszek w błękiecie!
 I niedokończyć mi o mojej Wiśle,
 O tej kochanej: cóżbo ja nie myślę...
 Com nie namyślał się przez całe życie?

Ot widzisz, improwizacya, ale z piórem w rękę, a bez pióra
 ani wąż: nie obfita w głębokie prawdy, chociaż dla serca mego
 głęboka jest prawda, bo ja chłop jestem, do końca życia pro-
 stak i nie więcej, a ci panowie chcą, żebym im Ossę dźwigał
 na Pelion i z Jowiszem za bary chodził. Czy to skutkiem roz-
 drażnienia nerwowego, czy z jakiej innej przyczyny, ale nigdy
 jak teraz nie czułem więcej miłości dla najdrobniejszej rzeczy
 w kraju; czasem mi to sprawia wielką radość, a czasem niewy-
 powiedzianą boleść; gdybym mógł pracować, pokończyłbym wiele
 pozaczynanych robót, ale do niczego wziąć się nie mogę: jak
 tylko o coś poważniejszem się zamyślę, zaraz krew uderza
 na piersi i myślę ledwie mi głowa nie pęka, a co chwila krew
 wypływam. Już taki biedny jestem, że Boże się zmiłuj: jakoż

i zmiłuje się—ja mam nadzieję. W ostatnich czasach zacząłem się uczyć jednego ze wschodnich języków i szło mi to z wielką łatwością; jeżeli więc przyjdę do zdrowia a popracuję, to mogę się przysłużyć literaturze przekładem najpiękniejszej rzeczy (?), jaką znamy w literaturze powszechniej, ale potrzeba mi przyjsć do sił. Coto, mój drogi, nie mieć rodziny, żyć jak zakonnik, a jednak są pociechy w tém życiu, którychbym za wszystkie rozkosze nie zamieniał: nie stan żaden extatyczny, ale pewne dzieciństwo serca, jakaś pacholeca miłość i rzewność. Doprawdy, że dusza mimowolnie w jakiś kwiat się zamienia”.

— Ważnego dzieła Edwarda Kotłubaja: „Galerya nieświeżska portretów Radziwiłłowskich, opisana historycznie, z drzeworytami Michała Starkmana” otrzymaliśmy zeszyt IV i V. Te obejmują wizerunki i życiorysy Radziwiłłów: Jerzego III z gałęzi ordynatów ołyckich, książąt na Nieświeżu i Ołyce; Stanisława II przezwanego pobożnym, Mikołaja XI Krzysztofa, Alberta IV Stanisława przezwanego stróżem praw. Z gałęzi ordynatów kleckich: Alberta II przezwanego Justynianem litewskim, Jana IX Alberta, Jana XIV Władysława, Michała II Karola, Stanisława IV Kazimierza. Z linii na Nieświeżu i Ołyce: Mikołaja VIII Krzysztofa, Jana VIII Jerzego, Alberta III Władysława, Zygmunta Karola, Alexandra Ludwika, Dominika I Mikołaja, Jana XVII Mikołaja, Marcina I Mikołaja, Michała IV Antoniego, Mikołaja XX Faustyna, Udalryka I Krzysztofa, Alberta VI, Jerzego IX, Stanisława VI. Z tego pocztu wyliczonego Radziwiłłów może czytelnik powziąć przekonanie, jakie ród ten możnowładców litewskich można i dumny, zajmował stanowisko przeważne w narodzie, jaki udział wielki miał w sprawach państwa, a ztąd ocenić o ważności pracy Kotłubaja, wspartej głównie na nieznanych dotąd źródłach rękopiśmiennych. Do całości tego dzieła braknie jednego tylko zeszytu: pragnelibyśmy, żeby autor dołączył staranne skorowidze tak alfabetyczne, jak chronologiczne: uważamy bowiem od pewnego czasu wielką niedbalość w tej mierze wydawców w poważnych historycznej treści dziełach.

— Baliński Karol przełożył z hiszpańskiego z Kalderona: „Kochankowie nieba”, dramat wierszem, który drukuje się w Paryżu. Głośne imię autora i talent tłumacza muszą u nas znaleźć sympatyą i poparcie.

— Adam Kirkor redaktor Teki wileńskiej, w dwóch drukarniach razem drukuje tomy IV, V, VI i VII tego pisma. Z powodu, że drukarnie są własnością żydów i żydzi sami są zecerami (wyjąwszy typografię J. Zawadzkiego), korekty są nadzwyczaj pracowite, bo składają tylko machinalnie, nie pojmując języka. Z tego powodu opóźniło się wydanie tomu IV „Teki”. W jednym z tych tomów będziemy czytali śliczną powieść wierszem Lucyana Siemieńskiego: treść wzięta z życia terażniejszej społeczności. Zasoby wielkie ma redakcja, gdy naraz po cztery tomy drukować może.—Alexander Tyszyński przybywa ze wsi

do Wilna na dłuższy pobyt. Władysław Syrokomla ma odwiedzić Królestwo.

— Pamiętnika religijno-moralnego zeszyt V na r. b. za miesiąc maj wyszedł i obejmuje: 1) Opis kościoła i klasztoru Pannien Benedyktynek w Wilnie, skreślony przez D. C. Chodźkę. 2) Wstąpienie na metropolitalną mohilewską katedrę JW. Wacława Żylińskiego arcybiskupa metropolity wszech rzymsko-katolickich kościołów w cesarstwie rossyjskiem, przez X. Jerzego Iwaszkiewicza. 3) Dyecezya polska w 1857 roku przez X Chwaliboga. 4) Wyjatek z podróży po Wschodzie przez A. Muchlińskiego. Przybycie do Stambułu (przed r. 1840), katolickie kościoły, klasztory, missye, nabożeństwo, mogiły, nagrobki dla naszych rodaków, pamiątki świętego Jocka, Ormianie katolicy. 5) Mowa przy zakładaniu węgelnego kamienia na nowe gimnazjum w Lublinie, miana przez X. kanonika Misińskiego nauczyciela szkoły realnej. 6) Wiadomość o missyi w Bengalu. 7) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. Tu czytamy sprawozdanie z przekładu kilku książeczek Tomasza a Kempis, jak: „O naśladowaniu Chrystusa”, „Ogródek różany”, „Liliowa Dolina”. „O samotności i milczeniu, i Pisma różne” Tomasza a Kempis. 8) Kronika kościelna i rozmaitości zamykają ten zeszyt.

— Szczęśliwym trafem odkryły ważny rękopism Godfryda Lengnicha, zwrócił uwagę wszystkich badaczy rzeczy krajowych. Znane są prace tego pisarza zmarłego w r. 1774. Będąc syndykiem miasta Gdańska od r. 1750 zebrał wszystkie ustawy, prawa i urządzenia wewnętrzne rodzinnego swego miasta w rękopiśmie p. n. „Der Stadt Danzig Verfassung und Rechte” doprowadzone do r. 1770. Praca ta nietylko nie była drukowaną, lecz jako przeznaczona wyłącznie do użytku miejskich dygnitarzy, była nieprzystępną dla innych. Starożytny gród ten polski ziemczony przez Krzyżaków, a następnie przez reformacją Lutra, przodkował niegdyś handlowym miastom polskim i niepospolite miejsce w rzędzie hanzeatyckich trzymał. Prawa i ustawy, któremi Gdańsk rządził się, służyły za wzór dla wielu innych miast naszych. Zbiór więc tych praw (jak dobrze uważa Leon Rogalski) od najdawniejszych czasów aż do ostatnich niemal lat istnienia Rzeczypospolitej i zostawania Gdańska pod panowaniem polskiem, jest niezmiernie ważnym dla wyjaśnienia wewnętrznego bytu i urządzeń, niemniej jak dla dziejów miast kraju naszego. Sumiennosc i nauka Lengnicha daja rękojmiał wartości. Rękopism ten składający się przeszło z 200 arkuszy, zakupiony na licytacji po jednym z urzędników miasta Gdańska, wraz z innymi rękopismami, księgami i numizmatami, przeszedł na własność naszego archeologa i fotografa Karola Beyera. Rękopism ten w przekładzie polskim wyjdzie wkrótce z druku. Nakład cały przyjął na siebie Edward Rastawiecki, autor „Słownika malarzy polskich, Mappografii dawniej Polski”, współwydawca: „Wzorów sztuki średniowiecznej w Polsce”, i członek redakcji Biblioteki Warszaw-

skiej; przekładem zajął się Karol Hubner, z pomocą i pod kierunkiem Walentego Dutkiewicza światłego prawoznawcy, autora dzieła „Prawo hipoteczne w królestwie polskiem”. Rękopism Lengnicha nieznanym był ani jego biografom, ani też dotychczasowemu historykom miasta Gdańska.

— J. I. Kraszewski w listach swoich do Gazety Warszawskiej pisanych, skreślił ciekawe i dokładne sprawozdanie o Gazecie Warszawskiej z r. 1784, której przyznaje równe zalety, jakie wykazywał J. Bartoszewicz w dawnym Kuryerze Polskim. Zachęca „w końcu tegoż badacza, ażeby się zajął przedrukiem z obu tych pism ważniejszych artykułów do r. 1800. „Nikt lepiej do tego (pisze w końcu) nie jest usposobiony nad p. Juliana Bartoszewicza, który notami mógłby wiele objaśnić i sprostować niedokładności, a więcéjby się tém literaturze przysłużył, niż wielu rozprawami swymi, wskazującemi co czynić należy, gdy, niestety, robić nie mamy komu...” Przymówki téj nie rozumiemy, i nie pojmujemy celu.

— Wyszedł z druku: „Słownik wyrazów cudzoziemskich i wyrażeń używanych w muzyce, z wyjaśnieniem zasadniczych jej prawideł, ułożony przez Juliusza Schuberta (przekład z niemieckiego). „Nakład łożył bankier warszawski Mathias Rosen, prezydujący w Radzie opiekuńczej głównego domu schronienia starozakonnych, i przeznaczył na dochód tegoż domu.

— J. I. Kraszewski, który dni kilka bawił u nas i przez Kraków udał się w pierwszą podróż w swoim życiu za granicę do Włoch i Francji, zostawił poemacik swój, który nazwał sielanką p. n. „Wioska”, wraz ze swemi rycinami. celem wydania go z ilustracją. Rysunki przeniesie na drzewo F. Kostrzewski, a nakład podjął J. Unger.

— Stanisław Moniuszko, po krótkim w Warszawie pobycie, odwiedził Kraków, kopalnie Wieliczki, i słynny Łobzów, w którym mieści się treść nowej jego opery p. n. „Rokiczana.” Libretto do niej pisze J. Korzeniowski. Gazeta „Czas” słuszną zrobiła uwagę, ażeby pamiętać o godności i świętości historycznej postaci Kazimierza Wielkiego. Obawa była daremną, skoro tak doświadczony pisarz jak Korzeniowski podjął się napisania „libretta.” Słyszeliśmy akt pierwszy skończony, i treść całej opery. Młodzieńczy zapal ożywił tu naszego autora, wiersz piękny, harmonijny, zastosowany do muzyki, słichnym oddany językiem: postać wielkiego króla w akcie ostatnim raz się tylko zjawia, i uderza swoim urokiem poetycznym. Libretto to przesłaném zostanie aktami Moniuszce, który wprost z Krakowa przez Drezno udał się do Paryża, gdzie pracować będzie nad tą wielką operą. Zamierza ukończyć i drugą mniejszą w jednym akcie; do niej libretto pisze Stanisław Bogusławski znany komedyo-pisarz. Treścią jej ma być obrazek zdjęty z życia ludu warszawskiego. Obiedwie opery zamierza wykończyć Moniuszko w pierwszych dniach sierpnia, i w téj dacie wrócić do Warszawy.

— Pism Adama Mickiewicza nakładem S. H. Merzbacha wyszedł tom V i obejmuje, oprócz drobnych poezyj tak tłumaczonych jak oryginalnych, przekład „Giaura” z Byrona, i wielką dziś rzadkość: rozprawę Mickiewicza drukowaną w Dzienniku Wileńskim 1817 roku: Uwagi nad „Jagiellonidą” Dyzmasy Bończy Tomaszewskiego, drukowaną w Berdyczowie. W tomie VI i następnym rozpocznie się druk „prelekyi Mickiewicza.” Staloryty zapowiedziane, wkrótce ukończone będą, ryciny bowiem przez naszych artystów wykonane, przesłane już zostały. Wydawca do tej edycyi wcieli wiele pism nieznanych Mickiewicza z pozostałych pośmiertnych rękopismów. Wydanie więc to będzie jednym z najzupełniejszych zbiorów pism naszego wieszca.

— Zeszyt V dzieła: „Arcybiskupi Gnieźnieńscy i prymasi. Wizerunki z galerji Łowickiej, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza.” nakład litografii A Pecq'a, wyszedł z pod prasy i obejmuje: życiorysy: 1) Henryka Kietlicza. 2) Wincentego Czarnkowskiego. 3) Fulko seu Felka. 4) Jana Tarnowskiego.

— Szósty zeszyt „Więca” pisma zbiorowego, ofiarowane go ś. p. Stanisławowi Jachowiczowi, wyszedł z pod prasy, i zawiera artykuły: Antoniego Wagi, Bolesława Wiktora, Ant. Gościńskiego, Joanny Belejowskiej, Leony Krysińskiej, J. Badowskiego, Alexandra i Ludwika Kra., Łukasza Włodarkiewicza, Ant. Połjańskiego, Józefa z Ojcowa, Wiktora Dłużniewskiego, Julii Kwaśniewskiej, Józefy K., Antoniny Machczyńskiej, Felixa Homickiego, Juliusza Zwierkowskiego, Jana Nep. Kamińskiego, L. A. J., Waleryana hr. Krasińskiego, Józefa M., i Bezimiennego.

Prenumerata wynosi złp. 30. Wszysey prenumeratorowie otrzymają 7my zeszyt (który już jest pod prasą) z wizerunkiem Jachowicza bez żadnej wcale dopłaty.

— Piękno, przez biegłego ornitologa i myśliwego (hrabię Kazimierza Wodzickiego) napisane dzieło: „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich”, już wyszło z druku. Cena egzemplarza z wizerunkami sokolów na 11 tablicach w Niemczech wykonanemi, 2 ruble sr. (13 złp. 10 gr.); cena egzemplarza bez tych wizerunków rub. sr. 1 kop. 20 (złp. 8).

— Pomnik mający się wzniesić na cmentarzu Powązkowskim nad grobem pełnego zasług Karola Kurpińskiego, powierzony został Leonowi Myszkowskiemu artyście rzeźbiarzowi, uczniowi niegdyś Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. U stóp krzyża, mającego dopełniać pomnik, będzie wierny odlew medalu, jaki mu ofiarowano w r. 1819 z napisem: „Za piękne twory harmonii, rodacy.” Spełnia się tém życzenie Kurpińskiego, który pragnął aby ten medal przypominał go i po śmierci.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



Międzynarodowy rok 1858.

Międzynarodowy rok 1858.

Miejsce dostawczych wzmianek jest 507,0 stopni paryskich nad poziomem morza w roku 1858.

| Data | Barometr | | Termometr | |
|------|----------|--------|-----------|--------|
| | Wzrost | Spadek | Wzrost | Spadek |
| 1 | 760.00 | 10.00 | 16.00 | 0.00 |
| 2 | 759.50 | 10.50 | 15.50 | 0.50 |
| 3 | 759.00 | 11.00 | 15.00 | 1.00 |
| 4 | 758.50 | 11.50 | 14.50 | 1.50 |
| 5 | 758.00 | 12.00 | 14.00 | 2.00 |
| 6 | 757.50 | 12.50 | 13.50 | 2.50 |
| 7 | 757.00 | 13.00 | 13.00 | 3.00 |
| 8 | 756.50 | 13.50 | 12.50 | 3.50 |
| 9 | 756.00 | 14.00 | 12.00 | 4.00 |
| 10 | 755.50 | 14.50 | 11.50 | 4.50 |
| 11 | 755.00 | 15.00 | 11.00 | 5.00 |
| 12 | 754.50 | 15.50 | 10.50 | 5.50 |
| 13 | 754.00 | 16.00 | 10.00 | 6.00 |
| 14 | 753.50 | 16.50 | 9.50 | 6.50 |
| 15 | 753.00 | 17.00 | 9.00 | 7.00 |
| 16 | 752.50 | 17.50 | 8.50 | 7.50 |
| 17 | 752.00 | 18.00 | 8.00 | 8.00 |
| 18 | 751.50 | 18.50 | 7.50 | 8.50 |
| 19 | 751.00 | 19.00 | 7.00 | 9.00 |
| 20 | 750.50 | 19.50 | 6.50 | 9.50 |
| 21 | 750.00 | 20.00 | 6.00 | 10.00 |
| 22 | 749.50 | 20.50 | 5.50 | 10.50 |
| 23 | 749.00 | 21.00 | 5.00 | 11.00 |
| 24 | 748.50 | 21.50 | 4.50 | 11.50 |
| 25 | 748.00 | 22.00 | 4.00 | 12.00 |
| 26 | 747.50 | 22.50 | 3.50 | 12.50 |
| 27 | 747.00 | 23.00 | 3.00 | 13.00 |
| 28 | 746.50 | 23.50 | 2.50 | 13.50 |
| 29 | 746.00 | 24.00 | 2.00 | 14.00 |
| 30 | 745.50 | 24.50 | 1.50 | 14.50 |
| 31 | 745.00 | 25.00 | 1.00 | 15.00 |
| 32 | 744.50 | 25.50 | 0.50 | 15.50 |
| 33 | 744.00 | 26.00 | 0.00 | 16.00 |
| 34 | 743.50 | 26.50 | -0.50 | 16.50 |
| 35 | 743.00 | 27.00 | -1.00 | 17.00 |
| 36 | 742.50 | 27.50 | -1.50 | 17.50 |
| 37 | 742.00 | 28.00 | -2.00 | 18.00 |
| 38 | 741.50 | 28.50 | -2.50 | 18.50 |
| 39 | 741.00 | 29.00 | -3.00 | 19.00 |
| 40 | 740.50 | 29.50 | -3.50 | 19.50 |
| 41 | 740.00 | 30.00 | -4.00 | 20.00 |
| 42 | 739.50 | 30.50 | -4.50 | 20.50 |
| 43 | 739.00 | 31.00 | -5.00 | 21.00 |
| 44 | 738.50 | 31.50 | -5.50 | 21.50 |
| 45 | 738.00 | 32.00 | -6.00 | 22.00 |
| 46 | 737.50 | 32.50 | -6.50 | 22.50 |
| 47 | 737.00 | 33.00 | -7.00 | 23.00 |
| 48 | 736.50 | 33.50 | -7.50 | 23.50 |
| 49 | 736.00 | 34.00 | -8.00 | 24.00 |
| 50 | 735.50 | 34.50 | -8.50 | 24.50 |
| 51 | 735.00 | 35.00 | -9.00 | 25.00 |
| 52 | 734.50 | 35.50 | -9.50 | 25.50 |
| 53 | 734.00 | 36.00 | -10.00 | 26.00 |
| 54 | 733.50 | 36.50 | -10.50 | 26.50 |
| 55 | 733.00 | 37.00 | -11.00 | 27.00 |
| 56 | 732.50 | 37.50 | -11.50 | 27.50 |
| 57 | 732.00 | 38.00 | -12.00 | 28.00 |
| 58 | 731.50 | 38.50 | -12.50 | 28.50 |
| 59 | 731.00 | 39.00 | -13.00 | 29.00 |
| 60 | 730.50 | 39.50 | -13.50 | 29.50 |
| 61 | 730.00 | 40.00 | -14.00 | 30.00 |
| 62 | 729.50 | 40.50 | -14.50 | 30.50 |
| 63 | 729.00 | 41.00 | -15.00 | 31.00 |
| 64 | 728.50 | 41.50 | -15.50 | 31.50 |
| 65 | 728.00 | 42.00 | -16.00 | 32.00 |
| 66 | 727.50 | 42.50 | -16.50 | 32.50 |
| 67 | 727.00 | 43.00 | -17.00 | 33.00 |
| 68 | 726.50 | 43.50 | -17.50 | 33.50 |
| 69 | 726.00 | 44.00 | -18.00 | 34.00 |
| 70 | 725.50 | 44.50 | -18.50 | 34.50 |
| 71 | 725.00 | 45.00 | -19.00 | 35.00 |
| 72 | 724.50 | 45.50 | -19.50 | 35.50 |
| 73 | 724.00 | 46.00 | -20.00 | 36.00 |
| 74 | 723.50 | 46.50 | -20.50 | 36.50 |
| 75 | 723.00 | 47.00 | -21.00 | 37.00 |
| 76 | 722.50 | 47.50 | -21.50 | 37.50 |
| 77 | 722.00 | 48.00 | -22.00 | 38.00 |
| 78 | 721.50 | 48.50 | -22.50 | 38.50 |
| 79 | 721.00 | 49.00 | -23.00 | 39.00 |
| 80 | 720.50 | 49.50 | -23.50 | 39.50 |
| 81 | 720.00 | 50.00 | -24.00 | 40.00 |
| 82 | 719.50 | 50.50 | -24.50 | 40.50 |
| 83 | 719.00 | 51.00 | -25.00 | 41.00 |
| 84 | 718.50 | 51.50 | -25.50 | 41.50 |
| 85 | 718.00 | 52.00 | -26.00 | 42.00 |
| 86 | 717.50 | 52.50 | -26.50 | 42.50 |
| 87 | 717.00 | 53.00 | -27.00 | 43.00 |
| 88 | 716.50 | 53.50 | -27.50 | 43.50 |
| 89 | 716.00 | 54.00 | -28.00 | 44.00 |
| 90 | 715.50 | 54.50 | -28.50 | 44.50 |
| 91 | 715.00 | 55.00 | -29.00 | 45.00 |
| 92 | 714.50 | 55.50 | -29.50 | 45.50 |
| 93 | 714.00 | 56.00 | -30.00 | 46.00 |
| 94 | 713.50 | 56.50 | -30.50 | 46.50 |
| 95 | 713.00 | 57.00 | -31.00 | 47.00 |
| 96 | 712.50 | 57.50 | -31.50 | 47.50 |
| 97 | 712.00 | 58.00 | -32.00 | 48.00 |
| 98 | 711.50 | 58.50 | -32.50 | 48.50 |
| 99 | 711.00 | 59.00 | -33.00 | 49.00 |
| 100 | 710.50 | 59.50 | -33.50 | 49.50 |

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Kwiecień, 1858.



Kwiecień 1858.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziomem morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 18°14'45",7 czyli w łuku 18°41'25",6 na

watoryum Astronomiczném Warszawskiem.

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

| Dnia | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR stusopniowy | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dniem | STANNIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | Wysokość wody spadłej w milim. z | | |
|------|--|----------|---------|---------|--------------------------|----------|---------|---------|--|-------------|-------------|-------------|-------------|-----------------|-------|--------|--------|---|-------|-----|
| | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | de- | śnie- | |
| | god.rauo | god.rauo | godz.w. | godz.w. | god.rauo | god.rauo | godz.w. | godz.w. | | godz.rano | godz.rano | godz.wiecz. | godz.wiecz. | god.r | god.r | god.w. | god.w. | szczu | gu | |
| 1 | 740.09 | 740.34 | 738.47 | 738.32 | + 1°.2 | + 9°.6 | + 15°.0 | + 6.0 | 71.2 | pogodny | pr. pogod. | pogodny | pogodny | PdW. | Pd. | PdZ. | Pd. | | | |
| 2 | 738.21 | 740.25 | 744.18 | 747.54 | + 3.2 | + 9.0 | + 6.9 | - 0.2 | 81.0 | lek. pochm. | poch. desz. | pochmurny | pogodny | Pd. | Z. | Z. | Z. | | | |
| 3 | 748.06 | 748.65 | 747.59 | 748.36 | + 0.9 | + 5.5 | + 8.5 | + 2.7 | 65.3 | pochmurny | pochmurny | pr. pogod. | pogodny | PdZ. | Z. | PuZ. | Pd. | | | |
| 4 | 747.30 | 746.36 | 743.49 | 742.00 | - 0.4 | + 4.9 | + 9.0 | + 4.2 | 83.2 | poch. mgła | pr. pogod. | pochmurny | deszcz | PdW. | PdW. | PdW. | PuZ. | | | |
| 5 | 743.32 | 743.22 | 746.57 | 747.38 | + 0.8 | + 2.7 | + 6.2 | + 1.0 | 61.3 | poch. desz. | pochmurny | pr. pochm. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | 6.0 | |
| 6 | 746.28 | 746.71 | 744.76 | 746.18 | - 2.3 | + 1.6 | + 3.1 | - 0.7 | 79.5 | pogodny | pogodny | pochmurny | pogodny | Z. | Z. | Z. | Z. | | | |
| 7 | 746.74 | 747.82 | 748.83 | 750.27 | - 1.1 | + 0.6 | + 1.2 | - 1.6 | 85.5 | lek. pochm. | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | PuZ. | PuZ. | PuZ. | | | |
| 8 | 750.21 | 750.18 | 748.95 | 749.28 | - 2.6 | + 1.6 | + 1.3 | - 2.5 | 71.5 | pochmurny | poch. śnieg | pochmurny | pochmurny | PuZ. | PdZ. | PuZ. | PuW. | | | |
| 9 | 749.13 | 749.77 | 749.26 | 750.48 | - 3.7 | - 0.2 | + 3.7 | - 0.0 | 72.0 | smugi | pr. pogod. | pochmurny | pogodny | Pu. | PuW. | Pu. | Pu. | | | |
| 10 | 751.70 | 752.64 | 751.06 | 749.52 | - 2.1 | + 2.5 | + 6.6 | + 1.0 | 72.6 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PuZ. | Z. | Z. | Pd. | | | |
| 11 | 745.64 | 743.32 | 739.47 | 737.88 | - 2.2 | + 3.7 | + 9.4 | + 2.4 | 75.2 | pogodny | pogodny | lek. pochm. | pogodny | PdW. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | | | |
| 12 | 736.94 | 738.16 | 739.42 | 742.35 | + 0.0 | + 0.2 | + 1.2 | - 1.7 | 86.0 | lek. pochm. | śnieg gęsty | pochmurny | pogodny | Z. | PuZ. | Z. | Z. | | 5.4 | |
| 13 | 744.42 | 745.79 | 748.31 | 750.85 | - 1.7 | + 0.6 | + 2.4 | - 0.5 | 84.8 | pogodny | poch. śnieg | pochmurny | pogodny | Z. | Z. | Z. | PdZ. | | | |
| 14 | 753.26 | 755.06 | 755.83 | 756.31 | - 0.9 | + 4.7 | + 7.8 | + 2.4 | 76.0 | pogodny | napół pog. | pr. pochm. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | PuZ. | | | |
| 15 | 759.09 | 760.43 | 760.61 | 761.03 | - 1.0 | + 3.6 | + 6.5 | + 2.7 | 71.2 | pogodny | pogodny | pr. pochm. | pr. pogod. | PuZ. | PuW. | Pu. | PuZ. | | | |
| 16 | 761.20 | 761.41 | 759.16 | 758.40 | - 0.5 | + 7.2 | + 11.9 | + 6.7 | 65.5 | pogodny | pogodny | pogodny | pr. pogod. | Z. | Z. | Pd. | Pd. | | | |
| 17 | 756.34 | 754.83 | 751.59 | 749.86 | + 3.0 | + 9.5 | + 15.8 | + 8.7 | 56.0 | lek. pochm. | lek. pochm. | lek. pochm. | napół pog. | Pd. | Pd. | PdZ. | Pd. | | | |
| 18 | 749.23 | 751.03 | 752.77 | 755.89 | + 7.6 | + 8.4 | + 12.2 | + 4.6 | 71.0 | poch. desz. | poch. desz. | pr. pogod. | pogodny | Z. | PuZ. | PuW. | PuW. | | 1.5 | |
| 19 | 756.11 | 757.10 | 755.01 | 755.13 | + 1.8 | + 8.6 | + 16.0 | + 10.8 | 65.3 | pr. pogod. | smugi | lek. zamgl. | pogodny | - | Z. | PuW. | PuW. | | | |
| 20 | 755.31 | 755.63 | 754.10 | 754.00 | + 8.3 | + 14.4 | + 19.0 | + 13.1 | 49.0 | napół pog. | pogodny | pogodny | pogodny | - | Z. | PuZ. | - | | | |
| 21 | 753.35 | 753.46 | 751.00 | 750.29 | + 6.0 | + 17.1 | + 21.6 | + 16.4 | 55.0 | pogodny | pogodny | pogodny | pochmurny | - | - | - | PuZ. | | | |
| 22 | 750.93 | 750.78 | 754.58 | 759.46 | + 5.9 | + 11.9 | + 5.8 | + 0.6 | 62.7 | napół pog. | pochmurny | pochmurny | pogodny | Z. | PuZ. | Pu. | Pu. | | | |
| 23 | 762.10 | 762.20 | 758.59 | 754.22 | - 1.3 | + 4.5 | + 9.8 | + 7.7 | 75.8 | pogodny | pogodny | lek. zamgl. | pochmurny | PuZ. | PuZ. | Z. | Z. | | | |
| 24 | 748.63 | 746.68 | 743.66 | 746.80 | + 4.6 | + 5.9 | + 9.9 | + 1.7 | 82.5 | deszcz | deszcz | pochmurny | pogodny | Z. | Z. | PuZ. | Pu. | | 14.4 | |
| 25 | 748.50 | 750.37 | 750.93 | 752.52 | - 0.2 | + 3.9 | + 5.5 | + 3.1 | 80.8 | pogodny | pr. pochm. | pochmurny | pochmurny | PuZ. | PuZ. | Pu. | PuZ. | | | |
| 26 | 752.80 | 752.93 | 749.43 | 746.93 | + 1.3 | + 6.4 | + 12.3 | + 5.6 | 60.7 | pochmurny | pogodny | smugi | lek. zamgl. | PuZ. | Z. | Z. | PdZ. | | | |
| 27 | 741.91 | 741.34 | 742.31 | 745.12 | + 6.4 | + 8.1 | + 9.2 | + 3.8 | 53.0 | lek. pochm. | deszcz | pr. pochm. | pochmurny | PdZ. | Z. | Pu. | Pu. | | | |
| 28 | 743.87 | 743.55 | 741.26 | 747.61 | + 2.7 | - 8.5 | + 11.8 | + 6.8 | 53.5 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Pu. | Pu. | | | |
| 29 | 749.45 | 749.76 | 746.59 | 744.60 | + 0.9 | + 9.2 | + 15.2 | + 8.1 | 56.3 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | Z. | Z. | Pd. | Pd. | | | |
| 30 | 741.38 | 742.47 | 741.64 | 740.32 | + 9.3 | + 16.6 | + 21.5 | + 13.7 | 48.7 | napół pog. | pogodny | pogodny | pogodny | Pd. | PdZ. | Z. | Pd. | | | |
| Śre. | 749.070 | 749.475 | 748.744 | 749.297 | + 1°.46 | + 0°.36 | + 9°.54 | + 4°.22 | 60.6 | | | | | | | | | | 21.9 | 5.4 |

| | m. | o. | l. |
|---|----------------------|----|-------------------------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 749.146 | 27 | 8.094 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 23 o g. 10 r. | 762.20 | 28 | 1.881 |
| Najniżej — — — d. 12 o g. 6 r. | 736.94 | 26 | 2.683 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 4.665 | | 2.068 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 23—24 o g. 10 r. | 15.52 | | 6.880 |
| Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających | 0.091 | | 0.041 |
| Średnia temperatura kwietnia wynosi: | 749.055 | 27 | 8.053 |
| i ta jest niższa o | + 5 ^o .40 | C. | + 4 ^o .32 R. |
| od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających | 1.86 | " | 1.49 " |
| Największe ciepło było d. 21 o g. 4 w. | + 7.26 | " | + 5.81 " |
| Największe zimno — d. 9 o g. 6 r. | + 21.6 | " | + 17.28 " |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | - 3.7 | " | - 2.96 " |
| Największa zmiana dzienna temperatury d. 21—22 o g. 4 i 10 w. | 3.105 | " | 2.484 " |
| Termometrograf wskazał: | 15.8 | " | 12.64 " |

Maximum: + 17.4 R. d. 21 i 30 po poł.
Minimum: — 3^o.5 „ d. 9 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 69.6, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 5.18 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.05 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 21.9 mil. czyli 9.71 lin. par.; z śniegu 5.4 mil. czyli 2.39 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 27.3 mil. czyli 12.10 lin. par.; ilość ta jest o 5.80 lin. par. mniejsza od tej jaka zwykle w kwietniu u nas spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 9, pochmurnych 12.

Dni deszczu 7 (d. 2, 4, 5, 18, 22, 24, 27).

- śniegu 5 (d. 5, 8, 12, 13, 22).
- gradu 5 (d. 7, 12, 13, 14, 22).
- mgły 1 (d. 4).

Wichrów było 1 (Pn.)

Wiatrów mocnych 13 (3 Pn., 5 Z., 4 PnZ., 1 PdZ.).

Wiatr panujący Zachodni.

Kwiecień r. b. był pogodny, bardzo suchy, blisko o półtora stopnia R. chłodniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były d. 17, 18, 19, 20, 21, 29, 30; najchłodniejsze d. 6, 7, 8, 9, 12, 13. Dwa dni 20 i 21 były gorące po których znaczna zmiana temperatury nastąpiła 12.6 stop. R. wynosząca; zmiany barometru były znaczne i częste; największa zmiana dzienna 6.88 lin. par. wynosząca przypadła d. 23 na 24 rano przy wichrze północnym. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle; w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5,5:11,6:12,9; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 9:9:12. Dnia 12 i 24 w czasie przejścia księżycy przez równik niebieski, nastąpiła zmiana kierunku wiatru i stanu nieba. Powietrze w tym miesiącu było nader suche, średnia jego wilgotność była o pięć setnych mniejsza niż zwykle; wody z deszczu i śniegu spadło blisko o połowę mniej niż w stanie średnim.

D. 9 i 10 między godz. 9 i 10 wleczór pokazała się zorza północna w świetnych barwach.

D. 22 padał ostatni śnieg z wiosny.

D. 29 z rana ostatni mróz z wiosny dochodził — 0,3 stop. R.

Wysokość wody na Wiśle największa stóp 10 cali 9 d. 2.

— — — — — najmniejsza stóp 4 cali 3 d. 21, 22.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednim przesyłano telegrafem elektrycznym do Głównego Obserwatorium fizycznego w St. Petersburgu, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatorium Astronomicznym o godzinie 8 rano.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z R. 1858.

Od redakcyi Biblioteki Warszawskiej..... Stron. I

Materyały historyczne.

Zatargi Polski z Turcyą w 1667 r. i poselstwo Hieronima Radziejewskiego, przez *Leopolda Huberta*..... 461

Biografia.

Rys życia Piotra Michałowskiego, skreślił ks. *Łętowski*..... 500

Nauki społeczne.

Początek i wzrost przemysłu w Stanach Zjednoczonych..... 662

Opisy i podróże.

| | Stron. |
|---|----------|
| Kilka uwag historyczno-statystycznych o gubernii augustowskiej, skreślił <i>B. Tykel</i> (ciąg dalszy)..... | 58 |
| Przypisy do poprzedzającego artykułu, przez <i>Antoniego Wągę</i> | 66 |
| Obrazy Dagestanu, przez <i>Juliana S...</i> (Z mapką)..... | 225, 587 |

Literatura.

| | |
|--|---------------|
| Wybór poezyj Horacyusza w przekładzie polskim, przez tłumacza <i>Fausta, Getego</i> | 1 |
| Dumy, pieśni i skazki ludu ukraińskiego, przez <i>Erazma Izopolskiego</i> | 73 |
| Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Obiory akademickie. - <i>La Jeunesse</i> , komedia w pięciu aktach wierszem przez Emila Augier. — Nowe wydanie podróży hrabiny Belgiojoso. — Podróż malownicza nad brzegami Renu, przez Edmunda Texier. — Wiadomości literackie..... | 123 |
| Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Życie Rozalii, Siostry Miłosierdzia, przez vice-hrabiego de Melun. — Czarodziejka, opera Halewego w pięciu aktach. — Don Desiderio, opera bulla księcia Poniatowskiego. — Marta, opera semi-seria we czterech aktach Fryderyka Flottow. — Wiadomości literackie.. | 338 |
| Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Paryżkie Towarzystwa wzajemnej pomocy. — Dramatyczno-muzyczny wieczór na dochód Instytutu Notre-Dame-des-Arts. — Ristori we włoskim Makbecie. — <i>Les Doigts de Fée</i> , komedia pp. Scribe i Legouvé. — O dzieciobójstwie u ludów wschodnich. — Pałac pompejański księcia Napoleona. — Projekt mostu na La Manche. — Wiadomości literackie..... | 565 |
| Pamiętnik z czasów rzezi indyjskiej, 1857 r..... | 148, 359, 513 |
| O dramacie niemieckim w XIX wieku, a w szczególności O Halmie. Przez <i>Bolesława Wiktora</i> | 259 |

Bibliografia dawniejsza polska.

| | |
|---|-----|
| Wiadomość bibliograficzna, przez <i>A. W.</i> | 373 |
|---|-----|

Poezye.

| | |
|--|-----|
| Most. (Z Wiktora Hugo, przez <i>Ludwika Niemojowski</i>)..... | 93 |
| Góral, przez <i>Wł. Chomętowski</i> | 146 |
| Alchemik. Obraz dramatyczny. Przez <i>Maryę Ilnicką</i> | 239 |
| Pieśni Beranżera: I. Stary grajek. II. Początek podróży. III. Gwiazdy spadające..... | 313 |
| Karpacki dudarz przez <i>T. Lenartowicza</i> | 497 |
| Z powrotem, przez <i>tegoż</i> | 564 |

| | |
|---|---------|
| Rys historyczny opery polskiej z końca epoki panowania Stanisława Augusta aż do dni naszych, przez <i>Maurycego Karasowskiego</i> | 94, 2/6 |
|---|---------|

Rozbiory.

| | |
|---|-----|
| Przegląd dramatyczny. Czatterton, dramat Alfreda de Vigny, powiadziany po polsku przez Apolla Korzeniowskiego. (Kijów. 1857 r.) — Samobójstwo jako sprężyna dramatyczna. — Wystąpienie A. K. przeciwko krytykom. — Dygressya o Fauście, El magico prodigioso i Manfredzie. — Porównanie Komedyi, dramatu A. Korzeniowskiego. (Wilno. 1856 r.) z Grybojedowa: Biała temu kto ma rozum (w przekładzie Józefa L. Lewińskiego. Warszawa. 1857). — Anna Oświęcimówna, poemat dramatyczny Mikołaja B. Antonowicza (Lipsk. 1856); zdanie Szajnochy w tym przedmiocie. Porównanie tegoż poematu z Abufarem Ducisa (tłumaczenie Brodzińskiego), z La devocion de la Cruz, Kalde-rona, i die Ahnfrau, Grillparzera. Przez <i>Wiktora Bolesława</i> .. | 173 |
| Obrazek dziejów literatury polskiej dla młodzieży, skreślił Adam Poroj. Kalisz. 1858. Przez <i>K. Wł. W.</i> | 193 |
| Czas, dodatek za m. styczeń r. b. Przez <i>Wł.</i> | 196 |
| Księga świata. Wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych, historii krajów i ludów. Rok 1854, 1855, 1856 i 1857. Przez <i>K. Kalinkę</i> . | 383 |
| Dziś i wczoraj. Rysy biograficzno obyczajowe i bajki, przez Onegdajskiego. Wydał Antoni Sowa. Przez <i>Z. Z.</i> | 408 |
| Stenografia polska, przez K. Krupskiego. Warszawa. 1858. Przez <i>Ludwika Jenike</i> | 415 |
| Starościna Belzka (Gertruda z hr. Komorowskich hr. Połocka). Opo-wiadanie historyczne. 1770 — 1774, przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa. 1858. Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i> | 431 |
| Gawędy o literaturze i sztuce przez J. I. Kraszewskiego. Ciąg pierwszy. Lwów. 1857. Przez <i>A. A. K.</i> | 603 |
| Przegląd dramatyczny. II. Filip II, tragedia oryginalnie wierszem napisana przez Fr. Jakubowskiego. Kraków. 1858. — Don Karlos Szyllera; przekład tego dramatu przez M. Budzyńskiego. — Pre-skot o Don Karlosie. — Cyganie Puszkina. — Chata za wsią, Kra-szewskiego. — Dom Lodowy Łażecznikowa. — Cyganie dramat J. Korzeniowskiego. Warszawa. 1857. Przez <i>Bolesława-Wi-ktora</i> | 618 |
| Alberti Marchionis Brandenburgensis de Arte Militari... principis Pa-latini Adami Czartoryski cura et sumptibus editi. Lutetiae Pa-risiorum. 1858. Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i> | 641 |
| Prawdziwe wyobrażenie oblicza Pana naszego Jezusa Chrystusa, z dołączeniem historycznej wiadomości tego obrazu. Kraków. 1858..... | 646 |
| Pamiętniki kuratora magazynów. Napisał Antoni Nowosielski. War-szawa. 1858..... | 647 |

Nauki przyrodzone.

| | |
|---|----------|
| Krótki rys historii naturalnej Kamieńca Podolskiego, skreślił <i>Gustaw Belke</i> | 313, 539 |
| Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: | |
| Chemia, przez <i>J. B...</i> | 436 |

Korrespondencye.

| | |
|--|---------------|
| Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowém, krak., odbyte dnia 20 lutego 1858 r..... | 202 |
| Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>J. Piwarskiego</i> | 203 |
| Wyjątek z listu Karola Szajnochy do <i>K. Wł. W.</i> | 205 |
| Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowém w Krakowie, odbyte dnia 20 marca r. b..... | 439 |
| Posiedzenie wileńskiej archeologicznej kommissyi dnia 11 stycznia, 11 lutego i 11 marca r. b..... | 441 |
| Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. „Etudes historiques sur la Revolution Française de 1789. Paris etc.” 3 tomy—1857..... | 445 |
| Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej: O wykopalisku wyszogrodzkiem, od <i>G. Z.</i> | 673 |
| Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Juliana Bartoszewicza</i> .. | 679 |
| <i>Kronika bibliograficzna</i> | 206, 447, 685 |
| Doniesienia literackie..... | 209, 448, 687 |
| Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomiczném warszawskiem: | |
| za miesiąc luty r. b. | 221 |
| — — marzec r. b. | 457 |
| — — kwiecień r. b. | 693 |

Do zeszytu na m. Maj r. b. dołączony był bezpłatnie tom IIgi Zbioru Pamiętników do dziejów polskich, wydawanego przez *Wł. hr. Platera*.



Biblioteka Warszawska najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca na pocztę dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Ktoby jej z prenumeratorów na pocztę nie odbierał w zwykłym czasie, to jest: najpóźniej w tydzień po wyjściu, lub odbierał nieopieczętowaną, z kartami rozciętymi, pobrudzonymi: proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jej koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Daniłowiczowskiej pod Nr. 619.” W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadosyćuczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo pocztę BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, wrazie nieodebrania zeszytu należnego raczył nieodwłocznie o tem redakcyją zawiadomić.

Przedpłata na rok 1858

1. *Przedpłata całkowiła* wynosi na rok złp. 60 (rub. sr. 9).

2. *Przedpłata kwartalna* przyjmuje się za złożeniem złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 2½) na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszytzie złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 2½) na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumeratorem podpisac winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumeratorem pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1858 za opłatą roczną w ilości złp. 60 (rub. sr. 9), lub *półroczną*, to jest za złożeniem naraz za *dwa kwartały* złp. 30 (rub. sr. 4 k. 50).

W Cesarstwie Rossyjskiem przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. 10, które nadesłać trzeba *franco* albo: do Expedycyi Gazet w Warszawie, lub wprost: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

Zamknawszy pierwszy peryod nieprzerwanego istnienia swojego pisma, postanowiła redakcyja, z powodu częstych w tej mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratom nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez zniżenie ceny. — Odtąd cały 10letni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, można nabyć tylko w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. za złotych 300 (rub. sr. 45). — Komplet z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845 i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40 (rub. sr. 6). Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856 i 1857 jako znaczne lub zupełne wyzerpanych, zmniejszenia ceny redakcyja postanowić nie może. — Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplety. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5 (kop. 75).

Na przedpłatę całkowiłą lub kwartalną na rok 1858, zapisywać się można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcyja wzywa i najuprzejmiej zaprasza do wspólnej pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane z wdzięcznością przyjmie, a nawet jest w gotowości opłacać na żądanie wszelkie zamieszczone w piśmie swoim prace, czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad, które przyjęła. Żądanie jednak zapłaty powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, księgarze i inni nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychlej wymienione w *Kronice bibliograficznej* i zawołane w *Kronice literackiej* Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku składać tychże dzieł egzemplarz, do kantoru redakcyi przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

| | Stron. |
|---|--------|
| Zatargi Polski z Turcyą w 1667 r. i poselstwo Hieronima Radziejewskiego, przez <i>Leopolda Huberta</i> | 461 |
| Rys życia Piotra Michałowskiego, skreślił ks. <i>Łętowski</i> | 500 |
| Pamiętnik z czasów rzezi indyjskiej, 1857 r. (dokończenie)..... | 513 |
| Krótki rys historii naturalnej Kamienia Podolskiego, skreślił <i>Gułstów Belke</i> (ciąg dalszy)..... | 539 |
| Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Paryzkie Towarzystwa wzajemnej pomocy.— Dramatyczno-muzyczny wieczór na dochód Instytutu Notre-Dame-des-Arts.— Ristori we włoskim Makbecie.— Les Doigts de Fee, komedia pp. Scribe i Legouvé.— O dzieciobójstwie u ludów wschodnich.— Pałac pompejański księcia Napoleona.— Projekt mostu na La Manche.— Wiadomości literackie..... | 565 |
| Obrazy Dagestanu, przez <i>Juliana S.</i> (Z mapą)..... | 587 |
| POEZYE. Karpacki dudarz, przez <i>T. Lenartowicza</i> . 497.— Z powrotem, przez <i>tegoż</i> | 564 |
| KRONIKA LITERACKA. Gawędy o literaturze i sztuce przez <i>J. I. Kraszewskiego</i> . Ciąg pierwszy. Lwów. 1857. Przez <i>A. A. K.</i> 603.— Przegląd dramatyczny. II. Filip II, tragedia oryginalnie wierszem napisana przez <i>Fr. Jakubowskiego</i> . Kraków. 1858.— Don Karlos Szyllera; przekład tego dramatu przez <i>M. Budzyńskiego</i> .— Prescott o Don Karlosie.— Cyganie Puszkina.— Chała za wsią, <i>Kraszewskiego</i> .— Dom Lodowy Łażecznikowa.— Cyganie, dramat <i>J. Korzeniowskiego</i> . Warszawa. 1857. Przez <i>Bolesława-Wiktora</i> . 618.— Alberti Marchionis Brandenburgensis de Arte Militari.... principis Palatini Adami Czartoryski cura et sumptibus editi Lutetiae Parisiorum. 1858. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i> . 641.— Prawdziwe wyobrażenie oblicza Pana naszego Jezusa Chrystusa, z dołączeniem historycznej wiadomości tego obrazu. Kraków. 1858. 646.— Pamiętniki kuratora magazynów. Napisał <i>Antoni Nowosielski</i> . Warszawa. 1858..... | 647 |
| ROZMAITOŚCI. Początek i wzrost przemysłu w Stanach Zjednoczonych..... | 662 |
| KORRESPONDENCYE. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, o wykopalisku wyszogrodzkim, od <i>G. Z.</i> 673. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Juliana Bartoszewicza</i> | 679 |
| KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA..... | 685 |
| Doniesienia literackie..... | 687 |
| Dostrzeżenia meteorologiczne za m. kwiecień r. b..... | 093 |